

Korona świata

Berling Peter

Książka III z Epopeja
Średniowieczna



calibre 0.9.27

BERLING PETER

KORONA ŚWIATA

epopeja średniowieczna część 3.

Część 1 – Dzieci Graala

Część 2 –Krew królów

PROLOG

Na południe od Bagdadu, na lewym brzegu Tygrysu, stał ktezyfoński liwan, letni pałac

amira al-muminin, „księcia wiernych”. Kalif przeniósł się tu wraz z dworem i haremem, żeby w miejscowych termach uwolnić się od prześladujących go lekarzy. Al-Mustasima

dręczyła bowiem podagra, łupało go w plecach, kłuło w kolanach, a stopy tak czy owak nie były przywykłe do dźwigania ciężaru jego ciała.

Kiedy leżał w ciepłej wodzie, a smukłe ręce polewały go wonnymi esencjami, wcierały

je łagodnie w zwiędłą skórę i starannie opiłowanymi paznokciami ślizgały się wzdłuż

jego kończyn, przynosiło mu to stokroć większą ulgę niż lewatywy ordynowane przez

żydowskich *doctores* z Aleksandrii, puszczenie krwi i polewanie zimną wodą przez medyków przysłanych mu przez cesarza z Salerno czy delikatne nakłuwanie ciała

igłami, na co namówił go uczeń Ibn Bajtara z Pekinu.

Al-Mustasim podniósł wzrok na jedyne w swoim rodzaju sklepienie beczkowe,

posadzone na piaszczystym brzegu Tygrysu niczym ogromne strusie jajo. Samotny

liwan wznosił się pionowo ku niebu. Po jednej stronie otwierał się na palmy daktylowe

oazy, po drugiej na leniwie płynącą rzekę. Kalif uwielbiał tę przewiewną halę, która

pochodziła jeszcze z czasów Proroka, jej jasny chłód i lekkość konstrukcji. Wśród

kamieni gnieździły się jaskółki, a od czasu do czasu w pobliże basenu, w którym

spoczywał, zabłąkała się szmaragdowa jaszczurka. Dziewczęta uderzające w

tamburyn, z dzwonekami na przegubach dłoni i szczupłych kostkach u nóg, kołysały się

w rytmie dźwięków fletu. Gdyby nie śpiewały, pomyślał mały stary człowiek, byłyby

jeszcze piękniejsze, ale wtedy pewnie by paplały jak damy z mojego haremu, które za

zasłoną — Al--Mustasim popatrzył ze smutkiem na swą zapadniętą klatkę piersiową i

wystający brzuch, i dalej w dół na zwiotczałą ozdobę swoich lędźwi - marzyły o innych

mężczyznach. Myśli kalifa pośpieszyły ku kobiecie, którą przysłał mu An-Nasir, sułtan

Damaszku. Syryjski władca zachwalał mu ją jako niewiastę bystrą i dowcipną i podkreślał jej wyjątkowe pochodzenie. To córka cesarza z rodu Staufów, mądra i ukształtowana na zachodnią modłę. Potrafi nie tylko czytać, ale i pisać, a w sztuce opowiadania nikt jej nie dorówna. Pewnie uznaję ją za zbyt starą do haremu, rozmyślał Al-Mustasim. Bądź co bądź ten dojrzały dar liczył już sobie dwadzieścia pięć wiosen.

Kalif popatrzył na zegar na brzegu basenu — cóż za szkaradzieństwo! Ale za to pokazywał godziny i był darem od króla Franków, który kazał go sporządzić specjalnie dla niego w paryskiej pracowni złotniczej. Połączona figurka przedstawiała rycerza, który dzierżył w jednej ręce okrągłą tarczę okoloną inkrustowanymi cyframi, a pośrodku przebitą ośką, na tej zaś obracała się strzała, wskazując godziny. Nie to jednak było ważne, gdyż rycerz miał w drugiej ręce małą maczugę lub raczej pałeczkę od bębena, jakim bawią się chłopcy. I tą pałeczką uderzał głośno o każdej pełnej godzinie w brzeg tarczy dwanaście razy. Potem jednak — i to było najpiękniejsze jego ramię wyskakiwało co kwadrans w górę i waliło w hełm „bang! bang!” Przyłbica, Allahowi dzięki, była spuszczone, toteż kalif za każdym razem potrafił sobie bez trudu wyobrazić, że znajduje się pod nią głowa niewiernego. Również tym razem Al-Mustasim przyłapał się na tym, że z zachwytem łowi uchem odgłosy uderzeń. Klasnąwszy w dłonie, odprawił z powrotem za zasłonę śpiewające bajadery,* pozwolił kąpielowym, by zawinęli go w prześcieradła i zanieśli na sofę na skraju hali, dokładnie naprzeciwko namiotu uszytego z lekkiej tkaniny, w którym jego damy znów zaczęły szeptać ze sobą.

Klarion z Salentyń stała wśród nich i wiedziała, że wkrótce zostanie wezwana do kalifa. Naczelnny eunuch własnoręcznie usunął jej ostatnie czarne kręcone włoski pod pachami i właśnie nacierał ją maściami i olejkami. Znała te zabiegi, w których nie omijano żadnego miejsca ciała. Do każdego używano pachnidła z innego tygielka. Czują przy-

jemne łaskotanie, a zarazem satysfakcję z zazdrosnego poszeptywania kobiet. To prawda, nie była już najmłodsza i podarowała życie córce, a ponadto zdradzała lekką skłonność do tycia, ale kalif był chudym człowieczkiem, tacy zaś potrafią docenić krągłość bioder oraz bujne piersi.

Nie miała na sobie nic oprócz przezroczystej tkaniny z Mosulu, która podkreślała jej miękkie kształty. Uczesana, upudrowana i jeszcze raz spryskana wonnościami, przeszła z podniesioną głową przez liwan i zbliżyła się do sofy, na której spoczywał władca.

Al-Mustasim dźwignął się na łokciu i usiadłszy, przyglądał się Klarion z upodobaniem. Wskazał jej miejsce na obleczonej aksamitem poduszce, która leżała u jego stóp. Był ciekaw, czym zamierza go uradować, i bynajmniej tego nie ukrywał.

- Nadobna hurysa* z raju, opowiedz mi o tych dwojgu dzieciach, óre Allah posłał, żeby sprowadzić Franków na właściwą drogę! Aha, pomyślała Klarion, to stąd wieje wiatr. Zadumana patrzyła na Tygrys w dole, jakby opowiadała o czymś, co ukazało się jej podczas widzenia.

—Nie tylko Franków — rzekła z uśmiechem — cały Zachód. Wielki cesarz rzymski...

—Czy to nie papież? — nieroztropnie wpadł jej w słowo Al-stasim.

Papież to najwyższy kapłan! — podjęła z oburzeniem. — Ten, który podaje się za następcę Jezusa z Nazaretu i z nienawistną zazdrością prześladowuje dzieci, prawowitych dziedziców świętej krwi! A król Franków jest jego sługą i siepaczem. Kalif zerknął na bijący właśnie zegar. Dzieci pochodzą zatem od proroka Isy?* Klarion skinęła głową.

Wtem rozległo się głośnie „bang! bang! bang!”

—Jak król Franków śmie podnosić rękę na dzieci proroka? — Frankowie to durne plemię, pomyślał kalif, dowodzi tego choćby ten rycerz, który wali pałką we własny

hełm.

Wyjaśnię wam to – oznajmiła Klarion , która nie rozumiała dlaczego starzec ciągle spogląda na tę dziwna lalkę. Czyżby w środku siedział mały Murzynek i wymachiwał rękami, kiedy władca patrzył na niego ? -W najbardziej uroczej dolinie Zachodu leży niczym piękna niewiasta Okcyrania , którą oblegają ,zabiegając o jej względy , cztery potężni książęta : cesarz ze sowim rozległym państwem od wschodu , od zachodu zaś król Aragonii , wszelako oddzielony od niej górami . Na południu, ale za morzem, kraje należące do władcy z dynastii Hafsydów. Tylko na północy grozi niebezpieczeństwo, gdyż tam czyha król Franków, haniebnie pragnie ją wziąć siłą...

—To on podarował mi tego rycerza wybijającego godziny - przerwał jej łagodnie Al-Mustasim. — Jego zegar nie świadczy o wyszukany smaku, ale bije.

Zastrzeżenie to trafiło Klarion do przekonania, zostawiła więc Francję w spokoju. Tam właśnie leży owa czarodziejska kraina Okcytania, ukochana Zachodu, najpiękniejszy kwiat w kulturze miłości rycerskiej i dworskiego obyczaju . Nie wydawało jej się , żeby Al.-Mustasim rozumiał o czym mówi.

– Tam – niedaleko Al-Andalus ,saraceńskiej Kordoby ze swoim splendorem ,wspaniałej Sewilli , potężnej Grenady , dla której panie , jesteś najwyższym zwierzchnikiem - tam dojrzewają najcudowniejszeowoce wiedzy i mądrości. Żydzi, muzułmanie i chrześcijanie żyją w pokoju i...

Bynajmniej! — zaprotestował rozgniewany kalif. — Tak mogłoby być! Zamiast jednak cieszyć się szczęściem, którym Allah szczerze ich obdarza, te tępe chrześcijańskie psy zwalczają nas...

To przez katolickiego papieża, który w swej bucie uznaje jedynie własną naukę, a nie na przykład nauczanie Jezusa Chrystusa!

Prorok Isa — podjął wątek kalif—nie wieścił niczego, co dawałoby Frankom prawo do wzniesienia pożogi wojennej. Przeciwnie. Wasz prorok głosił łagodność, braterstwo, miłosierdzie... — Zadumał się chwilę nad przydatnością takich zachowań, po czym dodał: — Prawie do przesady! Czyż nie mówił: „Jeśli cię kto uderzy w prawy policzek twój, nadstaw mu i drugi”?

Klarion roześmiała się. - Nie jestem chrześcijanką. Ale gdyby to były tylko uderzenia w policzek! Frankijski król w zgubnym przymierzu z rzymskim papieżem ogniem i mieczem napadają na Okcytanię, żądny łupów jeden, bezlitosny i zapamiętał w złości drugi.

Zegar rozgłośnie wybił pełną godzinę, osiem uderzeń. Nad rzeką zawisły niebieskie zasłony wieczoru. Kalif kazał przynieść owoce i schłodzoną wodę różaną.

Własnoręcznie nalał Klarion.

Miałaś mi opowiedzieć o dzieciach. Cóż one mają wspólnego z tym osobliwym królem i z tym złym papieżem, jeśli Allah posłał je do was za pośrednictwem swego proroka Isy?

Posłał je prosto do Okcytanii, owego ogrodu różanego, gdzie spotkały się żydowska kabała, muzułmańska teologia i prastare kulty celtyckie. Wracający ze Wschodu krzyżowcy przywieźli obce obyczaje i kulturę niczym nasiona obcych kwiatów. W szczęśliwej Okcytanii, gdzie poeci bywali książętami, rycerze pieśniarzami, a mędracy kapłanami, rozwinęła się nauka Czystych, którzy nie obawiali się zła i mieli raj przed oczyma, religia nakazująca wiarę w prawdziwe przesłanie Jezusa z Nazaretu, niezafałszowane i bezpośrednie! Ich cnota, która nie potrzebowała przebaczenia, pokuty ani czyśćca, stała się cierniem w oku papieża i belką przed głową króla Franków, który spoglądał pożądliwie na ową żyzną krainę. Okcytania ze swoimi ciemnymi lasami, srebrnymi rzekami i ukrytymi jaskiniami, których ściany lśniły od złota i kamieni szlachetnych, była bezbronna. Nigdy jej nie widziałam — dodała z zalem

Klarion, a jej oczy zabłyśły — ale Crean opowiadał mi o niej.

A to kto? — Stary kalif, choć wydawał się senny, był uważnym słuchaczem.

Dzielny rycerz, który wyprowadził dzieci z oblężonej twierdzy Montsegur...

Mów od początku, jak to było — napomniiał ją Al-Mustasim i Klarion, która samowolnie odbiegła od tematu, wzięła to sobie do serca. Pewnego dnia stało się: król i papież wystawili wielką armię na „wyprawę krzyżową” przeciwko...

— Co?! Wyprawa krzyżowa przeciwko chrześcijanom, w samym sercu Zachodu?

Owszem, tak to nazwali bezczelnie i kłamliwie i obiecali uczestnikom bogate łupy.

Hordy najemników wtargnęły więc do kraju, pustoszyły miasta i zamki i prześladowały mieszkańców. „Spalcie ich wszystkich żywcem”, rozkazał legat papieski, „Bóg na pewno odnajdzie swoich w dniu Sądu Ostatecznego!”

— Co za bluźnierstwo przeciwko Allahowi! — Kalif aż się zatrzęsł.

— O tak, ale to nie wszystko! Kiedy spalili do szczętu miasta razem z ludźmi, którzy schronili się w świątyniach, na wysokim skalistym stożku ostała się j jeszcze jedna twierdza, Montsegur. Opierała się przez trzydzieści trzy lata, lecz strażnicy Graala postanowili w końcu się poddać i położyć kres swemu ziemskiemu żywotowi...

Al-Mustasim był pod wrażeniem. Graal? Czy to ojciec „dzieci Graala”?

Dokładnie nie wiadomo, kto lub co jest owym Graalem. — Klarion nie starała się nawet udawać mądrzejszej, niż była. Zamiast tego wygładziła na piersi muślin, pod którym dumnie zarysowały się ciemne sutki. — Crean z Bourivanu, szlachetny obrońca dzieci, mawiał: „Graal to wiedza tajemna”.

Wiedza o czym? — podchwycił kalif.

O rodowodzie świętej krwi, to krew królów, krew królewskiego domu Dawida...

Ach — wyrwało się księciu wiernych — proroka Isy?

Znów rozległo się bicie zegara.—

Pewnie tak — odpowiedziała Klarion, która

przyłapała się na tym, że teraz i ona wpatruje się w figurkę z hełmem na głowie. — W

każdym razie w noc poprzedzającą kapitulację twierdzy dzieci, chłopczyk i dziew-

czynka, zostały spuszczone ze skały na linach. Uratowanie dzieci zarządził pewnie

Przeorat, czyli Najwyższa Rada Syjonu. To tajny zakon, do którego należy także i

któremu wiernie służy Crean z Bourivanu.

Odczekała, aż ucichnie brzęczenie tarczy po ostatnim uderzeniu. „Bang!”

— To potężny związek działający w ukryciu — dodała, rozbijając trzepocząc

rzęsami, pragnęła bowiem, aby kalif uwierzył jej na piękne oczy, że jej wiedza o

Przeoracie sięga niewiele dalej.

Al-Mustasim nie przestawał jednak dociekać.

— Dla kogo? — zapytał, ale nie patrzył już na zegar. Jego spojrzenie zatrzymało się

na okrywającej Klarion muślinowej szacie, prześlizgnęło po jej udach i zagłębiło w

ciemnym trójkącie łona. — Dla kogo?—powtórzył.

Klarion pochwyciła jego wzrok; przeciągnęła się niczym zadowolona kotka, która

nieruchomiejąc nagle potrafi zwieść mysz, że jej nie widzi, i ta może nadal łasować

oczami.

— Mogę wam tylko powiedzieć przeciwko komu. Przeciwko Kościołowi papieży

rzymskich i przeciwko domowi królów francuskich wysłali swoje wojska zaciężne, aby

wzięły szturmem MontsegGraala którego szukali, nie znaleźli. Załoga twierdzy

powędrowała dobrowolnie na stos, odmówiła bowiem uznania papieża. Okoliczne

tereny, zamki i miasta otrzymał król Francji, który w ten sposób podwoił swoje

posiadłości i teraz uważa, że jest tak samo potężny jak cesarz i że należy mu się taka

sama cześć.

— Znam to — mruknął kalif, którego myśli wpełzły głęboko pod muślin. — Wciąż nie brakuje książąt, którzy uważają, że władza i bogactwo zapewniają również godność...

Ale co się stało z dziećmi?

Dwa dźwięczne uderzenia zasygnalizowały, że wkrótce minie godzina. Na zewnątrz dawno zapadł gęsty mrok, a on wciąż jeszcze nie był u celu swoich pragnień. Klarion zobaczyła, że mysz ucieka, i sprężyła się.

Crean z Bourivanu, ścigany przez Franków, przewiózł je morzem do Rzymu i potajemnie prześlizgnął się przez jaskinię Bestii. Pomógł mu pewien mnich, franciszkanin William...

William z Roebruku, słynny posłaniec, który cztery albo pięć lat temu odwiedził wielkiego chana Mongołów? — Al-Mustasim przedzierzgnął się z myszy w kocura, w jego oczach natychmiast pojawiły się czujne błyski. Klarion roześmiała się.

Nie wiem, czy ten spryciarz William był u Mongołów w Karakorum. W owym czasie dzieci znajdowały się pod dobrą opieką u nas, na zamku w Otranto, gdzie i ja się wychowałam. Codziennie sama je...

Opisz mi je! Jak im właściwie na imię?

Rosz i Jeza — oznajmiła z dumą Klarion. — Ich prawdziwe imiona są o wiele dłuższe, bo pochodzą z najwyższej arystokracji, ale muszą być trzymane w tajemnicy z uwagi na prześladowców, którzy nie cofają się nawet przed morderstwem.

A jak wyglądają? — W głosie kalifa przebijało zniecierpliwienie.

Rosz na pewno wyrósł na młodego rycerza. Był pięknym chłopcem o brązowych oczach i ciemnych włosach, a jego skóra miała barwę spiżu. Młody Got. Tryskał młodzieńczą żądzą czynu i fantazją — po prostu musiało się go kochać!

Kalif uśmiechnął się słysząc, z jakim podziwem dziewczyna o nim mówi, choć przy opisie kwitnącej młodości poczuł ukłucie w sercu. A Jeza? — zapytał, odsuwając myśl o niedostatkach własnej postury i swojego wieku. Jeza najchętniej przyszłaby na świat jako chłopiec. W jej żyłach płynie gorąca krew Normanów. Była smukła jak trzcina, gwiazdy jej oczu ciskały szarozielone błyski, a bujne złote loki okalały twarz o ostro zarysowanym profilu. Tylko wargi zwiastowały zmysłowość drzemającą w ciele, które teraz już pewnie rozkwitło. Była spragniona wiedzy i miała mądre wyczucie kwestii politycznych.

Trudno to sobie wyobrazić w takim haremie jak mój — mruknął zawiedziony kalif. — Co rusz wybuchalyby awantury! — Pozwolił sobie przez chwilę popatrzeć na Klarion takim wzrokiem, jaki przystoi jedynie właścicielowi. — Podobno jesteś córką cesarza?

Nie tylko podobno, naprawdę nią jestem! — oburzyła się zagadnięta, aż zafalowały jej piersi, i wyprostowała się dumnie. — Cesarz podarował mojej matce Otranto, położone na południowym krańcu jego państwa, w Apulii, którą kochał tak bardzo, że spędzał tam większość czasu. Tam też wielkiego Staufa dosięgła śmierć. Mnie nadał tytuł hrabiny Salentyny.

Widziałaś kiedykolwiek cesarza Fryderyka?

Nie. Nigdy więcej nie odwiedził mojej matki. Wychowywałam się w Otranto wraz z moim bratem Hamonem L'Estrange, który w zeszłym roku pojął za żonę najmłodszą siostrę emira Bajbarsa...

Ach, „Łucznika”.

Klarion poruszyła się niespokojnie na swojej poduszce, przez co materia na jej udach napięła się niebezpiecznie, grożąc rozdarciem. Kalif natychmiast się ożywił. O tak —

rzekł w zamyśleniu — gdyby Mamelucy* nie zamordowali ostatniego władcy Egiptu z dynastii Ajjubidów, An-Nasir nie zostałby pewnie sułtanem Damaszku, a i ty przypuszczalnie nie byłabyś tutaj, żeby przynieść memu sercu...

Klarion poczuła, że posunęła się w swojej grze za daleko, gdyż nie miała najmniejszej ochoty przynosić orzeźwienia jego sercu ani innym zmęczonym członkom jego zwiędłego ciała. Z opresji wybawił ją śmiały skok z powrotem do Apulii.

Żyliśmy szczęśliwie i w pokoju w naszym zamku nad brzegiem morza. Papież zgubił wtedy trop dzieci, których śmiertelnie nienawidził. Ale potem ten bęcwał William sprowadził wrogów z powrotem na ich ślad. Musieliśmy uciekać z Otranto na łeb na szyję trierą, cudownym okrętem wojennym, który cesarz podarował mojej matce, bo oprawcy stali już pode drzwiami.

W kraju cesarza? — To było dla kalifa niepojęte. Zegar wybił pełną godzinę i władca poczuł głód, lecz jeszcze większy był jego apetyt na dalszy ciąg historii, która stała się teraz naprawdę frapująca. A może to ciało opowiadającej dziewczyny wydawało mu się z każdą chwilą bardziej apetyczne?

Tymczasem papież ogłosił detronizację cesarza i pozbawił go wszelkich tytułów i godności — dodała szybko Klarion. Dziewięć uderzeń zegara skłoniło również ją do pośpiechu, gdyż wiedziała, iż nadeszła pora, kiedy władcy udają się do stołu, chyba że powstrzymuje ich coś lepszego.

Dobrze przynajmniej — rzekł kalif — że jestem cesarzem i papieżem w jednej osobie.

Tylko takiego zuchwałego arcymuły* by mi brakowało! — Odpędził nieprzyjemną myśl.

— A co było dalej? Dokąd uciekli Rosz i Jeza?

—Przez morze do Konstantynopola! Ale i tam podążyli za mmi oprawcy. Po długiej tułaczce dzieci dotarły do Egiptu.

Al-Mustasim przypomniał sobie o sprawie.

—Czy sułtan Kairu nie nosił się nawet z myślą — był już wprawdzie stary i miał pomieszane w głowie, a jego syn niewiele był wart — żeby odstąpić dzieciom tron?

O wieku nie powinien był wspominać, bo srodze mściło się to na nim. Zezłościł się na samego siebie, lecz Klarion co prędzej obdarzyła go uśmiechem, który — choć nieszczerzy — zadał kłam jego obawom. Prowokująco wolno założyła nogę na nogę.

Sułtan Ajjub wyzionął ducha, zanim mógł odnieść zwycięstwo nad królem Ludwikiem. Jego syn niczego nie pragnął goręcej, jak wyrzec się świeckiej władzy i powierzyć sułtanat parze królewskiej, Roszowi i Jezie. Pobił króla Franków i wziął go do niewoli, po czym został zamordowany podczas przewrotu pałacowego zorganizowanego przez Bajbarsa. Także znany z okrucieństwa „Łucznik” uległ urokowi dzieci. W przyływie wielkoduszności wypuścił króla Ludwika z więzienia, żeby mógł ich uczynić „królami Jerozolimy”.

Jerozolima! — westchnął w zamyśleniu kalif. Zegar już dawno wybił kolejną godzinę, Al-Mustasim wszakże nawet nie spojrzał w jego stronę. Oczy władcy spoczywały na ustach Klarion. Zauważył, że ledwie skosztowała wody różanej. Klasnął w dłonie i kazał przynieść wino. Kalif napełnił tylko jeden puchar, sam upił trochę i podał go kobiecie.

Wreszcie jej wargi zabłyśły. Al-Mustasim patrzył z lubością, jak ślizga się teraz po nich różowy język. Do murów obleganego zamku można też przystawiać drabiny. Nie zwlekając podał jej drogocenne naczynie po raz wtóry.

Oczarowany charyzmą i urokiem dzieci, Ludwik Pobożny przezwyciężył swój gniew na „kacerskie dzieci”, które ścigał od Montsegur aż po Konstantynopol, i gotów był im przyznać koronę Jerozolimy. Udaremnił mu to jednak sprzeciw jego dworu oraz baronów osiadłych w Ziemi Świętej. Rosz i Jeza tymczasem dojrżeli i stali się samodzielni. Dowiodła tego choćby ich śmiała próba uwolnienia Szirat i mnie z haremu An-Nasira. Byłam wtedy przy nadziei z Bykiem i wcale nie myślałam go opuścić.

Kalif z trudem przełknął napomknięcie o Byku wraz z jądrami, a tymczasem Klarion niewzruszenie ciągnęła:

Z kłopotliwej sytuacji, w jakiej znalazła się para królewska, wybawił ją Crean z Bourivanu na czele oddziału asasynów.

Ach — szepnął w zamyśleniu Al-Mustasim, który wykorzystał dziki potok wymowy, by przypuścić szturm na ciało opowiadającej jak na twierdzę. — Ach — powtórzył — w ten sposób weszli do gry izmailici?

Pociągnąwszy spory łyk, jak na zwycięskiego zdobywcę przystało, poczuł lekki zawrót głowy.

— Oni uczestniczyli w wyprawie od samego początku. Ich kanclerz złożył nam wizytę już w Otranto. Przeorat nie zdaje się wyłącznie na rycerzy Świątyni...

Tym razem Klarion, wchodząc całkowicie w rolę usługowej niewolnicy, dołała władcy wina, a wyborny trunek posmakował mu podwójnie. Dziwne, że ta — jakże ona się zowie?! — ta tajna rada Syjonu zaufała akurat bluźnierczym templariuszom i asasynom, tej bandzie morderców dowodzonej przez Starca z Gór!

Chcąc ukryć podniecenie, sięgnął po wino, które popijał powoli i z rozkoszą.

Hrabina Salentynty z taką samą rozkoszą wsparła się na rękach, które wbiła za sobą w poduszkę, i wyprężyła w górę ciało, jakby nikt jej nie oblegał. Powiodła oczyma po sklepieniu liwanu. Kiedy odchyliła głowę, wypadła jej zapinka i bujne włosy spłynęły uwodzicielsko na ramiona.

To dwa ciemne, głębokie zbiorniki wodne, których dna nie dostrzeżecie, panie — odpowiedziała szeptem, odmawiając wezwaniu kalifa, który znowu podsunął jej puchar.

— Oba jednak zasilane są z tego samego czystego źródła. Strażnikiem owego tajemnego źródła jest Przeorat. Wybrał templariuszy i asasynów, oba to zakony

wojowniczych mnichów, ponieważ potrafią zachować wiedzę o początku, o

pochodzeniu wszech rzeczy. Gotowi są wypełnić ślepo każdy rozkaz i przeprowadzić w

świecie wolę strażnika Wielkiego Planu.

Al-Mustasim sam opróżnił kielich i drżącą ręką napełnił sobie znowu, zlał przy tym sporo wina na jej muślinową szatę, czerwona plama szerzała się i ukazały się jej nagie uda,

lecz on nawet tego nie zauważył. Czy chodzi o los dzieci, piękna hurysa?

Klarion uświadomiła sobie z przerażeniem, że kalif słuchając opowieści o dzieciach,

bynajmniej nie zapomniał o kobiecie siedzącej u jego stóp.

Starzec jął gorączkowo gmerać przy swoich szatach. Uśmiechnęła się łagodnie,

wcisnęła mu prędko w rękę puchar z ciężkim winem i uciekła w dalszy ciąg opowieści.

— Chodzi wyłącznie o przyszłość dzieci; Wielki Plan jest dla królewskiej pary zarazem

losem i przeznaczeniem. Spełni się, choćbyśmy się przed nim bronili. Przekonali się o

tym wszyscy, także William z Roebroku, który je umiłował i co rusz spotykał na ich

żmudnej drodze do Królestwa Pokoju. Crean z Bourivanu odprowadził parę królewską

na daleki Orient do Alamutu, siedziby wielkiego mistrza asasynów. Wątpię jednak, czy

tam, u imama wszystkich izmailitów, znajdą swe ostateczne przeznaczenie, czyli...

Puchar kalifa uderzył z głośnym brzękiem o kamienną posadzkę.

— ...czyli koronę świata! — dodała mimo wszystko Klarion, zanim zwróciła wzrok na

starca. Al-Mustasim zasnął.

* B a j a d e r a — pierwotnie hinduska tancerka świątynna, potem zawodowa tancerka i śpiewaczka.

Hury sa (arab.) — dziewczica w raju, towarzysząca muzułmanom w nagrodę za pobożne życie.

Isa (arab.) — Jezus.

Bagdad — w latach 762-1258 stolica państwa Abbasydów i siedziba kalifatu.

Mamelucy — gwardia przyboczna sułtanów Egiptu (tureccy niewolnicy).

Mułła — muzułmański duchowny.

I. ZMECZONY KALIF

— Hasło brzmi: *Bi-ismi amir al-muminin!* — przykazał pierwszy szambelan dworu

podległej mu gwardii pałacowej w przedsionku sali audiencyjnej. — Kiedy zawołał: „W

imieniu księcia wiernych!", wpadniecie do sali i pojmiecie wszystkich. Każdego, kto stawia opór, należy zgładzić na miejscu! — Mąka al-Malawi ściszone głosem instruował

swoich ludzi, ledwie ostatni członek delegacji przeszedł przez wysokie drzwi

prowadzące do wystawnej sali, gdzie oczekiwał ich kalif Al--Mustasim.

— Oszczędźcie tylko czcigodnego Nasir ad-Dina Tusiego, pozostałych zaprowadźcie do więzienia, gdzie czeka już na nich kat!

— I jakby przypomniał sobie jeszcze o szczególnie uciążliwym obowiązku, -dodał ze złością: — Ale wyłówcie mi wcześniej te dzieci! Chcę je mieć żywcem!

Słowa te skierował także do niewielkiego wzrostem mężczyzny, który stał cicho w kącie,

lecz jego kłujące spojrzenie zdradzało, że nic nie umknęło jego uwagi. Oddalając się,

powłóczył nogą. Kapitan gwardii ze złością pokiwał głową, a szambelan wślizgnął się

przez drzwi do sali audiencyjnej.

Tygrys, oddzielający bagdadzką medynę ze starym pałacem kalifa od wschodniej

części miasta, toczył leniwie swe muliste wody. Al-Mustasim, książę wiernych z

panującej nieprzerwanie od pięciuset lat dynastii Abbasydów, nie szczędząc pieniędzy,

stworzył od podstaw w nowej części miasta dzielnicę wystawnych pałaców, którą

otoczył podwójnym murem, a przede wszystkim koszarami liczącej sto dwadzieścia

tysięcy jeźdźców konnicy. Mimo to od pewnego czasu kalif nie czuł się już tutaj zbyt

pewnie i dlatego postanowił, że on sam wycofa się do ciasnego starego pałacu,

natomiast komendę na wschodnim brzegu rzeki odda w ręce wielkiego wezyra.

Al-Mustasim był starcem nikłej postury. W o wiele za dużym turbanie na głowie wydawał się wręcz drobniutki. Niespokojnie wodził wzrokiem po mętnych falach rzeki, na której roilo się od łodzi przewożących towary *oraz* promów, a pomiędzy nimi szybkimi uderzeniami wiosł torowały sobie drogę galery rządowe. *Amira al-mumimn* opuścił już zapach wczesnych lat jego panowania. Nie on wprawdzie spowodował upadek królestwa

Chorezmijczyków, swego największego wroga, ale zdarzyło się to jeszcze za jego

życia. Usiłował doprowadzić do pokoju między Mamelukami z Kairu a ostatnimi Ajjubi-

dami z Damaszku, pragnąc objąć nim także Franków — *Allah jasihum!** --z Królestwa Jerozolimskiego. Chrześcijańskie psy powinny podziękować swojemu królowi

Ludwikowi; to był pobożny człowiek, któremu nie można było odmówić, kiedy poprosił o

zawieszenie broni. Al-Mustasim westchnął i powrócił spojrzeniem do sali audiencyjnej u

swoich stóp. Jak przez mgłę dotarło do jego uszu, że dysputa z poselstwem ma się ku

końcowi. I dobrze. Niezbyt go zajmowała.

Delegacji wysłanej przez wielkiego *da'iego* asasynów przewodził niezaangażowany po żadnej stronie Nasir ad-Din Tusi. Chłopskie rysy jego twarzy nie wskazywały raczej na

to, że ów mężczyzna w średnim wieku jest jednym z najslynniejszych uczonych świata

muzułmańskiego. Kalif pomyślał ze smutkiem, że ten mądry człowiek — podobnie jak

on sam, słaby książę wiernych — w ciągu swego krótkiego ziemskiego żywota

nieodmiennie starał się doprowadzić do ugody między fanatycznymi izmailitami a

sunnickim kalifatem. Wprawdzie poczciwemu Tusiemu nigdy się to nie uda, ale

przynajmniej tym razem asasyni owego chorego na manię wielkości „imama”, jak

nazywał siebie panujący wielki mistrz sekty, nie grozili nikomu śmiercią. Nie domagali

się też bezsensownego trybutu ani abdykacji kalifa na rzecz któregoś z szyitów

wysuwających absurdalne żądanie, żeby książę wiernych pochodził w prostej linii od

samego Proroka.

Zmęczony wzrok kalifa zatrzymał się na wysokim kasetonowym suficie, gdzie z biegiem czasu poczerniały stalaktytowe sople ze szlachetnych gatunków drewna. Al-Mustasim był trzydziestym siódmym kalifem z dynastii Abbasydów. Ci asasyni natomiast pojawili się zaledwie przed stu laty! *Allahu akbar!** Zanim weszli do sali audiencyjnej, obszukano ich, czy nie mają broni, a jak znał Mąkę al-Malawiego, pierwszego szambelana dworu — który nienawdził asasynów nawet bardziej niż skorpionów — ten z rozkoszą rozebrał ich do koszuli, nie omijając podczas kontroli żadnego z otworów ciała, w których można by przemycić sztylet przed sam tron kalifa. Jednakże po tych skrytobójcach z Alamutu można było spodziewać się najgorszych czarów. Wystarczyło, że wyciągnął taki rękę, a już trzymał w niej sztylet. Dlatego kalif rozkazał straży przybocznej, aby potrójnym szeregiem zajęła miejsce na stopniach schodów u jego stóp.

Mądry Nasir ad-Din Tusi powinien był właściwie już dawno zauważyć, że jego wysiłki spełzną na niczym. Zjednoczenie wyznawców Mahometa przeciwko nadciągającemu z bardzo daleka zagrożeniu ze strony Mongołów przypominało próbę nakłonienia kota i psa czy sokoła i węża do schronienia się pod wspólnym dachem przed chmurą burzową, o której nie wiadomo nawet, czy i gdzie dojdzie do wyładowania z błyskawicami i piorunami. Zanim taki obraz zjednoczenia stałby się wyobrażalny, ci rozbójnicy z gór Chorasanu, którzy tak chętnie uważali się za orły — choć raczej przypominali węże! — musieliby najpierw przestać kąsać i dowieść, jak bardzo leży im na sercu jedność muzułmanów. W przeciwnym razie on, będąc jako kalif ulubionym celem tej bandy morderców, hodowałby jedynie zmię na swej piersi.

Wyglądało na to, że roztropny Tusi, którego uczoność kalif cenił w takiej samej mierze, jak naśmiewał się z jego politycznej naiwności, odgadł myśli swego najwyższego zwierzchnika. Ponad głowami szambelana, również obecnego podczas audiencji naczelnego sekretarza, oraz straży przybocznej przywódca delegacji zwrócił się do Al-

Mustasima:

—Dostojny książę wiernych, z dumą i upodobaniem spoglądasz na swoją nową madrasę,* na twoją cześć nazwaną Al-Mustansiriją. Otworzyłeś tę świątynię wiedzy dla wszystkich czterech kierunków sunny: *.przyznałeś katedry profesorom szafiitom i hanafi itom, pozwoliłeś prowadzić wykłady nawet sekciarskim hanbalitom i malikitom, a na nauczanie szyitów zabrakło miejsca?

Pytanie to — jeśli w ogóle było to pytanie, a nie gorzki wyrzut — nie zawisło w próżni, tylko doczekało się natychmiastowej odpowiedzi. Maka-al -Malawi zerwał się z miejsca, jakby ukąsiła go tarantula.

—Niedoczekanie!—zapienił się szambelan. — Od dziesięciu pokoleń izmailici nękają kalifów zasiadających na tym tronie, grożą im, mordują wiernych im wezyrów, a wy w podzięce żądacie teraz katedry dla swej odszczepieńczej nauki. Zegnij wpierw kark,zuchwała kacerska hołoto! A jeśli książę wiernych w swej niezmierzonej łaskawości przyjmie wasz hołd i trybut, jaki będzie trzeba płacić...Zasapał się ze złości i zbrakło mu tchu, co roztropniejszy od niego kanclerz, dawatdar Ajbak, wykorzystał bez zwłoki, żeby samemu dojść do głosu.

—Szanowny Nasir ad-Dinie Tusi, jeśli obawiacie się — chciałem powiedzieć: jeśli Alamut obawia się Mongołów, to dla nas wcale jeszcze nie powód, żebyśmy wysyłali naszą cenną armię konną przeszło tysiąc mil w wasze dzikie góry.

Tęgawy dawatdar zawsze pamiętał przede wszystkim o bezpieczeństwie wewnętrznym.

—Asasyni nie znają strachu — odparł Tusi, znowu zwracając się do kalifa, który zapadł w drzemkę mimo narastającego hałasu. — Dajcie to sobie powiedzieć ustami kogoś, kto wprowadzie do nich nie należy, jednakowoż zna ich i ceni. Mimo to potrafią dostrzegać zbliżające się niebezpieczeństwa i nie stracili zmysłu strategicznego: wroga należy powstrzymać zawczasu. Jeśli hordy mongolskich jeźdźców rozleją się już tu na

równinie, to rozpędzą na wszystkie wiatry waszą dumną konnicę niczym sfora wilków stado owiec.

Spokojnie możemy czekać na nich tutaj, chronieni przez rzekę i podwójne mury. — Pod względem usposobienia dawatdar przypominał kubek w kubek swego pana, choć wyraźnie różnił się od niego powierzchownością: ważył pewnie trzykrotnie więcej. — Kair i Damaszek nam..

Nie przyślą wam na pomoc nawet jednego wojownika — odpowiedział sekretarzowi Tusi. — Wspomnijcie na moje słowa, Ajbaku! Zazwyczaj sądzicie, że burza rozpęta się w górach albo przejdzie bokiem, i podobnie Syria się nie odsłoni, tym bardziej mając na karku kairskich Mameluków. Powiadam wam — to mówiąc, zwrócił się jeszcze raz do kalifa — jeśli wam, jedynemu duchowemu autorytetowi wyznawców Mahometa, nie uda się ogłosić pokoju Bożego między wszystkimi ludami i władcami prawdziwej wiary i stanąć z nimi ramię w ramię, nawałnica ze Wschodu zmiecie was wszystkich, jednego po drugim. Jedynie gęsty gaj otaczający oazę zdoła oprzeć się burzy. Pojedyncze palmy na pustyni są łamane albo wyrywane z ziemi razem z korzeniami!

Kalif od dawna spoglądał znowu na kopuły i dziedzińce swojej Al-Mustansiriji. Muezin* z pobliskiego minaretu meczetu pałacowego, Dżami al-kasr, wzywał na południową modlitwę. Różowe, senne miasto spoczywało w oparach upału. Rozciągało się dalej, niż sięgało oko władcy.

Al-Mustasim uświadomił sobie z niezadowoleniem pustkę w żołądku, jedno jeszcze chciał wszakże wiedzieć przed odprawieniem delegacji tam, skąd przybyła: co się stało z tymi dziećmi? Specjalnie napomniął Nasir ad-Dina Tusiego, żeby mu przywiózł dzieci, w przeciwnym razie może sobie oszczędzić występu asasynów, na których widok ścisnęło go tylko w żołądku.

— Gdzie są dzieci? — zwrócił się po raz pierwszy do emira Hasana Mazandariego, najwyższego rangą członka poselstwa z Alamutu, o którym wiedział, że jest blisko związany z imamem.

Hasan śledził debatę z ponurą miną, stosownie do tego rozdrażniony. Był urodziwym mężczyzną, szczupłym i o zadbanej powierzchowności. Kiedy się śmiał, odsłaniał zęby, które przypominały uzębienie drapieżnego zwierzęcia. Ostro zagięty nos nadawał mu wygląd sokoła lub orła, a wzrok miał przeszywający jak u węża. Możliwe, że Tusi był mile widzianym pośrednikiem między zwaśnionymi zwolennikami obu głównych doktryn muzułmańskich, lecz wyraźnie nie nadawał się do formułowania żądań asasynów z należąą dobitnością. Po cóż on, emir, ma wysłuchiwać zuchwałości tego szambelana, skoro Bagdad nie zamierza im udzielić ochrony przed Mongołami, a nawet nie dostrzega takiej potrzeby? Dlatego i on nie uznał za wskazane spełnić — przekazanego przez Tusiego życzenia kalifa. Kiedy wyjeżdżali, zaprezentował wprawdzie oboje panu przywódcy delegacji, lecz potem wziął ze sobą tylko Rosza, a wściekłą Jeżę odesłał z powrotem pod opiekę niewiast. Po co narażać oboje? Albo jeszcze roztropniejsze rozumowanie: jako para królewska dzieci wzbudzały żądzę posiadania w każdej liczącej się sile w świecie, a każdego władcę czyniły nieobliczalnym. Wtedy nawet status poselstwa niewiele znaczył. Jedno dziecko natomiast było warte niewiele więcej niż lafcz czy skoczek w grze o władzę. Hasan zwlekał z odpowiedzią, prawie do granic nieuprzejmości.

— Dostojny *amirze al-muminin* — rzekł w końcu cicho, używając tego tytułu, aby przypomnieć kalifowi o spoczywających na nim prawach i obowiązkach „przywódcy wiernych” — jesteśmy w pełni gotowi walczyć pod sztandarem Proroka, w pierwszym szeregu, jak nam rozkazał Allah, kiedy powołał nas, byśmy byli przedmurzem świata

muzułmańskiego przeciwko barbarzyńcom z pogańskiego Wschodu...

—Kacerze! — prychnął szambelan. — Jako odszczepieńcy zostaliście wykluczeni ze wspólnoty wiernych zarówno podczas wojny, jak i pokoju! Allah was zniszczył i...

Kalif uniósł dłoń i Hasan ciągnął, nie zaszczyciwszy nawet spojrzeniem znieawidzonego Maki al-Malawiego.

— Mongołowie nie czynią różnicy między *szī'at Ali*, czyli zwolennikami Alego, a wyznawcami sunny, którzy wierzą, iż znają czystą naukę, Przyniosą oni zgubę

każdemu, kto nie podporządkuje się ich władzy. Wszystkim ją narzucą — aż po koniec świata, którego władcami czują się powołani.

— A dzieci? — przypomniał z uporem kalif. Hasan uśmiechnął się.

Przynieście dary! — nakazał swoim sługom, którzy przydźwigali duże skrzynie i postawili je przed stopniami tronu. Na znak Hasana otworzyli kilka skrzyń i szkatuł. Po dusznej sali audiencyjnej rozeszła się przyjemna woń mirry i ambry, lecz nikt nie zwrócił na to uwagi, gdyż ledwo uchylono wieka skrzyń, spłynęły ku posadzce wspaniałe wstęgi jedwabiów. Rozwinęły się brokaty i adamaszki, zwiewny muślin sfrunął i rozłożył się u stóp kalifa. W głębi skrzyń skrzyły się złote naczynia, kielichy i czary. Ze szkatuł wysypały się sznury pereł i drogocenna biżuteria, bogato wysadzana szlachetnymi kamieniami. Także przed dawatdarem i szambelanem słudzy postawili skrzynie i kasetki z kosztownościami. Hasan zwrócił się do tego ostatniego z konfidencjonalnym uśmiechem.

- Szanowny Maka al-Malawi — powiedział, schlebiając mu otwarcie – mam nadzieję, że wasz pan nie będzie wam zazdrościł tych skarbów, zamierzam bowiem swym darem zyskać waszą przychylność.

Szambelan nie wiedział, co o tym myśleć. Kiedy rozejrzawszy się szybko na boki, zauważył, że również gruby Ajbak, kanclerz i naczelny sekretarz kalifatu, nie przymierza się do

rozłożenia zawartości skrzyń, nakazał towarzyszącej mu eskorcie, by bez uprzedniego otwierania odniosła obie skrzynie i szkatuły do jego pałacu. Nie był to jednak objaw chciwości — tak czy owak musiał przesłać kalifowi jego udział — szambelanowi chodziło raczej o to, żeby nie mieć dłużej przed oczyma wspaniałych darów swoich wrogów, gdyż czekała go jeszcze generalna rozprawa z tymi zarozumiałymi izmailitami. Ostatecznie on, Maka al-Malawi, nie dawał się przekupywać tak łatwo jak tłusty dawatdar!

Szambelan szykował się właśnie do nowego ataku, gdy przemówił kalif, tym razem już oburzonym tonem.

—Nie pytaliśmy o dary, tylko o dzieci. Przywieźliście je? — I powiódłszy wyzywającym spojrzeniem ponad stojącym z pochyloną głową Nasir ad-Dinem Tusim i pochmurnym Hasanem, po raz pierwszy przyjrzał się baczniej orszakowi towarzyszącemu poselstwu, który składał się na ogół ze starszych rafików.* Za emirem stał jak zwykle fedain,* jeszcze chłopiec, który nieruchomo trzymał przed sobą pionowo owiniętą w sukno laskę. Wszyscy obecni wiedzieli, że wewnątrz niej znajdują się włożone jeden w drugi sztylety, z ostrzem wpuszczonym w trzonek poprzedniego. Symboliczny gest, który przemawia prostym językiem, pomyślał kalif zastanawiając się, czy nie byłoby słuszniej udzielić jasnej odpowiedzi, jakiej życzył sobie jego nieprzejednany szambelan.

Za chłopcem ze sztyletami stał jeszcze młodszy chłopiec o delikatnych rysach twarzy, o ile dało się to dostrzec pod nasuniętym nisko na czoło kapturem. Ten wydawał się postacią jeszcze bardziej niesamowitą, gdyż przewiesił przez rękę kupon płótna, Al-Mustasim wiedział zresztą, jak brzmiałaby odpowiedź, gdyby zapytał o znaczenie tego daru. „To wasz całun, dostojny książę wiernych, w którym zostaniecie pochowani, jeśli tak się spodoba memu panu, imamowi Muhammadowi III.” A więc taka słaba była już

władza kalifa — przywódca sekty osiadłej w górach Persji przyprawiał go o drżenie!

Młody fedain oddał laskę ze sztyletami chłopcu stojącemu za nim i złożył pokłon kalifowi, ale nie rzucił się na ziemię. Królewskim gestem położył prawą dłoń na sercu i spojrzał starcowi w oczy.

—Chcieliście nas zobaczyć, dostojny książę, i oto jesteśmy! Dzieciom Graala spodobało się bowiem zawrzeć z wami znajomość i szukać waszej przyjaźni.

Kalif już się podnosił z tronu, aby wziąć w objęcia nieustraszonego chłopca, który śmiało torował sobie drogę pomiędzy strażnikami.

— Dopuszczcie go do mnie! — zawołał władca do swoich ludzi, którzy zakrzywionymi szablami zagrodzili przejście fedainowi. — A więc to ty jesteś Roszem — upewnił się Al-Mustasim. — A gdzie księżniczka? — zwrócił się podejrzliwie do emira.

Chłopiec uśmiechnął się tylko, Hasan zaś pośpieszył z oświadczeniem, że Jeza drugie królewskie dziecko, nie przyjechała, gdyż obawiano się, że nie podoła trudom podróży.

To nieprawda! — ozwał się dźwięczny głos, a drobny fedain z płótnem na rękę zsunął kaptur z głowy tak gwałtownym ruchem, że ukazały się jego jasne włosy. — My, królewskie dzieci, jesteśmy nierozłączne i nie ma trudów, którym nie zdołałabym podołać.

To rzekłszy, Jeza wystąpiła do przodu i stanęła obok Rosza, po czym natychmiast zwróciła się z płomiennym apelem do kalifa:

- Pozdrawiamy cię, *amirze al-muminin*! Ty zaś możesz liczyć na naszą pomoc, gdy chodzi o zjednoczenie ludów, które wierzą w jednego Boga, do walki z bezbożnymi Tatarami ze stepu!

Ona przemawia jak dziewczę Tawaddud!* — Zachwycony władca zwrócił się do Tusiego, a tymczasem drobny człowieczek o kłującym spojrzeniu podszedł do

kanclerza dawatdara i zaczął z nim poszeptywać. Kalif wiedział, że kulas, którego nie znosił, jest zaufanym człowiekiem i informatorem jego kanclerza.

Co na to moi doradcy? — spytał sędziwy kalif, przerywając tę poufną konferencję. W tym miejscu jednak wmieszała się Jeza.

—Nie jestem niewolnicą — zawołała z oburzeniem — która opowiada baśnie, a bezpieczne dla Bagdadu czasy z tysiąca i jednej nocy dawno minęły.

Sami słyszycie! — obwieścił tryumfalnie kalif.

Maka al-Malawi, szambelan, widział już, jak jego zwycięstwo w tej utarczce oddała się coraz bardziej.

—Dostojny panie, nie wiercie w te wysrane z palca opowieści— wysapał rozgniewany.

— To kacerskie dzieci, tacy sami heretycy jak potomstwo Izmaela! — Szukał wzrokiem pomocy grubego dawatdara, z którym jako sunnitę łączyła go nienawiść do

odszczepieńczych szyitów, ale ten patrzył w bok. — Powinniśmy całą tę bandę wtrącić do więzienia, ściąć zuchwałych emisariuszy z Alamutu, a ich głowy posłać wielkiemu chanowi razem z tymi żywymi dziećmi szejtana!* — wysyczał wściekle szambelan.

Zaraz się jednak opanował i sączył swoją truciznę z większą rozwagą. — Mongołowie na pewno nie zamierzają zaatakować Bagdadu, tylko drażnią ich te gniazda skalne ukryte wśród gór Chorasanu, z których wyfruwają gromadnie na wszystkie strony gotowe kąsać szerszenie. Posłuchajcie mojej rady, dostojny władco, jest ona więcej warta niż wszelkie bezsensowne alianse z ludźmi, którzy zawsze nastawiali na wasze życie.

Kalif uniósł dłoń uspokajającym gestem. Jego wzrok padł na Jezę, która zanurzywszy niepostrzeżenie palce w bujnych jasnych włosach, trzymała nagle w ręku sztylet.

—Chcesz mnie zabić? — wyszeptał wstrząśnięty pośród porażającej ciszy, która

wydawała się jeszcze cięższa, gdy jego strażnicy podnieśli scimitary* do uderzenia.

Jeza nie poruszyła się, trzymała klingę pionowo przed sobą na wysokości twarzy, dzięki czemu w stali odbijały się jej szare oczy.

Nigdy — odparła spokojnie. — Ale kiedy zmią syczy, należy mieć się na baczności!

Bi-ismi a... — jęknął Maka al-Malawi, gotów wypowiedzieć umówione hasło. Okrzyk uwiązał mu jednak w gardle, gdyż dawatdar zawołał szybko: —

*Bi-ismi Allah!**

Spodobało się to również Jezie.—W imię Allaha! — zawołała i ona, wsunęła sztylet z powrotem we włosy, jakby nic się nie stało, i odwróciła się do Rosza.

Ten skłonił się przed kalifem.

— Teraz, panie—rzekł—już nas widzieliście, a myśmy was ostrzegli. *In sza Allah!*

Niech się dzieje wola Boga!

Nie zatrzymywana przez nikogo delegacja asasynów opuściła salę. Nie odprowadził jej żaden z obecnych dostojników, jak nakazywałyby choćby dobry zwyczaj i przyzwoitość. Jakby obecność poselstwa izmailitów miała być ukrywana przed ludnością, Chajman, osobnik o kłującym spojrzeniu, poprowadził ich powoli przez brudne podwórce starego pałacu do tylnej bramy tuż obok kuchni. Rosz i Jeza maszerowali ciasnymi uliczkami suku,* znajdując w tym przyjemność, mimo że powłóczący nogą przewodnik nie odpowiedział na żadne z ich pytań.

Chromy szczur — mruknęła Jeza, szczerząc zęby w uśmiechu — w dodatku głuchoniemy! Szczury wydają mi się stokroć miłsze — odparł szeptem Rosz z poważną miną. Dzieci nie mogły widzieć nieba, gdyż albo domy z kunsztownie wyrżniętymi, dawno zwietrzałymi wykuszami wznosiły się ponad wyłożoną kamiennymi płytami ulicą, albo orszak posuwał się krętymi kruzgankami i przechodził pod kruszącymi się,

zdobionymi kaflami, łukowato sklepionymi bramami. W tej dzielnicy mieszkali rzemieślnicy należący do mniej szanowanych zawodów, potwierdzały to zresztą unoszące się w powietrzu zapachy. Rzeźnicy wieszali przed swoimi sklepami wypatroszone barany, a obok nich od razu dla przyciągnięcia klientów łby zaslachtowanych zwierząt. Dwie uliczki dalej zajmowali się swą smutną profesją rakarze. Wygotowywano kości i zbierano tłuszcz, który stygł w brudnych drewnianych cebrach. Wszędzie roiło się od szczurów. Gryzonie są mistrzami w wykorzystywaniu starych materiałów zauważył Rosz.

Tu jest ich aż za wiele — odparła Jeza. — Wyobraź sobie, że wpadałyby do zupy, którą warzą sobie z resztek biedacy.

—Na to są za mądre. Spójrz, tam gdzie garbarze ługują skóry i farbiarze mieszają w swoich kadziach, tam żadnych nie widać!

Kierując się za swym milczącym kulawym przewodnikiem, asasyni dotarli najkrótszą drogą z powrotem do najstarszej madrasy w Bagdadzie. Tam właśnie niechętny im szambelan przydzielił gościom kwatere. Przewodnik, który ich prowadził przez suki, zniknął bez pożegnania.

—An-Nizamijja to tradycyjny dom noclegowy — wyjaśnił dzieciom Nasir ad-Din Tusi. Ale trzeba też było uspokoić rozeźlonego emira Hasana, który uważał tę kwaterę — i słusznie! — za afront. — Od stuleci trzymywały się tu karawany przybywające do nas z pustyń Maghrebu zaśnieżonych lasów północy, gdzie ludzie spożywają surowe ryby. Tutaj kończył się Jedwabny Szlak z kraju Katajów, tutaj wielbłądy przynosiły dywany z Buchary i Tebrizu, tutaj marynarze schodzili na ląd, przywożąc przyprawy, aromaty i esencje z Indii tudzież czarnych niewolników z Afryki. Tutaj zbierały się grupy pielgrzymów przed wyruszeniem do Mekki i Medyny. An-Nizamijja jest pępkiem świata,

brzuchem...

—Mędrcze, jeśli pragniecie sławić wnętrzności — drwił emir — to pomyślcie też o ich zakończeniu i zamknięciu. Niczym innym jest bowiem dzisiejsza An-Nizamijja! To zajazd dla pierdzącej hołoty, zafajdanych żebraków i podupadłych świętych, którzy chłepcą własny mocz!

Przypomniawszy sobie o swej roli przywódcy delegacji, Hasan Mazandari przerwał ten potok obelg.

—Będę sławił Allaha, jeśli odnajdziemy nietknięte nasze sakwy i kufry -- zżymał się, zasłaniając usta dłonią, gdyż dotarli pod bramę zajazdu, a odźwierni może niechętnie słyszeliby takie słowa. Zaraz więc dodał krótko pełnym głosem: —Nie pozostało nam nic innego, jak się spakować! Z ciężkim sercem opuścimy to miejsce tysiąca wonności!

Rosz przytrzymał Jeżę za ramię i zaczekał, aż wszyscy towarzysze podróży znikną w bramie. Odkryłem tu za rogiem złotnika —wyjawił jej wprost, nie ubierając tego odkrycia w szatę tajemniczości. — Zajrzyjmy tam na chwilę, zobaczymy, może uda nam się korzystnie zakupić jakieś skarby w jego zadymionej jaskini! — Wziął ją za rękę i pociągnął za sobą.

Co ty nazywasz „korzystnym zakupem”? Nie możemy sobie nawet pozwolić na dziurawy miedziany dzbanek! — zganiła go ze śmiechem, ale dała się pociągnąć, choćby z ciekawości, a także po to, by nie odbierać mu radości z buszowania, którą z nim zresztą dzieliła.

Złotnik, zgarbiony człowieczek w wyświechtanym fartuchu, miał tak krótki wzrok, że prawie dotykał nosem srebrnej bransolety, którą opiłowywał w imadle. Siedział przy wejściu do warsztatu, a za nim na półkach piętrzyły się imbryki i patelnie, pogięte mosiężne świeczniki, zardzewiałe widelce, podrapane lustra i nieszczelne lampy.

—Handlarz starzyzną! — szepnęła Jeza, żeby go nie obrazić, lecz dostatecznie głośno, żeby Rosz zdał sobie sprawę z jej rozczarowania. Człowieczek rozpoznał Rosza i jego twarz rozjaśnił uśmiech.

—Są gotowe — oznajmił, wstał, wytarł ręce w fartuch i pogrzebał w skrzyni, którą by nie kusić złodziei, ukrywał pod swym miejscem pracy. Wyjął z niej teraz płócienny mieszek i wysypał z dumą jego zawartość na złożone dłonie Rosza. Ze środka wyskoczyły dwa pierścionki.

—Aj! — zawołała Jeza. — Ty szelmo, ty łotrze, ty oszuście!

Rosz nie podchwycił jednak żartobliwego tonu. Z powagą ujął dłoń Jezy i wsunął jej na palec jeden z pierścionków, zanim sam włożył drugi. Oba pasowały jak ulał. Nie były ze złota. Obrączka była mosiężna, cokolik miedziany, a nadbudowa przypominała z wyglądu zwykłe żelazo. Mimo to Jeza przyglądała się podarunkowi z coraz większą radością, gdyż dostrzegła wygrawerowaną lilię Przeoratu, a na wypukłym reliefie krzyż tuluzkański.* Bez słowa rzuciła się Roszowi na szyję i pocałowała go za uchem.

Pokaż mi teraz swój — powiedziała. Stwierdziła, że jego pierścień jest niemal identyczny, tyle że u niego symbol Przeoratu był wypukły, a herb Okcytanii głęboko wcięty. One nie tylko są identyczne — oświadczył Rosz głosem ochryplym od wzruszenia — ale i stanowią całość. To mówiąc, zbliżył dłoń do palca, na którym Jeza nosiła pierścień, i — klik! — pierścienie przywarły do siebie i wskoczyły jeden w drugi.

—Kamienie magnetyczne! — zawołała. Rosz nie mógł się powstrzymać od śmiechu. Tylko jeden — odparł — naturalnie twój! Wysunął palec ze swojego pierścienia i pokazał Jezie, jak się je rozdziela. — Mój jest ze zwykłego żelaza.

Roszu, uczyniłeś mi najpiękniejszy dar! — wyszeptała. Była szczęśliwa. Nam obojgu — odrzekł uroczyście Rosz — bo cię kocham.

A ja cię nienawidzę! — zawołała Jeza. — Szybko, musimy już iść do An-Nizamiji, bo

Hasan wpadnie w szal niczym tańczący derwisz! Chwycili się za ręce i pobiegli z powrotem. Stary złotnik patrzył za nimi w zamyśleniu, dopóki nie zniknęli za rogiem.

Rosz i Jeza ciągle oglądali się za siebie na medynę tego „miasta miast”. Jego sylwetka nie była ani trochę tak podniecająca jak kontury Konstantynopola z grubymi wieżami i

potężnymi kopułami. Nie było tu także piramid jak pod Kairem, Nasir ad-Din Tusi powiedział jednak, że to „kolebka ludzkości”.

—Cieszę się, że zobaczyliśmy je, te „brzegi Babilonu” — przyznał z czcią chłopiec — i że mogliśmy przeżyć tę przygodę razem.

Na Jezie miasto nie zrobiło aż takiego wrażenia. —Śmierdzą — odparła oschle — a po sławetnej wieży Babel też nic się nie ostało!

Orszak powracającego poselstwa przekroczył długi podwójny most, prowadzący łagodnym łukiem nad rzeką do wschodniej części miasta. Nad mulistymi falami Tygrysu unosił się słodkawy, drażniący zapach zgnilizny i ryb, lecz zaraz go zagłuszyły parujące wyziewy tysięcy koni, które stały w setkach otwartych sklepionych stajni. Ihiih —

zarżała z zachwytem Jeza — chciałabym kiedyś zobaczyć w kupie tysiąc koni!

Hasan ma w zupełności rację — rzekł jadący obok niej Rosz i wskazał kciukiem za siebie — w pałacu kalifa okropnie śmierdziało!

Ten smród pochodził pewnie z *suk al-ghazi*, targu ze starzyzną, tuż obok.

Nie — odparł Rosz — te zapachy unoszą się znad starej madrasy, tej nory dla szczurów, w której mieszkaliśmy!

Jesteś w błędzie. To woń stęchlizny z nowej madrasy, z której kalif jest tak dumny, że umieścił w niej arcykonserwatywną szkołę koraniczną, a należący do niej uczeni w piśmie nigdy się nie myją!

Jeza śmiała się jeszcze, kiedy Hasan Mazandari wstrzymał swojego konia i poczekał, aż dzieci zrównają się z nim, co wcześniej w ciasnych uliczkach było niemożliwe.

Spokojnie mogłaś zostawić we włosach swoją zabójczą broń, przed którą drży każdy wróg — jął szydzić z Jezy, nawet nie próbując pokazać się wprzód jako wychowawca odpowiedzialny za podopieczną. — O mały włos porąbałiby nas na kawałki swymi scimitarami! Przez twoją uroczą szpilkę do włosów ty sama i my wszyscy znaleźliśmy się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Czyż nie żyjemy w nim każdego dnia, jaki daruje nam Allah? — odparł Rosz. — Ty zaś wyciągnij z tego naukę, że królewskiej pary nie da się przepołować! I że zawsze lepiej pokazać ostre zęby! — dodała Jeza. — Jak mawiał słynny Iskandar Ibn Kluwi: *Bi-at-chatar waddik, juaddi at-tańk al-wasat ila al-maut**

Za nimi wśród okrzyków i uderzeń pałkami torował sobie drogę dawatdar w lektyce i wkrótce zresztą ich dogonił.

—Mój pan, książę wiernych — zaczął ceremonialnie, dzięki czemu Rosz i Jeza zdążyli wtrącić unisono *Allah jati al-umr at-tawil. l*, czyli „Oby Bóg podarował mu długie życie!”, po czym znowu wybuchnęli śmiechem, co lekko zmieszało korpulentnego kanclerza. —

Mój pan posyła mnie, bym przeprowadził was bezpiecznie na drugi brzeg, gdzie oczekuje was dostojny wielki wezyr, *Allah jujasi al-kuffarf** — Posapując przerwał potok wymowy, bo pewnie przypomniał sobie, że wśród obecnych jest także Hasan i on jako szyita może się poczuć dotknięty. Ów jednak puścił mimo uszu pozdrowienie z sunnickiego Bagdadu. — Poza tym mój pan, książę...

Amir al-muminin! — wtrąciły dzieci, do których się zwrócił.

...prosi was, byście przyjęli od niego te dary. — Pogrzebał wśród poduszek w swojej lektyce i wyciągnął klejnot niewiarygodnej urody.

Musi być bardzo stary, może jeszcze z czasów babilońskich, pomyślał Rosz, kiedy gruby kanclerz postępując wychylił się z lektyki i założył Jezie naszyjnik. Wykonany był z cieniutkich złotych drucików i wraz z oprawionymi kamieniami przedstawiał głowę

byka z rogami z kości słoniowej, spośród których wyglądał łeb ptaka przypominającego orła.

Minotaur! — wyrwało się Roszowi, na którym klejnot zrobił duże wrażenie. To gryf! — zaprzeczyła cicho Jeza, nie okazując tak żywiołowo radości. — Zawsze marzyłam o takim bajecznym podarunku! Dziękuję kalifowi.

Rosz dostał puchar ze szlifowanego różowego kwarcu, wykonany z jednego kawałka i stojący w złotym uchwycie, który podobnie jak nóżka kielicha był bogato wysadzany rubinami i lazurytami. Kiedy patrzyło się nań pod słońce, kamienie rozjarzały się, a drogocenne naczynie błyszczało, jakby miało przezroczystą skórę. Delikatny wyrób chroniła wyściełana skórzana szkatuła. Dawatdar włożył do niej kielich z powrotem, zanim wręczył podarunek Roszowi.

— Pił z niego Harun ar-Raszid* — rzekł z naciskiem. — Al-Mustasim, mój pan, życzy wam, abyście go wspominali, ilekroć będziecie pić z tego kielicha. Rosz skłonił się nisko, lecz nic nie odpowiedział.

Na wschodnim brzegu odebrała delegację eskorta wielkiego wezyra Mu'ajjad ad-Dina i zaprowadziła gości do pałacu, który kalif wspaniałomyślnie oddał im do dyspozycji.

Przestronne budowle, pawilony, krużganki i otwarte hale, jak również ogrody z cienistymi, pokrytymi dywanami kwiatów wewnętrznymi dziedzińcami, fontannami i wolierami ginęły wśród ogromnego parku, którego nie było w stanie ogarnąć ludzkie oko. Ta manifestacja niezmiernego bogactwa robiła jednak wrażenie przede wszystkim dlatego, że nie było tam w ogóle ludzi.

—Jako szyita Mu'ajjad powinien zadowolić się psią budą, ale nasz łaskawy władca pozwala wielkiemu wezyrowi rezydować w swoim pałacu! W tych raczej wymruczanych słowach Ajbaka łatwo dało się wyczuć, że grubas nie jest przyjacielem Mu'ajjad ad-Dina

i nie rozumie swego pana również w tym punkcie.

Wielki wezyr bardziej jednak mieszkał, niż rezydował. Zajmował pomieszczenia w najodleglejszej części kompleksu pałacowego, w koszarach, które były właściwie przeznaczone dla strażników, niedaleko od hipodromu dla oficerów, a zapach stajni, końskich odchodów i skóry bił tutaj w nos tak mocno, że ledwie dało się wytrzymać.

Wielki wezyr, człowiek wysoki i chudy, a przy tym grubokościsty, przyjął poselstwo w atrium, nad którym dla ochłody rozpięto ogromny dach z płótna żaglowego. Straż przyboczna, silni jak dęby Nubijczycy z błyszczącymi zakrzywionymi szablami, stali dookoła niego w lekkim rozkroku, a u jego stóp zajęła miejsce część korpusu oficerskiego, w tym wielu młodych z *halki*, * dzieci szlacheckich, które służyły za paziów. Popijali napar z liści mięty i przyglądali się wspólnie pokazowi fechtunku w wykonaniu dwóch obnażonych do pasa mistrzów tej sztuki, którzy toczyli pojedynek, umiejętnie powstrzymując ciosy. Mu'ajjad ad-Din pominął obecność dawatdara, za to tym serdeczniej powitał Nasir ad-Dina Tusiego.

Jak tam, drogi przyjacielu mądrych słów — zapytał — znaleźliście dla swoich trosk otwarte ucho u *amira al-muminin*?

Dobrze wiecie, znakomity Mu'ajjad ad-Dinie Ibn al-Alkami—

odpowiedział zamiast

niego Hasan — że kalif nie wystawia nosa poza Tygrys, a gołębi lot jego myśli na pewno nie dociera do dalekiego Alamutu, choćby z obawy, że mógłby się na nie rzucić orzeł!

—Zatem ostrożne szacunki mojego pana Al-Mustasima nie są aż tak błędne —

wygarnął mu wielki wezyr. — W waszych górach narażeni jesteśmy na niedogodności wrogiej przyrody i zdani na gościnność takich sprzymierzeńców jak wy, asasyni. Że nie

wspomnę o włóczących się po kolicy hordach Mongołów. Tutaj jesteśmy bezpieczni, otoczeni podwójnymi murami i strzeżeni przez wspaniałą wierną nam armię. — Zapraszającym gestem zachęcił gości, by zajęli miejsca wkoło, blisko niego.

— Swoim strażnikom mogę ufać bardziej niż samemu sobie — zażartował i kazał podać napoje.

— Wasze bezpieczeństwo, szanowny Mu'ajjad ad-Dinie, jest złudne. Jeśli mój wielki mistrz, czcigodny imam Muhammad III, rozkaże, orzeł uderzy wszędzie, nawet tu i teraz!

— Nigdy! — Wielki wezyr roześmiał się, obowiązkowo zawtórowali mu otaczający go emirowie i oficerowie.

W oczach Hasana zapłonęła wściekłość, zerwał się z miejsca i wyciągnął z kieszeni białą chustkę.

— Widzicie tę chustkę, Mu'ajjad ad-Dinie? Zanim dotknie ziemi, przekonacie się, że się mylicie! — I wypuścił chustkę. Wtedy zerwali się z ziemi dwaj spośród oficerów, a każdy z nich trzymał nagle w ręku sztylet, choć wszyscy musieli oddać wszelką broń w przedsiönku. Również jeden z kadetów skoczył na równe nogi, wymachując klingą.

Wystarczy, że wyrzeknę słowo — nie krył satysfakcji Hasan — a oni was...

Wciąż jeszcze mam gwardię przyboczną! — tryumfował wielki wezyr, który natychmiast schował się za Nubijczykami.

Wówczas dwaj Murzyni skierowali powoli w niego swoją ostrą broń, ze szpicami wymierzonymi w serce i szyję najwyższego urzędnika. Naprawdę zabilibyście mnie, swojego dobrego pana? — przeraził się Mu'ajjad. Tak, panie — odpowiedział jeden z Murzynów — jeśli otrzymamy rozkaz, tak uczynimy. Wielki wezyr osunął się na kolana i ukrywszy twarz w dłoniach, jęknął:

— Cóż takiego zarzuca mi czciogodny imam, że nie chce mnie już oglądać wśród żywych?

Emir asasynów chwycił klęczącego za ramiona i podniósł.

— Opieszalność! — rzekł chłodno i władczym gestem rozkazał fedainom, którzy się

ujawnili, by się wycofali. — Nie chciałbym pewnego dnia przyglądać się, jak wy,

Mu'ajjad ad-Din, będziecie tak klęczeć przed jakimś wodzem Mongołów, a stanie się tak

niechybnie, jeśli nie zdecydujecie się zawrzeć sojuszu obronnego. Jedźcie do

Damaszku, do Akki i Kairu, błagajcie króla i sułtana! Zapamiętajcie na zawsze ten

obraz, który unaoczniałem wam, swojemu bratu w wierze: wisi nad wami

topór, pochyliliście już głowę, a Mongoł nie zna łaski! — Następnie Hasan odwrócił się i

dał swoim ludziom znak, że czas ruszać w drogę. — Do was, Ajbaku, którzy nie

jesteście naszym przyjacielem, odnosi się to samo - zgromił zastraszonego kanclerza.

— Nie musicie nas dalej odprowadzać] wracajcie do kalifa i przekazcie mu nasze

ostatnie ostrzeżenie!

Dosiadając już konia, emir dodał jeszcze: — To nie my, asasyni, zagrażamy waszemu

życiu, tylko wasze ociąganie się, przypominające zachowanie zebu, które chowa łeb w

piasek i sądzi, że wróg go nie widzi.

Nasir ad-Din Tusi, właściwy przywódca delegacji, pojął, że emir mianował się

rzecznikiem grupy, ale wiedząc, że Hasan jest faworytem imama, trzymał język na

wodzy. Obdarował jednak hojnie wielkiego wezyra, jakby pragnął w ten sposób

wynagrodzić mu wyrządzoną przykrość. A Hasan nie miał nic przeciwko temu.

Delegacja opuszczała miasto kalifa szerokim gościńcem, który wiódł na północ, by

skręcić potem w góry, w kierunku Kermanszahu.* Rosz i Jeza jechali obok siebie. Długo

milczeli. Jeza pochyliła się ku swemu najmilszemu, odszukała jego dłoń i zbliżyła swój

pierścień do jego pierścienia, dopóki czarodziejski kamień z cichym kliknięciem nie połączył ich znowu.

Powinniście wiedzieć, mój rycerzu — zaśmiała się szelmowsko wasz dowód miłości znaczy dla mnie tysiącuroć więcej niż podarunek kalifa. Rosz spojrział jej w oczy.

— A ja tak odczuwam waszą miłość do mnie, moja *dammol**

Wtedy zrównał się z nimi emir Hasan i Jeza zmieniła temat. — Szkoda — westchnęła — tak chciałam zobaczyć konie!

Rosz zmierzył ją niemal karcącym spojrzeniem — co te niewiasty mają w głowie! — i przestał powściągać język. — Nie powinieneś być tego robić! — zarzucił emirowi. — Dla "aspokojenja własnego egoizmu wydałeś na śmierć pięciu braci!

— Co ma podwójną wagę — włączyła się również Jeza. — Są straceni jako tajna broń i prawdopodobnie będą musieli teraz umrzeć na stosie!

Hasan Mazandari popatrzył na dzieci z wyższością, ale opamiętał się, na jego pięknej twarzy rozlał się uśmiech.

— To, co uważacie za nieopanowaną próżność, było absolutnie konieczną ostatnią groźbą pod adresem pałacowej kliki w Bagdadzie. Odczekał, czy jego słowa przekonają Rosza i Jezę, lecz ci przełknęli wyjaśnienie, nie okazując wszakże, iż się z nim zgadzają. — A co się czy owych pięciu fedainów: to są żołnierze na wojnie, gotowi oddać życie.

— Ale nie tak bezsensownie! Tylko po to, żeby ktoś wygrał zakład! oburzył się Rosz.

— Igrałeś ludzkim życiem!

— Nie jestem graczem — zganił go emir — tylko przełożonym, Żołnierze nie są od dyskusowania. A jeśli spłoną na stosie, to na pewno trafią do raju.

— W odróżnieniu od ciebie, Hasanie Mazandari — odparła Jeza, ucinając rozmowę;

także Rosz nie miał już nic do dodania.

Emir roześmiał się szyderczo, pragnąc ukryć niezręczność sytuacji, w jakiej się znalazł, i pocwałował na czoło kolumny.

W tym czasie pierwszy szambelan Mąka al-Malawi omawiał jeszcze z kalifem ostatnie wydarzenia. Zasypywał władcę zarzutami, gdy wrócił kanclerz Ajbak i opowiedział o oburzającym zajściu z udziałem straży przybocznej wielkiego wezyra.

Widzicie! — pienił się ze złości Mąka al-Malawi, zwracając się do kanclerza. — Czy pan wielki wezyr kazał przynajmniej na miejscu poćwiartować tych niewiernych łotrów?

Bynajmniej — odpowiedział zgodnie z prawdą grubas. — Ubolewa nad ich zdradą, zwolnił ze służby owych pięciu zaprzańców i nosi się z myślą wysłania ich w ślad za ich braćmi asasynami, żeby wielki mistrz przekonał się, jaki szlachetny charakter ma Mu'ajjad ad-Dinie Ibn al-Alkami! — drwił dawatdar.

- Wasz wielki wezyr! — szydził Mąka al-Malawi. — Pozwólcie mi więc przynajmniej, abym polecił mu natychmiast stracić tych pięciu. Najlepiej spalić na stosie! Kalif milczał. — Naturalnie moglibyśmy też — podsunął z powagą Ajbak — posłać ich do Mongołów po wykluciu im oczu tudzież odcięciu nosów i uszu. Z wieścią dla wielkiego chana, że wyprawiono ich z Alamutu, aby go zamordowali.

Pomysł ten spodobał się szambelanowi. Powinniśmy obciąć im języki, ale ich nie oślepiac, żeby mogli radować oczy pięknem krajobrazu i dzikich koni, które je rozszarpia. W każdym razie dobrze by było, gdyby Mongołowie wylali swój gniew na Alamut, a w nas dostrzegali przychylną im potęgę — stwierdził korpulentny kanclerz. — Muszę się z tym przespać — rzekł kalif i odprawił obu.

Gruby Ajbak, dawatdar kalifatu, wsiadł bez pożegnania do swojej lektyki. Z tego dnia był więcej niż niezadowolony.

Także szambelan kazał się zanieść do swego pałacu. Mimo że było już późno, polecił

wstawić skrzynie do komnat, a następnie odesłał eskortę, aby cieszyć się darami bez świadków, którzy zaraz donieśliby o wszystkim kalifowi. Kiedy otworzył pierwszą szkatułę, był zdziwiony kosztownością biżuterii. Szczególnie spodobały mu się kunsztownie wykonane figurki zwierzęce, pozłacane i wysadzone kolorowymi kamieniami. Znalazł miech z safianowej skóry z hebanowymi uchwytami, ozdobiony wężem ze szmaragdów, który pełzał po ziemi, natomiast na końcu drewnianej podstawki siedział ptaszek z koralową piersią i otwierał dziób. W zależności od tego, jak wycisnęło się powietrze ze skórzanego worka, albo śpiewał ptaszek, albo syczał wąż.

Mąka al-Malawi przypomniał sobie słowa emira: „Zamierzam swym darem zyskać waszą przychyłność.”

Szambelan lubił takie mechaniczne zabawki ponad wszystko. Pochłonięty ich wypróbowywaniem, nie usłyszał skrzypnięcia, z jakim otworzyły się wieka dużych skrzyń za jego plecami. Wyszli z nich gibcy jak gepardy dwaj asasyni i wbili mu sztylety tuż pod łopatką w serce oraz w kark. Nie zdołał nawet wydać śmiertelnego rżenia.

Uwagę straży przybocznej przed drzwiami zwrócił dopiero głuchy odgłos, kiedy spadł z zydła. Gdy strażnicy znaleźli go leżącego w kałuży krwi, po skrytobójcach już dawno nie było śladu.

Allah jasihum! (arab.) — Niech Bóg ich pokarze!

Allahu a kba r! (arab.)—Bóg jest wielki!

* Madrasa — szkoła koraniczna.

* Muezin — muzułmanin wzywający wiernych na modlitwę z wieży meczetu (minaretu).

Rafik (arab.) — towarzysz; członek zakonu asasynów, w odróżnieniu od wyższego rangą da'iego jest dopiero częściowo wtajemniczony.

Fedain (arab. fida'i) — „ten, który daje siebie w ofierze”; określenie nowicjuszy w zakonie asasynów, którzy nie przeszli jeszcze inicjacji, ale złożyli już ślubowanie.

Tawaddud — postać służącej z „Księgi tysiąca i jednej nocy”

S z e j t a n — szatan, diabeł.

S c i m i t a r — arabska zakrzywiona szabla z rozszerzającą się na końcu trójgrania-stą klingą.

Bi-ismi Allah! (arab.) — w" imię Boga!

Suk (arab.) — bazar, targ.

* Krzyż tuluzański — herb Okcytanii.

*

All*

Bil-al-chatar... (arab.) — W niebezpieczeństwie i najwyższej opresji droga

;rodku wiedzie ku śmierci.

ah jujasi... (arab.) — Niech Bóg pokarze niewiernych!

Harun a r - R a s z i d — 786—809, piąty kalif z dynasti Abbasydów, znany z „Księgi tysiąca i jednej nocy”, przyjaciel Karola Wielkiego.

* Halka (arab.) — krąg; tutaj termin ten oznacza sieroty szlacheckiego pochodzenia, które szkolono i wcielano do straży przybocznej.

*Kermanszah – miasto w dzisiejszym Iranie położone na północny wschód od Bagdadu

Damma (okcyt.) — dama.

II. CZTEREJ KSIĄŻĘTA

Orzeł krążył już długo, obserwując z wysoka, co się dzieje w stepie. Miał trudności z zaznaczeniem, dokąd sięgają jego roszczenia, zstępujące wiatry, które wiały od wznoszących się tutaj stromo potężnych gór, znosiły go w rozrzedzone powietrze nad Altajem. Wydawało się, że ptak pojawia się co chwilę, by się upewnić, jak daleko posunęły się sprawy w dole i czy nikt go nie uprzedził. Czekał cierpliwie na ofiarę.

Ludzie wraz ze zwierzętami należący do małej grupki pod nim pojawili się najpierw jako

punkciki na horyzoncie, zanim przecięli równinę i zatrzymali się u stóp góry. Zawsze tak robili, tyle że tym razem nie śpieszyli się aż tak, a przesadnie uroczyste zaklęcia i

przysięgi ciągnęły się w nieskończoność. Tam w dole zebrali się wysoko postawieni

Mongołowie, pewnie należący do jednego z rodów Czyngisydów.* Przywieźli ze sobą

kapłanów i ci zgodnie z rytuałem celebrowali tradycyjną ofiarę z konia. Konia uwolniono

od siodła i wszelkiej uprzęży. Otoczyli go żołnierze z ustawionymi na sztorc dzidami.

Rodzina książęca, matka z czterema synami, ustawiła się przed zwierzęciem i nie

spuszczała go z oczu.

Kapłan stanął przy ogierze, którego dwaj żołnierze przytrzymali za szyję. Zabłyśła stal

sztyletu ofiarnego wbijanego w kark zwierzęcia, w sam rdzeń kręgowy. Koń runął na

kolana, po czym zwałił się na bok. Oto stworzenie najmilsze sercu każdego Mongoła —

z wyjątkiem samego siebie i niewielu członków rodziny — złożono w ofierze boskiemu

Niebu, Tengriemu,* żeby uzyskać jego przychyłność.

Orzeł obserwował spieszne odejście grupy ludzi, zataczając majestatyczne, coraz

ciaśniejsze kręgi. Wolał nie spadać na ofiarę, dopóki Mongołowie znajdowali się jeszcze

w pobliżu. Oni też go zauważyli już dawno, ale nie lubili przyglądać się posłańcom

Tengriego przy zabieraniu ofiary. Poza tym potrafili bardzo celnie strzelać ze swoich

krzywych łuków. Dopiero kiedy grupa ludzi rozciągnęła się jak wąż i zaczęła wspinać po

zboczu, król przestworzy złożył potężne skrzydła i zleciał na swój posiłek. Na tle

stalowoblękitnego nieba wznosiły się szczyty Ałtaju o poszarpanych wierzchołkach, tak

oślepiająco białych, że boleśnie raziły oczy patrzących w górę ludzi; a tuż obok

spoczywały w cieniu głębokie rozpadliny.

Mongolscy wojownicy wspinali się powoli przez rumowiska i głęboki firn, wzdłuż

występów skalnych i ponad szczelinami lodowca, pokonując wąwozy, żłobione coraz

głębiej przez spływające strumienie. Gdzieś tam w górze powinna się znajdować

jaskinia Arslana. Grupka Mongołów przypominała raczej procesję niż oddział w trakcie wyprawy wojennej. W środku grupy jeźdźców, którzy już od dawna prowadzili konie za uzdę, niesiono lektykę z chorągwiami i buńczukami powiewającymi na długich włóczniach. Wojownicy musieli już ciągnąć wierzchowce za sobą przez głębokie zaspę bądź po zupełnie gładkim lodowcu. Słońce niemiłosiernie prażyło wędrowców, którzy od stóp do głów byli odziani w grube filcowe szaty o jaskrawych barwach, a pragnąc chronić oczy, prawie zupełnie zakrywali twarze obszytymi futrem kołpakami. W rozrzedzonym powietrzu z trudem posuwano się naprzód; gwałtowne urywane oddechy pozostawiały rozwiewające się szybko obłoczki pary, które wydobywały się spod postawionych na sztorc kołnierzy i z obwiązanych szmatami pysków koni.

Obok lektyki podążało czterech mężczyzn w skromnych czarnych szatach. Pierwszy szedł na krzywych nogach osobnik krępej postury i wytrzymałości byka. Okrągła chytra twarz pomimo koziej bródki zwisającej z kanciastego podbródka mogłaby należeć do pasterza. Zmrużone oczy zdradzały jednak spryt, jeśli wręcz nie przebiegłość. Móngke torował sobie drogę z pewnością siebie człowieka, który dobrze wie, że inni pójdą za nim. Był najstarszy ze wszystkich, już po czterdziestce. Parł do przodu, nie oglądając się na nikogo z wyjątkiem Aryka Bóge, swego najmłodszego brata, który w ogóle go nie przypominał — pominąwszy pewne podobieństwo fizjonomii. Był bowiem wysoki, niemal tyczkowaty, o szczerym, wręcz pogodnym spojrzeniu, które jednak potrafiło szybko przybrać rozmarzony, a nawet zamyślony wyraz. Aryk Bóge sprawiał jeszcze bardzo młodzieńcze wrażenie, bez śladu dojrzałości, ale był człowiekiem nadzwyczaj sympatycznym. Trzeci trzymał się na dystans. Kubiłaj wyraźnie przewyższał wzrostem swoich braci, nawet najmłodszego. Był barczystym osobnikiem potężnej postury, który w zupełności mógł zaufać samej swej tężyznie. Oprócz tego miał jednak też głowę jak

uczony, o wysokim czole i niemal wodnistych oczach, który potrafi ukrywać myśli, a także jeśli to konieczne, przeforsowywać swe pomysły z całą surowością. Od Kubiłaja bił spokój właściwy ludziom, którzy nie są zdani na nikogo i idą własną drogą — dlatego, że są silni, ale dlatego, że umieją czekać. Hulagu zostawał w tyle. Chodzenie po śniegu irytowało go i sprawiało mu trudność, nie ukrywał zresztą złego humoru. Z zapadłą klatką piersiową i zarysowującym się już wyraźnie brzuszkiem przypominał starą małpę, choć odziany był w wystawniejsze szaty niż pozostali. Przygarbiony podążał za braćmi, powłócząc nogami, patrzył na nich z wyrzutem i powątpiewaniem w sens przedsięwzięcia. Jego twarz miała niezdrową, lekko żółtawą barwę — gdyż Hulagu pił, chociaż źle znosił alkohol. W jego zwiędłej twarzy odbijały się na przemian skłonność do uzalania się nad samym sobą oraz porywcze okrucieństwo. Kusilo go, żeby zawołać na tamtych, by łaskawie wzięli pod uwagę jego słabowitość i nań zaczekali, zaniechał tego jednak, gdyż całą odpowiedzią Móngkego byłoby tylko pogardliwe milczenie.

Książęta nie rozmawiali ze sobą, mówienie kosztowało bowiem zbyt wiele wysiłku. Od czasu do czasu zerkali tylko w górę, gdzie powinien znajdować się ich cel, i posyłali kobiecie w lektyce powątpiewające spojrzenia.

Księżna Sorkaktani nawet w pozycji siedzącej trzymała się prosto. Jej szlachetne rysy świadczyły o niezachwianej wierze w przyszłość. Piękna kobieta po śmierci swego męża Tołuja pozostała nieugięta i nie zgodziła się poślubić jego kuzyna Gujuka, kiedy ów został wielkim chanem. Jako młoda wdowa poświęciła się całkowicie wychowaniu synów, wytrwale dążąc do celu, czyli wyniesienia ich pewnego dnia na szczyty władzy. Ponieważ dzień ten nie był już odległy, postanowiła poszukać rady Arsłana, szamana. Właściwie oczekiwała tylko potwierdzenia, że ziści się marzenie jej życia.

Miłowała wszystkich czterech synów, ale postanowiła ostatecznie zerwać z tradycją, która nakazywała faworyzowanie najmłodszego. Kierując się własnym rozumem, który zawsze stanowił dla niej najwyższe prawo, Księżna Sorkaktani zamierzała przekazać władzę Móngkemu, pierworodnemu synowi. To w nim upatrywała przyszłego władcę, pragnęła jednak, żeby jego bracia usłyszeli to z ust szamana. Najchętniej widziałyby, gdyby już tu, na świętej górze, przysięgli Móngkemu wierność i posłuszeństwo.

Księżna, która przez cały czas śniła z otwartymi oczami, przesuwała z dumą wzrok z jednego swojego księcia na drugiego: oto Kubiłaj, milczący i pewnie najmądrzejszy z nich, Hulagu, chwiejny asekurant, i najmłodszy, ryzykant Aryk Bóge. Jednakże Móngke górował nad nimi

czymś, co predestynowało go na chana chanów: w równym stopniu potrafił rozpalać i gasić ogień w sercach Mongołów. Posiadał zdolność utrzymania w ręku rozległej władzy.

Widzę Arslana! — zawołał Aryk Bóge wskazując w górę, gdzie w ścianie skalnej widniał duży i ciemny otwór jaskini. Zadarli głowy, ale nikt nie wypatrzył szamana. — Ale tam stał! — bronił się wściekły Aryk Bóge, nie uszedł bowiem jego uwagi stłumiony śmiech braci. — Poproszę go, żeby się znowu pokazał! — krzyknął nie kryjąc, że ma zamiar ruszyć ku jaskini. Zbliżyli się do niej na tyle, że każdy mógł dostrzec ogień w palenisku.

Stój, Aryku Bóge! — zawołała księżna. — To mogło być ostrzeżenie! Nigdy nie przestępuj progu domu, jeśli nie zaproszono cię do środka! Pozwólcie, że tylko rzucę okiem! — Aryk Bóge nie dał się powstrzymać, tylko ruszył przez śnieg ku jaskini.

Aryku Bóge — huknął nań Móngke — jeśli nie potrafisz posłuchać wezwania matki, to posłuchaj mojego rozkazu!

Na dźwięk jego głosu najmłodszy przystanął, a powietrze wypełnił zbliżający się szum.

Gwałtowny podmuch lodowatego wiatru i śnieżny pył omal nie zmiotły grupki wędrowców i rzuciły Aryka Bóge na plecy. Tuż przed nimi zeszła lawina, wejście do jaskini zostało zasypane zwałami białego puchu. Aryk Bóge podniósł się, starając się nie patrzeć braciom w oczy. Odszukał wzrokiem, pRoszac o przebaczenie, wzrok matki, lecz ta wskazała tylko bez słowa na przeciwległą stronę doliny. Stał tam, widoczny dla wszystkich, szaman i skinieniem wzywał ich do siebie. W milczeniu jęli schodzić. Żeby niosący lektykę tragarze się nie ślizgali, eskorta zaczęła wycinać stopnie w lodowcu. Czterej książęta nie odstępowali na krok zadaszonych noszy. Podpierali je i robili wszystko, żeby lektyka nie runęła. Z powodu osuwających się kamieni i lodu schodzenie było znacznie bardziej żmudne niż uprzednia wspinaczka. Pokonawszy występ skalny, wędrowcy popatrzyli na dolinę: jej dno wypełniało ciemnozielone jezioro, a w zwierciadle wody przeglądały się białe wierzchołki górskich szczytów, również turnia, na której stał Arslan — w każdym razie stał wcześniej. Książęta nie dostrzegli go już teraz, zresztą nie byli już wcale pewni, na której skale go wtedy widzieli.

Tak czy inaczej musimy się dostać na drugą stronę — rzekł Móngke. Nie wiem—
zaoponował Hulagu — skoro nie widzimy już świętego męża, to lepiej zaczekajmy, aż się pokaże. Jego zniknięcie może być przecież znowu jakimś ostrzeżeniem. Możliwe też — zadrwił Móngke — że boisz się wody!

Serpentynami wijącymi się wśród skał zeszli nad jezioro, gdzie nagle odkryli czółno. Masywna łódź zbudowana z grubego drewna, ozdobiona kolorowymi ornamentami, miała ławki dla co najmniej dwudziestu wiosłarzy. Dziób zdobiła pozłacana głowa smoka. Czółno cumowało przy brzegu, a liny przytrzymujące były przykryte różnymi deskami — wyrzuconymi przez fale i zbutwiałymi — jakby ktoś pragnął je chronić przed słońcem lub ciekawskimi spojrzeniami. Obok stał przewoźnik w długim wołłokowym płaszczu, odznaczający się posturą olbrzyma. Nie miał żadnego nakrycia głowy; siwe

kołtuniaste włosy rosły mu równie dziko jak broda, spływająca nisko na piersi. Dowódca eskorty wyciągnął sakiewkę i wcisnął przewoźnikowi do ręki kilka złotych monet, choć ten nie domagał się zapłaty. Starzec rzucił je niedbale na dno łodzi, a wtedy przybysze ujrzeli, że całe jest pokryte sztukami złota.

Kiedy tragarze przenieśli do łodzi lektykę, a czterej książęta usiedli na ławkach, mongolscy wojownicy przystawili szeroką kładkę i wprowadzili kolejno na pokład swoje wierzchowce. Zaczekali chwilę, sądząc, że siądzie z nimi przewoźnik, ale ten pokręcił tylko głową i odwiązał cumy. ledwie puściła ostatnia, łódź odbiła od brzegu.

Okazało się, że w jeziorze, które z góry wydawało się gładkie jak lustro, występuje silny prąd. Eskorta chwyciła za wiosła, ale choć przebierali nimi ze wszystkich sił, łódź znosiło bez przerwy w stronę skał, gdzie jezioro zdawało się kończyć, a złowieszczy huk i szum zapowiadały wodospad. Wioślarze wpadli w panikę; tragarze skoczyli im na pomoc, ale choć rozpaczliwie bronili się przed runięciem w przepaść, czółno dryfowało coraz szybciej ku zgubie.

Wtedy Móngke wyrwał dowódcy ster z ręki i narzucił swoją wolę chaotycznie wiosłującym ludziom, donośnym głosem podając takt uderzeń. Również jego bracia musieli zasiąść do wiosel. Pod jego komendą łódź w pierwszej chwili jakby stanęła w miejscu, po czym powoli zatoczyła łuk, oddalając się od niebezpieczeństwa i zbliżając pewnie do drugiego brzegu.

Hulagu zszedł z pokładu ostatni i przywiązał linę do wystającej z wody gałęzi. Podniósł wzrok, patrząc za innymi, którzy zaczęli się już wspinać. Kiedy rozglądał się w poszukiwaniu skały, na której pokazał się szaman, jego wzrok padł z powrotem na

lustro jeziora. Dostrzegł w nim turnię, ale teraz bawiło się na niej dwoje dzieci, chłopiec i dziewczyna. Byli oni wprawdzie ubrani jak mongolscy książęta, ale nie pochodzili z tych stron. Zdradzały to jasne włosy księżniczki, także rysy chłopca nie były wykrojone w

sposób typowy dla ludów stepu. Hulagu ruszył czym prędzej za innymi, żeby zwrócić im uwagę na swoje odkrycie. Potykał się przy tym co chwila i oglądał za siebie sprawdzając, czy niezwykle odbicie w tafli wodnej nie zniknęło. Wreszcie dotarł do Móngkego. Złapał go za rękaw i pokazał w dół. Wtedy również pierworodny ujrzał skałę. Znajdowała się pod nimi, gdyż wspięli się już zbyt wysoko. Na skałe siedział jednak tylko szaman, podpierając ręką głowę, i uśmiechał się do nich. Wtem wszyscy usłyszeli łoskot. Osuwisko! Widząc spadające odłamki skalne, chcieli ostrzec Aršana, lecz ten uśmiechał się tylko, a kamienie przelatywały obok niego i spadały do jeziora. Jeden z kamieni trafił w gałąź i ją roztrzaskał. Łódź, której nie trzymała już cumy, odpłynęła od brzegu, jakby ciągnięta niewidzialną ręką. Coraz szybciej obracając się wokół własnej osi, dryfowała w stronę wodospadu. Z góry spadał w ślad za poprzednimi ostatni kamień, wysokim łukiem ominął Aršana i trafił w lustro wody. W rozchodzących się kolistnie falach obraz szamana zaczął dygotać, po czym się rozpląnął. Kiedy powierzchnia wody wygładziła się z powrotem, skała była pusta. Zniknęła również łódź, jakby jej nigdy nie było.

— Twoja wina — stwierdził oschle Móngke. — Powinieneś był zabezpieczyć cumę!

Czy nie powinniśmy raczej... — zaczął bojaźliwie Hulagu, lecz rozeźlony starszy brat przerwał mu natychmiast.—Nie wypowiadaj tego słowa! — zagroził Móngke. — Bo

inaczej przestanę cię uważać za Mongoła!

Milczący Kubilaj wcisnął się między czupurnych braci. - Nie po to tu przybyłam! —

zawołała księżna do synów. — Bądźcie zgodni! Pod żadnym pozorem nie zawrócimy, ale dotrzemy do celu—dodała ufnie.Ruszyli więc dalej przez skały, skręcili za występ skalny — a tam ujrzeli przewoźnika, który siedział na kamieniu przy drodze.

Bądźcie pozdrowieni, Aršanie — pozdrowiła szamana księżna.— I dziękuję wam

za wskazówki, jakich nam udzieliliście.Widzę — odparł mężczyzna, patrząc jej prosto w

oczy — że matka zrozumiała. Nie wszystko — rzekła Sorkaktani i opuściła lektykę. Dała synom znak, by usiedli półkolem wokół Arslana, a eskortie kazała się oddalić.

— Wyjaśnijcie prostej kobiecie, co pragnie wiedzieć.

Usadowiła się między książętami, naprzeciwko szamana. Ten poprosił jednak czterech mężczyzn, żeby zostawili go sam na sam z księżną. Łatwiej mówić o kimś, gdy ten nie patrzy człowiekowi w oczy tym bardziej, gdy są to cztery pary oczu, które w dodatku obserwują się nawzajem. Móngke podniósł się rozeźlony, ale panował nad sobą.

Życzeniem naszej pani matki było, abyśmy was odwiedzili. Niechaj więc stanie się wasza wola! — powiedział i czterej bracia oddalili się na pożądaną odległość.

— Aryk Bóge, wasz najmłodszy, musi się jeszcze nauczyć, że nie ma takiego ognia, którego nie dałoby się zgasić w następnym momencie. Dopóki tego nie zrozumie, dopóty winien pokornie służyć najstarszemu bratu.

Księżna niechętnie powściągała niecierpliwość. - Czy to Móngke będzie następnym wielkim chanem?

Dowiódł nam, że jest najdzielniejszy ze wszystkich. Woda jednak szybko płynie. On musi uchwycić ster we właściwym czasie i nie wolno mu go już wypuścić. To on odpowiadał za łódź, nie Hulagu. - Nie mógł przecież zawczasu wiedzieć, że kamień trafi akurat w gałąź z liną — próbowała bronić syna, który był dla matki największym zmartwieniem.

- Jeśli kogoś można zranić tylko w jedno miejsce, to strzała losu trafi go dokładnie tam.

Nie macie mi nic do powiedzenia o Kubiłaju?

A on ma wam coś do powiedzenia? — odrzekł szaman. — Kubiłaj może poczekać.

Kiedys obejmie tron królestwa, które będzie jeszcze w rozkwicie, gdy państwo Mongołów dawno odejdzie w przeszłość.

Czy moi synowie zachowają pokój między sobą? — spytała z z troskaniem księżna.

—Zachowają — odparł bez wahania Arslan — bo dziś zrozumieli, że muszą trzymać się razem. Ale jest jeszcze coś, co chciałbym przekazać im osobiście...

—Ostatnie słowo, Arslanie — powstrzymała go księżna. — Hulagu powiedział mi, że przedtem widział zamiast was dwoje dzieci, książąt, odzianych jak Mongołowie — ale jednak nie stąd. Czy moim synom grozi z ich strony niebezpieczeństwo?

Na to szaman się roześmiał. Hulagu ma wszelkie powody do tego widzenia. Dotyczy go ono bowiem znacznie bardziej niż jego braci. Czy tego chce, czy nie chce, będzie musiał wziąć odpowiedzialność za losy świata. To coś więcej niż niedbale zawiązana lina, przez którą łódź... — Arslan urwał, jakby już powiedział za wiele, i niby mimochodem zwrócił się do księżnej: — O tych królewskich dzieciach chciałbym mówić już w obecności waszych synów. Proszę, przywołajcie ich z powrotem!

Ukrył twarz w dłoniach, wydawał się mocno zamyślony. Mongolscy książęta usiedli obok matki i czekali, aż Arslan zwróci się do nich. Państwo Mongołów — zaczął cicho, lecz wyraźnie — przetrwa jedynie wtedy, gdy będzie utrzymywane w ciągłym ruchu, wychodzącym z jego środka, i rozprzestrzeni się na wszystkie strony świata. Każdy zastój po pewnym czasie wywołuje gnicie, które również jest procesem dynamicznym, wszelako prowadzi tylko do zepsucia. Jeśli dobrze widzę...— podniósł wzrok i powiódł spojrzeniem po twarzach czterech książąt, zanim zatrzymał je na Móngkem — ...na zbliżającym się kurułtaju władza zostanie przekazana w wasze ręce. Pamiętajcie, żeby nie ograniczyć się do jej utrzymania, ale podzielcie się nią ze swoimi braćmi, których winniście rozesłać na wszystkie strony świata.

Szaman skierował z kolei wzrok na Hulagu, lecz zauważyła to jedynie księżna.

Najważniejsza rola przypadnie przy tym „reszcie świata”, jak zwykliście ją lekceważąco nazywać, albowiem jeśli nie podbijecie jej dla siebie, nigdy nie będzie mongolskiego

panowania nad światem, a pewnego dnia owa „reszta świata” narzuci wam swoją wolę, nawet nie wysyłając przeciwko wam zbrojnej armii.

Jakże miałyby dojść do tego?! — oburzył się Hulagu, choć szaman nie zwrócił się do niego. — Papież i król pRosza nas o pomoc, a wy powiadacie...

Powiadam to, co powiedziałem. Mongołowie mogą jednak uniknąć tego losu. Taka możliwość pojawi się w postaci pary królewskiej, dwojga młodych władców bez własnego królestwa. To im obiecano „resztę świata”. Przyjmijcie ich do siebie, wychowajcie w duchu mongolskich ideałów państwa i osadźcie na tronie. Jeśli wam się uda, świat będzie wasz. Jeśli jednak zaniechacie tego albo się wam nie powiedzie, będzie to dla was początek końca. Noście zatem parę królewską na rękach niczym drogocenny skarb! — Szaman umilkł i ponownie ukrył twarz pod nisko spuszczonego kapturem płaszczem.

Pozwólcie mnie zdobyć „resztę świata”! — naciskał na najstarszego brata Aryk Bóge, jednakże Móngke odsunął go łagodnie i stanął przed szamanem. A gdzie znajdę te królewki? — zapytał.

Wydawało się, że Arslan już nie usłyszał, a może tylko nie chciał odpowiedzieć.

Wtedy odezwał się po raz pierwszy Kubilaj, przerywając milczenie.

— Odnalezienie ich będzie zapewne naszym zadaniem.

Móngke pokiwał głową i dał rozkaz do wymarszu. Zdobywszy pewność, że to on będzie nowym wielkim chanem, wiedział, co ma robić. Księżna Sorkaktani chciała hojnie wynagrodzić szamana, ale przypomniała sobie o złotych monetach w łodzi i nie nagabywała już Arslana. Nagle otworzyła się przed nią wąska górską ścieżka, która bezpiecznie wyprowadziła grupę z Ałtaju na równinę. Stamtąd zaś pojechali z powrotem do Karakorum.

III. WOŃ KWIATÓW I ZAPACH ZGNILIZNY

Przez lejkowato wybite w skale okno jaskini dzieci nie widziały nic oprócz ciemnej ławicy chmur, obramowanej przez górskie wierzchołki, oraz pojedynczych szczytów wyłaniających się z oparów mgły. Rosz i Jeza wiedzieli — jak wtedy gdy przybyli tu po raz pierwszy — że gdzieś za nimi znajduje się Alamut. Hasan Mazandari, który zgodził się, żeby weszli wraz z nim na wykutą w skale platformę jaskini, pozwolił im się rozglądać do woli. Nie byli jednak w stanie wypatrzeć twierdzy, nawet gdy przez zasłonę chmur przebiły się pojedyncze promienie słońca. Czymkolwiek było to, co przypominało kształtem brzuchaty pęk, rozpląnęło się teraz i rozwiało w różowawym blasku zachodzącego słońca. Czuli za plecami szyderstwo emira, odgadując, że jest możliwość położenia kresu owym zwidom.

Wtem wzrok Rosza padł pod ich stopy i na płaskiej kamiennej płycie chłopiec ujrzał jasną plamę. Szturchnął w bok Jezę i kazał jej popatrzeć w górę, ku sklepieniu. Przez maleńki otwór wpadał do środka promień słońca. Rosz odwrócił się do Hasana, który tym razem uśmiechnął się zachęcająco. Chłopiec odsunął płytę, okazało się to całkiem łatwe. Pod spodem ukazał się lśniący srebrny talerz. Wiązka światła odbijała się od niego i wypadała przez okno w skłębione chmury. Hasan włożył dłoń w strumień światła i zaczął wysyłać sygnały.

Jeza obserwowała jego ruchy, ich długość i przerwy między nimi, ale nie dając poznać po sobie, że zwraca na nie uwagę. Potem zaś rzekła obojętnym tonem:

— Przed wielkim mistrzem możesz udawać, że misja twoja i Tusiego przebiegła całkiem gładko, ale zastanów się, jak wytłumaczysz swoje zachowanie Creanowi. Hasan nie potrafił ukryć zdumienia. Gdzie się nauczyłaś czytać tajemne znaki? — zapytał ze złością.

Potrafiliśmy je czytać już jako dzieci — odpowiedział z dumą Rosz. — W Otranto na wieży hrabiny...Hasan zdał sobie sprawę, że przed Roszem i Jezą powinien się mieć na bacności; ich relacja z podróży do Bagdadu rzeczywiście mogła być dla niego obciążająca. A kto nagle wyciągnął sztylet przed kalifem? — próbował zbić Jezę z pantałyku. — Mam opowiedzieć o tym Creanowi?

Zmierzyła go chłodnym spojrzeniem.

—Naraziłam się w ten sposób na niebezpieczeństwo, ale naraziłam tylko siebie i nikogo poza tym. Stanęła z powrotem obok Rosza i ostatnią część zdania wypowiedziała niemal przez ramię. Wbijała wzrok w różową mgłę.

A kto musiałby zapłacić za to głową? My wszyscy! — prychnął emir. — Uważam, że lepiej będzie... — starał się pokazać od sympatycznej strony, ale udało mu się tylko nadać głosowi przymilne brzmienie — jeśli my troje pozostawimy raport o wyniku rokowań naszemu szanownemu Nasir ad-Dinowi Tusiemu. — Czekał, aż dzieci skiną głową na znak zgody, ale ich uwagę już od dobrej chwili pochłaniały błyski, które docierały do nich teraz — w nieregularnych odstępach — spośród chmur. Crean po nas przyjedzie! — ucieszyła się Jeza, która jak zwykle najszybciej rozszyfrowała znaki. Rosz pozwolił jej spokojnie rozkoszować się tryumfem. Sam jak urzeczony wyglądał przez okno. Za oknem bowiem, jakby sygnały świetlne rozszczepiły i rozpędziły mgłę, wynurzyła się właśnie niczym kwiat spośród ciemnych odmętów stalowa twierdza. I oto Róża ukazała się ich oczom. Jej błyszczące miseczkowate płatki wydawały się oddychać w zachodzącym słońcu. W najwyższym miejscu twierdzy, na smukłej wieży minaretu, wznoszącej się niczym pieczęć na długim uchwycie ponad stulonymi ząbkowanymi na brzegach płatkami, zamigotały ostatnie błyski; skrzyły się niczym gwiazdy, kiedy poniżej przepływały ostatnie postrzępione chmury. Tam, na górze,

znajdowało się obserwatorium z olbrzymią srebrną tarczą, która bez przerwy śledziła bieg Księżyca. Dzieciom nigdy dotąd nie pozwolono tam wejść, jednakże proszenie teraz o to Hasana zrobiłoby tylko fałszywe i złe wrażenie. Nie protestowały więc, gdy emir ruszył przodem z powrotem na dno jaskini, gdzie czekali już pozostali.

Rosz i Jeza przesunęli się na koniec szyku, gdyż liczyli się z burą ze strony Creana, który zabronił Jezie udziału w wyprawie. Ona jednak potajemnie, z pomocą Alego, wcieliła się zamiast niego w rolę młodego fedaina. Powinniśmy napisać o tym wszystkim naszemu drogiemu Williamowi — podsunął Rosz w zamyśleniu, choć niezupełnie przekonany do własnego pomysłu, ale Jezie spodobał się on od razu. O tak — zawołała cicho — dla jego tajnej kroniki!

Drogi Williamie, tu mówi Jeza.

Baty, na jakie właściwie to ja zasłużyłam za potajemny wyjazd do Bagdadu, dostał Ali. Crean był w pierwszej chwili bardzo rozgniewany, potem niemal smutny, bo przecież czuje się za nas odpowiedzialny, a my zadaliśmy mu cios w plecy. Musieliśmy mu solennie obiecać, że od tej pory, kiedy znowu będzie musiał nas opuścić, okazemy posłuszeństwo.

Powiedział, że on też jest tylko sługą Wielkiego Planu, który jest ściśle związany z nami, i że powinniśmy wreszcie nauczyć się mu służyć. Ali to syn Nasir ad-Dina Tusiego, który mało, że jest bardzo mądrym człowiekiem, rzekłabym, niemal mędrcom, to także ma anielską cierpliwość. Ali jest prawie w wieku Rosza i takiego jak on wzrostu — ale bardziej dziecinny — i ma piękne krucze loki.

Kiedy w końcu minęło zamieszanie związane z naszym powrotem, zeszliśmy natychmiast do piwnicy, powinnam powiedzieć: do podziemi Alamutu, do królestwa naszego najdroższego przyjaciela „Zewa na kółkach”. Właściwie nazywa się Zew

Ibrahim, bo jest Żydem. Jest naczelnym budowniczym, który stworzył wszystkie cuda Alamutu, nie chcę jednak wyręczać Rosza w opisie całej budowli, bo on zna się lepiej na tych sprawach — w każdym razie tak utrzymuje. Zresztą bolą mnie palce. Teraz rozumiem, biedaku, ile musiałeś się namęczyć w Konstantynopolu, kiedy pisałeś relację z podróży do Mongołów dla Jana z Pian del Carpine. Lud ten ma podobno szalenie dużo koni, kilkaset tysięcy. Trudno wprost uwierzyć. Już w Bagdadzie, gdzie ich jak na złość nie widziałam, zrobiły na mnie wrażenie wielkie stajnie, na przestrzeni paru mil nic, tylko stajnie. Słysząc było rżenie koni, a kiedy wyjechaliśmy z miasta, ich zapachy czuć było jeszcze daleko poza murami. Teraz muszę już jednak kończyć pisanie.

Muszę ustąpić miejsca Roszowi, który się właśnie ze mną zmienia. Wkrótce znowu zamelduje się u Ciebie: Twoja posłuszna Jeza, O. C. M., Jeza z Zakonu Kronikarzy Mniejszych. L. S.*

Rosz do Williama z Roebroku, Ordo Fratrum Minorum,
obecnie w Akce przy królu Francji Ludwiku IX

Alamut, w drugiej dekadzie czerwca A. D. 1251

Mój drogi Williamie, bardzo nam Ciebie brakuje! Gdzież Ty się podziewasz? To cała Jeza, w ogóle się nie zastanawia, jak nasze relacje mają dojść do Ciebie. Może wcale już nie bawisz w Ziemi Świętej, tylko od dawna jesteś w domu we Flandrii. Może Twój zakon zdoła dotrzeć do Ciebie, Elias z Cortony wie przecież, gdzie jesteś — wszak był Twoim przełożonym u franciszkanów, Twoim *minister generalis*. A może wie to papież w Rzymie, który chyba także powinien Cię znać? Możliwe też, że ożeniłeś się z

Ingolindą z Metz i orzesz już żyzne pole, które hrabia Joinville podarował Ci w swojej ojczyźnie? Wszystkie nasze listy przekazemy Creanowi, którego wielki mistrz zamierza wysłać do Europy, żeby zabiegał o poparcie w walce z Mongołami. Nie wyobrażam sobie wprowadzić, żeby ktoś wybierał się w daleką drogę tutaj, ale skoro Mongołowie

dotarli już kiedyś na Węgry, to podróż do Alamutu też powinna być możliwa. Oczywiście wiesz, że leży ono w górach, na południowy wschód od Morza Kaspijskiego, ale w niewielkiej odległości. Najłatwiej dostać się tu przez Armenię. A jeśli nawet nikt nie przyjdzie nam z pomocą — Alamut potrafi również sam się obronić. Zadbał o to mój przyjaciel Zew Ibrahim. Zew stracił nogi, przygnieciony przez skały, które zwały się na niego, kiedy zakładał jeden z wielu podziemnych kanałów, stanowiących główną tajemnicę Alamutu. Tobie mogę to spokojnie powiedzieć, bo w ten sposób nikt oprócz Zewa nadal nie będzie wiedział, gdzie i jak przebiegają. W każdym razie w piwnicach woda szumi z niesamowitą mocą i hukiem i obraca zespół dźwigni i drążków, na wzór napędu kamieni młyńskich. Ale to jeszcze nie wszystko. Są też rury, w których płynie mazista czarna ciecz. Ma nieprzyjemny zapach, unosi się na wodzie — i się pali. Wokół brzucha twierdzy, którą powinieneś sobie wyobrazić jako pękaty dzban, znajduje się jakby wyschnięte jezioro — ale to tylko złudzenie, gdyż głęboka fosa potrafi tak szybko napełnić się wodą, że wszyscy napastnicy się potopiają, ginąc marnie. A gdyby wrogowie chcieli być szczególnie przebiegli i próbowali przeprowić się łodziami, wtedy z niewidocznych rur trysnęłaby *dam al-ard*, „krew ziemi”, która unosi się na wodzie. „No i co z tego?” zapytasz teraz. Teraz dzieje się coś strasznego: od jednej pochodni zapalam całą tę czarną oliwę! Gdy zaś wrogowie uciekną albo zupełnie spłoną, wtedy poziom wody się obniży, a rury wessą z powrotem „krew ziemi”. Czy to nie cudowne? Ale to wciąż jeszcze nie wszystko. Innym cudem są „płatki” Róży, jak je nazywa Zew. Wyobraź sobie, że dzban — który jest zresztą z materii wyglądającej jak kamień, ale twardej jak żelazo; kiedy weń uderzyć, wydaje dźwięk przypominający wielki dzwon — a więc ten dzban jest owinięty w płatki. Płatki wykonane z bardzo twardego drewna mają okucia z żelaza. Przylegają do wypukłości brzucha i piersi, a skrywają okna i drzwi. Potrafią otworzyć się w jednej chwili, a wtedy katapulty strzelają z otworów, które

błyskawicznie zamykają się z powrotem. Albo — co budzi jeszcze większe przerażenie wrogów po drugiej stronie fosy—płatki opadają nagle ponad wodą niczym mosty zwodzone, stalowymi kolcami uderzają w napastników i ich miażdżą. Jednocześnie u góry w brzuchu otwierają się bramy wypadowe, z których wysypuje się z hukiem konnica asasynów i rzuca na wrogów, znajdując się od razu w samym środku ich szyków! Kiedy jest po wszystkim, płatki podnoszą się z powrotem i możesz je ostrzeliwać z katapult, ile tylko chcesz, odpierają każde uderzenie, a asasyni śmieją się z przeciwników. Tylko szaleńcy wąż się pojawić w zasięgu „Róży z żelaznego kamienia”, powiada mój przyjaciel Zew.

Innym cudem jest wnętrze kwiatu. To też musiało być potwornie trudne zadanie dla jakiegoś geniusza sztuki inżynieryjnej. Wyobraź sobie, że od góry, od brzegu tego dzbanka — nie byłem tam jeszcze, bo nie wolno nam wchodzić — wpuszczono w głąb gniazdo os. Nie jest to zwyczajny dom, tylko wspaniały pałac imama Muhammada III.

Wielki mistrz może więc nie tylko patrzeć w górę, w niebo, i zaglądać do „raju”, lecz patrzy także w dół i zagląda do plastrów miodu po bokach, gdzie jego fedaini pełnią służbę w płątaniu schodów i platform. Pałac unosi się ponad wszystkim niczym korona, tyle że jej bogato zdobione widoczne ząbki wskazują w dół. Jeszcze cenniejsze muszą być jednak ząbki górne, które można zobaczyć tylko z zewnątrz, a ich spiczaste zakończenia znajdują się już w „raju”.

Właśnie wzywają mnie na górę, do wiszącego pałacu królewskiego. Mam Ci jeszcze wiele do opowiedzenia. Bardzo mi Cię brakuje, mój stary dobry Williamie. Twój oddany Rosz.

L. S.

Do Williama, największej ozdoby swego zakonu,
od Jezy, O. C. M.

Rosz dostanie po obiedzie karę, bo przybył w ostatnim koszu, u imama panuje taki zwyczaj. Otóż żeby jeść przy jego stole, trzeba dać się wyciągnąć na górę w koszu, inaczej nie można dostać się do pałacu. Ale nie wyobrażaj sobie, że pałac jest zbyt mały, są w nim duże pomieszczenia, sale, tyle że wszystkie mają pochyłe ściany i okna wychodzące ukośnie w dół, trzeba zatem uważać, żeby nie wypaść. Bo wtedy człowiek zabiłby się na miejscu. Dlatego otwory obserwacyjne w salach zabezpieczone są dodatkowo poręczą, a balkony balustradami. Człowiekowi może się tam całkiem mocno zakręcić w głowie. Czuje się bowiem jak na statku, statku, który płynie w przestworzach.

Zadajesz sobie pewnie pytanie, gdzie piszę ten list. Otóż siedzę w *marahid*,* z których odchodzi w dół rura, albowiem jeśli ktoś pokazał się już przy stole, to znaczy, że się nie spóźnił, a teraz zawsze mam przy sobie pergamin i pióro wraz z buteleczką tuszu.

Kiedy wyglądam przez maleńkie okno, to zresztą pewnie raczej wentylacja ustronnego miejsca, mam wprost przed sobą zespół drążków, czyli żyły, mięśnie i jelita Alamutu. Drążki i rury obracają się popiskując cicho albo podnoszą się i opadają zgrzytając i skrzypiąc. Mechanizm ten przechodzi przez środek pałacu, który przylega doń ściśle niczym pierścień. Ale tylko z tego miejsca widać i słyszać cokolwiek z wysiłku, z jakim pracuje cały system. Ja, rzecz jasna, nie pojmuję ani trochę, w jaki sposób jest on napędzany za pomocą wody i oliwy na dole, w piwnicach, ale bardzo chciałabym wiedzieć, co właściwie porusza go w górze, gdzie powinno być niebo i słońce. Zawsze wyobrażałam sobie raj jako oazę ciszy i spokoju. Czy są tam kwiaty i drzewa owocowe, które kołyszą się na wietrze? Teraz muszę jednak wracać do stołu, bo jeszcze pomyślą, że wpadłam do rury!

Wielki mistrz jest nad wyraz miły dla nas, dzieci, zna się na żartach — najchętniej kosztem swoich dworzan. Z nami, zwłaszcza ze mną, tylko się przekomarza, ale innych lubi postraszyć. Wkrótce napiszę znowu, Twoja J., O. C. M.

L. S.

Do Williama od Jezy w pośpiechu

Dzisiaj posłaniec Boga, imam wszystkich izmailitów Muhammad III, wielki *da'i* asasynów, nieco przesadził z żartami. Posiłki u niego są bardzo odległe od sztywnego ceremoniału, jaki panuje na dworze króla Ludwika. Sam wielki mistrz nie je, zapewne już wcześniej posilił się w „raju”, do którego tylko on ma wstęp. Siedzi wysoko na swoim tronie i wciąż wymyśla nowe „gry”.

Hasan Mazandari, który w stosunku do niego na wiele może sobie pozwolić i któremu imam wierzy bez zastrzeżeń, zwałił na Nasir ad-Dina Tusiego całą winę za niepowodzenie naszej misji w Bagdadzie. Spodziewałam się, że imam ukarze swego ulubieńca Hasana za pięciu spalonych na stosie fedainów. Tymczasem wielki *da'i* uznał ich śmierć za coś normalnego: „Dzięki temu jako męczennicy trafią na pewno do rajów”.

Zastanawiam się jednak, co oni z tego mają, skoro są tylko popiołem. Emir Hasan posiada zdolność wpatrywania się ludziom w oczy z taką mocą, że ci natychmiast zasypiają, nawet na stojąco, ale uczynią wszystko, czego Hasan od nich zażąda. Tusi chciał zaprotestować przeciwko jego oskarżeniom, lecz wtedy Hasan popatrzył na niego tak dziwnie, że Tusi zamknął oczy i zrobił się sztywny jak deska. Wtenczas wielki mistrz rozkazał, żeby położono go na jednym z otworów obserwacyjnych na podłodze sali jadalnej. Był akurat takiej wielkości, że kark Tusiego spoczywał na poręczy po jednej stronie otworu, a pięty po drugiej. A potem Rosz, to był pomysł Hasana, musiał przejść po wyprężonym jak struna ciele niby po moście wiszącym. Chciałam mu to wyperswadować, ale Rosz nie słuchał i przeszedł z zamkniętymi oczami po nogach i brzuchu Tusiego, aż dotarł do barków. Tam odebrał go Hasan, pomachał mu dłonią przed oczami, a wtedy Rosz spojrział na niego bezbrzeżnie zdziwiony, bo nagle odkrył, że spoczywa w objęciach znenawidzonego emira. Później mój rycerz twierdził nawet,

że w ogóle nic mu nie wiadomo o przechodzeniu po kładce z ludzkiego ciała. Gdy jednak zobaczył, jak czcigodny Nasir ad-Din Tusi został zdjęty z poręczy i przywrócony do życia, to zaczął płakać z wściekłości; również Ali płakał, albowiem musiał się przyglądać temu, co robiono z jego ojcem. Rosz prosił usilnie, aby wytłumaczył go przed szlachetnym Nasir ad-Dinem Tusim, bo naprawdę niczego nie pamięta, świadomie nigdy by tego nie uczynił. Następną ofiarą żartów był Churszah. To syn imama, ma już 16 lat i czasami bywa mi go żal. Choć jako następca tronu będzie kiedyś imamem, ojciec traktuje go jak półgłówka. Podejrzewam, że codziennie obrywa cięgi, w każdym razie zawsze sprawia takie wrażenie, kiedy przemyka się po pałacu. Tym razem Zew Ibrahim musiał dostarczyć narzędzie tortur, grubą czarną linę, która nie mogła być zrobiona z konopi, bo gdy trzech ludzi ciągnęło za nią z każdej strony, to się wydłużała. Rosz chciał mi wmówić, że ów tajemny wynalazek sporządzono z oliwy. Pewnie myśli, że jestem taka głupia jak Churszah. Podobno po zakończeniu prób ta magiczna lina będzie używana przy trebuszetach.* Dzięki temu można będzie budować bardzo celne katapulty zupełnie nowego typu, takie, których dźwignie naciągające prawie nie zajmują miejsca, co nader ważne w ciasnych twierdzach. Na próbę jeden koniec sznura o grubości ramienia zawiązano pod pachami Churszaha, a drugi pod sufitem, specjalnie w tym celu zdjawszy żyrandol. Ów wisiał bowiem dokładnie nad największym otworem obserwacyjnym, pod tronem, żeby wielki mistrz mógł zawsze widzieć, co dzieje się na dole w kotle. „Jestem przykrywką — zwykł mawiać — i muszę dbać, żeby Alamut nie wykypiał.” A przecież to on roznieca ogień i gotuje soki, tak w każdym razie ja uważam — Rosz zresztą myśli tak samo.

Teraz zaś Churszah miał się po prostu rzucić w dół. Dygotał cały ze strachu. Ibrahim zapewniał, że jego *chorda laxans** wyniesie go bez uszczerbku z powrotem na wysokość poręczy, z której miał właśnie skoczyć.

Churszah nie chciał tego zrobić za nic w świecie. Błagalnym wzrokiem oglądał się na ojca, ale ten zaśmiał się tylko i dał swoim ludziom znak, żeby zepchnęli syna. „Kiedy wystrzelisz z powrotem w górę, uchwycić się poręczy!” — zdążył jeszcze zawołać do niego Ibrahim, gdy Churszah bez jednego dźwięku zniknął w głębi otworu. Wszyscy podeszli do poręczy, ja też, tylko Rosz nie podszedł. Wydawało się, że ciało Churszaha rozbiło się o dno kotła. Wielu zasłoniło ręką oczy, lecz lina zaraz się naprężyła i Churszah wystrzelił w górę — nagle zupełnie zaskoczony znalazł się ponad poręczą, zaglądając w nasze zaciekawione i przerażone twarze. Roześmiał się i zapomniał złapać za poręcz, więc pomknął z powrotem w dół. Za następnym razem dotarł tylko do dolnego brzegu otworu i jego ręce nie miały się czego chwycić. Opadł więc znowu i podskakiwał przez jakiś czas w górę i w dół, aż w końcu zawisł wewnątrz kotła tuż nad ziemią. Dyndał tam, dopóki paru fedainów nie przyniosło drabiny i nie odwiązało go. Myśleli go wsadzić do kosza i wyciągnąć na górę, ale już nie chciał. Zresztą grzmiące oklaski, jakie rozległy się w sali, nie były adresowane do niego, tylko do Zewa Ibrahima, którego wniesiono w krzesło na dwóch kółkach przed tron wielkiego mistrza. Ten obdarował go hojnie, wręczając mu złoty łańcuch i pierścień, który zdjął z palca.—

Łańcuch za twój geniusz — powiedział śmiejąc się imam — a pierścień za odwagę. Gdyby mój syn poniósł jakikolwiek uszczerbek, ty powędrowałbyś w dół tą samą drogą. Tak było, najmilszy Williamie, zapomniałam jeszcze wspomnieć, że zwymiotowałam.

Twoja Jeza, O. C. M.

PS. Czy Ty też uważasz, że imam zdradza oznaki obłądu? L. S.

Nasir ad-Din Tusi, który nie był asasynem i podjął się roli mediatora tylko dlatego, że pragnął pokoju i pojednania między zwalczającymi się dogmatycznymi kierunkami — wojny religijne klóciły się bowiem z jego filozoficznym obrazem świata — dał się raz jeszcze namówić, żeby stanął na czele poselstwa, tym razem do Mongołów. Wielki

mistrz bez trudu wywarł nacisk na uczonego, ponieważ syn tegoż znajdował się wciąż w Alamucie i można go było uznać za zakładnika. Otwarcie mógł wypowiedzieć tę groźbę Hasan Mazandari, kiedy dowiedział się, że Tusi obstawał przy tym, żeby imam nie pozwolił jechać w delegacji „nieobliczalnemu, tyleż popędliwemu, co podstępnemu emirowi”. —

Jakbym sam kiedykolwiek wyraził takie życzenie — szydził Hasan, gdy wielki mistrz wraz z naczelnym pisarzem dworskim Berlinem omawiał tekst pisma do wielkiego chana. Herlin, chudy jak szczapa człowieczek o siwiutkich włosach, był również nadzorcą biblioteki, największego skarbu Alamutu. — Nasir ad-Din Tusi tak jest zauroczony ideą wyrzeczenia się przemocy, że bije od niego jedynie życzliwa słabość jak od wątego słońca, przecież ktoś taki chcąc nie chcąc prowokuje do użycia środków wojennych — dodał emir.

— Ostrzegam cię, Hasanie, niech ci się nie wydaje, że słońce jest aż tak pokojowe! Jest ono równie mordercze jak cięcia i sztychy żelaza w walce wręcz, tylko że przed jego bronią nie chroni żadna zbroja — zganił go imam. - Z tego zresztą powodu dajecie pierwszeństwo blademu skrytobójczemu sierpowi księżyca!

Powściągnij język, Hasanie Mazandari, bo wyślę go Mongołom wraz z resztą wiana. Musimy się zastanowić, co chcemy zaoferować Mongołom, jeśli nie natychmiastowe całkowite podporządkowanie.

Skoro wasz duch bojowy, wielki imamie, tak osłabł, czemuż nie dodacie emisariuszowi Rosza i Jezy? Zarówno na Wschodzie, jak i na Zachodzie poprzedza dzieci sława prawdziwych królów pokoju. Możliwe, że dotarła już nawet do Tatarów.

Zanim wydam z ręki ten atut, chcę wiedzieć, ile tak naprawdę warte są dla Mongołów, a tego powinien się dowiedzieć Nasir ad-Din Tusi.

A co w takim razie ma być oficjalnym powodem wyprawienia poselstwa? Czy chcecie oddać kilka twierdz, zaproponować płacenie trybutu, a może wręcz samemu udać się do Karakorum, by złożyć wiernopoddańczy pokłon? — To rzekłszy, Hasan zaniechał szyderstwa i uderzył w ton szczerego, zatroskanego przyjaciela. — To wszystko nie odniosłoby żadnego skutku. Jak znam Mongołów, odpowiedź będzie brzmiała: „Gdzie są klucze do twierdz? Gdzie są skrzynie ze złotem, które przywiózł wasz imam, żeby najuniżej złożyć je w darze władcy świata i uzyskać jego przychyłność?”

Wielki mistrz milczał zaskoczony. Stary nadzorca biblioteki odchrząknął. Herlin był odporny na wszelkie wybuchy Muhammada III. Tylko on orientował się w labiryncie wieży bibliotecznej; bez niego przechowywane tam apokryficzne* skarby były stracone. Przemów, mądry Herlinie — zażądał niecierpliwie imam.

Świat zostanie podzielony na nowo i nastaną nowi panowie—zaczął cicho bibliotekarz. —My, asasyni, musimy się trzymać z dala od

świeckich walk o władzę, w których i tak nie jesteśmy już w stanie sprostać przeciwnikom. Powinniśmy odłożyć sztylety i zamienić zbroje na skromne szaty pobożnych mnichów, świętych mężów, którzy ofiarowali życie Allahowi, oddając się krzewieniu jego słów. Również z tym można stanąć przed wielkim chanem. Wtedy nie jest już ważny wielki mistrz i władca, tylko imam, głosiciel prawdziwej nauki. — Starzec urwał, zmęczony jasnym widzeniem spraw i wysiłkiem ubrania swojej wizji w słowa, które miały trafić do Muhammada III.

Wielki mistrz wyraźnie starał się opanować wzruszenie. Na to jest już za późno — mruknął. — Cały świat nienawidzi nas

z powodu strachu, jaki w nim zasialiśmy. — Rozejrzał się dokoła błędnym zrokiem, jakby już otaczali go wrogowie. — Ja też tego nie chcę! krzyknął łamiącym się głosem. — Nie chcę z niczego rezygnować!

Z powodu tej hordy zdziczałych pastuchów krów mam ugiąć się przed

barbarzyństwem? Nigdy! — Szorstkim ruchem odprawił ze swojego gabinetu Hasana i starego Herlina i ruszył jak burza po kręconych schodach prowadzących do „raju”.

Herlin podążył za nim bez słowa. Pod schodami znajdowało się również jedno z sekretnych wejść do biblioteki.

Hasan popatrzył z góry na kocioł: w dole niczym pracowite miodne pszczoły krzatali się asasyni, którzy obsługiwali jedyną w swoim rodzaju Różę, nadającą sens ich życiu machinę mieszkalno-bojową. A może wszystko tutaj obracało się wokół królowej pszczół, chorej na manię wielkości? Herlin — pomyślał emir — wcale się nie pomylił, wysuwając to przypuszczenie, choć po oderwanym od życia molu książkowym właściwie nie można się było spodziewać takiej przenikliwości. Jednakże tego rodzaju roszada, przejście na pozycje duchowe, była w wypadku Muhammada niewykonalna.

Jeśli się tylko dało, Crean z Bourivanu trzymał się z dala od dyskusji i intryg pałacowych. Wielki mistrz zaproponował gościowi kwaterę w pałacu, lecz Crean, pragnąc uniknąć afrontu, wycofał się na pozycję zwykłego fedaina, który nie rości sobie prawa do wyjątkowego traktowania, a tym bardziej do żadnego luksusu. Zresztą i tak to, co działo się na górze, w gnieździe os, budziło w nim niesmak. Nie miało nic wspólnego z powołaniem, które niegdyś poczuł i za którym konsekwentnie podążał, przystępując przed laty w Syrii do zakonu asasynów.

Chudy mężczyzna o smutnej twarzy, którego wiek trudno było ocenić z powodu wielu blizn, spędzał większość czasu na wędrówkach poza twierdzą i zastanawianiu się nad swoim położeniem. Martwił się o dzieci, które Przeorat, będący mu rodzonym ojcem, rzucił na drogę jego życia przed siedmioma laty. Dzięki temu należał, choć nigdy nie chciał, do owego tajnego stowarzyszenia i stał się sługą Wielkiego Planu. Odtąd los

Rosza i Jezy wyznaczał j ego własny los. Crean mieszkał w bardzo skromnej celi, przyklejonej poniżej górnego brzegu do wewnętrznej ściany kotła. Z radością stwierdził, że przez małe okienko, raczej otwór strzelniczy, może wyglądać na zewnątrz, a nie musi patrzeć na wiszący wewnątrz na tej samej wysokości pałac. Jak wszystkie plastry podniebna cela miała bowiem wejście od środka kotła. Można było do niej dotrzeć tylko przez płataninę stromych drabin, chwiejnych kładek i wąskich mostów wiszących, rozpiętych niczym pajęczyny wewnątrz kotła. Crean sądził, że dzieci będą go tutaj często odwiedzać, szybko jednak odniósł wrażenie, że raczej go unikają. Uśmiechnął się mimo woli.

Rosz i Jeza weszli teraz w wiek, kiedy — własne ciała poznawszy już dawno — musieli zająć się dokładniej uczuciami, jakie żywili do siebie. Dla nich miłość nie była kwestią „czy”, tylko „jak” i „jak bardzo”, i z tymi nowymi problemami musieli się najpierw uporać.

Na domiar wszystkiego każde z nich narażone było także na pożądliwość, jeśli nie na żądę ze strony innych. Ponieważ obydwójce wiedzieli, że Crean, który zastępował im — surowego — ojca, niebawem opuści Alamut, dali mu listy do Williama, w dziecięcym przeświadczeniu, że na najbliższym rogu na pewno spotka franciszkanina. Ze względów bezpieczeństwa pozwolił sobie przeczytać owe pisma, ale co ciekawe, nie znalazł w nich ani słowa o miłości, ani słowa o ich smutkach, tęsknotach i namiętnościach. Prawdopodobnie nie chcieli się zwierzać nawet Williamowi.

Crean martwił się o nich, troska ta zdążyła mu wejść w nawyk. Alamut wcale nie wydawał się już idealnym schronieniem dla Rosza i Jezy, nie mówiąc o tym, żeby mieli tu zostać dłużej, ale żadne inne miejsce nie przychodziło mu do głowy. Przeorat milczał od dawna, jakby zapomniał o dzieciach, odkąd asasyni poniekąd narzucili się jako ich opiekunowie. Ale na pewno by się włączył, gdyby Crean uczynił jeden fałszywy krok.

Już się zresztą o tym przekonał. Crean nie wspominał dzieciom o obecności własnej córki pod tym samym dachem. Jego ojciec przekazał wnuczkę jako młodą dziewczynę pod opiekę zakonu asasynów; było to wtedy, gdy na Blanchefort* spadło nieszczęście i jej matka, żona Creana, nie zdołała ująć z rąk morderców. Nikt wówczas nie wiedział, co robić, oprócz tego, że należy ją ustrzec przed Inkwizycją, choć dla wszystkich było jasne, że w zakonie w Alamucie kobiety nie mogą być niczym więcej niż hurysami w „raju”, czyli haremie wielkiego mistrza.

Kasda, starsza i bardziej subtelna od innych, szybko awansowała i z ogrodów rozkoszy wstąpiła w wyższe rejony, udoskonalwszy swe zdolności wróżbiarskie przez intensywne studiowanie astrologii. Herlin był jej nauczycielem, może nawet kimś więcej. W każdym razie imam pozwolił jej się wprowadzić do niewykorzystywanego, stęchłego obserwatorium na najwyższej platformie minaretu, którym odtąd władała. Od czasu do czasu, kiedy trzeba było udoskonalić mechanikę przyrządów, wzywała na pomoc Zewa Ibrahima. Crean nigdy tam u niej nie był i w ciągu całego pobytu nie widział jej ani razu. Kasda musiała w tej chwili dobiegać trzydziestej wiosny życia. Stary Herlin przekazywał Creanowi pozdrowienia od córki.

Również z młodszą o rok Połą Crean nie mógł porozmawiać, pewnie dlatego, że nie chciała. I dobrze mu tak, wyrodnemu ojcu! Pola przez długie lata była faworytą imama, a gdy jego uczucia w końcu ochłodziły, uczynił ją nadzorczynią „raju”. Crean wiedział to tylko dlatego, że Zew Ibrahim mu powiedział. Z mężczyzn, oprócz samego imama, jedynie kaleka miał tam wolny wstęp, jeśli trzeba było dokonać jakichś niezbędnych napraw. Crean znów wrócił myślą do królewskich dzieci. Obie kobiety ze swoim doświadczeniem mogłyby udzielać im—zwłaszcza Jezie—bardzo pożytecznych rad. Hasan Mazandari stał w progu izdebki Creana i prosił o wpuszczenie do środka. Crean ani trochę nie cenił emira. Przypominał mu węża lub innego podstępного gada. —

Creanie z Bourivanu — zaczął na swój wyniosły sposób Hasan—postanowiliśmy wyprawić was do Europy jako posłańca.

Czyżby dzieciom sprzykrzyło się moje towarzystwo? — zadrwił z lekka Crean, od razu jednak czując przy tym ukłucie w serce.

Bynajmniej — uśmiechnął się emir. — Nam. — Chociaż go nie poproszono, usiadł. —

Nasir ad-Din Tusi został wysłany w zupełnie bezsensowną podróż do Mongołów. Moim zdaniem jego misja nie pozwoli nam nawet zyskać na czasie, raczej przyspieszy tylko rozwój niepożądanych wydarzeń. W tym momencie nie jesteśmy dobrze przygotowani i stoimy z pustymi rękami, a przypomina mi to umyślne spuszczenie lawiny—wyznał w zaufaniu, ale próżno oczekiwał od Creana tego samego.

A ja mam teraz wyczarować na to jakieś lekarstwo?

Owszem, tak wyobraża to sobie nasz wielki imam Muhammad III, władca izmailitów.

Papież, królowie i książęta z Zachodu zostawią wszystko, żeby pośpieszyć za tym wezwaniem. Dostaniecie na podróż bogate dary.

A dlaczego wy, Hasanie Mazandari, chcecie się mnie pozbyć? Stoję wam na drodze?

— Każdy stoi mi na drodze — odparł emir ze śmiechem — a najbardziej ja sam!

Rosz do Williama z Roebruku,

na wiadomy adres Alamut, w trzeciej dekadzie czerwca A. D. 1251

Mój drogi Williamie, czy aby na pewno zrozumiałeś, jak oddycha, odżywia się i kwitnie

Róża, codziennie od nowa, niezmordowanie? Sprawiają to moce czterech pierwiastków:

wody, powietrza, światła słonecznego oraz—to wielka tajemnica—soku ziemi, czarnej

oliwy, którą pompuje ona w swoje żyły. Tak wyjaśnił mi to Zew Ibrahim, ale kiedy Jeza

zapytała, czy dzięki temu będzie mieć życie wieczne, pokręcił głową. Byłem bardzo

zasmucony, gdy odpowiedział: „Nie, ona się zestarzeje!” Nie wierzę w to i muszę odkryć prawdę. Może Zew uważa tak tylko dlatego, że sam się zestarzeje w swoim wózku na

kółkach, i nie chce, żeby jego dzieło żyło dłużej niż on. Mamy jeszcze jednego przyjaciela, ale Jeza zagarnęła go wyłącznie dla siebie, bo nie rozumie wszystkiego, co dzieje się na dole, w piwnicy Zewa. Pragnie zatem poznać rzeczy „wyższe”, osiąść wieczną wiedzę i dlatego uwielbia teraz nadzorcę biblioteki Herlina. Ów musiał być kiedyś Francuzem i chrześcijaninem jak my, gdyż wie wszystko o nas, o naszym pochodzeniu jako „dzieci Graala” i o naszych przodkach od króla Artura po Trencavela i Esklarmundę. Z uporem nazywa nas także „dziećmi”, choć naprawdę dziećmi już nie jesteśmy. To miły człowieczek, zawsze łagodny i życzliwy i bardzo odważny. Możliwe, że to jedyna osoba tutaj, która nie boi się straszliwego imama. Obiecał pokazać nam po kryjomu bibliotekę. Jestem jej niesamowicie ciekawy, gdyż mam własną tajemną teorię, jak to możliwe, że ciężka wieża z wszystkimi tymi pergaminowymi księgami i zwojami papirusu trzyma się na Róży i unosi ponad otworem. Unosić to się nie unosi, tylko opiera się na żebrach wpuszczonych daleko w głąb kotła. Kiedy przyjrzeć się dokładnie jego ścianom, można dostrzec zgrubienia, które pną się niczym nabrzmiałe żyły, ale dokąd? Wiszący drewniany pałac zakrywa przed naszym wzrokiem prawdziwą konstrukcję. Ale ja już się tego dowiem. Gdybyś był z nami, drogi Williamie, czułbym się lepiej, Twój oddany Rosz.

L. S.

Drogi Williamie, tu mówi Jeza.

Dzisiaj oglądaliśmy „raj”. Ale wszystko po kolei. Mój czcigodny mistrz, nazywa się zresztą Herlin, ale to na pewno *nom de guerre*,* otóż kiedy imam po posiłku udał się na drzemkę, Herlin wziął nas do siebie i zaprowadził sekretnymi schodami do biblioteki.

Biblioteka mieści się w wieży, pod którą znajduje się sala z zupełnie ukośnymi filarami.

Rosz nie posiadał się z radości, bo potwierdziło to jego *ratio atque usus*.* Podłoga sali jest drewniana i stanowi zarazem sufit pałacu. Dlatego musieliśmy chodzić bardzo

cicho, żeby imam nas nie słyszał. Przez środek biegną oczywiście drążki, które jak

wiadomo, wpuszczone u góry w wieżę, obsługują obserwatorium. Ściany są zakryte regałami, które wypełniają grube foliały.

— To traktaty o obserwacjach natury i poznawaniu zwyczajnego życia powiedział mój mistrz.

Z tej sali prowadzą na górę schody, i to kilka, ale nam wolno było skorzystać tylko z jednych. Nimi doszliśmy do „komory harmonii, doktryn i ich sprzeczności”, jak wyjaśnił Herlin, „z księgami filozofów, a wszystkie to bardzo cenne pergaminowe tomy. To największa w świecie komora, która unosi się w powietrzu”. Chciałam się dowiedzieć, co jest powyżej, bo widziałam jeszcze troje innych schodów. Po jednych z owych schodów dojdiesz do *magharat at-tanabbuat al-maszuk bi-ha*, czyli „jaskini apokryficznych prorocstw”.

A potem? — spytał Rosz. Jeśli obierzesz właściwą drogę — a jest ona wąska i stroma — możesz dotrzeć do *magharat al-wahi*, czyli „groty objawień”, albo wpadniesz do kotła.

A potem? Co jest dalej? Niebo! — odpowiedział mój mistrz.

Zdecydowaliśmy się więc na filozofów i zostaliśmy w komorze doktryn, a wszystkie spisane na skórze nienarodzonych jagniąt i ozdobione kolorowymi rycinami. Tak samo sprzeczności. Chciałabym przeczytać Arystotelesa. Rosz odkrył okna, czyli mocno wydłużone otwory w murze, który musi być okropnie gruby. Niektóre z nich wychodzą ukośnie w górę, w niebo, i wpuszczają światło, inne prowadzą w dół i pozwalają Ci zajrzeć do „raju"! Williamie, jakie zaskoczenie! Bo ten „raj” znajdował się daleko w dole, pod nami, a zarazem tak blisko, że tylko sięgnąć ręką. Zglądałam do kielichów kwiatów i patrzyłam na kwitnące kępy; inne krzewy i małe drzewka tak były obwieszane wspaniałymi owocami, że ugiwały się pod ciężarem gałęzi. W mój nos biły miłe wonie i czułam świeżość fontann, w których pluskały się czerwonozłote rybki. Słyszałam śmiechy i śpiewy, i dźwięki instrumentów, lecz nie widziałam nikogo. Rosza

interesowały tylko grubość muru — od razu zresztą zmierzył — i kąt nachylenia okien do „raju”.

Powiedział do Herlina: - Wieża biblioteczna przypomina u podstawy płaszcz otoczony pokojami haremu, które otwierają się na stronę „raju”. A nie wolno nam wyjść wyżej, do *magharat al-wahi*, dlatego że stamtąd można bez przeszkód zaglądać do ogrodów, nazywanych „rajem”, a hurysy to nic innego, jak damy z haremu imama! Mądry chłopiec — stwierdził Herlin. — Kto jadł już z drzewa poznania, ten ma potem drogę zamkniętą. Ale strzeż się i nie opowiadaj nikomu o swoich odkryciach! Róża ma swoje prawa i ma kolce, na które mogą się nadziać zbyt dociekliwi. Tak rzekł mój mistrz i wtedy zaczęłam się bać o swojego Rosza, postanowiłam więc poprosić go, żeby nigdy nie próbował wychodzić tam na górę beze mnie, bo wiem, że nie da mu to spokoju. Odciągnęłam go od okna, ale było już za późno. Dołem przechodził właśnie wielki mistrz i spojrzał w górę, w naszą stronę. Nie wiem, czy nas widział, jego straszliwa twarz, okolona brodą, nie zdradzała żadnych uczuć. Asasyni podobno mówią, że wszystko widzi i słyszy i że wszystko wie.

Nie mogę się wprost doczekać, kiedy opuścę to zakazane miejsce. Boję się, a przecież wśród tych wszystkich ksiąg panuje taki miły spokój.

Twoja Jeza, O. C. M.

L. S.

Rosz do Williama z Roebruku,

na wiadomy adres Alamut, w pierwszej dekadzie lipca A. D. 1251

Mój drogi Williamie, podczas ostatniego posiłku imam powiedział nam prosto z mostu, że byliśmy w bibliotece. Pomyślałem, że wypieranie się nic nie da, ale żeby chronić Herlina i Jezę, oświadczyłem, iż sam odkryłem sekretne schody i nagle znalazłem się w bibliotece. Okropnie się śmiał, walnął w głowę swojego syna Churszaha i zawołał:

— Ha! Weź przykład z niego! Ty nie potrafisz nawet sam znaleźć drogi do ustronnego miejsca!

Czy uderzył go po to, żeby Churszah był jeszcze głupszy? Już teraz przypomina młode cielę i daje się Hasanowi podpuszczać na Jeżę, która przez litość jest zawsze dla niego miła. Ostatnio zapytał ją nawet, czy wyobrażałaby sobie wyjście za niego za męża, gdy będzie wystarczająco dorosły, żeby ją pojąć za żonę. Jeza odpowiedziała mu pytaniem, czy pytał już ojca. Wtedy cielak rozryczał się jak małe dziecko. Jakby imam miał decydować o takich sprawach! Przecież to mnie należałoby zapytać pierwszego.

W posiłku uczestniczyli wszyscy, także Crean, Zew i Herlin. Gośćmi imama było trzech sufich,* dzikie, brodate postacie. Kiedy sprzątnięto ze stołu, jeden z nich wziął sztylet i przebił nim sobie przedramię, aż ostrze utkwiło w blacie i krew trysnęła strumieniem.

Następnie jego sąsiad sięgnął po dwa srebrne szpikulce, oblizał je starannie i jednym przebił sobie policzek, aż szpikulec wyszedł po drugiej stronie twarzy. Przewracał przy tym oczyma i wystawił długi język. Próbował go uchwycić, ale język nie dawał się złapać. Wówczas wziął drugi szpikulec i przygwoździł nim język, nadziewając go niczym pstrąga, a trafił dokładnie pośrodku. Widząc to imam zaniósł się śmiechem. Wtedy trzeci sufi kazał sobie podać zakrzywioną szablę, której użyczył mu jeden ze strażników, po czym obnażył brzuch i powoli wbił weń klingę aż po rękojeść. Kiedy sufi się odwrócił, koniec szabli wystawał mu na plecach.

|- To czary! — zawołała z oburzeniem Jeza. Imam przestał się śmiać i rzekł:

— To przede wszystkim wykroczenie przeciw dyscyplinie. I skinął nieznacznie na strażnika, który oddał swoją broń. Ten skłonił się i przeskoczył przez poręcz, znikając w głębi jednego z otworów obserwacyjnych. Usłyszeliśmy, jak jego ciało uderza o dno kotła.

— To potrafi każdy, kto potrafi — nawiązał imam do uwagi Jezy roześmiał się znowu

— jak również każdy, od kogo zażądam, żeby to potrafił. — Co rzekłszy, wskazał na mnie. W ogóle tego nie zauważyłem, bo obserwowałem, jak sufi wyciągnęli sobie ostrza ze wszystkich ran, a te przestały krwawić i zamknęły się, pozostawiając cienkie białe blizny. Na moich oczach, Williamie! Wszyscy wpatrywali się we mnie, a wielki mistrz powiedział:

— Musisz zostać ukarany, Roszu, wiesz o tym. — I zrobił się bardzo uprzejmy. — Połóż rękę na stole, dłonią do góry, a teraz weź nóż i przebij ją, aż poczujesz opór drewna. Sięgnąłem po nóż. Nie mogłem postąpić inaczej. Niewidzialna siła prowadziła moją rękę.

— To moja wina! — krzyknęła Jeza. — Ja byłem przy tym i ja namówiłem go do nieposłuszeństwa! — I już trzymała sztylet w prawej ręce, a lewą położyła na stole.

Śmiejąc się imam odparł: — Nie pozwolę, żebyś szpeciła sobie rękę blizną — i powiódł groźnym wzrokiem po twarzach obecnych. — Ale jeśli ktoś gotów jest wziąć karę na siebie...

Crean wyciągnął rękę i podwinął rękaw. Jego ramię było pełne blizn, ale wielki mistrz ze złością machnął ręką. — Nie ciebie mam na myśli! Wtedy wstał Herlin, wyciągnął

sufiemu z języka srebrny szpikulec, drugi z policzka, potrzymał oba chwilę nad płomieniem rusztu, splunął na nie, po czym wbił sobie czubek w zewnętrzny kącik oka.

Nie mogłem zgoła na to patrzeć, ale Jeza szepnęła do mnie, że szpic właśnie wychodzi przez szyję, a jej mistrz sięga po drugi szpikulec.

Dziękuję wam, Herlinie — powiedział imam. — Wybaczcie mi, zapomniałem, że wiecie, co potraficie. To wy mi wybaczcie — odparł bibliotekarz, a ja znów zacząłem patrzeć. —

To ja zapomniałem, że nie wolno wszystkiego, co się potrafi. — I wyciągnął szpikulec z kącika oka. Pozostała tylko maleńka kropla krwi, którą otarł niczym łzę.

W tym momencie w górach rozległ się głuchy dźwięk rogów ostrzegających przed

niebezpieczeństwem, a wielki gong w kotle zaczął bić na alarm. Zostaliśmy

zaatakowani...

L. S.

Ponadtyśieczna horda Chorezmijczyków zastała Alamut jakby we śnie. Płatki kwiatowe, na których zwykle w ciągu dnia odbywały się ćwiczenia fedainów, zostały podniesione i dygotały niecierpliwie, otaczając Różę niczym olbrzymie tarcze. Zabrano również linę i kosze wyciągarki, za pomocą której transportowano na górę towary. Tylko ostatni płatek wciągał jeszcze chłopów i rzemieślników, którzy już nie zdążyli się ukryć w okolicznych jaskiniach. Razem ze swoimi zwierzętami schronili się w podziemnym pomieszczeniu położonym niżej niż jezioro, w którym poziom wody teraz się podnosił. Gdyby przebrani wrogowie wmieszali się między nich, żeby zdobyć twierdzę od środka, nie mogliby nic wskórać, bo przy najlżejszym podejrzeniu o podstępne działania wszystkie osoby przebywające w lochu utopiono by jak szczury.

Hasan pośpieszył na swoje miejsce jako komendant twierdzy. Zewa Ibrahima wraz z jego krzesłem na kółkach spuszczone na linach do piwnicy. Imam udał się na górę, reszta biesiadników podeszła po jednym z mostków do górnego brzegu kotła, gdzie było wiele możliwości obserwacji, choć większość z nich wykorzystywano dla katapult oraz broni miotającej nowego typu, w której Ibrahim używał do napinania swojej *chorda laxans*.

Horda Chorezmijczyków, wojowniczego górskiego ludu, nie była przypuszczalnie dowodzona silną ręką, gdyż roje zbrojnych napastników napływały ze wszystkich stron. Pewnie nastawili się na atak z zaskoczenia, mieli bowiem za sobą tratwy, który służyły im za tarcze, kiedy nieśli je na plecach do samego jeziora, otaczającego zamek. Na tratwach leżały przygotowane żelazne łańcuchy z kotwicami, były też już zmontowane drabiny szturmowe z zakrzywionymi hakami, za pomocą których zamierzali oberwać

jeden z płatków, aby w ten sposób wedrzeć się do środka twierdzy.

Asasyni zadowolili się zasypaniem napastników gradem pocisków, przy czym wreszcie mogła się sprawdzić nowa *chorda*. Napinano ją za pomocą koła ze wstawionymi szprychami, co pozwalało na oddawanie strzałów raz za razem, a w dodatku zapewniało dużą celność zaostrzonych drewnianych pocisków o grubości ramienia.

Każdy pal przebijał co najmniej trzech wrogów idących jeden za drugim, przygważdżając ich do ziemi niczym żuki nadziane na szpikulec. Tymczasem jednak spuszczone też na wodę pierwsze tratwy, które zbliżały się do wąskiej podstawy twierdzy jako pływająca platforma. Wszyscy mieszkańcy, zarówno obrońcy, jak widzowie, wyczekiwali teraz chwili, kiedy z głębin wypłynie czarna oliwa, chlupocząc obejmie tratwy ciemnymi plamami, a w końcu padnie rozkaz „Ogień!” Wtem nad ich głowami rozległ się śmiech imama.— Nie podkładać ognia! Chcę dostać żywcem te szakale! —zarechotał obrzydliwie. Jego głos miał głuche brzmienie, jakby wzmocnione przez rurę, i docierał aż do piwnicy Zewa Ibrahima, władającego wodą i ogniem. Tymczasem wszyscy Chorezmijczycy zebrali się w miejscu, gdzie skalisty brzeg wznosił się stromo, tam ich atak został najwidoczniej uwieńczony sukcesem, gdyż mimo wszelkich strat udało im się przepłynąć

jezioro na platformie z połączonych tratw. Napastnicy wczepili się w skalne ściany, postawiono drabiny, pofrunęły w górę i zahaczyły się żelazne kotwice—można więc było zaczynać szturm. Z setek gardeł dobył lic dziki wrzask radości z niespodziewanego sukcesu. Wtem rozległ się potężny szum. Ze śluz otwartych w skalnych ścianach buchnęły potoki rody na czekających na spadzistym brzegu Chorezmijczyków, zrzucając ich w dół zbocza razem z końmi i workami, z którymi przybyli, żeby mieć czym transportować łupy, czyli skarby Alamutu. Równocześnie obniżyło się błyskawicznie

zwierciadło wody w jeziorze. Drabiny dyndały w próżni pod brzuchatą ścianą, łańcuchami podrywano tratwy w górę tak, iż napastnicy znaleźli się z powrotem w wodzie, która nie była ich żywiołem. Wielu utopiło się, jeśli wcześniej nie zabiły ich spadające szczątki tratw. Woda buchała bez przerwy z otworów i ci z napastników, którzy ocaleli i pozostali w fosie, znaleźli się w pułapce bez wyjścia niczym myszy. Spadające z niewyobrażalną siłą potoki zmiażdżyły gros atakujących jeszcze na skałach. Niewielu zostało oszczędzonych — tym udało się połapać spłoszone wierzchowce i uciec. Nie troszczyli się o towarzyszy, którzy stali w niemal pustej fosie, zanurzeni w wodzie po brodę. Rwące potoki przestały płynąć; Ibrahim zamknął śluzy, choćby dlatego, że groziło im zatkanie ciałami wrogów, których wciągnęło pod wodę akurat wtedy, gdy sądzili, że zdołają się uratować, jeśli uczepią się pływającej kłody lub pękniętej drabiny. Ludzkie czopy wypłynęły z powrotem na powierzchnię, wzmagając tylko przerażenie żywych. Także ci, którzy uciekali przed spadającymi masami wody i kamieniami, nie mieli chwili na odpoczynek. Po prawej i po lewej stronie błotnistej mazi z rozerwanej fosy dwa płatki kwiatowe wbiły swe żelazne kolce w twardy grunt, a z góry, z otwierających się właśnie bram, wypadła z tętentem kopyt konnica pod wodzą emira Hasana. On i jego ludzie zjechali po wygiętych mostkach z bali, siekli po grzbietach uciekających, którzy po dwóch lub trzech dosiedli jednego wierzchowca, i odbierali im konie. Chorezmijczycy bronili się rozpaczliwie, lecz wielu pozostało z gołymi rękoma, oręż bowiem wytrąciły im spadające potoki wody.

— Czemu nie pozwoli im uciec? — spytała Jeza. — Nie stanowią już przecież żadnego zagrożenia. Stała razem z Roszem w celi Creana i z rosnącym oburzeniem spoglądała na pole bitwy. Bo w szeregach fedainów nie ma jeszcze żadnych strat — wyjaśnił Crean. — A imam ze względów wychowawczych uważa, że nic nie zastąpi krwi męczenników.

Zamiast się cieszyć — wtrącił Rosz — że wszystko funkcjonuje tak dobrze również bez

ognia. — Obserwował fosę w dole, gdzie dźwigi podnosiły szczątki tratw i wyławiały w wielkich sieciach ocalałych Chorezmijczyków. Woda zaczęła się już szybko na powrót podnosić. Niebawem jezioro będzie otaczać kwiat Róży tak, jakby nic się nie stało.

Perfekcja własnych urządzeń obronnych irytuje władcę tak bardzo, że najchętniej wrzuciłby w płomienie waszego dzielnego Zewa razem z jego krzesłem na kółkach — szydził Crean, zwracając się do Rosza. A jego zapewne irytuje, że tym razem nie mógł pobawić się ogniem. O, wraca Hasan! — zawołała Jeza. To znaczy, że asasyni mają po swojej stronie dość zabitych, a imam ma dość jeńców, żeby radowało się jego serce — powiedział właśnie ponurym głosem Crean, gdy zjawił się sługa i przekazał im, żeby się punktualnie stawili na wieczerzę u wielkiego mistrza.

Kiedy dzieci przybyły do pałacu, rzuciło im się w oczy, że nie palą się żyrandole w jadalni. Jedynym źródłem światła były pochodnie, których z uwagi na niebezpieczeństwo pożaru nie zatknęto na ścianach, tylko kazano trzymać sługom.

Gdy wszyscy usiedli i podano zakąski, wielki mistrz klasnął uroczyście w dłonie. Do sali wszedł kat obnażony od pasa w górę.

—Z tą wielką szablą do ćwiartowania wygląda jak kucharz — szepnęła Jeza. Rosz nie odpowiedział. Wpatrywał się w tort postawiony poniżej schodów, które prowadziły do tronu wielkiego mistrza. Do wypieku dodano miodu i orzechów. Ozdobiono go kwiatami i owocami, wetknięto weń zapalone świece łożowe, a był tak wielki, że zakrywał cały otwór obserwacyjny wraz z poręczą. Z kunsztownej konstrukcji wystawały ręczne korby, do których podeszli teraz dwaj słudzy, kat natomiast stanął z tyłu, żeby móc zawsze patrzeć na władcę. Ów ponownie klasnął w dłonie. Na ten znak każdy ze sług chwycił za trzonek korby, żeby obrócić ukrytą pod tortem przekładnię jakiegoś koła. Z otworu w górnej części tortu wyłoniła się głowa wziętego do niewoli Chorezmijczyka, który rozglądał się dokoła zmieszonym wzrokiem.

—Imam pragnie wiedzieć, czy to ty jesteś przywódcą — zwrócił się do niego Hasan, który zajął miejsce u stóp swego pana. Chorezmijczyk pokręcił głową, a wtedy kat, którego nie mógł widzieć, jednym ciosem szabli odciął mu głowę od tułowia, po czym podniósł ją i położył na torcie.

Cóż to ma znaczyć? — zawołał wystraszony Rosz, nie mógł jednak oderwać oczu od tortu, z którego wyłoniła się właśnie następna głowa. Identyczne pytanie, identyczna przecząca odpowiedź i identyczny nagły ruch ostrej klingi kata. To *ruota delia fortuna*, koło losu — wyjaśnił z kamienną twarzą Crean. — Szczęśliwi ci, którym pisany taki los!

Jak się ważysz mówić coś takiego! — syknęła Jeza. Bo może być jeszcze gorzej — odparł Crean. — Najlepiej nie patrzcie już na to.

Ani myślę — odpowiedziała Jeza — przecież to się i tak stanie, nawet gdy odwrócę oczy.

Pod spodem musi być umocowane koło — rzekł Rosz — którego szprychami są ludzie. Jego oś znajduje się niżej, ale obraca się nią za pomocą korby, wykorzystując w celu przełożenia sił koło zębate.

— Właśnie tak — potwierdził Crean — żaden specjalny wynalazek twojego przyjaciela Zewa!

Tymczasem tort, z którego ściekała już krew, zdobiły trzecia, czwarta i piąta głowa. Emir starał się zadawać wciąż to samo pytanie cierpliwym tonem, ale po trzech kolejnych głowach opuścił go niewzruszony spokój.—Przyznaj się, że przewodziłeś tej bandzie opryszków! — wrzasnął na dziewiątą głowę. Wtedy Chorezmijczyk, któremu spływała już po twarzy krew zabitych towarzyszy, ryknął:

—Przyznaję, że nienawidzę tego szatana, tego kłamcy przeinaczającego słowa Allaha i Proroka, tego fałszywego imama...—splunął w kierunku wielkiego mistrza — i chciałem go zabić, chcę tego nadal i kiedyś go...

Więcej nie zdążył powiedzieć, gdyż jeden ze sług przebił mu policzek. Kat zamierzył się, by zadać cios, ale wielki mistrz ze śmiechem podniósł dłoń. —Jego język jest zbyt cenny

— zawołał do sługi — ale zachowajcie mi resztę na deser!

Chorezmijczyk zniknął wewnątrz tortu, który słudzy, zasłaniając suknem, usunęli z sali, a tymczasem podano główne danie. Jedynie Rosz i Jeza nie tknęli zakąski. Wszyscy pozostali zjedli z dużym apetytem tłustą zupę z węgorkami, którą zawsze gotowano po opróżnieniu jeziora. Kiedy odsłonięto na powrót otwór obserwacyjny, opadała z niego tylko lina, podobnie było z innymi, nad którymi wisały dotąd żyrandole.

Imam ponownie klasnął w dłonie, a Hasan zawołał: —

*Fa-li-jusza! an-nur!** Na jego

znak liny powędrowały powoli w górę, a na każdej wisił pęk ludzkich ciał, ściśniętych w sieci o dużych oczkach. Ludzie przypominali błyszczące ryby wyciągnięte ze szlamu, ale

ich ciała pokrywała czarna oliwa. Kiedy sieci dotarły na wysokość, na której wisały poprzednio żyrandole, imam klasnął znowu. Wtedy do każdego pęku podeszli słudzy i przytknęli do nich pochodnie. Wszystkie stanęły natychmiast w płomieniach. Wrzask bólu żywych pochodni był wprost nie do zniesienia. Rozżarzone krople spadały w głąb kotła, ale sieci jeszcze trzymały, przedłużając śmiertelne męczarnie złączonych w grona ofiar. Płonęły one tak wysokim płomieniem, że słudzy musieli opuścić sieci, żeby nie zajęło się ogniem belkowanie pałacu ani kasetonowy sufit. W końcu oka sieci rozpuściły się od żaru i pierwsze ciała płonąc spadły w głąb kotła, a za nimi coraz szybciej następne ofiary, które w ten sposób szukały śmierci, pragnąc uniknąć piekielnych mąk. Niektórzy jednak zaplątali się w sieć i palili tak długo, aż wyczerpała się oliwa. Na koniec słudzy odcięli zwęglone sznury i reszta, sypiąc iskrami, zniknęła w otworze. Biesiadnicy siedzieli znowu w ciemności, dopóki zapalone żyrandole nie wróciły na swoje miejsce. Rozległy się huczne oklaski przeznaczone dla imama.

Sprzątnięto ze stołu główne danie. Jeza i Rosz siedzieli ciasno objęci, bladzi jak trupy.—Na deser — oznajmił Hasan — który damy pałacowe spożyją razem z nami, nasz władca zażyczył sobie obejrzeć prezentację możliwości sprawdzonej już *chorda laxans*.

Z boku za tronem wielkiego mistrza rozwarły się drzwi i do sali wślizgnął się szereg zakwefionych istot, które zajęły miejsce po lewicy imama. Po jego prawej stronie siedzieli Churszah, Zew Ibrahim oraz stary Herlin. Władca klasnął w dłonie i ponownie wjechał tort. Siedział na nim związany i oszczędzony poprzednio Chorezmijczyk.

Podobnie jak cały tort z obciętymi głowami, również on był oblany białą farbą. Za tortem kroczył kat. Jego szabla błyszczała tak samo jak nagi, posmarowany oliwą tułów.

Cóż to będzie za widowisko? — spytała Jeza Creana, ale ten wzruszył tylko ramionami.

Sam nie wiem. Przypuszczalnie niespodzianka zgotowana przez waszego przyjaciela

Zewa! — W jego głosie pobrzmiwało oburzenie. Chorezmijczykowi przywiązano do nóg linę, ale jeden ze sług podpalił przy tym przez nieostrożność ofiarę zbyt wcześnie,

dotykając jej pochodnią. Z potężnym hukiem wzbił się w górę biały obłok, w którym iskry tryskały niczym gwiazdy. *Chorda* zajęła się ogniem — języki płomieni pełzały

błyskawicznie jak wąż, obejmując grubą linę. Chorezmijczyk miał czerwoną pianę na

ustach. Wydał przeszywający do szpiku kości, nieartykułowany dźwięk — wyrwano mu przecież język — i otrząsnął się tak mocno, że płonący koniec liny przeleciał nad

głowami siedzących u stóp władcy i zapalił adamaszkowy obrus przykrywający stół biesiadny.

Jeniec wykorzystał zamieszanie i rzucił się głową naprzód w przepaść. Niebaczny sługa pozwolił sobie na akt buntu. On także cisnął pochodnię w kierunku imama, zanim

skoczył w ślad za Chorezmijczykiem. Kobiety zaczęły piszczeć, straż przyboczna

zduśliła ogień, zrzucając przy tym ze stołu płonący obrus wraz z zastawą. Imam uciekł

na górę po kręconych schodach, także kobiety zniknęły z powrotem w „raju”.

Zewie — rzekł Herlin do zasmuconego budowniczego — kto marnuje swoją zdolność poskramiania żywiołów i robi z tego zabawę, ten przestanie niebawem panować nad siłami natury i one go zabiją! Nie wierzę w duchy — odparł z wściekłością zagadnięty i ruszył w swoim krześle na kółkach. —Widzę tylko, że stałem się godnym pogardy narzędziem w ręku złego człowieka. Dotarł na skraj otworu. Herlin zerwał się na nogi i pośpieszył za nim. Zewie — przemówił — nie możesz w ten sposób wymknąć się duchom. Przebłagaj je, nie oddając się temu, co twe sumienie, o ile jeszcze je posiadasz, objawia ci jako zło. Nasze życie zbyt ściśle związane jest z życiem Róży, abyśmy zostawili ją samej sobie. Masz rację, Herlinie — budowniczy dał znak sługom, by wsadzili go do kosza i spuścili na linach — jesteśmy związani z Różą na dobre i na złe. Jestem skazany na to, by służyć jej do ostatka. — I Zew zniknął razem z koszem w czeluściach kotła. Ponieważ dzieci i Crean podeszli wcześniej do niego, słyszeli ostatnie słowa. — Teraz wiem — oświadczyła Jeza — że bezpośrednio pod „rajem” znajduje się piekło. Herlin długo na nią patrzył, nim odpowiedział: Pewnie będziecie musieli przejść przez piekło, zanim dotrzecie do raj. *Deus omnipotens** znaczy, że Bóg działa wszędzie, także w tym co złe i poprzez zło. Jego wszechmoc nie ogranicza się do królestwa dobra.

A co w takim razie z Królestwem Pokoju, które mamy przynieść? —

spytał z

wahaniem Rosz.

Wtedy przemówił Crean. —To odwieczne pragnienie ludzkości, za które warto walczyć.

Uściskał Rosza i Jezę, po czym pożegnał się z nimi słowami: Wszystko, cokolwiek

was spotka, traktujcie jako próby. Nie cel jest nagrodą, tylko droga do niego. Nie dajcie się zwieść pozorom!

-
- Czyhfejtydai — potomkowie Czyngis-chana.
 - Tengri — określenie Wiecznego Nieba; najwyższe bóstwo w szamanizmie mongolskim.
 - * L.S. — *locus sigilli* (łac); miejsce pieczęci, odpowiednik obecnej formułki „podpisano”.
 - * Marahid (arab.) — sekretne miejsce, toaleta.
 - Trebuzet — klasyczna machina miotająca (katapulta) z długim ramieniem na wysokim rusztowaniu.
 - Chorda laxans — elastyczna lina (przypuszczalnie dzięki kauczukowi i pochodnym ropy naftowej); znacznie poprawiała siłę wyrzutu machin oblężniczych.
 - * Apokryficzne (gr.-łac.) — ukryte.
 - * Blanchefort — nazwa lenna w Achai, które Jan Turnbull zostawił w spadku Creanowi.
 - Nom de guerre (fr.)—pseudonim, przydomek.
 - Ratio... (łac.) — na podstawie zarówno rozumowania, jak i doświadczenia.
 - * Sufi (arab.) — dosł.: odziany w wełnę; mistyk muzułmański, zwolennik sufizmu, doktryny muzułmańskiej, w której asceza i medytacja były drogą połączenia się z Bogiem.
 - * Fa-li-juszu... (arab.) — Niech się stanie światło!
 - Deus omnipotens (łac.) — Bóg wszechmocny.
-

IV .KURUŁTAJ

Krótko trwa lato w mongolskim stepie. Dlatego kurułtaj, wielki zjazd książąt, na który każde z wolnych plemion mongolskich wysłało swoich przywódców, wyznaczono na lipiec roku 1251. W głosowaniu mogli uczestniczyć wszyscy, co przybyli tłumnie, by wybrać ze swojego grona nowego wielkiego chana. Jako kandydaci wchodził jednak w rachubę tylko potomkowie wielkiego Czyngis-chana bądź jego braci i synów. Kto nie potrafił dowieść więzów krwi lub wzbudził wątpliwości w tej materii, ten nie miał szans

na zdobycie tytułu oraz związanej z nim władzy. Zbyt potężny i liczny był klan

Czyngisydów.

Zgromadzenie odbywało się w obozie polowym pod gołym niebem; wcale nie w stolicy

Karakorum, która nie byłaby nawet w stanie pomieścić tak licznych przybyszów. Poza

tym od tyłu uzbrojonych mężczyzn emanowała nieopisana siła, a tak przynajmniej

wzięcie w posiadanie miasta było zastrzeżone dla nowo wybranego wielkiego chana.

Ponadto każdy wolny Mongoł czuł się lepiej na otwartej przestrzeni stepu.

Jak sięgnąć okiem, jurta* tuliła się do jurty, zaprzęgi wołów i wozy na dużych kołach

stały jeden przy drugim, a konie tłoczyły się za ogrodzeniami z desek. W ciasnych

uliczkach obozu roiło się od przedstawicieli plemion, którzy na to wydarzenie,

obowiązek i święto zarazem, przyjeżdżali często z bardzo dalekich stron. Mimo to na

każdym kroku panował zaskakujący gościa z Zachodu porządek, nienaruszalne prawo

Jasy, nadane ludom przez założyciela imperium.

Andrzej z Longjumeau, dominikanin, dziwił się więc za każdym razem, ilekroć przybywał

do Mongołów jako poseł francuskiego króla bądź legat Ojca Świętego. Była to dla niego

już trzecia z takich męczących, trwających bez końca podróży i trzecia próba

osiągnięcia czegokolwiek dla dobra chrześcijaństwa u tych nieokrzesanych, butnych i

nieobliczalnych Tatarów. Mieli wysłać wojsko do Ziemi Świętej, żeby wreszcie wyrwać

na powrót Jeruzalem z rąk muzułmanów i zaprowadzić tam raz na zawsze panowanie

Jezusa Chrystusa. Oczekiwanie od Mongołów, że wyślą armię do kraju należącego

przypuszczalnie do „reszty świata”, nie było wcale takie szokujące, chociaż pomogliby w ten sposób chrześcijaństwu zwyciężyć inne religie. Zadawali sobie jednak proste

pytanie, dla kogo mają to zrobić. Ani papież jako najwyższy kapłan, ani król Francji

nigdy nie złożyli hołdu wielkiemu chanowi. Z początku ta niesubordynacja dziwiła wład-

ców mongolskich, ale gdy takie zachowanie się powtórzyło i nie dało już usprawiedliwić

niewiedzą, tylko najwidoczniej świadczyło o uporze, w którym trwała „reszta świata”, w Karakorum zaczęto patrzeć na to krzywym okiem. Podziwiać można było właściwie

tylko odwagę chrześcijańskich posłańców, którzy ciągle podejmowali się dalekiej podróży i wysuwali żądania, nie przywożąc żadnych konkretnych propozycji, a cóż dopiero mówić o kufrach wypełnionych darami.

Z tego powodu chrześcijańscy mnisi, przeważnie należący do franciszkanów lub dominikanów, cieszyli się na dworze wielkiego chana szczególnym poważaniem. Ich odwaga robiła wrażenie na Mongołach, którzy od początku swoich dziejów mieli do czynienia z ludami nawróconymi przez chrześcijańskich misjonarzy. Do ich jurty przychodzili najczęściej nestoriańscy kapłani. Mongołowie przywykli do ich zwyczajów tak samo jak nestorianie do biesiadnych zwyczajów Mongołów. Jednakże mnisi, którzy przybyli tym razem, okazali się inni. Bardziej ciekawscy i trudniejsi w obejściu, ba, uciążliwi! Andrzej z Longjumeau czuł, jak gospodarze świdrują go wzrokiem, i starając się nie dać poznać po sobie, co o nich myśli, zachowywał się zgoła nienaturalnie.

Tłumiona złość, pogarda i obrzydzenie podchodziły mu do gardła jak nie przetrawione do końca potrawy — miał tego pełny brzuch, przełyk, a nawet nos.

*A solis ortus cardine et usque terrae litem Christum cantamus principem natum Maria virgine**
Andrzej z Longjumeau odprawił mszę w paradnej jurcie księżnej Sorkaktani. Na jej życzenie zgodził się nawet odprawić ją w konkretnej intencji. Księżna nigdy nie

ukrywała, że nade wszystko pragnie, aby jej najstarszy syn został wybrany na wielkiego chana. Dla dominikanina wynik kurultaju był dosyć obojętny. Na kogokolwiek padnie wybór, każdy nowy władca będzie go traktował despotycznie, bez respektu i lekceważąco — może z jednym wyjątkiem. Dlatego zamienił już kilka grzecznych słów z najpoważniejszym, a właściwie nawet pewnym kandydatem, Sziremunem. Nie, żeby się zaprzyjaźnili, z tym fałszywym Mongołem nie wchodziło to w rachubę, dominikanin wyczuł jednak u podstarzałego księcia zainteresowanie, które wykraczało poza

zwyczajową wymianę uprzejmości. Tym, co zdaniem Andrzeja dało się wyłowić ze słów Sziremuna, nie była wcale chęć uzyskania pomocy zbrojnej czy, dajmy na to, pouczenia w kwestiach prawdziwej wiary. Sziremun wyznał mu raczej, że zamierza zrobić wiele dla upiększenia stolicy — kiedy już zostanie wybrany na wielkiego chana. Pokazał poźółkły rysunek tuszem przedstawiający katedrę w Chartres, przechowywany w skórzanym mieszku niczym relikwia. Takiej budowli sobie życzył. Pytał o użyty materiał, budowniczego i wartość budowli, której oczekiwał w darze od króla Francji. Ku swemu przerażeniu Andrzej odkrył, że Sziremun wyobraża sobie, iż katedra zostanie starannie rozebrana, przewieziona na grzbietach wielbłądów do Karakorum i tam kamień po kamieniu postawiona na nowo. Dominikanin połknął tę żabę, po czym uznał, że żądanie to oznacza przynajmniej widoczne zwrócenie się ku praktykowanemu katolicyzmowi, a tym samym zbędne stanie się również nieprzyjemne pytanie o hołd, który trzeba będzie złożyć. Dlatego ostrożnie zwrócił Sziremunowi uwagę, że o wiele szybciej można zbudować zupełnie nowy dom Boży jako kopię tamtego.

— Może trochę większy — zgodził się łaskawie Mongoł, lecz zaraz dodał: — Dzięki temu w środku będzie dość miejsca na ceremonię, kiedy król i papież będą nam składać hołd wiernopoddańczy! I tenże Sziremun chciał być wybrany na wielkiego chana! W takiej sytuacji Andrzej z Longjumeau, królewski poseł i papieski legat, mógł tylko prosić swojego Boga, żeby dał pierwszeństwo innemu kandydatowi.

Pomimo całej złości dominikaninowi przyszło więc bez trudu nadanie dobitnego tonu wyśpiewywanej właśnie intencji:

*Famulis tuis, quaesimus, Domine, caelestis gratiae munus impertire** Musnął wargami obrus ołtarza. Niech księżna Sorkaktani spokojnie sobie myśli, że jego modły odnoszą się do jej syna Móngkego, którego ni razu nie widział na oczy, co dowodziło jedynie tego, iż ów Móngke nigdy nie chodził na mszę. Naturalnie byli też Mongołowie, którzy

traktowali jak najbardziej poważnie swą chrześcijańską wiarę, choć przekazali im ją nestorianie, pełną błędów i absurdów. Należał do nich generał Kitboga, który był na mszy — na każdej mszy! — z najmłodszym synem, szesnastoletnim Kitonem. Stary rębajło przypominający potężną posturą niedźwiedzia pochodził rzekomo z rodu, do którego przodków zaliczał się jeden z trzech mędrców ze Wschodu, co było absolutnie możliwe, jako że w stosunku do Betlejem tenże Wschód leżał daleko na wschodzie. Na odprawiane codziennie msze chodziła też pilnie synowa księżnej. Opiekuńcza Dokuzchatun była żoną Hulagu i księżniczką karaimską, a więc chrześcijanką. Sprawując poselstwa Andrzej stwierdził z najwyższym zdumieniem, że na Wschodzie jest bardzo wiele „chrześcijańskich” sekt i Kościołów, które powołują się na Mesjasza lub w taki czy inny sposób czczą Jezusa Chrystusa, lecz żaden z nich nie dopuścił się tylu zgubnych w skutkach odstępstw co uczniowie tego Nestoriusza. Śpiewający właśnie psalmy dominikanin popatrzył z dezaprobatą na generała, widząc, że po raz kolejny sięga po kielich z mszalnym winem i pociąga spory łyk. Synowi pozwolił tylko umoczyć usta, po czym puścił naczynie w obieg, pili wszyscy!

Benedicta et venerabilis es,

Maria Virgo, quae hinc tactu pudoris

*irwenta es mater Sahatoris**

Księżna Sorkaktani dała kapłanowi władczy znak, żeby skończył. Andrzej wiedział, że bardzo jej spieszo, gdyż pragnie czym prędzej udać się na kurułtaj i zadbać o wybór pierworodnego syna na wielkiego chana.— *Dominus vobiscum** Nie mogła się doczekać, już uniosła fałdy odświętnej szaty.

— *Et cum spiritu tuo** — odpowiedzieli nestorianie. Andrzej, tłumiąc uśmiech, wyświadczył księżnej tę grzeczność i wydusił szybko:

— *Ite tnissa est**

Pobłogosławił rozchodzącą się już małą wspólnotę i ukląkł do cichej modlitwy, którą miał nadzieję przebłagać Zbawiciela, gdyż dla takiego pośpiesznego zakończenia nie było wytłumaczenia. Zamknął oczy, toteż nie widział, że do jurty wszedł Batu, potężny władca chanatu kipczackiego, i zatrzymał Sorkaktani. Kapłan słyszał jednak słowa, jakie skierował do matki Móngkego władca Złotej Ordy. Gruby Batu pociągnął ją za ołtarz i ozwał się do niej surowym tonem: -Księżno, jeśli zjawicie się na zgromadzeniu mężczyzn i zabierzecie głos, to takie same prawo do przemawiania przyzna sobie wdowa po Gujuku. Oguł Kajmysz może się powołać na swój przywilej, że jej mąż był ostatnim wielkim chanem i dlatego jest rzeczą słuszną i sprawiedliwą, żeby urząd objął jeden z jej synów, w miarę możliwości najmłodszy. Batu mówił w sposób klarowny i przemyślany, co wzbudziło w księżnej pewne podejrzenie, pozwoliła wszakże starcowi dokończyć. W dodatku Oguł Kajmysz przez ostatnie lata, czyli od śmierci Gujuka, sprawowała regencję. Ma w ręku cały dwór i wielu innych, znacie jej nepotyzm. Rzuci te wszystkie głosy przeciwko wam, jeśli dopuścimy do tego...

„My" to znaczy kto, mój drogi Batu? — odparła drwiąco Sorkaktani, by ukryć podejrzliwość. — Czy to Batu, syn Dżocziego? Kto mi zagwarantuje, że mogę liczyć na wasz głos? Dla was ten najwyższy tytuł mógłby oznaczać ukoronowanie waszego życia...

Mógłby — powtórzył Batu zdławionym głosem, gdyż księżna uderzyła w czułą strunę — ale na pewno zostaną wyciągnięte na światło dzienne wątpliwości co do małżeńskiego poczęcia mojego ojca. Możliwe, że nie jestem czystej krwi Czyngisydą! — Po czym dodał z goryczą: — Dlatego stworzyłem własne królestwo, w którym nie muszę stawać do wyboru. Złota Orda jest posłuszna moim rozkazom. Nie muszę już mieć godności chana wszystkich chanów, ale naród Mongołów pilnie potrzebuje władcy, który będzie

trzymał cugle mocną ręką. Dlatego zagłosuję na Móngkego! Modląc się dominikanin pochylił głowę i zatkał sobie uszy. Nie chciał nic więcej słyszeć.

Chętnie dam wam wiarę, Batu — odrzekła księżna łagodniej już nastawiona — ale nie chcę się narazić na zarzut, iż oddałam rywalom pole bez walki. Ostatecznie matka Sziremuna może na swoją korzyść wysunąć argument, że Ugedej wyznaczył jej syna na swego następcę. Co nie liczy się w świetle prawa, ale wpływa na nastroje—przyznał Batu. — I dlatego właśnie gorąco was proszę, byście nie upierali się przy swojej obecności, gdyż dzięki temu prowadzący elekcję, oddany nam najwyższy sędzia Bułgaj, będzie miał powód do wykluczenia z obrad wszystkich żon i matek!

To by się wam podobało! — oburzyła się księżna, lecz jej synowa, znacznie od niej młodsza Dokuz-chatun, która dotychczas stała obok bez słowa, uspokajającym gestem położyła jej rękę na ramieniu. Nie martwcie się o wpływy kobiet. Teraz ważne jest tylko to, żeby nasi mężczyźni zajęli właściwe pozycje. Zaufajcie Batu!

Księżna długo walczyła ze sobą, zanim oznajmiła głośno: —

Przemawianie na

kurultaju i uczestniczenie w wyborze jest wyłącznie sprawą mężczyzn. My, kobiety, zdajemy się na ich niezawodny wyrok, na który będziemy oczekiwać w swoich jurtach. Rozpoczął się kurultaj i stróże porządku podlegli najwyższemu sędziemu Bułgajowi, których można było poznać po zielonych spodniach i pomarańczowych kaftanach, bezwzględnie dbali o to, żeby wszystkie matki książąt z rodu ubiegających się o wybór Czyngisydów nie miały wstępu na obrady. To psuło naturalnie krew. Księżna Oguł Kajmysz, która dotychczas robiła, co chciała, jako regentka, a sprzeciwianie się jej rozkazom nie było wskazane, wściekała się i próbowała siłą, przy pomocy swojej gwardii klanowej, dostać się na zgromadzenie wyborcze. Wówczas ludzie Bułgaja

zamknęli ją w przedsionku namiotu audiencyjnego, a jej gwardzistom obcięli głowy.

Matka Sziremuna tym bardziej nie ośmieliła się już zbuntować, tylko przyłączyła się do młodszej Oguł Kajmysz, która — poniekąd na znak hołdu — oddała jej do dyspozycji własną, nie zdekapitowaną, gwardię klanową. Szpiedzy Bułgaja nie spuszczali jednak z oczu obu kobiet, a strażnicy odpowiadali za to, żeby nikt nie zbliżył się do nich na odległość głosu, dopóki wynik elekcji nie będzie przesądzony.

Zgodnie z przewidywaniami głosy za i przeciw ścierały się z początku długo wokół kwestii proceduralnej: czy zastosować już dawno złamaną zasadę „ultimogenitury”, czyli wyboru najmłodszego, czy też powinna obowiązywać zasada „primogenitury”, w myśl której władcą zostawał najstarszy, a tym samym najbardziej doświadczony? Batu zaproponował salomonowy kompromis, wyraźnie przykrojony do jego faworyta.

Szanowany przez większość i wzbudzający postrach u reszty zwierzchnik Złotej Ordy oświadczył:

— Tołuj był najmłodszym synem protoplasty naszego rodu, wielkiego Temudżyna, który jako Czyngis-chan zjednoczył plemiona mongolskie, i on został pominięty, co więcej, poświęcił się, oddał życie za brata. Słuszne więc jest pozwolić wykazać się dzisiaj jego klanowi. Mamy do wyboru czterech jego synów, a każdy stoi wiernie za najstarszym bratem. Dorównajmy im w lojalności.

Batu zręcznie pokierował swoją mową, gdyż stawiała ona w złym świetle synów Gujuka i Oguł Kajmysz, którzy byli między sobą skłócen i zazdrościli sobie nawzajem.

Opowiedziawszy się po stronie synów Tołuja i Sorkaktani, oszczędził Mongołom kłopotu, którego wszyscy się obawiali, czyli wybierania z konieczności starego chana.

Znali bowiem pogłoskę, że wielkiemu Czyngis-chanowi w młodości, kiedy wcale jeszcze nie był chanem wszystkich chanów, porwano żonę, która była już w ciąży, kiedy wreszcie udało mu się ją uwolnić. Potem urodziła mu syna, Dżociego, a ten został

ojcem Batu. Możliwe, że Czyngis-chan nie wyznaczył najstarszego syna na swego następcę z powodu niewyjaśnionego pochodzenia. A skoro Batu angażował się na rzecz bratanka zamiast własnego syna, to z pewnością tak było dobrze. Wobec podobnych nastrojów, szerzących się szybko wśród zgromadzonych, Sziremun nie mógł już sobie czynić zbyt wielkich nadziei. Nie, żeby go nie szanowano. Niektórzy Mongołowie uważali, że dzieje mu się niesprawiedliwość, skoro własny klan nie staje w obronie jego praw. Sziremun znosił to z godnością, lecz ciągłe skargi matki bardziej mu zaszkodziły, niż pomogły. „Ach, biedak”, szeptało za jego plecami. Temu wszystkiemu Sziremun pragnął po męsku położyć kres. Wstał, ku zdziwieniu wszystkich podszedł do Batu i go uściskał.

Andrzej z Longjumeau czekał w jurcie księżnej Sorkaktani, kiedy wreszcie zostanie wybrany „chagan”, wielki chan, ażeby on, Andrzej, mógł jak najszybciej wystarać się o audiencję i przekazać mu posłanie od króla i papieża, a potem w końcu pożegnać ten kraj, raz na zawsze...!

Księżna również czekała. Przyłączyły się do niej żona Móngkego, Kokoktaj-chatun, oraz Irina, żona generała Kitbogi. Wszystkie pochodziły z Karaimów i dlatego były nader pobożnymi nestoriankami. Zbyt jednak zniecierpliwione, nie potrafiły modlić się w tym momencie. Bardziej, by zwalczyć nerwowość, niż z ciekawości księżna zwróciła się do posłańca. —

Opowiedzcie nam coś o młodej parze książęcej bez korony, tych

„dzieciach króla Graala”, które tak gorliwie czcicie w „reszcie świata”, choć wami nie rządzą. Czy jest tak jak u nas, że kurułtaj musi je najpierw ogłosić władcami? Andrzej

natychmiast pojął, o kogo zagadnęła go mongolska księżna. Zmieszało go to pytanie.

Czy ma po prostu zaprzeczyć istnieniu Rosza i Jezy? Ale to mogłoby mu zupełnie

odebrać wiarygodność w oczach Sorkaktani, która najwidoczniej była dobrze

poinformowana. Czy powinien uwydatnić różnicę między *Ecclesiae catholicae** a

heretyckim Gra-alem? To prowadziłoby zbyt daleko. Dlatego odpowiedział: Kwestia ta nie jest uregulowana tak jednolicie jak u was. Istnieje władza pochodząca od Boga i sprawuje ją Ojciec Święty, nasz papież, tudzież król Francji, również panujący z woli Boga... — Andrzej zastanawiał się usilnie. — I wybiera się króla niemieckiego, którego papież, i tylko papież, może namaścić na cesarza.

A dzieci Graala? — księżna obstawała przy swoim pytaniu. Nie mogą dowieść, że w ich żyłach płynie krew królewska — odparł Andrzej — dlatego nikt ich nie chce, Kościół...

A czy papież ma w swoich żyłach królewską krew? — drążyła Sorkaktani. — Czy jest żonaty z chrześcijanką? Nie, ależ nie! — przeraził się dominikanin.—Papież jest wybierany i jest święty, nie ma żony... Jak wobec tego może pochodzić z tej samej świętej rodziny? Chyba że każdy może zostać papieżem bez udowadniania, że w jego żyłach płynie krew królewska?

Andrzej złapał się za głowę z wianuszkiem rzadkich włosów okalających tonsurę.

Każdy, kto poświęcił życie Chrystusowi! A więc również wy, Andrzeju — stwierdziła zyczliwie księżna. — Ale co z tą parą królewską? Dlaczego unikacie tematu jak ognia, skoro nie mają w żyłach krwi królewskiej, nie są świętymi ani dziećmi papieża i nie pochodzą ze świętej rodziny? Jeśli więc nie mogą sobie rościć pretensji do władzy, dlaczego ich nie zgładzicie?

To... to jest trudne — wyjąkał Andrzej — istnieje wszakże siła, która je chroni; jest wielu takich, co wierzą w istnienie Graala i jego potęgę. Ja jednak powiadam: On nie istnieje!

A one są największymi wrogami Kościoła! Ach tak — uśmiechnęła się księżna — a jak to możliwe, jeśli nie posiadają królestwa ani armii?

Roszczą sobie pretensje do panowania nad wszystkimi... —

Nad całym światem?

— nie dowierzała. Andrzej skinął głową. Do władzy duchowej — próbował wyjaśnić —

która przysługuje jedynie papieżowi. Ho, ho! — zadrwiła księżna. — Papieżowi? A któż przyznał mu to prawo? — W jej głosie pobrzmiewała teraz niemal groźba. — Może właśnie roszczenia potomków Graala są bardziej uzasadnione, niż chcecie to przyznać? Wydaje mi się, że pora już zaprowadzić u was porządek, a jest tylko jeden porządek, prawo stworzone przez Czyngis-chana. I jemu powinny się też poddać te królewiatka, jeśli są mądre. Powinny przyjść do nas, przekażcie im to!

Posel nie ośmielił się zaprotestować. Czemu w ogóle wdał się w tę okropną dysputę! Pomódlmy się — rzekł stanowczo, chcąc wzmocnić na powrót swoją pozycję i pozycję Kościoła. Nie — odpowiedziała księżna — będziemy pić!

Na zewnątrz dały się słyszeć okrzyki, które brzmiały jak „Chagan! Chagan!” Ale po chwili zapadła cisza. Czyżby ta elekcja miała się nigdy nie skończyć? —

Zostawcie nas teraz same! — rozkazała księżna i dała znak strażnikom. — Posel papieża chciałby dostąpić audiencji! — szydziła. — W kwestii, kto powinien rządzić na tym świecie!

Strażnicy chwycili dominikanina i wyprowadzili z sali. Andrzej zaczął się już lękać o swoje życie, ale powiedli go do nadal pustego namiotu audiencyjnego i wskazali mu boczne pomieszczenie, które nie miało otworu w ścianie zewnętrznej. W przedsionku siedzieli matka i synowie Gujuka oraz Sziremuna. Byli sami. Przed każdym wyjściem stali strażnicy. Kobiety wyzierały na zewnątrz, próbując się zorientować, jak przebiegają obrady. Upewniwszy się, że uzyska aklamację, Móngke się uparł, iż przedstawi zgromadzonym zarysy programu swoich rządów. Mówił głośno i wyraźnie, więc niektóre zdania docierały też do tych, którzy musieli sprawować służbę na obrzeżach placu. —

Testament mojego dziada — zawołał — to nie jest wygodne dziedzictwo polegające na zarządzaniu własnością, tylko misja jej pomnażania i rozszerzania, tak aby cały świat

padł do naszych stóp! Następnie przedstawił słuchającym jak urzeczeni Mongołom swoją koncepcję. Jego brat Kubiłaj ujarzmił Chiny, Hulagu Persję i „resztę świata”, podbój Rosji zaś składał w ręce wypróbowanego w bojach kuzyna Batu. On sam z Arykiem Bóge u boku będzie rządził na terenach rdzennie mongolskich i zmusi ostatnie buntownicze leśne ludy Syberii tudzież „ludzi z gór” na północnym wschodzie do podporządkowania się prawu. Do tych przedsięwzięć każde plemię ma wystawić dziesiątą część swoich wojsk, kiedy i gdzie Móngke uzna to za stosowne. Wtedy zgromadzeni poczuli wydawać radosne okrzyki na jego cześć i nazywać go „chaganem”. Móngke został więc wielkim chanem. I natychmiast kazał obwieścić, że z okazji swego wyboru wydaje wieczorem wielką ucztę. Wszyscy cieszyli się już na tę pijatykę. Ale nie dwie matki, których synowie wyszli z pustymi rękami. Podstępna Oguł Kajmysz i przywiązana do niej, niemądra matka Sziremuna knuły zemstę. Także Andrzej w swym ciasnym pomieszczeniu usłyszał radosną wrzawę i okrzyki „Chagan! Chagan!” Z wściekłością zażądał więc od strażników, żeby mu powiedzieli, kto w końcu został wybrany na wielkiego chana, pragnie bowiem być przez niego przyjęty na audiencji, jak przystoi posłowi Ojca Świętego i francuskiego króla Ludwika. Domagał się tego dosyć głośno. Strażnicy szczerzyli zęby i urządzili sobie zabawę, pozostawiając go w niepewności. Sugerowali, że procedura wyborcza wcale się jeszcze nie skończyła, a o wynikach będzie można mówić dopiero po wielkiej pijatyce. Chaganem zostanie ten, kto nie stoczy się pod stół, tylko utrzyma najdłużej na nogach! Skręcali się ze śmiechu i cieszyli z jego dzikich złorzeczeń nie mniej niż z perspektywy wieczornego pijaństwa.

Kiedy Andrzej zrozumiał wreszcie, że nic nie wskóra u tych nieokrzesanych prostaków, w jednej chwili zamilkł. Z przedsionka dobiegały ciche głosy kobiet. Przyłożywszy ucho do ściany namiotu, dominikanin usłyszał jeszcze wyraźnie szept Oguł Kajmysz.

— Kiedy wszyscy będą pijani, twoi ludzie wtargną do paradnego namiotu i... bez

wyjątku! Nie oszczędzą nikogo!

Ponieważ wybrano już wielkiego chana, najwyższy sędzia Bułgaj uznał, że nie ma powodu przetrzymywać obu dam wraz ze świtą. Oguł Kajmysz z podniesioną głową, nosem pobielającym z wściekłości i sercem czarnym od nienawiści i żądy odwetu wypadła z namiotu audiencyjnego i zażądała natychmiastowego widzenia ze swoimi synami.

Kiedy także teraz nie wypuszczono Andrzeja z Longjumeau, ów dostał szału. To wrzeszczał, jakby go obdzierano ze skóry, to znowu płakał i skarżył się na swój los. Choć zły był jak wszyscy diabli, wystrzegał się jednak przeklinania bądź obrażania w inny sposób Mongołów czy wręcz wielkiego chana. Strategia ta okazała się skuteczna.

Ata al-Mulk Dżu-wajni, muzułmański szambelan Hulagu, usłyszał jego wrzaski zakłócające świąteczny nastrój i zameldował swemu panu o niestosownym zachowaniu chrześcijańskiego posła. Hulagu, napomniany już przez żonę, żeby potraktował przedstawiciela Ojca Świętego z większą życzliwością, zwrócił się do Aryka Bóge.

Braciszku, to ty palisz się wprost do tego, żeby wypuścić cię na „resztę świata”. Może więc tytułem próby udzieliłbyś panu posłowi audiencji, która raz na zawsze wyleczy go z

ciągotek, żeby nas pouczać. Hulagu, mówisz do mnie tak, jakbym był młodym psem, który kąsa po łydkach posłów papieża! —Aryk Bóge był obrażony, i to podwójnie, bo nie udało mu się przekonać starszych braci, by również jemu powierzyli do podbicia kawałek świata, czego pragnął z całej duszy. A teraz Hulagu rzucał mu tę kość.

Tylko nie skarż się potem na mnie! — warknął Aryk Bóge. -Kąsam nader mocno!

I pobiegł wściekły do dużego namiotu audiencyjnego naprzeciwko, czując jeszcze na karku grzmiący śmiech generała Kitbogi. Staremu rębajle łatwo było się śmiać. To przecież on poprowadzi właściwą wyprawę zbrojną, którą tak bardzo pragnął dowodzić Aryk Bóge. Książę wpadł do sali audiencyjnej, jego gwardia przyboczna ledwie mogła

za nim dążyć. Aryk Bóge zawahał się jednak chwilę, kiedy ujrzał na podwyższeniu przy ścianie czołowej tron wielkiego chana. Lepiej na nim nie siadać. Dysząc ciężko, stanął więc obok tronu, jakby mimochodem położył rękę na oparciu i kazał wprowadzić posła. Andrzej z Longjumeau wszedł do sali zajmującej większą część namiotu, w którym był trzymany przez cały dzień niczym jeniec. Miał do przejścia długą drogę do tronu między groźnie wyglądającymi żołnierzami gwardii, którzy utworzyli szpaler. Dostrzegł także młodego księcia, który w otoczeniu paru dostojników rozmawiał z ożywieniem z Dżuwajnim. Hulagu wysłał szambelana za bratem z poleceniem, żeby nie dopuścił do skandalu. Widok ten dodał dominikaninowi odwagi i sprawił, że jego gniew się ulotnił. Sprężystym krokiem Andrzej ruszył przed siebie i złożył głęboki ukłon młodemu Arykowi Bóge, którego nie znał z widzenia, albowiem żaden z synów Sorkaktani nigdy nie brał udziału w jego mszach. Odchrząknął, gdy zauważył, że jego pojawienie się nie wzbudziło najmniejszego zainteresowania, po czym zaśpiewał mocnym głosem:

*Alleluia, Alleluia. Assumpta est Maria in coelum: gaudet exercitus angelorum. Alleluia.**

Mongołowie odwrócili się ku niemu zdumieni i rozbawieni zarazem, a wtedy poseł rzekł uroczyście:

— Bądźcie pozdrowieni, książę, a wraz z wami cały zacny naród Mongołów. Tłumacz przekazał treść jego słów Arykowi Bóge, ów zaś uśmiechnął się, toteż Andrzej, nie

zwlekając, ciągnął: — Zwierzchnik chrześcijaństwa, Ojciec Święty w Rzymie, *pontifex maximus* papież Innocenty IV i jego pierwszy paladyn Ludwik, król Francji, zapytują was przeze mnie...

W tym miejscu Aryk Bóge przerwał mu grubiańsko. —

Nie powinni pytać! —

burknął. — Ten ojciec i jego syn paladyn powinni łaskawie przybyć tutaj i złożyć hołd nowemu chaganowi wszystkich Mongołów, jeśli chcą zachować na głowach swoje korony!

Szambelan próbował ułagodzić księcia. Już przedtem daremnie podpowiedział mu szeptem poprawne nazwy i tytuły, jakie noszą *pontifex maxvms* i Ludwik. Aryk Bóge zignorował jednak jego podpowiedz i kazał przez tłumacza oznajmić: —A jeśli owi książęta dłużej będą zwlekać i kraść nam czas pytaniami, prośbami i żadaniami, to przeniesiemy pożogę wojenną na nich, ich rodziny i ich kraje. — Spojrzał zdziwionym wzrokiem na Andrzeja, który uklęknąwszy pochylił głowę, i dodał: — I wtedy będziemy przyjmować jedynie hołdy świętych głów!

W rozpaczy Andrzej ponownie zaintonował pieśń maryjną:

*Omnipotens sempiterne Deus, qui in corde beatae Mariae Virginis dignum Spiritus Sancti habitaculum praeparasti!**

Aryk Bóge uznał, że to objaw szyderstwa. Wyrwał szablę z pochwy jednemu z gwardzistów, ale tym razem szambelan zdobył się na odwagę i chwycił go za ramię. — To pełnomocny poseł—napomniął go cicho. — Prawo do wysłania go na tamten świat jest zawarowane jedynie dla wielkiego chana. Kiedy zmiarkował, że Aryk Bóge nie rozumie, czemu wstawia się za przekornym cudzoziemcem, a nawet ma mu to za złe, dodał szeptem: —

Jeśli chcecie kogoś zabić, to weźcie moje życie, byle krew tego niemądrego chrześcijanina nie splamiła honoru narodu mongolskiego!

To zadecydowało. Aryk Boge odrzucił szablę żołnierzowi, który ją nosił, i wypadł z sali, mijając leżącego na brzuchu dominikanina; jego gwardia przyboczna podążyła za nim biegiem. Andrzej uniósł głowę i powiódł błędnym spojrzeniem po twarzach obecnych. — Więc kto jest wielkim chanem? Chcę stanąć przed nim i złożyć świadectwo mego Zbawiciela.

Ata al-Mulk Dżuwajni uznał stan jego ducha za bardzo poważny. Dlatego posłał po najwyższego sędziego i pozostał przy Andrzeju, dopóki nie przyszli stróże porządku

Bułgaja i nie wyprowadzili dominikanina, który w swym pomieszeniu znów zaczął śpiewać łamiącym się głosem:

*Alleluia, Alleluia. Salve Mater misericordiae, Mater spei et gratiae, o Maria. Alleluia**

W dużym namiocie paradnym, do którego przylegało jeden przy drugim, niczym kurczęta garnące się do kwoki, wiele mniejszych, rozniesiono tymczasem potrawy. W uliczkach między namiotami obracały się różna, nad ogniskami piekły się woły i barany wszelkich rozmiarów aż po młode jagnięta. Słudzy przynieśli konwie i dzbany z miodem i kumysem, ulubionym napojem wszystkich Mongołów, bo najszybciej szedł do głowy. Każdy uczestnik uczyty musiał wcześniej oddać broń. Stróże porządku Bułgaja rozpięli liny, otaczając pierścieniem namioty, na stołach piętrzyły się odebrane sztylety. Mimo tych obowiązujących wszystkich bez wyjątku, surowych zarządzeń co jakiś czas ogłaszano donośnie, że każdy, kto zostanie złapany z bronią przy sobie w obrębie ogrodzenia, musi umrzeć — w głównym namiocie najwyższy sędzia otoczył wielkiego chana, jego klan oraz najbliższych przyjaciół jeszcze jednym potrójnym kordonem. Bułgaj prowadził niebezpieczną grę. Wiedział od swoich szpiegów, że ludzie z klanu regentki i pewnie także z gwardii Sziremuna planują zamach późną nocą. Na pewno jednak nie znał wszystkich twarzy, można też było przyjąć, że Oguł Kajmysz nie skąpiła obietnic, żeby zyskać nowych spiskowców i skrytobójców. Naturalnie mógł ją ponownie zatrzymać i izolować od popleczników, ale akurat tego nie chciał robić. Dlatego wbił do głowy swoim ludziom na obrzeżach pierścienia, by nie rewidowali nikogo w poszukiwaniu ukrytej broni. Ci, którzy chcieli pozbyć się broni, kładli ją na stołach poza ogrodzeniem, ale kto przeszedł, nie oddając broni, tego powinni mieć na oku, by móc go pojmać — wyłącznie na jego rozkaz, nigdy wcześniej! Bułgaj miał nadzieję, że w ten sposób udowodni wielu udział w spisku, przyłapawszy ich z bronią w rękę. Nie zamierzał bowiem wcale udaremniać zamachu, chciał tylko zniszczyć raz na zawsze

klikę Oguł Kajmysz. Najwyższy sędzia zmobilizował wszystkich swoich ludzi, jedni byli rozpoznawalni jako stróże porządku, inni jako szpiedzy byli zaś w przebraniu. W namiocie, z którego kierował operacją, czekali w pogotowiu jego najlepsi kaci.

Gdy Sziremun zobaczył katów ostrzających topory, dusza uciekła mu w pięty; miał jednak zarazem potwierdzenie słuszności swego kroku. Udał się do namiotu Bułgaja, bo słyszał o niecnym planie regentki — chociaż przezornie go nie wtajemniczono. Czuł jednak w swoim najbliższym otoczeniu, że zbiera się na jakąś burzę, a swoje podejrzenia przedstawił umie najwyższemu sędziemu. Ten powiedział: — Dobrze, że przyszliście, Sziremunie, w przeciwnym razie musiał bym was zaliczyć do inicjatorów spisku. Idźcie teraz do namiotu i złożcie wizytę Móngkemu, bo wasza nieobecność będzie przemawiać przeciwko wam! Pijcie z nim i zdajcie się na moją czujność.

Tymczasem zebrano ze stołów naczynia po głównych daniach. Jak dowodziły potężne beknięcia, jedzenie wszystkim smakowało, a teraz należało solidnie przepłukać gardło po tych tłustych i słonych potrawach. Wystąpili kuglarze, perscy połykacze ognia z Isfahanu, ormiańscy sztukmistrze, gruzińscy tancerze z szablami i fakirzy znad Gangesu, którzy wyprawiali okropne rzeczy ze swymi wychudzonymi ciałami, nie odnosząc wszakże widocznych obrażeń. Inni dmąc w szałamaje, przygrywali kobrom do tańca, a mocne w biodrach Czerkieski kręciły jędrnymi pośladkami, rywalizując z kobietami z dalekiego Maghrebu, które rytmicznie poruszały brzuchami i kołysały biodrami i przy wtórze bębenków przybierały nawet nieprzyzwoite pozy.

Po bokach Móngkego zajęli miejsca jego bracia i prawie wszyscy kuzyni, wujowie i inni krewni, którzy zaangażowali się w jego wybór lub przynajmniej tak udawali. Kiedy zjawił się Sziremun, przepijali do niego, a za karę za spóźnienie musiał wychylić trzy kufle jeden po drugim. W nagrodę Hulagu pozwolił mu jeszcze raz wysłuchać pysznej historii

o tym, „jak Aryk Bóge przyjmował posła”. Jego pierwsze wystąpienie w polityce światowej już dawno wyszło mu bokiem, ale szambelan Dżuwajni wykazał się taktem oraz sporym talentem parodystycznym. Odegrał „audiencję” z podziałem na role, przy czym największy aplauz zyskały jego popisy śpiewacze, kiedy naśladował biednego Andrzeja. Wszyscy, a w pierwszej kolejności generał Kitboga, klepali się z uciechy po udach i ryczeli ze śmiechu, gdy Dżuwajni, który na co dzień uchodził za człowieka pozbawionego humoru i ożywiał się co najwyżej przy roztrząsaniu kwestii muzułmańskiej ortodoksji, wykonywał teraz „Ave Maria” falsetem właściwym eunuchom. Kres tej hałaśliwej wesołości położyła dopiero Dokuz-chatun, która razem z żoną Móngkego i innymi kobietami siedziała trochę z tyłu za mężczyznami; teraz zganiła swego męża Hulagu przypominając mu, żeby łaskawie miał większy wzgląd na jej chrześcijańskie wyznanie. Na te słowa gburowaty Kitboga tak walnął szambelana otwartą dłonią w plecy, że temu utknął w gardle piskliwy tryl, a on sam omal się nie stoczył po schodach z empory.

W tym momencie wszedł Baru, a za nim jego syn Sartak. Popychał przed sobą jakiegoś obcego księcia, wysoką postać o śmiałym spojrzeniu, widać było po nim, że nie lęka się żadnej klingi. — To jest Aleksander Newski! — zawołał do Móngkego, swego bratanka. — Właśnie przybył, chaganie, żeby jutro rano złożyć wam hołd.

Książę kijowski zgiął kolano i pozdrowił obecnych. —

Pomyślałem więc sobie —

zaśmiał się hałaśliwie Baru, który zdążył się napić, zanim wywołano go z namiotu — że od razu przyprowadzę go przed wasze oblicze, to natychmiast złoży kotau i będzie mógł ucztować z nami! Wzrok Móngkego spoczął z upodobaniem na księciu, który nie bał się dalekiej podróży i wydawał mu się człowiekiem mądrym i odważnym. — Pragniecie mi

się podporządkować i walczyć u mego boku jako mój wasal?

Aleksander Newski popatrzył wielkiemu chanowi w oczy. Po to przyjechałem — rzekł z naciskiem i już chciał się rzucić przed tronem na ziemię, ale Móngke czym prędzej go powstrzymał. Zadość mojej woli uczyniliście waszym słowem — powiedział głośno. — Trybut i obowiązek wojskowy jako wasal będziecie składać i tak mojemu szanownemu stryjowi Baru, mnie więc wystarczy widzieć w was przyjaciela. Pijcie z nami! Mówiąc to pociągnął Newskiego i posadził obok siebie. A potem pili i pili.

Grubo po północy spiskowcy — zgodnie z rozkazem Oguł Kajmysz — zaczęli przenikać z bocznych namiotów do głównego. Udawali pijanych w sztok, co wśród Mongołów nie było niczym nagannym. Starali się przedrzeć przez tłum pijących do empory, by dostać się bezpośrednio w pobliże wielkiego chana i jego przyjaciół. Tam zamierzali jednocześnie wyciągnąć sztylety i rzucić się na władcę ze wszystkich stron. Jeden z nich na pewno osiągnie cel, czyli serce Móngkego, gdyż straż przyboczna nie miała tak wielu ramion, a i strażnicy wydawali się już mocno podchmieleni. Zamachowcy nie protestowali, kiedy pijani chwyтали ich za dłonie, czkając, śmiejąc się życzliwie i żartując, brali pod rękę i ciągnęli ze sobą. Ale kiedy chcieli pozbyć się przypadkowych kompanów, uchwyty zamieniły się nagle w żelazne klamry, błyskawicznym ruchem wykręcono im ramiona do tyłu i spokojnie wyprowadzono ich z głównego namiotu do stołów, gdzie leżała broń. Tam przekazano ich stróżom porządku Bułgaja, ale uchwyty wcale nie zelżały. Po związaniu im rąk na plecach obmacano ich, szukając ukrytej broni. Kiedy znaleziono sztylet, jego właściciela od razu wyprowadzano za namioty, gdzie panowały ciemności. Stali już tam w pogotowiu kaci najwyższego sędziego. Scenerię oświetlał jedynie słaby blask pochodni ich pomocników. Kopnięcie z tyłu pod kolana, a w chwilę później szabla wznosiła się do uderzenia i cięła, głowa spadała w piasek, tułów zaś usuwano na bok. Metoda ta przynosiła znakomite wyniki, a dowodem

była rosnąca sterta głów. Nikt nie protestował, także żadnemu z członków gwardii klanowej Oguł Kajmysz nie udało się dostać nawet w pobliże empory, na której ucztowali Móngke i jego przyjaciele. Bardzo ubolewali nad tym strażnicy przyboczni chagana, bo nic nie wypili, nawet kropli, mieli więc szczerą nadzieję, że przynajmniej paru zamachowców zdoła się tam przedrzeć i na nich będą mogli wyładować rosnącą złość.

Kiedy najwyższy sędzia uznał, że usunął zagrożenie, rozkazał zabrać ze swoich jurty regentkę i matkę Sziremuna wraz ze świtą i przyprowadzić na miejsce egzekucji. — Sprawdźcie, Oguł Kajmysz — szydził Bułgaj, zmuszając ją do popatrzenia na głowy — czy jeszcze kogoś nie brakuje! Następnie polecił związać ją i wszystkich, co jej towarzyszyli. Ponieważ Oguł Kajmysz odmawiała odpowiedzi, najwyższy sędzia zażądał, by dodano kilka głów z jej świty, synowie księżnej zostali jednak oszczędzeni. Z przerażeniem musieli się przyglądać, jak ich przyjaciele tracą życie.

W końcu regentka przemogła się i wydusiła: —

Nie brakuje mi już nikogo.

Najwyższy sędzia był zadowolony ze swojej pracy. Udał się do namiotu, gdzie odbywała się uczta, i długo rozmawiał szeptem z wielkim chanem, zanim oddalił się równie niepostrzeżenie, jak się zjawił. Móngke nie wstał, tylko siedząc poinformował o tym, co się wydarzyło, najbliższe otoczenie, braci i chana Złotej Ordy. W tym pierwszym, choć smutnym akcie jego rządów najważniejsza była dlań zapewne aprobatą ze strony Batu.

Wcześniej pożegnał jednak kobiety, życząc im dobrej nocy. Kiedy wyszły, Móngke zwrócił się do swego gościa, ruskiego księcia, jakby musiał mu wyjaśnić, co się stało, i rzekł spokojnie: —

Ci, co nie umieli przegrać, podjęli próbę zawrócenia koła

dziejów. Zlekceważyli wyrażoną na kurułtaju wolę ludu Mongołów, który wybrał mnie na

swego wielkiego chana. Wtargnęli do tego namiotu, żeby mnie zgładzić. Zamilkł na chwilę, tak by jego oświadczenie zrobiło wrażenie — nikt nie wydawał się szczególnie wystraszony — po czym ciągnął: —Każdy, kto przyłożył rękę do spisku, musiał zapłacić gardłem.

Wyroki zostały już wykonane. Sziremun, jedyny, który widział, że w sali się coś działo, pobladł. Podżegające do zbrodni kobiety, przez małżeństwo spowinowacone z rodem Czyngisydów, przyznały się do winy. Odbędziemy nad nimi sąd. Do tego czasu będą musiały zachować milczenie. Sziremun zdumiał się. Zatem jego niemądra matka znajdowała się jeszcze wśród żyjących. Nie był pewien, czy powinien jej tego życzyć. Beneficjentami spisku mieli być przypuszczalnie synowie Gujuka — albo wiedzieli o nim, tylko go tolerowali, albo może wręcz popierali. Są jednak potomkami Czyngis-chana i dlatego nie tknie ich ręka kata, ale chcę, żeby teraz bez zwłoki zostali skazani na wygnanie i żeby nie przyjął ich już żaden klan Mongołów. Mądry wyrok — ozwał się Batu, przerywając milczenie — a zarazem przykład na to, ile różnych trosk złożonych bywa na barki władcy. Powinniśmy wypić za twoje rządy, Móngke, gdyż miłuję cię jak własnego syna. Za twoją pomyślność i długie panowanie!

Kiedy wypili, Aleksander Newski podniósł swój puchar i rzekł: —Pragnąłbym dodać jeszcze życzenia szczęścia, gdyż szczęścia nie można zdobyć. Jest darem od Boga!

A potem pili i pili.

Zaraz po „audiencji” ludzie Bułgaja zaprowadzili Andrzeja z Longjumeau do pomieszczenia, w którym mieszkał poprzednio. Tym razem natychmiast usnął z wyczerpania i głodu. Obudził się dopiero późną nocą, gdy ponownie zamknięto kobiety w przedsionku namiotu. Ponieważ drzwi były otwarte, rozpoznał po stroju regentkę Oguł Kajmysz i matkę Sziremuna wraz z damami dworu, które były przy nich już rano.

Słyszał ciche popłakiwanie i tłumiony szloch, lecz niezbyt go to wzruszało. Chciał wreszcie wiedzieć, kto jest nowym wielkim chanem. Jako że strażnicy stali przed namiotem audiencyjnym, odwróceniem plecami do jego wnętrza, zdobył się na odwagę i wślizgnął do sąsiedniego pomieszczenia. Rozległy się spłoszone posykiwania przypominające pierdnięcia — Andrzej zawstydzony się tego porównania — przeląkł się jednak okropnie, kiedy zobaczył, skąd dobiegają. Spod czepków zwróciły się ku niemu wykrzywione, przerażające maski. Tam gdzie dawniej znajdowały się usta, rysowało się krwawą kreską rozdarte ciało: kobietom zaszyto usta grubą nicią z końskiego włosa, tylko pośrodku tkwiła niczym ustnik fletu krótka trzcina. Ze środka dobywały się niesamowite dźwięki, jakby sam Belzebub chciał się wymknąć przez tę rurkę. Dominikanin odwrócił się przerażony, przeżegnał trzy razy i potykając się wycofał tyłem do swojej celi, gdzie padł na ziemię i jął się modlić.

Nie wiedział, jak długo tak leżał. Nagle pochwyciły go twarde dłonie i uniosły w górę. — Wciąż tutaj szpiegujesz? — huknął ktoś na niego. I stróże porządku powlekli go niczym mokry worek — pod wpływem strachu nastąpiło bowiem samorzutne wydalenie zawartości jelit — minęli strażników i wyprowadzili na zewnątrz. Strażnicy zatkali sobie nosy, kiedy stróże porządku naradzali się chwilę, by w końcu stwierdzić, że w takim stanie nie mogą przywieść posła przed oblicze swojego zwierzchnika, najwyższego sędziego. Przynieśli więc Andrzejowi ceber wody i ten musiał się na oczach wszystkich obnażyć, a następnie obmyć ze śladów własnych wydaliny. Zbyt wiele oczu nie przyglądało mu się jednak, gdyż Mongołowie odsypiali jeszcze nocne pijaństwo.

Andrzej był kontent, że ma za sobą wypróżnienie, słyszał bowiem, że taka niemila przypadłość przytrafia się większości nieszczęśników prowadzonych na egzekucję. Co do tego, że czeka go marsz na miejsce straceń, nie miał wątpliwości, zważywszy na wczesną porę i widok wielu odciętych głów przed namiotem Bułgaja, które spoglądały

na niego zgasłymi oczyma. Andrzej opanował się i zaczął się modlić:

*Miserere rnei, Domine, quia in angustiis stan, maerore tabescit oculus meus, anima mea, et corpus rneum.**

Bułgaj, który przez całą noc nie zmrużył oka, przyjął posła, nie podnosząc wzroku, z bezosobową uprzejmością — właśnie wypisywał ostatnie wyroki.

— Maruderzy! — zażartował. — Mimo to nie powinni być poszkodowani... — a pomyślał przy tym z irytacją o ocalałych głowach innych członków klanu regentki. Oguł Kajmysz, jeszcze za życia męża, wielkiego chana Gujuka, obwiniała go, nieprzekupnego najwyższego sędziego, o kradzież i sprzeniewierzenie pieniędzy państwowych, ponieważ Bułgaj nie zgodził się być jej posłusznym narzędziem, kiedy próbowała oskarżyć o zdradę stanu swą groźną rywalkę, cieszącą się nieposzlakowaną opinią księżnę Sorkaktani. Z tego powodu najwyższy sędzia popadł w niełaskę i dopiero kiedy Batu poręczył za niego, został przywrócony na swój urząd, za co rządząca po śmierci męża wdowa oczekiwała od niego pewnej wdzięczności. Bułgaj nie był jednak przekupny, cierpliwie czekał na dzień odpłaty. I ten dzień właśnie nadszedł.

Oto listy uwierzytelniające was jako oficjalnego posła wielkiego chana — rzekł najwyższy sędzia, nie odrywając się od pracy, i wręczył Andrzejowi zapieczętowany zwój pergaminu. W takim razie będę mógł wreszcie... — Andrzej nie pojmował własnego szczęścia — być przyjęty na audiencji przez wielkiego chana! — ucieszył się. Nie — odparł oschle Bułgaj — dzięki temu pismu jesteście pod osobistą opieką wielkiego chana i możecie teraz spokojnie ruszać w drogę powrotną do domu! Ale... ale on, mam na myśli wielkiego cha... chagana, naj... najpotężniejszego władcę Mongołów, on... on mnie w ogóle jeszcze nie przyjął! — wyjąkał Andrzej. Nie ma takiej potrzeby — odpowiedział najwyższy sędzia i zajął się znowu mniej uciążliwymi obowiązkami. —

Wiemy już, czego od nas chcecie, a i wam znana jest nasza odpowiedź... chyba że nie?

Znana, a jakże! — pośpiesznie potwierdził Andrzej z Longjumeau, zbierając się do opuszczenia namiotu. Tylko nie stawajcie, proszę, na progu! — napomniął go Bułgaj.

Andrzej zatrzymał się wystraszony. Następnym razem — rzekł Mongoł — przywieźcie ze sobą tę młodą parę królewską. — Po czym dodał jakby mimochodem: — Dzieci Graala czy jak one się nazywają? Rosz i Jeza! — wyrwało się dominikaninowi.

Powinien był ugryźć się w język! Odwracając się już do wyjścia, dorzucił przekornie: — Dla mnie nie będzie już następnego razu! U nas mile widziany będzie każdy, kto respektuje nasze życzenia. Gdyby wszakże zjawił się od was jeszcze ktoś, nie przywożąc Rosza i Jezy, to nie będzie traktowany jak poseł, tylko jak szpieg — zakomunikował Bułgaj na pożegnanie.

Andrzej chciał zaprotestować — ostatecznie Kościół nie miał nic wspólnego z kacerskimi dziećmi — ale w końcu się rozmyślił. — Życzę wam szczęśliwej podróży — powiedział na koniec Bułgaj i Andrzej został odprowadzony do wozu zaprzęzonego w woły, który

czekał już na niego gotów do drogi. Kiedy pojazd na wysoko zawieszonych osiach opuszczał z łoskotem obóz polowy, na wschodzie zza horyzontu wyłoniło się słońce.

Andrzej zaintonował pieśń dziękczynną:

*Ave Maria, nos pia sana. Ave tu Virga, expurga vana. Ave formosa rosa de spina. Ave annosa glosa divina. Ave tu scutum virtutum Regina**

* Jurta — przenośny dom rozstawiany z drewnianych ażurowych ścianek (jak skośnie zbudowane płotki), przykrywanych warstwami wojłoku. Duże jurty chana przewożono w całości na wielkich wozach zaprzęzonych w woły.

* A solis... (lac.) — Tam gdzie Słońce zaczyna podróż ku granicom Ziemi, chwalmy

Chrystusa, księcia, narodzonego z Maryi Dziewicy.

* *Famulis...* (łac.) — Prosimy Cię, Panie, obdarz swe sługi swą łaską niebiańską. Tekst liturgii na uroczystość Nawiedzenia Najświętszej Maryi Panny.

Benedicta et... (łac.) — Błogosławionaś i godnaś najwyższej czci, Maryjo Dziewico.

Czysta i bez skazy, zostałaś Matką Zbawiciela. Graduał mszalny.

Dominus vobiscum (łac.) — Pan z wami! Liturgia mszy świętej.

Et cum spiritu tuo (łac.) — Iz duchem twoim!

Ite missa est (łac.) — Idźcie, ofiara spełniona!

* *Ecclesia catholica* (łac.) — Kościół powszechny.

* *Alleluia, Alleluia...* (łac.) — Alleluja, Maryja została wzięta do nieba. Raduje się chór aniołów, alleluja.

Omnipotens... (łac.) — Wszechmocny wieczny Boże, który przygotowałeś mieszkanie godne Ducha Świętego w sercu błogosławionej Maryi Dziewicy.

Alleluia, Alleluia... (łac.) — Alleluja, bądź pozdrowiona, Matko miłosierdzia, nadziei i łaski, o Maryjo, alleluja.

* *Miserere...* (łac.) — Panie, zmiłuj się nade mną, który drzę ze strachu. Smutek zasnuwa moje oczy, toczy moją duszę i moje ciało.

Ave Maria... (łac.) — Witaj, Maryjo, oczyść nas i uzdrów. Witaj, różdżko, wypędź wszelką próżność. Witaj, piękna różo bez kolców. Witaj, niebiańskie słowo przedwieczne. Witaj, tarczo cnót, Królowo

V . MAPPA TERRAE MONGALORUM*

Z Kroniki Williama z Roebruku Castel d'Ostia,

w uroczystość Franciszka z Asyżu* A. D. 1251

Już od trzech miesięcy jestem „gościem” w tym zamku nad morzem, który strzeże nie tyle portu Rzymu, ile kupy kamieni rzymskich ruin poza murami Wiecznego Miasta, łącznie z opuszczonym teatrem, gdzie pasą się owce. Ja też jestem taką, wcale nie najmniejszą owieczką Bożą, za to wśród baranków największym. Wszak wmówiłem sobie, że przyjmą mnie tu z otwartymi ramionami, gdy różne siły zadbały o to, żebym odpłynął do Italii przez Morze Śródziemne najbliższym statkiem. Nawet oba chrześcijańskie zakony rycerskie wyjątkowo były zgodne co do tego, że moja stopa nie powinna już w przyszłości stanąć na Ziemi Świętej.

Jednakże mój zakon braci mniejszych świętego Franciszka okazywał mi obojętność, gdziekolwiek zszedłem na ląd, a gdy — od dłuższego czasu nie będąc wprowadzony w bieg spraw politycznych Zachodu — powołałem się na znajomość z Eliaszem z Cortony, który bądź co bądź był kiedyś generałem zakonu, żołnierze kluczowi* pojмали mnie i zabrawszy z pokładu, przywiedli do tej twierdzy portowej. Należy ona do biskupich posiadłości rzymskiej kurii i podlega kardynałowi Rainaldowi z Jenny, arcybiskupowi Ostii, pochodzącemu z rodu hrabiów Segni, który zawsze wchodzi w rachubę przy wyborze papieża. Przez dwa tygodnie cierpiałem jako bezimienny brat Willem z Flandrii w lochu pod zamkiem, a pewnie także poniżej poziomu morza, zanim łaskawy pan kardynał zainteresował się swoim połowem. Potem jednak nie mogłem się już uskarżać na brak zainteresowania. — Jego eminencja uważa się za wielkiego znawcę duchowego świata Wschodu, przy czym nie ma tu bynajmniej na myśli klasycznego Orientu z tysiąca i jednej nocy, tylko niezbadane przestrzenie kraju

Tatarów. — Przekazał mi te słowa nader rozmowny brat Tomasz, jak ja minorityta, który w przedpokojach dostojnego pana zapisuje wchodzących gości. Zanim mnie wypytał na temat mojej, jak się wydaje, znanej mu osoby, dodał: — Jego eminencja czuje się powołany do zainicjowania zupełnie nowego patrzenia na kwestię mongolską. — Brat Tomasz ma najwidoczniej potrzebę odpłacania swemu chlebodawcy za posadę sekretarza nie tylko szczególną lojalnością.

— I to w obrębie Kurii, która nadal niczym szkapa z klapkami na oczach uparcie podąża wyboistą drogą zniszczenia Staufów, żeby stratować kopytami to zmijowe plemię. Brat Tomasz zakamuflowanym gibelinem?* Nie, Tomasz z Celano przyjął służbę tutaj, bo chce napisać książkę o założycielu naszego zakonu, świętym Franciszku z Asyżu. To dlatego wie również o mnie: William, niechlubny przykład minorityty. Williamie, jak mogłeś akurat przed drzwiami tego domu pytać o Eliasza z Cortony, wyklętego, dwakroć ekskomunikowanego zdrajcę, który przeszedł na stronę cesarza i został jego doradcą przeciw Kościołowi?

Myślałem — odrzekłem naiwnie, może rzeczywiście byłem trochę niemądry — że po tylu latach trawa zarosła te dawne historie i moje uchybienia. Ostatecznie cesarz nie żyje. Myślałem, że Bombarone,* pomny własnych bolesnych doświadczeń, zechce mi poradzić, co mam zrobić, żeby zakon przywrócił mnie do łask.

A to czemu? — zdumiał się Tomasz. — Nigdy przecież nie usunięto cię z naszych szeregów, ty sam postawiłeś się poza regułą.

Wtenczas kamień mi spadł z serca i zapytałem z ulgą: — A dlaczego wtrącono mnie do lochu jak złodzieja?

— Żebyś nam znowu nie uciekł, Williamie z Roebru! Tomasz z Celano uśmiechnął się chytrze. — Pan domu, twój gospodarz, urządził *Ufficium Studii Mongalorum*,* a jego kierownictwo powierzył jednemu z konfratrów, bo pan kardynał pewnie z zasady uważa

wszystkich franciszkanów za urodzonych podróżników i badaczy. — Roześmiał się. —

Tylko że ów Cremończyk nigdy nie zapędził się z Asyżu dalej na wschód niż do Jesi w Marche. Pomimo to jego eminencja, z niezrozumiałych dla mnie powodów, całkowicie ufa

w dzielność ślepo mu oddanego Bartłomieja z Cremony.

Strach przeszył mi wszystkie członki, poczułem go nawet w jelitach. Oto dogoniła mnie przeszłość. Tenże Bartłomiej, szpieg Kurii, ukradł mi wówczas, kiedy zaczęło się moje błądzenie, odpis Wielkiego Planu. Mój Boże, od tamtych dni minęło już siedem lat! Co prawda perfidny Cremończyk podróżował zapewne niewiele dalej niż na wybrzeżu Adriatyku, ale w papieskich tajnych służbach zjadł zęby. Rozległ się dzwonek.

—Wzywają nas — rzekł Tomasz. — Kiedy się urodziłeś, Williamie ? Przez cały czas robił sobie notatki. — Przed trzydziestu laty.

Zapisał to, wziął swoje papiery, po czym popychając mnie lekko, ruszył wraz ze mną wąskim przejściem po skrzypiących schodach, aż dotarliśmy do ciężkich dębowych drzwi, przed którymi stało dwóch strażników. Ci rzucili najpierw okiem na papiery, zanim mnie wpuścili. Pomieszczenie było jasne, okna wychodziły na morze. Rainaldo z Jenny siedział przy biurku na potężnym fotelu z wysokim oparciem, brat Bartłomiej przycupnął w kącie za jego pulpitem do pisania. To on — zameldował swemu panu, ledwie wszedłem. Spocznijcie, Williamie — odezwał się życzliwie pan domu. — Gdybym wiedział, kogo goszczę pod swoim dachem, już dawno siedzielibyście tutaj.

Aha, pomyślałem, a więc mój pan konfrater kazał mi najpierw smażyć się bądź gnić w więzieniu. Wolałbym wprowadzić dach niż piwnicę, eminencjo — odpowiedziałem — ale przywykłem już do znoszenia przeciwności.

Też tak sędzę — odparł uprzejmie. — Kto raz odbył długą podróż, jak wy wówczas z Janem z Pian del Carpine, ten musi umieć posiedzieć. Rzekł to tonem pytającym, więc

rad nierad musiałem wejść w niemiłą materię. Owszem — przyznałem skromnie — to daleka droga, pełna przeciwności i niebezpieczeństw, piętrzonych przez przyrodę bądź wymyślonych przez ludzi, których obcy charakter podróżnik musi wpierw poznać, zanim nauczy się z nim obchodzić.

Dobrze powiedziane — pochwalił mnie gospodarz. — Jak widzę, jesteście człowiekiem, którego doświadczenia zupełnie brakuje mojemu *Ufficium Studii Mongalorum* — tutaj wskazał bez specjalnego poważania na Bartłomieja — i który będzie dla nas prawdziwym wzbogaceniem. Takie sformułowanie sugerowało źle płatną albo w ogóle bezpłatną pracę oraz dłuższy pobyt.

—Potraficie rysować, Williamie? Mam na myśli graficzne przedstawianie, nie oczekuję od razu artystycznych talentów malarza fresków. Skinąłem głową, choćby dlatego że wierzyłem we wszelkie swoje zdolności i zawsze niezgorzej na tym wychodziłem.

Wolałbym, żeby moje uzdolnienia były wsparte studiami — odpowiedziałem — niemniej chętnie oddam wam swoje służby. Jesteście mi miłym gościem, Williamie — potrzask się zamknął.

—Myślę — podjął po chwili Rainaldo z Jenny — że aby w taki czy inny sposób zajmować się kwestią mongolską, najważniejszą i pierwszą rzeczą jest wyrobienie sobie poglądu o państwie Mongołów i o przeszkodach, jakie trzeba po drodze pokonać. Góry i rzeki, jeziora i pustynie, miasta. Widać było, że temat pochłania go bez reszty.—Przed przystąpieniem do rozważań strategicznych lub politycznych posunięć chciałoby się zobaczyć przed sobą na mapie, jakie to odległości i jaki rząd wielkości. Każę rozpiąć płótno na całą szerokość tej sali. — Wskazał dłuższą ścianę, która mierzyła przynajmniej piętnaście kroków. — A to topograficzne przedstawienie powstanie pod waszym, Williamie, kierownictwem!

Najświętsza Panienko! A tom sobie biedy napisał. Nawet mój dyletantyzm w malarstwie

pejzażowym nie mógł przesłonić prawdy, że nie mam pojęcia o kraju i jego mieszkańcach. Kardynał nie domyślał się tego, a jeśli nawet, to niewiele się tym przejmował. Był opętany swoją ideą. —Każę wam zbudować rusztowanie, dostarczę wszelkich farb, pędzli i materiałów i oddam do pomocy każdego, kogo będziecie potrzebować.

Dajcie mi kogoś, pomyślałem, kto będzie mi szeptał na ucho, jak mniej więcej położone są względem siebie góry i niziny, kto będzie mi prowadził rękę przy rysowaniu konturów tego wielkiego lądu. Powiedziałem jednak: —Dziękuję wam za to zaszczytne zlecenie.

Nie mogę się wprost doczekać, żeby zabrać się do pracy. Wtedy mój gospodarz potrząsnął dzwonkiem i brat Tomasz wyprowadził mnie z powrotem na zewnątrz.

Następne dni upływały na przygotowaniach, za które odpowiadał brat Bartłomiej z Cremony. Ja sam nadzorowałem je jako „specjalny pełnomocnik” i zawsze miałem mu co wytknąć. To rusztowanie wydawało mi się za wysokie, to zbyt chwiejne albo zbyt sztywne, to płótno za grube, a pędzle za cienkie. Rusztowanie zostało zamontowane na kółkach, a na drewnianych ramach, które pozwalają na wymianę poszczególnych elementów, gdybym za bardzo pomylił się w proporcjach, rozpięto najdelikatniejsze płótno. Dzięki temu miałem zawsze wymówkę, że ze zrozumiałych powodów jeden czy drugi detal trzeba będzie jeszcze poprawić po ukończeniu pierwszego rzutu.

Mój gospodarz emanował pogodną ufnością i olimpijskim spokojem, toteż wziąłem z niego przykład, co się tyczy tych właściwości.

Brata Tomasza wolałem nie wtajemniczać, jedyną moją nadzieją był Jan z Pian del Carpine, a ściśle jego „Ystoria Mongalorum”.* O jakości dalekowschodniego instytutu Bartłomieja z Cremony świadczyły braki w podręcznej bibliotece, gdzie na próżno człek wypatrywał nie tylko tego dzieła, ale również innych relacji z poprzednich poselstw do wielkiego chana. W tymże opisie podróży, to pamiętam, gdyż mogłem wówczas

własnoręcznie przenieść na papier całe *capitulwn*, znalazłbym prawie wszystko, co mi umknęło i ulotniło się z pamięci. Coraz bardziej zbliżał się dzień, kiedy powinienem wspiąć się na rusztowanie, by przystąpić do pracy. Widywałem je we śnie: czasem stawało się szubienicą, czasem szafotem, ale zawsze na białe płótno bryzgała moja krew.

W końcu ów dzień nadszedł. Udało mi się zyskać parę godzin, bo przed południem rozpętała się okropna burza i zrobiło się ciemno, mogłem więc skorzystać ze sposobności i wymówić się niedostatecznym oświetleniem, wszelako nikt się o mnie nie troszczył. Przybyło jakieś ważne poselstwo, jak poinformował mnie z wyższością Bartłomiej, nadmieniając, że nie wolno mi opuszczać kasztelu ani wyglądać przez okna, w każdym razie nie po tej stronie, gdzie mieści się moja pracownia; jej okna zostały zresztą zasłonięte.

—Bez dziennego światła?! — oburzyłem się z miejsca. — Jak mam rysować *mappam terrae Mongalorum*? To niemożliwe!

Odpowiedź, jaką otrzymałem, ucięła moje dalsze *lamentum*. —W takim razie po prostu poczekasz, aż znowu zaświeci słońce... albo rozjaśni ci się w głowie! — odparował bezczelnie Bartłomiej.

Niepożądana była już także moja obecność przy obiedzie, na który mnie uprzednio zaproszono dla uczczenia rozpoczęcia pracy. Wściekły posiłałem się więc w kuchni razem z czeladzią. Szybko dowiedziałem się zresztą, co spowodowało wszystkie te korowody. Otóż przybyło ponoć poselstwo od Staufów, a w jego składzie złoczyńca Eliasz z Cortony, stary człowiek, chory i niedołężny. Prosił o zniesienie klątwy kościelnej, żeby mógł umrzeć w spokoju w rodzinnym mieście. Kardynał zaprosił do zamku, a nawet do stołu wszystkich pozostałych członków delegacji, tylko biednemu Eliaszowi kazano stać na zewnątrz wśród grzmotów i błyskawic. Niektórzy twierdzili

wręcz, że dawny generał zakonu, mimo ulewego deszczu, nadal klęczy w błocie w pokutnej włosiennicy. Kiedy jeszcze zastanawiałem się nad tym, czy Eliasza powinien się trzymać z daleka ode mnie czy ja od niego, nagle poczułem na ramieniu czyjąś rękę. Podniósłszy wzrok, spojrzałem w uśmiechniętą twarz mego przyjaciela Wawrzyńca z Orty. Niewysoki żyłasty zakonnik z przerzedzonym wianuszkiem włosów na głowie należał do poselstwa, oficjalnie jako spowiednik Bombarone, w rzeczywistości zaś naturalnie „w tajnej misji”, co wyjąłem mu z ust, gdyż tak obaj twierdziliśmy, ilekroć ześmy się spotkali. Wciągnąłem go do całkowicie zaciemnionej dzięki płachtom czarnego sukna sali i w świetle pochodni pokazałem mu rusztowanie oraz puste panele w głębi. Wyznałem, co mnie trapi, a mianowicie że mam namalować obraz kraju, którego nie widziałem na oczy. Mój stary Wawrzyniec nie byłby sobą, gdyby nie porozkoszował się chwilę biedą, której sam sobie naprzytyłem, lecz potem powiedział: Księga, której potrzebujesz, przechowywana jest w tajnej, pilnie strzeżonej bibliotece zamku Świętego Anioła. Pominąwszy to, że żaden z ludzi Jenny nie odważy się tam udać, w *urbs** bowiem znów objął władzę lud, trzeba mieć rozkaz na piśmie Szarego Kardynała, by zostać wpuszczonym do środka.

Ach—uderzyłem w lament—w takim razie zdemaskują mnie jako kłamcę, bo jak mielibyśmy go teraz odszukać? A jeśli nawet by się to udało, dlaczego miałby...

Och — odparł ze śmiechem Wawrzyniec — widzę, że w ogóle jeszcze nie dotarło do ciebie, w czyich rękach się znajdujesz! To stanowisko objął twój żądny wiedzy gospodarz, na zewnątrz jakże jowialny i poczciwy Rainaldo z Jenny. To on jest Szarym Kardynałem Kurii, odkąd groźny Capoccio pożegnał się z tym światem. Pytanie brzmi zatem nie „jak”, tylko „dlaczego” miałby to zrobić? Pozwól, że się zastanowię, i tobie radzę uczynić to samo, drogi Williamie, gdyż ręka rękę myje. Musisz znaleźć sobie kryjówkę, najlepiej w sali, którą zaproponuję jako miejsce następnych tajnych rokowań,

kryjówkę, w której będziesz mógł wszystko słyszeć i notować. W takim razie nie muszę się już zastanawiać — odpowiedziałem z zadowoleniem. — Za płótnem znajduje się ujście nieczynnego szybu kominowego, który prowadzi na dach. Jest tak szerokie, że nawet ja się tam zmieszczę, a przez ten szyb wpada z góry dość światła. Masz absolutną pewność, że ten wyciąg nie jest już używany? — podrwiwał Wawrzyniec. — William jako wędzona kiełbasa smakowałby niejednemu!

Nowy komin jest z drugiej strony sali. — Wspiąłem się zwinnie po rusztowaniu, odsunąłem na bok panel i otworzyłem ukryte żelazne drzwi. Spłoszony rój nietoperzy ledwie ominął moją głowę. Zamknąłem się w środku i zawołałem: — Zróbmy próbę! Wawrzyniec nie udzielił mi odpowiedzi. Wyteżyłem więc słuch i zaraz usłyszałem nie jeden, ale kilka głosów. Wasz wybór, drogi Wawrzyńcze — rzekł z namaszczeniem mój gospodarz — unieszczęśliwi zacnego Williama z Roebruku. On pali się wprost do tego, żeby zacząć jak najszybciej malować swój kraj Mongołów. Mnie też mógłby pomagać — ozwał się Tomasz z Celano — ma ładne pismo. Łajdak! pomyślałem, tego by tylko brakowało, żebym miał użyczyć swojej ręki jego biografii świętego Franciszka! Ale już wmieszał się z uszczypliwą uwagą mój *praefectus Ufficii*. * Brat William z pewnością będzie ci pomocny, opowiadając o swych licznych podróżach z Franciszkiem — syknął zjadliwie Bartłomiej, ale Wawrzyniec natychmiast przytarł mu rogów. Bartku — rzekł głośno — jeśli czynisz aluzję do tego, że William w chwili śmierci naszego ukochanego brata Franciszka miał zaledwie cztery lata, to twoja uwaga jest niemądra. A Tomasz mógłby mieć z Williama naprawdę niejednen pożytek, bo od niego właśnie wiem na przykład, w którym miejscu zamku Świętego Anioła leży zaginiona rzekomo reguła zakonu, słynna *ñne glossa*. * Tobie, Tomaszu, zapewne bardzo by się ona przydała, wszak zawiera ponoć autentyczną ostatnią wolę brata Franciszka. Po tych słowach zapanowało grobowe milczenie, które w końcu uciął kardynał.—Mógłbym

wysłać brata Bartłomieja...

—Lepiej nie — przerwał mu Wawrzyniec — chyba że chcecie, eminencjo, zrezygnować z dalszych jego posług. Bartłomieja schwytają siepacze Brancaloneo, ledwie postawi nogę na drugim brzegu Tybru. Remończyk jest już spalonym szpiegiem, ale tym razem faktycznie wylądowałby na stosie. I znowu ta ciężka cisza. Wręcz słysząc było, jak w jajowatych głowach rodzą się złe myśli.

— A czy wy, Wawrzyńcze z Orty, wyświadczylibyście mi przysługę i wydobyli stamtąd i przywieźli tutaj to cenne pismo, albowiem prawdzie o świętym z Asyżu należy się wszelki szacunek, co jest zresztą także w interesie Kościoła.

- Dajmy pokój szacunkowi, eminencjo — wykręcał się mój Wawrzyniec. — Potrzebują mnie tutaj. — Skoro nawet William wie o istnieniu i miejscu przechowywania, to ten szczególnie testament nie jest tam bezpieczny. Dam wam swój najszybszy statek.

Wawrzyniec pewnie posłusznie skinął głową, gdyż gwar głosów szybko się oddalił.

Odczekałem jakiś czas, po czym wypelzłem ze swojej kryjówki. Było to zresztą wskazane, bo wkrótce potem usunięto czarne zasłony. Wyjrzałem przez okno, ale nie wypatrzyłem Eliasza. Później dowiedziałem się w kuchni, że pan kardynał okazał wyrozumiałość i pozwolił zakwaterować Bombarone w piwnicy. Pewnie Wawrzyniec postawił taki warunek, bo w miękkie serce Rainalda z Jenny nie chciało mi się wierzyć,

odkąd wiedziałem, jaki człowiek kryje się pod maską łaskawości i pogodną flegmą

corpulentnego jegomościa. A reguły *sine glossa* mój brat Tomasz nigdy nie zobaczy na oczy — a tym bardziej nikt nie pozwoli mu opisać jej w książce. Ni razu jej nie

widziałem, ale wiem z pewnego źródła, że mówi ona jasno i wyraźnie, co było właściwie

sprzeczne z wolą Franciszka, a mianowicie że Kościół wcisnął w ramy jednego zakonu

jego „wolne braterstwo w Chrystusie”. Również Tomasz nie znał jej w tak jaskrawej

postaci i łając mnie żartobliwie, nazwał heretykiem.

Franciszek nigdy by się też nie zgodził — odpowiedziałem — żeby pisać o nim książkę, w najlepszym razie pozwoliłby rozpowszechnić swoje słowa. — Nie wspomniałem o dalszych konstatacjach, gdyż do sali wszedł Bartłomiej z Cremony. Prowadził za rękę rudowłosego chłopca, który spoglądał na nas spode łba. Drogi Williamie — rzekł do mnie Bartłomiej — teraz już nikt ci nie przeszkadza i możesz rozpocząć pracę. Na razie będziemy ci służyć pomocą, brat Tomasz i ja. A dopóki postęp malowidła nie będzie wymagał dalszych pomocników, nasz młody przyjaciel Cenni di Pepo będzie ci mieszał farby i podawał pędzel. — Dla zachęty szturchnął chłopca w bok, na co ten spojrzał na nas z jeszcze większą wrogością, i opuścił salę. Ten ani myśli pobrudzić sobie rąk — wyrwało się Tomaszowi, który nie potrafił ukryć oburzenia, a ja wybuchnąłem głośnym śmiechem. Nie za bardzo znasz się na ludziach, drogi bracie. Bartek nie nadąży ze zmywaniem!

W drzwiach stanął pochrzäkując kardynał, który najwidoczniej nie chciał przegapić uroczystego momentu pierwszego, a tym samym decydującego o wszystkim pociągnięcia pędzla. Byłem zupełnie spokojny, kiedy wstępowałem na rusztowanie. Pewnie tak właśnie jest, gdy w końcu człek idzie na stracenie. Podszedłem do prawego rogu, dość dokładnie tam, gdzie za płótnem znajdowało się wejście do mojej kryjówki w kominie.

— Przyjaciele — powiedziałem stamtąd, z góry, do jego eminencji — my, „reszta świata”, jesteśmy dla Mongołów obcy i potrafimy pojąć ich charakter tylko wtedy, gdy przyjmujemy ich sposób myślenia: oni są środkiem świata. — Kazałem chłopcu, który wspiał się za mną, żeby podał mi pędzel, a ten zanurzyłem w czerwonej farbie. — Siedzibą wielkiego chana jest miasto Karakorum. — Wymownym gestem namalowałem na płótnie grubą czerwoną kropę. — Tutaj — sięgnąłem po czarny pędzel odbywają swoje zjazdy książąt, zwane kurultajami. — Starąłem się zakreślić w miarę okrągłe koło

otaczające kropę, z której czerwona farba spływała już po płótnie niczym krwawy omen.

— Widzę, Williamie, że przemawia przez ciebie pełen zapału znawca— rzekł kardynał, patrząc ku mnie w górę. — Błogosławione niech będą twoja ręka i twoje dzieło! —

Uczył znak krzyża, a ja przyklęknąłem na rusztowaniu. Ażeby móc złożyć dłonie, wzięłem pędzel wzdłuż między zęby i z oddaniem zamknąłem oczy. Kiedy je otworzyłem, kardynał oddalił się już z szelestem szat.

Przede mną stał natomiast w rozkroku mój młody pomocnik i gapił się na mnie wyzywająco nieruchomym wzrokiem.

— Czy to wszystko, co macie do powiedzenia na temat miasta wielkiego chana wszystkich Mongołów?! — rzucił zuchwale.

— Posłuchajcie no, Cenni di Pepo — zdenerwował się brat Tomasz, ale przerwałem mu i zapytałem życzliwie: Ile masz lat?

— Dziesięć, jedenaście, dwanaście — odpowiedział krnąbrnie chłopiec. — Któż by tam wiedział? Moja matka uciekła, a przyjaciele zwą mnie Cimabue.

— Ho, ho — zadrwił Tomasz — to chyba znaczy: ktoś, kto obcina rogi wołu? Może zgadza się to w waszym wypadku — zgasił go chłopiec. — Ja jestem kimś, kto chwyta byka za rogi! — dodał dumnie. — A teraz dajcie mi pędzel... — to było do mnie — i opowiedzcie o Mongołach!

Szybkimi, pewnymi pociągnięciami — nie skapnęła nawet kropla—namalował na moim żalonym kole władcę zasiadającego na tronie. Za nim wznosił mury z blankami i wieże z cebulastymi kopułami. Na moich oczach powstawał wspaniały obraz, mimo że chłopiec naszkicował czarną farbą jedynie zarysy. Budują swoje domy, zwane jurtami, na wzór wielkich trwałych namiotów, które transportuje się na wozach ciągniętych przez woły i mających koła wysokości mężczyzny — zacząłem opowiadać, a tymczasem

Cimabue wypełniał wieże i dachy kolorowymi farbami.

Potrzebuję złota! — zwrócił się do brata Tomasza. — Chcecie oszczędzać na barwie władcy? Jutro — pocieszył artystę zdeprimowany braciszek — nie pomyśleliśmy o tym.

W tym czasie z Karakorum wyjeżdżały i wjeżdżały do miasta wozy na wielkich kołach i ze sklepiionymi spiczasto namiotami, aż wszystko falowało przed naszymi oczami.

Woły były majstersztykiem, ale to samo Odnosiło się do kobiet kierujących zaprzęgami.

Ledwie opowiedziałem o hordach niesamowitych mongolskich jeźdźców, a już na

wszystkie brony świata rozpierzchli się mężczyźni na koniach, w dzikim galopie

Itzelający z łuków i wymachujący zakrzywionymi szablami. To się naprawdę nazywa

centrum świata! — pochwaliłem chłopca fcc szczerego serca. — Jak wysyła swoich

ludzi na podboje...

Na jutro wystarajcie się dla mnie o złoto! — przerwał mi w pół słowa. — A do tego

czasu najlepiej nie dotykajcie płótna! — To mówiąc, wytarł pędzlei zamknął naczynia z

farbą. — Poza tym potrzebuję palety! Pewnie obaj z Tomaszem mieliśmy głupie miny,

bo nasz artysta zareagował ostro. — Już dobrze, sam sobie coś znajdę! — Zszedł

zwinnie z rusztowania, popatrzył z dołu przez chwilę na swoje dzieło, zmarszczył czoło,

ale nie zatrzymał się dłużej, tylko wybiegł z sali niczym dziecko, które może się

wreszcie pobawić.

*In Festo Omniunt Sanctorum** 1251

Zanim Wawrzyniec z Orty powrócił z Rzymu, minęły dwa dni. Kustosz biblioteki

obstawał przy tym, żeby sporządzić kopię. Oryginał reguły pozostanie tam, gdzie jest, w

bezpiecznym miejscu, nawet gdyby zjawił się papież we własnej osobie!

Wawrzyniec miał więc czas, żeby się „trochę rozejrzeć”, i jako rezultat wyciągnął z czeluści swego kaftana „Ystoriām Mongalorum”, której mi od dawna brakowało.

Powrócił w samą porę. Zdążyliśmy dotąd pokryć rozległy kraj górami i morzami, stosownie do tego, jak dalece mogłem zaufać swojej pamięci. Kawałek Morza Czarnego zachodził na lewą stronę obrazu, potem piętrzyły się góry Kaukazu, a dalej było Morze Kaspijskie. Opowiedziałem o Żelaznych Wrotach u jego brzegów, a już zamykały one, zwieńczone srebrnymi czubkami, przejście na północ.

— Tutaj zaczyna się państwo Złotej Ordy — udawałem, że wiem na pewno — a z góry dochodzą odgałęzienia Uralu.

— To jakie duże jest to jezioro? — spytał podejrzliwie Cimabue, bo przy *Marę Caspicum** nalegałem raz i drugi na zwiększenie jego powierzchni. Co najmniej jak cała Italia od Lombardii po Apulic! — odpowiedziałem na chybił trafił, a wtedy nie pożałował już lazurytu i domalował pod spodem w morzu ryby i łodzie. — Oprócz tego są jeszcze wody śródlądowe, zbiornik wielkości Sycylii, ale on leży jakby na Istrii i nazywa się Jezioro Aralskie.

A dalej? — chciał wiedzieć mój mały mistrz. — Gdzie są te bezkresne pustynie, góry pokryte wiecznym lodem, tak wysokie, że ich szczyty sięgają nieba? Tam jeszcze dojdziemy — pocieszyłem go. Za daleko już się posunąłem. — Droga do chana chanów jest naprawdę długa! — I rzeczywiście, od odległego Karakorum w prawym górnym rogu dzieliło nas wielkie puste pole. A morze? — dociekał Cimabue. — Gdzieś przecież musi się...

Nie — zaprzeczyłem zdecydowanym tonem — imperium Mongołów nigdzie nie styka się z morzem, żaden brzeg nie wyznacza jego granic. Skierowałem uwagę chłopca na południowe regiony, na tajemnicze miasta jak Bucharą z tkalniami kobierców, bogata Samarkanda ze swoimi rzemieślnikami, i na wielki bazar w Taszkencie. Rozpaliło to, zgodnie z moim życzeniem, jego wyobraźnię: ruszyły więc karawany wielbłądów, a meczety, minarety i muezini rywalizowali o palmę pierwszeństwa z klasztorami,

olbrzymimi bramami miejskimi i pielgrzymującymi mnichami. Spodobało się to ogromnie również jego eminencji. Nie spojrział nawet na naszego kąśliwego rudowłosego anioła o szczurzej twarzy, mnie zaś pochwalił, że tak szybko chwyciłem za pędzel. Przypomina mi to wyprawę Wielkiego Aleksandra — opowiadał z ożywieniem — który wyruszywszy z Macedonii, podbił Azję Mniejszą i Egipt, a potem przez Babilon dotarł aż do Samarkandy. To było położone najdalej na północ miejsce zwycięskiej bitwy w ówczesnym świecie. Przekroczył nawet Indus. I to jest mąż, którego pragniecie naśladować, Rainaldzie z Jenny — rozległ się głos. Spojrzałem w górę chyba jeszcze bardziej wystraszonym wzrokiem niż kardynał.

Do sali wniesiono i postawiono przy ścianie czołowej czarną lektykę tak bezszelestnie, że ani my, pogrążeni w pracy, ani pan domu, który się nią delectował, nie zauważyliśmy tego. — Nowy Aleksander, nie tylko na stolcu Piotrowym, lecz również przewyższający swój wzór jako wódz — drwił głos, który przypominał głos mężczyzny, wiedziałem jednak, że w lektyce siedzi kobieta. — Widzę, wielki zdobywco świata, że kazaliście już rysować mapy!

Pierwszą reakcją kardynała było wyproszenie nas, niewygodnych świadków, z sali, którą natychmiast z powrotem zasłonięto suknem. Za drzwiami natknąłem się na Wawrzyńca, którego nie widziałem jeszcze po powrocie. Teraz wcisnął mi spiesznie do ręki jakieś zawiniątko. — Idź na swoje miejsce! — wyszeptał. Poprzednio odkryłem, jak można z dachu niepostrzeżenie dostać się do komina. Trzeba było tylko podnieść kamienną płytę, a potem zejść pochyłym korytarzem po stopniach z cegłówek aż do drzwi w ścianie. Wziąłem od razu ze sobą „Historię”, tam bowiem było najlepsze miejsce, żeby szybko zasięgnąć jej rady, jeśli mieliśmy kontynuować malowanie. Kiedy zniknąłem cały wewnątrz komina z wyjątkiem głowy, spojrzałem w dół na

dzielnice kasztelu przed wejściem. Zobaczyłem, że przybywają właśnie goście, niektórzy ze swiątą. Wielu znałem, jak choćby Oliwera z Termes i Wilhelma z Gisors. Wystarczyłoby, żeby zjawił się jeszcze tylko mój posiwiasty surowy preceptor Gawin Montbard z Bethune, komandor domu zakonnego w Rennes-le-Chateau, bym uzmysłowił sobie, iż nie chodzi tutaj o odwiedzinę Grande Maftresse u jej przeciwnika, Szarego Kardynała, ale o tajną konferencję Przeoratu. Prędko zszedłem korytarzem i przyłożyłem ucho do drzwi. Przez szczelinę widziałem tylko, że pomieszczenie oświetlają pochodnie, i wyobraziłem sobie, że ponura czarna lektyka stoi pod ścianą, a zasunięte firanki w lektyce nie pozwalają zobaczyć urzędującej wielkiej mistrzyni Przeoratu. Pewnie jak zwykle wokół lektyki ustawiło się ośmiu rycerzy Świątyni w długich białych płaszczach z czerwonym krzyżem na ramieniu. Tak samo bez wątpienia odziani są także Gawin i Gisors. Stoją półkolem przed lektyką i nawet krzesło kardynała nie jest wyższe od innych.

Trzykrotne stuknięcie abakusem zasygnalizowało początek posiedzenia. Gawin zabrał głos pierwszy. —Eminencjo — zaczął typowym dla siebie aroganckim tonem — zgotowaliście bratu Eliaszowi istną Canossę, dajcież już temu pokój.

Rainaldo z Jenny walczył pewnie chwilę ze sobą, nim odpowiedział: Pozwolę mu wziąć udział w tym posiedzeniu, lecz nie żądajcie, bym zdjął z niego ekskomunikę. W imię świętego Franciszka, który był bliżej Chrystusa niż my wszyscy tu zgromadzeni, jeśli już odmawiacie Bombarone błogosławieństwa Kościoła, to pozwólcie mu przynajmniej umrzeć w spokoju jego duszy. Również wasza, eminencjo, potrzebuje modlitwy i dobrych uczynków — dodał odważnie Wawrzyniec z Orty. Możliwe — odparł niewzruszenie Jenna — ale wiem, że on nie żałuje. Jest Staufem i dlatego powinien zabrać go diabeł!

Niechaj to będzie jego zmartwieniem—wtrąciła Grandę Maitresse —wasze grzechy w

niczym nie ustępują przewinieniom brata Eliasza. — Jeśli mi przysięgnie, że wróci najkrótszą drogą do Cortony i nie opuści jej aż do śmierci — kardynał przemógł się i mruknął zrezygnowanym tonem: — *lo dbsolvero** Ale Konradowi, który nadal mieni się królem, i Manfredowi, temu bastardowi, który sięga po władzę w Sycylii oddanej nam przez Boga jako lenno...

Przestańcie — powiedział ktoś po niemiecku. — Manfred gotów jest podporządkować się wam, przyjmując lenno z waszej ręki, poruczono mi przekazanie wam tej propozycji...

Nigdy — przerwał mu Jenna — nigdy więcej nie oddamy ziemi człowiekowi, w którego żyłach płynie choćby kropla krwi tego antychrysta Fryderyka! Oszczędźcie sobie dalszych słów, Bertholdzie z Hohenburga!

Znowu stuknął abakus. Rainaldzie z Jenny — rozległ się głos Grandę Maitresse — od was nie chcę słyszeć tych bzdur o antychryście! Na brednie jesteście zbyt inteligentni, w przeciwnym razie nie zasiadalibyście zresztą w tym gronie. Chcę wam zatem

powiedzieć, że nigdy nie będziemy tolerować tego, żeby po raz kolejny wyniesiono ród Kapetyngów w osobie Karola Andegaweńskiego do godności królewskiej. Czcigodna wielka mistrzyni — odrzekł Szary Kardynał — marnujecie tylko swoją łaskę, stając po stronie przegranych.

Robimy to od przeszło tysiąca lat — usłyszał w odpowiedzi — odkąd przegrany Jezus, syn królewski z domu Dawida, poniósł klęskę w boju o Jeruzalem...

Ale dzięki Kościołowi Chrystusowemu wygrał bitwę o serca ludzi! Prepotencja* Kościoła powszechnego! To wasza bitwa, ale wcale-ście jej jeszcze nie wygrali! Ani bitwy Chrystusowej, ani bitwy Jego sukcesorów! — odparła Grandę Maitresse. Aha, przechodzimy do rzeczy — szydził kardynał. — Jak miewają się dzieciątka?

Abakus stuknął trzykrotnie w posadzkę.

Uważamy, że przy takim tonie rozmowy jej kontynuowanie ma jedynie na celu naszą

obrazę. Oddalę się, dopóki się nie opamiętacie.

Bądźcie moim droгим gościem. Już jestem. Kroki zdradziły mi, że lektyka wraz z eskortą opuściła salę. Zapadło krępujące milczenie, po czym drzwi rozwarły się znowu i Wilhelm z Gisors — to pewnie on objął przewodnictwo — powiedział: Witamy brata Eliasza z Cortony.

Te dzieci nie są już dziećmi — rozległ się głos Gawina—wyrosły na młodych władców.

Wilhelm z Gisors ozwał się ponownie: Wnoszę o uznanie paktu z izmailitami za nieobowiązujący, choćby dlatego że syryjscy asasyni, z którymi został zawarty, oddali dzieci do

położonego dalej na wschód Alamutu. To wbrew przeznaczeniu Rosza i Jezy, a poza tym wobec zagrożenia Alamutu ze strony Mongołów oznacza zagrożenie dla ich życia.

Proszę o wyrażenie zgody przez podniesienie ręki. Nikt nie zgłosił sprzeciwu. Jeśli wkrótce nie ofiarujemy młodej parze siedziby i władzy - ostrzegł Gawin — może ona pójść własną drogą, która się mija z naszymi celami.

O tak, pomyślałem, Rosz i Jeza mają własne głowy nie od parady, ale cieszę się, że o nich słyszę, tak okrutnie mi ich brakuje.

Nie powinniśmy zostawiać ich w Alamucie — ciągnął Gawin Montbard z Bethune. —

Dzieci należą do Okcydentu w najszerszym tego słowa znaczeniu, który Mongołowie lekceważąco nazywają „resztą świata”, jednakże dla nas termin ten obejmuje

połączenie Wschodu i Zachodu wokół *Marę Nostrum** A kto wydał je w ręce asasynów, jeśli nie wasz zakon, mój drogi Gawinie? — zauważył sarkastycznie kardynał,

prowokując preceptora do ostrej repliki. Wobec prześladowań ze strony

reprezentowanej przez was, kardynale, bardziej niż przez każdego innego *Ecclesiae*

romanae et catholicae nie mieliśmy wyboru. — Wprost słychać było, że dysputa z

Rainaldem sprawia Gawinowi satysfakcję. — Ale zawsze uważaliśmy to rozwiązanie za

prowizorium.

Chcecie je przysłać do nas do Rzymu? Nie wejdą do mojego domu! Nie ma obaw, eminencjo — odrzekł Wawrzyniec z Orty. — Aż tak nie ułatwimy wam pracy.

Lepiej powściągnijcie język! — syknął kardynał do małego franciszkanina. — *Quod licet Jovi, non licet bovi!** Wmieszał się Wilhelm z Gisors. Nie zebraliśmy się tutaj po to, żeby się obrażać albo sobie grozić. Pytanie, które pragnę wam zadać, wymaga spełnienia

jednego, jasno określonego warunku: ani Manfred, ani Karol z Andegawenii. A brzmi ono: czy wyobrażacie sobie dzieci Graala na tronie w Palermo? Po tej śmiałej propozycji na moment zrobiło się cicho.

—Nie za bardzo — odpowiedział Rainaldo z Jenny po chwili zastanowienia. — Po pierwsze, warunek się nie zgadza, żaden z nich nie

zrzeknie się tronu. Po drugie, krążą słuchy, że również w żyłach dzieci płynie krew Staufów. Po trzecie, mam pytanie: czy dzieci złożą hołd papieżowi? Kościół nie mógłby z tego zrezygnować. A co byście powiedzieli na Konstantynopol?

Nie za bardzo — oświadczył Wawrzyniec z Orty — o Konstantynopol spiera się już trzech cesarzy greckich, to jest cesarz Trapezuntu, despota Epiru i cesarz nicejski, przy czym łaciński władca Baldwin II nawet jeszcze nie abdykował.

Jeruzalem! — Po raz pierwszy usłyszałem znowu głos Eliasza. Brzmienie miał starcze, ale był pełen ognia. Ktoś zaśmiał się.

Jeruzalem? — zapytał Gawin. — Jeśli królewskie dzieci dziś by się pojawiły na tej kupie gruzów, wszyscy by uznali, żeśmy się ich pozbyli. Poza tym musielibyśmy prosić o pozwolenie sułtanów Kairu i Damaszku, a na dodatek tytuł ten *de iure* jest już przyznany. Intronizacja młodej pary oznaczałaby wsadzenie kija w gniazdo os, jakim jest Outremer.*

Kupić! — zaproponował Szary Kardynał. — Ten tytuł można kupić, otwórzcie swoje szkatuły! Chętnie — odparł rozdrażniony templariusz — gdy tylko Królestwo

Jerozolimskie *de facto* przestanie istnieć. Wtedy i was już nie będzie! — mruknął Jenna.

Gawin nie słyszał tej uwagi bądź puścił ją mimo uszu.

—Na wszelki wypadek — ciągnął — każdy mandatariusz, bez którego takie panowanie

Rosza i Jezy byłoby niewyobrażalne, musiałby ciągle pertraktować między Syrią a

Mamelukami, a do tego nasze siły nie wystarczą. Jeruzalem pozostanie dla nas

niespełnionym marzeniem. Pośród ciszy, która zapadła po tych słowach, zabrzmiał

łamiący się głos starego Eliasza, który jął śpiewać:

—Stateczek na morzu bystry, żagielkiem dlań jest miłość, maszt jego Graal tak

strzelisty...

Ktoś zawołał: —Malta! Gawin na pewno od razu byłby za tym, pomyślałem, bo mógłby

w ten sposób dać prztyczka w nos joannitom, którzy mają wyspę na oku, ale ów

powiedział: Tutaj wszystko rozbiłoby się o kwestię tytułu. Królowie Malty?

Ale to dałoby się przeforsować! — zauważył kardynał.

Nosiciele takiego tytułu wydawaliby się jeszcze mniejsi — zaproponował stanowczo

Gawin. — To śmieszne, „królowie Malty”!

Wielki mistrz... — wtrącił swoje trzy grosze pan Berthold. Wielki mistrz jakiegoś zakonu?

Dopóki w jego nazwie nie występuje „Graal”... — Szary Kardynał starał się uniknąć

posądzenia o jednostronną obstrukcję.

Gwar zmieszanych głosów: Suwerenny zakon rycerzy Róży?... Czerwona róża na

śnieżnobiałym polu!... Kwiat czy pąk? Taki zakon można uznać tylko wtedy — uciął

dyskusję pan Rainaldo — gdy należy do niego dostatecznie wielu chrześcijańskich

rycerzy i gdy opiera się jednoznacznie na katolickim wyznaniu wiary. Z panem

Gawinem jako protektorem! — zaproponował ktoś. Czemu nie? — drwił Szary Kardynał.

William z Roebruku jako biskup czy w randze kardynalskiej? Jako patriarcha Malty!

Przez głośny gwar podnieconych głosów przebił się Wilhelm z Gisors. Kto jest za

Malta? Głosujemy przez podniesienie ręki. Do głosowania ja nie mam uprawnień —

zgłosił się pan Berthold.

- Skoro ja przebaczam górę grzechów i uchybień jak w wypadku Bombarone — wyśmiał

go Szary Kardynał — i narażam się na gniew Ojca Świętego, to wy moglibyście chyba

zrezygnować z małej skalistej wysepki!

Przebaczać nie znaczy rezygnować — rzekł pan Berthold — ale wezmę to na swoje

sumienie. — I zagłosowali pewnie za Malta.

Teraz winniśmy poprosić z powrotem do nas wielką mistrzynię —

zapropnował

Wawrzyniec, lecz kardynał zawołał łaskawie: Teraz to zasiądziemy do stołu! Zamierzam

zjednać czcigodną Marię z Saint-Clair wyborną ucztą. Chodźcie, Gisors, chodźcie,

panie Bertholdzie. Dzisiaj nie będzie trucizny. — Roześmiał się hałaśliwie. — Wykluczyć

muszę tylko Bombarone, gdyż zdejmę z niego ekskomunikę dopiero po wieczerzy. Na

taką uroczystość skruszony grzesznik winien się zjawiać o pustym żołądku! —

Roześmiał się jeszcze hałaśliwiej niż poprzednio. Sala pode mną opustoszała. Tylko

Gawin i Wawrzyniec zostali, żeby pewnie omówić coś na osobności. Sławny tajemniczy

Przeorat, pomyślałem, też nie jest już tym, czym był kiedyś. Ostała się zgraja

pomyleńców, którzy lubią słuchać siebie, jak przemawiają, a tymczasem ich

zdeklarowany najgorszy wróg ma najwięcej do powiedzenia w takim zgromadzeniu. Co

zaś najgorsze, wydawało mi się, że zajmują się wyłącznie niepoważnymi rzeczami.

Skąd ta Malta? — Pytanie padło z ust Wawrzyńca. — Czyżby Henryk hrabia Malty nie

był ojcem Hamona L'Estrange, syna hrabiny Otranto? Tak stoi napisane — odparł

wieloznacznie Gawin. Ja wiedziałem lepiej, wszak hrabina wyznała mi na spowiedzi

swoje dzieje.

—Nasz Hamo rozsiadł się leniwie w Otranto, cieszy się młodą żoną Szirat i ani myśli rezygnować z tłustej prebendy, jaką jest Malta

—zauważył z przekąsem Gawin. —Na dodatek odziedziczył w Konstantynopolu pałac Kallistosa, który zostawił mu w spadku jego kuzyn, biskup. Tak już zgnuśniał, że nawet nie chce mu się tam jechać, aby objąć piękne dziedzictwo z bogatymi dobrami ziemskimi i latyfundiami. Jeszcze obrośnie w tłuszcz jak William! — Gawin raz za razem dotykał mnie boleśnie, nie wiedząc, że podsłuchuję z ukrycia. —

Ha! — zawołał

Wawrzyniec. — W związku z tym mam pewien pomysł! Jednakże Gawin podobał się sobie w roli adwokata diabła. Dopóki młody hrabia trzyma Otranto dla Staufów, Manfred ani Konrad nie mają powodu wymówić mi lenna Malty.

Łatwo to zmienić — podsunął Wawrzyniec. — Własność Malty nie jest dziedziczna, tylko związana z tytułem admirała floty. Warto by o tym przypomnieć cesarskiemu seneszalowi, panu Bertholdowi. Lepiej nie — odradził Gawin. — Wyspę możemy dostać tylko od Hamona, a jego Malta nie interesuje, z wyjątkiem spływających z niej podatków.

A więc będzie nam musiał ją odstąpić. Czyżby? — zdziwił się Gawin. — Proszę, zamieniam się w słuch.

Ktoś podpowie Hamonowi, że jego roszczenia do Malty wcale nie są takie pewne, jego małżonce zaś przedstawi w najpiękniejszych barwach uroki Konstantynopola, miasta na granicy dwóch światów. Wierzcie mi, młodą kobietę bardzo łatwo wywabić z pustkowie, jakim jest Otranto! Jednocześnie rozpoczną się ataki na zamek z zewnątrz, korsarze będą mnożyć napady, próbować zdobywać triery. Hamo kruszeje coraz bardziej, Szirat

marzy o cudownym miejscu nad Złotym Rogiem, zapala się, a w końcu...

...a w końcu Szary Kardynał postanawia, że na powrót obsadzi biskupstwo w Bizancjum. Gawinie! Teraz jednak przesadzacie w tej grze jako adwokat diabła! Stolec biskupi wakuje od lat. - Obiecał go Andrzejowi z Longjumeau. I dobrze, to także przekażę Hamonowi. Piraci będą coraz zuchwalsi, a na karku będzie miał żonę. Wtedy pojawi się nasza propozycja: Hamonie, pomożemy ci. Zadbamy, żebyś mógł wieść cudowne życie w Bizancjum w swoim pałacu i we własnych dobrach, a ty w rewanżu odstąpisz zakonowi templariuszy Otranto razem z Maltą. To byłaby wasza część zadania. Otranto oddamy potem Manfredowi, który nada nam w zamian Maltę jako lenno. Wspaniale! — pochwalił Gawin. — A teraz chodźmy do stołu, bo jego eminencja okrutnie się na nas rozgniewa!

Opuściłem swoją kryjówkę zmęczony i zeszywniały. Głód skręcał mi кишки, pogałem więc do kuchni, gdzie rozmawiano właśnie o gościach. Wiecie, Williamie, jest także Jan z Procidy, dawniej lekarz przyboczny złego cesarza. Niedawno uleczył kardynała Orsiniego z ciężkiej choroby. Ma się zająć nieszczęsnym Eliaszem! Takich to gadek słuchałem, gdy najpierw zjadłem resztki zupy fasolowej i kaszy jaglanej, a następnie obgryzłem kurzą kość. Nic więcej mi nie zostawiono.

A więc dzieci są w Alamucie! Aż tak dobrze nie wiodło mi się tutaj, żebym się bał dalekiej podróży, gdyby tylko pozwolono mi odejść. Ale wcześniej na pewno musi powstać *mappa*. Dzięki instrukcjom, jakie znalazłem w pisaninie Piana—któż by to pomyślał? — miało się niebawem okazać, że ukończenie pracy jest bliskie.

W uroczystość św. św. Młodzianków Męczenników* 1251 Płótno, które niegdyś zatrważało mnie swoją pustką, *mappa terrae Mongalorum* zakrywa już tak plastycznie i kolorowo, że nie ma na nim prawie białych plam. Serce rozsadzała mi radość, a to dzięki „informacjom”, które przyswajałem sobie potajemnie w kominie, ale przede

wszystkim dzięki wyobraźni naszego małego mistrza, przekształcającego każdą uwagę o życiu tego ludu stepowego w często dziwaczne i dość osobliwe miniatury, i nierzadko myślę sobie, że to Cimabue odbył zamiast mnie podróż do wielkiego chana, w którą Przeorat wysłał mnie kiedyś niczym w jakimś kuriozalnym śnie. A może był już w Karakorum w poprzednim życiu. Zbliżaliśmy się do zakończenia pracy, z której ja, *imitator spiritus*, * byłem od pewnego czasu naprawdę dumny.

Konferencja tajnego zakonu z Szarym Kardynałem skończyła się w sposób mało zadowolający wszystkie strony choćby dlatego, że Grandę Maitresse nie wzięła udziału w uczcie pojednania, już wcześniej bowiem opuściła kasztel równie niepostrzeżenie, jak doń poprzednio przybyła. Nie doszło także do „zdjęcia” ekskomuniki z Eliasza, ponieważ gdy wszyscy jeszcze siedzieli przy stole, Bombarone dostał tak silnej gorączki, żeśmy już myśleli, iż wybiła jego ostatnia godzina. Pewnie przeziębził się, kiedy klęcząc podczas deszczu w błocie, starał się swym uporem uzyskać pojednanie z

Kościółem. *Ecclesia* okazała się twardsza niż jego słabe zdrowie. Obecny w kasztelu lekarz, Jan z Procidy, zwolennik Staufów, zajął się chorym i pielęgnuje go nadal, a

tymczasem inni z wyjątkiem Gawina odjechali. Preceptor templariuszy został jako gość kardynała. Nie, żeby zawiązała się między nimi swego rodzaju przyjaźń, prawie nie rozmawiają ze sobą, ale spotykają się co wieczór przy szachownicy, która stoi tu w sali przed kominkiem. Partie szachów trwają do późnej nocy. Obserwowałem ich potajemnie. Nie chodzi im o zwycięstwo czy wygraną, ale o władzę, taką władzę, dla której na tym świecie nie ma środków ni sposobów, żeby ją wyrazić, tudzież osób ni miejsc, żeby ją ustanowić. Obaj o tym wiedzą, a mimo to walczą zażarcie.

Praca przy mapie zaś wielkimi krokami zbliża się do chwalebного końca. Zostawiliśmy za sobą góry Pamir na południu i kraj Karakitajów na północy, na drugim planie pod nami pustynia Gobi wraz z Himalajami, arcydzieło młodego Cimabue: ze szkieletami

zmarłych z pragnienia i dziwacznymi zwierzoludźmi w wiecznym lodzie błękitnych lodowców. Ostatnią przeszkodą, jaką przyszło nam pokonać, był Ałtaj, kupki kamieni szamanów, pojedyncze kolorowe proporczyki w śniegu. Potem dotarliśmy do obozu polowego wielkiego chana, ruszamy z nim na łowy, odprawiamy sąd i dzielimy ziemię: północny zachód pozostawiamy stryjowi Batu, który z Białej Ordy i Błękitnej Ordy tworzy tam państwo Złotej Ordy, kraj Rusów. Południowy zachód otrzymuje il-chan, ponadto Indie, Persję i „resztę świata”. Inny dostaje południowy wschód, kraj Katajów.

Cimabue chciał koniecznie namalować także Wielki Mur. Zgodziłem się pod warunkiem, że mi obieca zaniechać przedstawienia wszystkiego, co znajduje się — myślę już jak Mongoł — „za nim”. Problem polegał tylko na tym, że nie mogliśmy się zgodzić co do przebiegu muru. Bartłomiej z Cremony, *praefectus Studii Mongalorum*, który podczas pracy nie zjawił się ani razu, brał żywy udział w finale, choćby po to żeby pokazać się przed Szarym Kardynałem w pełnym blasku. Korzystając ze sposobności, że właśnie sprzecza się z Wawrzyńcem, wcisnąłem Cimabue do ręki sztukę złota, żeby w czasie gdy udamy się na posiłek, po prostu poprowadził mur tak, jak mu się podoba. Pamiętaj tylko — szepnąłem — że po tym murze się jeździ, że co kawałek ma wieżę strażniczą i wiję się przez góry i doliny. — Skinął głową, a ja dodałem jeszcze: — W wolnym miejscu pod spodem, w tym trójkącie w prawym dolnym rogu...

- Tam jest kraj Katajów!

Nie! —nakazałem mu surowo.—Tam umieścisz tablicę z napisem „Mappa terrae Mongalorum” i dedykacją dla jego eminencji Rainalda z Jenny z wszelkimi jego tytułami!

Kiedy wróciłem, roiło się tam naturalnie tylko od skośnookich, żółtoskórych ludzi z Kataju. Przeczuwałem to, ale najgorszy był tekst na wstędze oplatającej pagodę:

*Rinaldus affidavit frati ignoranti Cimabue pinxit** Ponieważ usłyszałem zbliżające się głosy, ukryłem się, zawstydzony i wściekły, w swoim kominie. Niech ja dostanę w rękę

tego łobuza! Do sali weszli Gawin i Wawrzyniec. Bogu dzięki nie zwrócili uwagi na chwalebne zakończenie. —Przyjaciele morza i wolnej żeglugi handlowej otrzymali informację, że w Otranto czekają na nich zadowolające łupy — rzekł Gawin.

— Możecie więc już się tam udać i wzbudzać w damie apetyt na przeprowadzkę nad Złoty Róg.

Wawrzyniec wydawał się wystraszony. —Już teraz? Nie sądziłem, że tak szybko...

Potrafiłem wyobrazić sobie ironiczne spojrzenie, jakim templariusz zmierzył pewnie małego minorytę. Wawrzyńcze z Orty — powiedział — dostatecznie długo jesteście

ogniwem w tym samym co ja łańcuchu, żeby nie wiedzieć, iż każda nasza myśl objawia

się jako *dictum*, a każde wypowiedziane słowo obleka się w czyn. Nie mówcie teraz, że byliście nieświadomi skutków swojej propozycji. Chętnie stanąłbym przed wami,

potężny, nieomylny panie preceptorze, jako nieodpowiedzialny za swoje słowa pleciuga,

gdyby w ten sposób dało się cofnąć... Przerwał mu śmiech Gawina.

Jak chcecie przekonać szczupaka w stawie, żeby zmienił zdanie, jeśli zwietrzył już

karpia? Musielibyście go złapać! A więc nie zwlekajcie dłużej, tylko śpieszcie zarzucić

swoją przynętę, w przeciwnym razie cały połów okaże się daremny! Niechaj Piotr wam

darzy! Zrobiliście się złośliwi, Gawinie! — zaoponował Wawrzyniec. —Może uda mi się

jeszcze doprowadzić do pomyślnego końca ten mój tyleż niemądry, co bezduszny

koncept. Mam nadzieję, że Hamo i jego miła żona będą szczęśliwi w Konstantynopolu,

a dzieci znajdą na Malcie bezpieczne gniazdko. A jak wygląda wasza część? Jak

wyciągniecie Rosza Jezę z Alamutu? Zamierzacie może wysłać po nich Williama z

Roebiku?!

Ha, ty łotrze, pomyślałem, tak o mnie mówisz! Ale Gawin zaśmiał się tylko krótko.

— Przedni pomysł, Wawrzyńcze, i znowu pochodzi od was, jednakże Williama, jak

wiecie, znają tam od dawna jako przyjaciela dzieci, a jego pojawienie się mogłoby

raczej utrudnić im ucieczkę. - Nie myślcie czasem o mnie — ostrzegł go Wawrzyniec. —

Mnie

wystarczy piwo, którego sobie nawarzyłem do tej pory. Wasze mnie nie obchodzi. Mam nadzieję, że się nim nie oblejecie, a przynajmniej nie zakrztusicie! — To rzekłszy, wyszedł z sali ciężkim krokiem.

A więc takie były ostatnie przykre następstwa konferencji: pierdnięcie!

Kiedy Gawin sobie poszedł—powiedziano mi później, że natychmiast wyjechał — opuściłem swoją kryjówkę. Właśnie zamierzałem zamalować żółtą farbą ową haniebną linijkę tekstu, gdy jego eminencja wprowadził do pomieszczenia nowego gościa. Nie odwróciłem się, próbowałem zasłonić tekst ciałem, ale odkryli już hańbiący podpis i roześmiali się głośno. Pewnie uznali to za wyjątkowo udany żart.

—Nasz William zawsze jest taki skromny—pochwalił mnie kardynał — a przy tym ma wybitne poczucie humoru. Teraz już chcąc nie chcąc musiałem się odwrócić do niego, a wtedy cały mój humor wyszedł mi bokiem: gościem był bowiem Andrzej z Longjumeau, ów tyleż nudny, co nadęty dominikanin, który wielekroć w nader niemiły sposób stanął mi na drodze i w odróżnieniu ode mnie miał już za sobą trzy faktycznie odbyte misje do wielkiego chana. Żadnej nie uwieńczyło dotąd powodzenie, a teraz właśnie wrócił z trzeciej.

-Jak znajdujecie moją mapę?—spytał z dumą kardynał. — Powinna wyjaśniać i ułatwiać drogę przyszłym delegacjom.

Andrzej popatrzył na mnie z przyganą, po czym rzekł do kardynała: —Piękne malowidło, bez wątpienia. Mam nadzieję, że nie przywiązaliście się jednak do niego, nie oddaje bowiem ani wiecznie zielonkawych pustkowi tego kraju, ani bezgranicznej drętwoty ludzi.

Zapraszające skinienie pana Jenny podsunęło mi odpowiedź. —Prawdopodobnie

dominikanin opisałby otoczenie i działalność

takiego Franciszka z Asyżu również jako puste i drętwe, bo skromność kwalifikuje jako głupotę. Legat dał się łatwo złapać na lep.

—Nie przystoi mi oceniać duchową wielkość minorytów, ale przynajmniej żyją oni porządnie i obyczajnie, oprócz paru niechlubnych wyjątków. — Tutaj pił do mnie. — A Mongołowie to złodziejska hałastra i ze swoimi niewiastami parzą się niczym bydło.—

Oto na własne oczy oglądam cud — powiedziałem z wysokości rusztowania — jaki Pan Bóg raczy okazywać tylko na przykładzie

dominikanów. Głuchy i ślepiec, złączeni w jedną osobę, przebyli długą drogę do Karakorum i z powrotem, a nie widzieli i nie słyszeli, że Mongołowie są wierni swoim żonom, a za cudzołóstwo płacą gardłem tak samo jak za najmniejszą kradzież.

Możliwe — przyznał ze złością Andrzej — to jednak jeszcze nic nie mówi o moralności i religii. Widzę tam — wskazał moje Karakorum —chrześcijańskie kościoły w pełnej krasie. W rzeczywistości jest tam tylko parę nędznych chat i nestoriańskich kapłanów próżniaków, którzy oddają się pijaństwu, miast przywoływać Ducha Świętego podczas najświętszej ofiary. Decydujący głos mają szamani, żałośni czarownicy!, którzy widzą duchy i odczytują przyszłość z osmalonych kości. Na dworze tolerowani są też muzułmanie...

W każdym razie — przerwał mu Szary Kardynał — istnieje jakaś forma chrześcijaństwa, jak sami przyznajecie, i to wystarczyło wam do wypełnienia swojej misji. A co wielki chan dał wam dla nas na drogę?

Wie... wielki... wielki chan — Andrzej zaczął się jąkać — on... nie ma akurat żadnego! — Po czym wyjawiał: — Właśnie odbywali kuruł-taj, swego rodzaju zjazd książąt, na

którym mieli wybrać następnego władcę... Co? — zawołał Rainaldo z Jenny. — Chcecie powiedzieć, że wyjechaliście, nie poczekawszy na rezultat i nie złożąwszy hołdu nowemu wielkiemu chanowi?!

Andrzej z Longjumeau skinął głową zdeprimowany. Nie wiecie, eminencjo, jak oni tam przybyszów traktują! — jęknął. — Człowiek przyjeżdża, jak każą, czeka na audiencję całą wieczność, a kiedy mają go dość, wyrzucają za drzwi. To zależy od postępowania posłańca — wtrąciłem zuchwale z wysokości, a Szary Kardynał spojrzał ku mnie, rozchylając wargi w uśmiechu pełnym aprobaty.

A kto miał największe szanse na wybór? — zapytał wyczekująco i jak mi się wydawało, z tajoną uciechą. — Tyle chyba, drogi Andrzeju, udało wam się jeszcze dowiedzieć!

Pytanie było dla legata niewygodne choćby dlatego, że nigdy nie ciekawiły go wewnętrzne spory Mongołów. Przecież to zupełnie obojętne, który Tatar jest u władzy!

Długo się zastanawiał, zanim udzielił odpowiedzi.—Najpewniej został wybrany Sziremun, którego już jego dziad Ugedej wyznaczył na następcę swego syna Gujuka. A Ugedej jest synem Czyngis-chana. Wybór Sziremuna wydawał się postanowiony. — Nasunęły mu się jednak pewne wątpliwości, gdyż zaraz się zastrzegł: — Chyba że najstarszy rangą i najpotężniejszy chan, władca Złotej Ordy Batu, pokrzyżował te rachuby. — Kardynał zwrócił się do mnie: —A jak według was, Williamie, sławny znawco dworu mongolskiego, zakończył się kurultaj?

Zastanawiałem się gorączkowo, przypominając sobie szybko wszelkie napomknienia w „Historii”, która jednak została napisana już cztery lata temu, i w końcu rzekłem:

Czyngis-chan miał kilku synów, z których Ugedej przyszedł na świat zaledwie jako trzeci. Czwarty i najmłodszy był Tołuj, od którego z kolei pochodzi czterech synów.

Oceniam mongolski zmysł zmiany linii równie wysoko jak dążność do jej odmłodzenia.

Dlatego przypuszczam, że wielkim chanem został pierworodny syn Tołuja!

Nigdy w życiu! — syknął Andrzej pełen pogardy dla mojej śmiałej prognozy, a może chciał mnie wprowadzić w błąd? Szary Kardynał uśmiechnął się, kazał wezwać Bartłomieja z Cremony i przedstawił go legatowi: Kierownik mojej komisji do spraw mongolskich. — Następnie zwrócił się do swego arcyczpiega: — A zatem, drogi Bartku, kto został wielkim chanem? Móngke! — odrzekł zapytany i ukłonił się. Czyż nie mówiłem! — zawołał pan Andrzej. Cremończyk i ja musieliśmy opuścić salę. Ponieważ się nie znosimy, rozstaliśmy się natychmiast po wyjściu. Pobiegnę na dach, wgramoliłem się do komina i dotarłem na dół jeszcze w porę, by usłyszeć, jak kardynał mówi: Tak lekceważony przez was minorityta osiągnął przynajmniej tyle, że wielki chan Gujuk złożył hołd dzieciom. Mamy na to świadectwo czcigodnego Jana z Pian del Carpine. A wyście nie wskórali niczego, tylko pozwolili temu Arykowi Bóge, który wyszedł z podziału państwa między braci z pustymi rękami, aby obarczył was żenującym żądaniem, że Jego Świątobliwość, papież, oraz cesarz, którego obecnie — Bogu niech będą dzięki! — nie posiadamy, mają przybyć do Karakorum i złożyć kotau! Ten William z Roebruku nigdy nie był u Mongołów! — Longjumeau bronił się rozpaczliwie przed promieniami mego światła. A to po prostu dlatego, że ciągle polerowałem lampkę i zawsze nalewałem świeżej oliwy.

Jak to więc możliwe — dociekał Szary Kardynał, teraz przedzierzgnąwszy się już w wielkiego inkwizytora — że matka Móngkego, jak sami opowiadaliście, wypytuje was o dzieci i że nawet najwyższy sędzia przesłuchał was w tej sprawie? Andrzej wikłał się coraz bardziej.

-Zawsze mówiłem tylko tyle, że dzieci są największym wrogiem Kościoła! To wystarczająco niedobrze, w ten sposób podnieśliście je wyżej, niż na to zasługują! Cóż

Mongołów obchodzi nasz stosunek do dziedziców Graala? Gdybyście milczeli, moglibyśmy ich użyć jako ambasadorów sprawy Chrystusowej. A tak będzie można ich użyć przeciwko nam. Wyrządziliście jedynie szkodę *EccleŃae catholicae*

Przypuszczalnie bez żadnych ceregieli odprawił legata, gdyż usłyszałem oddalające się szybko człapiące kroki. O stolcu biskupim w Konstantynopolu jako nagrodzie dla dominikanina nie było już mowy. Rainaldo z Jenny przyglądał się pewnie jeszcze przez chwilę mapie, usłyszałem bowiem, jak westchnął: —

Ach, Aleksander! A następnie

i on opuścił pomieszczenie.

Zostałem zaproszony na wieczerzę, pan kardynał osobiście podsuwał mi najsmaczniejsze kąski. Były muszle gotowane w białym winie z Anagni, ojczystych stron Jenny, oraz gołąbki w cieście z migdałami i miodem. A na deser świeże figi w schłodzonym musie z arbuzów, doprawione odrobiną imbiru i pieprzu.

Nazajutrz w miarę już ozdrowiały Eliasz miał wyruszyć w lektyce w drogę powrotną do Cortony. Eskorta, o którą wystarał się lekarz Jan z Procidy, z pewnością nie była papieska, ale nikomu to nie przeszkadzało. Przed wyjazdem Eliasz kazał się zanieść do sali, gdzie razem z Wawrzyńcem nadzorowaliśmy rozbiórkę rusztowania. Haniebnego napisu w rogu nie dało się już usunąć. Ten łobuz Cimabue też już się nie pokazał.

Bombarone głos miał słaby, przywołał nas obu skinieniem, byśmy podeszli blisko jego noszy.

— Kiedyś zjawi się tutaj Crean z Bourivanu — wyszeptał — bezsensownie szukając poparcia dla asasynów. Nie doczekałem się na niego w obozie polowym Manfreda, gdzie był zapowiedziany, bo nie mogłem dłużej odkładać swojej ostatniej podróży.

Przekażcie mu ode mnie, umierającego, który wiele rzeczy widzi stokroć wyraźniej i

ostrzej niż uwikłany w tyle zobowiązań konwertyta, żeby nie zapędzał się w ślepią uliczkę, opierając się rzeczom, które i tak idą swoją koleją.

Eliasz musiał zaczerpnąć powietrza, po czym uśmiechnął się do mnie. —

Zapewne

lepiej będzie, jeśli to Wawrzyniec podejmie się tego zadania. Ciebie, Williamie, nikt nie słucha, choć rzeczy, których się imasz, zawsze się kończą szczęśliwie. — Zwrócił się

do Wawrzyńca z Orty, który w odróżnieniu ode mnie był członkiem Przeoratu: —

Niewykluczone, że Karol z Andegawenii, zirytowany brakiem poparcia w postaci oficjalnej „krucjaty przeciwko staufowskiemu nasieniu”, wycofa u papieża swoją

kandydaturę; ale to będzie tylko fortel, na pewno nie rezygnacja z jego ambitnych

planów! Nawet gdyby Konrad albo Manfred odzyskali Neapol, upadku cesarstwa

Staufów nie da się już powstrzymać! — Eliasz aż pobladł z wysiłku, lecz w jego oczach

pojawił się jakby wieszcy blask. — Neapol stanie się symbolem zmierzchu rodu

Staufów! W ten sposób po wygaśnięciu rodu Trencavel Rosz i Jeza utracą podstawę

wszelkich roszczeń dynastycznych. Nikt jednak nie zdoła im odebrać duchowej mocy

Graala. Graal musi powrócić do swoich źródeł, do Ziemi Świętej, do Jeruzalem! Jego

głos był coraz słabszy. Myślałem już, że gotów jeszcze umrzeć teraz na naszych

rękach.

— Uczyńcie Mongołów żołnierzami Graala — zaklinał nas obu, tym razem włączając

również mnie. — Oni to, obracając się między wszelkimi religiami, są predestynowani

do służby jego sprawie. Oddajcie dzieci Mongołom, gdyż w ten sposób oddacie

Mongołom dzieciom! — Zebrał wszystkie siły. — Uczyńcie Rosza i Jezę ich duchowymi

władcami, niech za ich pośrednictwem Graal rządzi „resztą świata”, tolerancyjny wobec chrześcijan i wyznawców Mahometa, związany z ideą królestwa, którego mieczem

może być teraz wielki chan. Dzieci powinny oddać mu hołd, wcale się nie upokorzą,

przeciwnie: będą mu ulegle służyć, a tym samym równocześnie mieć nad nim władzę. I to, co zwiemy mongolskim zagrożeniem, przemienia w mongolskie błogosławieństwo dla świata. Zapał dla sprawy pozwolił Bombarone zapomnieć o wysiłku, jakiego przyczyniało mu ubieranie myśli w słowa, i dodawał im żaru.

—Tylko silna ręka może zaprowadzić pokój wokół Morza Śródziemnego! Niechaj dzieci niczym cenny pierścień będą tej ręki ozdobą!

Wyczerpany opadł na nosze, dając nam czas na rozplatanie zagmatwanych nitek jego myśli. Dla mnie były to dziwaczne rojenia, ale Wawrzyniec pokiwał z aprobatą głową. Dlatego chory, zmagający się już ze śmiercią, chwycił go za rękaw i spiesznie mówił dalej:

—Musisz to przekazać temu zawziętemu fanatykowi Creanowi! Wawrzyniec skinął głową, ale Eliasz go nie puścił.

—Po co więc dodawać asasynom otuchy, podsycać ich fałszywe nadzieje, że z ich powodu Zachód byłby gotów podjąć jeszcze jedną wyprawę krzyżową? Eliasz przyciągnął do siebie Wawrzyńca, który w końcu uklęknął obok noszy, a i ja uczyniłem tak samo.

—Złóżcie hołd Mongołom — wychrypiał starzec — żeby nie rozgniewali się i was nie ukarali! Przygotujcie im drogę do Jeruzalem, pracujcie dla nich, a nie przeciwko nim! — Bombarone uspokoił się, jego głos brzmiał teraz matowo, ale nadzwyczaj wyraźnie. — Z Zachodu zresztą próżno by wyglądać pomocy; epoka wypraw krzyżowych się skończyła. W osobie Ludwika znalazła swego ostatniego tragicznego bohatera, a i on wkrótce wróci do ojczyzny, niczego nie wskórawszy. Świat chrześcijański jest bardziej zgniły niż kiedykolwiek. Potrzebuje żelaznej miotły ze Wschodu. W oczach Eliasza znów zamigotał wyraźnie ów błysk

szaleństwa. Jakby wyczuwając mój opór, położył drżącą starczą dłoń na moich rzadkich włosach.

—Dobry Williamie — wyszeptał — papieże wypaczyli szczerze zamiary świętego Franciszka, jego wezwanie do miłości bliźniego i do służby Bogu, podporządkowując zakon Kościołowi. Pomagałem im w tym, dopóki nie zrozumiałem, że jestem w błędzie. Od tamtej pory niezmordowanie walczyłem, żeby franciszkanie byli wolnymi braćmi w Rzeszy, niezależnymi od papieża, i odpowiadali tylko przed swym chrześcijańskim sumieniem. Powinni kierować się czystą nauką Jezusa z Nazaretu i nikogo innego. — Popatrzył na mnie promiennym wzrokiem. — Jestem ekskomunikowany i to napawa mnie dumą. Jestem „cesarskim” bez cesarza i jako taki schodzę ze sceny. — Długo zastanawiał się nad swoimi słowami, a w końcu dodał: — Oszczędźcie dzieciom podobnego losu!

Pomodliliśmy się wspólnie; potem ułożono go w lektyce, która prędko zniknęła nam z oczu. Wraz z nim utraciłem kawałek Okcydentu, z którym byłem ściśle związany i który kochałem. Jego testament, zwrócenie się ku siłom z dalekiego Wschodu, nie przerażał mnie, ale też wcale nie przypadł mi do serca.

L.S.

Mappa t e r r a e Mongalorum (łac.) — mapa ziem Mongołów.

Uroczystość Franciszka z Asyżu — 4 października. ♦ Ż o ł n i e r z e kluczowi — żołnierze wojsk papieskich (od skrzyżowanych kluczy w herbie państwa kościelnego).

Gibelin — zwolennik Staufów.

Bombarone (wł.) — Dobry Baron, przydomek Eliasza z Cortony.

Ufficium S t u d i i Mongalorum (wł.) — Oficjum Studiów Mongolskich.

* „Ystori* Mongalorum"—Historia Mongołów.

* Urbs (łac.) — miasto, tutaj: Rzym

Praefectus... (łac.) — przełożony w oficjum.

Sineglossa (łac.)—bez wyjaśnień; określenie niezafałszowanego „Testamentu" Franciszka z Asyżu.

In Festo Omnium Sanctorum (Jac.) ■**-' w uroczystość Wszystkich Świętych.

Marę Caspicum (łac.) — Morze Kaspijskie.

Lo a b so l ve r o (wł.) — udzielę mu rozgrzeszenia.

* Prepotencja — supremacja, wyższość

Marę Nostrum (łac.) — Nasze Morze, nazwa Morza Śródziemnego.

Quod licet... (łac.) — Co wolno Jowiszowi, tego nie wolno wołowi!

* O u t r e m e r (fr.) — dosł.: kraj za morzem; nazwa odnosząca się w średniowieczu tylko do Ziemi Świętej.

* Uroczystość św. św. Młodzianków Męczenników — 28 grudnia.

* Imitator s p i r i t u s (łac.) — duchowy naśladowca.

* Rinaldus... (łac. z błędami) — Rinaldus dał zlecenie braciom ignorantom namalować Cimabue.

VI. PRZY STUDIUM W ISKANDARZE

Rosz do Williama Alamut, w drugiej dekadzie stycznia A. D. 1252

Drogi Williamie, minęło już pół roku, odkąd Crean wyjechał z naszymi relacjami do twojej tajnej kroniki, a wciąż jeszcze nie mamy od Ciebie żadnej odpowiedzi, nie wiemy nawet, czy natychmiast je otrzymałeś. Jak znam Creana z Bourivanu, śpieszy mu się tylko wtedy, gdy ma do spełnienia jakieś misje poruczone mu przez przełożonych, ale spełnienie naszej drobnej prośby, a mianowicie jak najszybsze odnalezienie Ciebie, nie jest zapewne dlań takie ważne. Jeza pozdrawia Cię, jest zbyt zajęta swoimi „studiami”, aby nadal pilnie pisać do Ciebie. Czyta na najniższym piętrze biblioteki, w *kubbat al-musawa*. * Jeza i jej mistrz, którego wysoko poważają, naprawdę sądzą, że nazwa ta

wywodzi się od duchowej zawartości pomieszczenia, zwanego przez nich również „salą doktryn i sprzeczności”. Ja natomiast jestem przekonany, że nazwa ta wiąże się z sekretną konstrukcją Róży. W tym miejscu spotykają się bowiem filigranowe kamienne schody, pnące się niczym plecionka w górę ponad brzegami „garnka” — oni mówią o „kwiecie” — i niewidzialnie wchodzące w mury minaretu, który dźwigają mimo niewyobrażalnego ciężaru kamieni, a przede wszystkim niezliczonych ksiąg. Nie wspominając o przyrządach astronomicznych na górze w obserwatorium, w którym wciąż jeszcze nie byłem. Niestety.

A zatem: zrozumiałeś? To jest górna połowa, wnosząca się nad salą, i dopiero ona sprawia, że owa sala ma sklepienie. Ale pod podłogą z desek wisi taka sama konstrukcja niby wygięta w dół pajęczyna. Do niej przymocowany jest wiszący drewniany pałac imama, tak zwane „gniazdo os”. Nie ustaliłem jeszcze, czy także sploty odchodzące od koła zębatego garnka są wyciosane z kamienia czy z twardszej, ale giętkiej materii jak kuta stal. Tak właściwie powinno być, gdyż kamienie, choćby najlepiej i najdokładniej dopasowane, musiałyby przecieżyć spaść. Całość wyobrażam

sobie jak krzywe szable, splecione ze sobą niczym szprychy koła tak, że pośrodku pozostaje otwór na drążki, które prowadzą przez „komorę harmonii” i przez wieżę minaretu aż do obserwatorium. Rozumiesz mój wywód, Williamie? Nacisk wieży na brzegi kwiatu musi w jakiś sposób dokładnie równoważyć ciągnięcie szabel w dół, bo choć pałac imama jest z drewna, to jednak trochę waży, pajęczyna musiałaby się zatem zerwać, a pałac wpadłby do garnka. Albo — gdyby jednak wytrzymała, i przecież tak jest, jak widać—musiałaby się odłamać brzegi kwiatu i rozerwałby się wieniec blanków Róży. Kiedy rozwiążę tę zagadkę, natychmiast Ci o tym napiszę, jest to bowiem rzecz nadzwyczaj zajmująca i utrzymywana w tak ścisłej tajemnicy, że nawet mój przyjaciel „Zew na kółkach”, budowniczy Ibrahim, nie chce mi udzielić najmniejszej wskazówki, żeby mnie naprowadzić na ślad. *Stabilitas atque flexibilitas sunt causa ut rosa floreat; donant eam soliditatem et agunt ut bene rosa animam recipere possit** jak mnie pouczył. Nad tymi słowami łamię sobie teraz codziennie głowę. Jeza śmieje się z moich zmartwień. Czyta dzieła filozofów, którzy nie znają takich problemów. Uczy się znowu greki, żeby zrozumieć teksty w oryginale, i nie ma już czasu chodzić ze mną na wyprawy odkrywcze. W ogóle bardzo się zmieniła, odkąd w Egipcie, w piramidzie, stała się „kobietą”.

PS. Teraz wiem, co ta zdrajczyni tak naprawdę robi w bibliotece: przemyka stamtąd schodami do wyżej położonej „jaskini apokryficznych prorocत्व”, a potem do „raju”. Nie wie o tym nawet jej mistrz, mądry Herlin. Podchodzi go, udaje głód wiedzy i znika w zakazanych ogrodach „raju”! Wyznała mi to, bo pewnie chciała mnie zezłościć. Teraz przechwala się swoją nową „przyjaciółką”, która nazywa się Pola, ma dwa razy tyle lat co Jeza i—to absolutne *clou*—jest młodszą córką naszego Creana! Obłudny mnich-żołnierz! Nigdy nam nie mówił, że kiedyś był żonaty, a przede wszystkim że jego córki wychowały się tutaj, w Róży. Druga ma na imię Kasda i podobno jest bardzo osobliwa, a w każdym razie mieszka osobno. Dzień i noc śledzi bieg gwiazd i obsługuje

instrumenty w obserwatorium. Kiedyś odpłacę Jezie za to otaczanie się tajemniczością!

Nie piszę Ci też nic o „raju” z hurysami, bom ich nie ciekaw. Ale drogę do obserwatorium odnajdę.

Twój miłujący Cię Rosz

PPS. Bardzo mi Cię brakuje.

L. S.

Do Williama z Roebruku, O. F. M.,* od Jezy, O. C. M.

Kogo, którąż niewiastę właśnie unieszczęśliwiasz, mój Williamie, chociaż wydaje Ci się to wielkim szczęściem? Z Roszem mam pewne kłopoty. Nie rozumie, że są rzeczy, o których kobiety rozmawiają tylko między sobą. Mój mały rycerz nabił sobie głowę jakimiś funkcjami, wyłącznie martwą materią! Uważa się pewnie za reinkarnację Pitagorasa i Euklidesa zarazem, śmiga w koszu w górę i w dół, mierzy i liczy, rysuje Różę, jakby przekrojono ją przez środek ostrym nożem, horyzontalnie i wertykalnie. Ostatnio wszedłszy do *kubbat al-musawa*, począł odrywać deski w podłodze, żeby zobaczyć, co jest pod spodem. Oczywiście kamienie, bo na czym miałyby być umocowane żyrandole oświetlające jadalnię i salę audiencyjną pana wielkiego mistrza Muhammada III! Nawiasem mówiąc, odbywa on właśnie inspekcję sąsiednich twierdz asasynów w kraju, a więc nie będzie go przez parę tygodni. To przyjemne, bo kiedy jest tutaj, panuje napięcie i trzeba mu dotrzymywać towarzystwa przy stole w południe i wieczorem, co bywa okropnie męczące z powodu jego zwariowanych „zabaw” i dlatego, że uroił sobie, iż ciągle musi kogoś karać. Przeważnie wszystko skrupia się na jego synu, który z tej przyczyny miewa już zresztą lekkie objawy obłądu, tyle że jeszcze niewinne! Nazywam je też „odlotami”, bo wydaje mu się, że potrafi latać, odkąd podskakiwał jak żaba w górę i w dół przywiązany do *chorda laxans*. Teraz „Zew na kółkach” musi mu zrobić skrzydła, za pomocą których chce fruwać — Bogu dzięki,

nadal na linie — w kotle kwiatu jak pszczoła. Ostatnio próbował użyć chusty rozpiętej na bambusowych drążkach niczym parasol, która miała hamować jego upadek. Tkanina złożyła się jednak od razu, drążki się połamały i niechybnie by się roztrzaskał, gdyby nie był przywiązany. Rosz uważa to, rzecz jasna, za interesujące. W każdym razie cieszę się, że obaj już się dobrze rozumieją. Wcześniej dochodziło do tarć, i to z mojego powodu, okropność! Churszah ma już wprawdzie siedemnaście lat, ale dla mnie jest nadal dużym cielakiem, więc Rosz naprawdę nie musi się frasować! Gdyby tylko mój mały rycerz trochę szybciej dorastał! Sądzę, że to przesiadywanie w piwnicy u Zewa opóźnia moment, kiedy stanie się mężczyzną. Pola też tak uważa. Jest nadzorczynią haremu, który tutaj nazywa się „rajem”. Ślina by Ci jednak ciekła, Williamie, gdybyś mógł zobaczyć młode hurysy. Nie ma porównania z „damami” w Egipcie, które były ci powolne. Mój Boże, ależ to były tłuste krowy lub wychudzone kozy! Tutejsze hurysy to najpiękniejsze córki kraju, młodziutki, ale już ogromnie doświadczone w miłości. Dbą o to Pola, która zresztą sama wybiera dziewczęta. W tym celu podróżuje *incognito* po kraju, zakwefiona i w zamkniętej lektyce, i odkupuje je od „wdzięcznych” rodziców. Pola podejmuje takie wyprawy zawsze wtedy, gdy nie ma wielkiego mistrza, żeby po powrocie mógł się delektować świeżutkimi owocami. Dawniej podobno był nienasycony. Pola wspomina te czasy jako najlepszy dla niej okres. Wtedy była jeszcze jego faworytą, teraz ma dwadzieścia dziewięć lat i imam nie darzy jej już względami. Pola twierdzi, że jego siły męskie osłabły, ale wydaje mi się, że mówi tak tylko przez urażoną próżność. Nadal jest urodziwa, a w młodości bez wątpienia miała wielki temperament. Tobie, mój Williamie, na pewno by jeszcze przypadła do gustu; Ty zresztą, jak pamiętam, zrywasz także dojrzałe owoce. Nawiasem mówiąc, co porabia Ingolinda, ta nierządnicą z Metzu? Kochała Cię, i to bardziej, niż zasługiwał na to taki braciszek lekkoduch jak Ty!

Komnaty Poli znajdują się na górnym piętrze, otaczającym pewnie pierścieniem

magharat al-wahi, jeśli właściwie zrozumiałam wyliczenia Rosza. Dzięki temu Pola ma na oku cały „rajski” ogród. Spojrzenie wybiega stamtąd w dal ponad wierzchołkami

drzew, na każdej roślinie wiszą soczyste owoce, krzaki różane kwitną i wspinają się po murach. Ich zapach rozlewa się po komnatach pełnych wyściełanych aksamitnych sof, obciągniętych adamaszkiem wałków i jedwabnych poduszek. Wszędzie leżą miękkie dywany; ach, jak przyjemnie stąpać po nich boso! Najbardziej lubię tam chodzić całkiem nago, przystrojona tylko w łańcuchy pereł i biżuterię z kamieni szlachetnych w delikatnej oprawie. Pola podziwia moją szczupłość, ale żartuje z piersi. Mówi, że wypuszczą paki wraz z miłością, ale kiedy ta miłość przyjdzie? Według Poli właśnie wtedy, gdy nie będę jej wyglądać tak niecierpliwie, tak tęsknie. Hurysy pod nami zabijają czas oczekiwania dziecinnymi zabawami, takimi jak łapanie się nawzajem z zawiązanymi oczami. Śpiewają i grają na instrumentach strunowych, fletach oraz na tamburynach z dzwoneczkami. Muzyka brzmi dość przeciętnie, ale tańczą do niej bardzo ładnie. Z gracją kołyszą biodrami, jakby chciały uwieść wszystkich mężczyzn w Róży. Tymczasem przychodzi zawsze tylko wielki mistrz i odwiedza jedną z nich, najwyżej dwie. Myślisz może, że czasem dopuszcza do dziewcząt przynajmniej swego syna? Jeszcze czego! A Churszahowi naprawdę dobrze by to zrobiło, bo nie wie, co zrobić ze swoją cielecą energią! Hurysy mieszkają na parterze w małych komnatach wychodzących na ogród. Jeszcze tam nie byłam. Pola mówi, że nie wypada, abym je odwiedzała i rozmawiała z nimi. Może rzeczywiście są dla mnie zbyt głupie, bez przerwy chichoczą i się przekomarzają. Żadna nie czyta! Tylko kiedy młodzi fedaini wysyłani są na wyprawę, z której mogą nie wrócić żywi, czyli — między nami mówiąc — kiedy mają kogoś zamordować, wtedy pozwala się im przed wyjazdem spędzić noc w „raju”. Chętnie bym kiedyś przy tym była, chciałam powiedzieć, że przyglądałabym się z góry, naturalnie z ukrycia, ale Pola jest pod tym względem surowa jak smok: coś takiego nie wchodzi w rachubę!

A gdyby mojego Rosza wysyłano jako fedaina, czy miałabym go wtedy pozostawić

hurysom? Williamie, jeśli mam być szczerą, chciałabym zostać jego hurysą, zanim jakaś inna wprowadzi go w rozkoszne tajemnice Afrodyty — albo mnie Amor nagle ugodzi strzałą i skieruje me pożądanie nie na mojego najmiłszego Rosza, lecz na kogoś innego. Co prawda nie wyobrażam sobie, że mogłabym pokochać obcego mężczyznę, ciało, które nie byłoby mi znane każdym swoim włóknem jak ciało Rosza — ale z całej duszy pragnę, żeby to wreszcie nastąpiło! Po co ostatecznie zostałam kobietą!

Williamie, powiem Roszowi, żebyśmy od tej pory pisali osobno swoje przyczynki do Twojej kroniki. Nie chcę, żeby czytywał me wynurzenia. Z Tobą to co innego. Dla mnie jesteś tylko mnichem, nawet jeśli jedynie za moją sprawą doznajesz jasnych chwil w swoim rozwiązłym tyciu. Pozdrawiam Cię,

Twoja Jeza, O. C. M.

PS. Zajmuję się astrologią, nauką o oddziaływaniu ciał niebieskich, i przeczytałam już książkę Al-Kindiego,* obecnie studiuje dzieło Al-cabitusa* na temat wróżenia z gwiazd. Potem zamierzam sięgnąć po Abu al-Wafę.* Teraz wiem przynajmniej, że Alphard* wróży niemoralność, Bellatrbc* małżeństwo dla pieniędzy i marny honor, a Alnilam* krótkie szczęście. Sirrah* natomiast zapowiada miłość i bogactwo. Cielę* ma przynosić szczęście, co mnie dziwi, ale tak jest napisane w odniesieniu do Regulusa. Dzięki temu, jeśli mi się uda dostać do obserwatorium, nie stanę przed Kasdą zupełnie bez pojęcia.

PPS. Wiem, że większość treści, które spływają z mojego gadatliwego pióra, nie jest godna przyjęcia do Twojej tajnej kroniki. Wydziob sobie z nich jak ptaszek to, co może Ci się przydać, mój Braciszku!

L. S.

Rosz do Williama Alamut,

w pierwszej dekadzie lutego A. D. 1252

Mój dobry Williamie, czemu nie przybywasz? Rzecz jasna, chętnie piszę do Ciebie, ale moim zdaniem lepiej by było, gdybyś nam towarzyszył. Jeza domaga się teraz dla siebie „tajemnicy korespondencji"! A przecież dzięki pismom do Ciebie także sobie nawzajem mogliśmy przekazywać, co myślimy i czujemy. Wielu rzeczy nie mówi się wszak tak łatwo drugiemu człowiekowi, a z Jezą jest coraz trudniej. W każdym razie przygotowuję ekspedycję, na którą nie może się nie zgodzić. Otóż mam nowego przyjaciela. Ali jest wprawdzie dla mnie dobrym kompanem, ale dosyć nudnym. Interesują go jedynie dziewczęta, o nich wciąż mówi, lecz dziewcząt tutaj nie ma. Teraz chce zostać fedainem tylko po to, żeby go dopuszczono do hurys. Powiedziałem mu, że najpierw musi się nauczyć po mistrzowsku posługiwać sztyletem. Ćwiczy więc dzień w dzień, a kiedy mnie widzi, rzuca się na mnie z głośnym okrzykiem, ja zaś za każdym razem muszę robić unik, zakładam mu dźwignię, wytrącam broń z dłoni ręką albo nogą i powalam go na ziemię. Robię to już bardzo dobrze. Do tych spraw mamy nauczyciela z Chin, który potrafi kantem dłoni przełamać dziesięć ułożonych jedna na drugiej desek albo pięć cegieł. Człowiek ten, podobnie jak Róża, wydaje się cały ze stali: twardy, a równocześnie sprężysty! Ma rzadką bródkę jak cap i podobnie też beczy. Nie potrafi wymówić „Rosz", za każdym razem brzmi to jako „Lodź". Trudno mi go zrozumieć, ale z wielką cierpliwością ćwiczy z nami każdy «gwyt". Tylko w wypadku Alego wszelki jego trud jest daremny, bo ten nie rozumie, że cała energia wychodzi z głowy, która uczy mięśnie ustępliwości, sprężystej gotowości i przekształca gwałtowny atak przeciwnika w porażkę. Podczas tego szkolenia poznałem Umara,* wyjątkowo śmiałego i szlachetnego fedaina. Umar ma już dziewiętnaście lat, jest bardzo duży i silny.

Pochodzi z bliższej okolicy Alamutu, z górskiej wioski o nazwie Iskandar, która musi być maleńka, a słynna jest dzięki swojej studni. „Studnię w Iskandarze" zna każdy, bo Wielki Aleksander podobno pił z niej wodę podczas wyprawy do Indii. Wygląda mi to

wprawdzie na mało wiarygodną legendę, bo o ile wiem, ów słynny bohater nigdy nie był w tej okolicy — sam mnie wszak nauczyłeś: *Tria, treis, treis, hae, en Issos nikae.*'* Issos leży na północ od Bagdadu. Przejżdżaliśmy przez to miasto, kiedyśmy byli z wizytą u kalifa.

Umar zaprosił mnie do domu swojego ojca. Problem polega tylko na tym—imam wciąż jeszcze przebywa w podróży—żeby wymknąć się spod opieki Hasana Mazandariiego, który ma nadzór nad fedainami. Jeza zaproponowała, żebyśmy uciekli z Róży osobno. Ona nakłoni swoją zaufaną doradczynię Połę, żeby ją wzięła ze sobą w najbliższą podróż. Podobno to już niedługo, ale kobiety robią z tego wielką tajemnicę. W każdym razie opisałem jej dokładnie miejscowość i drogę do domu Umara. Tam się spotkamy. Muszę coś wymyślić, żeby moje kilkudniowe zniknięcie nie rzucało się w oczy, gdyż Jezie udało się już przeforsować całkiem oficjalne przekazanie jej pod opiekę Poli, nadzorczyńi haremu, i nawet u niej śpi. Tym sposobem zostałem sam w naszym dotychczasowym *locum*, położonym, zawieszonym, przyklejonym obok tego, które zajmował Crean. Ma ono tę wadę, że z pałacu można bez przeszkód zaglądać tam do środka, w każdym razie widać by mnie było od piersi w górę, jak stwierdziłem. Gdybym zrobił kukłę, która wyglądałaby jak ja, ale siedziała sztywno na posłaniu lub wyglądała przez okno, pomyślą, że jestem chory, i przyślą mi medyka. Umar podsunął pomysł, żeby włączyć Alego. Jako zakładnik on też nie może wprawdzie wychodzić, ale nikt nie troszczy się o niego jak o nas, bo na pewno nie ucieknie. Nawet by mu to do głowy nie przyszło. Powiedzieliśmy mu więc, że upatrzyła mnie sobie jedna z hurys, najpiękniejsza, i w jedną z najbliższych nocy spuści linę z „raju”, żeby mnie wpuścić do siebie. Ponieważ on jest moim przyjacielem, a ja i tak już mam swoją damę, której pragnę dochować wierności, co zresztą się zgadza, więc jemu przekażę swoje miejsce. Przez parę wieczorów musi tylko czasem pokazać się w moim oknie w moich szatach i

moim rzucającym się w oczy turbanie, jak również leżeć na moim posłaniu. Ali natychmiast zapalił się do tego pomysłu, nie mógł się wprost doczekać, kiedy opuścę swe *locum*. Umar wiązał mi codziennie niesamowity turban z adamaszku i brokatu ozdobiony pawim piórem. Z tym szkara-dzieństwem na głowie przeparadowałem kilka razy przed Hasanem, aż ten przyzwyczał się do śmiesznego widoku — tak wyobrażam sobie Ali Babę! — i w ogóle już na mnie nie patrzył. A potem nadszedł wczesny ranek. Umar jak najbardziej przepisowo zwolnił się u Hasana na kilkudniowe odwiedziny rodziców. Wspólnie wysztafirowaliśmy Alego, który z belą materii na głowie na pewno wyglądał jeszcze bardziej głupkowato, bo w dodatku był z tego dumny. Następnie obaj wpakowali mnie do kosza, w którym wyciągano na linie towary przynoszone przez chłopów, żeby przypadkiem i lud nie cisnął się do kotła. Poza tym mogliby się wkraść szpiedzy lub co gorsza, przebrani wrogowie. Kosze te, umocowane na grubej linie, są spuszczone przez dźwigi z Róży ponad fosą na sam dół, gdzie się je napełnia. Niestety, w ten sposób usuwa się z twierdzy również odpadki, gdyż w fosie by śmierdziały. Musiałem więc pogodzić się z tym, że będą wysypywane na mnie wydrążone dynie, łupiny fasoli i końskie łajno. Następnie Umar popędził schodami na dół, a gdy straż wypuściła go przez bramę wypadową i mały most, pobiegł na miejsce odbierania towaru, gdzie trafiają kosze. Pociągnął trzykrotnie za linę, umówiony znak, i Ali zaczął mnie spuszczać.

— Musisz mi potem opowiedzieć, jak całowała! — poprosiłem.

Rozpromieniony na myśl o tej rozkoszy kręcił korbą tak zawzięcie, że kosz zaczął się kołysać i nawet myślałem, iż wpadnę do fosy. Tymczasem Umar wynajął muły na drugim brzegu jeziora. Kiedy dotarłem na miejsce i niewolnicy wysypali mnie na górę odpadków, mój fantastyczny przyjaciel już tam czekał. Zarzucił na mnie czarny burnus i

wsadził mnie na jedno ze zwierząt. Stojący w pobliżu wieśniacy i posługacze sądzili pewnie, że uprowadził jedną z hurys, i stosownie do tego stroili sobie niewybredne żarty na temat naszego losu, było bowiem rzeczą znaną, że imam karze takie wykroczenia z całym okrucieństwem. Umar dał wszystkim po monecie, żeby milczeli, i oddalił się razem ze mną.

Dopiero gdy upewniliśmy się, że nikt za nami nie jedzie — nie bałem się siepaczy Hasana, ale Umar musiałby za mnie odpokutować — uwolniłem się od niegodnego przebrania. Tymczasem dotarliśmy do jednej z okolicznych dolin i zniknęliśmy z pola widzenia Róży. Kamienna ścieżka ciągnęła się stromymi serpentynami pod górę, czasami tak wąska, że muły musiały iść jeden za drugim. Obok ziały wąwozy skalne, starałem się nie patrzeć w dół, ale kiedy się odwróciłem, ujrzałem ją znowu. Różę. Połyskiwała w dole, wyłaniając się z wody, ze stulonymi ciemnymi płatkami. Pośrodku wznosił się słupek kwiatu, czyli minaret z obracającą się tarczą księżycy na czubku. W blasku wschodzącego słońca rozblyskiwała czerwienią, jakby wysyłała za nami promienie. Wystraszony, ponownie zasłoniłem twarz czarnym suknem burnusa. Umar się roześmiał, ja zaś po raz kolejny przyrzekłem sobie, że jeśli tam szczęśliwie wrócę, to uchylę wreszcie rąbka tajemnicy obserwatorium. Czy rzeczywiście można stamtąd widzieć wszystko w świecie, także to, co się dopiero wydarzy? Tak w każdym razie uważają fedaini. Musi jednak coś w tym być, no bo skąd owa cała „wiedza tajemna”, o której Jeza opowiada z takim zachwytem, wpływałyby do „groty objawień” i zbierała się w „jaskini apokryficznych prorocत्व”? Sława jedynej w swoim rodzaju biblioteki — wtedy to sobie uświadomiłem — jest ściśle związana z oddziaływaniem gwiazd. Wieczne światło skupia się tam w wiązkę jak w żadnym innym miejscu na ziemi. Róża czerpie moc z promieni gwiazd, lecz ta może oddziaływać jedynie dzięki geniuszowi ludzkiego umysłu, dzięki dziełom, które mój „Zew na kółkach” tworzy na dole, w ciemnych wnętrzościach kotła. Jego cicha działalność utrzymuje planetarium w

dokładnie wyliczonym ruchu. Aż dreszcz mnie przejął, kiedy to sobie uświadomiłem, jakbym spojrzał w przepaść, przed którą strzegł mnie mój muł, wybierając najbezpieczniejszą drogę.

—
Nie bój się! — zawołał do mnie jadący przodem Umar. — Zaraz będziemy na miejscu! Przed nami, na górskim siodle, leżał Iskandar. Nieliczne domy, a w obniżeniu małego płaskowyzu kilka potężnych cedrów. Ich ciemna zieleń dodawała skalistemu pustkowiu przytulnej świeżości. Wioseczka przycupnęła tu sobie spokojnie i bezpiecznie. Od razu dostrzegłem także studnię. Zwykły pierścień z kamieni, które sprawiały jednak egzotyczne wrażenie, gęsto pokryte inskrypcjami, wyciętymi w ciągu stuleci, jeśli nie tysiącleci. Wielu znaków nie potrafiłem rozszyfrować. Imienia Wielkiego Aleksandra szukałem daremnie.

Zatrzymaliśmy się na chwilę. Młode kobiety, które jak się wydaje, znały Umara, sądząc po wyzywającym spuszczeniu oczu, nabrały dla nas wody, wyciąganej czerpakiem z dużej głębokości i dlatego zimnej jak lód. Umar podziękował im. Potem weszliśmy do domu jego ojca. Matka Umara była bardzo nieszczęśliwa z powodu niespodzianki, jaką sprawiło jej nasze przybycie, wstydziła się, że nie przyjęła nas odświętnie. Zaraz zawołała: — Aziza, Aziza! Sprowadź no ojca! Ale zwawo! Młoda dziewczyna wyskoczyła przez drzwi jak gazela, wyszczerzyła zęby do brata, uśmiechnęła się zuchwale do mnie i wybiegła na wzniesienie za domostwem. Włożyła dwa palce do ust i gwizdnęła przeraźliwie. — To moja siostra — pośpieszył Umar ze zbędnym wyjaśnieniem. —

Nie umie się zachować — dodał przepraszająco. —

Wychowuje się jak dzikuska, bo zawsze wypędza z ojcem kozy w góry, zamiast pomagać matce w obejściu. Na pewno nie znajdzie męża! Oceniałem Azizę na tyle samo lat co Jeza. Jeśli wda się w matkę, wyrośnie na wielką piękność, a mężczyźni na

jej widok będą oblizywać palce jak po tłustym udźcu baraniam.

Matka Umara przeprowadziła nas przez sień na podwórze z małym ogródkiem

pośrodku, a w nim stało potężne drzewo, którego rozłożyste gałęzie dawały cień i

ochłodę. Przyniosła szybko świeży ser, *dżubn tazi*, okrągły płaski biały chleb prosto z pieca, *chubz*, oraz suszone figi, *tin naszif*, po czym zmusiła nas do pozostania na tym powitalnym poczęstunku, za którego skromność raz po raz przepraszała. Niedługo

potem zjawił się także ojciec, wszedł na podwórze przez tylną furtkę z desek. Trzymał

na ręku kózkę, która żałośnie beczała. Serce mi się ścisnęło, kiedy podał kozłátko

żonie, a ta zniknęła w głębi domu, gdzie pobekiwanie wkrótce zamarło. Ojca Umara nic

nie mogłoby powstrzymać od uraczenia gości pachnącą pieczenia, nawet gdyby musiał

poświęcić swoją jedyną kózkę. Każda próba protestu tylko by go obraziła.

Niestety, razem z matką zniknęła w kuchni Aziza i musiałem się zadowolić

suszonymi figami. Świeży ser był wyborny w smaku, toteż pochwaliłem gospodarza z

pełnymi ustami. Ten włosy miał już posiwiałe, był bardzo krępy i na pewno

niesamowicie silny. Skórę kanciastej twarzy wygarbowały wiatr i deszcz, a na jego

wargach gościł ów wyraz dobroci i okrucieństwa, często właściwy pasterzom. Ojciec

Umara zażądał *dżubn muchammar*, * ponieważ tylko on miał rzekomo prawdziwy smak.

Aziza przyniosła ser, którego zażyczył sobie ojciec, tak szybko, że nie zdążyłem nawet

zajrzeć jej w oczy. Piersi ma już w pełni rozwinięte. Jej zniknięcie wynagrodziłem sobie serem, który trzeba żuć niczym udziec starej kozy. Potem Aziza przyniosła świeżej

wody i tym razem odważyła się posłać mi błyskawiczny uśmiech. Aż się zarumieniłem.

Mała bestia już zresztą nie wyszła, tylko zmiękczyła serce ojca niemym spojrzeniem.

— Przyjaciel mojego syna jest częścią mojej rodziny — obwieścił starzec z

naciskiem. — Nie może zszargać mi honoru!

Aziza wdrapała się na ławę obok niego i przysiadła do nas. Ten nacisk odnosił się

naturalnie do moich nieczystych myśli i musiałem wspomnieć Ciebie, Williamie: jak Ty

zachowałbyś się w takiej pikantnej sytuacji? Ze strachem pomyślałem o nocy. Ale Umar na pewno będzie spał ze mną w jednej izbie; może to powstrzyma jego nieposkromioną siostrę od splamienia honoru ojca przez lekkomyślne wystawianie na próbę moich nieugiętych postanowień. O obowiązku wierności wobec Jezy, mówiąc szczerze, nie pomyślałem. Wtem na zewnątrz, za drzwiami, rozległy się podniecone głosy kobiet, wystraszone, a zarazem uradowane. Matka wypadła na podwórze i bezceremonialnie odciągnęła córkę od naszego stołu.

—

Natychmiast ukryj się w izbie! — zawołała. — *Habitat al-ulaas-sabika** rzuca złym okiem na naszą biedną wioskę!

Aziza posłuchała jej, choć z wahaniem. Wstając z ławy, strzeliła do mnie oczami i pochyliła się do przodu, pozwalając, bym zobaczył wcięcie między piersiami, jakby chciała powiedzieć: „Jeśli mnie nie uratujesz, to...” — i wyszła prowokująco wolnym krokiem. Nie potrzebowałem żadnych dodatkowych wyjaśnień. Zrozumiałem, że do

Iskandaru przybyła Pola — a razem z nią Jeza! Nawet słowem nie wspomniałem, że umówiłem się tu ze swoją damą, i nie przygotowałem gospodarzy na jej przybycie. Nie liczyłem się zresztą, że nastąpi ono tak szybko. I byłem rzecz jasna przerażony, widząc, jaki strach wzbudza córka Creana.

— Są też takie matki, które nie mogą się wręcz doczekać na zaprezentowanie jej swoich córek — wyznała mi z trwogą matka Umara. — Jeśli spodoba jej się jakaś dziewczyna, to rodzicom nie wolno się sprzeciwić: muszą oddać dziecko. A ja mam tylko... — przepraszająco popatrzyła na męża i Umara — my mamy tylko to jedno! Choć służba mojego syna w Róży jest dla mnie wielkim zaszczytem — dodał ojciec — bardzo niechętnie widziałbym córkę w „raju”!

— Uspokójcie się, dobrzy ludzie — powiedziałem, gdyż czułem się powołany do wyjaśnienia reguł obowiązujących w Róży. — Skoro brat służy, to nie można już przyjąć

córki! Jedno wyklucza drugie! Takie jest prawo!

« Ach — poskarżyła się z goryczą matka — jeśli wzrok imama za pośrednictwem *al-*

*muchtary** padnie na czyjąś córkę, to po prostu „wyprawia” się syna z misją, co znaczy, że wysyła się go na pewną śmierć!

- Milcz, niewiasto! Czemu gadasz o rzeczach, których nie rozumiesz —zrugął ją mąż.

— Chcę zachować swoją Azizę i już...

W tym momencie weszła Jeza i na jej widok wszyscy oniemieli, zwłaszcza że

miejscowe kobiety przed drzwiami uderzyły w krzyk: —

Nadchodzi, nadchodzi,

odwiedzi dom matki Azizy! Umar i ja zerwaliśmy się z miejsca, żeby przywitać się z

Jezą. Przez sień widać było lektykę, która zatrzymała się przed domostwem. Wsiadła z

niej Pola. Odziana była w różową jedwabną galabiję, jej twarz zasłaniał *hidżab*,* który mimo wyciętych otworów zakrywał także oczy. Opuszczając lektykę, Pola pokazała

jednak bezwstydnie dużą część nogi. Eskorcie kazała zaczekać za drzwiami, a sama

weszła do sieni domu, gdzie powitała ją uniżenie matka Azizy. Kiedy odwróciłem się w

stronę podwórza, ojciec Umara zniknął.

Jeza zawołała: —

O, jak pięknie tutaj pachnie pieczonym koźlęciem! — Następnie

wzięła Polę za rękę. — Mój rycerz i jego przyjaciel Umar — powiedziała chociaż w

ogóle go nie знаła — przygotowali wszystko na nasze powitanie.

„Stara faworyta” wyszła na podwórze, a za nią podreptała matka, która zupełnie

wytracona z równowagi, zapomniała poprosić ją, by spoczęła, toteż uczynił to Umar. W

dowód wdzięczności został obdarowany płomiennym spojrzeniem oczu, które zabłysły

w szczelinach *hidżabu*, a tymczasem Pola usiadła na ławie. Jeza, bardzo głodna, od razu rzuciła się na *dżubn tazi*, natomiast *al-muchtara* zażyczyła sobie tylko łyku wody.

Matka już chciała pośpieszyć do kuchni, lecz Umar ją uprzedził, gotów do tej służby.

Przedstawiłem matce Jeżę. —

To jest księżniczka Graala — rzekłem uroczystym

tonem — a ja jestem jej najmilszym rycerzem.

Jeza natychmiast mnie poprawiła: —

Oboje jesteśmy parą królewską, jedno bez

drugiego niewiele znaczy. Rycerz może nie dochować wierności swojej damie, dama

może zmienić rycerza — wyjaśniła zmieszanej matce, które nie rozumiała ani słowa,

bojąc się, że ktoś może ją zapytać o córkę. — Jesteśmy przeznaczeni do wspólnego

działania, jesteśmy władcami królestwa, które nie pochodzi z tego świata.

W moich uszach zabrzmiało to tak, jakby powiedziała: Jesteśmy skazani! Ponieważ

moja Jeza jest zbyt mądra, by zwracać się w takich słowach do wieśniaczki z gór,

odnosiły się one zapewne do mnie, gdyż oprócz mnie i Umara nie było wszak nikogo,

nie licząc jej przyjaciółki Poli.

Ojciec Umara wrócił na podwórze, pędząc przed sobą dwie kolejne kózki, lecz Pola

podniosła się z ławy. — Szanowny panie — powiedziała, a jej wzrok powędrował z

upodobaniem od syna na silnie zbudowanego ojca — nie mogę przyjąć gościny u was,

jeszcze dziś muszę jechać dalej. Podała dłoń matce, która ucałowała ją z

wdzięcznością. — Zostawiam wam moją podopieczną, polecając ją waszej życzliwej

trosce, za kilka dni po nią wrócę.

Następnie zwróciła się do mnie i ponownie musnęła Umara badawczym spojrzeniem.

-Rada jestem, że poznałam śmiałego rycerza Rosza i że zostawiam was oboje w

dobrych rękach. Na pewno uspokoi to także Hasana Mazandariego, który...

— O zgrozo! — wyrwało mi się w mało rycerski sposób. — To on wie, gdzie

jesteśmy?

— Tak przypuszczam — odparła Pola. Również ja ucałowałem więc czubki jej palców, pomyślałem o jej obnażonej nodze i razem z Jezą odprowadziłem *al-muchtara* przed domostwo. Czekwały tam kobiety z wioski, które półkolem otaczały lektykę i z podnieceniem szeptały między sobą. Pola w ogóle nie zwracała na nie uwagi. Uściskawszy Jezę pożegnała się z nią słowami: — Odpocznij w tym zdrowym otoczeniu, księżniczko, mając przy sobie silnych młodych wojowników! Brzmiało to prawie tak, jakby zazdrościła Jezie, że może tu zostać, i jakby chętnie się z nią zamieniła! „Stara faworyta” nie była wcale jeszcze taka stara! Lektyka uniosła się nad ziemią i zniknęła wśród okrzyków kobiet i dzieci.

Potem zaś cała wioska rozpoczęła przygotowania do uczy w domu Umara, gdzie przyjmowano tak szczególnych gości, że *al-muchtara* nie rzuciła nawet okiem na miejscowe dziewczęta. Ta jasnowłosa dziewczyna jest księżniczką, a przyjaciel Umara — księciem! Zapowiadało to podniecającą gadaninę po wieczerzy, kiedy będzie można pogapić się na parę królewską zupełnie z bliska. Ojciec musiał zabić jeszcze dwa koźlątko, bo każdy mieszkaniec wioski zamierzał skorzystać z zaproszenia.

Szczęśliwe dni w Iskandarze przemknęły niczym jaskółki, które ćwierkały pod belkowaniem stropu domu rodzinnego Umara. My, mężczyźni, spaliśmy na górze, na sianie, natomiast Jeza spała z kobietami w izbie obok kuchni. Ojciec wyprowadził się z powrotem na górskie łąki, matka zaś nie mogła przeszkodzić Azizie w wypędzaniu codziennie stada w to miejsce, gdzie byliśmy z nią umówieni. Chodziliśmy po lasach, zbieraliśmy dzikie jagody i suche drewno, które przynosiliśmy wieczorem, żeby matka nie zadawała żadnych pytań. Doiliśmy kozy i piekliśmy nad ogniskiem różne zwierzęta, wręcz prześcigaliśmy się w ich zabijaniu. Aziza nie umiała posługiwać się łukiem i strzałami, za to potrafiła zręcznie wypatroszyć naszą zdobycz i smakowicie ją przygotować. Jeza, marna kucharka, mogła jej tylko pozazdrościć! Dziewczyna z gór

podziwiała jednak umiejętności strzeleckie Jezy o wiele bardziej niż moje. Także Umar był pod wrażeniem bystrego oka i pewnej ręki mojej księżniczki, uważał wszakże za niepokojące, iż opanowała ona niemal wszystkie umiejętności, jakimi powinien odznaczać się wojownik. Najgorszy cios zadała jego dumie, gdy nagle wyciągnęła sztylet i błyskawicznie rzuciła nim, wbijając go w pień tuż obok szyi Umara. — Ty, Umarze, masz jeszcze przed sobą zabicie człowieka. Ja już nie! — rzekła z uśmiechem, wyciągając ostrze.

Zanim jednak zdążyłem opowiedzieć Umarowi historię o kucharzu z psem, ten odrzekł z goryczą: —W tym celu, droga Jezo, musisz najpierw znaleźć mężczyznę, który cię kocha. Ja już straciłem kobietę, którą kocham. Nie mogłem tak spokojnie przyjąć tej zniewagi i zrugalem przyjaciela. —Twój ból nie daje ci prawa do podważania mojej miłości do Jezy. Ona wie, że to uczucie będzie odwzajemniane, dopóki śmierć nas nie rozłączy.

Umar oblał się purpurą. —

Daleki byłem od obrażania cię, jesteś moim przyjacielem, ale z doświadczenia wiem, że każdemu związkowi miłosnemu na ziemi grozi rozstanie — na długo przed tym, kiedy śmierć wkroczy i przyniesie wybawienie. Prawdziwa i wieczna miłość istnieje tylko w raju!

- U hurys? — zadrwiła Jeza, prawie ze złością. — A więc to rozumiesz przez miłość!

— Nie mam na myśli jednej nocy i przelotnego spotkania z nieznajomą — wyjaśnił z oburzeniem Umar — tylko trwałe szczęście, będące twoim udziałem po zakończeniu ziemskiego żywota. - I ty w to wierzysz? — zapytałem.

—Z radością i mocą! — odparł Umar. — To doda mi sił do wypełnienia każdego

rozkazu, jaki zechce mi wydać imam. —Potem będziesz przypuszczalnie martwy — odrzekłem. Wtedy Aziza zaczęła płakać, a Jeza posłała mi pełne wyrzutu spojrzenie, w którym ku memu przerażeniu wyczułem odcień pogardy — ale może tak mi się tylko wydawało. Jeza pocieszając Azizę mruknęła chyba coś w rodzaju: —Ci głupi mężczyźni!

Odkąd czyta księgi filozofów, a przede wszystkim odkąd zadaje się z Połą, moja Jeza dziwnie się zmieniła. Z każdym dniem staje się dla mnie coraz bardziej obca, kiedy na nią nie uważam. Cóż więc mam począć, Williamie? Poradź mi! Na razie nie daję nic poznać po sobie, mam się na baczności przed Azizą, która nawet gdy płacze, posyła mi płomienne spojrzenia. Cieszę się, że jej brat śpi obok i dlatego Aziza nie ma odwagi zbliżyć się do mnie. Jej dziewczęcy brak doświadczenia właściwie też tak bardzo mnie nie drażni. Gdybym uległ jej tęsknej żądzy, zwałiby się na mnie mnóstwo kłopotów. Będąc dziecięco otwarta i na pewno domagając się też wyłączności, raczej nie miałyby tyle siły co doświadczona kobieta, by zadowolić się jedną nocą niby przelotnym spotkaniem z nieznanym. Już teraz wyobrażam sobie, jak by płakała z wściekłości i rozpacz! Poza tym należy pamiętać o honorze jej rodziny. Umar może by mi przebaczył lub wyzwiał mnie na rycerski pojedynek, na życie i śmierć, której się nie lękam. Powiniennem natomiast lękać się Jezy. Obrzuciłaby mnie tylko krótkim zimnym spojrzeniem, a na jej czole pojawiłaby się pionowa gniewna zmarszczka, i byłoby to ostatnie spojrzenie, jakim obdarzyłaby mnie w tym życiu. Dlatego trzymam się raczej Umara: pokazał mi, jak w czystym strumieniu chwycić pstrągi gołą ręką i jak wybierać miód z gniazda pszczoł, aby nie zostać przy tym pokłutym niczym sito.

Jeza pod okiem Azizy zbiera zioła, a raz przyprawiła i upiekła nam rybę, którą naprawdę dało się zjeść. Umar zażartował, że zostanie jeszcze kobietą jego życia, ale

odparła, że wolałaby być moją hurysą w raj! Może nie powinienem już dłużej na to czekać? Raj jest odległy, a nasza miłość jest na pewno kluczem do naszego szczęścia na ziemi! Ach, Williamie! Jako że od paru dni siedzę nad swoją relacją dla Ciebie i nie troszczę się o nikogo, Jeza już się poskarżyła, iż wyczerpię ani chybi wszystkie tematy, o których sama chciała napisać, i zagroziła mi „gwałtownym końcem nadgorliwego kronikarza”. Nie może to znaczyć nic dobrego, odkładam więc pióro w pośpiechu,

Twój nieszczęśliwy Rosz

L. S.

Do Williama z Roebruku, O. F. M., od Jezy, O. C. M.

Dlaczego życie nie jest prostsze, mój Williamie? Od kilku dni wdychamy świeże górskie powietrze, aromatyczny zapach łąk, smrodek bijący od kóz i skupiamy na sobie nieustającą uwagę komarów i gzów. Mnie użądliła nawet osa! Gdzie? W pupę! Dla ochłodzenia tej szlachetnej części ciała Umar zaprowadził nas nad jezioro. Wskoczyłam od razu, woda była lodowata. Żeby być ciągle w ruchu, bawiliśmy się w nurkowanie jedno pod drugim. Aziza nie umie nawet pływać. Weszła jednak do wody aż po swoje bujne piersi i stanęła w rozkroku, żeby Rosz mógł przepłynąć między jej nogami. Rosz potrafi to bardzo dobrze, mam tylko nadzieję, że nie wsadził od spodu ręki w jej ogródek, jak zawsze robi to u mnie. Koza tak piszczała! Potem jej brat zanurkował przede mną. Sądzę, że nigdy wcześniej tego nie robił. W każdym razie przepłynął obok mnie, bo pewnie zamknął oczy. Nie wytrzymałam i roześmiałam się głośno, kiedy parszając wynurzył się daleko ode mnie, i zobaczyłam jego zmieszaną minę.

— Zostań tam, pokażę ci, jak to się robi! —zawołałam i zanurkowałam tak, że zbliżyłam się do niego od tyłu. Pewnie bardzo go wystraszyłam, kiedy przepłynęłam pod nim, między jego owłosionymi nogami. Gdy jego członek musnął moje plecy, Umar rzucił się w bok i upadł na plecy, a tymczasem ja szybko zawróciłam i wynurzyłam się z

wody dokładnie w tym miejscu, w którym zanurkowałam. — Umarze, nie potrafisz ustać spokojnie nawet chwili? — zapytałam i ponownie dałam nura w jego kierunku. Ale tym razem kazałam mu daremnie czekać, ponieważ chciałam śledzić Rosza. Dopłynęłam do niego, kiedy akurat wspinał się po masywnych udach Azizy, obejmując je rękami.

Uszczypnęłam go od tyłu w męderały tak mocno, że wystrzelił w górę niczym spłoszony rak, przewracając przy tym Azizę. Ta wrzeszczała, jakby obdzierano ją ze skóry, twierdząc, że się topi, ale łyknęła tylko trochę wody. Wtedy powiedziałam: — Mnie wystarczy. Robię ostatnią bramkę, jak ktoś chce przepłynąć, to niech przepływa!

Rosz znalazł się przy mnie błyskawicznie niczym pstrąg. Poczułam jego język ślizgający się zwinnie w górę moich ud, obsypywał mój ogródek pocałunkami; nawet rana po ukąszeniu osy otrzymała jeszcze delikatną pociechę, zanim mój rycerz zupełnie wyczerpany wynurzył się za mną z wody i od tyłu zamknął mnie czule w ramionach.

Williamie, Williamie! Muszę Ci coś wyznać: przez cały czas wyobrażałam sobie, że doznaję tego wszystkiego od męskiego ciała Umara, w myśli czułam już dreszcze i drżałam z podniecenia. A może to tylko za sprawą zbyt lodowatego chłodu, którym przenikała mnie woda jeziora? W każdym razie Umar odrzucił moje zaproszenie i razem z siostrą już dawno wyszedł na brzeg.

Tam leżeliśmy potem wszyscy na brzuchu pośród traw i pracowitych mrówek.

Zbliżyliśmy do siebie głowy i Rosz opowiadał różne historie. Zastanawiałam się wtedy, dlaczego życie nie jest zawsze tak przyjemnie łaskoczące jak żuk biegnący po mojej dłoni albo tak pogodnie nieważkie jak motyl, fruwający wokół kwiatu przed moim nosem. Czuję, jak wzbiera we mnie wilgotne ciepło trawy; przyłapuję się na tym, że przyciskam do ziemi swój ogródek, i wsłuchuję w bicie własnego niespokojnego serca. Tęskniłam, tak, do czego ja tęskniłam, skoro mam wszystko? Zawsze mogę być pewna

pożądliwych spojrzeń obcych mężczyzn i podobnie uczuć Rosza. Swojski zapach jego włosów, delikatne pieszczoty zdolnych warg i zręczność palców, to wszystko należy do mnie. Wiem, że twarde, sprężyste ciało mojego małego rycerza jest gotowe mnie przyjąć, choć powściągliwe jeszcze i niepewne, co zresztą mi odpowiada. Również inni, pachnący niebezpieczeństwem i żądzą, wcale nie są nieosiągalni. Ta myśl całkiem mi się podoba! Zła jest tylko Jeza, która tak myśli, *mała feminal** Williamie, ja grzeszę w myślach. Udzielisz mi rozgrzeszenia? Czy też już teraz mogę być pewna piekła? Jeśli jego ognie mają płonąć na mojej skórze jak promienie słoneczne Iskandaru, to niedługo będę się wahać. Ale diabeł nie kazał na siebie długo czekać, żeby zakończyć nasze ziemskie szczęście.

Pewnego dnia wczesnym rankiem stanął w drzwiach w osobie poczciwego gamonia Alego. Pamiętasz, to syn Nasir ad-Dina Tusiego. Mój Rosz, jeszcze zaspany, w jednej chwili oprzytomniał ze strachu. Ali wyglądał jak nieboskie stworzenie, miał pozdzierany naskórek, niezłe cuchnął, a poza tym był okropnie wygłodzony. Matka Umara przestała się już czemukolwiek dziwić, zaraz troskliwie nakarmiła go *dżubn tazi*. Potem musiał wszystko opowiedzieć.

— Codziennie stałem w oknie — zwrócił się przepraszająco do Rosza — w twoim turbanie i czekałem na obiecaną hurysę. Ale ona nie przychodziła. Aż pewnego dnia zobaczyłem sznur, który dyndał przed moimi oczami, więc szybko napisałem na kawałku pergaminu: „Słodki kwiecie mego aż po łądzkę bijącego serca, mojej podnieconej krwi, moich ognistych warg, czekam na Ciebie każdej nocy, żeby wsłuchiwać się w bicie Twego serca pod kwiatowym płatkim, zanurzyć się w twoich kipiących sokach i zgasić żar Twego kielicha — Twój Rosz”.

— O Boże — jęknął Rosz — ułożyłeś ten poemat w moim imieniu, a w dodatku go podpisałeś?

— To najpiękniejszy wiersz miłosny, jaki kiedykolwiek słyszałam!—

oświadczyła

zachwycona Aziza, pożerając Alego dużymi okrągłymi oczami. W rewanżu Ali obdarzył ją spojrzeniem wdzięcznego poety, co jeszcze bardziej rozpaliło podnieconą skórę.

— A co miałem napisać pod spodem? — bronił się Ali, wolny od jakichkolwiek wątpliwości co do własnej żyłki poetyckiej. — Tak mi przecież poleciłeś!

— Ech, po prostu chciałeś się dobrać do którejś z hurys — wylałam na niego swoje szyderstwo.

— Ani mu to przez myśl nie przeszło — Umar pośpieszył przyjacielowi z pomocą. — Ali miał tylko przedstawiać Rosza jako sylwetka, a nie występować za niego jako poeta.

— Ali pozwolił przemówić swemu sercu — przerwała mu siostra. — Chciałabym, żeby ktoś w takich słodkich słowach opisywał mi, jak mnie pożąda... -- Azizo! — uciął surowo Umar i mała bestia czerwieniąc się spuściła główkę.

— Opowiadaj dalej! — rozkazałam. Rosz wznosił oczy do nieba i milczał. Umar posłał mi porozumiewawcze spojrzenie, na które właściwie nie powinnam była mu pozwolić. - Przymocowałem list do sznura, który wyciągnięto na górę. Potem nadeszła noc. Zasłoniłem otwarte drzwi pokoju wszystkim, co znalazłem, również swoimi szatami, żeby z pałacu nie można było zaglądać do środka. Byłem nagi z wyjątkiem turbanu na głowie i czekałem w ciemności. Przez otwór okienny wpadało tylko światło księżyca.

— Dalej, Ali, opowiadaj dalej — naciskał teraz także mój Rosz.

— Jakie to cudowne! — westchnęła Aziza.

— Leżałem na twoim posłaniu — zwrócił się Ali ochryłym szeptem do Rosza — i

nagle księżyc się zaciemnił, jego bogini pojawiła się za oknem, jej białe ciało... W tym momencie na podwórzu wyszła matka i Umar zawołał:— Aziza pomoże ci w pracy!

Rozgniewana siostra kopnęła go pod stołem w goleń, ale pozostał niewzruszony. - W

tej chwili masz się wynieść do kuchni! Wstała więc i pobiegła wściekła do domu.

— Białe ciało — przypomniał mój Rosz. — Była naga? Ali podjął wątek. - Nie, nie — zaprzeczył — ale była tak uroczo zasłonięta, że...

— Co? —

Jej potężne piersi kołysały się w sieci splecionej ze sznurów pereł, w

jej pępku błyszczał diament, drobne stopy tkwiły w jedwabnych pantofelkach, mało brakowało, żeby jej zadek nie przeszedł przez okno, był okrągły niby księżyc w pełni.

Umar nałożył gościowi jeszcze jedną miskę sera, co obu rozproszyło. - O rany — wyszeptałam do Rosza — gruba Lajla!

— Co? — odparł nieufnie. — Znasz hurysy po imieniu? -- Tylko z góry — uspokoiłam go — widzę je przez okno Poli i wiem...

— Dorodna hurysa wisiała na sznurze, którym przewiązano ją w biodrach. -

Odwiązałeś ją? — naciskał Rosz.

— Nie — wyznał Ali. — Została ze sznurem i z diamentem w pępku. Popchnęła mnie z powrotem na posłanie i... wprowadziła w ciepłą jaskinię miłości — wyjąkał zmieszany.

— A ty? — dopytywał się Rosz.

— Leżałem pod nią, cichy i sztywny...

— Mam nadzieję — rzekł mój Rosz, a ja pomyślałam: Oho!

. — I tak robiliśmy przez całą noc bez przerwy, raz uda pięknej, raz mój... t — Już dobrze—przerwał mu szorstko Rosz — wiemy, jak to się robi! Umar skorzystał z okazji,

żeby popatrzeć na mnie znowu w ów niewybaczalny sposób. Przemogłam się więc i

dodałam:

— Sam przebieg aktu miłosnego, Ali, nie jest ciekawy. Co było dalej?

— Nazywa się Lajla. — Posłałam Roszowi tryumfujące spojrzenie, którego Umar nie

zrozumiał, co sprawiło mi satysfakcję. — Kocha mnie gorąco — wyznał Ali — i również

ja jestem dla niej nieskończenie dobry. Zaproponowałem jej wspólną ucieczkę do Iskandaru, bo nie przyszło mi do głowy lepsze miejsce, a Lajla uszczęśliwiona odpowiedziała: „Tam, najmilszy, zobaczymy się znowu!”

— Dalej, drogi Ali, dalej! — poprosiłam teraz i ja. Poparł mnie także Umar: -- I jak kończy się ta historia?

— Sam też tego nie wiem! — odrzekł niepewnie Ali. — Ja, ja... — zaczął się znowu

jąkać — pewnie potem zasnąłem. Roześmialiśmy się wszyscy, tylko Ali nie dał się

zarazić wesołością. — Kiedy się obudziłem, nie było jej — podjął zasmucony. —

Pomyślałem o obietnicy, którą jej dałem, wpakowałem wszystko, co tylko znalazłem, w

twoje szaty, Rosz — przyznał się do swojej głupoty — nasadziłem kukle turban na głowę

i opuściłem Różę tą samą drogą co ty, musiałem się bowiem pośpieszyć, żeby Lajla nie

przybyła tutaj przede mną i nie przeżyła rozczarowania... Nasz bezlitosny śmiech

sprawił, że zamilkł. — Ona nie przyjedzie! zakomunikował Rosz nieszczęsnemu ko-

chankowi najgrubszej hurysy, jaką „raj” kiedykolwiek widział. — Ale swoim rycerskim czynem zakończyłeś nasz pobyt w Iskandarze. Musimy wracać. Natychmiast.

Właściwie byłam umówiona z Połą, że mnie stąd odbierze, nie chciałam jednak, żeby

tylko Rosz, Ali, a przede wszystkim Umar byli narażeni na sąd karny Róży, przed

którym Hasan z całą pewnością postawi nas, uciekinierów. Jeśli będę przy tym, może

nie dojdzie do najgorszego, czego obawiałam się dla Umara, my bowiem byliśmy

królewskimi dziećmi, a Ali synem Nasir ad-Dina Tusiego. Umar natomiast był fedainem

winnym posłuszeństwo aż do śmierci. Zafrasowana poprosiłam więc jego matkę, aby

przekazała „starej faworycie” moje najuniżeńsze przeprosiny za to, że nie mogłam

czekać dłużej. Po czym wyruszyliśmy w drogę. Wszyscy byliśmy przygnębieni, bo

świadomi nieuniknionej kary, jaką Umar będzie musiał ponieść za tę wycieczkę.

Dotarliśmy pod wieczór, lecz żadne z nas nie za bardzo potrafiło zachwycać się

pięknem Róży, która połyskiwała w blasku zachodzącego słońca i z każdym krokiem, przybliżającym nas do niej, przybierała inny, delikatniejszy odcień. Nie było sensu korzystać ponownie z koszów na towary, toteż podeszliśmy prosto pod ukryty główny portal. Jeden z płatków Róży opuścił się z łoskotem ponad fosą. Powstały mostek przyjął nasz powracający oddział i przeprowadził nas nad wodą pod dużą bramę. Otworzyła się jednak tylko mała furtka. W przejściu stał Hasan, który powitał nas z nieprzeniknioną miną, lecz zniżył głos, co natchnęło mnie nadzieją.

—

Al-Hamdu li-Allah! — rzekł cicho. — Bogu niech będą dzięki, że dotarliście żywi i cali. Imam powrócił właśnie z podróży i jeszcze nie zauważył, że was nie ma. Następnie zwrócił się do Rosza. — Nie wspomnę mu słowem o waszym samowolnym oddaleniu się — zaproponował podstępnie. — Oczekuję też od was pełnej dyskrecji na temat wycieczki do Iskandaru, którą wam niniejszym wybaczam — dodał przymilnie. — Nie dotyczy to jednak — jego głos nabrał na powrót twardości — waszego przewodnika. Umar wie, co zawinił i co... Natychmiast wpadłam mu w słowo. — Jeśli zamierzasz wydać na śmierć Umara, to wyjawimy imamowi twój spisek i zdradzimy mu, że to ty przekonałeś nas do tej próbnej ucieczki z Alamutu i umożliwiłeś ją nam, pomagając na różne sposoby. Powiemy mu, że — wbrew twojemu życzeniu i woli — powróciliśmy dobrowolnie z miłości do imama. — Widzę, księżniczko, że przyswajacie sobie ducha, który ożywia Różę, niemniej nie mogę Umarowi puścić tego płazem... — Wyślij go z misją, żeby się sprawdził — zaproponował Rosz. — To byśmy jeszcze zrozumieli, bo ostatecznie to nasza wina...

— Nie, jego — odparł chłodno Hasan. — Możliwe, że wy byliście powodem, ale

Umar zna prawo posłuszeństwa i dyscypliny. Wy możecie je naginać, bo nie złożyliście przysięgi jako fedaini, Umar zaś złożył! Wymyślę jakieś rozwiązanie, które usatysfakcjonuje Różę. A teraz idźcie do swoich pokoi, zaraz będą wzywać na wieczerzę.

Umar stanął z boku. Ali zniknął potulnie w głębi kotła. Może wstydził się tego, co narobił własną głupotą. Prawdopodobnie jednak weźmie za dobrą monetę żart, jaki urządziły sobie hurysy, i będzie nadal czekał na swoją Lajlę. Odprawiłam z kwitkiem Rosza, kiedy zapytał, czy chcę nocować u niego.

—

Lepiej śpij sam, może Lajla przyjdzie też do ciebie. — To rzekłszy, wycofałam się do pomieszczeń Poli.

Mój drogi Williamie, jak widzisz, Alamut mnie odzyskał i jestem zmęczona. Twoja
Jeza, O. C. M.

PS. Czyż nie robię postępów jako Twoja pilna kronikarka, jeśli chodzi o styl i charakter pisma? Pochwal mnie czasem!

LS

Kubbat al-musawa (arab.) — komora harmonii.

Stabilitas... (łac.) — Stabilność i zmienność utrzymują Różę w rozkwicie, zapewniają jej trwałość i pozwalają oddychać.

O. F. M. — *Ordo Fratrum Minorum* (łac); w zakonie braci mniejszych (minorytów, franciszkanów).

* Al - K i n d i — ur. ok. 800, wybitny filozof, jeden z pionierów arabskiej astrologii .

* Alcabitius — zm. 967 w Saragossie; jego najsłynniejsze dzieło to „Wprowadzenie w

sztukę wróżenia z gwiazd".

* Abu al-Wafa — 940—988, arabski matematyk i astronom z północnej Persji. W 970 r.

nauczał w obserwatorium w Bagdadzie; poprawił trygonometrię przez wprowadzenie sinusa i tangensa.

* Alphard — naj aśniejsza gwiazda stałą w konstelacji Hydry w gwiazdozbiore Lwa, w typie Saturna i Wenus.

* Bellatrix—gwiazda stała w konstelacji Oriona w znaku Bliźniąt, w typie Marsa i Merkurego.

* A In ilam — jasna gwiazda w konstelacji Oriona w znaku Bliźniąt, w typie Jowisza i Wenus.

* Sirrah — naj aśniejsza gwiazda stałą w konstelacji Andromedy w znaku Barana, w typie Marsa i Jowisza.

* Cielę — określenie Regulusa; naj aśniejsza gwiazda stała w gwiazdozbiore i znaku Lwa, w typie Marsa i Jowisza.

* Umar — w polskim piśmiennictwie stosowana była również forma „Omar”, jednakże odchodzi się od niej na rzecz formy „Umar” zgodnej z obowiązującymi w Polsce ujednoliconymi zasadami transkrypcji (przyp. tłum.).

* T r i a... (gr.) — rymowanka z humanistycznego gimnazjum (w wolnym przekładzie): „Trzy czy dwa — pod Issos bitwa” jako odpowiedź na pytanie: „Trzy trzy trzy — kto wygrał z kim?”

* Dżubn muchammar (arab.) — ser osaczony.

* Habibat al-ula a s-sa bika (arab.) — stara faworyta.

* Al-muchtara (arab.) — wybierająca, dokonująca selekcji.

* Hidżab (arab.) — zasłona twarzy kobiety, kwef.

* Mała femina (łac.) — zła kobieta.

VII .PRÓG BUŁGAJA

— Tych parę bud z desek? Nie ma nawet murów miejskich! — Emir Abu al-Kasim Mazandari ani się nie starał ukryć zawodu. Delegacja asasynów, na której czele jechał, zbliżała się do obozu polowego armii mongolskiej, która rozłożyła się przed bramami Karakorum.

— Po co Mongołom mury miejskie? Któż miałby ich tutaj atakować? Bramy miejskie służą jedynie do orientacji, do kontroli i ewentualnie do uroczystego powitania gości! — poddał pod rozwagę Nasir ad-Din Tusi.

— Jeśli o nas chodzi, niczego takiego nie dostrzegam! — utyskiwał emir. — Powinniśmy zapewnić sobie respekt! Abu al-Kasim dowodził eskortą poselstwa, na którego czele stał mądry negocjator Nasir ad-Din Tusi, a to tylko dlatego że był kuzynem Hasana Mazandarięgo.

— Na Allaha! — zaprotestował Tusi. — Nie ma rzeczy, która nie przystałaby nam bardziej! Proszę was, jeśli miłe wam życie nas wszystkich, okażcie szacunek im oraz ich zwyczajom, chociaż go nie odczuwacie!

— Jako człowiek bywały w świecie przyznacie jednak chyba—szydził Abu al-Kasim — że nazywanie „miastem” tych ustawionych szeregami pokraccznych namiotów to doprawdy gruba przesada!

— Takie pojęcie jest im rzeczywiście obce — wyjaśnił cierpliwie Tusi — a poza tym byłoby mylące. Oni nazywają to „głównym miejscem”, a zbierają się w nim rzadko i niezbyt chętnie. Mongołowie miłują swobodne wędrowanie po rozległych przestrzeniach stepów. Dlatego polubili jurty i służące do ich transportu zaprzęgi wołów tak bardzo, że nawet tutaj nie rozstają się z nimi.

Z niewielkiego wzniesienia asasyni ogarnęli wzrokiem Karakorum w całej okazałości.

Srodek miejscowości zdobiły nieliczne budynki drewniane na kamiennych fundamentach; „pałac” wielkiego chana znajdował się poza obozem w oddali i wydawał się otoczony murem. Jedna, dwie cebulaste wieże, dachy pagód i minaret zdradzały obojętnie tolerowaną obecność wspólnot chrześcijańskiej, buddyjskiej i muzułmańskiej, lecz tak naprawdę wrażenie robiły tylko obozowe uliczki, wytyczone prościutko jak pod sznurek.

— Otępiałość podniesiona do rangi obowiązującej zasady! — wybrzydzał nadal emir.

— Pewnie dlatego ten nieokrzesany lud pasterski odnosi takie sukcesy. Jako że Allah nie podarował im ani wyobraźni, ani zmysłu artystycznego, całą swą energię przeznaczają na prowadzenie wojen!

— Porządek jest dla Mongołów ważniejszy niż to, co my rozumiemy przez „sprawiedliwość” — odparł Tusi, cierpliwie starając się odpowiednio nastroić aroganckiego Abu al-Kasima na czekające ich spotkanie. — Dla nich oznacza to absolutne posłuszeństwo wobec ich prostego i jasnego prawa. Kto je złamie, musi umrzeć!

— To tak przez was wychwalane stadne bydło daje nam właśnie oryginalny przykład swojej sprawiedliwości! — mruknął Abu al-Kasim zmieszany widokiem, który ukazał się ich oczom. Obóz polowy Mongołów leżał nad brzegiem małego jeziora. Zdążyli już zbliżyć się do niego na tyle, że rozpoznawali szczegóły. Właśnie wyprowadzono dwie kobiety ze związanymi na plecach rękami. Ale nie to było przerażające, tylko ich twarze.

Nie miały warg, z zabliznionej wąskiej rany, która musiała być dawniej ustami, wystawała tylko krótka trzcina. Ich głowy przypominały przez to z wyglądu stare ptaki, a świst, jaki wydawały przy każdym kroku, brzmiał okropnie. Następnie każdą przywiązano sznurkiem do końskiego ogona i niewiasty ruszyły potykając się za końmi, które bez dalszej zwłoki wpędzono do wody. Związane kobiety piszczały przeraźliwie ze strachu i padły na ziemię, zanim jeszcze dotarły do nadbrzeżnej skarpy. Konie powlokły

je do wody, a potem zaczęły płynąć, kierując się ku drugiemu brzegowi. Oba ciała dryfowały przez jakiś czas na powierzchni, wyrzucając małe fontanny i wydając bulgoczące dźwięki, a w końcu utonęły i tylko ostatnie bąbelki powietrza świadczyły o zakończeniu śmiertelnych zmagania. Od grupy Mongołów, którzy byli obecni podczas egzekucji, oderwał się Ata al-Mulk Dżuwajni, muzułmański szambelan Hulagu, i podszedł wolnym krokiem do delegacji asasynów. Pomiął emira Abu al-Kasima Mazandarięgo i zwrócił się od razu do Nasir ad-Dina Tusiego.— Trzeba było utopić te czarownice. Miały na sumieniu śmierć wielu wojowników, gdyż udało im się podburzyć cały klan przeciwko wybranemu władcy. — I jakby chciał wyjaśnić motywy Tusiemu, dodał: — Coś takiego mogło się zdarzyć tylko za sprawą złych czarów; Allah nam świadkiem!—Zaraz jednak się opamiętał. — Również taki luminarz nauki jak wy, Nasir ad-Dinie Tusi, nie doszedłby do innego rezultatu.— Po czym nie zostawiwszy zagadniętemu czasu na odpowiedź, ciągnął: —Dziwi mnie wszakże, iż tak mądrego męża jak wy widzę na czele poselstwa, któregośmy ani nie wzywali, ani nie witamy z radością—i które zresztą nie ma nam nic do zaoferowania! Ton jego głosu stawał się coraz ostrzejszy, a przy ostatnim zdaniu Dżuwajni zwrócił się do emira, by niespodziewanie huknąć na niego:

—

Gdzie są dzieci? Dlaczego nie przywieźliście ich, jak wam rozkazano?— Bo wasze rozkazy... Tusi prędko wpadł emirowi w słowo i dokończył uprzejmym tonem:— Bo nie mogliśmy przypuszczać, że waszym życzeniem jest poznać dzieci! W przeciwnym razie byśmy...

I tu Abu al-Kasim z nieskrywaną drwiną w głosie wpakował mu się w parade: --

...byśmy w ogóle zaniechali tej podróży!

To w końcu otrzymaliście nasz rozkaz — czy nie? Nie! — zawołali zgodnym chórem Nasir ad-Din Tusi i Abu al-Kasim Mazandari, choć ich poglądy wcale nie były zgodne. — Bardzo to dziwne... — mruknął szambelan. — Mimo to dam wam wiarę, bo w przeciwnym razie nie ośmielilibyście się przecież zjawiać tutaj z pustymi rękami! — Przybywamy jako posłowie jego wysokości Muhammada III, imama wszystkich izmailitów, i... — Abu al-Kasim wskazał szerokim gestem zwierzęta objuczone skrzyniami i belami — ...i bardzo dobrze wiemy, co wypada. — Po czym dodał tryumfująco: — Wszystko to drogocenne dary dla wielkiego chana!

Na szambelanie ów widok nie zrobił wrażenia. - Na próżno odbyliście tę podróż — zwrócił się ponownie do Tusiego. — Nie wolno wam wjechać do Karakorum. — Pragniemy wielkiemu chanowi... — zaprotestował emir, którego Tusi daremnie próbował nakłonić do milczenia. — Jako poselstwo mamy prawo...;

— Zamilczcie lepiej! — przerwał mu szambelan, po czym wyraził się już jednoznacznie: — Czy naprawdę sądzicie, że wpuszczymy tu członków osławionej sekty morderców? Pokażemy im pałac wielkiego chana? Pozwolimy wyszpiegować drogę do jego komnat? Nie wypowiedział tych słów głośniejszym, tylko ciszej, ale zabrzmiały tak groźnie, że emir zawołał z oburzeniem — Nie dam się obrażać komuś takiemu jak wy! Ata al-Mulk Dżuwajni uśmiechnął się złośliwie. —

Wybijcie sobie z głowy

pojęcie honoru, jakie używane jest w „reszcie świata”, jeśli pragniecie coś zabrać na karku w drogę powrotną. Jeśli uważacie, że moje słowo za mało znaczy, zaprowadzę

was do Bułgaja. Pilnujcie swoich języków i bacźcie na próg jego domu. To najwyższy sędzia Mongołów!

Ostatnie słowa wypowiedział niemal z troską w głosie, jakby nagle stał się przyjacielem emira, choć nie patrzył na niego. I ni stąd, ni zowąd odszedł, tak iż

delegacja chcąc nie chcąc musiała podążyć za nim. Nasir ad-Din Tusi szybko dołączył do szambelana. Asasyni ruszyli za nim z wahaniem, ponieważ nie śpieszył się ich przywódca Abu al-Kasim Mazandari, który aż gotował się z wściekłości.

Szambelan dotarł do jurty Bułgaja. Tusi kazał pozostałym poczekać na zewnątrz, a sam z niskim ukłonem wszedł do środka. Najwyższy sędzia siedział za pulpitem, zza którego mógł patrzeć na brzeg jeziora, gdzie po utopieniu Oguł Kajmysz i matki Sziremuna gapie przyłączyli się do delegacji asasynów. - Spocznijcie, Nasir ad-Dinie Tusi — przemówił uprzejmie Bułgaj. — Wysłaliśmy wam poselstwo do Alamutu, domagając się dostarczenia tej „pary królewskiej”. Pewnie wasze drogi się skrzyżowały. — Kraj Mongołów jest tak niezmiernie rozległy i wielki — odpowiedział Tusi — że może się zdarzyć, iż dwie delegacje się nie spotkają. Gdybym wiedział o waszym życzeniu, zawrócilibyśmy, żeby je spełnić! Oto słowa, które mnie radują — rzekł Bułgaj, gdy przy wejściu do jurty naraz się zakotłowało.

— Kto reprezentuje tutaj wielkiego chana wszystkich Mongołów? — zawołał wyzywająco emir Abu al-Kasim. Stał na progu w rozkroku, podparłszy się pod boki. Najwyższy sędzia podniósł wzrok. — Ja reprezentuję tutaj prawo Mongołów — poinformował rzeczowo intruza — które wyście przed chwilą złamali! Na jego skinienie dwaj strażnicy chwycili emira pod pachy i wynieśli.

— Okażcie łaskę nieświadomemu — poprosił Tusi. Bułgaj podniósł się z miejsca. — Ten człowiek dobrze wiedział, co czyni. Ale dam mu możliwość uniknięcia wykonania wyroku. — Szepnął coś strażnikom przybocznym i wysłał ich na zewnątrz. Następnie zwrócił się do Tusiego: — Bądźcie świadkiem mojej dobrej woli! Podeszli do progu, ale go nie przekroczyli. Na zewnątrz pociągnięto białym wapnem koło, które miało wielkość jurty i dotykało jej progu. —

Kto stanie w tym kręgu —

wyjaśnił mu Bułgaj — poddaje się mojemu wyrokowi, kto go opuści, podlega istniejącemu prawu.

Pośrodku kręgu właśnie zarzucono i zawiązano emirowi worek na głowie. Następnie zaczęto go obracać i popychać i podcinano mu nogi, kopiąc pod kolana, aż w końcu upadł. — Jeśli skazany odnajdzie drogę z powrotem i przekroczy próg, ale go nie nadeptnie, zostanie mu wybaczone.

Abu al-Kasim pełzał na czworakach po kole, na którego obwodzie stanęli zarówno asasyni, jak i licznie przybyli Mongołowie. Ludzie emira zagrzewali swego dowódcę, próbując okrzykami wskazać mu właściwą drogę. Zagłuszał ich jednak ryk Mongołów, którzy starali się doprowadzić nieszczęśnika do zguby. W końcu Abu al-Kasim całkiem stracił orientację.

—
Wydaje mi się — rzekł Bułgaj do swego gościa — że w drodze powrotnej będziecie musieli zrezygnować z przewodnika, bo on nie odnajdzie już drogi. Wtedy Nasir ad-Din Tusi zawołał: — Abu al-Kasimie! Słuchajcie tylko mojego głosu i kierujcie się ku mnie! Emir pewnie go usłyszał. —

Do mnie! — krzyczał Tusi, nie zważając na gospodarza, lecz Mongołowie podnieśli tak wściekłe wycie, że jego wołanie zniknęło w ogólnym wrzasku.

Abu al-Kasim wstał powoli i ruszył w zbawczym kierunku. Nasir ad-Din Tusi uśmiechał się już tryumfalnie, lecz nagle emir odwrócił się przekornie i tuż obok drzwi jednym susem wyskoczył z koła. Błysnęły szable Mongołów, którzy posiekli go na

kawałki, a na koniec głowę w worku odcięli od tułowia. - Zachował swoją dumę — westchnął poruszony Tusi. — To także akt łaski, którego nie wzięliście pod uwagę.

— Mogłem mu zaproponować tylko honorowe odejście, ale sam musiał je wykonać

— odparł najwyższy sędzia z niewzruszoną miną.

— Przyjmijcie to jako mój prezent pożegnalny. Wracajcie do Alamutu i przyprowadźcie mi dzieci Graala!

— Przedstawię wasze życzenie, lecz muszę wam powiedzieć, że nie chodzi o dzieci, tylko o młodych władców, którzy sami decydują, dokąd chcą się udać. Nie możecie im grozić, gdyż nie mają władzy, którą moglibyście im odebrać, ani królestwa, które moglibyście najechać i spustoszyć! - Odważny z was człowiek — przyznał najwyższy sędzia. — Przynosi to wam zaszczyt. Ja wolę być mądrym sługą mego pana i dlatego dam wam setkę swoich najlepszych ludzi, a w dodatku szambelana jako ich dowódcę.

— Z uśmiechem zwrócił się do Ata al-Mulka Dżuwajniego, który przez cały czas stał w kącie i nie patrzył na widowisko przed progiem jurty. - Nie wracajcie tutaj bez dzieci — przykazał mu Bułgaj rzeczowym tonem. — A nasz przyjaciel, mądry Nasir ad-Din Tusi, nie wcześniej zawita do Alamutu, niż królewska para odda się w wasze ręce, drogi Dżuwajni. Uśmiechnął się do obu na pożegnanie ze swojego progu. — Takie to proste — rzekł cicho — kiedy człowiek wie, czego chce. — Następnie skinął na młodego Mongoła z tłumu. — Kitonie — ozwał się do niego — obiecałem twojemu ojcu, że wyślę cię z następną ekspedycją. Zyskasz przyjaźń królewskich dzieci i jako ich strażnik przyboczny będziesz przede mną odpowiedzialny za ich dobre zdrowie. A przybędą one do nas nie jako zakładnicy i nie jako więźniowie, lecz jako nasi przyjaciele.

Przysadzisty syn Kitbogi skinął z radością głową i pobiegł osiodłać konia. Zadbał też, żeby przydzielono mu również dwa szlachetne wierzchowce. Tego samego dnia

kolumna jeźdźców ruszyła w drogę. Opuszczając obóz asasyni zdążyli jeszcze zobaczyć przybycie Sempada, brata króla Armenii. Przyjechał z bogatą świtą, żeby złożyć hołd nowemu wielkiemu chanowi. Na jego cześć odświętnie przystrojono miejskie bramy. Aryk Bóge, najmłodszy brat Móngkego, wyjechał go powitać aż pod obóz polowy. Uściskał seneszala małego królestwa, którego władca pojął wcześniej niż wszyscy inni z „reszty świata”, jak postępować, żeby przeżyć.

— Takie to proste — mruknął do siebie na odchodne Nasir ad-Din Tusi i odwrócił się jeszcze raz. Karakorum w złocistym blasku zachodzącego słońca prezentowało się imponująco. — Pod warunkiem że człek wie, co może zrobić, a czego winien zaniechać!

VIII . SREBRNY KSIĘŻYC NAD ALAMUTEM

Rosz do Williama Alamut, w idy miesiąca marca A. D. 1252

Drogi Williamie, otworzył się przede mną nowy świat nieskończonej rozległości i urody, promienne światło — a powinienem raczej rzec: światła. Lśnią one i błyszczą w aksamitnej ciemności, która nie jest obca ani niesamowita, jak w podziemnych jaskiniach, ale tak kusząca, że wydaje mi się, iż słyszę słodkie głosy. A te wołają: „Roszu, należysz do nas, na zawsze jesteśmy twoje!”

Sądzę, że się domyślasz, co tak bardzo napełnia mnie szczęściem. Widziałem niebo! Pozwolono mi rzucić okiem na firmament i uchwyciłem rąbek uniwersum; poczułem jakby lekki dotyk tajemnicy stworzenia. To coś więcej, niż Jeza zdoła kiedykolwiek wyczytać ze swoich grubych foliałów napisanych przez filozofów, a bezcenną przewodniczką, która wprowadza mnie w misteria wszechświata, jest Kasda, nieprzystępna kapłanka gwiazd. Jak się właśnie dowiadujesz, byłem w planetarium, największym skarbie, jaki Alamut, ba, świat może dać ludziom. Niełatwo było znaleźć

drogę na górę. Nie mogła ona prowadzić przez bibliotekę Herlina, choć nie jestem pewien, czy nie ma jednak takiej możliwości. W każdym razie przejście przez *magharat al-wahi* było i jest dla mnie zabronione. Nie mogę nawet wchodzić do *magharat at-tanabbuat al--maszuk bi-ha*. Klucz do obserwatorium musi leżeć gdzie indziej. Pamię-

tasz, Williamie, że badałem dziwne żebra, które odchodzą w górę od płatków Róży niczym żyły, rozgałęziają się i łączą w sieć, ażeby stworzyć splot dźwigający wieżę z biblioteką. Rzucił mi się wtedy w oczy splot żył, grubszy od pozostałych, a kiedy zastukałem weń palcem, wydał głuchy dźwięk. Rura! Rura znikająca w ścianie kielicha.

Ale dokąd miałyby prowadzić, jeśli nie w głąb kotła? Potem uzmysłowiłem sobie, że żadnego mechanizmu nie można skonstruować tak doskonale, żeby od czasu do czasu nie trzeba było go naprawiać i oliwić, toteż zacząłem wypytywać mego przyjaciela

„Zewa na kółkach”, czy bywał już kiedyś na czubku pręcika kwiatu, tam gdzie kręci się jego arcydzieło, tarcza faz Księżyca.

Zaprzeczył tak gwałtownie, że uznałem to za potwierdzenie, iż jestem na właściwym tropie. Rozejrzałem się w jego królestwie i odkryłem kulę, wystarczająco dużą, żeby

zmieścić się w środku, ale i ja od biedy mogłem się do niej wcisnąć. Unosiła się w jednym z podziemnych kanałów, które opływają obok łodygę Róży i obracają różne drążki w pręciku kwiatu. U góry i u dołu kula umocowana była na łańcuchu, który przechodził przez potężne koło zębate z żelaznymi trybami. Owo koło wskakiwało dzięki dźwigni w szprychy systemu kół młyńskich, utrzymywanego ciągle w ruchu przez prąd wodny — mam nadzieję, Williamie, że mnie rozumiesz? Zew już dawno przywykł do tego, że godzinami krąży po różnych szybach, schodach i jaskiniach jego maszyny, i pewnie dawno też zapomniał, że pytałem go o obserwatorium. Dlatego przyciągnąłem kulę do brzegu basenu. Dała się łatwo otworzyć, w środku była nawet wyłożona miękką skórą. Otwory, wystarczająco duże, żeby wystawić przez nie ręce i widzieć wszystko, co się robi, znajdowały się w górnej pokrywie, trochę mniejszej niż dolna część kuli, w

której się siedziało. Tym sposobem także obciążona kula wystawała ponad powierzchnię wody niczym wydrążony melon, któremu też przecież obcina się czubek, żeby łyżką wybrać ze środka miąższ. Wsiadłem, zamknąłem pokrywę nad głową i zarygłowałem ją, gdyż za nią miałem być wyciągany wzwyż podczas podróży przez rury. Następnie odwiązałem linę przytrzymującą i podryfowałem prosto ku dźwigni, którą musiałem uruchomić, jeśli chciałem się posuwać w górę. Poczułem szarpnięcie, rozległ się okropny zgrzyt, ale unosiłem się już nad wodą, potem jednak nic nie widziałem, ponieważ połknęła mnie rura, czyli lejkowaty otwór w suficie. Frasowałem się tylko, że Zew może odkryć mój zabroniony wyjazd na górę i odłączyć od siebie wieniec zębów oraz szprychy. Wisiałbym wtedy w zupełnych ciemnościach, prawie nie mogąc się ruszyć, a krzyki na pewno też by mi nie pomogły. Byłaby to zasłużona kara! Nie zdarzyło się jednak nic takiego. Regularne szarpnięcia łańcucha towarzyszyły mojej podróży przez rurę; czasem słyszałem głosy, czasem rozbłyskiwało światło, które następnie znikało pode mną. Parę razy widziałem wiszący pałac imama po mojej stronie, potem coraz niżej, jakbym był jednym z żyrandoli. Powietrze było nieświeże, a poza tym zrobiło mi się niedobrze, gdyż mój pojazd przechylił się nieco, z czego wywnioskowałem, że nie poruszamy się już wzdłuż ściany, tylko prawie w płaszczyźnie poziomej nad *kubbat al-musawa*. Miałem nadzieję, że również tutaj zdołam popatrzeć w dół przez jakiś otwór, może na pogrążoną w lekturze grubych ksiąg Jezę. Nadal jednak było ciemno, a po kolejnym raptownym zrywie znów zacząłem posuwać się w górę. Jakże pragnąłem zobaczyć cokolwiek z tajnych wyższych pięt biblioteki! Ale nie było to dane Twemu pnącemu się ciągle wzwyż Roszowi. Przesuwałem się coraz wyżej przez „proroctwa” i „objawienia”, nawet na mgnienie oka nie wchodząc w ich posiadanie. Nagle obok mnie zaczął bić dzwon, tak przeraźliwie, że aż się wystraszyłem i uderzyłem głową w pokrywę. Dzwonienie rozległo się ponownie, tym razem jeszcze

głośniej. Pojąłem, że w ten sposób zapowiadano przybycie kuli. Łańcuch szarpnął i zawisłem w kołyszącym się jaju. Była to wielka ulga dla moich uszu, gdyż przez całą podróż miałem tuż przy głowie szurganie, chrobotanie, brzęczenie, skrzypienie, a chwilami dręczyło mnie okropne zgrzytanie. Tymczasem zapadła osobliwa cisza, a mój pojazd osiadł łagodnie na jakimś miękkim podłożu. Wyrzuciłem na zewnątrz — i zobaczyłem błękit sklepienia niebieskiego, po którym sunęły małe obłoki. Następnie spuściłem wzrok i przez dolne otwory zobaczyłem marmurową posadzkę. Dziwne intarsje z miedzi, srebra i złota, elipsy oraz przecinające się proste, symbole ze znanymi bóstwami planetarnymi i mistyczne znaki Zodiaku. Po białym marmurze zbliżały się drobne stopy w sandałach, szczupłe kostki i nogi osłonięte najcieńszym muślinem. Z wahaniem odryglowałem pokrywę swojej łupiny orzecha, wstydziłem się jednak ją podnieść. Zrobiła to szczupła, acz silna dłoń kobieca, a w następnej chwili spojrzałem w twarz kapłanki. Właściwie powinna być zdumiona, że zamiast dobrze znanego jej Zewa znajduje w skorupie mnie, lecz jej szaroniebieskie oczy wydawały się wolne od okazywania takich odczuć. Popatrzyła na mnie, jakby moje zjawienie się było rzeczą najoczywistszą w świecie — a przynajmniej w Alamucie — i powiedziała pogodnie, choć na pozór nieobecna duchem:

— Witajcie, mój królu Graala!

Na to i ja zebrałem swoje dworskie maniery i odparłem łagodnie:

— Bądźcie pozdrowiona, Kasdo, córko Creana z Bourivanu. Obrzuciła mnie krótkim zdziwionym spojrzeniem, po czym się uśmie

chnęła. — Wy, Roszu, znacie mojego ojca lepiej niż ja. Ostatni raz widziałam go jako małą dziewczynka.

Wygramoliłem się ze swojej łupiny. Leżała teraz na dywanie, zakrywającym mroczny otwór, przez który się tu dostałem. Nade mną znajdował się jeszcze trójnóg z kółkiem,

na które nawijał się łańcuch, znikający w małym otworze w podłodze, prowadzącym zapewne z powrotem w dół. Kiedy ujrzałem też jednak liny przechodzące przez stojak ze swego rodzaju wielokrążkiem, pojąłem, że na drogę powrotną konieczna będzie pomoc ze strony Kasdy. Linami będzie musiała połączyć znowu ząb i szprychę w głębi kotła, tak samo jak je rozłączyła, gdy dzwonek rozległ się po raz drugi. Nie myślałem jednak jeszcze o drodze powrotnej. Udało mi się, Williamie! Byłem na platformie, a wokół mnie wisiały i stały instrumenty, które tyle razy widziałem oczyma duszy, a mimo to nie potrafiłem sobie ich za bardzo wyobrazić. Nie wiem, co Ci najpierw opisać, czy zwrócone w niebo rury, które miały wielkość katapult, ale za pomocą kilku manipulacji dawały się podnosić, opuszczać i przesuwac i pozwalały na niezmiernie dokładne, precyzyjne ustawienie. Tu, na górze, na bardzo małej przestrzeni „Zew na kółkach” stworzył cudowną plataninę zachodzących na siebie ślimacznic, przesuniętych koron, śrub stożkowatych, korbek i dźwigów. Czy może wyjaśnić Ci najpierw *miraculum mobili** Planetarium! Wyobraź sobie: marmurowa posadzka jest usiana rysunkami, liniami, a wszystkie te elipsy, krzywe mógł wykreślić tylko jakiś bóg albo geniusz geometryczny. W posadzkę wpuszczone są otwory, otoczone miedzianymi pierścieniami, z każdego wynurza się żelazny pierścień i unosi swobodnie w pomieszczeniu, a następnie zniża lot i w innym miejscu znika w ciemnym otworze w kamieniu. Wszystkie pierścienie okrążają powoli, gdyż poruszają się drżącym ruchem, umieszczony pośrodku ołtarz, którym jest puchar z polerowanego topazu. Na jego dnie ze szlifowanego chryzolitu zbiera się światło słoneczne, które tutaj wpada.

— To czara Gei, matki naszej Ziemi i centrum świata! — wykrzyknąłem z zachwytem, ale głupio. Kasda popatrzyła na mnie w zamyśleniu, po czym postanowiła wybrać mnie na adepta niesamowitej prawdy.

—

To, Roszu, jest Słońce! — powiedziała wskazując ołtarz. — Ogień jego kuli

można schwytać tylko symbolicznie; to źródło naszego życia. Ono jest centrum świata!

Ponownie się zawahała, nie miałem wszak jakiejś szczególnej godności, ale potem

przypomniała sobie pewnie o moim przeznaczeniu i dodała zupełnie oschle:

— *Terra Nostra*, nasza Ziemia, jest tylko jedną z jego planet. — Wycelowała palcem w mosiężne jabłko, które niezbyt daleko od nas wypełzło właśnie ze swojego otworu w

podłodze. — Sola, boską centralną gwiazdę, okrąża wielu godnych i niegodnych

paladynów. Najbliżej siebie toleruje tylko Merkurego, wieczne dziecko nie mające

jeszcze określonej płci, bezwzględego złodzieja miłości, łudzącego obietnicą

ziemskich bogactw. — Kasda wskazała najmniejszą kulę, która nie zauważona przeze

mnie, okrążała ołtarz Słońca. Cała z ametystu, błyszczała raz srebrzyście, raz złociście.

Następny pierścień dźwigał szmaragd wielkości gołębiego jaja.

— Pani Wenus lubi udawać młodszą, niż jej przystoi. To czarownica stara jak świat i

podła uwodzicielka, ale niestety nasza najbliższa sąsiadka. Potem jesteśmy my z naszą

kamienistą Ziemią. Wmawiamy sobie, że wszystko kręci się wokół nas. W

rzeczywistości to my się obracamy, niczym *ruota delia fortuna*. Tyle że tego nie dostrzegamy, bo działanie boga dla nas, drobnych duchów, nazbyt jest wielkie, nazbyt

potężne, i tym sposobem oszczędza on nam prawdy...

— Ale wy ją posiadacie? — spytałem dosyć zuchwale, a zarazem zmieszany, są to

wszak również rzeczy prawie niepojęte.

— Jestem jej służebnicą — pouczyła mnie Kasda. — Poświęciłam życie tej służbie i

z pewnością zostanę z niej zwolniona, lecz nigdy się nie dowiem, czy byłam jej godna.

— A co jest potem? Uśmiechnęła się. --Inne życie w innej postaci.

— Ale co po *Terra Nostra*? ---Mars! Tam go widzisz, to ten karbunkuł, któremu się wydaje, że do mężczyzny należy świat z wszystkimi niewiastami. Wieczny wojownik tak jest zajęty sobą i własnymi

podbojami, że nie ma czasu zastanowić się nad sobą. To

jego szczęście, a nawet niemal łaska!

Kapłanka nie ukrywała swojego wstrętu do mężczyzn, toteż poczułem się powołany,

Williamie, do skruszenia kopii w obronie naszej płci. —

A mimo to przypadła nam w

udziale znakomita część dziejów stworzenia, pomnijcie na żebro Adama.

Kasda mnie wyśmiała. —

A kto napisał Stary Testament, Biblię, a także Koran?

Mężczyźni! Starzy mężczyźni! Ty jesteś młody, Roszu, masz czarującą towarzyszkę,

która ani nie została wycięta z twojego żebra, ani ci nie ustępuje.

A więc znała Jeżę lub wiedziała o naszym związku.

— Nie przejmujcie ról, które Ziemia narzuca Marsowi i Wenus. Wyzwólcie boga i

boginię, stwórzcie ich na nowo, tutaj, na tej naszej gwiazdzie! Gdyby ludzie potrafili

pojąć, w jaką cudowną harmonię jest włączona *Terra*, zapewne nie tylko znaleźliby pokój, ale również posiadli zdolność do czynów ducha, co nie ograniczają się do walki

płci i próżnej żądzy władzy, lecz mogą oddziaływać na Kosmos, który należy poznać.

— Ale jak? — ośmieliłem się powątpiewać. — Te gwiazdki są nieskończenie odległe

i małe. — Wskazałem największe tory wykonane z żelaznej plecionki, orbity

szafirowego Jowisza i diamentowego Saturna. — Odleglejsze nawet od Księżyca. -

Odległości, Roszu, odgrywają podrzędną rolę w czasie i przestrzeni. — Jej szczupła

dłoń pogłaskała czule Księżyc, który krążył po orbicie bardzo blisko Ziemi. — O

przyjacielu naszej duszy opowiem ci coś później, kiedy się uspokoisz i będziesz zdolny

otworzyć się na przyjęcie tajemnic. Teraz tylko winienes wrócić do sił. Jej

niebieskoszare oczy jakby tonęły w moich.

—

Dzisiejszą noc spędzisz ze mną, spoczywając na mym łonie, które cię

przyjmie, choć nie będziesz musiał w nie wnikać.

I kapłanka poprowadziła mnie do wąskiego łóża z wysoką burtą, ale w sam raz, by pomieścić jej szczupłe ciało. Pościelone wydawało się bardzo skromne, choć było wyłożone dywanem. Kładąc się na nim, Kasda przybrała wdzięczną pozę. Przez biały muślin widziałem jej dziewczęce piersi—niczym pąki róży w zimie—kontury ud oraz srom spoczywający w cieniu. Poczulem, jak mój członek rośnie i pulsuje, i wstydzilem się swojego parcia wobec jej spokoju i łagodności. Położyła się na boku i przyciągnęła mnie do siebie tak, iż moja głowa legła w jej ogródku, a wzwiedziony członek przyciskał się do jej piersi. Patrzyła tylko na mnie szarymi oczyma, ja zaś czułem, jak fale kołyszą mnie delikatną bryzą; obłoczki wędrowały przez moją głupią głowę, wybawiły mnie od zła i zasnąłem.

Nie pamiętam, jak długo tak leżeliśmy, ciasno przytuleni i zatopieni w sobie, ona, cnotliwa, która dobrowolnie odcięła się od świata mężczyzn, i ja, ożywiony gwałtownym pożądaniem, aby być do niego przyjętym. Kasda musiała przez cały czas czuwać nad moim snem, bo kiedy mnie zbudziła, widać było po niej, że nie zmrużyła oka. W kącikach jej ust pojawiło się swego rodzaju znużenie, także wianuszek zmarszczek wokół szarych oczu nie mógł raczej pochodzić od częstego śmiechu. - Już pora — szepnęła, jakby nie chciała przeszkadzać gwiazdom, które błyszczały i migotały nad nami na firmamencie. Musiało być późno w nocy. Wyszliśmy z przykrytej sklepieniem części platformy i zbliżyliśmy się do przypominających katapulty stojaków z dużymi, rysującymi się czarno rurami, jakby wycelowanymi w niebo. Była ostatnia faza ubywającego Księżyca; jego sierp odcinał się wyraźnie od tajemniczej ciemności, która skrywała resztę powierzchni.

— To, czego nie widzisz, to Hekate* i jej psy, to czarny welon niewiasty Lilith* —

objaśniała cichym głosem kapłanka. — Nie poddała się w walce o władzę, którą promienny Apollo zwycięsko toczy każdego dnia w zastępstwie swego króla, co się mieni *Sol inmctus*; * ona wycofała się w głąb naszej świadomości, na wzburzone morze naszych dusz, gdzie umysł i obłąd postawiły żagle lub wiosłują rozpaczliwie, nie znajdując portu, który byłby ratunkiem. Kasda popchnęła mnie lekko ku końcowi rury.

Przyłożyłem oko do otworu i ujrzałem Lunę w całej jej podniecającej krasie. —

Lilith wkłada wojownicemu lwu rękę między nogi nie po to, żeby czerpać przyjemność z jego członka i nasienia, ale żeby swym sierpem pozbawić go męskości; jego krew ma ją zrosić.

Czułem oddech kapłanki na karku i uświadomiłem sobie jej nagość pod zwiewną szatą tak mocno, jakby stała za mną obnażona—To ciemna część, której się domyślamy, ale jej nie widzimy— powiedziała. Czekałem, kiedy włoży mi rękę między nogi, i gotów

byłem pozwolić jej na to, choćby nawet trzymała nóż w dłoni. Gorączkowo wyczekując chwili, kiedy zada cięcie, pojąłem nagle niezrozumiałą dla mnie dotąd postawę ofiar, które się nie bronią, które oddają serce wyszarpywane im z piersi. Poczulem gorące pulsowanie wspinające się aż do gardła, a równocześnie w lędźwiach chłodny, uroczysty spokój oczekiwania.

Ale Kasda położyła mi tylko dłoń na karku, odciągnęła mnie od lunety do obserwacji Księżycy i obróciła moją głowę nie ku sobie, lecz w taki sposób, że musiałem spojrzeć na wielką srebrną tarczę nad naszymi głowami, która znajdowała się na wysokości dwóch mężczyzn. „Księżyc Alamutu"! I zobaczyłem, że również z niego widać teraz jedynie sierp, dokładnie taki, jaki oglądałem przez rurę. Przed wypukłą niczym talerz tarczą umocowany był wachlarz z czarnych kos, który odsłaniał tyle samo okrągłej Luny, ile ludzkie oko może dostrzec o każdej porze miesiąca.

—
Niebawem czerń, czyli ciemna moc Lilith, zakryje całą powierzchnię —
szepnęła mi Kasda na ucho. — A wtedy będziesz należał do mnie! — Naprawdę tak
powiedziała czy tylko słyszałem głos własnej żądz? — Bardzo krótko trwa jej
panowanie, jedynie wówczas psy ciemności szczekają do niewidocznego Księżyca, a
ludzie zdolni są do mrocznych czynów i ulegają popędom. Już niedługo rozbłyśnie
wieczna Isztar,* odrodzenie pojednawczej kobiecości, macierzyńskiej,
wszechogarniającej miłości!

Kiedy wciąż zafascynowany podziwiałem mechanizm nad głową, czułem, że
przytłacza mnie trochę owa wielka tarcza, która obracała się bez przerwy, choć prawie
niezauważalnie. Często nocą ze skraju Róży obserwowałem, jak w ciągu jednej doby
dopełnia swego obiegu i rozsiewa wokół blask nawet w bezksiężycowe noce. Teraz
wiem, że to był ogień lampki oliwnej płonący w czarze na ołtarzu i wiązki jego promieni
posyłane w górę ku tarczy przez wiele małych kryształowych luster — Miłość nie
dokonuje się potajemnie — szepnęła kapłanka za moimi plecami — tylko w
promiennym świetle bogini. Sięgnęła po amforę i nalała nam rubinowego płynu. —
Isztar! — zawołała. — W twoje imię oddaje się twoja służebnica. Przyjmij naszą
ofiarę miłosną!

Wypiliśmy z jednego naczynia. Jak zresztą mógłbym odmówić! Napój był taki słodki!
Kapłanka popchnęła mnie, niemądrze opierającego się chłopca, ku swojemu łożu,
którego podstawę rozłożyła tym razem jednym ruchem — domyślałem się w tym ręki
genialnego Zewa. Ukazał się połyskujący srebrzyście sierp księżyca, czyli hamak, a w
nim prześcieradła z adamaszku i jedwabne poduszki. A więc to było prawdziwe łoże
cnotliwej Kasdy! Oplotła mnie rękami od tyłu, i przysięgam Ci, tym razem była naga!

Zręcznym ruchem chwyciła klamrę pasa przy moich portkach, które rozpychał nabrzmiały członek. Byłem bezwolny.

W tym momencie rozległ się dzwonek, zrazu cicho, lecz potem coraz głośniejszy. To była wiadomość. Po raz pierwszy, zresztą ku mojemu zdziwieniu, usłyszałem przekleństwo w ustach Kasdy, które brzmiało „Trismegistos!”* lub jakoś podobnie.

Dłonie na moich biodrach znieruchomiały. Było mi jej żal. —

Brakuje tam ciebie,

Rozsu—powiedziała ze smutkiem, wsłuchując się w dzwonienie. — Do kapłanki zbliża się najdostojniejszy gość! Odwróciłem się do niej, oczywiście nie była naga —

Imam? — zapytałem.

Skinęła głową, nie okazując szczególnego zmartwienia. —

Nie może cię tu

zobaczyć! Rozumiałem to, mnie też nie zależało na tym spotkaniu, ale nie czułem strachu. Popatrzyłem na kulę, którą przybyłem. — Ruch łańcucha mógłby cię zdradzić!

—

Muszą być chyba jakieś schody do biblioteki — podsunąłem bardziej z ciekawości, gdyż jeszcze ich nie odkryłem. — Tą drogą chodzi władca, wpadłbyś tylko w jego ramiona. Czułem, że pragnie mnie zatrzymać. Słusznie!

—

Położ się w hamaku — powiedziała. — Zamknę z powrotem klapę. Nikt nie wpadnie na to, że tam jesteś! Zawahałem się chwilę. Nastawiliśmy uszu, ale nie było jeszcze słyhać kroków. Dzwonek przestał dźwięczeć. Może...? — wyraziłem nieśmiało nadzieję, lecz zaprotestowała gwałtownie.

— Wymierzyłby nam potworną karę! To mnie przekonało. Zapadłem się w lśniące

prześcieradła i poduszki. Kiedy Kasda mnie przykrywała, w wycięciu szaty zobaczyłem jej piersi. Potem mnie zamknęła i leżałem w miękkim ciemnym gnieździe, przykryty dywanowym obiciem jej posłania. Ledwie się na nim wyciągnęła, poczułem ciężar jej ciała, a następnie usłyszałem zbliżające się człapanie i zdyszany głos wielkiego mistrza: — Czuję zapach rui, Kasdo. Czyżbyś tego chłopca...? Kapłanka nade mną podniosła się na posłaniu, a wówczas jej łono wcisnęło się w moją twarz. Ledwo śmiałem oddychać, zresztą prawie nie mogłem—O czym mówicie, wielki mistrzu?

Imam pewnie odkrył kulę.

—
Dlaczego jajo rozkoszy jest tutaj? Czyżby Zew Ibrahim dzielił z wami księżycowe łoża, kapłanko? Czyżby furtka zardzewiała i trza ją było znowu naoliwić? — Wielki mistrz zarechotał rozweselony swoim żartem.— Myślicie, że ukryłoby się przede mną, gdzie budowniczy, wprowadzie bez nóg, ale bądź co bądź posiadający genitalia, wprowadza swój drążek i potrafi nim świetnie poruszać? Roześmiał się hałaśliwie, gdy Kasda odpowiedziała:

— Kulę wysłał na górę wczoraj tytułem próby. Sprawdźcie: jest pusta! Dotknijcie jej! Jest zimna!

— Poślijcie ją na dół! — rozkazał wielki mistrz i Kasda nade mną podniosła się.

Wkrótce potem usłyszałem, jak łańcuch ruszył z łoskotem.

— Męska część pary królewskiej zniknęła — rzekł teraz, w dalszym ciągu rozbawiony. — Wasza siostra przysięga, że żadna z hurys go nie widziała, tak ją zapewniają.

— Pomyśleliście więc... — Kasda ponownie panowała już nad sytuacją — że

moglibyście podejrzewać swoją kapłankę?

— A komu mogę ufać? — prychnął wielki mistrz. Tymczasem ja czułem się coraz dziwniej. W moim mózgu jeły krążyć kolorowe plamy, punkty i linie, w podbrzusze wpełzła lodowata sztywność, która po chwili zmroziła moje lędźwie i odebrała mej męskiej ozdobie wszelką wrażliwość, choć bynajmniej nie pozwoliła jej zwiotczeć. Pograżony w tępej obojętności, wręcz odrętwieniu, czekałem, kiedy zostanę uwolniony z dusznego więzienia. Tylko w mojej głowie układały się obrazy tego, co się ze mną dzieje — a może był to kadłub beznogiego Zewa, który przeniesiono z kuli do hamaka, gdzie Kasda płynnymi ruchami miednicy wysuwała ku niemu swoje ciało i w ten sposób zespała się z nim niczym koło zębato i szprycha? Kapłanka obejmowała udami moje biodra, jej łono opadało na moje podbrzusze, wciągało mnie w swoje kołysanie, wpierało się we mnie tak, że rozrastałem się głęboko w jego wnętrzu. Kasda wyprostowała swe smukłe ciało, przyciągnęła mnie do spiczastych, twardych piersi i potrząsała mną delikatnie.

— Obudź się, Roszu, musisz mnie opuścić. Jest biały dzień! Otworzyłem oczy i ujrzałem zmęczoną twarz kapłanki stojącej przed hamakiem. Jednym susem wyskoczyłem z zaczarowanego sierpa. Tarczę księżycy nade mną oświetlało słońce. Ogień w czarze na ołtarzu zgasł, tylko planetarium, zgrzytając cicho, obracało swe żelazne pierścienie, od czasu do czasu rozbłyskiwały osadzone w nim szlachetne kamienic. Byłem zmieszany i zawstydzony, a przede wszystkim chciałem opuścić to miejsce jak najszybciej. Wydawało się, że Kasda odgadła moje myśli. Odsunęła ołtarz. Ukazała się rura doprowadzająca oliwę do lampki.

—
Teraz, Roszu, znasz już ostatnie tajemnice Róży — rzekła ze smutkiem — a

nie okazałeś się ich godzien. Jeszcze nie. Odprowadziła mnie do otworu, w którym znajdował się drążek wiodący w dół. —

To wyjście awaryjne, na wypadek pożaru.

Nigdy jeszcze z niego nie korzystałam. Zew powiada, że po tej rurze można zjechać do niego, na sam dół. Pozdrów go ode mnie, a następnym razem przybądź tylko wtedy, gdy zostaniesz wezwany!

Złożyła chłodny pocałunek na moim czole. Chwyciłem się drążka, przywarłem do niego i zacząłem zjeżdżać jak po pniu drzewa — ale nieszczególnie prostego. Rura wiła się i zakręcała, szukała drogi przez płataninę drążków i prędko zrzuciła mnie w pomieszczeniu pełnym pięknych strojów. Wyteżyłem słuch. W świetle wpadającym przez szczelinę w drzwiach zaraz udało mi się odnaleźć otwór pomiędzy szafami i skrzyniami, to tędy miałem kontynuować podróż, czyli haniebny powrót. Zmogła mnie jednak ciekawość i postanowiłem w końcu wstąpić do „raju”, gdyż według moich wyliczeń w nim właśnie wylądowałem. Ostrożnie uchyliłem drzwi—i stanąłem przed łóżem Poli. Była naga, w to, Williamie, proszę Cię, nie śmiej wątpić — na pewno bardzo by Ci się spodobała. W porównaniu ze swoją siostrą Kasdą, kobietą o jasnej cerze i niemal białych włosach, władczyni haremu miała odrobinę ciemniejszą skórę. Gęste bujne włosy okalały kruczymi lokami jej twarz, czarnymi kępkami zakrywały także srom i rosły pod pachami. Natychmiast rozbudzona, zorientowała się w sytuacji i wyciągnęła do mnie ręce.

— Wiedziałam, że przyjdiesz, mój książę! Onieśmielony cofnąłem się o krok, co uznała za głupie zahamowanie z powodu Jezy.

— Jesteśmy sami, Roszu — kusiła.

Jednym susem znalazłem się z powrotem w izbie z ubraniami przyskoczyłem do

zbawczego drążka i zjechałem po nim byle dalej. *Al-muchtara!* Tylko dowodów jej względów brakowało mi jeszcze podczas tej odysei przez wnętrza Róży! Po krótkim

zjeżdżaniu, pewnie tylko o piętro, znalazłem się znowu w jakiejś ciemnej grocie, a ściśle biorąc, w wydrążeniu grubego muru. Przed nim stała szafa. Przez szczeliny w tylnej

ścianie dostrzegłem grube foliały. Może po drugiej stronie siedziała Jeza i studiowała je z rozpalonym czołem, jak zawsze kiedy oddawała się czemuś z wielką gorliwością. Ale

może ona też trapi się o mnie i szuka swego złego przyjaciela! W tej jaskini wiedzy

tajemnej, albo nawet ezoterycznej, nie przechowywano jednak spisanych na pergami-

nach apokryfów. Okrągły, wybrzuszony w stronę patrzącego kawałek skóry skrywał

raczej otwór w ścianie, która prawdopodobnie oddzielała bibliotekę od „raju”. Otwór nie był na tyle duży, żeby przecisnął się przezeń człowiek. Na nogi potajemnego gościa,

który znalazł się w tym miejscu, padała przez szczelinę smuga światła. Usłyszałem

głosy, chichot.

— Lajlo, nie może być znowu kolej na ciebie!

Światło zgasło, skóra naprężyła się i wypięła ku mnie niczym kobiecy zadek! Kiedy to

pojąłem, moja ręka drgnęła jeszcze szybciej niż członek w portkach. Zanurzyłem

ostrożnie w szczelinie drżący palec, który otoczyła gorąca wilgoć. Postanowiłem nie

ociągać się dłużej. Cnotliwej Kasdzie musiałbym przy tym patrzeć w szare oczy, jej

pożądliwej siostrze zaglądać przypuszczalnie w samą czeluść piekieł. A ten anonimowy

kuper, który mi się nadstawiał, pragnął tylko jednego: zostać uszczęśliwiony! I dokładnie tego samego chciałem ja! Gmerałem właśnie przy portkach, gdy szafa za mną

przesunęła się, pojawiła się luka i przede mną stanął, marszcząc czoło, mistrz Herlin,

który natychmiast zażartował poufale:

—

Młode ciało? Pąki kwiatów? — Pokiwał sceptycznie starczą głową. Za

bardzo byłem zdumiony, żeby podjąć jego lekki ton. — Przybywasz od Poli, tej w coraz

mniej stopniu *muchajjirał** W pierwszej chwili skinąłem głową, by zaraz potem zaprotestować.

— Nie, żebyście myśleli, mistrzu...

— Twój błąd, królewski młodzieńcze — zganił moją powściągliwość.

— Jej oddanie znamionuje bezcenne doświadczenie, a nie głupią ciekawość jak u tych małych hurys! — Zadumał się chwilę z uśmiechem. Dawniej, gdy byłem jeszcze dosyć

krzepki, potrafiłem się wspinać po tym drążku. — Zakaszłał na tę podniecającą myśl. —

Dzisiaj jesteśmy zdani na taką mocno zredukowaną wymianę czułości; niestety, hurysy odkryły naszą tajemnicę i próbują oszukać i uwieść mnie, starego mężczyznę. —

Pomyślał pewnie o sytuacji, w jakiej mnie zastał. Nie uderzając w fałszywy

konfidencyjny ton, dodał: — Jeśli zależy ci na niedojrzałych owocach drzewa

figowego, to się obsłuż! — Co rzekłszy, wycofał się, żeby już mnie nie zatrzymywać.

— Nie — powiedziałem mężnie i natychmiast podążyłem za nim. — Potrafię docenić soczystą dojrzałość owoców, poza tym dochowuję wierności mojej narzeczonej!

— Jeza jest dojrzała — zasugerował mi Herlin. — Między nami mężczyznami:

wkrótce powinieneś zebrać plony z jej drogiego ogródka! Wspólnie przesunęliśmy

szafę na poprzednie miejsce. -- Ona wszędzie cię szuka. Prędko opuściłem „komorę

harmonii". Wychodząc z biblioteki, natknąłem się na Hasana. - Wielki mistrz życzy sobie cię widzieć! — oznajmił ze złośliwą satysfakcją.

— Gdzie jest Jeza? — odpowiedziałem spieszenie pytaniem. - Może w piwnicy u Zewa

Ibrahima, szuka cię! Postanowiłem nie przebierać miary i przez najbliższy mostek

udałem się do pałacu w towarzystwie Hasana, który w ten sposób mógł przypisać sobie

zasługę odnalezienia mnie.

Asasynów zastałem w sali audiencyjnej, gdzie odbywało się jakieś uroczyste

zebranie. Jego wysokość Muhammad III, imam wszystkich prawowiernych izmailitów,

siedział na tronie. Obok niego dostojnicy i heroldowie ogłaszający jego władzę nad

życiem i śmiercią, po prawej jeden fedain z dwoma wsadzonymi jeden w drugi

sztyletami, a po lewej drugi z całunem. Przybyło poselstwo od Mongołów. Nie było wśród nich osób wysokich rangą, sami młodzi wojownicy, jakich wielki chan używał do przenoszenia listów. Imam rozkazał Herlinowi, którego pilnie sprowadzono, żeby przetłumaczył mu pismo.

—My, Najwyższy Władca Świata, rozkazujemy ci..." Czoło wielkiego mistrza było już pochmurne, lecz teraz wicher przepędził ciemną chmurę, odsłaniając żyłą nabrzmiałą gniewem.

—
Nie zanudzaj mnie gadaniną tego krzywonogiego starszego pastucha oślepionych baranów i zuchwałych do szaleństwa wołów! Czego chcą ci poganiacze bydła? Herlin przebiegł oczyma tekst posłania. -Domagają się natychmiastowego wydania im dzieci oraz bogatych darów.

I wtedy nagromadzony gniew wyładował się niczym chmura burzowa, a błyskawice trafiły Mongołów, którzy stali bez ruchu, bo nic nie rozumieli z burzy zbierającej się nad ich głowami. Posłuszni i świadomi swej nietykalności czuli tylko, że ich poselstwo nie zostało przyjęte przychylnie. Wszyscy, którzy znali imama, czekali na jego wyrok, który powinien spaść jak grom, a zarazem na oznajmienie wymiaru kary, jednakże władca niespodziewanie uderzył w uprzejmy ton. —

Pragnę przygotować wielkiemu chanowi dar, który będzie zgodny z jego gustem. Niniejszym zapraszam go do Alamutu, żeby go sobie obejrzał... Przetłumaczcie to, Herlinie!

Ten uczynił bojaźliwie, co mu kazano, i twarze Mongołów rozjaśniły się, jakby słońce przebiło się przez chmury przechodzącej łaskawie bokiem burzy. Gorliwie i z radością pokiwali głowami, imam zaś ciągnął życzliwie: — Chętnie oznaczę drogę, która do mnie prowadzi. Co milę postawię mu drogowskazy, których palce będą wskazywać

Różę, a chyże stopy

przełęczę i brody... Przetłumaczcie, mistrzu!

Tu zwrócił się znowu do Herlina, popędzając go z przekorną niecierpliwością. Ten przeczuwał jakiś diabelski podstęp, lecz starał się nie okazywać zatroskania.

Mongołowie nie byli wprawdzie pewni, czy ich wielki chan zechce osobiście odebrać dar, lecz uważali, że składając taką propozycję, imam zasadniczo się zgadza. Kwestię transportu dzieci ureguluje się później. Nie przyjechali zresztą na pertraktacje, tylko by przekazać jasne żądanie. A jeśli imam uważa, że w ten sposób sprawi wielkiemu

chanowi większą radość... cóż, była to rzecz między nimi dwoma. Posłańcy pokiwali więc głowami i nie zwrócili uwagi, że imam dał znak swemu zaufanemu Hasanowi i pomieszczenie z wolna zapełnia się uzbrojonymi ludźmi. Nie zbliżali się jednak wcale do grupki Mongołów, tylko wyraźnie trzymali się z daleka, co więcej, Hasan, jakby bacząc na zachowanie określonego dystansu, odciągnął i odepchnął paru, którzy podeszli za blisko do poselstwa. — Mój dar będzie witał wielkiego chana z blanków, a będą to wasze głowy — zwrócił się imam bezpośrednio do swoich gości, a jego głos brzmiał tak, jakby wypowiadał zaproszenie na ucztę. — Wasze odcięte stopy na pewno zaprowadzą go do Alamutu, a wasze dłonie wskażą mu daleką drogę tutaj.

I śmiejąc się oczyma, wezwał Herlina, by opisał Mongołom w słowach, na czym będzie polegał jego prezent. Herlinowi nie udało się przekazać tych słów z uśmiechem, wypowiedział wyrok imama ze spuszczoną głową, zwłaszcza że zauważył, iż do sali wjechał Zew Ibrahim i zatrzymał się tuż obok mnie przy jednym z filarów. Posłańcy przyjęli tłumaczenie Herlina w pierwszej chwili z niedowierzaniem, po czym z przerażeniem, a w końcu z gniewem. Stanęli blisko siebie, nie mogąc się zdecydować, czy uratują życie odpowiadając w tonie pokojowym czy rozpaczliwie rzucając się do ataku z gołymi rękami, aż ich dowódca ryknął: —Nie ośmielicie się! Zemsta będzie

straszna... Ale wtedy Zew Ibrahim uruchomił już dźwignię ukrytą w filarze i dokładnie w miejscu, gdzie stało poselstwo, posadzka rozwarła się z łoskotem, tworząc otwór w kształcie gwiazdy. Wszyscy Mongołowie runęli w dół, a wraz z nimi paru ciekawskich asasynów, którzy stali za blisko. Ciała plasnęły głucho o dno kotła.

—

Zaszlachtujcie te woły, jak wam powiedziałem! — rozkazał imam Hasanowi.

— Przed obiadem chcę ucieszyć oczy ozdobą blanków. Róża będzie musiała przez kilka dni znosić te mszyce na brzegach swoich płatków.

Jak widzisz, drogi Williamie, miewamy się dobrze i przeżywamy w Alamucie same piękne i wesołe chwile. „Istotę Róży wyznacza religijna żarliwość, poświęcenie się wyłącznie służbie Allahowi, poznawanie ukrytych w gwiazdach ostatnich wielkich mądrości tudzież święte misteria jak miłość.”

Twój nie odczuwający w ogóle Twojego braku Rosz.

L. S.

Do Williama z Roebruku, O. F. M., od Jezy, O. C. M.

Czy wolno szlachtować ludzi jak bydło? Williamie, na pewno odpowiedziałbyś na to pytanie jednoznacznie przecząco, choć Twoje oburzenie miałoby granice. Wisząc u Zewa pod sufitem wykutego w skale pomieszczenia — każdy bez głowy, rąk i stóp — właściwie sprawiają wrażenie, jakby byli wypatroszonymi chudymi świniami. Przez najbliższe dni nie tknę mięsa. Kiedy szukając Rosza, zesłałam do piwnicy do Zewa Ibrahima, otworzyłam niewłaściwe drzwi. Nie był to podniosły widok, zwłaszcza że oprawcy wykonali rozkaz wielkiego mistrza z przesadną gorliwością i obcięli nieszczęsnym Mongołom wszystko, co się dało. Nie spotkałam tam przyjaciela, sądzę,

że mnie unika. Budowniczy zajęty był właśnie naprawianiem mechanizmu swojej przekładni zębatej i w tym celu pływał w maleńkiej łódce w jednym z wielu basenów.

Jego własny nisko osadzony środek ciężkości ciała pomagał mu w ciągłej walce o utrzymanie równowagi. Ciekawe, jakie myśli nachodzą Zewa na widok tych zmasakrowanych ciał? Podpłynął do brzegu basenu, gdzie stało jego krzesło na kółkach.

Zwinnym ruchem uchwycił się go rękami i przerzucił tułów ponad poręczą wózka — nawet jej nie dotykając.

— Powinnaś bardziej baczyć na Rosza — zakomunikował mi, kiedy ruszyłam, popychając jego pojazd, zresztą lubi, kiedy dokładnie spełnia się jego polecenia. — Chłopiec jest w trudnym wieku, nie jest już dzieckiem, ale nie został też jeszcze przyjęty do świata mężczyzn. Nie chciałbym, żeby uczynił ten krok niecierpliwie i nierozważnie! Mnie unika pewnie z tego samego powodu — przyznałam mu rację. — Wie bowiem, że naszym przeznaczeniem jest uczynić ten krok wspólnie. Ja jestem gotowa — dodałam hardo.

— Może właśnie to za bardzo dajesz mu odczuć i boi się, że z tobą mu się nie powiedzie — mruknął Zew Ibrahim, a tymczasem ja popychałam jego wózek coraz wyżej po podjazdach kotła. - Do odważnych świat wprawdzie nie należy, ale większość kobiet takim ulegnie! Kto się ociąga, nic nie wygra! — zarzucałam go jednym frazesem za drugim, gdyż ta rozmowa była mi niemiła. Ostatecznie Rosza i mnie wiązała zażyłość już od dzieciństwa i w jakim innym celu otrzymaliśmy dar mowy, jeśli nie po to żeby o wszystkim rozmawiać?!

Zawiozłam Zewa na jego kółkach aż do miejsca, gdzie kosze wyciągane są na górę do pałacu. Tam podszedł do nas Ali.

—

Nigdzie nie mogę znaleźć Rosza. Wielki mistrz chce, żebyśmy byli obecni

podczas ceremonii i... — zniżył głos do konfidencjonalnego szeptu — ...Umar by się ucieszył, gdyby mógł cię jeszcze raz zobaczyć, zanim...

Przerwałam mu ze złością — jego babska gadanina wydawała mi się poniżej godności — i odparłam dobitnie:—

Kiedy któryś z moich przyjaciół wyrusza do walki, chętnie będę *damntą* żegnającą swego rycerza!

Wiedziałam, że Umar znajdzie się wśród fedainów z następnego oddziału, których wielki mistrz wysłał, aby „siali śmierć, nie lękając się śmierci”. Własnej. Musiał zostać ukarany za to, że zabrał Rosza i mnie do Iskandaru. Głupi Ali zniweczył tak starannie zaplanowane przedsięwzięcie, a Hasan przekonał imama, żeby zamienił karę śmierci, jaka należała się chłopcu za owo przewinienie, na tego rodzaju „zawieszenie”, które jednakowoż dawało nikłe szanse na przeżycie. Musiałam zatem być dzielna. Wsiadłam

do następnego kosza, nie pozwalając Alemu jechać ze mną, i poszybowałam w stronę pałacu. Czy w ogóle będę mieć możliwość powiedzenia Umarowi ostatniego słowa?

Zasłużył na nie, albowiem to my przekonaliśmy go do tej wycieczki.

W sali audiencyjnej panowała uroczysta cisza. Czternastu *muchtarat fida'i** klęczało w dwóch rzędach u podestu schodów prowadzących do tronu. Tron był jeszcze pusty.

Dostrzegłszy w przednim rzędzie Umara, próbowałam dać mu znak, że jestem, ale nie podnosił wzroku. Młodzieńcy modlili się. Po obu stronach tronu ustawili się jak zwykle dostojnicy. Widziałam mojego mistrza Herlina, a także Zewa Ibrahima, który jedyny miał prawo siedzieć w swoim pojeździe. Popatrzyłam na Umara. Ciekawe, czy nosi w sercu mój obraz? Myślałam o jego męskim już ciele, o tym, jak nurkowaliśmy w iskandarskim jeziorze i przepływaliśmy sobie nawzajem obok nóg. To będzie ostatnia jego noc. Czy nie powinnam jednak spędzić jej z nim? Potem rozległy się bębny, z początku całkiem głucho i cicho, a do nich dołączyły się szałamaje. W drzwiach prowadzących na dół z

biblioteki i haremu pojawił się Hasan, a za nim imam, ubrany cały na biało. Jego syn Churszah tak samo. Przez dłuższy czas był w podróży, wysłany przez ojca do okolicznych twierdz asasynów, żeby przytarł tam sobie rogów. Nie brakowało mi „Cielaka”. Jego ojciec zasiadł na tronie, a wszyscy padli na twarz.

—
Wiatr wieje tam, gdzie mu się podoba — rzekł jego wysokość Muhammad III

— nasienie pada na ziemię, kiedy nadchodzi czas

dojrzewania. Ja zaś jestem burzą, która wie, dokąd idzie, i jestem siewcą, który rzuca nasienie wśród burzy. Następnie odwrócił się do klęczących przed nim czternastu

mughtarat i dał im znak, by się podnieśli. Muzyka stała się głośniejsza, włączyły się kotły i piskliwe flety. — Wy jesteście moim nasieniem z żelaza i stali. Wysyłam was

niczym burzę, która szaleje bez wytchnienia w górach i dolinach, dopóki nie znajdzie swego celu. Będziecie pędzić po rozległych stepach niczym ciemna chmura, dopóki nie

wypatrzycie człowieka, którego ma ugodzić mój piorun. Czy podkradniecie się

bezszelestnie, czy zbliżycie z hukiem, czy w przebraniu wykorzystacie jego naiwność,

czy też dostaniecie się blisko niego w amoku — to wyłącznie decyzja dojrzałego

nasienia, które spada na ziemię i w niej kiełkuje, poczuwszy, że to właściwy czas i

miejsce, aby się z nią zjednoczyć. Tak i wy zatopicie swoje sztylety w sercu człowieka

wybranego jako wasz cel.

Szałamaje i flety ucichły. Wypatrzył mnie Churszah i mrugnął do mnie

porozumiewawczo cielecymi oczyma. Umilkły również kotły, tylko bębny wybijały

jeszcze pełne napięcia *staccato*. — To Móngke, wielki chan, jest glebą, w której wzejdzie nasienie. Zgładźcie władcę Mongołów!

Uderzenie w kocioł, ozwały się milczące dotąd rogi, szalamaje zaskomlały z radości,

a flety podniosły radosną wrzawę. Czternastu fedainów, wśród nich mój Umar,

uściskało się parami. Po dwóch będą też wyruszać do walki i rzucać się w objęcia

śmierci, jeśli będzie to konieczne. A pewnie będzie konieczne. Jak konieczne było to, co teraz miało nastąpić. Za tronem rozwarła się ściana, a ściśle podwójne drzwi — nawet nie zamaskowano ich drewnianą okładziną, zawsze rysowały się kusząco. Było to, jak wiedziałam, bezpośrednie wejście do „raju”. Ze środka buchnęło światło, a w progu stanęła moja Pola z pięknymi hurysami. Wszystkie były przesadnie wystrojone, obwieszane biżuterią i spowite w tiul tak skąpo, że tym bardziej uwydatniało to nagość ich ciał pod materią. Hurysy kiwały na *muchtarat*. Również wielki mistrz przy akompaniamencie uwodzicielskiej muzyki, wśród podnieconych okrzyków, zachęcał ich obwieszczając:

—

„Raj” stoi przed nimi otworem! „Raj”! Najpiękniejsze hurysy oczekują szczęśliwców!

Większość fedainów nie kazała się długo prosić. Churszah chciał się do nich przyłączyć, lecz ojciec go wyłapał i klepieniem w kark wezwał do powrotu. Mój Umar wahał się; wszedł ostatni, ale wszedł! Czy miałam pozostawić jego piękne, owłosione ciepłe ciało jakiejś hurysie? Czy to ona pośród tysięcy gorących pocałunków miała się przekonać, jaki skarb skrywa przepaska opasująca jego biodra? Zerwałam się i pobiegłam znaną mi już drogą, schodami mistrza Herlina, żeby dotrzeć przynajmniej do komnat mej przyjaciółki. Stamtąd na pewno jakoś wejdę do małych pomieszczeń, w których hurysy czekały na swych bohaterów. Pierwszą z brzegu wyciągnę za włosy, zamknę gdzieś i zamiast niej będę w pogotowiu leżeć w ciemności na jej pościeli. Z tym trochę szalonym postanowieniem — widzę, jak się śmiejesz, Williamie — przebiegłam pędem przez bibliotekę. Mój Umar w ramionach grubej Lajli! W wyobraźni widziałam ją przed sobą, przelewały się jej tłuste piersi i otwierały potężne uda, lecz nie potrafiłam się przemóc i umieścić Umara w jej lubieżnych objęciach. Nie mogłam go

nigdzie dostrzec. Szukał mnie, a ja nie chciałam go zawieść. Zdyszana dotarłam do sypialni Poli. Jej samej nie było. Nienasycona! Bezwstydna! Wypadłam na kręcone schody, jedyne zejście do rajskiego ogrodu. Drzwi były zamknięte! Zaczęłam nimi szarpać. Pola, ta fałszywa żmija! Czy nie opowiadałam jej z zachwytem o Umarze? Czy już w Iskandarze nie wpadł jej w oko? Teraz zeszła tam na dół, rozkładała ramiona jak zwykła hurysa, otwierała swe chutliwe łono i przyjmowała jego nieokiełznaną żądzę, którą pałał do mnie, tylko do mnie! Z całej siły waliłam pięściami w drzwi, to rzucałam się na nie, to je kopałam. Wszystko na nic. Pod oknami słychać było chichoty i śmiechy o wiele głośniejsze i bardziej podniecone niż zazwyczaj. Niezwykłe było to, że mieszały się z nimi męskie głosy, rubaszne i rozochoczone. Próbowałam wyłowić spośród nich głos Umara, lecz na próżno. Nie chciałam go więcej słuchać, tego zdrajcy. Nie chciałam go już widzieć! Padłam na łożo Poli, ukryłam głowę w poduszkach i gryzłam je, ale nie płakałam. Mogłam rzecz jasna wyjść przez okno i pnączami spuścić się po murze na gałęzie drzew w ogrodzie. Wtedy wylądowałabym w „raju”, ale hurysy by się tylko naigrawały albo zerwały ze mnie odzienie. Nie, to już koniec, za późno! Tam w dole każdy — odgadłam po odgłosach — znalazł łono dla siebie, a nie chciałam być wybierana w drugiej kolejności. Umar leżał już między udami nienasyconej Poli albo ona, mistrzyni, siedziała na nim, tryumfalnie wzięła w posiadanie jego lędźwie i popędzała ogiera. Moja dłoń wślizgnęła się pod gorący brzuch, wsunęła w podnoszące się i opadające wrota i od razu znalazła klucz do raju. Moje palce jęły poruszać się szybko tam i z powrotem, myślałam o Umarze, tym wspaniałym, i o Poli, tej wstrętnej. Mój klucz w wilgotnej dłoni rósł, odwróciłam się gwałtownie i drzwi się otwały. Weszłam do środka, biegłam, pędziłam, dyszałam, w końcu zamarłam w bezruchu, a drzenie przebiegło moje ciało. Zasnęłam. Dobranoc, Williamie.

Twoja również w miłości nic niewarta Jeza, O. C. M.

L. S.

Miraculum mobilis (łac.) — cud ruchu.

* Hekate — określenie nowiu, ciemna bogini ze swymi psami.

* L i l i t h — niewidzialny Księżyc, połowa jego tarczy odwrócona od Ziemi.

* Sol i n v i c t u s (łac.) — niezwyciężone Słońce, bóstwo późnorzymskie.

* Isztar — babilońska bogini, pramatka Wenus.

* Trismegistos (gr.) — trzykroć wielki, przydomek Hermesa.

* Muchajjira (arab.) — wybredna.

* Muchtarat fida'i (arab.) — wybrani fedaini.

IX . CZCIGODNY MISJONARZ

Z Kroniki Williama z Roebroku

Ostia, w uroczystość św. św. Kleta i Marcelina* A. D. 1252

Zima i wiosna miały jeszcze upłynąć, zanim mogłem powziąć nadzieję, że kardynał wreszcie pozwoli mi podziękować za gościnę. Po ukończeniu *mappae terrae*

Mongalorum pan Rainaldo zażyczył sobie od nas, braci mniejszych, pisemnej opinii na temat przyszłej polityki wielkiego chana. Moi konfratry uchylali się od przygotowania

takowego dokumentu. Wawrzyniec z Orty zasłaniał się reumatyzmem w plecach i

podagrą w palcach, Bartłomiej z Cremony oznajmił zaś, że nie może z powodu ważnych

prac w swoim archiwum. Ekspertyza pozostała więc na mojej głowie, wszak okazałem

się wytrawnym znawcą kwestii mongolskich, gdy prawidłowo odgadłem wybór

Móngkego przez kurułtaj.

Tym razem nie miałem do pomocy Cimabue, lecz jedynie „Ystoriām Mongalorum”

spisaną przez mego brata zakonnego Jana z Pian del Carpine. Duma nie pozwalała mi

jednak jej cytować. Wykorzystałem więc słabość mojego gospodarza do założyciela

imperium Aleksandra Wielkiego; wysławiałem jego kampanie i porównywałem je z

polityką podbojów prowadzoną przez Mongołów, ażeby zaraz na wstępie stwierdzić, że

w wypadku ludów ze stepu nie chodzi o politykę, lecz tylko o strategię wojskową.

Śmiało wywodziłem, że wszystko układało się jak najlepiej, gdy za Czyngis-chana

przerzucali błyskawicznie swą szybką konnicę, podbijali bądź niszczyli królestwa, a

potem wycofywali się do bazy w stepie, zawsze przypominając sobie o swym

pochodzeniu jako lud koczowniczy. Gdyby jednak Móngke zamierzał zrealizować plany,

które obwieścił przy okazji — jeśli nie w celu — swego wyboru, to podboje dokonywane

przez jego braci mogą prowadzić do zajmowania terytoriów na dłużej, co z kolei musi

pociągając za sobą założenie na nich organizmów państwowych. Takie państwa miałyby z czasem własne interesy, naturalną kolejną rzeczą usuwając na drugi plan centralną władzę wielkiego chana. Chan wszystkich chanów zostałby zatem osłabiony, a jego wspaniały tytuł „władcy świata” stałby się li tylko pustym słowem. Z drugiej strony Mongołowie w tych nowych państwach nie mogliby powtórnie aż tak wzrosnąć w siłę.

Życie w miastach lub w innych stałych miejscach stwarza strukturę feudalną o charakterze orientalnym ze sztywnymi i bynajmniej niebezin-teresownymi hierarchiami administracyjnymi. Zniknie nader korzystna zdolność do szybkiej koncentracji potężnych sił ofensywnych o nieznanej dotąd liczebności, podporządkowanych jedynie rozkazom wielkiego chana, a pojawi się zależność od wasali, sojuszy, pertraktacji i kompromisów. W sumie dalsze rozszerzenie państwa Mongołów zwiastowałoby jego koniec niczym napełniony świński pęcherz, który zrazu dobrze trzyma wino, wszakże jego powłoka przez nadmuchiwanie staje się tak cienka, że może go zniszczyć ukłucie igłą, o ile sam nie pęknie. Do takich wniosków doszedłem i jestem z nich nawet całkiem dumny. Przypomniałem także o rozpadzie imperium Aleksandra pod rządami jego sukcesorów.

Na przetrwanie moich tez Szary Kardynał potrzebował najwidoczniej kilku dni, potem wezwał mnie do siebie.—Williamie — powiedział bez ogródek — możliwe, że Móngke jako wielki chan zwiastuje koniec, ale przecież oznacza to zarazem, że za jego panowania państwo Mongołów będzie miało największy zasięg. Już teraz ich zastępy stoją u naszych granic. W którym kierunku uderzą, jeśli nie na rozdarte naszą zachłannością, wskutek naszych sporów osłabione, a nawet bezbronne kraje wokół *Marę Nostrum*? Kto im w tym przeszkodzi?

Długo się zastanawiałem. --Oni sami! — stwierdziłem po prostu. Gdy jednak ujrzałem, że kardynał zmarszczył czoło na znak niedowierzania, spróbowałem z innej beczki. —

Po pierwsze mamy do czynienia tylko z przyszłym władcą Zachodu, czyli Hulagu. A on musi najpierw przemierzyć rozległe wrogie terytorium, zanim dostrzeże nasze brzegi. I nie będzie miał przy tym do czynienia z ludami stepu, dla których „podporządkowanie się” jest kwestią czysto materialną, lecz przede wszystkim ze światem muzułmańskim, potęgą spirytualną, czerpiącą siłę ze swojej wiary, choć niezdolną do jedności.

— Której my, chrześcijanie, na nasze szczęście, nigdyśmy im nie narzucili!

— To samo ich spotka, kiedy rzeczywiście na stałe zaczną zagrażać Zachodowi. —

Śmiałe stwierdzenie, byłem tego świadom.

— A Mongołowie wiedzą o tym? — zapytał drwiąco Rainaldo z Jenny. — Nic mi z tego, jeśli Rzym będzie stał w płomieniach, zanim pan Hulagu, obładowany skarbami Kościoła, odtrąbi do odwrotu!

— Trzeba im zawczasu dać jasno do zrozumienia, że nigdy nie zdołają opanować

„reszty świata”, jeśli nie... — Nagle, jakbym dostąpił iluminacji, uzmysłowiłem sobie przeznaczenie królewskiej pary. Z Roszem i Jeżą jako mianowanymi władcami mogliby może... Próbowałem wyobrazić sobie oboje jako „ok-chanów”, czyli „królów

Okcydentu”, jak wtedy w Konstantynopolu, kiedy zaprezentowałem dzieci w strojach mongolskich. — Williamie — rzekł Szary Kardynał — ty myślisz o dzieciach?! To nie było pytanie. Skinąłem głową. Nie odzywał się długo.

— Tatarzy ich nie mają i nigdy też nie powinni ich dostać! Brzmiało to groźnie.

Odpowiedziałem więc szybko: - Oni nie wiedzą nic o przeznaczeniu...

—

Bzdura! — skarcił mnie kardynał. — Te bachory szatana, te staufowskie

bastardy i nasienie kacerskie, uzyskałyby przeznaczenie dopiero i jedynie wtedy, gdyby

trafiły w ręce Mongołów, a ktoś taki jak ty dostarczyłby im od razu przepis na to, jak ich użyć! Dostojnik wprawił się niemal w amok, upojony własnymi słowami. Wyobrażałem

już sobie, jak wręcza inkwizytorowi wyroki śmierci, zarówno dla mnie, jak dla Jeży i

Rosza.

— Tajemnej wiedzy o Wielkim Planie nie możecie wymazać, poświęcając życie jednego mało znaczącego minoryty. — Atak był teraz moją najlepszą obroną. —

Powinniście raczej zadbać, żeby dzieci nie wpadły w niewłaściwe ręce!

— Skoro doszliśmy już do tego, Williamie, że udzielasz mi rad... —w jego głosie znowu pojawił się ironiczny chłód—to przedstaw mi swój wielki plan, który musi być lepszy niż moje proste wnioskowanie, że śmierć dzieci jest najpewniejszą ochroną przed nadużyciem. Wit z Viterbo miał jednak rację! Tego mi jeszcze tylko brakowało!

Zastanawiając się gorączkowo, uderzyłem w śmiech, żeby pokryć zmieszanie.

—

Pragniecie powstrzymać Mongołów przed pieczeniem baranów pod świętym Piotrem? W takim razie trzeba ich powiadomić, że bez dzieci ta przyjemność nie będzie im dana. A zatem ktoś taki jak ja winien im polecić również ten przepis, ten jedyny sposób zdobycia panowania nad „resztą świata”, łącznie z Rzymem, i przekonująco udając zdradę, narobić im apetytu! Jednocześnie trzeba zapewnić dzieciom bezpieczeństwo! Tylko to mogłoby powstrzymać Mongołów od sprawdzenia, jak Święty Jan na Lateranie nadaje się na stajnię dla koni. Wielkość świątyni zachęca wszak do tego.

Teraz i ja pozwoliłem sobie na drwinę, było nie było grałem o swoją głowę. —

Jeśli dzieci zginą, to *Patrimonium Petri*, cały Zachód, nie będzie się niczym różnić od krajów, które tak czy owak jak zwykle podbijają, podporządkują sobie bądź splądrują i

zniszczą. Wybór należy do was, eminencjo!

Pan Rainaldo popatrzył na mnie niezbyt zachwycony, lecz rzekł pojednawczo:

—

Możesz teraz spokojnie udać się do stołu, Williamie z Roebruku, nie otruję

cię. Dla ciebie wymyślę coś szczególnego.

Uśmiechnął się, ja zaś odparłem: — Dostojny panie, dziękuję wam za strawę i napitek.

Potem upłynęło kilka dni, kiedy jedzenie mi nie smakowało, a w nocy źle sypiałem. W jak najgorszej pamięci miałem jeszcze Bartłomieja z Cremony jako Bartka, truciciela w służbie poprzedniego Szarego Kardynała. Nasłano by go nie na mnie, tylko na dzieci—zwłaszcza gdyby istniało niebezpieczeństwo, że jednak wpadną w ręce Mongołów.

Wówczas oprawcy, przebrani za misjonarzy, pielgrzymów czy posłańców, zjawiliby się gromadnie ze śmiertelną miksturą w Karakorum i użyli wszelkich sposobów, dopóki nie wypełniliby swej chrześcijańskiej misji. *Pax et bonutn** Amen.

Jasnym momentem było przybycie Creana z Bourivanu. Ponieważ asasyn

konwertyta razem ze swym orszakiem raczej nie mógł wtedy podróżować przez cały

Zachód jako poselstwo imama izmailitów, a tym bardziej używać własnego nazwiska,

które zdradziłoby go jako potomka rodziny kacerskiej, przeto występował jako kupiec z

Trypolis. Po dotychczasowych niepowodzeniach Crean zmienił taktykę. Stojąc przed

swym rozmówcą, nie dawał się poznać jako asasyn ani nie prosił o pomoc dla

zagrożonego Alamutu. To raczej on oferował swoje służby jako mediator, do czego

upoważniał go list polecający Muhammada III. Już podczas bezowocnych wizyt w

Antiochii i Akce, a także w Foggii u króla Manfreda stwierdził, że nic tak nie zatwardza serc chrześcijan, jak przyznanie się do bezradności i ciężkiego położenia. On zaś

proponował transakcję. Alamut miał dzieci.

O przebiegu pertraktacji informował mnie Wawrzyniec, który nagle ozdrowiał po

wszelkich chorobach. Naturalnie kardynał wiedział, z kim ma do czynienia. Bartek nie

omieszkiał mi pokazać, jak dobrze funkcjonuje jego służba wywiadowcza. — Syn

Jana Turnbulla może się nawet przebrać za metropolitę Nowgorodu, zdradę wyznania

czuć od niego na odległość niczym pierdnięcie biesa z kozią stopą!

Niezły pomysł, stwierdziłem w duchu, rysy Creana istotnie przypominały oblicze ascetycznego kapłana. Polecę mu ten kamuflaż, kiedy uda mi się wreszcie przydybać go gdzieś bez świadków.

Pan Rainaldo wszakże i jego pomocnik zadbali, żeby mi się to nie udało. Czynili izmailitom nadzieje, mówiąc o nowej krucjacie Karola z Andegawenii; miałyby ona wyruszyć z Morza Czarnego, z pomocą królów Armenii i Gruzji, braci w wierze, których również należałoby wesprzeć w zrzuceniu jarzma Tatarów, tylko że pan Karol musi stąd najpierw usunąć owo diabelskie staufowskie nasienie. Po objęciu w posiadanie Sycylii rozciągnięcie *Ecclesiae catholicae* poza terytoria greckie byłoby jak najbardziej pożądane i przyniosłoby zresztą odczuwalną ulgę obleganej *Terrae Sanctae*. Można sobie rzecz jasna wyobrazić Alamut jako najdalej wysunięty fort Okcydentu, z pewnością jednak nie jako miejsce pobytu królewskich dzieci, które są tam narażone na największe niebezpieczeństwo.

— Pan Rainaldo mówił o „naszych drogich dzieciątkach” i przechodziło mu to przez gardło gładko jak oliwa — relacjonował mi z uśmiechem Wawrzyniec. — A jego lis, ten Bartek, natychmiast mu zawtórował: „Świątemu Kościołowi nic nie leży na sercu bardziej niż bezpieczeństwo błogosławionej młodej pary”. Creana pewnie bolały uszy od tylu fałszywych tonów!

— Miejmy nadzieję! — powiedziałem. — Nie może pozwolić nawet na to, żeby Bartek znalazł się w pobliżu Rosza i Jezy. On jest jako te węże, które będąc w rzekomo bezpiecznej odległości, potrafią wystrzeliwać jad niczym strzałę!

— A potem kardynał z całą powagą zaproponował Creanowi, żeby asasyni już teraz przekazali dzieci Stolicy Apostolskiej, a za to Kościół zobowiązałby się przeprowadzić w ciągu roku tę ekspedycję na chrześcijański Kaukaz dla odstraszenia przeciwnika. -

Creana pewnie diabli...!

— A jakże — potwierdził Wawrzyniec. — I odpowiedział, że jeśli pan Karol w ciągu

roku osobiście przyjdzie do Alamu po dzieci na czele chrześcijańskiej armii, to wydadzą mu je z radością. Do tego czasu spróbują powstrzymać Mongołów, którzy również okazali już poważne zainteresowanie dziećmi. - Pan Rainaldo pewnie wtedy pobladł? — podsunąłem, a Wawrzyniec znowu potwierdził moje przypuszczenie. - Obiecał, że uczyni wszystko, by przyspieszyć zwycięstwo Andegaweńczyka na Sycylii. Gdyby dzieci znalazły się w rękach Mongołów, byłaby to katastrofa, która skazałaby Alamat na rychłe zniszczenie, a dla Zachodu stanowiłaby nadzwyczaj dotkliwy i godny ubolewania cios, ale by go nie zabiła.

— A jak zareagował Crean?

— Powiedział, że asasyni nawykli do patrzenia śmierci w oczy. Poza tym nawet w walce na śmierć i życie potrafią myśleć z miłością o tych, którzy postawili ich w takim położeniu. Gdyby Alamat padł, wówczas nie tylko do zwycięzców, ale także do wszystkich władców tego świata, którzy odmówili izmailitom pomocy, wyruszyłoby z morderczą misją tyle sztyletów, że nikt by im nie uszedł. Gdyby imam wstąpił do raju, kłaniałoby mu się wielu królów Zachodu, a możliwe, że również papież lub jego namiestnik.

— Takich gróźb Szary Kardynał nie słucha zbyt chętnie — rzekłem i znów miałem rację.

— Ale ta starczyła, żeby odstąpił od szykanowania Creana czy wtrącenia go do lochu. Ten zaś zaproponował potem całkiem pojednawczo, żeby pan kardynał dał mu już teraz bądź przysłał później franciszkanina Williama z Roebruku: ów czuwałby przez ten rok nad pomyślnością dzieci z ramienia Kościoła. -- I co? — spytałem w napięciu.

— Pan Rainaldo oświadczył, że to niemożliwe. „Ten obeznany w sprawach mongolskich i ceniony przez nas minorityta — wraz z bratem Bartłomiejem — został

wybrany przez króla Ludwika IX do nowej misji!" To był cios! Najpierw musiałem usiąść.

- A nie stroisz sobie aby ze mnie jakowychś żartów, Wawrzyńcze?

— Jeśli mi nie wierzysz, Williamie, niech ci to potwierdzi Gawin. — Wawrzyniec udał

obrażonego. — Dopiero co przybył, ale też już wiedział! W tymże momencie Bartek

wezwał mnie do sali audiencyjnej, gdzie zastałem pana Rainalda w majestatycznej

pozie, tym razem otoczonego gronem diakonów tudzież zebranych pewnie w pośpiechu

*camerlenghi** i *capitani** z armii papieskiej. Zjawił się również Gawin z grupką templariuszy stosownie do jego rangi preceptora zakonu. W długich białych płaszczach

z czerwonym krzyżem sprawiali wrażenie przesadnie odświętne, dzięki Bogu

złagodzone za sprawą kolorowej gromady Creana. Chór chłopięcy wyśpiewywał:

*Virga Jesse virgo est Dei mater, flos filius eius est cuius pater. O! Huic flori praeter morem edito canunt chori sanctorum ex debito. Laus, laus, laus et iubilatio, postestas cum imperio et sine termino caelorum Domino.**

Poczułem mdlenie w żołądku. —

Spotkał cię wielki zaszczyt, bracie Guilelmusie z

Roebruku — zaintonował kardynał przyjemnym barytonem. — Potężny król Francji, miły

Bogu pan Ludwik, wybrał cię do przekazania poselstwa od niego wielkiemu chanowi

Mongołów w dalekim Karakorum. Uczynił przerwę i spojrzał na mnie tak znacząco, że

zupełnie zakręciło mi się w głowie.

—

Żeby zapewnić tej misji powodzenie, uradziliśmy, że nie staniesz przed

władcą Mongołów jako poseł, tylko — w najprawdziwszym tego słowa znaczeniu — jako

głosiciel słowa Chrystusowego, jako zwykły misjonarz. Tak zostało postanowione —

dodał jeszcze, oczekując mego pokornego padnięcia na kolana, lecz ja ani myślałem

brać na siebie to brzemień. — Nie jestem godzien — rzekłem uszczęśliwiony tą trafną

oceną samego siebie. — Już raz mogłem odbyć przepiękną podróż, by poznać ów

uroczy kraj, jego wspaniałych ludzi oraz imponującą gościnność wielkiego chana, który obsypywał mnie zaszczytami. A jak podziękowałem za to Kościołowi? Okazałem się niegodny! Dlatego tym razem skromnie będę się trzymał z tyłu i dam innym... — wskazałem Bartłomieja, który wbił we mnie nieprzytomny wzrok, i Wawrzyńca, który struchlały kręcił głową —...zasłużoną okazję wyjednania sobie wiecznej chwały i wdzięczności Kościoła. To powiedziawszy ukloniłem się nieznacznie i wycofałem pod ścianę.

—Williamie — pan Rainaldo umyślnie uderzył w ojcowski ton — możesz opuścić Ostię i wyruszyć w tę zaszczytną i jak sam powiadasz, „przepiękną” podróż. Matka Maryja będzie cię prowadzić!

Brat Bartek nie wydawał mi się raczej Najświętszą Panią ani inną, mniej cnotliwą, którą chętniej widziałbym u swego boku, odparłem więc krnąbrnie: — W takim razie wolę już zostać w Ostii! Po tym moim oświadczeniu zapanowało ogólne kłopotliwe milczenie. W końcu wystąpił naprzód Crean oznajmiając, że zna sposób, aby skłonić mnie do zmiany decyzji. Pociągnął mnie w kąt sali i ku mej największej radości wręczył mi listy od dzieci. Otworzyłem je i zacząłem czytać.

—
Panowie, do stołu! — zniecierpliwił się kardynał. — Ten minorityta zaiste okazuje się mało godny! Dwaj strażnicy przed drzwiami sali dbali o to, żebym mimo burczenia w brzuchu mógł zajmować się wyłącznie lekturą listów. Zrobiło mi się słabo. Crean, który jako jedyny został przy mnie, szepnął: —

Dzieci cię potrzebują!

Zadumałem się. Jeśli przyjmę misję, wydostanę się stąd. Gdybym podczas podróży zgubił się po drodze lub musiał gdzieś zostać śmiertelnie chory, to mógłbym się

ponownie połączyć z moim Roszem i moją Jeżą, a Bartek sam by przekazał poselstwo króla Ludwika. Syknąłem więc do Creana:— Musisz zadbać o to, żebym się „zabłąkał” do Alamutu! Skinął głową i wyszedł. Nie dane mi było czytać dalej, gdyż teraz z kolei Gawin zaszczylił mnie wizytą. Również templariusz rozmawiał ze mną ściszym konfidencjonalnym szeptem. —

Tylko nie wyobrażaj sobie, braciszku —

oświadczył mi jakże swojskim wyniosłym tonem — że w następnych latach będziesz mógł baraskować sobie z dziećmi wesoło w Alamucie. One nie mogą tam zostać!

Musisz niezwłocznie zadbać o to, żeby uciekły od asasynów i wróciły na Zachód.

Kryjemy twoją samowolę, masz na to moje słowo. Naturalnie Crean nie może się o tym dowiedzieć! — dodał niepotrzebnie i pobrząkując ostrogami wyszedł z sali.

Chciałem wreszcie dokończyć lektury listów, które wzruszyły mnie już samymi nagłówkami. Moi mali „kronikarze”! I wtedy strażnicy zawołali na mnie, że mam natychmiast się stawić. Bojaźliwie ukryłem cenne karty na piersi. Zaprowadzono mnie do gabinetu Szarego Kardynała, który zniecierpliwiony czekaniem, od razu przystąpił do rzeczy, nie bawiąc się w żadne wstępy. — Williamie — powiedział — Kościół ma wobec ciebie wielki dług wdzięczności za wszystko, co wycierpiałeś, i tej misji również nigdy ci nie

zapomni. Niewielu franciszkanów chlubi się takim jak ty doświadczeniem i zasługami. W najbliższym czasie zwolni się stanowisko generała zakonu. — Oznajmił to z takim przekonaniem, że wyobraziłem sobie obecnego generała zakonu, jak niczego nie podejrzewając je zupę, a potem nagle osuwa się na ziemię. — Możesz być pewny, że ten wysoki urząd cię nie minie, jeśli zapomnisz o wszelkich innych podszeptach, wydobędziesz dzieci z Alamutu, przekażesz je Bartłomiejowi, a następnie jak gdyby

nigdy nie doprowadzisz swą misję do końca. O dzieci się nie troskaj, będą w dobrych rękach. Bartłomiej przywiezie je do nas.

Wówczas ujrzałem także Rosza i Jeżę, jak grzecznie jedzą zupkę, chwytają się za serce i spadają z zydli. Taki sam los miał mnie dopaść dopiero w drodze powrotnej od wielkiego chana, ale na pewno wcześniej, niż zdołałbym kogoś wtajemniczyć.

Prawdopodobnie Bartek w przebraniu żebraka będzie siedział przy skraju gościńca i pozwoli mi skosztować z jego własnej miseczki. Rzekłem szybko: —

Tak, eminencjo.

Zjem tę zupę, jak rozkazaliście!

Pan Rainaldo popatrzył na mnie zdumionym wzrokiem, ale z zadowoleniem skinął głową. Mogłem odejść! Do sali audiencyjnej przyniesiono mi talerz fasoli okraszonej słoniną. Skreśliłem w pośpiechu kilka słów do dzieci. „Moi Kochani, niebawem przybędę i Was uwolnię. Nie zadawajcie pytań, róbcie wszystko, jak Wam mówię. Ściskam Was z całego serca, Wasz William O. F. M.”

Tego listu nie chciałem powierzyć Creanowi, ale wiedziałem od Wawrzyńca, że ze składu delegacji wyznaczono kuriera, który miał przekazać wielkiemu mistrzowi relację z dotychczasowego przebiegu misji: do tej pory Crean natykał się wszędzie na głuche uszy, zatwardziałe serca, a przede wszystkim na ciasne umysły, jednakże skłonny jest wypełnić zlecenie swego pana i dalej jeździć od jednego dworu do drugiego. Gdyby jego starania poszły na marne, nie pokaże się mu więcej na oczy. Będąc fedainem, wie bowiem, jak ma umrzeć.

Nieszczęsny Creanie, pomyślałem, tedy od razu możesz się rzucić w objęcia śmierci! Sam nie składałbym takich obietnic. Jednakże Crean napisał już swój list, a kurier osiodłał konie, sposobiąc się do drogi. Podszedłem do niego, nim pozostali wrócili z

obiadu. Przykazałem mu surowo, żeby moje pismo oddał osobiście tylko dzieciom.

Kurier wyjechał. Tegoż popołudnia opuściliśmy Castel d'Ostia: moja znikomość w towarzystwie baczącego na mnie Bartłomieja z Cremony w oficjalnej „misji mongolskiej”;

Wawrzyniec z Orty udający się do Otranto jako „kwatermistrz”; Crean z Bourivanu wraz z orszakiem, żywiący nadzieję, że uda mu się porozmawiać z niemieckim królem

Konradem w obozie polowym armii oblegającej Neapol, gdzie ten miał się właśnie zjawić. Manfred, jego brat przyrodni z nieprawego łoża, który jako regent rządził południem w sposób dość autokratyczny, już odprawił z niczym asasynów. Nasz rejs na południe zorganizował Gawin Montbard z Bethune, podróż mieliśmy odbyć żaglowcem aragońskim.

L. S.

* Pax et bon um (łac.) — pokój i dobro; pozdrowienie franciszkanów.

* Camerlenghi (wł.) — szambelanowie.

* Capitani (wł.) — kapitanowie.

* Virga... (łac.) — Różdżką Jessego jest Dziewica, Matka Boga, kwiatem jest jej Syn i

jej ojciec, och! Temu kwiatu, wydanemu w niezwykły sposób, chóry świętych

wyśpiewują należny hymn: Chwała, chwałą, chwałą i radość; władza i panowanie Pana niech będzie bez końca w niebiesiech!

X. BŁYSKAWICE

W górach Chorasanu lało jak z cebra. Od strony syberyjskiej tundry i Morza

Kaspijskiego nadciągały nad step jedna chmura po drugiej, by wychlusnąć swą

zawartość na poprzeryzane rozpadlinami skały. Powracająca do domu delegacja

asasynów z Nasir ad-Dinem Tusim na czele dotarła do studni w Iskandarze. Bardziej

pilnujący poselstwa niż towarzyszący mu Mongołowie pod wodzą Ata al-Mulka

Dżuwajniego zażądali postoju w tym miejscu, żeby się odświeżyć.

Szambelan Hulagu miał świadomość, że swobodnego posuwania się w głąb

rdzennego terytorium izmailitów nie zawdzięcza ani dwudziestu łucznikom, ani garstce

„tajnych bojowników”, których dał mu Bułgaj, lecz niewidzialnej, ale za to znacznie skuteczniejszej
ochronie, jaką Alamut przyznał Tusiemu. W miarę zbliżania się

Mongołów do „Orlego Gniazda” ich misja stawała się coraz bardziej niebezpieczna. Nie
potrzebowali nawet mnożących się złowróżbnych znaków: wśród ułożonych w stos

polnych kamieni, na smaganych wiatrem górskich przełęczach i przed brodami

wiodącymi przez rwące rzeki dostrzegali odrąbane stopy, a z drzew i słupów niczym

obrzydliwe pająki wyzierały bezkrwiste dłonie, wszystkie zaś wskazywały w kierunku

Alamutu. Szambelan mógł jeszcze uważać Tusiego za swego rodzaju zakładnika lub

raczej za swego rodzaju amulet, ale w tym miejscu, oddalonym o niespełna pół dnia

jazdy od ponurej twierdzy, było to warte niewiele więcej niż *chamsa*, * którą nosił na szyi.

Czy ochroniłaby przed *al-ajn al-hasud** z Alamutu? Przywołał Kitona, syna generała Kitbogi, i
poleciał: — Wyjedź kawałek przodem i zamelduj mi, czy zauważyłeś w naszym

otoczeniu jakieś większe grupy. Umieść połowę łuczników na dachach okolicznych

domów i wystaw strażę dookoła wioski z każdej strony świata.

Kito był dumny, że może wykonać te rozkazy, a przede wszystkim że powierzono mu

zadania straży przedniej. Już ruszał z kopyta, gdy Dżuwajni, pomny odpowiedzialności

wobec ojca młodzieńca, zawołał jeszcze za śmiałkiem: —

Ale nie wdawaj się w

żadne utarczki! Kito okiełznał konia, wydał rozkazy i sprawdził ich wykonanie, nim w

końcu wyruszył jako obserwator.

Wtedy do Ata al-Mulka Dżuwajniego podszedł jeden ze starszych mieszkańców

osady. — *As-Salamu alajkum. Allah jahmik. Ahlan wa-sahlan** — wyrzekł słowa

powitania. — Dlaczego obrażasz naszą gościnność i nie ufasz tej wiosce i jej miłującym

pokój mieszkańcom?

Szambelan odpowiedział na pozdrowienie, mierząc mężczyznę surowym wzrokiem.

— Nad rzeką, którą musieliśmy przekroczyć, widzieliśmy stos kamieni, z którego wystawały kości ludzkich stóp. Mężczyzna, ojciec Umara, uzmysłowił sobie, jak przychylny dlań musiał być Allah, kiedy podsunął mu myśl, żeby wcześniej je rozzał.

Wszyscy ci groźni przybysze, którzy wzięli w posiadanie Iskandar, nosili takie same buty z miękkiej skórki, wyszywane i podbite futerkiem. Na niego te buty były za małe, więc podarował je córce Azizie. Odpowiedział przeto spokojnie: —

Te stopy zgubił

ktoś, kto poszedł za daleko, nie znając właściwej

drogi. Spadł ze skały i się roztrzaskał. *In sza Allah. Haza ihzar!**

Wieść o powrocie delegacji asasynów, której towarzyszyli cudzoziemscy wojownicy, przeskakiwała z jednego szczytu na drugi, aż w końcu odebrało ją księżycowe zwierciadło w Alamucie. Kapłanka czym prędzej przelała słowa na papier i wezwawszy kulę, przesłała je na dół do Zewa Ibrahima. Ten natychmiast zdał sobie sprawę, że musi chodzić o mongolską eskortę, i sam zaniósł do pałacu nowinę z Iskandaru. Wielki mistrz był w podróży, odwiedzał miejscowości zobowiązane do płacenia trybutu, w takich wypadkach należało więc zawiadomić emira Hasana Mazan-darięgo. Imam przekazał władzę nad Różą właśnie jemu, a nie swemu synowi Churszahowi, który skończył tymczasem siedemnaście lat.

Ale kiedy budowniczy w swoim krześle na kółkach wygramolił się z kosza, napotkał zarówno faworyta, jak i następcę tronu. — Nasir ad-Din Tusi wraca, dotarł już do studni w Iskandarze! — zawołał do nich Zew. — W takim razie przybędzie do Alamutu jutro — odparł chłodno Hasan, biorąc od niego papier, ale nawet nie rzucił na

niego okiem. — Z tego powodu nie musiałeś się tutaj fatygować.

—

Nasz poseł nie wrócił jednak sam — zauważył kąśliwie Zew. — Towarzyszy

mu mongolskie poselstwo pod dowództwem wysoko

postawionej osobistości... Podziałało. Hasan zbladł i zwrócił się ostrym tonem do

Churszaha, jakby ten odpowiadał za okrucieństwa ojca: —

Każ natychmiast zdjąć

z blanków te przeklęte głowy! Wyjadę Mongołom na spotkanie i spróbuję ich trochę

zatrzymać!

Churszah się jednak zbuntował. Przełknął „A zrób to sam!”, które już miał na końcu

języka, i mruknął: —

Ty wydaj rozkaz, mnie i tak nikt tutaj nie słucha!

Ledwie zjechali następnym koszem, Hasan kazał uderzyć w gong. Z kotła napłynęli

tłumnie fedaini i Hasan odkomenderował ich nie tylko do usunięcia ze szczytów murów

wszystkich czaszek nakrytych mongolskimi czapkami, lecz także pozbierania wszelkich

łupów, które mogłyby przypominać o wyrzniętym poselstwie, i złożenia ich w piwnicy u

Zewa Ibrahima. Zajęty wydawaniem poleceń, Hasan nie zwrócił uwagi, że Churszah

ulotnił się natychmiast po przybyciu do kotła. Syn imama nie widział powodu, dla

którego miałby pozostawić faworytowi powitanie gości. Prawo to przysługiwało jemu i

zamierzał ucieszyć tym darem swego straszliwego pana ojca. Całe poselstwo! Niech

imam robi sobie potem, co mu się podoba, z głowami i członkami tych ludzi. Churszah

utworzył więc mały oddział jazdy ze strażników, którzy pełnili służbę w ciągu dnia, kazał

sobie przyprowadzić swego najlepszego konia i rozewrzeć jedną z wąskich bram

wypadowych. Tylko we czterech pogalopowali przez most nad fosą i natychmiast ruszyli

w stronę gór.

Kiedy wróciwszy do Iskandaru Kito obwieścił Dżuwajniemu, że w dolinie jak okiem sięgnąć nie widać nikogo, ten zdecydował, że wyśle przodem do Alamutu jednego z asasynów. Zapowiedziałby on ich przybycie i sprawił, aby przygotowano do drogi dzieci, które miały być przekazane. Wtem przystąpił do niego spieszenie ojciec Umara.

— Emir Hasan Mazandari — rzekł — przesyła wam w imieniu imama Muhammada III *at-tarhib** i prosi, byście tu poczekali na jego przybycie. Już jedźcie, żeby was stosownie powitać!

— Pewnie wiesz od razu wszystko, co dzieje się w powietrzu, na ziemi i w wodzie?

— drwił szambelan, tamten jednak odparł ufnie i szczerze:

— Róża to wie i przekazuje nam, swoim sługom, co mamy mówić, a co taić!

— To dlatego pewnie nie powiedziałaś nam — dociekał podejrzliwie Dżuwajni — co ma oznaczać ta ręka przybita do słupka przy studni?

— Tę rękę zgubił ktoś, kto w lesie wyciągnął ją po obce drewno. Urwało mu ją walące się drzewo. *In sza Allan. Haza ihzar!*

W tym momencie pojawiła się dziewczyna z wioski. Miała w sobie coś z dzikiego

kota; czarne włosy niesforne, niemal rozczochrane, opadały jej na ramiona, a ciemne oczy zdradzały niepokonaną namiętność. Naprawdę jednak w jej wyglądzie uderzały buty, które prezentowała z próżną dumą, choć nie dodawały elastyczności jej krokom.

Były to wytworne mongolskie buty. Aziza zignorowała zrazu niechętnie, potem groźne spojrzenia ojca, którymi ten próbował ją odpędzić. Kiedy w końcu sięgnął po kamień, ani myśląc wzięła nogi za pas. Incydent ten nie uszedł uwagi Dżuwajniego. Przywołał skinieniem Kitona i rzekł głośno bynajmniej nie w języku Mongołów:

— Przynieś mi te buty! — Po czym patrząc na ojca dziewczyny dodał: —

A jeśli

nie zechce się z nimi rozstać, to razem z jej gołymi stopami w środku! Kito zawahał się, lecz szambelan oświadczył chłodno: —

Te buty były zbyt drogie, ażeby mogła je

nosić młoda pasterka. Wtedy Kito zrozumiał i wyciągnął miecz, zanim ruszył w pościg za Azizą. Na ten widok zaczął się wahać ojciec dziewczyny. Nie rzucił się wprawdzie na ziemię, ale pośpiesznie oświadczył: —

Moja córka nie zrobiła nic złego. Uratowała

w górach przejeżdżającego cudzoziemca. I ten podarował jej buty — w dowód wdzięczności!

Dżuwajni wiedział, że starzec kłamie. Ta osada śmierdziała jak nogi, na które pasowały buty. Chytrze postanowił wykorzystać troskę ojca o dziecko. —

Każ

wszystkim mężczyznom z wioski, żeby się tutaj zebrali —

polecił. — Kto ma w

posiadaniu takie buty, winien je oddać. A potem obejdziemy domy i jeśli znajdziemy u kogoś obce buty, to skrócimy go o głowę!

Ojciec Umara czym prędzej pośpieszył wypełnić ten rozkaz.

Aziza była świadoma, jak działała na mężczyzn. Kilka razy zatrzymała się wyzywająco podczas biegu, żeby się upewnić, czy Kito nie zgubił jej śladu. Ponieważ gdy tylko znalazł się poza zasięgiem wzroku Dżuwajniego, schował miecz do pochwy, ani nie powstało jej w głowie, że młody cudzoziemski wojownik ściga ją z powodu butów.

Podbiegła do rozwartej bramy swego domu, a pod jej łukiem odwróciła się jeszcze raz.

Chciała mu pokazać, gdzie ma czekać na nią po ciemku. Ale wtedy matka chwyciła ją

mocno za włosy i zawłókszy do środka domu, bez słowa wepchnęła do izby, tak iż

dziewczyna upadła na plecy na łóżko. Silnym szarpnięciem zwała córce najpierw jeden

but i ukryła go pod łóżkiem, następnie ściągnęła jej z nogi także drugi i wybiegła na

podwórze.

Kito zobaczył błyskawiczny ruch ręką i zatrzymał się. Z tego rodzaju kobietami nie należało żartować. Z drugiej strony rozkaz brzmiał wyraźnie: nie wracać bez butów.

Kiedy stał jeszcze niezdecydowany, w drzwiach domu pojawiła się matka Azizy i posłała mu mroczne spojrzenie, mające z góry ukarać go za zuchwałość, gdyby ośmielił się wejść przez bramę, którą właśnie ostentacyjnie zamknęła na rygiel. Kito przemógł się, podszedł do niej i rzekł stanowczo: - Muszę mieć te buty, w których pokazała się wasza córka!

— Moja córka nie ma żadnych butów! — odparowała i odwróciła się gotowa odejść.

Młodzieniec zastanawiał się, czy powstrzymać ją siłą i zmusić do oddania butów, kiedy jego wzrok padł na łańcuch mężczyzn, którzy z ojcem Umara na czele schodzili ze wzgórza w stronę studni, a teraz się zatrzymali i patrzyli na niego wrogo. Pozwolił kobiecie odejść. Mężczyźni ponownie ruszyli; Kito zaczekał, aż znikną, po czym przemknął pod ścianę budynku. Za zakratowanym oknem izby pojawiła się Aziza, dająca mu znaki, żeby się nie zbliżał. Zawołał do niej: — Proszę, zżuj buty i podaj mi przez kraty, żeby nie stała ci się żadna

krzywda i żebym ja nie miał nieprzyjemności! W odpowiedzi Aziza podniosła nogę i wystawiła przez kratę gołą stopę, jedną, a potem drugą. —

Matka mi odebrała —

poskarżyła się. — Ani chybi je spaliła i dlatego tak mi smutno.

Kitonowi zrobiło się żal dziewczyny, więc spuścił z tonu. —

Nie możesz ich

poszukać? Nie muszą być całe, wystarczyłby mi

kawałek... Wtedy wybuchnęła szlochem. — Gdyby ci tak na nich nie zależało! To była

cała moja duma, nigdy nie miałam tak ciepłych butów! — Aziza płakała teraz z wściekłości. — Myślisz tylko o sobie i o swoim rozkazie! Zapomnij wreszcie o nich, o moich bucikach! Kito podszedł do kraty i delikatnie uchwycił jej stopę. Aziza pozwoliła mu na to. — Myślałem o tobie — szepnął ochryple. — Bez przerwy myślę o tobie i o twojej ślicznej stopce, którą miałem ci obciąć, żeby nie wracać z pustymi rękoma. — Pogłaskał ją i nie wypuścił nawet wtedy, gdy Aziza przerażona chciała ją cofnąć. — Czy nie mogłabyś przynajmniej poszukać resztek w palenisku? — próbował ją przekonać. — Jestem tu zamknięta, uwięziona — zagruchała dziewczyna, kiedy przekonała się, że nie sięgnął po miecz. — Chętnie zrobię to dla ciebie wieczorem, kiedy rodzice wrócą do domu.

— Mam cię uwolnić? — zaofiarował się Kito, ale pokręciła głową.

— Obserwują nas setki oczu — wyszeptała. — Jeśli przekroczysz ten próg, cała wioska będzie wzburzona. Wystarczy, że tak długo stoisz pod moim oknem! Zrobiłem to dla ciebie — rzekł Kito i wypuścił jej stopę, po czym odwrócił się i odszedł. - Jak się nazywasz? — zawołała za nim cicho Aziza.

— Kito . - Ja jestem Aziza. Przyjdź znowu dziś w nocy. Jeśli coś znajdę, dam ci, a może także... Nie dopowiedziała, co jeszcze mu da, on zaś odparł:

— Będę czekał na ciebie. — Milczała, więc dodał: — Całą noc, bo jutro rano ruszamy dalej... - Kitonie — Aziza zniżyła głos — nie jedź do Alamutu!

I jakby zdradziła już zbyt wiele, odwróciła się obcesowo i cofnęła w głąb ciemnej izby. Kito pojął, że owo ostrzeżenie to coś więcej niż dowód miłości, i też się odwrócił. W drzwiach sąsiednich domów nikt się nie pokazał, ale oddalając się powoli, młodzieniec czuł, że odprowadza go sto par oczu.

Hasan opuścił Alamut dobrą godzinę później niż Churszah, lecz w pośpiechu nie

zwrócił uwagi na jego samowolę. Przed bramą Róży emir musiał się jeszcze zatrzymać, kiedy przybył kurier, który przywiózł dwa zapieczętowane listy, jeden do wielkiego mistrza oraz jeden do Jezy i Rosza. To drugie pismo od niejakiego Williama z Roebruku, O. F. M., posłaniec chciał wręczyć dzieciom osobiście, ale Hasan kazał je oddać sobie. Nie ośmielił się przeczytać listu skierowanego do imama, złamał natomiast pieczęć *Patrimonium Petri*, którą był zamknięty drugi, przebiegł wzrokiem krótką wiadomość i zaśmiał się szyderczo. Słyszał już o tym mnichu, ale nigdy by nie przypuszczał, że może być aż tak głupi, by jednoznacznie w czytelnych słowach opisać swoje tyleż zuchwałe, co zdradzieckie przedsięwzięcie! Ci franciszkanie niezbyt byli rozgarnięci, same ptasie mózdzki! Hasan jeszcze raz się upewnił, że z blanków rzeczywiście zniknęły wszystkie głowy, i odesłał kuriera do zamku, poleciwszy mu, żeby nie mówił nic dzieciom. A następnie ruszył z kopyta i jechał nieprzerwanie aż do stóp gór, gdzie oczekiwała go już ekipa poganiaczy z wieloma zwierzętami. Zostawił swojego konia i jęli wspinać się doliną. Deszcz ustał, a przez chmury przebiło się południowe słońce.

W Iskandarze ojciec Umara zwołał miejscowych mężczyzn i pomaszerował wraz z nimi do studni, gdzie obozowali Mongołowie, trzymając delegację asasynów jako zakładników. Dżuwajni, szambelan, dbając o to, żeby przypadkiem mężczyźni z wioski nie zechcieli wmieszać się w grupę członków poselstwa, kazał ich od razu zapędzić do zagrody dla owiec. Tam mieli złożyć broń. Nie byli wszakże tym zachwyceni. Ojciec Umara stanął przed szambelanem. —

Nie nawykliśmy do tego! — oświadczył.

Dżuwajni nie odpowiedział, tylko kazał starcowi spojrzeć w górę, na mongolskich łuczników, którzy stali na dachach z bronią gotową do strzału. Ojciec Umara zwrócił się do Nasir ad-Dina Tusiego, który bez słowa obserwował zajście.

— Chce rzezi, tedy będzie ją miał, ale żaden z tych cudzoziemców nie nabierze potem wody ze studni, żeby ochłodzić swoje rany.

— Złóżcie broń — odparł Tusi. — Ata al-Mulk Dżuwajni nie chce przelewu krwi.

Wkrótce opuści to miejsce, ale do tego czasu pragnie się zabezpieczyć przed niemiłymi wypadkami!

—
Po wypełnieniu mojej misji! — dodał mrukliwie szambelan. — Nasir ad-Dinie

Tusi, nie potrzebuję pośrednika pomiędzy mną, posłem wielkiego chana, a garstką zdziczałych pasterzy kóz! Mężczyźni stłoczyli się przed kratowaną bramą otoczonej murkiem zagrody dla owiec, nie dawali jednak upustu swemu rozdrażnieniu głośnym złorzeczeniem, tylko rozmawiali ściszymi głosami, posyłając przy tym Mongołom wrogie spojrzenia. Dżuwajni widział, że ich zdenerwowanie rośnie. Wraz z delegacją asasynów pasterze przewyższali liczebnością Mongołów, a w dodatku znali teren.

Przegra, jeśli od razu nie ukręci łba rewolcie.

Wrócił Kito, który szedł noga za nogą, jakby wszystko było w najlepszym porządku i jakby nie wyczuwał niebezpieczeństwa. — Gdzie buty? — warknął na niego szambelan.

— Dziś wieczorem... może — oznajmił niedbale młodzieniec.

— Do tego czasu wszyscy możemy być martwi! — syknął z wściekłością Dżuwajni.

— Gdzież jest ten krnąbrny starzec, ojciec dziewczyny? —

krzyknął na zupełnie

postronnego w tej sprawie Nasir ad-Dina Tusiego, który tylko wzruszył ramionami.

Ojciec Umara ni stąd, ni zowąd zniknął bez śladu. —

Kto jest naczelnikiem

wioski?! — ryknął szambelan. Wskazano starego mężczyznę, który pierwszy wszedł do

zagrody i usiadł na ziemi. —

Weź dziesięciu ludzi od Bułgaja! — Dżuwajni nagle

zwrócił się

ponownie do Kitona, zniżając głos, który zabrzmiał groźnie i złośliwie. —

I skróć

starego o głowę! — rozkazał chłodno.

— Ja? - Tak, ty! Drugi raz nie zlekceważysz mojego rozkazu, chociaż jesteś synem

Kitbogi. Właśnie dlatego — odparł Kito i zacisnął wargi. Ludzie Bułgaja utorowali mu

przejście przez ciżbę. Kito wszedł do zagrody, zbliżył się do zdumionego naczelnika

wioski, odrąbał mu głowę i rzucił ją w tłum, który tłoczył się przed bramą, a teraz cofnął

się z przerażeniem. — *In sza Allah* — rzekł Ata al-Mulk Dżuwajni. — To jest

ostrzeżenie!

Strażnik, którego Mongołowie wystawili od strony doliny, zameldował, że do wioski

zbliża się czterech konnych. Wkrótce potem przy wjeździe do osady pojawił się młody

pan z eskortą i skierował prosto ku studni, gdzie obozowała delegacja Nasir ad-Dina

Tusiego, otoczona przez mongolskie psy pasterskie niczym stadko owiec.

Ata al-Mulk Dżuwajni natychmiast poznał, że musi to być wysoki rangą izmailita,

choć jego towarzysze nie nieśli przed nim żadnych insygniów władzy. Uznał, iż to

zapowiedziany emir Hasan, i ani myślał wyjść mu na spotkanie. Zauważył jednak, że

asasyni najpierw się podnieśli, a następnie rzucili na ziemię, aby powitać przybysza.

Również Nasir ad-Din Tusi się uklonił. Szambelan słyszał, że emir zajmuje pozycję

faworyta, toteż irytowała go czołobitność, jaką okazywano temu człowiekowi z niskiego

rodu.

—

Wielki mistrz asasynów wydaje się przywiązywać nikłą wagę do naszej

wizyty — zwrócił się do młodzieńca, nie pozdrawiając go ani nie okazując mu żadnego respektu — skoro zgotował nam tak skąpe powitanie. Churszah zmieszał się słysząc

wyrzuty, sądził bowiem, że jego pojawienie się zrekompensuje brak odpowiedniej etykiety i sprawi gościom wyłącznie przyjemność. Obrażliwe słowa dotknęły go do żywego. —

A cóż więcej, cudzoziemcze, może zgotować na wasze przyjęcie

dostojny imam, jego wysokość Muhammad III, władca wszystkich izmailitów, oprócz wysłania swego jedyne go syna i dziedzica. Jestem Churszah! Na twarzy Dżuwajniego odmalowało się najpierw zdziwienie i niedowierzanie, a następnie wilcza chytróść.

Ukloniwszy się w pas, rzekł:

—

Skoro tak jest, wasza książęca mość, to uważam, że przypadł mi ogromny

zaszczyt i że jestem znacznie bliżej spełnienia mojej misji, jaką powierzył mi mój pan

Móngke, wielki chan wszystkich Mongołów. Zmierzył taksującym spojrzeniem z gruba

ciosaną postać księcia, potem przypatrzył się bacznie jego twarzy. Nie odkrył w niej nic oprócz bezdennej głupoty. Może właśnie to była pułapka, w którą miał wpaść. Nikt

przecież nie mógł być tak głupi jak figura, którą prezentował teraz Churszah!

Szambelan miał się więc nadal na baczności.

—

Książę Churszahu, rycerski i mądry strażnik Róży, przed którą nie ostanie

się żadna tajemnica — schlebiał — na pewno już wiecie, że zostaliśmy wysłani, aby

odebrać „dzieci Graala” i w dobrym zdrowiu zaprowadzić je przed tron władcy świata.

Churszah ponownie zrobił tak głupią minę, że jego odpowiedź, udzieloną wyłącznie z zażenowania, też można było zrozumieć jako sprytnie zastawioną pułapkę. Napuścił

się i zawołał: — Czegokolwiek pragniecie, panie wysłanniku, chcę was serdecznie zaprosić do Alamutu, gdzie doświadczycie wszelkich honorów i przedstawicie swoje życzenia, gdy staniecie przed obliczem mego dostojnego pana ojca. Podążcie więc za mną bez zwłoki, abyście mogli oddychać wonią Róży jeszcze przed zapadnięciem nocy! Słowa te tylko podsyciły nieufność Dżuwajniego, zwłaszcza że właśnie podszedł doń Kito i szepnął: —

„Nie jedźcie do Alamutu!” Jedyne tyle udało mi się wydobyć z tego nadobnego dziewczęcia. A buty, których się domagaliście, zabrał ojciec.

— I razem z nimi zniknął! — mruknął szambelan. — Niesłusznie więc, Kitonie, posądzam cię o niesubordynację — dodał już łagodniejszym tonem. —

Naczelnika wioski kosztowało to głowę, a mnie przyniosło schadzkę z dziewczyną — przerwał mu Kito. — Gdy tylko ciemności nocy... —

A więc czeka cię przygoda

miłosna. Lecz pamiętaj, że nie ciekawi mnie, jak zrywasz kwiaty, ale czyja ręka została przybita do słupa i czyje stopy tkwiły w butach, zanim te ozdobiły zgrabne nóżki twojej ponętnej pasterki!

Churszaha denerwowała beztroska rozwlekłość, z jaką mówił Dżu-wajni, byle tylko nie odpowiedzieć na jego zaproszenie. Już miał się unieść gniewem, gdy Nasir ad-Din Tusi przywołał go do siebie skinieniem i wskazał mu bez słowa łuczników na dachach, którzy mierzyli do asasynów, następcy tronu i jego małej świty nie wyłączając. Churszah pożałował, że nie dał jednak pierwszeństwa Hasanowi, ale miał nadzieję, że ów wkrótce przybędzie. Albo sam, a wtedy śliskiego jak węgorz emira spotka to samo co jego — myśl ta napełniła księcia złośliwą satysfakcją — albo Hasan nadciągnie ze znacznymi siłami zbrojnymi. Takie wyobrażenie, im dłużej nad nim dumał, budziło w

Churszahu potworny strach. Gdyby Mongołowie zostali zaatakowani, jego, następcy tronu, na pewno nie będą oszczędzać. Churszah wysłał Tusiego do przywódcy Mongołów. Ten wrócił z informacją, że dziś jest już za późno, by jechać dalej. Chętnie przyjmą jego gościnę, ale noc jeszcze spędzą tutaj.

Wczesnym popołudniem Hasan ujrzał przed sobą spokojną wioskę Iskandar. Nagle pod kopyta jego wierzchowca upadł kamień. Emir podniósł wzrok i ujrzał na skale powyżej starego pasterza, który dawał mu znaki, żeby się zatrzymał. Starzec zszedł ze skały zwinnie niczym kozica. —

Jestem ojcem Umara! — zawołał. — Mój syn

służy imamowi jako fedain. A wy jesteście Hasan Mazandari, emir, do którego ma zaufanie - dodał i ucieszył się, gdy zagadnięty, nie kryjąc zdziwienia, skinął głową. -

Nie wiem, dlaczego pozwoliliście Churszahowi pojechać przodem, ale teraz znalazł się w pułapce! Wieść ta zmroziła emira. Za jednym zamachem obróciła wniwecz wszelkie plany, jakie snuł podczas jazdy. Ojciec Umara miał jeszcze coś do dodania i zrobił to z niemal złośliwą satysfakcją:

— Na pewno wiecie, czego zażądają od was Mongołowie? Hasan domyślał się, ale nie chciał przyznać się do tego.

— Możemy uwolnić Churszaha? Starzec pokręcił głową. - Najwyżej jego zwłoki, podziurawione strzałami i pozbawione dłoni i stóp!

— Muszę porozmawiać z tymi Mongołami! — rzekł Hasan, z trudem panując nad sobą – Tak sądziłem — odparł ojciec Umara. — Możecie stanąć w moim domu.

Zaprowadzę was tam niepostrzeżenie. Nasir ad-Din Tusi udał się do Ata al-Mulka Dzuwajniego i oznajmił, że właśnie przybył emir Hasan Mazandari i życzy sobie porozmawiać z nim w cztery oczy. Szambelan przeklął brak czujności swoich

strażników i rozkazał ludziom Bułgaja wyciągnąć szable i wziąć w środek Churszaha. Potem zaś podążył za mediatorem jedynie w towarzystwie Kitona. Kiedy ich oczom ukazała się zagroda, Kito szepnął: — Tu mieszka ta dziewczyna z butami! Oh i Tusi zostali na zewnątrz, natomiast Dżuwajni sam wszedł do budynku. W środku nikt go nie powitał. Na podwórzu za domem siedział na ławie emir Hasan, który dał Dżuwajniemu znak, żeby się zbliżył. Na zwykłym drewnianym stole stały dzban wina, miska świeżego białego sera i koszyk z podpłomykami. Zgłodniały szambelan usiadł przy stole, sięgając jedzenie. Również Hasan posilał się bez słowa, po czym otarł usta . rzekł:

—
Chcecie Jeżę i Rosza. Nie mogę wam ich wydać; nie są naszymi więźniami ani zakładnikami. Mogę tylko położyć im wasze życzenie na sercu i poprosić, żeby sami do was przyszli. Dżuwajni przełknął kęs, choćby po to żeby nie mówić z pełnymi ustami.

— Dopóki nie znajdą się żywi w naszych rękach, dopóty moja misja nie będzie wypełniona. Zadbajcie, żebym opuścił to miejsce razem z nimi i przyprowadził je wielkiemu chanowi, który już ich oczekuje.

— Postaram się o to —odparł Hasan. — Wy natomiast zwróćcie syna mojemu wielkiemu mistrzowi...

— Opowiedzcie dzieciom, co chcecie, tylko przyprowadźcie je tutaj! — wpadł mu gniewnie w słowo Dżuwajni. Mlasnął, gdyż miał jeszcze ser w ustach. — A jeśli wam się uda, wypuścimy waszego Churszaha. Dajemy wam na to dzień i noc, potem zaś ruszymy w drogę powrotną razem z zakładnikami i uznamy wasze poczynania za „nieprzyjazne”.

Hasan napełnił dwa kubki i wypili.

— Wyjadę skoro świt. Dopiero od tego momentu możecie liczyć czas. Nie będę radził dzieciom wędrówki przez góry nocą.

— Najlepiej ruszajcie od razu — odrzekł Dżuwajni. — Termin obowiązuje od chwili, kiedy wypowiedziałem te słowa. Jeśli się pośpieszycie, możecie przejechać dolinę jeszcze za dnia. A potem niech Róża wam świeci. Na pewno będzie już poinformowana o wszystkim, o czym rozmawialiśmy. Hasan uśmiechnął się słabo, słysząc te wyrazy uznania dla szybkiego przekazywania wieści, jakże odbiegające od lekceważenia, z jakim Mongołowie traktowali innych ludzi. Podniósł się i polecił ojcu Umara, żeby mu najął na drogę powrotną doświadczonego przewodnika, który najkrótszą trasą jeszcze za dnia sprowadzi go w dolinę. Wyruszyli od razu, zaopatrzeni w wypoczęte zwierzęta i miejscowych poganiaczy.

W Alamucie nie panowało jakieś szczególne podniecenie. Większość asasynów nie zauważyła, że Hasan i Churszah opuścili twierdzę, nie mianując nikogo w swoim zastępstwie jej komendantem. Tylko Zew Ibrahim zaniepokoił się, gdyż wiedział, co ich skłoniło do tak nagłego wyjazdu do Iskandaru. Lada chwila mógł wrócić wielki mistrz, przed którym to on będzie się musiał tłumaczyć. Zew znał wybuchy gniewu imama, których należało się zresztą spodziewać — przypominały ataki szału wariata — toteż udał się do Herlina, żeby się naradzić.

Od Alego Rosz dowiedział się już, że wrócił posłaniec od Creana. Miał list dla nich, Rosza i Jezy, który chciał im przekazać, lecz Hasan mu go odebrał. Rosz zapytał o nadawcę pisma, jednakże Ali wiedział tylko tyle, iż nosiło pieczęć papieską, bo zrobiło to na nim duże wrażenie. Wtedy Rosz zażądał, żeby Ali wskazał mu posłańca, ale ten jakby zapadł się pod ziemię. Postanowił więc odwiedzić Jeżę, którą spodziewał się zastać u jej przyjaciółki Poli. Pojechał w koszu na górę do pałacu i niepostrzeżenie

zakradł się na kręcone schody za tronem imama.

Przez nieobecność wielkiego mistrza, którego wszyscy się bali, osłabła czujność strażników. Przywykli oni do tego, że Rosz i Jeza chodzili wszędzie po pustym pałacu wedle upodobania. Rosz dotarł do *ka'at al-musawa** i właśnie zdziwił się, że nie zastał tam nawet bibliotekarza, gdy w jednej z nisz zobaczył mistrza Herlina kucającego obok wózka Zewa. Starcy rozmawiali szeptem z takim ożywieniem, że Rosz postanowił zaryzykować i przemknąć się po skrzypiącej podłodze do miejsca, gdzie domyślał się wejścia do „jaskini apokryficznych prorocstw”, które zgodnie z opisem Jezy, musiało też prowadzić do pomieszczeń Poli. Ledwie pokonał na palcach pierwsze stopnie, gdy usłyszał nad sobą głos Jezy.

—
Chcę się wreszcie dowiedzieć, co za ważny gość przybył do Iskandaru, że zarówno Cielak, jak i Wąż nie mieli do roboty nic pilniejszego, niż tam pojechać? Skoro nie chcesz mi tego wyjawić, zapytam po prostu mojego Herlina! Trzasnęły jakieś drzwi i wewnątrz spiralnych schodów zaczęły się zbliżać kroki Jezy.

— List! — zawołał w jej stronę Rosz, porzuciwszy piękną myśl, żeby przestraszyć ją w ciemności. — List do nas... - Od Williama! — odpowiedziała Jeza przyśpieszając kroku. — Od Williama do nas! — oświadczyła zdyszana. — A ten Hasan rozłamał pieczęć, choć posłaniec upierał się, żeby wręczyć go nam osobiście! — Odszukała w ciemności ciało najdroższego i z nerwowym podnieceniem objęła go mocno.—Pola wezwała do siebie posłańca i wypytałyśmy go, ale tylko tyle udało nam się dowiedzieć. Drugie pismo jest od Creana do imama.

Razem zeszli po ostatnich stopniach i wkroczyli do sali. Na widok dzieci Herlin i Zew odsunęli od siebie głowy. - Zewie, co się stało w Iskandarze? — spytał Rosz już z

daleka. — Nie możesz ukrywać tego przede mną! Wiem, że Hasan...

— Hasan sam wam powie, jest już w drodze powrotnej. Macie czekać na niego w pałacu! — rzekł Herlin. — My też nie wiemy więcej od was.

Chcąc ułatwić to mało wiarygodne pożegnanie, również Zew podjechał a swoich kółkach do kosza, jakby nie było już nic do omówienia, i zniknął w głębi kotła. Ponieważ także Herlin zachowywał się nieprzystępnie, Rosz i Jeza przygnębieni zeszli do pałacu i usiedli w sali audiencyjnej przed pustym tronem. Żadne z nich nie znajdowało odpowiednich słów, więc zaczęli z roztargnieniem grać w szachy, kończąc partię, którą imam rozpoczął przed wyjazdem. Po wieczery władca bardzo lubił grać z Hasanem do późnej nocy, ale kiedy groziła mu przegrana, przeważnie przerywał partię. Złośliwi twierdzili, że później poprawiał swoją pozycję, aby nazajutrz zakończyć partię zwycięsko. Jeza przesuwała figury tak ryzykownie, że Rosz nie omieszkał jej dociąć: — Nawet Cielak by z tobą wygrał!

To rzekłszy wstał. Jeza zbiła jeszcze szybko jego królową i podążyła za nim po jednym z wiszących mostów na blanki. Tam obserwowali widowiskowy zachód słońca, które wysyłało ostatnie czerwone promienie, oświetlając luną horyzont, zanim nadciągnęły ołowiane chmury i znowu zaczęło padać. Nie czuli jednak potrzeby, aby opuścić przewiewne miejsce, schronili się jedynie w otworze strzelniczym. W dole widzieli kielich Róży, rojne życie wewnątrz kotła, w którym teraz zapalano światła na noc. Spozierali na schody i drabiny, kładki i mosty prowadzące do mieszkalnych komórek plastra, patrzyli na ciemny pałac, „gniazdo os", przez które w regularnych odstępach przesuwały się niczym błędne ogniki latarnie strażników. Obserwowali zmiany warty przy bramach wypadowych i mostach zwodzonych poniżej; przekazywanie warty odbywało się także wysoko w górze, na koronie blanków. Sylwetki żołnierzy rysowały się na tle nocnego nieba. Wewnątrz Róży niczym w kopcu leśnych

mrówek wrzała praca i nieustanna przyjemna krzątanina, na którą dzieci nie mogły się napatrzeć. —

Jak sądzisz — spytał Rosz — kto zbudował twierdzę w ten sposób i wymyślił to wszystko? Jeza spojrzała nań z boku z rozbawieniem. — Chcesz mnie sprawdzić? — Kiedy jednak zauważyła, że Rosz wpatruje się w głąb kotła poważnie zatroskany, spróbowała go rozweselić. — Myślę, że „Zew na kółkach” jest genialnym budowni czym... Zawiesiła nieco głos, bo wcale nie była o tym przekonana.

— Jego dziełem jest mechanika, system drążków, obracający się księżyc, Róża jednak była już wcześniej.

— Niemożliwe, żeby wszystko stworzył jeden człowiek. Pomyśl tylko o tych nieprzebranych skarbach wiedzy, o duchu, którym ona oddycha — zastanawiała się na głos Jeza. — Nie sądzę, żeby nawet Herlin był do tego zdolny.

—
A może jest o wiele starsza od ludzkości. — Rosz miał taką nadzieję, bo na samą myśl o tym przeszywał go zimny dreszcz. Jeza natomiast stłumiła jakieś niejasne uczucia i starała się trzeźwo spojrzeć na sprawę.

— Pewnie była miejscem kultu już w pradawnych czasach, ale to, co widzimy, bez wątpienia jest dziełem rąk ludzkich! Wszak przed Zewem byli odważni konstruktorzy, pomyśl tylko o wielkiej piramidzie...

— Tyle cudownych rzeczy—odparł z respektem Rosz—może j ednak pochodzić tylko od Boga. Dlaczego nie biblioteka, oferująca wszelką wiedzę aż po prorocstwa i objawienia, jest w Róży najważniejsza, tylko to magiczne miejsce nad nią?

— Może spadła z nieba? — Jeza nie potrafiła powstrzymać się od ironii.

— Święta prawda — odrzekł Rosz. — Tak właśnie uważam. Jest darem Allana.

Po tych słowach Jeza zamilkła na dłuższy czas, w końcu otoczyła ramieniem towarzysza i przyciągnęła go do siebie. — Ona jest piękna — powiedziała — ona jest naczyniem naszej miłości. Wtedy Rosz objął ją za szyję, a jego wargi odszukały jej usta.

—

Jezo — wydyszał — ona jest tak piękna i tak straszliwa jak nasza miłość.

Czasem boję się, że w niej spłonimy. Zamknęła mu usta swoimi wargami, ich języki spotkały się tak namiętnie i blisko, jak dane jest to tylko kochankom. —

Dar

Allaha — westchnęła Jeza, kiedy oderwali się od siebie.

To było pożegnanie, co jednak uświadomili sobie dopiero wtedy, kiedy opuścili tę ciepłą budowlę pełną gwiazdnych cudów, wiary i mądrości, piękna i zgrozy, rozkoszy i śmierci. Uderzenie kopytem nieuważnego konia wyrzuciło oboje z tego miejsca doktryn i ich przeciwieństw, prorocत्व i tajemnych objawień, ostatecznej wiedzy i hurys z „raju”.

Odnaleźli się w nowym, obcym i zimnym świecie — bez magii, bez mistyki, bez Boga.

Teraz smuciło ich jedynie to, że nie mają w rękach oczekiwanej od dawna odpowiedzi

Williamama, i złościła buta Hasana, który list zwyczajnie zabrał i przeczytał.

Kiedy odnalazł ich Ali — uznali, że im tylko przeszkadza — wysłali go do kuchni,

żeby postarał się o wieczerzę dla nich. Przyniesiono im trzy rodzaje ostro

przyprawionego *fatirat lahm mafrum*: * z bażanta, z sarny oraz z dzika, a do tego *samr**

w zalewie imbirowo-pieprzowej: dynia, figi i ciemnoczerwona żurawina, jak również

kasza gryczana i *ruzz bunny*, * lekko przysmażane na oliwie z cebulą. Wypili też, razem z Alim, cztery dzbany lodowatej wody z cytryną. Około północy, kiedy ochłonęli z gniewu,

na dole w kotle zrobił się ruch. Hasan wrócił. Ali, którego pognęła tam ciekawość,

przybiegł wołając: — Macie natychmiast udać się do emira, oczekuje was w pałacu!

Hasan, jeszcze spocony i brudny po jeździe na końskim grzbiecie, stał w sali audiencyjnej. Poleciał dzieciom usiąść przy stoliku do szachów, więc te myślały już, że teraz im się dostanie za przesunięte figury, ale emir, założywszy ręce na plecach, chodził tylko bez przerwy tam i z powrotem niczym tygrys w klatce. Najwidoczniej usilnie się zastanawiał, a w końcu zapytał jakby mimochodem:

— Chcecie pojechać do Iskandaru? Rosz i Jeza, każde na swój sposób, nie byli tą propozycją poruszeni ani szczególnie zachwyceni. Jeza nie miała ochoty być ponownie świadkiem zalotów Azizy, tej dzikiej kocicy w okresie rui, do jej Rosza, zwłaszcza że brakowało dla równowagi Umara; także Rosza nie kusił ten wyjazd bez przyjaciela.

Oboje zaprotestowali więc *unisono*:

— W taką pogodę! Leje jak z cebra! Wtedy Hasan zagrał swój atut.

— Przybył tam wasz William!

— Wreszcie! — zawołał Rosz szczerze zachwycony. —

Oczekujemy go z

radością! — dodała Jeza nie mniej uszczęśli

wiona. Zanosilo się na to, że plan emira legnie w gruzach, dlatego Hasan dobył list

Williamia i pomachał nim. — Oto list braciszka. Pragnie was zabrać! Uwolnić! —

Świetnie! — wyrwało się Roszowi. — Jestem gotów! Jeza natomiast zapytała:

—

A dokąd mamy się udać? Niech przyjedzie i najpierw mi o tym opowie!

Hasan przybrał chytrą minę i rzekł: - Ale przecież wiecie, jak wielki mistrz, który może wrócić lada chwila, postępuje z ludźmi mającymi takie głupie pomysły! Obcina im dłonie

i stopy! William nie może przestąpić tego progu! — I wręczył list Jezie. Ta rzuciła okiem na pismo i podała je Roszowi, który przyjrzał się najpierw pieczęci. - Papistowska! —

wycedził pogardliwie.—Kto wie, czy nie zmuszono go torturami...

— Na torturowanego mi nie wyglądał! — Hasan szybko rozwiązał wszelkie podejrzenia.

— Najchętniej przyjechałby ze mną od razu! Z trudem udało mi się odwieść go od tego zamysłu.

— W takim razie jedźmy do niego! — zdecydował Rosz. Jeza zaś dyplomatycznie dodała:

— Jeśli pozwolisz? Emir uśmiechnął się. —

Nie wolno mi tego robić, ale

mógłbym przymknąć oko, jeśli weźmiecie najlepsze konie ze stajni imama... Rosz i Jeza zerwali się z miejsca. Jak to rozradowane dzieci, puścili się biegiem do wyjścia. —

Pamiętajcie też o zwierzętach jucznych! — zdążył jeszcze zawołać za nimi Hasan.

— I pośpieszcie się. Wielki mistrz może przybyć lada

chwila!

Kiedy nad Iskandarem zapadły ciemności, Ata al-Mulk Dżuwajni jako odpowiedzialny

dowódca Mongołów zdecydował, żeby dla bezpieczeństwa trzymać w nocy syna

imama pod strażą w murowanym budynku. A wybrał w tym celu dom ojca Umara i Azizy

dlatego, że uważał starca — i słusznie — za przywódcę miejscowych asasynów, a

ponieważ nie obciął mu głowy, uznał, że najrozsądniej będzie wziąć w ten sposób w

posiadanie jego dobytek. Przekazał swoją decyzję Kitonowi, niepomny, że ów ma tam w

perspektywie przygodę miłosną. Sześciu „tajnych bojowników” Bułgaja odprowadziło

Churszaha do zagrody powyżej wioski i umieściło go na parterze w pokoju Azizy, który

miał kraty w oknie i drzwi zamykane na rygiel. Dziewczyna została uwolniona i wysłana

na piętro do matki, zajmującej małżeńską sypialnię, gdyż pan domu z wiadomych

powodów wolał się nie pokazywać. Goszczenie przysłego imama pod swoim dachem

matka poczytywała sobie za wielki zaszczyt, przeto poleciła Azizie, żeby zaniósła mu do

izby świeży ser, podplomyk prosto z pieca, ledwie co zebrane owoce, a także dzban wina.

Jeszcze tej samej nocy Rosz i Jeza wyruszyli do Iskandaru. Ponieważ nie udało im się pozbyć Alego, zabrali go z sobą. Koniecznie chciał być przy ojcu, czego Rosz nie mógł mu mieć za złe. Jeza natomiast podejrzewała raczej, że niezdara tęskni za tą kozą, Azizą. Ponieważ Ali przyłączył się do nich „przypadkowo” na drugim brzegu jeziora w środku nocy, musieli jechać na zmianę po dwoje na grzbietach obu szlachetnych klaczy, które wybrali ze stajni imama. Jeza przypomniała sobie ze złośliwą satysfakcją, jak na pożegnanie, niby mimochodem, poleciła Poli do przyjęcia do „raju” tę małą głupią pasterkę z Iskandaru, zwłaszcza że jej brat Umar nie miał już okazji spotkać siostry jako hurysy. Przynajmniej więc ta sprawa została uporządkowana jak należy!

Oglądając się za siebie, Jeza przeczuwała, że nierychło zobaczy znowu Różę, która coraz częściej znikwała za postrzępionymi chmurami. Dla Rosza niespodziewane przedsięwzięcie było jedynie mile widzianym urozmaiceniem jego wypraw eksploracyjnych między obserwatorium i piwnicą, okrągłymi rurami, koszami wyciągu i obracającymi się nieustannie drążkami mechanizmu. Zdziwił go jedynie pełen bólu gwałtowny gest, z jakim przytulił go do siebie jego stary przyjaciel „Zew na kółkach”, kiedy Rosz przyszedł się pożegnać. Potem wynalazca, odwróciwszy twarz, pogrzebał w swoich skrzyniach wśród kółek zębatach i nakrętek, po czym wręczył mu kawałek obrobionego żelaza wielkości dziecięcej dłoni i zademonstrował, jak go używać. Kiedy się przycisnęło jeden koniec, wyskakiwał nóż z ostrzem obustronnie szlifowanym. Po naciśnięciu palcem drugiego końca pojawiał się pierścień, który dawał się otwierać i zamykać z cichym trzaskiem. Jeśli pociągnęło się ostrożnie paznokciami po jednej stronie, ukazywała się mała piła, druga strona natomiast ukrywała pilnik.

— Dzięki temu uciekniesz z każdego więzienia i dostaniesz się do każdej alkowy dziewczęcej — wyjaśnił z uśmiechem Zew. — To dzieło mojego ojca. Poklepał chłopca

po plecach. Rosz ruszył biegiem, bo spieszno mu było do koni. Kiedy się odwrócił, żeby zawołać „Dziękuję, Zewie!”, zauważył, że stary budowniczy płacze.

U stóp gór dzieci musiały przesiąść się z koni na muły. Poganiacze wynurzyli się z mroków nocy niczym rozbójnicy. Znowu zaczęło mocno padać. W kompletnych ciemnościach zwierzęta z trudem odnajdowały drogę między luźnymi kamieniami.

Pochodnie eskorty ciągle gasły i po krótkim czasie nie dały się już w ogóle zapalić.

Świeciły im za to błyskawice, a każdy grzmot, odbijając się echem między skalnymi

ścianami, przetaczał się dwa i trzy razy. Chlustające z nieba potoki dawały się dzieciom we znaki, bo chociaż miały kaptury, woda wsiąkała im w odzienie. Także poganiaczom

sprawiała kłopoty. W pewnej chwili ledwie umknęli przed osuwającą się ziemią, która

zeszła za nimi z hukiem niczym lawina. Spadające kamienie co rusz płoszyły zwierzęta,

więc poganiacze poprosiwszy dzieci, żeby zsiadły, wpędzili konie i muły pod nawisające

płyty skalne, dzięki czemu odłamki przeskakiwały nad nimi. Rozmytą wąską ścieżką

wspinali się coraz wyżej. Rosz, Jeza i Ali szli w środku grupy. Dotarli do rwącej,

ryczącej rzeki, która — jak przypominał sobie Rosz — była zaledwie potoczkiem, kiedy

jechali pierwszy raz do Iskandaru. Nie mogli się więc przepawić na drugi brzeg i musieli podążać wzdłuż biegu rzeki, a przez to opuścić ścieżkę wiodącą pośród skał. Nagle

przez huk wody przedarł się krzyk, pojedyncze przeraźliwe wołania o pomoc, które w

końcu umilkły.

Rosz wziął wierzchowca Jezy za uzdę i próbował dołączyć do poganiaczy na czele

grupy. Ale choć przyśpieszał kroku, nie natknął się na nikogo z wyjątkiem bezpańskiego

muła. Wtem za plecami dzieci runęła z hukiem w odmęty rzeki cała skalna ściana.

Poculi tylko mocny podmuch; w ten sposób byli teraz odcięci również od straży tylnej,

o ile ta przeżyła lawinę. Ostrożnie stawiając kroki, posuwali się dalej po omacku w

nieprzeniknionych ciemnościach.

Kito odczekał, aż w wiosce zapanuje spokój. Mężczyźni w zagrodzie dla owiec kazali żonom przynieść sobie derki i spali na sianie, asasyni wyciągnęli się przed bramą zagrody, a na dachach domów siedzieli mongolscy strażnicy, którzy nie mogli zmrużyć oka, gdyż od czasu do czasu na zmianę zjawiali się szambelan i Kito i sprawdzali ich czujność. Dżuwajni leżał przy studni razem z Nasir ad-Dinem Tusim. Dobroduszny mediator był jedynym człowiekiem, u którego boku pozwalał sobie chwilami na drzemkę i nie musiał się obawiać, że rano obudzi się w raju z poderżniętym gardłem.

Kito podkraść się na szczyt wzniesienia pod dom Azizy. Noc bynajmniej nie była cicha i spokojna, deszcz ciągle padał, gdzieś w górach huknął grzmot. Ludzie Bułgaja byli na posterunkach, dwaj strażnicy przed domem mieli na oku bramę i zakratowane okno, dwaj pilnowali wyjścia na podwórze, dwaj zaś stali w sieni, opierając się o drzwi izby i przyciskając do nich uszy. Z ich uśmiezków można było wnosić, że dostojnemu więźniowi w środku dobrze się dzieje. Kito nie domyślał się jeszcze, jakiego rodzaju przyjemności są właśnie udziałem Churszaha, tak więc nie zastanawiając się, rozgrzany zachętami strażników, za ich przykładem przytknął ucho do drzwi. To zaś, co usłyszał, poraziło go niczym kopniak w podbrzusze. Spóźnił się! Inny gasił już ogień w łonie Azizy...

—
Co czynicie, mój książę! — dobiegł go jęk rozkoszy. — Och, Churszahu, mój najmilszy!

Oczy Kitona zasnuła czerwona mgła; odepchnął strażników od drzwi, szarpnął w górę rygiel i wskoczył do słabo oświetlonej izby. Przed łóżkiem Azizy stał w rozkroku Churszah ze spuszczoneymi portkami. Trzymał w górze gołe nogi dziewczyny, a tymczasem mała łotrzyca śmiało wzięła między uda książęcą obietnicę lepszej

przyszłości. Wystraszony Churszah puścił jej nogi, obnażając przy tym swoje naprężone przyrodzenie. Kopnięty przez Kitona, w pierwszej chwili zawył, ale uderzenie pięści, które zaraz potem wylądowało między jego nosem a górną wargą, odpowiednio stłumiło okrzyk bóleści. Churszah zwałił się na ziemię niczym mokry worek, za to Aziza, prychnając niby kocica, skoczyła z pazurami na złodzieja swego krótkiego szczęścia.

Poczuwszy jej paznokcie na policzku, Kito mocno ją odepchnął.

— Buty! — wydusił zaciskając zęby. — Gdzie są buty?

Dziewczyna upadła na łóżko, przetaczając się przez grzbiet pechowego kochanka i błyskając z wściekłości oczyma, przykucnęła za nieruchomym worem. —

Buciki?

— zapytała drwiąco. — Nie potrzebuję już tych koślawych buciorów! Mój najmiłszy podaruje mi o wiele zgrabniejsze, jeśli zechcę!

Wtedy Kito chwycił ją i podniósł za włosy, po czym zmusił, żeby przeszła nad ciałem Churszaha i stanęła przed nim. —

Wyciągnij go!—rozkazał, dziwiąc się swojemu chłodowi, gdyż jego członek pulsował z gorąca.

Aziza zdała sobie sprawę, że to wcale nie zabawa, i drżącą ręką rozpięła mu portki, z których wyskoczył rozogniony penis. Nie miała już czasu, żeby przestraszyć się jego wielkości, gdyż ręka trzymająca dziewczynę za włosy popchnęła ją na łóżko, a następnie wcisnęła jej twarz w zadek leżącego bez oznak życia Churszaha. Aziza poczuła, jak Mongoł rozsuwa jej kolanem wilgotne uda, po czym w nią wchodzi.

Przemoknięte do suchej nitki dzieci przedzierały się przed siebie pośród burzy, ślizgając się na płytach skalnych rumowisk i potykając o spiczaste skały, które dawało się dostrzec tylko wtedy, gdy błyskawice rozjaśniały ciemności. Woda spływała

strumieniami, porywając z bulgotem kamienie.

W końcu przetaczały się już tylko pojedyncze grzmoty, a w oddali rysowały się na

niebie zygzaki piorunów. Deszcz zaczął wyczerpanym dzieciom prosto w twarz. Ali

potknął się o skałę, a jej odprysk zranił Jeżę w kostkę. Ból był tak silny, że nie mogła chodzić, zbyt ryzykowne jednak byłoby też dosiąść teraz wierzchowca. —

Roszu,

najdroższy, gotowa jestem umrzeć z tobą! — zawołała, przekrzykując ulewę. — Ale

chciałabym przy tym patrzeć ci w oczy. Zaczekajmy tutaj do świtu.

Dowlekli się pod najbliższy występ skalny, który jeśliby wytrzymał, powinien

zapewnić osłonę przed spadającymi kamieniami, i przykucnęli między zwierzętami,

żeby się ogrzać. Przy okazji Ali odkrył, że w jukach bezpańskiego muła z czołowej

części grupy zostało wiele pochodni. Deszcz osłabł, a z nim ucichł i wiatr. - Wyślemy

przodem kogoś z pochodnią — zaproponował Ali — kto zwróci uwagę na nasze kłopoty!

- Nie jesteś wcale taki głupi, na jakiego zwykle wyglądasz! — zauważyła pojękując

Jeza. Jej kostka zdążyła już mocno spuchnąć. Rosz wyjął podarunek od Zewa i wyciął

w siodle po obu stronach podłużne otwory, w które wetknął po jednej pochodni. Z

pomocą Alego udało mu się rozniecić ogień, od którego zapalili pochodnie. Muł z

płonącymi łuczycami za uszami natychmiast popędził przed siebie w panicznym

strachu i rycząc zniknął za najbliższym załosem. Ali zaczął się śmiać gdakliwie niczym

kura — Jeśli będą podążać za twoim rechotem, to może nas znajdą —

prychnął

Rosz. — Tutaj też powinniśmy zapalić pochodnie — podsunął przytomnie Ali. Okazało

się jednak, że przepędzili zwierzę z całym ich zapasem. Wtedy Ali nie mógł się już w

ogóle powstrzymać od śmiechu. Jeza popłakiwała cichutko z bólu. Rosz zszedł

ostrożnie nad rzekę, gdyż chciał zanurzyć w zimnej wodzie swoją koszulę i obwiązać

nią stopę Jezy. Stamtąd dostrzegł wysoko wśród skał migotliwe światło, które to pojawiało się, to znikało. Dygocząc z zimna, z mokrą koszulą w rękę, wrócił do Jezy i Alego. — Szukają nas! — oznajmił. — Widziałem światło. Śmieję się, Ali, no, śmieję się! Ten zerwał się na równe nogi —
Ho, ho! Ha, ha! — krzyknął pośród ciemności.

Jakby w odpowiedzi z góry stoczyło się kilka kamieni i ujrzał krępego młodzieńca, który z pochodnią w rękę schodził ku nim, ostrożnie stawiając kroki. Rosz, zajęty akurat owijaniem kostki Jezy, podniósł wzrok i uśmiechnął się do nieznanego, który ostatnim skokiem wylądował wśród zwierząt. —

Nazywam się Kito — powiedział — a wy jesteście parą królewską.

—Nie uklonił się, ale w jego głosie pobrzmiwał szacunek, gdy dokończył: — Rosz i Jeza, dzieci Graala.

— Nie przyniosłeś lektyki? — spytał Ali. — Księżniczka nie może chodzić.

— No to ją poniesiemy — odparł obojętnie Kito. — Z trzech pni i twojej peleryny zrobimy nosze. Jak tylko pokaże się słońce, poszukasz drewna w rzece. Płaszcz możesz zdjąć już teraz, księżniczka marznie. Ali spiesznie spełnił jego rozkaz i wręczył dygocącej księżniczce swoje okrycie. Śmiech mu raptem przeszedł. Przykucnął między Roszem a Kitonem i w milczeniu wyczekiwali nowego dnia.

Ledwie w górach Chorasanu zaświtał poranek, niewyspany Dżuwajni rozkazał wyciągnąć Churszaha z łóżka, którego szambelan serdecznie mu zazdrościł. W nocy rzuciło mu się w oczy, że Kito nie przyszedł na zmianę warty, ale potem przypomniał sobie, że ten miał się zatroszczyć o buty lub przynajmniej o nogi, które ostatnio w nich tkwiły. Przeklinając młodzieńcze popędy, choć zarazem mając dla nich niechętnie zrozumienie, Dżuwajni wziął zatem wartę również za niego. Ów jednak wciąż jeszcze

się nie pojawiał i szambelan zaczął się denerwować. — Jeśli synowi Kitbogi coś się stało — wrzasnął na zaspanego Nasirad-Dina Tusiego — to imam będzie daremnie szukał wioski o nazwie Iskandar! Kupa kamieni, parę czerepów, ot tyle tutaj zastanie. Studnia będzie zatruta od trupów dzieci. Urwał, ponieważ strażnicy przywlekli ojca Azizy. — Jeśli natychmiast nie odzyskam Kitona — zawołał do starca — to każę was wszystkich ściąć, zanim opuszczę to miejsce wraz z waszym Churszahem jako zakładnikiem! Dał strażnikom znak, a ci zmusili starca do ukłęknięcia. — Od was zacznę...

W tym momencie przyprowadzono do studni Churszaha. Twarz miał mocno napuchniętą, wargi popękane, a z nosa ciekła mu strużka krwi. —

Przygotowałem

wam śniadanie, wielki synu wspaniałego imama — powitał go sarkastycznie szambelan — głowę waszego gospodarza na pusty żołądek!

Churszah bez słowa udał się do studni. Szambelan zdecydowany był gruntownie mu zohydzić poranną toaletę. - Dopóki syn waszego wielkiego mistrza będzie trzymał głowę pod zimną wodą studni — zawołał do ojca Umara i Azizy — dopóty wasza pozostanie na karku! Chyba że Kito... - ...właśnie wraca — dokończył niewzruszenie starzec. Z miejsca, w którym klęczał, widział, co dzieje się za plecami szambelana od strony doliny. Pierwszy dostrzegł też dwoje dzieci.

— Rosz i Jeza, władcy Graala! — zawołał z dumą Kito, zwracając się do

Dżuwajniego, i uszczęśliwiony wskazał idących za nim młodych ludzi, których sam znalazł. Dżuwajni popatrzył zrazu z niedowierzaniem, gdyż dzieci, wspinające się ku nim z mazołem, wcale nie przypominały władców. Następnie uściskał Kitona. Dobry z ciebie pies tropiciel — pochwalił z ulgą. — Jak widzę, te złote bazanty maskują się,

przywdziewając niepozorne szaty, a przecież są najcenniejszym i najwykwintniejszym darem, jaki pragnę złożyć wielkiemu chanowi!

Kito uśmiechnął się, słuchając tego niespodziewanego elogium. On też czuł, że szambelanowi dosłownie kamień spadł z serca.

— Nie witajcie ich tak, jakbyście chcieli je zjeść — zażartował. — Przyjmujcie dzieci z należną uprzejmością. Księżniczka się zraniła. - Przynieście wody i chusty! —

krzyknął na swoich ludzi szambelan. Zanim Rosz i Jeza dotarli zmęczeni do studni, właściwie postradali już nadzieję, że spotkają tu Williama, Kito bowiem, pomimo usilnych pytań i dokładnego opisu postaci, nic nie wiedział o mnichu. Przy studni znajdował się tylko, otoczony przez kilku mongolskich wojowników z obnażoną bronią, pokiereszowany Churszah, który wodą chłodził zapuchniętą twarz. Na dachach sąsiednich domów stali zaś łucznicy, celując do niego. Syn imama nie dygotał z powodu zimnej wody, ale ze strachu o własne życie. Kiedy jednak zobaczył dzieci, jego cielecą twarz ożywił uśmiech. —

Wy mnie wybawicie! — zawołał. A ponieważ Rosz

spojrzał tylko na niego nie rozumiejącym, acz lekko pogardliwym wzrokiem, dodał szyder

czo: — Hasan was w to wpakował!

Jeza opanowała się prędko. Chwyliła Kitona za rękę i zwróciwszy się do

Dzuwajniego, który właśnie do nich podszedł, rzekła:

—

Uratowaliście nas dziś w nocy nie tylko z niebezpieczeństwa w górach, lecz

także od konieczności dalszego życia pod jednym dachem z tępymi cielakami i

zdradzieckimi węzami. Szambelan uśmiechnął się, Jeza przypadła mu do gustu. Jedną

ręką oparła się o Kitona, który pokraśniał z dumy, zadowolony, że nie wypytują go już o buty.

Rosz odprowadził Alego do jego ojca Nasir ad-Dina Tusiego, po czym zaciągnął obu do grupy przy studni.

— Róża nie zasłużyła na to, żeby władał nią taki zwierzak — rzekł do Dżuwajniego, wskazując czubkiem buta zadek Churszaha, który mył się nadal ze strachu, ale i z zawstyżenia. — Możecie teraz wypuścić Cielaka, pojedziemy z wami i staniemy dobrowolnie przed obliczem wielkiego chana. — Zwrócił się do Tusiego. — Wam zaś radzę z całego serca, weźcie syna, omińcie szerokim łukiem Alamut i nie marnujcie dłużej swojej mądrości na zajmowanie się losem niegodnych! — I kłaniając się mu, zasugerował, że Nasir ad-Din Tusi jest wolny. Szambelan nie miał nic przeciwko temu, zwłaszcza że królewskie gesty Rosza i jego słowa zrobiły na nim wrażenie. - Cielaka, mój królu — ozwał się z uśmiechem — będziemy prowadzić na postronku, dopóki nie

wyjedziemy z gór asasynów na bezkresny step, na którym panuje *pax mongolica** Do tego czasu jego skóra i jego jędrne ciało będą nas chronić, gdyby asasynom zachciało

się nas zaatakować, wszak jego ojciec ma opinię bezwzględnego rzeźnika, a faworyt ojca, jak sami powiadacie, jadowitego węża. Pozostali, co do jednego, niechaj wracają do Alamutu i tam obwieszczą to postanowienie. Chyba że Róża już dawno jest o wszystkim poinformowana — dodał, uśmiechając się nadal. - Niebawem wyruszymy, tylko pierwej trzeba obmyślić, w jaki sposób będzie mogła podróżować księżniczka — powiedział Kito.

— Ona jest moją królewną! — oznajmił Rosz, po czym zwróciwszy się do Dżuwajniego, rzekł: — A Kito jest naszym pierwszym rycerzem!

Pożegnali się z Alim i jego ojcem, a na wypadek gdyby ci w drodze do domu rzeczywiście spotkali Williama z Roebruku, polecili im przekazać, że Rosz i Jeza udali

się do Karakorum i pRosza, by nie zwlekając przybył tam za nimi!

Chamsa (arab.) — popularny amulet, przedstawienie błogosławiącej ręki Fatimy, córki Proroka.

* A l-a jn a l -ha su d (arab.) — złe spojrzenie.

* As-Salamu... (arab.) — Witamy cię. Niech Bóg cię ma w opiece.

* In sza Allah... (arab.) — Jeśli Bóg tak zechce. To ostrzeżenie.

* At-tarhib (arab.) — powitanie, pozdrowienia powitalne.

Ka'at al-musawa (arab.) — sala harmonii.

* Fatirat lahm mafrum (arab.) — pasztet z dziczyzny.

* Samr (arab.) — owoce.

* Ruzz bunni (arab.) — brązowy ryż.

XI . WIEŻA NA PROCIDZIE

Z Kroniki Williama z Roebruku

Wyspa Procida w Zatoce Neapolitańskiej,

w uroczystość św. Augustyna* A. D. 1252

W Ostii powiosłowaliśmy na ów żaglowiec z Aragonii. Nie żebyśmy potajemnie weszli

na pokład, ale kapitan wolał nie stawać na kotwicy w porcie papieskim i pozostał na

redzie. My — to znaczy pod dowództwem, a raczej nadzorem Gawina, preceptora

templariuszy, Crean z Bourivanu, próżno zabiegający o poparcie poseł asasynów, oraz

nas trzech z zakonu świętego Franciszka: Wawrzyniec z Orty, Bartłomiej z Cremony i

moja znikomość. Prócz brązowego habitu my, braciszku, nie mieliśmy nic

wspólnego. Wawrzyniec uważał się za minorytę *sui geneńs* i uchodził w Przeoracie za tęgą głowę, choć zarazem za wichrzyciela. Podróżował z nami jedynie dlatego, że tak

mu wypadło po drodze do Otranto, w misji, którą sam sobie wymyślił. Pragnął

wyciągnąć młodego hrabiego L'Estrange z jego nadmorskiego zamku — albo obrzydzić mu w nim życie. Był to wszakże tylko wstępny etap zawilego planu Wawrzyńca, mającego na celu nakłonienie Hamona, syna hrabiny Otranto, do rezygnacji z Malty, gdzie Przeorat zamierzał „ulokować” Rosza i Jeżę. Wszystko to wydawało mi się przedsięwzięciem dość absurdalnym, w którym najwidoczniej przeprowadzono rachunki nie tylko bez gospodarza, ale także bez dostawców, czyli tych, co mieli dzieci w swojej pieczy. Uczujący, czyli tajemna władza, za której spirytualny rausz musieli odpokutować Rosz i Jeza, lepiej by zrobili, gdyby trzymali się od tego z daleka. Jeśli któryś z rycerzy Okrągłego Stołu roił sobie, że wystarczy obmyślić jakiś plan w pijanej głowie, a Wielki Plan ziści się na zasadzie *similia similibus*-, * jakby przychylna czarodziejka dotknęła swą różdżką wszystkich mocy tego świata, to słabo zna królewską parę, a przynajmniej nie tak dobrze jak ja.

Bartłomiej nosił habit minorytów zapewne tylko jako przykrywkę swych ciemnych machinacji w służbie Szarego Kardynała. Jak wiedziałem z własnego doświadczenia, Bartek nie cofał się przed kradzieżą ani dodaniem trucizny i nie miał żadnych innych zamiarów, jak zgładzić Rosza i Jeżę przy najbliższej sposobności. Sprzęgnięto nas ze sobą w celu przeprowadzenia misji króla Ludwika wśród Mongołów. Stręczycielem był prawdopodobnie pan Rainaldo z Jenny, przebrany za kardynała szara eminencja *Ecclesiae catholicae*. Mnie do tego zaszczytnego zadania wybrał zapewne francuski król Ludwik, który o mojej osobie ma wysokie mniemanie, Cremończyka zaś w ogóle nie zna. Ale jeśli im się wydaje, że Bartek i ja będziemy dobrze pasować do siebie, to owszem, zgadza się: obaj się chronicznie nie znosimy. On mnie nienawidzi, a ja nim gardzę. Wspólne jest nam tylko to, że wcale nie zamierzamy — każdy z osobna — jechać do Karakorum do wielkiego chana, lecz właściwie pragniemy dotrzeć jedynie do Alamutu. Ja — zgodnie z poleceniem Gawina, poleceniem, o którym Crean nie może

się dowiedzieć — mam wyciągnąć stamtąd dzieci i zawieźć je gdzieś w bezpieczne miejsce na Zachodzie, co zresztą zaproponował mi także kardynał, tyle że on przez „bezpieczeństwo” rozumie coś innego. Od tego jest perfidny Cremończyk.

My, braciszku, mamy wsiąść w Neapolu na statek do Konstantynopola, ażeby spotkać tam trzeciego w tej dobranej kompanii, kapłana o nazwisku Gosset, którego żaden z nas nie zna. Francuz przybędzie prosto z Akki* od króla Ludwika i przywiezie nam listy uwierzytelniające, a przede wszystkim fundusze na podróż. Od dawna nie jest już tak, jak wyobrażał to sobie kiedyś założyciel naszego zakonu, a mianowicie że żaden brat mniejszy nie może mieć w sakwie nawet jednej monety, lecz tylko skibkę chleba, w dodatku wyżebraną. A to by się Mongołowie zdziwili, gdyby panowie posłowie ustawili się nagle rządkiem przy gościńcu i prosili przejeżdżających o dar miłosierdzia! Aragoński żaglowiec, statek typowo wojenny, wyposażony był w solidny taran i mostki wypadowe na dziobie, jak również w obrotową katapultę na podwyższonej rufie, która wystawała znacznie ponad ster i osłaniała także sternika. Gawin i Crean zajęli kajuty w potężnej nadbudówce i w ogóle się nie pokazywali. Spotkałem kapitana na zabezpieczonej mocnym relingiem platformie.

— Wchodząc na pokład, przeczytałem nazwę waszego żaglowca —

zagailem

rozmowę. — „Nuestra Señora de Queribus”. Czyżby stary lew był właścicielem tej pływającej twierdzy? Kapitan się roześmiał. - Czy chcecie przez to powiedzieć, że znacie mojego pana Ksakberta z Barbery? Przed laty mnie gościł, jeśli mam być ścisły, osiem lat temu! —

odparłem uradowany, że moje przypuszczenie okazało się tak

trafne. Ale zdziwiło mnie nawiązanie do Najświętszej Panienki. Nie pamiętam,

żeby był *catholicos*! — Na ten żart, może to aluzja do zatwardziałości katarów — wyznał mi chętnie kapitan — pozwolił sobie nasz król, Don Jaime el Conquistador, kiedy podarował memu panu ten statek, należący wcześniej do Raszida z Marrakeszu. Jakub Zdobywca rzekł do niego: „Myślisz, że ta barka to moje podziękowanie za twój udział w zdobyciu Majorki. Jesteś w błędzie. Za to mogę ci się odwdziżyć tylko moją przyjaźnią, gdyż bez ciebie nigdy bym nie zajął Balearów! Ten statek pozwoli ci przeboleć drogi twemu sercu zamek Cnieribus i będzie ci domem, kiedy król Ludwik w końcu cię stamtąd wykurzy.” „Queribus nigdy nie padnie, Don Jaime! — zawołał mój pan. — Już bez mała czterdzieści lat, prawie całe moje życie, zamek opiera się Francuzom!” „Nie ma takiej twierdzy, której nie można zdobyć, Ksakbercie, natomiast mocny statek trudny jest do złapania i w sam raz dla takiego kacerza jak ty — stwierdził król Jakub. — A żebyś był dobrze chroniony, powierzyłem ten zamek na morzu opiece Madonny. Ty też winienesz polecieć się jej miłosierdziu!” — Ze śmiechem kapitan zakończył opowieść: — Mój pan Ksakbert nigdy nie postawił nogi na tym pokładzie. Uważa, że gdyby tak zrobił, zdradziłby i stracił Queribus. Każe więc mnie i załozę służyć pod banderą aragońską—westchnął—podczas wszelkich akcji wymierzonych przeciwko Francji. —

I z tej racji płyniecie teraz do Manfreda? — spytałem rezolutnie.

— Bo Andegaweńczyk też jest przecież Kapetyngiem.

— Bardziej nas martwi to, że pan Karol próbuje pociągnąć łańcuch przez Morze Śródziemne, od Marsylii po Palermo, a tym samym do Tunisu. W ten sposób odetnie Barcelonę, Tarragonę, ale i Walencję od handlu z Orientem.

— Porty są dzisiaj ważniejsze od zamków — oświadczyłem ze znanstwem, a kapitan ucieszył się, że znalazł we mnie tak zorientowanego w materii rozmówcę. -

Aragoniamusi przygotować się także na to —wyznał mi w sekrecie — żeby utrzymać

Sycylię dla Staufów, u ich boku albo jeśli tak już być musi, jako ich następca. Cesarz Fryderyk zdołał się oprzeć zjednoczonym siłom papieży i Andegaweńczyka. Był cesarzem, chociaż ogłosili, że go zdetronizowali! Ale teraz są już tylko dwaj królowie, mimo że pan

Konrad i pan Manfred zapewniają gorąco o swojej braterskiej miłości i przywiązaniu.—

A zatem *unio regni ad imperium* de facto* już nie istnieje! — wtrąciłem przytomnie.

Kapitan ze złością pokiwał głową. - A pojedynczo są do pokonania!

— Dlaczego Aragonia nie interweniuje? — wyrwało mi się.

— Czekamy, aż zostaniemy wezwani — odparł. — Choćby przez boginię historii!

Dawno opłynęliśmy Ponzę, minęliśmy też w należytym odległości Gaetę i zbliżyliśmy się od zachodu do miasta pod Wezuwiuszem. W pełnej wysp zatoce roiło się od statków, tyle że trudno było poznać, kto wróg, kto przyjaciel.

— Staufom wystarczy garnizon do zajęcia wysp — rzekł Gawin do Creana. Obaj

zjawili się właśnie na rufie, ale nie po to by podziwiać niepowtarzalnie piękną panoramę z wulkanem w tle, lecz by móc lepiej ocenić sytuację militarną. — Jednakże oblegający nijak nie potrafią sobie poradzić z rybakami, którzy z łodzi zaopatrują miasto otoczone od lądu; rybacy nawet w biały dzień mają czelność dowozić broń i ludzi.

— Dopóki panu Manfredowi nie uda się przeciągnąć ich na swoją stronę — odparł Crean. — Wtedy koszmar szybko się skończy, miasto nie zechce nawet dnia głodować z powodu Francuzów!

— Czekają pewnie na króla Konrada, żeby się poddać, bo on obiecuje im więcej miłosierdzia aniżeli bastard!

— Tylko nie mówcie tak, kiedy zejdziemy na ląd! — napomniał go Crean. — Każdy ma tutaj wszędzie swoich szpiegów!

— Nie posądzacie chyba neapolitańczyków o to, że kierują się legalizmem? —

wtrącił się kapitan. — U nich do serca trafia się przez żołądek, a kiedy pan Konrad mógł wreszcie zaznać radości ojcostwa, oblężeni oczekują go z wielkim utęsknieniem, natomiast jego brat przyrodni Manfred nie jest raczej zachwycony perspektywą spotkania.

— Ach, czyżby urodził mu się syn? Jakie będzie nosił imię? — zapytałem, bo jeszcze w Ostii dowiedziałem się o niezbyt mile widzianej przez Kościół ciąży Elżbiety Bawarskiej.

— Konrad, jak większość Staufów, o ile nie mają na imię Fryderyk — zadrwił Gawin.

— Dumny ojciec pragnie włożyć miasto do kołyski małemu Konradynowi!

— Niewiele będzie miał z niego radości — odrzekł Crean. — Nie ma drugiej takiej kapryśnej oblubienicy jak Partenope!*

— Śmierzące złodziejskie nasienie, banda asazyńskich morderców! —

złorzeczył Aragończyk. Gawin i Crean wymienili rozbawione spojrzenia, ale milczeli.

Zbliżyliśmy się do portu na położonej przed Neapolem wyspie Procidzie i rzuciliśmy kotwicę w zatoce.

—

Żeby ci oszuści, rabusie i drobne złodziejaszki nie wleźli nam tak łatwo na

pokład — uzasadnił swą ostrożność kapitan. Na ląd kazał nas przewieźć łodziami.

Najpierw Gawina i Creana, potem mnie i obu moich braci zakonnych. Wawrzyniec

pragnął od razu rozejrzeć się za możliwością dalszej podróży do Otranto. Bartłomiej W

ogóle nie chciał schodzić na ląd, musiał jednak opuścić pokład, bo „Nuestra Senora de

Cnieribus" miała być włączona do blokady morskiej. Byłem zaskoczony, że Gawin i

Crean na mnie czekają. Pewnie dlatego, iebym im się nie zgubił w porcie, co łatwo

mogło się zdarzyć w ludzkiej ciżbie. Bartłomiejowi polecono rozejrzeć się za statkiem,

który miałby nas zawieźć do Konstantynopola. Ja zaś ruszyłem powoli za preceptorem templariuszy i posłem z Alamutu, którzy bynajmniej nie zmierzali do cytadeli, tylko kierowali się ku potężnej wieży, co wznosiła się samotnie na skale na skraju wioski rybackiej. Budynek wydawał się niezamieszkały. Dziko rosnące maliny i gęste zarośla jeżyn tworzyły naturalny wał obronny, przetykany drzewkami figowymi. Owoce były jeszcze niedojrzałe. Gawin przecisnął się między dwoma drzewkami i skinął na nas, żebyśmy podążyli za nim. Staliśmy właśnie na samym skraju urwiska, spienione morze w dole uderzało z hukiem w skały. Pod nami spomiędzy kamieni, mocno wygięte, wyrastało śmiało jeszcze jedno drzewko. Niczym po drabinie Gawin zszedł po nim w głąb ryczącej otchłani, jego głowa zniknęła za krawędzią skały. Odważnie podążyłem za nim i wylądowałem o wysokość mężczyzny niżej na wpuszczonej w kamień platformie z dębowych bali. Kiedy i Crean poszedł w nasze ślady, stanęliśmy wszyscy trzej po tej samej stronie. Sekretne drzwi rozwarły się i weszliśmy w niski korytarz. Ciężka furta zamknęła się za nami z jęknięciem. —

To było kiedyś ostatnie wyjście —

zażartował Crean — skok do morza, które oznaczało ratunek. Teraz wygląda na to, że to jedyny dostęp do tajemnej wiedzy waszego zakonu.

Gawin nie był w nastroju do żartów. —

To nie jest zamek templariuszy, tylko dostęp do tajnych informacji. Kto jak kto, ale wy, Creanie, powinniście się na tym znać. Gdyby można je było otrzymać wygodnie, każdy miałby do nich dostęp. Na końcu korytarza wpadało z góry dzieńne światło; omszałe schody prowadziły na wewnętrzny dziedziniec zamku, który z zewnątrz sprawiał wrażenie ruiny. Również ten czworokątny

plac zalegały gruzy, kamienie, które wypadły z murów, i spróchniałe belki, a wszystko zarośnięte krzakami malin w pełnym rozkwicie. Tylko wciśnięty w jeden z rogów donżon* był jeszcze dobrze zachowany, a może już go odnowiono. Jedyne wejście do wieży znajdowało się wysoko ponad naszymi głowami. Te właśnie drzwi rozwarły się skrzypiąc i powoli spuszczone drabinę. Postać, która się potem ukazała, wydała mi się znajoma. Był to lekarz Jan, który pielęgnował Eliasza w Ostii, dopóki ten nie poczuł się na tyle silny, by wrócić do rodzinnej Cortony. Jan zszedł lekko po drabinie. Nie wdawał się w powitalne frazesy czy wstępy. - Nie mam dobrej wieści dla was... dla nas wszystkich — powiedział.

— Czyżby Eliasz wyzionął ducha? — wtrąciłem wścibsko, gdyż taka nowina by mnie zmartwiła. Jednakże Gawin skwitował moje kondolencje niecierpliwym machnięciem ręką i wysunął się przede mnie tak, żebym czuł się wykluczony.

— Dzieci — rzekł Jan — Rosz i Jeza wpadli w ręce Mongołów!

— Niemożliwe!—wyrwało się Creanowi. — Róża jest przecież nie do zdobycia!

— Są już w drodze do Karakorum.

— Jak? I nikt ich nie powstrzymał? — zdenerwował się zazwyczaj tak chłodny i rozważny Crean. — Zatem musiało coś się stać w Alamucie, imam nigdy by do tego nie dopuścił! — dodał niepewnie.

— W wieściach, jakie tu otrzymuję—odpowiedział niewzruszenie Jan z Procidy—nie chodzi o szczegóły ani tym bardziej o wewnętrzne sprawy izmailitów, lecz wyłącznie o fakty, które są ważne dla nas. —Tu zwrócił się do preceptora. I jakby musiał usprawiedliwić się przed najstarszym rangą, dorzucił: — Tę wiadomość otrzymałem wprawdzie wczoraj, ale wy minęliście już wtedy Ponzę. Zaczekałem więc, aż z Torre* Gaveta zaanonsowano mi, że przybyła „Nuestra Sefiora” naszego przyjaciela Ksakberta.

— Nie ma powodu, aby w to powątpiewać — zakomunikował Gawin swemu zupełnie przygnębionemu towarzyszowi. — Musimy stawić czoło nowej sytuacji. — Raptem położył mi rękę na plecach. — Williamie z Roebruku — rzekł uroczystym tonem — teraz ty musisz *realiter et in personom** udać się do siedziby wielkiego chana, i to jak najszybciej. Trzeba uwolnić Rosza i Jeżę z rąk Tatarów i zwrócić ich Zachodowi. Nagle troskacie się losem dzieci! pomyślałem. Tymczasem Przeorat zagrzebał je niczym jakieś zapasy w Alamucie i zostawił jak wiewiórka orzechy na zimę, nawet raz nie zapytawszy, czy młodym królom tam się podoba.

Crean uderzył w tę samą strunę.

— Cokolwiek zaszło — zaczął i wyprostował się — nie może być w interesie asasynów, a tym samym całego zachodniego świata, ażeby młodzi władcy, w których spoczywa nasza nadzieja na pojednanie i pokój, pozostawali u ludzi będących zagrożeniem dla nas wszystkich. Rosz i Jeza nie mogą stać się igraszką w rękach tych, którzy nie tolerują gry niezależnych sił, tylko pragną nas ujarzmić lub wytepić!

— Wielkie słowa — zauważył drwiąco Gawin — nie pomogą teraz tak samo jak lamenty. Alamut zawiódł, a Przeorat musi sobie zarzucić, że nie przewidział tego bądź temu nie zapobiegł. Jan z Procidy wydawał mi się jedynym człowiekiem wśród nas obdarzonym naturalnym talentem do działalności spiskowej. Cała ta awantura nie zrobiła na nim wrażenia.

— No cóż, dzieci nie wpadły przecież do studni, tylko żyją — stwierdził trzeźwo. — W dodatku, jak oceniam Mongołów, żyją otoczone wysokim szacunkiem, a przede wszystkim chronione przed wszelką krzywdą murem z ludzkich ciał.

Crean natomiast nie krył paniki. —

Nasz William musi je uwolnić z tego więzienia!

Jako misjonarz uzyska wprawdzie dostęp do nich — poddał pod rozwagę templariusz

— jakże jednak je uprowadzi i przywiedzie bez szwanku z powrotem przez tysiące mil ziem mongolskich, to musimy pozostawić jego geniuszowi!

Ach, patrzcie no, szydziłem w duchu, nagle gotowi są zgodzić się na każdy warunek flamandzkiego prostaka. 9' — Po pierwsze — oświadczyłem z wyższością — należy wyłączyć Barłomieja z Cremony, który nie tylko przeszkadza, ale mógłby nawet zagrozić powodzeniu przedsięwzięcia. — Pomiąłem, że Cremończyk podróżuje z morderczą misją, gdyż nie mogłem udowodnić niczego. Wystarczy mi, jeśli zostanie unieszkodliwiony. Wtedy lekarz jeszcze raz zabrał głos. — Towarzyszy wam przecież Wawrzyniec z Orty — powiedział. — Czy on nie mógłby zająć miejsca drugiego misjonarza? Dla Mongołów jeden franciszkanin jest równie dobry jak drugi. Nie znają przecież obydwóch!

— Przedni pomysł — orzekł Gawin. — Od Konstantynopola nie ma już znaczenia, kto dotrzymuje ci kompanii — zwrócił się do mnie templariusz. — Nie musisz martwić się tą wymianą. Crean i ja się tym zajmujemy.

— A Wawrzyniec? — ośmieliłem się zapytać. — Wawrzyńca z Orty wiąże przysięga. Oczekujemy od niego przynajmniej posłuszeństwa. Właściwie mogłem już dawno ubiegać się o członkostwo w tajnym stowarzyszeniu — zadrwiłem z kolei ja. — Wszak od lat korzystacie z moich służb.

— Jeśli wrócisz z tej misji i z tarczą, a przede wszystkim żywy—Gawin położył mi ręce na ramionach — ja będę tym, Williamie z Roebru, który zaproponuje twoje przyjęcie!

— Dziękuję — odpowiedziałem obojętnym tonem. — Po wtóre Wawrzyniec musi zostać natychmiast powiadomiony o swym nowym tajnym powołaniu, w przeciwnym razie co rychło zaokrętuje się do Otranto... — Nie potrafiłem i nie chciałem odmówić

sobie także tej dygresji, z której wyszedł docinek. Odnosił się on do templariusza.

Gawin zauważył moje niestosowne zachowanie i zmarszczył czoło, ja zaś ciągnąłem: —

...a my odejdziemy z niczym.

— Biorę to na siebie — potwierdził preceptor zgodnie z moim życzeniem. —Potrafię

też go odnaleźć, jeśli wyruszył już w drogę, a przed Konstantynopolem jego obecność

nie jest wszak konieczna. Gwarantuję, że zjawi się punktualnie jako „misjonarz

Bartłomiej z Cremony w misji króla francuskiego”.

— A jakie to ważne sprawy fatygują go do Otranto? — dociekał Crean.

— Zapewne odwiedzi tam tylko drogiego Hamona i jego nadobną niewiastę i zabawi

się z dziewczkami. Diabeł mnie podkusił, żeby uprzedzić odpowiedź Gawina.

— Kaze się ładnie podkarmić w kuchni i w piwnicy, a wniebowzięty uraczy młodą hrabinę opowieścią o jakże podniecającym, słodkim życiu nad Złotym Rogiem...

— Bzdury! — przerwał mi rozeźlony Gawin. — Nie martwcie się o Wawrzyńca! Nie

ręczę za minorytę dziwaka, ale za godnego zaufania człeka, który pojedzie z tobą,

Williamie, do wielkiego chana!

— Chodźmy więc! — zaproponował Jan z Procidy. — Chciałbym znaleźć się znowu

między ludźmi, a poza tym głód skręca mi kiszki!

Opuściliśmy wieżę tą samą mozolną drogą, którą przyszliśmy, po czym ruszyliśmy w

dół do portu. Podczas gdy Crean i lekarz dziarsko maszerowali przodem, Gawin został

w tyle i zrównał się ze mną.

— Jeśli chcesz mi pokazać, Williamie — warknął — że w Ostii podsłuchiwałeś, to ci

się udało. Od dawna wiem, dlaczego Bartek musi zostać wymieniony, i mogę tylko

zapewnić, że Wawrzyniec... - On mniej mnie martwi — rzekłem z tak dobrze udawanym

podnieceniem, że pewnie obawiał się, iż mogę podnieść głos — niż wasza osoba,

Gawinie! To wy podchwyciliście ten zupełnie szalony plan z Malcią, tchnęliście w niego

życie niczym *sirocco*, który gorącym oddechem nadyma żagle piratów i w złym zamiarze popycha ich okręty w kierunku Otranto.

— Jako dramaturg, Williamie, jesteś zbyt poetycki — poskromił mnie drwiąco. — A jako poeta zbyt dramatyczny! Jeśli chcesz kiedyś zostać członkiem Przeoratu, przyzwyczaj się do tego, żeby nie przeproszać. Każde, nawet najbardziej fałszywe działanie jest dziełem wszystkich. Jeśli nie da się go cofnąć, można je zneutralizować poprzez jakiś środek zaradczy.

— Jakaś ładna gierka kosztem niewinnie poszkodowanych!

— A kto tak naprawdę jest niewinny? — rzucił mi przez ramię templariusz i dołączył do Creana i Jana.

Na moło zastaliśmy zdenerwowanego Bartłomieja. Znalazł dla nas statek udający się do Konstantynopola, ale młody pan hrabia, który go wynajął, nie chciał długo czekać na dwóch minorytów, lecz wypłynąć w morze jeszcze tego samego dnia. - A kto zacz? — spytałem; jako jego towarzysz podróży miałem pełne prawo do ciekawości.

— Hrabia Hamo L'Estrange! — oznajmił z plotkarską dumą Bartek. — Zwrócił bastardowi Manfredowi swoje lenna Otranto i Maltę, a teraz, ulegając namowom żony, która powiła właśnie córkę, ma objąć dziedzictwo w Konstantynopolu. Małżonka podąży za nim z całym dobytkiem, gdy tylko on przygotuje tam kwaterę. Możemy nawet u niego mieszkać, w Konstantynopolu! — dodał zachwycony. — Oto widzicie! — zwrócił się tryumfująco do Gawina. — Ostatni poplecznicy sprawy Staufów opuszczają jak szczury tonący statek! Preceptor popatrzył tylko na mnie w zamyśleniu. Oszczędziłem mu swego uśmiechu, wszak pamiętałem jeszcze jego słowa wypowiedziane w Ostii, że z każdej myśli krystalizuje się plan, a z każdego planu czyn. — Gdzie jest Wawrzyniec z Orty? — zapytał w końcu templariusz. Wyjechał już do Otranto — westchnął

Cremonczyk — co za pech! libyśmy przecież wziąć go ze sobą i tam wysadzić na ląd, przed dalszą gą do Złotego Rogu hrabia pragnie się bowiem jeszcze pożegnać ą, którą kocha czule!

— Co za pech! — powtórzył Gawin, drwiąc z samego siebie, po czym wziął mnie na stronę. — Pośpiesz się teraz, żeby Hamo nie odpłynął bez ciebie. — Po raz trzeci położył mi łapy na ramionach i spojrzał w oczy. — Jesteś jeszcze młody i dorastasz wraz z zadaniami, jakie stawiamy przed tobą, Williamie. Ja natomiast staję się kruchy i pełen defektów jak stare żelazo, zbyt wiele ciosów musiałem przyjąć i sam zadać w służbie

Wielkiego Planu. Zapewniam cię jednak, że Wawrzyniec znajdzie się w porę u twojego boku! — Na zachętę dał mi lekkiego klapsa. — A teraz biegnij!

Bartłomiej już poganiał, więc obaj ruszyliśmy pędem. Zrozumiałem, że templariusz nie chce się zobaczyć z Hamonem, żywiłem jednak skrycie nadzieję, iż podąży zaraz za nami, aby ostrzec przyjaciela przed nasłanymi na trierę piratami. W przeciwnym razie ja to zrobię. Przepisnęliśmy się przez tłum gapiów, minęliśmy tragarzy, gorliwie wyładowujących towary tudzież sprzęt wojenny i składających to wszystko na nabrzeżu, i w końcu żołnierzy szukających swojej jednostki. Wtem stanął na naszej drodze mały oddział stróżów porządku — Niemców, którzy słabo mówili po włosku. Zwrócili ku nam ostrza halabard.

— *Ke spiate kwi tutto tschorno per naves?* Pewnie jesteście szpiegami, *spie deli'Anschou!**

— Nie — odpowiedziałem — jesteśmy posłami w misji od króla do wielkiego chana!

— A ja jestem sułtanem Babilonu! — zadrwił dowódca. — Jazda, zabrać ich do więzienia! Tam się przekonamy, czy stryczek na waszych wątłych szyjach utrzyma ciężar brzucha! To odnosiło się do mnie, gdyż Bartek był chudy. Ale i on skulił z przerażeniem głowę, kiedy najpierw jemu, a potem mnie związano ręce na plecach. Po

czym strażnicy, szturchając raz jednego, raz drugiego tępyimi końcami halabard,
popędzili nas na spotkanie mało wesołego przeznaczenia.

L. S.

* Ke spiate... — Czemu szpiegujecie tutaj statki przez cały dzień? Szpiedzy (Karola
z) Andegawenii?!

* Pax mongolica (łac.) — pokój mongolski; utrzymywanie pokoju w państwie
Mongolów na mocy praw nadanych przez Czyngis-chana.

* Uroczystość św. Augustyna — 28 maja; św. Augustyn, opat klasztoru
benedyktynów, był misjonarzem Anglosasów, zm. 604.

* W pełnej wersji łac: *similia similibus curantur* — podobne leczy się podobnym.

* A k k a (fr. Saint Jean d'Acre) — miasto portowe na północ od Hajfy. Od 1191 r. (Saladyn odbił
miasto w 1187 r.) do upadku w 1291 r. służyła Królestwu Jerozolimskiemu jako ostatnia twierdza
chrześcijańska.

* Unio... (łac.) — połączenie Królestwa Obojga Sycyli z cesarstwem niemieckim.

* Partenope — starożytna nazwa Neapolu (przyp. tłum.).

* Donżon — główna wieża (normańskiej) twierdzy lub zamku.

* Torre (hiszp.) — wieża, kasztel.

* Realiter et in personam (łac.) — rzeczywiście i osobiście.

LIBER II

I. KUPIEC Z SAMARKANDY*

Widziałem ich w Bucharze* — syknął mężczyzna o świdrowatyhochzach, stojący przed pulpitem do pisania w kantorze zamożnego Malufa, najpotężniejszego handlarza w Samarkandzie. Po kupcu z nie golonym od kilku dni zarostem nie widać było bogactwa, ubranie miał wytarte i poplamione tłuszczem. Zdziwienie mógł budzić tylko ciężki złoty sygnet na małym palcu prawej ręki. Maluf zmierzył wzrokiem człowieka z Bagdadu.

— Jeśliście pewni, Chajmanie, że królewska para podróżuje z Mongołami — pomyślał na głos — to trasa ich wędrówki do wielkiego chana musi prowadzić przez Samarkandę.

— To chciałem powiedzieć — ożywił się zagadnięty — poza tym jestem pewien, że mój pan, dawatdar Ajbak, nie zachowałby się inaczej. Nie chodzi więc o spontaniczną inspirację ze strony mej nieistotnej osoby, ale o wykonanie tajnego wyroku. I to jest dla was, Malufie, *amń**

— Powłócząc nogą, poczłapał do okna i spróbował przeniknąć wzrokiem ciemności. Na zewnątrz w dole, na dużym dziedzińcu karawanseraju, paliły się jeszcze ogniska, ale większość gości handlarza udała się już na spoczynek. Konie i muły, przywiązane do płotu, stały ciasno stłoczone, wielbłądy, poruszając żuchwami, leżały jeden przy drugim. Możliwe, że była jeszcze pora nocnej straży, aż do modlitwy porannej, *sałat al-fadžr*.

— Trzeba je będzie zabić następnej nocy, najlepiej we śnie — zastanawiał się na głos zaufany dawatdara, kanclerza na dworze kalifa. Maluf stał się bogaty dzięki przywilejom, jakie od niego otrzymał. Drżał o swoje *monopolium* i dlatego musiał być posłuszny. Powinno wyglądać na morderstwo dokonane rękoma asasynów - wtrącił kupiec.

— I będzie wyglądać — uspokoił go Chajman, jeśli swym złym spojrzeniem potrafił

rozsiewać spokój.

— Paru Mongołów mogłoby naturalnie uciec, choćby po to żeby wieść o tym niesłychanym zdarzeniu dotarła do Karakorum. — Malufowi zrobiło się nieswojo, gdy usłyszał własne słowa. Nie trzeba było nawet tych zwiastunów nieszczęścia. Mongolski gubernator prowincji na pewno złoży meldunek, lecz najpierw handlarz, w którego domu mogła się zdarzyć ta potworna zbrodnia, zostanie osądzony. Malufa przebiegł zimny dreszcz pomimo żarzącego się węgla drzewnego w naczyniu u jego stóp.

— Dawatdar przywiązuje wagę do tego—podsumował niewzruszenie Chajman — żeby pozyskać Mongołów do rozprawy z Alamutem i odwrócić ich żądzę podbojów od Bagdadu.

— Pojmuję — okazał zrozumienie Maluf. Cena była zdecydowanie za wysoka. — Przyjmijmy więc naszych gości z wszelkimi honorami i przyglądajmy się — mruknął dwuznacznie.

— Pozwólmy im wpaść w pułapkę! — Kuternoga był za jasnością.

Drogi Williamie, tu mówi Jeza.

Zatem, Wielki Wyzwoliciele, nawet przy pisaniu listów wykorzystuje się Twój talent do przebywania we właściwym czasie w niewłaściwym miejscu — i żeby tylko do tego! Jak zwykle chciałeś dobrze, ale Hasan, ten wąż, zatrul jabłko swoim jadem. Zostaliśmy wypędzeni z raju, ale nie przez anioła z ognistym mieczem, tylko przez cielaka o imieniu Churszah. Asasyni pokopali się nawzajem po piszczelach, a my, dzięki Twojej roztropnej pomocy, jesteśmy wolni, także moja kostka już nie boli. Służy mi teraz nowy rycerz, który zwie się Kito. Jego ojcem jest wielki mongolski generał, a obaj są chrześcijanami. Przede wszystkim przyprowadził Roszowi i mnie dwa wyborowe wierzchowce ze stadniny wielkiego chana, co jest dla mnie pociechą po stracie ogiera, którego wykradliśmy ze stajni imama, ale musieliśmy zostawić u stóp gór. Mongołowie

są świętymi jeźdźcami, wytrwałymi, a przy tym zawsze jeszcze usposobionymi do żartów, jakie wyprawiają na swoich — dosyć małych — konikach. Jadąc cwałem, wsiadają i zsiadają albo ukrywają się za końskim zadem, zwisając prawie do ziemi, dla ochrony przed strzałami, które wypuszczają z łuku również w pełnym biegu, i to bardzo celnie. Kiedy moja kostka pozwoliła na to, zaprezentowałam im, że potrafię stać na siodle na jednej nodze i nawet podczas ostrej jazdy strzelać i trafiać w cel. Ponieważ Ata al-Mulk Dżuwajni, wiecznie skwaszony dowódca eskorty, która odprowadza nas do wielkiego chana, widział, jak pewnie Rosz i ja obchodzimy się z mongolskim łukiem, zaraz po wkroczeniu na terytorium chanatu Złotej Ordy wystarano się dla nas obojga o taką broń. I teraz Rosz ćwiczy codziennie razem z Kitonem, który ma już dwadzieścia lat i zabił niejednego wroga. Mój królewski najmilszy nie chce mi się dać wyprzedzić w sztuce władania bronią.

Nawiasem mówiąc, słyszałam, że także mongolskim kobietom wolno walczyć jak mężczyznom, co bardzo mnie cieszy. Po opuszczeniu terenów asasynów, kiedy mogliśmy być pewni, że nikt już na nas nie napadnie, puściliśmy zresztą wolno Churszaha. Dżuwajni przekazał go powracającej z Chin karawanie, która miała go oddać w Róży jego ojcu za sowitą zapłatę. Kiedy Rosz, który zawsze miał słabość do Cielaka, zgłosił zastrzeżenie, że handlarze mogliby sprzedać przyszłego imama na najbliższym targu niewolników, *amin al-chisjan*—tak brzmi tytuł Dżuwajniego — roześmiał się hałaśliwie, co poza tym nigdy się nie zdarza, i odpowiedział:

— Nawet gdyby sprzedawali jego ciało po kawałku na wagę, nigdy nie dostaliby za tego cielaka tyle co od rzeźnika z Alamutu!

— A dlaczego nie zabierzecie go z sobą do wielkiego chana jako zakładnika? — wtrąciłam wtedy, przyznając, że dosyć złośliwie.

Szambelan popatrzył na mnie ze zdziwieniem.

— Po pierwsze dlatego, że dobrze was wymieniłem, a po wtóre również w wyborze zakładników winno się dawać dowód niepośledniego gustu. Mój pan, il-chan Hulagu, *hakim al-gharb*, * mógłby mi poczytać za złe taki niewyszukany dar.

— Po trzecie zaś — wtrącił się Kito — nie mam najmniejszej ochoty znosić tego płacznego tłściocha w moim towarzystwie przez pozostałą jeszcze część naszej długiej podróży!

— Rozumiem, co czujecie, Kitonie — powiedziałam — zwłaszcza żeście już wcześniej mu pokazali, jak się daje w kość tępemu zwierzęciu. — Wtedy spiekł raka, a ja roześmiałam się, bo słyszałam przypadkiem historię o dziewczynie z butami i od razu prawidłowo wywnioskowałam, że to Aziza, podczas gdy mój drogi Rosz nie pojął związku. I lepiej, może zmaćłoby to jego rodzącą się przyjaźń z Kitonem. Tak więc gdy Rosz nie słyszał, szepnęłam tylko: — Głupia koza zasłużyła na nauczkę! — W ten sposób pozostawiłam jednak otwartą kwestię, czy chcę podkreślić jego wyczyn w charakterze kozła czy swoją pogardę dla kozy.

Rosz czuje się zawsze zażenowany, kiedy nie zachowuję się obyczajnie. Już moje sztuczki na końskim grzbiecie uznał za niestosowne, zwłaszcza że pokazywałam przy tym obnażone nogi. Sztyletu nie wolno mi na razie w ogóle wyciągać, bo mogłoby to być wstrząsem dla mongolskich wojowników, którzy na pewno nie potrafią tak błyskawicznie i celnie rzucać nożem na dwa palce—to jest, trafiając między dwa palce! Strzeż się zatem, Williamie, kiedy zobaczymy się następnym razem i jako niepoprawny franciszkanin zechcesz mnie obmacywać! Mój tyłek wart jest już tego rodzaju przyjemności, tylko moim piersiom się nie śpieszy, ale za nic nie chciałabym mieć takich kozich wymion jak Aziza. Mają być małe i okrągłe na podobieństwo owoców granatu z dwoma czubkami jak orzechy laskowe. Zdradzam to tylko Tobie, mnichu, gdyż mój król

wolałby, żeby były miększe i „bardziej kobiece”, jak się wyraził. Zwie mnie Amazonką, bo w moim przypadku nikt by nie zauważył, gdyby jednej zupełnie brakowało —

najważniejsze, żebym mogła strzelać zatrutymi strzałami. Biedni mężczyźni!

Kito w dalszym ciągu tylko spoziera na mnie nieśmiało z boku, bo tak frywolnie

dałam do zrozumienia, że wiem o wszystkim, co rozegrało się na plecach Churszaha —

a także o pokłosiu, jakie zebrali „tajni bojownicy”, kiedy Kito opuścił dom Umara i wyjechał nam na spotkanie jako wybawca. O czym tak naprawdę myślą mężczyźni,

Williamie? Odpowiedz mi na to skromne pytanie, kiedy zobaczymy się znowu.

Zostawiliśmy za sobą pustynny step i zbliżamy się do gór Turkiestanu. A przed nami

Samar-kanda!

Ściskam Cię,

Twoja Jeza, O. C. M.

PS. To miasto jest niezrównane, kiedy się wystroi we wszystkie swoje barwy! Po

pierwsze jest światło, nie zmacone żadną mgiełką, bardziej przejrzyste, ale także

bardziej jaskrawe niż gdziekolwiek. A co dopiero mówić o pstrokatym bogactwie szat,

tkanin i kobierców! Spotykają się tutaj wszelkie towary przewożone z Indii i Chin na

Zachód, arabskie karawany z niewolnikami zwanymi „czarnym hebanem” mijają się tu z

karawanami kupców korzennych z dalekich wysp. Wymieniają się i targują, skapią i

sprzedają za tanio, przeceniają i rozdają jałmużnę. Wszyscy spotykają się wciąż na tym

największym bazarze świata. Jedni przychodzą, drudzy odchodzą, dzień i noc.

Stanęliśmy w domu kupca Malufa, co niezupełnie jest trafnym wyrażeniem, gdyż

człowiek ten po pierwsze jest handlarzem, pewnie jednym z najbogatszych w mieście, a

po wtóre jego dom — wraz z prowadzonym przezeń w przyległym budynku

karawanserajem — należałoby raczej określić mianem pałacu. Na dziedzińcu pali się co

najmniej dziesięć ognisk, nad którymi obracają się na roznach barany. W otaczających

podwórzec krużgankach odbywa się większy handel niż w całym Kairze czy Bagdadzie — albo w obu tych miastach razem wziętych! W przylegających do owych arkad salach może spać dziewięć razy po dziewięćdziesięciu podróżnych, w każdej śpi jednak ponad setka, bo ciągle są przepełnione. W kilku miejscach pluszcze woda w zbiornikach, przy których można się umyć, a potrzebę naturalną załatwia się w *marahidach*. Na zewnątrz leżą też i są karmione zwierzęta. Wielbłądy piją niesamowite ilości wody, ale za to dźwigają pięć razy więcej niż konie, a poza tym są znacznie potulniej sze, bo lubią siadać. To wszystko piszę tylko na wypadek, gdybyś potrzebował takich danych do swojej kroniki.

Ledwie przybyliśmy, a była już noc, mogliśmy zająć sobie łóżka w jednej z sal. Pan *amin al-chisjan*, czyli szambelan w służbie Hulagu, spotyka się tutaj z dużym respektem, także my, *al-malik wa-al-malika*,* nie jesteśmy dla tych ludzi anonimowi, słyszałam, z jaką czcią słudzy Malufa wymawiają szeptem nasze imiona. W każdym razie przyjęto nas bardzo gościnnie, na powitanie zaserwowano nam napój ze świeżo wyciśniętych owoców, a poza tym wydano poduszki i koce. Łóżka są drewniane, zawsze trzy jedno nad drugim, do najwyższego potrzebna jest drabina. Naturalnie ja je wzięłam. Podemną śpi Rosz, który czuwa nad moim cnotliwym snem, a pod nim odpowiedzialny za nas Kito. Ponad nami biegnie drewniana galeria, a pod dachem znajdują się pewnie spichrze na towary, także i w piwnicy pod nami trzyma się wino, oliwę i solone śledzie. Dzięki temu zapachy z dwustu zzutych butów po prostu rozchodzą się pośród woni szafranu i sztokfisa, zjełczałego masła i suszonego mięsa. Natychmiast poszłam do łóżka, dlatego urywam w tym miejscu.

Ta sama co wyżej.

L. S.

Muezin wezwał na *sałat az-zuhr** Dziedziniec karawanseraju Malufa wygrzewał się spokojnie w majowym słońcu, kiedy u handlarza kazał się zameldować kuternoga o

świdrującym spojrzeniu. Maluf uklonił się kilkakrotnie w kierunku Mekki na zacienionej werandzie swojego domu — był prawowiernym muzułmaninem — po czym zwinął dywanik. Poza czterema ścianami kantoru Maluf niechętnie mówił o interesach.

—
Kiedy przesyłka będzie już przygotowana, pomyślałem sobie, że wtedy może dobrze by było, gdyby Bagdad wysłał do Karakorum paru służących zajmujących się sprawą, żeby tam otrzymali zapłatę. Spodobało się to Chajmanowi, kiedy zrozumiał sens słów kupca, a jego oczy rozbłysły niczym ślepią węża, który odkrył właśnie całe gniazdo młodych ptaków. — Musimy zatem od samego początku zatrudnić panów służących w imieniu imama, żeby wiedzieli, dla kogo będą pracować. Naprawdę aż tylu wam zbywa?

Kupiec obronnym gestem uniósł dłonie. - Ale nie moich ludzi! To zemściłoby się przecież na mnie!

— Kupcie więc sobie ludzi na targus tragarzy, próżniaków i innych łachmytów, którym płaci się od godziny!

— To niemożliwe! Każdy mnie tutaj zna. Chętnie dam pieniądze na zapłatę dla nich, ale nająć musicie ich sami, Chajmanie! — Maluf uśmiechnął się, nie zważając na świdrujący wzrok tamtego. — Pamiętajcie też, żeby dokonać dobrego wyboru, gdyż praca, jaka jest do zrobienia, wymaga dużej wprawy. Mamy do czynienia z towarem, który nie da się ot tak wrzucić do sakwy paru prostakom.

— I na tym ma polegać wasza pomoc, Malufie? — Jedno oko Chajmana drgnęło, a jego spojrzenie przeszło z ukosa szyję rozmówcy. — Myślicie, że jak macie pieniądze, to możecie wszystko zepchnąć na innych?

— Podam wam nazwiska pewnych ludzi — wysapał kupiec — znam ich ceny.

Oddaję wam do dyspozycji swój dom, bezpośrednie sekretnie wejścia do magazynu naszych towarów; więcej nie mogę dla was zrobić. Ja mieszkam tutaj, w Samarkandzie, natomiast wy, Chajmanie, po zapakowaniu przesyłki odjedziecie.

— Przed zapakowaniem! — poprawił go człowiek z Bagdadu. — Wynajmę tych ludzi i zapadnę się pod ziemię!

— A wszystko zostanie na mojej głowie! — jęknął kupiec. — Musi wyglądać tak, jakby zamach był wymierzony także we mnie, w przeciwnym razie będę zgubiony!

— Z całą pewnością — zgodził się Chajman. — A teraz, Malufie, pokażcie mi pomieszczenia, nasi skrzydlaci przyjaciele wyfrunęli, żeby podziobać trochę na bazarze. Możemy więc w spokoju sprawdzić wszystkie dziury gołębnika, przez które nasze fretki wślizgną się dzisiaj w nocy. Dajcie mi też od razu pieniądze! — I nie oglądając się na gospodarza, człapiącym krokiem pierwszy ruszył do wyjścia.

Rosz do miłego Williama,

Samarkanda, w trzeciej dekadzie maja A. D. 1252

Przez całe popołudnie włóczyliśmy się po bazarze. Nawet nie wyobrażasz sobie, jaki jest ogromny, bo przed każdym z otaczających go karawanserajów powstały z czasem osobne place targowe. Nie jest też podzielony według kwater rzemieślników jak w Bagdadzie czy Akce, gdzie każdy cech ma własną uliczkę, tylko po prostu według rywalizujących między sobą kompanii handlowych, z których największa jest kompania naszego gospodarza Malufa. Dał on nam rzecz jasna przewodnika, który miał pewnie dbać, żebyśmy wszystko kupowali u niego, ale powiedziałem Kitonowi, że chcemy też obejrzeć pozostałe kramy, i dlatego razem z Jeżą poszliśmy w końcu osobno.

Ta samodzielność pociągnęła za sobą pewne niespodzianki — choć nie umiem rozstrzygnąć, czy to był przypadek czy los. Pierwszym osobnikiem, na którego

zwróciliśmy uwagę—i któremu najwidoczniej było nie w smak, żeśmy go rozpoznali —

był ów kuternoga o świdrowatych oczach, który w Bagdadzie po nieudanej audiencji u

kalifa odprowadził nas do śmierdzącej kwatery. Ten człowiek ma *al-ajm al-hasud*,* lepi się do niego jakieś zło — jeśli sam go nie knuje — niczym dzuma, którą podobno

roznoszą szczury. Próbował się schować i zresztą zaraz potem zniknął. Nic nie

wspomniałem o tym Kitonowi, ale wymieniłem z Jezą spojrzenie, które dowiodło mi, że i

ona go widziała i czuje to samo co ja. Wydaje mi się, że nazywa się Chajman lub jakoś

podobnie i jest człowiekiem grubego dawatdara. Spotkanie to nastąpiło na perskim

targu.

Potem weszliśmy na targ ormiański. Zatrzymała się tam akurat karawana z trybutem

od króla Hetuma. Transportowała przede wszystkim niewolnice przeznaczone dla

wielkiego chana i jego dworu. Trzymano je w klatkach. Strażnicy nikogo nie dopuszczali

zbyt blisko. Czerkieski o piersiach jak gruszki, silne w biodrach Gruzinki, Bułgarki o

szerokich zadkach, dwie jasnowłose Polki, a nawet była jedna ruda, piegowata i o białej

skórze z kraju Irlandczyków. Kobiet prawie nie widzieliśmy, słyszeliśmy tylko przymówki

ludzi, którzy tłoczyli się przed nami. Nagle Jeza wydała cichy okrzyk, trącając mnie

łokciem. - Szirat! Przysięgam ci, widziałam Szirat!

— Gadasz od rzeczy, jak żona Hamona, młoda hrabina Otranto, miałyby się znaleźć

w karawanie z niewolnicami?! Jednakże Jeza popchnęła mnie energicznie w środek

tlumu i pociągnęła dalej. —

To była Szirat, nie jestem przecież głupia ani ślepa!

Strażnicy zagrodzili nam drogę długimi kijami, a wskazana przez Jezę zakratowana

lektyka została ponownie podniesiona i zniknęła nam z oczu, które zdążyły jeszcze

objąć zasłoniętą postać: Jeza twierdziła z niezłomnym przekonaniem, że to jej dawna

przyjaciółka Szirat. Sądząc po sylwetce, można by tak przypuszczać. Do klatki

wtłoczono cztery kobiety, tylko ona stała. Zaciskała dłonie na prętach, jej twarzy nie mogliśmy widzieć. Nieprawdopodobne jednak, żeby to była Szirat, czy też tak uważasz, Williamie? Ale gdy znów będziesz się widział z Hamonem, zapytaj go łaskawie, jak się miewa jego żonka. W przeciwnym razie Jeza nie zazna spokoju!

Poszliśmy dalej na targ hinduski, z pewnością najbardziej barwny i podniecający, ale też najbrudniejszy!

—
Nikt nie potrafi robić tak pięknych sari czy surowego jedwabiu ani drukować

zwykłego perkalu—oświadczyła Jeza, która stroiła się w szarfy, szale i *sirwal*, * jakby sama chciała otworzyć bazar z tkaninami. Za nami sunęło już dwóch tragarzy, bo

wcześniej parę razy nie potrafiła się oprzeć: pierścienie na palce u nóg, naszyjniki,

bransolety, wachlarze, amulety, brosze, zapinki, grzebienie, flakoniki z olejkami i

wonnościami, puszcзки z delikatnie maskującym pudrem, tłustymi pastami z

czerwonych wszy do smarowania warg, a z pyłu węglowego do rzęs i brwi,

niebieskawosrebrne proszki do malowania cieni na powiekach — wystarczy Ci,

Williamie?

Mojej szlachetnej damie bynajmniej!

Ale oto w tłumie jakby spod ziemi wyrósł przed nami Umar. Prędko dałem mu znak,

żeby mnie nie zagadywał, bo przecież towarzyszył nam Mongoł Kito. Również Jeza, *al-*

Hamdu li-Allah, osłupiała tak dalece, że nie wydobyła z siebie nawet słowa, które zdradziłoby młodego asasyna. Umar przeszedł więc obok nas, zrozumiałem jednak, że

pragnie mi przekazać jakąś wiadomość. Popchnąłem lekko Jezę i Kitona w ramiona

następnego handlarza ozdobami i szepnąłem do niej: — Odwróć jego uwagę!

Jeza powiesiła sobie wisiorki na czole i uszach, a Kito miał wydać opinię o ich

uwodzicielskim oddziaływaniu. Ja w tym czasie cofnąłem się, zauważyłem bowiem, że

Umar stanął po drugiej stronie uliczki z kramami i ukradkiem wysłała mi sygnały ręką. W

Iskandarze zabawialiśmy się w ten sposób i nadal potrafiłem odczytywać wszystkie

znaki. „*Chijana*, zdrada —

literowałem — *antum wa-murafikun bi-chatar*, wy dwoje i

wasi towarzysze w niebezpieczeństwie, ...*al-lajla*, dziś w nocy, ...*harasa*, czuwać". Po czym Umar, nie obdarowawszy mnie ani Jezy nawet spojrzeniem, zniknął w tłumie.

Miałem wrażenie, że był zaskoczony spotkaniem z nami tak samo jak my i że wcale nas

nie szukał. Dlaczego w ogóle był jeszcze w Samarkandzie? Czternastu fedainów

wyruszyło przecież już w połowie marca, czyli przeszło dwa księżycy temu, żeby

uśmiercić wielkiego chana w Karakorum, a jak znałem prawo Róży, takich rozkazów

imama słuchano, każdy z nich gorliwie wykonując. Czyżby Umar ważył się wyłamać?

Jego ostrzeżenie należało potraktować z powagą, nie ulegało to dla mnie wątpliwości,

musiałem też wtajemniczyć Kitona, jakakolwiek inna decyzja byłaby wielką

lekkomyślnością.

— Kup sobie lepiej napierśnik — zwróciłem się zniecierpliwiony do Jezy — albo kolczugę!

Dziś w nocy chcą nas zamordować! — Kito popatrzył na mnie karcącym wzrokiem,

jakbym pozwolił sobie na brzydki żart. Dodałem więc: — Tylko proszę, niech ci nawet

nie zadrży powieka i nie rozglądaj się, bo jesteśmy obserwowani!

Kito natychmiast zamienił się w „tajnego bojownika", którym zresztą był, co poznałem po tym, że skoncentrował swoje siły, a wcale nie był spięty. Wciąż uśmiechał się do

Jezy, która wszystko słyszała, lecz jakby nigdy nic nadal w najlepsze przymierzała

bizuterię. Mądra dziewczyna! W zwięzłych słowach opowiedziałem o ostrzeżeniu

otrzymanym od *sadik al-lazi judahi bi-nafsihi min adżlina*, przyjaciela, który poszedłby za nas w ogień. —

Będzie dziś w nocy, żeby ochraniać Jeżę i mnie! —

zapewniłem, chociaż Umar nie obiecywał nic podobnego. Nie wiedziałem nawet — i

w pierwszej chwili było mi obojętne — kogo wyznaczono na skrytobójców, jak ma przebiegać podstępny zamach i z czyjego polecenia nastąpi, byłem wszakże niezłomnie przekonany, iż Umar będzie walczył

po naszej stronie. Jeza też tak myślała. Kito chciał natychmiast zawiadomić Dżuwajniego, lecz moja roztropna dama orzekła, że nie ma takiej potrzeby, szambelan narobiłby jedynie wielkiej wrzawy wokół morderczego zamachu; siepaczy nie należało zaś spłoszyć, tylko zgotować im takie powitanie, na jakie zasłużyli. — Będę patrzył w oczy naszym wrogom i rozpoznam każdego, zanim zetrę ich na miazgę! — Miotając pogrozki, dorzuciłem jeszcze: — Żeby dać im odprawę, której nie zapomną do końca życia, wystarczy sześciu „tajnych bojowników”.

Kito roześmiał się. - Chodzi ci o to, że poradzilibyśmy sobie nawet z największą przewagą liczebną? Zgadza się tylko wtedy, gdy przeciwnik wda się w walkę wręcz, jeden na jednego!

— Tego nie wiemy — rzekła Jeza — lepiej trzymajmy łuczników w pogotowiu.

Opuściliśmy bazar, a w ślad za nami podążyło trzech tragarzy z ogromnymi koszami.

Ci, co nas widzieli, myśleli pewnie: cóż za wesoła gromadka!

Pozdrawiam Cię, oczekując rozwoju wydarzeń. Opowiem Ci wszystko dla Twojej kroniki — chyba że dziś w nocy postradam swe młode życie. Wówczas zatroszcz się o wdowę po mnie. Sądząc po wyprawie ślubnej, jaką właśnie kupiła, jest teraz dobrą partią.

Twój Rosz

L. S.

Tawerna „Babuszka” w ruskiej części placu targowego była znana z surowych zwyczajów pijackich, bijatyk i bratania się wśród śpiewów i przy następnych mocnych

trunkach. Między innymi z tego powodu Umar i jego przyjaciele nie zatrzymywali się tutaj dłużej, uważając jedynie *chamarę** za twardą szkołę życia. Tu, w Samarkandzie, znajdowali się już na terytorium mongolskim i nauczyli się po nim poruszać jak ryby w wodzie. Dobrali się po dwóch i pracowali jako robotnicy najemni w innej dzielnicy. Stworzyli sobie nową tożsamość. Dopiero po pewnym czasie stopniowo Umar pozwolił im spotykać się z nim, żeby żaden szpieg nie wpadł na myśl, iż może chodzić o zwarty oddział. Przyprawdzali na te spotkania przyjaciół, nigdy nie wspominali o Alamucie, ba, nie mówili nawet po arabsku, przybrali nowe imiona i wydawali się bardzo mieszanym towarzystwem, przypadkową zbieraniną.

Umar był niekwestionowanym przywódcą, jednakże każda para fedainów miała prawo chadzać własnymi drogami. Wszyscy uznali za słuszny jego plan, żeby najpierw asymilować się w obcym otoczeniu, choć pewną rolę odgrywało także to, że każdy z młodzieńców, czując się bezpiecznie w grupie, był rad, iż nie musi jeszcze, zdany jedynie na siebie i swego towarzysza, stanąć oko w oko ze strażą przyboczną wielkiego chana w dalekim Karakorum.

Kiedy mieli coś do omówienia po kryjomu, to pili we dwóch, we trzech lub czterech, bili się i bratali, przy czym naturalną kolejną rzeczą rzucali się sobie na szyję i wówczas jeden drugiemu mógł przekazać wszystko, co było do powiedzenia, zanim wtrąciła się pochodząca z Moskwy gospodyni lub któraś z jej wielu córek. Zdarzało się to przede wszystkim podczas picia i obejmowania się, gdyż ożywiało interes. Tak samo postąpili również tego dnia i oto Umar, z podbitym okiem, zakrwawionym nosem i mokry od pocałunków, ujrzał następujący widok: jakiś dziwny człowiek, *aradž ma al-ajń al-hasud*,* podszedł do kilku z nich, starając się ich zwerbować do napadu na karawanseraj Malufa. Należało wyprawić na tamten świat paru niemiłych podróżnych, a przede wszystkim ukatrupić dobrze strzeżoną parę książęcą. Za to gotów był zapłacić każdemu wysoką kwotę.

Umar natychmiast uświadomił sobie, że chodzi o Rosza i Jeżę oraz ich mongolską eskortę. Ale wysłuchał najpierw dalszych opowieści, które pokrywały się z tym, co sam wiedział. Dziwne było to, że mężczyzna raz podawał się za asasyra z Masnatu* w Syrii, a raz sugerował, iż działa w imieniu imama z Alamutu, lecz w ogóle nie reagował na tajemne znaki rozpoznawcze bractwa. Albo więc nie był asasynem i w swej naiwności próbował ich zwerbować, bo asasyni i skrytobójcy tak dobrze pasują do siebie, a nie zdawał sobie sprawy, z kim ma do czynienia, albo był szpiegiem, który powziął pewne podejrzenia i usiłował ich rozruszać, by coś od nich wyciągnąć. W każdym razie musieli się mieć na baczności. Jednakże dziwny osobnik werbował także innych, i to bez wyjątku: rzeźmieszków, hołotę stroniącą od uczciwej pracy, znanych rozbójników i drobnych złodziejasków. Można było z tego wyciągnąć wniosek, że poważnie myśli o zamachu na czyjeś życie.

— A zatem — ozwał się Umar pośród ciągłych szturchnięć i kuksańców, objęć i pocałunków — decyzję muszę zostawić każdemu z was. Sam chętnie wypchałbym kabzę brzęczącą monetą, dlatego dziś wieczór na pewno mnie nie zabraknie.

— Mnie też, mnie też! — krzyczeli jeden przez drugiego prawie wszyscy jego towarzysze, co jak wiadomo, nie wiąże się z żadnym ryzykiem.

— W zasadzie to pomyślałem sobie — ciągnął zasapany Umar — cóż za piękna okazja, żeby raz tak naprawdę zmierzyć się z Mongołami. Przecież od nich można się tylko czegoś nauczyć, ale teraz przyłączam się, tyle że po drugiej stronie. Ja biję się za życie królewskiej pary! Bo nigdy, przenigdy nie uwierzę, że Róża postanowiła ich zgładzić. Walczę zatem ramię w ramię z Mongołami!

— Ja też, ja też! — jeśli znowu przekrzykiwać się kamraci. — Pomieszymy kulawemu szyki! Weźmiemy od niego pieniądze, które mają być zapłatą za przelaną krew, i rozplątamy czaszki jego ludziom! Umar był zmęczony i sprawiał wrażenie pijanego jak

bela, kiedy przy pożegnaniu zataczając się, ale niczym berserk, i trącając każdego ze swojej grupy, jeszcze raz przypomniał:

— Widzimy się dziś wieczór tam, gdzie kazał nam przyjść kuternoga, w „Kolosie z Rodos”, u Greka!

— To właściwe miejsce na takie spotkanie — szepnął Karim, który tutaj nazywał się Alosza. — U tego tłuszciocha szynkarza bywają tylko zabójcy i szubienicznicy, nożownicy i dusiciele, rzadko wymustrowany żołnierz, który dba choć trochę o swoją reputację.

— I bardzo dobrze — mruknął pod nosem Umar, kiedy jeden po drugim oddalili się chwiejnym krokiem, rycząc ze śmiechu i szpetnie przeklinając. — W ten sposób będziemy mogli już wcześniej przyjrzeć się przeciwnikom. — Otoczył ramieniem Karima, najmłodszego w grupie czternastu fedainów, którzy wyruszyli zabić chagana. — Dziś w nocy trzymaj się mego boku! Naszym zadaniem jest ochronić własnymi ciałami Rosza i Jeżę, a nie wsławić się splamieniem swoich sztyletów krwią wszystkich tych rzezimieszków. — Będę się miarkował — obiecał Karim z oczyma błyszczącymi żądzą ki. — Ale kuternoga mi nie ujdzie!

— Miej się na baczności, Alosza, *zu al-ajn al-hasud** — Podpierając nawzajem, wyszli z tawerny Babuszki.

Uwaga, bracie Franciszku, tu mówi Jeza, Twoja kronikarka!

Dziś w nocy się zacznie. Czuję dziwne ściskanie w żołądku, ale „wojna jest niebezpieczna”, tak ponoć mawiałam jako mała dziewczynka, pamiętasz? Wcześniej jesteśmy zaproszeni na wieczerzę do pana domu, słynnego samarkandzkiego kupca. A ponieważ lepiej dmuchać na zimne, Kito surowo przykazał swoim Mongołom nie tykać żadnych napojów, zwłaszcza wina. Wszak nie można wiedzieć, jak daleko przeniknął wróg, może stoi już w kuchni albo w piwnicy! Mają się zachowywać jak Tatarzy, a jeśli z

pragnienia nie będą mogli wytrzymać, powinni pić wodę z misy do obmywania rąk — ta nie będzie przecież zatruta. Obawiam się raczej proszków sprowadzających sen, po których spalibyśmy później we własnych łóżkach i byli naprawdę bezbronni. Nie wtajemniczyliśmy tylko Dżuwajniego, na którym bez jego wiedzy zamierzaliśmy eksperymentować. Jeśli szambelan, który nie uchodzi za opilcę, spadnie pod stół, to będzie znak, że ani chybi coś śmierdzi...

Udaliśmy się do stołu. Wieczera odbywała się w głównym budynku, pałacu pełnym kobierców położonych trzema warstwami jeden na drugim: Herat, Buchara, Taszkient — to dlatego chodziło się jak po chińskiej wacie, a gobeliny były z Gandawy. Z sufitu zwisały wieloramienne lampy ze szkła weneckiego. Srebra stołowe pochodziły z Londynu, serwety, którymi można było wycierać twarz i ręce, z Flandrii — jak Ty, mój drogi Williamie.

Gospodarz przyjął nas w owych pludrach, *bantalonfadfad*, które z tyłu zwisają tak, jakby człowiek miał już pełne gacie — i tak zresztą się czułam. Pan Maluf był okrągłutkim mężczyzną okazałej postury. Uśmiechał się bez przerwy, jakby chciał komuś natychmiast sprzedać dywan. Trzymając moją rękę w mięsistej dłoni, podprowadził mnie do niskiego stolika. Nazywał mnie *principessa*,* musiałam też usiąść obok niego na poduszkach. Moją flankę ochraniał Kito, gdyż Rosza posadzono naprzeciwko mnie, obok Dżuwajniego. Maluf klasnął w dłonie i zaczęto podawać do stołu.

Cóż mam Ci powiedzieć, Williamie, było wszystko, co trzymał w swoich magazynach, bez wielkiego wyrafinowania, ale obficie. Przystawki okazały się dziką mieszanką: drylowane oliwki z Palmiry, szpikowane migdałami znad Nilu, gotowane we wrzącej oliwie, obtaczane w prosie z Medyny; kuleczki ryżowe nadziewane jabłkami z Syrii i rodzynkami z Jerozolimy; kebaby z ciecioriki przyprawiane kolendra; maczane w żółtku

piersi kaczek i przepiórek — nie zapamiętałam, skąd pochodziły. Do tego było zwykzne białe wino z Peloponezu; nie spodziewałam się rozkoszy podniebienia, ale widząc, że Maluf wlewa je w siebie bez namysłu puchar za pucharem, dałam się namówić na jeden kubek. Wino pamiętałam jeszcze z Cypru, miało nijaki smak — niczym omdlałe stopy, w których człek stracił czucie — ale na pewno nie było w nim żadnego proszku na spanie.

Rosz popatrzył na mnie karcąco, więc powiedziałam:

—

Właściwie Graal nie pozwala nam, parze królewskiej, na picie napojów odurzających, pozwolę sobie wszakże na ten jeden wyjątek — uniosłam swoje naczynie. — Za waszą pomyślność, Malufie! Dzięki temu inicjatywa była po mojej stronie i łatwo mogłam z oburzeniem odrzucać następne wezwania do picia, zwłaszcza że za jakiś czas również Rosz, zwracając się do wszystkich Mongołów, zawołał: —

Pani pozwala nam na ten niepowtarzalny gest na cześć naszego gospodarza!

Wszyscy podnieśli się z miejsc, pociągnęli po łyku, uśmiechnęli się do Malufa i usiedli z powrotem niczym dzielni żołnierze, którzy nie piją przed bitwą. Tylko szambelan nie pojmował, co się dzieje z jego zawsze chętnymi do wypitki Tatarami. Omal nie przeprosił za nich gospodarza i na znak dobrej woli od razu podsunął swe opróżnione naczynie do ponownego napełnienia.

Głównym daniem były gołębie, gołębie podawane wedle receptur z różnych stron świata. Na słodko-kwaśno z Chin, marynowane w czerwonym winie i pieprzu z Tuluzy, pieczone w jałowcu i rozmarynie z Rumunii i pieczone, posypane cynamonem z Marrakeszu. Do tego serwowano czerwone wina z Gruzji i Trapezuntu, za które jednak podziękowaliśmy, odmawiając. Dżuwajni dotrzymywał kroku pijącym, jakby w ten sposób pragnął jedynie zrekompensować nasze niestosowne zachowanie, lecz miało to

tylko taki skutek, że prędko sobie podchmielił, co wcale nie leżało w jego naturze.

— Dlaczego — chichocząc zwrócił się do Malufa — wysłaliście już w dalszą drogę karawanę z trybutem od naszego przyjaciela, ormiańskiego króla Hetuma? Przecież oni chcieli tylko przyłączyć się do nas i razem udać się w niebezpieczną podróż do Karakorum?

— Mój skromny dom — uśmiechnął się kupiec — nie może równocześnie pomieścić dwóch delegacji. Wy jesteście bliżsi memu sercu, drogi Dżuwajni, aniżeli dostawa hurys do rajskiej jurty wielkiego chana! Odpowiedź ta, o dziwo, zadowoliła szambelana, który jednym haustem wychylił swój puchar.

— Niech Allah obdarzy go długim życiem, męską siłą i czasem, żeby się nimi nacieszył!

— Jak to możliwe — podchwyciłam od razu — że w przeciągającej karawanie wśród hurys ze wszystkich krajów dostrzegłam dziś żonę zaprzyjaźnionego księcia?

— Księżniczce się wydawało — wtrącił pośpiesznie Rosz, starając się złagodzić wrażenie, jakie zrobiło moje zuchwałe pytanie — że widziała wśród niewolnic dobrze nam znaną mamelużkę. - Ni mniej, ni więcej, tylko Szirat, siostrę Bajbarsa! — wypaliłam ze złością. — To prawda, jak prawdą jest, że byłam dziś na bazarze w Samarkandzie!

— Och — wysapał Maluf, a jego oczy zabłyśły. — Bajbarsa? Tego osławionego łuczника? Potajemnego władcy Kairu?

— Właśnie tego! — zawołałam. — A on niechętnie się dowie, że pozwoliliście na taką niegodziwość!

— Ja o tym nie wiedziałem, *principessol* — żalił się gospodarz. — Przysięgam, że nie wiedziałem! Przecież bym... — Pewnie uzmysłowił sobie, że w obecności szambelana raczej nie może powiedzieć, do czego byłby gotów, aby osiąść ten skarb.

Bez wątpienia zastanawiał się, czy nie pchnąć natychmiast za karawanę konnych posłańców, a tymczasem ja czyniłam sobie wyrzuty, że zdradziłam tożsamość Szirat, jeśli to rzeczywiście była ona. Teraz bowiem dowiedzą się o tym również inni i biednemu Hamonowi coraz trudniej będzie odzyskać swoją małą żonkę. Od razu powinnam była postarać się, żeby karawanę zatrzymano i skontrolowano, powinnam była uwolnić Szirat siłą albo ją wykupić. Spóźnione żale. Nawet potężny Maluf nie mógł już nic uczynić. Karawana od dawna posuwała się mongolskim traktem wojskowym, a tam obowiązywało żelazne prawo *pax mongolica*. Tu, w Samarkandzie, panowały zwyczaje rejonów przygranicznych — prawo pięści i żadnych zasad moralnych! Biedna Szirat!

Następnie uprzątnięto kostki ptaszków — gołąbków zapiekanych w cieście, w sosie migdałowym, nadziewanych orzechami i pistacjami lub farszem z podrobów i jaj — wszystkie kosteczki, jakie pozostały. Maluf zaś, który też już podpił sobie tego, zaczął podkpiwać z Kitona.

— Gościłem przy swoim stole wielu posłańców wielkiego chana, ale nie było tu jeszcze Mongoła, który wzgardziłby moimi winami. Może wolicie miód, kumys* albo...?

— Dziękuję — odparł Kito. — Nigdy dotąd nie dane wam było gościć takiej pary królewskiej jak ta. Bądźcie szczęśliwi, żeście dostąpili tego zaszczytu, a nie utyskujcie!

Skarcony w ten sposób gospodarz znów klasnął w tłuste dłonie i podano słodyczne,

aszbisa, kawałeczki mięsa w galaretkę owocowej z granatów, moreli i cytryn, do tego ciasteczka z prosa pieczone w owczym łoju oraz *hajs*, kuleczki z daktyli i orzechów włoskich oproszone mialkim cukrem, serwowane z *labanem*, wyśmienitym kwaśnym

mlekiem z Persji. Potem Dżuwajni osunął się powoli pod stół, czego pewnie nie

należało tłumaczyć żadnym proszkiem sprowadzającym sen, tylko kompletnym

upojeniem, nam zaś — mrugnęłam do Kitona — posłużyło to za pretekst do

podziękowania za gościnność. Zanim się pożegnaliśmy, zapewniliśmy Malufa, że chętnie pilibyśmy z nim przez całą noc, wszelako na przeszkodzie stoją nam Graal oraz wczesna pora, o której musimy nazajutrz wyruszyć w drogę! Maluf z uśmiechem pocałował mnie w rękę.

Słodkich snów, *principesso* — powiedział tak, jakby nawet one były w ofercie jego domu. W odpowiedzi uśmiechnęłam się również, wzięłam Rosza pod ramię, Kito natomiast podtrzymał Dżuwajniego i tak wycofaliśmy się do swojej kwatery.

Dobranoc, Williamie. Ty możesz teraz spokojnie spać, my zaś musimy czuwać!

Twoja Jeza, O. C. M.

PS. Czuwaj razem z nami i ochraniaj przede wszystkim mojego Rosza.

Rosz do Williama,

Samarkanda, w trzeciej dekadzie maja A. D. 1252

Drogi Williamie, z koców, poduszek i sznurów uformowaliśmy kukły wielkości mojej i Jezy, ubraliśmy je w nasz przyodziewek i nakryli tak, jakbyśmy to my spali. Sami natomiast — upierał się przy tym Kito — musieliśmy wpełznąć pod najniższą pryczę, ukryć się tam i czekać, gdyż nieznany wróg ani myślał od razu rzucić się na nas.

Wszyscy Mongołowie legli na swoich miejscach udając, że śpią twardym snem, ale pod derkami trzymali broń w pogotowiu. Łucznicy zajęli pozycje nie na samej górze, gdzie łatwo by ich zobaczono, tylko poniżej, na środkowym poziomie. Sypialnia była podzielona na trzy części. Ponieważ oprócz nas nikt tam nie nocował, ulokowaliśmy się w jednym z kątów. Na rozkaz Kitona Mongołowie ułożyli się wokół nas pierścieniem, na zewnątrz łucznicy, wewnątrz „tajni bojownicy”. Przygotowano też cebry z wodą i mokre chusty, bo nikt nie wiedział, czy perfidni przeciwnicy nie posuną się do tego, by podstępnie zaatakować nas ogniem i spalić wszystkich we śnie. Na tę ewentualność

przewidziano, że zanim Jeza i ja będziemy mogli opuścić swój niedoszły grobowiec, ci, co pójdą w pierwszej linii, oswobodzą dostęp do drzwi. Ale jak wspomniałem, z początku w ogóle nic się nie działo. Leżałem więc ciasno przytulony do Jezy, co już dawno się nie zdarzyło, i muszę Ci wyznać, Williamie, że nadal podnieca mnie ona bardziej niż jakakolwiek inna kobieta. Mój członek prędeż był sztywny, niż jej ręka znalazła się w moich portkach. Chwytając go i obejmując w posiadanie, szepnęła: — Jeśli kiedykolwiek wyciągniesz tę ukrytą broń dla jakiejś innej damy, to ci ją odgryzę!

I na potwierdzenie tej dzikiej groźby ugryzła mnie w szyję. Byłem pewien — choć wszystko rozgrywało się wszak po ciemku — że krwawiłem, gdyż szorstkim językiem lizła mi potem ranę z takim oddaniem, iż zapragnąłem, żebyśmy leżeli połączeni niczym w znaku Raka, co naturalnie było niemożliwe, gdyż Mongołowie ułożyli nas obyczajnie głowa przy głowie. Nie było nawet co myśleć o obróceniu się, gdyż od góry gniótl nas worek słomy, na którym posapywał Kito. Pozostały więc nam tylko spokojne, miarowe ruchy, którymi Jeza — a była w tym mistrzynią — przesuwiała stuloną dłoń po moim członku niczym po drążku Zewa Ibrahima. Ale tym razem postępowała spontaniczniej niż zazwyczaj, była bardziej podniecona i całowała mnie w usta tak jak nigdy dotąd. Jej język wnikał we mnie, jakby chciała mi pokazać, czego ode mnie oczekuje, wsunąłem więc dłoń między jej uda, czego mi zawsze wzbraniała kipiąc ze złości, i stwierdziłem, że jej ogródek jest zupełnie wilgotny. Nie broniła się, przeciwnie, wciągała mnie w głąb furtki — o Williamie, to był raj! Byliśmy w całkowitej harmonii, tyle że z coraz większą niepowściągliwością i dzikością. Niewielki ułamek tego miłosnego żaru zawdzięczałem lekcjom Madulajn, nigdy Ci nie mówiłem, ale wprowadziła mnie ona wtajniki podniecania myszki, i teraz mogłem skorzystać z tej umiejętności, darząc pieścizotami Jezę, z lekką obawą, czy robię to dobrze. Ale sprawiało jej to tyle

przyjemności, że gryzła mnie z rozkoszy. Po mistrzowsku doprowadziłem do

eksplozowania w niej „ogni greckich”, kiedy również moja pałka w jej dłoni poczęła pluć gorącą lawą niczym Wezuwiusz pod Neapolem, o którym nam opowiadałeś. A potem

stało się z nami to co z ludźmi w Pompejach: zostali przykryci gorącym popiołem, ich ruchy zamierały wśród żaru, słabły i wątały, ja zaś całowałem Jeżę w powieki, w nozdrza, a w końcu znalazłem spokój na jej miękkich wargach.

Ach, Williamie, dlaczego tak bardzo ją kocham? Chciałbym umrzeć ze szczęścia, jakim jest trzymanie jej w ramionach — umarłbym, gdyby ktoś mi ją odebrał. Jeza i ja musimy wreszcie przespać się ze sobą jak mężczyzna i kobieta, ona tego chce i ja tego chcę. Ale powinny to być wtedy jakby nasze zaślubiny, a nie spełnienie pod workiem słomy po ciemku dla naszego bezpieczeństwa, kiedy obecność Kitona jest wyczuwalna w postaci uciskającego ciężaru i otaczają nas wrogowie pragnący naszej zguby. Powiedz mi jednak, przyjacielu: czy zaślubiny bez skrepowania i niewygód, pełne czułości i ufności, zrozumienia i znajomości małżonka mogą być przynajmniej gwarancją tego, że miłość będzie trwać wiecznie? Nie potrafiłbym znieść udręki miłosnej. Miłość wzbudza lęk, znasz to, Williamie? Poradź mi, co mam uczynić! Siedzę nad brzegiem rzeki, macham nogami, ale tak, że stopy tylko pluskają się w wodzie, mimo iż umiem pływać, bo obawiam się nieznanego prądu, który mógłby mnie porwać i roztrzaskać na progach wodnych albo utopić w głębinach. Jeśli nie wskoczę, wszystko to będzie mi oszczędzone, lecz nigdy się nie dowiem, co znaczy być niesionym przez fale. Lęk, owo uczucie, którego nie znam, ściska mnie za gardło. Wrogów się nie lękałem. Pewnie było już grubo po północy. Jeza spała niczym zwierzątko na moim zgiętym ramieniu. Kocham ją, kocham, kocham.

— Roszu? — ozwał się cicho z góry Kito. — Myślisz, że jeszcze przyjdą?

— Mój przyjaciel nie ostrzegłby mnie — szepnąłem w odpowiedzi — gdyby...

W tym momencie w belkowaniu nad naszymi głowami rozległ się trzask i na tle rozgwieżdżonego nocnego nieba, które pojawiło się w wysokich oknach, ujrzałem zarysy wysuwanej w górę drabiny, a równocześnie po drugiej stronie sali, tam gdzie pod mniejszymi łukami, a więc ponad dachem arkad, przebiegała empora, wskoczyły do środka jakieś niewyraźne postacie i wspięły się na balustradę.

— Ukryjcie się! — syknął Kito.

Wciągnąłem głowę w ramiona, ale nie na tyle, by nie słyszeć świstu pierwszych strzał i brzęczenia cięciw po wypuszczeniu pocisku. Stłumiony okrzyk, i jedno z ciał runęło w dół, a potem uderzyło gdzieś głucho. Ale napastnicy wdzierali się już też po murkach pod wysokimi oknami, usłyszałem też ich kroki u góry, na galerii. Mongołowie strzelali w milczeniu, także tamci bynajmniej nie wydawali dzikich okrzyków bitewnych. Było ich znacznie więcej, niż sobie wyobrażałem. W niektórych miejscach szalała już zażarta walka wręcz. Następna fala nawet nie próbowała zaskoczyć nas zniecka.

Żeby rozróżniać przyjaciół i wrogów, napastnicy byli uzbrojeni w pochodnie, dlatego zresztą stanowili łatwy cel dla łuczników, a gdy któryś został trafiony jeszcze u góry na balustradzie, pochodnie syjąc iskry spadały na ziemię. Światło ujawniło też jednak, że jesteśmy w zastraszającej mniejszości, liczbę napastników szacowałem bowiem na co najmniej sześćdziesięciu, siedemdziesięciu. Wszędzie płonęły ich mordercze światła, zbliżając się coraz bardziej.

Jeza już dawno ocknęła się ze snu, czułem na twarzy jej oddech. Kito nade mną bił się niczym berserk, nie dał się jednak wywabić ze swojego miejsca. Przy nim był uzbrojony w łuk Dżuwajni, choć nie sądziłem, że będzie do tego zdolny, i mierząc dokładnie, kładł trupem każdego napastnika z pochodnią, jaki zbliżał się do nas. Ci napierali jednak z coraz większą zaciekłością, a nasza liczebność wciąż malała.

Jeza trąciła mnie w bok, dając mi znak, bym podążył za jej wzrokiem. Przed nami

rozwarł się włącz w podłodze — i w migotliwym świetle smolnego łuczywa ujrzeliśmy wielką jak dynia, obrzydliwie wytatuowaną głowę łysego Azjaty, który przeciskał się przez ów otwór: tłusty, nagi olbrzym, który trzymał w łapach niemal śmiesznie małą jak na jego posturę maczugę nabijaną żelazem. Za nim pojawił się osobnik o zoranej bliznami twarzy, bardzo chudy, z siekierą, która w świetle pochodni rozblęła równie złośliwie jak jego płonące oczy. Ale i on nas nie odkrył, choć leżeliśmy na tej samej wysokości. Trzeci był jednooki Murzyn. Lśniły jego namaszczone oliwą mięśnie. Ten trzymał w ręku groźne narzędzie, a mianowicie sierp, i właśnie on wypatrzył nas swym jedynym okiem. Szczęząc zęby w uśmiechu, kuksnął swoich towarzyszy. Tych trzech działało bez pośpiechu. Pewnie mieli za zadanie zająć się wyłącznie nami — albo chcieli zasłużyć sobie na specjalną nagrodę za nasze głowy. Czołgając się tyłem na brzuchu, Jeza i ja wycofaliśmy się ze swojej jaskini, gdyż tam od razu rozbiliby nam czaszki albo z rozkoszą obcięli głowy sierpem lub odrąbali siekierą. Zbliżali się, łypiąc na nas złowieszczą. Wsunęliśmy łóżko między siebie a nich i podnieśliśmy się z podłogi. Kito widział, jak nadchodzą, Dzuwajni nie — uderzenie olbrzyma musnęło tylko tył jego głowy, a to wyłącznie dlatego, że na drodze jego maczugi pojawiła się nagle w powietrzu czyjaś noga. Kiedy podniosłem wzrok, przeraziłem się okrutnie, gdyż spod belkowania sali spuszczały się na linach prosto na nas jakieś postacie. Również one trzymały pochodnie. Rozpoznałem wśród nich Umara.

Murzyn skoczył na Kitona i przyciskał mu do szyi śmiercionośny sierp. Umar wypuścił koniec liny i padając usiłował zadać cios sztyletem w jego oko. Obaj runęli na ziemię, ale Murzyn już tam pozostał, kiedy podniósł się mój pomocny przyjaciel. Zaśmiał się do mnie zachęcająco. — Za tobą, Umarze! — ostrzegłem go, gdyż widziałem nadciągające niebezpieczeństwo.

Maczuga olbrzyma trafiła Umara w ramię z taką siłą, że wydawało mi się, iż słyszę

trzask pękających kości. Przyjaciel zwał się bez zmysłów na ziemię, padając tułowiem na łóżko, i dzięki temu znalazł się poza zasięgiem łysielca. Moja troskliwa towarzyska chciała mu pomóc, ale chudzielec już podniósł siekiere, godząc w Jeżę i we mnie.

Oboje odskoczyliśmy na pryczę Kitona i żelazne ostrze roztrzaskało tylko drewniany słupek. Kito kopnął w przyrodzenie napastnika, który aż jęknął z bólu. Olbrzym jednym szarpnięciem wyciągnął strzałę z wytatuowanego ramienia i przygniótł swym ciężarem Kitona tylko dlatego, że potknął się o Umara, gdyż właściwie pragnął zatłuc

Dżuwajniego. Jego nieprzyjemna, mokra od potu głowa dotknęła mojej nogi. Czułem jego oddech i próbowałem go kopnąć, ale Jeza mnie odciągnęła. Łysielec był tak blisko, że gdyby kłapnął zębami, mógłby nas dosięgnąć, ale zastanowił się i wykorzystując swoją ogromną siłę, podniósł w górę stelaż pryczy, w którym bardziej się ukryliśmy, niż oszańcowali. Niczym bezradne żuczki przesunęliśmy się na drugi koniec, co momentalnie zauważył chudzielec, tyle że nie mógł już chodzić zbyt szybko, bo Dżuwajni postrzelił go w udo. Niebezpieczeństwo groziło nam natomiast ze strony olbrzyma, który nie zamierzał pozwolić nam uciec.

Wtedy zjechał na linie kolejny młody asasyn, nazywał się Karim, to pamiętam.

Pragnął przyjść nam z pomocą, lecz strzała ugodziła go między łopatki i konając spadł olbrzymowi na kark, który tak był zaskoczony, że maczuga wypadła mu z ręki. Zwalisty siłacz zatoczył się i w ten sposób przeszkodził swemu chudemu kompanowi z siekiere, który znów zamierzył się nią na nas i znów poleciały tylko drzazgi ze słupka. Umar pozbierał się z trudem i od razu dostał cios gołą pięścią w twarz, ale mnie udało się w tym czasie pochwycić maczugę. Kiedy olbrzym rzucił się na Jeżę, trafiłem go w skroń. Padł głową w przód na łóżko, prosto na sztylet Jezy.

Dżuwajni strzelił człowiekowi z blizną w brzuch z najmniejszej odległości, a Kito,

niczym szaleniec, obciął mu głowę, podobnie postąpił z olbrzymem, ledwie Jeza wyciągnęła sztylet z jego szyi. Ostatni napastnicy porzucili pochodnie i uciekali przez emporę, przez okna i przez włazy, czyli tak, jak dostali się do środka. Niektórzy próbowali wymknąć się drzwiami, lecz wtedy okazało się, że są zaryglowane od zewnątrz. Wycięto ich w pień.

Mongołowie policzyli swoje straty. Nie były tak wielkie, jak przypuszczałem, ale z fedainów, którzy nas uratowali, żaden nie ostał się przy życiu. Chyba że woleli zniknąć równie niepostrzeżenie, jak zjawili się z pomocą. Umar uklęknął przy młodym Karimie, który leżał bez ducha. Strzała utkwiała w jego sercu. - To mój przyjaciel Umar — powiedziałem do Kitona. — Pragnę, żeby był także twoim i żeby od tej pory pozostał przy nas jako strażnik czuwający nad naszym życiem.

— To jesteśmy mu chyba winni — rzekł Kito, zwracając się do Dżuwajniego, a ten skinął głową, już choćby dlatego że to z jego łuku pochodziła strzała, która zabiła młodego przyjaciela nieoczekiwanego pomocnika.

— Ten atak — Dżuwajni zmarszczył brwi — został przeprowadzony nie tylko z dokładną znajomością miejsca, ale także z aprobatą, jeśli nie poparciem naszego gospodarza. Przywieźcie go tutaj, Kitonie!

Mongołowie złożyli swoich poległych na łóżkach i zajęli się rannymi. Nie ozwał się nawet jęk skargi. Z zaciśniętymi zębami opatrywali sobie wzajem rany, znosząc ból tak samo obojętnie jak wcześniej walkę. Potem pomogli Umarowi odszukać przyjaciół wśród rozsianych wokół zwłok napastników. Fedainów było siedmiu, wszyscy nieżywi. Złożono ich na łóżkach tak samo jak poległych Mongołów. Następnie zwycięzcy obeszlą salę i wyciągnęli spod łóżek wszystkich pozostałych wrogów, którzy często skamleli i rżęzili. Obcięli im głowy, a następnie zatknęli na słupkach.

W wyważonych drzwiach pojawił się Kito, który przywlókł wrzeszczącego wniebogłosy Malufa w nocnej szacie. Ów zaczął się trząść jak osika, kiedy ujrzał widok, jaki ukazał się jego oczom. Pochodnia umieszczona w głowach każdego łóżka oświetlała oplakiwanego przez nas poległego — oraz, na słupkach, trzy lub cztery czerepy morderców, które spozierały oskarżycielsko na kupca. Dżuwajni nie odezwał się słowem. Zrazu zamierzał pewnie uśmiercić Malufa na miejscu w jakiś okrutny sposób, lecz potem opanował się i schował wyciągnięty już miecz. — Kto podniósł rękę na poselstwo wielkiego chana — przemówił zduszonym głosem — ten ma ją zanieść do Karakorum na własnym ciele. Tam otrzyma karę, na jaką zasługuje. Malufa związano i zawinięto w derki tak, iż w końcu wystawała z nich tylko głowa. Następnie wepchnięto go do przyniesionej lektyki i wyruszyliśmy w drogę. Świtał już ranek. Na podwórzec wylegli wszyscy goście i słudzy wielkiego kupca z Samarkandy, dawno pobudzeni, nikt wszakże nie ośmielił się zagrozić nam drogi. Kiedy ostatni z nas opuścił sypialnię, Kito przeszedł między rzędami prycz i obciął końce płonących pochodni, od których natychmiast zajęły się sienniki.

Jeza i ja jechaliśmy w środku kolumny, której przewodził z nieprzeniknioną miną Dżuwajni. Przy boku mieliśmy Umara, przed nami kołysała się lektyka z Malufem. Gdy dotarliśmy do bramy miejskiej, strażnicy spytali z zatroskaniem — Wszystko w porządku, Malufie?

Na co grubas pokiwał tylko spoconą głową, która przypominała wyglądającą z kokonu larwę, bo w gębę wsadzono mu sporą cebulę i ciągnięto go za związane sznurkiem włosy. Za nami płomienie buchały z okien karawanseraju, spowitego grubą chmurą dymu. *Allah jaghfur anfusahum, li-as-salihin wa-al-malihin*, niech Bóg zlituje się nad ich duszami, zarówno dobrymi, jak złymi! I tak opuściliśmy Samarkandę.

* S a m a r k a n d a — jedno z najstarszych miast Azji Środkowej, wzmiankowane po raz pierwszy 329 r. przed Chr.

* Bucharą — historyczna stolica Uzbekistanu.

* Amr (arab.) — rozkaz.

* Hakim a l - gh a rb (arab.) — władca Zachodu.

* Al-malik... (arab.) — para królewska.

* Sa ła t az-zuhr (arab.) — modlitwa odmawiana w południe.

* Al-ajn al-hasud (arab.) — złe spojrzenie.

Sirwal (arab.) — szerokie spodnie.

* Chamara (arab.) — tawerna.

* Aradž... (arab.) — kuternoga o złym spojrzeniu.

* Masnat — główna twierdza syryjskich asasynów między Trypolisem a Antiochią w Górach Nusajryckich.

* Z u al-ajn... (arab.) — on ma złe spojrzenie!

* Principessą (wł.) — księżniczka.

* Kumys — mongolski napój narodowy; sfermentowane mleko kłaczy, w Azji Przedniej z mleka wielbłądzicy (*jponys*), często zmieszanego z krwią, napój nadzwyczaj pożywny i odurzający.

II. ŻEBRACY W PAŁACU

Z *Kroniki* Williama z Roebroku Konstantynopol, w uroczystość św.

Józefa* A. D. 1253 Minęło siedem miesięcy i trzynaście dni, nie licząc nocy, odkąd znowu rozwarły się przed nami bramy więzienia. Tymczasem przybył z Niemiec król

Konrad i odbił Neapol, a wtedy Karol z Andegawenii — ku ubolewaniu papieża —

prędko zrezygnował z lenna w postaci Królestwa Obojga Sycylii. W Cortonie wyzionął

ducha stary Eliasz. Wcześniej zdążył się pojednać z Kościołem. Bartłomieja widziałem dopiero teraz ostatnio. Umieszczono nas — Bogu dzięki! — w osobnych celach. Równie arbitralnie, jak wtrącono nas, beztrosko naiwnych Szwabów, do karceru na Procidzie, pewnego dnia wypuszczono nas z powrotem na wolne powietrze.

— Amnestia z okazji urodzin Konrada, następcy tronu Hohenstau-fów! — zawołał ktoś do nas i wypędzono nas z twierdzy. Pamiętam, że było to 25 marca. Bartka też nie przesłuchiowano, nie zapytano go nawet o nazwisko. Tym sposobem oprócz mojej mącielskiej, acz koniec końców nieszkodliwej osoby umknął im także okryty złą sławą Bartłomiej z Cremony, który z pewnością miał na rękach również krew, skrzeplą już krew wrogów Kościoła należących do zwolenników Staufów.

Ponieważ obu nas palił wstyd, że prawie przez rok nie wypełnialiśmy królewskiego polecenia, postąpiliśmy tak, jakby się nic nie stało, i skorzystaliśmy z pierwszej sposobności podróży na Wschód. W Mesynie i na Krecie musieliśmy sobie poszukać innych statków, zanim dotarliśmy w końcu dość obszarpani do Konstantynopola.

Właściwie dokładnie tak jak dwaj biedni bracia Franciszka, czyli w roli, w której obaj od dawna nie czuliśmy się już dobrze i która niezbyt była nam w smak. Nie przyszło więc

nam do głowy, żeby zebrać na ulicy, tylko udaliśmy się prosto do pałacu Kallistosa,

gdzie czekało nas książęce, ba, biskupie życie. Pamiętałem jeszcze dobrze drogę do pałacu, toteż kiedy nią szliśmy, dałem Bartkowi do zrozumienia, jak winien się tam

zaprezentować i zachowywać człowiek światowy. Opowiadałem mu z zapalem o wy-

szukanym luksusie rezydencji biskupiej, o służbie, a przede wszystkim o suto

zastawionym stole, gdyż od wielu dni nie dostawaliśmy nic prócz spleśniałego chleba i cuchnącej wody.

W końcu stanęliśmy przed kutą z żelaza bramą, lecz nikt się nie pojawił, żeby nas

powitać, żaden strażnik nie zapytał, czego sobie życzymy. Brama stała otworem, a na

kamiennych schodach rosła trawa. - Czy aby jesteś pewien, że dobrze trafili? —

spytał zdeprimowany Bartek.

— Tak samo jak tego, że to tutaj stałem na kwaterze po mojej pierwszej misji

mongolskiej! — odparłem z wyższością. Ponieważ jednak i mnie wszystko to wydawało

się dziwne, spiesznie dodałem: — Poprzedni właściciel, biskup Mikołaj z La Porty, był

dziwakiem i oryginałem. Możliwe, że to on, *respiciendum finem** dopuścił do takiego zdżiczenia parku. Ruszyliśmy więc dalej żwirowaną dróżką między zielskiem wysokości

mężczyzny i przewróconymi kamiennymi puttami. Marmurowe schody wiodące do

westybulu nie były już zapewne długo używane, toteż ogarnęły mnie wątpliwości, czy

Hamo w ogóle dotarł tu przed nami. Może jednak zrezygnował w końcu z planu objęcia

tej zaniedbanej spuścizny.

— W imieniu króla Francji — zawołałem — tu William z Roebroku! Nie usłyszeliśmy

jednak żadnej odpowiedzi, tylko drzwi wejściowe tłukły się na wietrze.

— Mnie ten zakątek wydaje się niesamowity — wyszeptał Bartek, a jeśli on szepcze,

to coś znaczy. — Może tu jeszcze straszyć duch Wita z Viterbo, który w tym miejscu...

— Zaraz jednak przypomniał sobie pewnie, że osławiony siepacz Kurii przeżył zamach

na jego życie i dopiero wiele lat później został zwabiony w zasadzkę przez asasynów i

zabity. Wspomniał więc o losie mego nieszczęsnego konfratra Benedykta z Polski, który

tu na górze, w dużej sali, faktycznie wyzionął ducha, zadżgany zatrutymi sztyletami.

— Jeśli nie ma tu nic do jedzenia — odparłem — to nie ma też tutaj duchów!

Co rzekłszy, otworzyłem drzwi. Posadzkę pokrywały zwiędłe liście; do lotu poderwało

się z furkotem kilka gołębi i wyleciało przez rozwarte okna łukowe. Naszym oczom

ukazał się obraz opuszczenia. Pałac był opróżniony do ostatniego mebla, brakowało

również zasłon i dywanów. Puste nisze i puste piedestały, które ongi dawały mieszkanie

greckim bogom i nimfom. Nie odważyłem się jednak wejść na górę, do czarno-białej

marmurowej sali ze sceną, na której z dziećmi Graala odgrywaliśmy wówczas mój

„szczęśliwy powrót z podróży do wielkiego chana”, gdzie dosięgła mnie moja rzekoma

śmierć i Rosz wraz z Jeżą odnieśli pierwszy wielki tryumf, ukrywając me zwłoki. Ach, mali królowie, jaka szkoda, że Was przy mnie nie ma! Zamiast tego siedzi mi na karku

marudny Bartłomiej, który z pewnością także pragnął zobaczyć dzieci, ale nade

wszystko coś do jedzenia. Jego odczucia były mi obce.

—
Możemy przecież zajrzeć do kuchni — powiedziałem i pociągnąłem do

piwnicy mego opierającego się towarzysza. Na dole było dosyć ciemno.

— Nie — wyszeptał Bartek — wolę już skonać z głodu... Widziałem, jak tam wędruje migoczące światło!

— Bzdura!—zawołałem.—Jeśli ktoś jest w kuchni, to... —Wtedy i ja ujrzałem światło.

Ponieważ się zbliżało, przystanąłem. Dlaczego miałbym być odważniejszy od Bartka?

W końcu pod nami, u wylotu korytarza, pojawiła się zgarbiona postać z latarnią i spojrzałem w zasłoniętą zwichrzonymi włosami, trupio bladą twarz Hamona. —

Williamie — ozwał się z niezmiernym smutkiem w głosie — tylko

ciebie mi tu brakowało! To rzekłszy, chciał się odwrócić i odejść, lecz zawołałem: -

Hamonie, przybyliśmy, żeby ci pomóc!

— Nikt nie może mi pomóc, a ty to już wcale, Williamie z Roebru — rozległo się z

ciemnego korytarza, w którego czeluść Hamo wycofał się niczym ranne na łowach

zwierzę. — Jeśli do tej pory mogłem żywić nadzieję, że przyplynie jednak jeszcze moja

triera z Szirat i mą córką, to teraz wiem, że przytrafiło im się jakieś nieszczęście, w

przeciwnym razie nie byłoby cię tutaj! Statek miał przybyć wiele miesięcy temu. Ani

chybi zatonał podczas sztormu albo dostał się w ręce piratów.

— A kiedy widziałeś go po raz ostatni? — zapytałem. Hamo wynurzył się z ciemności i

zbliżył do schodów. — Wtedy, na Procidzie — zaczął nam opowiadać, zacinając się —

gdy obaj chcieliście popłynąć moim statkiem, ale nie przyszliście, zjawił się Wawrzyniec z Orty. Zapytałem, dokąd zmierza. Powiedział: „Do Otranto, podziwiać waszą córkę!”

Wówczas wpadł mi do głowy pewien pomysł, który już dawno przekląłem. Zachęciłem

Wawrzyńca do tej podróży, aby potem pomógł mojej Szirat w likwidowaniu

gospodarstwa, a następnie towarzyszył jej na trierzcie płynącej do Konstantynopola.

Dzięki temu mogłem wziąć statek, który posiadałem, najkrótszą trasą

pożeglować prosto do Konstantynopola i przygotować wszystko na ich przybycie.

Przyszedł mi na myśl nieszczęsny, ba, idiotyczny plan Wawrzyńca związany z Malcią i

brzemienne w następstwa przekleństwo Gawina o „słowie, które stało się ciałem”. Nie zastanawiając się jednak zbytnio, odrzekłem:

—

Nie widzę wszakże tutaj, żeby poczyniono nader usilne przygotowania!

— To prawda — zgodził się Hamo i ruszył ku nam po schodach. — Ledwie

przybyłem, jęły dręczyć mą głowę wątpliwości, koszmary trwożyły mnie po nocy,

paraliżowały w dzień, nie byłem zdolny do zrobienia czegokolwiek!

— Ale teraz ja jestem — pokrzepiłem go na duchu. — William, zwiastun

nieszczęścia! Teraz, Hamonie L'Estrange, możesz się wreszcie wziąć w garść i na

powrót pochwycić w ręce swój los!

— Co mam jednak zrobić, Williamie, żeby moja żona i moje dziecko...?

— Zabierz się w końcu do obiecanych przygotowań! — zawołałem tonem

wychowawcy. — Gdyby Szirat zobaczyła tutaj taki chlew, prawdopodobnie wolałaby

pływać do następnego lata po Morzu Egejskim, zamiast wprowadzać się do tej

szczurzej dziury! Hamo łypnął na mnie spod potarganych włosów. - Dobrze — mruknął

— ale ty obiecasz mi, że Szirat...

— Obiecuję, że pomogę ci jej szukać, gdy tylko wrócę ze swojej misji do wielkiego chana...

— Tak długo nie może czekać żaden kochający mąż i ojciec, ale ty tego nie rozumiesz, mnichu. To rzekłszy, odwrócił się i zawołał:

— Filipie! — po czym dodał dla wyjaśnienia: — Mój sługa! Z drugiej części korytarza prowadzącego w głąb labiryntu nadbiegł chłopiec. Piękny jak aniołek, przemknęło mi przez głowę, ale o takiej samej zepsutej niewinności.

—

Zawitali do nas goście! — oświadczył Hamo. — Zmieć trochę liści, żeby mieli na czym spać, i złap jakiegoś szczura lub karalucha na wieczerzę. To franciszkanie, więc mają rozpieszczone podniebienie, dlatego postaw na stole świeżą wodę. Może w ogrodzie uchowały się jeszcze owoce z zeszłej jesieni. Bo musicie wiedzieć — dodał wyjaśniającym tonem — że na domiar nieszczęścia zaraz po przybyciu wpadliśmy pomiędzy rabusiów, którzy wprowadzili się tutaj i byli wielce uradowani, że przydźwigaliśmy im do jaskini cały swój majątek. — A dokąd oni się wynieśli? — zaciekawiał się Bartek.

— W ciągu dnia kradną w porcie lub obrabowują ludzi na ulicach, a kiedy w nocy prze hulają łupy w domu rozpusty — ciągnął niewzruszenie Hamo — wracają tutaj w złych humorach, żeby położyć się spać na górze w pomieszczeniach zajmowanych ongi przez dostojnych gości.

— Piękne perspektywy — wtrącił mój towarzysz. — Wszak przybyliśmy tutaj, aby spotkać się z tym księdzem Gossetem, który miał nam przekazać listy uwierzytelniające, a przede wszystkim pieniądze na podróż. Czy on był już tutaj?

— O tak! — odparł Hamo. — Pytał o was parę miesięcy temu. -- A dokąd się udał? --

Nie pojawił się więcej.

— Czy może ci rabusie i jemu...

— Nie, on przecież nic nie miał, ale ponieważ był księdzem, zawlekli go do domu rozpusty. Od tamtego dnia próżno czekamy na jakiegokolwiek wieści o nim, prawda, Filipie? Aniołek rozpromienił się i skinął głową.

— Sądzę, że i my powinniśmy złożyć wizytę w tym domu rozpusty.

— Bartek pociągnął mnie energicznie za rękaw. — Nie mamy nic do stracenia, a może trafi się coś na ząb dla dwóch biednych franciszkanów!

—

Filipie — rozkazał Hamo — zaprowadź panów do ladacznicy! Powiedz, że wszelkie koszty pokryje hrabia Otranto!

Wyszliśmy z pałacu biskupa.

—

Twój Hamo — zauważył Bartek — wydaje mi się cokolwiek zmieszany przez utratę triery z żoną! Potakująco skinąłem tylko głową, lecz o wiele chętniej bym nią potrząsnął albo wsadził kciuki do uszu, wystawił język i przewracał oczami. Prowadzeni przez Filipa, ruszyliśmy po schodach, które omijając wysoko położony cmentarz rodu Angelosów,* wiodły ponad portem najkrótszą drogą do starej części miasta. Ledwie zanurzyliśmy się w wąskich uliczkach, otoczyła nas swojska atmosfera wielkomiejskiego życia, płynąca z otwartych tawern, bud handlarzy i gwarnych podwórek. Wyciągały do nas ręce zebrzące dzieci i potracali nas pijani, chyba że byli to maskujący się złodzieje, którzy szybko obmacywali nas w ciżbie. Nie mieliśmy nic przy sobie, a zatem, jak słusznie zauważył Bartek, nie mieliśmy też nic do stracenia, może oprócz życia. Po noże sięgano tu bowiem bez długiego namysłu. Jakby na dowód tego mężczyzna, który kuczał przed drzwiami, upadł głową w przód akurat w momencie, gdy

przechodziliśmy obok. Między jego łopatkami tkwiło odłamane ostrze. Filip zatrzymał się, ale tylko po to by wskazać posesję za zwieńczoną łukiem bramą po przeciwnej stronie ulicy. Niegdyś służyła pewnie jako folwark. Ślady wielkopańskiej przeszłości zdradzał niski budynek główny na końcu czworokątnego podwórca, wokół którego ciągnęły się dawne stajnie — można było je poznać po niskich drewnianych drzwiach. Pośrodku zaś przy ognisku siedzieli mężczyźni, co najmniej pięćdziesięciu. Czekali.

— A w tym chlewie tęsknie wyczekują tanie służki sprzedajnej miłości? — Za retorycznym pytaniem Bartłomiej ukrył kielkującą w nim żądzę, na co małomówny Filip uprzejmie skinął głową. - Jak długo będziemy musieli czekać? — dociekał mój konfrater.

— Chyba nie dotąd, aż oni wszyscy...? Filip pokręcił głową i dał nam znak, abyśmy się zatrzymali. Zrozumiałem ten gest i wyjaśniłem go rozdrażnionemu Bartkowi.

—
Jeśli usiadziemy, podporządkujemy się ich regulaminowi dziobania.

Nasz przewodnik został wpuszczony do budynku, w którym mieszkali dawniej właściciele, i wrócił w towarzystwie wysokiego chudego mężczyzny. Nieznajomemu wyraźnie się do nas śpieszyło. Wydawał się też wielce uradowany, co zdumiało mnie bardziej niż jego nieskazitelny strój kapłański. Był to Gosset.

—
Nareszcie mam zaszczyt powitać moich sławnych braci w duchu

Chrystusowym, których mój król dodał mi na towarzyszy jakże ważnej podróży misyjnej do wielkiego chana wszystkich Mongołów. Wejdźcie i ucieszcie moje zmysły darami serca naszego pana papieża, których tak pilnie potrzebujemy! — zawołał wyszukaną francuszczyzną, jakbyśmy właśnie przybyli z opóźnieniem na sobór Kościoła

powszechnego. Przeczuwałem coś złego, kiedy perorując tak pięknie, prowadził nas do wnętrza budynku. Kiedy otworzyły się drugie drzwi i rozsunęła ciężka zasłona, stanęliśmy pośrodku jaskini zbójców.

Na pierwszy rzut oka przypominała wprawdzie pałacową kaplicę, co brało się stąd, że w pomieszczeniu stały przeważnie dobra kościelne: trzy kompletne ołtarze, a w nich złote skrzynie i drogocenne monstrancje, ikony tudzież rozmaite sprzęty ozdobione klejnotami, relikwiarze i krucyfiksy rywalizowały o palmę pierwszeństwa z niezliczonymi baptysteriami, kandelabrami, kadzielnicami i kielichami mszalnymi. Pomiędzy nimi prawie nie było już miejsca na wytarte sofy, na których obrusy ołtarzowe i stole bardzo skąpo zakrywały wyłazące spod materii wyściełanie. Byliśmy sami, w świetle kilku grubych świec wotywnych.

—

*Asseyez-vous, mesfreres** — zaczął słodkim głosem niewierny sługa

Kościół i tylko widoczna u mnie niechęć do siadania tyłkiem na obrusach, które dźwigały zwykle ciało Pana, skłoniła go do odgarnięcia niedbałym ruchem świętych płócien. Bartek miał mniej skrupułów, ale za to był też szorstki w konwersacji.

— Gdzie są pełnomocnictwa i gdzie pieniądze? — warknął na Gosetta.

— Jakie pieniądze? — padła natychmiast replika, której w skrytości ducha spodziewałem się już od dawna. — Czyżbyście nie dostali od papieża ani...?

Pokręciliśmy jednocześnie głowami, gdyż pomyśleliśmy to samo.

— Wiemy — powiedział Bartek z tłumioną wściekłością — że król Ludwik, który osobiście wymyślił tę misję i któremu leży ona bardzo na sercu, powierzył wam pieniądze na naszą podróż... - .żebyście przekazali nam je tutaj — dodałem gwoli wyjaśnienia — jak również podporządkowali się naszym rozkazom, gdyż to w nasze

ręce złożono kierownictwo misji. Monseigneur Gosset bynajmniej nie wyglądał na zasmuconego, co najwyżej wydawał się odrobinę melancholijny.

—
Na skutek godnej ubolewania inkonwencji waszego spóźnionego przybycia byłem zmuszony przeznaczyć owe skromne diety na moje odpowiednie do stanu utrzymanie — odparł, nie okazując nawet śladu żalu. — Życie jest drogie w tym siedlisku grzechu — dodał jeszcze wyjaśniająco, lecz wcale nie po to żeby się usprawiedliwiać. — To co, drodzy bracia, nazywa się „kasą podróżną”, wystarczyłoby dla trzech osób nie dalej niż do Krymu. Dawno te pieniądze wydałem i od tej pory żyję na kredyt, ufając w nadejście pieniędzy od papieża, które miano wam dać przed wyjazdem z Rzymu. Zaniemówiłem, słysząc taką zuchwałość, ale Bartek bynajmniej. - Ty bezbożniku — ryknął unosząc się gniewem — my mielibyśmy spłacić długi wynikłe z twego łajdackiego życia? Tak sobie wymyśliłeś! Jeśli o mnie chodzi, możesz się smażyć w piekle po sądny dzień, bo lekkomyślnie udaremniłeś przeprowadzenie naszej misji! — Moja działalność tu, na miejscu, nie była znowu taka bezbożna -- zaproponował Gosset, nie tracąc kontenansu. — Już od dawna udzielam błogosławieństwa tutejszym damom dla kompensacji mych znikomych cielesnych potrzeb, a jeśli mnie nie wykupicie, ta symbioza będzie trwać. Nie jest to piekło — stwierdził w zdumiewającym pokoju z samym sobą.

— A Kurii rzymskiej również służę, gdyż pośredniczę w odzyskiwaniu zrabowanego mienia kościelnego na korzystnych warunkach.

— Paser! — Bartek omal nie opluł Gosseta.

— Nie paser — odparł tamten — tylko rzeczoznawca.

W tym momencie otworzyły się drzwi i rozsunęła zasłona i do środka weszło dwóch

rozbójników. Ściśle biorąc, przyszli we trzech, bo przytaszczyli posąg świętego Michała—naturalnej wielkości. Posapując, postawili go przed monseigneurem Gossetem. Figurę musieli przytrzymywać, gdyż nie mogła stać, jako że wymodelowana została jako jeździec.

— Piękna robota — pochwalił monseigneur Gosset — a gdzie smok?

— Później — odparł speszony jeden z mężczyzn. — Z tym musimy poczekać, aż zrobi się ciemno, bo ludzie by się wystraszyli.

Kapłan dwa razy klasnął w dłonie i na schodach prowadzących na piętro pojawiły się cztery damy. Ubrane były jak mniszki, tyle że ich rozcięte habity odsłaniały sporo gołej nogi. Zatrzymały się w półcieniu, ku memu i Bartka ubolewaniu, ale na ich usługi tak czy owak nie mogliśmy już liczyć, a bez zapłaty na pewno, po tym jak mój konfrater zadarł z monseigneurem Gossetem. Obaj rozbójnicy udali się na górę razem z damami. Na podeście schodów jeden odwrócił się jeszcze.

— Filipie! — zawołał. — Przekaż hrabiemu Hamonowi, żeby wyciągnął srebrną zastawę i miał w pogotowiu wrzątek. Dziś wieczór będą worek homarów z Synopy i trzy amfory przedniego wina z Nicei.* Będziemy ucztować! — To rzekłszy, zniknął na górze, podążając za oblubienicami Chrystusa. Filip zamarkował ukłon i rozchylił wargi w swym zniewalającym uśmiechu, nic dziwnego zresztą, zważywszy na zapowiedzianą ucztę.

Ślinka napłynęła mi do ust i przypomniałem sobie o poleceniu Hamona, toteż zapytałem: -- Filipie! Co ci polecił hrabia Hamo?

— Ach tak — nasz anielski przewodnik stanął w pasach — miałem przekazać, że pokryje wszelkie wydatki panów minorytów.

— Dlaczego nie powiedzieliście tego od razu? — uśmiechnął się monseigneur Gosset. — To nic złego... — Zamierzał właśnie znowu klasnąć w dłonie, lecz złapałem

go za ramię. - Wypląćcie nam zaraz modlitwę strzelistą — zażądałem, nie pytając o zdanie Bartka. — Inaczej nie przeżyjemy tej nocy, tacyśmy wygłodniali. Monseigneur Gosset sięgnął do złotego relikwiarza i wcisnął mi w dłoń garść monet, po czym wyciągnął ze środka dwa zapieczętowane zwoje pergaminu.

— Wasze pisma uwierzytelniające oraz list od króla do wielkiego chana Móngkego — oznajmił — na wypadek gdybyście zamierzali dojechać aż tam.

— Naturalnie, że chcemy!—prychnął Bartłomiej. — I z pewnością bez was, wiarołomcy żyjącego w ciągłym grzechu!

— Największym grzechem — odrzekł Gosset, od którego każde obraźliwe słowo odbijało się przypuszczalnie jak kropla wody od oliwy — jest obłudne oszukiwanie samego siebie. W porównaniu z nim wszystkie inne są wybaczone. Tymczasem sprawdziłem pieczęcie. Istotnie, były to pieczęcie króla Francji, a pismo wydane w Akce w Ziemi Świętej. —

Moje ukłony dla hrabiego Hamona — przekazał nam na drogę monseigneur jak człowiek dobrze wychowany. — Penikrat* Taksiarchos* i moja znikomość zaszczytamy go dzisiaj wizytą z okazji uczy, na której będą homary. Schowałem oba zwoje i poszliśmy. Filip zaprowadził nas do najbliższej tawerny, gdzie pochłonęliśmy piętnaście jaj rybnych*, świeżo usmażonych w oliwie, tuzin jaj gotowanych w solonej wodzie, dwie miski marynowanych sardynek i ostro przyprawionych kałamarnic, pęczek surowej cebuli, trzy bochny chleba, kilka pęt kiełbasy, parę półci słoniny i wędzonki, a do tego wyżłopaliśmy cztery duże dzbany lekkiego wina.

Kiedy wróciliśmy do pałacu Kallistosa, zastaliśmy go w zupełnie odmienionym stanie. Łańcuch świateł w postaci lampek oliwnych wzdłuż podejścia wyznaczał drogę od

bramy do potężnych schodów zewnętrznych, które prowadziły do wielkiej sali marmurowej na górnej kondygnacji, czyli Centrum Świata.* To tutaj dworzanie i książęta bizantyjskiego rodu cesarskiego grywali w szachy na olbrzymiej szachownicy, na której sami w kostiumach byli figurami.

Lądy Europy były na niej uwypuklone na wzór płaskorzeźby, dzięki czemu można było zalać wodą sięgającą kostek Morze Śródziemne, Morze Egejskie i Bosfor, co naturalnie czyniło grę nieporównanie bardziej zajmującą. Kiedyś ze względu na mnie, a raczej z uwagi na dzieci starły się tam armie templariuszy i Kościoła, Otranto i Francuzów, tańczyli sufici i uderzali asasyni. Teraz zaś na cesarskiej trybunie ucztowali *lestai*, złodzieje i rozbójnicy. Przyprowadzili swoje kobiety, prawdopodobnie same damy z domu rozpusty w porcie, u szczytu stołu rezydował przywódca tej bandy, a u jego boku nasz niewierny kapłan, monseigneur Gosset. Hamo siedział naprzeciwko nich samotnie na emporze księżniczek, polecił Filipowi, żeby rozebrał mu przydzielonego homara, i potem ogryzał bez większego apetytu szczypce, wzgardziwszy pięknymi kawałkami białego mięsa. Natychmiast to zauważyłem, choć sam byłem tak obżarty, że każdy gotów byłby iść o zakład, iż nie przełknę już ani kęsa. Bartek i ja zasiedzieliśmy się bowiem w tawernie, kiedy Filip pośpieszył przodem. Gosset przedstawił nas przywódcy bandy, penikratowi Taksjar-chosowi. Ów wcale nie wyglądał na herszta rozbójników, lecz raczej na wodza odznaczającego się skrajną ascezą: kanciasta głowa, krótko ostrzyżone siwe włosy i pozbawiona wszelkich ozdób, prosta toga z szarego jedwabiu. Także gdy jadł, wyróżniał się zachowaniem dobrych manier i znawstwem, pośród swojej bandy wydawał się niemal ciałem obcym. Tylko Gosset pasował do niego niczym bliźniak.

Jak słyszę — zwrócił się do mnie penikrat — wasza misja utknęła w miejscu z powodu trudności.

Powstrzymałem Bartka, który już miał na końcu języka jakieś gru-biaństwo, uważałem bowiem, że nie ma sensu występować w charakterze oskarżyciela, gdy oskarżony zasiada w trybunale ramię w ramię z sędzią.

— Tak jest w istocie, panie Taksiarchosie—potwierdziłem—i pominąwszy ewentualne następstwa polityczne lub co gorsza, niepowodzenie naszej misji, możemy się spodziewać przykrego kościelnego śledztwa pod zarzutem przywłaszczenia...

Sprzeniewierzenia! — wpadł mi jednak w słowo Bartek, na co penikrat uśmiechnął się słabo.

— Choć nie godzi się rozumieć brzęczącej sakiewki w sensie kurewskiej zapłaty—w dniu Sądu Ostatecznego zapadnie jeszcze końcowy wyrok w tej kwestii — owa samowola waży wszakże niewiele, jeśli baczyć na cel waszej misji. Król wysłał was do Mongołów, żeby ci napadli na Syrię, *Terram Sanctam*, a możliwe, że i na Egipt, wzniecali pożogę wojenną w tych krajach i je podbili? A dlaczego? Wcale nie po to, żeby nieść tym cywilizowanym terenom wiarę chrześcijańską, o nie! Chodzi wyłącznie o zabezpieczenie europejskiego *monopoliwn* w handlu i umocnienie supremacji Zachodu — o nic innego! —

To też forma rozbójnictwa! — Nie odmówiłem sobie tej drwiny, lecz penikrat nie dał się już sprowadzić ze swojej ścieżki kompensującej sprawiedliwości.

- Jeśli tak na to patrzeć, wypada stwierdzić, że monseigneur wykonał dobrą pracę — zakończył swój elokwentny wykład. — A teraz, moi panowie misjonarze, do stołu! Homarów i takich szlachetnych kropelek nie ma u wielkiego chana!

I z protekcyjnym gestem wysłał nas do Hamona, który nadal grzebał bez apetytu w swoim skorupiaku. Przysiedliśmy się do niego—nie pozdrowił nas nawet — i

zajęliśmy się górą wydlubanego ze skorup mięsa, które Filip podsunął nam, posypawszy przysmażoną na maśle cebulą. Po drugiej stronie sali Gosset klasnął w dłonie, członkowie bandy podnieśli się posłusznie niczym scholarzy i wraz z damami, przeżuając jeszcze i czkając, udali się na dół na szachownicę. - Czyżby zamierzali tańczyć? — spytał osłupiały Bartłomiej.

— Nie — zaprzeczył Hamo. — Penikrat i monseigneur rozegrają partię szachów.

Może to potrwać całą noc! Ujrzałem, jak dzika gromada dzieli się na dwie drużyny, a każdy z graczy wybiera swojego basileusa i basileę;* wieżami zostali najsilniejsi mężczyźni, zapaśnicy o gębach zabójców, skoczkami żebracy z drewnianą nogą lub kikutem ręki, laufkami zaś byli rabusie i drobne rzezimieszki. Każdemu wolno było jednak zatrzymać swoją dziewczkę, toteż wkraczali parami na przydzielone im marmurowe pola, prawie wszystkie zalane wodą. A kto miał pecha, jak większość pionków lub „pieszków”, ten stał pośrodku *Marę Nostrum*, na Morzu Jońskim bądź Egejskim, gdyż punktami wyjścia były cesarstwo zachodniorzymskie i wschodniorzymskie, przeto każdy musiał zmoczyć stopy wcześniej czy później.

— Chodźmy — rzekł Hamo — bo tak pryskają, że będziemy zupełnie mokrzy;

taki jest zresztą właściwy cel tej gry! I rzeczywiście, ledwieśmy się podnieśli, rozległy się pierwsze komendy i już szczipły rycerz spadł do wody ze swej klaczy o szerokim

zadzie, aż plasnęło. Towarzyszył nam rżący śmiech, ale nas nie dotyczył. W skrytości

ducha miałem nadzieję, że penikrat nonszalancko oświadczy, iż wynagrodzi nam stratę,

jaką ponieśliśmy z winy monseigneura, i wyposaży nas bogato na dalszą podróż. Nie

było jednak o tym mowy. Właściwie zazdrościłem *lestai* i chętnie bym z nimi został, zamiast z Hamonem i Bartkiem łamać sobie teraz głowę, jak zmienić tę śliską,

parszywą sytuację, w której się znaleźliśmy.

Udaliśmy się do piwnicy, gdzie nie docierały piski kobiet. Nasze zmartwienia były zupełnie obojętne również Hamonowi. Wzdychał i jęczał tylko nad stratą swojej triery razem z Szirat i córeczką. Miałem pewien pomysł, lecz aby podzielić się nim z Hamonem, musiałem się wprzód pozbyc tego Bartka. Mój konfrater uczeplił się jednak mnie niczym kleszcz. Otóż przyszło mi do głowy, że kuzyn Hamona, zmarły biskup Mikołaj, na pewno miał bogaty skarbiec, wbudowany w mury pałacu i tak dobrze ukryty, iż wątpiłem, aby Hamo lub ktoś inny zdążył go już odnaleźć. Tyle że ja także nie miałem zielonego pojęcia, gdzie go szukać. Wejście musiało być w jednym z wielu podziemnych korytarzy, które przebiegały pod pałacem Kallistosa i łączyły go z portem. Refleksja ta przypomniała mi o „lejku”, czyli stożkowato zakończonej rurze, która zamykała wtedy moje więzienie. Gdyby mi się udało zwabić tam Bartłomieja, tobyśmy się go pozbyli, a tak przecież planowałem. Opowiedziałem więc otwarcie o bajecznych skarbach biskupa i o lejku, który trzeba odnaleźć, aby do nich dotrzeć. Przemilczałem, że można tam tylko wejść, ale nie można wyjść, z powodu wmontowanych, ukrytych za skórzaną zasłoną ostrzy, które uniemożliwiały zawrócenie — w ogóle nie wspominając o tym, że nie prowadzi on do skarbcza, tylko do ciemnego lochu. Hamo nawet nie zareagował, zareagował natomiast — zgodnie z oczekiwaniem — mój Bartek.

—
Teraz się rozdzielimy — zdecydowałem — i każdy na własną rękę obszuka część piwnicy. W ten sposób stracimy mniej czasu. Hamo wzbraniał się i zakomunikował nam, że jemu już nie zależy na skarbach tego świata — woli iść do łóżka. Filip go odprowadził.

Wysłałem Bartłomieja dokładnie w tym kierunku, gdzie jak wiedziałem, znajdował się lejek. Jego chciwość popchnie go niechybnie do środka. Opisałem mu położenie tego

miejsca tak dokładnie, że absolutnie nie mógł zabłądzić. Ruszyliśmy zatem różnymi drogami. On pokłusował od razu przed siebie, ja zaś wróciłem ukradkiem do sali, gdzie trwała szalona walka na szachownicy, wypatrzyłem bowiem wśród „pieszków” małą ladacznicę, na którą miałem chrapkę. Monseigneur Gosset natychmiast mnie dostrzegł. — Williamie z Roebruku! — zawołał. — Chcecie służyć penikratowi czy walczyć pod moją chorągwią?

— U mnie jest do obsadzenia wieża — zaproponował Taksiarchos. — Ten osiłek bowiem spił się na umór!

Najpierw popatrzyłem szybko, komu służy dziewczka — była już zbita z szachownicy — po czym zuchwale odpowiedziałem penikratowi: — Jeśli dacie mi tę panienkę, chętnie będę wam służył w cytadeli!

Przywołał skinieniem piękne dziecko i podał mi jej rękę. Pobiegliśmy szybko do wieży z desek i wcisnęliśmy się do środka. Wprawdzie stałem obiema nogami w wodzie, ale moja trzecia noga wniknęła natychmiast w głąb twierdzy i musieliśmy tylko uważać, żeby nasza wieża nie przewróciła się w tumultcie bitwy. Chwiała się i trzęsła, lecz nikogo to nie gorszyło. Ponad blankami wystawały tylko nasze głowy, które z wielką gorliwością szcypiły się ustami i nie zważały na to, że monseigneur zwycięskim ruchem zaatakował nas z flanki skoczkiem, skutkiem czego oboje, wbici w ciasny domek, legliśmy nagle w wodzie. Filip wyciągnął mnie za ramiona.

— Brat Bartłomiej wpadł do jakiejś dziury i zniknął! Ucałowałem dziewczynę, podziękowałem za miłą chwilkę w wieży

i ruszyłem biegiem za sługą do piwnicy. Hamo stał już przy włazie.

— Prowadzą do małej cysterny — stwierdził z niezadowoleniem. — Dopóki nie pada, człowiek może tam stać prosto i się nie utopi.

— Rybkę można tam nawet karmić — dodał Filip jak rzadko rozmowny. — W ogrodzie jest zakratowany szyb, zbyt ciasny, żeby tamtędy uciec, ale wystarczająco szeroki, żeby spuścić koszyczek z jadem.

— Zostały jeszcze homary — podsunąłem, chwytając Hamona za ramię. — Sądzę, że teraz znam drogę do skarbcza! — szepnąłem z podnieceniem. — Naturalnie trzeba wejść od dołu! Wejście znajduje się gdzieś wewnątrz wielkiej cysterny.

— Jutro — zakomunikował mi Hamo. — Nie śpieszy mi się, a na razie pozbyliśmy się Bartka, bo do tego wszak zmierzałeś, Williamie! Wszystko szło po mojej myśli, choć właśnie oswoiłem się z wyobrażeniem, że spędzę następne dni i tygodnie jako „żebrak z pałacu biskupa" pośród ladacznic i złodziei. Ze skarbem w zanadrzu da się to jednak pewnie uskuteczyć w jeszcze przyjemniejszy sposób.

L. S.

* Uroczystość św. Józefa — 19 marca.

* *Respiciendum finem* (lac.) — zważywszy na koniec (efekt).

* *Angelosi* — dynastia cesarzy bizantyjskich.

* *Asseyez...* (franc.) — Siadajcie, moi bracia!

* *N i c e a* — starożytne miasto w Azji Mniejszej, obecnie w Turcji (przyp. tłum.).

* *Penikrat* (gr.) — władca biedoty, król żebraków.

* *Taksiarchos* (gr.) — stopień oficerski (właśc.: taksjarcha), tu użyte jako imię własne.

* Jaja rybne — surowe jaja smażone we wrzącej oliwie; podaje się je przekrojone i skropione sokiem z cytryny.

* *Centrum Świata* — nazwa sali strategicznej w pałacu Kallistosa. Jej marmurowa posadzka przedstawiała mapę obszaru Morza Śródziemnego.

* *Ba sileu s, basilea*(gr.) — król, królowa.

III. PŁASZCZ SZAMANA

Do dalekiego Williama, tak bliskiego jak gwiazdy na firmamencie niebieskim w nocy, od ziarnka kosmicznego pyłu imieniem Jeza, który wyłonił się z nicości, szybko się w nicości rozżarzył i zgasł, a może jednak był meteorytem, co nagłym uderzeniem wypala lasy wraz z człowiekiem i zwierzęciem i pozostawia dziury w ziemi. Brakowałoby Ci mnie, Williamie? Ukląkłbyś i pomodlił się za mnie, gdyby moja biedna dusza wróciła do gwiazd? W nieskończonej samotności gór Ałtaju przestałam się tego lękać, bo mój byt tak bardzo oderwał się od życia, jakie ty wiesz i jakie ja ongi wiodłam, że dziś nie wiem zgoła, czy już dawno nie przestałam bawić pośród żywych.

Jestem sama. Arsłan, szaman, wspina się raz dziennie do mojej jaskini i przynosi mi jadło. Nie mam pojęcia, co to jest, bo przestałam rozróżniać smak potraw; nie chcę zresztą w ogóle tego wiedzieć. Muszę dużo pić — wodę mogę czerpać sama, o ile nie jestem zbyt osłabiona. Ten dobry człek roznieca ogień, rozpuszcza moje pożywienie we wrzątku i poi mnie zupą. Potem tańczy, żeby odstały ode mnie złe duchy. Jeśli wyzdrowieję, zostanę szamanką. Na ścianach mojej jaskini siedzi wiele ongonów,* które mają mi pomóc. To małe lalki, ale ze specjalnej materii, przede wszystkim ich wypełnienie. Odpędzają złe ady,* które unoszą się w powietrzu i czyhają, aż zrezygnuję z walki.

Williamie, nie potrafię Ci opisać cierpień, jakie przeżywam. Czuję się tak, jakby moje wnętrze były rozszarpane na strzępy i służyły duchom za pożywienie. Arsłan powiada jednak, że to nie ady mnie dręczą i wydają się pożerać, tylko dobre demony, które wystawiają mnie na próbę i będą na moje usługi, kiedy wyjdę z niej zwycięsko. Również drgawki i skurcze, właściwie ciągłe drżenie, przez które ledwie mogę utrzymać pióro w palcach, a moje pismo jest takie rozchwiane, mają tylko dowodzić, że wstały we mnie dobre duchy ongonów i bitwa rozgorzała na całego. Czasami omal nie krzyczę

z bólu, wtedy Arsłan śpiewa dla mnie, a ja mu wtóruję. Ale on uważa, że powinnam stoczyć tę walkę o własnych siłach, dlatego zaraz zostawia mnie z powrotem samą.

Jeśli akurat nie pada okropny deszcz lub śnieg, szaman wnosi mnie wraz z posłaniem ze skór przed jaskinię i śpię pod gołym niebem. Gorączkę, a nawet dreszcze, łatwiej znosić w zimnym świeżym powietrzu niż w jaskini, gdzie nawiedzają mnie koszmary senne, z których budzę się zawsze zlaną potem. Pod Tengrim, Błękitnym Wiecznym Niebem, czczonym przez Arsłana jako najwyższe bóstwo, często nie wiem, czy śnię czy to moja dusza odłącza się od ciała i wyrusza w podróż, z której przynosi mi wzniosłe obrazy w błyszczących barwach. Wracam w czasie i przestrzeni do ciemnego brzucha mojej pięknej matki ubranej na biało; przez ogień, z którego już się nie wyłoniła, kiedy Rosz i ja wraz z Tobą opuściliśmy Montsegur; przez podnoszącą się wodę *balaneionu** w Konstantynopolu, zanim sprowadziliśmy na trierę Ciebie, naszego „martwego” bohatera Williama; przez czarną noc piramidy, w której zostałam kobietą;

zostawiam za sobą Różę pośród burzy i galopuję z Roszem i naszymi dwoma rycerzami Kitonem i Umarem przez pustynie i stepy, aż w końcu docieramy do stóp Altaju. Dżuwajni, szambelan, nie życzył sobie, byśmy trwonili czas, ale co rusz natykaliśmy się na tajemniczo zasłonięte kobiety i dziwnych starców, którzy obstawali przy tym, żebyśmy obrali konkretną — a mianowicie tę właściwą — drogę. Dzisiaj wiem, że za nimi wszystkim ukrywał się szaman. Kiedy Dżuwajni nie chciał ustąpić, wtedy jego wierzchołek stawał dęba albo łamiące się nagle z trzaskiem ogromne drzewo zagradzało mu ścieżkę, którą zamierzał jechać. Górskie potoki wzbierały i na naszych oczach porywały w głąb jakiś most, przeto wieziono nas coraz dalej w góry, czego uparty szambelan tak bardzo pragnął uniknąć.

W nocy widzieliśmy zagadkowe światła na szczytach gór, co srodze niepokoiło

Mongołów. Bojaźliwie szeptali między sobą, że to „światła duchów”, znajdowaliśmy też przy drodze kupki kamieni, w których tkwiły suche gałęzie przyozdobione kolorowymi

wstążkami, co furkotały na wietrze niczym chorągiewki. Następne stosy kamieni były coraz większe, a w końcu składały się z odłamków skalnych, których nie potrafiłby tam przetoczyć żaden człowiek. Wskazywały nam drogę wiodącą wyżej i wyżej, aż w końcu ujrzeliśmy otwór jaskini w nagiej górskiej ścianie. Przed nią jednak ziała przepaść tak głęboka, że nie docierał do nas huk wody w dole, i tak szeroka, że żaden koń nie zdołałby jej przeskoczyć. Między skałami leżał wciśnięty pień drzewa, które nie wiadomo jak się tam znalazło, i jako wąska kładka prowadził na drugą stronę. Po drugiej stronie zaś wyszedł z jaskini szaman i gestem kazał zawrócić Umarowi, który nieustraszenie chciał przekroczyć wąwóz. Także Kito omal nie runął w dół, bo drzewo nagle się poruszyło. W ostatniej chwili zmiarkował, że ten mostek nie jest przeznaczony dla niego.

— Nie zatrzymujcie nas, Arsłanie! — zawołał Dżuwajni. — Wielki chan oczekuje na parę królewską!

— Tedy nie życzycie sobie zapewne, by chagan czekał na próżno! — To rzekłszy, szaman dał znak Roszowi i mnie, abyśmy przeszli po pniu na jego stronę.

— Kiedy władca będzie mógł, jak żąda, ujrzeć królewską parę? — rozsierdził się Dżuwajni, pojął bowiem, że powstrzymanie nas nie leży w jego mocy.

— Powiadomię chagana — odkrzyknął szaman — on zrozumie, wszak jest władcą!

Wtedy byliśmy już na pniu. Rosz szedł przede mną i pamiętam, jak patrzyłam w dół bez lęku, dobrze wiedząc, że wcale nie musimy się potknąć i że nie zakręci nam się w głowie. Mongołowie przyglądali się nam wstrzymując oddech i bardzo się wystraszyli, kiedy pień, ledwie wykonałam ostatni krok, spadł bezszelestnie w przepaść. Wtedy wycofali się w milczeniu. Szaman niewiele z nami rozmawiał. Pokazał jaskinię i pozwolił robić, co chcemy. Nasza jaskinia znajduje się nad jego, jest jednak znacznie mniejsza,

a przede wszystkim ma osłonięte wejście, jak się okazało, zapewniała chłód podczas krótkiego lata, kiedy słońce w górach niemiłosiernie praży, i utrzymywała ciepło ognia, nieocenione we wszystkich pozostałych porach roku. Zimno było także, kiedyśmy przybyli, bo wszędzie jeszcze leżał śnieg. Przy źródle, z którego tryskała lodowata woda, mogliśmy się umyć.

Kiedy słońce dało wielkie widowisko, płonąc najpierw jaskrawą czerwienią, potem opromieniając wszystko różem, a w końcu zaszło w czarujących odcieniach fioletu oraz błękitu, zeszliśmy do jaskini szamana i usiedliśmy w milczeniu naprzeciwko Arslana. To znaczy ja milczałam, próbując uporządkować myśli i odzyskać spokój, lecz Rosz był bardzo podniecony i wścibskimi pytaniami wiercił mądrymu mężowi dziurę w brzuchu. Szaman oświadczył, że Rosz przed każdym pytaniem winien się zastanowić, czy jest naprawdę konieczne, bo może po jakimś czasie, kiedy zajmie się nim dogłębniej, sam będzie mógł sobie odpowiedzieć. Następnie przywdział osobliwą ciężką szatę. Jest ona taka ciężka, bo udekorowana najdziwniejszymi przedmiotami. Trzeba ją wieszać na kilku hakach i wkładać bardzo ostrożnie. Ten włochaty płaszcz nie jest zapinany z przodu. Srebrne lusterka, metalowe płytki, maleńkie łuki ze strzałami i grotami z brązu zdobią go tak samo jak całe skrzydła oraz pazury ptasie, a także kości zwierzęce, które wyglądają niemal jak ludzkie. Wokół płaszcza owijają się dwa duże kolorowe węże z materiału, które mają łby wykonane z muszli kauri i wysuwają z paszczy czerwony język. Wziąwszy sobie do serca napomnienie Arslana, próbowałam dociec sensu owych atrybutów. Na pewno pozwalają osiąść władzę nad zwierzętami i ludźmi. Szaman wszakże zdany jest przy tym na pomoc ongonów, co poznałam po laleczkach przyszytych do ramion u samej góry płaszcza. Siedzą tam niczym małe żywe istoty, otoczone dzwoneczkami, które zapewne mają przywoływać dobre duchy i odpędzać

duchy złośliwe. A co z lusterkami? Do czego służą, jak sądzisz, Williamie? Nie chcę się teraz wymądrzać, twierdząc, że jako sprytna dziewczyna odgadłam od razu. Arslan wyjaśnił mi to później w zwięzłych słowach. Służą do obrony przed adami, duchami, które właściwie są niewidzialne, ale kiedy spojrzą w lustro, truchleją na widok własnej szpetoty.

Poznałam też znaczenie węży. Wskazują one szamanowi drogę do podziemnego świata, bo potrafią znikać w ziemi lub ślizgać się po wodzie. To bardzo ważne z uwagi na śmierć, gdyż w ten sposób często może on jeszcze zawrócić jakąś duszę albo gdy nie da się już nic zrobić, towarzyszyć jej w wędrówce. Wielu z tych rzeczy mógłby się pewnie domyślić także mój Rosz, ale zaspokajanie głodu wiedzy nie leży w jego naturze. On chce wszystko wiedzieć od razu.

Tymczasem Arslan włożył również nakrycie głowy. Nazywa je „koroną” i ono też jest ciężkie. Osadzono w nim rogi, a na samej górze wetknięto pęk ptasich piór, orlich i sowych, co ważne w ciemności, kiedy demonom najłatwiej uprawiać nieczny proceder. Następnie wziął bębenek, swojego „wierzchowca”, jak powiada, gdyż uchwyty są rzeźbione końskie łby, a pałeczki służą mu jako bicz. I poruszając się wolno, nieco pochylony, rozpoczął niesamowity taniec wokół ogniska w jaskini. Nie potrafię Ci tego wprost opisać, Williamie, musiałbyś wszystko sam przeżyć. Zaczęła się podróż duszy w świat nadprzyrodzony, a więc i nieświadomy, a o tym nie da się mówić.

Szaman jął śpiewać. Zrazu rozumiałam jeszcze niektóre słowa, lecz potem zdania traciły związek. Chodziło chyba o nas, o Rosza i mnie, i o przeznaczony nam los.

Sądząc po tym, że Arslan zaraz gwałtownie przyśpieszył kroki, pocziwy szaman wcale nie miał z nami łatwo. Zaczął walczyć z niewidzialnymi wrogami, wywijając rękoma jak ptak, który podrywa się do lotu, a dzięki powiewającym wstążkom i piórom rzeczywiście

sprawiał wrażenie, iż potrafi latać. Mimo ciężkiego płaszcza wykonywał tak wysokie podskoki, do jakich człowiek nie jest zdolny. Jak gdyby przybywało mu sił, których pilnie potrzebował, żeby nas bronić przed złymi duchami. Przeskakiwał przez środek ogniska, a buchający żar nie wyrządzał mu żadnej krzywdy. Bez przerwy uderzał przy tym w bęben, to głucho w membranę, to znowu przyśpieszając — bum, bum! bum, bum! — w ramę, coraz bardziej gorączkowo. Rychło wprawił się w trans, on sam szalał i szalała walka wokół nas. Dopiero po jakimś czasie wrócił do rzeczywistości, jego ruchy osłabły, stały się spokojniejsze i dość harmonijne, a w końcu osunął się na ziemię i nakrył płaszczem, spod którego wystawała tylko jego korona. W takiej pozycji zastygł na długo i nawet Rosz zachowywał się całkiem cicho. W końcu Arsłan wychylił głowę i wpatrywał się w nas przez dłuższą chwilę, po czym niemal szorstkim gestem wyprosił nas z jaskini. Położyliśmy się spać, nie rozmawiając już ze sobą, ale dłoń Rosza poszukała mojej, ja zaś ją ujęłam i tak zapadliśmy w sen.

Rosza nie ma prawie od dwóch miesięcy, a ja wciąż przywołuję sobie na pamięć obrazy pierwszych dni. Następnego ranka Arsłan nic nie powiedział i nawet Rosz nie próbował na niego nalegać. Ja też wcale nie chciałam dowiedzieć się tego, co poznał szaman. Los pary królewskiej nie może być łatwy ani prosty, a jeśli nie chcemy przed nim uciec w zwyczajne życie, to pozostaje nam tylko wciąż się przygotowywać, wzmacniać, aby sprostać wymaganiom, jakie wynikają z naszego przeznaczenia, i sprawdzić się w zażartych walkach, które będą im najpewniej towarzyszyć. Nic innego, Williamie, nie możemy uczynić! Wiem, zastanawiałam się, czy Rosz nie byłby szczęśliwy także jako budowniczy, ze mną w domu i gromadką dzieci. Nigdy wprawdzie nie wypowiedział się na ten temat, zwłaszcza że nad wyraz poważnie traktuje swoje powołanie przez Wielki Plan, ale czasami wydaje mi się, że nie miałby nic przeciwko temu, gdyby jutro został wysłany na uniwersytet do Aleksandrii, żeby studiować tam

geometrię i algebrę. Albo gdyby mógł udać się na naukę do jakiegoś budowniczego

katedr i szkolił się u niego w jego sztuce lub w tym wszystkim, co tak bardzo podziwia u swego przyjaciela „Zewa na kółkach”. Na pewno byłby szczęśliwy. Ja natomiast nie.

Wiem, dlaczego jesteśmy tu u Arslana. To nie przypadek ani kaprys szamana. To część naszego przeznaczenia, odcinek drogi, którą mam przejść.

Spoglądając życzliwym okiem, Arslan cierpliwie uczył nas sztuki medytacji. Nie przez koncentrację i wzmożoną gorliwość, lecz przez opróżnienie, zrzucenie balastu. Jestem święcie przekonana, że dla Rosza i dla mnie nie ma ważniejszej rzeczy niż czerpanie siły i jasności z boskiego pierwiastka w nas samych. Ale Rosz nie widzi tutaj drogi dla siebie, nawet nie próbował nią pójść.

— Skoro już musimy siedzieć na tym pustkowiu — rzekł kiedyś do mnie — to chcę przynajmniej zahartować swoje ciało i sprawdzić się w nadzwyczajnych warunkach, aż opanuję wszystkie umiejętności rycerskie jak nikt inny. Bo poza tym czuję się beżużyteczny i nie dostrzegam sensu w moim życiu.

— Najdroższy — powiedziałam — cóż ty wiesz o sensie życia? Dlaczego nie próbujesz najpierw go dociec, zanim pobiegiesz, żeby być szybszym od kozic i koziorożców?

— Ty jesteś dziewczyną, Jezo — odparł. — Wprawdzie jesteś szybka i zwinna, ale nie masz ambicji, żeby być najszybszą. Tym się różnimy.

— Tym i jeszcze wieloma innymi rzeczami — dodałam ze złością, a Rosz jął się wspinać po stromych skałach, nie wzięwszy do pomocy sztyletu ani liny. Używając gołych rąk i nóg, wdrapywał się na gładką, często pionową skalną ścianę. Końcami palców wczepiał się w najmniejsze szczeliny, szukał oparcia i znajdował je w ledwie dostrzegalnych wybrzuszeniach. Wieczorem wracał pokaleczony i poobcierany, padał na nasze posłanie ze skór i natychmiast zasypiał. Ciało Rosza stawało się coraz

piękniejsze, jego członki wysmuklały, a słońce nadało im barwę brązu. Zlizywałam słony pot z jego skóry i skrzeplą krew z niezliczonych skaleczeń i za każdym razem dziękowałam Bogu, że oddał mi go żywego.

Rosz zaczął też na powrót strzelać z łuku, który podarował mu Kito. Godzinami posyłał strzałę za strzałą w przepaść, gdzie leżał jeszcze pień, po którym nad nią przeszliśmy. Rosz wiedział, że każda chybiona strzała, która nie trafi w drzewo, musi oznaczać stratę, i w ten sposób zmuszał się do celności. Kiedy kołczan był pusty, schodził w dół wąwozu, żeby wyciągnąć strzały z pnia. W takich chwilach zawsze wstrzymywałam oddech i nasłuchiwałam, choć było dla mnie jasne, że gdyby spadł w przepaść, z jego ust nie dobyłby się żaden okrzyk, a huk wody i tak zagłuszyłby każde wołanie o pomoc.

Z czasem obrażenia Rosza stawały się coraz groźniejsze. Wracał broczący krwią, brudny, a jego skóra wydzielala obcy zapach. W milczeniu ją obmywałam. Arslan dawał mi pastę z ziół i minerałów, którą ogrzewał nad ogniem, a potem prędko biegłam na górę i przyciskałam grudki do brzegów otwartej rany i nakrywałam chustami ciało najmilszego.

Pewnego dnia Rosz wyznał mi, że wreszcie pokonał i zabił niedźwiedzia, z którym mocował się od paru tygodni. I jakby to był klejnot szczególnej urody, zawiesił mi na biodrach kosmatą łapę na skórzanym pasie. Objęłam go gwałtownie, bo nagle poczułam do mego łowcy dziką chuć niczym niedźwiedzica. On jednak jęknął głośno, bo ścisnęłam go w miejscu, gdzie pazury zwierza rozorały jego ciało. Wtedy zostawiłam go w spokoju.

Arslan obserwował nas wyczekująco. Myślę, że ze mnie też nie był zadowolony, bo całymi dniami siedziałam nieruchomo na skale i wprawiałam się w „kontemplacji”,

jadłam jak ptaszek i przez to pewnie tak bardzo osłabiłam swoje ciało, że mogła nim zawładnąć choroba. Teraz widzę, że moja droga duchowa lub to, co przez nią rozumiem, bez wątpienia była fałszywa — choćby z tej prostej przyczyny, że ja uważałam ją za słuszną, a siebie samą za sprawiedliwą.

Rosz siadywał często naprzeciwko mnie gdzieś na skalnej ścianie i wpatrywał się we mnie jak ranne zwierzę—ze smutkiem w oczach, który topił serce niczym wosk.

Słyszałam, jak jego dusza skamle z tęsknoty i łaknie miłości. Byłam jednak surową kapłanką. Nie ustąpiłam, nie podeszłam do niego, nie pozwoliłam mu podejść do mnie, lecz wiodłam nadal „podróż w zaświaty”, a przede wszystkim w głąb samej siebie.

Byłam dumna ze swojej zdolności do odrzucenia tego, co materialne, taka dumna, że wypierałam się własnego ciała i gardziłam nim. Srodze się to zemściło, Williamie.

Najpierw jednak moje zachowanie skłoniło Rosza do szukania winy u Arslana. Zażądał od niego uznania osiągnięć, do jakich zmusił swoje ciało. Ja byłam głucha na jego żądanie, szaman zdobył się jedynie na łagodny uśmiech. Czując się w ten sposób sprowokowany, Rosz jął się przed nim popisywać. Kiedy chciał zaprezentować umiejętności strzeleckie, Arslan uśmiechał się w dalszym ciągu.

— Mierz w moje serce! — rozkazał, a wtedy Rosz okropnie się wystraszył. — Jeśli jesteś pewien, że mnie trafisz, to musisz też być w stanie strzelić.

— Nie mogę przecież... — wyjąkał Rosz — przecież nic mi nie uczyniłeś!

— Jeśli dostrzegasz we mnie swego wroga, musisz to potrafić! Jestem pewien, że nie potrafisz. Drażnił się z Roszem tak długo, aż ten napiął cięciwę i strzelił do niego.

Nie wiem, czy celnie mierzył, gdyż Arslan złapał strzałę gołą ręką w locie i uśmiechał się nadal. Wtedy Rosz cisnął łuk i rzucił się na szamana, żeby pokonać go w walce

zapaśniczej, lecz ten podniósł jedynie dłoń ze złączonymi palcami, jakby chcąc go ostrzec, i w następnej chwili Rosz leżał na ziemi, nawet go nie dotknąwszy. Wstał

zdyszany i zawołał pogardliwie: — Zapomniałem, że nie jesteś rycerzem i pomagasz sobie czarami! Potrafię jednak coś, w czym na nic ci się zdadzą chytre sztuczki. —

Wskazał gładziutki stożek, który górował nad przepaścią niczym podniesiona w górę ręka z napominającym palcem wskazującym. — Na niego nie wejdiesz!

I nie odwracając się już do nas, podszedł do stożka i jął się wspinać. Jak zawsze zaparło mi dech, zwłaszcza że wiedziałam, iż Rosz nigdy dotąd nie pokonał tej skały, za każdym razem najpóźniej w połowie wysokości zsuwał się ku ziemi, kamień był bowiem wypolerowany jak lustro i mokry. Urzeczona patrzyłam, jak pnie się stopa za stopą, przyciska nagą pierś do kamienia, żeby mocniej się oprzeć, a jego palce szukają stosownej nierówności, której mogłyby się uchwycić. Na plecach błyszczały mu krople potu i drobniutkiej mżawki, wznoszącej się znad wody w głębi wąwozu. Roszowi udało się wdrapać na skalny blok — powyżej sterczał już tylko przypominający kolumnę „palec”. Tam, na „dłoni”, mój najmilszy wyprostował się dumnie i pomachał mi. I wtedy ujrzałam za nim, na czubku „palca”, Arslana, który siedział w pozycji kwiatu lotosu.

Szaman zszedł do Rosza i wziął go w objęcia. Wydawało mi się, że mój rycerz płacze, i wstydziałam się, że sama nie mam łez w oczach.

Wkrótce potem przybyli Kito i Umar. Towarzyszyli Arykowi Bóge, najmłodszemu bratu wielkiego chana, nie mającemu zresztą więcej lat niż oni. Szaman przyjął młodego Czyngisydę w jaskini, lecz nie rozmawiali długo. Trzej przybysze mieli dodatkowego konia i broń i zapytali Rosza, czy pojedzie z nimi. Mój rycerz nie popatrzył na mnie, tylko prosił o zgodę, na Arslana, a ten skinął głową. Wtedy Rosz uściskał mnie spieszenie, jakby zamierzał oszukać, i mruknął: — Wkrótce po ciebie wrócę. — I odjechał.

Niedługo potem zwała się na mnie z całą siłą choroba, o której Ci, Williamie, pisałam. Teraz jednak wiem, że ją zwyciężę, bo zwyciężę siebie. Wczoraj wieczorem

Arslan napoił mnie gorącym wywarem, który był gorzki jak żółć, toteż ledwie mogłam go przełknąć. Potem przyniósł swój szamański płaszcz i mnie nakrył. Rozniecił ogień w mojej jaskini i tańczył wokół mnie, a skrzydła u jego ramion w świetle ogniska rzucały na ściany i strop najdziksze cienie. Zapadłam w sen na jawie, w którym sama tańczyłam, skacząc nad piecem ognistym; były to kamienne stosy, które doprowadziły nas tutaj, żarzyły się niczym ognisko kowalskie; tryskały iskry, kępy chrustu buchały wysokim płomieniem i lizały moje ciało, więc krzyczałam z bólu i męki. Stałam pośród żaru bosymi stopami i z wolna czułam coraz mniejszy ból; ów jakby odstępował ode mnie, a języki ognia wydawały mi się ciepłym płaszczem, który mnie otulał. Rozżarzone stosy kamieni powoli gasły, przybierały czarną barwę, a następnie blakły, przechodząc w szarość, w końcu zaś stały się białe jak wszystkie skały w Ałtaju. Szłam po ostrych, spiczastych okruchach skalnych, lecz nie poczułam nawet jednego ukłucia. Kupki kamieni malały coraz bardziej, a w końcu stały się tak niepozorne, że nie byłam już pewna, czy w ogóle pragnę być jeszcze nagromadzeniem kamieni czy tylko pojedynczymi kamieniami wśród kamieni. Sunęłam przed siebie z orzeźwiająca bryzą i raptem zbudziłam się, zupełnie lekka.

Wprzódę chwyciłam się za czoło. Po raz pierwszy było chłodne i suche. Odczuwałam pragnienie i wiedziałam, że jestem znowu zdrowa. Byłam zbyt szczęśliwa, żeby wstać, więc leżałam nadal pod ciężkim płaszczem, dopóki nie przyszedł Arslan. Przyniósł mi jakiś poranny napój o mocnym owocowym zapachu, już dawno nic mi tak nie smakowało. Szaman uszył mi płaszcz z wełny i ozdobił go jak swój: strzałą i łukiem, piórami sokołów i puszczyków oraz wąskimi paskami skór z sarny i lisa, świstaka i wydry. Przymocował też doń dwa dzwoneczki i małe srebrne płytki. Umyłam się przy źródle i włożyłam to ciepłe okrycie. Było zresztą o wiele lżejsze, niż myślałam, i nie przeszkadzało mi w chodzeniu.

— Zostałaś przywrócona życiu — rzekł szaman — żeby żyć nim tak, jak ci przeznaczone. Później zaprowadził mnie na drugą stronę góry, tam gdzie opada ona łagodnie, i pokazał mi świat. Cieniste doliny, a za nimi rozległe równiny stepu, obramowane poszarpanymi, ośnieżonymi szczytami. A ponad wszystkim Tengri, Błękitne Wieczne Niebo. Widziałam sunące po nim w zmieniającym się oświetleniu spiętrzone chmury, obserwowałam, jak się rozpraszają i zbiegają na nowo, i czułam, że Rosz wraca do mnie. Mój mistrz dostrzegł go znacznie wcześniej niż ja. Był to tylko maleńki punkt na odległym horyzoncie. Zanim dotarł do nas, upłynął jeszcze cały dzień. Wiedziałam, że musi pokonać wiele rzek, rwących dzikich potoków i gęstych lasów pełnych kolczastych zarośli, by stanąć przynajmniej u stóp góry. Mój Rosz był pokiereszowany i zmęczony wspinaczką przez skały jak wtedy, gdy mierzył się z niedźwiedziem. Ale był znowu przy mnie. Umyłam jego członki i namaściłam nagą skórę, położyłam go na moim pościeliu, żeby odpoczął, ale Rosz się podniósł. Wtedy zrzuciłam płaszcz z ramion i usiadłam na jego łonie. Wszedł we mnie, a ja go przyjąłam. Spodziewałam się przenikliwego bólu, kiedy mój hymen się rozerwie, jednakże po wszystkich udrękach, przez które przeszłam, to krótkie ukłucie wydało mi się śmieszne, przebiegł mnie dreszcz rozkoszy. Rosz znieruchomiał i oboje czuliśmy, jak z wolna postępuje nasze zespolenie. Wsłuchiwalismy się w głosy swoich serc, tak blisko siebie znajdowały się bowiem nasze ciała, patrzyliśmy sobie w oczy i trzymaliśmy się w objęciach. I zagościł w nas wtedy wielki spokój. Oddawaliśmy się, aleśmy się nie brali. Ważne było tylko to, że należymy do siebie — byliśmy jednym, jednym duchem i jednym ciałem. I jak Rosz powstrzymywał się od wszelkich ruchów, tak i ja odprężyłam wszystkie swoje drobne mięśnie. Nie była to rezygnacja ani przymus. Był to raczej dowód naszej zdolności do kochania i byłam za ów dar tak wdzięczna, że szczęście zalało mnie całą

niczym rozlewająca się bez końca łagodna rzeka. A w oczach najmilszego widziałam, że i on czuje to samo. I tak właśnie, trzymając się mocno, pozostaliśmy złączeni niby płonąca świeca.

Nie przemówiliśmy słowem, nawet gdy w nocnym chłodzie opadliśmy na posłanie i przytuliliśmy się do siebie pod derką. Rosz zasnął pierwszy, tedy mogłam go jeszcze pocałować w usta, czego unikałam wiedząc, jaką dzikość wyzwalają w nas pocałunki. Wiele jeszcze było przed nami, lecz jednego mogliśmy być pewni: siły naszej miłości. Około południa po drugiej stronie wąwozu pojawił się mały oddział żołnierzy.

Trzymali chorągwie, a proporce ich włóczni łopotały na wietrze. Szaman sprowadził Rosza i mnie skalną ścieżką, której nie widzieliśmy nigdy wcześniej, aż do samego huczącego wodospadu, gdzie dwie skały pochylały się ku sobie tak blisko, że można było z łatwością przeskoczyć nad szczeliną. Tam Arsłan objął nas obydwój.

— Pragnę się z wami pożegnać tu i teraz — rzekł — a nie w czasie uroczystego przekazania was generałowi Kitbodze, który chciał oddać wam cześć, ze względu na was biorąc na siebie trudy tej dalekiej podróży. — Nie pokazywał po sobie, że tak ciężko mu się rozstawać, tylko uśmiechając się ciągnął: — Za niezasłużoną łaskę Tengriego uznałem to, że tak długo mogłem was uczyć, w jaki sposób macie odnaleźć swoją miłość. Również miłość jest darem. Obchodźcie się z nią ostrożnie i rozumnie!

Arsłan ruszył sprężystym krokiem, podążyłam za nim niczym na skrzydłach, podobnie jak mój Rosz za mną. Wspięliśmy się na drugą stronę wąwozu tak, iż nagle stanęliśmy za plecami Mongołów, co pomieszało im chyba trochę przygotowaną ceremonię. Generał, starzec z siwą brodą i o dostojnym wyglądem, uśmiechając się nieznacznie, pogroził palcem szamanowi, lecz Arsłan już zniknął. Towarzyszący generałowi żołnierze, a wśród nich Kito i Umar — zauważyłam ich dopiero teraz —

wpatrywali się z przerażeniem w miejsce po drugiej stronie wąwozu, w którym spieniona woda kłębiła się coraz wyżej, tworząc Welon mgły pomiędzy nami a górą z siedliskiem

Arslana. Z jaskini wynurzyła się jakaś postać w pełnym rynsztunku.

— Czyngis-chan! Wielki Temudżyn!* — zawołali z drżeniem niektórzy żołnierze. —

*Er-e bogda!** — Wszyscy z przejściem osunęli się na kolana. Szybko zerknęłam na

Rosza i po jego mrugnięciu zorientowałam się, że myśli to samo co ja, lecz nie można

było stwierdzić żadnego podobieństwa do Arslana, choć bardzo staraliśmy się

rozpoznać go w tym przebraniu. Nawet głos, jak mi się wydawało, należał do innego

człowieka. Nie rozumiałam, co wołał, lecz wszyscy padli plackiem na ziemię, również

siwobrody generał ukląkł po krótkim wahaniu. Rosz i ja zgięliśmy kolano i prędko

spuściliśmy głowy. Mgła rozproszyła się i zjawa zniknęła równie nagle, jak się pojawiła.

Ciemny otwór jaskini zionął pustką.

— Witam mych młodych władców! — Tymi słowami wyrwał nas z rozmyślań bas

generała. — Jak się właśnie mogliśmy dowiedzieć, duchy naszych przodków ogromnie

się trapią o naszą pomyślność. — Oczy pod krzaczastymi brwiami błysnęły z

rozbawieniem, ale jego ludzie nie mogli tego zobaczyć. —A więc nie będziemy ich dalej

niepokoić, tylko zwrócimy się ku przyszłości królestwa. Tą przyszłością jesteście wy,

mój królu i moja królowo. Stary rębajło miał poczucie humoru. Podobało mi się to,

jednakże Rosz powiedział na głos: —

Przyszłość należy do tych, którzy w porę

rozpoznają swoje granice. Przybyliśmy, by służyć temu królestwu.

To spodobało się z kolei starcowi. Przyprowadzono nasze wierzchowce i ruszyliśmy

w drogę, ku nieznannej przyszłości. *Allah jakim bi-amanina!** Ściskam Cię, Williamie, i pozdrawiam,

Twoja królowa Jeza

L. S.

* Ongony — mongolskie opiekuńcze duchy (przodków).

* Ady — mongolskie złośliwe duchy.

* Balaneion (gr.) — zakład kąpielowy, łaźnia.

* Temudżyn — Kowal, imię Czyngis-chana.

Er-e bogda — święty mąż, popularne określenie Czyngis-chana.

* Allah j a k u n bi-amanina! (arab.)—Niech Bóg nas wspomóż!

IV

SKARBIEC BISKUPA

Z *Kroniki* Williama z Roebroku

Konstantynopol, w uroczystość św. Izydora* A. D. 1253

Minęły dwa tygodnie, a może więcej. Pomierzyłem mury pałacu Kallistosa w środku i na zewnątrz w poszukiwaniu prywatnej kaplicy biskupa Mikołaja, która — jak przypominałem sobie niejasno — była zarazem miejscem przechowywania gromadzonych przezeń skarbów. Hamo zachowywał obojętność, towarzysząc mi podczas tych oględzin, żadnej pomocy od niego nie zaznałem, wyłącznie drwinę. Porównywałem liczbę stopni w klatkach schodowych z kątem ich nachylenia, pragnąc ustalić, gdzie mogłyby się zmieścić dodatkowe półpiętra. Budynek był pełen zakamarków, a kondygnacje miały różną wysokość. Za ścianami nienośnymi i panelami znajdowały się niezliczone korytarze, a w każdej grubej kolumnie kryły się kręcone schody. Istnym labiryntem była klatka schodowa. Przebiegała przez pałac, przypuszczalnie w szlachetnej symetrii, w trzech przeplatających się nawzajem ciągach, znikająca za łukami bram lub w wedutach* i pojawiała się znowu w zupełnie zaskakujących miejscach, ponieważ zmieniała się też ciągle jej wysokość. Nie mogłem się wszakże pozbyć uczucia, że są to dwie klatki schodowe, które w pewnych miejscach się łączą, lecz koniec końców tworzą dwa osobne systemy, a wszystko zmierza do tego, żeby to ukryć. Docierałem do miejsc, gdzie na pozór mogłem się domyślić, jak dalej przebiegają kręte schody i masywne kolumny balustrady. A potem okazywało się, że zostałem zmylony przez *trompe-l'œil*. * Często musiałem wspinać się tylko po to, żeby zejść na dół, i niejednokrotnie lądowałem dokładnie w tym samym miejscu, z którego wyruszyłem. Można było zwątpić! W końcu pewnie, choć z drzeniem, dostałbym się do podziemnego labiryntu, ale odkąd siedział gdzieś w nim Bartłomiej, bo wpadł przez jakąś klapę, którą ja też przeoczyłem, nie miałem już odwagi, gdyż zaprawdę nie

chciałem dzielić jego losu. Dwa razy dziennie blady na twarzy pojawiał się niczym odmieniec jaskiniowy w głębi zakratowanego studziennego szybu, gdzie Filip pozostawiał mu koszyk z jadłem. Powoli chyba popadał w obłąd, gdyż jednego razu pokazał nam szczerzącą zęby trupa czaszkę, a innym razem sięgnął po jedzenie za pomocą ręki zabranej z jakiegoś szkieletu. Po nocach wył niczym wilk lub przeraźliwym śmiechem budził popłoch wśród żebraków w kuchni.

Oprócz *lestai* zakwaterowanych na górnej kondygnacji Hamo miał bowiem gości również w suterenie. Byli to śmierdzący próżniacy, którzy codzienne chodzenie do miasta i portu uważali za zbyt uciążliwe, przede wszystkim z powodu zmudnego wspinania się po schodach w drodze powrotnej. Dlatego zadowalali się resztkami, jakie zostawały w kuchni po ucztach penikrata. W ciągu dnia, przy ładnej pogodzie, siedzieli na zewnątrz przed murami pałacu Kallistosa i prosili o jałmużnę przechodniów, przeważnie udających się do kościoła Świętego Georgiosa lub na cmentarz rodu Angelosów. W przeciwieństwie do rozbójników nie przywiązywali wagi do swej powierzchowności; byli zarośnięci i śmierdzeli na potęgę.

Dobroduszny Filip spuścił zamkniętemu w cysternie Bartłomiejowi przybory do pisania, żeby przynajmniej na niedziele mógł sobie zażyczyć jakiejś specjalnej stawy. Skutek był taki, że Hamo i ja zostaliśmy zasypani potokiem niejasnych zapowiedzi niechybnej kary, dzikich przekleństw oraz dziwacznych gróźb samobójstwa, w tej kolejności. Jego pamflety osiągnęły apogeum w budzącym grozę oznajmieniu, że zamierza się zabić, odmawiając przyjmowania pokarmu, bo w cysternie jest za mało wody, żeby się utopić. Jad trupa z jego zwłok spadnie zaś na nas z deszczem po następnej ulewie.

— Zapomniał o szczurach—skomentowałem bezlitośnie, na co Hamo odpowiedział,

że nie możemy go tam wiecznie trzymać. — Ale teraz jest groźniejszy niż przedtem—
podsunąłem pod rozwagę. — Wąż będzie miał dość czasu, żeby nazbierać jadu w
zębie, i teraz już wie, kogo winien ukąsić! Wystrzegałbym się wypuszczenia go na
wolność!

— Ani mi się śni — uspokoił mnie Hamo. — Myślę o przeniesieniu do terrarium,
gdzie będziemy mieć Bartka zawsze na oku.

— Pawilon Złudzeń? — wyrwało mi się. Znałem ten budynek w parku, gdzie wtedy
trzymano dzieci, a mimo to odwiedzały mnie codziennie w piwnicy. — Nie jest to też
całkowicie bezpieczne miejsce!

Nadbiegł Filip. -- Triera! — krzyknął. — Hrabio Hamonie, wasza triera wpłynęła do
portu!

— Skąd wiesz? — zdumiał się Hamo zmieszany. — Przecież wcale jej nie znasz.

— Ale zna pan Taksiarchos! „Oto przybywa triera przeoryszy”, powiedział, „to była
najbardziej znana piratka na Morzu Egejskim. Potem została hrabiną Otranto i matką
naszego Hamona — albo odwrotnie!”

— To penikrat wie o wszystkim?— spytałem z powątpiewaniem. Filip rozpromieniony
skinął głową i pragnął opowiadać dalej, lecz Hamo już dawno był przekonany i chciał
biec od razu do portu, żeby wziąć w objęcia żonę, a przede wszystkim po raz pierwszy
swoją córeczkę. Filip ledwie zdążył dodać:

— Penikrat też się natychmiast zorientował, że triera jest w rękach piratów!

— Co?! — zawołał Hamo. — Moja triera? A gdzie Szirat, moja żona, i.,.?

— Ustalimy to z całą należną ostrożnością — zaproponowałem. — Naradźmy się
spokojnie z panem Taksiarchosem, bo wskakiwanie samemu na pokład i zadawanie
idiotycznych pytań raczej nie jest wskazane.

— Z ostrożnością? — krzyknął hrabia. — Spokojnie? Mój drogi Williamie! Spokojny

to ja nie jestem i idiotyczne pytania też będę zadawał, a zrobię to natychmiast!

— Powinieneś wziąć ze sobą jakąś asystę, która wzbudzi respekt dla ciebie —

prosiłem go usilnie. — Zaczekaj do wieczora, wtedy penikrat i jego ludzie na pewno chętnie oddadzą się do twojej dyspozycji.

— Ani mi to w głowie! — ryknął Hamo i pośpieszył do piwnicy, poderwał na nogi

grubych żebraków tudzież innych brodatych próżniaków i rozkazał im, żeby mu

towarzyszyli. I z tą bandą szumowin udał się prostą drogą do portu. Natychmiast

wysłałem Filipa do Gosseta i penikrata. Miał im przekazać, że chcę się z nimi spotkać w

porcie, w tawernie, z której będzie można obserwować miejsce, gdzie stała na kotwicy

triera. Filip puścił się pędem, a i ja również zbiegłem po schodach najszybciej, jak niosły mnie nogi. Instynkt podpowiadał mi, że wyjątkowo nie powinienem wpychać się do

pierwszego szeregu. Kiedy dotarłem do gospody, Gosseta i Taksjarchosa jeszcze tam

nie było. Następnie omiotłem spojrzeniem miejsce kotwiczenia triery. Idiotyczne pytanie

pewnie już padło, gdyż Hamona i jego obdartych towarzyszy wyrzucano właśnie

kopniakami z pokładu, a niektórzy jego ludzie przebierali nawet rozpaczliwie rękami w

słonawej wodzie basenu portowego. Najwidoczniej piraci urządzili sobie zabawę z

udzielania odpowiedzi. Rzucali resztkami ryb w Hamona, który niczym zbity psiak jako

ostatni, potykając się, schodził po trapie. Kapitan piratów patrzył ponurym spojrzeniem

za ostatnim nieproszonym gościem. Właśnie doszedł do przekonania, że komuś, kto

zadaje takie niewygodne pytania, lepiej zatkać gębę na zawsze. Szybkim ruchem

wyciągnął zza pasa długi nóż piracki, używany zazwyczaj do walki wręcz, aby

cisnąwszy nim, ugodzić w plecy odchodzącego, ale uniesiona w górę ręka zastygła w

tej pozycji. Bełt przygwoździł ją do masztu, nóż wyslizgnął się z palców kapitana, ten zaś popatrzył osłupiałym wzrokiem w górę na pocisk, który nie pozwalał mu się ruszyć z

tego miejsca. Mężczyzna musiał się nieźle wykręcać, żeby wraz z żelaznym grotem wyciągnąć strzałę z ręki, nie powiększając przy tym rany.

Penikrat trzymał w dłoni kuszę, kiedy — bez Gosseta — podszedł do mojego stołu w tawernie. Wkrótce potem przybył także Hamo, który nie zauważył niczego, co działo się za jego plecami. - Musicie mi pomóc, Taksiarchosie — wydyszał, jeszcze zanim usiadł. — Chętnie — odparł zagadnięty. — Za dobre pieniądze da się wszystko zrobić.

Mamy tutaj dysproporcję między nakładami a oczekiwaną zapłatą. Przejęcie statku w otwartej walce wymaga wielu rąk, a odbicie triery bez rozgłosu musi po prostu kosztować. Co my będziemy z tego mieli? Hamo popatrzył na niego ze smutkiem.

— Myślałem, że staliście się mi przyjacielem — rzekł zawiedziony.

— Bardzo możliwe, hrabio, ale to jest zapisane na innej karcie. Żadnego zbytkowania! Wszak nie jestem błaznem!

— Chodźmy, Williamie — mruknął ze złością Hamo — widzę, że sami będziemy musieli sobie pomóc. — Rzucił na stół sztukę złota, ja uczyniłem tak samo. A chętniej przecież zostałbym z penikratem, żeby się z nim naradzić. Ale Hamo był ostatecznie moim gospodarzem.

— Co ci odpowiedział pirat? — chciałem wiedzieć w pierwszej kolejności, kiedy przymierzaliśmy się do wspinaczki do starej części miasta.

— Nic — odparł — oprócz tego, że mam się wynosić do wszystkich diabłów i nie zabrudzać brudnymi butami świeżo wyszorowanych desek jego statku! -- I ani śladu Szirat?

— Nawet nie pozwolił mi się rozejrzeć za nią — zdenerwował się Hamo. — Nie zajął stanowiska w sprawie moich roszczeń własnościowych ani w sprawie okoliczności, w jakich wszedł w posiadanie triery, mojej triery! Zaraz...

— Za wszelką cenę — przerwałem mu — musimy odnaleźć skarbiec! Nagle Hamo zatrzymał się i popatrzył na mnie badawczo.

—
Jesteś prawdziwym przyjacielem, Williamie! Na tobie mogę polegać. Tam — dyskretnie wskazał na walący się budynek po przeciwnej stronie ulicy — na podwórku jest sekretne wyjście z kloaki tego miasta. Tamtędy można dostać się do Cysterny

Justyniana, to w ten sposób wtedy... gdy ty byłeś „martwy”, Williamie, wyprowadziłem dzieci na pokład triery. Roześmiałem się, słuchając tych wspomnień. Wtedy byłem w innym nastroju i Hamo z pewnością także. Nie zdradziłem mu jednak, że tą drogą wszedłem po raz pierwszy z Roszem i Jezą do pałacu Kallistosa. Teraz też z miej sca uderzył w moje nozdrza smród, mimo to śmiałem się dalej. Hamo nie dał się zarazić wesołością.

—
No cóż, tym razem spróbujemy w drugą stronę — starałem się przynajmniej dodać mu trochę odwagi. — Z dużej cysterny powinniśmy dostać się do skarbcza. Odnajdziemy go, ani chybi! Hamo zmierzał ku dawnym magazynom, stojącym na dość spróchniałych szrudach. Żeby pod piętrzącymi się na wysokość sążnia gruzami odnaleźć pokrywę wjazdu do podziemi, musieliśmy tylko podążać za uciekającymi przez śmieci szczurami. Hamo schodził pierwszy, brud i smród zdawały mu się nie przeszkadzać. Wylądowaliśmy po kostki w szlamie. Tuż obok nas kloaka płynęła z bulgotem w stronę Bosforu. Światła dziennego wpadało coraz mniej, co oszczędziło nam litościwie widoku szczegółów zamulonych podziemi. Za to nosy musieliśmy mieć zatkałe. W końcu Hamo skręcił w kamienny korytarz z czystą wodą, który zaraz się rozwidłał.

— Jeśli będziemy się trzymać lewej strony — powiedziałem ku zaskoczeniu Hamona

— to zejdziemy do *balaneionu*.

— Tylko mi o tym nie przypominaj! — szepnął. — Niedobrze mi się robi na samą myśl o tym.

— Chodźmy więc w prawo, tam powinniśmy się natknąć na akwedukt Przychylił się do mojej propozycji. Lekko wznoszący się tunel był nie tylko suchy, na każdym zakręcie drogi do środka wpadała także wąska smuga światła, które wdzierało się przez jakiś odległy otwór. Korytarz rozszerzył się w grootę i wspinał teraz w postaci szerokich schodów. Ponad nami wystawało ze ściany urządzenie przypominające żuraw, wystarczająco solidne, by dźwigać wielotonowe ciężary. Dał się słyszeć szum płynącej wody.

—

Jesteśmy już w pobliżu cudownego dzieła cesarza Justyniana — szepnąłem z przejęciem. — To urządzenie służy do utrzymywania w pionie niezliczonych kolumn. Nie powiedziałem mu, co przy tej okazji przyszło mi jeszcze do głowy, a mianowicie o możliwości odtransportowania bez przeszkód ciężkich skrzyń z kosztownościami. Dotarłszy na górę, ujrzeliśmy przed sobą zatokę, w której czekała solidna tratwa, wystarczająco duża, żeby udźwignąć kawał kolumny. Woda w sąsiednim kanale płynęła wartko, co pozwalało się domyślać, że spadek terenu jest dobrze wyliczony.

—

Tutaj zaczyna się podróż w nieznane — rzekłem, by podnieść Hamona na duchu. — Albo wylądujemy pod pałacem, albo w publicznym systemie wodociągowym. — Albo w cysternie, z której nie wydostaniemy się już nigdy! Hrabia znów stracił pewność siebie.

—

Zawsze jakoś stąd wyjdziemy — dodałem mu otuchy. I zaraz zresztą to on

wszedł pierwszy na chybotliwą tratwę, którą odepchnęliśmy od brzegu tyczkami i skierowaliśmy na środek kanału. Wkrótce potem sunęliśmy szybko przed siebie, tyle że schyleni, gdyż sztolnia, w której biegł kanał, była niska. Na końcu tunelu migotało światło — i nagle zaczęliśmy płynąć ponad lasem kolumn cysterny. Wrażenie było tak potężne, ponieważ widok z góry był zupełnie zaskakujący i niewyobrażalny nawet dla ludzi obdarzonych bujną fantazją. Zaostrzone pale wchodziły w wodę, w której się odbijały, a tymczasem ja z wysoka mogłem widzieć dno, co było niemożliwe z każdej innej perspektywy właśnie z uwagi na odbicie. Patrzyliśmy w dół na widowisko, jakie tworzyło osiemset filarów wędrujących jeden za drugim, gdyż kanał widoczny był jedynie w oknie każdej z mijanych głowic, dzięki czemu niewtajemniczeni na dole nie mogli o nim wiedzieć.

— A zatem — oświadczyłem z zadowoleniem — w cysternie nie wylądujemy, gdyż znajdujemy się w górnym kanale akweduktu, któremu cysterna służy jako zbiornik. - Musimy tylko w porę wysiąść — mruknął Hamo — w przeciwnym razie okaże się, że odbyliśmy tę drogę na próżno. Problem rozwiązał się sam, gdyż kanał kończył się w jednej z grot portowych, gdzie nasza tratwa się zatrzymała. Wskoczyliśmy „na ląd” i rozejrzeliśmy się. Jedyne wyjście znajdowało się w tej grocie i było zakratowane. Za kratami w dole zobaczyliśmy zbiornik, z którego wylewała się spieniona woda. A więc to tutaj uchodził odpływ.

—
Zanurkujmy — zaproponował Hamo z niewzruszoną miną, podczas gdy mnie serce uciekło w gacie, a zawartość żołądka podeszła do gardła. Jeszcze raz popatrzyłem w dół. Promienie słońca skrzyły się dość zapraszająco na spienionej wodzie wielkiej wanny i napełniały ją przyjemnym, jasnym blaskiem. — To pewnie swego rodzaju rura, dlatego wskazane jest wskoczyć w nią głową naprzód z

wyciągniętymi rękoma — rzekł Hamo i rzucił się w toń. Wpatrywałem się w ciemną wodę, której miałem powierzyć swoje życie.

— No chodźże, Williamie! — rozległ się z dołu głos Hamona. Złożyłem dłonie do modlitwy, gdyż jeśli już, to chciałem umrzeć

i zostać przyjęty do nieba pojednany z Bogiem, a następnie runąłem głową w przód.

Porwał mnie niespodziewanie silny prąd i wciągał w głąb, w jakąś dziurę. Znajdowałem się w rurze, która prowadziła w dół, widziałem już migotanie promieni słonecznych. I wtedy ogarnął mnie strach, że wylot może być dla mnie, tłuściocha, za ciasny.

Wyobrażałem już sobie, jak przebieram nogami w powietrzu, a głowę mam zanurzoną w przesyconej światłem, spienionej toni. Parcie wody nie pozwoliło mi wycofać się na czworakach. Łapiąc powietrze jak tłusty karp — jeszcze kilka ostatnich pęcherzyków!

Maryjo, zmiłuj się! — wyzionąłem więc swego ducha i wystrzeliłem niczym czop w głąb skalnej wanny, spojrzałem w słońce i... wcale nie byłem martwy! Hamo wyciągnął mnie z wody. Podniosłem wzrok. Znajdowaliśmy się w skalnej katedrze, lecz ręka ludzka zmieniła dzieło natury. Ponad nami unosiła się swego rodzaju galeria, która wykuta w skale, w niej z powrotem znikwała. Była to część schodów pałacowych, co natychmiast poznałem po kształcie balustrady, wszak wystarczająco często chodziłem po nich w górę i w dół. Nigdy jednak nie doprowadziły mnie one tutaj.

— Jesteśmy pod Kallistosem? — wyjąkałem przejęty dreszczem. — W każdym razie niedaleko od pałacu — odparł Hamo. — Co wcale jednak nie znaczy, że zbliżyliśmy się do celu. Prędko odkryliśmy w skale niepozorne przejście i zaczęliśmy się wspinać z ufnością, przynajmniej ja, że znajdujemy się w klatce schodowej pałacu. Ale perspektywy, jakie się otwierały, były coraz dziwniejsze. To widzieliśmy przed sobą schody w zasięgu ręki, a także Filipa, zbiegającego po nich z drugiej strony balustrady, lecz otwór, przez który patrzyliśmy, był zbyt mały, żeby przecisnął się przezeń człowiek.

Potem znowu spojrzeliśmy w dół na otwarte kazamaty. Kiedy liczyliśmy jeszcze niskie otwory — było sześć małych łuków wielkości dziury paleniska w piecu —

z

jednego z nich wychynęła głowa Bartłomieja. Ów rozejrzał się ostrożnie, a następnie wynurzył cały, niosąc naręczę kosztowności. W świetle rozblęły złote łańcuchy, zapinki i kamienie szlachetne, którymi był wysadzany jakiś puchar. Cofnęliśmy się w cień, żeby nas nie odkrył.

Przemknął jak mysz przez okrągłe pomieszczenie, ukląkł i zniknął w innym otworze.

— Zapamiętaj to miejsce! — szepnąłem do Hamona i skradając się na palcach, podeszliśmy do drugiej strony schodów i zerknęliśmy w dół, czy znowu się nie pojawił.

Ale nie wyświadczył nam tej przysługi. Ostrożnie schodziliśmy po stopniach, które zakręcały mocno, tworząc niemal okrąg. Znaj dowaliśmy się teraz dokładnie nad okrągłymi kazamatami, dookoła na ścianach wisiały łańcuchy, znikające w murze obwodowym. Sześć łańcuchów! ---Po jednym do każdej mysiej dziury! — pomyślał półgłosem Hamo.

— Żeby ten łajdak nie opróżnił mi całego skarbca! —

Zaczekaj! — syknąłem, bo

oto Bartek nadszedł właśnie z pustymi

rękoma i ponownie zniknął w otworze. Hamo chciał odwiązać łańcuch umocowany nad dziurą, ale go powstrzymałem. — Nie zamykaj rabusia w środku, tylko nie pozwól mu tam wrócić!

Czekaliśmy znowu — długo. W końcu się pojawił z uniesionym jak fartuch habitem pełnym srebrnych monet. Tym razem nam nie umknął. Zamierzaliśmy właśnie spuścić odpowiedni łańcuch, gdy spostrzegliśmy go po drugiej stronie. Było to trójkątnie

pomieszczenie, pośrodku znajdowała się obmurowana studnia. Bartłomiej wrzucił do niej swoje łupy i się odwrócił. Wtedy Hamo zdjął z haka łańcuch i spuścił go z brzękiem w głąb otworu, chociaż tylko na trzy stopy.

— Mam nadzieję, że szyber nie spadł mu na głowę — powiedziałem.

— Jeśli o mnie chodzi, ten sznur na dole może... — Urwał, gdyż Bartłomiej pojawił się znowu, pełzając tyłem, potrząsnął głową, podbiegł do studni, zawisł na rękach na jej cembrowinie, zatkał sobie ręką nos i wskoczył do środka.

Już się nie wynurzył.

— No to się utopił — biadał Hamo — ani chybi się utopił!

— Kto jak kto, ale nie on! — odparłem. Ruszyliśmy w dół po szerokich stopniach.

Nagle, przed murem z dwiema furtkami, schody się rozgałęziały. Jedna odnoga wydawała się opadać, druga zaś wznosić. Natychmiast było dla mnie jasne, że musimy pójść w górę, i rzeczywiście: po mniej więcej dwudziestu stromych stopniach prowadziła

w dół gładko wypolerowana marmurowa zjeżdżalnia. Niczym chłopcy w trakcie zabawy wylądowaliśmy na zadkach dokładnie pośrodku kazamat z sześcioma otworami.

— Zapamiętałeś, do którego otworu włąził? — spytałem z wahaniem Hamona. — Za innymi mogą czyhać niemiłe niespodzianki.

— Do tego! — Hrabia był całkowicie pewny i zresztą ruszył przodem. Korytarz był ciasny i wiódł ostrymi zygzakami, przy czym za każdym spiczastym rogiem uchodził do niego kolejny niczym w lisiej jamie. Hamo nie dał się jednak zbić z tropu i dokładnie w momencie, gdy kolana zaczęły mnie boleć od czołgania, do którego nie byłem nawykły, wyszliśmy z powrotem na wolne powietrze. Zrazu pomyślałem, że znajdujemy się w tym samym pomieszczeniu, w którym Bartek wskoczył do studni, ale tutaj były trzy studnie.

Podniosłem się z wysiłkiem. Hamo siedział już na krawędzi studni i patrzył w dół na spokojną wodę. Uśmiechnął się do mnie, po czym zanim zdążyłem napomnieć go

choćby słowem, po prostu wpadł do środka. Byłem przerażony taką lekkomyślnością. Z drugiej strony nie mogliśmy już zapytać Bartka, który przypuszczalnie znalazł właściwą studnię. Nie było zresztą takiej potrzeby, gdyż w tejże chwili z drugiej cembrowiny wyłoniła się głowa Hamona. Mój towarzysz parskając przytrzymał się krawędzi studni. Pośpieszyłem do niego.

— Hamonie—rzekłem z najwyższym zatroskaniem—tylko nie skacz już, proszę, do trzeciej, bo przecucie mi podpowiada, że może to być tylko pułapka.

— Pod wodą jest podobny labirynt — wysapał — jak tu na górze. Skoro odradzasz mi trzecią studnię, pozostaje mi jeszcze tylko ta... --- A może — zastanawiałem się na głos — do celu prowadzi odwrotna droga. Hamo jął się sposobić do ponownego zanurkowania. — Gdybym nie wrócił, tobie pozostawiam decyzję, czy podążysz za mną czy wskoczysz do trzeciej... bądź spróbujesz jeszcze inaczej stąd się wydostać!

Tak rzekł i skoczył głową w przód do studni. Zdążyłem jedynie zobaczyć jego nogi, zanim pochłonęła go ciemna toń. Nie wynurzył się już. Woda we wszystkich trzech studniach była spokojna, odbijała tylko moją zatrwożoną twarz. Z każdą chwilą traciłem resztki odwagi — może Hamo wcale nie utonął, ale wreszcie odkrył skarbiec i zwyczajnie chce się mnie pozbyć! Powinienem był od razu podążyć za nim. Teraz byłem zdany wyłącznie na siebie. Czekanie nie miało sensu. Choć nie walały się tutaj szkielety nieszczęśników, co skonali z głodu, wcale nie należało zakładać, że ktoś mnie odnajdzie — o ile w ogóle ktoś mnie szuka! Czułem się — w najprawdziwszym sensie tego słowa — śmiertelnie zmęczony, kiedy postanowiłem w końcu pójść, a raczej poczołgać się, z powrotem. Zignorowałem własne ostrzeżenie, że ta sama droga nie jest tą samą drogą, jeśli podąża się nią w odwrotnym kierunku. Wpełzłem do otworu i nie zwracałem uwagi na rozgałęzienia. *Nec spe nec metu*, ani nadziei, ani strachu — te słowa chyba najlepiej opisują stan mojego ducha. Zobojętniały i przygnębiony

posuwałem się wzdłuż korytarza, wyciągając ręce przed siebie. Wtem kamienna płyta w podłodze raptownie poddała się pod moim ciężarem. Głową w przód wpadłem do jakiejś dziury, straciłem przytomność — i ocknąłem się przed kuchnią.

—
Przybył bogaty kupiec z Bejrutu — rzekła pochylająca się właśnie nade mną anielska twarz. A więc jednak nie jestem w niebie! — Szukamy was, bracie Williamie, od jakiegoś czasu. Szybko zebrałem myśli. -- Czy Hamo, czy hrabia już wrócił?

— Dawno temu — potwierdził moje podejrzenia Filip. — Wieczерzę już podano, zaprosił na nią kupiec. — A więc w ten sposób sługa pragnął uprzedzić zdziwienie z powodu tak nagłego bogactwa!—Panowie jedzą na tarasie.

Prawie już wyschłem, a że nie byłem brudniejszy niż zwykle, dźwignąłem się na sztywnych nogach i kazałem Filipowi, by zaprowadził mnie na taras. Siedzący tam bogaty kupiec z Bejrutu zdumiał mnie tym bardziej, że osobę, która się za niego podawała, widywałem dotąd zawsze w skromnej mniszej szacie zakonu asasynów. W przebraniu lewantyńskiego handlarza w jedwabnym kaftanie, z grubymi pierścieniami na palcach i w przetykanym sznurem pereł turbanie owijającym kanciastą czaszkę Crean z Bouri-vanu wydawał się zupełnie obcym człowiekiem. Tylko jego spojrzenie było jak zawsze melancholijnie zagubione. Jego słudzy, prawdopodobnie wszyscy asasyni, krzątali się przy stole, podając potrawy z przywiezionych koszy i srebrnych tac. Były nawet „sztućce”, czyli dwuzębne widelce, za pomocą których musieliśmy się biedzić nad pieczonymi przepiórkami i bekasami, kaczuszkami i pisklętami kuropatw, nadziejąc je ostrożnie na te narzędzia, nim w końcu i tak zabraliśmy się do jedzenia palcami. Do tego podano winogrona, jabłka i owoce cytrusowe, które słudzy obierali i dzielili na części. Nadzianie tych kawałków na widelec wymagało szczególnej

zręczności. Przynajmniej chleb pieczony z migdałów oraz kuleczki z daktyli, rodzynek i ryżu można było przypuszczalnie brać do ust bez pomocy tego niebezpiecznego narzędzia. Wszystko popijano wodą, pod tym względem prawowierny izmailita okazał żelazną dycyplinę, ale wodę zaprawiono odrobiną esencji różanej.

Williamie — ozwał się Crean — przybyłem, żeby wyruszyć u twego boku w podróż do Mongolii. Czy jesteś gotów? Musiałem najpierw przełknąć ostatni kęs — i w tym czasie zastanowić się nad tarapatami, w jakie wpędził nas Gosset. Nie chciałem się przyznać przed Creanem do tego fiaska, więc odpowiedziałem: —

Mam

pełnomocnictwo i pismo od króla do wielkiego chana, a miejsce dla nowego Bartłomieja z Cremony właśnie się zwolniło. Prawdziwy siedzi w piwnicy i przypuszczalnie popada w obłąd; tylko Wawrzyniec z Orty jeszcze się nie pojawił.

Wystarczy nas dwóch — odparł. — Nie chcę tracić czasu, tylko jak najrychlej wydrzeć Rosza i Jeżę ze szponów Tatarów. Możemy natychmiast wyruszać.

Proszę was, błagam was jako miłujący ojciec i mąż — przerwał mu Hamo — miejcie serce i pomóżcie mi wpierw odzyskać moją trierę, którą widzieliście w porcie. Nie z powodu statku, lecz po to abym dowiedział się wreszcie czegoś o losie Szirat i mojej córeczki.

Hamo był bliski płaczu lub przynajmniej udawał bardzo przekonująco. Twardy Crean, który sam stracił żonę i córkę, zmiękł, a Hamo natychmiast wyjawiał, o co mu chodzi: -- Mógłbyś podać się za majątnego handlarza, który kupił dużo towarów i zainteresowany

jest powrotem do Bejrutu, więc pragnie wynająć statek. Piraci będą wprost palić się do tego, żeby zabić cię na pełnym morzu i przywłaszczyć sobie to, co masz.

— Miłe widoki! — zadrwił Crean, lecz Hamo ciągnął z zapalem:

— Już jutro wieczorem każesz wnieść na pokład kufry i skrzynie, na które będą spozierać bardzo pożądliwie...

— Rozumiem — uciał Crean znudzony — i gotów jestem podjąć się tego, ale pojutrze popłyniemy prosto przez Morze Czarne aż do ujścia rzeki, wydaje mi się, że zwą ją „Don”. Hamo próbował się targować, co mnie zdziwiło.

— Zawiozę was na Krym, aż do Cezarei!

— Nie — odparł zimno Crean. — Zawieziesz nas w górę rzeki aż do chanatu kipczackiego, tak daleko, jak pozwoli na to zanurzenie triery, a potem nas wysadzisz.

— Tatarzy skonfiskują mi statek — zaoponował Hamo.

— William podróżuje w oficjalnej misji — odpowiedział chłodno Crean.

— Zgoda, przyjacielu. — Hrabia nie dał po sobie poznać rozgoryczenia. — Jutro wynajmiesz statek.

— Ty — oznajmił Crean — postarasz się o ludzi, którzy będą siedzieć w skrzyniach, powinni też znać się trochę na żeglowaniu. Moi ludzie będą mi potrzebni jako okazała świta i wzbudzająca wiarygodność służba bogatego człowieka; poza tym zupełnie się nie nadają na szczury morskie!

— Ale jako asasyni, gdy trzeba zaskoczyć przeciwnika... — zaprotestował Hamo.

— ...pozostaną do mojej dyspozycji, w rezerwie, a wkroczą do boju, jeśli twoi ludzie nie rozprawią się z piratami.

— Dobrze — zgodził się Hamo — niech to będzie tylko na mojej głowie. Wystarczy, że dasz mi znak, kiedy statek będzie w twoich rękach, a pojutrze pożeglujemy, dokąd

zechcesz!

— Powiosłujemy — poprawił go Crean. — Srodze się dziś utrudziłem, a jutro powinienem być wypoczęty. — Co rzekłszy, podniósł się. Słudzy rozbili mu namiot w ogrodzie. — To pewnie moja ostatnia noc w pościeli z cienkiego płótna i na poduszkach z adamaszku.

—
Potem — podchwyciłem tę myśl żartobliwym tonem — misjonarz będzie spał tylko na słomie, jeśli nie na gołej, zimnej ziemi. Dobrej nocy! Zostałem sam z Hamonem. Słudzy Creana uprzątnęli ze stołu, zabrali też poduszki, na których siedzieliśmy.

— Jeszcze po kropelce na sen, Williamie — zaproponował Hamo i skinieniem przywołał do siebie Filipa z dwoma pucharami. Podał mi jeden, a sam przytknął drugi do ust.

— Dzięki twej jakże pomocnej intuicji odnalazłem skarb — pochwalił mnie, a ja zaszczycony tą pochwałą uniosłem puchar — mogę zatem wypełnić skrzynie ludźmi penikrata. Zastanawiałem się, czy to dobrze zastępować piratów rozbójnikami z ulic miasta, jednakowoż Hamo wydawał się przekonany o słuszności swego zamysłu.

—
Jutro zaprowadzę cię do komnaty biskupa — obiecał mi po przyjacielsku. —
W dowód wdzięczności weźmiesz sobie, co ci się podoba. Ziewając widziałem już siebie odzianego w purpurę, ze złotą laską i pierścieniem, i — dalej moje myśli nie dotarły. Ogarnęła mnie dziwna senność. Osunąłem się w ramiona Filipa czując, jak znużenie skleja mi powieki.

L.S.

* Uroczystość św. Izydora — 4 kwietnia; nauczyciel Kościoła, ur. 560 w Kartagenie.

* Weduty — namalowane jako freski, sprawiające realistyczne wrażenie obrazy przedstawiające budowle lub pejzaże.

* Trompe-l'oeil (fr.) — dosł.: złudzenie wzrokowe; architektura iluzjonistyczna.

V . BAŚŃ Z OBOZU LETNIEGO

Rosz do Williama, gdzieś w Mongolii Zewnętrznej,

w drugiej dekadzie kwietnia A. D. 1253

Mój drogi Williamie, szkoda, że mnie nie widzisz, gdyż byłbyś ze mnie dumny. Otóż

Mongołowie zawsze uważają się za silniejszych, szybszych, lepszych od kogokolwiek z

obcych, którymi *per se* gardzą i dlatego sądzą, że powinni przekazać każdemu z nich choć część swoich umiejętności, ale gdy chodzi o Jeżę i mnie, kompletnie nie wiedzą,

co myśleć. Umówiliśmy się z Jeżą, że każde z nas będzie mówić za siebie, toteż Jeza sama Ci napisze, jak jej się widzi życie wśród Mongołów.

Mnie wydaje się ono najczęściej cudowne — codziennie na grzbiecie dzikiego konia, ciągle ostrym galopem, a przy tym strzelanie z łuku do ruchomych celów lub klucie ich włócznią — ale potem znowu mam tego serdecznie dość. Tego codziennego biegania, pływania, zapasów, skoków, miotania kamieniami lub dzidami, fechtunku z użyciem szabli i tarczy lub walki na sztylety! Moją jedyną, tajemną pociechą jest to, że bardzo mnie przy tym podziwiają moi towarzysze.

Mieszkam razem z klanem generała Kitbogi, a jego syn Kito jako dowódca mojej centurii jest właściwie przełożonym moim i Umara, Umar bowiem zawsze mi towarzyszy. Kito tak zarządził, żebym nigdy nie był bez straży przybocznej. A i Jeza, którą rzadko widuję, bo mieszka razem z kobietami, również dostała taką ochronę, co bardzo mnie uspokaja, skoro już musimy spędzać osobno dnie, a przede wszystkim

noce. Najgorsze, że Kito nie ma chyba w głowie nic innego, tylko konie, broń i znowu konie. Do tego dochodzi, i to z monotonną regularnością, picie lub raczej żłopanie napojów odurzających; a potem, przeważnie w stanie kompletnego upojenia, polowanie na niewiasty — nudne ruchanie, przeważnie niewolnic z kraju Katajów, które mają przy tym ciągle na twarzy uprzejmy uśmiech, albo idiotyczne obłapianie własnych dziewcząt, które zachowują się tak, jakby uważały *az-zina** za bardzo niestosowne.

Kito, mój wzór, a zarazem rywal, nie bez powodu unikał dotąd bezpośredniej próby sił ze mną. Woli wystawiać przeciwko mnie jednego po drugim ludzi ze swojej centurii. Jeżdżę bowiem konno równie dobrze jak on, ale skaczę wyżej i strzelam znacznie lepiej —przynajmniej z pozycji stojącej i z długiego łuku. Poza tym potrafię o wiele szybciej biegać, choćby dlatego że mam dłuższe nogi, a także prędzej pływać, gdyż opanowałem technikę — którą zamierzam jeszcze poprawić — trzymania głowy pod wodą przez trzy ruchy. Nurkować zaś Mongołowie w ogóle nie umieją; ktoś taki jak Hamo, który potrafi pozostać pod wodą przez kilka minut, napędziłby im strachu. A przede wszystkim góruję nad nimi w domenie, w której ranie ich dumę, że tak powiem, na ich własnym ciele, a mianowicie w walce wręcz z użyciem sztyletu lub bez niego, ponieważ u pewnego azjatyckiego mistrza nauczyłem się sztuki pokonywania przeciwnika za pomocą źle użytej jego własnej siły. Krótko mówiąc, jak na nie-Mongoła sprawdzam się wprost nieprzyzwoicie. Ponieważ nie mogą mi dorównać w żadnym rodzaju broni, próbują mierzyć się ze mną w picciu i ciągle mnie zapraszają, bym pił z nimi na wyścigi, albo *terracinę*, alkohol pędzony z ryżu, albo *bał*, czyli miód pitny, albo kumys, sfermentowane mleko kobyły. Za każdym razem jestem okropnie zakłopotany, bo nie chcą zrozumieć, że przedkładam zwykłą, czystą wodę źródlaną nad wszystkie inne napoje, i lubią szydzić ze mnie, o ile Kito im na to pozwoli. Czuję, że wolałby, abym uczestniczył w ich popijawach. Do tej pory ratuję się w ten sposób, że obstaję przy

winie, na którym się nie znają, choć czasem mają z nim styczność. Domagam się więc takich rodzajów wina, o których wiem, że nie mogą ich zdobyć, i wtedy ja z nich żartuję. Ostatnio zażyczyłem sobie cru de Joinville i tym sposobem wprowadziłem ich w konfuzję. Jeśli chodzi o historie z niewiastami, to bywa mi łatwiej, mogę się zasłonić Jeżą, której przysięgłem wierność — co zresztą jest zgodne z prawdą. A na propozycje, żebym sobie użył z niewolnicą, ponieważ to i tak się nie liczy, odpowiadałem, że mnie, jeśli w ogóle, podniecałyby tylko czarne kobiety z kraju królowej Saby. Czerń zmieszana z kilkoma kroplami mleka, a więc kolor, który trudno opisać. A kobiety te mają sterczące lekko na boki, spiczaste piersi, bardzo szczupłą talię, wysoko osadzone, okrągły zadek, ale nie za jędrny, oraz niebywale długie nogi. Mam nadzieję, że te dokładne dane mnie ochronią, gdyby pewnego dnia przywlekli mi murzyńską niewolnicę. Oby tylko ten opis nie dotarł do uszu Jezy, bo wtedy marny mój los, na pewno bowiem uzna, że posiadałem przynajmniej jedną z tych cór Salomona. Tymczasem rozwodząc się nad wyglądem wymarzonej kobiety, wychodziłem od wyobrażenia, jak mogłoby się rozwijać ciało mej towarzyszki, czego zresztą bardzo pragnę. A więc miałyby to być czarna Jeza! Dzięki temu mam na razie spokój, gdyż przestali mi składać tego rodzaju propozycje, choć — między nami, Williamie — taka istota, obojętne, czy o włosach kruczych, brązowych czy złotych, mogłaby przyjść czasem nocą do mojej jurty, kiedy nikt nie widzi. Najlepiej o włosach kasztanowych jak henna i śnieżnobiałym ciele jak marmur! Te przymówki do mojej powściągliwości podczas ich pijatyk — przecież Jeza jeszcze ich wtedy nie znała — były zresztą jednym z powodów pierwszej sprzeczki. Wystarczyło tych kilku „tajnych bojowników” Bułgaja i tuzin łuczników, którzy towarzyszyli nam od studni w Iskan-darze aż po Ałtaj, żeby imię Jezy, jej uroda i śmiałość były na ustach wszystkich. Ludzie ci ganili mnie jednak za to, że zostawiłem Jeżę samą u Arslana. Szcherząc zęby w uśmiechu, opowiadali, że szamani są niesłychanie zręcznymi

kochankami, wytrwałymi niczym Czyngis-chan. Tacy magowie potrafią ponoć sprawić, że członek wyrasta im długi jak wąż, razem z łuskami, co kobiety szczególnie umieją docenić, i gruby niczym narząd ogiera.

Czyngis-chan cieszy się wśród Mongołów najwyższym poważaniem, również jako kochanek, choć wszyscy wiedzą, że jego uprowadzona młoda żona Brte nosiła już w brzuchu swego pierwszego syna, kiedy zdołał ją wreszcie uwolnić. Po tym zarzucie także z innej przyczyny pokazałem plecy swoim towarzyszom i uciekłem z powrotem do

Altaju. Potrafią oni bowiem być potwornie zazdrośni, zawistni i złośliwi — ta odrażająca wręcz, zapita, tępa i chutliwa hołota, której poza tym wciąż się wydaje, że musi śpiewać.

Ryczą po pijanemu, rozweselają się głupimi dowcipami i śmieją z byle czego, tylko nie z samych siebie i swego duchowego ubóstwa.

Opuściłem jaskinię szamana, bo uważałem, że tam nie będę mógł zostać rycerzem.

Kiedy potem podczas obozu letniego uczestniczyłem w ćwiczeniach centurii Kitona, rychło zmiarkowałem, że od nich nie będę się mógł niczego nauczyć — oprócz używania krzywego łuku na końskim grzbiecie w pełnym galopie oraz, także podczas jazdy, zdejmowania włócznią zawieszonych obręczy bądź przekłuwania nią kukieł.

Wziąłem więc Umara na stronę i zacząłem poprawiać swoje umiejętności wedle własnego uznania. Czasem była to walka na długie miecze, w której rycerz nigdy nie uzyska dostatecznej wprawy, ale innym razem również coś, co sam wymyśliłem: skoki w górę, choćby na koronę murów, za pomocą długiej tyczki bambusowej. Musisz sobie wyobrazić tyczkę długości kopii używanej na turniejach; rozpędzam się z taką wyciągniętą przed siebie tyczką, w pełnym biegu opieram ją spiczastym końcem na ziemi i od siły odbicia pozwalam jej wynieść swój ciężar w górę, aż tyczka znajdzie się w pozycji pionowej. Dokładnie wtedy ją wypuszczam i nagle stoję na koronie murów lub niespodziewanie spadam na wroga za blankami. Ponieważ na stepie nie ma miast ani

zamków, a zatem również porządnym murów, ćwiczyłem z Umarem na boku, kiedy znajdowaliśmy odpowiednie drzewo. Umar musiał wspiąć się na pierwszy gruby konar i bronić go przede mną. Ponieważ jednak tyczkę trzeba trzymać obiema rękami, zjawiałem się na górze zupełnie bezbronny. Problem ten rozwiązałem dzięki używanej przez Mongołów okrągłej tarczy, na której umieściłem kłosa same ostrza. I z tą straszliwą bronią na ramieniu fruwałem w powietrzu, szablę zaś miałem przypiętą na plecach w taki sposób, że jej rękojeść wystawała ponad moim ramieniem i jednym płynnym ruchem mogłem wyciągnąć tę broń i jej użyć. W gorszej sytuacji znajdował się więc mój Umar, ponieważ to atakujący działa z zaskoczenia. Mongołowie przyglądali się nam, zrazu kręcąc głowami, potem zaczęło ich to irytować, bo tylko małpy skaczą na drzewa. Nie rozumieli, że drzewa zastępują mury, a gdy w końcu im to wyłuszczyłem, powiedzieli, że ich wrogom mury i tak na nic się nie zdadzą, bo oni wybiją ich wcześniej na otwartej przestrzeni. Cóż za krótkowzroczność! Można tylko zwać. Zawzięcie powtarzałem swoje próby, aż któregoś ranka znalazłem bambusową tyczkę połamaną, a okrągła tarcza cała była pognięta, ktoś chyba po niej skakał. Nie miałem ochoty skarżyć się Kitonowi, bo nie byłem nawet pewny, czy już o tym nie wie, a może nawet to pochwała. Przedstawienie w końcu błędnego incydentu Kitbodze wydawało mi się niewskazane, zwłaszcza że cieszyłem się jego życzliwością, a sprawcy zostaliby z pewnością nader surowo ukarani. Postanowiłem więc dać im sygnał, który podkreśli zarówno moją irytację, jak i moją samodzielność, i zniknąłem bez pożegnania. Potem, gdy po mnie i Jezę przyjechał osobiście generał Kitboga, dowiedziałem się, że na rozkaz Kitona oćwiczono sprawców resztkami tyczki bambusowej przed całą centurią. Przypomniałem sobie wtedy, jaki los spotkał Malufą, obłudnego kupca z Samarkandy. Dżuwajni przekazał go najwyższemu sędziemu. Ten przesłuchał go spokojnie, ale nie pozwolił dawać mu żadnej stawy ani napitku. Kiedy Maluf krzyczał,

obcinano mu jakąś część ciała; zaczęli bodaj od ręki. Żeby zatamować krew, zanurzyli mu kikut we wrzącej oliwie, a odciętą rękę ugotowali i kazali mu zjeść. Pragnienie zaś miał ugasić własnym moczem. Tak oto szybko wyszło na jaw, że za zamachem w karawanseraju stoi Bagdad, a nie asasyni, jak mogło się wydawać. Co więcej, chwalebny czyn Umara dowodził, że właśnie izmailici narażali dla nas życie i nas uratowali. Zrobiło to na najwyższym sędzim duże wrażenie, wstrzymał torturowanie jednorękiego i jednonogiego tymczasem Malufa, żeby wielki chan osobiście zdecydował, co dalej. Przesyłając chanowi obgryzione kości, sędzia przekazał też relację o zdumiewającym zachowaniu ludzi imama, ażeby władca łaskawie zwrócił na nie uwagę, gdyż nie pasowało to w ogóle do obrazu wroga, jaki mongolski dwór wyrobił sobie o Alamucie.

O tym wszystkim opowiedział mi Dżuwajni, który od czasu do czasu raczy wprowadzać mnie w meandry mongolskiej polityki. W szczególności pragnie związać nas — gdyż na moje życzenie również Jeza bierze udział w tych lekcjach — z mongolską ideą państwową. Dzięki temu przynajmniej widuję swoją ukochaną damę i królową, a szambelan jest szczęśliwy, że słuchamy jego — nawiasem mówiąc śmiertelnie nudnych — ekskursów na temat podbijania, zarządzania i wyzyskiwania.

Uwziął się, żeby jak najrychlej przedstawić nas wielkiemu chanowi — dwie tresowane małpy i ich pogromca! Tedy wolę już przebywać wśród dzikich podwładnych Kitona:

konie, konie, konie i fechtunek, zapasy, strzelanie, miotanie, picie, picie i jeszcze raz picie. Wczoraj dałem się im namówić na wspólne picie, bo pęczniejąc z dumy przywlekli

beczkę czerwonego wina, o której twierdzili, że pochodzi z Krymu. Nie wiem, jak ludzie nad Morzem Czarnym to robią, że nie umierają po wypiciu tego purpurowego kwasu, mnie w każdym razie skurczył on podniebienie i spalił przełyk. Poza tym rzucił mi się na kiszki i huczy teraz w głowie, jakby kowale używali jej jako kowadła. Moja centuria jednak bez przerwy spełniała me zdrowie i podarowała mi nawet nową tyczkę

bambusową ozdobioną kolorowymi wstążkami tudzież pięknie wykończoną skórzaną

tarczę z wycyzelowanymi mosiężnymi okuciami. Jest ona nie tylko zaopatrzona w wieniec ostrzy, ale ma także pośrodku ostry szpic, a więc stanowi naprawdę fantastyczny prezent. Poza tym śpiewali o bohaterze, który wskakuje na najwyższe wieże, siecze na kawałki całe zastępy wrogów, a w końcu wyzwala swoją księżniczkę Jeżę uwięzioną na czubku wieży i odjeżdża razem z nią na swojej długiej grubej włóczni. Piosenka była wprawdzie naszpikowana docinkami, ale w gruncie rzeczy serdeczna i niezłośliwa, tak więc przepijałem do wszystkich i bardzo im dziękowałem.

Na zdrowie, Williamie!

Twój Rosz

L.S.

Do Williama z Roebruku, O. F. M.

Relacja księżniczki Jezy, Twej tajnej kronikarki

Jesteśmy już u „panów świata” od ponad roku, jeśli wliczyć w to czas spędzony u Arslana, szamana. Ale odkąd opuściliśmy Samarkandę, nie widzieliśmy żadnego miasta, które zasługiwałoby na to miano, tylko od czasu do czasu jakieś nędzne przysiółki, po prostu zbiorowisko chat. Kiedy pomyślę, że w tak pogardzanej przez Mongołów „reszcie świata”, z której pochodzimy, każdy hrabia lub emir otacza się większym splendorem niż tutaj dowódca dziesięciu czy nawet stu manipułów, przychodzi mi do głowy jedno: że jest to zamierzone. Nikt nie może tutaj samodzielnie decydować o sobie, wszyscy żyją czekając na wezwanie, w łasce i z łaski wielkiego chana. Mieszkają w niemal takich samych jurtach. Niektóre mogą się odróżniać od masy najwyżej wystrojem, co jednak wydaje się niewskazane, choćby z racji ciągłych wyładunków i załadunków owych domostw, które kiedy tylko zatrzymujemy się gdzieś na postój, wyrastają pośród stepu niczym kretowiska. Jurty różnią się na zewnątrz

równie nieznacznie jak okrągłe twarze tego ludu o spłaszczonych nosach. Owszem, są całkiem praktyczne i w pewnym sensie też przytulne, jeśli ktoś odczuwa jak ślimak, który wszędzie dźwiga ze sobą swój domek. Ci synowie stepu nie są rzecz jasna ślimakami, gdyż wszyscy jeżdżą konno niewiarygodnie szybko. Odnosi się to także do ich kobiet, jeśli przywiązują do tego wagę, z czym jednak bywa różnie.

Generał Kitboga umieścił mnie na dworze Dokuz-chatun. To chrześcijanka, żona ilchana Hulagu, któremu wielki chan, jego starszy brat Móngke, przydzielił Zachód. Do Zachodu należą także ja. I mnie oddaje się hołdy w zastępstwie „reszty świata”, którą nawiasem mówiąc trzeba jeszcze podbić. Nie chcę być niesprawiedliwa wobec Dokuz, co troszczy się o mnie jak rodzona matka i naprawdę stara, żeby zawsze było dobrze, gdyż traktuje mnie z wyrozumiałą łagodnością. Jestem jednak przekonana, że moja istota jest dla niej równie obca jak rudy, mocno zbudowany — by nie rzec: mocno otłuszczony — franciszkanin z Flandrii. Jako „córkę Graala”, księżniczkę bez potwierzonego terytorium, podejrzewa mnie, że gdzieś między Babilonem a Atlantydą, na „końcu świata” lub wręcz na oceanie, posiadam jednak jakieś tajemne królestwo. W każdym razie często mnie pyta, czy również tam czci się Mesjasza i jego matkę. Wtedy opowiadam jej historie o rycerzach Okrągłego Stołu króla Artura i mieszam ich — choć wiem, że to nieprawda — ze szlachetnym Parsifalem, którego mianowałam swoim dziadkiem. Przemilczam świadomie, że to Kościół chrześcijański go zabił, bo nie chciał wielbić właśnie Maryi Dziewicy, tylko zrzucam całą winę na chciwego ziemi króla francuskiego. Albowiem przy całym szacunku to ostatecznie król Ludwik rozkazał wziąć szturmem Montsegur, jakkolwiek za stos, na którym spłonęła żywcem moja matka, odpowiedzialny był papież. Kobiety uważają to wszystko za niesłychane, zwłaszcza że spór toczył się o prawdziwą wiarę, czyli kwestię, dla której Mongołowie w ogóle nie mają zrozumienia. U nich nestorianie, których papież z pewnością spaliłby na stosie jako heretyków, mogą odprawiać wszelkie rytuały, jakie chcą, w swoich kościołach, podobnie

jak muzułmanie w meczetach, a bałwochwálcy w swoich świątyniach, najważniejsze, żeby słuchali wielkiego chana i płacili należne podatki. W każdym razie tak mówią, nie widziałam jednak żadnej budowli wzniesionej na chwałę Boga. Pewnie będę musiała uzbroić się w cierpliwość, dopóki nie znajdziemy się w Karakorum, to stolica, do której ściągniemy jednak dopiero późną jesienią.

Dokuz-chatun jako karaimska księżniczka jest nestorianką; codziennie chodzi na mszę, która jest odprawiana w jurcie, wożonej z całym taborem także podczas letniego obozu. Dokuz, troszcząc się o mnie, zrazu zabierała mnie ze sobą, ale ponieważ nie zależy mi na podawanym tam winie, które stanowi główny powód jej gorliwej pobożności, teraz już oszczędzam sobie tej fatygi. Kobiety upijają się tam regularnie, Williamie.

Zgodnie z tym, co przysługuje osobie mojej rangi, przydzielono mi damę dworu, ale *al-Hamdu li-Allah*, nie jakąś starą pannę, tylko śliczną dziewczynę, która ma już siedemnaście lat. Ja też nie traktuję Ordy jak pokojówkę, lecz jak przyjaciółkę,

zwłaszcza że i w jej żyłach płynie błękitna krew. Mongołowie stracili jej rodziców, a ją porwali jako małe dziecko. Tak więc pod tym względem spotkał nas podobny los, tyle że

wobec niej nikt nie snuje wielkich planów. Pewnego dnia oddadzą ją za żonę jakiemuś

dowódcy centurii lub jeśli dopisze jej szczęście, manipułu żołnierzy -- i w ten sposób

dopełni się jej historia! Ordzie nie będzie jednak łatwo znaleźć mężczyznę, który ją

zechce, gdyż ma krzepę i co najmniej o głowę przewyższa większość Mongołów. Poza

tym jest zapaloną amazonką -- między nami mówiąc, Williamie, przypomina trochę

konia! W każdym razie codziennie galopujemy razem po drogach i bezdrożach. Orda

potrafi także całkiem nieźle strzelać, tyle że nie z zamkniętymi oczami. Muszę ją jeszcze nauczyć celnie rzucać sztyletem. Za to ona uczy mnie posługiwania się

włócznią, a przede wszystkim szablą. Kiedy odjedziemy wystarczająco daleko od obozu

letniego, walczymy zwykle ze sobą niczym dwie lwice.

Nie mogę tylko jej pozwolić, żeby zbliżyła się na krótki dystans, bo silna jest jak niedźwiedź, a nie chcę robić użytku ze swej tajnej sztuki samoobrony, nie zapomniałam bowiem, co powiedział mi wtedy mój mistrz: „Kiedy przeciwnik wie, do czego jesteś zdolna, straciłaś już połowę swojej przewagi: element zaskoczenia!” Dlatego pozwalałam jej zwyciężać w walkach zapaśniczych. Właściwie wolałabym być razem z Roszem w dzikiej centurii Kitona, lecz nikt tego nie przewidział.

Orda jest zakochana w Kitonie, ale Umar, ten łotr, zagiął na nią parol. Naprawdę nie chcę już słyszeć o nim, od kiedy mój mężczyzna zrobił takie ogromne postępy.

Przekonuję Orde, żeby zdecydowała się na Kitona. Jako syn generała nie musi się trapić o przyszłość, a jeśli my, o czym ciągle poszeptuje się w naszym otoczeniu, w końcu kiedyś istotnie wyruszymy na Zachód, to ona pojedzie z nami i będziemy mogły zostać razem. Poza nią nie mam przecież przyjaciółki. Przenosząc się jednak z jednego miejsca na drugie po niekończącym się stepie — trawa, nic, tylko trawa, jedynie tu i ówdzie pagórek lub rzeczka — spotkałam ku swej wielkiej radości starego znajomego: kowala artystycznego mistrza Guillaume'a Buchiera z Paryża! Pamiętasz, zbudował wtedy w Antiochii kopie Rosza i moją jako mechaniczne lalki, żeby nabrać Iwona Bretończyka i umożliwić nam ucieczkę. Maitre był w drodze do wielkiego chana, któremu ma zbudować „pijące drzewo” i dlatego podróżował razem z jurta kowali do Karakorum. Co to za techniczne cudo, które konstruuje, na pewno opisze Ci dokładnie Rosz. Natychmiast bowiem opowiedziałam mu o swoim „znalezisku” i wtedy mój książę naturalnie przyszedł od razu — a dla mnie nie ruszy się od swojej gromady. Dzięki temu przynajmniej mogę go dotknąć od czasu do czasu, pocałować i przekonać się, czy wszystko jeszcze jest na swoim miejscu. Ciemna, zakopcona jurta mistrza Buchiera z migoczącym płomieniem w kominie to idealne miejsce na tajną schadzki kochanków! Spotkania te, choć namiętne, są jednak zawsze bardzo krótkie, gdyż część czasu

kradnie mi jego zainteresowanie pracą kowala. A drugą część rabują nasi nadzorcy, nie powinniśmy bowiem tak dużo przebywać razem — jesteśmy „jeszcze o wiele za młodzi”, jak powiada pan generał. „Musimy nauczyć się panować nad swoimi popędami” — tak z kolei brzmiała macierzyńska rada Dokuz-chatun, tej chrześcijańskiej pijaczki! Podejrzewam Orde, że zagląda do mojej kroniki, bo kiedyś z głupia frant zapytała: — A właściwie któż to jest ten William?

Musiała więc przeczytać ukradkiem Twoje imię. Podczas następnej walki zapaśniczej, gdy położyłam ją na łopatkę, wyglądała na bardzo zaskoczoną, a na dodatek w chwilę później poczuła mój sztylet na gardle.

— Dlaczego ranisz naszą przyjaźń, Ordo? — zapytałam. Wtedy wyznała, że należy do „tajnej służby” najwyższego sędziego, który odkomenderował ją, by baczyła na każdy mój krok jako straż przyboczna.

— Piękna strażniczka! — zadrwiłam, ale odparła, że bądź co bądź istnieje możliwość, iż jestem szpiegiem Zachodu i zapisuję wszystko dla Williama. Do łez się z tego uśmiełam i opowiedziałam jej o tobie, a ona zawstydziała się, że mnie oszukała, działając z rozkazu Bułgaja. Wyciągnę z tego naukę, oznajmiłam zresztą też Roszowi, że o pewnych rzeczach będziemy w przyszłości pisać w sposób zaszyfrowany, bo jeśli już nasyłają na mnie biedną sierotę, to nie wiadomo, kto jeszcze szpieguje dla tajnej służby na dworze Dokuz-chatun.

Ściskam Cię i będę się za Ciebie modlić, bo dzisiaj muszę jeszcze zajrzeć do kościoła, Twoja Jeza, O. C. M.

L.S.

Rosz do Williama,

w obozie letnim Mongołów,

w ostatniej dekadzie kwietnia A. D. 1253

Drogi Williamie, jakże my się właściwie nazywamy? Szambelan il-chana Hulagu, pan Ata al-Mulk Dżuwajni, zwrócił mi właśnie pilnie uwagę na to manko, które byłoby dla niego kłopotliwe, a być może nawet postawiłoby go w krępującej sytuacji, gdyby miał nas przedstawić wielkiemu chanowi.

— On też przecież nie nazywa się po prostu tylko Móngke! ".*" zażartowałem. Zganił mnie jednak mówiąc, że ja mogę sobie być kim chcę, ale Czyngisydą na pewno nie jestem. Nikt inny, tylko potomkowie Czyngis--chana mają prawo chodzić po świecie z samym imieniem. Jasne: on wszak należy do nich, a ponad nimi jest jedynie Tengri, Błękitne Wieczne Niebo. Ja natomiast mogę się wykazać trzema imionami, Roger Rajmund Bertrand, Jeza zresztą też: Izabela Konstancja Rajmunda. W moim wypadku widać dosyć jasno, komu je zawdzięczam, przynajmniej pierwsze dwa: nosił je Parsifal, a Bertrand wiąże się jakoś z moją matką, tak mi powiedział Gawin, ale niczego więcej nie wyjaśnił. Z Jezą wszystko jest jak zwykle bardziej skomplikowane. Rajmunda wskazuje być może na ten sam ród Trencavel, co wcale jeszcze nie przesądza o tym, że jesteśmy rodzeństwem lub przynajmniej rodzeństwem przyrodnim. Mnie w każdym razie nie brakowałoby tej siostrzanej strony w mej damie; rozkosz cielesna, jakiej doznajemy będąc ze sobą, wiąże się też na pewno z tym, że właściwie nie wolno nam tego czynić. Nasz związek pewnego dnia przyniesie mi może potomka i następcę, ale bynajmniej nie da przynależności do sławnego rodu. W każdym razie w naszym nazwisku powinno występować „Tren-cavel", choćby po to żeby ród strażników Graala nie wymarł. Poza tym podobno mamy w swoich żyłach krew staufowską, ale nie chcę się nazywać „von Hohenstaufen", prędzej już „d'Hauteville", od Konstancji, normańskiej matki Fryderyka. Chciałbym też jednak uhonorować Montsegur. Jak Ci się podoba „Trencavel z Haut Segur"? A przed nazwiskiem „princeps"; wtedy dopóki jeszcze jestem młody, mógłbym kazać się tytułować księciem, a później po prostu przybrałbym tytuł

księcia, W przyszłym roku, jeśli moje obliczenia się zgadzają, będę pełnoletni, Ciekawe, kto będzie mnie pasował na rycerza! A księżniczka Jeza? Zostanie „księżną Trencavel”.

Ale może również Przeorat zechce być uwieczniony w naszym nazwisku? Moglibyśmy dodać „du Mont” po nazwisku Jezy, ażeby mimo wszelkich podobieństw wyrazić drobną różnicę w stosunku do mojego. Stary Turnbull używał takiego przydomka; zresztą on też nie bardzo znał swoje pochodzenie. Gdyby nie spodobało się to mojej damie, z czym zawsze muszę się liczyć, moglibyśmy się też zamienić. Daj mi znać, jak Ty to widzisz! W każdym razie od tej pory będziesz dostawał wiadomości od R. T., Rosza Trencavela.

A pierwsza jest taka, że zapekowali Malufa, wsadzili go do beczki, żeby przynajmniej zachował świeżość, gdyby miał nie przetrzymać podróży do wielkiego chana z powodu swej dotychczasowej samokonsumpcji. Druga to spotkanie z mistrzem Buchierem.

Polecono mu zbudować wielki szynkwias, z którego podczas biesiad wielkiego chana mają płynąć cztery różne napoje. Ma on już bowiem dosyć ciągłego widoku kadzi i bukłaków, z których słudzy napełniają dzbany. Wtedy albo przy wejściu do namiotu robi się błoto, albo kadzie stoją za daleko, przez co służba potrzebuje za dużo czasu na przyniesienie żądanych napitków, a w dodatku przeważnie wychlapuje po drodze połowę. Zadanie, jakie Móngke zlecił mistrzowi osobiście, polega na zainstalowaniu systemu rur, które łączyłyby się w jednym miejscu, a służyłyby do transportu w wystarczających ilościach właściwego wina, po drugie sfermentowanego kobyle-go mleka, po trzecie miodu pitnego, a po czwarte wina ryżowego — w taki sposób, żeby wystarczyło podstawić dzban, gdy najdzie człowieka ochota na któryś z napojów. Mistrz Buchier zaprojektował drzewo, w którym rury dopływowe dochodzą do korzeni, potem biegną w pniu, a następnie odginają się w dół jako srebrne gałęzie. W każdą stronę świata sterczy gałąź z innym trunkiem, rozwidlająca się na końcu jeszcze raz, tak iż

równocześnie może napęlniać dzbany dwunastu sług. Srebrne liście na owych gałęziach służą jako kurki czerpalne, a jeśli mimo to coś się przeleje, to zbiera się w misach ze srebrnych liści. Cztery złote węże owijają się wokół drzewa i podpierają zwisające gałęzie. Przez ich ciała napoje zebrane z mis spływają z powrotem do pnia i gromadzą się w wannach, z których mogą pić słudzy i pospólstwo. Wanienki te mają kształt lwów siedzących u stóp drzewa. Pośrodku korony drzewa góruje anioł ze złotą trąbą. Między korzeniami, wykorzystując grzbiety lwów, mistrz przewidział jamę wystarczająco dużą, by pomieścić kucającego człowieka. Z owej jamy prowadzi w górę zespół drażków, który pozwala aniołowi zbliżyć trąbkę do ust. Kolejna cienka rurka wiedzie od owej jamy wśród korzeni przez drzewo i anioła, a kończy się pomiędzy jego wysuniętymi ustami. Kiedy ukryty na dole człowiek dmie mocno w rurkę, u góry rozlega się dźwięk trąbki, znak dla służby w magazynach, by jak najprędzej uzupełnić ilość napojów w systemie rur.

— Dla każdego trunku jest osobny sygnał. Pierwotnie chciałem — tak zwierzał mi się mistrz Buchier — żeby wszystko funkcjonowało mechanicznie, za pomocą miechów, ale nie wytwarzają one wystarczająco silnego wiatru.

— A może tracił on siłę po drodze wzwyż? — wykazałem się znajomością rzeczy.

— Pewnie tak — potwierdził moje przypuszczenia. — Piękne by to było, gdyby każdą wiadomość od ochmistrza można było sygnalizować za pomocą innego dźwięku... Nie chciałem wyjść na zarozumialca, tedy oblekłem swoją propozycję w szatę pytania:

— Może dałoby się to osiągnąć przez włączenie także drugiej ręki anioła i zaopatrzenie instrumentu w różne dziurki, które przechodząc przez jego dłoń, byłyby zakrywane w rozmaitych kombinacjach?

— *Magnifique** — pochwalił mnie mistrz. — W ten sposób anioł mógłby grać nawet

melodie! — Uściskał mnie. — *Prince Roc, mon cher Trencavel*, * jaka szkoda, że los wybrał was do rzeczy wyższych. Byłbym szczęśliwy, gdybym mógł pracować z *esprit*

*comme le vôtre**

— Gdyby problem dźwięków trąbki rozwiązać za pomocą jednej ręki... — teraz nie dałem się już powstrzymać — a więc wykorzystując staw łokciowy i różne kąty nachylenia instrumentu w stosunku do ciała, to druga ręka byłaby wolna dla dzwonek, którymi anioł mógłby oznajmiać przybycie poszczególnych napojów.

— Może powinien również, tańcząc, obracać się na jednej nodze! — zażartował mistrz. — *Mon prince*, zapominacie, że tam, w tej jamie, zasiądzie nie wasza wysokość, tylko prosty Mongoł! Który z rozpaczy jeszcze się upije i wszystko pomiesza!

— Szkoda — powiedziałem — że zawsze przeciętność ogranicza powstawanie wielkich dzieł sztuki. A czy ta jama nie może być tak przestronna, żeby dwóch małych Mongołów mogło dzielić się podnoszeniem trąbki, dęciem w rurkę i grą na dzwonekach?

— Pozwólcie mi pracować, mistrzu — pożegnał mnie z uśmiechem *monneur*

Buchier. — Oto nadchodzi wasza *damma*, która nie jest gotowa dzielić się wami z aniołem. Jeza nie weszła do czarnej od dymu jurty kowala artystycznego, tylko przysłała swojego „skoczka” Orde, aby zakomunikować mi, iż pan Dżuwajni już nas niecierpliwie oczekuje. Pojawienie się tego żeńskiego centaury wprowiło w zachwyty mój cień, czyli

Umara, który siedząc przed jurką, czuwał nad moim bezpieczeństwem. Zerwał się

skwapliwie, lecz ona nie omieszkała wejść do ciemnego namiotu i osobiście

przedstawić swoją misję. Pewnie chciała też przy okazji rzucić okiem na warsztat, srebrne drzewo i sławnego mistrza. Nie śpieszyła się z tymi oględzinami choćby

dlatego, że chciała podręczyć biednego Umara, który na zewnątrz tęsknie jej

wyczekiwał. Kiedy Jeza i ja udawaliśmy się dokądkolwiek razem, była to dla niego jedna

z nielicznych okazji do rozmowy z Orde, gdyż nasi przyboczni strażnicy musieli

wszędzie chodzić za nami, nie odstępować nas na więcej niż trzy kroki.

Dżuwajni oznajmił nam, że generał Kitboga, z racji naszych wybitnych osiągnięć, zgodził się przyjąć mnie tudzież mego przyjaciela i obrońcę Umara do gwardii przybocznej wielkiego chana. Dowódca naszej centurii, Kito, popierał tę decyzję. Nie czułem radości z tego powodu, ponieważ oznaczało to rychłe przeniesienie do stolicy Karakorum i pewnie Jeza i ja bylibyśmy znowu rozdzieleni. Prawdopodobnie wszystko to było intrygą uknutą przez Kitona, aby przez niewątpliwe wyróżnienie pozbyć się Umara, rywala zabiegającego jak on o względy Ordy. Jeza widziała to inaczej.

—

Szanowny panie szambelanie — oświadczyła ze złością, ale stanowczo — nie sądzę, żeby możny władca wszystkich Mongołów, Charan chanów, kazał zabrać nas, królewską parę, z Alamutu, spod opieki imama po to, żeby przyjmować księcia Rogera Rajmunda Bertranda Trencavela z Haut Segur do swojej straży przybocznej! Jeśli mamy jechać do Karakorum, to tylko jako wasale, którzy oddadzą mu hołd, i żeby korzystać z jego gościnności na dworze, a na dodatek we dwoje, gdyż nie można nas rozdzielić, i weźmiemy ze sobą swoich przybocznych strażników, którzy są nam mili i drodzy.

Moja *damma* doprawdy uniosła się i nie przebierała w słowach; kiedy mówiła o Róży i imamie, zrobiło mi się gorąco i przyszło mi do głowy coś zupełnie innego. Dżuwajni nie dał się jednak tak łatwo odwieść od swego pomysłu, choć spuścił z tonu i podkreślił, że

służba w gwardii przybocznej jest służbą honorową, a ja naturalnie obejmę stanowisko oficerskie, oboje zaś oczywiście będziemy przyjęci do dworu, Jeza wraz z pokojówką, podobnie jak ja z giermkim. Ponieważ Jeza trwała przy swoim, szybko zrzucił maskę i zapytał ostro: — A w imieniu jakiego kraju pragniecie oddać hołd jako wasale, gdzie wasz trybut, gdzie dary? — Nie szydził z nas, ale to było szyderstwo. Graala nie złożył ci u stóp, pomyślałem, Jeza zaś skontrowała: —

My jesteśmy darem. — To rzekłszy,

opuściła jurte Dżuwajniego, a za nią Orda. Wtedy i mnie nie pozostało nic innego, jak powiedzieć: — Choćby wasza propozycja była dla mnie wielkim honorem, nie mogę jej przyjąć. Służba w straży przybocznej wielkiego chana nie jest naszym przeznaczeniem, choćbym chciał chronić jego życie z narażeniem własnego. Porzucicie więc ten zamysł i pozostawcie panu Móngkemu, żeby zdecydował o naszym losie!

Dałem znak Umarowi i również wyszliśmy. Byłem jednak przekonany, że Dżuwajni jeszcze długo nie uzna się za pokonanego, nie pozwalała na to jego duma. Wbił sobie do głowy, że złoży nas u stóp swemu najwyższemu władcy jak świeżo zdobyty łup lub przynajmniej przedstawi nas jako ujarzmionych barbarzyńców. W skrytości ducha poczułem panikę, przypomniawszy sobie nagle o przysiędze Róży. Mój drogi Williamie, ponieważ nie wiem, czy ktoś jednak potajemnie nie czyta tych listów, opowiem Ci pewną baśń i mam nadzieję, że zrozumiesz jej sens.

Daleko w ogrodzie różanym panował król Smok. Nienawidził on i obawiał się cesarza wiecznego nieba, ponieważ ten zabrał mu córkę Smokównę jako zakładniczkę, kiedy była j jeszcze dzieckiem, a teraz wezwał również bezdomnego króla Grialą z Okcytanii i jego żonę, królową Grailinę, żeby uciekli z różanego ogrodu i przyszli do niego, potężnego cesarza nieba. Dlatego król Smok kazał czternastu swoim najlepszym rycerzom złożyć przysięgę, że udadzą się do nieba i albo zabiją cesarza, albo jemu, czyli swemu władcy Smokowi, nigdy więcej nie pokażą się na oczy.

Król Grial i jego małżonka Grailina uciekli i błakali się po rozległym kraju. Wspięli się na wysoką górę i znaleźli w jaskini wielki skarb, który ukrył tam Ali Baba i jego czterdziestu rozbójników. Kiedy banda zastała w jaskini biednego Grialą i jego Grailinę, złoczyńcy chcieli oboje zabić. Wówczas pośpieszył im z pomocą samotny rycerz. Był to

Tundri, syn cesarza, wysłany przez ojca naprzeciw uciekinierom. Jeden miecz wszakże

nie wystarczył wobec przewagi liczebnej rozbójników. I wtedy to, w największej opresji, jak spod ziemi wyrosło przy nim czternastu zamaskowanych rycerzy, którzy walczyli zaciekle z Ali Babą i jego czterdziestoma ludźmi. Wszyscy szubrawcy zostali zabici, ale z czternastu mężnych rycerzy tylko jeden przeżył: Smoczyk, syn króla Smoka, lecz jego imię znali tylko król Grial i jego żona, nadobna Grailina. Również Tundri, syn cesarza, wyjawiał im, kim jest. Synowie zwaśnionych ojców, Smoczyk i Tundri, nie znali się, a król Grial też ich sobie nawzajem nie przedstawił, co trzem ocalałym w walce rycerzom nie przeszkodziło zawrzeć braterstwa krwi. Król Grial, książę Smoczyk i książę Tundri przysięgli służyć damie Grailinie jako rycerze i wspólnie pojechali do krainy wiecznego nieba.

Cesarz nadal więził na swym dworze córkę Smoka, a siostrę Smoczyka. Przez wszystkie te lata Smokówna rozkwitła i wyrosła na piękność, a była obiecana Tundriemu. Cesarz wiecznego nieba, rad, że przybywa doń królewska para Grial i Grailina, wyprawił naprzeciw posłańców. Mieli przekazać, że będzie szczęśliwy, mogąc widzieć wkrótce u swego boku młodego króla wraz z jego przyjaciółmi i obrońcami.

Pragnie go przyjąć jak własnego syna, a królową Grailinę jak córkę. Wtedy strwożył się król Grial okrutnie, gdyż przypomniał sobie, że czternastu rycerzy przysięgło w ogrodzie różanym, iż zgładzą cesarza. A był wśród nich też książę Smoczyk, którego tu, w niebie, nikt nie znał. Prawdopodobnie, myślał Grial, uratował mnie przed Ali Babą tylko dlatego, że jedynie dzięki mnie może dostać się w pobliże cesarza, którego do tej pory nie widzieliśmy na oczy. Siedząc między mną a władcą, Smoczyk wyciągnie miecz i bez trudu wbije go cesarzowi w serce. Wprawdzie aniołowie posiekają go za to na kawałki, ale on swój cel osiągnie. Mnie i mojej małżonce Grailinie zamienią życie w piekło, gdyż ostatecznie cesarz położy tę zmię na swojej piersi, żeby mi sprawić radość. Król Grial

myślał z drzeniem o tym wszystkim, do czego zdolni są aniołowie, a zwłaszcza archaniołowie, i widział już siebie w przedsionku piekieł, w purgatorium, które czekałoby go niechybnie, gdyby udał się na dwór razem ze Smoczykiem. Nie miało sensu żądać

wyjaśnień od syna Smoka. Nawet gdyby Smoczyk obiecał Grialowi, że nigdy nie podniesie ręki na cesarza, Grial nie miałby pewności, czy nie jest to kłamstwo z konieczności. Nie wchodziło też w rachubę wydanie księcia Smoczyka aniołom z powodu przysięgi, jaką złożył.

Wieczorem, kiedy króla Grialą wyjątkowo mocno gryzło sumienie, wszedł do jego namiotu księżę Smoczyk i ozwał się tymi słowy:

—
Drogi bracie Grialu, cesarz tego kraju, któremu nie zamierzam wyrządzić nijakiej krzywdy, trzyma w niewoli moją siostrę Smokównę. Pomóż mi ją oswobodzić, a wrócę do różanego ogrodu i oddam ją ojcu Smokowi. Wtedy moja podróż spełni swój cel.

Król Grial pogrążył się w zadumie. Nie wierzył bowiem w zmianę nastawienia Smoczyka, przeciwnie, był święcie przekonany, że Smoczyk pragnie tylko dostać się do pałacu przy jego pomocy. I w końcu tak mu odpowiedział: -- Możliwe to będzie, bracie, tylko wtedy, gdy przywdziejesz szatę archaniołów, która przypomina płaszcz rycerzy Świątyni. Oblecz się w długą białą szatę z wyszytym czerwonym krzyżem i włóż hełm na głowę, a wówczas zapewne nie natrafisz na opór. Będziesz mógł wykraść siostrę, a ona ochętnie podąży za tobą.

— Wprowadź więc mnie do pałacu — zażądał Smoczyk, ale Grial oświadczył mu, iż musi czekać w namiocie przed bramami miasta, a on wraz z królową Grailina zadba, aby Smokówna chyłkiem się tam dostała. Zadowolilo to księcia Smoczyka, który podziękował mu wylewnie. Król Grial przyjął zaproszenie cesarza, pojechał z Grailina i Tundrim do pałacu i przeprosił za nieobecność swego przyjaciela i wybawcy, mówiąc, że księżę Smoczyk niedomaga i przybędzie kilka dni później, aby z radością zająć

zaszczytne miejsce u boku cesarza.

—

Mówiąc szczerze — szepnął król Grial do Tundriego — popsuł sobie żołądek i tak brzydko cuchnie mu z ust, że wstydzi się objąć i pocałować cesarza, jak to jest w zwyczaju. Księżciu Tundriemu było to obojętne. — Wyznam ci w zaufaniu — odparł — że cesarz, mój ojciec, trzyma w pałacu zakładniczkę. Nazywa się Smokówna, ja zaś pragnę możliwie najszybciej wziąć ją w objęcia, a nie czekać, aż ojciec uroczyście odda mi ją za żonę. Czy ty albo twoja droga Grailina nie moglibyście przekazać owej pannie, że oczekuję jej w jedną z najbliższych nocy, najlepiej już jutro? Król Grial udał długi namysł.

— Chętnie ci pomogę, bracie — ozwał się po chwili — ale żeby uniknąć w nocy pomyłki lub innej przykrości, winieneś uzgodnić ze Smokówną jakiś znak. A może wyślesz jej taką samą szatę, jaką ty przywdziejesz? Najlepiej długą białą z wyhaftowanym czerwonym krzyżem, jakie noszą templariusze. Powinieneś też włożyć hełm, żeby nie poznał cię nikt z ludzi twojego ojca, ale twoja najmilsza od razu wiedziała, kogo ma przed sobą. Kiedy już się z nią połączysz, możesz przecież zdjąć hełm, jeśli będzie ci przeszkadzał w miłowaniu.

— Przedni plan — uznał księżę ukontentowany. — Mogę też grać na lutni i mam dobry głos. Powiedz jej, że będę...

— No, nie wiem — przerwał mu król Grial — takim głosem mógłbyś zbudzić aniołów, lepiej zaśpiewaj jej coś na ucho, gdy będziecie sami!

— Jesteś mi prawdziwym przyjacielem — oświadczył Tundri. — Śpieszę więc, żeby ci przynieść szatę dla Smokówny, dodam też kilka słów wyjaśnienia. Ach, moje serce gore!

Król Grial wstydził się rzecz jasna, ale cóż mu pozostało? Pragnął uchronić od zguby dobrego cesarza — który kochał go jak syna — i uratować życie Smoczkowi, z którym wiązało go braterstwo krwi, bo w przeciwnym razie to on byłby zgubiony. Chodziło też o odwrócenie nieprzyjemności od siebie samego i ukochanej żony, czego nikt nie może mu mieć za złe. Ale wówczas musiałyby zrujnować miłość swego przyjaciela Tundriego i uroczej Smokówny. Jak się ta historia zakończy, dowiesz się, drogi Williamie, kiedy będzie po wszystkim.

Twój Rosz

PS. Ja też jeszcze tego nie wiem!

* Az-zina (arab.) — kopulowanie, dosł.: wszeteczeństwo.

* Magnifique (fr.) —wspaniale, doskonale.

* Prince... (fr.) — księżę Rosz, mój drogi Trencavel.

* Esprit... (fr.) —umysł taki jak wasz.

VI. HANDLARZ NIEWOLNIKÓW I PIRACI

W ten letni dzień w dawnym pałacu biskupim w Konstantynopolu panowała senna cisza. Ostami mieszkaniec, wszechwładny Mikołaj z La Porty, zszedł był przed laty i pałac Kallistosa stał pusty, dopóki krewny biskupa, Harno L'Estrange, nie zdecydował się objąć tego dziedzictwa i tu zamieszkać. Południe już minęło, a w przestronnej budowli na wzgórzu ponad miastem nad Złotym Rogiem wciąż spali prawie wszyscy. Hrabia Hamo ze swym sługą Filipem spędził całą noc w tajemnym skarbcu.

Używając marmurowej zjeżdżalni, która przypominała szeroką balustradę schodów, przetransportowali duże skrzynie do zamykanego magazynu. Na koniec wczesnym rankiem hrabia włożył do starego worka wypełnioną złotymi monetami skrzynię i

pojechał na osłe do starej części miasta. Przybywszy do okrytego złą sławą domu rozpusty, zbudził monseigneur Gosseta i przekazał mu skrzynię przeznaczoną do rąk penikrata. Następnie udał się do tawerny i zatroskanym wzrokiem popatrzył na port w dole. Z zadowoleniem stwierdził, że jego triera nadal stoi na kotwicy. Po powrocie do pałacu położył się spać, bo do wieczora nie było nic do roboty — przynajmniej dla niego.

Słońce dobiegało zenitu i można było przyjąć, że piraci się wyspali, gdy Crean z Bourivanu wyruszył z bogatą świtą do portu jako Mustafa Ibn Daumar, kupiec z Bejrutu. Ostentacyjnie przyglądał się cumującym tam statkom, z jednym czy drugim właścicielem zamienił parę słów, które dotyczyły „podróży powrotnej z wieloma cennymi towarami”, a w końcu dotarł do triery.

Wiadomość ta, poprzedzająca kupca niczym migotliwa wonna chmurka, wypędziła z łóżka kapitana piratów. W zdecydowanie zbyt wytwornym szlafroku niecierpliwie przestępował z nogi na nogę, kiedy przybyła zapowiedziana złota rybka. Na jego zaproszenie dostojny gość wraz ze świtą wszedł na pokład, nie zwracając najmniejszej uwagi na zuchwałych już z wyglądu osobników, tylko z miną znawcy sprawdzał żagle, takielunek i stan wiosł. Kazał sobie pokazać kajutę na rufie, gdzie zamierzał rezydować podczas podróży. Jeszcze godzinę wcześniej mieszkał tam kapitan, który stokrotnie przeproszał za nieład. Pan Mustafa, uśmiechając się tylko, pominął milczeniem obecność lekko odzianych dam, które kapitan wypędził w niewybrednych słowach z rozgrzebanego łóżka. Obie strony prędko dobiły targu, zwłaszcza że pan Mustafa upierał się, iż sam kupi żywność i wino. Twierdził, że ma wybredne podniebienie, a poza tym lubi, gdy wszyscy na pokładzie dostają dobrze jeść i pić. Bardzo to ucieszyło kapitana, o czym ciągle zapewniał, w końcu ustalono, że towar ma

być wniesiony na pokład jeszcze tego wieczora. Pan Mustafa podkreślił, iż zamierza odpocząć przed rozpoczęciem podróży nazajutrz wczesnym rankiem. Odchodząc wcisnął kapitanowi do ręki sakiewkę wypchaną monetami tytułem zaliczki i wyraził życzenie, ażeby gdy przybędzie, załoga była w komplecie na pokładzie, każdemu pragnie bowiem wręczyć podarunek. Również to spodobało się kapitanowi, choć zawstydzony wybąkał, że tak wielka wspaniałość wcale nie jest potrzebna. Rozstali się zatem w najlepszej zgodzie. Crean upewnił się, że nikt go nie śledzi, gdy okrężną drogą wrócił do pałacu Kallistosa. Położył się spać w swoim namiocie, to samo zalecił też całej świcie. Przed magazynem ze skrzyniami postawiono zaś strażników. Na słońcu przed murami pochrapywali także leniwi żebracy, a w dużej sali na górze rozbójnicy.

Penikrat spoczywał pod baldachimem w paradnym łożu biskupa, nie przeczuwając nawet, że dokładnie pod nim znajduje się jedno z wejść do prywatnej kaplicy. Z uwagi na swój status zarekwirował dla siebie najpiękniejszą komnatę i tak był dumny ze swego wystawnego łoża, że nigdy by mu nie przyszło do głowy, żeby pod nie zajrzeć. Gdyby ktoś mu doniósł, na jakich to skarbach wyleguje się już od lat, pewnie szlag by go trafił. A tak był jedynie bardzo zdziwiony, kiedy Gosset przyszedł go zbudzić, aby obwieścić, że Hamo zjawił się u niego skoro świt—przypuszczalnie z lądu—i przyniósł całą skrzynię sztuk złota za to, żeby wieczorem dwudziestu wybranych przez Taksjarchosa ludzi i on sam schowali się w skrzyniach i dali zanieść na pokład triery, a tam na umówiony sygnał wyskoczyli, obezwładnili piratów i zajęli trierę.

— Ja miałbym w skrzyni...?

— Owszem — potwierdził kapłan z leciutkim odcieniem złośliwej satysfakcji w głosie.

— Hamo chciałby, żebyście osobiście dowodzili przedsięwzięciem.

— Ile złota? — zapytał penikrat wciąż jeszcze zaspany.

— Tyle — odparł Gosset — że bez skargi siedzielibyście za nie przez tydzień w

każdej skrzyni. Taksjarchos w jednej chwili oprzytomniał. Skąd ten hołysz ma nagle tyle złota? Jediną osobą, która przespała całe przedpołudnie i nie wstała także na obiad, był William z Roebruku. Słońce chyliło się już ku zachodowi, a okrągłutki franciszkanin nadal chrapał w tym samym kącie w kuchni,

gdzie sługa Creana położył go na stosie worków między leniwymi żebrakami. Widać odniósł skutek silny środek nasenny, który podał mu w winie Hamo, młody hrabia

bowiem, stawszy się człowiekiem majątnym, obawiał się, że William — choćby z głupoty — może się wygadać. Dlatego zamknął usta temu, który wiedział o istnieniu skarbu, dopóki wszystko, jak Ufał, nie ułoży się zgodnie z jego planem. A ów wyglądał — Bóg świadkiem! — zgoła inaczej niżli plan Creana i Williama! Wystarczająco

ryzykowne było już to, że musiał się posłużyć penikratem i jego bandą, ale tak żeby nie domyślili się, jak bardzo zmieniła się jego sytuacja. Pomimo całej przyjaźni natura *lestai* miała to do siebie, że potrafiliby oni przemienić się błyskawicznie w żadne zdobyczy

wilki, gdyby zwąchali, jakie skarby mają właściwie pod ręką, w dodatku niestrzeżone.

Dlatego Hamo uważał pomysł ze skrzyniami za podwójnie genialny. Z pomocą Filipa wymościł wszystkie starymi derkami i szmatami, które położył na złocie, zaopatrując je jak gdyby w podwójne dno. Jeśli teraz w każdej skrzyni będzie siedział uzbrojony człowiek penikrata, większa waga nie zwróci w ogóle niczyjej uwagi, a rozbójnicy poniekąd wniosą mu zarazem na pokład wszystko, co chciał wziąć ze skarbcza. A resztą niech się zadowolą Crean i William! Hrabia Hamo nie miał żadnych wątpliwości, że minorityta przy pierwszej okazji wyruszy na poszukiwanie zgubionej drogi do biskupiej kaplicy. Czemu zresztą nie? Zostawił mnichowi wystarczająco dużo.

William był już w trakcie poszukiwań obiecanych skarbów, albowiem śnił o nich.

Obrazy ułożyły się nagle w klarowną całość i rozwiązanie okazało się proste. Pałac

Kallistosa nie był niczym innym, jak olbrzymim zbiornikiem wody dla miasta nad Bosforem. Tak zaprojektował go Witruwiusz. Kaplica stanowiła zbiornik ciśnieniowy systemu, przełomową, aczkolwiek nieudaną próbę bizantyjskiego budowniczego Nikonome-nosa, jednego z nauczycieli słynnego Villarda de Honnecourta. Po zdobyciu Konstantynopola konstruktor wyjechał i trafił na dwór świętej Elżbiety Węgierskiej, a w pustej komorze wodnej urządzono kaplicę. Kiedy William to zrozumiał—także w snach istnieje żal za głupie uczynki i zaniedbania — bez trudu dotarł do miejsca swoich tęsknot. Wskoczył do trzeciej studni — czemu od razu tego nie odgadł?! — i wynurzył się z wód jeziora, pośrodku którego wznosił się minaret. Składał się on z czterech marmurowych kolumn, co spletały się niczym warkocz, a w końcu znikwały w stropie grotty. Brodząc w wodzie sięgającej bioder, William podszedł do cokołu wieży, nasadzonej niby dzwon na okrągły odpływ, w który wpływała woda. Wewnątrz wieży ujrzał ogromną kadź zawieszoną na linie prowadzącej w górę do marmurowej ślimacznicy, z tej zaś zwisał drugi sznur, połączony z dnem kadzi. William spuścił kadź całkiem nisko — czując przy tym w ręce, jak drugi koniec liny ciągnie w górę — aż spadająca woda zaczęła napełniać naczynie. Zaraz musiał jednak mocno uchwycić się liny, gdyż kiedy kadź stała się cięższa od niego, jego ciało zostało pociągnięte w górę. William przefrunął przez jakiś otwór, zeskoczył — i znalazł się pośrodku skarbcza

biskupa. Ale skarbiec był pusty! Hamo wyniósł wszystko. Rozczarowanie to mogło skłonić minorytę do zbudzenia się ze snu, ale trucizna w jego żyłach działała jeszcze na tyle mocno, że postanowił uznać ozdobione po sufit złotą mozaiką i pozbawione okien pomieszczenie za fałszywy cel i pójść tą samą drogą jeszcze raz, lecz teraz naprawdę.

Ostatecznie Hamo wskoczył do drugiej studni i dotarł do skarbcza. Wtem wzrok Williama padł na marmurową posadzkę kaplicy. Przed nim leżał, w postaci delikatnych intarsji, dokładny plan pałacu z wszelkimi sekretnymi przejściami i drogami ucieczki. Ależ był

głupcem! Prościej chyba już się nie dało! William czym prędzej zapadł z powrotem w swój sen.

Wczesnym wieczorem, o umówionej godzinie, rozbójnicy pod wodzą Gosseta zebrali się w dużej sali pałacu Kallistosa. Penikrat wybrał z rozwagą tych spośród *lestai*, u których zręczność łączyła się z brakiem skrupułów, kiedy trzeba było błyskawicznie obezwładnić lub nawet ukatrupić przeciwnika. Poza tym musieli się zmieścić w skrzyniach Hamona. Innych wyznaczono do pracy w charakterze tragarzy. Wybranych ludzi Gosset prowadził pojedynczo do piwnicy, gdzie Hamo i Filip umieszczali ich w skrzyniach i przed zatrzaśnięciem wieka wyjaśniali im, jak otworzyć je od środka. Kiedy wszyscy zostali zamknięci, do akcji wkroczyli tragarze. Dźwignąwszy skrzynie, odnosili je do bramy, gdzie Crean ze sługami czekał już na załadowanie jego kufrów na gotowe do drogi muły.

Penikrat raz jeszcze uniósł pokrywę swojej skrzyni.

— Zadbajcie o to, szanowny panie — napomniał fałszywego kupca - żeby nasi przyjaciele piraci rychło legli spać, bo długo tu nie wytrzymam! Postaram się — zapewnił Crean i zamknął wieko. Kolumna ruszyła. Hamo i Gosset pośpieszyli przodem, aby czekać w tawernie na umówiony znak. Zarówno Taksiarchos, jak Crean polecili kapłanowi pilnować, żeby Hamo, trawiony zrozumiąłą niecierpliwością, nie popsuł planu w ostatniej chwili i nie naraził ich życia na niebezpieczeństwo. Filip podążył za kupcem jako sługa; przydzielono mu specjalne zadanie. Niósł mianowicie dwie beczułki wyśmienitego falerna,* po którym Crean spodziewał się, że posmakuje kapitanowi i jego załodze, choć nie było wolne od dodatków. Skuteczne, natychmiastowe działanie pozbawionego smaku proszku sługa wypróbował już poprzedniego dnia, w porozumieniu z Hamonem, na Williamie i do jednej z beczek dosypał tylko część tej dawki. Ostatecznie nie chodziło o to, żeby ktoś przespał całą noc, a oprócz tego

następny dzień. Na wszelki wypadek Filip dodał więc do drugiej beczułki szybko otrzeźwiająca odtrutkę.

Karawana kupca Mustafy Ibn Daumara z Bejrutu minęła kościół Świętego Georgiosa i cmentarz rodu Angelosów i zeszła do starej części miasta, po czym zaczęła torować sobie drogę do portu. William nadal śnił o studniach, z których woda płynęła do góry przez klapy w suficie, kłapiące nieustannie niczym szczęka trupiej czaszki. Widział siebie pod wodą w jakichś kazamatach, czuł ściskającą go za gardło kościstą dłoń Bartka, a tymczasem z bladej, obrzękłej twarzy topielca dobywał się bekliwy śmiech.

William zerwał się ze snu i wlepił wzrok w żelazną kratę w ścianie magazynu, przez którą Bartłomiej błagalnie wyciągał do niego rękę obwieszoną kilkoma złotymi łańcuchami.

— Oddam ci wszystko, bracie — jęknął. — Tylko mnie wypuść!

William ponownie zamknął oczy i odwrócił się na drugi bok, żeby przepędzić Bartka ze swoich snów. Obrzydliwe przekleństwo ostatecznie wyrwało mnicha ze snu.

Stwierdził, że leży na kupie starych worków, za nimi zaś zionie zakratowana ciemna dziura. Gdzież on się znalazł? Otaczała go odświętna cisza. Jego spojrzenie powędrowało do kuchni, która wydała mu się znajoma. W czaszce mu huczało. William z Roebruku z trudem i ostrożnie wracał do rzeczywistości. Czyżby przespał cały dzień? Hamo, ten nędzny szubrawiec!

Po wyjściu z kuchni i piwnicy William stwierdził, że został zupełnie sam w pustym pałacu. Wyfrunęli z niego nawet leniwi żebracy.

Z latarnią w dłoni mnich pobiegł na górę, do sypialni z łóżem biskupa. Odrzucił na bok prześcieradła, koce, puchowe pierzyny i kobierce i jął grzebać ręką w słomie, aż znalazł w skrzyni łoża dźwignię do otwierania włazu. Uruchomił ją, a gdy ukazały się drewniane schody, zszedł spieszenie po nich. W świetle lampy od razu stwierdził, że

Hamo wykonał dobrą robotę. Mimo to zostało wystarczająco wiele kosztownych rzeczy: szaty biskupie, kielichy, krucyfiksy i kilka szkatuł, cóż że pustych, skoro same miały dużą wartość. William potruchtał z powrotem do kuchni i przytaszczył worki, na których spał. Napelniając je, owijał wpierw troskliwie metale szlachetne w stuły i tuniki i uważał, żeby nic nie zgrzytało o siebie, jak również żeby nie można było wyczuć ostrych rogów.

Tak wypychał worek za workiem. Przy tej okazji wpadł mu w ręce niejeden klejnot przeoczony przez Hamona, a nawet kilka sakiewek złotych bizantów, ukrytych wśród kadzielnic, chrzcielnic i monstrancji.

Wtem ujrzał pierścień, który wprost poraził jego oczy. W sporej czerwonej kamei była kunsztownie wycięta pieczęć biskupa. Mnich z czcią włożył ten symbol najwyższej godności religijnej na środkowy palec lewej ręki. Pierścień stał się jego ozdobą.

Ponieważ worków z kuchni nie wystarczyło, rozciął puchowe pierzyny z biskupiego posłania, a na koniec związał nawet z prześcieradeł tłumoczki. Odnalazłszy zjeżdżalnię do piwnicy, uwijał się jak mucha w ukropie, żeby co prędzej wszystko

przetransportować na dół. — *As-Salamu alajkum!* — zawołał układnie kapitan piratów, kiedy oczekiwany tęsknie kupiec wkroczył na pokład. — Witajcie, szlachetny panie, i traktujcie ten statek jak swój, a mnie jak swego pokornego sługę!

Ta długa przemowa dała mu czas na szybki, pożądlivy rzut oka na skrzynie, które jedna po drugiej wnoszone były na pokład przez dwóch mężczyzn. Stawiano je tak ostrożnie, że ich zawartość nawet postronnemu obserwatorowi musiała się wydawać delikatna i wręcz bezcenna. Dwadzieścia skrzyń! Nie licząc pomniejszych kuferków, a przede wszystkim sakiewek, przypuszczalnie prywatnej własności bogatego pana!

Mustafa Ibn Daumar pstryknął palcami i jego osobisty sługa otworzył jedną z sakiewek, aby opłacić tragarzy i poganiaczy mułów.

— Teraz mogę wam pokazać wasz dom na czas podróży — oznajmił z dumą

kapitan. — Nie poznacie, panie, tego pomieszczenia. — To rzekłszy, chciał zaprowadzić gościa na rufę.

— Dziękuję — odparł Mustafa. — Z tym się nie śpieszy. Najpierw chciałbym przekazać wam i waszej załodze drobne podarunki. — I znów Filip musiał wcisnąć każdemu do ręki duży srebrny bizant, kapitan zaś otrzymał monetę ze szczerego złota.

— Czym zasłużyliśmy sobie na taką łaskawość?—zawołał ów... i przez chwilę pewnie naprawdę tak myślał. —Będziemy wam czytać z oczu każde życzenie!— przyszło mu w końcu do głowy j ako stosowne podziękowanie.

— Również to może poczekać do jutra! — oznajmił wielkodusznie pan Mustafa. — Pragnę was teraz zaprosić na powitalny napitek, tak znakomity, że Prorok wyjątkowo przymyka oko, aby i mnie nie ominęła ta rozkosz podniebienia! Dał znak Filipowi, który przytoczył pierwszą beczułkę i wybił kołkiem szpunt. Czerwone wino zaczęło kapać z kurka, Filip podstawił ukradkiem palec i oblizał go, przewracając z błogością oczyma. Kapitan pewnie to widział. Inni słudzy podali więc wszystkim kubki, a swemu panu i kapitanowi cenne puchary. Wtedy Mustafa Ibn Daumar wznosił swoje naczynie.

— Za dobre wiatry podczas rejsu! — zawołał i pociągnął solidny łyk. Nikt nie chciał pozostać za nim w tyle.

— Oby sztormy, skwar i choroby nas ominęły! — odpowiedział kapitan. I znów każdy się napił. Tymczasem Filip z rączą zwinnością napoczął drugą beczułkę i dolał wszystkim wina. Dało się już zauważyć działanie pierwszej, ludzie poczęli ziewać, toteż Filip się śpieszył. Kupiec ponownie wznosił puchar.

— Żeby nam los oszczędził spotkania z templariuszami, joannitami i piratami!

— Do dna! — krzyknął kapitan i mężczyźni jak jeden wychylili po kubku. Nagle kapitan osunął się na kupca i również ten zwałił się na ziemię. Wszyscy piraci uraczeni

winem zataczali się i przewracali niczym źle postawione kamienie domina. Nieliczni, którzy powstrzymali się od picia lub dopiero później pokazali się na pokładzie, drogo zapłacili: słudzy kupca natychmiast ich zasztyletowali. Skrzynie otworzyły się i wyskoczył z nich penikrat ze swoimi ludźmi, którzy bez zwłoki jęli przeczesywać trierę. Ani śladu Szirat lub innych kobiet. Spędzono piratów, co spali pod pokładem, ale żadnego już nie zabito, gdyż pan Taksiarchos nie pochwałał niepotrzebnego rozlewu krwi. Załogę zwięzono i zamknięto w zęzie, tylko kapitana penikrat kazał zostawić gdzieś z boku. Creana przeniesiono do kajuty i położono na posłaniu, a następnie wyprawiono Filipa, żeby sprowadził Hamona i Gosseta. Potem dowódca rozbójników zakradł się na palcach do kajuty Creana. —

Jeśli dobrze zrozumiałem pana,

który zwie się Mustafa Ibn

Daumar, a którego słudzy wyciągają sztylety równie szybko jak asasyni „Starca z Gór”

— mruknął zrazu szeptem, po czym głośniejszym głosem, kiedy przekonał się, że niemoc nie jest

udawana—za głupotę należy karać. —To rzekłszy, ściągnął Creanowi pierścienie z

palców. — Oto złośliwość otrzymała swoją zapłatę. Ale nasz młody przyjaciel Hamo

będzie miał jeszcze dużo czasu, żeby was wziąć w obroty — dodał po namyśle i

poklepał śpiącego w policzek, a jednocześnie drugą ręką sięgnął po agrafę zdobiącą

turban Creana. — Lepiej będzie, mój panie, jeśli resztę prześpicie. Penikrat rozejrzał się po kajucie i odkrył to, czego szukał: topornie wykonane szachy okrętowe,* składające

się z kwadratowego kawałka sukna w czerwono-zieloną kratę i figur, które wbijało się w

szachownicę, żeby nie przewracały się nawet na pełnym morzu. Zabrawszy je, odwrócił

się jeszcze raz do śpiącego Creana.

—

Chętnie bym wam służył, mój panie — szepnął — ale kto płaci, ten wydaje

rozkazy, a tym człowiekiem jest młody hrabia.

Uklonił się nisko i wyszedł. Na zewnątrz zwrócił się do swoich ludzi. — Przynieście mi teraz kapitana! — wrzasnął.

Przywlekli go niczym mokry wór, rzucili brzuchem na wieko największej skrzyni i sznurami przywiązali mu ręce i nogi do kluczek przy burtach. Kończyny pirata były więc wyciągnięte każda w inną stronę, a ciało tak rozpięte, że nie mógł się ruszyć. Zdarli zeń koszulę i odsłanili plecy. Myliłby się jednak ktoś, gdyby sądził, że kapitan został

wychłostany. Zwisając głowę polano mu zimną wodą, ale nie zrobił swoim oprawcom tej przyjemności i się nie obudził. W tym momencie wpadł pędem na pokład Hamo, za nim śpieszył Filip, a na końcu celowo wolniej zdążał monseigneur Gosset.

— Gdzie moja żona? — Z tymi słowami hrabia rzucił się natychmiast na spętanego, lecz ten nawet nie drgnął. — Zbudźcie go! — krzyknął rozjuszony Hamo.—Bo ja go tak stłukę, że wróci do życia, po raz ostatni!

— Ta trucizna jest silniejsza, potrzeba czasu — poddał pod rozwagę penikrat.

— Ale ja nie chcę dłużej czekać! — zawył Hamo, okładając pięściami tył głowy pirata.

Ten jęczał, ale nie odzyskał przytomności. — Gdzie jest Szirat?! Gdzie moja córka?! — wysapał hrabia, gdy na twarz kapitana znów chlusnął strumień wody. — Ja cię zabiję...

— Wtedy niczego się nie dowiecie! — Taksjarchos łagodnie odsunął go na bok. —

Pozostawcie szubrawca mnie i Gossetowi i postarajcie się lepiej obudzić bogatego

kupca Mustafę Ibn Daumara, w przeciwnym razie będziecie mieć na pokładzie

szlachetnego izmailitę jeszcze jutro rano. Filip zaofiarował się, że zaprowadzi swego

pana na rufę. — Zawołajcie mnie, jak tylko łajdak otworzy gębę! — zawołał jeszcze

Hamo do penikrata, zanim opadł w kajucie na krzesło i ukrył twarz w dłoniach.

Penikrat kazał przynieść dwa zydle i uprzejmym gestem dał znak swojemu „doradcy”

monseigneurowi Gossetowi, by usiadł naprzeciwko niego. ---Należy jeszcze wyjaśnić

jedną kwestię — rzekł spokojnie, rozkładając sukno z wzorem szachownicy na obnażonym grzbiecie pirata.

— Pytajcie — odparł Gosset — zawsze znałem jakąś odpowiedź.

— Jeszcze nie — zaprzeczył Taksiarchos i począł wbijać figury szachowe w przykryte sukrem plecy kapitana, który leżał pomiędzy nimi na beczce. Ten wzdrygał się przy każdym ukłuciu zakończonyj szpicem figury, nie dawał jednak oznak świadomie odczuwanego bólu. — Zagrajmy w szachy! Kiedy skończył ustawiać figury, Gosset spojrział na niego pytająco.

— Powiedzcie mi najpierw, czy tym, który zyska, będzie zwycięzca czy pokonany!

Penikrat posunął natychmiast „pieszka” sprzed swojego czerwonego króla o dwa pola do przodu.

—

Zostaliśmy tak dobrymi przyjaciółmi, monseigneur — oznajmił wykonując to dziwne otwarcie — że możemy bez osłonek mówić sobie, co wiemy. Gosset odpowiedział na to pierwsze posunięcie ruchem prawego skoczka. Jego przeciwnik skinął głową.

— Ale ma to sens, Taksiarchosie, tylko wtedy, kiedy to lepsze zrozumienie rzeczywiście wprowadza się potem w czyn—Gosset usiłował wybadać grunt.

— Słusznie — zgodził się penikrat, przesuwając laufra obok króla cztery pola do przodu. — A zatem powinniśmy sobie też powiedzieć, że tutaj, nad Złotym Rogiem, nie ma miejsca dla nas dwóch na czele bandy.

— Chcecie mnie przepołować? — Monseigneur Gosset uśmiechnął się kwaśno. —

To otwarcie nazywa się „szewskim”, a prowadzi do rychłego końca.

— Mat w czterech posunięciach — potwierdził penikrat. — Jeden z nas musi odejść:

albo odejść do diabła, albo zostać kapitanem triery.

— Powiedzcie mi, czego wy chcecie! — rozsierdził się Gosset. — Ja gram w każdą grę! — To mówiąc, przesunął „pieszka” sprzed królowej o jedno pole do przodu. — W tym właśnie rzecz! — zawołał penikrat. — Chcę znowu grać sam, popełniać błędy... —

Popełnicie jeden — rzekł łagodnie Gosset, a Taksiarchos sięgnął nerwowo po swoją damę — jeśli weźmiecie na swoje barki kierowanie statkiem pod komendą tego młodego narwańca.

Penikrat wbił damę w pole położone trzy kroki dalej na prawo. Gosset zaniechał jakiegokolwiek obrony i postawił swego pionka królewskiego tak, żeby nie przeszkadzał — posuwając go bez sensu dwa kroki do przodu. Czerwona królowa zbiła z zadowoleniem zielonego pachotka przed laufrem królewskim.

— Szach! — oznajmił penikrat. — Komukolwiek służyć, znalazł on już swego mistrza.

— Daleki jestem od takich ambicji, Taksiarchosie — odparł Gosset niemal ze smutkiem w głosie. — Postaram się dobrze zarządzać waszym dziedzictwem, ale będzie mi was brakowało.

— Mnie was też — odpowiedział penikrat wstając. — Iz tego powodu chcę się z wami rozstać. — Wziął swoją damę, przewrócił zielonego króla i wbił ją tak głęboko w ciało, że pirat wrzasnął z bólu. — Aha — zaśmiał się penikrat. — Wezwijcie hrabiego! Mój poprzednik chciałby ulżyć sumieniu.

Następnie kazał sobie podać pochodnię, potrzymał swój nóż w płomieniu, zaczekał, aż zjawi się Hamo, i powoli wbił ostrze kapitanowi przez portki w tyłek. Ten aż ryknął z bólu.

— Co się stało z panią tego statku, którą zastaliście jako damę z córeczką przy

piersi? Pirat zacisnął zęby. : — Wynoście się do diabła! — burknął. Hamo szarpnął go

za włosy.

— Coście zrobili z Szirat? Czy ona żyje? — krzyknął. — Odpowiadaj cie! —

Poderwał do góry głowę pirata, żeby mu spojrzeć w oczy, ale ten jedynie go opluł. -- Już ja go nauczę gadać — obiecał penikrat i ponownie przysunął do zadka rozżarzone

ostrze, tym razem jednak bliżej genitaliów. Materiał kopcił, cuchnął okropnie, wszyscy usłyszeli syk przypiekanego ciała.

— Kiedy ostrze dochodzi do jaj, każdy zaczyna śpiewać — pocieszył Gosset pirata, który zawył z bólu.

— Możecie mi przedziurawić dupę — ryknął — co najwyżej usłyszycie pierdnięcie!

Penikrat rozgrzał nóż po raz trzeci. Wtem podszedł do niego jeden z jego ludzi.

—

Wśród jeńców mamy gagatka, co tak się miotał, że przykuli go w kuchni

łańcuchem do żelaznej kuli. Twierdzi on w oczy, że nie jest piratem, tylko franciszkaninem!

—

Wawrzyniec z Orty! — krzyknął Hamo. — Przyprawadźcie go natychmiast!

Ludzie penikrata pośpieszyli do zęzy dziobowej, gdzie jeńcy leżeli ściśnięci jak sardynki, i wyszarpnęli spośród nich małego minorytę. Ponieważ mnich w ogóle nie pił wina, był teraz bardzo rześki, choć zarazem wychudzony i blady. Dwóch osiłków

taszczyło żelazną kulę wraz z oplatającym jego kostkę łańcuchem, którym był do niej przykuty, trzeci zaś niósł na rękach szczuplutkiego Wawrzyńca. Gosset natychmiast

zwolnił dla niego swoje miejsce na zydlu, a Hamo rzucił się mnichowi na szyję.

— Powiedzcie mi, co się stało! Gdzie jest Szirat?

— Sirat żyje — odpowiedział Wawrzyniec. —Ale dajcie mi najpierw łyk wina!

Filip czym prędzej nalał mu z „beczki dla otrzeźwienia". Wawrzyniec wychylił kubek

duszkciem i wyciągnął przed siebie nogę, żeby ludzie penikrata mogli już uwalniać go od żelaznej obręczy za pomocą młotka i dłuta.

— Napadli na nas w nocy, ledwie wypłynęliśmy na pełne morze, we mgle blisko brzegu. — Z nienawiścią na twarzy Wawrzyniec wpatrywał się w kapitana, którego penikrat nadal dźgał rozżarzoną ostrzem. Torturowany szarpał dziko głową na wszystkie strony.

— Mój synu — pocieszał go Gosset — możecie jeszcze dołożyć swoje do tej relacji. Potem będziecie mniej warci niż obiecane pierdnięcie!

— Nie brali jeńców — ciągnął spiesznie Wawrzyniec. — Przeżyłem tylko dzięki swojej tonsurze i dlatego, że znaleźli mnie dopiero po rzezi, kiedy się przespali i wywietrzała im już z głów krwiożerczy szal.

— Co się stało z Szirat? — naciskał Hamo.

— Widziałem ją później tylko raz — wyszeptał minoryta, jakby się wstydził swojego świadectwa. — Po wielu dniach opuściła kajutę kapitana u wybrzeży Małej Armenii, gdzie przekazano ją handlarzowi niewolników. — Jeszcze bardziej zniżył głos i starał się nie patrzeć na Hamona.

— Ten wieprz ją... — Hrabia wyrwał Taksiarchosowi nóż z dłoni, by własnoręcznie wymierzyć sprawiedliwość piratowi, lecz doskoczył do nich Gosset i powstrzymał Hamona. — A moje dziecko, moja córka?

— J... j... — zająknął się Wawrzyniec, a jednocześnie rozległy się ostatnie uderzenia młotka i żelazna obręcz zeskoczyła z jego kostki — eee, ją miała przy sobie. — Po czym dodał szeptem: — Wyprowadźcie mnie teraz, proszę, na ląd, żebym...Urwał, bo zjawił się Crean ze swoimi sługami. —

Panowie się znają? — spytał penikrat.

Crean zmęczonym ruchem skinał głowę. — W takim razie obaj możecie się udać do pałacu i tam się wyspać -- Co rzekłszy, Taksiarchos z surową miną zwrócił się do Hamona, który

nadal stał przed Gossetem niczym podrażniony byk i wcale nie zamierzał zostawić kapitana. — Wypłyniemy trochę później.

Crean zgadzał się na wszystko. Czuł się rozbity. Podpierał Wawrzyńca, ale ten pociągnął penikrata do drabinki linowej. Tam franciszkanin wyszeptał: —

Kapitan oderwał młodej kobiecie dzieciątko od piersi i wrzucił je do wody, bo handlarz niewolników go nie chciał. Nie mam odwagi wyjawić tego Hamonowi.

Czy mogło przeżyć? — spytał Crean. Bo ja wiem — zawahał się Wawrzyniec. —

Staliśmy blisko portu, a przy brzegu kobiety prały bieliznę. W takim razie zostawmy tak, jak jest — zdecydował Crean. — Na pewno przekazano by je mamce.

- Zaprawdę ten pirat nie zasłużył na szybką śmierć — rzekł penikrat chociaż chcę się go pozbyć jak najprędzej.

— A co zrobimy z jego załogą? — zaciekał się Crean.

— Cóż, weźmiemy tych, którzy się przydadzą.

— A reszta?

— Podzieli los kapitana, którym będziemy karmić po kawałeczku ryby na pełnym morzu.—Taksiarchos, człek poważny, powiedział to bez cienia uśmiechu.

— Zobaczymy się jutro — pożegnał się Crean, zmęczony, ale dobrej myśli. — Moi słudzy mogą tu zostać; niech rano przyjdą po mnie, teraz jednak niech Filip nam towarzyszy i pokazuje drogę.

— Dobrze — zgodził się penikrat i przywołał sługę. Kiedy wszyscy trzej zniknęli w portowych ciemnościach, Taksiarchos

wrócił na pokład. Wysłał Hamona do kajuty na rufie.

— Połóżcie się teraz spać, mój łaskawco, gdyż jutro...

— Jeszcze dziś w nocy — przerwał mu Hamo — mój kapitan każe podnieść kotwicę i wyruszymy... ku Armenii!

— A misja do wielkiego chana Mongołów?

— Jest mi obójtana—oświadczył ostro hrabia. — A mój kapitan nigdy więcej nie będzie mnie o to pytał, zrozumiano?!

— Do usług, Hamonie L'Estrange! — wycedził ironicznie penikrat, lecz Hamo złapał go za rękę.

— Muszę wiedzieć, czy mogę na was polegać, Taksiarchosie.

— Tedy traktujcie mnie jak przyjaciela!

— A pomożecie mi odnaleźć moją żonę Szirat i moje dziecko?—spytał Hamo.

— Chętnie to uczynię, ale zaufajcie mi i pozwólcie zastosować takie środki, jakie uznam za słuszne.

— Jesteście moim kapitanem, statek podlega waszym rozkazom; powiedzcie, czego chcecie.

— Wyznaczcie Gosseta na rezydenta pałacu Kallistosa pod waszą nieobecność w Konstantynopolu, lepszego zarządcy nie znajdziecie.

— Z przyjemnością — odparł Hamo. — Jeszcze jakieś życzenie, kapitanie?

— Żebyście natychmiast poszli spać, Hamonie L'Estrange!

Hamo oddalił się, nie zaszczywiwszy już spojrzeniem związanego pirata.

Taksiarchos podszedł do Gosseta. —

My też winniśmy się teraz pożegnać.

Hamo mianował was wielkim domestikosem pałacu Kallistosa. Wiem już zatem, gdzie

znajdę przyjaciela, gdybym kiedykolwiek miał wrócić. Uściskali się i Gosset wraz z rozbójnikami, którzy nie płynęli z penikratem, zniknął w ciemnościach portu. Triera unosiła się nieruchomo na wodzie, ale jej liny kotwiczne jęczały i warczały niczym dzikie zwierzę, które niespokojnie czeka, szykując się do skoku.

Z Kroniki Williama z Roebruku

Konstantynopol, w uroczystość św. Leona I* A. D. 1253

Kiedy Crean i Wawrzyniec dotarli do pałacu Kallistosa, odwróciła zrazu moją uwagę obszerna relacja mego konfratra. Nie przeczuwałem jeszcze, że Hamo może lada chwila odplłynąć, choć wiedziałem, że sprytnie przetransportował swoje skarby na pokład triery. Własną część, upakowaną do wielu worków, skryłem w bezpiecznym miejscu, o tyle więc nie musiałem się niczego obawiać, a już najmniej powrotu Hamona. Widząc, że wysłał z nimi swego sługę Filipa, upewniłem się, iż wszystko jest w najlepszym porządku. Ale potem, późną nocą, kiedy zjawił się monseigneur Gosset i mimochodem napomknął, że Hamo na czas swojej nieobecności mianował go zarządcą pałacu, wydało mi się to dziwne, gdyż na Krym i z powrotem, a może nawet jeszcze kawałek w górę Donu i w dół, to przecież wycieczka za miedzę dla takiego szybkiego statku jak triera. Zbudziłem Creana, który z miejsca zaczął podejrzewać coś złego. Zażądaliśmy od Gosseta wyjaśnień.

—
Ach tak—ozwał się nie tracąc zimnej krwi—to panowie musieli się źle umówić. Młody hrabia zdecydował się płynąć nie na Krym, tylko do Armenii, co zresztą można zrozumieć, choć zapewne łatwiej znaleźć igłę w stogu siana niż młodą niewolnicę na targach Lewantu. Gosset chciał się udać do łóżka, biskupiego łoża, które mu teraz przysługiwało, lecz Crean go zatrzymał.

— A właściwie gdzie są moi słudzy? — spytał podejrzliwie.

— Pewnie zostali na pokładzie — odparł Gosset kręcąc głową. — Dlaczego nie

wzięliście ich ze sobą, Mustafó Ibn Daumarze?

— Bo byłem jeszcze zbyt oszołomiony, monseigneur, po ofiarnym trunku, który ja, niewinny, wypilem dobrowolnie. — Crean również mógł tylko pokręcić głową, ale nad swoją naiwnością. — Triera naprawdę już wypłynęła?

— Jeszcze jej pomachałem—rzekł monseigneur Gosset, jakby to była pociecha dla tych, co zostali na lądzie.

— Hamo nas oszukał — rozsierdził się Crean. — Ja wyciągnąłem za niego kasztany z ognia, a teraz sami musimy pomyśleć o tym, jak dostać się do Mongolii!

— Ach, Creanie — próbowałem go uspokoić. — Zrozumże, Rosz i Jeza niewiele znaczą dla Hamona, gdy idzie o jego najbliższych! Gdyby każdy tak myślał — mruknął — to od razu moglibyśmy pogrzebać Wielki Plan. Nigdy nie będzie na ziemi Królestwa Pokoju, bo nikt już nie chce się dla niego poświęcać.

—

Wielu się poświęca — wtrącił Wawrzyniec z goryczą. — Ale każdy we własnym interesie. Ty, Creanie, mówisz na przykład „my”, a masz na myśli asasynów. To mi wystarczyło. — A ty, Wawrzyńcze, który nawarzyłeś Hamonowi tego piwa, choć może i nie chciałeś, żeby stracił przy tym żonę i dziecko, ty działasz na rzecz Przeoratu, który też nie posiada już żadnej legitymacji, skoro nie potrafi pokazać dzieci. To dlatego, a wcale nie ku pożytkowi Rosza i Jezy musimy podróżować do Karakorum i ryzykować życie, żeby ich stamtąd wydostać. Ja w każdym razie uczynię to z miłości do obojga i tylko pod warunkiem, że naprawdę nie zechcą tam zostać.

— Zostali porwani z Alamutu! — oburzył się Crean, ale i jego osądziłem surowo.

— Nigdyście ich nie pytali, czy podoba im się u was; może wcale nie chcieli zostać w

Róży...?

— Ten spór jest jałowy — słusznie orzekł Wawrzyniec. — Usłyszemy to z ich ust, które nie są już dziecięcymi ustami, o ile w końcu uda nam się do nich dotrzeć. Dzielą nas jeszcze tysiące mil...

— I środki potrzebne na odbycie tej podróży — dumął głośno zawiedziony Crean.

Umyślnie przemilczałem, że o to nie musimy się już frasować, i rzekłem tylko: -- Za to mamy list i pieczęć króla, pełnomocnictwo oraz pismo uwierzytelniające do wielkiego chana, a teraz jesteśmy w komplecie: ty, Wawrzyńcze, będziesz podróżował jako brat „Bartłomiej z Cremony”, ty, Creanie, jako kapłan „monseigneur Gosset”, a Filipa weźmiemy jako naszego sługę.

— Brakuje jedynie obiecanego tłumacza — wtrącił trzeźwo Wawrzyniec — który miał do nas dołączyć tu, w Konstantynopolu.

— To najmniejsza moja troska — oznajmił Crean. — Teraz ważne tylko, żebyśmy wyjechali stąd jak najszybciej. Gawin, który chciał nas pożegnać, również powinien przybyć już dawno. Nienawidzę marnotrawienia czasu!

— Jeśli ty, Creanie, nadal będziesz płacił za siebie podczas podróży, a Gawin otworzy sakiewkę templariuszy dla Wawrzyńca, to i ja chętnie będę się troszczył o siebie i mojego sługę Filipa — oświadczyłem chłodno. — Tak więc nic już nie stoi na przeszkodzie naszej wyprawy misyjnej. A teraz powinniśmy położyć się spać.

— *Al-lana** — zaklął Crean, co z jego ust usłyszałem bodaj po raz pierwszy. — Mój namiot, moje poduszki i derki, cały mój majątek został na pokładzie tej triery szejtana! --

No cóż, *mon cher** Crean, tedy rychło przywykniesz do skromnego życia misjonarzy! — rozweselił się Wawrzyniec. — Życzę spokojnego odpoczynku!

— Dobrej nocy, bracia! — rzekłem i ja, po czym wycofałem się do piwnicy, żeby przespać się na swoich workach.

Konstantynopol, w uroczystość św. Jana*

Pan preceptor Gawin Montbard z Bethune kazał nam siedzieć jak na rozżarzonych węglach jeszcze przez dłuższy czas, który ja wszakże dobrze spożytkowałem.

Namawiałem pana wielkiego domestikosa, że jako kapłan związany nierozzerwalną przysięgą z *Ecclesiae catholicae* powinien lepiej wypuścić z powrotem na światło dzienne lub przynajmniej umieścić w praktycznym terrarium, jak pawilon parkowy, naszego odmienca jaskiniowego, czyli Bartka, dopóki nasza podróż nie dobiegnie szczęśliwego końca. Trafiło mu to do przekonania i w podziemiach pałacu urządziliśmy istne polowanie z nagonką na płochego, prawdopodobnie już całkiem szwankującego na umyśle Bartka.

Rozbójnicy — gdyż żebracy byli zbyt leniwi nawet do tego, chociaż Bartek swym potępieńczym śmiechem budził ich ciągle ze snu — rzucili się ze sznurami i sieciami do grot i sekretnych korytarzy przypominającego labirynt systemu wodociągowego. Za pomocą bębenków i jazgotliwych fletów skłonili go wreszcie do przecięnięcia się przez „lejek” i szukania schronienia w Pawilonie Złudzeń. I teraz tam siedział, a Filip karmił go przez pręty. Ja zaś wziąłem sieć i wędkę i wróciłem pod studnię, do której wrzucił zrabowane z magazynu kosztowności. Dzięki temu mogłem napełnić jeszcze jeden mieszek i muszę rzec, że jest on najmiłszy memu sercu, gdyż Bartek wybierał rzeczy z najwyższym znawstwem.

A potem w końcu przybył Gawin. Przyprowadził też tłumacza, którego przejął w Trapezuncie.* Ów Tindal był człowiekiem dość niefrasobliwym i naiwnym, lecz wysłali go Mongołowie, oni zaś musieli dobrze wiedzieć, dlaczego to robią. Pierwsza próbka jego głupoty polegała na tym, że wyruszywszy do „cesarskiego miasta”, nie wylądował nad Złotym Rogiem, tylko wśród uchodźców greckich na wybrzeżu Morza Czarnego. Tam za to uparcie wypytywał o Williama z Roebruku, wyznał mi zresztą, że wielu mnie

zna, co wzruszyło mnie do głębi. I w taki sposób trafił wreszcie na Gawina.

Bardziej po to byśmy nie wprawiali Timdala w zmieszanie, niż nie wzbudzali podejrzeń, Gawin rozkazał nam wszystkim od tej pory zwracać się do siebie używając wyłącznie imion osób, które odgrywaliśmy. Mnie zaś usilnie zalecił, bym nie inaczej postępował także w swojej kronice. Gdyby wpadła w ręce tajnej służby Mongołów, której nie należało lekceważyć wówczas z tej zamiany ról mogłyby wynikać rozmaite nieprzyjemności. Podzielałem jego zastrzeżenia. „Monseigneur Gosset” w wypadku

Creana też nie przeciskało mi się łatwo przez usta — czy również z pióra na papier, to się jeszcze okaże — jednakże z nazywaniem Wawrzyńca „Bartłomiejem” lub krócej

„Bartkiem” miałem kłopoty, ba, istne zahamowania. W końcu uradziliśmy, że będzie

„Barcem”, ten skrót wydawał mi się przyjemniejszy, a i Wawrzyńcowi przypadł do gustu.

Dla templariusza była to jednak bardzo poważna sprawa, poddawał nas wyrywkowym

kontrolom, kiedyśmy się tego najmniej spodziewali. Na przykład odzywał się uprzejmie

przy stole: „Ach, Creanie, podajcie mi trochę sosu”. Albo: „Wawrzyńcze, całkiem o was zapomniałem!” I biada, jeśli wtedy któryś z nas zareagował! Za karę nie dostawał

deseru jak nieposłuszny sztabak.

Wreszcie nadszedł dzień wyjazdu. Gawin z ciężkim sercem — ci templariusze to

dopiero sknery! — sięgnął do prywatnej szkatuły i wyposażył na drogę Wawrzyńca z

Orty, wciskając mu do ręki sakiewkę. Ponieważ obaj są członkami Przeoratu, Gawin

może sobie pokryć wydatki z jego kiesy — tak uspokajałem sumienie, które czyniło mi

wyrzuty i mnie dręczyło, bo posiadałem o wiele więcej niż moi konfratry, a wcale nie

myślałem się z nimi dzielić. Żeby ruszyć nas w końcu z miejsca, Gawin oświadczył, że

dotatkowo gotów jest odwieźć nas na Krym na pokładzie szybkiego żaglowca floty

templariuszy. Dzisiaj musieliśmy przenieść na pokład swoje bagaże. Pan preceptor

zdziwił się niewąsko, kiedy pojawiłem się z karawaną mułów, które dźwigały moje

skrzynie i worki. Rozdrażniony zapytał Filipa, co to znaczy, skąd się wzięło to nagłe bogactwo i dlaczego mamy się tak objuczać na przeciw dość uciążliwą dalszą podróż lądem. Filip odpowiedział, jak go poinstruowałem: że nie chodzi o osobiste błyskotki królewskiego emisariusza z Roebru, tylko o stosowne wyposażenie i dary, które król Ludwik przesłał mu wraz z listem polecającym. Dzięki temu poseł, choć skromny minorityta, może wszakże reprezentować honor króla, a przede wszystkim uradować i pozyskać serca Mongołów. Owo przydługie wyjaśnienie wbiłem do głowy memu słudze, on zaś wygłosił je po mistrzowsku, gdyż kiedy zasiedliśmy do ostatniej wieczerzy na tarasie pałacu Kallistosa, templariusz nie zagadywał mnie już o te sprawy.

Na uroczysty posiłek zaprosił nas dawny pan Gosset, jako wielki domestikos piastujący teraz również godność diakona kaplicy pałacowej. Były pierwsze melony, przecięte na połowy i wypełnione przestudzonym wywarem z mięty, limonek i miodu. Do tego serwowano, jako drobny ukłon w stronę naszego najbliższego celu podróży, perliste białe wino z Krymu, które wolę od win o żywicznym aromacie pochodzących z Peloponezu. Potem podano pasztet z węgorka i mięso wyciągnięte z raków z kwaskowatymi jabłkami i kandyzowanymi orzechami. Później przeczuciliśmy się na czerwone wino z Węgier, a na stole pojawił się delfin, nazywany tutaj „panną morską”, gotowany w mleczku migdałowym. Posypany był morwami, wiśniami i rodzynkami, a dodatki stanowiły usmażone na złocisty kolor koniki morskie i gotowane grzyby wraz z małymi polipami w sosie własnym. Ucztę zakończył tort z ryżu szafranowego z polewą cynamonową, do którego podano złocistożółte, trochę lepkie, ale niesamowicie słodkie wino z Pergamonu.

Nasz gospodarz życzył nam przychylnych wiatrów, a ja zadałem sobie w duchu pytanie, czy nie obrał lepszej części, zostając tutaj, nad Złotym Rogiem, i wysyłając „kapłana Gosseta” do Karakorum. Za późno, Williamie, pomyślałem, ale czy

kiedykolwiek przeznaczono ci wygodne miejsce? Jutro, 7 maja, skoro świt wypływamy w morze.

PS. Do pieczętowania użyłem tym razem swego nowego pierścienia ze skarbca biskupa. Muszę przyznać, że stanowi nadzwyczajną ozdobę kroniki zwykłego minoryty.

Falerno — czerwone wino z Kampanii.

Szachy okrętowe — ta pochodząca z Chin odmiana szachów nie miała w średniowieczu kolorów czarnego i białego, tylko czerwony i zielony.

Uroczystość św. Leona I—11 kwietnia; papież, ur. 400, uratował Rzym przed hordami Attyli (452) i Wandalów (455).

* Al-lana (arab.) — do licha!

* Mon cher (fr.) — mój drogi.

* Uroczystość św. Jana — 6 maja.

Trapezunt — miasto na południowym wybrzeżu Morza Czarnego, obecnie Trabzon w Turcji.

VII . SCHADZKA

Rosz Trencavel do Williama z Roebruku,

w obozie letnim, w pierwszej dekadzie maja A. D. 1253

Już po wszystkim! Teraz, mój drogi Williamie, mogę Ci wreszcie napisać otwarcie, jak wszystko się potoczyło. Tak jak się spodziewałem, ten intrygant Dżuwajni przekonał swego pana Hulagu, którego jest szambelanem, żeby przyjąć mnie wraz z Umarem do gwardii pałacowej, czytaj: straży przybocznej wielkiego chana, co ma być ponoć wielkim zaszczytem dla mnie tudzież dla mojego przyjaciela i opiekuna. Albowiem jak nie kryjąc satysfakcji, wyjawiał mi szambelan, wychowanie pary królewskiej w duchu mongolskiej idei państwowej wymaga również od nas gotowości na rozłąkę, jeśli będzie zmuszać do tego służba. I taka chwila właśnie nadeszła. Będę się mógł zobaczyć z Jeżą, kiedy dostojna Dokuz--chatun uda się ze swymi kobietami do stolicy, a więc późną jesienią. Mam się przygotować do czekającego nas niebawem wymarszu do Karakorum. Bez trudu więc udało mi się rozniecić u Umara ogień, jakim płonął dla Ordy, przybocznej amazonki Jezy. Umar palił się wprost do tego, aby jeszcze przed naszym wyjazdem dosiąść tej pełnokrwistej klaczy, a ja podsyciałem jego zapal twierdząc, że Orda usycha z tęsknoty do niego. Od Jezy wywiedziałem się tymczasem, że tamta już dawno postanowiła obdarzyć względami Kitona.

Poszedłem zatem do Kitona i oświadczyłem mu, że Orda gotowa jest go wysłuchać, tyle że nie życzy sobie, aby wydało się, iż jest jej kochankiem. Dlatego prosi go serdecznie, ażeby zjawił się przed nią w długiej białej szacie templariuszy i włożył jeden z owych hełmów, które zasłaniają twarz z wyjątkiem szczeliny na oczy. W ten sposób mógłby dowieść, że pragnie szanować jej cześć. Kito zapytał, czy konieczne są takie korowody, a ja odpowiedziałem, że w „reszcie świata” podobne postępowanie jest powszechnie

praktykowane, bo wysoce rycerskie. Dla czci damy nie szczędzi się wysiłku ani trudu. Tym piękniejsza później nagroda! Kito zapewnił mnie, że nie zamierza się już nad tym zastanawiać, wszelako musi najpierw znaleźć lub kazać sobie zrobić takowy kostium. Z tą obietnicą w ręku odczekałem, aż Jeza będzie w chrześcijańskim kościele z Dokuzchatun, i udałem się do Ordy. Przygotowałem ją na schadzkę z Kitonem, który — aby chronić jej cześć — spotka się z nią przebrany za rycerza Świątyni. Jako stosowne miejsce na potajemne „zejście się” zaproponowałem jurte z warsztatem mistrza Buchiera, która w nocy była pusta, ponieważ artysta miał ten luksus, że oddano mu dodatkową jurte do spania, jakkolwiek obok drzewa napitków przygotowano posłanie na wypadek, gdyby mistrz potrzebował twórczej przerwy w pracy. Orda zmarszczyła wprawdzie nos, wyobraziwszy sobie osmaloną sadzą kuźnię jako miłosną altanę, ale zważywszy na ruję amazonki, wszystko jej było na rękę. Pewnie dałaby się przekonać, żeby przytruchtała w końskiej uprzęży z trzęzłą w gębie. Kiedy tym sposobem przygotowałem wszystko jak najlepiej, zagadnęła mnie Jeza.

—
Czy to ty, mój drogi Trencavelu, wpadłeś na ów pomysł z przychodzeniem w obyczajnej szacie templariuszy na służbę miłosną?

Poczułem, jak biją na mnie pąsy. — A co byś zaproponowała mongolskiemu młokosowi, który chce się czuć rycerzem?

Musiała się roześmiać. —

Pan Kito polecił Umarowi z Iskandaru, by wystarał się dlań o takową szatę, łącznie z hełmem. Ten grzebie teraz w magazynach łupów, albowiem w odróżnieniu od Mongołów wie, jak ma wyglądać to, czego się odeń żąda. Piękniej nie mogło się złożyć, pomyślałem, a na głos rzekłem:

— Może jakiś płacący trybut emir ściągnął kiedyś odzienie zabitemu templariuszowi i posłał je wielkiemu chanowi jako cenną relikwię?

— Miejmy nadzieję — uśmiechnęła się moja ukochana — że młode szczęście nie rozbije się o tę przeszkodę. Będzie z nich dobrana para. Kito jest dzielny i daleko zajdzie, a Orda u jego boku. Życzę tego dziewczynie!

— Rzeczywiście może mówić o szczęściu! — zgodziłem się z Jeżą, kontent, że wykaraskałem się z nader śliskiej sytuacji. Skoro Kito jest taki głupi, żeby zdobycie stroju oblubieńca polecić akurat Umarowi! Dzięki temu mogłem umyć ręce od całej sprawy, co mi zresztą odpowiadało wobec spodziewanego wybuchu gniewu, gdyby moja *damma* dowiedziała się o knutej przeze mnie intrydze. Pomysł z szatą templariuszy nie był wszak karalny. „To za głupie!” odpowiedziałbym i wyparł się jakiegokolwiek współnictwa. Kiedy zapadła noc, wciągnąłem we wszystko nawet moją damę, polecając za jej pośrednictwem Ordzie, by przyszła o północy do jurty kowalskiej, Kito zaś miał się zjawić u swojego ojca — co zostało mu przekazane przez Umara. Dzięki temu ów ostatni miał wolną drogę. Rzeczywiście udało mu się znaleźć białą szatę zakonną. Tyle że była to szata — o czym świadczył czarny krzyż — niemieckich kawalerów mieczowych i pochodziła z darów, jakie przesłał w hołdzie wielkiemu Chanowi książę Aleksander Newski. Poza tym wśród łupów znalazło się pod dostatkiem garnkowatych hełmów, szkaradzieństw typowych dla niemieckiego zakonu krzyżackiego. Wyposażony jak najlepiej Umar udał się na schadzkę z gorąco upragnioną dziewczyną. Jakże chętnie przyglądałbym się im z ukrycia! Nie mogłem jednak tego robić, wskazana była ostrożność. Ległem więc na posłaniu, ale sen sprawiedliwego nie nadchodził. Było pewnie z godzinę po północy, gdy cały obóz obudziły przeraźliwe krzyki. Naciągnąłem derkę na głowę i udałem, że śpię. Krzyki oburzenia Ordy przerodziły się we wściekłe przeklinanie i ogólne poruszenie. A potem

niedelikatnie zerwano ze mnie derkę i przed moim posłaniem stanął trzęsący się z gniewu Kito.

— Dlaczego mi nic nie powiedziałeś?

— Czego nie powiedziałem? — mruknąłem zaspanym głosem. — Ach, o schadzce?

Posłałem do ciebie Umara...

— Jak mogłeś posłać akurat tego fałszywego...

— Jak to? — oburzyłem się całkiem już rozbudzony. — To mój przyjaciel, twój przyjaciel, którego jak słyszałem od Jezy, posyłasz za moimi plecami z poufnym zadaniem... — Udałem obrażonego.

— On mnie oszukał! — grzmiał Kito. Przepuszczalnie zrozumiał, że wina leży raczej po jego niż po mojej stronie.

— A gdzie on się właściwie podziewa? Powinien leżeć tutaj i czuwać nad mym snem!

— Piękny przyjaciel! — szydził Kito. — Ale prawdziwym głupcem to jestem ja... —

Klapnął na brzeg mego posłania i ukrył twarz w dłoniach. — Dżuwajni kazał strażnikom go pojmać, żeby nie targnął się na jego życie! Rano Bułgaj odprawi nad nim sąd.

— Jakim niecnym występkiem splamił się Umar, że cały obóz postawił na nogi? — spytałem obłudnie. --Oszukał mnie!

— Czyżby z Orda? --Ją też oszukał! — pieklił się Kito.

— Co? — zdumiałem się. — Opowiedz mi!

— Umar sam włożył białe odzienie i hełm na głowę i poszedł zamiast mnie do Ordy...

Uff, odtąd już nie musiałem powściągać śmiechu.

— A ona niczego nie zauważyła?

— Owszem — jęknął Kito — ale dopiero wtedy gdy było już za późno! Kiedy już oddała się rozpustnikowi, a on uznał, że może pokazać swoją prawdziwą twarz jako

zwycięski zdobywca.

— Pozwoliła się chędożyć osobnikowi w garnku na głowie? I nie zauważyła, że tłoczek nie należy do głowy, którą się właściwie spodziewała zobaczyć? To zbyt śmieszne, żeby psuć sobie krew z tego powodu. Kitonie! — zawołałem, trzęsąc się ze śmiechu. Przyznaj się, na miejscu Umara też byś nie przepuścił takiej okazji! Nie rób, proszę, z byle żartu przestępstwa zasługującego na karę! A przede wszystkim nie rób z siebie rogowca! Powiedz, że nie miałeś ochoty i dlatego wysłałeś zastępcę! W przeciwnym razie, Kitonie, będzie kpił z ciebie cały obóz!

— Święta racja, Roszu — westchnął — a więc muszę robić wesołą minę do gry, w której to ja wyszedłem na głupca!

— Ten, kto poniósł szkodę, nie powinien przejmować się drwinami!

— A co z Umarem?

— Wypuść go jeszcze dziś w nocy, zanim dojdzie do rozprawy przed sędzią, tylko dla ciebie krępującej. Daj mu konia i przepędź go na cztery wiatry! — Teraz miałem wygraną grę i łatwo mogłem udzielać tanich rad.

— Bo lepiej, żeby ci już nie podlegał w twojej centurii. Jeśli jeszcze jutro będą was widzieć razem, to zaczną szeptać i podśmiewywać się za twoimi plecami. Możesz sobie tego oszczędzić!

— Roszu, jesteś prawdziwym przyjacielem. Powinienem był od razu zasięgnąć twojej rady!

— Pewnie jeszcze nadarzy się sposobność! — To rzekłszy, poklepałem Kitona po ramieniu. Podniósł się z miejsca.

— A co się stanie z Ordą?

— Możesz jej darować winę i nadrobić popsutą noc, w garnku na głowie albo bez

garnka. To jest porządna dziewczyna!

— Była — mruknął Kito i wyszedł ciężkim krokiem. Nazajutrz z samego rana obudziła mnie Jeza.

— Nieźle nabroiłeś — zaczęła od razu z wyrzutem. — Orda siedzi i beczy, mało sobie oczu nie wypłacze!

— Bo Umar wyjechał? — zapytałem dobrze przygotowany do przesłuchania. — Któż by pomyślał?

— Nie, bo Kito nawet już na nią nie spojrzy! Opowiedziała mi, że Kito był jeszcze w nocy u swojego ojca i uzyskał tyle, iż Umar został wypuszczony wbrew rozkazowi szambelana i wydalony z obozu oraz z kraju: miał niezwłocznie najkrótszą drogą udać się z powrotem do Samarkandy. Dostał kiepskiego konia i nie dano mu pożegnać się z przyjaciółmi, a tym bardziej się wytłumaczyć.

— Jeśli się nad tym gruntownie zastanowić — wyznała mi ukochana — to może dobrze się stało. W końcu był jednym z czternastu, którzy złożyli przysięgę, że za...

— Nic już nie mów, Jezo! — przerwałem jej. — Ściany jurty mają uszy, a ty i ja nie wiemy o niczym!

— Tobie to pewnie bardzo na rękę, mój Trencavelu! — drwiła. — Weź sobie te słowa jako dewizę do nowego herbu, mój panie Haut Segur! Rycerskim twoje postępowanie bynajmniej nie było!

— Ty, czcigodna damo, przypominasz sobie dziś rano, kim koniec końców był Umar — i z pewnością jest nadal. O tej porze jednak byłby już u mojego boku w drodze do Karakorum, by razem ze mną zostać przyjętym do gwardii przybocznej wielkiego chana. Musiałem działać! Wzięła mnie w objęcia. — Mój kochany intrygant! — roześmiała się. — Oto poznaję nowego Rosza, który czyste idee rycerstwa zamienia na maniery

władcy.

' — Zawsze pozostanę twoim rycerzem—odparłem urażony—ale sam miecz już nie wystarcza, żeby cię obronić.

— A już na pewno nie tutaj, w stepie, gdzie panują inne prawa. Nasi gospodarze kultywują wprawdzie pewne pruderyjne cnoty, ale rycerskość to dla nich obce słowo!

— Moja wielce można damo — rzekłem i przyklęknąłem przed nią. — Czy możecie mi jeszcze raz przebaczyć? Podała mi rękę do pocałunku, lecz ja szybkim ruchem ominąłem ją i włożyłem jej dłoń między uda. Wywinęła mi się ze śmiechem.

— *Adieu, mon chevalier de bonnes manieres!** — zawołała i uciekła.

L. S.

Bez skandalu się nie obeszło, zadbał o to choćby Dżuwajni. Próbował zaciągnąć Kitona przed najwyższego sędziego Bułgaja, lecz łysielec, przed którym wszyscy drżeli, uśmiechnął się tylko i oświadczył: — Młodzieńcze żarty! Gdyby ucierpiała cześć jakiejś Mongołki, złożyłbym zuchwalcowi pod nogi jego własną głowę. Ale to nie miało miejsca. Wydalenie cudzoziemca, który nadużył naszej gościnności, jest słuszne. — Popatrzył z góry, nadal się uśmiechając, na szambelana. — Ja w każdym razie dołożyłbym mu dziesięć różg na drogę. Wtedy wyrwał się Kito.

—
Możecie je wymierzyć mnie — rzekł ponuro — na pewno zasłużyłem.

Uśmiech na twarzy Bułgaja zgasł w jednej chwili.

—
Bardzo możliwe, ale dzięki więzom krwi ojca zaliczacie się do bliskich krewniaków Czyngisydów, a dobrze wiecie, że jako najwyższy sędzia nie mogę dopuścić do tego, żeby ktoś was choćby tknął. Waszą nietykalność jest władny odwołać

tylko wielki chan. Wasze przewinienie, jeśli takowe było, w żadnym razie nie wymaga dywanu. — To rzekłszy, zakończył rozprawę. Przy jego ostatnich słowach do jurty wpadła rozeźlona Jeza. —

Powiedz mi, Kitonie, dlaczego nie zaszczyisz Ordy nawet spojrzeniem? Oddała się, bo myślała, że to ty, niczego nie podejrzewając. Ów nagły atak zmieszał młodzieńca.

—
Nie mogę pogodzić się z tym, że zaspokoila ją męskość Umara, jakby to była moja. To na pewno niesprawiedliwe, ale kto by chciał być porównywany z innym mężczyzną. Powinienem był go rozsiekać na strzępy! Niczego by to nie zmieniło, Kitonie, przeciwnie: miecz cienia zawsze pozostaje nieosiągalny.

Dla mnie ta pochwa umarła — mruknął nieprzejednanie. Jeza podarowała sobie uwagę, że Umar — nie wiedząc tego — jedynie się zrewanżował. Ostatecznie wtedy w Iskandarze Kito używał sobie na chutliwej siostrze Umara, Azizie. Naturalnie Kito nie wiedział o ich pokrewieństwie, nie mógł zresztą wiedzieć. W przeciwnym razie pewnie by mu zaświtało, że Umar jest asasynem z Alamutu, a nie li tylko cudzoziemcem, który pomógł im w Samarkandzie.

Jeza porzuciła więc tę materię. Ech, ci mężczyźni i ich próżna duma: byle być pierwszym zdobywcą kobiety!

— A o co chodzi z tym „dywanem”? — zapytała. Kito popatrzył na nią zaskoczony. --

To nie jest nic dla was, księżniczko!

— Ale ja chcę wiedzieć! — upierała się. — Czy to jakaś kara?

—
I tak, i nie. To zaszczyt zastrzeżony dla Czyngisydów, którzy zgodnie z

wyrokiem wielkiego chana zasłużyli na śmierć. Ponieważ

nikomu nie wolno ich tknąć, także i kat nie może użyć miecza, więc zawija się

delikwenta w dywan, a następnie wlecze się go za końmi manipułu wojska. Jeza nic już nie powiedziała. A obraz ten długo nie mógł jej wyjść z głowy.

Szambelan wezwał do siebie Rosza i Jeżę.

— Kim był ten wasz przyjaciel Umar? — zapytał. — Znaliście go przed spotkaniem w Samarkandzie?

— W ogóle — zaprzeczył Rosz. — Podszedł do mnie na bazarze i ostrzegł przed „niebezpieczeństwem”. To wszystko!

— Dlaczego nie powiadomiliście mnie o tym?

— Bo chcieliśmy się dowiedzieć, kto pragnie pozbawić nas życia i kto waży się was zaatakować.

— Trzeba umieć poznać, kto wróg! — dodała Jeza.

— To lekkomyślność! — prychnął Dżuwajni.—A teraz przynajmniej wiecie, kto to był?

— W tym celu macie przecież w beczce Malufa! — drwiła Jeza.

— Moim zdaniem to długa ręka kalifa, skrytobójcy zostali opłaceni przez Bagdad. —

A skąd ta rzekoma wiedza? — spytał podejrzliwie Dżuwajni. —

Zapeklowany

kupiec z Samarkandy prędzej da się pokrajać na kawałki, aniżeli rozewrze szczęki.

— Umar nam powiedział — wypalił Rosz, a Jeza szybko dorzuciła: — Ale miało to

wyglądać tak, jakby stał za tym imam z Alamutu, żeby gniew wielkiego chana zwrócił się przeciwko asasynom.

— Gdybyście wyznali mi to wcześniej, księżniczko, nie pozwoliłbym temu ptaszкови odlecieć.

— Przecież możecie go jeszcze doścignąć — dobiegła do Jeza — wątpię jednak, czy wydobędziecie z Umara więcej, niż już nam powiedział. On sam dokładnie tego nie wie — oświadczyła śmiało i nadepnęła przy tym Roszowi na nogę, jako że szambelan akurat się odwrócił, żeby wyrzucić z jurty. W obozie znowu było niespokojnie, tym razem w biały dzień. * — Tak czy owak postanowiłem odstąpić od swego zamiaru — oznajmił Dżuwajni zwracając się do Rosza — i nie zalecam już wysłania was do gwardii przybocznej wielkiego chana. Teraz to Rosz kopnął w pizszel Jeżę, żeby wyrazić tajoną w głębi serca radość. Udało mu się jednak zachować zasmuconą minę. —

Nie jestem tego godzien, ten zaszczyt... — wydusił ze wstydem. Nie zdążył już nic dodać, ponieważ do jurty wparował Kito.

— Orda wzięła zaprzęg wołów wraz z wozem, załadowała całe mienie i opuściła obóz! — Tak był poruszony tym krokiem, że nie wiedział, czy go pochwalać czy potępiać. — Proszę — wręczył Jezie zalakowane pismo — to zostawiła dla was, swojej „pani i przyjaciółki”. Jeza otworzyła i uznała, że nie ma powodu, by nie przeczytać listu na głos:

— „Podążam za mężczyzną, który w nocy rozpoznał moją kobiecość, kiedy zrozumiałam, że ten, którego kocham, przestał mnie zauważać. Wy, królowo, zrozumiecie mnie i wybaczycie mi, że jestem taka niewdzięczna i wypowiadam Wam służbę. Orda”.

— To niesubordynacja! Natychmiast sprowadźcie tę niewierną służkę z powrotem! — prychnął szambelan na Kitona, który wydawał się tylko czekać na ten rozkaz, żeby go

wypełnić. Ale wtedy włączyła się Jeza.

Do tej pory wszystko skrupiało się na ciele tej dziewczyny! — Wprost kipiała oburzeniem. — Musiała być ofiarą żartów tak samo, jak cierpieć z powodu urażonego honoru was, mężczyzn. Teraz pozwólcie jej odejść! Życzę sobie, żeby dotarła do celu i żeby była szczęśliwa. A wam, Kitonie, rozkazuję — wsiadła na zdumionego dowódcę centurii — nie wszczynać żadnego pościgu! — Po czym zwróciła się, raczej płomienna bogini niżli pełna dostojeństwa królowa, do Dżuwajniego: — Was zaś, szambelanie, ostrzegam! Jeśli spróbujecie obejść me postanowienie, będę zmuszona poskarżyć się wielkiemu chanowi na dotychczasowe zaniedbania i nieostrożność z waszej strony, człowieka, który miał nam wyrównać drogę do korony świata! — Nie dała mu cienia szansy, żeby mógł choćby zaprotestować. — Na lekkomyślność, z jaką wybraliście służących, którzy byli przeznaczeni do zapewnienia nam bezpieczeństwa i mieli bronić własnym ciałem życia pary królewskiej. — I ponieważ tak pięknie spotulniał, dołożyła jeszcze jedno. — A oni co robili ze swoimi ciałami? Odebrało wam mowę, i słusznie!

—
Proponuję—wtrącił ugodowo Rosz — żebyśmy nie blokowali koła losu.

Świadkowie tego niemiłego zdarzenia już nas opuścili; nie powinniśmy więc wbrew sobie sprowadzać ich siłą z powrotem. Ponieważ zarówno Kito, jak Dżuwajni musieli skinąć głową, przystając na tę mądrą propozycję, Jeza zakończyła pojednawczo: — No cóż, skoro jesteśmy zgodni, przeto zapomnijmy o całej tej historii!

—
Wasze życzenie jest dla mnie rozkazem! — Najwidoczniej szambelan nauczył się swojej lekcji. I zaraz wszyscy się rozeszli.

Wkrótce potem obieżyły obóz pogłoski, że Maluf położył kres swemu życiu w beczce.

Niektórzy twierdzili, że wcześniej złożył zeznanie w obecności Dżuwajniego, a ten oszczędził mu za to ponownego przesłuchania przez Bułgaja. W każdym razie psy, którym rzucono jego zwłoki, zdechły w potwornych męczarniach. Jeza odszukała Rosza, zanim Kito zdołał go znowu wyciągnąć do swej centurii, a znalazła go naturalnie u mistrza Buchiera przy srebrnym drzewie napitków. Dzieło sztuki robiło wyraźne postępy, lecz Jezy to nie interesowało. Chwyciwszy dłoń swojego rycerza, wyprowadziła go przed kuźnię.

— Mój drogi Trencavelu, poszerzyliśmy trochę granice swojej swobody — zaczęła z troską w głosie — daleko nam jednak jeszcze do osiągnięcia takiej pozycji, która nie tylko czyniłaby znośnym nasze życie tutaj, ale także odpowiadałaby naszemu przeznaczeniu. Choć z przyjemnością patrzę na twą przyjaźń z Kitonem, twoje popisy na koniu i z łukiem w ręku przyniosły nam do tej pory jedno: powołanie do gwardii przybocznej pana Móngkego, którego ciągle nie widzieliśmy jeszcze na oczy.

— To dla młodego Mongoła najwyższy zaszczyt — wykręcał się Rosz od rozmowy o niemiłej dlań materii. — Kito jest na mnie wściekły, bo jako dowódca centurii odpowiada za każdego człowieka, to tak, jakby stracił własną głowę przez ucieczkę jednego z jego ludzi z pola walki. Że nie zostanę już wysłany do Karakorum, oznacza dla niego wielką hańbę.

— To nie moje zmartwienie — odrzekła Jeza. — Musisz odsunąć się od niego i od jego dzikiej gromady, chociaż czujesz się w ich towarzystwie całkiem dobrze. Musimy wreszcie dostać się do Karakorum i stanąć przed tronem wielkiego chana, zanim Mongołowie nawykną do patrzenia na nas jak na zwykłe ptactwo. Wszak zrzuciliśmy tutaj pióra, ongi rajskie ptaki. My tymczasem jesteśmy królewskimi orłami i nasze miejsce nie jest w tej klatce, choć sprawia wrażenie wybiegu. Takie potyczki z

szambelanem nie są godne naszego stanu. ==Co zamierzasz, królowo przestworzy?

Przecież cię znam, na pewno nie przyszłaś bez gotowego planu!

— Zamierzam sama, bez ciebie, zwrócić się do generała Kitbogi, bo ma to być rozmowa bez świadków. Powiem mu, że odkryłam, iż Umar był asasynem. --Narazisz nas jeszcze na zgubę!

— Biorę to na siebie — odparła chłodno —zanim Dżuwajni zdąży się podzielić z innymi swoją wiedzą. Bo jak go znam, to raczej nie wyprawił Malufa do piekła, nie wydobywszy zeń wcześniej tego zeznania. Możesz być pewien. --A jeśli nie?

— To w dalszym ciągu nasza sytuacja jest lepsza, niż gdybym wyznała prawdę... A od kogo ją masz... i dlaczego dopiero teraz? --Od Ordy! — rzekła spokojnie. — Właśnie znalazłam wśród jej rzeczy amulet, który wyslizgnął się jej pewnie w pośpiechu, kiedy się szykowała do drogi: tajny znak rozpoznawczy asasynów z Alamutu!

Pokazała Roszowi miedzianą gwiazdę, którą Umar podarował jej kiedyś w Iskandarze. Pięć ramion gwiazdy otaczało w kunsztowny sposób pęk róży, w którego środku widniał napis „*Al-wafa hatta al-maut*”. * Dobrze ukryła ten fant miłosny i żal jej było ofiary.

— Ty o niczym nie wiesz! — oświadczyła swemu towarzyszowi. — Pozwól, że ja się tym zajmę!

Jeza wiedziała, że generał wraz z najwyższym sędzią Bułgajem zamierza odwiedzić obóz o zachodzie słońca. Poprosiła zatem życzliwego jej mistrza Buchiera o konia. Obawiała się, że pobożna Dokuz-chatun każe jej jak zwykle pójść wieczorem do kościoła, i aby tego uniknąć, wyjechała na spotkanie obu mężczyznom. Na myśl, że będzie także srogi Bułgaj, czuła lekkie drżenie, ale zarazem przyjemność uczestnictwa w ryzykownej grze. Widziała nadciągający oddział Kitbogi już z daleka. Generał i jego gość, najwyższy sędzia, zbliżali się szybko. Gdy zobaczyli Jeżę samą pośród stepu,

stary rębajło osadził swego konia.

—

Bądźcie pozdrowiona, księżniczko! — zawołał jowialnie na swój hałaśliwy sposób. — Na pewno chodzi wam o przeniesienie waszego młodego małżonka — dodał, pragnąc zachęcić ją do mówienia. — Nie jesteśmy potworami! — Obrzucił pytającym spojrzeniem łysielca, a ten na znak zgody skinął głową. — Niniejszym rozkaz zostaje odwołany. Teraz już we dwoje możecie radować się swoją młodą miłością i naszym pięknym latem! Jego słowa zabrzmiały serdecznie i taki z pewnością miały sens. Jeza skierowała wierzchowca pomiędzy konie obu starców.

—

Młodej królowej nie należy się taka łaska, nie ma prawa do tego rodzaju szczęścia. Pragnę zaś pilnie wyznać wam pewne odkrycie, które mnie wystraszyło i wydaje mi się sprawą polityczną wielkiej wagi. Czy mogę mówić otwarcie? Znowu pytające spojrzenie powędrowało ku Bułgajowi. Ten popatrzył ze zdziwieniem na Jeżę i odpowiedział: — Proszę, mówcie bez obawy!

Przewyciężywszy nieśmiałość rzekła:

— Ludzie, którzy napadli na nas w Samarkandzie, to nie byli asasyni, tylko wynajęci mordercy na żołdzie Bagdadu. Natomiast ci, którzy bezinteresownie pośpieszyli nam z pomocą i oddali za nas życie, byli ludźmi Róży, fedainami z Alamutu. Teraz mogę to udowodnić! -- To was wystraszyło? — Bułgaj był uważnym słuchaczem.

— Tak — potwierdziła z zapalem Jeza — chociaż ten Umar nie popełnił żadnego przestępstwa, oprócz złośliwego figla, który spletał mojej przybocznej strażniczce Ordzie... —

A jednak — przerwał jej ostro — niewiele brakowało, żebyśmy go

wysłali jako przybocznego strażnika do Karakorum. Aż strach pomyśleć... Tym razem jemu przerwała Jeza.

— Przeciwnie! — zawołała zuchwale. — Prawdopodobnie by nam dowiódł, że nie wszyscy asasyni są podstępnyimi skrytobójcami, jestem przekonana, że własnym ciałem chroniłby życie wielkiego chana. Bo gdyby miał inne zamiary — dodała szybko — lub wręcz zlecenie, toby je wykonał, a nie wdawał się w taką głupią przygodę. — Co my wiemy? — wtrącił niewyraźnie swoim basem generał, lecz Jeza nie dała się zbić z pantałyku.

— Wiemy teraz, że asasyni są przyjaciółmi!

— Tego nie wiecie, młoda królowo — uśmiechnął się Bułgaj, kwitując jej zapal. — Zaliczacie to na jego korzyść. Cieszę się, żeśmy nie musieli wypróbować tego na ciele wielkiego chana. Dziękuję wam jednak za czujność, którą właściwie powinni byli okazać inni. Nie mam na myśli waszego syna, generale. Jeza uznała za stosowne wziąć w obronę szambelana.

—

Nikt nie mógł się domyślać — rzekła. — Dla mnie to dowód na to, że Tengri, boskie Niebo, trzyma rękę nad wielkim chanem i go osłania, gdyż tylko za jego sprawą wszystko obróciło się na dobre. Nie powinniśmy być żądni zemsty ani mściwi, ale wdzięczni. Starcy wymienili spojrzenia, w których malowało się coś pośredniego między zdziwieniem a rozbawieniem.

—

Dowiedliście bystrości i dalekowzroczości, moja królowo, jak również rozwagi i dyskrecji. To dobrze, że swe obserwacje powierzyliście najpierw nam — pochwalił Jezę najwyższy sędzia — proponuję więc, żeby

też na tym poprzestać.

Zanim otworzyła usta, wtrącił się generał.

— Zaprowadzę was jutro do mojego pana. Pan Hulagu chciałby się naradzić z wami, królewską parą. Chodzi o „resztę świata”.

— Wiem — uśmiechnęła się nadobnie — od dawna czekaliśmy na to życzenie, jeszcze goręcej pragniemy jednak stanąć wreszcie przed obliczem wielkiego chana Móngkego. To z jego powodu przybyliśmy tutaj, albowiem nas wezwał.

— Wszyscy pragnęliśmy waszego przybycia — odrzekł ze wzruszeniem generał. — Arslan, szaman, przekazał nam, że zostaliście obiecani ludowi Mongołów.

— Tak samo jak „reszta świata”? — dodała uszczypliwie Jeza, nie omieszkując równocześnie obdarzyć Bułgaja jednym ze swoich „gwiazdnych spojrzeń”, którym nikt nie potrafił się oprzeć.

— Zobaczycie wielkiego chana Móngkego — obiecał Bułgaj; także on uznał się za pokonanego. — Chagan oczekuje was już od dawna i będzie wielce uradowany, kiedy go powiadomię, z jakim królewskim spokojem i godnością szykujecie się do złożenia hołdu władcy. Po wylaniu tego kubła zimnej wody na zuchwale zadartą głowę Jezy obaj mężczyźni wraz z nią wjechali do obozu.

—
Rosz Trencavel do Williama z Roebroku,

w obozie letnim, w ostatniej dekadzie lipca A. D. 1253 *

Jeza i ja, w towarzystwie Kitona, na zaproszenie jego ojca pojechaliliśmy na

„bardzo ważne spotkanie”. Nic więcej nie mógł nam powiedzieć. Nam było to na rękę, najważniejsze, że coś wreszcie drgnęło, sytuacja bowiem stopniowo zaczęła być

nudna. Codziennie jeżdżę z centurią, którą Jeza nieodmiennie nazywa „dziką

gromadą”. A przecież jest tylko zazdrosna, bo chciałaby galopować z nami po stepie, zamiast chodzić

do kościoła trzy razy na dzień. Ciągłe jesteśmy pocieszani. Kito, który okazywał już oznaki rozczarowania, że nie zaczęliśmy krzyczeć z radości, kiedy wyjawiał nam to w tajemnicy, niechętnie się odzywał.

—
Kim właściwie jest ten William z Roebruku — wybuchnął w końcu — do którego wciąż piszecie, ale nie wysyłacie listów? — Odchrząknął niepewnie, po czym prędko dodał: — O to zapytuje was najwyższy sędzia. Nie żeby go to niepokoiło, pyta tylko dla porządku. Kito był wyraźnie speszony. A więc grzebali już w moich papierach! Spodziewałem się tego, odkąd Jeza powiedziała mi, że Orda była szpiegiem Bułgaja, a jednak rzecz mnie irytowała. Posłałem Jezie pełne wyższości, uspokajające spojrzenie, którym zasygnalizowałem jej — w takich sprawach byliśmy zgrani jak para starych komediantów — że wystąpię pierwszy. — Czyżby najwyższy zwierzchnik tajnych służb wszystkich Mongołów nie znał Williama z Roebruku? — zacząłem. — Niepodobna dać

temu wiarę! — Udawałem wstrząśniętego. Z wyrzutem i lekką drwiną w głosie dodałem: — William to najślawniejszy żyjący franciszkanin, najwybitniejszy członek obejmującego cały świat zakonu minorytów od czasów jego założyciela, świętego Franciszka z Asyżu. Potem włączyła się Jeza.

— William z Roebruku, powiernik cesarza, doradca królów. Co wy wiecie o „reszcie świata”, jeśli wasi informatorzy nie zwrócili uwagi na osobistość tej rangi?!

— On jest zaraz po papieżu, można by rzec — poszerzałem dalej Twoją aureolę — stoi u jego boku jako ten, który kieruje z ukrycia losami Kościoła Chrystusowego.

— Wtajemniczeni poszeptują, że jest Szarym Kardynałem. — Jeza podchwyciła zmieniony scenariusz. Kito wziął się w garść na tyle, by samemu zadać wreszcie pyta-

nie.

— Czy to on stoi ponad papieżem, o którym Kościół rzymski twierdzi, że jest zastępcą Mesjasza, a ten z kolei naturalnym synem Allaha i owej Miriam z kraju Żydów?

— Szary Kardynał działa niewidzialnie na drugim planie, decydując o tym, co ma mówić i robić wybraniec na stolcu Piotrowym. To on jest władzą... — Jeza dodała pełne zachwytu westchnienie, które nie mogło nie wywrzeć wrażenia na naszym towarzyszu.

— To wy go znacie osobiście? — spytał z niedowierzaniem i niemal nabożną cziągą, by zaraz samemu udzielić sobie odpowiedzi. — Na pewno, w przeciwnym razie nie pisalibyście przecież do niego. Ale dlaczego nie wysyłacie tych listów?

— Piszemy, żeby uradować jego serce, które bije miłością do nas. On nie potrzebuje relacji, które zdajemy. William z Roebruku wie o was wszystko, więc ich nie wysyłamy. Pewnego dnia przybędzie do nas, wtedy złożymy mu te wszystkie listy jako dar naszych serc, żeby przekonał się, iż zawsze myśleliśmy o nim. — Podczas tej przemowy zniżyłem głos, bo i mnie samego ogarnęło wzruszenie z powodu Twojej świętości, Williamie.

— I ten największy książę Kościoła przybędzie do nas we własnej osobie, żeby was odwiedzić? — Również Kito był szczerze wzruszony.

— Miejmy nadzieję — rzekła Jeza. — Jeśli cesarz i król gorąco go poproszą, weźmie na siebie trudy dalekiej podróży i zaszczyci wizytą nas i wielkiego chana, który jakże szlachetnie udziela nam gościny.

— Będzie ogromna radość! — podjąłem próbę zakończenia tej mowy pochwalnej, zanim Kito zdążył zadać uciążliwe, acz nieuniknione pytanie, czy i Ty złożysz hołd wielkiemu chanowi, ale Jeza zamknęła mu usta już pierwszym rozwiązaniem.

William z Roebruku pokochał serdecznie Mongołów i jak on kocha i szanuje wielkiego chana, tak ten powita go radośnie z otwartymi ramionami. To dodało mi odwagi do śmiałego zakończenia: — I jak my, para królewska, jesteście kluczem do „reszty świata”, tak William z Roebruku jest dziurką od tego klucza!

Gawędząc dojechaliśmy do samotnej jurty pośród stepu, większej jednak i okazalszej od wszystkich innych, jakie widziałem do tej pory. Otaczała ją ciasnym kordonem co najmniej centuria żołnierzy. Przed próg wyszedł siwy generał Kitboga i nas powitał. Kito musiał pozostać na zewnątrz. Jurtę rozjaśniało wiele świec łożowych; pośrodku płonęło ognisko, w którym paliły się jakieś przyjemnie pachnące gałęzie i krowie łajno. W półmroku zobaczyłem siedzącego przy podwyższonej ścianie czołowej małego człowieka, mającego po bokach rosłego Bułgaja i szambelana Dżuwajniego, który uklonił się nisko, kiedy weszliśmy do namiotu.

Il-chan Hulagu jest zachwycony — ozwał się uroczystym tonem generał — że składacie mu wreszcie wizytę. Już miałem rzucić się na ziemię i złożyć kota, lecz Jeza mnie powstrzymała. — Pozdrawiamy il-chana i wielceśmy radzi, że oto stajemy przed jego obliczem, gdyż długo musieliśmy czekać na tę chwilę szczęścia. — To rzekłszy, złożyła dworski dyg, wskutek czego mogłem przynajmniej zgiąć kolano.

Wybaczcie mi, moi królowie, że się nie podniosłem — przemówił dźwięcznym głosem Hulagu — ale dręczy mnie ból między plecami a nogami. Przewróciłbym się, zanimbym was uściskał. Przysiądźcie się, proszę, do mnie.

Dżuwajni natychmiast skinął na służących, aby przynieśli dwie poduszki, i usiedliśmy u stóp il-chana w ten sposób, że ów zmuszony był mocno zginać grzbiet, żeby z nami

rozmawiać. Jeza zaraz zauważyła tę niedogodność i wstaliśmy.

— Nie chcemy powiększać waszego bólu, dostojny il-chanie—powiedziała szybko i stanęła z boku tronu, gdzie stał już także generał Kitboga, tak więc szambelan musiał się cofnąć. Przyłączyłem się po drugiej stronie tronu do Bułgaja, budzącego postrach łysielca.

O „reszcie świata” opowiecie mi innym razem, gdy będę mógł stać albo leżeć, teraz nazbyt mnie to męczy. Chciałem was tylko zobaczyć -- rzekł drobny człowieczek o miękkich rysach twarzy i chłopięcym głosie ---i pierwsze wrażenie, na które zawsze się zdaję... — posłał Bułgajowi znaczące spojrzenie i skinął głową, na co ten pochylił swą łysą czaszkę na znak zgody — potwierdza, że mój wybór znowu okazał się słuszny.

Pogłaskał Jeżę po dłoni, otrzymał w podzięcie „gwiezdny talar” i zwrócił się do mnie.

— Znajduję upodobanie w was, dzieciach... — Nie dopowiedział, zmieszany zwrócił się do generała, który szybko podsunął mu „Graala”. — Słusznie, Graala! — Także mnie wziął za rękę i połączył ją na brzuchu — miał lekką skłonność do otyłości — z prawą ręką Jezy, a następnie położył na nich jako trzecią swoją mięsistą dłoń. — Wspólnie dokonamy wielkich rzeczy! —Rozejrzał się przy tym domagając aplauzu i mężczyźni stojący wokół tronu czym prędzej pokiwali głowami.—

Dziękuję — wyszeptała

skromnie Jeza.

Ja zaś wyprostowałem się, jako że oczy wszystkich były teraz skierowane na mnie, i rzekłem głośno: —

Jesteśmy gotowi.

Wówczas Hulagu zdjął swoją dłoń z naszych i poczuliśmy, że to koniec audiencji i że możemy odejść. Zaraz jednak wyrwał się szambelan.

— Il-chan życzy sobie, aby para królewska udała się stąd razem z nim do stolicy, albowiem pragnie przedstawić ją swemu dostojnemu bratu, wielkiemu chanowi Móngkemu. — W głosie Dżuwajniego wyraźnie było słychać żal, że pozbawiono go tego zaszczytu.

Dzisiejszej nocy będziecie się musieli zadowolić moją nędzną chatą — wtrącił

się w tym miejscu Hulagu zupełnie wbrew protokołowi, co mi się spodobało. — Ale w Karakorum dostaniecie własny pałac, zbudowany z twardego kamienia, jak jesteście przyzwyczajeni. W jurtach można się tylko nabawić bólu pleców.

— My to zwiemy „strzałą czarownicy"! — parsknęła Jeza. — A uwolnić od niej mogą tylko zioła i ciepłe poduszki!

Słyszeliście? — poskarżył się przysły władca Zachodu. — Młoda królowa potrafi również leczyć. Zioła i ciepłe poduszki! Całkiem po prostu, ciepłe poduszki—mruknął i wsparty na ramieniu szambelana udał się za kotary, które oddzielały prywatną część od reszty namiotu. My zaś wyszliśmy z jurty do Kitona, żeby się z nim pożegnać.

— Jeśli William z Roebruku przyjedzie was odwiedzić do Karakorum, chciałbym być u waszego boku.

— Tak będzie — odrzekła wzruszona Jeza. — Chętnie przedstawimy cię, naszego przyjaciela i obrońcę, sławnemu franciszkaninowi. — Uściskaliśmy się i Kito razem ze swym ojcem odjechał.

Długo jeszcze staliśmy z Jeżą, machając im, dopóki nie zniknęli wśród ciemniejącego stepu. Wtedy odwróciłem się do swojej damy. — Karakorum — powiedziałem tylko, gdyż byłem mocno poruszony wyobrażeniem, że wreszcie znajdziemy się w centrum władzy tego świata. Jeza uśmiechnęła się do mnie.

Ach, Williamie, jakże mam Ci opisać swoje uczucia, kiedy ona tak na mnie patrzy?

Zaprawdę ma oczy niby gwiazdy wieczorem na niebieskim firmamencie! Tengri niech ją osłania i zachowa mi jej miłość.

Na zawsze Twój Rosh

L. S.

Adieu... (fr.) — Żegnaj, rycerzu dobrych manier!

Al-wafa... (arab.) — wierność aż po grób.

VIII . VIA TRIUMPHALIS*

Z *Kroniki* Williama z Roebruku

Obóz Sartaka, w uroczystość św. Ksystusa* A. D. 1253

I tak wyruszyłem wreszcie w drogę do wielkiego chana, jakkolwiek wszystko

przebiega inaczej, niżli król sobie wyobrażał, ufając po prostu w dobro na tym świecie, i niż ja sam mogłem się spodziewać. Ledwo opuściliśmy Morze Czarne i dotarli do

pierwszego portu przy ujściu Donu, gdzie wkroczyliśmy na tereny Mongołów, zaraz

ogarnęła nas fala wiedzionego ciekawością oczekiwania. Każde dziecko, każdy naczel-

nik stacji, każdy starszy wioski i gubernator prowincji wiedział, kim jesteśmy i że

jedziemy do wielkiego chana. Nie chcę sobie pochlebiać, ale przede wszystkim moje

imię było na ustach wszystkich, co zresztą najzupełniej dogadzało moim towarzyszom,

bo wówczas nikt nie interesował się ich prawdziwą tożsamością. Wiadomość o

przybyciu sławnego „Williama z Roebruku” szerzyła się lotem błyskawicy po

mongolskich traktach wojskowych, a często wędrowały z nami setki ludzi, którzy klaskali

w ręce jak dzieci i wiwatowali na naszą cześć. Ciemną stroną tego chwalebnego

medalu było to, że objadali nas z zapasów i próbowali wyżebrać dosłownie wszystko z

wiezionego przez nas mienia.

Tymczasem musieliśmy się troszczyć o trzech przewodników, cztery wozy

wyładowane naszymi rzeczami tudzież tabor składający się z pachołków, woźniców,

parobków do koni i poganiaczy wielbłądów, a na każdym postoju ich przybywało.

Wszyscy oni okradali nas i nie znali miary w żądaniach. Za każdym razem mówiłem

tylko „tak” i „amen”, gdyż skromne *pax et bonum* świętego Franciszka naprawdę było już nie na miejscu. Niczym rój much wokół krowiego łajna otaczali nas nieudolni

tłumacze, zuchwali służący i nieznający drogi przewodnicy — wskutek czego

posuwaliśmy się bardzo wolno i z przygodami. W gruncie rzeczy było mi to jednak

obojętne, gdyż postanowiłem sobie, że zaraz po przyjeździe złożę wizytę Sartakowi, pierwszemu księciu mongolskiemu, i pozbędę się całej tej hałastry, co wobec autorytetu władcy powinno być wszak możliwe. Przybyliśmy wieczorem do jego obozu dworskiego i moi przewodnicy pośpieszyli zameldować „jamowi” o naszym przyjeździe. Jam to wysoki urzędnik, którego zadanie polega na przyjmowaniu cudzoziemskich posłów, sprawowaniu nad nimi opieki oraz—po dokładnym sprawdzeniu, lecz koniec końców wedle własnego uznania — wyjednaniu im audiencji u chana.

Kiedy mój przewodnik poinformował mnie, że jam gotów jest nas przyjąć, a ja nie kwapiłem się jakoś do przygotowania dlań większego prezentu, ten zaczął dziko wyrzekać na moją niewdzięczność. Nie dałem się jednak zbić z tropu i my dwaj z Barcem w prostych szatach zakonnych minorytów, monseigneur zaś w czarnym habicie kapłańskim, weszliśmy do urządzonej z przepychem jurty jama. Tamże ujrzeliśmy tronującego na krześle niewiarygodnie grubego człowieka, przed którym kołysały się tancerki i przygrywali muzykanci. Od razu przeprosiłem za to, że jako mnisi nie mamy dla niego złota ani srebra, które chętnie złożylibyśmy w darze. Posiadamy jedynie święte księgi i ornat do odprawiania nabożeństw. Stwierdziłem z ulgą, że jam z życzliwym uśmiechem przeszedł nad tym do porządku dziennego i przekazał mi przez swego tłumacza, iż dobrze czynimy, podtrzymując swoje śluby, w których wyrzekliśmy się wszelkiego majątku. Na szczęście nie jest zdany na dary tych, którzy nic nie posiadają, a raczej on gotów jest nam podarować to i owo, gdybyśmy byli w potrzebie. Tedy z kolei ja skromnie odrzuciłem, prosząc go jedynie o to, aby uwolnił nas od rozmaitych petentów i natrętów, którzy—wbrew naszej woli — przywędrowali za nami aż tutaj.

Na te słowa jam uśmiechnął się od ucha do ucha i stwierdził, że nie możemy być aż

tak biedni, skoro odrzuciliśmy jego propozycję, iż zaopatrzy nas w najniezbędniejsze rzeczy. Poza tym nikt nie szedłby za nami tak daleko, gdybyśmy nie posiadali jednak wielu dóbr w nadmiarze. Po czym odprawił nas, nie wydając żadnych dalszych postanowień w naszej sprawie.

Razem z Filipem pogrzebałem w swoich skrzyniach z kosztownościami i jeszcze późnym wieczorem posłałem jamowi kielich mszalny wysadzany drogocennymi kamieniami. Poleciałem swemu słudze, aby przekazał opiekunowi wszystkich posłów:

„Mój pan William ofiarowuje Wam to święte naczynie, których nie posiada więcej, tylko dlatego żebyście się przekonali, iż dawanie ważniejsze jest od brania. Módlcie się odtąd co dnia za dusze wszystkich tych, którzy są biedniejsi od was, gdyż mój pan William nie może już tego czynić. Błogosławi jednak was oraz ten kielich Świętej Wieczerzy.

Amen!"

Była już północ, kiedy Filip zupełnie pijany wrócił z wiadomością, iż jam oczekuje nas jutro po południu, aby zaprowadzić nas do Sartaka. Prosi jednak, abyśmy wzięli ze sobą księgi i przeznaczone do naszych obrządków szaty i przedmioty i wystąpili w pełnym odświętym stroju, jako że jego pan życzy sobie to wszystko zobaczyć. Mamy też pamiętać o swoich listach uwierzytelniających.

Nie zmartwiło mnie to ani trochę, wszak jeszcze w Konstantynopolu kazałem listy akuratnie przetłumaczyć na wszystkie języki Mongołów i potwierdzić to urzędową pieczęcią przez cesarskiego notariusza. Nietęgo się jednak poczułem, kiedy jałem się zastanawiać, ile ze swoich skarbów cennych ornatów powinienem pokazać. Ryzyko wzbudzenia zachłanności nawet u tak wysoko postawionego Mongoła wydawało mi się znaczne. Gdybyśmy mieli stanąć przed wielkim chanem, stratę zrównoważyłby sukces całej podróży, lecz to był dopiero syn Batu, a od celu dzieliło nas jeszcze wiele podobnych prób. Nie mogłem za każdym razem się wdawać w taką zabawę w kota i

mysz.

Nazajutrz rankiem z przygnębioną miną zebrałem wokół siebie wszystkich swoich stołowników, służących, przewodników i pacholków, po czym pogoniłem kota Timalowi, aż ten wziął się w garść i tonem głosu oraz gestem przetłumaczył moją płomienną mowę w taki sposób, żeby odniosła skutek. Zapowiedziałem im, że z tego co wiem, Sartak zamierza potraktować wszystkich nie należących do mojego orszaku jak nieproszonych gości, którzy zakradli się do jego obozu. Podniósł się wówczas płacz i zgrzytanie zębów, gdyż każdy dobrze wiedział, co to dla niego oznacza. Bez trudu mogłem więc potem udawać łaskawego pana. Wszyscy z radością pozwolili się odziać w biskupie szaty. Przymknąłem oko na to, że Filip za ów gest przyjmował od każdego prezent w brzęczącej monecie, co dało w sumie o wiele większą kwotę, niż „straciliśmy” na nich podczas podróży, jak wyliczył mi później z dumą. Tym sposobem przedziergnałem zgraję pasożytów we wspaniały zastęp chórzystów, ministrantów, diakonów i przeorów. Następnie kazałem Barcowi, który w lot pojął moją strategię — tę, że najlepszą obroną jest atak — i tylko musiał powstrzymywać się od śmiechu, aby przeciwiczył z nimi „Veni Creator Spiritus”,* dopóki hymn krzyżowców nie zabrzmie może niezupełnie melodyjnie, ale za to z mocą.

Crean-Gosset, który znosił wszelkie przedsięwzięte przeze mnie kroki z miną prawdziwego pokutnika, rozdzielił kadzielnice oraz cenne krucyfiksy między ludzi wzbudzających jakie takie zaufanie. On jedyny pozostał w swym ponurym habicie. Z tegoż powodu mianowałem go swoim spowiednikiem, „Bartłomieja z Cremony” awansowałem na prowincjała,* siebie samego zaś — w mitrze biskupiej i z pastorałem — wyznaczyłem na stanowisko kardynała diakona naszego zakonu. Filip jako alfiere* niósł wyszywaną złotem chorągiew, przedstawiającą Świętą Dziewicę z Barankiem Bożym.

I tak nasza procesja ruszyła przez rosnący z każdą chwilą tłum. Jam wyszedł przed jurte. Najpierw przykląkł i uchwycił moją dłoń z pierścieniem do ucałowania, po czym chemie wysłuchał szczegółowych wyjaśnień Barca. Interesowały go zwłaszcza przyniesione księgi oraz szaty i naczynia kultowe, którym przyglądał się z widoczną pożądlivością w oczach.

—
Zamierzacie podarować to wszystko naszemu panu Sartakowi? — spytał podchwytliwie. Ukryłem przerażenie i odrzekłem stanowczo: — My przynosimy mu przesłanie, a jest to przesłanie zbawienia, które może mu przypaść w udziale jedynie przez Jezusa Chrystusa. Kiedy przeczyta list naszego króla, dowie się, dlaczego przybyliśmy do niego. Chętnie oddajemy się w jego ręce, ale te przedmioty i szaty są święte i mogą ich dotykać tylko kapłani.

Jam bardzo się wystraszył i czym prędzej ukradkiem wcisnął Filipowi z powrotem złoty puchar. Uczyniłem znak krzyża na jego czole i śpiewając hymn, pociągnęliśmy powoli dalej ku namiotowi księcia. Było to w uroczystość świętego Piotra w Okowach,* dlatego Barć i ja zaintonowaliśmy jeszcze „Salve Regina”,* kiedy rozsunała się zasłona przy wejściu. Ponieważ tuż za nią znajdowała się jak zwykle ława z kobyliim mlekiem, którym każdy mógł się częstować, razem z nami wcisnęło się też do jurty wielu Mongołów. Było mi to zresztą na rękę, gdyż w ciżbie nie rzucało się w oczy, że pokusom kumysu nie potrafiło się także oprzeć paru ministrantów z mojego „orszaku”. Pan Sartak był niepozornym mężczyzną w połowie piątego krzyżyka. Postawę miał przygarbioną, a na twarzy wypisany odcień rozgoryczenia jak prawie wszyscy synowie dominujących ojców, którzy jak Batu-chan nie chcą się wyrzec władzy. Skinął na mnie, abym się zbliżył, od razu bowiem zauważył moją eksponowaną pozycję, gdyż nie padłem na ziemię jak mój orszak, by złożyć kotau, lecz jedynie skłoniłem lekko głowę.

Zapraǳnął przyjrzeć się z bliska wspaniałemu psalterzowi, który podarowała mi królowa Francji, jak poinformowałem go zaraz, a jednocześnie poleciłem Barcowi, by wręczył mu list od króla. Sartak przekazał pismo tłumaczowi, ode mnie zaś chciał się dowiedzieć, o czym traktuje moja księga. — To jest Pismo Święte — rzekłem uroczyście. Odpowiedź go zadowoliła, z lubością więc jął kartkować drogocenne dzieło ozdobione licznymi rycinami. Następnie zostaliśmy odesłani z powrotem do naszej jurty. Wieczorem zjawił się u nas jam z kilkoma nestoriańskimi kapłanami, którzy jednak nie uznali za wskazane nas pozdrowić. Mongoł wyjaśnił — Timdał potrafił nagle tłumaczyć całkiem płynnie — iż pan Sartak zdecydował, że tylko jego ojciec Batu-chan ma prawo odpowiedzieć na list naszemu królowi Ludwikowi. Nazajutrz mieliśmy więc wyruszyć do jego obozu. Sprawa wydała mi się oczywista, lecz okazało się, że to nie wszystko. Otóż szaty i naczynia kultowe, które zaprezentowaliśmy podczas audiencji u jego pana, mieliśmy oddać w ręce jego, jama, ponieważ książę zażyczył sobie obejrzeć je ponownie, zwłaszcza księgę ze złoconymi rycinami. Nie wierzyłem nawet jednemu jego słowu. — Jak wasz pan może się tego domagać — odparłem — skoro wie, że udajemy się do jego ojca i tam musimy przywdziać owe szaty. A psalterza nie wolno mi oddać, gdyż jest to podarunek od królowej. Na to jam pokręcił gniewnie głową. —

A

teraz jest godnym podarunkiem dla Sartaka, który znalazł w nim upodobanie! — rzucił opryskliwie. — Co się zaś tyczy szat, mieliście je na sobie podczas audiencji u Sartaka. Nie zamierzacie chyba stanąć w tym samym stroju przed Batu-chanem?!

Tymczasem nestorianie zapakowali już trybularz oraz kielich mszalny, przywłaszczyli sobie także moją paradną szatę biskupią tudzież ornat mego konfratra. —

Wynoście się czym prędzej! — prychnął jam na pożegnanie i wyrwał mi drogocenny

psałterz. Zaniechałem obrony. Do Sartaka nie mieliśmy już dostępu, a kto oprócz niego miałby nam przyznać sprawiedliwość? — I przypadkiem nie ważcie się poskarżyć Batuchanowi albo na przykład twierdzić, że nasz pan Sartak jest chrześcijaninem, jak wydaje się

waszemu królowi. Nasz książę nie jest chrześcijaninem, tylko Mongołem!

Nad Wołgą,

w uroczystość Wniebowzięcia Maryi Panny*

AD1253

Rabunkowa akcja jama przyniosła jeden dobry skutek: uwolniła nas od pasożytniczej zgrai, wszyscy bowiem sądzili, że popadliśmy w niełaskę i posłano nas do Batu tylko dlatego, żeby tam z nami skończyć. Dostaliśmy więc nowego przewodnika i innych pacholków; pozostawiono nam jedynie naszego Timdala, choć przy okazji też bym się chętnie pozbył tego naiwnego strachajły.

Ledwo zniknęliśmy z oczu mieszkańcom obozu, zarządziłem postój i przydzieliłem bratu Barcowi, memu słudze Filipowi tudzież naszym przewodnikom nowe szaty paradne z zasobnych worków biskupa Mikołaja z La Porty, który niech spoczywa w pokoju!

— A zatem w dalszym ciągu uważacie, ekscelencjo — szydził Crean--Gosset, skromny zakonnik — że nie skromność i pokora, jeno wyzywający przepych lepiej służy wypełnieniu naszej misji?

— Ach, ojczy — westchnąłem — Mongołowie i tak patrzą z góry na każdego cudzoziemca. Jeżeli płaszczy się przed nimi, nie kryją dlań pogardy i traktują go jak niewolnika. Ponieważ woły ciągnące nasze wozy posuwały się bardzo wolno, niewiele sensu miałoby dosiadanie koni. Przywiązaliśmy więc wierzchowce do wozów i szliśmy obok nich pieszo.

*Alma redemptoris Mater quern de coelis misit Pater propter salutem gentium**

Niebawem zaczęli nam towarzyszyć nowi ciekawscy. Pod wieczór było ich znowu tylu co poprzednio. A wszyscy rozdziawiali gęby z podziwu. Przez Timdala przekazałem naszemu nowemu przewodnikowi, żeby ich odesłał, gdyż nie zamierzam robić im prezentów ani ich żywić.

Mój *homo Dei** przetłumaczył mi jednak ich odpowiedź, że nie myślą się podporządkować. Rozgniewany zagroziłem mu chłostą, na co ten przestraszył się jeszcze bardziej niż zazwyczaj i jął gwałtownie gulgotać coś do przewodnika. Ów zaczął rozdzielać razy na prawo i lewo, a Timdal ze szlochem podbiegł do mnie.

— Przewodnik powiada, że jest szczęśliwy i wdzięczny za każdego człowieka, który nam towarzyszy, albowiem dziś w nocy będziemy wędrować przez tereny rozbójników.

Z trudem dorozumiałem się — bo biedak tak był udręczony strachem, iż ledwo mógł wydusić z siebie jakieś składne słowo — że na tej ziemi niczyjej między terytoriami ojca i syna mieszka wielu zbiegłych niewolników. Rusinów i Węgrów, jak również saraceńskich Bułgarów. W nocy łączą się oni w bandy i napadają na podróżnych. Nie biorą jeńców z obawy, że ktoś mógłby ich zdradzić Mongołom. Przewodnik miał nadzieję, iż nasza kolumna przed zapadnięciem ciemności rozrośnie się tak bardzo i będzie się wydawać tak potężna, że rozbójnicy zaniechają ataku.

Natychmiast kazałem rozdać wino towarzyszącemu nam pospólstwu i obiecać każdemu monetę, którą otrzyma, gdy tylko wzejdzie słońce — co było propozycją nad wyraz roztropaną, bo albo wszyscy będziemy wtedy martwi i odpadnie kwestia wypłaty wynagrodzenia, albo wyjdziemy z opresji cało, a wówczas opłaci się ten wydatek. W świetle księżyca w pierwszej kwadrze ciągnęła przez step potężna karawana, upraszając o wstawiennictwo Matkę Bożą.

*Audi Mater pietatis, nos gementes pro peccatis et a malis nos tuere**

Dotarliśmy bez szwanku do Wołgi. Nad tą rzeką napotkaliśmy liczne osady prawowiernych muzułmanów żyjących pod mongolskim panowaniem, co bardzo mnie zdumiało, gdyż do Persji, gdzie znajdują się Żelazne Wrota, uznawane zazwyczaj za granice zasięgu mahometanizmu, jest stąd ponad trzydzieści dni drogi. Owi „Saraceni” wcale nie potraktowali nas wrogo, bynajmniej nas też nie oszukali — w odróżnieniu od swych mongolskich panów — kiedy ochoczo przewieźli nas dużymi łodziami w dół rzeki do obozu Batu-chana, który położony jest nad samą Wołgą.

Wyświadczyli mi nawet przysługę, zabierając z nami do łodzi tylko tych z rosnącej gromady pospólstwa, których im wskazałem. Każdemu z pozostałych dałem dokładnie tyle pieniędzy, ile zapłaciłbym za przewóz łodzią, i byłem bardzo zaskoczony, prawie wzruszony, że większość z nich wynajęła potem łódź, aby podążyć za nami.

Wznosili wiwaty na moją cześć i na melodię pieśni maryjnej, która towarzyszyła nam podczas niebezpiecznych nocy, śpiewali:

Podążamy za twymi chorągwiemi, tam dokąd nas prowadzisz, Williamie, wielki księżę pokoju, który gotujesz nam szczęście, Williamie, wielki książę pokoju.

Tak w każdym razie przetłumaczył mi słowa pieśni Timdal. Nie miałem za złe swoim towarzyszom, że uśmiechają się pod nosem z mojego tryumfu. Obóz Batu-chana

przypominał rozciągające się na przestrzeni wielu mil olbrzymie miasto, tyle że tu stała jurta przy jurcie. Obóz dworski znajdował się pośrodku i zgodnie ze zwyczajem nikomu

nie wolno było się osiedlić na południe od niego, dzięki czemu powstał tam wielki pusty plac. To tu stary władca Złotej Ordy kazał rozbić potężny namiot audiencyjny, ponieważ jego jurty pałacowe nie były w stanie pomieścić masy ludzi, jacy cisnęli się do niego. W dniu przybycia widzieliśmy to tylko z daleka, ponieważ posłuchanie mieliśmy uzyskać dopiero nazajutrz rano.

Kiedy stanęliśmy na przydzielonej nam kwaterze, mój spowiednik Crean-Gosset —

pewnie wmówił sobie, że mam wyrzuty sumienia! — ponownie rzucił pytanie, czy nie byłoby jednak rzeczą bardziej wskazaną, gdybyśmy wystąpili przed Batu w skromnych szatach mnisich.

Z przerażeniem uprzytomniłem sobie, że przed nami stał tam już przecież także nasz konfrater i poprzednik Jan z Pian dei Carpine, któremu rzekomo towarzyszyłem. W każdym razie wiedziałem od niego, że włożył odświętny strój Mongołów. Rzekłem zatem:

— Wy, kapłani, możecie iść, jak chcecie, również mojemu bratu zostawiam wolny wybór, w co się pragnie odziać. Ja natomiast pozostaję przy drodze, którą obierałem do tej pory. —

Skromność nie popłaca, co najwyżej po zakończeniu ziemskiego żywota! — Barć stanął tym razem po mojej stronie. — Nie jestem izmailitą ani katarem, żyję tu i teraz, a w dodatku krótko! Słyszając te słowa, Crean-Gosset przeżegnał się, jakby przez całe życie był kapłanem *Ecclesiae romanae*. L. S.

Było już popołudnie, kiedy wezwano wreszcie franciszkanów na audiencję u Batu-chana. Przyszedł po nich przewodnik, który od razu począł wybrzydzać na ich wygląd, bo nie byli boso. —

Minoryci zawsze tak chodzą — twierdził.

Barć z miejsca okazał gotowość zawiązania przynajmniej sandałów, ale wtedy zaprotestował William, który oświadczył Mongołowi, iż kiedy ma się na sobie ornat, uchylbia to regule. Po prostu był zbyt leniwy, żeby zmienić buty, a zresztą sandały rzeczywiście nie pasowałyby do przywdzianej przezeń drogocennej szaty biskupiej.

W drodze do namiotu Batu-chana przewodnik napomniął ich kilkakrotnie, by w żadnym wypadku nie otwierali ust, dopóki Batu ich nie wezwie do zabrania głosu.

Najbardziej ostrzegali ich przed sznurami namiotu. Potknięcie się o taki sznur odpowiadałoby bluźnierczemu stąpieniu na próg i stanowiłoby przestępstwo karane natychmiastową śmiercią. Zastraszony Barc spuścił oczy, natomiast zuchwały Flamandczyk gapił się na władcę oblicze władcy Złotej Ordy. Gruby Batu siedział na tronie, który był długi i szeroki jak łożo i cały połączony. Wiodły do niego schodki. Batu przyglądał się gościom z uwagą.

Zastraszony Barc spuścił oczy, natomiast zuchwały Flamandczyk gapił się na władcę.

Chan był osobnikiem tak korpulentnym, że przypominał jakiegoś bożka pożerającego ludzi. Długo kazał czekać franciszkanom. Jego małe oczka, umoszczone między obwisłymi od tłuszczu powiekami i okazałymi woreczkami łzowymi, wędrowały obojętnie od jednego do drugiego, jakby byli trofeami z niezbyt udanych łowów.

Następnie kazał sobie podać wielki puchar, pociągnął łyk, otarł mięsiste wargi i wreszcie wezwał Williama, by przemówił. Mów! — powiedział mało zachęcająco.

— Na kolana! — syknął przewodnik, a tłumacz przekazał to samo na głos. William zgiął wszakże tylko jedno kolano, co wydawało mu się wystarczającym ukłonem przed tym świeckim władcą. —

Padnijcie na twarz przed wielkim Batu-chanem! —

zawołał ze

strachem Timdal. William zamierzał właśnie ustąpić, aby uniknąć kłótni, lecz moloch lekceważąco machnął ręką. Wtedy Flamandczyk podjął już odważnie: —

Kto

wierzy i przyjmie chrzest, ten będzie zbawiony.—Tłumacz po raz tysięczny umierał ze strachu, lecz William ciągnął: — Kto wszelako nie wierzy, tego czeka wieczne potępienie!

— To rzekłszy, polecił duszę Bogu i łasce Batu-chana. Ów jednak uśmiechnął się

tylko spokojnie, a męska część jego dworu jęła szyderczo bić brawo. Jego kobiety uśmiechały się zażenowane, kiedy Timdal, zacinając się i pokaszując, jakby połknął

żabę, wyjąkał tłumaczenie. Pewnie były chrześcijankami.

. — Wstań! — rozkazał Batu i zapytał Williama o jego króla i rodzinę tegoż. Timdalowi znowu serce uciekło w pięty. Nadal klęczał w uniżonej pozycji kotau, wskutek czego mógł podawać tłumaczenie tylko wrywkowo. Batu-chan kazał jednak zapisywać każdą odpowiedź, przede wszystkim zaś, z kim król Francji toczy wojnę, kogo pokonał i zmusił do płacenia trybutu. William próbował mu wyjaśnić, że wyprawy krzyżowe nie służą podporządkowaniu ani wzbogaceniu, lecz jedynie odzyskaniu Jeruzalem i zwycięstwu wiary chrześcijańskiej. —

I król odniósł tam zwycięstwo? Na to pytanie misjonarz musiał odpowiedzieć przecząco.

— Ale nie rezygnuje!

— A zastępy muzułmańskie?

— Nie ma wśród nich zgodności — odrzekł William — ale i one nie rezygnują! Batu-chan pokręcił głową.

—

A przynajmniej chrześcijanie są ze sobą zgodni? — zapytał tak, że można było wyczuć, iż dawno zna odpowiedź. William pokręcił więc tylko z z troskaniem głową, lecz Batu nie popuszczał.

—

Dlatego życzycie sobie, żebym został chrześcijaninem, i dlatego nosicie przy sobie ten list? Minoryta zmieszał się na chwilę, ale wówczas Barć, starając się spojrzeć chanowi w oczy najszczerzej, jak potrafił, wtrącił szybko:

—

Życzenie naszego króla wypływa jedynie z frasnku o zbawienie waszej

duszy.

W końcu Batu-chan poprosił gości, by usiedli, i dał im się napić kumysu ze swojej złotej czary, co stanowiło wielki zaszczyt, jak oznajmił im drżącym głosem tłumacz.

Najpierw uraczył się sam Batu, a wszyscy klasnęli dwakroć w dłonie, zanim przytknął puchar do ust, potem zaś go odstawił. Dopiero wtedy mogli przystąpić do picia goście i wszyscy obecni. Przy wejściu do namiotu, gdzie stały misy, zrobił się dziki tumult.

William podniósł czarę i zawołał głośno:

— Piję za zdrowie, mądrość i szczęście wielkiego Batu-chana /Kiedy tłumacz przekładał te słowa, dało się zauważyć, że jest już

pijany. Batu uśmiechnął się łaskawie i ponownie pociągnął łyk, znów przy wtórce rytmicznych oklasków jego poddanych. Ledwo puchar został opróżniony, napełniono go na nowo. William czuł odurzające działanie sfermentowanego kobyłego mleka, lecz nie zamierzał pierwszy stoczyć się pod stół. Aplauz zagrzewał pijących, także William zebrał pojedyncze oklaski. Czerwona twarz Batu błyszczała zadowoleniem. Pijatyka snadź weseliła mu serce, lecz wtem jego wzrok padł na kapłana. Crean-Gosset siedział wśród radujących się Mongołów sztywny jak kołek i wbijał wzrok w ziemię. Tindal bełkocząc wyjaśnił, że Batu-chan nie znosi widoku odwróconych twarzy lub zasmuconych min. Niech więc monseigneur łaskawie podniesie głowę i pije z innymi.

Crean, który został przedstawiony jako spowiednik Williama, wstał z miejsca, uklonił się nisko przed Batu i bez słowa opuścił namiot.

— W przeciwieństwie do waszych nestorian kapłani papieskiego Kościoła rzymskiego nie biorą do ust napojów odurzających! Monseigneur traktuje swoje śluby bardzo poważnie — zawołał William lekko podchmielony i z tej przyczyny nie mający już zahamowań, by zbagatelizować całe zajście, a najlepiej skłonić władcę do puszczenia go od razu w niepamięć. Mrugnął doń przy tym znacząco.

— I słusznie — odparł Batu — tylko nie powinien obciążać nas swoim kłopotem!

Wszyscy się roześmiali, również William, a ktoś zapytał: --Czy to prawda, że papież ma ponad pięćset lat?

— Papiestwo istnieje pewnie od tak dawna—odpowiedział Barć—ale panowało blisko stu różnych papieży! Mongołowie uznali to za wielce zdumiewające; wieczny Czyngis-chan wraz z potomkami w trzecim pokoleniu był jednak dla nich bardziej konkretny.

Po jakimś czasie Batu-chan kazał się zaprowadzić do swoich pomieszczeń. Także brat Barć został dawno zanieiony do jurty gości. Timdal legł pod stołem i bredził trzy po trzy. William natomiast pił, klaskał, pił, a wszyscy przychodzili, żeby go poklepać po

grzbiecie i napić się z nim kumysu. Plask i do dna! Rankiem zaś sam nie wiedział, jak i kiedy trafił na swoje posłanie w ich jurcie. Nie leżał zresztą na nim, tylko przed nim, w pełnym rynsztunku, w mitrze na głowie i z pastorałem w ręku tak samo, jak leżą w

obejściu chóru francuskich katedr wykuci w kamieniu biskupi. Kiedy rozwarł oczy, pomyślał zresztą w pierwszej chwili, że umarł, i się nie ruszał. Na jego posłaniu chrapał Timdal. To szybko przywróciło misjonarza do życia. Wyrzuciwszy tłumacza z namiotu, spał do samego południa. Potem przyszedł przewodnik. Złożył głęboki ukłon franciszkaninowi i rzekł:

—

William z Roebruku swoim piciem podbił serca wszystkich Mongołów.

Zaprawdę jesteście sławnym mężem. Dlatego także Batu-chan nie chce wyrywać się przed swego bratanka, wielkiego chana Móngkego. Do niego macie się udać, żeby również chagan was poznał. Możecie zabrać swojego tłumacza; wasi towarzysze zaś winni wrócić do obozu Sartaka

i tam czekać waszego powrotu. Mały brat Barć rozsierdził się przysięgając, że prędzej da sobie odrąbać głowę, niż tam wróci. Wówczas William w zwięzłych słowach

oświadczył przewodnikowi, że nie zamierza rozstawać się z towarzyszami. Nie może także zrezygnować ze swego sługi, co najwyżej z kapłana. Przewodnik mruczał coś pod nosem, ale wrócił do Batu i przekazał chanowi, co jemu wcześniej powiedziano. Wiadomość, jaką zacinając się przekazał potem gościom, brzmiała: — Kapłan Gosset wraca do syna Batu, Sartaka. Obaj minoryci wraz ze sługą i tłumaczem udają się do Karakorum. Batu życzy Williamowi Roebruku zdrowia, mądrości i szczęścia. Ponieważ podszedł do nich akurat monseigneur, William zaczął udawać, że pragnie zatrzymać przy sobie swego spowiednika, ale tym razem przewodnik uciął mu w pół słowa.

Oszczędźcie sobie protestów. Batu powziął decyzję, a ja nie odważę się raz jeszcze wejść do jego namiotu! Ten argument przekonał Williama, który mimo to był zły — na siebie, gdyż teraz on musiał za Creana-Gosseta wyciągnąć z ognia kasztany, w tym wypadku: dzieci. Po chwili zauważył, że przewodnik chce jeszcze coś dodać. Ja też muszę wracać do Sartaka. Inny przewodnik, którego da wam Batu, zaprowadzi was do wielkiego chana. — Słysząc było w jego głosie, że bardzo tego żałuje. William podarował mu wspaniałomyślnie złoty pierścień i krzyż na łańcuchu, ale krzyża nie chciał, bo widniało na nim nagie ciało Ukrzyżowanego. Został bowiem wychowany przez nestorian, jak przetłumaczył Tindal, ci zaś odrzucają podobnie jak Armeńczycy obrazowe przedstawienia *Corporis Christi*, ponieważ nie uznają oddawania czci zwłokom. Dostał zatem pieniądze. Crean-Gosset nie słyszał wszystkiego, o czym była mowa.

—
Weselicie się pewnie, Williamie, żeście się mnie pozbyli — podrwiwał. —

Zważywszy na wasz charakter, muszę zresztą żywić wątpliwości, czy akuratnie

wypełnicie swoje zadanie. William wyprawił z jurty Timdala wraz z Filipem, żeby zakupili dość jadła na dalszą drogę, po czym oświadczył cicho:

—
Monseigneur, nie jestem wprawdzie członkiem tajnego stowarzyszenia i

udaję się do dzieci zamiast was, bo jest to dla mnie potrzeba serca...

—
Tylko nie gadaj mi tu o swoim czystym sercu, Williamie — odparł z goryczą

Crean. — Jak cię znam, nie zdradzisz naszego planu, tylko zapomnisz o nim z czystego wygodnictwa.

—
Przecież zostaje jeszcze przy mnie brat Barć, który zawsze mi będzie o nim

przypominał — odrzekł posądzony. — Poza tym chcę ci powiedzieć, że z uwagi na

właściwy cel naszej podróży do wielkiego chana wcale mi się nie podoba, że mam

zrezygnować z twojej pomocy. Gdy tylko tam przybędę i doprowadzę do tego, że trudno

będzie odmówić mojej prośbie, przeforsuję, żeby pozwolono ci dołączyć do nas. Nie dla

delikatnych uczuć do ciebie, ponuraka, tylko dlatego że naprawdę nie mam ochoty w

pojedynekę wyciągać z ognia kasztanów dla Przeoratu!

— Poczekam, aż to zrobisz, w uroczym obozie Sartaka u naszych zacnych kolegów

kapłanów!

— Ciesz się, kaczerzu — Barć parsknął śmiechem — że nie będziesz miał do

czynienia z duchownymi, którzy piastują stanowiska w Kościele, ci zmiarkowaliby od

razu, że nie potrafisz nawet odmówić wyznania wiary! Uściskaliśmy Creana, który

nazajutrz rano udał się w drogę powrotną razem z przewodnikiem. Pozostający w

obozie członkowie poselstwa jęli się sposobić do dalszej podróży, w którą mieli

wyruszyć w święto Podwyższenia Krzyża, 14 września A. D. 1253.

Raport służb tajnych dla potężnego Bułgaja,

najwyższego sędziego wszystkich chanatów mongolskich

Czcigodny Strażniku Prawa, podążyliśmy za owym dziwacznym Williamem, tą beczką bez dna. Przekroczył on pewnie trzydziesty rok życia; jego owłosienie składa się z wątlego wianuszka rudych kędziorów. Z racji flegmatycznego trybu życia jest bardzo otyły, toteż zwyczajny wierzchowiec niechętnie go pewnie dźwiga na grzbiecie. William wywodzi się z miejscowości o nazwie Roebruk, której używa jako nazwiska, bo albo pragnie ukryć swoje pochodzenie, albo nie wydał go żaden znaczniejszy ród. Ów Roebruk albo też Rubruck leży ponoć w krainie o nazwie „Flandria” bądź „Flamingia”, która przylega do wielkiego oceanu, wszelako nikt nie potrafi rzec, czy należy ona do króla Franków czy do władcy Cesarstwa Rzymskiego. Jest mnichem zakonu powołującego się na niejakiego Franciszka, którego uważa się za świętego. Przypominamy Wam, że z tego samego zakonu pochodził już Jan z Pian del Carpine, bracia z Longjumeau zaś byli z grona *canes Domini**

Williama wysłał król Franków, choć mnich obstaje przy tym, że posłał go Jezus Chrystus, o którym wszyscy przecież wiedzą, że został stracony. Nie twierdzi natomiast, że wybrał go do tej misji papież, który bądź co bądź uważa się za zwierzchnika wszystkich chrześcijan w „reszcie świata” i któremu podlegają wszystkie te zakony, mnisi i kapłani. Podczas prowadzonego przez nas dochodzenia ustaliliśmy, że poza krajami, w których obowiązuje prawo Jasy i rozkazy naszego chagana, nie ma jednolitego przewodnictwa. Przeciwnie, panuje zamęt myśli, który należy uznać za słabość. Mieszkający w nich chrześcijanie rozróżniają mianowicie „władzę ducha”, którą sprawują rozmaite Kościoły, oraz „władzę na ziemi”, o którą się spierają. Zakończenie takich nieporządków powinno być jednym z pierwszych zadań, jeśli mają się ziścić plany naszego wielkiego chana. Za pozwoleniem, uważamy to nawet za pilną konieczność. Wybaczcie to odejście od właściwej materii, ale sami wbiliście nam do głowy, że

każda wskazówka może się przydać.

William z Roebruku jest bez wątpienia osobistością stojącą wyżej od zwykłego „misjonarza”, za którego się podaje. Wynika to choćby z jego pozycji wobec króla, którego jest doradcą, jak również wobec papieża, którego przewyższa sławą i który mu nie rozkazuje. Przede wszystkim zaś z przekazanej nam potajemnie informacji, że to on, nikt inny, jest tajnym powiernikiem pary królewskiej i zapewne został wysłany przez Graala, co wyjaśniałoby również tajemnice otaczające jego życie i pochodzenie. Jego towarzyszami są Bartłomiej z Cremony, również zwolennik Franciszka, oraz kapłan o nazwisku Gosset, którego Batu-chan nie uznał jednak za godnego stanięcia przed obliczem Móngkego. Ponadto jest grecki sługa o imieniu Filip i nasz Timdal, którego nazywają *homo Dei*, zupełnie nie poznavszy się na jego zdolnościach.

Syn dowódcy oddziału, którego przysłaliście Batu jako przewodnika dla nich, zbadał wolę tego człowieka; zwrócił mu uwagę na podróż trwającą cztery księżyce, jak również na oczekujące ich po drodze chłody, które rozsadzają drzewa i kamienie.

—
Ufając w moc Bożą, wytrzymamy takowe! — usłyszał w odpowiedzi. William z Roebruku ufa zatem w swoje siły jako czarownik. Nasz człowiek na to: -- Jeśli nie przetrzymacie, zostawię was po drodze!

— Nie zrobicie tego — odrzekł mnich — waszym zadaniem nie jest bowiem stanąć przed wielkim chanem z pustymi rękoma, jeno przyprowadzić nas do niego. Wtenczas nasz człowiek dał wszystkim stosowną odzież podróżną — szuby tudzież portki i buty futrzane — bo mieli przy sobie tylko paradne szaty oraz, pewnie dla niepoznaki, cienkie włosiane habity tudzież sandały, w które chcieli obuć boscie stopy. Ich liczne bagaże zostały rozdzielone na wiele jucznych zwierząt. I tak wyruszyli na wschód, i każdego

dnia pokonywali bez skargi wyznaczone im przez przewodnika odległości, przy czym coraz trudniej było znaleźć dla tęgiego Williama odpowiednio masywnego konia.

Dokądkolwiek zajeżdżała grupa podróżnych, zawsze wyprzedzała ich nadzwyczajna sława Williama. Ludzie stali przy traktach i machali do niego, jakby przeciągał jakowys król. Kiedy na noc rozbijał obóz, zapraszali go do swoich jurt niczym sławnego szamana, przyrządzali mu wyborny posiłek i pili z nim.

Musicie wiedzieć, że nasi poddani w tym rejonie niewiele posiadają, a William potrafi dużo zjeść i mnóstwo wypić. Wszelako inaczej niż wszyscy dotychczasowi posłowie jest on panem niewiarygodnie wprost szczodrobliwym. Za każdym razem czyni swym gospodarzom tak hojne prezenty w postaci brzęczących monet, że odpłaca w ten sposób więcej niż trzeba za to, co zjadł on sam oraz towarzyszące mu osoby. Płaci złotem, które wozi ze sobą bez lęku. Również to pozwala wnosić, że nie jest on tym, za kogo się podaje. Zapewne piastuje w Kościele jakąś godność, bardzo bliską urzędowi papieża. Wyjaśniałoby to również śmiałe słowa, z jakimi zwrócił się do Batu-chana. Nie boi się tylko ktoś, kto pewny jest swojej rangi. Pozwalamy sobie zapytać, po czym poznalibyście papieża, gdyby wybrał się potajemnie do chagana w przebraniu zwykłego mnicha pod pozorem, że ma do oddania list i pragnie świadczyć o swoim Jezusie Chrystusie. My nie wiemy, jak wygląda papież, oprócz tego że jest bardzo stary, z której to przyczyny William nie wchodzi w rachubę. Ale jego wyróżniają rycerskość, mądrość i wiedza. Opowiadał naszemu człowiekowi o bezkresie oceanu, a zarazem twierdził, że ktoś prowadzony przez Boga może wypłynąć w morze z jego kraju Flandrii i żeglując ciągle na zachód, wyląduje pewnego dnia u wybrzeży Kataju. To niewiarygodne i przerażające i z pewnością także czary, ale William tak mówił.

Był już październik, kiedy poselstwo wjechało do zamieszkanego przez Saracenów miasta Kinczak.* Naczelnik przyniósł Williamowi miód i wino, choć ten wyciągnął przed

siebie łaskę zakończoną wizerunkiem Ukrzyżowanego. Albowiem wizyta ta była ponad wszelkimi sporami religijnymi i stanowiła dlań wielki zaszczyt, a William wypił każdą czarę, jaką mu podano, i rozmawiał z naczelnikiem w języku Proroka, co bardzo uradowało mieszkańców miasta. Tak samo działo się w osadzie jeńców z Niemiec, którzy zostali przeniesieni w owe strony w celu wydobywania złota i rud metali i sporządzania z nich broni. William znowu przemawiał do nich w języku ich kraju, obdarował ich hojnie i modlił się razem z nimi. Wielu płakało potem ze szczęścia. Teraz zrozumiecie może, Czcigodny, co wcześniej my też uważaliśmy za przesadę królewskiego skryby, a mianowicie że sam król Franków zapytuje z zatroskaniem, czy pan William przybył szczęśliwie do celu i został przez nas dobrze przyjęty. Powinniśmy zadbać, żeby mnichowi niczego nie brakowało, choć teraz staje się coraz bardziej prawdopodobne, że William faktycznie zamierza ochrzcić wielkiego chana, co wcześniej wydawało nam się jedynie żartem owego skryby. Pewnikiem mnich ma wielką słabość do wina i bardzo gustuje w tym trunku, gdyż jego wyborny smak wychwala hrabia Jan ze Joinville w zakończeniu swojego listu do Williama z Roebroku. Nie wiemy rzecz jasna, co Wy o tym sądzicie, lecz jeśli nie życzyte sobie, żeby wielki chan Móngke nawrócił się na wiarę Chrystusową, to niniejszym Was ostrzegamy.

William krzewi chrześcijaństwo w cudowny sposób. Niebezpieczeństwo polega na tym, że człek nawet nie zauważy jego czarów, a już jest wyznawcą Chrystusa! Ludzie mu klaszczą, kiedy nadchodzi, a on ich błogosławi. Działo się tak nawet wśród Persów z Eąius i na targu w Kajalyku* w kraju Organum. Nasz człowiek zarządził tam dwunasto-dniową przerwę, aby zgodnie z umową czekać na posłańca od nas, który jako „skryba” miał pomagać przewodnikowi we wszelkich sprawach, jakie trzeba będzie załatwiać na dworze wielkiego chana. Nazwa kraju Organum pochodzi od „organa”, bo kiedyś było tutaj bardzo wielu dobrych cytrzystów, oznajmił wszechwiedzący William,

jednak i on nie rozumiał języka, w jakim nestorianie nadal odprawiają tutaj nabożeństwa. Zwiedził tam także świątynie bałwochwalców, ale z tego, co zrozumiał Tindal, bardzo mu się nie podobają, przede wszystkim szafranowe szaty kapłanów, którzy golą głowę na łyso, bez przerwy trzymają w rękach sznur modlitewny i mruczą przy tym słowa: *Om mani padme hum*,* co jak wiemy, nie znaczy nic złego, lecz wyłącznie: „Boże, Ty wiesz”. William srodze się na nich rozeźlił.

Był już listopad, kiedy orszak ruszył w dalszą drogę i przez góry skierował się na północ. Choć William i towarzyszący mu ludzie przyodziali futrzaną odzież i grubo się opatulili, rozpoznawali go pasterze przy stadach, podobnie jak wszyscy napotykanie wieśniacy i handlarze. Pozdrawiali go z respektem, gdyż nosi swoje futro jak książę. Napomnieliśmy przewodnika, żeby znacznie przyśpieszyli tempo podróży, gdyż góry były już pokryte śniegiem, który zaczął też sypać w dolinach. W związku z tym pojawiły się dodatkowe trudności, ponieważ stada dawno opuściły te okolice i jamowie na swoich stacjach, które już Wasz poprzednik urządził dla zaopatrzenia kurierów i posłów, nie mieli zbyt wielkich zapasów, a nowe dostawy nie nadchodziły. William, który pościł bez skargi — w odróżnieniu od swego towarzysza, który wciąż lamentuje — a mimo to niezmiernie parł do przodu, wystąpił z dobrą propozycją, żeby jechać dzień i noc i w ten sposób podwoić pokonywane codziennie odcinki drogi. I tak się stało. William objął kierownictwo; okazało się, że nasz człowiek nie dorósł do sytuacji. Przed wąskim przejściem pomiędzy skałami przewodnik, zdjęty śmiertelną trwogą, co rozumiemy, bo grasują tam złe duchy, poprosił Williama, żeby je przepędził za pomocą swoich modłów. Ludzie znikali tam już bowiem bez śladu; niekiedy owe ady porywają tylko konie, ale zdarzało się też, że wyszarpywały ludziom wnętrzności. William wraz z towarzyszem, wedle tego, co pamięta Tindal, śpiewali „Credo in unum Deum”,* co jest pewnie

wezwaniem jakiegoś bóstwa opiekuńczego. W każdym razie wszyscy przeszli przez Wąwóz Strachu nie nagabywani przez nikogo. Przewodnik poprosił, żeby mu napisać owe magiczne słowa, które pragnie odtąd nosić na głowie jako list żelazny. William jednak, miast podać mu swe zaklęcie, nauczył go modlitwy, która ani chybi uczyniłaby zeń chrześcijanina, gdyby Timdal nie poznał się na rzeczy i nie udaremnił tej próby, odmawiając tłumaczenia.

Widzicie więc, jakimi nadludzkimi zdolnościami i jaką przebiegłością obdarzony jest ów William. Pod koniec grudnia karawana opuściła góry i dotarła na równinę, na której wznosi się namiot wielkiego chana. Do pokonania pozostało jeszcze zaledwie pięć dni jazdy, ale jam, u którego na stacji zmieniono zupełnie wyczerpane konie, pragnął ich zaprowadzić do obozu drogą okrężną, a mianowicie przez strony rodzinne naszego wielkiego Czyngis-chana. Okrutnie to rozsierdziło Williama.

— I tylko dlatego mamy dodatkowo męczyć zwierzęta przez piętnaście dni? Możecie być pewni — tak beształ jama, który jest nawykły do tego, iż jego rozkazy wypełnia się bez sprzeciwu — że posiadam już wystarczające wyobrażenie o wielkości i rozległości waszego kraju!

Dysputa ciągnęła się przez pół dzionka, w końcu potężny człowiek postawił na swoim. Dwudziestego siódmego dnia tego samego miesiąca William z Roebruku przybył do obozu, a tym samym znalazł się pod Waszą opieką, wielce czcigodny Bułgaju. Pozdrawiamy Was w głębokiej pokorze.

L.S.

Z Kromki Williama z Roebruku

Obóz wielkiego chana, *in Circumciñone Domini** A. D. 1254

Jeśli dostosuję swoje oczekiwania do tego, co Mongołowie na ogół okazują

cudzoziemcom, mogę powiedzieć, że zostaliśmy przyjęci uroczyście. Nie żeby zbudowano nam łuk tryumfalny, nie było również żadnych girland czy napisów w rodzaju „Witaj, bracie Williamie — chlubo Zachodu!” Oczekiwała nas jednak przestronna jurta, w której przyjemnie pachniał, podgrzewany stale na ogniu, posilny rosół; posłania były przygotowane, a na każdego z nas czekała jedna z owych butelek o wąskich szyjkach z winem ryżowym, które oprócz bukietu niczym się nie różni od dobrego trunku z Auxerre. To było prawdziwe niebo na mongolskiej ziemi!

Po raz pierwszy moja radość z zakończenia podróży została przyćmiona, kiedy pisarz, który wyjechał nam na spotkanie do Kajalyku, zapytany o Rosza i Jeżę, uczęstował mnie gorzką pigułką, oznajmiając, iż nie przebywają oni w obozie wielkiego chana, tylko wyruszyli do Karakorum wraz z jego bratem, il-chanem Hulagu. Tenże sekretarz na usługach dworu powiedział mi również, że w liście Batu do Móngkego mowa jest o tym, iż mój król Ludwik prosi Sartaka o wojsko i dalszą pomoc w walce z Saracenami. Wtedy zrobiłem się podejrzliwy, gdyż znałem wszak treść tego pisma i wiedziałem, że o czymś takim w ogóle nie było wzmianki, lecz jedynie napomnienie Sartaka, aby był przyjacielem wszystkich chrześcijan, a zatem również wrogiem wszystkich przeciwników krzyża. Potem jednak przypomniałem sobie, że Gosset napomknął mimochodem, iż tłumaczami byli Armeńczycy, którzy jak wiadomo, śmiertelnie nienawidzą wszystkiego, co muzułmańskie. Możliwe zatem, że dodali taką propozycję kierując się swoją głęboką urazą. Wzruszyłem więc tylko ramionami, bo nie ważyłem się zaprzeczyć słowom Batu-chana. Wcale to jednak nie załatwiło sprawy. Ledwośmy, to znaczy Barć, Filip i ja, pokrzepili się nieco, mego towarzysza i mnie wraz z Timdalem wezwano przesłuchanie. Sądząc po wystroju jurty, znaleźliśmy się pewnie u wysokiego urzędnika

dworskiego, który przyjął nas chłodno, ale nie powiem, że euprzejmie. Był to mężczyzna słusznego wzrostu i o zupełnie łysej zaszce. Odziany był w długi skórzany czarny płaszcz bez żadnych ozdób, lecz jego cenne futro odwrócone było do wewnątrz.

Emanowała zeń jakaś ponura aura. Nazywano go Bułgaj. —

Williamie z Roebruku

— zapytał od razu — kto was przysłał? Przypomniałem sobie, że mam się nie podawać za posła, choć byłem nim *de facto*. Wzięłem więc wszystko na siebie i odpowiedziałem:

— Słyszeliśmy o Samku, że jest chrześcijaninem. Dlatego pojechaliśmy do niego i w tę podróż misyjną zabraliśmy ze sobą zapieczętowany list króla Francji do Sartaka, my zwykli bracia z zakonu, który szerzy słowo Boże, miłość...

— Wiem — przerwał mi łysielec. — Zarówno wy, jak Bartłomiej z Cremony jesteście franciszkanami, *Ordo Fratrum Minorum*.

— Sartak wysłał nas do swojego ojca Batu, a ten z kolei wyprawił tutaj. Powód przekazał pewnie w liście do swego bratanka, chagana Móngkego. Tylko niech nie myśli, że nie znam się na stosunkach pokrewieństwa w obrębie rodu Czyngisydów.

— Czyżbyście przybyli, żeby zawrzeć z nami pokój. Było to podchwytliwe pytanie, tedy odparłem:

— Nasz król wystosował list do Sartaka wierząc, że ten jest chrześcijaninem. Gdyby wiedział, że nie jest, nigdy by listu nie napisał. Co się tyczy zawarcia pokoju, mogę wyrazić tylko własny pogląd, a mianowicie że nigdy nie było powodu do wojny między narodem Mongołów a narodem Franków. Gdybyście wszakże chcieli wszcząć wojnę z królem i jego narodem bez żadnego powodu, to Bóg sprawiedliwy będzie po naszej stronie, taką mam nadzieję!

— Odważnie przemawiacie, Williamie z Roebruku, ale nieprzekonująco — zganił

mnie. — Po cóż więc przybyliście, skoro nie zj awiliście się po to, by zawrzeć pokój?
Jak wszyscy Mongołowie, tak również łysielec wychodził dumnie z założenia, że cały świat pragnie z nimi „zawrzeć pokój”, co u nich nie oznacza nic innego, jak podporządkowanie się na dolę i jeszcze bardziej na niedolę. Odrzekłem więc: —
William z Roebruku przybył, bo Bóg go przysłał do was. Słowo Boże jest pokojem, który On pragnie z wami zawrzeć. I to wam proponuję.

Widać chciał się nad tymi słowami zastanowić lub donieść o wszystkim wielkiemu chanowi, gdyż odprowadzono nas z powrotem do naszej jurty. Niczego nam nie brakowało, lecz pozostawaliśmy w swego rodzaju areszcie domowym.

W obozie dworskim, w przeddzień Epifanii*

Ponieważ rano przekazano nam wiadomość o kolejnym przesunięciu terminu audiencji, postanowiłem dać wyraz swemu niezadowoleniu. Sam, bez przewodnika, tłumacza czy sługi, wyszedłem przed jurte i ruszyłem przez obóz. Ku memu zdziwieniu nikt nie próbował mi przeszkodzić. Przeciwnie, wszyscy pozdrawiali mnie z respektem i uprzejmością, słyszałem, jak żywo rozprawiają o mnie za moimi plecami. Wybrałem najcieplejszą z szat biskupa, na to włożyłem jeszcze purpurową pelerynę z kapturem, bogato haftowaną złotem i obszytą gronostajem. W rękę trzymałem także krucyfiks na długiej lasce. Nie można było mi zarzucić, że wymknąłem się ukradkiem.

Na wschodnim końcu obozu mój wzrok padł na małe domostwo, którego dach zdobił krzyż. Przypuszczając, że chodzi o kościółek chrześcijański, wszedłem ufnie do środka, gdzie spostrzegłem pieczołowicie przygotowany ołtarz. Na przetykanym złotem i obszytym perłami obrusie wyhaftowane były wizerunki Zbawiciela, Świętej Dziewicy, Jana Chrzciciela oraz dwóch aniołów. Na ołtarzu stał wysadzany kamieniami szlachetnymi krzyż tudzież wiele kosztownych naczyń liturgicznych, które błyszczały w

świetle ośmioramiennego świecznika. Przed ołtarzem klęczał armeński mnich, chudzina z zapadłymi policzkami. Miał na sobie czarny, podbity futrem płaszcz z jedwabiu, a pod spodem szorstką szatę pokutną, ściągniętą pasem z żelazną klamrą. Zanim jeszcze zdążył mnie pozdrowić, padłem na ziemię i jałem śpiewać „Ave Regina Coelorum”,* a mnich włączył się zaraz potężnym basem. Kiedyśmy wstali, pozdrowił mnie, podając moje imię, lecz bez fałszywej pokory. Sam przedstawił się jako Sergiusz. Opowiedział mi, że mieszkał w pobliżu Jerozolimy jako pustelnik, gdzie Bóg objawił mu się trzy razy i wezwał go, by udał się do władcy Tatarów. Kiedy się wahał, czy posłuchać tego wezwania, Bóg cisnął nim o ziemię i zagroził mu, że będzie musiał umrzeć. Wtedy on wyruszył

w drogę. -- I zobaczyliście wielkiego chana? — wtrąciłem.

— Móngke udzielił mi posłuchania—odparł — a ja obiecałem mu, że jeśli da się ochrzcić, będzie rządził światem, królowie i papież oddadzą mu zaś hołd. I także wy, Williamie z Roebroku, posłańcu Boży, winniście z nim rozmawiać śmiało i otwarcie. Z jednej strony nie wierzyłem temu Sergiuszowi, że kiedykolwiek dostał się przed oblicze wielkiego chana — prawdopodobnie śniło mu się tylko to spotkanie, wydawał się rozgorączkowany — z drugiej strony nie miałem zamiaru tak postępować. — Drogi bracie—ozwałem się łagodnie — chętnie go napomnę, żeby został chrześcijaninem, wszak z tego powodu przyjechałem tutaj. Zapewnię go też, że królowie i papież powitają taki krok z radością. Nigdy jednak nie obiecuję mu, że zostaną jego podwładnymi i będą mu składać trybut jak Inne narody. Nie mógłbym wziąć za to odpowiedzialności przed własnym sumieniem!

Wtedy mnich pograżył się w upartym milczeniu; także moje słowa pożegnania pozostały bez odpowiedzi. Tacy już są Armeńczycy.

Udałem się z powrotem do naszej kwatery. Tam czekał na mnie Filip z wieścią, że

wielki chan wyjechał do Karakorum. Rozeźlony zbeształem brata Bartłomieja, choć wiedziałem, że niesprawiedliwie.

Wtem zjawił się w naszej jurcie Bułgaj z okazałą świtą. Ponury łysielec jest najwyższym sędzią Mongołów. Przyniósł cenne podarunki, dwa wspaniałe futra ze skór rzadkiego zwierzęcia, które Rusini zwą sobolem, jedno dla mnie i jedno dla Barca. Do tego potężne wysokie czapki z takiegoż futerka oraz niższą z wilczego futra dla mego sługi. Buty i rękawice uzupełniały nasze wyposażenie wraz z kołdrami, które uszyte były wprawdzie z tej samej materii, ale bardzo lekkie, bo wypełnione pierzem z młodych kaczek. Wszystko to wyjaśnił nam Timdal głosem przejętym czcią — a może po prostu drżącym ze strachu, bo wydawanie na ścieżce pijanych tłumaczy leży w kompetencji najwyższego sędziego.

Ja w każdym razie nie lękałem się wcale. — Dziękujemy wam za cenne dary — przemówiłem. — Tyle że wyglądają one tak, jakbyśmy musieli szykować się na długą zimę, zanim będzie nam wolno stanąć przed obliczem wielkiego chana.

Na te słowa Bułgaj uśmiechnął się i wskazał mięsistym podbródkiem wspaniały ornat, który właśnie miałem na sobie.

—
Jak widzę, przygotowaliście się na wielkie wydarzenie, Williamie z Roebruku.

Chan wszystkich chanów nie zamierza wam ustępować pod tym względem. Dlatego pojechał przodem, żeby urządzić wam w stolicy uroczyste przyjęcie, jakie wam się należy.

Jego mowa ociekała szyderstwem, toteż odparłem: —

Pewnie chodzi i o to, że

władca nie chce przy tym rezygnować z obecności Rosza i Jezy, oni są bowiem

kluczem do Zachodu, ja jestem jeno dziurką od klucza, przez którą możecie rzucić
okiem na obietnice

Zachodu...

Nie mam takiej potrzeby — wycedził Bułgaj — wystarczy mi, że popatrzę wam w oczy—
i utkwiał we mnie wzrok tak, iż poczułem się, jakby przeszła mnie zimna stal, i mimo
woli położyłem dłoń na karku. — Wy otworzycie nam bramę do „reszty świata”. Tam
posadzimy na tronie z mongolskiego drzewa parę królewską, którą widzieliście po raz
ostatni pewnie wtedy, gdy oboje byli jeszcze dziećmi. Królowie pokoju mają
reprezentować *pax mongolica*, tak są przez nas wychowywani. Kiedy przyjdziecie do Karakorum,
będziecie mogli złożyć hołd tej parze, którą znajdziecie u stóp tronu
wielkiego chana. Z radością wezmę w objęcia moje małe...— nie potrafiłem już
pohamować serdecznych uczuć dla dzieci, lecz Bułgaj z miejsca uciął to *elogium*.
— Powstrzymajcie się od takich poufałości, Williamie z Roebruku! Rosz i Jeza to
przyszli władcy mongolscy. Okażcie im więcej respektu, bo nigdy więcej nie zobaczycie
pary królewskiej!
To rzekłszy, zostawił nas, ja zaś nie śmiałem zapytać, kiedy nastąpi owo spotkanie —
jeśli w ogóle!

♦ *Via triumphalis* (łac.) — droga tryumfu.

* Uroczystość św. Ksystusa (Sykstusa) — 6 sierpnia.

* „*Veni Creator Spiritus*” (łac.) — O, Stworzycielu Duchu, przyjdź.

* *Provincia* — zwierzchnik prowincji zakonnej.

* *Alfere* — niosący chorągiew papieską, tytuł honorowy nadawany szlachcicom za
zasługi dla Kościoła.

* Uroczystość św. Piotra w Okowach — 1 sierpnia.

* „Salve Regina" (łac.) — Bądź pozdrowiona, Królowo (Nieba); słowa pieśni kościelnej.

* Wniebowzięcie Maryi Panny — 15 sierpnia.

* Alma... (łac.) — Matka karmicielka Zbawiciela, którego zesłał Ojciec z nieba dla ocalenia narodów.

* Homo Dei (łac.) —mąż Boży; przezwisko Timdala.

Audi... (łac.) — Matko Dobroci, wysłuchaj nas, którzy prosimy o przebaczenie grzechów, i chroń nas ode złego.

* Canes Domini (łac.) — psy Pana, tak nazywano członków zakonu dominikanów; aluzja do ich działalności inkwizycyjnej.

* Kinczak — położone na wschód od Jaksartesu (obecnie Syr-daria), nie istniejące już miasto w pobliżu dzisiejszego Biszkeku (do 1991 Frunze), na południe od jeziora Bałchasz.

* K a j a 1 y k — nie istniejące już miasto położone w kraju Organum, na północny wschód od obecnej Alma Aty, na południe od jeziora Bałchasz.

* O m m a n i... — powszechnie znana formułka modlitewna, odmawiana w buddyzmie do dziś.

* Credo in unum Deum(łac)— Wierzę w jednego Boga; wyznanie wiary.

* In Circumcisione Domini (łac.) — w święto Obrzezania Pańskiego;

1

stycznia.

* E p i f a n i a — święto Trzech Króli.

* „Ave Regina Coelorum" (lac.) — Witaj, Królowo Nieba; pieśń maryjna.

IX. Z DZIENNIKA POKŁADOWEGO PENIKRATA

Taksiarchos, kapitan triery „Contessa d'Otranto"*

pod rozkazami Hamona L'Estrange, hrabiego Otranto,

Ajas,* Armenia, 25 maja 1253

Pod koniec kwietnia, na pilne życzenie właściciela statku, opuściliśmy

Konstantynopol na łeb na szyję, kiedy mnich Wawrzyniec z Orty powiedział nam, że młoda żona hrabiego Hamona została sprzedana handlarzowi niewolników na wybrzeżu Armenii.

Najszybszą drogą, noc i dzień, płynęliśmy do Ajasu, co mnie, który pierwszy raz płynąłem statkiem, Jeżyło włos na głowie, gdyż na Morzu Egejskim roi się od skalistych wysepek, tak małych, że często w ogóle człek ich nie zauważa. W porcie w Aj asie podczas sprzedawania młodej hrabiny Szirat wredny i bezduszny kapitan piratów wrzucił jej córeczkę do wody, żeby nie psuć ceny, hrabia Hamo miał więc nadzieję, że odnajdzie tam jeszcze jakiś ślad dziecka i ukochanej niewiasty.

Kapitana piratów wykorzystywaliśmy jako pilota wbrew woli. Każdą informację musiałem wydobywać z niego kłuciem, przypalaniem i biciem. Nocą przywiązywaliśmy go na dziobie niczym figurę galionową, żeby w porę krzyczał, kiedy groziło nam rozbicie o jakąś rafę. Tymczasem on ani myślał to robić. Wszelako dotarliśmy jakoś do Ajasu, nędznego portu rybackiego. Obrzydliwiec udawał, że nie rozpoznaje miejscowości. Ludność przyjęła nas niezyczliwie. Mężczyźni uciekli w góry, a kobiety, które prały bieliznę przy brzegu, utworzyły obojętny mur milczenia. Żadna nie przypominała sobie młodej

kobiety, która została uprowadzona, ani dziecka, które być może wyłowiono z wody.

Żadna nie przypominała sobie twarzy kapitana, nawet gdy odciąłem mu głowę i

podsuwałem pod nos każdej z tych niemych praczek. Musieliśmy zrezygnować. Kiedy

zamierzaliśmy już powiosłować z powrotem na trierę, zbliżyła się do nas ukradkiem kaleka dziewczyna i szepnęła spiesznie: „To był Abu al-Hafs!” Nic więcej nie zdołała powiedzieć, bo kobiety jęły ciskać w nią kamieniami.

Al-Mahdijja,* emirat Tunisu, 7 lipca 1253

„Abu al-Hafs”. Była to mało użyteczna informacja, gdyż terytorium dynastii Hafsydów rozciąga się, bez dokładnego oznakowania, od Wielkiej Syrii, czyli zachodniej granicy

sułtanatu Mameluków z Kairu, aż po kraje władcy Marrakeszu, a Abd Allah nazywa się tam co drugi. Hrabiego Hamona to jednak nie odstraszyło. Nie mogliśmy popłynąć wzdłuż brzegów Ziemi Świętej, gdyż Wenecja i Genua toczyły właśnie zacieklą wojnę morską. W każdym razie obie strony konfliktu i ich sprzymierzeńcy wysłali swoje floty, tak więc lepiej było ominąć pieniaczy szerokim łukiem. Dlatego minęło prawie sześć tygodni, zanim mogły nas wypatrzeć kartagińskie straże strzegące wybrzeża.

Gdy wywiesiliśmy cesarsko-sycylijską flagę, urzędnicy okazali się nad wyraz uprzejmi, wychwalali króla Manfreda i wystawili nam pismo pozwalające na wpłynięcie do zatoki i do portu w Al-Mahdiji, gdzie znajduje się targ niewolników Al-Kajrawanu, zakazanego miasta. Kiedyśmy zagadnęli tam o handlarza Abu al-Hafsa, nadzorca okrutnie się rozgniewał, gdyż Andegaweńczycy wyznaczyli nagrodę za głowę Abu al-Hafsa, toteż wedle jego wiedzy, przeniósł on swój proceder do Aragonii. Ale powinniśmy jeszcze zapytać w Tingisie.* To wprawdzie daleko, ale tam prędzej znajdziemy tego, którego szukamy, aniżeli w Al-Mahdiji gdzie nie pokazywał się już od lat.

Oświadczyłem hrabiemu Hamonowi, że zamiast płynąć do Dżabal Tarik,* rozsądniej będzie zawrócić i nie szukać handlarza, tylko Szirat. O niej wiemy, że została przewieziona w głąb kraju z armeńskiego portu Ajasu. Tam więc powinniśmy szukać śladów. Hrabia Hamo postawił jednak na swoim i wypłynęliśmy z powrotem na otwarte morze, dalej na zachód i znowu w należytej odległości od brzegu terenów zamieszkanych przez Berberów, gdyż roiło się tam od piratów.

Ceuta,* u wybrzeży ziem Almohadów,* 2 września 1253

Tutejsi władcy na zachodnim krańcu świata, gdzie zaczyna się wielki ocean, przybrali

tytuł kalifa i zachowują się tak, jak mają w zwyczaju tylko Tatarzy na wschodzie. Do dawnego gockiego miasta Tingis, które leży już nad oceanem Atlasa,* nie chcieli nas wpuścić, nie pozwolono nam też przejść przez góry o takiej samej nazwie. Urzędnicy stali się nadzwyczaj podejrzliwi, kiedy twierdziliśmy, że chcemy się dostać nie do

Marrakeszu, ale do Fezu. W Fezie nie ma bowiem targu niewolników, a na targ w stolicy chrześcijańskie psy nie mają wstępu, chyba że są tam oferowane na sprzedaż.

Nie pozwolono nam nawet zejść na ląd, trierę zaś przywiązano długim, ciężkim żelaznym łańcuchem. Potem wyprawiono posłańców do *ira al-muminin*, jak zwie się ich kalif, żeby pokazać, iż nie uznaje zwierzchnictwa Bagdadu. Mieli oni zapytać, co z nami

zrobić oraz czy cesarz i król Sycylii jest wrogiem w stanie wojny. Trwało to jakiś czas, wszelako gubernator Ceuty pozwolił, aby handlarze na łodziach zaopatrywali nas w

żywność i wodę pitną. Po dwóch miesiącach próżnego czekania łańcuch został zdjęty bez podania przyczyny.

Hamo dał większy prezent strażnikom portowym, którzy przyплыnęli do nas łodzią, i otrzymał za to informację, że „Abu al-Hafs” jeszcze nigdy nie postawił nogi w tym porcie. Strażnicy twierdzili, że mogą nas o tym zapewnić, gdyż odnotowują każdego handlarza przybywającego i opuszczającego miasto morzem lub drogą nadbrzeżną z Tilimsanu* — chyba że przyjechał z karawaną od strony południowej z pustyni. Ale te karawany prowadzą tylko czarnych niewolników. Niedobrze zrobiliśmy, płynąc aż tutaj, trzeba więc nam zawrócić, w przeciwnym razie zostaniemy uznani za szpiegów.

Ogromny targ znajduje się w Algierze, największy na świecie, tam powinniśmy spróbować szczęścia. Na wysokości Balearów, w okresie Bożego Narodzenia Większą część drogi powrotnej musieliśmy wiosłować, gdyż niezbyt sprzyjały nam wiatry.

Starałem się prowadzić naszą rzucającą się w oczy trierę środkiem morza, gdyż statki pirackie z odzyskanej właśnie dla chrześcijaństwa Kartageny są równie niebezpieczne jak dawny* piratów z Oranu. Myśleliśmy już, że pokonaliśmy bez szwanku te pechowe szerokości, gdy nagle w nocy otoczył nas rój owych zwinnych małych łodzi. Normalnie

postawiłbym wszystkie żagle, posadził wszystkich ludzi przy wiosłach i rozbił przeciwnika w puch. Panowała jednak flauta, a wyczerpani pracą wiosłarze spali. Wykonałem więc ryzykowny manewr, natychmiast kazałem wysunąć taran i skierowałem trierę na największe skupisko łodzi, ale te zgrabnie uniknęły zderzenia i zasypały nas gradem strzał. W tym czasie zbudziła się moja załoga i pośpieszyła na stanowiska bojowe, ale choć wykonywałem rozmaite manewry, nie mogłem się pozbyć napastników, którzy wciskali się coraz dalej między nasze wiosła. Liczebnością ustępowaliśmy im rozpaczliwie, już uderzali toporami w nasze zazwyczaj groźne kosy, które przy dużej prędkości rozszarpują na strzępy każdy żagiel. Podczas flauty były nam jednak tylko przeszkodą. Zahaczały się o płótno żagli daw, nie mając siły, aby je zniszczyć. Podszedł do mnie Hamo.

— Dumny skorpion w mrowisku! — rzucił mi pogardliwie w twarz. Winą słusznie obarczał mnie, ostatecznie byłem kapitanem.

Kazałem w największym pośpiechu załadować katapultę „ogniami greckimi”, ale nie strzelać, tylko odwrócić płonące naczynia na zewnątrz. Następnie poleciłem wyciągnąć po jednej stronie wszystkie wiosła, a wszystkich ludzi wysłałem na drugą. W ten sposób zatoczyliśmy tak ostry łuk, że ogień wylewał się z naczyń, spadając na otaczających nas napastników. Wiele z napierających zewsząd daw błyskawicznie stanęło w płomieniach. Piraci darli się wniebogłosy, niektórzy wskakiwali do wody, ale natychmiast próbowali skierować swoje płonące statki w kadłub naszej triery i pod osłoną ciemności wdrapać się na pokład. Choćby potężna „Contessa d'Otranto” stawiała największy opór, sytuacja była beznadziejna. Ponieważ trzymające się na dystans daw nadal zasypywały nas bezlitośnie gradem strzał, straciliśmy wielu ludzi. Rozpaczliwie szykowaliśmy się do ostatniej bitwy — po stawieniu oporu nie mogliśmy już liczyć na łaskę. Tylko silny wiatr mógł ustrzec załogę przed czekającym nas losem, ocalić od nędznego końca w rybich brzuchach. Nagle pirackie statki rozprysły się na wsze strony,

z wyjątkiem jednego, który tak mocno szepił się z naszą trierą, że nie mógł się oderwać. Także moi ludzie wypatrzyli obcą flotyllę w barwach aragońskich, którą przyciągnęła pewnie łuna, i teraz z toporami abordażowymi przeskakiwali po wiosłach na dawę, żeby rzucić się na jej załogę.

— Nie zabijajcie ich! — wrzasnął Hamo i poszybawwszy na linie, zeskoczył w kotłownię. Udało mu się jeszcze ustrzec trzech piratów przed śmiercią z rąk jego ludzi. Zawleczono ich do mnie na pokład. Eskadra czterech okrętów wojennych przemknęła obok nas w ciemności. Na dziobie jednego z żaglowców przeczytałem nazwę „Nuestra Señora de Queribus”, gdy ktoś zawołał:

— Admirał pyta, czy potrzebujecie jeszcze pomocy! Aragonia jest dobrym przyjacielem cesarza i króla Sycylii!

— Dziękuję! — odkrzyknąłem. — Hrabia Hamo L'Estrange pozdrawia Ksakberta z Barbery! — Tym sposobem pokazałem, że dobrze znam właściciela aragońskiego żaglowca. — Podziękujcie mu za życzliwe zapytanie. „Contessa d'Otranto” sama sobie poradzi z taką hołotą! Kiedy wzdęte żagle oddaliły się ku Majorce, zająłem się trzema piratami. Pochodzili z Oranu. Hamo zapytał ich o Abu al-Hafsa, ale nabrali wody w usta.

—
Wasze życie nie ma żadnej wartości — powiedziałem — lecz podaruję je wam i jeszcze dołożę złota, jeśli użyjecie teraz swoich głów do myślenia i wysilicie trochę mózgownice. Tak uczynili. W końcu przemówił najstarszy:

— Dokładnie trzy lata temu dostaliśmy zadanie od pewnego tajnego potężnego zleceniodawcy. Wierzcie mi, panie, nie wiem, kto się za tym krył na pewno nie żadne ze stronnictw zwalczających się tu, na Morzu Śródziemnym, to był, pamiętam dokładnie, tajemniczy, niesamowity rozkaz, żeby zaatakować Otranto i zdobyć waszą trierę,

„Contesse” dlatego także dzisiaj rzuciliśmy się na was, choć byliśmy w strachu, że diabeł wmieszał się w tę sprawę. Bo właściwie nie powinno już w ogóle być triery pod banderą Sycylii i cesarza. I mieliśmy rację, diabeł sprawił, że Aragończycy pojawili się w środku nocy, w przeciwnym razie wy stalibyście teraz przede mną!

— Diabeł raz jest tu, raz gdzie indziej — pocieszyłem go. — Kiedy przed trzema laty przechwyciliście na Morzu Jońskim trierę płynącą do Konstantynopola, wtedy był z wami. Kobietę i dziecko, któreście wzięli do niewoli, sprzedaliście handlarzowi Abu al-Hafsowi?

— Nie byłem na pokładzie statku, który zabrał kobietę i dziecko, ale łupy sprzedawaliśmy zawsze Abu al-Hafsowi.

— A gdzie go znajdę?

W tym momencie nagle zamilkł, bo jego towarzysze spojrzeli nań wrogo. Zwróciłem się więc do obu pozostałych.

—
Do tej pory nie zrobiliście zgoła nic, by uratować własne gardła. Jeśli nie powiecie mi teraz, gdzie znajdziemy handlarza, przyplacie to życiem.

Milczeli nadal uparcie, a jeden splunął staremu pod nogi. Dałem znak swoim ludziom i wkrótce potem mógł tylko wystawić język, bo sznur zacisnął się mocno na szyi zatwardzialca. Pirat zadyndał na maszcie jako zachęcające pozdrowienie dla swego towarzysza. I ten zresztą opamiętał się w końcu.

—
W Askalonie!* — wydusił. — Ale jeśli Abu al-Hafs się dowie, że go wydałem, to lepiej od razu mnie powieście!

— Możemy wam wyświadczyć tę przysługę — zaproponowałem — jeśli nie zaprowadzicie nas do Askalonu i nie pokażecie nam Abu al-Hafsa. Reszta będzie już

naszą sprawą, a wy dwaj opuście pokład jako wolni ludzie.

— Jako wyjęci spod prawa!—mruknął stary.—Ale niech będzie, jeśli obiecacie, że nie zostawicie nas w Askalonie, tylko w następnym porcie, do którego zawiniecie.

— Możliwe, że będzie to port chrześcijański —ostrzegł go Hamo, co jednak niewiele zmartwiło starca.—

Zawszeć to lepiej niż w rękach Abu al-Hafsa... Pożeglowaliśmy więc dalej na wschód.

Między Tunisem a Malcią, w Epifanię

Przerwaliśmy podróż w Kartaginie, żeby usunąć szkody, jakie powstały na trierze wskutek ataku piratów. Hrabia Hamo, którego nasze przedsięwzięcie coraz bardziej pograżało w melancholii, a niekiedy w dzikiej rozpacz, odżył raz jeszcze, gdy „Contessa d'Otranto" została spuszczone ponownie na wodę i podjęła rejs z dumnie wzdętymi żaglami i błyszczącymi wiosłami. Ale już na południe od Malty wpadliśmy w jeden z nieprzyjemnych zimowych sztormów, który poobijał nas mocniej niż wszyscy poprzedni piraci. Na skalistą wyspę nie chcieliśmy zawijać, gdyż Hamo nie był pewien, czy ludzie króla Manfreda na niej wiedzieli, że król podarował mu statek jego matki.

Bądź co bądź triera była tam nadal znana jako okręt flagowy jego ojca, hrabiego Malty Henryka.

— W dodatku admirał cesarza wcale mnie nie spłodził — zwierzył mi w zaufaniu

Hamo L'Estrange, kiedy wśród dzikiej burzy walczyliśmy o przeżycie patrząc, jak wichura drze na strzępy nowe żagle, a wiosła łamią się jak drzazgi, musiałem bowiem

ich użyć, żeby nie ustawiać triery bokiem do dolin fal, co oznaczałoby niechybne pójście statku na dno — a nas razem z nim. Dopiero gdy minęliśmy zatokę Syrtę, sztorm ucichł

i z okropnie poszarpanymi żaglami popłynęliśmy wolniutko ku delcie Nilu.

W Aleksandrii* musiałem zaryzykować zawinięcie do portu, bo wyczerpały się nasze

zapasy wody pitnej. Komendant portu okazał się jednak nadzwyczaj uprzejmy, gdy przedstawiłem hrabiego Hamona jako krewnego cesarza. Wielki Stauf w dalszym ciągu cieszy się wśród Egipcjan najwyższą estymą. Poza tym dowiedziałem się, że z królem Ludwikiem wynegocjowano w Akce układ, który będzie bardzo korzystny dla handlu, a zatem również dla portu miasta Ptolemeusza.* Trierę jeszcze raz naprawiono, dostaliśmy też wszystko, czego potrzebowaliśmy, przede wszystkim żelazny list do wszystkich portów egipskich. Komendant portu napisał do komendanta w Askalonie, szczególnie nas polecając, co wydało mi się konieczne, ponieważ owo miasto — o które często toczyły się walki i które dopiero od niedawna było znowu w posiadaniu sułtana — uchodzi za najbardziej zagrożony przyczółek państwa Mameluków i podejrzliwie musi się przyglądać wizycie chrześcijańskich okrętów wojennych.

Terra Sancta, 21 lutego 1254

Kiedy minęliśmy Gazę i zbliżaliśmy się do umocnień, które zabezpieczają port askaloński przed atakami wrogich flotylli, zatrzymały nas dobrze wymierzone strzały z katapulty. Wywiesiliśmy flagę cesarską, lecz dopiero kiedy pomachaliśmy białą flagą, jakiej używają parlamentariusze, pozwolono nam spuścić na wodę i wysłać bączka. Przekonałem hrabiego Hamona, żeby nie narażał się niepotrzebnie na niebezpieczeństwo, jakie mógł ściągnąć na siebie przez swój nieposkromiony temperament, gdyż do konfrontacji z człowiekiem, który wydał młodą hrabinę Szirat na niepewny, acz z pewnością zły los, należało dążyć z rozwagą, a nie z żądzą zemsty w sercu. Wiedziałem, co mam robić, i L'Estrange w końcu się zgodził, żebym popłynął sam.

Pokazałem mameluckiemu komendantowi list polecający i natychmiast zostałem ugoszczony jak najlepiej. Uzyskałem również zapewnienie, że łańcuch portowy będzie

dla triery spuszczone, a nasz statek otrzyma najniezbędniejsze zapasy żywności.

Tymczasem przybył posłaniec, który przekazał mi, że Abu al-Hafs życzy sobie mnie widzieć. Zaproszenie to zrobiło na komendancie większe wrażenie niż flaga cesarska.

Podążyłem za posłańcem przez najstarszą dzielnicę Askalonu do pałacu handlarza, olbrzymiego budynku, który górował nad niskimi domami niczym cytadela.

Dowiedziałem się, że to dawna siedziba preceptora templariuszy. Od podwórca urządzony był karawanseraj z celami dla niewolników w piwnicy. Sam Abu al-Hafs rezydował w donżonie. Kiedy wszedłem, wskazał mi miejsce, bym spoczął, lecz się nie podniósł. Był urodziwym, postawnym mężczyzną, a jego kanciasty podbródek mimo przyciętej w szpic brody sygnalizował bezwzględność i ufność we własne siły.

— Znam was — stwierdził. — Jesteście Taksiarchos, penikrat Konstantynopola.

— To prawda — odparłem siadając.

— Szukacie mnie z powodu pewnej niewolnicy? — spytał, jakby za bardzo nie mógł uwierzyć, że taki człowiek jak ja wyprawia się na morze z powodu jednej kobiety.

— Chodzi o hrabinę Otranto — powiedziałem — której nie powinien spotkać taki los.

Postawiliście się w wyjątkowo ciężkiej sytuacji politycznej, gdyż pominawszy, że młody hrabia Hamo L'Estrange słusznie chce wam się dobrać do skóry, Szirat jest siostrą Bajbarsa, Łucznika. Ten argument okazał się skuteczny, gdyż Al-Malik az-Zahir Rukn ad-Din as-Salihi Bajbars, zwany Al-Bundukdari, jest obok sułtana najpotężniejszym z mameluckich emirów. Ma wpływy większe, niż sugeruje to jego tytuł komendanta gwardii pałacowej w Kairze. Jest szarą eminencją nowej kasty rządzącej. Abu al-Hafs od razu cofnął mocno wysunięty podbródek i pogrążył się w myślach.

— Wtedy nie mogłem tego wiedzieć — mruknął w końcu. — Ta piracka hołota z

Oranu, która grasuje zazwyczaj u wybrzeży Maghrebu, istotnie należała do grona moich

dostawców, kiedy w Al-Mahdiji parałem się głównie handlem niewolnikami.

— Potem mieliście kłopoty z panem Karolem z Andegawenii — pomogłem jego pamięci — kiedy podczas trwającego sporu o władzę na Sycylii handlowaliście sprzętem wojskowym i najemnymi żołnierzami, ma się rozumieć, z korzyścią dla Staufów.

— Jesteście dobrze poinformowani, tak jak oczekuję tego od penikrata — oddał i mnie honor.—Od lat chłopięcych byłem żarliwym wielbicielem cesarza Fryderyka, a gdy odeszło od nas to „podziwienie świata”, przeniósłem swoje sympatie na jego genialnego bastarda Manfreda. Za opowiedzenie się po jego stronie dałem się chętnie wyrzucić z Tunisu. I tymczasem usadowiłem się tutaj.

— Przejdźmy do rzeczy — przypominałem. — Nie chodzi o wasze dobro, ale o los młodej kobiety, no i jej dziecka.

— O dziecku nic mi nie wiadomo — skłamał bezczelnie. — Wtedy akurat przeniósłem swój proceder na Morze Jońskie i Egejskie. Dostałem zlecenie, miałem dostarczyć wybrane niewolnice dla króla Małej Armenii, Hetuma. Kiedy wysadziłem je w Ajasie, porcie położonym najbliżej stolicy Sis, pojawili się — przysięgam, dla mnie było to zupełne zaskoczenie—moi piraci z Oranu. Musieli popłynąć za mną po łowach na obcych wodach, albowiem zgodnie z uregulowaniami nie mieli czego szukać w cieśninie Otranto, na południowym krańcu Apulii. Ich rejon połowów sięga najwyżej po Maltę. Szejtan wie, kto kazał im się tam pchać! Nic zresztą o tym nie mówili, tylko poprosili o przyjęcie do zebranej przeze mnie karawany niewolnic jednej młodej kobiety, dlatego pamiętam to tak dokładnie. I cena była przystępna; ostatecznie byli starymi klientami.

—

Na których nie możecie już liczyć — zauważyłem oschle. — Posłałem ich do rybek, ale nie z powodu porwania hrabiny, tylko z powodu dziecka... — Zrobiłem przerwę, żeby mógł się zastanowić. — Nie zmuszajcie mnie, żebym postąpił z wami tak

samo tylko dlatego, że nie chcecie sobie przypomnieć!

Zdziwiły go moje odważne słowa. Nagle poczuł się otoczony we własnej wieży.

— A więc dobrze, to było niemowlę, nie chciałem go wziąć. Ja go nie dotknąłem, i o ile sobie przypominam, miejscowe kobiety natychmiast wyłowiły je z wody. On...

— Ona — wtrąciłem — to była dziewczynka.

— Dziecko musiało przeżyć, jestem absolutnie pewien.

— Choć was to nie zmartwiło!

—

Taksiarchosie, znacie me zajęcie i sami też nie uchodźcie za samarytanina.

Cóż miałem zrobić z niepożądaną niewolnicą, która na domiar utrapień karmi jeszcze dziecko piersią? Sami wiecie, jak to obniża cenę. A nie było mi potrzebne tak samo jak wole albo furunkuł na dupie! — Teraz Abu al-Hafs już się zdenerwował. — Oto miałem nawiązać kontakty handlowe z dworem armeńskim i chciałem się pokazać z honorem, dostarczając na początek pierwszorzędny towar. — Już dobrze — przerwałem jego wywody o zawłościach interesów — tylko że mnie nic to nie pomoże.

—

Ale może to. — Widać było, że stara się mnie zadowolić. — Nie odniosłem wtedy wrażenia, żeby król Hetum zamierzał zostawić dla siebie kobiety, które mu dostarczyłem. Za mało uwagi poświęcono każdej z osobna. Moim zdaniem chodziło o prezent albo o zapłatę trybutu, który miał być przekazany dalej. Teraz przypominam sobie jeszcze jedno zdarzenie. Otóż konetabl Sempad okazywał nieskrywane zainteresowanie akurat tą branką, którą zwiecie Szirat. Chciał ją wziąć dla siebie. Król wszakże odmówił mu w ostrych słowach. „Co władca pomyśli o naszym darze —

zgromił brata — jeśli się dowie, że wcześniej wyłowiliśmy dla siebie najlepsze okazy?"

— A o którego władcę mogło chodzić?

Jeśli się zastanowię nad położeniem Armenii, paru wchodzi rachubę, ale wielu z góry odpada z braku upodobania do tego, jak choćby pobożny król Ludwik, ale także młody książę Antiochii, bo Hetum akurat zaręczył go z własną córką. Również Watatzesa nie ma co brać pod uwagę, zostają tylko An-Nasir z Damaszku, kalif Bagdadu, no i wielki chan ongołów.

Słuchałem go zdruzgotany, uzmysłowiłem sobie bowiem, że czegoś bliższego możemy się dowiedzieć tylko w Sisie u Hetuma, o ile król zechce rozmawiać o swoich „prezentach” dawanych innym, potężniejszym władcom. Jak mam teraz przekazać to Hamonowi, żeby w Sisie nie wyważał drzwi i nie obraził króla?

—
Po waszym milczeniu, penikracie, miarkuję, żeście są zdecydowani nie pozostawiać tej sprawy odłogiem. Nie czuję się winny, ale wzrusza mnie takie przywiązanie, jakie okazujecie swemu hrabiemu Hamonowi. Ponieważ w nędznym porcie u armeńskich brzegów trudno wam będzie zdobyć juczne zwierzęta, pozwólcie mi na mały podarunek, jaki pragnę złożyć waszemu panu. Poślę wam na trierę dorodnego arabskiego ogiera i pięć wyśmienitych wielbłądów.

Zakasłał dwa razy i bezszelestnie zjawił się postawny, obnażony do pasa Murzyn. Na gołym ciele nosił dwa skrzyżowane sztylety wielkości scimitara. Abu al-Hafs szepnął coś do niego i strażnik zniknął.

— Jeszcze coś pragnę wam zdradzić. Ta wieża posiada zwierciadło z czasów moich poprzedników. Są w tym mieście mężowie, którzy czasem do mnie przychodzą i korzystają z niego do odbierania i wysyłania wiadomości. Nie staję im na zawadzie ani nie pytam, kim są...

— Templariusze? Asasyni?

— Zgadza się — potwierdził Abu al-Hafs zadowolony, że to ja powiedziałem. — Tak więc jestem włączony w sieć, która sięga daleko na wschód. Gdyby wasz pan zdecydował się na to szalone przedsięwzięcie i chciał uwolnić swoją żonkę z haremu jednego z wymienionych władców, zawsze może liczyć na moją pomoc, jeśli powiadomi mnie o tym życzeniu. Mam tylko nadzieję, że nie chodzi o imama izmailitów z Alamutu, bo o nim zupełnie zapomnieliśmy w naszym wyliczeniu. W tym wypadku nie widzę żadnej nadziei.

— Przynajmniej na swoje uczestnictwo — odparłem z uśmiechem i wstałem.

Trudno byłoby mi się zdecydować, ale w każdym razie zgłóście się, jeśli wydobędziecie od Hetuma wyznanie, dokąd udały się moje damy. Prowadźcie jednak poszukiwania z najwyższą ostrożnością, gdyż władca ten jest z natury porywczy i nieobliczalny, a jego brat Sempad to nieokrzesany prostak!

Kiedy wychodziłem, powiodłem wzrokiem po balustradzie nad naszymi głowami. Stało tam, dobrze rozstawionych, co najmniej sześciu kuszników, którzy mierzyli do mnie. W starej części miasta panował niepokój, po części z radości, a po części z niezadowolenia. Kiedy ponownie przyjął mnie komendant portu, aby odprowadzić potem na trierę, dowiedziałem się, że król Ludwik zawarł pakt o nieagresji na dwa lata, sześć miesięcy i czterdzieści dni z sułtanem Damaszku An-Nasirem z dynastii Ajjubidów.

— Wreszcie otworzyły mu się oczy — zauważyłem — i zrozumiał, że Syria leży absolutnie w zasięgu Mongołów.

— Albo stara się wreszcie doprowadzić do tego, żeby mieć wolne ręce i zająć się nami — odpowiedział zafrasowany Mameluk — gdyż An-Nasir wcale jeszcze nie

pogrzebał swoich ambicji objęcia tronu w Kairze.

— A zatem również Egipt powinien zawrzeć pokój z Królestwem Jerozolimskim...

— ...i jako znak dobrej woli oddać najpierw Askalon?

— Za darmo nie ma nic na tym świecie — pocieszyłem go i to samo rzekłem też

Hamonowi po powrocie na pokład triery. Podnieśliśmy kotwicę i pożeglowali prosto na północ, aby minawszy od wschodu wybrzeża Cypru, dotrzeć ponownie do Armenii.

U wybrzeży Armenii, w marcu 1254

Kiedy znowu zawitaliśmy do nędznego portu w Aj asie, nie czułem, że minął prawie rok od naszej pierwszej próby odkrycia tutaj jakichś śladów. Te same zawzięcie milczące kobiety, tak mi się przynajmniej wydawało, prały tę samą bieliznę. Hamo nie przejmował się ich jawnie okazywaną wrogością, która mogła się brać tylko ze strachu, gdyż nie miały przecież powodu, żeby nas nienawidzić.

Mój pan już na widok zbliżającego się brzegu wyznaczył ludzi, którzy mieli mu towarzyszyć. Ponieważ był nie tylko w posiadaniu skarbów biskupa, ale także rzeczy pozostawionych przez „Mustafę Ibn Daumara, kupca z Bejrutu”, które niedobrowolnie odstąpił mu jego dobroduszny przyjaciel Crean z Bourivanu, mógł wybierać, czy chce wystąpić jako biskup Hamo, jako Hamo L'Estrange hrabia Otranto czy jako bejrucki kupiec. Radziłem mu pozostać przy prawdziwej tożsamości, aczkolwiek uznał, że musi przyoblec 6ię w szaty Ibn Daumara.

Ledwie nasz kil wbił się ze zgrzytem w piasek i przepłoszył wrzeszczące niewiasty, Hamo zszedł na ląd ze swą bogato wyposażoną w prezenty karawaną. Wyjaśniłem mu, że musi zapłacić, jeśli nie chce — jak szlachcic ze szlachcicem — apelować do szlachetnego usposobienia króla bądź rycerskości Sempada, bo jest zbyt dumny, by prosić o cokolwiek. Kupiec nie ma honoru, lecz jedynie pieniądze, i musi ich użyć,

szczodrze nimi obdzielając. Przez część drogi towarzyszyłem Hamonowi i jego pięciu wielbłądom.

— Taksiarchosie — rozkazał mi na pożegnanie — udaj cie się trierą do mego przyjaciela Boemunda, młodego księcia Antiochii. Przyjmie on was gościnnie i pozwoli naszemu statkowi stać w porcie Świętego Szymona, dopóki nie wrócę z tej podróży.

— Przekażcie mi wiadomość przez swoich przyjaciół asasynów — poprosiłem — żebym mógł się przyszykować na wasz powrót. Pośpiesz wam na spotkanie, Hamonie L'Estrange, gdziekolwiek każecie mi się zjawić!

— Nie wrócę dopóty — odparł ponuro — dopóki nie znajdę i nie uwolnię hrabiny Szirat. Przyjmijcie to do wiadomości, penikracie. Jeśli nie dam znaku życia w ciągu dwudziestu księżyców, to statek będzie wasz... chyba że odnajdziecie moją córeczkę i mała księżniczka będzie mogła objąć swoje dziedzictwo. Wtedy wy będziecie dla niej opiekunem jako przyjaciel ojca! Nie byliśmy sobie równi, toteż nie mogliśmy się teraz uściskać. On odjechał konno z eskortą w góry, a ja długo za nimi patrzyłem.

Kiedy wróciłem na molo, zobaczyłem, że kobiety zajęły się znowu praniem i nawet na mnie nie spozierają. Wszedłem na pokład i od strony morza spuściłem na wodę łódź. Wraz z tuzinem moich ludzi powiosłowaliśmy poza zasięg wzroku praczek, przybiliśmy za ich plecami do lądu i nagle je obstąpiliśmy. Były tak przerażone, że nawet nie krzyczały. Moi ludzie nie podchodzili jednak zbyt blisko, żeby nie wpadły w panikę. Tylko ja zbliżyłem się do nich. Zwróciłem się do najstarszej.

—

Dobra kobieto—przemówiłem — winniście mi jeszcze informację o dziecku, małej dziewczynce, która zapewne potrzebowała matczynej piersi, kiedyście wyłowiły ją z wody, za co pragnę was hojnie wynagrodzić.

Potrząsnąłem nad ich praniem sakiewką pełną złotych bizantów. Wtedy ich wargi odtajały i wszystkie zaczęły mówić jedna przez drugą. Dowiedziałem się, że biedactwo przyjęła niejaka Ksenia, która pewnie sama nie może mieć dzieci. Zaraz po naszym przybyciu tutaj przed rokiem zabrała je i wyprowadziła się ze strachu, że odbierzemy jej dziewczynkę.

Kocha maleństwo, jakby w jego żyłach płynęła jej własna krew, jest dobrą matką, więc nie powinniście jej unieszczęśliwiać!

Słowa spadały na mnie jak ciosy. Odrzekłem jednak uprzejmie: —Dlaczegoż miałbym chcieć sprawiać jej ból, skoro tak miłuje to

dziecko! Przeciwnie, pragnę odnaleźć ową Ksenię, żeby ją wynagrodzić po królewsku, przyjęła bowiem pod swój dach księżniczkę wysokiego rodu, która nie ma już matki!

Oznajmienie to pobudziło wyobraźnię kobiet i wzruszyło ich serca, tak iż chętnie zdradziły mi swoje przypuszczenia, dokąd mogła udać się Ksenia razem z dzieckiem.

Ma ona brata w Antiochii, który jest stażennym u księcia i nazywa się... Mimo najlepszej woli nie mogły sobie przypomnieć.

— A jak ma na imię dziecko? — spytałem. — Na pewno przecież ochrzciłyście biednego robaczka.

— O tak — odparła stara, która miała zapewne pierwszy głos wśród kobiet. — Na chrzcie dałyśmy jej na imię „Alena”, bo była obca, a wołałyśmy na nią „Elaia”, bo skórę miała śniadą jak oliwka.*

— I w dodatku pomarszczoną! — wtrąciła inna. Trzecia uznała, że powinna stanąć w obronie honoru Aleny Elai.

—

Nie myślcie jednak, że to brzydkie dziecko, o nie! Skórę ma jak aksamit, a wokół oczu jedwabne rzęsy, ciemne niczym kobalt!

Z tym opisem wyruszyłem w drogę.

U wybrzeży Cypru, koniec kwietnia 1254

Byłem pewien, że przybraną matkę Ksenię i księżniczkę Alenę Elaię znajdę w

Antiochii — no bo dokąd miałyby się udać? Aż po Kair i Bagdad na południu żadne inne miasto nie jest wspanialsze od tej siedziby patriarchy, nawet Damaszek nie może się z nią mierzyć.

Droga do Antiochii nie wydawała mi się długa, lecz gwałtowne sztormy, jakie wiosną spadają często na chrześcijańską żeglugę z pogodnego nieba, z burzą i gradem wielkości gołębih jaj, wypędziły nas na otwarte morze w stronę raf Cypru. Przez całą noc walczyliśmy, żeby nie osiąść na mieliźnie albo nie roztrzaskać się o którąś z podwodnych skał. Staliśmy się igraszką fal, które piętrzyły się tym wyżej, im bardziej oddalaliśmy się od stałego lądu.

Kiedy wzeszło słońce, ujrzałem, że nie my jedni zostaliśmy tak doświadczeni przez los. Sztorm rzucił nas jednak przerażająco blisko wyspy, a na morzu wokół kolebało się teraz pełno statków, jakby kto rozgromił całą flotyllę. Rozpoznałem banderę Francji i flagowy okręt królewski, słynny „Montjoie”, który tuż przed nami osiadł na mieliźnie. Kazałem zrefować żagle i ostrożnie podpłynąć na wiosłach, wywiesiłem też cesarsko-sycylijską flagę.

Na pokładzie był sam król Ludwik wraz z małżonką Małgorzatą. Dwudziestego czwartego kwietnia opuścili Akkę, aby powrócić na zawsze do ojczystej Francji.

Dowiedziałem się tego od seneszała Szampanii, hrabiego Jana ze Joinville, który kazał się przewieźć na nasz statek i uprzejmie zapytał, czy aby nie mamy nurków wśród załogi. Król chciałby bowiem ustalić powagę uszkodzeń, jakich doznał kil jego statku, i sprawdzić, czy można zaryzykować dalszą podróż.

— Jeśli uda się go zepchnąć z mielizny — wtrąciłem — ale moglibyśmy wziąć

„Montjoie” na hol, jeśli przyślecie dodatkowych wioślarzy.

— Znam wasz statek — rzekł hrabia. — To triera Laurencji hrabiny Otranto.

— Przed laty przeszła w ręce jej syna Hamona L'Estrange, który składa właśnie wizytę królowi Armenii Hetumowi, my zaś mamy na niego czekać w Antiochii.

Tak, tak — mruknął seneszał — czas płynie! Przed sześciu laty przebywałem na tym pirackim pokładzie jako jeniec Przeoryszy,* a ponad rok staliśmy wtedy w porcie w Limassol jako dobrzy przyjaciele i potajemni sojusznicy. To było, zanim jego wysokość rozpoczął tę nieszczęsną krucjatę. A dzisiaj, kiedy pragniemy ją zakończyć i powrócić do kraju, Bóg znowuż stawia nam na drodze ową trierę... — Pokiwał lekko już posiwiałą głową, choć pewnie nie miał więcej niż połowa czwartego krzyżyka. — Czyż nie jest to rządzenie Maryi?!

—
Jesteśmy do dyspozycji króla—przerwałem jego reminiscencje, bo stawili się tymczasem nurkowie gotowi zejść pod wodę. Nie omieszkałem im towarzyszyć.

Wzięliśmy ze sobą długie grube liny. Fale wciąż jeszcze były wysokie i mogły roztrzaskać królewski statek, który osiadł na mieliznie. Dopiero po kilku próbach udało nam się podpłynąć do niego od burty i daliśmy się wyciągnąć na pokład. „Montjoie” był przeładowany, konetabl i wszyscy inni z otoczenia króla nalegali, żeby zrezygnował i dał się przenieść na ląd. Przedstawiono mnie królowi, a ten zapytał o me zdanie. —

Gdy tylko nurkowie zdadzą mi relację, chętnie poradzę waszej królewskiej mości!

Nurkowie wynurzyli się właśnie z odmętów i zawołali z dołu, że drewniany kil jest w jednej trzeciej roztrzaskany, ale może wytrzymać, jeśli uda nam się szybko ruszyć statek

z mielizny. Powiedziałem więc do króla: — Niech wasza wysokość pozwoli nam spróbować, zawsze jeszcze można podjąć decyzję o zejściu z pokładu!

Wtedy konetabl Gilles Le Brun przywołał inne statki i wszyscy ludzie musieli opuścić

pokład „Montjoie”, co było ryzykownym manewrem. Kilku się przy tym utopiło, ale nie dało się inaczej, gdyż okręt królewski musiał być jak najlżejszy, żeby oderwać się od

ławicy piaskowej. Tylko król i królowa zostali na pokładzie. Pani Małgorzata nie

okazywała najmniejszego strachu, ale słyszałem, jak głośno się modli i obiecuje kaplicę

ze srebra świętemu Mikołajowi z Varangeville,* jeśli pomoże im ująć niebezpieczeństwa

i zawiedzie ich cało do Francji.

Rozdzieliłem przywiezione liny na najsilniejsze długie łodzie, dwie zostawiwszy dla

triery. Kiedy wszystkie solidnie przywiązano do kila „Montjoie” i do łodzi, które miały ciągnąć, dałem ludziom znak, żeby wzięli się mocno do wiosła. Liny napięły się, pod

nami rozległo się przeraźliwe trzeszczenie i skrzypienie, lecz w końcu statek drgnął.

Byliśmy wolni. — Stokrotne dzięki za modlitwę, pani—zwrócił się z uśmiechem król do

małżonki — ale skąd weźmiecie kaplicę z czystego srebra?

— Srebro wy mi dacie, drogi małżonku — odparła z zadowoleniem — choćbym

musiała stopić waszą zastawę stołową. Pracę ma wykonać mistrz Buchier, kiedy

powróci wreszcie do nas od Mongołów.

Dopiero wtedy król obrócił się do mnie. Zdjął pierścień z palca i rzekł: —

Moim

zdaniem byłoby sprawiedliwiej, gdybyście to wy z podzięką za waszą roztropną i

energiczną pomoc otrzymali kaplicę, a święty pierścień, wszelako... Pewnikiem nie

precisnęła mu się przez usta niestosowna uwaga, którą sformułowałem na własny

użytek jako „Takie już są niewiasty!” Uśmiechnąłem się ze zrozumieniem.

— Nie potrzebuję góry srebra — powiedziałem — która byłaby mi tylko zbytecznym

balastem, ten pierścień natomiast zawsze mogę nosić i zawsze będzie mi on

przypominał spotkanie z waszą wysokością!

— Tchnęliście we mnie tyle ufności, panie Taksiarchosie — odparł król — że postanowiłem kontynuować podróż moim rannym statkiem — I wydał konetablowi rozkaz ściągnięcia ludzi z powrotem na pokład, żeby jak najprędzej można było opuścić to miejsce. Sztorm tymczasem ucichł. Hrabia Joinville, zapewne bardzo bliski zaufany króla, wręczył mi list żelazny i kazał odwieźć łodzią mnie i moich ludzi z powrotem na trierę. Natychmiast postawiliśmy żagle, żeby dostać się wreszcie do portu Świętego Szymona w Antiochii.

Antiochia, w maju 1254

Pozwolono nam wprawdzie zawinąć do portu Świętego Szymona, ale zgodę na dłuższy postój musieliśmy sobie wyjednać u księcia w Antiochii. W całym kraju panowała wielka radość. Zapowiedziano niezliczone zabawy i rozrywki, gdyż młody książę Boemund pojął właśnie za żonę córkę króla Hetuma, Sybillę.

Zostawiłem załogę w porcie i w pojedynkę wybrałem się do miasta. Trwające właśnie uroczystości zaślubin nie pozwoliły mi dotrzeć od razu do właściwych urzędników, a cóż dopiero mówić o przyjęciu przez samego księcia. Żeby nie mitrężyć czasu, postanowiłem rozejrzeć się za Ksenią, kobietą z Ajasu, a poszukiwania rozpocząłem od pałacowych stajni. Tam miał pracować jej brat, ale nie znałem nawet jego imienia.

Były setki stajennych, a szukanie wśród nich Armeńczyka przypominało próbę odnalezienia igły w stogu siana. Nie dopisywało mi także szczęście, gdyż moje

wypytywanie szybko wzbudziło podejrzliwość i zanim się obejrzałem, siedziałem w

lochu jako „szpieg”. To wszakże miało być dla mnie korzystne, jak poinformował mnie dozorca, gdyż w jeden z najbliższych dni książę, na cześć swojej żony, zamierzał

odwiedzić więzienie, by podarować życie wszystkim, których przewinienia wydadzą mu

się wybaczalne. Pozostali dla uczczenia tego dnia zostaną powieszani, żeby i lud miał uciechę. Szpiedzy mogli tylko marzyć, że zostaną zaliczeni do tej pierwszej grupy, jak mnie pocieszono, ale prędką egzekucja oszczędzi mi dalszych cierpień w kazamatach. Kiedy nadszedł ów dzień i książe przechodził wzdłuż naszych zakratowanych cel, zagłuszyłem zwyczajowe zapewnienia o niewinności, jakie docierały do niego ze wszystkich stron, i krzyknąłem:

— Hamo, syn hrabiny Otranto, przysłał mnie do was! Wtedy młody książe, który liczył pewnie jakieś siedemnaście wiosen, zatrzymał się zdumiony i zrobił zamyśloną minę.

Kazał mnie wyprowadzić, wysłuchał, co mi zarzucano, i zapytał:

— Dlaczego zbliżaliście się do koni?

Roześmiałem się, bo uznałem to za wyzwalające odczucie, i odpowiedziałem na pozór zupełnie bez sensu:

— Bo nie mogliśmy dopłynąć trierą do samej Antiochii, żeby odnaleźć księżniczkę Alenę Elaię, trzyletnią córeczkę waszego przyjaciela Hamona, która została porwana i którą trzyma w ukryciu siostra jednego z waszych stajennych.

Po tym wyjaśnieniu kazał mi natychmiast zdjąć kajdany i zaprosił mnie do siebie do pałacu, gdzie musiałem mu wszystko opowiedzieć. Rozczarowany był tylko tym, że nie potrafiłem nic rzec o Roszu i Jezie, „dzieciach Graala”, jak nazywał swych małych przyjaciół, „królów bez królestwa”. Wtedy przypomniałem sobie, że Hamo napomknął mi, iż William z Roebroku wyruszył w drogę do wielkiego chana Mongołów, u którego teraz zapewne przebywają. Kiedy książe Boemund usłyszał imię mnicha, nie mógł się powstrzymać od śmiechu, zwłaszcza gdy mu oznajmiłem, że franciszkanin podróżuje do Karakorum jako poseł króla Francji.

Tymczasem książe koniuszy kazał odszukać armeńskiego stajennego i strażnicy

pałacowi zaraz pojмали i przyprowadzili Ksenię wraz z trzyletnią córeczką. Dostawiono je przed nasze oblicze. Kobieta, prosta osoba o dobrodusznej, pospolitej twarzy i spracowanych dłoniach, szlochała gwałtownie. Dziewczynka była delikatnym stworzeniem, wyróżniającym się nadzwyczajną gracją i subtelnymi rysami. Z całych sił objęła kobietę rączkami.

— Chcę zostać z tobą — powiedziała. Nie płakała, spozierała jedynie na nas zatrwożonym wzrokiem.

— Pozwólcie, książę — rzekłem — że uczynię pewną propozycję pojednawczą.

Dziecko potrzebuje matki, która będzie je kochać, a że tak właśnie jest, widzimy jak na dłoni. Kto wie, kiedy wróci mój pan? I czy wróci ze swoją młodą małżonką...

— Oszczędźcie sobie słów, drogi panie Taksiarchosie — przerwał mi książę — przyjmę córkę mego przyjaciela na swój dwór, żeby niczego jej nie brakowało, jak również tę dzielną kobietę, która ma z nią zostać.

Wtedy Ksenia rzuciła się księciu do nóg i pośród łez podziękowała mu wylewnie.

Oświadczyła, że nie wiedziała przecież, czyje dziecko wyciągnęła wtenczas z wody, ale zawsze czuła, iż Alena Elaia nie jest zwyczajnym stworzeniem.

—
Także wy, drogi panie Taksiarchosie — rzekł Boemund — zażywajcie mojej gościnności tak długo, jak zechcecie. Żałuję tylko, że Hamo nie zwrócił się do mnie.

Wprowadziłbym go do króla Hetuma jako przyjaciela. A teraz się trapię, gdyż znam usposobienie mojego teścia. Pozostaje mi jedynie nadzieja — dodał — że wszyscy, których znamy, wrócą wkrótce zdrowo i szczęśliwie od Mongołów.

—
Ja też z całego serca taką mam nadzieję — odpowiedziałem — Mimo to

powinniście może przesłać królowi Hetumowi list polecający, ażeby życzliwie wysłuchał hrabiego Otranto.

Myśli księcia pobiegły jednak w innym kierunku. — Pora, żeby Rosz i Jeza zrobili użytek ze swego królewskiego przeznaczenia i wstąpili na tron jerozolimski. Właśnie otrzymaliśmy wieść, że zmarł król Konrad z rodu Staufów. Zanim berło będzie mógł uchwycić jego synek Konradyn, który ma dopiero dwa lata, dawno zgładzą go Mamelucy. Karmię się więc nadzieją, że William nie popełni błędu i nie porwie Rosza i Jezy Mongołom, tylko ci przybędą wkrótce, aby osadzić na tronie moich przyjaciół, królów pokoju. W przeciwnym razie sprawy chrześcijaństwa w Ziemi Świętej będą się niebawem miały kiepsko, a świat chrześcijański utraci pierwotne terytorium. Wszystko przypadnie — westchnął pełen ponurej melancholii — także Antiochia! To rzekłszy, odprawił mnie.

Księżniczce Alenie Elai, której opiekunem mianował mnie hrabia Hamo, pocziwej Kseni i mnie przydzielono przestronne komnaty w pałacu. Księżna Sybilla, wielce zadowolona, że Alena Elaia mówi po armeńsku, troszczy się serdecznie o córkę mojego pana. Ja zaś dbam o to, żeby rozgarnięta nad wiek córka Hamona była przygotowana na dzień, w którym wrócą jej ojciec i rodzona matka. Zabieram ją do portu i pokazuję dziewczeczce trierę, jej statek, i opowiadam o jej pięknej matce Szirat. Podczas uroczystości ślubnych spotkałem również delegację asasynów z Masnatu i poprosiłem o przekazanie ich „zwierciadłu w Askalonie” wieści dla Abu al-Hafsa, że na razie przebywam u księcia Boemunda, a Hamo wyruszył do króla Hetuma. Wielkiemu domestikosowi, monsei-gneurowi Gossetowi, wysłałem do pałacu Kallistosa w Konstantynopolu wiadomość, że w mojej opinii nasz pan Hamo nie zabawi raczej długo w stolicy Armenii Sisie i zostanie wysłany dalej do Karakorum, do wielkiego chana. Tak

samo przypuszczał księżę Boemund, no bo komu innemu król Hetum miałby robić prezent z pięknych niewolnic? Na wypadek gdyby Hamo L'Estrange zjawił się najpierw z powrotem nad Bosforem, poprosiłem Gosseta, żeby dał mi znać i przekazał hrabiemu, iż zgodnie z umową jako kapitan jego triery „Contessa d'Otranto” oczekuję instrukcji mego pana.

* „Contessad'Otranto”(wł.)—hrabina O.; Hamo ochrzcił tak statek flagowy od swojej matki Laurencji z Belgrave, hrabiny Otranto.

* Ajas — miasto portowe w Małej Armenii w Zatoce Aleksandretty, położone na południe od dawnej stolicy Sis, obecnego Kozana; dziś port przeładunkowy ropy.

* Al-Mahdijja — dawna stolica emiratu Tunisu, położona na jego południowym wybrzeżu.

* Tin gis — miasto założone przez Gotów naprzeciwko Gibraltaru, obecnie Tanger.

* Dżabal Tarik (a r a b .) — dosł.: Góra Tarika, czyli Gibraltar.

* Ceuta — miasto i hiszpański port handlowy na północnym wybrzeżu obecnego Maroka.

* Almohadzi — szyicki kalifat, który w połowie XII w. rządził zachodnim Maghrebem i południową Hiszpanią do ok. 1250 r.; po nim rządili Hafsydzi.

* Ocean A t l a s a — nazwany tak od gór w Maroku (Wysoki Atlas), z tego wykształciła się nazwa Atlantyck.

* Ti lim san — miasto i zespół świątynny na wybrzeżu mauretańskim przy zachodniej granicy obecnej Algierii.

* Dawa (dhow) — arabski żaglowiec dwu- lub trzymasztowy, używany do dziś.

* Askalon — położony najdalej na południe port chrześcijańskiego Królestwa Jerozolimskiego, wpadał ciągle w ręce Egipcjan. W połowie XIII w. podległy władzy Mameluków.

* Aleksandria — egipskie miasto portowe w zachodniej delcie Nilu, założone w 331 r.

przed Chr. przez Aleksandra Wielkiego. Znajdował się tam jeden z siedmiu cudów świata, wysoka na 400 stóp latarnia morska. W czasach Ptolemeuszów Aleksandria zasłynęła dzięki swej bibliotece i stanowiła artystyczne oraz naukowe centrum świata.

* K l a u d i u s z P t o l e m e u s z — słynny grecki astronom, matematyk i geograf, ur. w Górnym Egipcie, zm. 178 po Chr. Stworzył pierwszą mapę świata.

* Elaia (gr.) — oliwka.

* Przeorysza — przydomek hrabiny Otranto w czasach, kiedy Laurencja z Belgrave jako piratka była postrachem wschodniej części Morza Śródziemnego.

* św. Mikołaj z Varangeville — czczony przez pielgrzymów w Saint Nicolas de Varangeville w Szampanii.

X .PATRIARCHA KARAKORUM

Jeza do Williama

Jakaś woń wisi w powietrzu, delikatne chmury przeciągają, wiatr wieje bardzo łagodnie, a języki anielskie szepczą: On się zbliża! Czuć też zapach krowiego łajna i palonych kości, a przez dom przechodzi szum; bałwochwalcy drżą, szamani ukrywają się. On nadchodzi! Topnieje lód, pękają kry, burza rozrywa chmury, dzwonią dzwony: *William*

*antę portas!** Tak byś pewnie chciał, flamandzki spryciarzu, i ja, Twoja królowa Jeza, i Trencavel, padamy na kolana! Z wesela, ze szczęścia! Rzeczywiście tak jest, bracie

Williamie z *Ordo Fratrum Minorum*, tu, w Karakorum, jesteś najważniejszym tematem rozmów. Ludzie nie mówią o niczym innym, tylko o Twych cudownych czynach i Twoim

rychłym przybyciu, a Rosz i ja stoimy przy oknie w naszej miejskiej rezydencji i

wyglądamy w kierunku południowym ku Bramie Wołów. Nie możemy się wprost

doczekać chwili, kiedy wreszcie zobaczymy nie Mongoła, tylko okrągłutkiego brata

świętego Franciszka o skąpych rudych włosach, z którym będziemy mogli rozmawiać w

lingua franca, wiesz, co mam na myśli. Jednakże dni mijają, a Mongołowie nie mają pojęcia, co znaczy czekanie. Do tej pory nie przyjechał nawet Mdingke, wielki chan. Il-chan Hulagu, który nas tutaj przywiózł, wyruszył mu naprzeciw razem z generałem

Kitbogą.

Nie brakuje nam niczego, mamy pod dostatkiem sług, którzy nas okradają. Przy

wejściu do naszego domu, który ma nawet górną kondygnację, gdzie sypiam, stoi kadź

ze sfermentowanym kobyliim mlekiem, dzięki czemu nasi strażnicy mogą być ciągle

podchmieleni. Mój Trencavel sypia na dole. Codziennie przychodzą kobiety z dworu

Kokoktaj-chatun i zabierają mnie na nabożeństwo w kościele. To „pierwsza żona”

Móngkego. Rosz może przynajmniej — z eskortą — przechadzać się po „stolicy”, która

jest miastem mniejszej rangi nawet niż Otranto i o wiele bardziej nudnym. Dla mojego

Trencavela może jednak nie jest, gdyż wszystkie młode dziewczęta robią do niego

słodkie oczy. Opowiedział mi wszystko o Karakorum: dwie dzielnice — Akka miała siedem — jedna saraceńska, gdzie siedzą kupcy i mieszkają posłowie, co mogę zrozumieć, i jedna katajska, w której usadowili się głównie rzemieślnicy. Ratajowie mają skórę jeszcze bardziej żółtą od Mongołów, a ich oczy to jedynie dwie szparki. Pałac wielkiego chana i rezydencje wysokich urzędników dworskich położone są poza bramami miasta. W tak zwanym „mieście” Rosz doliczył się dwunastu różnych świątyń pogańskich, oprócz tego są dwa meczety i jeden kościół, który znam aż za dobrze. To zbiorowisko chat i jurt otacza gliniany wał. Niewiele domów jest z kamienia takich jak nasz, co za zaszczyt nas spotkał! Przy wschodniej bramie sprzedają proso, a czasem także inne zboże, przy zachodniej — owce i kozy, woły przy południowej, a przy bramie północnej konie. Niestety, kościół znajduje się w części południowej.

W Epifanię zmusiłam swojego Trencavela, aby odprowadził mnie do kościoła, i to o barbarzyńskiej porze, bo słyszałam, że w święto Trzech Króli nestoriańscy kapłani zbierają się tam jeszcze przed świtem. Kiedy z naszymi niewyspanymi strażnikami przyszlismy na miejsce, oni przybili już drewnianą tabliczkę z tekstem modlitwy i odśpiewali uroczyste poranne chorały. Dopiero potem włożyli szaty liturgiczne i zapalili kadzidło w trybularzu. Wraz z ich archidiakonem Jonaszem, bardzo już niedołącznym starcem, na czele czekaliśmy w tłumie wiernych na placu przed kościołem, szcękając z zimna zębami. Wreszcie pojawiła się Kokoktaj-chatun ze swym dworem i dziećmi. Wszyscy padli na ziemię, dotykając jej czołem. Uczyniliśmy tak samo. Rosz i ja nie poszliśmy jednak w ślady Mongołów, którzy dotykali ręką pokazywanych przez kapłanów obrazów, a po każdym dotknięciu je całowali. Kokoktaj-chatun i jej dzieci pozdrowili obecnych uściśnięciem dłoni, to również okropny zwyczaj, którego nie da się jednak uniknąć. Kapłani śpiewali:

*Salve Regina, Mater misericordiae, vita, dulcedo et spes nostra salve.**

Weszliśmy do kościoła, który nie jest może duży ani wspaniały, ale za sprawą haftowanych złotem zasłon pod niskim sufitem tudzież wielu świec łożowych, które paliły się we wszystkich świecznikach i rozsiewały uroczyste światło, wydawał się całkiem przytulny. Archidiakon wręczył Kokoktaj, która jest już dosyć stara — pewnie Móngke ją odziedziczył albo nie było młodszych w jej klanie — trochę kadzidła, a ona wrzuciła je w ogień. Następnie zdjęła ozdobne nakrycie głowy, a wtedy ujrzeliśmy jej łysą czaszkę. Przyniesiono jej pozłacany piedestał, na którym mogła usiąść, dokładnie na wprost ołtarza, po czym zaczęła rozdawać prezenty. Musiałam jej przedstawić Rosza, którego Kokoktaj wręcz pożerała wzrokiem. Podarowała mu pierścień, mnie zaś dała pięknie rzeźbioną szpilkę do włosów z bladozielonego jadeitu.

Potem przyniesiono napoje, miód, kumys oraz czerwone wino, którego pozwolono nam skosztować. W każdym razie wino z Otranto nie drapało tak w gardle! Kokoktaj wzięła pełny puchar, skłoniła głowę, nie wstając ze swojej kozetki, i poprosiła o błogosławieństwo. Kapłani musieli głośno zaśpiewać:

*Eia ergo Advocata nostra, illos tuos misericordes oculos ad nos converte**

Pierwsza żona Móngkego opróżniła puchar jednym haustem i natychmiast kazała napełnić go na nowo. Tak samo postępowała po każdej zwrotce.

*O clemens, o opia, o dulcis virgo Maria!**

Kiedy prawie wszyscy byli już nieźle podpićci — Rosz i ja ledwo umoczyliśmy usta — podano potrawy, wszystkie z baraniny. Wtedy wyszliśmy na palcach z kościoła.

Baranina wczesnym rankiem! Na zewnątrz były pieczone ryby, karpie, ale bez soli i chleba. Kiedyśmy jedli, zagadnął nas dziwny osobnik, który nazywał siebie Teodul i twierdził, że w *Terra Sancta* był w służbie u pewnego świętego biskupa. Gdy naciskaliśmy, by wyjawił jego imię, powiedział, że pracował u biskupa Mikołaja z La Porty w Konstantynopolu, któremu Bóg przysłał z nieba list napisany złotymi literami z poleceniem, żeby oddał go władcy Tatarów, ten bowiem przeznaczony jest do tego, by

zostać panem wszystkich krajów na ziemi. Zerknęłam z boku na mego Trencavela i

zapytałam:

— A w jakim języku był napisany tenże list, panie Mojżeszu? Ów zmieszał się wtedy i

wyjąkał: —

Mój święty biskup powiedział, że mam przekonać wszystkich ludzi do

zawarcia pokoju z chanem!

Rosz nie potrafił ukryć rozbawienia. -- To pewnie chagan był ogromnie uradowany z

tego powodu.

— Ach — poskarżył się Teodul — on przecież w nic nie wierzy! „Jeśli przyniosłeś ten

list otrzymany z nieba, to jesteś mile widziany!" Tak powiedział i odprawił mnie jak któregoś ze swoich kurierów.

-- Bo? — dociekałam.

— Bo pismo było w moich kufrach, które załadowałam na jucznego konia. Ale

gdyśmy tu wędrowali, zwierzę uciekło i straciłem wszystko, co miałem.

— To rozumiem—Rosz wykrzywił twarz w uśmiechu — konia trzeba dobrze trzymać,

jeśli po drodze człek musi zsiąść.

— I co teraz? — zapytałam bezlitośnie.

— Teraz służę czasem panu Móngkemu jako tłumacz, bo mówię w ośmiu językach,

w tym także po mongolsku i katajsku. Taka praca niezbyt mnie jednak zadowala, bo

pragnąłbym wstąpić na służbę do wielkiego księcia Kościoła Williama z Roebruku, który

podobno przybył już do Karakorum. Pomyślałem więc, że wy, królowie, na pewno

znacie tego świętego męża Bożego, więc moglibyście wstawić się za mną! Musieliśmy

się opanować, żeby nie wybuchnąć głośnym śmiechem. Rosz zaś powiedział:

—

William z Roebruku nie potrzebuje naszych rad, raczej jest na odwrót. To my

zasięgamy jego mądrej rady, gdyż nie ma na świecie nikogo, kto dorównywałby mu wielkością ducha, a przede wszystkim pobożnością. Wstawimy się jednak za tobą, bo brakowało mu jeszcze sekretarza, który prowadzi korespondencję z Najwyższym!

Teodul nie wychwytał naszej drwiny, tylko natychmiast zapalił się do tego pomysłu.

— O, ziściłoby się wtenczas moje marzenie! Jestem bardzo zręczny w

przygotowywaniu ceremonii, przepowiedni, potrafię nawet dokonywać małych cudów

tak, żeby wcale nie wyglądało to na czary. Jego ekscelencja będzie miał we mnie

wszechstronnego sługę!

— Też tak sądzimy — zakończyłam łaskawie rozmowę i pozwoliłam, by ucałował

obie moje dłonie. Miał czarne paznokcie. Rosz skinął na naszych strażników, a ci

oddzielili go od nas. Akurat w chwili gdyśmy odchodzili, Kokoktaj-chatun opuszczała

kościół ze swą świtą. Była zupełnie pijana, wsiadła do swojego wozu i odjechała wśród

śpiewu — a raczej zawodzenia — kapłanów.

O clemens, o pia, o dulcis virgo Maria!

Kiedy dotarliśmy do swej rezydencji, dowiedzieliśmy się, że wielki chan przybył do

Karakorum. Trudno było dać temu wiarę, lecz potem złożył nam wizytę Dżuwajni i to

potwierdził. Wszystko zostało przygotowane na uroczyste powitanie, jakie władca

Mongołów pragnie zgotować nam, parze królewskiej. Po południu przyjdą kobiety i

zajmą się naszymi szatami.

—

To świadczy o dalekowzroczności władcy i o tym, że docenia świecką pompę

— oświadczył z namaszczeniem mój Trencavel. — My zaś największą wagę

przywiązujemy do tego, żebyśmy nie byli pozbawieni także duchowego wsparcia

podczas tego uroczystego aktu. Życzymy sobie, aby w porę sprowadzono naszego

najwyższego kapłana i spowiednika Williama z Roebruku. Gdzie on się właściwie podziawa?

— Przybędzie w należyтым odstępie za wielkim chanem. Nie godzi się, żeby przybył przed nim. Ale to...

— Nie ma żadnego „ale"! — wpadłam szambelanowi w słowo. — Pośpieszcie się, jeśli nie chcecie ściągnąć na swoją głowę niezadowolenia wielkiego chana!

Dzuwajni opuścił nas dosyć przygnębiony. Z pewnością trudno mu będzie zgrabnie wytłumaczyć swojemu panu nieuniknione opóźnienie. Chyba że nasz najmiłszy franciszkanin przygalopuje do Karakorum na okładanych batem i zmuszanych do pośpiechu koniach wyścigowych. Biedny William!

L. S.

Rosz Trencavel z Haut Segur pozdrawia Williama z Roebruku,

Karakorum, w drugiej dekadzie stycznia A. D. 1254

Widzieliśmy Cię, jak jadąc pędem, wynurzasz się z mroków nocy, na przedzie chorągiew Baranka, który zgrabnie uniesionym przednim kopytem trzyma w górze smukły krzyż — czy to Ty jesteś tym jagnięciem, Williamie? Jako alfiere rozpoznaliśmy, jeśli mnie wszystko nie myli, małego Wawrzyńca z Orty! A potem pojawiłeś się Ty we własnej krągłości w biskupim ornacie! Czyją ubieralnię splądrowałeś? Chyba że teraz tak się odziewają wszyscy minoryci! Dobrze się prezentujesz w purpurowej szacie i obszytym gronostajem płaszczu, mitrę śmiało nasadziwszy na głowę, a w dodatku gnając pełnym galopem! Złotej laski z biednym Ukrzyżowanym nie powinieneś jednak trzymać jak kopii. Tak czy owak musisz dokonać zdjęcia *Corporis Christi* z krzyża, gdyż tutejsi nestorianie nie lubią przedstawiania Ukrzyżowanego. Cierpienie Mesjasza wprawia ich w zakłopotanie. Tuż za Tobą jechał jakiś czarny mnich, posępna postać.

Słyszałem, jak ludzie, którzy jak my pośpieszyli na Twoje powitanie mimo nocy i chłodu,

mówili, że to „Sergiusz Armeńczyk”. Razem z Wami wpadli do miasta generał Kitboga i jego syn Kito z centurią — widok wspaniały i straszny zarazem. Il-chan Hulagu jechał natomiast za nimi niemal statecznie, chociaż on sam i jego orszak też musieli wcześniej pędzić ostrym kłusem. Konie bowiem oddychały ciężko, a ich ciała parowały w zimowym powietrzu. Wojownicy trzymali pochodnie, więc kolumna wyglądała z daleka niczym rój robaczków świętojańskich.

Dopiero kiedy się rozwidniło, nadciągnęły z turkotem wozy z jurtami, całym mieniem i kobietami Hulagu, mam na myśli dwór, gdyż il-chan pojął tylko jedną kobietę za żonę. Zwie się ona Dokuz-chatun, jest chrześcijanką i domaga się, żeby było tak, jak napisano w Biblii: „Nie będziesz miał innych żon obok mnie!” Tak samo zresztą, jak Jeza żąda tego ode mnie, choć nie jest chrześcijanką, w każdym razie prawdziwą. Bo wielki chan ma kilka żon, z każdej religii co najmniej jedną.

Kiedy tak stałem z moją damą, znów zbliżył się do nas Teodul, plugawa postać, nawiasem mówiąc, zagorzały Twój wielbiciel, Williamie. Żeby Cię nie przegapić, pobiegł aż pod bramę. Zaproponuje Ci swoje służby. Ja nie dotknąłbym go nawet kleszczami kowalskimi, co najwyżej użyłbym takich, które na wystarczająco długo włożono do żaru. Podobno uzdrowiłeś drugą pod względem rangi małżonkę chagana, poganę Kokę, zmuszając ją do oddania czci krzyżowi, kiedy była chora. Słyszałem też, że przebywa już znowu w Karakorum, lecz nadal leży, wyczekując ulgi w cierpieniu. W każdym razie przejechałeś obok, nie zwróciwszy na nas uwagi, chociaż nawet wołaliśmy Cię po imieniu! Ale możliwe, że nasze wołanie zagłuszył aplauz ludzi. Chyba że nie reagujesz już na „William” i każesz się teraz tytułować „eminencją”? Nie udało nam się pozbyć tego uciążliwego Teodula, zwłaszcza że wyznał nam w tajemnicy, iż wie, dokąd się najpierw udasz, a mianowicie do łoża chorej Koki zmagającej się ze śmiercią. Wielki chan kazał ci tak prędko przyjechać, bo tylko od Ciebie oczekuje wybawienia i ratunku.

Bardzo mnie to rozczarowało, sądziłem, że nasza tęsknota za Tobą jest przyczyną

Twego gwałtownego pośpiechu. A może jedno i drugie.

— Zaklęcia bałwochwalców jej nie pomogły — opowiadał jak najęty nasz Teodul; zamierzał wręcz zaciągnąć nas do domu Koki, który ponoć stoi niedaleko od naszego.

Nie miałem najmniejszej ochoty, lecz Jeza powiedziała: -- Chcę zobaczyć Williama! Tak oto sprawa została rozstrzygnięta. Mieliśmy właśnie wejść do domu, kiedy spotkaliśmy Dzuwajniego, który był przerażony naszym zamiarem przyglądania się Tobie, Williamie, w charakterze uzdrowiciela.

— Jeśli kobieta umrze — zaklinał nas — żadna z osób obecnych przy jej śmierci nie będzie mogła przez rok stanąć przed obliczem wielkiego chana! A na dziś wieczór wyznaczono uroczyste powitanie, błagam was...

— Nas ta reguła nie dotyczy — zakomunikowała moja *damma*, która lubi przycierać rogów szambelanowi. — Jeśli William zajmie się biedaczką, to ją uratuje! — dodała i przeszła przez próg. Teodul został wpuszczony tylko dlatego, że zachowywał się tak, jakby nam towarzyszył. W domu panował wielki tłok, gdyż rozeszła się wieść, że wielki William przybył do śmiertelnie chorej. Mimo że moi strażnicy bili pałkami na prawo i lewo, nie sposób było dostać się do środka. Ludzie zachowywali się jak opętani, kobiety zawodziły i krzyczały, pogańscy kapłani o gładko ogolonych czaszkach siedzieli na ziemi w szafranowych szatach i uderzali w małe bębenki. Śpiewali monotonnym głosem wciąż to samo: *Om mani padme hum*, oddając cześć swojemu panu Buddzie.

Wydawało się im zresztą obojętne, czy chora umrze, nie reagowali też, kiedy ciekawscy ich potracali, przechodzili nad nimi lub ich deptali. Oświadczyłem więc Jezie: — Jeśli nawet przebijemy się do Williama, cóż nam po tym? Teraz na pewno nie będzie miał dla nas czasu. W taki sposób nie chcę się witać ze starym przyjacielem. Przyznała mi rację i jęliśmy się wycofywać. Teodula zostawiliśmy. Na pewno nie omieszka zrelacjonować nam

wszystkiego na świeżo. W drodze powrotnej powiedziałem do Jezy:

—

Teraz kiedy William wreszcie znowu jest z nami, właściwie nie musimy już wysyłać mu relacji...Moja roztropna towarzyszka skinęła głową na znak zgody i popatrzyła na mnie wyczekująco.

— Ale mnie pisanie „kroniki” zaczęło sprawiać tyle radości, że chcę ją prowadzić dalej.

— A zresztą William może zawsze spokojnie przeczytać i wziąć do swojej kroniki to, co mu się spodoba.

Po południu przyszły kobiety ubierać Jeżę. Przyniosły jej odświętny strój z zachodniej Mongolii, spływającą do kostek, bogato haftowaną złotą nicią, niebieską szatę z surowego jedwabiu z małym czerwonym kołnierzem i odwijanymi mankietami w tym samym kolorze. Jako guziki służyły srebrne zapinki z koralami. Na to włożono jej narzutkę bez rękawów z watowanymi ramionami, które były mocno wcięte. Narzutka z szarego jedwabiu była obszyta perłami. Nie dość tego, Jezie dano jeszcze fioletowy szal, jaki noszą kapłani podczas mszy. Ten był obszywany turkusami i bogato ornamentowanymi *toli*, czyli dużymi, lustrzanymi srebrnymi płytkami, które mają odstraszać złe duchy. Dokładnie tak jak *toorcog*, podbita futerkiem czapka z podnoszonymi nausznikami, ozdobiona motywami uznawanymi za szczęśliwe. Talię Jezy kobiety obwiązały czarnym jedwabnym sznurem, a na nogi musiała włożyć pantofelki, również obszywane turkusami, koralami oraz perłami. Mojej smukłej królowej jest w tym stroju bajecznie, jego barwy cudownie harmonizują z jej jasnymi włosami. Może prezentowała się w nim zbyt chłopięco, ale moja dama to przecież zakamuflowany rycerz. Wyraziłem swój podziw głośno i jednoznacznie. Podzielali go

także Kito i kilku ludzi z jego centurii, odkomenderowanych z kolei do przyodziania mnie i utworzenia mojej honorowej eskorty.

Otrzymałem szatę klanu Tołuja, która natychmiast mi się spodobała. Płótno w zielonkawym kolorze trzciny, sztywny wysoki kołnierz z aplikacjami z brokatu, które schodziły ukośnie na piersi i powtarzały się w mankietach rękawów. Szatę ściągała bardzo szeroka jasnożółta jedwabna szarfa. Na głowę włożono mi czapkę z wilczego futra, które z jednej strony opadało nisko, z drugiej zaś było wysoko związane. Do tego wręczono mi sztylet na srebrnym łańcuchu z oprawionym krzemieniem i małą puszką hubki. Spojrzawszy w lustro, zobaczyłem nader zawadiackiego młodego mężczyznę. Pozostali uściskali mnie i zaczęliśmy, dopóki Jeza z kobietami nie zeszła po schodach. Moja królowa! Przed naszym domem zebrało się wielu ludzi, którzy wznosili radosne okrzyki na naszą cześć. Wraz z dużym orszakiem jechaliśmy konno przez miasto ku bramie południowej, gdyż pałac znajduje się poza murami. Kiedy zbliżyliśmy się na odległość strzału z łuku, poszliśmy już pieszo. Dalszą drogę wyłożono dywanami, żebyśmy nie ubrudzili się błotem.

Rezydencja wielkiego chana to otoczone osobnym murem zbiorowisko budynków z czerwonej cegły, wieżyczek i cebulastych kopuł. Kiedy wkracza się przez jedną z trzech bram — środkowa jest zastrzeżona wyłącznie dla chagana — wchodzi się na duży brukowany plac, przy którym stoją najważniejsze budowle. Najważniejsza z nich mieści wielką salę audiencyjną, w której odprawia się również wszelkie uroczystości. Sądząc po portalu z kolumnami i potężnym szczycie budowli, sala musiała być ogromna. Naszą uwagę przyciągnął jednak orszak, który wkraczał przez przeciwległą bramę. To byłeś Ty, drogi Williamie! Przed Tobą szli chłopcy z chóru, trzymając w rękach świece, a za nimi ministranci, którzy wymachiwali kadzielnicami i potrząsali dzwonkami. Potem alfiere, rzeczywiście był to Wawrzyniec, dzierżył chorągiew kościelną, a za nim

kroczyłeś Ty, Williamie — pod baldachimem. Trąciłem Jeżę, bo naprawdę uznałem to za przesadne, prawie śmieszne! Ty, cały w bieli, niosłeś księgę, którą przyciskałeś do piersi, oraz złotą laskę biskupią i śpiewałeś wyjątkowo głośno, zresztą fałszując, „Vexilla regis prodeunt”. Saraceni, jak nazywają tutaj wszystkich muzułmanów, byli mocno zdziwieni słowami tego hymnu, wszak mówi on, że „chorągiew króla buja wzwyz” w sensie „okazywania się mężnym”, co było przypuszczalnie aluzją do króla Franków.

Wydawali się znać tekst lepiej niż Ty, święty z przypadku — chyba że doszedłeś kiedyś do piątej strofy? Wiesz, jak brzmi?

Beata, cujus brachiis saeculi pependit pretium, statera facta corporis, praedantque tulit tartari.

Takimi słowami uczyniłbyś sobie z wielkiego chana śmiertelnego wroga, gdyż tak bym przetłumaczył ten tekst:

*Święty krzyż, na którego ramionach zawisło Odkupienie, wyrwał zdobycz z rąk Tatarów**

Za Tobą szedł znowu ten mnich odziany w skromny czarny habit, Sergiusz

Armeńczyk. Posepnie wbijał wzrok w ziemię, a mimo to wydawało się, że Cię popędza.

Przed głównym portalem zatrzymaliśmy się, bo wszystkich obszukiwano sprawdzając, czy nie mają broni. Mój paradny sztylet wzbudził sensację. Kito jął przekonywać

strażników, że to wyłącznie dekoracja, lecz byli nieubłagani. Musiałem go odpiąć i

zostawić. Ciekawe, czy Jeza ma jak zwykle swą ulubioną broń we włosach, przemknęło

mi przez głowę. Popatrzyłem na nią pytającym wzrokiem, ale nawet nie drgnęła. U niej

także nie znaleziono niczego. Czekaliśmy jeszcze na Ciebie, żeby w końcu pozdrowić

Cię miłym słowem lub przynajmniej Ci pomachać. Ale Ty patrzyłeś tylko sztywno przed

siebie, jakby nas w ogóle nie było — nawet nie mrugnąłeś ani nie skinąłeś nam

porozumiewawczo.

—

Dziwne — szepnęła Jeza — chyba nie staliśmy się dla niego tak obcy, żeby

nas już nie poznawał? Twoja procesja wkroczyła przed nami do sali. Następnie weszli

bracia chana, Hulagu i Aryk Boge, każdy ze swoimi kobietami i świtą. Nadal uporczywie patrzyłem za Tobą.

— Albo jest na nas zły — ozwał się półgłosem do Jezy — albo nie może okazać, jak bardzo nas miłuje.

— Nie wątpię, że to drugie — odszepnęła. — Na pewno znowu ma dla nas jakąś niespodziankę. Musieliśmy jednak przerwać pogawędkę, gdyż Dżuwajni dał nam znak, że mamy wchodzić. Była to wielka chwila, bo równocześnie na emporze ponad nami rozległy się dźwięki trąb i kotłów, a ludzie wstali z miejsc, żeby bić brawo nam, parze królewskiej.

L. S.

Móngke spoczywał na szerokim złotym piedestale. Wodził byстрыm wzrokiem po sali, nie patrząc na swoich gości. Rosz nie miał zamiaru znosić takiego lekceważenia pary królewskiej. Tedy zatrzymał się i ku oniemiałemu zaskoczeniu wszystkich zwrócił do odzianego odświętnie mnicha. —

Williamie z Roebruku — powiedział donośnie, napawając się jego przerażeniem—winienes przedstawić nas z należnym respektem najwyższemu władcy na ziemi, jak daleko Tengri rozpina swoje wiecznie błękitne sklepienie niebios, wydaje się bowiem nas nie znać!

Zabranie głosu, nie będąc wezwanym do tego przez wielkiego chana, było niesłychanym zuchwalstwem. William stał osłupiały i nie wiedząc, jak się zachować, zaintonował „Gloria”:

*Gloria in excelsis Deo et in terra pax hominibus bonae voluntatis.**

Wielki chan podniósł się na piedestale i udawał, że słucha uważnie. Jego wzrok padł teraz na parę królewską, która w dalszym ciągu stała pośrodku sali, ponieważ William w swej konsternacji śpiewał dalej:

*Laudamus Te, benedicimus Te adoramus Te, glorificamus Te gratias agimus Tibi
propter magnam gloriam tuam Domine Deus, rex caelestis Deus pater omnipotens**

W końcu Móngke wstał zdecydowanym ruchem. Łamiący się głos uwiązał śpiewakowi w gardle, William pomyślał bowiem, że teraz to już na pewno po nim. Ale wielki chan rozłożył ramiona, co skłoniło Rosza do przyklęknienia. Jeza uczyniła wprawdzie tak samo, lecz tylko na moment dotknęła ziemi, po czym wystrzeliła z powrotem w górę jak sprężyna, ponieważ Móngke zwrócił się do obojga.

—
Para królewska podchodzi w milczeniu do tronu — przełożył niewidoczny tłumacz, który tak się zacinał, że ledwo dało się go zrozumieć. Rosz zerknął na Jezę, a ta w odpowiedzi skinęła głową. Jeden z szamanów złożył przed chanem trzy spalone na węgiel łopatki baranie. Móngke przyglądał się im długo i uważnie. Wszyscy czekali na wynik. Rosz i Jeza wiedzieli od Arslana, że chagan nie podejmuje żadnej decyzji i nie przyjmuje nikogo, jeśli wcześniej nie zapyta wyroczni i nie odczyta jej opinii z kości. Włożone do żaru kości musiały pęknąć wzdłuż. Jeśli pękły w poprzek lub co gorsza, rozkruszyły się, był to zły omen i chagan nie robił nic. Wyglądało na to, że wynik oględzin tych trzech kości wypadł nadzwyczaj zadowolająco. Móngke pokazał je swoim braciom i łaskawie przywołał do siebie skinieniem parę królewską.

Rosz i Jeza natychmiast się doń zbliżyli. Przyboczni strażnicy błyskawicznie wyciągnęli szable, ale Jeza rzuciła się już do stóp wielkiego chana. Ten podniósł ją, uściskał także Rosza, aby oszczędzić mu kotau, i powitał obydwójce. Ponieważ jako tako władał arabskim, mógł zrezygnować z dalszych usług zmieszanego tłumacza. Roszowi i Jezie pozwolono usiąść po bokach chagana.

—

Mianuję was moimi współregentami — zażartował nieśmiało i zwrócił się do Williama. — Jestem ci winien stokrotne dzięki, mnichu — powiedział. — Posiadasz cudowne dary, gdyż przywróciłeś do życia moją żonkę Kokę, mimo że ady chciały ją zabrać do krainy zmarłych. Ty ponoć jesteś dziurką od klucza do „reszty świata”, a przybyłeś do mnie, bo wiedziałeś, że ja posiadam klucz.

To mówiąc, Móngke otoczył ramionami Rosza i Jeżę, jakby biorąc ich w posiadanie.

—
Wielki chanie — odrzekł William — przybyłem, bo chcę szerzyć słowo Chrystusa i mam przy sobie pismo króla, na które tylko wy możecie odpowiedzieć. To, że Bóg powierzył wam także parę królewską, umacnia mnie w przekonaniu, że cieszycie się szczególną Jego łaską i ma On wobec was wielkie plany. Jam jest tylko sługą.

Chan kazał mu wstać, gdyż William ukląkł przed nim, i odparł: -- Zaprawdę, wielkie mam plany wobec tych młodych królów i chętnie cię przyjmuję na moje służby, jeśli pozwolisz... — To mówiąc, zwrócił się ponownie do pary królewskiej. Oboje skinęli z uśmiechem, mógł zatem dokończyć. — Powiedz mi, Williamie, cóż mogę uczynić dla ciebie i dla twojego boga?

— Chciałbym budować w waszym kraju kościoły, poczynawszy od katedry tu, w stolicy, na chwałę Boga i ku najwyższej waszej glorii! — oznajmił szczywany lis. Ta odpowiedź spodobała się chanowi.

—
Dobrze się więc składa, że mam akurat pod ręką jednego z najprzedniejszych artystów z waszego kraju, mistrza Buchiera, którego dłoniom zawdzięczam już jedno cudowne dzieło. — Jego wzrok powędrował ku wspaniałemu

srebrnemu drzewu napitków, które wznosiło się pośrodku przejścia na wewnętrzną dziedziniec. — Porozmawiaj z nim! Wykona wszystko tak, jak potrzebujesz.

Franciszkanin podziękował przyklękając, kiedy ozwała się Jeza. —

Williamie, twoje

zaszczytne powołanie na „pierwszego budowniczego kościołów w kraju” nie powinno ci jednak przeszkadzać, o ile wy, dostojny chaganie, zgadzacie się na to... — Móngke już dawno uległ jej urokowi i skinął głową, zanim dokończyła myśl — w wypełnianiu obowiązków naszego spowiednika. Oczekujemy cię w naszym domu! Tak oto zręcznie usunęła wszelkie możliwe przeszkody na drodze do ponownego spotkania w sześć oczu, gdyż teraz wiążące było słowo wielkiego chana. William natychmiast pojął sens tego pociągnięcia i prawdziwie odżył.

—

Chętnie zdejmę z was wasze grzechy — odparł rozpromieniony. Ucałował dłonie dzieci, uszczęśliwiony padł przed chanem na swój gruby brzuch, po czym oddalił się wśród ciągłych ukłonów. Dotarłszy do swojej asysty, zaintonował „Alleluja”, odważnie podejmując się roli przewodnika chóru.

Alleluja, alleluja!

Beatus homo, qui audit me,

et qui inquit ad fores meas cotidie,

*et obseruat ad postes ostii mei**

—

Alleluja, alleluja, alleluja! — podchwycili głośno chórzyści i ministranci, kiedy orszak ruszył ku drzwiom sali.

Wtedy jednak Móngke kazał sprowadzić Williama z powrotem. —

Pobożny

człowiek ma nam jeszcze dotrzymać towarzystwa; jego

religia nie zabrania mu picia miodu ani wina!

Wystraszony William zbliżył się powoli niepewnym krokiem. Obawiał się, że popadł nagle w niełaskę, lecz wielki chan wskazał mu życzliwie miejsce i podał puchar z kumysem. William wypił za zdrowie Móngkego i jego żon, życzył mu długiego życia i żeby cały świat zaznał szczęścia jego sprawiedliwego panowania.

Kiedy kobiety zbierały się do wyjścia, Jeza skorzystała z okazji, żeby pożegnać się z godnością. Móngke chętnie zatrzymałby ją dłużej. Rosz wytrwał dzielnie, żywiąc jedynie nadzieję, że nie będzie musiał mieszać trunków. William bez mrugnięcia okiem opróżniał każdą czarę podawaną mu przez chana, bez względu na to, czy zawierała kumys, miód czy wino ryżowe.

—

W jeden z najbliższych dni — wyznał wielki chan Roszowi jak przyjacielowi — pojedziesz ze mną na łowy. Wtedy razem z moim bratem Hulagu, który rządzi w Persji, omówimy moje plany wobec Okcydentu. — Myśl o władzy sprawiła, że nagle otrzeźwiał.

William uśmiechnął się zapraszająco do Rosza — a może przebijała w tym uśmiechu złośliwa satysfakcja? — i powiedział szybko:

—

Cokolwiek zamierzacie, dostojny panie, para królewska będzie gotowa wypełnić wasze plany. Wówczas chan ponownie podał Roszowi swój puchar. Wszyscy zaklaskali trzy razy, kiedy młodzieniec przytknął naczynie do ust. Podczaszy zagrał na piszczałce, zwracając się ku drzewu napitków, a wtedy anioł uniósł trąbkę. — Z wami „reszta świata” będzie nasza! Znów wszyscy zaklaskali, kiedy Rosz odstawił pusty

puchar i uszczęśliwionym wzrokiem wpatrywał się w Móngkego.

Z Kroniki Williama z Roebruku

Karakorum, *Sexagesima** A. D. 1254

Przydzielono nam, czyli mojej asyście i mnie, bardzo ładną i przestronną jurte, co miało taki skutek, że Sergiusz, ten armeński mnich, wprowadził się tam razem z nami, nikogo specjalnie nie pytając o zgodę. Wybrałem się czym prędzej w odwiedzinę do Rosza i Jezy, żywiąc cichą nadzieję, że dostanę u nich coś do jedzenia. Sposobili się jednak do drogi, bo Móngke zaprosił ich na łowy.

— Dobrze się składa — rzekła Jeza, kiedy uściskaliśmy się po kryjomu, gdyż w dalszym ciągu czułem na karku groźbę Bułgaja. — Możesz nam towarzyszyć. Chagan bardzo cię ceni.

— Słyszałem, Williamie, że spiłeś go tak, że wpadł pod własny tron — dodał Rosz z uśmiechem.

—

Szkoda, że już tego nie widziałeś — nawiązałem do rauszu, w który Rosz wpadł po kumysie. — Chciał cię mianować papieżem, ale potem przyznał mnie ten zaszczyt, kiedy mu wyjaśniłem, że rzymski namiestnik Chrystusa na ziemi zobowiązany jest do celibatu. Wtedy chciał cię uczynić cesarzem Wschodniego i Zachodniego Rzymu oraz Świętego Grobu. —

Trochę jednak pamiętam — odrzekł Rosz. — Żądał od ciebie, żebyś zbudował pośród stepu, na terytoriach Mongołów, państwo kościelne z katedrami, jakich świat dotąd nie widział, a co tysiąc mil wieże kościelne, wyższe i bardziej spiczaste niż góry.

—

Wtedy byłeś już bardzo pijany — poddałem pod rozwagę, gdy jechaliśmy

stępa w kierunku pałacu wielkiego chana.

— A nas — włączyła się Jeza — z całą powagą chce wysłać do Persji razem z Hulagu. Z armią liczną jak rój szarańczy. Mamy sobie stworzyć państwo, które chce nazwać „Graal”, bo słyszał, że stamtąd pochodzimy.

— Wspaniale—zauważyłem ostrożnie, gdyż perspektywa ta wydawała się Jeżę przygnębiać.

Tymczasem zbliżyliśmy się do rezydencji na tyle, że wskazane było zsiąść z koni, gdyż sformułowanie „odległość strzału z łuku” odnosiło się do sytuacji, gdy jeździec, który ośmielił się jechać dalej, był zestrzeliwany z konia bez ostrzeżenia. Z dostojnymi gośćmi obchodzono się oględniej. Powietrze przeszył przeraźliwy gwizd i tuż przed

nami wbiła się w ziemię strzała o srebrnym grocie, który był zaopatrzony w otworki i dlatego podczas lotu powstał ów nieprzyjemny dźwięk. Powściągnęliśmy konie.

— Ilekroć słyszę to piękne słowo „Graal”, czuję ukłucie w serce —
poskarżyła się

Jeza. — Ogarnia mnie bolesna tęsknota za Okcytanią, której prawie już nie pamiętam.

Na co nam panowanie nad stoma tysiącami do kwadratu godzin jazdy na wielbłądzie albo nad dziesięcioma tysiącami stacji jamów na zmianę koni? Mnie wystarczyłby Montsegur, a król Ludwik, mój Trencavelu, dałby nam go jako lenno! To było do Rosza. Zaskoczyły mnie jej słowa.

—

Podzielim wasze uczucia, moja *dammo* — uśmiechnął się — lecz proszę, nie traćcie nadziei!

O nieba, tęsknili za światem, który ich wyłącznie prześladował i ścigał! Podziwiałem dalekowzroczność Przeoratu, który mnie posłał, abym sprowadził z powrotem moich

małych królów, dzieci Graala. Nie zamierzałem jednak mówić im o tym, owa wieść byłaby dla nich tylko obciążeniem. Naraz przypomniałem sobie, iż moi towarzysze, którzy wraz ze mną brali udział w tym niebezpiecznym przedsięwzięciu, przebywają tutaj pod fałszywymi nazwiskami. Powiedziałem zatem:

— Nawiasem mówiąc, Wawrzyniec z Orty nie podróżuje pod własnym imieniem, lecz jako chrześcijański misjonarz „Bartłomiej z Cremony”, przeze mnie zwany krótko „Barcem”.

— A kim był ten kapłan, który ci wcześniej towarzyszył, lecz został odprawiony? — spytał Rosz.

Roześmiałem się.

—

To wasz stary przyjaciel Crean z Bourivanu. Wprowadziłem go między Mongołów jako „monseigneur Gosseta”. A zatem nie przejęzyczcie się, gdyby udało mi się sprawić, żeby pozwolono mu tu przyjechać. Oboje pogodzili się z tym, że nie będę im towarzyszył podczas łowów. Wzięli swoje wierzchowce za uzdę i ruszyli w drogę, zwłaszcza że z pałacu galopowali już jeźdźcy, którzy mijając nas, głośnymi okrzykami naglili do pośpiechu.

—

Daj spokój temu kapłanowi — zawołał jeszcze do mnie Rosz — on chce tylko sprowadzić nas z powrotem do Róży!

A brzęczenie tam, wewnątrz ciasnego kwiatu, jako królowa pszczół wraz z małżonkiem, pomyślałem, jest dla was równie niepożądane jak pozycja pary królewskiej przesuwanej przez Mongołów na wielkiej szachownicy świata. —

William

pewnikiem coś wymyśli — pocieszyła go Jeza—w każdym razie cieszę się, że nie

jesteśmy już sami. — To rzekłszy, zwróciła się jeszcze do mnie. — Kiedy odwiedzisz nas następnym razem, nie wyjdiesz tak szybko. Musisz przeczytać wszystkie relacje, które jako twoi wierni

kronikarze spisywaliśmy dla ciebie! Pomachałem im na pożegnanie żałując, iż zapomniałem poprosić, żeby wytłumaczyli mnie przed wielkim chanem. Nie naradziliśmy się również, jak najdelikatniej, a więc bez wzbudzania podejrzeń, wypytywać się o Szirat, którą na pewno trzymają tutaj gdzieś jako niewolnicę.

*Quinquageñma** A. D. 1254

Mój brat Barć doniósł mi, że mnich Sergiusz udał się ze swoim krzyżem do wielkiego chana Móngkego, aby ochrzcić go zgodnie z jego pilnym życzeniem. Wprawdzie on, Bartłomiej z Cremony, zaproponował Armeńczykowi, że będzie mu towarzyszył jako świadek, lecz „Sergiusz Chrzciciel” z rozdrażnieniem odrzucił tę propozycję. Wkrótce potem mnich wrócił z kilkoma nestoriańskimi kapłanami, niosąc swój krzyż, który umocował tym razem na czubku włóczni, pewnie po to, żeby nie wypaść gorzej niż ja ze swoim pastorałem. Miał przy sobie kadzielnicę i mój ewangeliarz, który sobie „pożyczył”, nie pytając mnie o zgodę. Nie wyświadczyłem mu grzeczności i nie zapytałem o wynik aktu chrztu, wszak wiedziałem, że wielki chan wydał tego dnia wspaniałą ucztę. Zwykł robić to zawsze wtedy, gdy któraś z reprezentowanych na jego dworze wspólnot wyznaniowych informowała go o jednym ze swych świąt religijnych. Chagan wraz z żonami i dworem dogadza wówczas podniebieniu. Mnich Sergiusz uparcie twierdzi, że wielki chan Móngke wierzy co prawda jedynie chrześcijanom, ale chce, żeby wszyscy się modlili za niego. Jest to jednak nielicujące z pobożnością kłamstwo, gdyż w gruncie rzeczy nie wierzy nikomu. Wszelako każdy wyobraża sobie, że cieszy się u niego szczególną łaską, a ponieważ możliwość oddychania atmosferą dworu stanowi ostatecznie warunek niezbędny do przeżycia dla wszystkich, przeto

wszyscy przepowiadają mi wyłącznie pomyślną przyszłość.

Z premedytacją nie zaprosił mnie więc na to widowisko i dlatego też nie zjawiłem się na ucztach, przed obliczem chana bowiem człek staje tylko wtedy, kiedy jest wzywany.

Niektórzy nestorianie chcieli mi wmówić, że Móngke rzeczywiście przyjął chrzest, wskutek nalegań jego pierwszej żony Kokoktaj-chatun. Odrzekłem, że rad jestem z całego serca, ale pragnę usłyszeć to osobiście z ust chana.

Sobota przed Niedzielą Palmową*

Chcąc ulżyć własnemu sumieniu i obciążyć nasze, Armeńczyk, który dzień w dzień prześladował nas swoimi przepisami niczym inkwizytor, napominał nas surowo, byśmy w Wielkim Tygodniu powstrzymali się od wszelkiego jadła. Wymagał od nas niemało, gdyż uszanowawszy jego „troskę o nasze dusze”, na cały post zrezygnowaliśmy już z mięsiwa i żywiliśmy się jedynie prosem, kwaśnym mlekiem i niekwaszonym chlebem. A teraz mnich nie pozwalał nam nawet na to skąpe jadalno. Posilaliśmy się twardymi jak kamień, pieczonymi w popiele podpłomykami i jakąś brudną ziołową polewką gotowaną na wodzie ze stopionego śniegu. On sam nie wydawał się bynajmniej cierpieć z tego powodu; prawdopodobnie jadał „poza domem” podczas wizyt, jakie składał kolejno małżonkom chana. Rosz, który z zaciekawieniem obejrzał sobie naszą jurte, znalazł w końcu wyjaśnienie tej zagadki. Pod domowym ołtarzem, który Sergiusz urządził w swoim kącie, była ukryta skrzynka pełna migdałów, rodzynek, suszonych śliwek i innych łakoci. Ponieważ właściciel bawił poza domem, wcisnęliśmy w siebie tyle pysznych rzeczy, ile tylko zdołaliśmy, jak również napiliśmy się jego wina. Także Roszowi pozwoliliśmy pić z nami, wszak jest on już młodym mężczyzną i wojownikiem. Z inicjatywy Barca, podchmieleni winem, postanowiliśmy odbyć procesję i pójść do kościoła w Niedzielę Palmową bez fałszywego mnicha. Właśnie cieszyliśmy się z tego

żartu niczym rozbrykani chłopcy, gdy mój sługa zameldował, że przyszedł ów Teodul, który już od tygodni pragnie złożyć mi wizytę.

— On chce wstąpić w twoje służby! — zawołał Rosz. — Twierdzi, że pracował już jako sekretarz dla biskupa Mikołaja!

— Wprowadź go — rozkazałem Filipowi. — Posłuchamy, co ma do zaoferowania.

Kiedy ujrzałem wchodzącego, rzuciło mi się w oczy, że jego twarz widywałem już często; niejednokrotnie mignęła mi wśród gapiów. Nieduży chudziutki człowieczek uklonił się obyczajnie, skromnie odmówił też zaproponowanej mu szklanicy wina i rzekł:—

Przynoszę wam zaproszenie na wieczerzę w najściślejszym gronie u

Kokoktaj-chatun, która oczekuje was z wielką niecierpliwością.

Nie było to złe wejście pana Teodula, gdyż pierwszej żony chagana nie widziałem od pierwszego spotkania w kościele, zaraz po naszym przybyciu. Mnich zabronił nam ją odwiedzać, mimo że jest chrześcijanką. Snadź Armeńczyk uważa ją za swoją domenę, a my, żeby uniknąć sporu, nie próbowaliśmy tego zmienić. Nie miałem też wcale pewności, czy tym razem wskazane byłoby lekceważenie surowego zakazu mnicha.

Barć był jednak akurat we właściwym nastroju, żeby zaryzykować gniew Sergiusza. Ja sam rychło przestałem się wahać, kiedy zjawiała się Jeza i powiadomiła nas, że natychmiast udajemy się do domu Kokoktaj.

—Ciebie, Williamie, czeka tam przyjemna niespodzianka! Za nic w świecie nie chciała mi jednak zdradzić, o co chodzi, a ponieważ śmiała się przy tym i mrugnęła porozumiewawczo do Rosza, nie mogło to być nic złego. Odpowiedziałem zatem:

— No to ruszajmy, nie każemy przecież czekać dostojnej damie!

Proszę, weźcie mnie ze sobą — błagał Teodul — jako swojego sekretarza. Będę tylko

siedział w kącie cichutko jak mysz, kontent z resztek napojów i stawy, jakie rzucicie mi ze stołu. Nie jadłem nic od wielu dni, ale nawet dzisiaj zrezygnowałbym z pożywienia,

gdybym tylko mógł wam służyć! Jego słowa wzruszyły moje serce.

—
Będziecie dziś siedzieć z nami przy stole jako mój sekretarz — rzekłem dość jowialnie — a do jutra wyjaśni się, czy docenię wasze służby.

Uradował się ogromnie i wziął od Filipa mój pastorał, żeby nosić go za mną. Tak dotarliśmy do siedziby Kokoktaj, położonej niedaleko domu dzieci.

Pierwsza żona miała do dyspozycji mały pałac, który zaprojektował dla niej jakiś saraceński budowniczy. Zewnętrznymi schodami, na których stali słudzy z pochodniami, weszliśmy na górną kondygnację, do sali z ozdobnymi kolumnami dookoła, pośrodku zaś pod żelaznym rusztem, na którym kilku kucharzy piekło kawałki mięsiwa, płonął ogień. Również z kociołków wydobywały się przyjemne zapachy. „Wieczera w małym gronie” okazała się większym przyjęciem. Kiedyśmy weszli, goście wstali i powitali mnie oklaskami. Pani domu przedstawiła mi Dokuz-chatun, żonę il-chana, który jest bratem

Móngkego. Poznałem również Jonasza, archidiakona nestorian, którego szczególnie ceniłem za spokój i mądrość. Poza tym obecni byli, co mnie już nie dziwiło, inni kapłani z miejscowej gminy. Wszyscy witali się ze mną uściskiem dłoni i niezwykle życzliwie, choć z dużym respektem. Lekko rozczarowany szepnąłem do Jezy:

— A gdzie jest ta wielka niespodzianka? Zaśmiała się szelmowsko. — Najpierw, Williamie, musisz się trochę posmażyć w tłuszczu swej ciekawości! Nie mogłem indagować jej dalej, gdyż pani domu zabrała mnie. Sprowadziła do sąsiedniego pomieszczenia. Tylko mój sekretarz podążył za mną jak piesek. A tam siedziały kobiety, które pracowały nad odświętnym ornatem: uszyty był z ciemnozielonego adamaszku ze złotymi lamówkami, długi tył, podbity od spodu futerkiem, włókł się po ziemi jak tren. Spodnia szata była z cieniutkiego żółtozielonego muślinu, który obszyto perłami.

Narzutka zaś z ciemnofioletowego aksamitu podbijana była liliowym jedwabiem i wysadzana ametystami oraz jadeitami. Wysoka mitra była z takiego samego adamaszku jak welum, tyle że śnieżnobiała, ozdobiona aplikacjami ze złotego brokatu.

—
Jutro wasze święto, Williamie — księżna uśmiechnęła się znacząco, jakbym miał uczestniczyć we własnej kanonizacji. — Kobiety z naszej gminy chrześcijańskiej chciały więc was ujrzeć w nowych szatach.

Podziękowałem wielce zadowolony, choć odczuwałem już niejaki skrupuły, że z taką oczywistością przyjmuję kapelusz biskupi. Niemniej jednak każdej z pilnych szwaczek podałem rękę, a damy ucałowały ją uszczęśliwione. Potem Kokoktaj kazała nalać wina i przepiłem do wszystkich. Następnie poproszono do stołu.

Była baranina, cóż by innego! We wszelkich postaciach, od pieczonej po zwęgloną, gotowana, pływająca w kwaśnym mleku i rozdrobniona w zupie. Zanim wszyscy rzucili się na te potrawy — nawet ja gotów byłem przezwyciężyć obrzydzenie, byłem bowiem głodny jak wilk — księżna poprosiła, bym pobłogosławił posiłek. Kiedy do stołu podeszli ostatni goście, zacząłem odmawiać modlitwę.

—
*Panem nostrum quotidianum da nobis hodie** — Już przy drugiej linijce —

*Panem accipiam et nomen Domini inaocabo** — zbił mnie z pantałyku uśmiech, rozlewający się coraz szerzej na twarzach Jezy i Rosza. A przy ostatniej zupełnie się zaciąłem. Stojąc ze spuszczoną głową i złożonymi rękami, dostrzegłem jak przez mgłę, że naprzeciwko mnie podszedł do stołu mistrz Buchier z jakąś kobietą. Spojrzałem przelotnie na tę osobę i z najwyższym trudem wydusiłem końcowe „Amen”. Przedemną stała Ingolinda z Metz, moja najmilsza ładaczka z dawnych czasów!

„Witaj, piękny cudzoziemcze!” wydawały się szeptać jej wargi, a ona sama uśmiechnęła się do mnie wstydliwie. Tylko ja wiedziałem, jakie bezceństwa chodziły jej wtedy po głowie, choć obyczajnie spuszczała przy tym oczy. Ingolinda! Nie odmłodziła, ale też nie zaokrągliła się. O żądo cielesna! Pałaszowałem wszystko, co mi podawano, odrywałem zębami mięso od kości i wysysałem głośno ciepły szpik.

Mistrz Buchier przedstawił mi nadobną damę przy stole. —

Madame Pasza z

Lotaryngii — powiedział — dla Flamandczyka to

prawie krajanka. O tak! — wyrwało mi się. — Kawalek dawnej ojczyzny, pełen wdzięcznych pagórków i dolinek, uprawianych przez pilnego krajana, ciemne lasy, a w nich sztolnie, wpuszczone głęboko w ciepłą ziemię, żeby wydobywać cenną rudę... —

Urwałem, ponieważ kowal artystyczny tylko uśmiechał się, słysząc taką emfazę w moim głosie. Ingolinda zaś zrozumiała.

— Jak wspaniale potraficie się wczuwać, bracie Williamie! Byłam żoną ruskiego

mistrza górniczego, a teraz, gdy owdowiałam, prowadzę dom mistrzowi Buchierowi —

ciągnęła słodkim głosikiem, a jej piękne oczy widziały na wskroś przez szatę i portki. Aż nazbyt dobrze znała tego samotnego wędrowca sztolni, starego gwarka, który wiercił i

parł w głąb. Szpic tłoczka wydawał mi się z gorącego żelaza. Z ochotą więc przyjąłem z rąk złotnika pełną szklanice.

— Jeśli wasze liczne obowiązki duszpasterskie wam pozwolą, Williamie z Roebruku, to przyjdźcie kiedyś do nas na wieczerzę, będą całkiem inne potrawy — zaprosił mnie uprzejmie i mlasnął rozkosznie językiem. — Madame Pasza jest wyśmienitą kucharką!

— Chętnie zajrzę do garnków madame — odparłem z namaszczeniem —

i

skosztuję zgotowanych dla mnie wspaniałości.

W chwilę później Jeza odciągnęła mnie za rękaw, gdyż bliskość Ingolindy niebywale rozpalala moje zmysły.

— Jak ci się podoba niespodzianka? — szepnęła szelmowsko. — Ingolinda, ladacznic!

— Ciiii! — napomniałem ją. — Teraz jest osobą szanowaną, a w dodatku wdową.

— W to drugie nawet wierzę — wtrącił bezczelnie Rosz, ledwie do nas podszedł.

Przerwała mu jednak księżna, która trzymała się mocno swojego pucharu, za nią postępował krok w krok podczaszy, żeby jej dolewać. Trącała się ze wszystkimi. —

Jak tam budowa mojej katedry? — zawołała podochocona, zwracając się po

odpowiedź do mistrza Buchiera. — Nasz biskup pilnie potrzebuje budowli, która będzie głosić chwałę Boga i okaże się jego godna!

Święta Kokoktaj, przemknęło mi przez myśl. —

Ale nie z drewna czy kamienia —

zapalił się kowal artystyczny —

tylko z żelaza, srebra i złota! — Odwrócił się od

swojej mecenaski i wbił wzrok we mnie, przyszłego gospodarza katedry. — To pozwoli osiągnąć

zawrotną wysokość, a filigranowe przypory i łuki będą lekkie jak skrzydła ważki!

— Cudownie! — pobłogosławiłem ten projekt, gdy tymczasem moje myśli, ciężąc ku ziemi, zwróciły się w stronę mięsiwa, a moja krew pulsowała jak wulkan, gotowa wypluć rozżarzoną lawę w niebiańskie łono Ingolindy.

— Dzięki temu okazała budowlę Chrystusa dałoby się rozkładać i dom Boży można by zawsze wozic ze sobą, także do obozu letniego, na masywnych wozach o dużej powierzchni, które ciągnęłoby dwadzieścia czy pięćdziesiąt wołów.

— Ja chcę powozić tymi wołami! — zawołała Jeza.

— A każdą część trzeba by numerować — wtrącił Rosz — żeby za każdym razem można było błyskawicznie złożyć budowlę.

— Wspaniale — powiedziała głośno księżna i wszyscy musieliśmy wypić za katedrę, potem za budowniczego, a potem za mnie, biskupa, pod którego chwalebłą egidą to wszystko miało się spełnić. Podszedł Jonasz, archidiakon nestorian, i trąciwszy się dwa razy z każdym, postukał swoim srebrnym krzyżem w puchar księżnej, który był akurat pusty, toteż zadźwięczał jak dzwonek i nastąpiła pełna wyczekiwania cisza. Także jego kapłani z zaciekawieniem przysunęli się bliżej.

— W imieniu chrześcijańskiej gminy Nestoriusza, który nie był pośledniejszym apostołem niżli Piotr i Paweł, święty za życia i błogosławiony dzięki swej męczeńskiej śmierci... Kościół katolicki go zabił, zamajaczyło mi w zamroczonym umyśle. ---

...wzywam wielce pobożnego i tak wyróżnionego przez króla, papieża, a teraz także przez naszego dostojnego wielkiego chana oraz jego pierwszą małżonkę brata Williama z Roebru, by przyjął urząd i tytuł *episcopusa** Niezmiernie by to służyło sprawie chrześcijaństwa w tym kraju. --- I umocniło je jako Kościół państwowy—dodał

nieoczekiwanie mój sekretarz Teodul, którego zakulisowym naciskom na wszystkich wpływowych uczestników przyjęcia zawdzięczałem pewnie tę propozycję.

— Może wtedy i chagan dałby się ochrzcić? — szepnęła z nadzieją w głosie Kokoktaj-chatun.

— Najlepszym momentem na to byłaby Wielkanoc — podsunął skromnie Teodul. — Święto zmartwychwstania ze śmiertelnych objęć pogan i Saracenów! Wybuchły oklaski.

Teraz nie mogłem popełnić błędu. —

Ten honor mnie przytłacza — odrzekłem,

starając się nadać swoim oczom wyraz, który mógłby uchodzić za „promienny wzrok”:

pomyślałem o piekielnej czeluści w białym ciele mojej ladacznicy! — Nie godzi się jednak, bym uprzedzał plany i decyzje chagana. Nie zapominajcie, że stoi tu jeszcze pośród nas — wskazałem z dumą na Jeżę i Rosza — para królewska, ale może już jutro zostanie wysłana przez wielkiego władcę, by uczynić sobie poddaną „resztę świata”. Jeśli chan postawi mnie u ich boku, nie ważę się uchylić i będę musiał zrezygnować ze szczęścia służenia

wam i Kościołowi w Karakorum. Oddaję się do jego mądrej decyzji. To przytłumiło na chwilę zachwyt, ale nie pijatykę.

—

Za parę królewską, władców Zachodu! —zawołał Teodul i wszyscy ochoczo opróżnili puchary.

Nagle przy wejściu do sali zrobił się ruch. Wielu gości rzuciło się na ziemię:

niespodzianie przybył wielki chan. Wniesiono dużą, przypominającą tron kanapę, którą postawiono przy ścianie czołowej. Kokoktaj jako pani domu pośpieszyła powitać swego władcę i małżonka. Móngke spoczął na zaimprovizowanym tronie, przyjął puchar z rąk żony i przywołał do siebie na złote łoże Rosza i Jeżę. Księżna przedstawiła mu najważniejszych gości, lecz on szukał wzrokiem tylko mnie. Czułem to i czekałem.

Kokoktaj-chatun i archidiakon coś do niego mówili z ożywieniem, wskazując przy tym na mnie. Ukłoniłem się, a następnie w towarzystwie swego konfratra Barca i swego nowego sekretarza podszedłem do samego tronu. —

Williamie z Roebruku — rzekł

chan i przyjrzał mi się bacznie. — Chcą cię uczynić biskupem!

Roześmiał się i ogarnął mnie już strach, że posunąłem się za daleko. -- Uważamy, że to za mało jak na stolicę mojego państwa, jeśli zważymy, ilu kardynałów otacza w

Rzymie papieża. Musielibyśmy cię przewozić jak twoją katedrę.

— Bylebyście nie rozłożyli mnie na części — ośmieliłem się uderzyć w kpiący ton, ale akurat to mu się spodobało.

— Nie obawiaj się, jesteś przyjacielem, a my pragniemy cię zachować w całej twej obfitości i okazałości, w blasku naszego władczego słońca. Chcemy jednak móc wysyłać cię wszędzie niczym promień słońca w serca naszych ludów, żeby ogrzały się w ciepłe miłości do swojego władcy. Bądź naszym księżycem okrążającym świat, którego my jesteśmy środkiem!

— A więc jednak pragniecie mnie podzielić, bo jak mogę wam służyć tutaj i...

— Jeśli dodamy cię do królewskiej pary — przerwał mi — żeby ją intronizować tam, gdzie nam się podoba, wcale to jeszcze nie znaczy, że ty, nasz promienisty posłaniec, nie wrócisz podczas swej wędrówki do nas, ogrzewającego wszystko słońca, podobnie jak para królewska — położył ręce na plecach Rosza i Jezy gestem ojcowskim, lecz zarazem obejmującym w posiadanie — gwiazdozbiór Gemini...* Czyżby ktoś mu napisał tę mowę? Czy tylko Teodul tak świetnie przetłumaczył proste słowa chana? — ...wciąż jaśniej tylko w naszym świetle i powinna zawsze czuć się bezpiecznie przy naszej piersi. Tak chcemy rządzić światem, a nad nami rozpina się wiecznie błękitne sklepienie niebios. Tengri! Pomódlmy się do niego.

Wezwanie to odnosiło się do mnie i do kapłanów, więc zacząłem: —

Boże

wszechmogący, ochraniaj naszego władcę i wszystkich, którzy stoją w blasku jego miłości. Daj mu siłę czynienia wszystkiego wedle Twojej woli, który jesteś w niebie, bo Twoje jest królestwo, potęga i chwała na wieki. Amen!

Teodul musiał mu przetłumaczyć słowo w słowo. Mówiłem powoli, bo wiedziałem, że

waży moje słowa niczym złoto i że nasz los zależy od tego, jak mu się spodoba i jak zadecyduje. Niełatwo było Móngkemu pogodzić się z takim bogiem, który ma nad nim władzę absolutną. Wyobrażenie Tengriego było wygodniejsze: rozpiął się jako sklepienie niebieskie od rana do wieczora, a także jako firmament w nocy i pozwalał chanowi rządzić, jak mu pasuje. Ale aż tak nie chciałem mu ułatwić, nawet gdyby obwołał Rosza i Jeżę królami Jeruzalem, a mnie patriarchą. Tak, to było to! Miałem zostać patriarchą, niezależnym od stolca Piotrowego w Rzymie. Jak bowiem chrześcijański — dajmy na to, nestoriański — Kościół Mongołów miałby się rozwijać, gdyby również tutaj musiał się opowiedzieć po jednej stronie w konflikcie między papieżem a władcą świeckim? „Patriarcha z Karakorum” to był cel, który Móngke miał przed oczami. Ukłoniłem się nisko. Wielki chan przyglądał mi się długo. —

Jutro

będziemy uczestniczyć w waszym obrzędzie w kościele, a wcześniej zastanowimy się, jaki urząd i jaki tytuł najlepiej będzie służył nam i państwu wszystkich Mongołów. —

Zawahał się. — Czy masz jakieś życzenie?

Nie śmiałem przedstawiać mu swoich mierzących wysoko aspiracji. Sam musi na to wpaść. Ktoś może mu pomóc, ale nie ja sam. Pomyślałem o nieszczęsnej Szirat, lecz w tym momencie było to pewnie w najwyższej mierze niestosowne. Poza tym przyszedł mi do głowy jedynie Crean, rzekłem więc pokornie:

—

Podczas podróży do was, dostojny chanie, musiałem zostawić u Sartaka swego osobistego spowiednika, kapłana Gosseta. Teraz bardzo go potrzebuję.

Móngke uśmiechnął się. — Wyprawię posłańców, każę też sprowadzić rzeczy należące do ciebie, które musiałeś tam zostawić. Twoja skromność i miłosierdzie wystawiają ci świadectwo, jakiego oczekujemy od męża sprawującego ten urząd. Po tym

oświadczeniu wszyscy goście mogli odejść.

Nestoriańscy kapłani odprowadzili mnie do mojej jurty ciemnymi ulicami. Mimo nocnej pory co rusz wznosili głośnie wiwaty na moją cześć i cieszyli się jak żacy po złożonym egzaminie. Wszyscy byliśmy pijani. Ingolinda i jej mistrz Buchier wyszli jeszcze przed przybyciem Móngkego. Na pożegnanie Ingolinda obdarowała mnie długim, tęsknym spojrzeniem, które mówiło, że czeka na spotkanie.

Niedziela Palmowa A. D. 1254*

Mnich, który zasadniczo sypiał w naszej jurcie na gołej ziemi, powitał mnie bardzo opryskliwie. Zarzucił mi zakłócenie nocnego odpoczynku, niestosowne zachowanie i picie napojów odurzających. Nie zająknął się jednak o tym, czy wie, że byłem w gościnie u Kokoktaj-chatun, ani czy już słyszał, jaki to honorowy urząd mi zaproponowano.

Kiedy zbudziłem się nazajutrz, miejsce, na którym spał, było puste. I dobrze, bo ledwie zaświtał ranek, zjawily się pracowite szwaczki, które przyniosły mi nową szatę. Nie omieszkały też mnie w nią przyoblec. Pasowała idealnie. Filip przyznał się, że przekazał im jako wzór do wykroju jeden ze starych ornatów.

Z niewyczerpanych zasobów garderoby zabranych w workach od biskupa wystroiłem brata Barca, Filipa oraz Timdala, który przyszedł z kobietami. Przed jurką czekała już delegacja nestoriańskich kapłanów. Wymachując chorągwiami, pociągnęli przez śpiącą jeszcze dzielnicę Saracenów w stronę kościoła. Przed drzwiami świątyni stał ze srogą miną Sergiusz Armeńczyk, który nie chciał mnie wpuścić do środka. —

Nie

możesz przyjąć eucharystii, Williamie z Roebroku—obwieścił pełnym głosem, wyciągając przed siebie srebrny krzyż, jakby musiał stawić czoło Belzebubowi. —Nie

jesteś trzeźwy. Wszyscy piliście i diabeł

was opętał! Nestorianie wyśmiali go tylko i odsunęli na bok.

W kościele archidiakon Jonasz pieczołowicie przygotował już wszystko do mszy.

Czekaliśmy, aż pojawi się chan. Zamiast niego wbiegł jednak zupełnie zdyszany mój

sekretarz Teodul, który narzucił na grzbiet biały płaszcz, jaki noszą u nas templariusze, tyle że wyglądał w nim niczym upadły anioł. Oznajmił, że wielki chan wraz z Roszem i

Jeżą pojechał na łowy i prosi o usprawiedliwienie. Poza tym nie może wejść do

kościół, gdyż Armeńczyk powiedział mu, że składa się tam też na marach

nieboszczyków.

—

A chan za nic w świecie nie postawi nogi w takim pomieszczeniu — wyjaśnił

Teodul — jak również nie dopuści przed swoje oblicze kogoś, kto przebywał przy zmarłym w godzinie jego śmierci.

— No cóż — ozwał się chłodno — zgodnie z tym rozumowaniem pokazałby drzwi także Matce Bożej, która stała przy naszym Panu Jezusie Chrystusie w jego ostatniej godzinie na Golgocie.

— Nie, drogi bracie — poprawił mnie Jonasz. — Pan powstał z martwych i dlatego chagan może obchodzić z nami Wielkanoc w swoim pałacu, z którego uczynimy kościół. Uściskałem go za to i kazałem zaczynać mszę. Mój tłumacz Timdal podał mi ukradkiem jakiś papier.

— Nie potrafię tego przeczytać — rzekł cicho — a wam właściwie też nie powinienem go dawać.

— Zarządzenie Bułgaja? — zażartowałem, lecz Timdal wcale się nie stropił.

— Tego nie mogę powiedzieć, ale ponieważ pochodzi od pewnej kobiety, więc pomyślałem...

— To wielbicielka — uspokoilem jego sumienie. „Kujcie zelazo, poki gorace!”

napisane bylo po francusku. Nader chętnie pragnalem to wlasnie robic.

Pociagnalem za rekaw Teodula, zeby sie do mnie zblyzil.

— Wymysl cos, moj secretariusie — szepnalem, a on rozpromienil sie dumny z tego tytuluzebym mogl sie zaraz oddalic z waznej przyczyny. Nie chce popelnic grzechu przyjmowania ciala Panskiego, nie bedac w stanie nalezytej trzezwosci.

Ze zrozumieniem skinal glowa. Bylem dlań godnym księciem Kościoła, który ściśle przestrzega przepisów, któremu on zaś służy z zapalem i radością.

Zebym to ja celebrowal eucharystie, domagali sie Kokoktaj-chatun, Dokuz-chatun, a takze general Kitboga oraz mistrz Buchier — pani Paszy nie widzialem ani u jego boku, ani wsród kobiet z miejscowej gminy; kiedy to skonstatowalem, serce az podskoczylo mi z radości. Wtedy wystapil moj *secretarius* i szepnal do mnie tak glosno, ze wszyscy musieli slyszec, iz wielki chan, który opuścil miasto juz wczesnym rankiem, wezwal mnie do swego palacu. Przy jego powrocie mam byc na miejscu i udzielic błogosławienstwa jemu oraz parze królewskiej i pomodlic sie razem z nimi.

Wiadomosc ta ucieszyła wszystkich zgromadzonych tego dnia w swiatyni. Wkolo poszeptywano, ze na pewno jeszcze przed Wielkanocą uda mi sie naklonic wladce do przejścia na łono Kościoła. Pozostawilem nestorian w tym przeswiadczeniu, zawnalem kielich na wino mszalne w chorągiew z barankiem i krzyzem i pośród zyczeń szczescia opuścilem kościół. Obawialem sie, ze ponury mnich stoi jeszcze pod drzwiami, ale Sergiusz Armeńczyk zszedl juz ze swojego posterunku.

Wiedzialem, dokad mam pospieszyc, ale udalem sie tam kluczac, zeby sie upewnic, iz nikt mnie nie sledzi. „Kuj zelazo, poki gorace” to byla jasna wskazowka co do miejsca: jurta kowalska mistrza Buchiera. Rzuciloby sie w oczy, gdybym wslizgnal sie do niej po kryjomu. Dzieki Bogu, stala na skraju dzielnicy saraceńskiej, zeby dym nie

drażnił wytwornych nozdrzy w dzielnicy zamieszkałej przez poselstwa. Podniosłem kropidło, poświęciłem drzwi i odmówiłem błogosławieństwo, a następnie wszedłem do środka i zasunąłem za sobą rygiel.

Kiedy moje oczy przywykły do panującej w pomieszczeniu ciemności, ujrzałem Ingolindę wyciągniętą nago na posłaniu mistrza. W powietrzu unosił się zapach zimnego popiołu. Leżała bez życia, z zamkniętymi oczami. Ze strachu, który przeniknął mnie do szpiku kości, nie mogłem w ogóle się ruszyć. Ktoś musiał mnie uprzedzić! Domyślił się, jaka powoduje mną żądza, i udusił nieszczęsną Ingolindę. Co za potwór mógł... Sergiusz, mnich! A teraz, kiedy ja i zwłoki...

I wtedy rozwarła oczy i szepnęła:

— Witaj, piękny cudzoziemcze!

Ja zaś rzuciłem się na nią, spuściłem do kostek portki i podniecony szamotałem się z nimi, bo krępowały mi nogi. Mejszarpaninie towarzyszyło ciche pogruchiwanie Ingolindy. Podniosłem sutannę, zrzuciłem ornat, mitrę i welum powiesiłem wcześniej na haku przy drzwiach. I już Ingolinda zgięła nogi w kolanach, otwierając miękkie uda, chwyciła rezolutnie za młot kowalski i pozwoliła mi zanurzyć się w żarze. Z nią nie musiałem się zachowywać jak subtelny kochanek. Brała mnie takiego niezdare, jakim byłem. Zacząłem bić swoim młotkiem, ona zaś była miechem i kowadłem, była ogniem, a ja miałem rozżarzone żelazo. Byłem kowalem, obracałem i wyklepywałem ją sumiennie ze wszystkich stron. Ugryzła mnie w szyję, wbiła paznokcie w mój zadek pod sutanną i wchłonęła mnie całego. Kiedy moja moc się wylała, niczym żelazo syczące w wodzie, ucałowała mnie wśród łez i powiedziała: — Ach, Williamie, nic a nic się nie zmieniłeś! Pogłaskałem ją delikatnie, bo moje żelazo znów było jak ołów, i jęknąłem z zadowoleniem: - Przy tobie jest tak rozkosznie, jak zawsze.

— Twojej ładacznicy długo cię brakowało — roześmiała się moja dama z Metzu — a

obcowanie z tobą, jurny minorityto, nadal mi sprawia dziką przyjemność!

— Wkrótce będę biskupem, a może nawet kimś jeszcze znaczniejszym — odparłem, bo chciałem, żeby miała udział w mojej dumie.

— Wtedy pewnie będzie ci przysługiwać nałożnica z urzędu — westchnęła, próbując jeszcze raz wykuć stalowy miecz z mego ołowiu, lecz zabroniłem jej tego.

— Zanim kościół zostanie ukończony, będę musiał siedzieć obyczajnie w swojej pustelni, a i twój chlebodawca mógłby zauważyć, że cię nie ma!

— W niedziele odpoczywam i mistrz także. Poza tym winieneś wiedzieć, że nigdy dotąd nie zarabiałam na chleb pracą rąk swoich. A więc świętujmy święta, jakie nam się trafią. Popieściłem jej ciało, obsypując je pocałunkami, zanim postępując podniosłem się z posłania.

— Coś wymyślę, madame Pasza, coś, co pokryje się z waszymi „trafieniami”.

— Ale pod tym pokryciem, Williamie — odrzekła z serdecznym uśmiechem właściwym ladacznicy — nie chcę leżeć sama, bez waszego jędrnego ciała, eminencjo! Od biedy doprowadziłem odzienie do porządku, tak żebym mógł się pokazać na ulicy swoim admiratorom, gdybym napatoczył się na wracających z kościoła.

— Będę bywał u was bardzo często — pocieszyłem Ingolinę — gdyż wy potrzebujecie szczególnie opieki duszpasterskiej!

— Dziękuję, wasza przewielebność. — Dygnawszy jęła okrywać nagość swego ciała.

— No, idźcie już — dodała smutno. — Ja jeszcze dogładnę tutaj wszystkiego i odczekam jakiś czas, zanim wyjdę. Objąłem Ingolinę po raz ostatni i wymknąłem się z jurty, na zewnątrz przeżegnałem się trzykrotnie i oddaliłem niespiesznie przez dzielnicę Saracenów.

*Ultima Cena** A. D. 1254

Kiedy w jurcie znowu nie było mego towarzysza

Barca ani mnicha i także Filip, mój sługa, poszedł na targ, wtajemniczyłem swojego *secretariusus*. Teodul sprawdził się dotychczas, choć nie podobała mi się jego oślizgła uniżoność. Barć uważał go po prostu za jadowitą żmiję. Mnich zaś nienawidził mojego

sekretarza tak samo, jak mną gardził. —Dziś w nocy miałem sen — obudziłem ciekawość Teodula. —Widziałem kościół. Potężna budowla wznosiła się pośród stepu niczym

mleczne piersi Hagia Sophia, skierowana strzeliście w wiecznie błękitne niebo ornamentowanymi włócznieami. Aniołowie unosili się nad nią, trzymając wstęgę z napisem „Nova Ecclesia Mongalorum”.*

— To znak od Boga, jaki otrzymują tylko święci mężowie tacy jak wy! Mój Teodul zainteresował się więc przynętą, ja zaś wymachiwałem nią nadal. — Władcy wszystkich ludów przybywali do tej skalnej katedry, żeby oddać cześć temu, co najwyższe na ziemi, i złożyć hołd jej dostojnemu patronowi, wielkiemu chanowi.

— Powinniście opowiedzieć mu o tej wizji, jest ona godna tytułu księcia Kościoła. — Połknął przynętę.

— Ach—zaprotekowałem z pokorą, tak czy owak klęczałem już przed naszym prowizorycznym ołtarzem — nie jestem godzien patriarchatu, ale chętnie oddam wszystkie swoje siły chanowi do zapoczątkowania zupełnie nowego dzieła, do utworzenia nowego Kościoła chrześcijańskiego. Wtenczas władca może sobie oszczędzić trudu odwodzenia nestorian od częściowo bardzo pogańskich obyczajów.

*Ex novo!** Młody Kościół niczym pęk róży, niczym naród Mongołów! Możecie mu to powiedzieć! Zwolenników Nestoriusza należy jednak nadal tolerować, jeśli nie zechcą przejść do *Novae Ecclesiae Mongalorum*, bo powinniśmy przyjmować z otwartymi rękami wszystkie Kościoły i sekty, które będą szukać schronienia pod naszym dachem.

— Jeśli pozwolicie — Teodula ogromnie podniecały perspektywy, jakie się otwierały

— pośpieszę zaraz do Móngkego i opowiem mu o tej boskiej inspiracji. Czy macie jakoweś zalecenia, jak ma się prezentować oblicze i obrządek tego Kościoła, który ma być utworzony? Mój Teodul był człekiem nad wyraz pojętym i rzutkim. —

Zalecam

— podjąłem z namaszczeniem — żeby wybrać świętego Franciszka na patrona Kościoła i w ogóle w jak największej mierze trzymać się reguły Franciszka z Asyżu. — To rzekłszy, sięgnąłem pod obrus ołtarza i wręczyłem mu strzeżoną przez mnie niczym cenny skarb książeczkę o życiu świętego pod apokryficznym tytułem „Secundum Memorandum”, napisaną przez jego biskupa, pobożnego Gwidona. —Przestudiujcie to sobie, żebyście mogli udzielić prostej odpowiedzi na każde pytanie dostojnego chagana — napomniałem swego sekretarza, który tak się palił do czynu, że przestępował z nogi na nogę. —W pobożność Franciszka nie można wątpić, jego skromność i brak potrzeb zgodne są z naturą duszy mongolskiej, jego wierność prawu i bezwzględna rezygnacja z własności osobistej bardzo by przypadły władcy do gustu, bo nie będzie już żadnych dotacji na niepotrzebny przepych kapłanów ani upominania się o władzę świecką. Nowy Kościół będzie służył Bogu, a jego członkowie chanowi.

— Nie mogę się wprost doczekać — radował się Teodul — kiedy złożę to wszystko u stóp wielkiego chana Móngkego! Nie miejcie mi jednak za złe, jeśli postawię przy tym we właściwym świetle *spiritus rector*, * skromnego brata Williama z Roebroku, gdyż w rezultacie powinien wam się dostać kapelusz patriarszy. Pozwólcie mi tylko działać, od czego macie Teodula jako sekretarza!

— Idźcie z Bogiem, mój synu — westchnąłem z afektacją — ale idźcie już! —

Złożyłem dłonie do modlitwy. — I nie wódź nas na pokuszenie, ale nas zbaw ode złego.

Bo Twoje jest królestwo, potęga i chwała na wieki. Amen.

Wielkanoc* A. D. 1254

W noc poprzedzającą Wielkanoc Teodul, mój sługa Filip i ja udaliśmy się do pałacu wielkiego chana; zaproszono nas tam na przyjęcie o północy. Po drodze nie ominęliśmy kościoła, gdzie — jak było uzgodnione — miałem wstąpić po mego uciążliwego konfratra i obrzydliwego mnicha i zabrać ich do Móngkego.

Ufnie kroczyłem w ciemności, dodawszy sobie uprzednio odwagi kilkoma pucharkami wina. Stopniowo ogarniało mnie cudowne podniecenie. Czy uda mi się pozyskać Mongołów dla chrześcijaństwa, mnie, biednemu maluczkemu Williamowi z Roebruku, wyśmiewanemu przez możnych tego świata, upokarzanemu przez Kościół rzymski, jego próżny kler i jego wyniosłe zakony rycerskie? Czy ku pożytkowi całego świata chrześcijańskiego uda mi się przeciągnąć na jego stronę największy i najpotężniejszy naród na ziemi i uczynić zeń obrońcę prawdziwej wiary i bojownika zwalczającego jej wrogów? I czy chan, jak mnie zapewnił promieniejąc szczęściem mój Teodul, ogłosi dzisiejszej nocy chrześcijaństwo jako religię państwową i założy nowy Kościół? Wobec tego wydarzenia, które miało zmienić dzieje ludzkości, nieistotne wydawało mi się, czy on sam przyjmie chrzest bądź mnie mianuje patriarchą! Zakręciło mi się w głowie na wyobrażenie tej potężnej katedry ducha, której ja byłem niewątpliwie architektem. Kiedy to sobie uświadomiłem, stosowną reakcją byłoby zemdleć i paść na ziemię. William, niezdarny minoryta, flamandzki spryciarz, zwiastun nieszczęścia, dzięki swej bezczelnej gębie kręcący kołem dziejów! To już za dużo szczęścia. Musiałem się wysikać. Zatrzymałem się, podniosłem szatę i wypuściłem wyzwalający strumyk na ciemną ulicę. Czy zapiszę się w dziejach jako pierwszy patriarcha „nowego Kościoła mongolskiego”? Ta kwestia odgrywała mniejszą, jakkolwiek piękną i pożądaną rolę. Teodul przedstawił mi moją nominację na patriarchę jako fakt. Obwieścił, że jedyny mój rywal, który też mógłby rościć pretensje do tego tytułu, archidiakon nestorian, okazał się moim orędownikiem u chana. „William I patriarcha Karakorum!” Myślałem, że śnię.

— Nawiasem mówiąc, jedynie Rosz i Jeza zgłosili pewne wątpliwości — przekazał mi jeszcze w zaufaniu sekretarz. — „William straci głowę!” oświadczyła w radzie Jeza. „Zażąda haremu dla patriarchy i wprowadzi wśród chrześcijan wielożeństwo!” — Mongołowie zaśmiewali się z tego do rozpuku, a potem chan spytał Rosza, czy i on ma coś do powiedzenia przeciwko Williamowi. — „Dopóki wy, dostojny chanie i protektorze, strzeżecie nas przed tym, żeby patriarcha *in pectore** nie został kanclerzem naszego przyszłego królestwa, i dopóki jeszcze możemy mówić do niego po imieniu, witamy jego wybór z radosnym sercem.”

— Ach, moi mali królowie! — westchnąłem. — Gdybym miał choć trochę z ich pokrzepiającej na duchu otwartości i talentu do wypowiedania mądrych słów we właściwym czasie! Kiedy dotarliśmy pod bramę pałacu, zastaliśmy tam mnicha, który spozierał na mnie ponuro. — Przeklinam cię, Williamie z Roebruku — mruknął posępnie. — Bądź przeklęty po trzykroć ty oraz wszyscy, którzy dali się tobie uwieść. Bodajście z piekła nie wyjrżeli! Nie zwracaliśmy na niego uwagi, a ja zaintonowałem drugą strofę „Da laudis”:

*Est Deus, quod es homo, sed novus homo, ut nō homo quod Deus, nec ultra vetus.**

Z tymi słowami na wargach wkroczyłem do przystrojonej sali, oświetlonej tysiącami lampek oliwnych.

O pone, pone, pone, pone veterem,

*o pone veterem, assume novum hominem!**

Wtem za moimi plecami dał się słyszeć jakiś tumult. Nie odwróciłem się, tylko dalej szedłem w stronę tronu, na którym siedział Móngke, a po jego bokach Rosz i Jeza.

Oboje odświętnie przyodziani sprawiali wrażenie mongolskich lalek. Przy drzwiach musiało się wydarzyć coś złego, gdyż wszyscy wystraszeni spoglądali na coś, czego sam, wpatrzony w dzieci, widzieć nie mogłem, i szeptali między sobą. W końcu z

powrotem zapanował spokój. Za wielkim chanem stał archidiakon Jonasz, a po bokach tronu zajęli miejsce bracia władcy, Hulagu i Aryk Bóge. Trzeci, Kubiłaj, przebywał w Chinach. Ich żony, Kokoktaj-chatun i Dokuz--chatun, jako pobożne chrześcijanki zebrały się o tej późnej porze w kościele, podobnie jak generał Kitboga i jego syn Kito. Chór nestorian zaśpiewał z mocą psalm:

*Laudate Dominum in sanctuario eius, laudate eum in Augusto firmamento eius.**

Mój wzrok obiegił grono gości honorowych. Na stopniach tronu, u stóp Rosza, przycupnął mistrz Buchier, twórca srebrnego drzewa napitków. Dla uczczenia dzisiejszego święta jego drzewo ustrojono świeżą zielenią i wszędzie powtykano świece łożowe. Ingolinda siedziała pod nim niczym bożonarodzeniowy aniołek. Tej nocy nie podawano żadnych trunków. U stóp Jezy tkwiła wciąż jeszcze naznaczona przez chorobę druga żona chana Koka, którą przyniesiono na swego rodzaju kanapie. Podpierał ją pogański kapłan Gada Sami, będący zarazem jej wróżbitą. Archidiakon ciągnął głosem czystym jak dzwon:

*Laudate eum tympano et choro, laudate eum chor dis et organo**

— Teodul! — szepnął do mnie Filip. — Stanął na progu... Gniewnie pokręciłem głową, żeby mi się teraz nie naprzykrzał jakimiś głupimi historiami. Chór śpiewał:

Alleluja, alleluja, alleluja!

Sala była wypełniona do ostatniej ławki odświętnie ubranymi Mongołami, którzy patrzyli przed siebie z oczekiwaniem. Widziałem też wielu posłów. Potem mój wzrok padł na niewiasty za dwoma braćmi chana, które nie wyznawały jak Koka wiary chrześcijańskiej. Za Arykiem Bóge siedziała młoda kobieta, twarz miała zasłoniętą na modłę saraceńską i wpatrywała się we mnie uporczywie. Aż się przestraszyłem ze wstydu. To była Szirat. Próbowałem zasugerować jej spojrzeniem, iż ją rozpoznałem,

ale zachowywała kamienną twarz. Mimo to czułem, że w swoim nieszczęściu zanosi do mnie nieme błaganie. Nie mogąc jej pomóc, cierpiałem istne męczarnie. Zrazu zamierzałem tylko się uklonić, lecz spontanicznie postanowiłem przykłęknąć. Złożyłem dłonie i pochyliłem głowę, ale tak, żeby nie tracić z oczu wielkiego chana.

Móngxę i jego bracia się uśmiechali. Jeza mrugnęła do mnie, tylko Rosz okazywał godność. Kiedy przebrzmiał ostatni dźwięk psalmu, il-chan Hulagu dał znak swemu szambelanowi, a ten wystąpił naprzód. Archidiakon Jonasz uklonił się i wręczył Dżuwajniemu zwój z tekstem, który ów odczytał.

—

Jak słońce rozsiewa wszędy swój blask, oświetla ziemię i ogrzewa ludzi, tak też opromienia świat potęga Czyngis-chana. Oto Móngxę, trzeci jego następcą na tronie, przemawia do was i obwieszcza wam swoją wolę. —

Szambelan

odchrząknął. Ustanawiamy Kościół! Po sali przeszedł szmer zdziwienia. —

Nova

*Ecclesia Mongalorum Ritus Orientalis** ma połączyć wszystkich proroków i apostołów: Jezusa z Nazaretu i Jana Apokryfosa, Nestoriusza z Konstantynopola i Franciszka z

Asyżu, dla islamu Maho

meta sunnitów i szyitów oraz Parsifala z Graalem dla manichejczyków, Jana Chrzciciela dla Żydów wyznania mojżeszowego tudzież Majtreję, odrodzoną postać Buddy, którego wyczekują ludy nad oceanem.

Dżuwajni zrobił przerwę, żeby ta wielka zapowiedź oddziaływała przez jakiś czas na zgromadzonych, a poza tym wszyscy ogoleni na łyso bałwochwalcy w szafranowych szatach zaczęli akurat potrząsać małymi dzwoneczkami. —

Na czele tego

Kościół stanie „patriarcha wiecznie błękitnego nieba”. Szambelan patrzył ponad moją głowę, lecz czułem na sobie wzrok wielkiego chana.

—
Erygację wyznaczono na święto zstąpienia Ducha Świętego Tengriego w dniu Pentacostes,* za pięćdziesiąt dni, licząc od dnia dzisiejszego. Pierwszego patriarchę Aerinokratos, Wiecznie Błękitnego Nieba, wprowadzimy na urząd w dniu naszego wstąpienia na tron.* Wydano dwunastego kwietnia 1254 roku rachuby chrześcijańskiej, w roku 652, odkąd prorok Mahomet opuścił Mekkę, i w trzecim roku naszego panowania —

odczytał Dżuwajni łamiącym się głosem. Wyobrażałem sobie, że będąc muzułmaninem, musiał czuć się nieswojo przy mówieniu tego tekstu, który archidiakon napisał przypuszczalnie na rozkaz wielkiego chana.

Mianowanie odbędzie się zatem dopiero tydzień po świętym Grzegorzu,* pomyślałem z żalem. Ukląkłem jak uderzony obuchem w głowę, trzymając twarz prawie wciśniętą w posadzkę, żeby nikt nie widział moich łez radości. A potem usłyszałem głos Jonasza.

— Podnieście się, drogi bracie!

Spojrzałem w górę. Wielki chan niemal z wyrzutem dał mi znak, żebym wstał. Jeza uśmiechała się z ogromnym rozbawieniem, gdyż ledwo mogłem się dźwignąć, jako że nogi odmówiły mi nagle posłuszeństwa. — Nie jest tajemnicą — podjął archidiakon, który wystąpiwszy teraz naprzód, uwolnił Dżuwajniego od niewdzięcznej dlań roli — na kogo padnie wybór. Wybrańcem jest nasz brat William z Roebruku, *Ordo Fratrum Minorurrh* Nikt nie jest predestynowany na ten wysoki urząd lepiej od niego.

Jonasz uściskał mnie, wypowiadając wielkanocne pozdrowienie: -- Chrystus zmartwychwstał ---Tak, zaprawdę zmartwychwstał! — odrzekłem.

Pocałował mnie, a ja przestałem się wreszcie wstydzić swoich łez. Wielki chan i jego bracia uśmiechali się uszczęśliwieni, a osoby należące do dworu skwapliwie ścisnęły moją dłoń. Ingolinda przycisnęła do niej wargi, nie patrząc przy tym na mnie, za to jej język wsunął się błyskawicznie między moje zwiotczałe palce. Stałem przed Roszem i Jeżą — Móngke i jego bracia podnieśli się tymczasem i wyszli — i chciałem przed nimi uklęknąć. Jeza chwyciła mnie jednak prędko za rękę i przytknęła ją do ust. W ten sposób zuchwale dała mi do zrozumienia, że zauważyła pocałunek ładacznicy, Rosz zaś powiedział:

—

Przed nami nie musisz klękać, Williamie, lepiej ukryj twarz, żeby nikt nie widział, jak bardzo ci się to wszystko podoba! Pobłogosławiłem Kokę i prędko uczyniłem znak krzyża nad zdumionym Gada Sarnim, który spojrzał na mnie, jakbym mu rzucił ropuchę na kolana. Zerwał się na równe nogi i otrzepał z obrzydzenia. Biedna, nadal cierpiąca Koka poprosiła, żebym położył jej rękę na głowie, więc uczyniłem to. Potem Timdal pociągnął mnie za rękaw i powinszował mi, a tymczasem Filip prowadził mnie przez tłum klaszczących gości, którzy wstali z miejsc, i popychał mnie w stronę wyjścia. — A zatem—powiedziałem, kiedy minąłem wreszcie próg sali — co to było z Teodulem, gdzież on się podziewa? Filip wskazał bez słowa plamę świeżej krwi, która wsiąkła w ziemię przed wejściem do pałacu.

—

W ten sposób twój Kościół ma już pierwszego męczennika! — rozległ się nienawistny głos Sergiusza, który przydybał nas przed bramą. Niedobrze zrobiło mi się na myśl, że kiedy ja w środku świętowałem swój tryumf, mojemu sprytnemu *secretariusowi* odrąbano głowę. Nie słyszałem jego rozpaczliwego wołania o pomoc.

Oszołomiony ruszyłem chwiejnym krokiem, opierając się na Filipie, w drogę powrotną do naszej jurty. —

Armeńczyk podstawił mu nogę—wyjaśniłmój sługa.—Dokładnie to widziałem! Ale ludzie Bułgaja nie przejmowali się tym. —

Dlaczego mi nic nie powiedziałaś? — jęknąłem . Filip jednak milczał.

L. S.

* W i l l i a m antę portas(łac)—William u bram; żartobliwa parafraza okrzyku na wieść o zagrożeniu ze strony Hannibala.

* S a l v e Regina... (łac.) — Witaj, Królowo, Matko miłosierdzia, życie, słodczy i nadziejo nasza.

* Eia ergo... (łac.) — Przeto, Orędowniczko nasza, one miłosierne oczy Twoje na nas zwróc.

* O clemens... (łac.) — O łaskawa, o litościwa, o słodka Panno Maryjo!

* Wyrwał... — właściwie: ...wyrwał człowieka z otchłani piekielnych.

* Gloria... (łac.) — Chwała Bogu na wysokości, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli.

* Laudamus... (łac.)—Sławimy Cię, błogosławimy Cię, wychwalamy Cię, dzięki Ci składamy, bo wielka jest chwała Twoja, Panie Boże, królu nieba, Boże Ojczy wszechmogący.

* Alleluja... (łac.)—Alleluja, alleluja! Błogosławiony ten, kto mnie słucha, kto co dzień u drzwi moich czeka, by czuwać u progu mej bramy.

* Sexagesima — Sześćdziesiątnica, nazwa ósmej niedzieli przed Wielkanocą; tu: 16 lutego 1254 r.

* Quinquagesima — Pięćdziesiątnica, siódma niedziela przed Wielkanocą; tu: 21 lutego 1254 r.

* Sobota przed Niedziela Palmowa — tu: 4 kwietnia 1254 r.

Panem rostrum (łac) – chleba naszego powszechnego daj nam dzisiaj

Panem accipiam (łac) Przyjme chleb (z nieba) i wzywac będę imienia Pańskiego

* Episcopus (gr.-łac.)— biskup.

* Gemini (łac.) — Bliźnięta.

* Niedziela Palmowa — tu: 5 kwietnia 1254 r.

* Ultima Cena (łac.) — Ostatnia Wieczerza, Wielki Czwartek, dzień ustanowienia Eucharystii; tu: 9 kwietnia 1254 r.

* Nova Ecclesia Mongalorum (łac.)—nowy Kościół Mongołów.

* Ex novo (łac.) — (zupełnie) od nowa.

* Spiritus rector (łac.) — autor, duchowy sprawca.

* Wielkanoc—tu: 12 kwietnia 1254 r.

* In pectore (łac.) — w myśli; przewidziany, wybrany, lecz jeszcze nie mianowany.

* Est Deus... (łac.) — Bóg jest tym, czym ty jesteś: człowiekiem, ale nowym, aby człowiek stał się tym, czym jest Bóg, ale już nie dawnym.

* O pone... (łac.) — O, porzuć dawnego człowieka, porzuć dawnego i przywołaj człowieka nowego!

* Laudate Dominum... (łac.) — Wysławiajcie Pana w jego świątyni, chwalcie go w jego silnej twierdzy; tekst liturgii wielkanocnej.

* Laudate eum... (łac.) — Chwalcie go na bębnach i tańcem, chwalcie go na strunach, niech zagra flet.

* Nova... (łac.) — nowy Kościół mongolski obrządku wschodniego.

* Pentacostes — Zielone Świątki, tu: 1 czerwca 1254 r.

* Wstąpienie na tron odbyło się 1 lipca 1254 r.

* Święty Grzegorz — 25 maja; papież i „obrońca wolności Kościoła" (1020—

LIBER III

I. AMULET

Już drogocenna uprząż, bogato zdobione skórzane siodła, srebrne strzemiona

karawany Mustafy Ibn Daumara świadczyły o zamożności kupca z Bejrutu. Strażnicy

przy bramie w Sisie zaniechali więc zagładania do skrzyń, bel i kufrów, które niosło pięć obładowanych wielbłądów. Nieuprzejmie kazali młodemu kupcowi zsiąść z

wierzchowca. Czyżby coś zgubił w ich chrześcijańskim mieście? Hamo ugryzł się w

język. Wyjaśnił, że wybrał się w podróż do Melitene i słyszał o bogactwie miasta Sis,

toteż obrał drogę okrężną, żeby kupić jeszcze jakieś towary na tutejszym targu.

Strażnicy nie byli ani zadowoleni, ani łaskawi. Kazali muzułmaninowi słono zapłacić za

wpuszczenie do miasta i wysłali gońca do pałacu, żeby złożył meldunek.

Hamo udał się na bazar i stanął na kwaterze w najbliższym zajęździe. Swoim

ludziom — byli to przede wszystkim asasyni, którzy towarzyszyli wcześniej Creanowi, i

garstka *lestai* penikrata — rozkazał, żeby tam zostali i mieli baczenie na towary. Ze sobą wziął tylko najstarszego z mężczyzn z Alamutu, niejakiego Agę, gdyż ten w

dotychczasowej podróży dowiedział nieraz, że jest człowiekiem godnym zaufania, który

potrafi trzymać język za zębami.

Miasto Sis usadowiło się w górach. Domy z szarego twardego kamienia wznosiły się

ponad ciasnymi uliczkami, a kolumnowe krużganki i bramy przykrywały grube belki. To

tutaj odbywał się targ. Brakowało typowego dla orientu anonimowego tłumu. Każdego

przybysza natychmiast rozpoznawano jako takiego i taksowano nieufnie spojrzeniem,

zwłaszcza gdy chodziło o muzułmanina.

Rzucający się w oczy ubiorem młody kupiec z Bejrutu wędrował niespiesznie wraz

ze swym starszym towarzyszem wzdłuż warsztatów rzemieślników, nie okazując

zbytniego zainteresowania ich pracami. Hamo kazał Adze zapytać o targ niewolników,

ale każdy przezeń zagadnięty tylko dziwił się niepomiernie i kręcił głową. W końcu

skierowano cudzoziemca na ciemny podwórzec z zakratowanymi oknami. Kilka kolumn z wmurowanymi żelaznymi obręczami i ciężkimi łańcuchami przypominało tam o nieszczęśnikach, których tu uprowadzono, ale o targu nie mogło być mowy.

Paru dozorców pochłoniętych było jakąś grą planszową, w której nie chodziło raczej o posiadanie pięknej niewolnicy, lecz co najwyżej o to, kto kupi następny dzban wina w sąsiedniej tawernie. Podskakiwały kości, mężczyźni ze złością podnieśli na chwilę wzrok, kiedy młody cudzoziemiec przeszkodził im w grze.

— Czy karawany niewolników często zachodzą do Sisu? — spytał ostrożnie.

— Jesteś handlarzem? — burknął jeden, nie patrząc na niego. Hamo rzucił na planszę złotą monetę.

— Szukam pewnej niewolnicy — powiedział i teraz przynajmniej zaszczycono go spojrzeniem.

— To musicie okazać cierpliwość, panie — usłyszał — bo świeży towar trafia tu, i to przez omyłkę, najwyżej dwa, trzy razy w roku.

— A jak ta młoda niewiasta miałaby wyglądać? — Drugi zwietrzył okazję dostarczenia żadanego towaru. — Biała, brązowa, czarna, dorodna, z grubym zadkiem i cyckami jak dojrzałe dynie? Mógłbym...

— Nie — przerwał mu Aga — mój pan szuka niewolnicy, która trzy lata temu...

— Czyli starej. — Gotowość dozorczy zmalała w oczach. Potrząsnął kośćmi.

— Piękna młoda kobieta — wyjaśnił cierpliwie Aga, a Hamo rzucił na planszę jeszcze jedną monetę. — Biała i szlachetnego pochodzenia. Nie rzuciła wam się w oczy? Przywiózł ją Abu al-Hafs.

— Czy to nie była dostawa dla króla? — przypomniał sobie jeden i od razu spieszenie

dodał: — Nie mamy z tym nic wspólnego!

— Chcę wiedzieć, czy „towar”... — Hamo zmusił się do używania ich języka —..

.pozostał tutaj, w Sisie, w haremie króla, czy też może przesłano go dalej. Dla zachęty potrząsnął sakiewką. Zabrzęczało złoto.

—

Jeśli w pałacu ktoś ich używa, to nie król Hetum, tylko co najwyżej jego brat Sempad, konetabl! — parsknął śmiechem jeden z dozorców, lecz jego towarzysz wolał odczekać, aż na planszę spadnie kolejna moneta.

— A niewiasty Abu al-Hafsa, pamiętam to dokładnie, poszły dalej. Nie były przeznaczone dla dworu, były prezentem... Jego czujny partner kopnął go w kostkę, żeby umilkł i mówił dalej dopiero wtedy, gdy cudzoziemiec coś dorzuci. ---...prezentem dla wielkiego chana Mongołów!

— Była wśród nich jedna... — zaczął drugi, lecz zaraz ugryzł się w język. Na podwórzec weszli jacyś dwaj osobnicy i zatrzymali się bez słowa. Wyglądali na żołnierzy, a jeszcze bardziej na myśliwych. Jeden i drugi miał za pasem krótki sztylet oraz kordelas. Nie musieli dawać strażnikom żadnych znaków, by ci zerwali się na nogi i spiesznie do nich zbliżyli. Myśliwi szybko coś powiedzieli po cichu i odeszli. Jeden z dozorców wrócił i złożył ukłon Hamonowi.

—

Musicie wybaczyć, dostojny panie, ale my, prości słudzy króla, nie wiedzieliśmy, jak daleko możemy się posunąć, co się tyczy informacji o poszukiwanej przez was osobie.

Twarz Hamona rozjaśniła się. Czyżby promyk nadziei? — Zdaje się, że ta młoda dama znajduje się wśród osób, które są pod naszym nadzorem. Nie zechcielibyście rzucić na nie okiem? Drugi tymczasem otworzył

ciężką bramę i zapalił pochodnię, gdyż nastał już wieczór.

— Proszę, pójdźcie za nami — szepnął — a jeśli odkryjecie szukaną, nie zdradźcie się ni słowem, tylko dajcie nam znak, żebyśmy ją wyciągnęli...

— W przeciwnym razie doszłoby do buntu — dodał ten bardziej rozmowny — który utrudniłby nam pracę. No bo któż by nie chciał być wykupiony przez takiego młodego bogatego pana? — W ten sposób schlebiał Hamonowi, kiedy hrabia wsunął mu do ręki kolejne dwie złote monety.

Przeszli przez bramę i w świetle pochodni ruszyli w dół do piwnicy po szerokich kamiennych schodach, które znajdowały się z boku. Powiew wilgoci i zapach zgnilizny uderzyły w twarz Hamona, a jego serce ścisnęło się na myśl, że może odnaleźć Szirat w takim lochu. Gdy zeszli na sam dół, znaleźli się w sklepionym pomieszczeniu, z którego przez żelazne kraty można było zajrzeć do poszczególnych cel. Za żelaznymi prętami tłoczyły się wychudzone postacie o zapadniętych twarzach, prawie sami starzy ludzie.

—
To mi wygląda bardziej na więzienie — mruknął z z troskaniem Aga, odwracając się do dozorca, który przyświecał im pochodnią.

W tym momencie zatrasnęła się za nimi żelazna krata, a światło pochodni na schodach zaczęło się oddalać i w końcu zniknęło. Z głuchym odgłosem zawarła się także brama na górze i otoczyły ich nieprzejrzone ciemności. Więźniowie, którzy wcześniej z podnieceniem wyciągali do przybyszów ręce przez kraty i krzyczeli jeden przez drugiego, teraz naśmiewali się z nich obu, dając upust złośliwej satysfakcji, ale ta wnet ustąpiła miejsca głębokiemu przygnębieniu. W kazamatach Sisu zrobiło się cicho.

— Pozostawiono ich w pierwszej piwnicy — dał się słyszeć czyjś głos — bo jutro z rana i tak zostaną powieszani.

— Nienawidzę wszystkich Saracenów — oznajmił swemu gościowi zwalisty konetabl.

— Ilekroć mogę powiesić jednego z tych psów, sprawia mi to głęboką chrześcijańską satysfakcję. Stali na wąskim balkonie zamkowym z widokiem na niewielki podwórzec otoczony wysokim murem. To tam na dole znajdowała się szubienica, solidna konstrukcja drewniana, na której było dość miejsca, żeby jednocześnie powiesić co najmniej tuzin skazańców. Tym razem słudzy kata przerzucili przez poprzeczną belkę tylko dwa stryczki. Rozwarły się drzwi w murze i do rusztowania podprowadzono Hamona i Agę z rękami związanymi na plecach. Kat spojrział w górę na balkon pytającym wzrokiem. Sempad niespiesznie jął wyjaśniać gościowi:

— Ten tam... — wskazał z irytacją krótkim ruchem podbródka na Hamona — jest szpiegiem. Ośmielił się dopytywać o nałożnicę, którą nabyliśmy uczciwie przed trzema laty, wyobraźcie sobie, przed trzema laty, i dołączyliśmy do trybutu płaconego przez króla. — Konetabl zaśmiał się gardłowym śmiechem, który wydobył się z jego masywnej pijackiej szyi niczym ochryple szczekanie posokowca.—A tu przychodzi ten obrzezany sukinsyn i węszy...

— Po pierwsze — odrzekł z niezmaconym spokojem Gawin, templariusz — ten człowiek nie jest muzułmaninem, tylko chrześcijaninem. To hrabia Otranto, krewny cesarza i bliski przyjaciel waszego szwagra Boemunda... Tymczasem kat wprawnym ruchem założył pętle obu delikwentom i patrzył wyczekująco w stronę balkonu, żeby móc wreszcie doprowadzić egzekucję do końca. Jako że Sempad, zbity z pantalątku, nie był w stanie wydusić słowa, templariusz dał znak, by jeszcze zaczekać. Hamo zmrużył oczy i spojrział w górę, kiedy zmiarkował, że nastąpiła zwłoka. Gawin nie mógł powściągnąć uśmiechu.

—

Po drugie — powiedział do konetabla — kobieta, której szuka, nie jest nałożnicą, tylko jego żoną. Król Ludwik... Wystarczyło. Sempad poczerwieniał jak burak i wysłał pędem obu swych przybocznych na podwórzec, by uwolnili więźnia wraz z jego towarzyszem z jakże nieprzyjemnej sytuacji. Kat pokręcił głową, gdy dwaj panowie na górze zrezygnowali z podziwiania go przy wykonywaniu jego rzemiosła i opuścili balkon. Nie zamierzał jednak kontynuować egzekucji bez rozkazu. Ten błąd przytrafił się jego poprzednikowi tylko raz. Hamo stanął przed Sempadem.

— Podczas moich podróży wiele słyszałem o waszej energii i zdecydowaniu, konetablu, ale rzeczywistość przewyższa każdą legendę. — To rzekłszy, zwrócił się do Gawina. — Szanowny preceptorze, czy na tej ziemi jest miejsce, gdzie spotkanie z wami będzie mi oszczędzone?

— Jeszcze go nie znacie, Hamonie L'Estrange. — Gawin uśmiechnął się, za nic mając wściekłość młodego hrabiego. — Ale jeśli nadal będziecie narażać życie w rozmaitych przebraniach, to sobie go poszukam!

— Lepiej poszukajcie Szirat! — wybuchnął Hamo. — Zanim się dowiem, kto wysłał tę piracką zgraję na „Contessę d'Otranto”!

— A gdzie właściwie zostawiliście trierę? — Gawin starał się złagodzić ton rozmowy.

— Kiedy wpadliście na chwalebny pomysł przebrania się w szaty naszego przyjaciela Creana z Bourivanu, przez tego „Mustafę Ibn Daumara” omal wam nie pękł stos pacierzowy. --- Moje serce pęka — odparł Hamo — a wtedy moja głupia głowa się nie liczy! Sempad roześmiał się, słysząc te słowa.

—

Rozumiem młodego hrabiego — silił się na jowialność. — Jego niewiasta, jeśli mamy na myśli tę samą drapieżną kocicę, warta jest każdego nierozsądnego

czynu, choć ja poczułem tylko jej pazury, kiedy chciałem pogłaskać futerko.

Hamo rzucił się na konetabla z wściekłym rykiem, ale Gawin podstawił mu nogę i hrabia runął jak długi na gładką posadzkę.

—
Teraz j ej darami raduje się wielki chan — szydził Sempad, który nie cofnął się nawet o krok, ale tymczasem jego przybocznicy wyciągnęli z pochew kordelasy.

Gawin otoczył Hamona ramieniem i przytrzymał młodzieńca. —

Tak nie
zajedziecie daleko, Hamonie L'Estrange — powiedział. — A musicie ruszać dalej, gdyż droga do Karakorum nie będzie wam oszczędzona. Wy zaś, Sempadzie, okażcie teraz naszemu młodemu popędliwcowi honory należne gościowi i łaskawie powściągnijcie gniew z powodu przyjemności, które was ominęły!

Konetabl spojrział ponuro na Hamona, zanim zwrócił się do Gawina. Jeśli mąż tak marnie dba o ochronę małżonki, że można mu ją ukraść, to stracił prawo do tej damy. Musi ją zdobyć na nowo. Takie samo prawo przysługuje też każdemu innemu mężczyźnie, który zapałał do niej namiętnością.

— To ja, nie wy, konetablu, sprowadzę ową damę z powrotem z miejsca, dokąd posłaliście ją w formie prezentu bądź zapłaty niczym towar, niczym krowę z waszego stada! Chyba że waszym zdaniem ten szlachetny czyn daje wam jeszcze prawo do miłowania?

W tym miejscu dysputa się skończyła, gdyż fanfary zapowiedziały powrót króla. Hetum był przykrym zrzędą, znękanym troskami o królestwo, któremu wrogowie zagrażali ze wszech stron. Na północy siedział mu na karku sułtan Seldżuków, na wschodzie Mongołowie, na zachodzie było morze, w którym wszyscy wrogowie

najchętniej utopiliby naród Armeńczyków, przepędzwszy go uprzednio w poprzek Azji Mniejszej i zepchnąwszy na wybrzeże. Tylko na południu istniało kruche połączenie z chrześcijańskimi państwami krzyżowców na terenie Syrii, dlatego wydał swoją córkę za księcia Antiochii i Trypolisu Boemunda. Ale i to pewności nie dawało. Jedynym wyjściem było podporządkowanie się w porę wielkiemu chanowi, aby w ten sposób znaleźć się pod ochroną *pax mongolica* — bez względu na to, jak drogo trzeba będzie zapłacić. W przeciwnym razie jego naród zostanie wytępiony.

Tenże zięć Bo wyprawił do króla konnych posłańców z prośbą, żeby przyjął nieproszonego gościa w osobie młodego hrabiego Otranto, który udał się właśnie do jego stolicy Sis, jako przyjaciela. I Hetum gotów był to uczynić, gdy wyszedł mu na spotkanie jego brat konetabl.

— Cóż takiego sprowadza do nas tego Hamona L'Estrange? — spytał

mimoходом, a przedstawienie władcy życzenia młodego hrabiego w apetyczny sposób sprawiło Sempadowi w głębi ducha prawdziwą satysfakcję.

— Pragnie wam złożyć wizytę, wasza wysokość. Ma przy sobie także bogate dary. A chce tylko, żeby mu oddać żonę.

— Jaką żonę, Sempadzie? — Hetum drgnął niczym dźgnięty nożem, zresztą jak zawsze gdy brat poruszał temat kobiet. — Coś ty znowu na...

— Nie ja, wasza wysokość. — Konetabl rozkoszował się rzadkim uczuciem, że tym razem to nie on. — To wy przed trzema laty kupiliście jego żonę od Abu al-Hafsa i posłaliście ją do Karakorum.

Tę? --- Właśnie tę! — potwierdził tryumfalnie Sempad. — Gdybyście zostawili ją mnie, moglibyśmy teraz wcisnąć mu towar z powrotem, po trzech latach.

— Zamierza czynić mi wyrzuty?

— Zamierza wziąć ją znowu w objęcia; z nami — lub bez nas! — zamierza pojechać do wielkiego chana.

— Nie chciałbym, żeby to się stało — rzekł król. — Później jeszcze porozmawiamy.

Kazał sobie przedstawić młodego hrabiego i życzliwie zaproponował mu, żeby uważał się za jego gościa, jak długo zechce. Ten szczęśliwy zwrot sytuacji uspokoił preceptora templariuszy Gawina Montbarda z Bethune, wyjechał więc, raz jeszcze surowo

napomniawszy Hamona, żeby nie naprzykrzał się gospodarzowi, ciągle lamentując nad zaginioną matką swego dziecka, a tym bardziej nie zasypywał go zarzutami. Powinien raczej zaskarbić sobie względy dworu, żeby Armeńczycy dołączyli go do swojej delegacji, która ma się niebawem udać w podróż do Karakorum. Nie mając statusu posła, nie dotrze do samego wielkiego chana. Oby to było dla niego jasne.

Hrabia kiwał głową tak, że Gawin tylko utwierdzał się w przekonaniu, iż mówi do pancerza, który chroni serce Hamona — i niestety również umysł — przed wszelkimi atakami rozumu.

— I nie zapomnijcie — dodał jeszcze na pożegnanie — sprawiać radość królowi, hojnie go obdarowując, żeby nie musiał wyliczać, ile go kosztujecie. Pokażcie mu, że za tę daleką podróż możecie i chcecie zapłacić z własnych środków, nawet jeśli pozwolą wam przyłączyć się do delegacji. Armeńczycy to kramarskie dusze, tyle że najbardziej przebiegłe, jakie kiedykolwiek spotkałem. --- Szczególny to komplement w ustach templariusza — podziękował Hamo.

Hrabia L'Estrange spędzał czas między pałacem a zajazdem, w którym umieścił towarzyszących mu asasynów. Codziennie wracał z nowym podarunkiem dla króla, gdyż ogarnął go strach, iż Hetum może wyruszyć do Mongołów bez niego. Hamonowi wydawało się, że oblega zamek w oczekiwaniu wypadu, i był dumny z siebie, iż do tej pory wytrzymał owo oblężenie bez słowa skargi ze względu na Szirat. Był uprzejmy

wobec wszystkich, nawet do Sempada o byczym karku uśmiechał się zawsze, ilekroć spotkał go podczas długich spacerów po pełnym zakamarków pałacu. Hrabia poniekąd przeprowadzał jego inspekcję, żeby być ostrzeżonym w porę, gdyby gdzieś wszczęto przygotowania pozwalające wnosić, że niebawem nastąpi wyjazd. Z każdym dniem rosło w nim jednak przeświadczenie, że Armeńczycy nigdy nie wyruszą w tę podróż, tedy począł ostrożnie napomykać, nie chce być dla nich dłużej ciężarem i absolutnie jest w stanie wybrać drogę na własną rękę. Od tej pory zasypywano go wprost zapewnieniami o przyjaznych uczuciach. Codziennie zjawiali się w jego jeździe zaufani gwardziści Sempada, żeby się upewnić, czy nagle nie wyjechał.

Narażamy się na ryzyko — zaklinał swego królewskiego brata konetabl — że wielki chan zechce nas ukarać za opóźnienie, pozbawiając nas swej życzliwości. Móngke nie lubi, kiedy każe mu się czekać.

— Ale nie możemy przecież wziąć z sobą tego Hamona L'Estrange — mruknął król.

— Bo albo obrazi najwyższego władcę wszystkich Mongołów dopytywaniem się o niewolnicę, którą mu podarowaliśmy, albo będzie tam tak uciążliwy...

— Jak tutaj dla nas! — wpadł mu w słowo Sempad. Potrafił podsycać ogień, który rozpałił.

— Albo — dokończył rozeźlony Hetum — znajdzie u władcy otwarte ucho i serce dla kochanków, tak iż wielki chan zwróci mu żonę. Cokolwiek się wydarzy, to my będziemy uważani za sprawców nieszczęścia, a nasz dar za bezwartościowy, łaska Mongołów zaś zostanie nam odebrana niczym dywan wyciągnięty spod nóg.

— Niepiękny to obraz: najbardziej chrześcijański król Armenii nie wysyła swojej córki, jak by się godziło...

— Bo nie mógłbym tego wymagać od żadnej z moich córek — przerwał mu Hetum.

— Nie opowiadaj mi, co się godzi!

— Na pewno nie godzi się kupować krewnej cesarza — uniósł się Sempad. Wtedy jednak również Hetum się rozsierdził.

— Nikt inny, tylko ty, bydlaku, doradziłeś mi to wtedy! Gdybym wiedział...

— Nie kłóćmy się, bracie — konetabl spuścił z tonu — kto tutaj podejmuje decyzje.

Ten Hamo ze swoim nieszczęściem nie może się zjawić u Mongołów także sam, czy to przed nami, czy po nas!

— Musi zniknąć — stwierdził król. W końcu Sempad poczuł smak zwycięstwa.

— Trucizna?

— Nie tutaj w zamku! Tego by mi tylko brakowało! Król — o nie! Nic takiego, z czym można by nas łączyć.

— Zajmę się tym, jeśli wy...

—

Czekam na wasze propozycje, konetablu, nie na pochopne czyny!

Zrozumieliśmy się?

Sempad uklonił się i opuścił pomieszczenie. Wezwał do siebie obu swych zaufanych gwardzistów, którzy darzyli go psim przywiązaniem. —

Nie może na nas paść nawet

cień podejrzania! — przykazał im surowo. Hamo dowiedział się pierwszy, że dwaj przybocznicy Sempada nastają na jego życie. Z codziennych „przypadkowych” spotkań zdążył ich tymczasem poznać tak dobrze, że wiedział nawet, jak mają na imię. Leon i Ruben próbowali wynająć asasynów na bazarze i w różnych tawernach, a ci natychmiast powiadomili o tym Agę. Wprawdzie nie padło nazwisko ofiary, ale opis człowieka i drogi, jaką ów odbywał codziennie z zajazdu przez bazar do zamku, nie

pasował do nikogo poza hrabią. Ten był więc ostrzeżony, lecz nie dał nic po sobie poznać. Drugi o planie konetabla dowiedział się król. Jego ludzie, wśród nich także dozorczy więzienni, donieśli mu, że asasyni nie przyjmą zlecenia morderstwa, nawet za potrójną zapłatę. —

Wspaniale! — szydził. — O twoich planach wobec hrabiego

Otranto mówi się już na bazarze! Sempad spurpurowiał jak indor.

— Tylko że nikt jeszcze ci nie powiedział, że kanclerz asasynów z Masnatu huśtał na kolanach hrabiego, gdy ów był jeszcze brzdącem!

— Powinniście zdać się na mnie, wasza wysokość! — wydusił zgrzytając zębami konetabl i już był w drodze do drzwi.

— Ani myślę! — zawołał za nim król. — Wyruszymy, gdy tylko przybędzie do Sisu mongolska eskorta, o którą poprosiłem, żeby wyjaśnić powód naszej dotychczasowej zwłoki. Może po drodze przyjdzie ci jeszcze do głowy jeden z twoich genialnych pomysłów! Sempad w towarzystwie obu swych przybocznych udał się do zajazdu, gdzie zamieszkał hrabia, i kazał się zaanonsować.

— Moi wierni słudzy — oświadczył Hamonowi — dowiedzieli się, że asasyni nastają na wasze życie. Miejcie się na baczności! Leon i Ruben będą was strzec i chodzić za wami krok w krok. — Wyraziwszy szczere „zatroskanie”, konetabl uderzył w lekki ton, niemal poufały. — Król zaprasza was jutro na łowy na jelenia, jakie urządzamy co roku dla posłów z innych krajów. Proszę, weźcie ze sobą swoją asystę, przynajmniej dopóki nie wyjedziemy z miasta. W lasach nie macie się czego obawiać. Osobiście przyjadę po was i razem dołączymy do całego towarzystwa.

— To bardzo uprzejme z waszej strony, konetablu, ale niezbyt przepadam za łowami i najraźniej czuję się w mieście, mimo że tutaj grożą mi niebezpieczeństwa, przed którymi ostrzeżliście mnie łaskawie, za co wam dziękuję. Sempad roześmiał się.

—
Dużo się mówi o asasynach, ale w Sisie nie widziałem jeszcze żadnego.

Ileć się zdarzy gdzieś skrytobójczy mord, ludzie zaraz gadają, i że to asasyni! A zatem nie sprawcie królowi zawodu, odmawiając. Tego Hamo rzecz jasna nie chciał, toteż skinął głową. — Przekażcie królowi, że z radością przyjmuję jego zaproszenie i nie mogę się wprost doczekać, kiedy będę galopował przez zielone bory, żeby wreszcie ustrzelić dwunastaka... — Podarował sobie resztę elogium, ponieważ Sempad w towarzystwie swoich dwóch cieni wyszedł już z zajazdu. Hamo zwrócił się więc do Agi: — Jutro nie spuszczaście z oczu obu tych rzezimieszków! Na pewno tylko z początku będziecie mogli być przy mnie, jako alibi, później spróbują nas rozdzielić!

— I dopiero wtedy dobrać się wam do skóry! — Aga uśmiechnął się półgębkiem. —

Nie ma żadnych asasynów! Nazajutrz konetabl zjawił się przed zajazdem z samego rana gotów do łowów wraz ze swoją kompanią myśliwską. Również Hamo zebrał swój orszak i obie grupy wyjechały wspólnie z miasta.

Leon i Ruben, zaufani gwardziści Sempada, uzbrojeni byli po zęby; oprócz sztyletu, mizerykordii i miecza każdy miał przy sobie pęk dzirytów. Kiedy zrównali się z Hamonem, ten zmierzył ich rozbawionym spojrzeniem.

— To mi wygląda raczej na polowanie na dziki, a nie na jelenia! — zażartował.

Obaj wyszczerzyli zęby w głupkowskim uśmiechu, prychnęli tylko i milczeli uparcie.

Opuścili trakt i pokłusowali ścieżkami wędrowek zwierząt w głąb gęstych górskich

lasów. Był pogodny wiosenny poranek, rozjaśniona promieniami słońca mgiełka,

przepojona brzęczeniem pszczół i świergotem ptaków, nijak nie pasowała do

mrocznych myśli, jakie snuli niektórzy z mężczyzn. Także w nastroju Agi i asasynów nie

mogła znaleźć sobie miejsca wesołość, zbyt wielkie było napięcie, choć Hamo

oświadczył, że wcale się nie boi. Wróg był wprawdzie rozpoznany, ale gdzie i kiedy uderzy? Poza tym młody hrabia nie był zaprawionym w bojach wojownikiem, któremu lisi spryt i wilczy węch tak bardzo weszły w krew, że żadna pułapka nie mogła grozić poważnym niebezpieczeństwem. Pewne było tyle, że konetabl postara się najpierw oddzielić Hamona od jego ludzi. Ustalono zatem, iż Aga i dwóch wybranych przez niego ludzi będą deptać po piętach obu przybocznym Sempada, gdyż jasne było również, że to właśnie im zostanie powierzone wykonanie zamachu.

Jeźdźcy pędzili więc tak, że ptaki wzbijały się z trzepotem skrzydeł, a drobna zwierzyna umykała w chaszczę. Między ludźmi fruwały wesołe żarciki i rozlegały się wybuchy śmiechu, a jednocześnie bacznie obserwowano ofiary, czyhając na sposobność, by zatopić w ich ciałach śmiercionośną stal. O spotkaniu z królem Hetumem nie było już mowy.

Sempad osadził konia na skraju polany, a myśliwym kazał się zatrzymać w cieniu drzew. Dłonią w rękawicy wskazał wspaniałego jelenia, który wyłonił się właśnie z zagajnika, jakby go wypędzono na polanę, gdzie wystraszony zwolnił biegu i przystanął.

—
On należy do was, drogi hrabio Hamonie — syknął Sempad, z trudem powściągając swój zapal myśliwski, choć zwierzyna, na którą zamierzał polować, była inna.

Hamo nawet nie przypuszczał, że postępowanie jego przeciwnika może być aż tak prostackie. Dał znak Adze i zawołał szyderczo do gospodarza łowów:

—
Dziękuję wam za prezent, teraz możecie już spuścić wabia z po stronka!

I ze śmiechem ruszył galopem przed siebie. Kiedy obaj przyboczni gwardziści

pośpieszyli za nim, inni podwładni konetabla chwycili konia Agi z dwóch stron za wodze. Otoczono także pozostałych ludzi hrabiego. Nie padło ani jedno słowo, lecz wyciągnięte miecze mówiły wystarczająco wiele. Jeśli Hamo L'Estrange nie wróci, również oni nie opuszczą żywi tego lasu. A jeśli ułoży się inaczej, okaże się, że to było nieporozumienie. Cudzoziemcy nie znali reguł polowania ustanowionych przez konetabla. Aga dał znak swoim ludziom, żeby na razie zachowywali się spokojnie i nie próbowali stawiać oporu. W walce wręcz, jeden na jednego, jego wojownicy nie mieli się za bardzo czego obawiać. Dlatego ważne było, żeby pozostać jak najbliżej wroga. Kiedy Hamo wypadł na polanę, jeleń wycofał się w głąb zagajnika. Hrabia popędził za bykiem upewniwszy się, że Leon i Ruben podążają za nim. Pewnie nie ośmielią się zaatakować go otwarcie, gdyż miał łuk i strzały, miecz oraz dzirynt. Odczekają, aż zsiądzie z konia, a według ich rachuby nastąpi to najpóźniej wtedy, kiedy zabije jelenia. Zamierzał wyświadczyć im tę przysługę. Nagle podkusiło go, żeby zabić tę zwierzynę — a oprócz tego obu prześladowców. Jeleń sadził długimi susami przez las, a Hamo popędzał swego konia, szlachetnego ogiera araba. W pierwszej chwili z oburzeniem odrzucił prezent Abu al-Hafsa, lecz teraz okazało się, że penikrat dobrze wtedy zrobił, przyjmując go bez skrupułów od handlarza niewolników. Daleko z tyłu Hamo widział siepaczy, którzy ledwo nadążali za nim. Uciekający jeleń decydował więc o przebiegu łowów. Hamo roześmiał się. Las przed nim otwierał się i przechodził w wąwóz, w którym szukał drogi przez skały rwący górski strumień. Byk zawahał się, ale gdy zbliżył się jego prześladowca, skoczył w dół. Zbocze po drugiej stronie wąwozu okazało się zbyt strome, więc podążył z biegiem rzeki, przeskakując z kamienia na kamień. W wąwozie Hamonowi udało się wyprzedzić zwierzę. Zeskoczył z konia, napiął cięciwę i zaczął, aż uciekający jeleń znajdzie się dokładnie bokiem do niego. Wypuszczona z łuku strzała utkwiała w szyi zwierzęcia, ale nie powaliła go na ziemię. Sadząc dzikimi susami przez

rozpryskującą się wodę, byk próbował uciec przed myśliwym, lecz na próżno, skała pod jego kopytami obniżyła się raptownie, gdyż w tym miejscu zaczynał się wodospad. Jeleń legł na kamieniach, by skonać. Hamo popędził za nim pod osłoną drzew. O polujących na niego myśliwych zupełnie zapomniał. Kiedy pod zwierzęciem ugięły się nogi, czuł tylko dziką satysfakcję łowcy z odniesionego tryumfu. Wyciągnął sztylet i po młodej gałęzi zsunął się w rzeczne koryto. Wiedział, że musi dobić jelenia, aby poczuć się zwycięzcą. Zbliżył się do swojej ofiary. Chciał złapać ranne zwierzę za rogi, żeby wbić sztylet w kark. Ale wtedy byk podniósł się raz jeszcze i z całej siły rzucił łbem w kierunku swego pogromcy. Hamo odskoczył, poślizgnął się i omal nie przewrócił do tyłu, a wówczas runąłby ze skały. Sztylet wypadł mu z ręki. Kiedy podniósł wzrok, ujrzał gotowe do pchnięcia poroże. Raptem ciało jelenia przebiegł dreszcz, a głowa opadła bezwładnie na bok. Wtedy Hamo zauważył dziryt, który wbił się w bok zwierzęcia, dokładnie tam gdzie chciał się schylić, by zadać mu śmiertelny cios. Nie miał czasu się nad tym zastanawiać, gdyż nadleciał drugi dziryt; żelazny grot musnął jego ramię. Spojrzał w górę i dostrzegł swych prześladowców, z których jeden zamachnął się już do następnego rzutu. Hamo mógł tylko przez chwilę ocenić wysokość wodospadu, lecz miał w pamięci jezioro, jakie spadająca woda wyłobiała w skale. W ostatniej chwili dostrzegł trzeci oszczep, lecz zdążył się uchylić tylko przed grotem. Uderzenie drzewca powaliło go na plecy. Runął w dół, dzięki czemu następny dziryt przeleciał nad jego spadającym ciałem. Hamo był wprawnym nurkiem. Podczas skoku udało mu się odzyskać orientację. Nie uderzył więc w wodę, tylko wślizgnął się niczym pstrąg pod szafirową taflę zbiornika. Jego prześladowcy uznali, że po takim makabrycznym skoku musiał się zabić, i z okrzykiem tryumfu pośpieszyli na skraj wodospadu. Wpatrywali się w lustro jeziora, nie odkryli jednak ani śladu hrabiego. Oczekali cierpliwie, czy woda nie wypchnie ciała z przetrąconym pacierzem i zgruchotanymi kończynami, ale potem

zobaczyli, że ze zbiornika pod wodospadem wypływa rzeka, która pędzi z hukiem dalej w dół. Uspokoiли się więc myślą, że to niemożliwe, aby Hamo przeżył taki upadek, chociaż nie mogą pokazać jego zwłok. Tego, że Hamo mógł przepłynąć przez spienione odmęty i schronić się wśród skał, które dzięki perłowemu dywanowi spadającej wody tworzyły grotę pod nogami oprawców, Leon i Ruben nie potrafili sobie wyobrazić. Nie umieli nawet pływać. Złapali konia Hamona i ruszyli w dół między drzewami powyżej rzeki, wciąż rozglądając się za zwłokami hrabiego, które mieli nadzieję wypatrzeć pośród okruchów skalnych w korycie rzeki. W końcu uzgodnili, że to była „śmierć przez utonięcie”, i z tym rezultatem polowania ruszyli w drogę powrotną do swego pana i mistrza. Konetabl czekał w lesie. Jego ludzie ze słabnącą czujnością trzymali w szachu towarzyszy hrabiego, którzy okazali się żałośnie strachliwi, istne zajęcze serca. Każdy ze skazanych na śmierć Saracenów wprost wieszał się na szyi pilnującego go pachołka kata, błagając, jakkolwiek niemo, o łaskę. Niewiele brakowało, żeby ci saraceńscy tchórze brali ich w objęcia przed otrzymaniem zasłużonego śmiertelnego ciosu, takie wrażenie miał w każdym razie konetabl. Z tym zamierzał jednak zaczekać jeszcze do powrotu Leona i Rubena, którzy mieli mu przynieść głowę hrabiego. To był umówiony znak do rozpoczęcia rzezi, czyli zaszlachtowania muzułmańskich strachajłów. Jednakże zamiast dwóch jego jeźdźców pojawił się oddział wojsk królewskich z rozkazem bezzwłocznego powrotu do Sisu. W ten sposób odpadła ostatnia część planu. Sempad pocieszał się, że zawsze jeszcze można sługów Hamona L'Estrange sprzedać w niewolę.

Kiedy całe towarzystwo — znowu fruwały żarciki, którym wtórował rżący śmiech — ostrym kłusem dotarło do drogi w kierunku Sisu, dołączyli do nich Leon i Ruben.

Lamentowali, że młody hrabia podczas polowania przez brawurę i lekkomyślność spadł w przepaść i utopił się w zimnych odmętach. Głębokie jezioro pod wodospadem nie

oddało jego zwłok.

Pan Sempad zrobił wówczas bardzo zasmuconą minę i zabronił żartów. Aga przestraszył się, gdy zobaczył, że siepacze wracają sami. Kiedy wszakże usłyszał, jak wszystko się odbyło, jego oczy rozbłyły. Najchętniej roześmiałby się w głos. Po przybyciu do stolicy asasyni powrócili od razu na swoją kwaterę. Zastali tam Hamona, doszczętnie jeszcze przemoczonego, z krwawiącą raną ramienia. Hrabia zamienił z Agą zaledwie kilka słów i udał się, tak jak stał, do zamku. Sempad rozkazał swym przybocznym, aby złożyli relację głęboko wstrząśniętemu królowi, a następnie obu odesłał, gdyż w gruncie rzeczy nie był całkiem kontent z ich usług. Nie zadowalało go morderstwo bez trupa. —

Powinni byli koniecznie wydobyć zwłoki, zwłaszcza że można by je

pokazać z czystym sumieniem: ani śladu śmiertelnej rany z ręki mordercy — *aguis*

*submersus!** Czyż można sobie życzyć piękniejszego zakończenia? Tak mówił król i miał rację. Sempad więc milczał.

—
Mniejsza o to, najważniejsze, że pozbyliśmy się tego uciążliwego człowieka.

I nawet dobrze się składa, bo właśnie przybyło poselstwo Mongołów, które będzie naszą eskortą w drodze do Karakorum. Zaraz je przyjmę. A ty na to przyjęcie powinieneś się przebrać — rzekł Hetum, spoglądając z niesmakiem na myśliwski strój brata. Sempad wycofał się do swoich pomieszczeń. Chciał się naradzić z Leonem i Rubenem, czy nazajutrz nie powinni jednak wyruszyć z większą grupą ludzi, żeby odszukać ciało hrabiego.

Konetabl zawołał gniewnie na swych przybocznych, lecz ci szubrawcy nie odpowiadali! Kiedy otworzył drzwi swojej sypialni, jego wzrok zatrzymał się na małym

brązowym bochenku chleba,* którego nie sposób było nie dostrzec, gdyż leżał na kapie przykrywającej jego łoże. Sempada przeszedł zimny dreszcz. Nie musiał dotykać chleba, żeby mieć pewność, iż jest jeszcze ciepły. Niemniej to uczynił, a kiedy pochylił się nad bochenkiem, żeby wziąć go do ręki, kapnęło mu coś na kark. Wystraszony podniósł wzrok na kolumnienkę baldachimu — i spojrział prosto w zgaszone oczy Leona. Głowa Rubena była zatknięta na innej kolumnie. Jego świeża krew kapała na posłanie. —

Asasyni! — ryknął konetabl i pognał z powrotem do królewskiej sali audiencyjnej. Odtrącił na boki strażników i otworzył drzwi, gotów, nie zważając na gości, cisnąć bratu pod nogi swój gniew, lecz jego krzyk, mieszanina strachu i wściekłości, uwiązał mu w gardle.

Hetum, który siedział na tronie, w ogóle nie zareagował na widok konetabla.

Bezradny Sempad musiał więc się przyglądać razem z nim, jak mongolska delegacja rzuca się na posadzkę, by złożyć kotau — ale nie królowi, tylko Hamonowi L'Estrange.

Młody hrabia Otranto stał w ociekającej wodą szacie. Portki miał podarte, mokra koszula przylgnęła do jego piersi, jeden rękaw był rozcięty, a z rany na ramieniu sączyła się krew, zabarwiając płótno na czerwono. W rozchyleniu koszuli widać było amulet,*

skromny wschodni symbol szczęścia, wyrźnięty w bladozielonym jadeicie, dyndający na szyi Hamona na skórzanym troczku. Najstarszy rangą Mongoł — sądząc po jego buńczuku, dowódca manipułu — wpatrywał się w amulet i szeptał z najgłębszą czcią:

—

Tyś jest synem z domu Czagataja, wygasłej linii rodu. Tyś jest chung tajdzi,* jeden z potomków Wielkiego Kowala! Hamo, który z wyczerpania ledwo trzymał się na nogach, spojrział na Hetuma, jakby chcąc prosić o wybaczenie. Jednakże król, nękany wyrzutami sumienia, był zadowolony, że Hamo nie obwinia jego i Armeńczyków o próbę

zabójstwa. Zerwał się z tronu i zszedłszy do Hamona, zawołał:

— Wieczna przyjaźń z potomkami wielkiego Czyngis-chana! Właśnie chciał paść
niczym brat w objęcia swego znieawidzonego
gościa, ale Hamo nie dał się tak tanio kupić. Cofnął się, wskutek czego wyciągnięte
ręce Hetuma objęły powietrze. Następnie schylił się i podniósł przywódcę Mongołów.

— Udam się z wami do kraju moich przodków. Wtedy wstali także pozostali
Mongołowie.

— Czyngis-chan! *Er-e bogdal* — wykrzyknęli z zachwytem. I klaskali, dopóki Hamo
władczym gestem nie kazał im przestać.

— Będziecie mi towarzyszyć jako eskorta. Tym zręcznym sposobem oddał się pod
opiekę Mongołów, a pytanie o jego status stało się zbyteczne. Pojedzie do Karakorum,
a Armeńczycy, zarówno król, jak konetabl, będą mogli tylko mu towarzyszyć. Sempad
zazgrzytał zębami, lecz brat posłał mu pogardliwe spojrzenie, które upokorzyło go do
reszty.

—

Czy nie prosiłem was, konetablu—zapytał Hetum głosem słodkim jak miód

— żebyście odziali się odświętnie na przyjęcie naszych przyjaciół? Co stoi na
przeszkodzie...? To rzekłszy, pozwolił się Sempadowi oddalić.

— Hrabio Hamonie L'Estrange — ozwał się król aksamitnym głosem — nie
potrzebujecie już chyba swojej asysty. Moglibyście...

— Zatrzymam moich ludzi przy sobie — hrabia pokrzyżował jego plany — dopóki nie
znajdę odpowiedniego miejsca blisko granicy królestwa mojego narodu, gdzie ich

zostawię, by tam czekali, aż wrócę. Sądzę, że jest to po waszej myśli? Teraz z kolei król Hetum
zazgrzytał zębami. Uśmiechnął się jednak i jakby mimochodem mruknął: —

Jak sobie życzycie! Po czym rozstali się, by zarządzić przygotowania do wielkiej

podróży.

* *Aquis submersus* (łac.) — utonął w wodzie.

* *B o c h e n e k c h l e b a* — asasyni mieli zwyczaj zapowiadania zabójstwa, posyłając przyszłej ofierze ciepły chleb.

* Amulet podarował hrabinie w 1228 r. przed swoją egzekucją młody książę mongolski, który zapłodnił Laurencję z Belgrave, matkę Hamona; pochodził przypuszczalnie z rodu Czagataja (drugiego w kolejności syna Czyngis-chana, zamordowanego w 1242 r. przez asasynów).

* *Chung t a j d ż i* — mongolskie określenie członków domu panującego Czyngisydów.

II. O DUCHU ŚWIĘTYM I INNYCH DUCHACH

Z Kroniki Williama z Roebroku Karakorum,

w uroczystość św. Marka* A. D. 1254

Monseigneur Crean-Gosset z poważną miną i zaciśniętymi wargami zjawił się w naszej jurcie — chodzący wyrzut sumienia. Allanowi niech będą dzięki, mnicha nie było, lecz prawdopodobnie nie rzuciłaby mu się w oczy podwójna, a może nawet potrójna tożsamość tego pana, gdyż Crean doprawdy zachowywał się tak, jakby był moim spowiednikiem albo jak sam pewnie się uważał, moim opiekunem. Jeszcze nie zdjął podróżnego płaszcza, a już mnie napominał, żebym zawsze pamiętał o swym najpierwszym zadaniu. Przeorat wysłał mnie do Karakorum nie po to, bym porządkował wewnątrzkościelne sprawy Mongołów. Powinienem raczej doprowadzić do tego, żeby dzieci — nadal tak nazywał Rosza i Jeżę — co prędzej wyruszyły w drogę powrotną na Zachód. To samo powtórzył mi zresztą mój konfrater Barć, przy czym celowo wolał nie dostrzegać, iż dla Creana „Okcydent” to bynajmniej nie Okcytania Przeoratu, tylko Róża Alamutu,

która Bogiem a prawdą leży przecież daleko w głębi Orientu. Obaj mnie wręcz zaklinali, bym łaskawie pomyślał wreszcie, w jaki sposób dokonać uprowadzenia dzieci.

Uspokajająco i bardzo cicho, gdyż jurty mają uszy, odpowiedziałem, że uzależniam takie przedsięwzięcie od mego wyboru na patriarchę.

— Aha! — zawołali obaj, a ton ich głosu mówił: „Teraz się okaże! Dlatego uznałem, że powinienem jednoznacznie wyłuszczyć im swój punkt widzenia. —

Jeśli dojdę do

urzędu i tytułu u wielkiego chana, nie trzeba będzie uciekać się do intryg, bo wtedy uzyskam także miejsce i głos w radzie Mongołów i będę mógł współdecydować o losie pary królewskiej. A nie ulega wątpliwości, że wcześniej czy później rozpocznie się marsz na zachód.

— Właśnie dlatego — podjął Crean — nie możemy już mitrzyć czasu. Jest bowiem znaczna różnica, czy para królewska napadnie na „resztę świata” na czele Mongołów czy może się tam stać symbolem oporu, prawowitej korony Okcytanii! Chyba to trafia do twojej ciasnej minoryckiej czaszki...

— Aha — odpowiedziałem uszczypliwie — przechodzimy do rzeczy! Nie chodzi już zatem o to, co uosabiają Rosz i Jeza, tylko kto posadzi ich na tym tronie ognistym, kto wciśnie im na głowę tę koronę cierniową?! Zawsze uważałem, że Wielki Plan ma przed oczami cel, a nie drogę, wszyscy zaś wiemy, że Mongołowie stanowią jedyną potęgę zdolną pójść nią do końca i ziścić Wielki Plan!

— Williamie z Roebruku, na pewno jest wiele powodów — oświadczył łagodnie Crean, lekko się już jednak niecierpliwiąc — dla których Przeorat nie powołał cię dotychczas w swoje szeregi. Jednym z nich mógł być twój flamandzki upór. Dlatego też oszczędzę sobie daremnej próby przybliżenia ci wzajemnego oddziaływania na siebie drogi i celu. W twoim rozumieniu „sukcesem” jest już to, że taki spryciarz jak ty może się dochrapać

urzędu i godności zwierzchnika *Novae Ecclesiae Mongalorum*, bez

wątpienia jednak Przeorat nie zechce przyjąć pary królewskiej z twojej łaski.

---Ale z moich rąk przyjmie! — odparłem poirytowany tą głupią wyniosłością. Crean zaś,

ku mojemu zdumieniu, przyznał chłodno:

— Z całą pewnością! Tego oczekujemy od ciebie, właśnie tego, niczego innego!

— Sądźcie więc, że w ostatniej chwili niczym wściekły trzmiel rozerwę misternie

utkaną sieć, która dzięki „urzędowi i godności” umożliwi mi zapędzenie Mongołów może nie od razu na łono *Ecclesiae catholicae*, jedyne Kościoła dającego zbawienie, ale przynajmniej do wspólnoty Kościołów chrześcijańskich? Która pozwoli przekształcić *pax mongolica* w *pax Christi*, przyniesie prawdziwy pokój na świecie, wielkie pojednanie, a wtedy również nasza para królewska będzie mogła zająć swoje miejsce, czyli wstąpić

na tron? — ciągnąłem wściekły na tych upartych sekciarzy. — A dlaczego miałbym

siebie i dzieci, jak raczysz je nazywać, pakować teraz w jakąś groteskową przygodę,

której wynik jest niepewny, ale przebieg z pewnością niebezpieczny? W jakies

lekkomyślne, idiotyczne przedsięwzięcie, które świadczy jedynie o niesamowitej pogardzie dla ludzi?!

----Williamie z Roebroku, nie wymaga się od ciebie oceny środków, tylko wykonania zadania. Chyba nie sądzisz na poważnie, że Przeorat przeforsował, by wyprawiono cię

w charakterze posła...— Misjonarza! — próbowałem mu przerwać. Jednakże Crean

władczym gestem machnął tylko ręką. — ...u papieża i króla, żebyś ty tutaj, w stepie, uległ manii wielkości, a to dzięki zdobytej podstępem mitrze i picciu kumysu ponad

wszelką miarę. Misja, jaką ci poruczono, nie zmieniła się. Uległeś, Williamie,

niebezpiecznemu i idiotycznemu zresztą zamroczeniu świadomości!—zakończył swoje

kazanie.

Poparł go Barć, mój fałszywy brat zakonny. — Złota laska biskupia i skisłe kobyłe mleko! To rzekłszy, chcieli mnie już zostawić samego w mojej jurcie niczym obłąkańca,

lecz zawołałem jeszcze za nimi:

— Jeśli mój mózg jest zmacony, to wy łaskawie łamcie sobie głowę nad tym, jak obrócić w czyn swoje niedorzeczne plany. Ja, człek ograniczony na umyśle, nie widzę najmniejszej możliwości ich spełnienia!

Kiedy wyszli, uświadomiłem sobie, że i tak spróbują narzucić mi swoją wolę. Przeorat nie przywykł do tego, że ktoś sprzeciwia się jego rozkazom. Nawet gdybym chciał, nie dostrzegałem żadnej szansy wywiezienia dzieci z Karakorum. Poza tym nie były to już dzieci, a ja żywiłem poważne wątpliwości, czy Rosz i Jeza będą skłonni opuścić Mongołów wbrew ich woli. Dziwiło mnie także to, że Przeorat upoważnił Creana i Barca do podejmowania w jego imieniu takich decyzji. Za cztery, pięć tygodni nastąpią tutaj zmiany o wymiarze dziejowym. Wobec nich powinny ustąpić i zblednąć tak samolubne zachcianki, jak „My decydujemy, którą drogę należy obrać!” tudzież wybór, czy wzuć sandały czy trzewiki, podporać się kosturem żebraczym czy pastorałem biskupa bądź patriarchy!

Po ogłoszeniu chrześcijańskiego Kościoła państwowego Mongołów Rosz i Jeza powrócą tryumfalnie na Zachód jako prawdziwi królowie pokoju! Że też ci zaślepińcy nie widzą tego, nie dostrzegają tej jedynej szansy! Nie mogłem dać zbić się z tropu, choćby pomawiali mnie o skrajną śmieszność i głupią ambicję. Mój cel był w zasięgu ręki. Musieli być ślepi. Dla nich nie zejdem z obranej drogi — a już na pewno nie potknę się czy co gorsza, nie nadepnę na próg!

L. S.

Z tajnej kroniki Rosza Trencavela Karakorum,
w pierwszej dekadzie maja A. D. 1254

Moja królowa Jezabel i ja byliśmy razem z Williamem w jurcie kowalskiej mistrza Buchiera. Obecna była również pani Ingolinda z Me-tzu, lecz William zachowywał się tak, jakby nigdy nie była powolną mu ladacnicą, i zwracał się do niej „madame Pasza”.

Prowadzi ona mistrzowi gospodarstwo i zawsze przygląda się mnichowi z boku tak, jakby uważała to nawet za trochę zabawne. Mistrz Buchier nie daje nic poznać po sobie. Dyskutuje z Williamem o projekcie dającej się przewozić katedry z żelaza, srebra i złota. Podobnie jak w wypadku drzewa napitków wykonał wpierw model z drewna, pomalowany na różne kolory, naturalnie o wiele mniejszy, „w skali”, jak on to nazywa. Każdy fragment dźwigara, filara czy krzyżulca mierzy dokładnie jedną dziesiątą planowanej wielkości, ale już teraz budowla znacznie przewyższa drzewo napitków. Problemy stwarza zakotwienie poszczególnych elementów, z których żaden nie może być dłuższy ani cięższy, niż potrafi uciągnąć najpotężniejszy wóz zaprzężony w dwadzieścia cztery woły.

Siedziałem ze swoją damą w grocie, czyli w pomieszczeniu pod drzewem napitków, tam gdzie korzenie i zady lwów tworzą jaskinię, w której może się ukryć mężczyzna. To brzuchate pomieszczenie mistrz wypalił najpierw z gliny, z której wykonał potem formę odlewniczą. Grota była naszym ulubionym miejscem, a to za sprawą ciepła, które zawdzięczaliśmy glinianym ścianom i bliskości naszych przytulonych do siebie ciał. Kiedyśmy wystawili głowy, mogliśmy wszystko obserwować i słyszeć niczym wiewiórki ziemne, a zarazem błyskawicznie zapaść się pod ziemię, gdy nie chcieliśmy, żeby nas ktoś zobaczył. Pilnie śledziłyśmy dysputę, a teraz gwizdnięciem zwróciłem na siebie uwagę, nie opuszczając bezpiecznej budowli.

—

Długie filary powinny stanowić zarazem dyszle — zaproponowałem — a rozłożone części katedry inne elementy wozów. Mistrz uznał to za genialny pomysł, a Jeza dopowiedziała, iż nawet koła można by wykonać tak pięknie, że — powieszzone między krzyżulcami — mogłyby uchodzić za rozety. William nie posiadał się wprost z

radości, słysząc, że przyszło nam do głowy takie praktyczne rozwiązanie, a wtedy moja królowa wstała i oświadczyła z wyższością:

— Forma powinna dostosowywać się do możliwości konstrukcyjnych, a te do wymagań: całość musi dać się rozkładać na części dla celów transportu! --- Takiego kościoła świat jeszcze nie widział! — entuzjasmował się mistrz.

Pani Ingolinda dodała całkiem skromnie, że skoro wszystko jest z takiego ciężkiego metalu, to ściany i okna można by pokryć kolorowymi tkaninami, a na nich wyszyć ładne wizerunki świętych i aniołów.

— A nad ołtarzem Duch Święty będzie się unosił jako olbrzymia gołębica niczym orzeł z wiecznie błękitnego nieba — prychnęła moja *damma*, znana z niewyparzonego języka — co powinno ucieszyć Mongołów! Z gałązką oliwną w dziobie, czerwonym jak krew krzyżem na pokrytej białym pierzem piersi i z kulą trzymaną w szponach, która miałyby wyobrażać świat!

— Dokładne wykrojenie, zszycie i ozdobienie haftem tych płatów materii to zadanie dla kobiet. Jednakowoż Ingolinda, mój dobry duch, naprowadziła mnie na przedni pomysł. System jurty trzeba by zastosować także do katedry: możliwie jak najlżejsza konstrukcja ramowa pokryta materia!

Na to ja wynurzyłem się z jaskini, by zgłosić zastrzeżenia. —

Przy wiatrach

wiejących w stepie taki twór stawiałby za duży opór!

Albo katedra odleci — przewidywałem — albo jej żelazna konstrukcja będzie za ciężka.

Uważam, że pokrywająca materia powinna być rozpięta tylko w dolnej części, nad niskim pomieszczeniem, które będzie zapewniać wiernym osłonę i zachęcać ich do skupienia, a wtedy burze mogą przeciągać ponad jurtą.

W tym momencie wszedł Crean w towarzystwie Barca. Pan z Bourivanu, którego

mieliśmy nazywać „monseigneurem Gossetem”, odkrył nas, zanim zdążyliśmy się schować. Musiał słyszeć moje ostatnie zdanie, od razu bowiem jął sobie pokpiwać.

—

Ach, więc para królewska ukrywa się w mongolskiej jurcie, dopóki burze nie miną, zamiast poddać się swemu przeznaczeniu!

Na te słowa zerwała się siedząca obok mnie Jeza.

— Nie damy się wam sprowokować, monseigneur, a powrót do Alamutu wcale nie jest naszym przeznaczeniem!

— Nie damy się też wypędzić z namiotu Mongołów, bo Mongołowie są naszymi przyjaciółmi i udzielają nam gościny, za którą Jeza i ja jesteśmy im wdzięczni.

Oszczędźcie sobie prób przekonywania nas, że jest odwrotnie!

— *Apage, Satanas!** — zaklinającym tonem zwróciła się do kusiciela moja cudowna *damma* i wyciągnęła do mnie rękę. — Wstań, Roszu, idziemy! I nie zaszczyciwszy już Creana nawet jednym spojrzeniem, wygramoliliśmy się ze swojej groty i trzymając za rękę, opuściliśmy jurte.

— L. S.

Po takiej odprawie Crean uśmiechnął się kwaśno i wysłał za dziećmi Barca, żeby teraz on spróbował szczęścia. Mistrz Buchier, podobnie zresztą jak jego Ingolinda, był mocno speszony wyjściem dzieci bez pożegnania i próbował ukryć zmieszanie.

—

Słowa małego króla świadczą o wielkiej mądrości — pochwalił Rosza. —

Forma konstrukcji musi uwzględniać różne siły natury: śnieg, wodę i wiatr. Zawsze mówiłem... — zwrócił się do Williama — że zbuduję wam jedyną w swoim rodzaju świątynię, ale szkoda, że parze królewskiej przeznaczona jest korona władców i nie mogą poświęcić się swemu niepowtarzalnemu talentowi jako budowniczy, jako twórcy

cudownych dzieł. Dzięki ich ideom wielki chan, władca zasobnej i ludnej krainy, mógłby pokryć puste stepy i góry dziełami, o których Okcydent może tylko marzyć — westchnął — pod warunkiem że wykazałby się fantazją, jaka drzemie w Roszu i Jezie niczym dziedzictwo dawno zaginionego świata cudów oraz mitów. Buchier wpadł w prawdziwy patos, więc William mu odpowiedział:

— Ach, mistrzu, w czymże tu korona miałaby im przeszkadzać? Panowanie to niepewna obietnica. Oni chętnie pracowaliby z wami, radując pięknem rzeczy, które by wychodziły spod ich rąk. — Po czym dodał: — Rosz i Jeza zostaną przy was, dopóki nie dowiedzą się, dokąd mają iść, więc mogą przecież wykorzystać ten czas, by razem z wami...

— Nie dopuszczaj się przewinienia, Williamie z Roebruku — przerwał mu szorstko Crean — przez wspieranie takich wytworów rozpalonej wyobraźni. Los dzieci nie wypełni się w mongolskiej jurcie. Lepiej mu nie przeszkadzaj, skoro już nie chcesz pomagać. Moce niebios z całą pewnością nie dopuszczą do tego, żebyś swe żałosne ambicje stawiał ponad przeznaczenie pary królewskiej!

— Ha! — szydził William. — Długie ramię Przeoratu uważa już teraz siebie za moc niebios!

— Przeorat potrafi cię dopaść ziemskimi sposobami, jeśli nadal będziesz się wzbraniał. Także tutaj jesteś otoczony przez jego...

Franciszkanin spojrzał ze zdziwieniem na Ingolindę i mistrza. Oboje nie tylko nie spuścili wzroku, ale potwierdzili skinieniem, ochoczo okazując gotowość służenia ogólnoświatowemu sprzysiężeniu słowem i czynem. William nie mógł tego pojąć. No dobrze, właśnie sobie przypomniał, że Buchier już kiedyś oddał swoje mistrzowskie umiejętności na służbę Przeoratu, kiedy umożliwił Roszowi i Jezie ucieczkę do Alamutu.

Ale Ingolinda, jego dawna kurtyzana? Jak bardzo można się pomylić! Tajne

stowarzyszenie strażników Graala znów miało go w swoich szponach!

—

A co ty sądzisz? — zapytał William, nadal zdecydowany nie dać się zaprząć

do ich wózka. — Czy mogę się przyczynić do ziszczenia waszych planów? Crean nie

miał kłopotu z odpowiedzią.

— William z Roebruku, ksiązę Kościoła *in pectore* kompromituje się na dworze, a jednocześnie dzieci muszą zniknąć. Dokonanie tego nie będzie twoim zadaniem. Ale

gdy William, który popadnie w niełaskę, zostanie wydalony z kraju, musi przy okazji przewieźć potajemnie za granicę Rosza i Jeżę.

— Nic prostszego! — szydził William. — Plan jest niemal genialny w swojej

prostocie. Tylko że przeprowadzacie rachunki bez gospodarza — prychnął — i bez

dzieci. Słyszeliście wszak, że wcale nie mają zamiaru...

— Niechaj to wszystko będzie naszą troską, ty wykonaj tylko to, co do ciebie

należy... Naraz przywódca spisku urwał dziwaczny wywód, gdyż w drzwiach jurty

kowalskiej stanęło dwóch Mongołów, w których franciszkanin rozpoznał ludzi Bułgaja.

Przyszli zabrać monseignura Gosseta na przesłuchanie, tyle że nazwali to „życzeniem

rozmowy", a domagał się tejże nie najwyższy sędzia, tylko Dżuwajni, szambelan.

William przeraził się bardziej niż Crean, który podążył za mężczyznami bez

mrugnięcia okiem. Mnich powinien był właściwie odczuwać coś w rodzaju złośliwej

satysfakcji, ale natychmiast uzmysłowił sobie, jakie stąd wynikają konsekwencje dla

niego. Na pewno ich podsłuchiowano albo Buchier czy wręcz ladacznicą pracowali w

rzeczywistości dla tajnych służb. On nie miał sobie nic do zarzucenia. Jego słowa

świadczyły o odmowie, jeśli doniesiono już o planach ucieczki. Na podstawie tego, co

mówił, nie można było ukręcić mu stryczka. Franciszkanin opuścił jurkę kowalską zaraz

po nieszczęsnym Creanie. Z Buchierem i madame Paszą pożegnał się bardzo ozięble.

Szambelan oczekiwał Creana we własnej jurcie, stojącej tuż obok jurty jego pana Hulagu. Il-chan na czas pobytu w Karakorum był gościem swego brata Móngkego w pałacu poza bramami miasta. Kwatera Dżuwajniego wyróżniała się mniszą prostotą. Po rozwiniętym dywaniku moditewnym Crean poznał od razu, że ma do czynienia z muzułmaninem.

Dżuwajni przyjął „monseigneur” bez wielkich ceregieli. —

Allahu akbar —

powitał go. — Zakładam, że też oddajecie cześć Bogu, jak nakazuje nam nauka Proroka. To rzekłszy uklęknął, żeby odmówić modlitwę, zwracając się w stronę Mekki. Crean bez słowa uczynił to samo. Ukrywanie przynależności do wyznawców Mahometa byłoby w tej sytuacji niedorzecznością. Kiedy złożyli pokłony, Dżuwajni zwinął z powrotem dywaniki swój oraz gościa, nie wstał jednak z miejsca i kazał podać herbatę.

—

Fakt, że muzułmanin podróżuje w poselstwie króla, dowodzi szczególności jego osoby i zadania, które zapewne nie ma nic wspólnego z przybliżaniem nam, Mongołom, chrześcijaństwa szerzonego przez Kościół rzymski...? Zaczekał na odpowiedź Creana, ale ten nie ozwał się ani słowem. — Dopuszczam zatem myśl — ciągnął szambelan — że nie chodzi o honorową asystę dla Williama z Roebruku, lecz o inną, tajną misję. Jeśli pominę możliwość, że jesteście zamaskowanym asasynem, który pragnie zamordować naszego wielkiego chana, w rachubę wchodzi tylko para królewska jako powód waszej podróży. Crean nadal trwał w nieprzeniknionym milczeniu.

—
Brak odpowiedzi też jest odpowiedzią — uśmiechnął się Dżuwajni i
własnoręcznie nalał gościowi czarbkę gorącej herbaty z mosiężnego dzbana. Dodał kilka
listków świeżej mięty i parę kropli miodu pszczelego, zanim ostrożnie zamieszał. —
Jako że Roszowi i Jezie jest u nas dobrze, celem waszego przyjazdu może być tylko
uprowadzenie ich
stąd. Crean nawet nie otworzył ust.

—
Teraz — westchnął Dżuwajni — kiedy odsłoniłem wasze cele, jakbym
odrywał płatki róży, sam nie zamierzam chować się za zasłoną —oznajmił niemal
wesoło.—Problem mojego pana polega na tym, że jego brat Móngke wprawdzie obiecał
mu il-chanat perski, ale zwleka z rozpoczęciem wyprawy wojennej. Rozumiem wielkiego
chana: z jednej strony jest nieubłagane prawo natury mówiące, że należy trzymać stałe
wojsko w ruchu poprzez podboje, z drugiej zaś polityczna kalkulacja, że wszelka dalsza
ekspansja siłą rzeczy prowadzi w końcu do utworzenia pomniejszych chanatów, które
kiedyś się uniezależnią, muszą się uniezależnić od
władzy centralnej...

— Słusznie. — Crean wreszcie przerwał milczenie. — Batu-chan i jego Złota Orda są
dla niego ostrzeżeniem, do czego to prowadzi, kiedy się rozpęta siły...

— Właśnie tak! — potwierdził szambelan. — Ale także mój pan Hulagu dąży do
utworzenia takiego chanatu. Pod najwyższym zwierzchnictwem wielkiego chana, lecz
dostatecznie daleko, żeby spokojnie rządzić takim państwem jak Persja.

— A co przeszkadza potężnemu panu Hulagu?

— Knowania Williama z Roebru ku mogłyby mu przeszkodzić — szambelan wypuścił

kota z worka. — Chrześcijański Kościół Mongołów mógłby znaleźć powszechny konsens i zjednoczyć państwo, a nawet przez swych kapłanów rządzić całym terytorium aż po ostatni zakątek. A jeśli potem połączyłby się z innymi Kościołami chrześcijańskimi, to gdzie wtedy mają być głoszone słowa Proroka? Znana jest chrześcijańska nietolerancja. Słyszałem o instytucji, którą zwa Inkwizycją...

— Której słusznie należy się obawiać — westchnął Crean — jeśli nie jest się po jej stronie. Jednakże jej nieubłagana surowość nie zwraca się przeciwko „poganom” jak my, wyznawcy Proroka, tylko przeciw odstępcom wywodzącym się z własnych szeregów. O wiele bardziej winniście się obawiać fałszywej, lepkiej jak breja miłości bliźniego, która zdolna jest zdusić wszystko, co dzisiaj czyni Mongołów silnymi...

— I tak samo pewnie wyprawę mojego pana Hulagu! — Dżuwajni z zapalem pokiwał głową, Crean zaś ciągnął:

— Należy zatem udaremnić założenie *Novae Ecclesiae Mongalorum*, stając Williamowi na drodze do stolca patriarchy?

-Pojmuję! — wykrzyknął szambelan. — Jeśli gruby franciszkanin wypadnie z łask wielkiego chana i ten nie będzie już mógł poić go swymi ideami, i przestanie snuć mrzonki o budowlach kościelnych pośród stepu, wtedy Móngke rychło zapomni o przeznaczonej mu roli nowego Boga Ojca i powróci do swoich zwęglonych kości baranich!

— A jak chcecie zestrzelić braciszka pijusa z patriarszego tronu? Dżuwajni bezradnie wzruszył ramionami.

— Zdradzę wam sposób — oświadczył Crean. — Nie zdołacie tego dokonać za pomocą potężnej katapulty, jaką jest polityka światowa, lecz za pomocą małych ostrych strzał wysyłanych każdego dnia w otoczenie wielkiego chana. William jako założyciel

Kościół stanie się wicherzycielem w polityce wewnętrznej...

— Musi się stać — zgodził się Dżuwajni. — Możemy urządzać porównawczą dysputę religijną wobec oczu i uszu wielkiego chana. Albo William skompromituje się do imentu... --- ...albo zatryumfuje jako zwycięzca, a wtedy ściągnie na siebie nienawiść bałwochwalców i szamanów. Oni już postarają się, żeby grób...

— ...albo i nie — poddał pod rozwagę szambelan — i będzie miał u chagana jeszcze większe łaski niż wcześniej! --- W takim razie sięgniemy po inne środki — oznajmił mimochodem Crean. Dżuwajni popatrzył w zamyśleniu na swe *vis-d-vis*, studiując po-dziobaną przez ospę twarz o smutnych oczach.

—

Można by sądzić, monseigneur Gosset, że nie tylko jesteście potajemnie oddani mahometanizmowi, lecz na dodatek podzielacie izmailicką błędną naukę, wyznawaną przez przeklętą sektę asasynów.

— Jeśli nie wystarczają słowne perswazje, do rozwiązania może się przyczynić sztylet

— rzekł Crean, składając na pożegnanie niski ukłon. W drodze do jurty Williama spotkał roztrzęsioną panią Ingolindę Paszę. Opowiedziała mu, że jej pan Guillaume Buchier, kowal artystyczny, nagle ciężko zachorzał. Nie zastała Williama ani Barca, natomiast mnich armeński skory był do pomocy. Crean zaofiarował się, że odwiedzi chorego, i od razu podążył za gospodynią. Rezydencja najmłodszego brata chagana znajdowała się w dzielnicy pałacowej poza murami Karakorum. Wielkiemu chanowi Móngkemu zależało, żeby Aryk Bóge, któremu przekazał rządy w chanacie centralnym i którego uważał za swego następcę, był zawsze w pobliżu. Ma się rozumieć, że nie za blisko.

Dowodziły tego choćby mury oddzielające i wieże, jak również strzeżona brama, jedyne wejście prowadzące z dużego placu do rezydencji następcy tronu. Oficjalni goście mogli wchodzić tylko tędy. Jeśli przeprowadzano ich do Aryka Bóge przez położone z tyłu

budynki gospodarcze, ludzie Bułgaja meldowali o tym niezwłocznie, ponieważ można było domyślać się spisku. Rosz i Jeza, dla których Barć prosił o audiencję, zostali poprowadzeni do Aryka Bóge z wszelkimi honorami, gdyż również książę następcy tronu był ogromnie zainteresowany nawiązaniem kontaktów z parą królewską.

Rosz i Jeza chcieli właściwie tylko rozeznąć się po kryjomu, co mogą zrobić dla Szirat, jej uwolnienie leżało im coraz bardziej na sercu w miarę upływu czasu, w którym ani trochę nie zajmowali się losem niewolnicy. Już od dwóch lat przebywali u Mongołów, Szirat jeszcze dłużej, i jeśli nawet nie wyparli z pamięci losu mameluckiej księżniczki, to co mieli zrobić, żeby Hamo mógł wziąć ponownie w objęcia swą żonkę? Poza tym przyzwyczaili się do mongolskiego poczucia czasu, lubili odwlekać ważne decyzje — jak Móngke o wyruszeniu na wyprawę wojenną, którą obiecał Hulagu, żeby podbić Persję, a może nawet jeszcze „resztę świata”. To wahanie z kolei dodawało otuchy Arykowi Bóge, który chętnie przyjął „zaproszenie” tego frankijskiego króla Ludwika, by pośpieszył na pomoc chrześcijanom w Ziemi Świętej. Albowiem choć jego starsi bracia — obaj nie kryjąc, że robią to we własnym interesie — nie pochwalali jego planów, Aryk Bóge czerpał nadzieję z niezrozumiałych źródeł. Zaliczał do nich również dzieci.

Sala audiencyjna młodego chana nie miała w sobie nic z pompatyczności. Dzięki zastosowaniu drewna zamiast kamienia i marmuru emanowała przyjemnym ciepłem. Również miejsce, na którym spełniał funkcje reprezentacyjne, nie było podwyższone aż do nieprzystępności, tylko znajdowało się na średniej z trzech wznoszących się tarasowato empor, a stanowiło je kilka wygodnych posłań, które Aryk Bóge dzielił ze swymi żonami i przyjaciółmi. Dla sprawowania obowiązków rządowych udawał się do sąsiedniego pałacu brata, dzięki czemu jego własna rezydencja zachowała charakter

prywatny.

Przed wejściem do sali obszukano pobieżnie Barca, czy nie ma broni, w wypadku pary królewskiej strażnicy zaniechali rewizji. Potem poprowadzono wszystkich troje po stopniach na górę i poproszono, by spoczęli z boku na siedzeniu w kształcie podkowy. Z tłumacza Rosz i Jeza rezygnowali już od pewnego czasu. Wystarczająco przyswoili sobie język Mongołów, także Barc potrafił się nim posługiwać — jakkolwiek dość kulawo. W niżej położonym środku pomieszczenia płonął pod trójnogiem ogień, na którym podgrzewany był ciągle kociołek z zupą, natomiast zimne napoje w dzbanach i czarkach stały blisko wejścia. Barc zażyczył sobie czerwonego wina, dzieci zadowolily się bulionem.

Aryk Bóge nie rozpoczął rozmowy od oceny sytuacji na Zachodzie ani od oczekiwań żywionych wobec Okcydentu, tylko od prośby, by para królewska wyjaśniła mu własne plany wobec „reszty świata”, kiedy ta dostanie się w posiadanie Mongołów. Ku jego zdziwieniu to Jeza zabrała głos.

—

Jestem zdumiona i mój pan i król — tu wskazała Rosza, który na znak

aprobaty skinął jej głową — na pewno nie mniej, z jaką oczywistością Mongołowie

mówią o „posiadaniu” Zachodu. Nie mówię „podboju”, bo ten może się powieść tylko na krótką metę, okupiony potworną ofiarą z krwi i kosztem ogromnych zniszczeń, ale

„posiadanie”? — Jeza zmierzyła wzrokiem młodego chana. — Jesteście młodzi,

młodziutki naród pełen siły. Ale jest to siła czysto wojenna, dzięki niej ujarzmiście

dotychczas tylko inne, podobne do was ludy koczownicze. W „reszcie świata” zetkniecie się z ludźmi, którzy wiodą osiadły żywot w swoich państwach od tysiąca lat. Nie będę

wam opowiadać o rycerstwie i stanie kupieckim, o zamkach zakonnych i portach

morskich, o Kościele z papieżem i jego kardynałami, o katedrach w miastach,

opactwach na wsi, o cesarzach i królach wraz z pałacami, rezydencjami i twierdzami.

Będę

natomiast mówić o królestwie ducha, o świecie, w którym rządzi duch i ludzie wielcy duchem. Nauczają oni w szkołach i na uniwersytetach, a ich wiadomości, wiedza świata i o świecie, przechowywane są w wielkich bibliotekach. Armia studentów, *professorum** i mnichów, którzy służą wyłącznie duchowi w kolegiach i cichych klasztorach, oto prawdziwy Zachód! — zawołała płomiennie Jeza i wyprostowała się niczym kapłanka.

— A wy chcecie wszystko „wziąć w posiadanie”?! Kobiety Aryka Bóge nagrodziły ją oklaskami. Jeza zauważyła, że Szirat pierwsza zaczęła bić brawo. Aryk Bóge roześmiał się i zwrócił do swego otoczenia: — Tak przemawia królowa! Spotkało nas wielkie szczęście. Dziękuję Tengriemu, wiecznemu panu sklepienia niebieskiego, że dał mi tę łaskę, iż mogę słuchać z powołanych ust takich pięknych i wielkich słów o części świata, która nie podporządkowała się jeszcze naszej władzy, a mianowicie o krajach zachodnich. Tym bardziej będę ich teraz pragnął!

Rozpromienionym wzrokiem popatrzył na Jeżę i Rosza, jakby oczekiwał teraz, że natychmiast spełnią jego życzenie i złożą mu ów Zachód w hołdzie. Jednak Rosz zaśmiał się młodemu chanowi prosto w oczy, żeby go nie wyśmiać.

—

To brzmi już lepiej! — zawołał. — Możecie ubiegać się o Zachód jak o narzeczoną; jeśli weźmiecie ją jako niewolnicę, z pewnością nie będziecie z niej zadowoleni!

Niepotrzebnie zerknął przy tym prędko na Szirat, co nie ukryło się przed Arykiem Bóge. Mamelucka księżniczka w odpowiedzi pokręciła głową, a zmieszany Rosz spieszenie brnął dalej:

—

Okcydent posiada dwie armie, które staną wam naprzeciw, i zamki, które będą zdolne wam się oprzeć, ale nie potrzebuje ich, żeby was pokonać. Jeśli jego władcy, cesarz i królowie, będą mądrzy, to zaniechają stawiania wam oporu i przyjmą was jako gości. Kiedy wkroczycie do krajów zachodnich, ulegniecie ich czarowi: przestaniecie być Mongołami, wasza siła omdleje niczym skrzydła ptaka, który wzbił się zbyt wysoko w rzadkie powietrze sklepienia niebieskiego. Nie pozbędziecie się już duchów, o których mówiła królowa. Zapomnicie o stepie, wyprzecie się własnych bogów, a na koniec również swojego mongolskiego dziedzictwa!

To wielkie niebezpieczeństwo, które będzie wzrastać w miarę, jak będziecie posuwać się na Zachód. Po tych słowach nikt już się nie śmiał, również Aryk Bóge milczał zaskoczony. Po dłuższej chwili młody chan wziął się w garść i odpowiedział:

— Do tej pory nie oparła się nam żadna potęga na świecie. Co sprawia, że Okcydentu nie da się pokonać, oczywiście jeśli macie rację, mój królu?

— Do tej pory nie wkroczyliście też na terytorium owych wielkich duchów. Wiem, że nikt nie może wam przeszkodzić w uczynieniu tego kroku. Wspomnijcie moje słowa, kiedy go uczynicie.

— Chcecie przez to powiedzieć, że Mongołowie mogą nie zakończyć zwycięsko tej wyprawy wojennej?

— Założyłem — pouczył go ostrożnie Rosz — że „cesarz i królowie będą mądrzy”. Ale nie są, w przeciwnym razie to oni byliby panami świata, a nie Mongołowie. Są skłóceni i daleko im do zjednoczenia takiego jak was, Mongołów, pod rozkazami jednego władcy. Należy się też obawiać, że pozostaną w niezgodzie i nie będą wam stawiać oporu. Wtedy Zachód obróci się w perzynę, a duchy zostaną przepędzone ze swego królestwa, wypłoszone niczym nietoperze...

— Ale nawet wtedy — wpadła mu w słowo Jeza — wprawdzie będziecie mogli odnosić jedno zwycięstwo za drugim, ale nigdy Zachodu nie pokonacie! Jego duchy przeżyją; ich nie możecie ujarzmić, ponieważ nie można ujarzmić wielkich duchów. Przeciwnie, to one będą rządzić wami we wszystkim, co robicie.

— A więc nam odradzacie?

— Napominamy was, abyście byli ostrożni. A mówiąc to, nie mam na myśli strachu czy wręcz tchórzostwa! — oświadczył z powagą Rosz. — Zbliżajcie się do Okcydentu tak, jak nocą poruszacie się do przodu w terenie. Rozróżniajcie tych, których napotkacie. Kiedy wielki chan przemawia do mnie, odzywa się głos Mongołów. Zachód nie przemawia jednym głosem. Spotkacie przyjaciół i wrogów, i takich, którzy będą udawać, że są waszymi przyjaciółmi. Będziecie musieli poszukać sobie sprzymierzeńców. Nie możecie oczekiwać, że wszyscy władcy złożą wam hołd, na pewno nie uczynią tego papież ani cesarz i na pewno nie każdy król, który złoży wam hołd, okaże wam przyjaźń.

—

Ale król Franków, który przysłał do nas swego księcia biskupa Williama z Roebruku...

Obraz świata Aryka Bóge uległ takiemu zachwianiu, że młody chan uczeplił się jak ostatniej nadziei krąglutkiego franciszkanina. Wtedy Barć poczuł się wezwany do powiedzenia paru słów.

— Z pewnością składanie hołdu komukolwiek nie jest zamiarem króla Ludwika jako namaszczonego przez Boga króla Francji. Nawet jako jeniec w obliczu śmierci odmówił tego sułtanowi Kairu. Mimo to zalecałbym wam zabiegać o jego przyjaźń. — Barć dostrzegł swoją szansę. — I w tym celu powinniście wykorzystać Williama z Roebruku.

Moglibyście odesłać go z powrotem z propozycją pomocy, i to zanim jeszcze rzucicie się w wir niepewnej wyprawy na Zachód. Kiedy wyruszyacie, powinniście wiedzieć, że macie tam wiernego sojusznika.

— Mamy już króla Armenii — oświadczył tryumfalnie Aryk Bóge który złożył nam nawet hołd! Barć uśmiechnął się wyrozumiale.

— Mówiliśmy o wielkich przywódcach — rzekł cicho — o tych, którzy mają miejsce i głos w radzie duchów, których słowa liczą się bardziej niż ich siła zbrojna. Naprawdę niewielu jest takich!

— Uważam — zawołała Jeza — że wy, Aryku Bóge, sami, bez armii, a jedynie z okazałym poselstwem odpowiadającym waszej randze, powinniście podjąć podróż na Zachód i na miejscu przekonać się, że wszystko, cośmy wam powiedzieli, jest prawdą, chociaż na pierwszy rzut oka nie odpowiada światu widzialnemu. My, dzieci Graala, królewska para władców niewidzialnego królestwa, wiemy, o czym mówimy. Jesteśmy tylko pośrednikami. Sami musicie zobaczyć, co czeka was na Zachodzie...

— A jak zostanę przyjęty?

Z ostrożnością! — odparł Rosz. — No bo jakże inaczej? A równocześnie życzliwie i z wielkim zaciekawieniem.

— A ja... — Aryk Bóge nie potrafił ukryć niepewności — ...ja nie będę musiał nikomu składać hołdu?

— Nie! — oznajmiła Jeza. — Nikt tego nie będzie wymagał. Po co zresztą? Młody chan umilkł na chwilę stropiony, po czym wyznał otwarcie:

—

Zamąciliście mi w głowie. Zatem proszę, zostawcie mnie teraz samego!

Muszę się nad wszystkim zastanowić. Rosz i Jeza podnieśli się z miejsc, dając również znak Barcowi.

Chętnie bym z wami znowu porozmawiał — rzekł Aryk Bóge i zszedł po stopniach do Rosza i Jezy, którzy stali już pośrodku pomieszczenia. — Życzyłbym sobie pogłębienia tych myśli. Otworzyliście mi oczy na inny świat. Teraz muszę wyostrzyć zmysły. Zaszczycie mnie niebawem ponowną wizytą! Jeszcze nie odzyskał panowania nad sobą, gdyż osobiście odprowadził gości do drzwi. Niewiele brakowało, a na pożegnanie jeszcze by się uklonił Roszowi i Jezie.

Z tajnej kroniki Rosza Trencavela

Karakorum, w drugiej dekadzie maja A. D. 1254

Pojechaliśmy razem z Barcem z powrotem do miasta. Już od pewnego czasu podejrzewałem go, że pociąga za ten sam sznurek co Crean, może z tą niewielką różnicą, że niezbyt był zainteresowany odstawieniem nas na powrót do Alamutu; zasadniczo chciał nas tylko odstręczyć od Mongołów, żebyśmy nie zostali u nich dłużej. I gdy teraz Jeza, jak można było się spodziewać, zaczęła nalegać, żebyśmy koniecznie zrobili coś dla uwolnienia Szirat, on twardo sprzeciwiał się takim planom. Pewnie z obawy, że mogą jeszcze tylko pogorszyć sytuację. Kiedy jednak zmiarkował, że moja *damma* w swej szlachetności nie da się odwieść od planu połączenia z powrotem Hamona i jego żony, franciszkanin nagle wpadł w dobry humor i jął zgłaszać zupełnie bezsensowne, wręcz idiotyczne propozycje. — Czyście zauważyli, jak Mongołowie lękają się duchów? Powinniście oblec się na biało i jako szamani wtargnąć do pałacu, nikt by was nie zatrzymał — poradził Jezie. Posłała mu takie spojrzenie, że z miejsca zamilkł.

Nie sądzę, żeby Mongołowie mnie zrozumieli. To raczej wy, panie Barcu,

myśleliście o duchach, kiedy mówiłam o *spiritus occidentis*. * Przez te ciągle maskarady sami wkrótce nie będziecie już wiedzieć, którą ze swoich twarzy chcecie właściwie

pokazywać Mongołom. Mały mnich wykrzywił wargi w uśmiechu, nie poczuwając się do żadnej winy.

— Moja powierzchowność podlega metamorfozom, lecz moje serce pozostaje wam oddane. Wyście są moimi panami. I jeśli zechcecie wziąć ze sobą młodą hrabinę Otranto, będzie to także moim zadaniem.

— A kto powiedział, że chcemy odejść? — spytała natychmiast podejrzliwie Jeza. — Crean musi sobie wybić z głowy, że koło naszej historii można obrócić do tyłu. Alamut leży za nami! Róża jest częścią naszej przeszłości, nie jest zaś naszą przyszłością, a już na pewno naszym przeznaczeniem.

— Tylko co? — Na Barcu te słowa nie zrobiły żadnego wrażenia. — Na przykład zejście z drogi wyznaczonej przez Wielki Plan, żeby mimochodem podnieść złamany kwiat i zanieść go z powrotem do Otranto?

Nie mogłem się pozbyć przeczucia, że pragnie nas sprowokować, a Jeza wchodziła w tę prowokację obiema nogami.

—

Nie możemy dać sobie nałożyć królewskiego płaszcza, kiedy przestaniemy słyszeć wołanie o pomoc młodej kobiety i matki tylko dlatego, że nie konweniuje to możliwym tego świata. Jeśli Mongołowie nie uwolnią Szirat, niesłusznie trzymanej w niewoli, ja też nie chcę być intronizowana z ich łaski! Co znaczy korona świata, jeśli nie potrafi czynić żadnego dobra i zamyka oczy na niesprawiedliwość!

Barć westchnął i popatrzył na mnie, jakby chciał powiedzieć: „Ach, te kobiety!”

Absolutnie nie pozwoliłem mu jednak na ten odruch męskiej konfidencji. — Jeśli pragniecie służyć królowej — przywołałem go do porządku — to ułóżcie rozsądny plan

w celu uwolnienia i odprowadzenia do domu hrabiny Otranto, ale żeby to nie był duch, który straszy, odziany w białe prześcieradła!

Propozycja ta nie przypadła do gustu franciszkaninowi. --- Moim zdaniem — zaprotestował łagodnie — byłoby łatwiej, gdybyście dali się najpierw koronować. Wtedy moglibyście z monarszą godnością zarządzić...

— Wiecie, nie, wy nie wiecie, mnichu, ile cierpienia oznacza dla Szirat każdy dzień rozłąki! — ofuknęła go Jeza. — Tak mogą mówić tylko eunuchy lub biedni starzy duchowni, którzy wyrugowali miłość ze swojego życia. Dlatego lepiej trzymajcie się z dala od tego ryzykownego przedsięwzięcia. Uwalnianie szlachetnych dam to rzecz rycerzy, a ja wezwę swojego! Moja królowa spojrzała na mnie z dumą, ja zaś mogłem tylko posłusznie skinąć głową.

Barć oczywiście miał rację, gdyż do zabaw rycerskich potrzeba dwóch i ci dwaj, z dobrej woli i ożywieni tym samym duchem, powinni podporządkować się regułom. A

Mongołowie nawet ich nie znali! Ale gdy moja *darnina* nabije sobie czymś swoją piękną, śmiałą głowę, wtedy pozostaje tylko „spuścić przyłbicę” i do boju! W przeciwnym razie sama gotowa jeszcze wskoczyć na siodło!

L. S.

Aryk Bóge odprawił z sali audiencyjnej wszystkie swoje kobiety, nałożnice i kochanki, tylko Szirat kazał pozostać. Nie potrafiła odgadnąć, czy to dobry czy zły znak,

częstokroć bowiem najmłodszy z chanów zupełnie niespodziewanie wpadał w gniew.

Wiedziała, że kontakt wzrokowy pomiędzy nią a Roszem nie pozostał niezauważony.

Jak na Mongoła Aryk Bóge był dosyć szczupły i wąski w biodrach, w każdym razie w

odróżnieniu od swoich braci, mężczyzn przy tuszy. Miał także wyższe czoło i

delikatniejsze ręce. Charakterystyczną cechą najmłodszego dziecka księżnej

Sorkaktani była pewna chwiejność. Wszystkim czterem synom obca była naturalna

pogoda umysłu, jednakże Aryk Bóge zdradzał skłonność do melancholii.

Szirat nie straciła prawie niczego z dziewczęcej gracji ani przez macierzyństwo, ani przez trwającą już ponad dwa lata rozłąkę z młodym małżonkiem i córką, która wtedy ledwo przyszła na świat. Urowadzenie i niewola nie pozostawiły na niej żadnych

śladów, ponieważ sama wychowała się w haremie i czuła się po prostu przeniesiona w czasy dzieciństwa i młodości, a nie niewolnicą. Posługując się niewieścim wdziękiem i chłodnym rozumem, zawsze robiła to, co w jej sytuacji aj lepsze, ponieważ wcześniej nauczyła się traktować osobno serce i ciało, dzięki temu nie była dla Aryka Bóge pierwszą lepszą niewolnicą, tylko przyjaciółką, której mógł powierzyć swoje zmartwienia.

— Szirat, wiele opowiadałaś mi o swych przyjaciółach Roszu i Jezie, parze królewskiej

— powitał ją z lekką ironią.—A oni zachowywali się tak, by cię nie znali.

— Nie wiedzieli, jak się zachować. — Broniła bardziej zaatakowanych niż siebie

samej. — Rzecz jasna, nawykli są do witania się ze mną w beztroski sposób, ale tutaj obawiali się pewnie, że wasza niechęć może się zwrócić przeciwko mnie.

— Jak mógłbym odmówić parze królewskiej, gdyby zażyczyła sobie przywitać się z tobą?

— Dobrze wiecie, że Rosz i Jeza inaczej odczuwają i myślą o pewnych sprawach.

Dla nich jestem żoną ich przyjaciela Hamona i czują się zobowiązani do działania na moją rzecz. Prawdopodobnie układają teraz plany wyswobodzenia mnie z niewoli.

— Tak przypuszczasz — zasmucił się Aryk Bóge — czy życzysz sobie tego?

— Wiem to — odrzekła Szirat — gdyż wiem, jak myślą i czują. Mimo całego

doświadczenia nabytego na Wschodzie, na zawsze pozostaną przywiązani do

rycerskich ideałów Zachodu. Reprezentują Okcydent w najczystszej postaci. Rosz i

Jeza są królami Graala, ale również dziećmi swoich *lais d'amor*, * zasad miłowania, które w sposób swobodny określają stosunek między rycerzem a damą. Ja z racji

mameluckiego pochodzenia poznałam ową swobodę młodej kobiety dzięki

szczególnemu szczęściu, krótkiemu szczęściu...

— Ale tęsknisz za tym, pragniesz, żeby to wróciło. — Aryk Bóge nie zostawił jej czasu na odpowiedź, która mogłaby mu się nie spodobać. — Ja cię uszczęśliwię — rzekł zdecydowanym tonem. — Uczynię cię moją żoną!

Jeśli się spodziewał, że Szirat rumieniąc się spuści teraz oczy lub przynajmniej drobnym gestem okaże satysfakcję, że oto może zostać chatun, żoną chana, to spotkał go srogi zawód. Bynajmniej nie wybuchnęła płaczem, całkowicie nad sobą panowała. Niemal uwodzicielsko podeszła do niego.

—
Najdroższy — ozwała się cicho — to zaszczyt, który przysługuje księżniczce krwi mongolskiej. Zachowajcie go dla związku, którym wzmocnicie potęgę swojego chanatu. Pozwólcie mi pozostać dobrą doradczynią dla waszych myśli, czułą przyjaciółką dla waszego serca i namiętną hurysą dla waszego ciała! To rzekłszy, oplótła go ramionami i przycisnęła niespiesznie do siebie, dopóki nie poczuła, że jego ciało jest posłuszne jej woli. Mimo to Aryk Bóge wyrwał się z jej objęć.

—
Nie chcę doczekać chwili, kiedy mnie opuścisz i odejdiesz, bo para królewska podaruje ci wolność. Szirat nie dała się odtrącić.

— Wolność kochania was, Aryku Bóge — znów panowała nad sytuacją, jej dłoń ześlizgnęła się w dół jego ciała, a on się poddał — tę wolność zawsze brałam sobie sama. Do tego nie potrzebuję małżeństwa z wami ani interwencji pary królewskiej...

— A więc nie chcesz mnie poślubić? — westchnął. Szirat pociągnęła go w dół do siebie, na miękko wyściełany tron.

— Nie chcę postradać mego uczucia do was, wybierając status, który nie służy
naszej miłości... — Przyjęła go między swoje uda i opadła na poduszki. — Kocham was
— szepnęła ochryplym głosem, wzmagając jego podniecenie. — I wy powinniście mnie
kochać za każdym razem tak, jakby to był pierwszy i ostami raz. Jestem waszą kobietą
— jęczała pośród jego pchnięć. — Nigdy więcej nie proście, żebym oddała wam rękę,
jeśli nadal pragniecie posiadać moje łono...

— Pragnę cię! — ryknął Aryk Bóge, dźwigając tułów w odruchu najwyższej rozkoszy.
— Możesz dostać ode mnie wszystko, wszystko! ---Wzmógł wysiłki, aby szybko dać jej
rozkosz, której sam doznawał.

— Ale zostań przy mnie! Bez sił osunął się na łędźwie Szirat. —

Przecież jestem

przy tobie — szepnęła miękko, odgarniając mu

włosy ze spoconego czoła.

Z Kroniki Williama z Roebruku

Karakorum, w uroczystość św. Wenancjusza* A. D. 1254

Stan mistrza Buchiera, który cierpiał na chorobę dróg oddechowych, nadal się nie
poprawiał. Ingolinda prosiła mnie usilnie, bym do niego zajrzał. Kiedy go odwiedziłem,
zastałem człeka zupełnie opadłego z sił i smutnego, natomiast jego oddech wcale już
nie był rżący. Zapytałem, co pani Ingolinda podaje mu na wzmocnienie, on zaś
wyznał, że mnich kazał mu pościć i dał do picia to, co sam pije. Wierząc, że to woda
święcona, wychylił dwie pełne czarki. Rozsierdzony wylałem resztę kwaśnej mikstury —
to womityk w najczystszej postaci! — i przykazałem Ingolindzie, nie wpuszczając już
mnicha do jurty, a swemu panu ugotowała posilnego rosółu. Od Armeńczyka
zażądałem wytłumaczenia jeszcze tego samego dnia obecności brata Barca.

— Albo zachowuj się jak apostoł — zrugalem go — i dokonuj cudów przez moc Ducha

Świętego, albo działaj jako *medicus* zgodnie z zasadami sztuki leczniczej! Byłem tak wściekły, że Sergiuszowi mowę odjęło. Z nienawiścią w oczach wpatrywał się tylko we mnie.

— Jeśli jeszcze raz, szarlatanie, przyłapię cię na tym, że udajesz lekarza, a przecież nie jesteś też kapłanem, wtenczas poproszę Bułgaja, żeby zajął się tobą!

Wiedziałem, że sam muszę się mieć przed nim na baczności, gdyż z powodu swego czarodziejskiego napoju cieszył się wśród Mongołów dużym poważaniem i znaczył prawie tyle co szaman obdarzony władzą nad życiem i śmiercią. A czy był wyświęconym kapłanem czy nie, tutaj takie kwestie nikogo zbytnio nie obchodziły. Barć popatrzył na mnie, marszcząc czoło, kiedy Armeńczyk, pobladły z gniewu, wyszedł z jurty bez słowa.

—

William z Roebruku — powiedział na swój pogodny sposób, otwarcie mówiąc, co myśli — robi sobie wrogów, gdzie tylko może. Bardzo roztropnie, w przeddzień wielkiej dysputy religijnej wyznaczonej przez chagana. Tak oto pan patriarcha *in spe** może być pewien, że zostanie zaatakowany także przez obóz chrześcijański, do którego Armeńczyk -- mniejsza o to, czy szarlatan czy kapłan — zalicza się bez wątpienia! -- Barć uśmiechnął się krzywo ze złośliwą satysfakcją. — Jakby nie wystarczało zawziętych i nieprzejednanych przeciwników w osobach przedstawicieli Koranu, nauk Buddy i bałwochwalców!

Omam nie zapomniałem o tej publicznej dyspucie. Móngke, bezstronny wobec różnych wyznań, wyobrażał sobie pewnie, że będzie to raczej coś w rodzaju wygodnego porównania religii, podczas którego każe sobie jeszcze raz zaprezentować, niczym kupiec na bazarze, rozmaite zebrane oferty, zanim zdecyduje się, jakie

ingredencje weźmie do swej *Novae Ecclesiae Mongalorum*, a następnie przekaże je mnie, swemu naczelnemu kucharzowi, abym łaskawie je zmieszał i przyrządził potrawę.

Obraz ten przyszedł mi, ku mojej irytacji, na myśl, zanim jeszcze Barć mnie zagadnął, więc powiedziałem:

—
*Unam sanctam!** Nie obrządek jest ważny, tylko przeforsowanie wiary chrześcijańskiej u Mongołów! Nie zrażę do siebie nestorian, a nawet w duchu braterstwa stanę naprzeciwko Sergiusza, jeśli ów otrzyma zgodę na przemawianie w imieniu swego Kościoła. Ostatecznie nawet muzułmanie i łyse czaszki wierzą w jednego i tego samego Boga. Tylko bałwochwalcy błędzą, oddając cześć różnym bóstwom! --

Także do nich możesz się zbliżyć, wielki mieszaczu — szydził Barć. — Sprzedaj im

Trójcę Świętą, Ojca, Syna i Ducha Świętego, jako osobne istoty boskie, do tego jeszcze Maryję, raz jako dziewicę, raz jako *Matrem Dolorosam*,* a chętnie do ciebie dołączą, widząc, że nadal mogą oddawać cześć wielu bóstwom!

— Obca mi twoja złośliwość — upomniałem go. — Tolerancja to najwyższe przykazanie Kościoła mongolskiego; co do tego zgadzam się z wielkim chanem.

Musimy mieć boski pokarm dla wszystkich, nikogo nie wolno odsuwać od błogosławieństw!

Wtedy dopiero brat Barć zaczął ze mnie szydzić.— Weź spaloną kość baranią szamanów, ugotuj ją w rosole odzianych

na żółto łysielców, dopraw główką czosnku mahometanizmu, a na koniec uczyn nad tym trzykrotnie znak krzyża! — wyzłośliwiał się. — A potem nazwij to danie „nową kuchnią mongolską"! Teraz ja musiałem uczynić znak krzyża nad złośliwym Barcem.

Ponieważ on nie wyszedł, tedy sam opuściłem jurte, zabierając ze sobą Filipa.

Było już późno w nocy. Udałem się do kościoła, choćby po to żeby się upewnić o poparciu archidiakona Jonasza i jego kapłanów. Zastałem nestorian dosyć

zdenerwowanych. Jonasz dostał nagle ataku i pluł krwią. Ponieważ nie potrafili sobie tego wytłumaczyć, zwrócili się do saraceńskiego wróżbity, a ten objawił mocno strwożonym, co następuje: „Chudy mąż, który nie je ani nie pije, ani nie śpi na łożu, rozgniewał się na archidiakona. Jonasz wyzdrowieje tylko wtedy, gdy ów zdejmie z niego przekleństwo i udzieli mu swojego błogosławieństwa.”

Dla wszystkich było jasne, że ten opis pasował jak ulał do armeńskiego mnicha.

Żona archidiakona, jego siostra i syn szukali go zatem, mimo że było już po północy.

Ktoś widział Sergiusza wchodzącego do domu Koki. Poprosili go na zewnątrz i błagając zaklinali, żeby udzielił błogosławieństwa i uratował archidiakona. Mnich zrazu się wzbraniał, w końcu jednak udał się do chorego. Teraz nestorianie czekali w kościele i wspierali Jonasz modłami. Miałem złe przeczucie, lecz potem zjawił się w świątyni Sergiusz, zadowolony i dobrej myśli. Mimo że wszyscy go zaraz otoczyli i zasypali pytaniami, zwrócił się do mnie najuprzejmiej, jak umiał, jakby nic między nami nie zaszło.

—
Archidiakon życzy sobie waszego błogosławieństwa, bracie Williamie.

Musiałem mu obiecać, że was serdecznie poproszę, abyście go natychmiast odwiedzili.

Od tego zależy jego ozdrowienie — zaznaczył. mChcąc nie chcąc musiałem

natychmiast wyruszyć w drogę, choć czułem się przy tym nieswojo, gdyż nie ufałem mnichowi.

—
A wiecie, panie mój — zagadnął Filip, kiedyśmy szli po ciemku spiesznym

krokiem — co jeszcze rzekł wróżbita? Że to z waszego powodu mnich pragnie tak

bardzo zaszkodzić Jonaszowi! Archidiakon musi umrzeć, bo jest waszym przyjacielem.

A wy jesteście Antychrystem, tak powiedział mnich!

— Co za brednie! — oburzyłem się. — To kawał szubrawca! Idę o zakład, że

Jonaszowi też dał do picia swoją miksturę!

— Możecie być tego pewni — potwierdził Filip. — A ja idę o zakład, że chory umrze akurat wtedy, gdy wy będziecie przy nim!

— Żebym przez rok nie mógł się pokazać na oczy wielkiemu chanowi!

Taki wniosek nasunął mi się natychmiast, lecz było mi to obojętne. Może uda mi się jeszcze uratować życie Jonaszowi. Przyśpieszyłem kroku. Pędząc co tchu, dotarliśmy do domu archidiakona. Przed wejściem zastaliśmy jego rodzinę w trakcie rozmowy z sąsiadami i kilkoma członkami gminy.

— Żyje? — zawołałem z daleka. Popatrzyli na mnie z niejakim zdziwieniem.

— Owszem, Jonasz żyje — odpowiedzieli.

—

Dzięki niebu i błogosławieństwu mnicha. Teraz potrzebuje spokoju! Chcieli mnie zatrzymać, lecz minąłem ich i wparowałem do pokoju chorego. Jonasz uśmiechnął się do mnie. Był blady jak trup.

— Ach — wyszeptał łagodnie. — Teraz, kiedy nie odmówicie mi pociechy Kościoła, mogę już umrzeć w pokoju.

— Nie musicie umrzeć — odparłem, rozglądając się po pomieszczeniu.

— Przeciwnie. — Jonasz wskazał czarę z miksturą. — Mnich powiedział, że mam to wypić. Dopiero teraz zauważyłem, że czarę jest jeszcze pełna.

— Wiem, że to mnie zabije. Jeśli ją opróżnię, natychmiast umrę. Gdybym tego nie zrobił, śmierć i tak mnie dosięgnie, jeśli nie dziś w nocy, to w ciągu jutrzejszego dnia.

— Bzdura — uspokoilem go — on wam to tylko wmówił. Teraz będziecie spać. Sen

jest najlepszym środkiem na ozdrowienie. Plujecie jeszcze krwią?

— Nie, bracie, już nie. Jest mi lepiej.

— No, widzicie — rzekłem i nakerśliłem mu palcem znak krzyża na chłodnym czole.

— Jutro znów do was zajrzę, wtedy powinniście wypić coś wzmacniającego. A truciznę wyleję. — I sięgnąłem po czarę.

— Zostawcie ją tam — poprosił. — To dla mnie dowód, że jestem jeszcze panem swoich decyzji. Winienem wam wdzięczność, Williamie, że przybyliście. Dzięki temu wiem, że nasza gmina będzie w dobrych rękach, gdyby Bóg jednak powołał mnie do siebie. — Wziął mnie za rękę i ucałował ją; jego wargi były zimne.

— Bóg będzie z wami i zachowa was dla gminy. Jestem o tym przekonany. — Teraz ja przycisnąłem jego dłoń do ust i szybko wyszedłem.

— Pierwszą rundę ten łajdak mnich przegrał — powiedziałem do Filipa, kiedy ruszyliśmy znowu w stronę kościoła, żeby przekazać nodlącym się tam nestorianom dobrą wiadomość, że Jonasz żyje i z boską pomocą powinien zwalczyć chorobę.

— Drugą też! — zaśmiał się Filip usiłując rozładować niepokój. — Opuściliście dom, kiedy archidiakon jeszcze żył! Te rachuby zresztą się nie spełniły! Powinniście teraz położyć się spać. Ja powiem w kościele, że pan archidiakon czuje się lepiej. Było mi to na rękę. Kiedy dotarliśmy do mojej jurty, rozdzieliliśmy się. Sergiusz jeszcze nie wrócił, a Barć mocno już chrapał. L. S.

□

Uroczystość św. Marka — 25 kwietnia.

* *Apate, Satanas!* (gr.) — Odejdź precz, szatanie!

* *Professores* (łac.) — nauczyciele.

* *Spiritus occidentis* (łac.) — duch Zachodu.

* Lais d'amor (okcyt.) — pieśni miłosne, gatunek liryki, w której znajdują odbicie reguły miłości dworskiej (zachowanie rycerza wobec damy swego serca i jej męża).

* Uroczystość św. Wenancjusza — 18 maja; męczennik, zm. ok. 250 przez dekapitację.

In spe (łac.) — przyszły (patriarcha).

Unam sanctam (łac.) — jeden święty (Kościół).

* Ma t e r D o l o r o s a (ł a c) — Matka Boska Bolesna.

□

III, JEDEN BÓG

Z tajnej kroniki Rosza Trencavela

Karakorum, w ostatniej dekadzie maja A. D. 1254

Aryk Bóge przekazał nam zapytanie, czy jeszcze raz zechcemy zaszczyścić go wizytą. Jeza oświadczyła posłańcowi, że tylko ona może przyjść, bo ja leżę trawiony niemocą. Informacja ta wydawała się zupełnie wiarygodna wobec ciężkich chorób, jakie nawiedziły grono chrześcijan w Karakorum, chociaż mistrz Buchier miewał się już lepiej. W rzeczywistości, jak wyznała mi moja dama, chciała pójść do pałacu Aryka Bóge beze mnie, żeby późną nocą nie musiała już wracać do domu i mogła poprosić o możliwość przenocowania u kobiet. Tak więc na polecenie mojej królowej udałem się do hamamu, czyli zbudowanej z kamienia łaźni parowej w naszym domu, żeby tam wypocić chorobę. My, para królewska, należeliśmy do nielicznych uprzywilejowanych, którzy mieli do dyspozycji takie cudowne urządzenie.

W wywołujących poty oparach ledwo powierzyłem swoje ciało dłoniom łaźnienego, gdy z obłoku pary wynurzył się Crean. Ściśle biorąc, jako stary przyjaciel, choć teraz był w tej roli raczej natrętem, nie musiał czekać na moje zaproszenie, żeby dotrzymać mi

towarzystwa. To, że jednak na nie czekał, rozciągnąwszy wąskie wargi w uśmiechu, który przemknął po jego ospowatej twarzy, wynikało z odmiennej sytuacji. Nie byliśmy już zależni od człowieka, który uratował nas jako małe dzieci z płonącego Montsegur, tylko on, asasyn, musiał zdać się na to, że nie zdradzę jego tożsamości Mongołom. Rozmawialiśmy w *langue d'oc*, * idiomie naszej wspólnej ojczyzny, dzięki czemu mieliśmy pewność, że tak naprawdę nikt nas nie rozumie. Crean zresztą od razu przeszedł do rzeczy, a w tym czasie ja byłem masowany przez łąziebnego.

— Roszu — zaczął z powagą — nie może być waszą ambicją, aby na czele zagonu tatarskiego napadać na kraje, które Jeza i ty poznaliście w trakcie trwającej już dziesięć lat ucieczki. Na królestwa, które was przyjęły i do których kultury należycie! W gorącej parze czekał na odpowiedź. — No właśnie, Creanie — rzekłem — dziesięć lat ucieczki, oto coście nam zgotowali ty i twoi przyjaciele z tajnego stowarzyszenia. A teraz proponujesz, żebyśmy uciekali dalej? Mongołowie pierwsi zapewnili nam bezpieczeństwo i skłonni są intronizować nas jako parę królewskich władców, a więc wypełnić przeznaczenie, o którym Przeorat zawsze tylko mówił. Crean skulił plecy polewany wodą przez posługaczy.

— Nie jest waszym przeznaczeniem być noszonym jako straszidła przed potwornym niszczycielskim walcem, niczym szmaciane lalki przy płaszczu szamana, żeby potem na gruzach spustoszonych miast, wypełnionych jeszcze smrodem zwłok uduszonych mieszkańców, wstąpić na tron, który nie będzie niczym więcej niż kolejny fotel gubernatora w bezdusznym państwie chana. W ten sposób przyniesiecie tylko trwogę i zniszczenie, a nie obiecane Królestwo Pokoju!

— Obiecane! — podchwyciłem szyderczo, lecz jego słowa sprawiły, że planowana drwina w moich ustach wywietrzała. — Nie musi przecież dojść do tych okropności. Uniknięcie ich jest powinnością nieroztropnych władców Zachodu. Jeśli się

podporządkują, to ręczę, że nie będzie niepotrzebnego przelewu krwi, że miasta nie będą plądrowane pod groźbą spalenia...

— Nie możesz za to ręczyć, Roszu — odparł Crean. — Przypuszczalnie nie może nikt z ludzi. W naturze wojennego walca leży to, że takie rzeczy się zdarzają, w przeciwnym razie przestaje się toczyć...

— Ale wielki chan... — odpowiedziałem mocno zbity z tropu, ponieważ zrozumiałem, że jego okropna wizja nie rozmija się z prawdą — ...przecież nam obiecał... .

—

Nawet on nie mógłby temu przeszkodzić — stwierdził. — Raz wprowadzone w ruch, hordy tatarskie stratuja wszystko. Takie jest ich przeznaczenie i nic ich nie powstrzyma. Żadna ręka nie zahamuje fali przyływu nadciągającej od oceanu. Musisz poczekać, aż rozbiegnie się po plaży albo rozbije o skały. Wszystko, co napotka wcześniej na swej drodze, porwie i roztrzaska. Ale najgorzej, jeśli Móngke nie pozwoli tej fali swobodnie się rozlewać, wtedy będzie ona rodzić ferment w sercu jego państwa, wzbudzać niepokój w stepie i burzyć porządek jego ogromnego imperium... - A więc to się stanie zarówno z nami, jak i bez nas? — dociekałem. —

Cóż w takim razie

mamy uczynić, żeby się nie zdarzyło?

Odejść — odparł Crean. — Nie bawić się koroną z piany! Wielki chan wie o przepowiedni mówiącej, że zdoła opanować Zachód tylko z wami. Jeśli nie będzie was przy nim, zastanowi się, czy mimo wszystko uderzyć w tym kierunku, gdyż przepowiedziano mu też, że zapoczątkuje zmierzch imperium mongolskiego, jeśli nie podporządkuje sobie Zachodu. Bez was zabraknie mu odwagi do tego kroku — uznał, by zaraz jednak dodać: — Być może. I wyciągnął się obok mnie na kamiennej posadzce.

Łaziebny zostawił nas samych, ogień pod kamieniami zgasł, a resztki oparów osiadały w postaci wilgoci. — Wszyscy powinniśmy wrócić — mruknął Crean — również William, żeby autentycznym świadectwem uprzytomnić głupiemu Okcydentowi, jakie niebezpieczeństwa nadciągają. Szczególną rolę moglibyście tutaj odegrać wy, ty i Jeza, zważywszy, że nie tylko król Ludwik jest wam życzliwy, ale także sułtan Damaszku, An-Nasir, lub tak ważny człowiek jak Bajbars w Kairze. Powinniśmy bowiem przekonać tych panów, że tym razem uderzenie pójdzie przez Alamut na Bagdad, a następnie z kalifatu na Syrię, Ziemię Świętą i Egipt. Dopiero potem celem będzie właściwy Zachód.

Wyłuszczenie tego wszystkim zainteresowanym i uświadomienie im, że nikt nie będzie mógł stać z boku, byłoby waszą misją.

— A nasza korona? — Natychmiast spłonąłem od wstydu, ledwie wyrwałem się z tym pytaniem. — Co pozostanie z naszego przeznaczenia?

— Waszym przeznaczeniem jest na razie zapobiec najgorszemu. Widzisz, Roszu, kiedy tutaj leżę i próbuję cię przekonać, wiem jednocześnie, że nie da się odwrócić losu i Róza, której poświęciłem życie, będzie pierwszą ofiarą. Mam wszakże nadzieję, że fale rozbiją się o skały Alamutu, że przez ofiarę Róży uda się odwrócić ten potop od brzegów *Marę Nostrum*. W ten sposób nie zrezygnujesz z korony, tylko będziesz ją miał w wysokim poważaniu... ---...tak wysokim, że sami już po nią nie sięgniemy!

Dlaczego miałbym tłumić gorycz? Wszak Crean domagał się abdykacji pary królewskiej. W zamian mieliśmy błąkać się po świecie jako posłańcy Hioba, ostrzegać przed wielkim niebezpieczeństwem, o którym nikt nie chciał wiedzieć. I któż traktowałby nas poważnie? Oświadczyłem mu, że zrozumiałem jego argumenty, ale nie chcę ich uznać za swoje, dopóki spokojnie nie omówię wszystkiego z Jeżą.

L. S.

Z tajnej kroniki Jezy

Aryk Bóge przyjął mnie tym razem w swoich komnatach prywatnych, w dużym kwadratowym pomieszczeniu ogrzewanym dwoma potężnymi piecami kaflowymi. Z trzech stron odchodziły stopnie prowadzące na wyższą kondygnację. Zapewne tam znajdowały się sypialnie. Pośrodku pomieszczenia wisiał żyrandol. Kilka niskich stołów ustawiono w podkowę, a wokół nich rozłożono grube skórzane poduszki do siedzenia. Okna w ścianie frontowej sięgały do drewnianej podłogi, a widać było przez nie zieleń wewnętrznego dziedzińca. Barwna boazeria i haftowane dywany dodawały sali pogodnego ciepła.

Młody chan miał tym razem na sobie wygodny strój domowy, natychmiast kazał mi pomóc w zdejmowaniu trzewików i podać lekkie pantofelki. Zdziwiłam się, a nawet lekko przestraszyłam, widząc, że ze wszystkich jego niewiast i niewolnic obecna była tylko Szirat. Ciekawe, czy przejrzał mój zamiar i chciał mnie wystawić na próbę? Zmieniłam taktykę, która była nastawiona na to, że przez przypadek dostanę się w pobliże żony Hamona, i tym razem przywitałam się z nią bardzo serdecznie, jakby to było oczywiste, ale nie okazując zaskoczenia. Uściskałam i ucałowałam ją jak siostrę, zanim złożyłam ukłon panu domu. W ten sposób dałam do zrozumienia, że znam jej rangę księżącą i jestem zdecydowana włączyć Szirat do rozmowy, gdyby zamierzał potraktować ją jak niewolnicę i odprawić. Aryk Bóge wcale nie okazywał niezadowolenia z tego powodu, zdziwiłam się też, z jaką śmiałością Szirat siada u jego boku, a nawet jak mi się wydawało, przytula się do niego.

— Ubolewam nad tym, że wasz pan i królewski małżonek leży zmożony chorobą, i jestem zawstydzony, że przywiązujecie taką wagę do mego zaproszenia, iż zostawiliście go samego.

— Nie jest to taka niemoc, żebym musiała przy nim czuwać — odparłam. — Jako para królewska przywykliśmy do tego, że dajemy ważnym sprawom pierwszeństwo

przed prywatnymi życzeniami. Tak oto uwolniłam się od ryzyka uznania mej wizyty za nieoficjalną, co nam, kobietom, często się proponuje, kiedy zjawiamy się bez swoich mężczyzn. Natomiast jeśli mężczyzna zostawia w domu żonę, to w ten sposób podkreśla, jak ważna jest dla niego rozmowa.

— Ostatnim razem stanęliśmy na tym — zaczęłam bez ogródek — że zamierzaliście się zastanowić, czy zechcecie *in personom** wybrać się z poselstwem na Zachód, w podróż, która jednocześnie miała służyć temu, aby wysoki rangą członek panującej dynastii Czyngisydów przekonał się wreszcie na własne oczy, jaki jest Okcydent i jego ludzie.

— Naradziłem się nad tą sprawą z moimi braćmi — westchnął Aryk Bóge. — Móngke uważa, że to niepotrzebne, Hulagu, że niebezpieczne, „zagrożające planom il-chana”, jak się wyraził szambelan, ten Dżuwajni... --- Jak wszyscy renegaci szczególnie nienawidzi mahometanizmu — zgodziłam się z nim i oczekiwałam, że się wycofa. Aryk Bóge nie zamierzał jednak rezygnować z szansy uczynienia lenna z „reszty świata”, w oczach Mongołów ostatniego terytorium, jakie można jeszcze rozdać.

— Kiedy Hulagu wyruszy z wojskiem — słusznie wywnioskował — na misję pokojową będzie już za późno. Poza tym on nie zatrzyma się na zachodniej granicy Persji.

— A zatem? — zapytałam bez respektu.

— A zatem postanowiłem jeszcze raz porozmawiać z wielkim chanem. Widoki na powodzenie mam jednak tylko wtedy... — posłał mi dziwne spojrzenie, w którym młodzieńczy zapał mieszał się z naiwną prośbą —

...jeśli tym razem będę mógł

liczyć na was, parę królewską. Musicie oficjalnie oświadczyć, że pragniecie podjąć się tej misji razem ze mną! Milczałam, ponieważ wydawało mi się to nie tylko logiczne, ale także nadzwyczaj kuszące. Ominęlibyśmy wtedy Creana i Alamut i z najwyższymi

honorami wrócili na Zachód, a misja pokojowa rzeczywiście miałaby sens. Albowiem tak naprawdę nikt nie chciałby słuchać tylko nas dwojga, Rosza i mnie; nasz nimb „pary królewskiej” był czysto orientalny.

Na ojczystym Zachodzie z silnym Kościołem rzymskim, gdzie prześladowano dziedziców Staufa i Graala, byliśmy „kacerskim nasieniem” i prędzej byśmy skończyli na stosie niż na tronie. Także z Williamem u boku nie zyskalibyśmy większego

zainteresowania; to doświadczenie mieliśmy już za sobą. Dobrze, że tymczasem franciszkanin faktycznie został posłem króla francuskiego; również my cieszyliśmy się życzliwością pana Ludwika. Ale gdybyśmy występowali razem z Arykiem Bóge, bratem wielkiego chana, wtedy nasze słowa nabrałyby wreszcie wagi. Poza tym

korzystalibyśmy z ochrony przysługującej poselstwu Mongołów i to było dla mnie decydujące. Nie mogłam przecież nikomu powiedzieć, że mam dość tego drzenia o siebie i mego najmilszego; na zewnątrz grałam odważną i chłodną bohaterkę, lecz zarazem ciągle niczym ścigane zwierzę łowiłam zapachy, uważałam na pułapki i unikałam zagajników, ponieważ za każdym krzakiem czyhały nowe niebezpieczeństwa.

— Tak—powiedziałam—wydaje mi się, że to dobry pomysł. I jestem przekonana, że również mój król tak będzie patrzył na tę sprawę.

— Z nikim oprócz niego nie rozmawiajcie o tym, dopóki sam nie zaprowadzę was do Móngkego. Ten plan będzie nie w smak wielu osobom!

— Owszem— potwierdziłam— gdyż jest to jedyna perspektywa pokojowego rozwiązania. A nic tak nie jest zwalczane jak pokój.

— Tedy zostawię was teraz samą z waszą dawną przyjaciółką Szirat, gdyż na pewno takie macie życzenie, moja królowo.

Uradowana skinęłam głową, wszak omal nie zapomniałam o jej obecności. Aryk Bóge zaś dodał z uśmiechem:

— Tylko nie odstręczcie mi jej. Szirat zyskała w moim sercu więcej miejsca niżli żona, przeto strzegę jej zazdrośnie niczym smok z Kataju.

— Sądzę—ostrożnie badałam grunt — że może się zrobić zbyt późno, bym wracała do domu jeszcze w nocy...

— Też tak sądziliśmy — ozwała się Szirat. — Przygotowaliśmy już łoże dla ciebie.

— Zobaczę was podczas posiłku — pożegnał się Aryk Bóge i wymieniliśmy ukłony.

L. S.

W hamamie kamiennego domu Rosz i jego gość byli już z powrotem odziani, kiedy zajrzał Barć. Wydawał się mocno wytrącony z równowagi i dopiero po jakimś czasie Crean wydobył z niego, co się stało. William odwiedził w nocy chorego Jonasza, archidiakona nestorian, i zastał go wprawdzie w nie najlepszym zdrowiu, lecz żywego.

—

A i to tylko dlatego — wyrwało się małemu franciszkaninowi — że chory za poradą Williama nie tknął jakiejś trującej mikstury przyrządzonej przez armeńskiego mnicha. Ponieważ sam William chciał się udać na spoczynek, w drodze powrotnej wysłał swego sługę Filipa, żeby zajrzał do kościoła i opowiedział czekającym tam ludziom o ozdrowieniu archidiakona. W kościele był też jednak mnich. Kiedy usłyszał radosną nowinę z ust Filipa, zbladł jak ściana. Fałszywy armeński kapłan wściekł się i oskarżył Williama z Roebruku o kłamstwo, po czym stanął na czele wszystkich nestorian i wyruszył pośpiesznie niczym w procesji z podskokami—krzyż na przedzie, wymachiwanie chorągwiami i kadzielnicą — do domu archidiakona. Dotarwszy na miejsce, wpadł do pokoju chorego, nazwał Jonasza judaszem i zmusił, by natychmiast wypił ów kielich trucizny, rzekomo zawierający poświęcony uzdrawiający napój, i „w ostatnich słowach” wyznaczył jego, Sergiusza, na swojego następcę. Armeńczyk ukląkł

przed łożem umierającego, udając skruchę, oświadczył, że przeszedł na nestorianizm, i poprosił Jonasza o przyjęcie do wspólnoty Kościoła. Obecni w pokoju kapłani dali się nabrać na tę farsę; złożyli pokłon nowemu zwierzchnikowi, a tymczasem u Jonasza zaczęły się już drgawki przedśmiertne. Potem nestorianie odprowadzili świeżo upieczonego archidiakona, który kazał się nazywać „archimandrytą”, pod naszą jurętę, ale on nie zostanie w niej długo, bo już dziś wieczorem chce spać w łożu, z którego kazał zabrać zmarłego Jonasza.

—

Amen — rzekł Crean. — W ten sposób wyrósł Williamowi z Roebruku

poważny rywal w wyborach patriarchy Karakorum. *Pax et bonum*, jak zwykliście mawiać wy, minoryci. Nad Karakorum i pałacem wielkiego chana wisiał wąski sierp księżycy. W skrzydle książęcym, które zajmował najmłodszy z braci chana Aryk Bóge, migotało jeszcze światło. Szirat kazała w swojej komnacie rozłożyć posłanie dla Jezy, lecz młode kobiety leżały na brzuchu na szerokim posłaniu faworyty; zbliżywszy do siebie głowy, szeptały po arabsku, w języku mameluckiej księżniczki, która od dawna tęskniła za dźwiękami ojczystej mowy.

— Gdyby nie niepewny los naszego dziecka, ten wyrzut sumienia, który dręczy mnie dzień i noc...

— To raczej Hamo powinien czynić sobie wyrzuty—rzekła cicho Jeza — że pozwolił ci samej podróżować po morzu.

— To była lekkomyślność, Jezo — odpowiedziała surowo Szirat i popatrzyła przez łukowate okno w górę na księżyc, który zasłaniały przeciągające chmurki. — A ja słono za to zapłaciłam. Najmniej tutaj, u Aryka Bóge, który zaraz po moim przybyciu złamał we mnie biciem opór niewolnicy i od tej pory traktuje mnie coraz lepiej. Teraz przyzwyczałam się do niego jak do męża i odpłacam mu za jego nieporadne uczucie

nie tylko za pomocą sztuczek doświadczonej hurysy, lecz przede wszystkim radą jako przyjaciółka.

— A Hamo?

— Ach, Jezo, gdy czujesz ciało innego mężczyzny już od dwóch lat, to wspomnienie blednie, a tęsknota mija. Hamo L'Estrange mógł mnie wszak szukać, jednakże nigdy o nim nie słyszałam. Na pewno zdążył się pocieszyć, był przecież jeszcze taki młody. Szirat westchnęła i obróciła się na plecy, żeby lepiej widzieć sierp Księżyca. -- Już przyście na świat jako hrabia Otranto, dziedzictwo jego silnej matki, było dla niego brzemieniem ponad siły. Hamo nie jest mężczyzną, który lubi ponosić odpowiedzialność. Gdyby nie ten niewyjaśniony dramat zaginionego dziecka, jedyna rzecz, jaka mnie jeszcze z nim wiąże...

—

A więc byś nie uciekła? — Jeza, która uważała siebie za wierną kochankę, poczuła się dotknięta. — Nawet gdyby nadarzyła się po temu okazja?

— Dokąd? — odpowiedziała pytaniem Szirat. — Na niepewny los, do mężczyzny, który dotychczas się nie sprawdził poza tym, że spłodził ze mną dzieciątko? Przecież nie wiem nawet, czy Hamo chce mnie jeszcze, czy jeszcze na mnie czeka!

— Jestem tego absolutnie pewna! — odparła Jeza z naciskiem. Wierzyła w trwałość miłości.

— Jeśli Aryk Bóge zdecyduje się na wyprawę, a bracia nie będą mu rzucać kłód pod nogi lub inne intrygi nie udaremnią tego przedsięwzięcia, na pewno skorzystam ze sposobności i udam się w tę podróż z nim oraz z wami. Już mu to obiecałam — dodała Szirat. — Odwiedzimy Hamona i jeśli moje serce opowie się za nim, to z nim zostanę. A jeśli nie, to Aryk Bóge zażąda od niego rozwodu i pozostanę tym, kim jestem: kobietą

Aryka Bóge, bez względu na to, czy weźmiemy ślub czy nie.

— A jeśli twoja córka żyje?

— Jeśli — powtórzyła Szirat z goryczą — i jeśli Hamo przynajmniej ją odnalazł...

— Czy wtedy byłabyś gotowa znowu z Hamonem...? — Jeza uczepiła się obrazu połączonej z powrotem pary. Chłodny, rzeczowy ton Szirat ranił jej serce, kiedy czuła, że wszystko to mogło się przytrafić także jej, a nie przytrafiło się do tej pory tylko dlatego, że miała dużo szczęścia, niebywale dużo szczęścia. Coś się w niej ścisnęło: musi być miłość silniejsza od wszelkich, nawet najbardziej przeciwnych okoliczności, silniejsza niż śmierć! I tego pragnęła trzymać się razem z Roszem, niech się dzieje, co chce. Razem byli parą królewską: od początku... po śmierć, nie, nawet dłużej! Wieczna miłość, wieczna wierność!

— Jeśli nasza córka żyje, jest to dla mnie ważniejsze od kwestii, u kogo się wychowuje. Nie wyobrażam sobie, że Hamo może mi jej nie oddać.

— Mówisz tak, jakby wasze rozstanie było już postanowione.

— Tu i dzisiaj nie wyobrażam sobie, żeby było inaczej, nie chcę zresztą tego. W przeciwnym razie nie wytrzymałabym tych dwóch lat. Zrozum mnie, Jezo, jestem kobietą, potrzebuję mężczyzny — nie takiego z marzeń jak blady księżyc tam w górze, tylko obok mnie, ciepłego i żywego! Tego mężczyznę znalazłam i trzymam się go.

Musiałby się zdarzyć cud lub coś przerażającego — na przykład Hamo miałby zostać bogiem słońca, promiennym słońcem we własnej osobie, czego sobie właściwie nie wyobrażam — żebym rozstała się z Arykiem Bóge. On zaiste nie jest bogiem, nie jest też słońcem, ale jest mężczyzną, moim mężczyzną. Na kogo miałabym go zamienić?

Jeza była zbyt mądra, żeby podać teraz jako odpowiedź: „ojca twojej córki”. Po pierwsze dziecka tu nie było, a po drugie Aryk Bóge na pewno mógł spłodzić z Szirat

jeszcze liczne potomstwo. Jakby czytała w myślach przyjaciółki, Szirat dodała:

— I my będziemy mieć potem dzieci, do tej pory wystrzegałam się brzemienności.

Jeza pojęła. Hamo nie był pierwszym mężczyzną w życiu Szirat, ale możliwe, że jej pierwszą miłością. Dziewczyna przekonała się jednak, że wszystko to nie ma wielkiego znaczenia. Mamy tylko to, co mamy, a coś innego — mieliśmy kiedyś! I to się skończyło! A zatem nie trzeba też uwalniać niewolnicy Szirat. Jeza uściskała ją, odwróciła się na bok i zaraz zasnęła. Srebrny księżyc zniknął z okna, a ostatnie chmury pośpieszyły za nim niczym owieczki, które chwilowo zostały w tyle.

Relacja Bartłomieja z Cremony, O. F. M.,

jako memorandum dla przełożonych zakonu na temat dysputy religijnej,

która giinicjatywy wielkiego chana Móngkego

odbyła siew Karakorum 24 maja A. D. 1254

Obecni byli wszyscy trzej bracia chanowie: chagan wszystkich Mongołów wraz ze swoją „chrześcijańską” małżonką Kokoktaj-chatun, il-chan i przyszły władca Persji

Hulagu ze swą także nestoriańską małżonką Dokuz-chatun, jak również najmłodszy

brat Aryk Bóge, gubernator chanatu centralnego i „następca tronu”, który będąc jeszcze nieżonaty, żyje w grzechu z wieloma niewiastami, lecz podobno wyrażał się życzliwie o

chrześcijaństwie.

Nie można tego powiedzieć o Hulagu. Do tej pory — jak długo Aryk Bóge nie może

ziścić swoich ambicji — odpowiada on za „resztę świata”, czyli nasz Okcydent. Już

powołanie Saracena Ata al-Mulka Dżuwajniego na wpływowe stanowisko szambelana

pokazuje, w którym kierunku zwracają się jego sympatie. Sam wielki chan, jak niestety

wiadome jest i dowiedzione, ma tolerancyjny, to znaczy obojętny stosunek do wszyst-

kich religii. Oprócz tego dwór był reprezentowany przez generała Kitbogę, dowódcę

armii il-chana, którą potajemnie postawiono w stan pogotowia, również on nestorianin,

lecz przede wszystkim Mongoł z krwi i kości. Poza tym przez najwyższego sędziego Bułgaja, a to człek nieprzenikniony, którego nikt nie może posądzać o jakiegokolwiek skłonności religijne. Jest on zarazem panem służb tajnych i podziela zapatrywania swego władcy, szczerze mu oddany. Ponadto gośćmi są Rosz i Jeza, „para królewska”, „dzieci Graala”, dla których wielki chan przewidział specjalną rolę po zdobyciu Zachodu. Pewnie intronizuje ich w Jeruzalem jako władców, marionetki z mongolskiej łaski. Czego może się po nich spodziewać Zachód, pokazują już nazwiska, jakich ostatnio używają: Rosz Trencavel z Haut Segur i Jezabel Esklarmunda z Mont y Sion. Są więc świadomi swego pochodzenia i zamierzają stworzyć Królestwo Pokoju oparte na prawie staufowskim i wyznaniu katarskim, czego wielki chan

Pewnie nie jest jeszcze świadom. Jak wiadomo, zamierza on — a służyła temu dzisiejsza debata — powierzyć Williamowi z Roebruku zbudowanie chrześcijańskiego „Kościoła państwowego”, *Novae Ecclesiae Mongalorum Orientalis*. •Rozprawa religijna w sali audiencyjnej pałacu władcy posłużyła do wprowadzenia ostatnich poprawek, żeby konstrukcja podobała się wszystkim. Poza tym dysputa była pewnie ostatnim egzaminem przydatności dla Williama z Roebruku, którego Móngke upatrzył sobie na „patriarchę”.

Powołano trzyosobową komisję, do której należał ów Dzuwajni, jak również przypuszczalnie sławny szaman o imieniu Arsłan i wreszcie moja znikomość. Mnie powierzono funkcję sekretarza.

Strony były reprezentowane, jak następuje: Kościół rzymski przez Williama z Roebruku, minorytę odszczepieńca, którego wielki chan mylnie uważa za posła francuskiego króla, świętego pana Ludwika. Heretycka sekta Nestoriusza, do tej pory jedyna przedstawicielka chrześcijaństwa, przez armeńskiego mnicha o imieniu Sergiusz, który poprzedniej nocy uzurpował sobie stanowisko nestoriańskiego

archidiakona poprzez morderstwo, a swojej gminie każe się tytułować „archimandrytą”.

Jako przedstawiciel muzułmanów miał przyjechać nie uczony w Koranie, tylko sufi.

Bezstronność komisji zakwestionowali dwaj „derwisze”,* mnie brakowało poważnej

reprezentacji nauki Mahometa. Wreszcie bałwochwalcy wydelegowali znanego w

mieście szarlatana i wróżbitę Gadę Sarniego, indyjskiego ucznia Buddy, który jednak

cieszy się na dworze dużą sympatią. Nikt jeszcze nie widział sufiego, również mnich

Sergiusz jak dotąd się nie pojawił, jednak gdy tylko przybyli dostojni goście, Dżuwajni jął

naciskać, żeby zaczynać dysputę.

I wtedy zjawił się William w pełnej gali biskupiej z mitrą i pastorałem w towarzystwie

swego „spowiednika” Creana-Gosseta. Jego sługa Filip zgodnie z wypróbowaną

metodą sprawował funkcję ministranta. Na jego wejście pozbawieni jeszcze przywódcy

nestorianie zaintonowali pojedynczo i niepewnie „Credo in unum Deum”,* lecz zaraz

potem w obozie „chrześcijańskim” panowała już niezgoda.

Właściwie zaczynać chcieli nestorianie *versus* Saraceni, ale ponieważ archimandryta kazał na siebie czekać, dali pierwszeństwo Williamowi, który natychmiast przystąpił do

sporu z bałwochwalcami.

— Z muzułmanami, czy ktoś chce czy nie, łączy nas już to, co najważniejsze —

argumentował.—Wiara w j e d n e g o Boga.

Poparł go Crean-Gosset.

—

Weźcie mnie na *advocatusa diabolil* — zaproponował. — Będę odgrywał

bałwochwalcę, który twierdzi: „Nie ma jednego Boga!”

Na to nestoriańscy kapłani odpowiedzieli: --Tak stoi napisane w Piśmie Świętym!

— Bałwochwalcy go nie uznają. I co teraz? — zawstydził łatwowiernych Crean-

Gosset. Ci milczeli zmieszani, a wówczas William miał już wolną rękę i mógł

reprezentować całe chrześcijaństwo. Tymczasem poczęli szemrać bałwochwalczy, którzy zjawili się w dużej gromadzie, i uderzali w małe dzwonki i bębny, bo nigdy dotąd żaden chagan nie odważył się badać tajemnic ich religii. Ponieważ Dżuwajni nie mógł zapanować nad hałasem, o spokój zadbał najwyższy sędzia, po jego interwencji z miejsca zrobiło się cicho.

Gada Sami wysłał do boju łysielca w szafranowej szacie, który prowokacyjnie zapytał Williama, czy najpierw pragnie toczyć spór o powstanie świata czy raczej o wędrówkę dusz po śmierci. I tak doszło do pierwszego wielkiego wystąpienia Williama.

—
Od tego, przyjacielu, nasza rozmowa nie może się rozpocząć. Wszystko pochodzi od Boga. On sam jest początkiem, bytem i jego władcą. O nim samym musimy mówić nasamprzód, już tutaj bowiem różnimy się w poglądach. Wielki chan pragnie zaś wiedzieć, kto z nas posiada prawdziwą wiarę. Ja powiadam, że jest Bóg i jest tylko jeden Bóg! Wtedy bałwochwalczy poczęli znowu dziko uderzać w bębny i potrząsać swoimi dzwonekami, aż rozsierdzony Bułgaj zerwał się z miejsca.

— Spokój! — ryknął. — W imieniu wielkiego chana! Spokój! Po czym kazał obwieścić, że od tej pory pod karą śmierci nie wolno wydawać dźwięku nikomu, jeśli przewodniczący zgromadzenia, tu wskazał na Dżuwajniego, nie udzieli mu głosu. Ponadto tej samej karze podlega każdy, kto obrazi przeciwnika w sporze lub reprezentowaną przezeń religię.

— Kara czeka też tego, kto wzbudzi tumult lub w inny sposób będzie przeszkadzał w debacie — zakończył rzecznik Bułgaj a.

wtedy wszyscy już zamilkli, a William przypomniał uprzejmie bałwochwalczy:

— Czekam na twoją odpowiedź.

— Wyłącznie głupcy twierdzą, że istnieje tylko jeden Bóg — odparł ostrożnie Gada

Sami, pewnie był przywiązany do swej łysej głowy. — Mędrcy mówią o wielu bogach. Czy w twoim kraju nie ma wielkich władców, a w tym tutaj czyż Móngke-chan nie jest największy? Tak samo ma się również rzecz z bogami. William bez kłopotu znalazł odpowiedź.

—

Podajesz zły przykład, ponieważ z ludzi wnioskujeś o Bogu, zamiast wyciągać wnioski w drugą stronę. W ten sposób każdy potężny władca mógłby być w swoim kraju nazywany Bogiem. A przecież także nad wielkim chanem jest i panuje Tengri, jeden Bóg!

Zerknąłem szybko na Móngkego, który skinął głową, całkowicie się zgadzając, i uśmiechnął się dumny ze „swojego” Williama.

Gada Sami nie poddawał się.

— A jaki jest ten twój Bóg, o którym twierdzisz, że jest tylko jeden, do czego Tengri, jak ci zapewne wiadomo, wcale nie rości sobie prawa? William nie podjął tematu.

: — Wszyscy inni to wasi bożkowie, ale nie bogowie — dał odprawę przeciwnikowi. —

Bóg, Pan nas wszystkich, obok którego nie ma innych bogów, jest wszechmocny.

Dlatego nie potrzebuje pomocy innych, a tym bardziej wizerunków bóstw będących dziełem ludzkiej ręki. Bóg wszystko wie, dlatego nie potrzebuje doradców. Bóg, który nas stworzył, jest naszym Panem. Nie jest zależny od tego, że zrozumiemy go w jego uniwersalności!

— Możliwe, że tak jest w niebie, ale na ziemi jest zgoła inaczej.

— Jako w niebie, tak i na ziemi — rzekł łagodnie William. — Gdyby było więcej bogów, żaden z nich nie byłby wszechmocny, każdy musiałby mieć jakąś słabą stronę, która byłaby silną stroną innego z twoich wielu bogów. Zapytuję cię zatem: czy wierzysz, że jakiś bóg jest wszechmocny?

Wtedy Gada Sami milczał i długo się zastanawiał. W końcu szambelan kazał mu odpowiedzieć albo ustąpić pola i ten wreszcie odparł:

— Żaden bóg nie jest wszechmocny! Zgromadzeni Saraceni wybuchnęli gromkim śmiechem, dopóki nie zgasił ich surowy wzrok Bułgaj a. potem nestorianie mieli dyskutować z muzułmanami. Tymczasem przybył pan archimandryta i z pochmurną miną przyjął do wiadomości zwycięstwo Williama. Przecisnął się do przodu.

— Chcę jeszcze o coś zapytać brata Williama — zapowiedział. — Czy Kościół rzymski, zuchwale roszcząc sobie wyłączne prawo do dziedziczenia nauki Chrystusa, nie przywłaszczył sobie, wobec istniejącego wówczas w stolicy cesarstwa rzymskiego wielobóstwa, sporej części Olimpu, czyli zgromadzenia bogów? Wynalazek trójcy Ojca, Syna i Ducha Świętego to przecież nic innego, jak apetycznie podana wersja najwyższego boga Jowisza, chłopięcego Merkurego tudzież praojca Saturna! Czyż bojowy „święty” duch Jana Chrzciciela nie zastąpił wojowniczego Marsa? A czy żeńskich bóstw miłości i płodności nie odnajdujemy w Maryi, dziewicy i matce? Patriarchat Kościoła przyznaje im jeszcze mniej miejsca niż dawniej panowie Olimpu! Do tego doszedł sierp księżycy, natomiast słońce Apollina przyznano nowemu bogu, Synowi Bożemu. Czy to wszystko nie jest haniebnym pogaństwem, tyleż irytującym, co zakłamanym, bo się o tym w ogóle nie mówi? Ty zaś dajesz tu odprawę bałwochwalcom, którzy przynajmniej nie wypierają się swoich pomniejszych bogów!

— Cyt! — syknął ostrzegawczo Dzuwajni, lecz Sergiusz nie zważał na to, tylko nadal wykrzykiwał.

— Dalibóg Kościół rzymski nie jest wzorem! Chłubi się swoimi ewangelistami i przedstawia siebie jako sędziego, choć ich zwierzęta herbowe: baran, byk, lew i anioł, są zapożyczone z silnych znaków przedchrześcijańskiego, głęboko pogańskiego

Zodiakul A przyjrzyjcie się tylko prześlicznym obrazkom apostołów i świętych! Pełne są lubieżności, ekstazy i żądzy krwi! Zwiastowanie z aniołem, skrwawiony Jezus lago na krzyżu, gołębica zstępująca z oka Najwyższego, nawet Boga nie oszczędzają! Stwórca przedstawiany bywa jako stary mężczyzna : brodą, wszechwiedzę symbolizuje pęk promieni, który wyrasta mu s czoła niczym róg, a wszechmoc ma wyobrażać obłok, na którym starzec spoczywa!

— Cyt! Cyt! — Szambelan ponownie spróbował przywołać archiman-drytę do porządku. Także Bułgaj chrząknął głośno. Sergiusz jednak nie popuszczał niczym mangusta, która chwyciła w zęby węża.

— To jest gorsze niż bałwochwalstwo! To jest szydzenie z Boga! *Eccleña catholica* to hańba dla całej ludzkości. My, nestorianie, słusznie odmawiamy wam posłuszeństwa.

I słusznie prorok Mahomet 622 lata po zdradzonej gwieździe z Betlejem proklamował nową religię! Za te słowa gotów jestem podłożyć głowę pod sędziowski miecz wielce szanownego pana Bułgaj a, gdyż umrę wiedząc, że zdołałem z was zedrzeć maskę

„chrześcijańskiego Kościoła" na oczach najwyższego władcy wszystkich Mongołów, dostojnego wielkiego chana, który słyszał to na własne uszy. Tą drogą *Nova Eccleña Mongalorum* nie może pójść, nie z patriarchą, który jest zwolennikiem tej heretyckiej sekty!

Sergiusz, Armeńczyk, którego szczerze nienawidzę, wyśmienicie przygotował swoje wystąpienie, trzeba mu to przyznać. Ze starotestamentową surowością w grzmiącym głosie, z błyszczącym wzrokiem, anioł z mieczem ognistym, który pragnie wypędzić biednego Williama z patriarszego raj.

William przysłuchiwał się z zainteresowaniem, ba, kilka razy pokiwał nawet głową, jakby to nie jego Kościół atakowano z taką zaciekłością i nikczemnością. Z

natychmiastowej odpowiedzi został zwolniony, ponieważ Dżuwajni chciał w końcu udzielić głosu Saracenom.

Szambelan wprowadził pomiędzy czupurnych przeciwników jakiegoś drobnego starca.

Pomimo sędziwego wieku Maulana, „nasz mistrz”, jak szepnął z czią stojący obok jeden z jego uczniów, szedł lekkim, niemal tanecznym krokiem. Ukłonił się na wszystkie strony i przemówił:

—

Drodzy przyjaciele, wszechmoc boża przypomina choćby ocean. Kto z niego czerpie, lecz tylko garść, ten zobaczy, a może nawet policzy poszczególne krople. Kto w nim pływa, ten będzie go widział inaczej niż ten, kto patrzy na wodę ze szczytu góry. A jeszcze inny będzie się wydawał ocean komuś, kto zatapia w nim wzrok spośród obłoków. Ale również on nie może ogarnąć oceanu w całym jego ogromie bez względu na to, jak wysoko wzbije się obłok — a mimo to ocean jest zawsze jeden i ten sam.

W sali audiencyjnej chana zrobiło się całkiem cicho. Sufi ukłonił się jeszcze raz uprzejmie na wszystkie strony, uśmiechnął się do Arsłana i rzekł: — Ucieszę wasze uszy „Mężem bożym”.*

Mąż boży jest pijany,

choć nie pije wina;

jest syty, choć nie tknie nawet kęsa.

Mąż boży kręci się w koło w odurzeniu.

Co go obchodzi jadło i sen?

Jest królem, ukrytym pod prostą szatą.

Diament pośród walących się ruin.

Mąż boży nie jest powietrzem ani ziemią,

nie jest wodą ani ogniem.

*Jest perłą w bezbrzeżnym morzu,
bezchmurnym niebem, z którego kapie nektar.*

*Jest nieogarnionym firmamentem
ze stoma księżycami i światłem stu słońc.*

Kiedy sufi skończył, nie rozległy się huczne oklaski, tylko zapadło wstydlive milczenie, w końcu szambelan się przemógł i udzielił Williamowi głosu, by przedstawił „umiarkowaną” replikę na atak Armeńczyka.

Wtedy jednak wystąpił Crean-Gosset i wręczył Williamowi kartę papieru. Wymienił z nim szeptem jakieś uwagi, po czym oznajmił: William z Roebruku chciałby wpierw skorzystać z okazji i przytoczyć słowa z tego samego źródła, które najwidoczniej nie chce być wymienione z nazwiska, co z całym respektem szanujemy. Pragnie on podziękować wielkiemu mistrzowi za wskazówkę, która nas uczy, jak my, maluczcy, mamy się zachowywać wobec Boga.

A następnie William zacytował spokojnym, dźwięcznym głosem:

*Jego mądrość wypływa z najwyższej prawdy,
a nie ze stronic książki;*

on stoi poza wiarą i zwątpieniem;

nie wie, co prawda, a co fałsz.

Mąż boży pożegnał się z wszelką marnością

i powrócił w całej swej wspaniałości.

Boży mąż jest dobrze ukryty.

Ach, duszo moja, otwórz się,

szukaj i odnajdź go w swoim sercu!

Ledwie skończył, podniosły się burzliwe brawa. William skromnie dał znak, żeby

przestano klaskać, uklonił się nisko sufiemu, który był tak sławny, że Crean-Gosset znał jego wiersze na pamięć. Teraz zręcznie podsunął je Williamowi z korzyścią dla niego, jak dowiódł aplauz i mina Móngkego. Jaką grę prowadził Crean? Czyżby nie zależało mu już na blamażu próżnego minority? Czyżby nagle chciał, żeby jednak William został zwycięzcą? Czy pragnął tylko udaremnić wygraną Armeńczyka? Williama czekało trudne zadanie: musiał efektownie wybrnąć z beznadziejnej wprost sytuacji. Armeńczyk nie wykopał pod nim dołka, tylko dół — wystarczająco duży, by złapać słonia. Czy William wdepnie w tę pułapkę? Ktoś, kto go znał, mógł się tego po nim spodziewać.

Drogi przyjacielu — rzekł do Sergiusza. — Oddałeś wielkiemu chanowi dwie nieocenione przysługi. Po pierwsze, dowcipnie mu zaprezentowałeś, jakie niebezpieczeństwa czyhają na jego *Novam Ecclesiam*, przedstawiłeś naszemu władcy, jaki nie może być jego Kościół państwowy. Po wtóre, obrazowo mu pokazałeś, jak wielkie może być bogactwo odmian i odgałęzień, kiedy rozkwitnie *Ecclesia Mongalorutn*, a mianowicie tak jak w *Ecclesia romana catholica*. Za ten trud winien ci jestem wdzięczność. Armeńczykowi opadła szczeka. Ale i moja znikomość była zdumiona, podobnie jak wszyscy inni członkowie komisji, tym tańcem Williama z Roebruku na linie.

Ów skłonił głowę, zwracając się do Móngkego, który uśmiechnął się doń ufnie, po czym tak dokończył swoją kuglarską sztuczkę:

Nawet jednym słowem nie zamierzam bronić machinacji Rzymu w pierwszych latach chrześcijaństwa, haniebnie kontynuowano je w następnych wiekach, kontynuowano je w cieniu stolca Piotrowego. O tak, mógłbym dodać jeszcze wiele gorszych rzeczy, gdyż akurat w naszych czasach nie brakuje niegodnych czynów

Kościół. Jedno wszakże nie ulega wątpliwości: on istnieje! I najwidoczniej ostał się też przed Bogiem, co jest kolejnym dowodem boskiej wszechmocy, która obejmuje również zło! Kościół papieży jest zły i podły. Dla tej prawdy nie ma przed ludźmi wytłumaczenia! Tyle że Bóg nie musi się tłumaczyć! A przecież chodzi tylko o niego; również czciciele diabła, również pogańscy kapłani służą ostatecznie tylko jemu. Sergiusz Armeńczyk, który nigdy nie otrzymał święceń kapłańskich, a teraz każe się nazywać archimandrytą, służy mu tak samo. Odmalował bogaty obraz Kościoła z aniołami i diabłami, dziewicami i świętymi. Jest w nim miejsce dla wszystkich, również dla ludzi fałszywych i zakłamanych, dla szarlatanów, złodziei i morderców. Sergiusz nam to unaoczniał. William zaniechał pogodnego tonu gawędziarskiego i przemawiał teraz z biblijną surowością.

—
Kościół służy Bogu, jednakowoż go nie zastępuje. Jest ludzkim dziełem i ma się kierować boskimi przykazaniami. A te są jasne i ścisłe. Mongolskie prawo Jasy odpowiada dziesięciorgu przykazań tak dokładnie, jakby wielki Czyngis-chan otrzymał je bezpośrednio od pana niebios. Nimi powinna się kierować *Nova Ecclesia*, tylko i wyłącznie! A nie kwestią, w jakiej liczbie należy czcić Boga, na modłę monofizycką, jako trójcę czy jako centurię! Bóg tylko by się z tego uśmiechał jak Budda lub gniewał jak Jahwe w Starym Testamencie. Jedynie wola dotrzymania przykazań uzasadnia założenie nowego Kościoła, a nie kwestia, czy w piątce ma być jedzona ryba czy wieprzowina! Teraz zależy od wielkiego chana, czy gotów jest powołać do życia Kościół, który będzie szeroko otwarty dla wszystkich jego poddanych, czy to muzułmanie, czy chrześcijanie, czy bałwochwalcy, czy zwolennicy szamanów, i wszystkich zobowiąże w równej mierze do przestrzegania boskich przykazań. To rzekłszy William złożył ukłon chaganowi i wycofał się, stając między Creanem a Filipem. Próżno było wyczekiwać oklasków. Przez nieroztropne uwagi na temat

wieprzowiny tudzież inne aluzje do wrażliwych miejsc różnych wspólnot religijnych brat William gruntownie popsuł sobie stosunki ze wszystkimi. A mimo to tryumfował, gdyż to on wypowiedział ostatnie słowo.

Na znak Móngkego szambelan rozwiązał zgromadzenie. Po początkowych wahaniach niektórzy nestorianie, zapewne zwolennicy poprzedniego archidiakona, buntujący się przeciwko archimandrycie, zaintonowali raz jeszcze z zapalem „Credo in unum Deum”, ku memu zdziwieniu do śpiewu przyłączyli się także Saraceni, tylko bałwochwalcy milczeli. Tym sposobem monoteiści opuścili salę jako zwycięzcy.

L. S.

— Drogi Creanie, dlaczego rzuciłeś naszemu bratu Williamowi w opresji koło ratunkowe w postaci wiersza sufiego?

Późnym wieczorem monseigneur Crean-Gosset i brat Barć spotkali się w domu szambelana Ata al-Mulka Dżuwajniego.

— Chyba raczej nie kierowałeś chrześcijańską miłością bliźniego? — dodał Barć.

— Ja jej nie rozdaję — odparł oschle Crean. — A i William na nią nie zasłużył. Ale atak Armeńczyka był tak prostacki, że można było przewidzieć, iż nasz flamandzki spryciarz przetrwa go bez szwanku i raczej wyjdzie z tego starcia wzmocniony. I tak zresztą się stało. Chciałem, żeby jego gwiazda błyszczała, a przez to pragnąłem przekształcić jego pewność siebie w zadufanie. Potem zresztą przecież napraszał się wielkiemu chanowi jako apostoł moralności i strażnik niewzruszonych praw. W tej roli, jak wszyscy wiemy, William jest łatwym celem ataku. Błąd żadnego władcy Sergiusza polegał na tym, że zaatakował Kościół, z którym nasz rozpustny franciszkanin nie ma nic wspólnego. Powinien był napiętnować grzeszne życie Williama. A teraz doszło do groteskowej sytuacji, że ascetyczny i — pominąwszy kilka brzydkich plam, których na

czarnym habicie jednak nie widać — absolutnie obyczajny Armeńczyk okazuje się nikczemnym popędliwcem, a nasz konfrater lekkoduch ku zadowoleniu chana i Boga prezentuje się jako prawowierny, pobożny mąż zdolny stanąć na czele nowego Kościoła. Wręcz idealny kandydat do roli patriarchy!

— A temu należy z całą mocą przeszkodzić! — rozległ się głos Dzuwajniego, który wszedł bezszelestnie. — Tegoż Williama trzeba jak najrychlej usunąć z Karakorum. Nie wolno dopuścić do jego powołania choćby dlatego, że trudno doprowadzić do obalenia świeżo mianowanego przez wielkiego chana księcia Kościoła bez narażania na szwank powagi Móngkego. Kiedy go już intronizuje, na pewno będzie go trzymał. Zresztą Mdnge i tak jest przywiązany do Williama bardziej, niż byłoby to nam na rękę.

— Bo też przyznać trzeba, że William całkowicie spełnił pokładane w nim oczekiwania wielkiego chana — dodał Crean. — Musimy się pośpieszyć, jeśli chcemy jeszcze temu przeciwdziałać. Oficjalne ogłoszenie nominacji ustalone jest na Zielone Świądri, tydzień...

— Przede wszystkim musimy się zastanowić, co chcemy zrobić — odparł Barć.

— Tak — powtórzył jak echo szambelan, niezbyt zainspirowany.

— Już pierwszy cios musi być śmiertelny — odrzekł Crean — bo do drugiego czy trzeciego chan nie dopuści. Bez fałszywego sentymentu należy go wymierzyć w cielesną postać naszego Williama...

— W podbrzusze! — roześmiał się Barć. — Przyszedł mi do głowy pewien pomysł, który jest tak banalny, że prawie się go wstydę.

— Tylko bez fałszywego wstydu, Barcu, już w Otranto okazałeś się nie lada podłym intrygantem. Powiem tylko jedno: triera!

— Właśnie do tego chcę nawiązać — ucieszył się Barć. — Posłuchajcie, Dzuwajni!

Najmłodszy brat chana ma niewolnicę o imieniu Szirat... -- ...którą Aryk Bóge, ten zapaleniec — szambelan był szczęśliwy, że znów może włączyć się do rozmowy — miłuje tak gorąco i żarliwie, że jej się oświadczył, a ona w swej zuchwałości odrzuciła jego oświadczenia!

— Tym lepiej! — zawołał Barć i wolny już od wszelkich zahamowań począł dalej kreślić swój plan. — W takim razie Szirat jako kobieta ze wszech miar nadaje się do tego, aby zastać ją z Williamem w kłopotliwej sytuacji. Rozpusta zamierzona, a może nawet popełniona!

— Przyszły patriarcha łamie jedno z przykazań, których przestrzeganie zalecił chanowi! — stwierdził Crean. — Nie pożądaj żony bliźniego swego!

— William z Roebruku próbuje uwieść kobietę Czyngisydy! — zawołał uradowany Dżuwajni. — Za taki haniebny czyn płaci się życiem. A wtedy nawet chagan nie zdoła go uratować!

— Biedny William — rzekł Crean. Barć nie dał się już jednak powstrzymać.

— Samo życie, jak go znamy, pewnie zachowa — pocieszył Creana, choć Dżuwajni przyglądał mu się z niedowierzaniem. — Rosz i Jeza w haremie Aryka Bóge odkryli Szirat, którą znają z dawnych czasów — wyjaśnił cierpliwie szambelanowi, którego wyraz twarzy nie stał się bardziej inteligentny z tego powodu. — I są bezwzględnie zdecydowani ją uwolnić!

--Parę królewską należy bezwarunkowo trzymać z dala od tej historii! —

zdenerwował się Dżuwajni. — Il-chan Hulagu nie życzy sobie żadnej skazy na wizerunku jego królów pokoju!

— I niech tak będzie! — potwierdził Crean z powagą.

— Nie ma obaw — odpowiedział Barć. — Przeciwnie, Rosza i Jeżę trzeba pod

jakimś pretekstem wywabić z ich kamiennego domu. Szirat natomiast się tam zamówi, zmyślone zaproszenie od Jezy... --Tym moglibyście wy się zająć, panie Dżuwajni — orzekł chłodno Crean. — Chcecie przecież, żeby dzieci wyszły z tego bez szwanku, ale nie Aryk Bóge, którego ambicje są cierniem w oku waszego pana Hulagu...

— Monseigneur — odparł zduszonym głosem szambelan — nie mówicie jak zwyczajny kapłan, ale wezmę na siebie tę część zadania.

— Dobrze — podjął znowu wątek Barć, *spiritus rector*. — Dzieci nie ma, wchodzi Szirat i zastaje tam Williama!

— Najlepiej obnażonego! — dodał z uśmiechem Dżuwajni. — Tak ludzie Bułgaja powinni zaskoczyć oboje!

— Jestem oburzony — stwierdził Crean — nie mówicie jak wysoko postawiony dworski dostojnik, panie Dżuwajni, ale jak człowiek tajnych służb. Szambelan tylko się roześmiał i pożegnał obu chrześcijan, o ile takowymi byli. Crean i Barć ruszyli z powrotem do jurty, w której pomieszkiwali razem z Williamem.

—

Do których przełożonych zakonu jest właściwie skierowane to memorandum o przebiegu dysputy religijnej, które sporządziłeś? — spytał Crean tyleż obłudnie, ile mimochodem. — Chyba nie do generała franciszkanów. Barca tylko na chwilę zdenerwowała jego ciekawość.

—

Creanie z Bourivanu, zapominasz, przed którym zakonem musimy zdawać sprawę. Czyżbyś miał coś do ukrycia przed Przeoratem? Crean pokręcił głową.

— Nic takiego, o czym by już nie wiedział, bracie Barcu.

— W takim razie ujmij też trochę mojej ciekawości: kim był ten sufi, którego wiersze

znasz na pamięć?

— Jeśli ich nie znasz, nie muszę ci także zdradzać nazwiska autora.

— Czyżby to był sam Maulana? Barć wprost umierał z żądzy odkrycia tajemnicy derwisza.

— Wielki Rumi we własnej osobie? Czyżbym widział największego sufiego naszych czasów jako osobę z krwi i kości i słyszał z jego ust te piękne i mądre słowa? — Mimo czcigodnego wieku Barć zachowywał się jako zachwycony scholar. -- Może — mruknął Crean.

* Langue d'oc (franc.) — język okcytański, którym mówi się w południowej Francji (obecnej Langwedocji).

* In p e r s o n a m (łac.) — osobiście.

* Derwisz (tur.-pers.) — członek muzułmańskiego bractwa religijnego. '

* Credo in unum Deum (łac.) — Wierzę w jednego Boga; tekst Wyznania wiary.

* „Mąż boży” — wiersz słynnego sufiego Rumiego, cyt. za (ang.): Star, Shiva, „A Garden beyond Paradise”.

IV .NOC SPISKOWCÓW

Z tajnej kroniki Jezy

Wydaje mi się, że Rosz i ja stanowimy jedyny wyjątek od reguły: „Nie chodź nigdy do wielkiego chana, jeśli nie zostałeś wezwany”. Pan Móngke cieszy się za każdym razem z naszej wizyty. Właściwie zamierzaliśmy odwiedzić Aryka Boge, żeby mój rycerz i król mógł usłyszeć na własne uszy z ust Szirat, że mamelucka księżniczka nie chce, byśmy ją uwolnili. Bo on nie chce mi wierzyć, jak bardzo zmieniła się żonka Hamona. Jednakże Dzuwajni, którego spotkaliśmy przy bramie książęcego skrzydła pałacu, oświadczył nam, że brat chana udał się na przejażdżkę konną w towarzystwie Szirat i pewnie

wrócą nie wcześniej niż wieczorem.

Ponieważ byliśmy już w pałacu, poszliśmy do dużej sali audiencyjnej, aby przyglądać się wielkiemu chanowi, jak rządzi. Móngke bardzo to lubi. Poza tym można się przy okazji wiele nauczyć o sprawowaniu władzy. Chagan był w złym humorze. Powodem jego rozdrażnienia była delegacja kapłanów, którzy bardzo prosili o audiencję akurat tego dnia, a on nie miał na nią ochoty. Byli to nestorianie, wysłani pewnikiem przez mnicha, który nie omieszkał ich wcześniej podburzyć bądź zastraszyć za pomocą swoich czarodziejskich sztuczek. Zapytani przez wielkiego chana, oświadczyli, że nie uważają już Williama za odpowiedniego kandydata na urząd patriarchy.

Od pewnego czasu miałam wrażenie, że nowy Kościół wychodzi już Móngkemu gardłem. Z rozdrażnieniem trzymał w rękach przez dłuższy czas łopatkę świeżo zabitego barana, obracał ją na wszystkie strony, zanim wręczył sługom, którzy włożyli ją do ognia. Może Móngke od dawna już żałował, że wdał się w zakładanie Kościoła i na dobrą sprawę wcale nie byłby nieszczęśliwy, gdyby wszystko zostało po staremu.

Ponieważ jednak to on, jako największy i nieomylny, zapowiedział *Novam Eccleŕiam Mongalorum*, nie chciał teraz pozwolić na wycofanie się — ani sobie, ani nikomu innemu. Potraktował więc kapłanów dosyć niełaskawie, co objawiło się choćby w tym, że kazał odpowiedzieć przez Bułgaję, którego wszyscy się obawiali.

— Czyż nie wy, chrześcijanie, stanęliście pierwsi za Williamem? — zagrzmał najwyższy sędzia. — Jeśli zaś teraz spróbujecie zadać cios w plecy przysłanemu patriarsze i zechcecie powstrzymać swojego pana, to w przyszłości będziecie ostatnimi, na których spocznie oko władcy. O ile w ogóle będzie wam wolno jeszcze stanąć przed jego obliczem! — W ten sposób Bułgaję dał odprawę uczniom Nestoriusza, można było zresztą wyczuć, że sprawiło mu to przyjemność. — Przekażcie swemu „archimandrycie” — mruknął do nich na pożegnanie — że wielki chan oczekuje adresu

wiernopoddańczego, a nie dalszych dyskusji w tej kwestii!

Rosz i ja, którzy znamy Williama dłużej niż ktokolwiek tutaj, w Karakorum — z

wyjątkiem Creana — przywykliśmy do codziennych występów patriarchy *in spe*, ale dla Mongołów jego pojawianie się za każdym razem w innych cennych szatach z mitrą i

pastorałem nadal jest czymś szczególnym. Stoją przy ulicach i wiwatują na jego cześć,

kiedy w towarzystwie asystujących mu nestorian udaje się na mszę do kościoła lub

śpieszy z wizytą do chorego. Wciąż jeszcze sporo jest kapłanów, którzy go popierają.

Armeńczykowi zaś nie udało się zabronić Williamowi wstępu do kościoła. Kiedy nasz

William nie ma do dyspozycji nestorian, Filip służy do mszy j ako ministrant. Ów

wypuszcza wtedy wprawdzie z rąk poły obszytego gronostajem długiego płaszcza, który

poza tym pilnie strzeże, żeby nie włókł się w kurzu, ale przynajmniej nosi przed naszym

grubym franciszkaninem chorągiew z barankiem. A ludzie wybiegają wówczas z

domów, klaszczą i całują Williama po rękach. Wielu rzuca się też na ziemię, kiedy

przechodzi obok. Nie ma drugiego takiego jak on; przy nim blednie nawet ten ponury

Sergiusz, który w dalszym ciągu chodzi w czarnym pokutnym habicie, nosi krzyż na kiju

i dręczy swoją gminę, nakazując posty.

Przynajmniej raz w tygodniu William i ozdrowiały mistrz Buchier muszą zdawać

wielkiemu chanowi relację o postępach w budowie rozkładanej katedry. Móngke kazał

zbić specjalnie dla nich ogromny wóz, na którym wożony jest do pałacu model z

pomalowanego w różnych kolorach drewna, żeby władca mógł go podziwiać. Osie

pojazdu, który muszą ciągnąć dwadzieścia cztery woły, mają taki szeroki rozstaw, że w

wielkiej bramie głównej wybito otwory w murze na wysokości piast. Móngkego zawsze

cieszy to przedstawienie, Rosz i ja też musimy być przy tym za każdym razem i

wyrażać swoją opinię. Już niedługo ma się rozpocząć odlewanie i wykuwanie

pierwszych części.

Po nestorianach przed wielkim chanem stanęli bałwochwalcy. Z dzwonekami, małymi grzechotkami i bębenkami weszli hałaśliwie do sali audiencyjnej. Jako swego rzecznika przyprowadzili tym razem nie Gadę Sarniego — tego, gdy zawiódł w dyspucie religijnej z Williamem, opluli, pobili i przepędzili — tylko starego lamę. Ów posmarował sobie twarz zieloną gliną i popiołem i pewnie był ślepy, gdyż trzymano go pod rękę. Bułgaj najchętniej wyrzuciłby ich od razu, lecz Móngke jest przesądny. Dla niego ślepiec to wieszczek. Dla wróżbity specjalnie ściągnięto tłumacza. —

Macie, panie, w swoim

ogrodzie bardzo piękny wybieg dla ptactwa. —

Stary lama miał piskliwy głos, jakby

chciał naśladować wydawane przez nie dźwięki, i również tłumacz próbował robić to

samo. — Mieszkają tam gromady perliczek, kuropatwy ze stepu, pardwa i głuszec.

Każde stado ma swego kura, a wszystkie znoszą jaja.

Móngke zaczął już okazywać zniecierpliwienie, lecz ślepcę nie mogło to wzruszyć.

— Pewnego dnia obcy król podaruje wam pawia, wspaniałe zwierzę, duże i tłuste...

— Wyrzuć go — rzekł Móngke cicho do Bułgaja. Słyszeliśmy to wyraźnie, lama

tymczasem ciągnął: — A paw od razu zacznie piąć: „Czyż nie jestem okazalszy od

wszystkich innych kurów na tym wybiegu? Na co one jeszcze potrzebne? Zabijcie je!" Z

pewnością także paw jest kurakiem, ale co będzie z jajami? O to zapytuję was,

władco...

Móngke powściągnął gniew i pozostawił odpowiedź Bułgajowi. —

Ja też zadaję

sobie to pytanie — odparł ten, naśladując dyszkant kastrata. — Co to będzie, kiedy

wam je obetnę?

Po tych słowach zapadła cisza jak makiem zasiał, lecz zaraz dwór wybuchnął

gromkim śmiechem, wszyscy parskali i z uciechy klepali się po udach. Bałwochwalcy

stali przez chwilę osłupiali, po czym wzięli pod rękę lamę i spieszenie wyprowadzili go z sali. Ich dzwonki i grzechotki, potrząsane gorączkowo, wydawały ostre dźwięki.

Wychodzących ścigał hałaśliwy rechot Mongołów. Nawet chan nie potrafił powstrzymać się od śmiechu.

Tymczasem podnieśli się Saraceni, którzy czekali już od dłuższej chwili. Ich rzecznik złożył ukłon wielkiemu chanowi.

— My nie będziemy się porównywać z gdaczącymi kurami. Władca posiada sokoły, z

którymi poluje, a ma ich tyle, tak dobre i tak różne, jak mu się podoba. Ale tylko jeden może siadać na rękawicy władcy i być wyrzucany przez niego w powietrze. Czy dlatego

inne są gorsze? Nie są! Wszystkie latają i chwytają zdobycz w imieniu władcy i go

wychwalają. Są dumne, że jednemu z nich — sokołowi jak one — przypada zaszczyt siadania na jego rękę, a nie jakiemuś kurakowi!

— Dobrze powiedziane — orzekł Móngke i kazał im z powrotem usiąść. — Teraz obejrzymy kości! — polecił.

W chwilę później szamani pokazali mu bez słowa wypaloną w ogniu kość łopatkową.

Wielki chan zmarszczył czoło, a Rosz, który siedział bliżej niego, szepnął do mnie:

— Pękła w poprzek! To był zły znak.

— Baran był stary — powiedział ze złością wielki chan. Bułgaj skinął głową.

—

Bardzo możliwe — przyznał przezornie — ale nie trzeba wyroczeni, żeby

stwierdzić, że powołanie kandydata zgodnie z waszym życzeniem zasieje niezgodę.

Moim obowiązkiem jest powiedzieć to otwarcie — dodał. —

Ukarzcie mnie za to,

jestem waszym sługą!

Zanim Móngke zdążył wyrazić swoje zdanie, jego uwagę, dzieloną już między spaloną kość a szamanów — wciąż spoglądał to na nią, to na nich — zwrócił generał Kitboga, który wszedł do sali razem z Barcem. Byłam ciekawa, co ci dwaj mają do powiedzenia, gdyż chagan na pewno zasięgnie też ich opinii. Dziwiło mnie tylko, że — wbrew swemu zwyczajowi — nie wciągnął do dyskusji mnie i Rosza. Generał poszeptał chwilę z najwyższym sędzią, po czym Bułgaj ku naszemu zaskoczeniu oznajmił: — Para królewska żegna się z wielkim chanem!

Wstaliśmy zatem, ukłoniliśmy się i zeszliliśmy po stopniach z podwyższenia. Stary generał, którego bardzo lubię, odprowadził nas do wyjścia z sali audiencyjnej. — Powinniście teraz pójść do domu — poradził nam poważnie zatroskany. — I jeśli zobaczycie Williama, przekażcie mu, że dobrze by było, gdyby ruszył czym prędzej swój tłusty zadek do pałacu! — Kitboga wyglądał na zmartwionego, lecz zaraz wyprostował potężną postać. —

Musi stanąć do walki ze swoimi wrogami! Rosz i ja obiecaliśmy, że zadbamy o to.

L. S.

W sali audiencyjnej głos zabrał najwyższy sędzia. —

W imieniu wielkiego chana

franciszkanin Bartłomiej z Cremony zostaje niniejszym wezwany do zdania sprawy dostojnemu szambelanowi Ata al-Mulkowi Dżuwajniemu wobec oczu i uszu najwyższego władcy. Dżuwajni wystąpił naprzód.

—
Zadam kilka pytań towarzyszowi naszego powszechnie szanowanego

William z Roebroku, które będą dotyczyły przyszłego sprawowania urzędu przez jego umiłowanego konfratra, jak on członka *Ordinis Fratrum Minorum*. Przyjrzyjmy się stosunkom panującym na Zachodzie, skąd pochodzą obaj bracia. Również tam jest najwyższy władca świecki, który zwie się cesarzem i stoi ponad wszystkimi królestwami, oraz zwierzchnik Kościoła chrześcijańskiego, papież.

Wycofał się i dał znak Barcowi, aby mówił. Ten złożył ukłon wielkiemu chanowi i rzekł:

— Nie śmiem opisywać sytuacji, które wasza wysokość może...

— Mówcie! — napomniał go Bułgaj, choć na pewno przejrzał tę grę.

— Od przeszło dwustu lat Zachód osłabiają ciągle wojny, biorące się stąd, że niemiecki król, któremu wolno nosić koronę cesarską jedynie z namaszczenia ręką papieża, toczy spór z Ojcem Świętym. On, papież, zwierzchnik całego świata chrześcijańskiego, musi bronić swego pochodzącego od Boga prawa ustanawiania i koronowania królów i cesarzy przed tym, który uważa, że jego świecka władza przypada mu jako królowi z racji urodzenia, a w wypadku cesarza wystarczy, że kurułtaj, czyli zjazd książąt, wybierze go na cesarza. Barć, dając upust oburzeniu, zrobił przerwę, żeby Dzuwajni mógł wtrącić następne pytanie.

— Zgodnie z tym, co powiadacie, to nie cesarz, najwyższy władca wszystkich narodów, ustanawia papieża, tylko na odwrót: najwyższy kapłan cesarza?

Tak właśnie jest — zgodził się Barć — z woli Boga! Papież ma także dane od Boga prawo i obowiązek zdetronizowania cesarza, usunięcia go ze wspólnoty Kościoła i wystawienia na potępienie wszystkich wierzących, jeśli ten nie żyje i nie rządzi wedle przykazań papieża. Taki właśnie los spotkał ostatniego cesarza Fryderyka. Został zdjęty z tronu, a jego cesarstwo papież podzielił między innych. Mongołów aż zatkało. Móngke

zasłonił czoło dłonią.

— Władca musi dać się ochrzcić? — zapytał jeszcze szybko Dzuwajni, Barć zaś skinął głową. — Ale nie wystarczy, że władca da się ochrzcić, żeby otrzymać swoją godność monarszą z rąk pat... papieża, musi także zachowywać się jak władca i wieść takie życie, jakie papież uważa za właściwe?

— Cesarz musi wypowiadać się ze swoich grzechów jak każdy inny chrześcijanin.

O tym, co jest „grzechem”, decyduje papież, który może go ukarać, a poza tym nakłada na niego „pokutę”.

— A co jest grzechem?

— Kiedy cesarz ma więcej... więcej niż jedną żonę.

— Dalej! — naciskał Dzuwajni.

— Ażeby nie żyć w grzechu... — wyjąkał Barć, zrećźnie udając zakłopotanie —

trzeba o wiele, eee, o wiele mniej pić, niż, niż... trzeba przychodzić trzeźwym na mszę, i to codziennie, i jest się zmuszonym do przestrzegania postów...

— Dalej, dalej! — popędzał go szambelan.

— Dobry chrześcijanin nie powinien też prowadzić wojen. Przeciwnie, kiedy ktoś uderzy go w twarz, musi mu jeszcze nadstawić drugi policzek...

— Przestańcie! — jęknął chan. — Robi mi się niedobrze.

— Wynoście się! — wrzasnął na Barca Bułgaj, również Dzuwajniemu posłał gniewne spojrzenie. — Psujecie władcy humor!

Barć, potykając się, spiesznie opuszczał salę. Tylko nie nastąpić teraz na próg, było jedyną jego myślą, dopóki nie znajdzie się na zewnątrz. Szambelan podążał za nim statecznym krokiem.

—

Przecież chcieliście to usłyszeć! — syknął Barć do najwyższego sędziego. —

Od razu wam mówiłem, że okrutnie to chagana przygnębi. Odsunął się, bo ujrzał zbliżającego się Kitbogę, który również wyglądał na rozsierdzonego. Bułgaj natychmiast przepuścił generała. -- Przysięgnijcie mi na swoje życie — wysapał Móngke — że William nie jest przebrany papieżem, który nawiedził nas tutaj, a myśmy go nie poznali.

— Uspokójcie się, panie, mogę was zapewnić na życie moich dzieci, że William nie będzie zachowywał się jak papież ani we własnym życiu, ani w swoich wymaganiach wobec prowadzenia się innych ludzi!

— Czy William nie mówił o ścisłym przestrzeganiu dziesięciorga przykazań, kiedy stanie na czele nowego Kościoła? Czy w tych przykazaniach nie żąda się od człowieka strasznych rzeczy? — jątrzył Dżuwajni, który jeszcze wrócił, nie chcąc, żeby ktoś zniweczył sukces jego inscenizacji. — Dziś William będzie pił z wami i będzie wielce towarzyskim kompanem — zwrócił się do chana — ale jutro, jako patriarcha, uderzy w inną strunę.

— To się okaże — rzekł Bułgaj tonem, który nie wróżył nic dobrego, tedy Kitboga uznał za wskazane stanąć w obronie podopiecznego.

— Możecie wszak wystawić go na próbę — oświadczył chytrze. — Wyślijcie go najpierw do Persji wraz z waszym bratem Hulagu i panem Dżuwajnim. Jeśli się sprawdzi...

— I wy, Kitbogo, weźmiecie to na siebie! — wycedził z jadem szambelan. — Jeśli jestem dobrze poinformowany, mój pan Hulagu i ja możemy chyba liczyć na waszą asystę, gdy chodzi o zdobycie „reszty świata”!

— Panowie! — jęknął Móngke. Najwyższy sędzia zrozumiał jego życzenie.

— Proszę, opuśćcie nas teraz. Powiadomimy was, cośmy postanowili! Zgromadzenie rozwiązało się. Dżuwajni zacierając dłonie udał się do skrzydła książęcego i polecił przekazać Arykowi Bóge, że księżniczka Jeza byłaby rada widzieć wieczorem u siebie jako gościa swą przyjaciółkę, księżniczkę Szirat.

Z Kroniki Williama z Roebruku

Karakorum, w dzień wspominania św. Piusa I* A. D. 1254

Byłem w swojej jurcie sam z Creanem i właśnie go zapytałem, dlaczego pomógł mi w sporze z mnichem. — Czy to był twój judaszowy pocałunek, Creanie z Bourivanu?

Wtedy wszedł Barć, drugi mój fałszywy konfrater. Zdążył już do tego stopnia wcielić się w postać „Bartłomieja z Cremony”, że przejął intryganckie maniery tajnych służb

Ecclesiae catholicae i zupełnie zapomniał o starym, wesołym Wawrzyńcu z Orty. Teraz jednak nagle zjawiał się znowu jako tamten i oznajmił radośnie:

—

Tyleż spontaniczna, co jednoosobowa decyzja wielkiego chana Móngkego:

nominacja patriarchy ma nastąpić możliwie najszybciej! Obaj rzucili mi się na szyję.

— Chan, od którego właśnie przychodzę — relacjonował Barć — domaga się, abys

wcześniej wziął kąpiel, włożył białą szatę i stawił się przed nim. Pewnie nestorianie mu to wmówili — dodał przepraszającym tonem, gdy zauważył na mojej twarzy wyraz

powątpiewania. — Możesz zapytać Kitbogę, który mi towarzyszył. Słusznie, widziałem

obu, jak odchodzili, ale ta sztuczna wesołość zdradliwego Barca wydawała mi się

podejrzana.

—

W której kąpieli z trucizną chcecie mnie utopić? — zapytałem z drżeniem,

dając tym pomocnikom kata, tym siepaczom Przeoratu, ostatnią szansę zaniechania

zła, które zamierzali. Jednakże Barć, ten judasz, pocałował mnie i zawołał: — Zanim

kur zapieje trzy razy, musiałbyś, stary grzeszniku *de iure canonico** wychłęptać całą balię po zimnej kąpieli w solance ze świeżo

zerwanymi pokrzywami i kiściami pieprzu! Nawet Crean się roześmiał.

—
*Fratre peccaoi!** Gdzie jest miejsce, w którym mogę czynić pokutę? —

przeprosiłem Barca.

Crean znalazł na to dobrą radę.

—
Kamienny dom dzieci, mam na myśli dom Rosza i Jezy, jest wyposażony we własny hamam. Dalej, Barcu, biegnij tam! — rozkazał Crean. — I od razu poproś parę królewską o zgodę na napalenie w łaźni! Barć ruszył w te pędy, a Filip wyszukał dla mnie wśród szat biskupa białą suknię pokutną z cieniutkiego płótna. Najchętniej uściskałbym cały świat! Jakże ja mogłem podejrzewać Creana? Czym prędzej udałem się do łaźni w towarzystwie mego spowiednika monseigneuru Creana-Gosseta i sługi Filipa.

L. S.

Z tajnej kroniki Rosza Trencavela

Karakorum, w pierwszej dekadzie lipca A. D. 1254

Cóż za radość! Nasz William zostanie patriarchą! Byliśmy wszyscy razem w hamarni, ponieważ stary spryciarz miał najprzód wypocić i zmyć wszystkie grzechy.

Powiedziałem do Jezy:

—
Chodź, wykąpiemy się z Williamem jak za dawnych czasów! —Dama

krygowała się, więc dodałem: — Kiedy zostanie patriarchą, nigdy więcej nie będzie mógł się z nami kąpać!

To ją przekonało. William pozbył się już szat, nieźle obrósł w tłuszcz przez ostatnie lata! O, będzie powód do żartów. Crean był naturalnie przeciwny i musiał nam popsuć zabawę! Nie chciał, żebyśmy się rozebrali i przyłączyli do Williama, twierdząc, że jest to kąpiel rytualna, a William musi być sam i w cichej kontemplacji przygotować się do swego nowego zadania. Z tego wyjaśnienia naigrawał się również William, ale kiedy sprowadziliśmy go potem do okrągłej marmurowej sali, która wraz z kolumnami stanowiła *balaneion*, przedmiot naszej dumy, cofnął się niczym koń przed rowem z wodą. — Nikt nie zauważy, czy rzeczywiście w tym byłem. — Z obrzydzeniem pokazał na parującą wodę.

- Jednak zauważy — zaoponowałem — to poznać po zapachu. —

Pewnie się

boisz, że wyjdiesz z wody jako nowy człowiek? — nalegał Crean. — Nie udawaj! Wtedy

William zaciął się na dobre. —

Dlaczego tak wam zależy, żeby wpędzić mnie do tego basenu?

— Nagle zaczął dygotać. — Chcecie mnie zabić! Utopić albo otworzyć mi żyły! Kogo on się boi, że nie chce zrobić kroku po schodkach i nawet nie sprawdzi temperatury dużym palcem u nogi?

— Ktoś chce mnie otruć! — szepnął do mnie strwożony. — Mnich nie dopuści...

A teraz, Williamie, weź się wreszcie w garść! — łajał go Crean. —

Ciepła kąpiel

nikogo jeszcze nie zabiła, a ty masz silne serce!

—

Ani myślę! — wrzasnął franciszkanin. — Wszyscy jesteście w zмовie, bo mi zazdrościcie! Niewidzialne esencje przenikną mi do trzewi niczym pasożyty, spustoszą

moje wnętrze, wypiją krew, trujące opary odbiorą mi oddech. Ująłem go za rękę — był bliski płaczu — i zacząłem uspokajać:

— Jeza i ja przekonamy cię, że ta woda do kąpieli jest nieszkodliwa. Wtedy wtrącił się jednak Crean.

—

Jesteście wprawdzie panami w swoim domu, moi królowie — powiedział — ale ma być tak, jak rzekłem wcześniej. Proszę, pozwólcie mi, że dostarczę Williamowi dowodu na to, że jego lęki są bezpodstawne. I szybko zrzuciwszy odzienie, statecznym krokiem zszedł po stopniach do wody i stanął pośrodku basenu.

— Zanurz się razem z głową, Creanie z Bourivanu — zawołał William — wtedy ci

uwierzę, zawstydzę się i pójdę w twoje ślady!

Crean uczynił, jak mu powiedziano, i pozostał pod wodą tak długo, aż musiał znowu zaczerpnąć powietrza. W końcu wynurzył się prychnając.

—

Wstydzę się! — zawołał ze śmiechem William, przymierzając się do naśladowania Creana. W tym momencie zjawił się Kito, którego nie widzieliśmy od dawna, bo pełnił służbę przy granicy.

— Ty też możesz się z nami wykąpać! — zaproponowała wesoło Jeza. Odmówił.

— William i wy macie niezwłocznie udać się do pałacu, rozkaz chana!

— Gdy tylko wykapiemy Williama! — zażartowała Jeza. Kito nie znał się jednak na żartach.

— Na ablucje nie ma czasu! Musimy natychmiast wyruszać! William oblekł się więc tak,

jak stał, w przygotowaną przez Filipa szatę,

i pojechaliśmy do pałacu. Przed wejściem spotkaliśmy Dżuwajniego, który dreptał wokół zniecierpliwiony.

— Pośpieszcie się! — zawołał. — Chan już czeka!

L. S.

Szambelan wpadł wściekły do hamamu.

— Kto pozwolił Williamowi się oddalić? — zakipiał. — Zaraz przyjdzie ta Szirat...

— Wielki chan niespodziewanie go wezwał! — odkrzyknął Crean, wciąż stojąc pośrodku *balaneionu*. — Az nim dzieci.

— I kto teraz wejdzie do kąpieli z niewolnicą?

— Ja nie — zaprotestował od razu Barć. — Za żadne skarby! To był wasz pomysł,

Dżuwajni! — Na wszelki wypadek natychmiast opuścił pomieszczenie, ale od drzwi dodał jeszcze: — Teraz wy ją musicie wykąpać!

— Chętnie—szambelan uśmiechnął się fałszywie — ale nie odniosłoby to żadnego skutku, gdyż błędem popełnionym przeze mnie nie można raczej obarczyć Williama. A skoro już nie ma pana patriarchy we własnej osobie, to musi być przynajmniej jego zastępca — stwierdził — czyli spowiednik! -- Ja nie wydam się wiarygodny — oświadczył Crean, który pragnął uchylić się od nieprzyjemnego zadania, zwłaszcza że poczuł właśnie kojące działanie ciepłej wody: leżąc na plecach, unosił się na falach.

— Ładni z was spiskowcy! — prychnął szambelan. — W takim razie nic się nie zdarzy, a ja zatrzymam niewolnicę i odeślę ją z powrotem! I rozsierdzony opuścił łaźnię, obdarzwszy jeszcze pluskającego się Creana badawczym spojrzeniem.

Z tajnej kroniki Jezy

Przybyliśmy do pałacu i natychmiast

zaprowadzono nas przed oblicze wielkiego chana. Był przy nim tylko Bułgaj, którego

bardzo zdziwiła biała suknia Williama. Wcale nie panowała odświętna atmosfera, jakiej spodziewałam się podczas ceremonii wprowadzenia na urząd patriarchy. W powietrzu wisiało coś złego. William stojący w pokutnej szacie zapewne też to wyczuwał. — Usiądźcie — ozwał się chan znużonym głosem. Wypił już, i to sporo. Oprócz służby przy drzewie napitków obok drzwi nie było nikogo. Przyniesiono nam czarę. William pociągnął łyk. — My, Mongołowie — Móngke ważył każde słowo — wierzymy, że jest tylko jeden Bóg, w którym żyjemy i umieramy, i do niego zwracamy się całym swoim sercem.

William poczuł się wezwany do odpowiedzi. —

Sam Bóg pozwala, żeby tak było —

rzekł łamiącym się głosem; sędzę, że przechodził męki piekielne — bo bez jego łaski nie mogą się dziać rzeczy tego rodzaju.

Chan kazał napełnić swoją czarę i wypił, ale nie podał jej dalej, jak to miał w zwyczaju, Williamowi, który skutkiem tego trzymał się naszego naczynia. — Jak Bóg dał dłoni różne palce — ciągnął spokojnie Móngke — tak dał również człowiekowi różne drogi osiągnięcia zbawienia. Wam Bóg dał Pismo Święte z dziesięciorgiem przykazań. Ale wy, chrześcijanie, nie postępujecie według niego. Nam zaś dał szamanów, a my stosujemy się do ich słów i żyjemy w pokoju. — Ponownie przytknął czarę do warg, jakby musiał dodać sobie odwagi. William także wypił, żeby przygotować duszę na ból, na który się zanosilo. — I dla tego pokoju, Williamie z Roebroku, zmuszony jestem rozstać się z tobą. Ta decyzja przyszła mi z trudem i serce mi krwawi. Muszę jednak wyżej postawić pokój mego ludu niż uczucie przyjaźni, jakie do was żywię.

Myślałam przez chwilę, że obaj się rozplakali, ale szloch, jaki słyszałam, pochodził od Rosza. Móngke kazał ponownie napełnić swoją złotą czarę i podać ją Williamowi, zanim

sam się napił. Zabrałam Williamowi z drżących rąk naszą czarę i także pociągnęłam łyk. Potem wręczyłam ją Roszowi i uśmiechnęłam się doń zachęcająco. Ze łzami w oczach również mój rycerz zanurzył w niej usta, a tymczasem Móngke mówił dalej:

—
Dlatego pragnę cię obdarować. Powiedz, czego chcesz, a będzie twoje.

Popatrzyłam na Williama. Nie wyglądał już jak zdjęty z krzyża, wydawał się zastanawiać. W jego szarych oczach zabłysła surowość. Pewnie powziął jakieś mocne postanowienie. A potem rzekł stanowczo i wyraźnie: — Proszę o srebrne drzewo napitków.

L. S.

Kiedy Szirat, odprowadzana przez okazały poczet gwardii klanowej Aryka Bóge, przybyła pod kamienny dom Rosza i Jezy, ten był już otoczony przez ludzi Dżuwajniego, co jej eskorta uznała za zwyczajowy środek bezpieczeństwa dla ochrony pary królewskiej. Dżuwajni na wszelki wypadek wymienił także wszystkie służki Jezy na własne. Szirat powitano kurtuazyjnie i wprowadzono ją do domu.

— Pani oczekuje was w łaźni — oznajmiono jej uprzejmie.

Szirat zdjęła szaty, kazała sobie podać prześcieradło i weszła do hamamu. Kiedy jej wzrok przywykł do unoszących się kłębow pary, z lekkim przestraszeniem dostrzegła w *tepidarium** nagiego mężczyznę. Nie żeby ten, w dodatku zanurzony po pas w wodzie, zbił ją szczególnie z pantałyku, lecz natychmiast zauważyła, że obsługa łaźni wycofała się, miast jej pomagać. Szirat przytomnie wybiegła po stopniach na górę, szybkim ruchem wyrwała swoje prześcieradło z rąk łaźnienego, który zamierzał się z nim oddalić, i owinęła się w płótno. Jednakże dokładnie tyle czasu, ile na to straciła, wystarczyło słudze do tego, by wymknął się z pomieszczenia jako ostatni. Zazgrzytał klucz w drzwiach i Szirat została w łaźni sama — z nagim mężczyzną! Tyle że teraz nie

spadło to już na nią niespodziewanie, a gdy spojrzała mu w twarz, rozpoznała Creana.

— No, zrób coś! — ofuknęła go. — Chcą mnie zgubić. A na dodatek ciebie!

— Jeśli już mamy wspólnie umrzeć — zażartował Crean z udręczoną miną — to przynajmniej wykąpnijmy się najpierw wspólnie!

— Chyba ci życie obrzydło! — syknęła Szirat; próbowała otworzyć drzwi, ale trud okazał się daremny. — Jeśli Aryk Bóge zaskoczy nas w tym stanie, zabije ciebie — ostrzegła — a potem mnie! Przekonawszy się, że Szirat w żadnym wypadku nie zamierza wejść do basenu, tylko wystraszona przyciska się do drzwi zawartych od zewnątrz, Crean wyszedł z wody i ruszył ku niej z rozłożonymi rękoma.

— Zasłoń się! — krzyknęła. — Jesteś szalony!

— Ja? — Podszedł bliżej. — Ja chciałem tylko wziąć gorącą kąpiel. A ty wchodzisz nago i oświadczasz mi, że jestem martwy. Kto...?

— Weź mnie w objęcia — zaszlochała Szirat i upuściła swoje prześcieradło. — Niech mają, czego chcą. Crean podniósł płótno i owinął nim oba ciała, jako że sam szybkim rzutem oka stwierdził, że jego prześcieradło zniknęło.

—

Ten, kto chce nas zabić, powinien nas zastać gotowych umrzeć z godnością i patrzących śmierci w oczy. — To rzekłszy wtuliła głowę w jego ramię.

W pałacu panowała grobowa cisza. W otwartych drzwiach wielkiej sali audiencyjnej, które prowadziły na dziedzińce i do ogrodów, stało srebrne drzewo napitków. Grający na trąbce anioł na czubku drzewa opuścił ramię z żalnym piskiem — a może było to smutne pierdnięcie ustami — i napoje, które tak wesoło tryskały do dzbanów ze zwisających gałęzi, zaczęły najpierw ciurkać, a w końcu przestały nawet kapać. Ludzie obsługujący wyszynk stali osłupiali. Drzewo napitków! Cała duma wielkiego chana, ozdoba sali biesiadnej i niekwestionowane chwalebne centrum wszystkich wspaniałych

pijatyk, wiecznie tryskające źródło kumysu i miodu, wina i nektaru miało opuścić swoje stałe miejsce i zostać wywiezione z Karakorum i z kraju Mongołów!

Również dzieci obserwowały to z bólem serca. Cierpiały razem z Williamem, a teraz współczuły chanowi. Móngke nie miał odwagi spojrzeć jeszcze raz na swoje drzewo, wstydził się, jakby je zdradził. Chanowi nie przystoi łamać danego słowa, zmieniać czy odwracać jego sens. On głęboko zranił Williama z Roebruku w jego dumie, sprawił gorzki zawód przyjaźni wielkiego męża — a William nie nadstawił drugiego policzka, tylko oddał cios niczym Mongoł. Ten piękny cios ugodził go, Móngkego, mocno i boleśnie. Skąd przyszło mu do głowy, że on, chagan i władca wszystkich plemion, powinien zdobyć się na wielki gest przy pożegnaniu z byle misjonarzem? Dobrze mu tak!

Natychmiast kazał wezwać do pałacu mistrza Buchiera, żeby od razu zaczął rozmontowywać drzewo, a po rozłożeniu go na części przewiózł je do swojego warsztatu.

—
Spieszcie się, mistrzu! — popędzał go Bułgaj. — Chagan nie chce już patrzeć na to drzewo. Jutro rano jego elementy mają być załadowane i gotowe do transportu.

A potem mistrz Buchier ma mi zrobić nowe, pomyślał ponuro wielki chan, tym razem całe ze złota, jeszcze większe i piękniejsze!

Ledwie kowal artystyczny przyłożył rękę do pierwszej gałęzi, William zawołał głośno — Chcę je mieć jako całość! — Zerwał się z miejsca i zwrócił do chana, który patrzył w inną stronę. — Chcę, żeby postawiono je na wielkim wozie zaprzężonym w woły i przywiązano. A gdy będę jechał przez step ku swojej ojczyźnie, będzie ono świadczyć o

niezmierzonym splendorze chana

Móngkego i jego wspaniałomyślności!

Móngke kazał Bułgajowi, żeby podał mu jego czarę, i opróżnił ją. Następnie kazał ją wręczyć Williamowi. Minoryta wziął naczynie, wstał, podszedł do drzewa i własnoręcznie ją napełnił napojem z jednego z dzbanów. Ostrożnie stawiając kroki, wrócił przed oblicze chana i podsunął mu czarę. Wtedy również chan się podniósł i uściskał Williama, po czym obaj pili i śmiali się jak zawsze, kiedy byli ostatnimi biesiadnikami. Rosz i Jeza przyglądali się im z uśmiechem.

Mimo że drzwi hamamu w kamiennym domu były od zewnątrz zamknięte, ludzie z tajnych służb wyłamali je, wyleciały z hukiem z zawiasów. Mężczyzna i kobieta siedzieli obok siebie na kamiennej ławie. Crean obyczajnie zasłonił płótnem swoją nagość, Szirat zaś owinęła prześcieradłem ramiona i biodra na tyle, że najwyżej jej gołe nogi mogły wzbudzić zgorszenie. „Bliskie zespolenie cielesne” dokonywało się tylko w głowie, którą kobieta oparła o ramię mężczyzny.

Ludzie Bułgaja byli źli, bo przyszli za późno i nie przyłapali winowajców *in flagranti*,* ogarniętych płomiennym żarem, który podsłuchujący pod drzwiami wyobrażali sobie aż nadto sugestywnie. Tylko wkroczenie Dżuwajniego ustrzegło oboje od zderzenia z nich prześcieradeł. Ale i tak można było powiedzieć, że półnagich brutalnie wypędzono z domu, a to wystarczyło do pożądanego skandalu. Spowiednik Williama z Roebruku i niewolnica Aryka Bóge zostali pojmani i odprowadzeni.

Drzewo napitków się chwiało, anioł obrócił się dookoła własnej osi, ale nie upadł.

Mistrz Buchier delikatnie układał dzieło swego życia na skórach i derkach, rozłożonych na największym wozie zaprzężonym w woły, żeby nie uszkodzono żadnej z gałęzi. Był to ten sam wóz, na którym transportowano zazwyczaj do pałacu drewniany model

powstającej katedry, żeby chan mógł z zadowoleniem podziwiać postępy tego jedyne-
go w swoim rodzaju dzieła architektonicznego, które teraz zapewne też nigdy nie zostanie
ukończone. Mistrz wykonywał swoją pracę jak ogłuszony. Chan na pewno będzie się
domagał, żeby postawił mu w drzwiach nowe drzewo, większe i wspanialsze, ale on,
Buchier, był starym, chorym człowiekiem. Nigdy, nawet we śnie, nie przypuszczał, że sam będzie
musiał "rozebrać swoje dzieło. Chan zmusił go do tego i za to mistrz go
nienawidził—a teraz ze złośliwą satysfakcją zastanawiał się, na co komu jeszcze
srebrny zewłok pnia, który na tle nocnego nieba żałośnie wyciągał gałęzie, i do czego
jeszcze może się przydać przynajmniej jaskinia w korzeniu. Po tej chwili refleksji
powrócił z zapalem do rozbiórki i załadunku.

Rosz i Jeza przyglądali się i udzielali nadzwyczaj mądrych rad. Móngke i William pili i
zapewniali się o nieustającej przyjaźni i że William koniecznie musi wrócić. Tylko Bułgaj stał bez
słowa, ale jego oczy widziały wszystko.

Wypatrzył też od razu zatrzymanego w przedsionku posłańca, który przyniósł „złe
wieści". Bułgaj był jedynym człowiekiem na dworze, który miał odwagę niepokoić
chagana podczas picia. Koka, druga pod względem rangi żona wielkiego chana, była
umierająca. Móngke przestał się śmiać, pił natomiast dalej. Zażądał, żeby mnich
Sergiusz ze swoją czarodziejską miksturą bez zwłoki udał się do chorej. William
zaofiarował się, że on pójdzie, ale Móngke uparł się, że ma to być Armeńczyk. William
obstawał jednak, że to on odwiedzi archimandrytę w jego domu i przekaże mu życzenie
chana. Najwyższy sędzia wysłał z nim wszakże dwóch ludzi choćby dlatego, że
franciszkanin był bardzo pijany.

Drzewo napitków odjechało, a chanowi, który był nie mniej pijany, serce omal nie
pękło. W zasadzie — wybełkotał do Rosza i Jezy, którzy stali u jego boku i śledzili
wzrokiem, jak drzewo napitków kołysząc gałęziami znika w bramie na ogromnym wozie

— w zasadzie chciałbym zatrzymać tu obydwójce, srebrnego Williama i grube drzewo!

— Czy ktoś nie pozwala wam tego zrobić, dostojny władco? — spytał bez respektu

Rosz, ale Jeza szybko zawołała:

— Co słowo, to słowo!

Ale przecież możecie mu kazać raz objechać miasto albo pojeździć w kółko po kraju. W

ten sposób William was opuści, a potem wrócił — I wszystko zacznie się od nowa? —

roześmiał się wielki chan, lecz w następnej chwili znów popadł w przygnębienie. —

Nieopatrzne słowo władca może cofnąć, mój młody królu, ale nie postanowienie

powzięte po dojrzałym namyśle: William musi na długo opuścić kraj Mongołów.

Najwyższy sędzia dostrzegł już w przedsionku następnego posłańca. Był to jeden z jego

ludzi ze służb tajnych, który dawał mu znaki, że polecenie zostało wykonane. Bułgaj

pokręcił z niezadowoleniem głową. Ostatecznie nie mogło się stać coś, co nie miało

prawa się zdarzyć, wszak William, który był przewidziany na ofiarę, przez cały czas

przebywał pod bacznym okiem chana. Cóż więc oni zrobili z tą niewolnicą — i kto? Ale

w tym momencie do sali wparował już zdenerwowany szambelan i dotarł prawie do

wielkiego chana i dzieci. Najwyższy sędzia zastąpił mu drogę, gdy zaledwie parę

kroków dzieliło go od tronu. --Dostojny władco! — zawołał Dżuwajni, usiłując przejść

obok zwalistego łysielca, który przewyższał go o głowę. — Przyłapaliśmy spowiednika

Williama, kapłana Gosseta, nago w ramionach niewolnicy waszego brata Aryka Bóge!

Oboje bezwstydnie się...!

— Oboje bezwstydnie?—przerwał mu Móngke, a Bułgaj natychmiast pośpieszył na

pomoc swemu panu.

— Widzieliście to na własne oczy?

— Świadkowie! — odparł szambelan, wściekły na najwyższego sędziego, na którego

udział w spisku mógł liczyć do tej pory.

— A czy ona jest piękna? — spytał Móngke i pociągnął łyk. Dzieci natomiast jakby piorun poraził.

—

Kapłan zhańbił własność chung tajdziego, chociaż niewiasta, jak twierdzą świadkowie, była mu uległa z ochotą! Przeto także ona zasługuje na śmierć!

— Bułgaju! — warknął chan. — Co wy na to Najwyższy sędzia odchrząknął.

— Kapłan nadużył prawa gościnności, nawet jeśli niewiasta nie była Mongołką.

Niewolnica pozbawiła czci imię waszego brata, jedynego mężczyzny, do którego należało jej ciało. Możecie przychylić się do wniosku szarnbelana.

— Nie! — krzyknął Rosz i rzucił się Móngkemu do nóg, a Jeza, zwracając się do Bułgaja, zawołała z pasją:

— Jeśli choć jednemu z tych dwojga włos z głowy spadnie, więzy łączące parę królewską z Czyngisydą zostaną przecięte na zawsze!

— William ma wrócić — rozkazał Móngke.

— Sprowadzimy go! — zawołał Rosz, zrywając się na nogi.

— Musicie nam obiecać — Jeza mówiła do najwyższego sędziego, do którego właściwie zawsze, i podobnie teraz, miała zaufanie — że w tym czasie ochronicie Gosseta i Szirat przed wszelką ingerencją osób trzecich. — Co rzekłszy, spojrzała na Dzuwajniego.

To już się stało, moja królowo — odpowiedział Bułgaj tubalnym głosem i skrzywił usta w uśmiechu. — Znajdują się pod moją pieczęcią. Rosz i Jeza wybiegli z pałacu w sposób raczej mało królewski. —

Chcę znowu mojego Williama! — oznajmił chan, a

Bułgaj napelnił mu czarę po brzegi.

Z tajnej kroniki Rosza Trencavela

Karakorum, w pierwszej dekadzie lipca A. D. 1254

Trzymając się za ręce, wybiegliśmy z bramy pałacu do towarzyszącej nam asysty, która czekała już z końmi. Ludzie spali na stojąco. Wyrwaliśmy im cugle, a Jeza rozkazała:

— Czekaście tutaj! Zaraz wrócimy. I w następnej chwili oboje galopowaliśmy już wśród ciemności. —

To banda zapitych intrygantów — zawołałem do Jezy. — Jak w

Alamucie! Mam tych Mongołów po dziurki w nosie!

— Ja tak samo! — odkrzyknęła. — Teraz nie możemy też liczyć na Aryka Bóge! On nigdy nie wybaczy Szirat tej zdrady!

— To była pułapka! — wrzasnąłem, dzieląc się z nią domysłami. — Zastawiła ją pewnikiem jakaś zazdrosna nałożnica!

— Nie! — zaprzeczyła moja dama w pełnym galopie. — Ktoś zastał w łaźni Creana, ale chciał przyłapać Williama! Crean i Szirat okazali się tylko wdzięcznymi ofiarami!

Naraz dostrzeżliśmy postać, która potykając się, chwiejnym krokiem zmierzała w stronę miasta. To był William!

—

Stój, minorityto! — zatrzymałem go. — Masz natychmiast wracać do wielkiego chana! I opowiedzieliśmy mu spiesźnie, co się wydarzyło po jego wyjściu.

— Drzewo napitków jest u Buchiera w kuźni? — zapytał tylko, a ja pomyślałem, że musiał jednak wypić o wiele za dużo, skoro nie zauważył, że wóz zaprzężony w dwadzieścia cztery woły wyprzedził go już dawno. -- Ani chybi tam dotarło! — odparłem.

— W takim razie przestańcie się troszczyć o Creana i Szirat, to biorę w swoje ręce,

wy jedźcie do kamiennego domu, uwiążcie tam konie i zakradnijcie się — tak, żeby was nikt nie widział! — do warsztatu Buchiera. Tam ukryjcie się w podstawie drzewa napitków, znacie przecież tę jamę! ,-...:

—
Ach! —zdziwiła się Jeza i uśmiechnęła do mnie. —Wybieramy się znowu w podróż! William ze złością skinął głową.

—
Mongolowie nie zasłużyli sobie na was. A gdybyście zechcieli jechać ze mną? Jakoś zdołamy pokazać plecy krajowi wielkiego chana. Pokażemy mu gołe pośladki! ---zawołałem, moja dama roześmiała się.

— Powiem chanowi—odsłonił nam William swoje zamiary—że para królewska zdaje się na jego dobre serce i sprawiedliwość i ufając w jego przebaczenie, poszła spać!

— Niech tak będzie! — oznajmiłem z zadowoleniem. — Choć po raz pierwszy od dłuższego czasu nie będzie to nasze łóżko...

— Teraz rozumiem, stary flamandzki spryciarzu — powiedziała doń ze śmiechem na pożegnanie Jeza — dlaczego wydebiłeś od chana drzewo napitków!

— Kara musi być! — rzekł William i ruszył w drogę powrotną. — A podwójna oddziałuje lepiej!

— Stój! — rozkazałem. — Weź mojego konia, my możemy wrócić do domu na jednym. Pośpiesz się, żeby Crean i Szirat nie zostali podwójnie ukarani!

Pomogliśmy mu wsiąść na konia i odjechał. Trzymałem Jeżę na siodle przed sobą i przyciskałem ją mocno do siebie jedną ręką. Odchyliła głowę do tyłu, więc mogłem całować jej delikatną szyję, bo kiedy jadąc konno całuje się w usta, łatwo można wybić sobie zęby.

L. S.

Z Kroniki Williama z Roebroku

Karakorum, w uroczystość św. Aleksego* A. D. 1254

Kości zostały rzucone. Z perspektywy pijackiego łba takiego jak mój, pełnego kumysu zamiast mózgu, ja sam jestem tylko jedną z tych kości, podobnie jak Rosz i Jeza, i wcale nie jestem wielkim graczem, który zmienia dzieje świata, w mgnieniu oka zakładając chrześcijański Kościół w Mongolii i mianując się jego purpuratem. Przeorat raz jeszcze dał dowód, że ma długie ręce, gdyż zarówno Crean, jak Barć, działając na jego rzecz, utkali się w celu mego mało chwalebego odejścia razem z dziećmi, a ja dałem się w nią złapać. Rosza i Jezę, którzy po raz pierwszy w życiu właśnie u Mongołów znaleźli spokój i bezpieczeństwo, doprowadzili zaś do tego, że wdali się znowu w niepewną przygodę, jaką była ucieczka, narażając się przy tym na różne niebezpieczeństwa, których ani oni, ani ja nie potrafiliśmy ocenić. Czasami wątpiłem w mądrość Przeoratu, a mimo to koło wciąż się zamykało i wszystko, co wydawało mi się — ale wydawało się też Creanowi i Barcowi — niezrozumiałe, a nawet sprzeczne i bezsensowne, składało się w całość, czyli w nową grę, nowy wątek, nowe ofiary. „Droga jest celem”, powiedział mi kiedyś w zaufaniu stary Jan Turnbull, żeby mnie pocieszyć, gdy wątpiłem w ziszczenie Wielkiego Planu. Nie chodzi rzecz jasna o mnie, ja jestem tylko osobą towarzyszącą. Za daleko wystawiłem głowę i dostałem po nosie jak głupi, gruby wieśniak w przedstawieniu marionetek. Wszystko obraca się tylko i wyłącznie wokół pary królewskiej. Ja jedynie mogłem im dostarczyć hasło, wybrane dawno temu przez wyższe moce, a w upojeniu kobyliim mlekiem uroiłem sobie, że chodzi tutaj o mój całkiem osobisty akt zemsty. W rzeczywistości głupi grubas wypowiadał tylko swoim skrzeczącym głosem tekst, który napisali inni: król i królowa ukrywają się w wozie wieśniaka, którego nikt nie podejrzewa o współudział, i opuszczają zamek wielkiego

chana.

Z tymi mętnymi myślami w huczącej czaszce, obrażony, ale i dumny dotarłem przed bramy pałacu. Musiałem zsiąść z konia, a ponieważ jeszcze się chwiałem na nogach, strażnicy chwycili mnie pod pachy i zawiedli przed oblicze chana. Nie byłem już zły na Móngkego, on również był tylko pionkiem w grze o koronę świata. O tyle więc byliśmy podobni do siebie, choć on jest jednym z wielkich, a ja jeno „pieszkiem”, wieśniakiem w białej sukni pokutnej, którą chciałem zamienić na płaszcz patriarchy. Zapadła już późna noc. Wielki chan wyrzygał się i pił dalej, a służba w tym czasie wytarła posadzkę. Bułgaj stał niczym kolumna. — Williamie z Roebruku — rzekł do mnie — chagan daje wam do wyboru: życie winowajców albo drzewo napitków!

Dopiero teraz przypomniałem sobie, dlaczego tu wróciłem. — Życie rzecz jasna, gdyż co podarowane, to podarowane!

Miałem nadzieję, że tym samym dałem jasno do zrozumienia, iż chan powinien łaskawie darować życie Creanowi i Szirat, mnie zaś mój łup. A jeśli chciał mi go w ten sposób odebrać, nie mogłem naturalnie temu przeszkodzić.

Bułgaj miał chyba podobne zapatrywanie, gdyż oznajmił: —

William z Roebruku

opowiada się za łaską i rezygnuje z godności

patriarchy. — Tym sposobem przypomniał władcy, dlaczego zrobił mi ów prezent. —

Mnie się wydaje, że to tanio — dodał.

— Drogo — wymamrotał Móngke — chcę się z tym przespać. Najwyższy sędzia skinął na osobistych służących chana. Ci wyjęli mu z ręki czarę i zaprowadzili go do łóżka.

—

Chcecie się jeszcze czegoś napić? — zapytał mnie Bułgaj z nie przenikniętą twarzą. — Jeśli nie, też udałbym się chętnie na spoczynek. Właśnie zacząłem

żartobliwie:

— Ja nigdy nie piję, a wy, Bułgaju, nigdy nie śpicie... — kiedy do pustej sali wpadł

Aryk Bóge.

— Domagam się natychmiastowej egzekucji niewolnicy Szirat! — ryknął, również spity na umór. — Czaszka tego, który ją zhańbił, ma zawisnąć na jej szyi, zanim ją ukamienują. Nie chcę jej już widzieć pośród żywych i w ogóle nigdy nie chcę jej już widzieć! Rozkazuję wam.. Miałem wrażenie, że zaraz zacznie płakać lub zwymiotuje,

gdyż wcale nie natarł na Bułgaja, stojącego niczym skała, o którą rozbijają się fale, tylko zwinął się w kłębek na jednym z siedzisk. Bułgaj kazał mu podać coś do picia i rzekł

łagodnie:

— Chagan, wasz brat, wziął tę sprawę w swoje ręce...

— Gdzie on jest?

— Poszedł spać — odparł najwyższy sędzia — i nikt nie powinien mu przeszkadzać.

— Ja sobie pozwolę...

— Jutro! — powiedział Bułgaj. Popatrzyłem na Aryka Bóge. Właśnie zasnął. Najwyższy sędzia i ja pojechaliśmy w milczeniu z powrotem do miasta. Pożegnał się ze mną przed moją jurta. — Williamie z Roebruku — powiedział — jako najpierwszy stróż prawa i porządku rad jestem, że od nas wyjeżdżacie. Jako człowiek Bułgaj odczuwam żal, że musicie nas opuścić. Bywajcie zdrowi! — To rzekłszy, odjechał. Przypomniałem sobie o mnichu i o umierającej Koce; prawdopodobnie dawno już nie żyła, ale coś mnie popychało, żeby jeszcze raz stanąć oko w oko z Armeńczykiem. Zbudziłem swego sługę Filipa i kazałem mu wyszukać w skrzyni biskupa najwspanialszy ornat, jaki mieliśmy.

Była to kosztowna szata, cała z złotego jedwabiu i bogato zdobiona złotem. Krzyże naszyte na pelerynkę z cienkiego adamaszku były aplikowane drogocennymi

kamieniami. Właściwie zamierzałem oblec się w tę szatę na swoją intronizację. Na zwyczajne msze była zbyt wystawna. Włożyłem ją, pozbywszy się wpierw mocno już zabrudzonej pokutnej sukni. Celowo wybrałem do tego szkarłatnoczerwoną stulę i szczególnie wysoką mitrę.

Filip niósł moją laskę i kadzielnicę, ja jedynie ewangeliarz i skromny krzyż z drewna hebanowego z intarsją z kości słoniowej przedstawiającą Zbawiciela. Z racji mojego stroju posuwaliśmy się powoli w stronę domu mnicha. W tej chwili gotów byłem mu przebaczyć. Nie mógł przeszkodzić mojemu wyborowi na patriarchę, sam wspaniałomyślnie zrezygnowałem z tego urzędu. Dogonił mnie Barć.

— Rosz i Jeza są u Buchiera w kuźni — szepnął do mnie fałszywy konfrater. — W żadnym razie tam się nie pokazuj, powinieneś zwrócić na siebie uwagę w innym miejscu. -- Jestem już w drodze! — podjąłem jego prowokacyjny ton. Nie chciał się jednak odczepić. Weszliśmy do domu mnicha. Archimandryta nie spał, nie był też oburzony na tę wizytę o tak niezwykłej porze. Twierdził, że właśnie się modlił. Mimo wezwania chana nie był u Koki. —

Wzbraniam się ułatwiać drogę do rajów tej niepoprawnej bałwochwalczy.

— Ona umiera — zaprotestowałem — jej dusza... Sergiusz pozostał nieugięty.

— Nigdy nie przywiązywała wagi do sakramentów Kościoła i nie dała się ochrzcić w porę!

— Tylko dlatego nie idziecie do niej... — szydził brat Barć, który nigdy nie znośił mnicha — ...że po ostatniej posłudze przy umierającym przez rok nie wolno stanąć przed obliczem chana. Armeńczyk posłał memu cierpkiemu towarzyszkowi złowróżbne spojrzenie, które bynajmniej go nie zastraszyło.

—
W ten sposób trudno zostać patriarchą, do czego wy, mnichu, dążycie w
skrytości ducha! Sergiusz milczał ponuro. Wtedy oświadczyłem stanowczo: —

Ja
pójdę do umierającej!

L. S.

Z jurty kowalskiej mistrza Buchiera nie wydobywało się żadne światło. Wóz z
drzewem napitków zajechał przed wejście w taki sposób, że podstawa drzewa z jamą w
korzeniach znajdowała się już wewnątrz pomieszczenia. Między deskami w dnie wozu
Buchier zostawił od spodu lukę, przez którą można było wejść do środka groty. Lukę
zamykało się od wewnątrz. Umieszczone tam dotychczas drzwiczki dla trębacza, które
znał każdy, zaspawał w dobrze widoczny sposób.

—
Transport po wyboistych drogach w głębi kraju wymaga takiego usztywnienia
— wyjaśnił sprawdzającemu wszystko Barcowi — na wypadek, gdyby ktoś o to pytał.

Barć z zadowoleniem pokiwał głową. Od razu mógł to wypróbować na Dżuwajnim, który
się nagle pojawił. Szambelan nie miał powodu do podejrzeń. Prace przy drzewie
napitków odbywały się z rozkazu chana. —

Ten wasz dziwny kapłan — rzekł do

Barca—monseigneur Gosset, miał szczęście. Chagan poszedł już spać, kiedy Aryk

Bóge zażądał głowy

bezecnika. A tak oboje zostaną tylko wypędzeni.

Słysząc było w jego głosie, że szczerze tego żałuje. Przemilczał też, że to on

natychmiast zawiadomił Aryka Bóge o historii z nałożnicą, ale ten przez głupotę upił się ze zgryzoty,
zanim zdążył powziąć jakąkolwiek sensowną myśl o zemście. Los

niewolnicy był szambelanowi obojętny, ale tego dziwnego kapłana chętnie by dostał w swoje łapy. Ażeby jednak dobrać się do niego, musiałby jakoś ominąć Bułgaja.

Dżuwajni zniknął równie bezszelestnie, jak się pojawił. Barć odetchnął z ulgą.

Rosz i Jeza, którzy czekali w ciemnościach jurty kowalskiej, ledwo się trzymali na nogach ze zmęczenia. Słyszeli wszystko, co szambelan twierdził o losie Creana i Szirat,

i teraz im ulżyło. Z tego, co mówili, Ingolinda urządziła im jaskinię przytulnie z niemal matczyną troskliwością. Nikt nie wiedział, jak długo jama będzie im musiała służyć za

schronienie. Dlatego pani Pasza zapakowała im pod dostatkiem potraw, które mogły utrzymać się dłużej, a mistrz zgiął rurkę prowadzącą do trąby anioła w ten sposób, że mogli przez nią pić wszelkie napoje, jakie William miał wlewać dyskretnie do czary głosowej podczas podróży.

—

Uspokaja mnie to, że jest ta kłapa — powiedziała Jeza ziewając — Jeśli nie damy rady dłużej wytrzymać, będziemy mogli w nocy opuścić naszą jamę. — Ja będę najpierw spał jak suseł przez trzy dni — odparł Rosz. Wpełzli jedno po drugim pod ogromny wóz i weszli od dołu do swej kryjówki. Pocziwa Ingolinda podała im jeszcze koce i skóry. — Dziękujemy ci! — szepnęła Jeza. Podarowała sobie „droga ladacz-nico”, gdyż czasy te nieodwołalnie minęły. Pod nimi pojawiła się głowa mistrza Buchiera, który był szczerze zasmucony. —

Szczęśliwej podróży, moi mali

królowie — zawołał cicho i zamknął kłapę. Rosz zasunął rygiel od środka, a wkrótce potem w jurcie kowalskiej zaległa nocna cisza.

Mały pałac miejski drugiej żony chana otaczali ludzie. Na ulicy płonęły też ogniska, na których czekający piekli kawałki mięsa. Koka-chatun konała. Wewnątrz domu ścisk był jeszcze większy. Także tutaj skwierczał tłuszcz w garnkach i tyglach umieszczonych

nad paleniskami. Lamowie w długich szafranowych szatach siedzieli przy ścianach w pozycji kwiatu lotosu, uderzali głucho i monotonicznie w małe bębny, a jeden z ogolonych na łyso grał na piszczałce. Przyszedł szaman, zatańczył i hojnie obdarowany, poszedł sobie. W komnacie wokół łoża umierającej Koki stali pogańscy kapłani i palili kadzidlane trociczki, żeby odpędzić złe duchy, które już czyhały, by porwać duszę kobiety. Dzwonili też bez przerwy dzwoneczkami, pragnąc przywołać dobre demony, żeby były na miejscu, kiedy srebrna płytką podtykana na przemian przed usta i nos przestanie zachodzić parą oddechu. Koka niczym wystraszone zwierzę wodziła oczami od dziwacznych kłębow dymu, rzucających cień na ściany w świetle świec, do gorączkowo jazgoczących dzwoneczków, którymi potrząsano w nieregularnych odstępach, jakby poruszały nimi duchy.

Na czole drobnej kobiety perlił się pot. Nie wiedziała, dlaczego musi umrzeć już teraz. Chciała się tego dowiedzieć od Williama, który właśnie przybył ze swoim ministrantem. Jego zjawienie się wywołało irytację bałwochwalców, którzy nie otrząsnęli się jeszcze z porażki przed obliczem wielkiego chana, ale żaden nie śmiał zagrozić mu drogi. Dało się wyczuć pewien respekt, kiedy odsunęli się od łoża Koki i pozwolili mu podejść. Ten William z Roebroku był z całą pewnością wielkim czarownikiem, a w dodatku potężnym, nietrudno było to zauważyć. Każdy kamień w jego pelerynie wart był majątek. Na pewno przyprowadził dobre demony. Czyż jego sługa nie wymachiwał kadzielnica, żeby odstraszyć ady?

Obecność Williama nappełniła Kokę głębokim spokojem. Cokolwiek się z nią stanie, teraz znajduje się w dobrych rękach. Nie chciała go o nic pytać. William położył jej na piersi swój krzyż. Ostatkiem sił, jakie jej pozostały, chora uchwyciła rękę Williama i przyciągnęła w dół do ust, aż jej wargi dotknęły jego palców. Nie zaprotestował. W

konnacie zrobiło się cicho. Cienkie smugi dymu z trociczek unosiły się pionowo, nie niepokojone żadnym powiewem. Koka zamknęła oczy i William poczuł, jak znika siła w jej ręce. Jej dłoń powoli zwiotczała, wysunęła się z jego dłoni i opadła na koc. Odezwał się cicho jakiś dzwonek. William oderwał palce od zimnych warg i nakreślił Koce na czole znak krzyża. Dopiero po jego wyjściu rozległy się głośne brawa. Bałwochwalcy pierwsi zaczęli dziko klaskać; lamowie w szafranowej żółci podjęli na nowo grzechotanie i bębnienie, a fala aplauzu przeniosła się na ulicę, gdzie ludzie przy ogniskach zerwali się na nogi. Otoczyli kręgiem Williama, który wiedział, że dokądkolwiek teraz się zwróci, oni pójdą za nim i będzie ich coraz więcej. Tymczasem noc ustąpiła miejsca zwiastującej świt szarówce. William postanowił przejść obok domu archimandryty i udać się do kościoła. Właściwie żałował, że wielki chan nie może go teraz widzieć. Tłum, do którego przyłączyło się tymczasem wielu nestorian, śpiewał „Vexilla regis pro-deunt”.*

Przed Bramą Kóz, wychodzącą w kierunku zachodnim, zebrała się grupa ludzi wokół konia, do którego przywiązano — z twarzą zwróconą do tyłu — mężczyznę. Crean siedział wyprostowany na grzbiecie zwierzęcia. Był nagi. Jego stopy włożono odwrotnie w strzemię i związano pod końskim brzuchem. Stanowiły one jedyne jego oparcie. Gdyby spadł, byłby wleczony po ziemi, a skończyłoby się to śmiercią przez rozbicie głowy pod kopytami koni. Bułgaj i Kitboga ocenili fachowo, czy wszystkie troki zostały zaciągnięte tak jak trzeba, zadanie to wykonali bowiem żołnierze pod nadzorem Kitona. Gdyby delikwenci zsunęli się od razu pod brzuch, zabawa trwałaby bardzo krótko. Zebrało się już sporo widzów. Wszak wypędzenie z kraju nie odbywało się codziennie. Przeważnie Bułgaj się tak nie patyczkował. Z derki odwinęto młodą kobietę. Nagiej Szirat związano ręce na plecach, jednakże nie po to żeby odebrać jej możliwość

zasłonięcia własnej nagości, ile raczej by nie mogła ucześcić się jeźdźca. Jej życie zależało od mocnego chwytu jego ramion, a zwłaszcza od twardości ostrogi czerpiącej moc z jego lędźwi. Tyle że na tę twardość nie można było liczyć. Członek Creana nie okazywał najmniejszej gotowości do pożądanej erekcji.

—
Pomóżcie mu się postarać — poradził mrukliwy generał — jak to robicie z ospałymi ogierami!

Pachołkowie Bułgaja roześmiali się rubasznie i wyciągnęli cienkie różgi wierzbowe, którymi jęli okładać zwiotczały członek skazańca. Wstydliva słabość wciąż jednak przewyższała strach przed karą śmierci, którą by mu wymierzono, gdyby absolutnie nie udało się doprowadzić do wzvodu. — Wytęż wszystkie siły, Creanie! — zażądała Szirat bardziej ze złością niż ze strachem w głosie — bo w przeciwnym razie nie tylko tobie obetną fujarę, ale nam obojgu głowy! Nie wiadomo, czy ta zachęta okazała się

pomocna, w każdym razie mocne razy nie tylko poznały *corpits delicti* czerwonymi pręgami, ale także zamieniły go powoli w skrwawiony kamień ofiarny. Kiedy brutalne

ręce pochwyciły Szirat, podniosły ją i osadziły rozkraczoną na czerwonym stojaku, podnieceni widzowie powitali to głośnymi okrzykami aprobaty. Szirat opadła Creanowi na piersi, a ten oplótł ją rękami i przycisnął do siebie, gdyż te same różgi zaczęły natychmiast okładać koński zad. Wierzchowiec ruszył z miejsca potężnymi susami, pośród ryków gapiów, którzy widząc to, wyobrażali sobie wyłącznie dzikie pchnięcia rozkoszy. Obscenicznymi gestami opisywali akt płciowy, w najmniejszym jednak stopniu nie dzielali jedynej troski zespolonej cieleśnie pary, której myśli krążyły tylko wokół jednego pragnienia: utrzymać się w siodle. Koń z przymusowymi kochankami na grzbiecie pogalopował gdzieś w step. Ludzie patrzyli za nim, w skrytości ducha żywiąc nadzieję, że doczekają chwili, gdy owe zespolone ciała na skutek skoków wierzchowca

stracą równowagę i będą rozpaczliwie walczyć o to, żeby nie dostać się pod kopyta.

Jednakże wypędzeni nie sprawili motłochowi tej przyjemności. Trzymali się w siodle prosto, dopóki rumak i jeźdźcy nie zniknęli Mongołom z oczu.

— Ta klacz miała cieczkę — zauważył generał, zwracając się do Bułgaja i mrugając przy tym znacząco okiem.

— A teraz podąży za klaczą ogier, który się goni... — odparł dobrodusznie najwyższy sędzia — ...żeby wybawić ją z najgorszej biedy? — Pytając wskazał związane ze sobą konie juczne, które niosły na grzbiecie ubrania i pożywienie dla pary skazańców.

— Uczyniliście zadość prawu — stwierdził z kolei stary wojak. —

Teraz mogę

sobie pozwolić na ochronę obu ofiar przed dalszą hańbą, zimnem i głodem!

Podzielam wasze stanowisko... --- A ja nie! — ozwał się stojący dotychczas z tyłu

Dżuwajni. —

Uprzedziliście wyrok chagana. — Szambelan śledził dokładnie proce-

durę wypędzenia, a teraz wysunął się do przodu. Zwalisty łysielec spojrział z góry

pogardliwie na Dżuwajniego. —

Ja jestem sędzią i ja osądziłem — rzekł chłodno.

—A generał może pędzić swoje konie tam, gdzie mu się podoba. Kitboga dał znak swemu synowi Kitonowi i konie juczne popędzono w step.

— A jeśli chodzi o uprzedzanie — dodał Bułgaj — to co najwyżej uprzedziłem nieprzemyślany akt zemsty Aryka Bóge albo wymyślną intrygę przygotowaną przez was, Ata al-Mulku Dżuwajni!

— Czyżby niewolnicy nie należało ukarać? — uniósł się szambelan. — Aryk Bóge ma prawo do...

— Aryk Bóge powinien uważać się za szczęśliwca, że uwolniliście go od tej niewiasty. Podobnie winien wam podziękować król Hetum, który był tak zuchwały, że ośmielił się posłać nam jako prezent porwaną hrabinę Otranto, krewną cesarza i sułtana. A kto, jak sądzicie, wyruszył już w drogę, żeby ją odzyskać? Hamo L'Estrange, prawowity małżonek! A my... — najwyższy sędzia uśmiechnął się teraz uśmiechem zwierzchnika służb tajnych — ...my wysłaliśmy mu na spotkanie ukochaną żonę w towarzystwie kapłana! Tacy uprzejmi są Mongołowie!

— Aryka Bóge niewiele to będzie obchodzić. Bardzo był przywiązany do swej faworyty.

— I dlatego wszak zażądał jej głowy! — odparł z gniewem Bułgaj. — Właśnie tego należało uniknąć, czyli żeby jego życzenie nie zostało spełnione...

— Honor brata chana przeciwko...

— Przeciwno honorowi potomka Czagataja! Hamo L'Estrange jest prawdopodobnie Czyngisydą ze strony ojca! Czy ci dwaj mają się czubić o kobietę jak koguty? Nie! Bo dalekowzroczny szambelan Dżuwajni ułożył wszystko jak najlepiej! Takiej porcji szyderstwa szambelan nie mógł ścierpieć.

— Chcecie to zwalić na mnie, gdyby chagan przebaczył wszystko Williamowi i zostawił go tutaj.

— Nie uczyni tego—oznajmił oschle najwyższy sędzia. — Nie ma nic do przebaczenia. Zadanie Williama jest innego rodzaju, ale to chyba zbyt trudne do pojęcia dla muzułmanina sunnity, który najchętniej udusiłby własnymi rękoma każdego schwytanego izmailitę, a jeśli sam nie jest w stanie tego zrobić, używa do tego prawa.

— A więc ten fałszywy kapłan...

— Nie był prawdziwym asasynem! — wpadł mu w słowo Bułgaj. —

W przeciwnym

razie wszak by was zabił, a na dokładkę generała! — Popatrzył szambelanowi w oczy, w których nie dostrzegł nawet iskry zrozumienia. — Generał Kitboga poprowadzi kampanię, którą wy, Dżuwajni, zaplanujecie i przygotujecie, aż do zupełnego wytępienia asasynów...

— Alamut musi zostać zniszczony! — zapienił się szambelan, lecz Kitboga zasłonił mu usta dłonią.

— Taka jest wasza wola. Do wojny nie potrzebuję konkretnego powodu, tylko solidnego pretekstu. I ktoś musi go nam dostarczyć!

Oczy Dżuwajniego rozbłysły. Dwaj starzy wojacy jednak go nie docenili.

W pałacowym hamamie łaźiebni dokładali starań, żeby wycisnąć z porów ciała wielkiego chana ostatnie resztki kumysu i wina. Po wypoceniu się w kąpieli parowej i polewaniu zimną wodą władca leżał na brzuchu, a oni go masowali, w każdej chwili spodziewając się karcącego uderzenia ręką, gdyby nowiny, których przekazywanie podczas rozmowy było ich przywilejem, jeszcze pogorszyły jego zły humor. Dozowali więc te poranne relacje.

—
Wasz pan brat jest okropnie wściekły, bo pan najwyższy sędzia pozwolił uciec skazanym. Wypędził ich. —

Chętnie bym na to popatrzył — westchnął

Móngke z błogością — najchętniej w towarzystwie Aryka Bóge. Bułgaj powinien był czekać...

Za pomocą gorących okładów i delikatnego głaskania słudzy przygotowywali go na następną wiadomość.

—
Wasza szanowna druga małżonka dziś w nocy... — Mówiący te słowa

zdrowo oberwał. Łaziebni zdwoili wysiłki i zaczęli z innej beczki. —

Armeński mnich

odmówił jej pomocy. William z Roebruku bardzo chwalebnie się nią zajął. Miała piękne pożegnanie.

Wielki chan zamruczał, co mogło wskazywać na zadowolenie. —

Mnich

sprzeciwił się mojemu rozkazowi? — Ich milczenie wystarczyło za odpowiedź. —

Bułgaj! Sprowadźcie mi natychmiast Bułgaja!

Móngke dał łaziebnyom do zrozumienia, żeby skończyli, i wstał. Zawinęli go w

ogrzone wcześniej koce. Ha! William nie chce mi się już pokazywać na oczy,

przemknęło mu przez nadal jeszcze zamroczoną głowę. Stąd ta ofiara! Na pewno Koka

wyzionęła swe młode życie w jego ramionach. Biedna, mała Koka! Po tej posłudze

miłości on, chan, może pożegnać Williama tylko jeszcze wspaniałomyślniej, jakimś

gestem, jakiego dotąd nie było... Tak czy owak musi mu pozostawić drzewo napitków.

— Niech przyjdzie William! — zawołał.

Wszyscy zamarli. To było wbrew wszelkim regułom respektu. Jednakże skoro sam

chagan sobie tego życzył! Rozkaz przekazano odźwiernym, a ci przekazali go

strażnikom. —

Chan chce widzieć Williama! I Bułgaja! — krzyknęli ci ostatni do

gońców, którzy natychmiast wyruszyli w drogę. Wielki plac przed pałacem otaczał ciasny krąg widzów. Na zbudowanych pośpiesznie trybunach siedzieli wielki chan, jego

pierwsza małżonka i jego bracia, zajmując miejsca naprzeciwko Williama z Roebruku,

który miał po bokach jako honorową asystę generała Kitbogę i szambelana

Dżuwajniego. W napięciu, jakie towarzyszyło pożegnaniu, nikt nie zauważył braku

Rosza i Jezy.

W dowód szczególnej uprzejmości wobec Williama Bułgaj miał osobiście sprawować swój urząd. Barć udzielił skazańcowi ostatniej posługi. Sergiusz, mnich, podarował mu swój ulubiony krzyż na długiej lasce, na którym mnich zacisnął teraz dłonie. Modlili się wspólnie, a tymczasem pomocnicy Bułgaja polewali zimną wodą wygiętą klingę.

Następnie doprowadzili mnicha przed sędziego.

Sergiusz ukląkł przed nim i energicznym ruchem zrzucił kaptur z czoła na kark, szukając płomiennym wzrokiem wielkiego chana.

— Zabijasz we mnie Chrystusa dla Mongo...

Nic więcej nie zdążył powiedzieć, ponieważ Bułgaj szybkim ciosem odrąbał mu głowę od tułowia. Jego pomocnicy złapali padające do przodu ciało i odnieśli je na bok.

Obciętą głowę zatknęto na żerdzi, bo Barć mężnie odmówił oddania w tym celu krzyża.

Głowę archimandryty obniesiono wkoło i Armeńczyk otrzymał oklaski, których za życia mu odmawiano. Tymczasem posłano po dzieci, gdyż jakkolwiek można było zrozumieć,

że chciały sobie oszczędzić pierwszego aktu, to przecież nie mogło ich zabraknąć

podczas pożegnania Williama. Dwadzieścia cztery woły zaciągnęły olbrzymi wóz na

środek placu. Drzewo napitków stało prosto, bo solidnie przywiązane, od pnia po

koronę przystrojone chorągiewkami i girlandami. Mistrz Buchier pracował przez cały

ranek ze wszystkimi pomocnikami, żeby umożliwić to wspaniałe widowisko, które

wymyślił sobie wielki chan: chciał bowiem pożegnać swego przyjaciela Williama z

Roerbruku w taki sposób, żeby ten nie musiał już przekraczać progu pałacu. Móngke

odsunął na dalszy plan swoją powagę monarszą; bądź co bądź William pozostał przy

Koце do samego końca, kiedy dobre duchy przyszły zabrać jej duszę, a chagan był

przesądny.

Nastąpiło uroczyste przekazanie drzewa napitków. William wspiął się na kozioł wozu.

Dzięki temu siedział naprzeciwko Móngkego, w zasięgu jego głosu i władca mógł rozpocząć mowę pożegnalną. Ale akurat w tym momencie powstało niestosowne zamieszanie. Rozległy się okrzyki. — Dzieci zniknęły!

Wielki chan był zupełnie wytrącony z równowagi, William zdumiony. Podejrzanie padło natychmiast na Creana i Szirat. Wypowiedział je Aryk Bóge, Dzuwajniemu zaś przypomniały się obładowane grubymi tłumokami konie juczne, które Kitboga wysłał za wypędzonymi. Wolał jednak nie mówić o tym na głos. Wystarczająco hałaśliwie zachowywał się już Aryk Bóge.

— Poszukajcie porządnie! To absolutnie niemożliwe, żeby para królewska nas opuściła! — oznajmił wprawdzie chan potężnym głosem, lecz mimo to kazał prowadzić na poszukiwania we wszystkich kierunkach. Centuria gwardii pod dowództwem Kitona wyruszyła natychmiast w pościg za Creanem i Szirat, zanim Aryk Bóge zdążył wysłać za nimi swoich ludzi.

Kokoktaj-chatun krzyknęła na męża: —

Oto spada na ciebie klątwa mnicha!

Móngke kazał ją zabrać. Podparłszy głowę dłońmi, wielki chan siedział w samym środku tumultu. Obok niego stał Bułgaj, jak zawsze z nieporuszoną miną. —

Mam zostać u

was — zawołał William do chana — dopóki para królewska... — Nie, nie! Jedźcie! — odparł zamiast swego pana najwyższy sędzia. William dał znak poganiaczom wołów i pojazd poskrzypując ruszył z miejsca. Móngke nie podniósł wzroku. Dopiero kiedy na placu nastąpiła znowu cisza, zapytał: ---Naprawdę ich nie ma?

— Tak — potwierdził Bułgaj. — Opuścili nas.

— Oni stanowili klucz... — westchnął wielki chan wstając. — Niemożemy go zgubić.

* Wspomnienie św. Piusa I — 11 lipca; papież i męczennik, zm. 155 w Rzymie.

* De iure canonico (łac.)—według prawa kanonicznego.

* Fratres peccavi! (łac.) — Bracie, zgrzeszyłem!

* Tepidarium — łaźnia, a ściśle: sala przeznaczona do ciepłych kąpieli w łaźniach rzymskich.

* In flagranti (łac.) — dosł.: płonąc, na gorącym uczynku.

* Uroczystość św. Aleksego — 17 lipca; zm. ok. 417 w Rzymie.

* Vexilla... (łac.) — Królewskie chorągwie ruszają do ataku; dawny hymn krzyżowców.

V .UCIECZKI

Raport służb tajnych, 10 lipca 1254

Król Armenii Hetum właśnie opuścił obóz Batu-chana. Przywiózł mu wiele darów i rozstali się w przyjaźni. To bardzo ważne dla króla Armenii, gdyż jego ziemie graniczą niemal wyłącznie z chanatem kipczackim, czyli terytorium Złotej Ordy. Wśród osób towarzyszących królowi znajduje się jego brat Sempad, konetabl królestwa. Poza tym w orszaku podróżuje bogaty cudzoziemiec Hamo L'Estrange, hrabia Otranto, który jak już donosiliśmy, nosi na szyi amulet szczęścia z zielonym jadeitem, jaki otrzymują od matek wyłącznie potomkowie drugiej męskiej linii z czcigodnego klanu chung tajdziego. Amulet jest autentyczny, sprawdziliśmy. Możliwe, że chodzi tu o dziedzica, którego musiał spłodzić syn Temudżyna Czagataj, zanim został zamordowany przez asasynów z Alamutu. Chyba że chodzi o „ukrytego” syna samego wielkiego Czyngis-chana, który został ojcem tego Hamona L'Estrange, tylko my o tym nie wiemy? Matka wiodła podobno żywot bardzo niestały i podejmowała dalekie podróże. Hrabia Otranto ma wedle własnych danych 25 lat. Ślady jego pochodzenia moglibyśmy może znaleźć w Konstantynopolu, owym wielkim mieście nad Złotym Rogiem, do którego dziwnie go ciągnie, choć za jego ojca uchodzi admirał cesarza Fryderyka, Henryk, hrabia Malty. Hamo L'Estrange twierdzi, że jest ktoś, kto wie o nim więcej niż on sam: William z Roebroku! Z tej przyczyny polecamy hrabiego Waszej szczególnej uwadze. Podróżuje on, nawiasem mówiąc, na własny koszt, obładowany prezentami, które szczerze rozdaje. Szuka swojej żony, księżniczki Szirat Bundukdari, siostry potężnego emira Bajbarsa, po sułtanie najbardziej wpływowego człowieka w Egipcie. Ową Szirat trzymamy rzekomo na dworze w Karakorum jako niewolnicę. Nie wyobrażamy sobie tego i wyłożyliśmy to zresztą z przekonaniem, wiemy bowiem, które księżniczki

trzymane są u nas na dworze chana jako goście lub zakładniczki, ale na pewno nie jako niewolnice. Naszym służbom nigdy by się nie przytrafiła taka pomyłka! Jednakże hrabiego nie sposób odwieść od tej absurdalnej myśli. Prosimy więc Was o sprawdzenie tej informacji, gdyż byłoby hańbą dla nas, gdyby chan musiał wysłuchiwać tego rodzaju oskarżeń.

Po kilku dniach jazdy od opuszczenia chanatu Kipczaku podróżni natrafili na nędzną jurkę przy gościńcu. Było to domostwo wypędzonego Umara, który przybył do nas wraz z parą królewską, tudzież dziewczyny Ordy, która dobrowolnie poszła za nim na zesłanie. Jak pamiętacie, zdarzyło się to przed rokiem. Owej parze, która żyje w skrajnej nędzy, urodziło się właśnie dziecko. Prosimy przejeżdżających o jałmużnę i dostali w darze owoce oraz mleko. Uważamy, że te nędzne stworzenia, co chwały nam raczej nie przynoszą, nie powinny mieszkać akurat przy bardzo uczęszczanych traktach, którymi podążają również poselstwa. Zalecamy przykazanie wypędzonemu i jego towarzysze życia wraz z nowo narodzonym dzieckiem, żeby dla uniknięcia złego wrażenia nie pokazywali się w pobliżu gościńca.

L. S.

Jeźdźcy wyskakiwali z bram miasta w nieregularnych odstępach. Żołnierze oddziałów poszukiwawczych nosili na plecach kolorowe proporczyki, żeby się szybko rozpoznawać, i byli lekko uzbrojeni. Do Karakorum przybył il-chan Hulagu ze swoją żoną Dokuz-chatun. Zaraz po przyjeździe udała się ona do kościoła na nabożeństwo błagalne o powrót dzieci, które odprawiał Barć.

*Supplice te rogamus, ornnipotens Deus: jube haec perferri per manus sancti Angeli tui in sublime altare tuum, in conspectu divinae majestatis tuae.**

Gwałtowny koniec mnicha Sergiusza pogrzyżył chrześcijańską gminę nestorian w głębokim zamęciu, a wyjazd uwielbianego Williama z Roebruku pozbawił ją wszelkiej

nadziei na podniesienie tego wyznania do rangi religii państwowej jako *Nova Ecclesia Mongalorum*. Nie było już o tym mowy, nikt zresztą nie śmiał domagać się od chana jego utworzenia.

*Agnus Dei, qui tollis peccata mundi, miserere nobis. Agnus Dei, qui tollis peccata mundi, miserere nobis. Agnus Dei, qui tollis peccata mundi, dona nobis pacem**

Po ceremonii mężczyźni i kobiety stali jeszcze osobno przed kościołem w grupkach rozprawiających raczej ściszym głosem niż z podnieceniem. Generał Kitboga chciał się właśnie oddalić, miał się bowiem zająć wysłaniem oddziałów poszukiwawczych, a chan kazał sobie składać raport co godzina, gdy z kościoła wyszedł il-chan i zostawiwszy żonę, zbliżył się spiesźnie do swego szambelana Dżuwajniego.

Przysadzisty Hulagu sprawiał wrażenie pozbawionego energii, tłuste policzki miał zapadnięte. Przywołał do siebie gestem także generała.

—

Panowie — zaczął, nie kryjąc złego humoru — jak długo jeszcze zamierzacie wmawiać wielkiemu chanowi, że dziesięć wysłanych centurii szuka dzieci, ale nie może ich znaleźć? Bez pomocy z zewnątrz nie mogą przecież zniknąć bez śladu, muszą być w zмовie z kimś bardzo potężnym — uznał — problem w tym, że wy nie chcecie ich znaleźć! Stary generał milczał obrażony, lecz Dżuwajni dostrzegł okazję do wprowadzenia swego pana w strategię, którą obmyślił.

— Ma się rozumieć, że pragnąc uspokoić waszego brata, dostojnego chagana, moglibyśmy kazać pięćdziesięciu centuriom przeczesać step w poszukiwaniu pary królewskiej, ale to nie wystarczy, żebyśmy ją odnaleźli!

— Byłoby to bardzo niezdrowe dla was, Ata al-Mulku Dżuwajni — poddał pod rozwagę il-chan, niebezpiecznie zniżając głos. — Jako mój szambelan byliście odpowiedzialni za zdrowie i bezpieczeństwo pary królewskiej, którą mój brat pragnął mi podarować, żeby na czele moich wojsk zdobywała „resztę świata”. Co ja zrobię bez

złotej szpicy, ale za to z szambelanem bez głowy?

— Ta ucieczka to był spisek uknuty przez asasynów — broniła swego miejsca na karku głowa szambelana — jeśli nie porwanie! Otrzymamy dowód, kiedy Rosz i Jeza pojawią się w Alamucie, wtedy będziemy mieć pretekst... Kitboga przerwał mu, ale zwrócił się do Hulagu.

— Moim zdaniem kluczem jest William z Roebruku, sam mówił o sobie, że jest dziurką od klucza, jeśli mogę wam przypomnieć jego własne, niemal prorocze słowa...

— On zabrał dzieci ze sobą? — dociekał Hulagu i od razu udzielił sobie odpowiedzi.

— Nie! One uciekły, zanim mój brat go pożegnał.

— A jednak... — upierał się stary generał — skłonił je...

— Albo one jego? — Il-chan był człowiekiem nieufnym, mrukliwym i władczym. — W każdym razie tych dwoje trzeba sprowadzić tu z powrotem, bo inaczej chagan odwoła jeszcze wyprawę przeciwko Zachodowi. Przepowiednia bowiem brzmiała: „Tylko z dziećmi Graala zdobędziesz koronę świata”. Było to dla generała jednoznaczne polecenie, żeby kontynuować poszukiwania. Tylko na upartym Dzuwajnim nie zrobiło to wrażenia, nie wydawał się też przekonany. —

Jeśli Rosz i Jeza nie pojawią się z

powrotem w Karakorum, tylko w Alamucie, za co damę głowę, jeśli tak długo pozwolicie mi ją nosić, wystarczy nam to w zupełności! Jego pan spojrzał nań przenikliwie. —

Przyznaję, szambelanie, że wasze przypuszczenie brzmi przekonująco, ale lepiej

nie uważajcie swojej głowy za niezastąpioną! I znów z miasta wyruszyły grupy

jeźdźców, na wszystkie cztery strony świata, centuria za centurią. Niedługo potem w

poszukiwaniach zbiegłej pary królewskiej uczestniczył już tysiąc, a w końcu dziesięć

tysięcy żołnierzy.

Raport służb tajnych, II lipca 1254 dot. Wypędzenia

Kapłanowi Gossetowi i lekkomyślnej niewolnicy Aryka Bóge bardzo szybko udało się

zatrzymać klacz, których niosła ich na grzbiecie. Nawzajem uwolnili się z pęt i odtąd

zachowywali się wstydliwie. Nie wydaje nam się, żeby to był związek miłosny, prędeż już przymusowa wspólnota lub — nie zamierzamy tego przed Wami ukrywać — dobrze

zgrana parka szpiegów, która na służbie potrafi znieść jedno czy drugie pchnięcie!

Przezornie schwyтали przyprowadzone przez ogiera konie juczne, jakby spodziewali

się tej pomocy. Odziali się w dosłane im w ten sposób szaty i wbrew oczekiwaniom

kontynuowali podróż nie w kierunku południowym, lecz w stronę obozu Batu-chana.

Wyglądają już zresztą jak dwoje Mongołów i w ogóle nie rzucają się w oczy.

Znaleźliśmy świadka, który potwierdził Wasze podejrzenie. Widział oji już kiedyś w

Konstantynopolu tego kapłana, który nosił wtedy nazwisko „Mustafa Ibn Daumar” i

podawał się za bogatego kupca z Bejrutu, co jednak nie musi być zgodne z prawdą.

Przede wszystkim prosimy Was o sprawdzenie, kto posłał za wypędzonymi konie

juczne. Kontynuujemy obserwację, gdyż uważamy te dwie osoby za bardzo podejrzane.

L.S.

Raport służb tajnych, 13 lipca 1254

Prosimy, wybaczcie nam głupie gadanie. Centuria pod dowództwem Kitona, syna

generała, dogoniła wypędzonych i na naszych oczach gruntownie przetrząsnęła ich

sakwy dosłane na jucznych koniach. My też mogliśmy im powiedzieć, że nie schowała

się tam para królewska, gdyż bacznie obserwowaliśmy oboje, kiedy przybiegły konie

juczne. Za owoc naszych informacji uważamy zdemaskowanie tyleż niemoralnej, co

niewdzięcznej niewolnicy — to księżniczka Szirat. Mamy też dla Was nowe informacje,

co się tyczy tożsamości kapłana. Na podstawie szczegółowego dochodzenia możemy

dzisiaj dowieść, że chodzi o wysoko postawionego izmailitę, lecz poza tym nawet

przydomek Crean nie jest autentyczny. Jego prawdziwe imię brzmi ponoć „Odo”.

Przesłuchany przez nas w Samarkandzie celtycki mnich, który widział go na *bazarze*, udzielił nam wskazówki, że może chodzić o zepsutą formę germańskiego wyrazu

„Sahne”, „śmietana”, w anglosaskim „cream”. Jeśli się wymieni „m” na „n”, wychodzi

„Crean”. Pod tym imieniem ukrywa się Odo Rahner, słynny trubadur Okcytanii.

Mielibyśmy więc do czynienia z człowiekiem, który przed laty przeszedł na mahometanizm i wstąpił do zakonu asasynów.

Jak widzicie, dostojny Bułgaju, Wasze służby tajne nie śpią. Przepróście w naszym imieniu generała Kitbogę za to, że w swej głupocie posądziliśmy go o pomoc w ucieczce. Jego syn Kito już nam przebaczył i setnie się uśmieł. Teraz zwrócimy wzmożoną uwagę na zbiegłą parę królewską. Na pewno nam nie umkną. Polecajcie nas wielkiemu chanowi Móngkemu, teraz może już spokojnie złożyć potężną głowę i odpocząć. Jego tajne służby czuwają za niego!

L. S.

Z Kroniki Williama z Roebroku

W dzień wspomnienia św. Praksedy* A. D. 1254

Żał mi było Rosza i Jezy, którzy gnieździli się w swojej srebrnej jaskini na bardzo małej przestrzeni, a w dodatku wóz trzął niemiłosiernie. Tylko w nocy mogli po kryjomu wychodzić na zewnątrz przez klapę w dnie wozu, żeby załatwić potrzebę naturalną i umyć się przy cebrze, który zawsze stawiam w pobliżu napełniony pod pretekstem pojenia wołów.

Nie mamy jednak wyboru. W ciągu dnia mijają nas bez przerwy oddziały poszukiwawcze, niektóre zatrzymują się, żeby porozmawiać ze mną o bezowocności poszukiwań albo zasięgnąć rady, dokąd mogli się udać uciekinierzy. Każdemu mówiłem co innego.

Potem wrócił także ze swą centurią Kito, który przejechał obok mnie pierwszy i tymczasem dogonił Creana oraz Szirat. Aby uspokoić czyhające wszędzie na grzbietach wzgórz i towarzyszące nam dyskretnie służby tajne, jeszcze raz zrewidował oboje i przeszukał ich sakwy, które wszak własnoręcznie wysłał za nimi, a to wszystko na oczach ukrywających się tajnych agentów. W sakwach nie znaleziono rzecz jasna niczego, a wypędzeni byli, jak wiadomo, nadzy i nie mogli nic ukryć.

— Dzieci mogłyby też przecież siedzieć tutaj, w drzewie — podsunąłem żartobliwie.

— Jeśli tylko potem postawicie je z powrotem na wóz, możecie je rozłożyć.

Wszyscy roześmiali się serdecznie. Kito wyjechał znowu w step ze swoimi ludźmi, bez cienia nadziei, gdyż na wiele mil nie widać tam nikogo. Nie ma zarośli ani zagajników, grot także nie uświadczy. Para królewska jakby zapadła się pod ziemię, co dla Mongołów jest zgoła niewyobrażalne bez pomocy złych duchów. Dlatego w nocy często siedzą przy moim ognisku, ciasno jeden przy drugim, adów obawiają się bowiem bardziej niż gniewu wielkiego chana. Gdyby zauważyli, że znikają nagle potrawy pozostawione obok kół wozu i opróżniają się dzbany z mlekiem, które przystawiam do trąbki aniołowi, przyjmowałiby to bez pytania, ponieważ duchy, jak wiadomo, domagają się darów ofiarnych. Moją jedyną troską jest, żeby Jeza i Rosz, którzy mogli słyszeć każde słowo, nie rozzuchwalili się za bardzo i rzeczywiście nie zechcieli straszyć jak duchy. Zrozumiałbym przecież tę potrzebę, gdyby — mając dość ciasnego więzienia — chcieli rozprostować w ciemności zdrętwiałe nogi. Do tej pory oszczędzili mi takich niespodzianek. Główne moje zmartwienie stanowiły bowiem nie tyle pojawiające się sporadycznie oddziały poszukiwawcze, ile hojnie mi przydzielona eskorta złożona z woźniców i poganiaczy wołów. Właśnie przed nimi muszę się mieć na baczności. Z tego powodu oświadczyłem, że miejsce pod pojazdem jest w nocy moją prywatną kaplicą, do której udaję się zawsze po to, żeby głośno „modlić się o odpędzenie złych duchów”.

Dzięki temu mogę się porozumiewać bez przeszkód ze swoimi jaskiniowymi dziećmi.

Wszystkie pytania zadaję

w ramach łacińskiej liturgii, a oni stukają na znak zgody raz, a zaprzeczając — dwa razy, po czym proponuję inną strofę. Stukanie dodatkowo napędza strachu Mongołom.

Jedyną osobą, którą rzecz jasna wtajemniczyłem, jest mój sługa Filip. Zaproponował on zresztą, żeby drzewo napitków mianować stałą siedzibą duchów; będzie to trzymać Mongołów na stosowny dystans i wyjaśniać wszelkie dziwne zdarzenia, jak śmierdzące kupy lub tajemnicze odgłosy. Już nieraz docierały do ich uszu zniekształcone, głuche dźwięki dobywające się z trąbki, w korzeniach rozlegały się jakieś trzaski, a przede wszystkim znika każda strawa z misek

utworzonych w zagłębieniach lwich zadów. Rano można w nich znaleźć tylko ogryzione kosteczki. Ogłosiłem więc, że ady zażądały drzewa dla siebie i zrobiły ze mnie swego zakładnika, żebym im służył i zaopatrywał ich w pożywienie i napoje. W przeciwnym razie będą rzucać się na moich pachółków i brać sobie od nich to, czego potrzebują. Ja, William z Roebruku, gotów jestem wszakże poświęcić się dla powierzonych mej opiece

Mongołów, ażeby nie stała im się żadna krzywda. Mają jedynie trzymać się z daleka od drzewa. Ja natomiast będę zwalczał modlitwą ady, albowiem dobry chrześcijanin nie lęka się duchów. Wszyscy są mi za to

wdzięczni, podtykając po kryjomu owoce, chleb orzechowy i inne frykasy, jak ryby, które sami złowili, albo jak już kiedyś się zdarzyło, specjalnie kupione jagnię, które miałem przeznaczyć na karmienie duchów utrapionych.

Podczas jazdy wyglądamy niczym mocno rozciągnięta karawana, na której czele

jadą Mongołowie. Silne woły ciągną olbrzymi wóz, na którym wznosi się srebrne drzewo napitków, przywiązane linami do wszystkich czterech rogów, na samej górze anioł, który na wyboistej drodze obraca się wraz z trąbką to w jedną, to w drugą stronę. Za wozem

kroczą jedynie odświętnie wystrojony mąż Boży, który omal nie został patriarchą Karakorum, oraz Filip, jego wierny sługa. Kierujący wozem, najbardziej zagrożeni z racji bliskości drzewa duchów, zbudowali sobie za plecami swego rodzaju tarczę ochronną, jakby połowę jurty, a mając ją za sobą, czują się niemal bohaterami. Z daleka nasz orszak wygląda pewnie jak procesja, zbliżanie się pod Jerycho jedynej trąby, której dźwięk zburzy mury całego świata. W stepie rozeszło się lotem błyskawicy, że opętały nas złe duchy. Niepokoi nas coraz mniej oddziałów poszukiwawczych, zwłaszcza po zapadnięciu ciemności. Omijają one szerokim łukiem widoczne z daleka drzewo, które samotnie wędruje przez kraj. L. S.

Każdy napotkany po drodze oddział Mongołów rewidował Creana i Szirat pośród dzikich obelg i grubiańskich zniewag. Były wśród nich nie tylko regularne formacje, które z wyciągniętą do ataku bronią nadjeżdżały od tyłu, jakby chodziło o posiekanie na kawałki uciekającego wroga, lecz również tacy, którzy znużeni długą, daremną jazdą, wracali zniechęceni i nie wiedzieli, co powiedzieć chaganowi. Wypędzeni musieli za każdym razem zatrzymać się pod groźbą założonych na cięciwy strzał, a następnie rzucano im tobołki z grzbietów jucznych zwierząt i je rozcinano. Próżno jednak wypatrywano choćby śladu pary królewskiej, a po każdym przeszukaniu brakowało żywności. Kończyły się też zapasy wody pitnej, bo jeden z rozeźlonych łowców przekłuł bukłak z wodą.

—
Prawdopodobnie potrafią sobie wyobrazić tylko jedno: że tacy delikwenci jak my są także odpowiedzialni za zniknięcie Rosza i Jezy —
skarżyła się Szirat. —

Za karę musimy umierać z głodu. --- William nam napytał tej biedy — stwierdził
wprawdzie Crean, ale Szirat w to wątpiła. -- W dalszym ciągu tkwimy w pajęczynie —

zastanawiała się na głos -- w którą wpadliśmy oboje jak ćmy lecące do światła. Pająk jeszcze się nie pokazał. Ale to na pewno nie poczciwy, gruby William. — Popatrzyła na Creana, który z posępną miną kłusował na swym koniu obok niej.

— Jestem głodna, Creanie — oznajmiła. Zapadał zmierzch; musieli poszukać miejsca na nocne obozowisko, ale od tego nie staną się syci. Już w południe podzielili się ostatnim kawałkiem chleba i wysączyli z bukłaków resztkę płynu.

—
Powinniśmy przynajmniej znaleźć jakieś źródło albo zagłębienie z wodą.

Towarzysz Szirat nie grzeszył galanterią, a przecież oddała mu się dwa razy. Lub przynajmniej raz. Za drugim razem, na koniu, to raczej ona go wzięła. Jediną odpowiedzią Creana było niezrozumiałe mruknięcie. Wypatrzył światło, które rozbłyskiwało w stepie pośród wieczornych ciemności. Ktoś zapalił ognisko.

—
Zaczekaj tutaj na mnie — zakomunikował drobnej, delikatnej kobiecie, z

którą spędzał noce, ale już jej nie dotknął, odkąd oderwali się od siebie na końskim grzbiecie. Do czego zresztą miałyby to prowadzić? Grzali się jedynie od siebie i śmiali z burczących brzuchów. Potem jednak przeszła im ochota do śmiechu. Crean musiał

zdołać coś do jedzenia, a przede wszystkim do picia. Odjeżdżając wiedział, jak bardzo

może zbliżyć się do obozowiska, ale tak żeby nie zdradził go tętent kopyt. Następnie zsiadł z wierzchowca i przywiązał go do sterty kamieni, zapamiętał położenie gwiazd i

powoli ruszył dalej pieszo. Musiał poczekać, aż wszyscy zasną, dopiero wtedy będzie

mógł się podkraść i poszukać czegoś do jedzenia. Wyjechał zaś tak wcześnie dlatego,

że ogień będzie mu wskazywał drogę jedynie dopóty, dopóki nie zgaśnie. Crean usiadł

na ziemi. Zadarł głowę i patrząc na gwiazdy, które migotały na potężnym firmamencie

niebieskim, zastanawiał się nad sensem swej ziemskiej wędrówki, związanym z dwoma

jasno świecącymi gwiazdozbiorami. Szybko znikający Gemini* reprezentował Jeżę i Rosza, a podlegająca Wenus Libra* była przyporządkowana Róży. Niczym spadająca kometa olśniło izmailitę przeświadczenie, że oba ulegną przemijaniu — bez względu na to, czy przyciągają się teraz w swej elementarnej równości i lekkości czy się odpychają — Dioskurowie później, Róża pewnie wcześniej. Nagle wydało się to Creanowi nieuniknione jak wzajemne zbliżanie się pędzących gwiazd na niebie. Rozbłyśnie płomienna luna i narodzi się coś nowego, człowiek, gwiazda albo konstelacja—możew Aąquariusie,* którego era ma dopiero nadejść. Crean z Bourivanu, stary katar, podniósł się z ulgą.

Wszystko ma swój sens, ale nie jest aż takie ważne.

Lekkim krokiem ruszył w stronę obozowiska. Musiało to być jakieś większe towarzystwo i osoby wysokiej rangi, gdy bowiem wyteżył wzrok, dostrzegł na namiotach insygnia władców. Dookoła obozu przechadzali się także wartownicy; ich hełmy połyskiwały w świetle księżyca. Jako asasyn Crean nauczył się czołgać bezszelestnie po ziemi niczym wąż, choć mając pięćdziesiąt trzy lata na karku, nie robił już tego z naturalną zwinnością. W ten sposób dotarł do środka kręgu i znalazł się wśród śpiących.

Jeden z panów spał z boku, a otaczali go tylko Mongołowie, którzy w ojczystym stepie czuli się tak bezpiecznie, że nie wystawili wartowników. Obok młodego pana połyskiwał biały obrus. A na nim leżały pieczone mięso, chleb, ser i owoce—prawie w ogóle nietknięte. Creanowi ślina napłynęła do ust. W cieniu namiotu podczołgał się do głowy śpiącego. Dzięki temu mógł natychmiast zamknąć mu usta, gdyby ten się zbudził. Najpierw Crean zabrał sztylet, pozostawiony niedbale obok pieczeni, a wtedy jego wzrok padł na twarz śpiącego. To był Hamo! Bez żadnych wątpliwości. Crean położył mu dłoń na wargach i zbliżył usta do jego ucha.

— Hamonie! Ten oprzytomniał w jednej chwili, lecz zamiast wystraszyć się postaci trzymającej sztylet w zębach, ugryzł napastnika w rękę i próbował w nią uderzyć.

Skaleczył się przy tym sztyletem, ale bez udziału Creana, zanim wreszcie rozpoznał izmailitę.

— Ty? — Opadł z powrotem na posłanie i Crean mógł mu w końcu przekazać szeptem najważniejsze informacje. Kiedy Hamo usłyszał, że Szirat czeka w pobliżu, chciał zerwać się na nogi. Tym razem asasyn zranił go świadomie sztyletem w ramię. Hamo zrozumiał, że zachowuje się jak głupiec, i powziął pewien plan. — Ponieważ i tak już mnie na poły zaszlachtowałeś, zostaw mnie tutaj i znikaj ze wszystkim, czego potrzebujesz. Zadraśnij mnie jeszcze w szyję i policzek, żebym okropnie broczył krwią. Za pół godziny zacznę krzyczeć „Asasyni!”

— A potem? — zapytał sceptycznie Crean, jednakże przejechał Hamonowi błyskawicznie ostrzem po policzku i rozpruł mu skrwawionym sztyletem koszulę tak sprawnie, że ów nawet nie poczuł skaleczeń.

— Armeńczycy się ucieszą, kiedy zażądam, żeby mnie tu zostawili — oświadczył Hamo z niewzruszonym spokojem. — Zdaj się na moich przyjaciół!

— Dobrze — zgodził się Crean i dokończył dzieła, zabierając adamaszkowy obrus wraz z potrawami. — Kiedy się ich pozbędziesz, dołączymy do ciebie! To rzekłszy, zniknął w gęstych ciemnościach.

Raport służb tajnych, 16 lipca 1254

Orszak króla Armenii Hetuma został dziś napadnięty. W środku nocy zbudziły obóz krzyki hrabiego Otranto, który wrzeszczał „Asasyni! Asasyni!” Znaleźliśmy go zakrwawionego, lecz po bliższych oględzinach okazało się, że to jedynie niegroźne rany cięte głowy, okolicy serca, a także ramienia. Hrabia Hamo L'Estrange twierdził, że

rzuciło się na niego dwóch mężczyzn. Dla niego od razu było jasne, że może chodzić tylko o asasynów.

Istotnie, przemawia za tym fakt, że zawsze działają parami. A jak wiadomo, nie schwytano jeszcze wszystkich czternastu fedainów, których imam z Alamu nasłał ponoć na naszego wielkiego chana. To, że ukradli obrus wraz z potrawami, przemawia zaś za tym, że zamachowcy cierpią głód, co z kolei wskazuje na odłączoną od pozostałych, włóczącą się po okolicy parę skrytobójców.

Jednakże choć nasi ludzie natychmiast dosiedli koni i z pochodniami obszukali otoczenie obozu, nie natrafiono na żaden ślad sprawców. Pozwalamy sobie zgłosić pilny postulat, aby przywrócić wreszcie bezpieczeństwo na naszych drogach. Może należałoby polecić licznym oddziałom poszukiwawczym, które obecnie rozglądają się za parą królewską, żeby miały na oku również taką zuchwałą hołotę, przynoszącą wstyd nam, Mongołom, zwłaszcza gdy nieprzyjemności dotyczą wysoko postawionych gości jak król Armenii.

Podczas tego incydentu, który z pewnością był zamachem nie na niego, tylko na jego wieczerzę, hrabia Hamo L'Estrange wykazał wprawdzie dzielność Czyngisydy, wszelako później zabrakło mu twardości właściwej naszej wielkiej dynastii. Albowiem choć zatamowaliśmy krew i opatrzyliśmy jego rany, z samego rana oświadczył, że nie jest w stanie kontynuować podróży wraz z innymi. Nie mogliśmy zresztą upierać się przy tym, gdyż dziwnym sposobem Armeńczycy niemal od razu byli gotowi po prostu zostawić go w stepie. Nagle zaczęło im się bardzo śpieszyć, chcieli jak najprędzej zwinąć obóz i jechać dalej. Nasuwa się wprost nieodparta myśl, że to oni chcieli zabić hrabiego. Sempad, królewski brat, jest mu podobno nader nieprzychylny, a Armeńczycy są znani z fałszywości. Zostawili mu jednak konie i całe mienie, które jest przecież bardzo znaczne.

Następnie podzieliliśmy eskortę. Część pojechała dalej z królem, a część została przy hrabim. Ten wszakże ponownie pokazał wysoce niemongolski charakter i w ogóle nie przywiązywał wagi do naszej obecności. Od ludzi, którzy już w Sis, armeńskiej stolicy, rozpoznali go jako chung tajdziego, potomka Wielkiego Kowala Czyngis-chana, zażądał, żeby po prostu zostawili go w stepie i pozwolili mu umrzeć. Jakby Mongołowie kiedykolwiek zostawili członka rodu panującego na pastwę losu! Nie odstępujemy więc od jego boku. Hamo L'Estrange odmawia w ogóle przyjmowania pokarmu; wydaje się, że wyciekł z niego sok żywota, jakby sztylet asasynów był zatruty, a my nie znamy jeszcze tej trucizny, która odebrała mu chęć do życia. Prosimy pilnie o przekazanie najbliższemu jamowi rozkazów, jak mamy się zachować.

L. S.

Wielki chan odmówił opuszczenia łóżka. Najwyższy sędzia siedział obok posłania władcy i grał z nim w go. Ale jakkolwiek Móngke się starał, kamienie przeciwnika zawsze go okrężały. —

Dajcie mi jeszcze pięć! — mruknął zadziornie, chcąc ukryć

niezadowolenie. Bułgaj lekką ręką postawił na planszy kolejne swoje kamienie i zamknął jeszcze jeden kamień Móngkego.

—

Niemożliwe, żeby nie wykryto żadnych śladów w promieniu tysiąca mil — stwierdził — poszukiwani nie mogli dotrzeć dalej, chyba że przedzierzgnęli się w ptaki... — Duchy! — przerwał mu chagan i sam przestraszył się tej myśli —: ...i to tropieni przez dziesięć tysięcy myśliwych — dokończył niewzruszenie Bułgaj. — Nawet mysz... — Co z tego wynika? — Móngke był zły, bo

przeciwnik znowu go otoczył. — Domagam się wyjaśnienia! Bułgaj miał je pod ręką.

—

Para królewska podróżuje na naszych oczach, ale my jej nie widzimy.

Móngke zaryzykował odważny ruch w nadziei, że przeciwnik ma głowę zajęętą czymś innym.

— Dwudziestu tysięcy oczu nie mogła jednocześnie porazić ślepotą!

— Naczynie, które sprawia, że są niewidzialni...

— Duchy? A więc jednak! --- William — zaczął od przypomnienia najwyższy sędzia — ma ostatnio władzę nad duchami albo one nad nim. Ady na niego napadły, usadowiły się w drzewie napitków i go nie opuszczają...

— Mój William? Nigdy w życiu!

— Pozwolicie, że go zatrzymamy i zbadamy sprawę: otworzymy drzewo, rozkroimy albo przepiłujemy?

— Moje srebrne drzewo? Nigdy w życiu! — Móngke był tak oburzony, że z obojętnością stwierdził, iż Bułgaj ponownie osaczył jego kamienie.

— Moglibyśmy je skierować do wody albo podłożyć pod nim ogień.

— Nie wtedy, kiedy mieszkają w nim duchy!

— Nie ma duchów! — odparł surowo Bułgaj. — To, że William wozi ze sobą w drzewie jakieś duchy, pozwala tylko wnosić...

—

Poza tym drzewo mogłoby zostać uszkodzone i jak ja bym wtedy wyglądał przed Williamem? Móngke sprytnie wykorzystał zdumienie swego najwyższego sędziego, aby wreszcie otoczyć jeden z kamieni przeciwnika. Ten uśmiechnął się powściągliwie.

—
Chciałem jedynie zwrócić na niego uwagę — rzekł Bułgaj i tym razem on okrążył chana.

Raport służb tajnych, 17 lipca 1254

Wielmożny Bułgaju, którzy nas wciąż zawstydzacie.

Przyszedł Wasz jam i wszystko się wyjaśniło. Jako że hrabia Hamo L'Estrange nadal domagał się, żeby zostawić go samego, więc wycofaliśmy się, ale przy każdym wzniesieniu terenu, każdym krzaku jeden z nas zeskakiwał niepostrzeżenie z siodła i ukrywał się za ochronną tarczą przyrody, tak jak nas tego uczono. W ten sposób stworzyliśmy łańcuch obserwacyjny, niewidoczny dla hrabiego.

Niedługo potem nadjechali wypędzony kapłan i księżniczka Szirat. Kobieta zeskoczyła z konia i rzuciła się Hamonowi na szyję. Zażenowany kapłan stał z boku, kiedy się całowali i gruchali do siebie jak para zakochanych, chociaż są przecież mężem i żoną. Do tego wniosku doszliśmy dzięki swym spostrzeżeniom. Połączeni na powrót małżonkowie hojnie obdarowali kapłana; dali mu ubrania i konie i zostawili go samego.

Postanowiliśmy nadal działać w ukryciu i jeszcze raz podzieliliśmy swój oddział.

Połowa podążała za odjeżdżającą parą w przepisowym odstępnie „cienia małego pagórka”. Jak bowiem moglibyśmy pozwolić człowiekowi zidentyfikowanemu jako chung tajdzi na jazdę bez eskorty, skoro ma on taką kutą na cztery nogi małżonkę?

Druga połowa za poradą Waszego jama pozostała przy wypędzonym, o którym wszak wiemy, jak bardzo jest niebezpieczny, i choćby z tego powodu nie należy go zostawiać samego. Ludzie wyznaczeni do tego zadania ukryli się odważnie — zresztą już wcześniej zastosowaliśmy skutecznie tę metodę — wkoło obserwowanego jako „lisy

w dołach". Co szkoła, to szkoła. Czekamy zatem w ukryciu na jego dalsze ruchy.

Pozwalamy sobie jeszcze zwrócić uwagę, że być może to kapłan próbował nocą w obozie zasztyletować hrabiego Hamona, powodowany zazdrością, żeby zachować dla siebie księżniczkę. Obrus z resztkami jadła zabrał ze sobą pewnie tylko dla zamaskowania swych morderczych zamiarów, kiedy nie powiódł się jego zamach — dzięki bohaterskiej obronie Hamona. Możliwe też, że hrabia go rozpoznał i dlatego taki był oszołomiony, a zwrot kobiety nastąpił w zamian za ubrania i konie. W każdym razie „kapłan” jest człowiekiem bardzo niebezpiecznym i z pewnością asasynem.

L. S.

Z Kroniki Williama z Roebroku

*S Petri ad Vincula** A. D. 1254

Z powodu ciężaru drzewa napitków posuwamy się niesamowicie wolno.

Dwadzieścia cztery woły wcale nie są szybsze niż dwa. Wóz z symbolem porażki wielkiego chana i mojego ostatniego tryumfu, podskakując i łoskocząc na wybojach, przemierza step, będąc dobrze widziany już z daleka. Rosz i Jeza chcą wyjść ze swojej klatki, a ja potrafię wczuć się w ich sytuację. Grożą mi, że pewnej nocy opuszczą potajemnie swój „piwniczny loch bez szczurów”, jak to nazywają, i niczym miłe ady pojawią się przy ognisku Mongołów. Załamując ręce — wszak modłę się zawsze pod klapą — poprosiłem ich, żeby jeszcze poczekali, lecz strumień płynu, który mnie potem trafił, na pewno nie był wodą pitną, a poza tym krzyczeli upiornie przez rurę trąby „ouhu-ou-ou-ouhou-i-i-i”, tak iż moi towarzysze truchleli ze strachu. Przeczynałem, że nie zdołam dzieci dłużej powstrzymać. Pobiegłem więc do pacholków zajmujących się

wołami i woźniców i udając zatrwożonego, zawołałem:

—

Duchy chcą wziąć w posiadanie parę królewską! Powiedziały, że ją

odszukają! Wszyscy byli tak zastraszeni, że dorzuciłem jeszcze: —

Jeśli

sprzeciwmy się ich żądaniu albo zdradzimy ich plany, Ady ukręca nam szyje!

Było to dobre przygotowanie do widoku, jaki ukazał się nazajutrz rano. Rosz i Jeza siedzieli w korycie z wodą, z którego pojono woły, i ze śmiechem ochlapywali się nawzajem.

— Gdzie jesteście? — ozwała się Jeza. — A wy kim jesteście? Przyłączyłem się do tej gry, pozdrowiłem ich czołobitnie i zapyta

łem: — Dokąd się to wybieracie, Paro królewska? —

Jesteśmy jeńcami adów —

odpowiedział smutnym głosem Rosz.

— Tylko za dnia możemy przebywać wśród was, noce musimy spędzać u nich w drzewie. Wszyscy uznaliśmy to za dobre rozwiązanie, zwłaszcza że siedzący na koźle woźnice z obawy o swoje szyje za każdym razem na widok oddziału poszukiwawczego wołali potem: — Ukryjcie się, szybko! Rosz i Jeza znikali pod wozem, który wszyscy

nadal omijali — a dzięki temu nikt nie widział, jak wślizgują się przez klapę do wnętrza drzewa napitków. Jednakże wkrótce potem oboje siedzieli już na koźle i sami się

rozglądali. Kiedy naprzeciwko pojawiła się duża grupa podróżnych, prawie mała ekspedycja wojenna, Rosz uspokoił nas szybko: —

To nie Mongołowie! Poznają

chorągiew armeńską. Przed nimi nie musimy się chować!

Woźnice wystraszyli się, lecz para królewska poprawiła, jak się dało, rozczochrane włosy i pomięte szaty i powitała Armeńczyków, prostując się z godnością na koźle.

Wziąwszy do rąk cugle, Rosz i Jeza pozdrowili przybyszów z godnością.

Jednym z nich, jak się okazało, był sam król Hetum, ten potwór, który kupił Szirat od

handlarza niewolników i podarował wielkiemu chanowi, ściśle biorąc, przekazał ją jako część swojego trybutu! Niestety, także Jeza wiedziała o tym bardzo dobrze.

— Ach, to wy jesteście tym królem Armenii, który sprzedaje żony dzielnych rycerzy!

— zawołała. — Hrabina Otranto długo czekała na was, żeby wam stosownie podziękować!

— O czym wy mówicie, młoda damo? — wtrącił się przysadzisty mężczyzna o wyglądzie żołnierza. — Jestem Sempad, konetabl, i wypraszam sobie w imieniu...

— Oszczędźcie sobie słów, panie Sempadzie—zgasił go szybko Rosz. — Szirat nie mogła dłużej czekać i pokazała plecy dworowi wielkiego chana. Powinniście byli spotkać ją po drodze!

— A ponieważ macie j jeszcze na twarzy obydwójce oczu — zawtórowała Jeza — więc pewnie rozminęliście się z nią, bo w przeciwnym razie by je wam wydrapała!

— Ani chybi by tak było, bracie — odrzekł król i uśmiechnął się ze złośliwą satysfakcją. — Ale kim wy jesteście, że śmiecie mi wytykać takie sprawy? Wtedy ja zawołałem szybko:

—

Para królewska podróżuje w misji powierzanej przez wielkiego chana. A ja jestem William z Roebruku, poseł króla francuskiego Ludwika. Król Hetum przyjrzał się z zaskoczeniem Roszowi i Jezie tudzież potężnemu drzewu napitków za nimi, które wydawało mu się pewnie baldachimem tronu, jakiego nigdy dotąd nie widział. W końcu powiedział do mnie:

—

Słyszeliśmy o tym. Nie będziemy was zatem dłużej zatrzymywać. Chodźmy,

Sempadzie! Tymi słowami napomniał w samą porę swojego brata, który tymczasem

zsiadł z konia i z groźną miną chciał zbliżyć się do wozu. Ów burknął pod nosem coś niezrozumiałego, kiedy Rosz smagnął batem woły i krzyknął do Hetuma: —

Przekażcie Móngke-chanowi pozdrowienia od nas!

I skrzypiąc nasz pojazd ruszył znowu w drogę, a Armeńczycy pojechali dalej. Pod wieczór ujrzelśmy stojącego przy drodze Creana. Wydawał się czekać na nas. Miał przy sobie kilka koni i był dobrze odziany, właściwie dokładnie tak, jak miałem w pamięci bejruckiego kupca Mustafę Ibn Daumara.

Od niego dowiedzieliśmy się, w jaki sposób odnaleźli się Hamo i Szirat. Rosz i Jeza wcale nie byli uradowani tym spotkaniem, zwłaszcza że Crean natychmiast zażądał, żeby ukryli się z powrotem w drzewie, gdyż jest obserwowany przez Mongołów. Siedzą oni w każdym zagłębieniu i za każdym krzakiem. Wskazał kępę krzewów niedaleko gościńca, która nagle się poruszyła i odskoczyła w jakiś dołek.

— To moja eskorta—zazartował Crean, rozciągając jak zwykle wąskie wargi.

— Jeśli odstąpię Mustafie Ibn Daumarowi połowę moich ludzi — powiedziałem — to właściwie mógłby wyruszyć w drogę powrotną do Bejrutu razem z towarem, który przy mnie nie jest już bezpieczny, odkąd zobaczyli go Armeńczycy. Crean popatrzył na mnie i skinął głową. —

Nadal jesteś starym flamandzkim spryciarzem, Williamie z

Roebroku, któremu los zawsze podpowiada mądre rozwiązania!

— Nie los, tylko ady — sprostowałem, ale tego już nie zrozumiał.

L. S.

Raport służb tajnych, 4 sierpnia 1254

W stosownym odstępie „cienia małego pagórka" podążamy za hrabim Otranto i jego żoną. Nie znamy jego celu i ubolewamy niezmiernie, że nie możemy dać honorowej

eskorty członkowi wysokiego rodu, w którego żyłach płynie krew Wielkiego Kowala. Jak stwierdziliśmy ostatnio, Hamo L'Estrange gardzi jednak naszym towarzystwem.

Wysłaliśmy mu bowiem naprzeciw pewnego jama i jeszcze raz, przez niego, zaofiarowaliśmy najuniżej swoje służby. Hamo kieruje się w stronę obozu Batuchana. Prawdopodobnie będzie przejeżdżał przez tereny rozbójników, co napełnia nas największą troską, gdyż para podróżnych w stepie, odziana w kosztowne szaty, a w dodatku zupełnie sama, zaprasza wręcz do napadu. Na wszelki wypadek zmniejszyliśmy dystans tak, aby pozostawali w zasięgu wzroku. Zamiast na rozbójników hrabia i jego małżonka natrafili na jurtę Umara i Ordy, których nędzne warunki życiowe wytykaliśmy już wcześniej. Mają oni czteromiesięczną córkę — jakby ich nędza nie była dostatecznie wielka. To hańba dla naszego kraju! Naturalnie para banitów poprosiła szlachetnego chung tajdziego o jałmużnę i Hamo L'Estrange pozwolił przemówić swemu sercu. Zsiadł z konia i szczerze obdarował tych darmozjadów. Pani Szirat dała się namówić i wzięła od nich dziecko, i nie dość miłosierdzia, ona i hrabia zamienili swoje wykwintne szaty na łachmany banitów. Podarowali im także wszystkie wierzchowce i całe swoje mienie i odjechali na dwóch koniach, bez zwierząt jucznych i koni na zmianę. Wyglądali na szczęśliwych. Hamo L'Estrange i jego żona muszą być wzorowymi, głęboko wierzącymi chrześcijanami.

Dopisek do naszego raportu z 17 lipca 1254

Jako towarzyszka banity, Mongołka Orda była zobowiązana poinformować o wszystkim tajne służby. W załączeniu do niniejszego przesyłamy Wam protokół jej przesłuchania. Uważamy, że jest on bardzo interesujący, w każdym razie owo przesłuchanie otworzyło nam oczy na zupełnie nowe fakty. Pytanie do Ordy: — Jak śmieliście prosić podróżnych o jałmużnę? Nie wstydzisz się?

Odpowiedź Ordy: — Bieda nie zna wstydu. Na nasze szczęście księżniczka nas

znała — z czasów, kiedy była niewolnicą w domu Aryka Bóge — wprawdzie nie widziała nas nigdy na oczy, ale słyszała o naszym nieszczęściu i dlatego sama zaofiarowała nam pomoc.

Pytanie do Ordy: —Dlaczego podróżni zamienili swoje szaty na wasze łachmany?

Odpowiedź Ordy: —Hrabia obawia się, że jego żona może być ścigana zarówno przez jej dotychczasowego właściciela, brata chana, jak i przez Sempada, brata króla Armenii, który zagiął na nią parol. Mają nadzieję, że w tym przebraniu unikną wszelkich prześladowań.

Pytanie do Ordy: — Jak mogłaś oderwać dziecko od piersi i oddać je w obce ręce?

Nie kochacie swojego dziecka? Odpowiedź Ordy: — Amal jest dzieckiem miłości. My zaś cierpimy taką nędzę, że żyjemy w ciągłym strachu o to delikatne stworzenie, które możemy utracić na skutek zimna i głodu. Księżniczka w tragicznych okolicznościach straciła własną córkę. Nasza mała Amal natychmiast wzbudziła w niej macierzyńskie instynkty. Poprosiła mnie, bym oddała jej dziecko. Z pewnością ułatwi jej ono ucieczkę, bo nikt nie przygląda się twarzy karmiącej matki.

Pytanie do Ordy: — Czy podróżni proponowali wam, żebyście udali się z nimi, a jeśli

tak, to dokąd? Odpowiedź Ordy: — Chętnie wyruszylibyśmy razem z nimi, ale powiedzieli, że będzie lepiej, jeśli będziemy podróżować osobno i spotkamy się blisko granicy państwa w Samarkandzie. Wtedy oddadzą nam też naszą małą Amal, hojnie nas wynagrodzą i zadbają o nas.

Pytanie do Ordy: — I co teraz zamierzacie? Czyżbyście chcieli odrzucić książęcą

propozycję? Odpowiedź Ordy: — Podążymy za nimi na obczyznę. W tym kraju Mongołów, mojej ziemi ojczystej, nie ma już dla nas żadnej nadziei!

Puściliśmy obydwój. Rozwiązanie to wydaje nam się bardzo szczęśliwe. W ten

sposób pozbędziemy się ich i nie musimy się już za nich wstydzić! Tym samym

wstrzymujemy śledzenie, ale nie obserwację Hamona L'Estrange. Banici tak czy owak nie są warci tego zachodu.

L. S.

Na przekór złości z powodu daremnej akcji poszukiwań pary królewskiej — Rosz i Jeza zniknęli jakby za sprawą jakichś czarów! — wielki chan zgodnie z tradycją ludu Mongołów przeniósł swą rezydencję do obozu letniego. Wcześniej załatwił czekającą na jego rozstrzygnięcie kwestię reorganizacji wspólnot chrześcijańskich na terytoriach mongolskich, mianując patriarchą Bartłomieja z Cremony, ale nie zakładając *Novam Eccleñam*. Wszystko zostało więc po staremu, z tym że Barć pełnił funkcję swego rodzaju chrześcijańskiego jama dla wszelkich ambasadorów Stolicy Apostolskiej i zachodnich wielmożów, gdyby jacyś mieli jeszcze przybyć.

Na razie przyjechał tylko król Armenii, który z miejsca oświadczył, że wyprasza sobie taką opiekę, ponieważ Kościół armeński uznaje wprawdzie zwierzchnictwo papieża, ale nie ma zamiaru słuchać poleceń jakiegoś franciszkanina w sprawach dotyczących obrządku. Przybył złożyć hołd wielkiemu chanowi i w tym celu nie potrzebuje pomocy żadnego duchownego.

Nikt go nie pytał przez grzeczność o przysłany wcześniej „dar dla gospodarza”, czyli niewolnicę Szirat. Na głowie Sempada pozostało więc dowiadywanie się o „damulkę”,

jak ją nazwał na swój prostacki sposób, i tylko spryt tłumacza — ów przełożył to

określenie jako „niewiasta” — oszczędził mu pojedyńku, na który z pewnością wyzwałby go Aryk Bóge. Kiedy szambelan wysłuchał potem całej historii, zgłosił się do niego

także jeden z panów towarzyszących Sempadowi, który rozpoznał w stepie Creana, gdy ten czekał na Williama. Był to francuski rycerz, pan Oliwer z Termes.

— To był Crean z Bourivanu! — zawołał, a tłumacz przełożył: — Jest on wprawdzie

asasynem, ale człowiekiem Przeoratu! Czy kogoś więc jeszcze dziwi, że zabrano wam Rosza i Jeżę? Oni należą do tajnego zakonu ciałem i duszą. To Przeorat poniekąd stworzył parę królewską.

Dziwiło oczywiście Mongołów, którzy słyszeli już wprawdzie o papieżu i cesarzu, potężnych władcach, co nie podporządkowali się do tej pory. Ale o Przeoracie mowa była po raz pierwszy. Wielki chan z zaskoczeniem przyjął do wiadomości, że istnieje ta nieznana potęga, która ośmieliła się czynnie wtrącić w jego sprawy. W jednej chwili uświadomił sobie, kim jest William z Roebruku. Kurierem tego tajnego stowarzyszenia! A on, Móngke, odtrącił jego przyjaźń, obraził go i zranił tylko dlatego, że szemrało przeciwko niemu paru kapłanów i bałwochwalców. I William naturalnie wziął ze sobą s w o j e stworzenia! Tylko Aryk Bóge, który myślał trochę wolniej, tryumfował: —

A

więc jednak spisek asasynów! Miałem rację, żądając głowy tego Creana. To on spowodował uprowadzenie pary królewskiej! Sempad spojrział na niego ze zdziwieniem.

—

Jeśli macie na myśli parę królewską, która podróżuje z Williamem z Roebruku w misji powierzanej przez wielkiego chana, to ją spotkaliśmy. Kazali was pozdrowić — zwrócił się mimochodem do wielkiego chana. Temu szczęka opadła, a kiedy zdołał w końcu zamknąć usta, krzyknął: —

Bułgaj! Najwyższy sędzia stał przez cały czas obok niego.

— Sugerowałem wam to, mój władco — rzekł uprzejmie — nie mogło być inaczej!

--Na co jeszcze czekacie? — ryknął Móngke. — Natychmiast sprowadźcie mi z powrotem parę królewską! Wtedy wystąpił Sempad.

— Wielce dostojny władco, ja jestem gotów schwytać tych młodych ludzi!

— Widzicie! — prychnął pogardliwie chan, kiedy podszedł także generał Kitboga. —

Konetabl osiąga błyskawicznie to, czego wy nie zdołaliście dokonać z dziesięcioma oddziałami wojska w ciągu trzech księżyców! A dlaczego? Dlatego że on ma oczy do patrzenia. Dajcie mu tylu żołnierzy, ile zechce zebrać. Ruszajcie natychmiast, mój drogi Sempadzie!

— Weźcie moje posokowce! — zaproponował Aryk Bóge. Konetabl skinął głową, cały już pąsowy na twarzy od zapału myśliwskiego, i wypadł z sali audiencyjnej. Wkrótce potem Sempad wyjeżdżał już przez Bramę Kóz z centurią Mongołów i wszystkimi swoimi rycerzami. —

A co się stanie z Williamem? — zapytał Bułgaj swego pana,

który uspokoił się w końcu. Móngke popatrzył nań przez wąskie szparki oczu.

—

Pytacie o to dopiero teraz, kiedy jedyny człowiek, który wie, gdzie znaleźć zdrajcę, wyjechał z miasta? Najwyższy sędzia nawet nie drgnął. -- Postąpcie z nim tak, jak zamierzaliście postąpić z moim srebrnym drzewem napitków. Wrzucie go do wody, przepiłujcie, podłóżcie pod niego ogień — przypominał wielki chan — jak wam się podoba.

— A duchy?

— Ach, duchy! — Machnął ręką. — Najważniejsze, żeby drzewo wróciło całe. I

wasza w tym głowa. Bułgaj uklonił się, po czym dał ukradkiem znak generałowi i spotkał się z nim za jedną z kolumn. —

Zawiadomcie syna. Zadbalem już o to, żeby ów

Sempad nie dotarł do celu tak prędko, jak wyruszył. Obaj starcy skinęli sobie głowami ze zjadliwym uśmiechem. — Daliście mu centurię składającą się z pięćdziesięciu

kulawych i pięćdziesięciu ślepców — odparł generał. — Pchnąłem już do Kitona

dziesięciu najszybszych kurierów i kazałem im się śpieszyć!

* S u p p l i c e t e... (łac.) — Pokornie cię błagamy, wszechmogący Boże, rozkaż, niech ręce Twego Anioła świętego zanoszą tę ofiarę na niebiański Twój ołtarz, przed oblicze

Boskiego majestatu Twego.

* Agnus Dei... (łac.) — Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata, zmiłuj **się** nad nami. Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata, zmiłuj się nad nami. Baranku Boży,

który gładzisz grzechy świata, obdarz nas pokojem.

* Dzień wspomnienia św. Praksedy — 21 lipca; zm. w Rzymie w II w.

* Libra - Waga

* Aaquarius — Wodnik.

* Gemini - Bliźnięta

* S. Petri ad Vincula— uroczystość św. Piotra w Okowach, 1 sierpnia.

VI. ŚCIGAJĄCY I ŚCIGANI

Raport służb tajnych, 14 września 1254

Centuria Kitona nadciągnęła niczym burza, aż przyjemnie było popatrzeć, jak każdy z

Mongołów stapia się ze swoim koniem w jedno zbrojne ciało, a dziesięć szeregów po

dziesięć takich ciał tworzy wspaniałą falangę! W takich chwilach duma rozpiera nas,

którzy swoją również ważną służbę wykonujemy w ukryciu! Pan Kito opowiedział

Hamonowi L'Estrange, że konetabl Armenii dostał wolną rękę, a także dość jeźdźców

na poszukiwanie pary królewskiej, i na pewno nie oprze się pokusie, żeby dostać w

swoje ręce księżniczkę Szirat. Od naszych ludzi, tajnych bojowników wśród żołnierzy

Kitona, wiemy, że to ostrzeżenie zrazu nie zrobiło na hrabim wrażenia. Podziękował

panu Kitonowi za informację i poprosił, żeby mimo wszystko zostawić go samego razem

z rodziną. Chytry pan Kito odparł wtedy, że amulet, czyli szczęśliwy kamień, który hrabia nosi na szyi, legitymuje go jako chung tajdźiego i zobowiązuje jego, Kitona, do bezwzględności posłuszeństwa i wierności aż po grób, w przeciwnym razie on i jego centuria zgodnie z prawem Jasy zostaną straceni za uchylenie się od służby. Za to hrabia nie chciał odpowiadać i zgodził się na eskortę, jaka przystoi chung tajdźiemu. Poza tym podróżni zbiegli z drogi do Batu-chana i skierowali się na południe. Nasi obserwatorzy utrzymują kontakt.

L. S.

Z Kroniki Williama z Roebruku

Septem Dolorum B. M. V A. D. 1254*

Woźnice na koźle pierwsi ujrzeli ciemną chmurę. W tumanie kurzu, który wzbijał się coraz wyżej, rozblyskiwały stal i żelazo. A potem rozpoznali stugłową gromadę jeźdźców, którzy zbliżali się z powiewającymi buńczukami i wzniesionymi włóczniami. Wspiąwszy się na wóz, stanąłem pod drzewem napitków. —

Teraz

może się spełnić groźba adów! — zawołałem do swoich Mongołów. — Trzymajcie języki na wodzy, żebyście rano nie mieli ich czarnych i wywalonych na wierzch! Ani słowa o parze królewskiej, bo

wszystkich nas wyduszą demony... — bojaźliwym gestem wskazałem na gałęzie drzewa za mną — które tylko na to czyhają, czy ich zdradzimy!

Nadjechali już pędem pierwsi uczestnicy pościgu. Okazało się, że to pan Sempad, konetabl króla armeńskiego, a towarzyszyła mu centuria mongolskich wojowników, którzy co dziwne, jeżdżą zawsze po dwóch, przy czym jeden z nich prowadzi oba konie. Mieli też ze sobą sforę składającą się z pięćdziesięciu posokowców. Zziajane psy

szczekając szarpały smycze. Były to psy Aryka Bóge, o których słyszałem już wiele okropnych opowieści, i zresztą uwierzyłem w nie, gdy zobaczyłem, jak obnażając kły, otaczają nasz wóz.

—
W imieniu wielkiego chana! — zawołał Sempad. — Gdzie jest para królewska? Spojrzeliśmy po sobie ze zdziwieniem, jakbyśmy nie wiedzieli, o czym mówi.

— Ukrywacie ich! — ryknął. Znow zrobiłem głupią minę, tak jak potrafiłem, i zapytałem: ---Kogo?

— No dobrze! — syknął Sempad. — Mamy prawo i polecenie szczegółowego skontrolowania transportowanego przez was rozlewnika napitków w poszukiwaniu uciekinierów.

— Jeżeli chagan was wysłał — odparłem stanowczo — to chętnie wam pomogę.

Wówczas powinniście też jednak wiedzieć, że podróżuję jako jego oficjalny poseł, uppełnomocniony listem z pieczęcią! —

Ile ten list jest wart, Williamie z Roebruku

— konetabl z trudem tłumiał wściekłość — dowiecie się, kiedy przyjrzymy się drzewu, na którym zawiśniecie, jeśli wyda ono owoce, jakie chcemy zerwać! Moi poganiacze wołów stali osłupiali, kiedy pierwsi panowie wspięli się na wóz i zaczęli ostukiwać mieczami pień drzewa.

Tymczasem Mongołowie, którzy zsiadli z koni również parami --w każdej parze ślepiec podpierający kulawego, który go prowadzi

— wdali się w rozmowę z moimi woźnicami. Ci wskazywali bojaźliwie i z respektem na gałęzie drzewa, wyraz twarzy, z jakim to czynili, przeskakiwał niczym pchła na nowo

przybyłych. Nawet posokowce zJeżyły sierść i zaczęły okropnie warczeć. —Po raz ostatni wzywam was! — zawołał konetabl w stronę drzewa głosem aż drżącym z gniewu. — Wychodźcie! Wam, parze królewskiej, nie stanie się żadna krzywda. Mamy was odprowadzić z powrotem do dostojnego Móngkechana!

Ze środka nie dobiegła jednak żadna odpowiedź; tylko wiatr stepowy pogwizdywał cicho wśród srebrnych gałęzi, wpadając także do ustnika trąby, przez co z czary głosowej wydobywały się falujące głuche dźwięki. Mongołowie popatrzyli na siebie znacząco. Rycerze Sempada poluźnili tymczasem liny przytrzymujące drzewo, by zaraz powoli przechylić je bok. Pewnie przykazano im surowo, żeby w żadnym wypadku nie uszkodzić cennego okazu, gdyż postępowali nadzwyczaj ostrożnie. W końcu przechylili drzewo na tyle, że dało się zajrzeć do wnętrza jaskini pod korzeniami. Jeden z panów Sempada przysunął się na czworakach do otworu i rzucił okiem w ciemną czeluść dziury, którą mistrz Buchier zamaskował w taki sposób, że pozostało tylko wąskie zejście w głąb, nie większe niż oczko „sekretnego miejsca”. Drewnianej kłapy w dnie wozu jeszcze nie odkryli. Mężczyzna wyciągnął miecz i podzgał nim w ciemności.

— Śmierdzi tu jak w lisiej norze! — zawołał, kiedy wyciągnął głowę tworu. — jama jest najwidoczniej pusta — zrelacjonował Sempadowi ale jeszcze niedawno nie była. Dwoje małych ludzi zmieściłoby się tam zupełnie...

— Dajcie psy! — rozkazał wściekły Sempad i kilka zwierząt ze sfory adzono na wóz i na długich smyczach dopuszczono do szczeliny. Te natychmiast zaczęły ujadać i cisnęły się do otworu, w ogóle zachowywały się jak dzikie, wyszarpując ze środka derki i skóry; jeden swoim zapale myśliwskim wdrapał się tak wysoko w głąb pnia, że nie mógł się już wydostać. Jego żalosne skamlenie dobywało się z wydętych ust anioła w postaci przeraźliwych dźwięków. Mongołowie, zarówno moi, jak i pana Sempada,

wymienili znaczące spojrzenia. Żaden nie miał odwagi czołgać się za psem i wyciągnąć go za ogon, gdyż mężczyźni, którzy trzymali w pozycji ukośnej srebrne drzewo, nie chcieli podpierać go dłużej i krzyczeli, że je puszcza, jeśli inni natychmiast nie pociągną za sznury i nie postawią go z powrotem pionowo. Sempad wydał więc rozkaz, by wyprostować drzewo i zostawić psa swojemu losowi. Wskazując stertę derek i skór, którą podniecone psy nadal obwąchiwały i szarpały, konetabl z groźną miną zbliżył się do mnie.

— Czy wobec tych śmierdzących dowodów zamierzacie nadal zaprzeczać, że ukrywaliście tutaj poszukiwanych?

— Tylko nie twierdźcie — odparłem śmiało — że drzewo napitków wielkiego chana brzydko pachnie. Powinniście wiedzieć, że w tej jaskini zawsze przebywał jeden ze sług władcy, co było na dworze tajemnicą poliszynela. Wygrywał on na trąbce anioła rozkazy najwyższego podczaszego ku uciesze chagana i jego gości. Oto wyjaśnienie.

— W takim razie dlaczego psy ujadają? Poczwały zapach, ale nie trębacza, tylko pary królewskiej. Poza tym widziałem oboje na własne oczy rozmawiałem z nimi! Chcecie mi wmówić, że nie mogę już dowierzać własnym zmysłom? Ostrzegam, nawet jeśli znajdujecie się pod ochroną wielkiego chana, ta zniewaga będzie was kosztować...

Wyciągnął miecz, lecz wówczas wskoczył między nas jeden z towarzyszących mu rycerzy. Poznałem go od razu, był to Oliwer z Termes. — Wstrzymajcie się, konetablu!

— zawołał. — William z Roebruku jest nieśmiertelny jako największy oszust tego stulecia! — Uśmiechnął się przy tym do mnie i odsunął mnie poza zasięg żelaza. — Tak po prostu go przebić byłoby zbyt małą karą za wszystko zło, jakie wyrządził. Proponuję, żebyśmy wypyтали jego ludzi. Oni zadadzą kłam jego słowom, a wtenczas zgotujemy mu koniec, na jaki zasłużył i który spodoba się też wielkiemu chanowi. — Przywołał tłumacza i zwrócił się do moich woźniców i poganiaczy wołów: — Wy wszyscy, którzy

siedzieliście tu na koźle, widzieliście przecież dziewczynę Jeżę i chłopca Rosza? Tłumacz przełożył, a moi Mongołowie odegrali swoją rolę ze zręcznością zgranej trupy komediantów. —O czym ty mówisz? Co ci przyszło do głowy? Czy teraz na dodatek postradałeś rozum? — odpowiedzieli z oburzeniem i najgłupszym wyrazem twarzy, jaki można sobie wyobrazić.—Myśmy tu siedzieli, a nie jakaś dziewczyna! I jęli potrząsać pięściami. Jednocześnie stanęli obok moich przyprowadzeni przez Sempada Mongołowie, tak iż konetabl zobaczył nagle przed sobą przeciwnika, znacznie górującego liczebnie nad nim i jego rycerzami. Pewnie Sempad wygrałby jednak tę potyczkę, lecz nie mógł się dopuścić zbrojnej napaści na gospodarzy. Tupnął nogą.— Nie podejrzewam żadnego z Mongołów o zuchwałe kłamstwo— wysapał — ale z Williama z Roebroku wytrzepię prawdę, zanim własnoręcznie położę kres jego nieśmiertelności! To rzekłszy, wyrwał się Oliwerowi i znowu chciał natrzeć na mnie. Wtedy zebrałem się na odwagę i skoczyłem z wozu w sam środek grupy moich Mongołów. Ci złapali mnie, dzięki czemu nie zwichnąłem sobie swych niezgrabnych członków, a w dodatku mnie zasłonili. Psy zaś, jakby zrozumiały, na kogo mają szczekać, obnażyły kły, zwracając się przeciwko konetablowi.

—
Jestem gościem wielkiego chana! — ryknął Sempad w strachu i cofnął się na skraj wozu. Przyprowadzono mu konia, on zaś bardziej wczołgał się na siodło, niż w nim usiadł. Natychmiast zapragnął usunąć się z pola swojej klęski, nawet za cenę rezygnacji z niewiernej mu mongolskiej centurii. Teraz jednak Oliwer zwrócił się do mnie.

—
Znów okazaliście się godni swojej reputacji, jeśli w waszym wypadku,

Williamie, można mówić o godności! — Mongołowie otoczyli mnie ciasnym kręgiem, tłumacz przełożył, a ja otrzymałem gromkie brawa. — Kiedy spotkałem was po raz pierwszy w Marsylii przed dziesięciu laty, dzieci Graala były przy was, ale ich nie zobaczyłem. W Konstantynopolu i na Cyprze również byliście przy nich, lecz nie udało się ich schwytać, jednakże przysięgam wam... Dalej nie doszedł, gdyż Mongołowie znów wzniesli wiwaty na moją cześć. Postawili mnie na koźle, a ja zawołałem: — Ale mimo tych wszystkich doświadczeń, panie Oliwerze, nie staliście się mądrzejsi od pana Sempada, który mnie jeszcze nie zna. Spróbujcie jednak jakoś mu przekazać, że William z Roebruku i para królewska nie są wprawdzie jednym i tym samym, wszelako mają się do siebie jak klucz i dziurka od klucza... — A ponieważ zaklinowany w drzewie pies jeszcze raz zaskamlał przeraźliwie, dodałem: — Są dobre i złe demony, silniejsze od wszystkich ludzi, to pod ich opieką znajduje się para królewska! Nie próbujcie już targnąć się na Rosza i Jeżę! Znowu zahuczały oklaski, po czym smagnąłem batem woły. Ściskając się i poklepując po plecach, Mongołowie Sempada pożegnali się z moimi i ciągnąc za sobą posokowce, poczłapali parami za armeńskimi rycerzami. Nie tylko odniosłem zwycięstwo, lecz również tchnąłem w jego podwładnych strach przed adami tak, jak się przenosi na innych zarazę. Nigdy nie użyczą swego ramienia konetablowi, gdyby kiedykolwiek udało mu się dogonić Creana i moich małych królów. Niech Bóg ich błogosławi!

L; S.

Raport służb tajnych, 15 września 1254

Tego, co nie udało się Sempadowi, dokonały natychmiast Wasze służby tajne, dostojny Bułgaju. Podjęliśmy trop Creana i pary królewskiej i podążamy za nimi zgodnie

z instrukcją „w odstępnie strzały dosięgającej bąka”, ptaka, który nie fruwa wprawdzie tak szybko i daleko, ale w locie wydaje obrzydliwy gwizd. Jak słusznie przypuszczaliście,

troje jeźdźców skierowało się na południe, toteż podróżują pewnie do Alamutu. Zgodnie z Waszym rozkazem nie zatrzymujemy ich, gotowi w każdej chwili wkroczyć, gdyby ktoś stanął im na drodze.

Pozwalamy sobie jeszcze zwrócić uwagę, że w orszaku konetabla Armenii znajduje się francuski rycerz, który wie bardzo dużo, jeśli nie wszystko o parze królewskiej, jej pochodzeniu i przeznaczeniu. Ten pan zwie się Oliwer z Termes, winniście przyjąć go jak dobrego przyjaciela i spróbować wreszcie wydobyć z niego całą wiedzę o „dzieciach Graala”, jak je nazywa, jakiej jeszcze nie posiadamy. A to bardzo dużo. Pan Oliwer zna i zresztą ogromnie ceni również Williama z Roebru. Nazywa go niezrównanym oszustem. To również moglibyście zbadać. Prosimy o przekazanie naszych najuniżeńszych ukłonów potężnemu chanowi.

L. S.

Sempad, dobrowolny oprawca, bynajmniej nie zamierzał rezygnować z łowów ani na królewskie dzieci, ani na sarenkę Szirat, która przywróciła mu szczęście myśliwskie po tym, jak pogrzebał już wszelką nadzieję. Musi upolować Szirat, zanim ta połączy się z Hamonem! Wspaniałym tryumfem widziało mu się, gdyby mógł dosięść niewiasty na oczach tego młodego hrabiego, ale Mongołowie uważali go za jednego ze swoich książąt i baczyli, żeby mu się nic nie stało.

O Mongołów lepiej było konetabla nie pytać. Dopiero gdy już pokonali szmat drogi, zauważył, że jedna połowa przydzielonej mu w charakterze wzmocnienia centurii była ślepa, a druga kulawa. Mongołowie prowadzili jednak psy, a tak czy owak było za późno, żeby ich wymienić na innych. Sempad był przekonany, że gdyby jechali szybciej, przyłapałiby jeszcze *in flagranti* Williama razem z parą królewską. Ostatecznie on nie miał nic do Rosza i Jezy poza tym, że zaofiarował się sprowadzić ich z powrotem przed oblicze wielkiego chana.

Ale koniec końców to Mongołowie pokrzyżowali mu szyki, zresztą nie inaczej zachowaliby się pewnie też, gdyby zastał jeszcze przy Williamie tę zuchwałą parkę królewską! Sempad był spragniony krwi i łupów. Galopował ze swoimi panami przez suchy step, a i o Mongołach nie można było powiedzieć, że nie wytrzymują tempa. Zziajana sfera posokowców na długich smyczach biegła tuż za nimi. Dzikie towarzystwo myśliwskie minęło już nędzną jurtę przy skraju drogi, gdy pan Oliwer zawołał:

— Stać! — I powściągnął swego wierzchowca.

— Widziałem człowieka w szatach hrabiego Hamona! Grupa jeźdźców zatrzymała się i powoli zawróciła. Otoczono chatę, z której wyszli Orda i Umar. Na widok młodej kobiety posokowce Aryka Bóge zaczęły szczekać, gdyż miała przecież na sobie szaty Szirat. Psy tak się rozjuszyły, że przewodnicy ledwie mogli je utrzymać.

— Skąd masz tę suknię? — zapytał Ordę ostrym tonem konetabl.

— Dostałem ją w prezencie, dostojny panie — rzekł uniesienie Umar i wepchnął Ordę z powrotem do jurty.

— Ukradłeś ją! — zawołał Oliwer z Termes, który nie chciał ponownie wejść w paradę konetablowi. — A może zabiliście hrabiego, żeby go obrabować? Widzę jego konie i całe jego mienie! Umar zbladł jak ściana.

— Przysięgam wam, dostojny panie, hrabia Otranto i jego miła żona zostawili nam to wszystko dobrowolnie... — Padł na kolana, gdy zobaczył, że Sempad ze złośliwym uśmiechem kazał sobie podać pochodnię. Tłumacz przełożył polecenie, także połowa Mongołów napięła cięciwy łuków. — Nie zrobiliśmy nic złego! — zawołał z rozpaczą w głosie Umar, a z drzwi jurty Orda krzyknęła do Mongołów:

— Chung tajdzi tak chciał! W tym momencie pofrunęła pierwsza strzała i ugodziła ją w

ramię.

— Stójcie!—ryknął Sempad, powstrzymując swą mongolską eskortę. Mongołowie opuścili łuki. Umar wykorzystał tę zwłokę i tyłem, zasłaniając swoją kobietę, błyskawicznie wycofał się do środka, po czym zatrzaskał drzwi za sobą. Konetabl ze śmiechem rzucił pochodnię na dach jurty. Domostwo natychmiast stanęło w płomieniach, paliło się jak hubka. Uzbrojony w siekiere Umar wyskoczył przez płonąca boczną ścianę i z dzikim rykiem rzucił się na Sempada. Ale zanim uniesiona do ciosu broń zdążyła opaść, przeszył go tuzin strzał. Runął na wznak w huczący ogień, a kłęby dymu spowiły teraz również napastników. Mimo to Oliwer z Termes wypatrzył uciekającą Orde. Konetabl zaśmiał się gardłowo i dał Mongołom znak, by spuścili ze smyczy posokowce. Te popędziły dzikimi susami za uciekającą i już pierwsze zwierzęta powaliły ją na ziemię. Wznoszące się dymy litościwie zasłoniły dalszy ciąg okrutnego widowiska. Sempad dał sforze czas na dokończenie dzieła, zanim już w dobrym humorze, kazał jechać dalej.

Z Kroniki Williama z Roebruku

Obóz Batu-chana, w uroczystość św. Łukasza* A. D. 1254

W końcu dotarłem do obozu Batu. Stary chan Kipczaku wezwał mnie do swego namiotu natychmiast po przybyciu i kazał mi pokazać listy uwierzytelniające Móngkego. Następnie jam przydzielił mi jurte, gdzie miałem się wyspać. Nie dostałem nic do jedzenia, ale z wyczerpania od razu zasnąłem. Nazajutrz rano obudził mnie Filip, mój wierny sługa. Zakomunikował mi, że wszyscy nasi poganiacze wołów i woźnice zostali odesłani do wielkiego chana, wraz z zaprzęgiem dwudziestu czterech wołów.

Przeczuwałem coś złego, więc pobiegłem do jama i poprosiłem o natychmiastową audiencję u Batu-chana. Jam zrugął mnie, przypominając, że zostałem przyjęty nie

dalej jak wczoraj i mam się uzbroić w cierpliwość.

— A woły? — zapytałem. — Jak teraz wóz ma być ciągnięty?

— Sądysz, że my nie mamy wołów? — odpowiedział. — Te należą do wielkiego chana, więc zwróciliśmy mu zwierzęta, jak się należy. Uznałem, że lepiej będzie nie wspominać o drzewie napitków, i udałem się z powrotem do swojej jurty. Tam zastałem prawie wszystkich kapłanów Batu-chana, których miałem w pamięci jako złodziejską hołotę jeszcze z poprzedniego pobytu. Teraz otworzyli moje kufry i rozłożyli na ziemi wszystkie biskupie szaty. Huknąłem na nich, że chyba im się w głowach poprzewracało, jak śmieli naruszyć moją własność. Wtedy posunęli się do jawnej podłości i wyprosilili mnie z jurty. Podobno jam im powiedział, że chcę im podarować owe szaty. Zresztą już ich nie potrzebuję, bo jestem wszak w drodze powrotnej. Oni natomiast tu zostają, aby głosić słowo Boże tak, jak go nauczał Chrystus i jak przekazał im Nestoriusz. Zdjąłem więc także szatę podróżną, rzuciłem im pod nogi i przywdziałem stary franciszkański habit, który Filip znalazł na samym dnie w jednej ze skrzyń. Wróciłem do jama i powiedziałem:

— Przekażcie Batu-chanowi, że jeszcze dziś zamierzam jechać dalej. Jam odesłał nas z powrotem do naszej jurty — i czekaliśmy cały miesiąc na pozwolenie opuszczenia obozu. Spożytkowałem ten czas, żeby napisać dalszy ciąg oczekiwanego już z pewnością od dawna raportu dla króla Ludwika. W natchnieniu nurzałem się znowu w świecie Mongołów takim, jakim go sobie ludzie wyobrażają, grubiańskim i złośliwym. Srebrne drzewo napitków stało przez cały czas na wielkim wozie pośrodku obozu, co przynajmniej trochę mnie uspokajało. Ale pewnego dnia, właśnie dzisiaj, przybiegł Filip i zawołał:

— Wyładowują drzewo napitków!

Wyskoczyłem z jurty i rzeczywiście, włożyli pod spód belki i właśnie podnosili

drzewo, żeby zsunąć je z wozu. Kiedy jeszcze, zupełnie skonsternowany, przyglądałem się temu, podszedł jam i oznajmił mi, że Batu-chan życzy sobie natychmiast mnie widzieć. Podążyłem za nim i zastałem starego władcę w humorze bardzo niełaskawym.

— Dałem ci miesiąc, Williamie z Roebruku, żebyś zaproponował mi uniżenie srebrne drzewo napitków jako dar gościa. Okazało się, że nie jesteś zdolny do takowej grzeczności. Ponieważ wielki chan w liście do mnie nie wspomina o tym prezencie, zakładam, że zapomniałeś przekazać mi jego słowa. Nie jestem wprawdzie szczęśliwy z powodu twego zachowania, ale Móngke-chanowi nie będę miał tego za złe. Przyjmuję jego dar i jednocześnie proszę cię, abyś jeszcze dziś opuścił mój obóz po tym, jak przez miesiąc korzystałeś z naszej gościnności. Odejdź teraz, zanim się rozgniewam.

To było po prostu wyrzucenie. Wystrzegałem się jakichkolwiek protestów. Dano mi na drogę przewodnika i dziesięciu wojowników, którzy mieli mnie odprowadzić do granicy armeńskiej. Niezbyt mnie jednak pociąga podróż przez kraj Sempada.

Wolałbym, żeby moja eskorta opuściła mnie wcześniej, zwłaszcza że nie mogą się spodziewać ode mnie podarunków. Nie mam już nic oprócz obwiązanego powrozem habitu z grubego sukna na grzbiecie i pary wydeptanych sandałów. Mimo to nie tracę nadziei, że z Bożą pomocą dotrę żywy do Konstantynopola. Nucilem pod nosem „Vexilla regis prodeunt”. W jakimś sensie czułem się wyzwolony.

L. S.

Raport służb tajnych, 23 października 1254

Hrabia Hamo i jego małżonka wraz z dzieckiem Ordy, Amal, jechali pod opieką Kitona i jego doborowej centurii. Ponieważ księżniczka nie może karmić, wystaraliśmy się po drodze o mamkę, która nam odtąd towarzyszy. Tak jak można się było spodziewać, pewnego dnia pojawiła się w oddali banda oprawców armeńskiego

konetabla i jego rycerze. Pan Sempad wydaje się traktować pozwolenie chagana na poszukiwania pary królewskiej jako glejt uprawniający do polowania na wszystko, co dostanie mu się pod kopyta. Zadbaliśmy już o to, żeby w przyszłości nie mogły się powtórzyć takie niemiłe zdarzenia jak zamordowanie pary banitów, ponieważ od tej pory centuria przewodników psów nie dopuści do tego, żeby pan Sempad stosował w naszym kraju swoją jurysdykcję, takie prawo przysługuje wyłącznie Wam, dostojny Bułgaju. Ogromnie ubolewamy, że nie mogliśmy interweniować w porę w wypadku Ordy i towarzyszącego jej banity. Mordercza żądza, która zapłonęła w krwi konetabla, zbyt zaskoczyła naszych ludzi, którzy zresztą naprawdę sądzili, że banita targnął się na życie chung tajdziego. Skąd mieli wiedzieć, jak było naprawdę? Możemy sobie tylko powinszować, że mała Amal spoczywa bezpiecznie w ramionach księżniczki, która dba o nią jak o rodzoną córkę. O tym, że została tymczasem sierotą, wie jedynie Kito. Nie powinien wszakże wzbudzać w parze hrabiowskiej strachu ani przerażenia, opowiadając o okrutnej śmierci rodziców dziecka.

Kiedy sfera konetabla dogoniła kolumnę naszego pana Kitona, zaniechała ataku na nią. Wbrew głosowi Sempada, który nie chciał zrezygnować z „Szirat, swojej sarenki”, postanowiono przechwycić Rosza i Jeżę, zanim dotrą do terenów opanowanych przez asasynów z Alamutu. Dzięki temu konetabl będzie mógł przynajmniej zachować twarz wobec wielkiego chana. Sempad zgodził się, zgrzytając zębami.

Wtedy Kito wezwał do siebie i wziął pod swoje rozkazy połowę mongolskiej eskorty Sempada wraz z psami. Konetabl nie posiadał się ze złości z powodu tej „dezercji”, jak to nazywał, ale Kito nie wdawał się w żadne dyskusje. Pan Sempad zrozumiał, że znajduje się na beznadziejnej, przegranej pozycji i wściekły zawrócił. Możliwe, że najchętniej pozbyłby się też owej drugiej połowy, która była mu tylko zawadą, Kito jednak nie wyświadczył mu tej przysługi. Ledwie Armeńczycy znaleźli się poza

zasięgiem wzroku, wszelako pozostawali przez cały czas pod naszą obserwacją, Kito pożegnał się z hrabią Hamonem i jego małżonką. Oddał im do dyspozycji połowę swojej centurii jako ochronę podczas dalszej podróży na tak długo, jak długo małżonkowie będą sobie życzyć. Pan Kito poradził Hamonowi L'Estrange jechać w kierunku zachodnim, żeby nie trafił niechcący na terytorium armeńskie. Hamo uspokoił go, zapewniając, że on już znajdzie drogę do Morza Czarnego i do Konstantynopola. Z pozostałą przy nim połową własnego oddziału oraz połową centurii przewodników psów Kito deptał po piętach Armeńczykom. Mógł zachowywać wystarczający dystans, ponieważ psy potrafią wyczuć woń przedstawicieli swojego gatunku jeszcze po wielu godzinach. Dlatego zresztą biegły na długiej smyczy.

Pragnąc zagwarantować bezpieczeństwo parze królewskiej, przekazemy jednak Creanowi ostrzeżenie. Nigdy dotąd, wielce szanowny Bułgaju, nie wymagano od Waszych tajnych służb takiego poświęcenia. Możemy Was zapewnić, że jesteśmy dumni, iż służymy państwu w ten sposób. Prosimy uniżenie, byście przekazali to łaskawie wielkiemu chanowi.

L.S.

Dwóch rycerzy, starszy i młodszy, przebijało się konno przez skaliste góry położone na północ od Morza Kaspijskiego. Towarzyszył im szczupły giermek — takie wrażenie sprawiała Jeza z daleka, ponieważ jak zawsze przywiązywała wagę do tego, by w miarę możliwości nie zachowywać się po damsku. Na żądanie Rosza, który zagroził, że w przeciwnym razie nie zrobi ani kroku dalej, Crean odkupił broń od wędrującej do Samarkandy karawany. Dla Rosza nabył lekki miecz. Jeza uparła się, że musi mieć łuk i strzały, a Rosz zażądał jeszcze tarczy. Do tego napierśnik dla każdego. Na koniec również sam Crean zaopatrzył się w broń: dobrą klingę damasceńską, włócznię i pęk

dziurytów.

— Czuję się jak żuk—bronił się, kiedy Rosz i Jeza obstawali przy tym, że muszą go zobaczyć całego zakutego w żelazo, od kolczugi po nagolenniki.

— Od lat nie nosiłem na sobie tyle blachy!

— Czasy fałszywego kapłana monseigneuru Gosseta skończyły się tak samo jak i poczciwego kupca z Bejrutu — stwierdziła stanowczo Jeza. Teraz staniesz się na powrót asasynem!

— Do tego potrzebuję tylko sztyletu — zażartował Crean — i koszuli, żebym mógł się poruszać lekko i szybko.

— Moja *damma* pomyliła się — przypomniał sobie Rosz. — Crean z Bourivanu wraca do swoich korzeni. Znow będzie rycerzem Graala! Słowa te skłoniły Creana do zadumy. —

Nigdy nim nie byłem — odrzekł cicho. — Ale może było to zawsze moim przeznaczeniem.

Zapłacili majątek za ten rynsztunek, ale Crean dostał od Hamona dużą część najwidoczniej niewyczerpanych zasobów biskupiego skarbcza, a kielichy mszalne, krzyże ołtarzowe i złote świeczniki były na Dalekim Wschodzie pożądanym towarem wymiennym, wyżej cenionym niż broń, której Mongołowie nie tylko posiadali pod dostatkiem, lecz również mieli o niej własne wyobrażenia. Takie dziwolągi jak połączone żelazne misy, w które wciskał się Crean, wieszali sobie co najwyżej na słupkach przed jurta jako trofea. W końcu dobito więc targu i obie strony rozstały się zadowolone.

Rosz i Jeza byli szczęśliwi nie tyle z własnych zdobyczy, ile z widoku, jaki przedstawiał Crean: fedain z wiecznie kwaśną miną przedzierzgnął się w rycerza Okrągłego Stołu króla Artura.

— Szlachetny Crean z Bourivanu — pokpiwał Rosz — wyrusza w drogę powrotną do kraju przodków wraz z Trencavelem z Haut Segur oraz księżniczką Jezabel z Mont y Sion...

— Szkoda, że twój ojciec, nasz poczciwy stary Jan Turnbull, nie może cię już zobaczyć w tym rynsztunku — dołączyła się Jeza. — Na pewno by się ucieszył! Crean odwrócił się do niej.

—
Ale my nie jedziemy do Okcytanii — odpowiedział gorzkim tonem — tylko do Alamutu!

— Ani myślę! — zawołał z oburzeniem Rosz. Także Jeza powstrzymała konia.

— Nigdy, Creanie! Wybij to sobie z głowy! Nawet dziesięć koni... Przerwała, ponieważ Crean obrócił się raz jeszcze i omijając ją

wzrokiem, wpatrywał się w horyzont. —

Setka — mruknął — a co najmniej sześćdziesiąt, siedemdziesiąt!

Jesteśmy ścigani! Wtedy również Rosz i Jeza ujrzeli rosnącą groźnie chmurę kurzu i błyski stali. Dał się słyszeć tętent kopyt.

— Wjedziemy w najbliższą boczną dolinę! — zawołał Crean. — Rosz przodem, potem ty, Jezo. Ja obejmuję straż tylną!

— Ale ja chcę... — upierał się Rosz, jednakże spojrzenie Creana zmusiło go do posłuszeństwa. Ruszył galopem, Jeza trzymała się tuż za nim.

—
Ty też nie odgrywaj bohatera! — krzyknęła do Creana. — Jedź za mną, żebym wiedziała, kogo mam za plecami! Crean dał koniowi ostrogę. Był pewien, że

ściągający ich widzieli. Żeby zdołali uciec i nie zostali odkryci, Rosz musiał znaleźć takie wąwozy, które spływająca z gór, rwąca woda wyłobiała na wiosnę, a teraz, w październiku, trudno je było wypatrzeć, bo były wyschnięte.

Troje jeźdźców pędziło w górę doliny rzecznej. Widziały to także z daleka inne oczy. Kiedy Rosz i Jeza nagle ruszyli pędem z miejsca, a Crean ledwie mógł nadażyć, obserwatorzy uznali to w pierwszej chwili za figiel, jaki para królewska płata swemu spokojnemu opiekunowi. Potem jednak również oni zauważyli ciasno stłoczoną kawalkadę prześladowców, która rozciągnęła się w trakcie polowania na tę zwierzynę. Dla znajdującego się wyżej Kitona troje jeźdźców zniknęło nagle, pewnie przebili się przez skały.

— Mam nadzieję, że ten jar ma drugie wyjście!—mruknął zatroskany i rozkazał swoim ludziom schodzenie. Nie pozostało mu nic innego, jak zdać się na oddział ślepych i kulawych wraz z połową sfory posokowców; tej zbieraninie polecił obserwować Sempada. Kito obawiał się jednak, że taki oddział zdaje się jedynie na psi wędch i nieszczególnie depcze Armeńczykom po piętach, gdyż nie mógł go wypatrzeć. Zarządził zbiórkę swojej centurii, która składała się z wyśmienitych wojowników wyćwiczonych w walce wręcz.

— Nie wiemy, dokąd pojechali Rosz i Jeza — powiedział. — Jeśli wspinają się doliną po naszej stronie, to jeszcze możemy im pomóc. W przeciwnym razie przybędziemy za późno. Dwudziestu ludzi zostaje przy mnie, wszyscy inni rozjeżdżają się na własną rękę w każdy wąwóz po lewej i po prawej stronie co najmniej dwa razy po dziesięciu! Ruszajcie! Wprawa, jakiej Rosz nabył w oddziale Kitona, okazała się przydatna.

Wąskiego przesmyku w skale niewyćwiczone oko pewnie by nie dostrzegło. Musieli jednak zsiąść z koni i przeprowadzić je obok wielkich odłamów skalnych, które górski strumień wyrwał ze ściany. Za tym ciasnym przejściem mogli już dosiąść wierzchowców

i jechać dalej wznoszącym się stromo łożyskiem pełnym luźnych kamieni. Crean dołączył do Rosza i Jezy. Jeza wspinała się rączo na przedzie i pierwsza zobaczyła, jak prześladowcy wysypują się ze szczeliny skalnej. Przeklęte psy! Zziajane szarpały się na smyczach.

— Schowajcie się! — zawołała Jeza. — Jeszcze nas nie odkryli. Ale gdy chwyciwszy wierzchowce za uzdy, prowadzili je pod górę po ukształtowanych przez przyrodę stopniach, nadleciały już pierwsze strzały. Koń Rosza został trafiony w szyję.

Młodzieniec nie mógł go utrzymać i zwierzę runęło w dół między kamienie. —

Trzymajcie tarcze nad głową! — krzyknął Crean. — Musimy

zostawić konie! Jego wierzchowiec nie chciał ominąć przeszkody w postaci zdychającego przedstawiciela swego gatunku, toteż Crean wyciągnął sztylet.

- Nie zabijaj! -- ryknęła z góry Jeza. — Żywy koń prędzej ich powstrzyma niż martwy!

Crean uśmiechnął się. Księżniczka zawsze zachowywała przytomność umysłu.

Popędził zwierzę w kierunku prześladowców i przeszedł nad drugim, które w dalszym

ciągu wierzało dziko. Kusilo go, żeby dobić konia, ale wziął sobie do serca

napomnienie Jezy. Ruszył spieszenie dalej, żeby dołączyć do Rosza. W tym momencie

strzała wbiła się w jego udo, w miejscu gdzie rycerza nie chroni zbroja. Sięgnął ręką do tyłu i ułamał strzałę. Rosz podał mu dłoń i podciągnął go do siebie.

—

Zaraz będziemy na grzbiecie! — zawołał, żeby dodać starszemu otuchy. —

Za grzbietem wzniesienia musi być jakiś strumień, który będzie spadał ku dolinie,

słyszysz? Crean słyszał szum, nie był jednak pewien, czy to nie ból, którego impuls

dotarł do jego głowy. Ale w tejże chwili również Jeza krzyknęła z góry: —

Wodospad! Kolejna strzała z tępym odgłosem wbiła się w tarczę Rosza, którą ten,

jak mu przykazano, trzymał za sobą, osłaniając kark. Młodzieniec schował się za

większym kamieniem i spokojnie obejrzał pocisk.

— Widać nie przywiązują wagi do tego, żeby nas schwytać żywcem — powiedział do Creana. — W takim razie będą musieli drogo zapłacić za naszą śmierć!

— Nie gadaj bzdur! — odparł Crean i popchnął młodzieńca, żeby ruszył dalej. —

Postaraj się dotrzeć jak najszybciej do Jezy i znajdźcie jakiś pień, którego moglibyście się trzymać w wodzie!

-- Nie zostawię cię samego! — zapewnił Rosz. Ale akurat w tym momencie dosięgły

Creana następne strzały. Dwie odbiły się od kolczugi, jednakże trzecia wbiła się między oczka. Ostatkiem sił Crean dowlóknął się do Rosza i dał mu szturchańca.

—Zatroszcz się o swoją *dammę!* — krzyknął na niego opryskliwie. — W przeciwnym razie okaże się, że położyłem głowę nadaremnie! Widział już spadającą wodę. Jeza

usiłowała uwolnić pień zaklinowany między otoczakami. Odłożyła łuk i strzały. Crean obserwował, jak Rosz śpieszy jej na pomoc i wspólnie wyszarpują uwięzioną kłodę.

Wyciągnął szyję, świsnął kolejny pocisk, który drasnął go w ramię. Pod osłoną swojej

tarczy Crean zabrał łuk i strzały Jezy. Wystrzelił je prawie na ślepo, mierząc mniej więcej w miejsce, gdzie upadł koń Rosza. Wściekłe wycie dowiodło mu, że przynajmniej

parę trafiło w cel. Następnie zerknął znowu na dzieci. Udało im się. Kłoda wreszcie drgnęła. Winieniem pośpieszyć im z pomocą, przemknęło Creanowi przez głowę, lecz w

końcu postanowił zatrzymać przeciwnika tak długo, jak to będzie możliwe. Przynajmniej dopóki Rosz i Jeza nie spuszczą pnia na wodę. Wreszcie go uwolnili. Przed Creanem

pojawił się pierwszy napastnicy. Nie zauważyli go, jak leży wśród kamieni, i zaczęli mierzyć z łuków do dzieci, które przypuszczalnie znalazły się już w wodzie. Crean

przestał patrzeć w ich stronę i chwycił pęk dziurów, ramieniem przygarnął je do siebie, wziął jeden do ręki i cisnął nim w strzelca stojącego na przedzie. Trafił go w środek piersi. Zupełnie bez żadnej osłony, wyprostowany jak niedźwiedź, posłał szybko jeden

za drugim następne dziury; sam nie czuł już każdego z osobna pocisków wbijających

się w jego własne ciało, ryczący ból od dawna był wszędzie. Zanim zdołał rzucić czwarty dziryt, nogi się pod nim ugięły i runął na plecy między skały. Ostatnim dźwiękiem, jaki słyszał, było wściekłe wycie. Miał nadzieję, że odnosiło się ono do dzieci, które zdołały uciec — a w następnej chwili stracił przytomność.

Nie widział już, jak Armeńczycy rzucili się do przodu przez rumowisko, wśród którego leżał; wszyscy jednak padali pod gradem strzał, sypiących się z obu stron wąwozu i przygważdżających do ziemi napastników, nawet tych, którzy wobec nieznanego niebezpieczeństwa wycofywali się i próbowali uciekać w dół. Mongołowie Kitona celowali z bezlitosną dokładnością do każdego. W ciągu niewielu chwil jar był zapchany martwymi Armeńczykami. Tych, którzy jeszcze krzyczeli, uciszano strzałą posyланą prosto w szyję. Oszczędzono tylko samego Sempada i jego panów, w tym Oliwera z Termes, którzy nie chcieli uczestniczyć w polowaniu na piechotę i siedząc na koniach, czekali w wyschniętym łożysku strumienia. Rycząc z wściekłości i potykając się, powalany krwią poległych konetabl wynurzył się spomiędzy skał i powrócił do nich.

Obrzucił pogardliwym spojrzeniem połowę centurii mongolskich przewodników psów: oni też nie włączyli się do walki. Stali niczym wroga ściana, a ich psy ziajały na krótkich smyczach. Sempad wskoczył na przyprowadzonego mu konia i bez słowa ruszył z kopyta. Jego panowie podążyli za nim ze spuszczoneymi głowami, tylko Oliwer z Termes uśmiechał się drwiąco. Rosz i Jeza skierowali właśnie pień we właściwą stronę pomimo rwącego prądu wody i zapięli hełmy, kiedy ujrzeli nad sobą swoich prześladowców z bronią gotową do strzału. Ponieważ stali już po pierś w wodzie, schowali się za pniem. Nie nadleciała jednak żadna strzała; to łucznicy zwalili się na ziemię. Rosz i Jeza mieli dla Creana ogromny szacunek, którego tak często mu odmawiali, ale odczuwali również głęboki smutek.

— Chodź! — powiedziała Jeza i rzuciła się na cieńszy koniec pnia, obejmując go

rękoma.

— Crean poległ bohaterską śmiercią rycerza! — ryknął Rosz z płaczem, starając się naśladować starego przyjaciela.

— Chodź! — powtórzyła Jeza.

Rosz z całą wściekłością i rozpaczą, jakie go przepełniały, uderzył swoim scimitarem w pień z taką siłą, że klinga wbiła się w twarde drewno. Popchnął kłodę na środek nurtu i uchwycił się kikuta gałęzi. Pień obrócił się jeszcze raz dookoła własnej osi, jakby chciał ich zrzucić, po czym pomknął w dół, przesywając grubym końcem spienione fale. A wkrótce potem tańcząca na falach kłoda i wynurzające się obok niej co jakiś czas na chwilę dwie głowy stały się zupełnie niewidoczne. Biednie odziane małżeństwo z niemowlęciem nie wzbudziło żadnego zainteresowania, a tym bardziej żądy rabunku, gdyby nie szlachetne wierzchowce. Do tej pory nikomu nie rzucali się w oczy, gdyż Hamona i Szirat, wraz z mamką dla małej Amal, otaczało kordonem pół centurii mongolskich wojowników, których Kito wcisnął im w charakterze eskorty. Ledwo jednak dotarli do granicy terytorium mongolskiego, młody hrabia odprawił asystę, choć zastępca Kitona zaklinał go, żeby ją jeszcze zatrzymał. Dla Mongołów Hamo był chung tajdzim, za którego przeszliby przez piekło, nie wspominając o wrogim kraju, gdyż tak właśnie Hamo L'Estrange oceniał pobliską Armenię. On nie słuchał jednak dobrych rad dowódcy, nie zwrócił też uwagi na podany przez niego opis drogi. Mongołowie odjechali więc szczerze zatroskani.

Hamo skierował się na południe, podążając drogą, która powinna ich poprowadzić od wybrzeża na zachodzie w głąb królestwa Hetuma, tam gdzie wznosiły się góry. Mamka słabo jeździła konno, twierdziła też, że od tego kołysania kwaśniej jej mleko, w każdym razie posuwali się bardzo wolno. I już po krótkim czasie zauważyli za sobą szybko zbliżającą się chmurę kurzu.

Szirat wydała okrzyk sugerując, że powinni ukryć się w zaroślach z boku drogi, ale

Hamo okazał się uparty. —

Jesteśmy na terytorium cesarza Trapezuntu — próbował

uspokoić żonę. — A poza tym nie jest to wrogo nastawiona zbrojna wataha, tylko spokojna karawana!

Szirat, która podczas jazdy trzymała Amal, obejrzała się za siebie i pobladła. —

Handlarze niewolników! — wydyszała. — Klatki... Rzeczywiście, między wielbłędami widać było zakratowane pomieszczenia, w których czepiały się prętów jakieś dziewczęta.

— Nie musisz już obawiać się tego losu! — Hamo wyśmiał swoją żonkę, lecz Szirat wpatrywała się w karawanę blada jak ściana, niezdolna się nawet poruszyć.

— Przybywają po mnie! — wyszeptała strwożona. — To ci sami ludzie! Prędzej się zabiję...

— Ach, daj już pokój! — rzekł Hamo, lecz potem jego wzrok padł na ciemną roślą postać o kanciastym brodatym podbródku: to mógł być tylko Abu al-Hafs! — Nie bój się, Szirat — zawołał do drżącej żony, która gwałtownym gestem wcisnęła mamce małą Amal i nagle wyciągnęła sztylet z fałdów szaty. — Nie zrób jakiegoś głupstwa! — ryknął Hamo, lecz natychmiast zauważył, że nie zwróciła broni przeciwko sobie, tylko ukryła ją za plecami. — Abu al-Hafs jest naszym przyjacielem! — zawołał na powitanie handlarza i groźnie dobył miecza, żeby ów się zatrzymał.

Abu nigdy dotąd nie spotkał się z Hamonem i tylko widząc go obok Szirat, którą rozpoznał, domyślił się, z kim ma do czynienia.

—

Do waszych usług, hrabio Hamonie — pozdrowił go uprzejmie — niczym *ruh*

*min al-kannina** Rozkażcie, a spełnię każde wasze życzenie, ale powiedzcie swojej żonie Szirat, żeby schowała sztylet!

Zaśmiał się z pewnym przymusem, ostatecznie nie był przyzwyczajony do tego rodzaju spotkań, kiedy dawna niewolnica okazuje się hrabiną. —

Nie ufaj mu! —

syknęła Szirat do Hamona, wystarczająco głośno, więc Abu mógł to usłyszeć.

Ten zsiadł z wierzchowca i zdjął pas z bronią, zanim z otwartymi ramionami podszedł do Hamona i Szirat.

— Nasz wspólny przyjaciel, penikrat z Konstantynopola, jest świadkiem, że przysięgam wam pomóc, gdyż ponoszę część winy za to, żeście zostali rozdzieleni.

— Gdzie moje dziecko? — krzyknęła Szirat. Jej głos zabrzmiał nienaturalnie piskliwie, a sztylet w ręku za plecami zaczął dygotać.

— Żyje i miewa się dobrze w Antiochii na dworze księcia! Wtedy sztylet wyslizgnął się z ręki Szirat. Ukryła twarz w dłoniach

i omdlała zsunęła się z konia. Brodaty Abu al-Hafs zdążył ją złapać w samą porę. Kiedy młoda kobieta odzyskała przytomność w objęciach Hamona, uśmiechnęła się do Abu al-Hafsa.

— Przysięgnijcie! — wyszeptała ledwie słyszalnym głosem, na co ten odrzekł:

— Tak brzmi wiadomość, panie hrabio, jaką otrzymałem od waszego kapitana, penikrata. Triera czeka w Antiochii na wasze rozkazy! Hamo wyprostował się.

—

Dotrzymaliście słowa, Abu al-Hafsie. Ufam wam. Przywołajcie mój statek!

Tym razem brodaty Abu al-Hafs zaśmiał się nie tyle speszony, ile rozbawiony.

— Jestem wprawdzie potężnym czarownikiem, ale do tego potrzebuję lustra.

— No tak, a gdzie jest najbliższe? — naciskał Hamo.

— Raczej nie tutaj, w Armenii! — odparł handlarz niewolników. — Musimy jak najszybciej wrócić na wybrzeże. Tam przy granicy stoi stara wieża strażnicza.

* Septem Dolorum B. M. V. — uroczystość Matki Boskiej Bolesnej, dosł.:

Najświętszej Marii Panny od Siedmiu Boleści; 15 września.

* U r o c z y s t o ś ć św. Łukasza — 18 października.

* Ruh min al-kannina (arab.) — duch z butelki.

VII . DZIKIE WODY

Rosz i Jeza zbyt byli zajęci tym, żeby nie stracić swojego pnia, podskakującego po falach, toteż nie mogli sobie przekazywać nic więcej oprócz krótkich ostrzegawczych okrzyków, kiedy znosiło jedno z nich na wystającą z koryta rzeki skałę albo wiry bądź progi wodne groziły wciągnięciem ich w zimną toń. Często pień z kikutami gałęzi obracał się tak szybko, że musieli go wypuścić, żeby nie wchłonęła ich głębina, a potem znowu pędził jak strzała. Bez dających ochronę, mocno już pogiętych hełmów dawno mieliby głowy porozbijane od uderzeń, które musiały przyjąć ich ciała. Oboje byli posiniaczeni, Roszowi ciekła krew z nosa, a Jeza miała poobdzierane ręce i nogi.

Wtem kłoda uderzyła z takim hukiem i mocą o dwa kamienne słupy, że prawie stracili przytomność. Bulgocząc i rozpryskując pianę, górską rzeką pokonała i ten przesmyk.

Rosz i Jeza ze wszystkich sił bronili się przed wciśnięciem pod pień i szukali osłony za słupami kamiennej bramy. — Wodospad! — krzyknął Rosz, który wystawił głowę ponad kłodę. — Nie wiem, jak tu głęboko!

— Podejdź bliżej i sprawdź! — odkrzyknęła Jeza przez bryzgi piany. — Ja przytrzymam kłodę!

Odrobinę przeceniła swoje siły, ale woda przyciskała pień do skał tak mocno, że ten uniósł w górę Rosza, któremu udało się podciągnąć na rękach na szczyt gładkiego kamienia. Stamtąd spojrzął w dół na ciemnoniebieską gładką taflę jeziora bez wystających z wody skał. Skok wydawał mu się ryzykowny, ale nie niebezpieczny dla życia. Rosz wycofał się na kłodę.

— Skoczę pierwszy! — zawołał, jak na rycerza przystało, do swojej *datnmy*, lecz Jeza, która wspięła się już na pień, nie chciała dopuścić do tego.

-- Zjedziemy razem! — krzyknęła i chwyciła go za rękę. I równocześnie rzucili się w

potężny strumień, który wystrzelał przez skalną bramę i zniknął gdzieś w głębi. Trysnęła

w górę piana, pęd powietrza obrócił ich i rozdzielił, a w chwilę później ogłuszeni hukami wylądowali z głośnym plaśnięciem w zbiorniku, w którym piętrzyła się woda.

—
No to jeszcze raz udało nam się wykaraskać — wysapała Jeza, gdy ujrzała

wynurzający się obok niej hełm Rosza. Rosz parsknął jak żrebak i roześmiał się.

— Wyrzuciło nas do przodu dlatego, że daliśmy się porwać głównemu nurtowi!

— Słusznie, mój bohaterze — przytaknęła Jeza — a ty chciałeś skoczyć jak łosoś! —

W jej oczach zamigotały iskry. — Teraz zbierałabym twoje kosteczki między

kamykami...

— Piękne zajęcie dla owdowiałej eremitki! — W miarę jak ustępowało napięcie,

Roszowi powracała ochota do żartów. Jeza spojrzała na niego karcącym wzrokiem.

Nadal płynęli po jeziorze. Ich mocno bijące serca z wolna się uspokoiły; czuli zmęczenie w członkach i zaczęli marznąć. Ostatkiem sił dopłynęli wpław do brzegu, wczołgali się

na przybrzeżną skarpe pokrytą drobnym gładkim żwirem i legli na niej bez ruchu.

— Teraz już pewnie nie żyje — odezwał się w końcu Rosz, spoglądając w niebo. —

Właściwie to bardzo go jednak lubiłem. Wszak on uratował nas z Montsegur...

— Crean nas ochraniał — dodała cicho Jeza. — A my nigdyśmy go nie zapytali,

dłaczego robił tak wiele dla nas przez te wszystkie lata.

— A teraz też umarł dla nas. — Na tę myśl ogarnęło Rosza wzruszenie. — Czy było

mu to przeznaczone?

Jeza poczuła obok siebie ramię Rosza, odszukała jego dłoń i jego pierścień na niej.

Ona nosiła swój na lewej ręce tylko dlatego, że odczuwała podniecenie, ilekroć jej

magnes odnalazł jego pierścień i przyciągał go do siebie z cichym kliknięciem.

— Najpierw musimy sobie uświadomić własne przeznaczenie — powiedziała

odzyskawszy energię. — Musimy się zdecydować, co zamierzamy robić teraz, sami, już bez tego, który nas ochraniał!

— A co możemy zrobić? — odparł zniechęcony Rosz.

— Pomyśleć! — odrzekła jego towarzyszka. Potem nastąpiła cisza. Jeza bawiła się palcami ręki Rosza, która dzięki pierścieniowi należała do niej. Czuła, jak zacisnął pięść.

— Przeznaczenie nałożył na nas Wielki Plan — odezwał się w końcu, czując ucisk w gardle — jak hełm, jak koronę. Czy my w ogóle jej chcemy?

— Mój Trencavelu, pytanie powinno brzmieć inaczej. Kim my właściwie jesteśmy, że odkąd sięgam pamięcią, zmagaliśmy się z przeznaczeniem i zawsze uciekaliśmy, ścigani przez „opiekunów” i ochraniani przez siepaczy? Kim ty jesteś? I kim ja jestem? Tym razem poczuła palce Rosza, które przywarły do jej palców, a za nimi jego twarde udo.

— Ty jesteś moją siostrą! — rzekł ochryłym głosem. — A ja cię kocham! ,

— Jesteś tego całkowicie pewien, Trencavelu? -- Przecież słyszałaś, jak Crean zawsze opowiadał, a w obliczu śmierci prawda...

— Na temat naszego pochodzenia słyszałam już najbardziej fantastyczne historie — uspokoiła go Jeza. — Może wszystko, co do tej pory spotkało nas w życiu, wzięło się z niepewności. Ale podoba mi się, że jesteś moim bratem, moim rycerzem i kochankiem! Rosz przytrzymał jej dłoń, udaremniając dalsze jej wycieczki po jego udzie.

— Esklarmunda dała życie dwojgu dzieciom. Pierwsze przywiozła ze sobą do Italii, dokąd towarzyszyła ich ojcu, komendantowi Montsegur, aby uzyskać pomoc od cesarza Fryderyka. Cesarz miał przy sobie jasnowłosego Enzia, który choć bastard, był jego ulubionym synem. To on jest twoim ojcem!

— A więc jednak nie bez powodu mam na czole pionową gniewną zmarszczkę

Staufów! — zawołała Jeza. — Enzo pisał przepiękne wiersze w niewoli u bolończyków... a może on jeszcze żyje? Wyobraź sobie, Roszu, że moglibyśmy zobaczyć mojego ojca!

— Wówczas miałabyś więcej szczęścia niż ja, pod warunkiem że wpuściliby cię, potomkinię Staufów, do Bolonii! Mój ojciec nie żyje. Syn Trencavela albo Parsifala, jak również go nazywają, Roger Ramon III z Carcassonne, zginął podczas próby odbicia miasta swoich przodków.

— Ale wcześniej spłodził z Esklarmunda syna, ciebie, mój bohaterze!

— Nasza matka spłonęła na stosie — rzekł Rosz w zamyśleniu. — Co mamy zrobić?

Co ty byś chciała zrobić...? Ujęła jego głowę i pocałowała go w usta; przyssała się do

nich, ich języki wymieniały pieszczoty i splatały się, a jednocześnie ich ciała przytulały się do siebie coraz mocniej. Jednakże po chwili Rosz wyrwał się z jej objęć.

— Jezabel, bogini ogniska domowego — wydyszał — ty rozpalisz ogień, a ja pójdę teraz na polowanie!

— A czym mam to zrobić, mój panie i władco?

— Poszukaj hubki i uderzaj o siebie krzemienie... — poradził jej Rosz, nie dając się

zbić z tropu. — I zdejmij hełm, to będzie garnek, który ja ci napelnię! Wskazał na środek jeziora. Pływała tam ich kłoda, nad którą nadal sterczał scimitar. Rosz wskoczył do

wody i przyholował ich wierne czółno, a następnie wyciągnął je na brzeg. Potem wyciął sobie z drewna oszczep, gdyż w górskim jeziorze roiło się od pstrągów.

Jeza podniosła się, odpięła żelazne nakrycie głowy i potrząsnęła jasną grzywą.

Następnie wspięła się na nadbrzeżną skarpe, żeby poszukać suchego drewna

wyrzuconego wcześniej przez wodę. Znalazła pod dostatkami takiego, które kruszyło się w palcach, a także kępy wysuszonego mchu. Ostrożnie ułożyła jedno i drugie na

dnie swojego hełmu. Zabrała również parę błyszczących kamieni, kucnęła obok hełmu i ze znajomością rzeczy jąła krzesać iskry. Ostre krawędzie krzemieni poraniły jej palce. Ze złością zatamowała krew, bo teraz miała wilgotne palce, a to nie pozwoli jej skutecznie rozniecić ognia.

Od strony jeziora rozległo się tryumfalne wycie. Rosz upolował pierwszą rybę i z dumą uniósł oszczep ponad głowę. Ale wtedy pstrąg wskoczył z powrotem do wody.

Jeza nie mogła się powstrzymać od śmiechu. Zdwoiła wysiłki — krzesłała, dmuchała, krzesłała — i nagle wzbiła się w górę strużka dymu. Dziewczyna odrzuciła krzemienie, obiema rękami chwyciła hełm i zadęła mocno. Oczy zaczęły jej łzawić, ale żar stał się czerwonym punkcikiem pośród mchu, Jeza kaszłała i dmuchała, aż zapełgał nikły

plomień. Nie zważając na to, że parzy sobie palce, sięgnęła do wnętrza żelaznego nakrycia głowy, podsunęła ogniowi pożywienie, zakrywała go coraz to nowymi kawałeczkami spróchniałego drewna, aż w końcu zaczął się tlić. Hełm był już tak gorący, że nie mogła go utrzymać. Postawiła go więc i pobiegła nałamać więcej gałązek dla swego paleniska. Wkrótce potem, gdy plomień już dziarsko strzelał w górę, zjawił się Rosz z dwiema okazałymi rybami, które wraz ze scimitarem złożył u stóp swojej „bogini ogniska domowego”.

—
Pójdę jeszcze poszukać jakichś owoców, jagód i grzybów—obiecał skwapliwie. Jeza przejrzała jednak jego motywy.

— Pewnie brzydzisz się wypatroszyć te ryby, ty bohaterze!

Ale ponieważ Rosz lekką stopą już się oddalił, wzięła do ręki szablę o wygiętej głowni. To była prawdziwa ucztą. Rosz rzeczywiście znalazł wśród skał krzewinki z drobnymi czerwonymi owocami, które wyglądały jak żurawina i były dość gorzkie w smaku. Najpierw sam spróbował i twierdził, że są słodko-kwaśne i smakują wyśmienicie

razem z grzybami. Na grzybach się jednak nie znalazł. Znalazł je w jakiejś grocie i przyniósł Jezie do oceny. Jeza zawsze utrzymywała, że wystarczy ugryźć surowy mięsz, żeby wiedzieć na pewno, czy chodzi o gatunek jadalny. Teraz przyjrzała się nieufnie smardzom, a następnie skosztowała ostrożnie. Rosz nie zauważył krótkiego błysku w jej zielonych oczach, kiedy szybkim zdecydowanym ruchem wrzuciła grzyby do jagód w drugim hełmie, po czym napełniła go wodą i postawiła na ogniu, nad którym oba pstrągi, obracane na prowizorycznym rożnie, przybrały już apetyczny brązowy kolor. Rosz odszedł jeszcze raz i oprócz dużych zielonych liści, które miały służyć za talerze, przyniósł też dobrą wiadomość, że nad ich głowami znajduje się jaskinia, a w niej zebrało się sporo suchego listowia. Tam po obfitym posiłku mogliby się położyć na spoczynek. Wystrugał sztuce dla siebie i swojej *dammy*: płaskie drewnenko z wgłębieniem jako łyżkę oraz widelec z dwoma zębami. — Do stołu, mój królu! —

zawołała Jeza, zdjęła z ognia garnek z wywarem z grzybów i jagód i położyła jednego pstrąga na talerzu z liścia. Usiedli naprzeciwko siebie, głowa przy głowie, dzięki czemu mogli sobie podawać nawzajem kęsy do ust. Rosz szybkim ruchem widelca wykonał

cięcie wzdłuż grzbietu ryby i rozchylił obie połowy. Nieprzyprawione mięso jedli palcami, a do tego popijali łyżkami wywar z grzybów i jagód, który był jeszcze na tyle gorący, że nie czuli jego dziwnego smaku.

Kiedy Jeza zaobserwowała, jak Rosz oblizuje palce, naszła ją ochota, żeby je wziąć do ust. Przyciągnęła go do siebie. Popaćkała się czerwonymi jagodami i teraz Rosz

zbierał je językiem z jej piersi. Przez ich ciała przetoczyła się fala gorąca, zamieniła się w żar i sprawiła, że zaczęły płonąć. Rosz poczuł, że jego członek nabrzmiał tak, jakby

chciał pęknąć. Chwycił Jezę za rękę i przycisnął ją do swego przyrodzenia, które

wydawało mu się tak twarde, ciężkie i rozpalone jak nigdy dotąd. Przestraszył się, gdyż przypomniał sobie o grzybach. Ich okropny jad pewnie pozbawi ich teraz życia! —

Na pomoc — wydyszał — umieram!

Wtedy Jeza położyła się na plecach, wciągnęła go na siebie, szeroko rozwarła uda i wepchnęła jego nabrzmiąły członek w głąb rozpalonej lawy swojego sromu, gdyż z nią działo się to samo. Każde włókno jej ciała gorzało, głowa dymiła, a łono płonęło. Wbiła paznokcie w twarde pośladki Rosza i przylgnęła do niego, żeby zgasił ogień, który rozszalał się w jej wnętrzu.

— Umrzyj we mnie! — krzyknęła. — Nie pozwól mi... Rosz poczuł, jak opadają na niego woale rozkosznej tęsknoty; gotów był umrzeć z miłości, ale potem odsunął tę zasłonę.

Przypomniawszy sobie o swej doświadczonej nauczycielce i bardzo wolno, podniecająco wolno, wyciągnął trzonek swego oszczepu i wepchnął go znowu. — Dobijasz mnie!

— jęknęła Jeza. — Więc mnie zabij! — krzyknęła radośnie i oplótła nogami jego plecy, z pełnym oddaniem oczekując gorączkowo na jego pchnięcia. Ogień przetaczał się przez nią niczym kula, a ruchy obu ciał nie były już łagodnym kołysaniem tęsknoty za

śmiercią, tylko zmieniły się w potężne pulsowanie siły vitalnej. Ich trzepoczące od trucizny serca waliły tak głośno, że wydawało im się, iż je słyszą. Krew płynęła dziką falą przez ich żyły, mieli wrażenie, że stanowią jedno. Ta sama krew przewalała się przez nich, owiewało ich nieznane dotąd

tchnienie, które muskało rozpalone twarze. Patrzyli sobie w oczy, uśmiechając się do siebie niczym spiskowcy, a ich wargi odnajdywały się nawzajem. W końcu Rosz włożył ręce pod pośladki Jezy, ona oplótła nogami jego biodra i pożądliwie rozchyliła uda, a obdzielanie i przyjmowanie, dawanie i branie stawało się coraz szybsze i

gwałtowniejsze. Wyprężali się, kulili i wyciągali, porywali i wpychali się w *staccato* poprzedzające finał. Jeza zanurzyła palce we włosach Rosza. Całowała go i kąsała, a

on dziękował jej w ten sposób, że nie ustępował, dopóki i dla niej nie skończyła się

walka i mógł poczuć się zwycięzcą. Wtedy wycieńczony osunął się na nią. Długo tak

leżeli, Jeza na plecach, Rosz z głową na jej ramieniu. Pomacała dłonią swój wilgotny

ogródek i pomyślała, że lawina, która się na nią zwała, ma przewagę nad grą własnych palców. Przyciągnęła do siebie najmilszego i w dowód głębokiej wdzięczności pocałowała go w czoło.

Roszowi huczało w głowie. Poklepał pieszczotliwie swój zwiotczały członek. Uzyskał pewność, że może polegać na swojej włóczni w każdym turnieju, by zadać skuteczne pchnięcie i zdobyć wieniec chwały. Ale to nie było jedynie porównanie ze wstępem do raju. Jeza była rajem, nosiła go w sobie, a on na podobieństwo anioła z mieczem ognistym będzie musiał go strzec, ażeby nikt mu go nie odebrał. Rosz ujrzał nagle przed sobą ten nakaz tak wyraźnie, jakby został napisany ogniem na ścianie, toteż zapytał ze strachem:

— Kochasz mnie, Jezo?

— Tak — odpowiedziała i pogłaskała jego włócznię. — Jestem głodna! Ale druga ryba już dawno spaliła się na węgiel.

Z Kroniki Williama z Roebroku

Na wybrzeżu Morza Czarnego, w uroczystość św. Piotra Chryzologa* Na widok morza moja dziesięcioosobowa eskorta rozstała się ze mną. Już od dawna nie znajdowaliśmy się na mongolskim terytorium, spoglądaliśmy z wysokości łańcucha górskiego na zwierciadło wody w dole, które rozciągało się przed nami w delikatnej mgiełce. Teraz mogliśmy jeszcze tylko trafić między rozbójników, lecz zważywszy na obdarte odzienie Filipa, któremu nigdy nie kupiłem nowej szaty, i na mój habit z grubego sukna, wydawało się to bardzo mało prawdopodobne. Wszystko straciliśmy u pazernych kapłanów Batu-chana, a mój ostatni krucyfiks był zapłatą dla naszego przewodnika, który przeprowadził nas przez te dzikie góry o wiele dalej, niż miał obowiązek to zrobić. Tak więc schodziłem ku wybrzeżu sam ze swoim sługą, dobrej myśli, gdyż byłem

przekonany, że znajdziemy tam statek, który zawiezie nas z powrotem do słonecznego Konstantynopola.

Myślałem o swych małych królach, którzy po niebezpieczniejszych drogach musieli się przebijać wraz z Creanem do Alamutu, gdy na skałach wznoszących się nad odludnym brzegiem morza ujrzałem zamek, a właściwie bardziej wieżę. Na plaży pośród kamieni stała, piorąc bieliznę, postawna niewiasta o silnie rozwiniętych piersiach i potężnej rzyci. Przechylona do przodu, wypinała do mnie zadek pod zadartą spódnicą tak zachęcająco, że kusiło mnie, aby zbliżyć się do niej od tyłu i powierzyć jej do wyszorowania i wyprania także mój tłoczek, bo od dawna wszak nie zakosztował porządnej kąpieli. Kazałem Filipowi, który wyszczerzył zęby w uśmiechu, pozostać trochę z tyłu i wyciągnąłem pałkę spod habitu — moje pludry też wymagały prania, przemknęło mi przez rozpaloną głowę. Tylko bez fałszywego wstydu, Williamie, kiedy kobieta zajmie się już jednym, zawsze zdążysz jej jeszcze dostarczyć śmierdzące szaty! ftozchylilem więc habit i podkradłem się od tyłu do niewiasty, kiedy ta Odwróciła się, żeby rozłożyć na kamieniach wypłukane pranie. Z zachwytem popatrzyła na mój podniesiony tłoczek i rozpromieniła się na swej okrągłej mongolskiej twarzy, po czym wzięła mokry i zimny tłumoczek bielizny i poczęła nim okładać z lewa i z prawa mój stojak, jakby chciała w ten sposób zrobić ze swojego prania mięciutkie pieluszki. Ze strachu i bólu upadłem na plecy między skały, a ona rzuciła się do ucieczki. Nie pobięła jednak do wieży, pewnikiem obawiając się, że mogę jej odciąć drogę, tylko pod górę, obok Filipa, który zawołał:

— Droga pani, droga pani, on nie miał na myśli nic złego! Ona jednak wiedziała lepiej i zniknęła między blokami skalnymi.

Postanowiliśmy przyjrzeć się bliżej owej wieży, aby w jej wnętrzu bezpiecznie spędzić noc. Słońce ukryło się już za przybrzeżnymi skałami. Potykając się podążaliśmy w półmroku wąską skalną granią, na której wznosiły się dobrze zachowane mury. Jedyne

drzwi znajdowały się wysoko w murze, ale w tym miejscu przystawiono drabinę.

Pierwszy wspiąłem się po niej i popchnąłem ramieniem ciężkie drzwi z grubych desek, które ustąpiły pod moim naporem. Skinąłem na Filipa, żeby podążył za mną, a sam wsunąłem nos w szczelinę. Potworny cios w głowę pozbawił mnie przytomności. Kiedy doszedłem do siebie, nade mną pochylali się w świetle smolnej szczapy Hamo i Szirat.

— Williamie — dociekał Hamo, nie przejmując się moim potężnym guzem—widziałeś naszą mamkę? Poszła prac, a tymczasem zrobiło się już ciemno...--- ...do tej pory nie wróciła! Dziecko potrzebuje mleka — przerwała mu z wyrzutem Szirat. Hamona dręczyła jednak inna troska.

—
Jeśli wpadła w ręce armeńskiej straży granicznej, zdradzi naszą kryjówkę.

Odpowiedziałem tylko, iż poczciwa kobieta tak się przestraszyła, kiedy nagle stanąłem przed nią, że uciekła i żadne słowa nie zdołały jej skłonić, by się zatrzymała. W rzeczywistości wstyd mi było, że nawarzyłem takiego piwa. Filip obiecał, że z nastaniem dnia postara się sprowadzić kobietę albo jakąś kozę. Żeby zaspokoić niemowlę na noc, poradziliśmy sobie w ten sposób, że użyliśmy resztek kumysu, którym nasz przewodnik nappełnił mi bukłak przy pożegnaniu. Szirat brała do ust to skisłe mleko, mieszała je z własną śliną i poiła maleństwo.

— Handlarz niewolników przyprowadził nas tutaj — wyjaśnił Hamo — i za pomocą lustra na wieży wysłał sygnały, które mają wezwać moją trierę. Ktoś zresztą odpowiedział, że życzenie przekazano dalej. A teraz siedzę już tutaj cały dzień, patrząc na morze w dole i czekam...

— Ciekawe, kto przybędzie pierwszy — przerwała mu z goryczą Szirat. —

Armeńczycy Sempada czy twój kapitan, penikrat?

— Jutro rano was opuszczę i wyjdę na spotkanie Armeńczykom, żeby skierować ich na fałszywy trop — obiecałem. — Tyle przynajmniej mogę zrobić, żeby odpokutować mą winę za pech, jaki was przesładuje. Swojego sługę zostawię tutaj, może wam się przydać. A potem wciągnęliśmy drabinę i położyliśmy się spać.

L. S.

Z tajnej kroniki Rosza Trencavela

Nad jeziorem, w drugiej dekadzie stycznia A. D. 1255

Jeza, królowa mego serca i pani naszego raj, oświadczyła, że nasz nędzny ogród Eden, odkąd przyszła zima, przestał być rajem, jest tylko zimno i mokro, bo słońce zapuszcza się w głąb wąwozu jedynie na kilka godzin. Ze splecionych wnętrzości rybich zrobiłem dla nas dwojga bardzo dobre łuki, a do tego ostre, spiczaste strzały wszelkiego rodzaju, ale prócz paru wodnych ptaków nie udało nam się nic upolować, ponieważ nic nie było. A pstrąg na każdy posiłek wychodził nam już bokiem.

Nie mogliśmy już patrzeć na ryby choćby dlatego, że wszystko nimi śmierdziało.

Dlatego załadowaliśmy na naszą kłodę pod dostatkiem tego wspaniałego pożywienia, zapięliśmy hełmy i weszliśmy znowu do lodowatej wody. Była o wiele chłodniejsza niż wtedy, kiedyśmy tu przybyli, tak więc wywijaliśmy chyżo nogami i biliśmy rękoma, żeby nie skostnieć z zimna. Płynęliśmy szybko, ponieważ z dna rzeki wystawało mniej kamieni, choć wcale nie było bezpieczniej, gdyż koryto często zwężało się mocno między stromymi ścianami, a woda bulgotała podstępnie. Pojawiały się wiry, gotowe wciągnąć nas w głąbinę, a progi wodne groziły wyrwaniem nam naszej kłody ze zdrętwiałych rąk. Nader rzadko wylaniały się skalne wysepki, na których, dygocząc, moglibyśmy odpocząć. Czuliśmy się podle i prawie nie mieliśmy już sił, żeby się objąć i w ten sposób wzajemnie ogrzać. W pewnym momencie, kiedy popatrzyłem na błądą Jeżę z zamkniętymi oczami, ucepioną pnia między kikutami gałęzi, pomyślałem: Ona

nie żyje. Ja też chciałem więc umrzeć. Zesztywniały i wyczerpany przysunąłem się do niej, gdyż pragnąłem być razem z nią w chwili śmierci.

I wtedy pień opłynął zakręt i wy dostał się na spokojne jezioro, w którym woda wydawała się bez porównania cieplejsza. Wąwóz rozszerzył się, tworząc górską dolinę, dostrzegłem drzewa i zielen. — Jezo! — zawołałem. — Jesteśmy uratowani!

Otworzyła oczy, była jednak zbyt wyczerpana, żeby obrócić głowę. Przynajmniej jeszcze żyje. Skierowałem pień ku gęstym przybrzeżnym zaroślom, ostrożnie dobiłem do brzegu, przeniosłem moją królową na ląd i ułożyłem ją w trawie. Dzwoniła zębami, a ja prosiłem w duchu: Tylko żeby nie gorączka! Zacząłem nacierać jej zimne jak lód kończyny, aż w końcu zrobiły się czerwone i Jeza krzyknęła z bólu. Najpierw wymasowałem jej przemarznięte stopy, potem kolana i uda. W czasie gdy jeszcze pojękiwała cicho, moje dłonie ślizgały się coraz wyżej, aż dotarły do ogródka. Jego furtka otworzyła się zapraszająco jak usta do pocałunku, pochyliłem się nad jej łonem i dałem jej poczuć swój język. Znalazłem to, co ona żartobliwie nazywa swoim „małym Roszem”, ową miniaturę mojego członka, którego pieszczenie sprawia jej tyle rozkoszy. On nie oziębnał, koniuszkiem języka lizałem maleńkie zgrubienie. Ściągnąłem portki i podniecony klęknąłem nad nią. — Zimno mi — poskarżyła się cicho Jeza — ogrzej mnie! Obróciła się na brzuch i podsunęła mi swoje alabastrowe pośladki. Posłuchałem jej rozkazu i z wielką delikatnością przyjąłem je na swoje łono, były bowiem zimne jak lód, poniżej jednak płonął żar. Pozostawiłem swojej pani gościnne przyjęcie mego członka i zająłem się z umiarem pocieraniem i masowaniem jej umięśnionych pleców. Pocałowałem ją w kark, moje dłonie powędrowały dalej w kierunku jej piersi. Również one były jeszcze zimne, a sutki twarde. Mój penis wdzierał się namiętnie i w końcu ustąpiła. —

Daj mi ciepło — poprosiła cicho. Wstrzymałem się na razie, opłotłem ją ramionami i robiłem wszystko, żeby głaskać każdą cząstkę jej skóry niczym słońce. Przycisnąłem ją do siebie, aby mój żar przeskoczył na nią, i dopiero gdy nie mogłem się już opanować, chwyciłem ją za biodra i wniknąłem w nią głębiej. Czułem się niczym człek bez serca, kiedy popychałem jej małą dupkę, jak karze się klapsami dziecko, ale moja maczuga pragnęła uzyskać to, czego chciała. Uderzałem coraz szybciej i szybciej, a w końcu wśród konwulsyjnych ruchów wyrzuciłem jej zawartość i pulsująca rura przedzierzgnęła się w wijącego węża. Potem osunąłem się na nią, choć czułem, że moja ukochana chciałaby zatrzymać jeśli już nie twardą pałkę, to przynajmniej miękkie zwierzątko. Ono jednak wyslizgnęło się zawstydzone z ogródka. Wtedy zobaczyłem, że Jeza płacze. Zmieszany podniosłem się i zacząłem zbierać trawę i listowie, żeby ją przykryć. Kiedy spod sterty liści wystawała jedynie płowa czupryna i mogłem być pewien, że ciepło powstające podczas ich gnicia zastąpi jej moją nieporadność i samolubstwo, poszedłem rozejrzeć się na tych nowych brzegach.

Natknąłem się na stado dzikich kóz, które nie były nawet płochliwe. Kilka samic paradowało z nabrzmiętym wymieniem. Ku memu zdumieniu odkryłem także szkielet z rozpadającymi się sznurkami, które otaczały krąg szyjny. W wydrążonych przez wodę grotach skalnych znajdowały się pozostałości jakiejś budowli, do której prowadziło jedynie niskie wejście. Prześlizgnąłem się przez nie i znalazłem w opuszczonej pustelni. W głębi suchej jaskini odnalazłem miejsce do spania eremity, palenisko z ujściem dla dymu przez wąski kamienny komin. W sąsiednim pomieszczeniu, z którego rozciągał się widok na jezioro przez otwór przypominający okno, stał zbity z surowego drewna stół, usłany pożąłkłymi arkuszami pergaminu. Ponieważ samotny pisarz przyłożył stos kart kamieniem, te nie sfrunęły i nie zostały zjedzone przez kozy, których bobki walały

się wszędzie. Dostrzegłszy gliniany garnuszek z wyschniętym inkaustem, natychmiast naplułem do niego, żeby się przekonać, czy zdołam na powrót pobudzić do życia ten drogocenny płyn. Jedno z leżących na stole ptasich piór zanurzyłem w gęstej zawieszynie, zamieszałem ją i napisałem: „Rosz Trencavel z Haut Segur i jego królowa Jezabel z Monty Sion w ziemi niczyjej nad jeziorem u stóp Kaukazu”.

Słowa te skreśliłem na odwrotnej stronie jednej z kart, ale dopiero gdy przycichła moja radość z tego niespodziewanego znaleziska, spojrzałem na wierzchnią stronę. Oto co przeczytałem:

*W tym świecie jest jeszcze ukryty drugi świat,
nie dający ńę opisać słowami.*

Panuje tam życie, nie ma strachu przed śmiercią.

Wieczna wiosna, która nigdy nie chyli się ku jesieni.

*Wiele legend i historii opowiadają sufity i ściany,
nawet skały i drzewa mówią wiersze.*

*Tutaj sowa zamienia się w pawia,
a wilk w ślicznego pastuszka.*

Chcesz mieć inny obraz,

odmień tylko swój nastrój,

*musisz tylko chcieć owej zmiany.**

Wróciłem biegiem do Jezy, żeby ucieszyć ją tymi nowinami, wszak wiedziałem, że uwielbia pisać. A ponieważ znowu nie było przy nas Williama, mogliśmy się ponownie czuć jego wiernymi kronikarzami —nawet jeśli byśmy mieli zakończyć tutaj egzystencję jako eremici, czego za bardzo sobie nie wyobrażam. Potrafię sobie natomiast wyobrazić, że za sto lat ktoś znajdzie w tym miejscu nasze zapiski. Jeza spała mocnym

snem, przykryta listowiem. Kiedy zanurzyłem w nim dłoń, zauważyłem, że w środku panuje przyjemne ciepło. Podpełzłem do niej i szepnąłem jej na ucho: —

Mamy

dom i kozy. Obróciła obsypaną liśćmi kędzierzawą głowę i objęła mnie.

— Ja chcę mieć pałac i konie! — wyszeptała i popatrzyła na mnie promiennym spojrzeniem swych jaśniejących niczym gwiazdy oczu w taki sposób, że od razu zrobiło mi się na duszy inaczej.

Chcę — powiedziała, wsadziwszy mi już wcześniej rękę w portki —

czuć włócznie

mego rycerza, kiedy wzbierają we mnie z rozkoszą gorące soki, a nie... — uszczypnęła mnie żartobliwie w żołądź —.. .kiedy lodowata woda wypłukała mnie jak rybę i moje uczucie zamarzło niczym róża na śniegu. Nie dałem się zniechęcić i położyłem

pulsującą włócznie na napiętym bębnie jej brzucha, ciesząc się już na czekający raj. —

Wasza sztuka poetycka, szlachetna damo, nie ustępuje wszelkim umiejętnościom,

które wypływają z waszego łona. Żadna rybka nie kąpała się nigdy w gorętszym źródle, żadna róża nie błyszczała ogniościej w słonecznym żarze niż niezniszczalna chuć waszej

miłości!

— Rację macie jak zawsze, mój królu — odparła — ale powinniście odpokutować za swoje uchybienie. Moje czary uczynią z was ogiera, a ze mnie jeźdźca!

I nie puściła mojej włóczni, dopóki nie wcisnęła mnie pod siebie w liście i nie usiadła w siodle. Najpierw popuściła mi cugli, potem potraktowała mnie pejczem i ujeżdżała wręcz po mistrzowsku, gdyż ilekroć już miałem nadzieję, że będę mógł puścić się cwałem, kiedy to jeździec podrzucany jest tylko w górę i w dół, skracała mi wędzidło, zwalniała tempo aż do kroku muła — tym osłem byłem ja — obsypywała moją twarz pocałunkami, mierzwiła mi włosy, a pewnie i sięgała ręką za siebie i mnie szczypała.

Gryzła mnie w szyję i śmialiśmy się przy tym. Moja amazonka napinała mięśnie i uczyła mnie, że nie powinienem szturmować bram raju bardzo głodny, żeby zerwać sobie jabłko i wynieść się jak złodziej, lecz posłuchać rady węża i dzielić się z Ewą słodkim owocem, razem z jej małym Roszem w ogródku. Jeza była rajem i wężem, była częścią mnie, ale nieodgadniona w swej tajemniczości siostrą i obcą kobietą. Spożywałem owoc z drzewa poznania dobra i zła, a mimo to przez kaskady tryskającej rozkoszy, przez potężne falowanie upojenia i bólu czułem, że właściwie nic nie wiem o tym, co porusza kobietę. Drżenie, które ogarnęło jej gibkie ciało, jej ręce, które przyciągnęły moje dłonie do jej piersi, jej biodra, które poczęły wykonywać ruchy koliste i kołysać się, wszystko to zapowiadało, że jazda zbliża się do punktu kulminacyjnego. Rzuciła się do tyłu i wreszcie pozostawiła mi wodze. Mogłem ją teraz dogonić, a im bardziej panowałem nad sobą, tym gwałtowniej zachowywała się ona. Niczym drapieżny kot rzucała się na mnie, ja natomiast zachowałem rycerską godność. Przyprawiało ją to o szaleństwo, wyprężała się z dzikim dygotaniem, aż w końcu i ja przedzierzgnąłem się w zwierzę, które miało nas rozszarpać. Orzeł, który uniósł nas oboje w słońce, został trafiony strzałą i ciasno spleceni runęliśmy na ziemię, ale złapani na miękkim puchu przez łabędzie, opadaliśmy łagodnie — dopóki nie odnaleźliśmy się wśród liści i uszczęśliwieni uśmiechali się do siebie; nie musieliśmy nic mówić.

Zima minęła nam na toczonych w ciemności bojach miłosnych naszych rozpierzanych żądzą ciał i na pełnych jasności wysokich lotach naszych dusz, ale także na gorliwym zapisywaniu naszych splątanych myśli.

Wiosna weszła do doliny, gdzie znajdowała się nasza pustelnia, odcięta od świata przez jezioro. Żeby do nas dotrzeć, ktoś musiałby nieść łódź w górę rzeki, gdyż patrząc z naszej zatoki, skały wchodziły w wodę bardzo stromo. Zagadką dla mnie pozostaje, jakim sposobem eremita przed wielu laty mógł zapędzić się w te strony. Na pewno warunki były wtedy inne; przyroda, a zwłaszcza woda, zmienia wszak ciągle oblicze

ziemi. Może pod powierzchnią jeziora znajdował się klasztor lub cała wioska z murami i wieżami, zanim oberwanie się skał spowodowało podniesienie poziomu wody w rzece i tylko eremita się uratował, uciekając na wyżej położone skały. Ale o tym nie było na pergaminach nawet jednej wzmianki. Zawierały one wyłącznie przepiękne wersy, wiersze, które wieczorami czytaliśmy z Jezą na głos przy ogniu.

*Zatrzymaj się na chwilę, spójrz na ciernistą pustynię, która rozkwita ogrodem pełnym kwiatów.
Czy widzisz tam na piasku okruch skalny? Zaczyna się toczyć, otwiera się*

grota, rubiny wysyłają ku tobie swoje błyski. Umyj ręce i twarz w wodzie tego źródła.

*Kucharze przygotowali wielką ucztę**

L.S.

Z Kroniki Williama z Roebroku

W wieży nad morzem, w uroczystość św. Polikarpa*

Mój sługa, Hamo i ja przez całą noc trzymaliśmy na zmianę wartę i za każdym razem wychodziliśmy po drabinie wewnątrz wieży na górną platformę. Znajdowało się tam, zasłonięte przez blanki, obracane, kunsztownie wykute srebrne lustro w drewnianej obudowie, które miało kształt wklęsłej tarczy. Patrzyliśmy na ciemne morze u naszych stóp w nadziei, że spomiędzy bryzgów piany i chmur ukaże się przybywająca nam na ratunek triera, jak również na postrzępione skały od strony lądu w obawie, że mogą stamtąd nadjechać armeńscy strażnicy graniczni. Kiedy zaświtał ranek i minęła także godzina, w której wrogowie najchętniej atakują, i nic się nie stało, Filip zszedł odważnie z wieży, żeby zapolować na kozy.

Pani Szirat z małą Amal, która tymczasem znowu zaczęła płakać z głodu, wycofała się na górę, natomiast Hamo i ja czekaliśmy przy otwartych drzwiach wysoko w murze, gotowi w każdej chwili wyciągnąć drabinę.

Filip rzeczywiście zjawił się z kilkoma kozami. Zabrał młode samicom, a one skarżąc się, z nabrzniętymi wymionami biegły za beczącymi maleństwami, które Filip niósł na rękach. Roześmiany zmierzał spokojnie ze swoim łupem ku wieży, lecz w pewnej chwili obejrzał się za siebie i zaczął biec.

Hamo zrozumiał szybciej niż ja, co się dzieje, zjechał po drabinie, odpiął pas, rzucił na ziemię jedną z kóz i spętał jej nogi. Ja znalazłem długi sznur, który leżał przy drzwiach, pewnie po to by wyciągać większe sprzęty, i spuściłem go na sam dół. Hamo umocował beczącą kozę na końcu liny, a ja zacząłem ciągnąć. Hamo poświęcił swoją koszulę, żeby z pomocą Filipa związać tylne nogi kolejnej kozie. Następnie chwycił ją za chude przednie nogi i zarzucił sobie na plecy. Szybko ruszył po drabinie na górę.

Spojrzałem w stronę wąwozu między skałami, skąd całą ławą wyłonili się jeźdźcy.

Włócznie mieli podniesione, przyłbice spuszczone. Ponad hełmami łopotała chorągiew konetabla Armenii. Wciągnąłem kozę, którą trzymałem, przez drzwi do środka, odwiązałem linę i rzuciłem ją Filipowi, który trzymając kózkę na ręku, miał kłopoty ze wspinaczką po drabinie. Obwiązał jej sznurem brzuch i zwierzę pobekując żałośnie zadyndało w powietrzu.

W tym czasie jeźdźcy zbliżyli się; jeden trzymał na siodle przed sobą naszą mamkę.

Filip nie chciał zrezygnować z trzeciej kozy. Zarzucił ją sobie na plecy i wspinał się po szczeblach. Ja wciągałem wierzgający tłumoczek. Również Hamo dotarł do drzwi i

rzucił mi pod nogi swoją kozę. Nie mogłem się cofnąć, ponieważ upuściłbym koźlątko.

W tym momencie przez otwór w murze wpadły już do środka pierwsze strzały, poczułem wręcz na twarzy pęd powietrza. Strzały utkwily w drewnianych belkach. Hamo odepchnął mnie do tyłu i podczas gdy ja z bezpiecznej odległości dalej wybierałem linę, on rzucił się na ziemię i podał rękę Filipowi, żeby mu pomóc. Pociski uderzały z łoskotem w drabinę i odrzwia, a jeden niechybnie trafiłby mojego sługę w kark, gdyby kózka swoim ciałem nie uratowała mu życia; nie poskarżyła się nawet beknięciem.

Hamo zdjął mu z pleców przeszyty strzałą ciężar. Nie patyczkując się przeciągnąłem swoje zwierzęta przez próg. Obie kózki były martwe, naszpikowane strzałami niczym tors świętego Sebastiana.

Hamo i Filip wyciągnęli drabinę w górę na tyle, że z moją tęgą pomocą udało im się ją przytrzymać za górny koniec. Tymczasem uniesionego dolnego końca uczeplił się właśnie pierwszy Armeńczyk. Ponieważ się nie puścił, został wywindowany sporo nad ziemię, ale nie mogąc się utrzymać, w końcu spadł i roztrzaskał się o skały.

Wciągnęliśmy drabinę do środka i zatrzasnęliśmy ciężkie drzwi z grubych bali.

Dumny łup stanowiły trzy pieczenie i dwa pełne wymiona! Następnie pośpieszyliśmy do

Szirat, która wraz z niemowlęciem schroniła się przed strzałami w obudowie zwierciadła. Ukryci za blankami, słyszeliśmy głos dowódcy straży granicznej, który zażądał, byśmy pokazali swoje znaki, bo w przeciwnym razie dojdzie do ataku na wieżę. Nie odpowiedzieliśmy. Następnie zagrozili, że zabiją mamkę na naszych oczach. Nadal trwaliśmy w milczeniu; gruba mamka rozszlochała się, więc dowódca kazał ją zabrać na stronę. Spomiędzy blanków wieży mogłem zaobserwować, jak pięciu czy sześciu ludzi zaprowadziło kobietę nad brzeg morza, gdzie przewrócili ją na duży kamień. Jeden z żołnierzy wyciągnął miecz, ale nie zadał ciosu, ponieważ pozostali zadarli jej spódnicę. Jeden po drugim podchodzili do niej i spuściwszy portki, stawali między jej udami i zabawiali się. Ode mnie też mogła to dostać, pomyślałem w duchu, raz zamiast pięciu razy! A potem odjechali sprowadzić posiłki, „greckie ognie, żeby was wykurzyć”, jak zawołali do nas na pożegnanie.

Minęło parę dni, zanim odważyliśmy się wyściubić nos na zewnątrz. Szirat i ja obserwowaliśmy z góry teren, a tymczasem Hamo i Filip spuścili drabinę. Kiedy nic się nie ruszało, podkradli się do zarośli pod skałami, żeby narwać liści i naciąć trawy, gdyż obie nasze kozy nie chciały już dawać mleka, a mamce, tej głupiej krowie, która znów była z nami, mleko w piersiach skwaśniało ze strachu o życie w tamtych chwilach grozy, bynajmniej nie z powodu trykania pięciu kozłów. W miejscu gdzie pasły się dzikie kozy, założyliśmy ogrodzenie, żebyśmy nie musieli ich szukać za każdym razem, gdy przyjdzie nam ochota na kozłinę. Mamka, której piersi, nabrzmiące niegdyś od mleka, całkiem już wyschły, teraz miała za zadanie doić kozy. Próbowwała też wyrabiać ser, Hamo zaś — ku zmartwieniu Szirat nabrawszy większej odwagi — zaczął polować w morzu na ryby. Robił to z umiarkowanym powodzeniem, więc potem, jako wprawny nurek, zaopatrywał nas w muszle, kraby i inne morskie stworzenia. Mieliśmy zatem urozmaicony jadłospis i także mała Amal rosła w oczach. Dawno zapomnieliśmy o

Armeńczykach, gdy pewnego ranka na horyzoncie pojawiła się triera.

Z tajnej kroniki Jezy

Siedziałam przy oknie naszej pustelni i patrzyłam w górę na błękitny nieboskłon Tengriego, po którym przeciągały wełniste białe chmurki. Od czasu do czasu przelatywały po nim ptaki, sunąc bezszelestnie po kilku potężnych machnięciach skrzydłami. Jezioro w dole spoczywało w bezruchu. Wtem ujrzałam małą łódź, która musiała przy płynąć w górę rzeki. Ciemna sylwetka mężczyzny, który popychał ją jednym wiosłem, rysowała się wyraźnie na tle odbijającego się w wodzie nieba, chmur, skał i ptaków. Wskoczyłam z groty, aby zawiadomić Rosza, który wspinał się po skałach powyżej naszej jaskini nie tyle, żeby szukać ptasich jaj, ile pragnąc zachować dla mnie swoje piękne ciało, tak by było smukłe i muskularne.

— Roszu, nadpływa jakaś łódź! — zawołałam.

Nie widzę żadnej łodzi! — odpowiedział jego głos. Kiedy chciałam mu dokładnie wskazać miejsce, gdzie spostrzegłam czółno, ja także nie mogłam go teraz zobaczyć.

Pewnie stałam w złym miejscu i skały zasłaniały mi widok. Mimo to obstawałam przy swoim odkryciu. —

Widziałam w łodzi mężczyznę — zniecierpliwiłam się — no złaźże! Z góry posypały się kamienie, a w chwilę później mój bohater stoczył mi się pod nogi. Śmiejąc się podbiegłam do brzegu.— Chodź, pokażę ci! Podążył za mną.

—

Potrzebujesz innego mężczyzny?! — zakpił, lecz ja rzuciłam się już na jeden z gładko wypolerowanych okrągłych kamieni, które leżały w słońcu na naszej plaży niczym ogromne opasłe cielska, i powiodłam spojrzeniem ponad wodą. Nie było nic widać. Ciepło z rozgrzanego kamienia rozlewało się rozkosznie w moim ciele.

Przywarłam do niego swym małym brzuchem i rozstawiłam gołe nogi. Rosz, mój

szlachetny rycerz, nie rozczarował swojej *dammy*. Zrazu łaskotał mnie tylko źdźbłem trawy między udami, po czym posunął się wyżej, aż do ogródka. Ale wtedy oddech

Rosza stał się bardziej gorączkowy, a wkrótce potem po kamieniu podpełzło, niczym

jaszczurka, jakieś zwierzątko i zażądało wstępu. Uniosłam lekko biodra i wpuściłam

łuskowatego potwora, rozpoznałam go, a i dla niego wszystko było swojskie. Mimo to

było podniecająco inaczej — prawie jak za każdym razem. Najpierw zuchwale i z

ciekawością, potem grzecznie i gładko, a w końcu nieokrzesianie, dziko i grubiańsko.

Głaskał mnie, jak głaszczę się pod włos kotka, i wprowadził mnie w rozkosz, omijając w

pośpiechu „małego Rosza”. Choć uwięziona w ten sposób między ciepłym kamieniem a

wdzierającą się twardo ozdobą lędźwi mego rycerza, czułam się wolną królową swojej

żądzy. Pozwoliłam sobie na nią, a on, mój rycerz, mógł ją rozpalić. Szalał za mną, ja

zaś pozwoliłam mu się wyszaleć, dopóki również mój kielich się nie przepełnił i nie

rozprysnął na kawałki przy akompaniamencie tysiąca dzwonek. Wtedy krzyknęłam, a

Rosz zawołał moje imię. Złożył swoją ofiarę, oboje byliśmy szczęśliwi, pod ciężarem

zmęczenia jego piękne ciało spoczęło na moim. Czułam, że go kocham. Och, gdyby

każdy dzień mógł się tak zaczynać i tak kończyć!

Ścisnęłam dłoń Rosza i razem wróciliśmy do naszej pustelni. Przy stole siedział Arslan,

który uśmiechnął się na nasz widok. Trzymając się za ręce, stanęliśmy w wejściu.

Szaman nic się nie zmienił od czasu, kiedy po raz pierwszy przebywaliśmy u niego w

Altaju. — Widzę — powiedział — że para królewska jest szczęśliwa, że wzajem

pałacie do siebie miłością. Wyjrzał przez okno na jezioro, w którym odbijało się niebo.

Ale to nie jest świat i nie jest wasze przeznaczenie. — W jego pogodnym tonie

przebijało ubolewanie. — Wasz los związany jest z losem Mongołów, nie próbujcie

przed nim uciekać. — Chciałam zaprotestować, lecz ciągnął: — Oni bez was nie mogą

podbić świata, a wy bez nich nie dostaniecie się na obiecany wam tron.

— Nawet gdybyśmy chcieli — odparłam — nie możemy uciec przed swoim przeznaczeniem. To Mongołowie nas opuścili, a nie my ich!

— Tak wam się wydaje, bo patrzycie oczami Zachodu, ale ja wam powiadam, że oni cierpią. Naród Mongołów pogrążony jest w smutku, a wielki chan nie spocznie, dopóki was nie odnajdzie.

— My nie jesteśmy im potrzebni jako para królewska, którą w istocie jesteśmy— wtrącił się Rosz—tylko jako znak bojowy, jak oniony, te małe laleczki u brzegu płaszcza dostojnego chagana! Arszan pokiwał głową, a po zmarszczkach jego pergaminowej twarzy przemknął uśmiech. —

Minęły czasy potężnego Kowala

Temudżyna, jedyne Czyngis--chana. Im więcej synów płodził — a ci z kolei wnuki —

tym bardziej państwo się rozprzęga, tonąc w odmętach ślepoty, zazdrości i mędrkowania!

— Westchnął głęboko. — Ale istnieje wielki duch wszystkich Mongołów, który unosi

się nad nimi na wiecznie błękitnym firmamencie nieba, i on wie, że jest tylko jedna

droga, wspólna, i tylko jeden cel: wszystko albo nic! — Arszan zniżył głos, który wydawał

się teraz docierać

z bardzo daleka. — Nawet jeśli to nic ukrywa się jeszcze w głębinach oceanu niby

bezkształtny potwór morski. Pewnego dnia się wynurzy i wchłonie naród Mongołów w

morze zapomnienia, jakby ten nigdy nie stał u szczytu potęgi.

— Dlaczego? — spytał z wahaniem Rosz. Arszan popatrzył nań twardym wzrokiem.

— Bo potęga musi chcieć wszystkiego!

— A my? — zaprotestowałam. — A „reszta świata”?

— Wy, para królewska, dzielcie los Mongołów.

—
A jeśli nie zechcemy? — odpowiedziałem pytaniem z równie stanowczą miną. Arslan milczał przez dłuższą chwilę. Starzec, po którym nie spodziewałam się żadnych wykrętów, wydawał mi się jakiś odległy. Emanowało zeń coś proroczego.
— „Reszta świata” obejmuje też ocean. Kto zdobędzie panowanie na morzach, ten będzie panem świata, panem ognia i wody, ziemi i powietrza.
— To im się nie uda! — wykrzyknął Rosz.
— Oni tego nie wiedzą — dodałam tylko.
— No to uda się innym, za tysiąc lat. Podniosłam wzrok ku niebu. Wędrowały po nim obłoki, duże ptaki zataczały kręgi wysoko w przestworzach i pikowały ku nadbrzeżnym skałom, które odbijały się w wodzie. Ciemny punkt na jeziorze, człowiek w łodzi, zniknął; spokojnymi zanurzeniami wiosła przecinał gładką taflę i tworzył rozchodzące się kręgi.
Wtem usłyszałam wołanie Rosza:
— Widziałem jeźdźców! W górze na skałach! Jego głos wydobywał się spomiędzy skał nad grota, gdzie szukał jaj w ptasich gniazdach. Odwróciłam się w stronę szamana.
Miejsce przy naszym stole było puste. Wybiegłam na zewnątrz i zobaczyłam grube liny zsuwające się po skałach niczym węże. Mój Rosz zeskoczył mi pod nogi, zapowiedziany przez osuwisko niedużych kamieni. Wskazałam bez słowa na liny. Spuszczali się po nich zwinnie mężczyźni, których poznałam od razu. Byli to ludzie imama, asasyni z Alamu. Uklękli przed nami, a ich dowódca rzekł: — Dziękujemy Allanowi, że odnaleźliśmy parę królewską w dobrym zdrowiu. Przybyliśmy tu jako wasza eskorta, aby zaprowadzić was do Róży. *Allahu akbar!*

L. S.

Z Kroniki Williama z Roebruku

W uroczystość św. Efrema Syryjczyka* A. D. 1255

W uroczystość objawienia św. Michała Archanioła* wróciliśmy do swojego labiryntu pałacu Kallistosa, z którego wyruszyliśmy przed dwoma laty. Po wszystkim, co się nam przytrafiło, okres ten wydawał mi się zgoła wiecznością. Gosset, wielki domestikos, któregośmy wtedy zostawili, zażyczył sobie wysłuchać do końca całej naszej historii.

Na trierze, oprócz wiernego penikrata, znajdowała się również pani Ksenia, która od razu bardzo mi się spodobała i podczas rejsu uchroniła mnie od choroby morskiej, ponieważ huśtaniu, chybotaniu i przechyłom statku przeciwstawialiśmy własne rozkoszne kołysanie. Żwawa wdówka, nie stroniąca od morskiej podróży, miała przy sobie córeczkę Hamona i Szirat, czteroletnią już Alenę Elaię. Najczystsza radość u rodziców, głęboki smutek u Kseni, którą z wielkim oddaniem próbowałem pocieszyć. Kochała bowiem to dziecko, które przecież nie znało rodziców, jak matka, i również Alena Elaia była przywiązana do niej podobnie jak do penikrata, zmuszonego wejść w rolę ojca. Teraz była zasypywana nadmiarem uczuć przez obcą kobietę i otrzymała — jakkolwiek już wydorosłałego — ojca trzpiota, który mógł być dla niej raczej starszym bratem, a nie rodzicielem zasługującym na respekt.

Imię jej pozostawiono, była już wszak ochrzczona. Jej ojcem chrzestnym był książę Antiochii Boemund VI. Dostosowała się dosyć szybko, lecz jej przybrana matka cierpiała. Znaleźliśmy jednak rozwiązanie: Ksenia dostała w zamian małą Amal, o której dowiedzieliśmy się tymczasem, że została zupełną sierotą. Wieść o okrutnej śmierci Umara i Ordy przekazał nam Abu al-Hafs.

Triera mogła tak szybko dotrzeć do wieży na wschodnim wybrzeżu Morza Czarnego, ponieważ jej kapitan, penikrat Taksiarchos, już wcześniej w Antiochii otrzymał wiadomość, że ma wracać do Konstantynopola, gdyż hrabia Hamo L'Estrange jest w

drodze do domu. Odnalezienie dokładnie opisanej wieży w dawnej Kolchidzie nie kosztowało nas wiele trudu. Również penikrat nie potrafił jednak powiedzieć, kto go zawiadomił. Pewnego ranka, kiedy się obudził, rozkaz leżał obok jego głowy. Była już wtedy późna jesień.

Długie ręce Przeoratu, przemknęło mi przez głowę, a może byli to asasyni? Któż by inny? No właśnie, kto? Mongołowie, ich tajne służby? To też wchodziło w rachubę. Musiałem doprowadzić swoją misję do końca. Gosset gotów był udać się ze mną z powrotem do Ziemi Świętej. Wypuściliśmy Bartka, odmieńca jaskiniowego, z podziemnego więzienia — i umieściliśmy go w swego rodzaju areszcie domowym.

Gosset poręczył za niego. Brat Bartłomiej z Cremony nie stał się wprawdzie pobożny, ale nabrał wiele uczoności. Nauczył się wykonywać miniatury, którymi zdobi swoje kopie. Chętnie zgodził się napisać raport dla króla Ludwika na podstawie moich relacji, tak więc codziennie w Pawilonie Złudzeń dyktowałem mu wszystko, co wydawało mi się przydatne, zwłaszcza zaś to, czego można oczekiwać od misjonarza.

W ten sposób Bartłomiej poznawał z pierwszej ręki, nie ruszając się z miejsca, zmusną podróż do wielkiego chana Mongołów, którą zamierzałem zatytułować

*Itinerarium** I nauczył się brać sobie do serca swoją rolę w tym przedsięwzięciu, na wypadek gdyby nasi zwierzchnicy zakonnicy jęli go o to wypytywać. Właściwie powinien

mi być wdzięczny! On leniuchował tutaj w Konstantynopolu, a tymczasem jego *alter ego* i ja męczyliśmy się, przemierzając step, śniegi i lody. Sądzę, że jest bardzo

zadowolony, iż uczyniliśmy zeń sławnego misjonarza O. F. M. Bartłomieja

Cremonensis. Ze strony jego sobowtóra, Wawrzyńca z Orty, nie należy się też raczej

obawiać, że to drobne fałszerstwo wyjdzie na jaw, wszak został patriarchą Karakorum,

niechaj więc wszyscy zadają sobie pytanie, jak tam się dostał. Bartek, odmieniec

jaskiniowy, będzie milczał, choćby we własnym interesie. Uwolniliśmy go zatem po

szczegółowym wybadaniu i pouczeniu, ażeby mógł się udać z powrotem do swego

pana papieża.

Pan Rainaldo z Jenny, wcześniejszy kardynał Ostii, wstąpił bowiem tymczasem na stolec Piotrowy i jak można było się spodziewać na podstawie dawnych, dobrze zachowanych w pamięci upodobań, przybrał imię Aleksander.* Jego poprzednik Innocenty* dostał zawału serca z wściekłości 7 grudnia minionego roku, kiedy to się dowiedział, że król Manfred go uprzedził i niespodziewanym natarciem zdobył skarb koronny cesarza Fryderyka, przechowywany w Lucerze,* strzeżony przez wiernych Staufom Saracenów. Innocenty wysłał tam potajemnie swoje wojsko, ale się spóźnił. I tego było za wiele dla jego ciężko doświadczonego serca. Już pięć dni później konklawe wybrało Szarego Kardynała na jego następcę. Ten pewnie się ucieszy, kiedy zobaczy znowu swego kierownika *Ufficiam Studii Mongalorwn*, wzbogaconego o tak wiele wiedzy o świecie Mongołów oraz doświadczenia wyniesione z osobistych kontaktów z wielkim chanem. Właściwie było już ustalone, że Ksenia wraz z małą Amal zostanie w Konstantynopolu. Hamo z wdzięczności za uratowanie jego rodzzonego dziecka wyznaczył jej dożywotni apanaż, jak również zaproponował jej mieszkanie w pałacu choćby po to, by obie dziewczynki mogły się razem wychowywać i bawić.

Jednakże za jego plecami Szirat wcisnęła jej do ręki ciężką sakiewkę pełną złotych monet, żeby wróciła do Antiochii.

Decydujące dla Kseni było rychłe wypłynięcie triery ze mną na pokładzie.

Zrezygnowana przyjęła propozycję, która propozycją nie była. Szirat chciała w

przyszłości trzymać na dystans kobietę, w której jej córka Alena Elaia przez cztery lata widziała matkę, chciała, żeby miłość dziecka należała tylko do niej. Ksenię po kryjomu

przerzucono na pokład. W ten sposób okazało się, ale dopiero gdy byliśmy już na

pełnym morzu i zostawiliśmy za sobą Złoty Róg, że mam kobietę i dziecko. Chętnie

zostałbym z Hamonem i Szirat, monseigneur Gosset zresztą podobnie. W

Konstantynopolu zostawiłem również, ku największemu ubolewaniu, mego wiernego sługę Filipa. Bardzo przyzwyczałem się do jego troskliwej opieki. Na pożegnanie chciałem go hojnie obdarować, ale odmówił. Poprosił mnie tylko o pierścień „patriarchy” na pamiątkę naszej wspólnej podróży. Podarowałem mu go ze szczerego serca.

Po raz ostatni pod dowództwem penikrata, triera zawiozła nas na Cypr, gdzie dotarliśmy wczoraj, 17 czerwca A. D. 1255, a stąd mieliśmy popłynąć dalej do Antiochii. Przed siedmioma laty pomagałem Roszowi i Jezie w ucieczce z tej wyspy podczas wyprawy krzyżowej. Jak też się wiedzie moim małym królom? Pewnie podążają na spotkanie ze swym przeznaczeniem. Mnie chyba nie będzie już dane dalej im towarzyszyć. Czuję, jak wzbiera we mnie pustka, jakby mdlenie w żołądku — okrutnie mi ich brakowało.

— Kocham was! — westchnąłem spoglądając na morze, które unosiło mnie coraz dalej od nich- Czy kiedykolwiek jeszcze ich zobaczę? — Zapomnijcie o swoim Williamie! — zawołałem; czułem się przy tym tak podle, że chciało mi się płakać. — Nie! Nie zapominajcie o mnie!

L. S.

* Uroczystość św. Piotra Chryzologa—4 grudnia; nauczyciel Kościoła, zm. 450.

* W tym świecie...—Rumi, „A worldinsidethisworld”; przekład na podstawie niemieckiego tłumaczenia P. Berlinga.

* Zatrzymaj się na chwilę... — wiersz Rumiego; przekład na podstawie niemieckiego tłumaczenia P. Berlinga.

* Uroczystość św. Polikarpa — 26 stycznia; uczeń apostoła Jana, zmarł śmiercią męczeńską.

- * Uroczystość św. Efrema — 18 maja; kaznodzieja i poeta (306-373).
- * Uroczystość o b j a w i e n i a św. Michała Archanioła — 8 maja.
- * I t i n e r a r i u m (ł a c .) — opis podróży. Kroniki Williama rzeczywiście zachowały się pod tym tytułem.
- * Aleksander IV — papież w latach 1254—1261, przybrał to imię, bo jego wzorem był Aleksander Wielki, król Macedonii (356—323 przed Chr.).
- * Innocenty IV — papież w latach 1243—1254.
- * Lucera — miasto w Apulii, w pobliżu cesarskiej rezydencji Foggii, zostało założone przez Fryderyka II dla zbuntowanych Saracenów, których usunął z Sycylii. Stali się oni jego najwierniejszymi zwolennikami i Staufowie powierzali im później swój skarb państwowy.

VIII . KWIAT GNIJE

Z tajnej kroniki Rosza Trencavela

Alamut, w ostatniej dekadzie września A. D. 1255

Kiedy schodziliśmy z gór, stalowe płatki Róży błyszczały pomiędzy nisko wiszącymi chmurami, to wydawały się blisko, niemal w zasięgu ręki, to znów w oddali. Promienie słońca zabłakały się także na sierp srebrnego księżyca, który wyłonił się z morza mgieł, i znów byłem gotów poddać się czarowi tego dzieła sztuki.

— Co za kontrast: to wyrafinowanie uduchowionego świata po kumysie, pieczeni baraniej i stepie! — zawołała moja *damma*, która jechała obok mnie przez dolinę.

— Jezabel Esklarmundo — napomniałem ją wbrew własnym odczuciom — zapominasz o Tengrim, wiecznie błękitnym firmamencie niebieskim! Zaśmiała się. —

Zdmuchnijmy na sposób Mongołów pył z płatków Róży, żeby imam zaczął kichać!

Ale niebawem miała nam przejść ochota do śmiechu. Powitanie było imponujące.

Ledwo wjechaliśmy na płaskowyż, rozległy się od strony gór wielkie rogi baranie, a z wierzchołków pozdrawiały nas błyski niewidzialnych zwierciadeł. Hasan wraz z wielkim orszakiem wyjechał nam na spotkanie, a u góry, na platformie, dostrzegłem chyba

drobną postać kapłanki. Pomyślałem o swym starym przyjacielu „Zewie na kółkach” w głębi kotła, gdy zauważyłem z zachwytem, jak oddychają ciężkie płatki Róży, z których

jeden odgiął się ponad fosą, żeby nas przyjąć. Na blankach stali fedaini. Wystrzelili w powietrze zapalone strzały oraz takie, które miały przywiązane na końcu srebrne flety

wydające przeraźliwe piskliwe dźwięki. Przejechaliśmy stępa przez most i przeszli przez wysoką bramę.

I oto pojawił się znowu: tajemniczy system drążków, który wyłaniał się z głębi kotła i przesywał unoszący się w powietrzu pałac, „gniazdo os”, chociaż go przy tym nie

dotykał, po czym znikał w górze wśród krzyżulców. Znów podziwiałem kocioł i jego plastry, a płatanina drabin, schodów, mostów wiszących i grubych lin dźwigów towarowych pomiędzy nimi nie zdradzała, jak genialnie wszystko jest powiązane ze sobą, jak wysoki poziom techniki osiągnięto tutaj i połączono w jednym naczyniu cudów. Ponownie widziałem gliniane ściany, twarde jak granit, a mimo to elastyczne niczym stal damasceńska, z żebrami, rysującymi się na wierzchu niczym nabrzmiące żyły w ściśle obliczonym stosunku napięcia, w którym utrzymane było w Róży wszystko. Oglądałem czyhające w ukryciu balisty, naciągane kołem ogromne kusze i szybkostrzelne katapulty, których cięciwy Zew Ibrahim w czarodziejski sposób wyposażył w *vis laxans**

„Ogień grecki” drzemał w garnkach; smukłe amfory, napełnione *dam al-ard*, czyli „krwią ziemi”, stały tuż obok drewnianych rynien, z których je wystrzeliwano.

Potężna maszyna bojowa, która czekała tylko na okazję do demonstracji swej skuteczności? Pomyślałem o liczącej setki tysięcy nóg armii konnej Mongołów i w swojej wizji miałem przed oczami Różę znikającą w tym centaurowym roju szarańczy.

Widziałem, jak się odsuwa coraz dalej niczym wspaniale opancerzony żuk gnojak na plecach hordy mrówek, którego nogi drepczą w powietrzu, a piękne skrzydła nie zapewniają już ochrony. Odpędziłem te myśli, ponieważ witał mnie właśnie mój stary przyjaciel Zew Ibrahim w swoim krześle na kółkach. Ponieważ Jeżę natychmiast zabrała jej nauczycielka Pola, podążyłem za genialnym budowniczym i twórcą Róży do jego podziemnego królestwa, królestwa Hefajstosa, podobnie jak on kaleki. — Roszu — ozwał się, kiedy usiedliśmy tam przy winie — nie powinniście byli wracać. Różę toczy robak i gnije ona od środka. Popatrzyłem na niego pytającym wzrokiem. W kanałach szumiała woda, „krew ziemi” bulgotała w rurach, koła zębate obracały się jak zawsze, poruszały skrzypiącymi drążkami, przeciwwagi wędrowały spiesznie w górę i w dół, liny odwijają się ze ślimacznicy, a łańcuchy zatrzymywały z łoskotem.

— Imam już zupełnie popadł w obłąd.

— Nieobliczalny i okrutny, gdy chodzi o surowość kar — wtrąciłem — to on był zawsze.

— Teraz jest znacznie gorzej! Kiedy ma ataki, dopatruje się w wielkim chanie daleko stąd potwora z piekła rodem, który przyszedł na ziemię, żeby połknąć Różę. W takich chwilach odkrywa Mongołów nawet wśród rafików. Każe ich poddawać potwornym torturom jako synów szejtana i palić żywcem. Ale kiedy szaleństwo dopadnie go na całego, nawet to mu już nie wystarcza. Odczuwa wtedy nieodpartą potrzebę, żeby dusić podejrzanych własnymi rękoma i własnym członkiem, narzędziem hańby, rozrywać odbyt swoim wiernym poddanym, którzy nie przyznają się do winy. I niemal jak opętany dzień i noc rozmyśla nad tym, jak rozdrażnić Mongołów do żywego. A wraz z waszym powrotem wschodzi złe ziarno, o którym sądzi, że to on je zasiał. — Cóż my z tym mamy wspólnego — oburzyłem się — jeśli szaleniec igra z ogniem! Powinien wiedzieć, że są Mongołowie, którzy czekają tylko na przekonujący pretekst, żeby rzucić się na Alamut.

— Wyście go teraz dostarczyli — odparł ze smutkiem Ibrahim. Do tej pory nie patrzyłem na nasz powrót w ten sposób.

— A dlaczego nie pozbędziecie się zaślepieńca?

—

Psst... — budowniczy położył palec na wargach — ...tutaj ściany mają spiżowe uszy, a ty jesteś aniołem z mieczem ognistym, aniołem śmierci, który zstąpił na ziemię, żeby nas zniszczyć! Czyżby obłąd dopadł także mego starego przyjaciela? Byłem przerażony potwornym widokiem — Sodomą i Gomorą—który otwierał się przed moimi oczami.

— Przybyliśmy, aby zaprowadzić pokój—broniłem się słabo. —Poza tym to nie para królewska wróciła, tylko Alamut w najprawdziwszym sensie tego słowa wyłowił nas i sprowadził tutaj. Nawet w tej chwili jesteśmy gotowi opuścić Różę, jeśli w ten sposób da się zażegnać nieszczęście. Nie wierzę jednak, żeby tak było! — dodałem na koniec.

— Ja też nie wierzę — westchnął Zew—teraz już nie. Prawo przyrody wyznacza okres kwitnienia, okres dojrzewania owoców i czas przemijania, który w metamorfozie albo wydaje zalążek nowego życia, albo przynosi ostateczny upadek — ciągnął. — W Róży czuć smród zgnilizny i zepsucia, które zapowiadają koniec tak, jak krążące sępy zwiastują śmierć chorego zwierzęcia. — A Churszah? — przerwałem mu, rozpaczliwie próbując zmienić temat. Zew opróżnił swój puchar szybciej niż poprzedni, a jego dłoń leciutko drżała.

— Co z Cielakiem? — zapytałem siląc się na żart.

— Ojciec wybiję mu jeszcze z głowy resztki rozumu, chłoszcze go prawie codziennie. Młodzieniec skończy niebawem dwadzieścia lat, a jest traktowany jak trędowaty, parszywy kundel...

— Dlaczego?

— Dlatego że Churszah, ten okropny uparciuch, ilekroć wzywany jest do imama, nie przestaje mówić o pojednaniu z wielkim chanem. Biedak już dwa razy próbował uciekać, żeby oddać Móngkemu hołd w Karakorum. Ojciec omal go nie zaćwiczył na śmierć i wysłał nowych fedainów, żeby wreszcie zgładzili wielkiego chana. A przecież nie wróciło jeszcze nawet pierwszych czternastu.

— I nie wrócą — rzekłem oschle, po czym opowiedziałem mu o mężnej ostatniej walce fedainów w Samarkandzie i o wszystkim aż po wypędzenie mego przyjaciela Umara, nie wspomniałem tylko o swojej mało chwalebnej roli. — Również Crean nie wróci — dodałem, bo nie byłem pewien, czy Jeza poinformuje przyjaciółkę o ofiarnej

śmierci jej ojca. — To jemu Róża zawdzięcza to, że jeszcze żyjemy i jesteśmy tutaj. —

Ach — zauważył zdawkowo Zew Ibrahim — to dobrze dla niego. Crean w głębi serca zawsze szukał jedynie śmierci. Tylko dlatego przebywał wśród fedainów. I w końcu było mu dane przejść przez tę furtkę. Szczęśliwiec z niego! W drugiej dekadzie października A. D. 1255 Zew buduje specjalny stojak, który zamówił imam, żeby z większą przyjemnością i skuteczniej móc chłostać Cielaka, swego jedynego syna. Ma to być koziół na czterech kółkach, a Churszah będzie na nim leżał na brzuchu, przypięty w taki sposób, żeby wystawiał na uderzenia bezbronne plecy i zadek. Uda i ręce zostaną przypięte do czterech drewnianych nóg, dzięki czemu będzie mógł się jeszcze odpychać nogami i poruszać swój pojazd do przodu w próżnej nadziei, iż w ten sposób zdoła uniknąć ciosów bicia. Ponieważ ktoś, prawdopodobnie podły Hasan, doniósł imamowi, że wszyscy nazywają Churszaha wyłącznie *idźl*, czyli Cielak, jego okrutny rodzic wpadł na pomysł, żeby oblec ciało ofiary w skórę cielęcą. Po cichu miałem nadzieję, że to nie mój niewyparzony język sprawił, iż pojawiło się takie określenie.

— Cielęca skóra pozbawi imama ostatnich zahamowań — wyjaśnił mi Zew — i oszczędzi mu widoku krwi.

— Dzięki temu będzie też mógł bić dłużej — dodałem ze znajomością rzeczy — ponieważ nie od razu pęknie skóra chłostanego. — Po czym oświadczyłem, powziąwszy nagle postanowienie: — Pójdę z tobą do imama i zażądam od niego wytłumaczenia. Ani ja, ani Jeza nie widzieliśmy imama od naszego powrotu, dziwiło mnie to coraz bardziej, gdyż dawniej chciał nas mieć przy sobie codziennie, podczas każdej uczy i każdej egzekucji.

— Nie rób tego — wystraszył się Zew — on uważa was za mongolskich szpiegów, gdyż ani Hasan, ani Churszah nie przedstawili mu zgodnie z prawdą tego, co wydarzyło się przy studni w Iskandarze. Według niego zdradziliście Różę, by przejść na stronę

Mongołów...

— Ha — przerwałem mu — a Cielak wpadł w łapy złych Tatarów podczas próby uratowania nas z ich szponów?

— Nie — odparł ze śmiechem mój przyjaciel — co to, to nie! Dla imama jego syn poważyl się wtedy po raz pierwszy zaatakować go od tyłu. Uważa, że Churszah zachował się do tego stopnia idiotycznie, że Mongołowie nie chcieli mu pozwolić, aby towarzyszył im aż do Karakorum, gdzie pragnął złożyć hołd wielkiemu chanowi. Za to Churszah przez cały tydzień wyłącznie obrywał cięgi! -- Jasne, że zachował się idiotycznie — musiałem przyznać — mimo to żal mi go. A jaką rolę odgrywa Hasan? Zew przestał na chwilę ostukiwać młotkiem ciele trojańskie i pociągnął solidny łyk, zanim również mnie dolał wina.

—

Emirowi Hasanowi Mazandariemu pewnikiem zależało na tym, by z jednej strony podsycać jawny obłęd naszego imama Muhammada III, z drugiej zaś pozostawić dziedzica Churszaha w stanie zamroczenia umysłu. Dzięki temu bowiem posiada w Róży nieograniczoną władzę. W tym celu sprzymierzył się na dodatek z madame Połą, a także, nie wiem jak, zapewnił sobie błogosławieństwo cnotliwej naczelnej kapłanki. W ten sposób rzeczywiście trzyma w ręku wszystkie nici... z wyjątkiem moich łańcuchów, rur i drążków. Na nich w ogóle się nie zna. Zostawił mnie więc w spokoju. Zew wypił jeszcze łyk, ponownie opróżniając swój puchar. Pomyślałem, że lepiej go nie pytać o Kasdę, gdyż wiedziałem przecież o sekretnym połączeniu; ostatecznie sam przemierzyłem kiedyś w kuli tę drogę przez żyły i żebra aż do najświętszego przybytku na górze. Zagadnąłem więc tylko o Herlina, któregośmy też jeszcze nie widzieli, odkąd ponownie przebywamy w Róży. Ostatecznie żywił on szczególną sympatię do Jezy,

która nazywała go swoim „mistrzem” i czuła się w jego bibliotece jak w domu. Teraz jednak zabroniono nam bezpośredniego wstępu z gniazda os do biblioteki, ale podejrzewałem, że Jeza na pewno zdoła przekonać Połę, aby pokazała jej inną drogę — o ile sama jej już nie znała. —

Stary Herlin oszalał — opowiadał mi Zew trochę bełkotliwie.

— Wielokrotnie widziano go, jak nago biegał po „raju”, gdzie napastował hurysy, które płały mu różne figle. Imam przysiągł, że każe go wykastrować, jeśli przyłapie go na gorącym uczynku. Podobno władca osobiście czatował na niego przez kilka dni i nocy, gdyż ostatecznie do niego należy ten wybieg dla kur. — Zew wypił już dosyć dużo, prawdopodobnie życie w Róży dawało się znieść jedynie w stanie odurzenia. — Jednakże Hasan zapobiegawczo zamurował staremu lisowi wszystkie sekretne przejścia, które znaleziono za szafami z poźółkłymi foliałami. Teraz biedny mól książkowy pojawia się tylko od czasu do czasu w jednym z okienek wychodzących na „raj” i pokazuje rozbawionym hurysom swoje klejnoty rodzinne. Poza tym w ogóle już nie opuszcza „komory harmonii”. Pani Pola słyszy go jeszcze czasem, jak hałasuje w *magharat at-tanabbuat al-maszuk bi-ha*, „jaskini apokryficznych prorocstw”, o „grocie ostatnich objawień” na pewno już zapomniał.

Wlewając sobie resztę wina z dzbana prosto w gardło, Zew pochlapał się, lecz tego nie zauważył. Różnymi kosztami pojechaliśmy na górę do pałacu. Przekonałem pijanego Zewa, żeby wpuścił mnie na próbę pod cielecą skórę, oczywiście mnie nie przypinając. W ten sposób pragnąłem zaskoczyć imama. Strażnicy przyprowadzili Churszaha ze związanymi rękoma i nogami. Kiedy pokazałem się w zwierzęcej skórze, Cielak z przerażeniem wlepił we mnie oczy. Wzrok miał szklisty, jakby przed zbliżającą się egzekucją wypalił trzyienne racje haszyszu na raz. W końcu jednak mnie poznał i

powoli domyślił się, co zamierzam. — Nie rób tego — wybełkotał przestraszony —
zatłucze cię na śmierć!

Roześmiałem się i kazałem zdezorientowanym strażnikom, żeby zawieźli mnie do
sali audiencyjnej. Przez otwory na oczy w krowim łbie ujrzałem imama, który siedział na
tronie, trzymając już w rękach bicz z hipopotamiej skóry. Kiedy spostrzegł swoją ofiarę, w jego
oczach zamigotał obłęd, a po zaróżowionej, mocno nabrzmiałej twarzy przebiegł
szyderyczy uśmiech.

—
Chodź tu! — rozkazał i zaczął schodzić po stopniach elastycznym krokiem,
jak dalece pozwalał na to jego ciężar.

Zatrzymałem się pośrodku pomieszczenia, zamarkowałem nieśmiałą próbę ucieczki,
tchórzliwie zatoczyłem półkole i — kiedy on tymczasem dotarł na dół i z jawnym
zadowoleniem rozwinął bicz — ruszyłem nagle pędem prosto na niego. W ostatniej
chwili salwował się ucieczką, wskakując na najniższy stopień schodów. Nie zdążył
nawet podnieść ręki do uderzenia. Poza tym *saut al-faras al-bahri* jest na krótki dystans zupełnie
nieskuteczny, a ja podbiegłem tak blisko niego, że musnąłem materiał jego
zbytkowej peleryny. Zawróciłem zwalniając, lecz w dalszym ciągu wystawiając w jego
stronę plecy, i znalazłem się na jego flance. Nie potrafił oprzeć się pokusie i czerwony z gniewu na
nabrzmiałej twarzy udał się ponownie na moją arenę. Ja, udając Cielaka,
uciekałem. Wywabiłem go dalej od schodów, na środek pomieszczenia, schowałem się
bojaźliwie za filarem, a on poczłapał za mną niepewnym, ciężkim krokiem. I wtedy nagle
znów wyskoczyłem, prawie zza jego pleców, prosto na niego. Wystraszony cofnął się,
uderzając plecami w drewnianą balustradę okalającą jeden z okrągłych otworów, skąd
można było spaść w głąb kotła. Pewnie uświadomił sobie niebezpieczeństwo, gdyż w
jego rysach odmalował się błysk przerażenia, zanim z krzywym uśmiechem opuścił
bicz. Gdybym w tym momencie zrobił wypad do przodu, impet jego uderzenia w

barierkę pewnie by ją zniszczył i imam runąłby do tyłu w przepaść. Zamarkowałem taki atak, ale zatrzymałem się w bezpiecznej odległości od niego jak byk przed czerwoną płachtą, wyprostowałem się i zrzuciłem z siebie zwierzęcą skórę. —

Bądźcie

pozdrowieni, dostojny imamie — rzekłem pogodnie — ta zabawa, owoc waszej bogatej fantazji, sprawia mi wielką przyjemność, tyle że powinniście grać rolę byka, a nie kapłana. Imam wybuchnął hałaśliwym i tak fałszywym śmiechem, że aż miło. —

Rozu, boski młodzieńcze — zaczął i ruszył ku mnie, żeby mnie powitać. Nie bałem się go, wiedziałem bowiem, gdzie ukrył sztylet: w lewym rękawie. Dlatego uchwyciłem jego lewą rękę i pozwoliłem, żeby

przycisnął mnie do piersi, a tymczasem tak mówił dalej: — Długo czekaliśmy na parę królewską, której nie zapomnieliśmy, że poświęciła się dla naszego dziedzica i

następcy. — Kiedy wypuścił mnie z objęć, dostrzegłem błysk sztyletu w jego prawej dłoni, zanim imam ukrył go w szerokim rękawie. Po ojcowsku otoczył mnie ramieniem niczym stary przyjaciel. — Rozumiemy, że musieliście nas ukarać, pozbawiając nas swojej przychylności, i dlatego do dziś nie pojawiliście się w pałacu, gdzieśmy was wyczekiwali od chwili waszego powrotu.

— Teraz będzie inaczej — pocieszyłem go za to bezwstydną kłamstwo.

— Z pewnością — przytaknął, poklepał mnie po plecach i osobiście odprowadził do drzwi sali audiencyjnej. — Straże! — zawołał zupełnie życzliwym tonem. — Wsadźcie naszego przyjaciela do więzienia! — Jego wzrok padł na związanego Churszaha. — I przyślijcie mi tu wreszcie Cielaka, żeby dostał dziś podwójnie to, na co zasłużył!

Rozwinął swój bicz z hipopotamie) skóry i jeszcze skinął mi na pożegnanie, kiedy mnie odprowadzano. Moje więzienie znajduje się w piwnicy, w królestwie Plutona, tuż obok

warsztatów mojego „Zewa na kółkach”. Ale — jego zdaniem — jedyne klucze ma Hasan. Zew zaopatruje mnie także w pergamin oraz inkaust, żeby nie dłużył mi się czas pozostały do mego „ukarania”. Obiecał mi, że zawiadomi Jeżę, aby się nie martwiła.

L. S.

Z tajnej kroniki Jezy

Stwierdziłam, że moja przyjaciółka Pola ogromnie się zmieniła, stała się bardziej władcza i nasza bliska zażyłość z dawnych dni przeminęła. Prawie nie interesowała się tym, że jestem teraz także kochającą kobietą z wszelkimi problemami i pytaniami, jakie z tego wynikają i jakie miałam nadzieję rozwiązać z jej radą i pomocą. Wydaje się, że dawna nauczycielka zazdrości mi mojego młodego szczęścia i ilekroć zaczynam mówić o swojej miłości do Rosza, robi się opryskliwa. Mężczyzn traktuje wyłącznie z gorzkim szyderstwem, a podległym jej hurysom odmawia nawet szyderstwa, tak bardzo gardzi tymi dziewczętami.

Róża zbyt długo już stoi w wodzie, którą doprowadził do niej kiedyś Zew Ibrahim — powiedziała. — Woda stała się gnojówką, Róża cuchnącym kaczeńcem, a Zew pijakiem... --- A stary Herlin, mój mistrz? — zapytałam, niczego nie podejrzewając. Wtedy Pola wściekła się jak diabli, lecz także zrobiła się rozmowna. — Ponieważ rano przestałam się zajmować jak trzeba jego starczym fallusem, nabrzmiałym tylko przez parcie na pęcherz — syknęła, od słaniając w ten sposób bezwstydnie swój dawny związek z moim ukochanym mistrzem — uważał, że musi odgrywać rolę Amora, a nawet gorzej, ogrodowego boga miłości, który próbuje straszyć w „raju” głupie gąski. Herlin zapomina tylko o tym, że brakuje mu najważniejszego: daru Priapa — szydziła.

Uznałam, że muszę stanąć w obronie mojego mistrza. Po co kazał mi czytać greckich

poetów i cierpliwie mi ich objaśniał?

—

Rzadko który bibliotekarz posiada tak rozległą wiedzę — zaproponowałam śmiało — syn Wenus i Bachusa, chętnie bym go znowu zobaczyła... — Kogo — drwiła Pola — starego czy jego klejnoty rodzinne? Kiedy zobaczyła moją minę zgorszona tym sprośnym tonem — wiem, że pojawia się wtedy na moim czole „staufowska” zmarszczka — roześmiała się i wzięła mnie w objęcia jak za dawnych dni. — Jestem taka wściekła — wyznała — bo nie znoszę obserwować upadku, ani własnego, ani innych. Chętnie zachowałabym w pamięci naszego poczciwego Herlina takiego jak za słonecznych dni rozkwitu Róży, kiedy radował moje serce wierszami i dzięki delikatności i doświadczeniu odnawiał potajemnie ogródek małej dziewczynki, który imam, jego właściciel, brutalnie niszczył. Za to kochałam Herlina przez długi czas, ale teraz już nie potrafię. Jestem zmęczona — poskarżyła się cicho łamiącym się głosem — mam dość fruwania po kraju niczym stara wrona jako *al-muchtara* i wybierania jaj z gniazd dla tego nienasyconego szaleńca, żeby mógł je rozbijać, wypijać żarłocznie i okrutnie odrzucać. „Raj” jestusiany skorupkami nie wyklutych łabędzi, słowików, które nigdy nie śpiewały, skowronków, które nigdy nie mogły wzbić się w niebo. Chociaż to nie ich wina, kłapią tam dziobami wyłącznie głupie gęsi... a w końcu trafiają na rzeź! Pola ukryła twarz w dłoniach. Postarzała się, pomyślałam. Płakała. Spomiędzy jej szczupłych palców ściekała czarna jak sadza pasta, którą maskowała zmarszczki pod niegdyś tak pięknymi oczami. Wzięłam ją w objęcia. Mnie też było smutno. Co też stało się z tą wspaniałą Różą? Pola podniosła wzrok. Również ja usłyszałam kroki. — Schowaj się! — syknęła z mieszaniną irytacji i strachu w głosie. — Nienawidzę emira — zwierzyła mi się, jakby musiała się wstydzić tego gościa — ale

muszę być uległa jego woli. On ma władzę... Urwała, ponieważ wepchnęła mnie

tymczasem do zamaskowanej jako szafa alkowy, tuż za rozłożystym łóżem.

Rozejrzałam się ciekawie. Była to ubieralnia, o której istnieniu nigdy mi dotąd nie mówiła. Małe pomieszczenie wypełniały skrzynie i skrzynki pełne drogocennych sukni, uwodzicielskich szat i drogich klejnotów. Wtem odkryłam drążek grubości ramienia.

Prowadził od dziury w suficie przez całe pomieszczenie, które opuszczał wewnątrz niebieskiej skrzynki. Otwór był wystarczająco duży, aby przecisnął się przezeń

mężczyzna. Niejasne było dla mnie, skąd dochodzi ten ukośny drążek — mój Rosz

wiedziałyby od razu! Pod nami znajdowała się jednak biblioteka magistra Herlina, *kubbat al-musawa*, byłam tego absolutnie pewna.

Przed zjechaniem do „komory harmonii” chciałam wszakże usłyszeć, co ma do

powiedzenia Hasan. Dlatego podkrađłam się do ściany szafy i zerknęłam przez

szczelinę w drewnie. W komnacie stał emir — całkiem nagi! Potarłam oczy, lecz nic się nie zmieniło poza tym, że teraz podszedł na czworakach do łóża, na którym Pola pół

siedziała, pół leżała z nogami zgiętymi w kolanach, zwracając się ku niemu.

Wyobrażałam sobie, jaki widok ukazuje się jego oczom. Emir zbliżył się, aportując w zębach bicz—zupełnie tak samo jak posłuszny pies — i składając go u stóp Poli. —

Wiesz, pani, że mogę cię uczynić władczynią u mego boku...

Ledwo wypowiedział te słowa, plasnęło pierwsze uderzenie w jego plecy, Pola nawet się nie podniosła, żeby je zadać. Hasan jęknął.

—Nie zniosę dłużej imama — ciągnął — pragnę jego śmierci! Za to dostał następny cios, który jak mi się wydawało, przyjął z radością, chyba że bicie nie sprawiało Poli większej przyjemności; może wstydziła się wiedząc, że jestem świadkiem tej sceny.

—

Nie jestem także gotów — kontynuował swoją spowiedź — przyglądać się

Cielakowi obdarzonemu boską władzą jako imam, również Churszah musi umrzeć...

Oczekiwał następnej porcji chłosty, lecz Pola zmieniła zamiar. — Nie uczynisz ze mnie władczyni, tylko poniżysz mnie do roli powiernicy i pomocnicy w twych brudnych planach przewrotu! — W nagłym porywie wściekłości zaczęła okładać emira. — A gdy już dojdiesz do władzy, poszukasz sobie hurys jako konkubin. Hurys! Hurys! Hurys!

— Za każdym razem na plecy Hasana spadał mocny cios. — Gruba Lajla? Aziza, górską koza? A może — wyczerpana przestała go bić — masz chrapkę na Kasdę, moją cnotliwą siostrę? Tym razem nie uderzyła, gdyż emir podniósł głowę i błyszczącymi oczyma spojrzął na nią z nienawiścią. —

Nie powiedziałbym, że tak zupełnie nie

masz racji, *al-muchtar*, niewątpliwie kapłanka lepiej nadaje się na władczynię u mego boku. To rzekłszy wstał, cofnął się w głąb komnaty i przyodział. Pola oklapnięta

siedziała dalej na posłaniu. Pośród złowrogiej ciszy, jaka zapadła, zatrzeszczała ściana szafy, pewnie za mocno się o nią oparłam.

Ujrzałam, że wzrok emira wędruje ponad głowę Poli i pada przez szczelinę na moje oko. Hasan chwycił swój ciężki paradny sztylet i ruszył w moją stronę. Szybko odskoczyłam w głąb pomieszczenia i spróbowałam otworzyć niebieską skrzynię, w której zniknął zbawczy drążek i musiał prowadzić w dół do Herlina. Skrzynka była zamknięta. Drewniana ściana otworzyła się, sięgnęłam po swój sztylet ukryty we włosach, a w następnej chwili w pomieszczeniu stanął emir, śmiejąc mi się w oczy.

—

Jaka śliczna szpilka do włosów, księżniczko Jezo — powiedział uprzejmie i

wyciągnął rękę. Wzrok miał tak kłujący, że moja zaciśnięta dłoń rozluźniła się i

bezwolnie oddałam mu broń. Przyjrzał się jej bacznie, po czym rzekł zupełnie

niespodziewanie: — Chętnie się z wami zamienię. Zręcznym ruchem odpiął od pasa

drogocenny paradny sztylet. Wyciągnął go z pochwy: trójgraniaste ostrze, szlifowany, elegancko zakrzywiony. Następnie schował z powrotem śmiercionośne ostrze i uruchomił mechanizm przy rękojeści, z której wysunął się nagle ostry czekan—to nie mniej straszliwa broń, jeśli użyć pochwy o stalowym grzbiecie jako trzonka. Z satysfakcją złożył czekan i podał mi mordercze narzędzie. —

Weźcie to w zamian!

To nie była propozycja, tylko ubity targ. Byłam w jego ręku, mimo że jego „prezent” w moim ręku palił mnie niczym ogień. Skinęłam głową, musiałam skinąć, choć byłam przywiązana do małego sztyletu ukrywanego we włosach, wszak towarzyszył mi wiernie w wielu niebezpieczeństwach. Hasan opuścił ubieralnię bez pożegnania. Zazgrzytała zasuwka, zadzwonił klucz w zamku. Zostałam uwięziona. Przez szparę w drewnie zdążyłam jeszcze zaobserwować, jak wyprowadza Połę z sypialni.

W jaką grę grała moja dawna przyjaciółka?

Czekana od emira użyłam najpierw do wyważenia skrzynki, w której zniknął gruby drążek, prowadzący najpewniej w dół. Kiedy ją jednak otworzyłam, okazało się, że otwór, przez który mógł się przecisnąć mężczyzna, jest zamurowany. Drążek był zbyt gładki, żeby wspiąć się o nim do sufitu, ale czekanem mogłam wyciąć na nim karby — albo porąbać na kawałki drzwi szafy, gdyby zaszła taka potrzeba. Jednakże na razie czułam się tu bezpiecznie. Czy dokładnie taki był zamiar Hasana? Poza tym zamiana nie miała właściwie sensu. Żadnych pochopnych kroków, Jezo, powiedziałam sobie i zaczęłam spokojnie badać zawartość ubieralni. Kosztowne suknie bardzo mi się podobały. Postanowiłam je przymierzyć.

L. S.

Pola i Hasan wyszli na zewnątrz i stali na blankach, w jedynym miejscu w Alamacie, gdzie można było porozmawiać, nie będąc podsłuchiwanym. -- Najmilszy, musiałam

zachować się tak głupio — rzekła Pola i przytuliła się do niego — nie wiedziałam, jak się zachować, i chciałam...

— Dajmy temu pokój — odparł opryskliwie emir. — Imamowi chodzą po głowie potworne zachcianki, odkąd spotkał Rosza w zwierzęcej skórze. Teraz wyobraża sobie pod tą skórą nagi zadek młodzieńca i nie chce go już chłostać biczem, tylko grzmocić własną maczugą...

— Czego nie wolno mu robić ze swoim synem.

— I co pewnie go nie podnieca — dodał emir. — Dzięki temu pojawi się możliwość podsunięcia naszemu czcigodnemu imamowi jadowitego skorpiona pod przykrywką żądzы cielesnej, bo jak znam Rosza, to będzie się bronił przed takim poniżeniem. I w ten sposób dowiedziona obrona konieczna oszczędzi nam morderstwa. Pola była przerażona.

— A co stanie się potem z Roszem?

— Przypuszczam, że osądzenie go będzie pierwszą i zarazem ostatnią czynnością urzędową Churszaha, zanim Jeza z zemsty zabije Cielaka.

— Jesteś okropny — wyrwało się Poli wraz z jęknięciem, które emir mógł odczytać jako wyraz podziwu. — A co się stanie z Jeżą?

— To będzie już w okresie naszego panowania; ja wydam wyrok skazujący, ty ją ułaskawisz — odparł — albo i nie. Pola długo milczała, patrząc w dół z blanków.

Władczyni Róży? Zwiędli i zatruci są wszyscy, którzy w niej działają, czy to sługa, czy pan — wszyscy są skazani na zagładę. W takiej sytuacji na pewno lepiej będzie przeżywać ten koniec na tronie jako królowa, niż zdychać na dole w kotle. Także zgnilizna ma swoje uroki, pomyślała Pola i roześmiała się piskliwie. — Zawsze sądziłam — przypomniała Hasanowi ochrypłym głosem — że chciałeś nastreczyć Churszahowi Jeżę jako matkę przyszłego imama, żeby ród izmailitów nie wygasł. —

Jeśli ci dwoje, zamiast się zabijać, zadbają wpierw o kontynuację linii, będzie mi to nawet bardziej na rękę. Po dokonaniu zapłodnienia byczka można zarznąć, ty zaś uratujesz życie swojej przyjaciółce Jezie, przynajmniej na czas brzemienności, położu i karmienia. A potem... — Masz rację, najmilszy — szepnęła Pola — z małoletnim imamem, jeszcze dzieckiem, rządzi się łatwiej, o ile naturalna matka nie przeszkadza.

Roześmiała się — mądra współniczka — i lekką stopą oddaliła się od niego. Hasan patrzył za odchodzącą w zamyśleniu, potem jego wzrok powędrował w górę, ku smukłemu minaretowi, gdzie mieściło się obserwatorium Alamutu. Pod sierpem srebrnego księżyca rozpoznał sylwetkę kapłanki. Kasda patrzyła na niego z wysokości, pewnie widziała go wcześniej z Połą. Emir uklonił się i energicznym krokiem wszedł do kotła.

Przywołał kilku ślepo mu oddanych fedainów i rozkazał im udać się do więzienia

Rosza w piwnicy, nagiego przypiąć do *hamalat at-tariby*, * przykryć zwierzęcą skórą i przewieźć na górę do pałacu. Ale szybciej, niż jego ludzie zdążyli wykonać rozkaz,

wieść o rodzaju zbliżającej się chłosty dotarła już do Zewa Ibrahima. Ten przetoczył koziół pod zakratowane drzwi lochu.

—

Uważaj, mój książę — wyjaśnił więźniowi — tym razem twoje uda i ramiona będą trzymać żelazne klamry, a Hasan przypilnuje, żeby były napięte i wyprężone. Ale jeśli naciśniesz rękami w tym miejscu przy przednich nogach kozła... — pokazał mu — to tylna para klamer, która rozciąga na boki twoje uda, otworzy się i będziesz mógł chodzić. Albo kopać do tyłu. Rosz zobaczył, jak dwie półobręcze rozwierają się nagle, i pełen ufności skinął głową.

— Jeśli natomiast trafisz wolnymi nogami w ten poprzeczny drążek między tylnymi

nogami kozła, to otworzą się z przodu obejmij na ręce. Mam nadzieję, że emir nie zauważy tego mechanizmu działającego na krzyż, i zdołasz obronić własną skórę.

— Masz na myśli nienaruszalność mojego zadka! — odparł szyderczo Rosz, lecz w tym momencie weszli już do piwnicy ludzie Hasana. Pola pośpieszyła do swoich komnat. Przywołała Jeżę do zamkniętej ściany szafy i zaczęła spieszenie rozmawiać przez szczelinę.

— W kącie stoi zielona skrzynia pełna szat. Opróżnij ją i wejdź do środka! Kiedy zamkniesz wieko nad sobą, u dołu otworzy się dno i będziesz mogła wyczołgać się korytarzem, który zaprowadzi cię do biblioteki. Dalej musisz już sobie sama radzić...

A jeśli dno się nie otworzy — odparła nieufnie Jeza — to będę bezbronna siedzieć w pułapce i twój Hasan może mnie kazać wynieść, gdzie mu się podoba. — Odwróciła się od przyjaciółki zdrajczyni i zawołała: — Nie, ani myślę uciekać! Pola zabębniła pięściami w drzwi szafy. —

Tu nie chodzi o twoją ucieczkę, Jezo! — prychnęła z

wściekłością. — Rosz jest w niebezpieczeństwie! Trzeba go ratować! Weź ze sobą broń Hasana, *baka wa-handżar*,* gdyż musisz przeszkodzić szalonemu imamowi. Szybko,

biegnij do pałacu! — Zerknęła przez szczelinę. — Odszukaj go! Znajdź go! Zabij go! —

syknęła i dopiero kiedy zobaczyła, że Jeza ruszyła ku skrzyni, odetchnęła z ulgą i

opuściła swoją sypialnię. Hasan sprawdził dokładnie pęta Rosza, leżącego na brzuchu

na „koźle do chłosty”, po czym posłał Churszahowi pytające spojrzenie. Ten apatycznie skinął głową i Hasan z powrotem rozłożył cielecą skórę na muskularnym ciele, a

następnie dał strażnikom znak, by zawieźli ofiarę do komnaty imama. Obaj

obserwowali, jak gołe stopy młodzieńca wydają się opierać losowi, jaki go czeka, ale

koziół popychany był nieubłaganie do przodu.

Hasan celowo zadbał o to, żeby Churszah był przy nim w trakcie zbliżających się

wydarzeń, aby później mógł zaświadczyć, że on, Hasan, się nie wtrącał. Cokolwiek miało się zdarzyć, działo się na życzenie i wedle najściślejszych zarządzeń władcy. Jeza wyrzuciła na podłogę ubieralni drogocenne szaty, jedwabne tuniki, obszywane perłami i brokatem peleryny. Stroje przyszłej władczyni, pomyślała ze złością. Postukała palcem w obite aksamitem dno pustej skrzyni. Odgłos był głuchy. Jeza zebrała się więc na odwagę, usiadła w środku, wciągnęła głowę i opuściła sklepienie wieko. I w tej samej chwili spadła, z niewielkiej wysokości, ale lądowanie było twarde. Na dole rzeczywiście był jakiś korytarz, bardziej obmurowana rura. Kiedy Jeza wpełzła do środka, kłapa natychmiast zamknęła się z powrotem. Potem przypomniała sobie, że w pośpiechu zapomniała czekana, który zostawiła w ubieralni. Ma teraz jeszcze zawrócić? Nie! Musi być możliwość uwolnienia Rosza także bez śmiercionośnego *baka wa-handżar*. Była jednak zła na siebie, kiedy czołgała się na czworakach do przodu, że nie ma już przy sobie własnego małego sztyletu. Pośrodku sypialni władcy wszystkich izmailitów, imama Muham-mada III, stało szerokie łóżko. Cztery alabastrowe filary dźwigały baldachim. Na jednym z małych mosiężnych stolików, zwanych *tarabeza*, leżał sztylet Jezy. Rosz natychmiast go wypatrzył i dręczyło go pytanie, jak mógł tutaj trafić. Czyżby Jeza jeszcze przed nim padła ofiarą szaleńca? Wezbrały w nim strach i zimna

wściekłość, musiał się opanować i pomyśleć o swoim położeniu.

Imam miał na sobie obszerną pelerynę z fioletowego adamaszku, a pod spodem — nic! Rosz wiele słyszał o potężnych genitaliach władcy, ale gdy peleryna się rozchyliła, przestraszył się mocno. Taki narząd byłby chlubą każdego ogiera! Na razie zwisał, lecz

Rosz wolał sobie nie wyobrażać, jak wielki będzie w pełnym wzwodzie. Ale na to imam nie zamierzał się zdawać. W rękę trzymał laskę, która na pierwszy rzut oka

przypominała berło. Po bliższych oględzinach okazywało się, że to długi widelec z jednym zębem wykrzywionym w kształcie haczyka. Za pomocą tego narzędzia imam

mógł trzymać swoją ofiarę na dystans, gdyby znowu zachowywała się tak agresywnie

jak poprzednio, a także dźgać ją szpetnie w miękkie części ciała lub przyciągać do

siebie. Wystarczyło zaczepić hakiem jedną z drewnianych nóg kozła lub wbić hak bezpośrednio w ciało będące obiektem jego pożądania.

Władca stał w ten sposób, że kiedy wepchnięto Rosza do komnaty i zamknięto za nim drzwi, pomiędzy imamem a młodzieńcem znajdowało się łożo. Obserwowali się. Rosz uwolnił ręce za pomocą nóg już przy wejściu, ale zręcznie udało mu się to ukryć. Jednakże choć naciskał rękami mechanizm z przodu, jego rozwarte uda pozostawały w żelaznym uścisku klamer o szerokości dłoni.

Odpychając się często nogami, przetoczył swój pojazd tak, żeby mieć potwora na oku. Imamowi spodobała się zabawa między kolumnkami baldachimu, zwłaszcza że zauważył ograniczoną swobodę ruchów swojej ofiary. Widok zgrabnego, jędrnego zadka pod zwierzęcą skórą mocno go podniecał. Imam zasugerował wypad w lewo, a kiedy Rosz obrócił się w przeciwną stronę, skoczył w prawo. Tym razem Rosz nie mógł przebiec obok niego, a więc szarpnięciem tylko obrócił kozioł i wycofał się za filar, zaraz jednak usłyszał tuż za sobą zdyszany oddech swego prześladowcy i poczuł ukłucie w pośladek. Obiema nogami zahamował gwałtownie, nieprzygotowany imam wpadł na niego i uderzył się boleśnie swym końskim fallusem o żelazne obręcze. Zawył z wściekłości, a Rosz wykorzystał ten moment, by odepchnąwszy się z całej siły, wykonać obrót dookoła własnej osi, dzięki czemu znów miał swego dręczyciela przed sobą. Imam próbował uderzyć go laską, lecz Rosz tylko na to czekał. Wyrzucił ręce do przodu, chwycił za hak i go przytrzymał. Władca ciągnął za drugi koniec. Obaj dążyli do tego, by wyrwać przeciwnikowi z ręki jedyny oręż. Wtem Rosz przypomniał sobie o sztylcie Jezy na *tarabecie*, który nagle znalazł się w jego zasięgu, ale jego spojrzenie nie uszło uwagi imama. Ten był szybszy, chwycił sztylet, rzucił się do przodu i przejechał ostrzem po grzbiecie dłoni młodzieńca. Rosz nie czuł bólu, myślał tylko o tym, że tamten jedną ręką nie zdoła długo utrzymać haka; wyrwał mu go z ręki i dopiero

wtedy zobaczył krew. Wytrącił imamowi z dłoni sztylet, który upadł na łożo. Ponieważ nie mógł dosięgnąć broni rękami, próbował odsunąć ją hakiem poza zasięg przeciwnika. Ale ciężki mężczyzna, którego nie posądzałby o taką zwinność, okręcił się dookoła filaru i zważył całym swym ciężarem na uchwyt haka, wytrącając Roszowi z ręki łamiące się drewno. Młodzieniec jęknął z bólu, starzec zarechotał grubiańsko i położył obie ręce na tylnej części kozła, po czym przewrócił go, przodem, na łożo, odbierając w ten sposób Roszowi jakąkolwiek możliwość ucieczki. Wciąż jeszcze się śmiejąc, dysząc z wysiłku i drżąc z podniecenia, imam ściągnął z niego zwierzęcą skórę. W tym momencie ze ściany wyszła Jeza. Imam wpatrywał się w nią, jakby to była zjawą. Jeza zobaczyła na podłodze swój ukochany sztylet i schyliła się po niego. Imam zostawił Rosza i przeszedłszy przez łożo, ruszył groźnie w jej stronę. Dziewczyna wpatrywała się w jego genitalia, które właśnie wysunęły się spod płaszcza. Rzuciła w niego sztyletem. Za wcześnie — ostrze nie drasnęło nawet jego szyi, tylko utkwilo, drgając, w drewnianej okładzinie kryjącej ścianę. Władca zdjął płaszcz, lecz jedynie po to żeby zarzucić go na Jeżę, tak jak ptasznik zarzuca sieć na upatrzoną ofiarę. Zanim zdążyła się uwolnić, uderzył pięścią postać spowitą w adamaszek tak mocno, że osunęła się na ziemię. Rosz pośpieszył jej na pomoc w rozpaczliwych, krótkich podskokach tylko po to, by wydać się na pastwę nagiego szyderstwa zwycięzcy. Imam rzucił się z rozkoszą od tyłu między uda swej bezbronnej ofiary. Wtedy Rosz podniósł nogi w górę i kozioł popędził, popychany ciężarem wolnego od wszelkich zahamowań kochanka, prosto na jeden z filarów. Wystraszony Rosz wciągnął głowę w ramiona i zasłonił ją dłońmi, a tymczasem imam leżał na skórze bezbronny. Kiedy *hamala* uderzyła w filar, jego masywne ciało pomknęło jak strzała po gładkiej powierzchni. Odgłosy rozbijanego alabastru i pękającej ludzkiej czaszki zlały się w jeden potężny trzask. Ciało dręczyciela pogrzebało Rosza pod sobą. Dopiero kapiąca na niego krew uświadomiła

oszołomionemu młodzieńcowi, że imam nie żyje. Nieśmiało zawołał imię Jezy, ale nie dostał odpowiedzi. Nie mógł się obrócić w jej stronę, koziół zakleszczył się w kikucie filaru. Wtedy otworzyły się drzwi i do pomieszczenia zajrzał Hasan, a za nim Churszah. Jednym rzutem oka emir upewnił się, że sztylet Jezy nie leży już tam, gdzie go umieścił.

—

Rosz go zabił — stwierdził oschle, kiedy zobaczył, że ten jeszcze żyje. —

Imamie Churszahu, do was należy wymierzenie mordercy sprawiedliwej kary. Churszah nie mógł oderwać oczu od martwego ojca, ale w końcu wziął się w garść i kazał strażnikom przynieść jakąś skrzynię.

—

Życzymy sobie, żeby zwłoki naszego ojca wraz z morderczą bronią były w niej przechowywane, dopóki nie odbędziemy sądu! — Tym samym Cielak objął władzę w „gnieździe os”. Churszah chwycił faworyta ojca za rękaw i wyciągnął go z pomieszczenia. — Drogi emirze Hasanie Mazandari, wszak obaj chcemy, żeby okoliczności zbrodni zachowały się w stanie niezmienionym, a przede wszystkim nie wzbudzając żadnych wątpliwości, czyli tak, jak wszystko zastaliśmy. Dlatego każdy powinien wiedzieć, że nie weszliśmy do tego pomieszczenia. To rzekłszy, zamknął drzwi i zrobił dwa kroki do tyłu. Hasan spojrział na niego niepewnie.

— Ale wy też widzieliście, że to sztylet Jezy spowodował śmierć...

— Na razie wystarczy nam to, że imam nie żyje — odparł spokojnie Churszah. —

Cała reszta się znajdzie, także sztylet. Emir jednak nie ustępował.

— Kazałbym natychmiast aresztować dziewczynę, przynajmniej jako współniczkę —

upierał się oburzony opanowaniem Cielaka, który bynajmniej nie porykiwał stropiony, a

tym bardziej nie domagał się zemsty.

— Sami porozmawiamy z Jeżą — oznajmił młody imam. — Udajcie się do księżniczki i zameldujcie mnie. Ku swemu ogromnemu ubolewaniu Hasan nie znalazł powodu, żeby uchylić się od natychmiastowego wykonania tego rozkazu. Jakże chętnie rzuciłby jeszcze okiem na zwłoki i zobaczył na własne oczy sztylet w śmiertelnej ranie. Strażnicy przynieśli skrzynię. —

Ułóżcie w trumnie zwłoki tak, jak je zastaniecie —

poleciał im Churszah, zanim weszli do sypialni. — Zamknijcie i zapieczętujcie ją dobrze.

A potem powieście na linach pod pałacem, żeby każdy z moich fedainów mógł ją widzieć! — Strażnicy skinęli głowami. — I odwiążcie

Rosza, i zaprowadźcie go z powrotem do więzienia! Churszah udał się do sali

audiencyjnej i usiadł na osieroconym tronie. Pragnął spokojnie zastanowić się nad

wszystkim, ale już zjawił się Hasan, mówiąc, że Jeza go oczekuje. — Oto klucz do jej

celi — przymilał się emir — która znajduje się za posłaniem *al-muchtary*. — I dodał

konfidencyjnie: — Nikt nie przeszkodzi wam w zapłodnieniu księżniczki. — Usilnie

starał się przybrać na powrót poufały ton człowieka górującego przymiotami umysłu. —

Nie ma lepszej wybranki niż córka Graala, by spłodzić z nią przyszłego imama! —

zażartował, po czym dodał surowo: — Podtrzymanie i kontynuowanie linii imamów

wszystkich izmailitów jest waszym pierwszym i najważniejszym obowiązkiem. Churszah

spojrzał na niego tak, jakby nie słuchał go uważnie. Jego zamglone spojrzenie zwróciło

się w dal.

—

Nasze zaślubiny i egzekucję mordercy urządzimy równocześnie w sposób

uroczysty i godny naszego dostojnego ojca.

Z tajnej kroniki Jezy

Imam nie żyje! Gdybym na własne oczy nie widziała, jak rozbił sobie czaszkę, uważałabym to za okrutne mamidło. Kiedy się przekonałam, że uszło z niego całe życie, Rosz natomiast żyje, moje przerażenie ustąpiło miejsca radości.

Stałam jeszcze, jakbym wrosła w ziemię, słyszałam głosy Hasana i Churszaha, którzy nie weszli jednak do sypialni imama, gdy za mną otworzyły się w ścianie sekretne drzwi. Wysunęła się z nich ręka Poli, która chwyciła mnie i wciągnęła do pomieszczenia ukrytego za drewnianą okładziną. Nie powiedziała ani słowa, jej ręka wskazała rozkazującym gestem korytarz, którym się tutaj dostałam.

Oszołomiona ruszyłam nim z powrotem, niezdecydowana, czy udać się do biblioteki do mojego mistrza i wtajemniczyć go w sprawę. Huczało mi jeszcze w głowie po ciosie zadany przez imama, kiedy nie mogłam się bronić, bo byłam zaplątana w jego płaszcz. Wróciłam do ubieralni i wygramoliłam się z zielonej skrzyni. Niedługo potem usłyszałam kroki; ktoś zbliżył się do drzwi szafy, które nadal były zamknięte. Obawiałam się, że może to być Hasan, który w milczeniu i oddychając niesamowicie ciężko, obserwuje mnie przez szczelinę. I faktycznie to był on. Jego ostry jak nóż głos przeniknął przez drewno. —

Dostojny imam Churszah zaszczyci was wizytą, bądźcie w pogotowiu! Następnie kroki oddaliły się. Cielak nie kazał na siebie długo czekać. Ledwo zdążyłam poprawić strój, gdyż moja suknia ucierpiała podczas przeciskania się przez ciasne korytarze. Cała była wybrudzona i miała wyrwaną dziurę. Wzięłam sobie najskromniejszą, jaką udało mi się znaleźć wśród szat Poli, pozostałe wcisnęłam z powrotem do zielonej skrzyni. Pomyślałam, że skoro Cielak został teraz imamem, to ja przyjmę go też jak księżniczka krwi. Ale czego on chce ode mnie?

Ledwo opuściłam wieko, obrócił się klucz w zamku i przede mną stanął uśmiechnięty

Churszah. Gestem pełnym galanterii pozwolił mi wyjść z mojego więzienia i zaofiarował miejsce na łożu Poli. Przycupnęłam na brzegu, nie za bardzo wiedząc, jak się zachować. — Jezo, czy mogę usiąść obok was? — usłyszałam. Odsunęłam się odrobinę, choćby po to żeby nie dopuścić do żadnych intymności. — Czy chcecie zostać moją żoną? — zapytał prosto z mostu, ale nie patrząc przy tym na mnie. — Nie! — odpowiedziałam szczerze. Zasmucony spuścił głowę.

— Rosz zabił mojego ojca... Czyżby zamierzał mnie szantażować? Niemożliwe, żeby chciał aż tak uprościć sobie sprawę! Jednak rzeczywiście był cielakiem.

Oświadczyłam więc stanowczo: — To nie Rosz, ja to zrobiłam.

Wyglądał na jeszcze bardziej zmartwionego niż poprzednio, lecz posłał mi badawcze spojrzenie. —

Czym?

—

Swoim sztyletem! — odparłam zuchwale, a jednocześnie poczułam, jak oblewa mnie fala gorąca, gdyż właśnie uświadomiłam sobie, że zapomniałam wyciągnąć go ze ściany. Churszah popatrzył na mnie z niedowierzaniem. — Tym tutaj...?

I wskazał mój sztylet, który teraz, kiedy szafa była otwarta — pewnie Hasan przed chwilą też go nie zauważył — leżał u naszych stóp na podłodze ubieralni. Przegrałam, więc powiedziałam cicho: — Będę wam uległa, ale nie zabijajcie Rosza!

Nie chcąc, aby wpadł na głupią myśl i przyjął moją propozycję jeszcze tu i teraz, na posłaniu Poli, zsunęłam się powoli z łoża. Gdybym padła mu do stóp, mogłabym dosięgnąć ręką swojego sztyletu. Ale Churszah wstał, w ogóle nie patrząc na mnie. — Morderca zostanie zabity — rzekł jakby nieobecny myślą. Wydawał się bardzo

smutny. Najchętniej bym go uściskała ze szczęścia, gdyż nie ulegało chyba najmniejszej wątpliwości, że imam sam wysłał siebie na tamten świat; w każdym razie — w normalnym procesie przed sądem — nie można by zwalić winy za jego śmierć na Rosza, który był przywiązany do kozła, a ponadto nie miał przy sobie broni. A w najgorszym razie był to pojedynek na śmierć i życie, który imam przegrał. Kiedy Churszah wyszedł ode mnie, miałam czas zastanowić się, w jaki sposób trafił tutaj sztylet. Czy to Hasan przyniósł go z powrotem? W takim wypadku powinnam się martwić, gdyż on prawie nic nie robi bez ukrytego zamiaru. Podniosłam swoją broń i schowałam ją we włosach. Kto wie, co nas jeszcze spotka!

L. S.

Z tajnej kroniki Rosza Trencavela

Alamut, w pierwszej dekadzie października A. D. 1255

Pozwolono mi przyglądać się Zewowi podczas wykonywania narzędzia egzekucji.

Mój przyjaciel miał zająć się tylko robotą rzemieślniczą, żelazne krzesło wymyślił młody imam. Churszah nazwał je *ka'imat at-tafkir*, „tron wspominania”, na pamiątkę ostatniego, niespełnionego życzenia jego dostojnego ojca, zanim ten roztrzaskał sobie głowę.

Tron składał się z czterech słupków i bardzo wysokiego oparcia. Ale także nogi były wyższe niż zwykle, jakby po to żeby uhonorowany w ten sposób użytkownik miał miejsce na podwyższeniu. Tajemnica tego, że wcale tak nie jest, ukrywała się pod regulowanym siedziskiem. Było ono połączone ze słupkami za pomocą czterech obręczy, a więc można by sądzić, że daje się przestawiać, nigdzie jednak nie było widać blokady. Zew pokrył siedzisko czarnym aksamitem. Kiedy teraz dla moich oczu uroczystym gestem podniósł materiał, ukazał się otwór jak w *ntarahid*, tylko o wiele mniejszy. Dlaczego — wyjaśniał to połączony pilaster pod siedzeniem mający kształt fallusa. Wysadzany był szlifowanymi kamieniami szlachetnymi o ostrych krawędziach i

rozszerzał się nieprzyzwoicie bliżej nasady. A więc to on służył do „zablokowania” unoszącej się nad nim dupy, w którą ciężar ciała musiał niewątpliwie wepchnąć ten drogocenny stojak. Nie potrafiłem przewyciężyć wstrętu i nie zdobyłem się na słowa uznania dla mego przyjaciela Zewa za tę wyśmienitą robotę. Żeby tej potwornej procedury nie mogła ograniczać niestosowna obrona zwieracza — uchylenie się od niej w ogóle nie wchodziło w rachubę — do czterech słupków przymocowano żelazne klamry na łydki i ramiona, mające zapewnić pionową pozycję siedzącego na tronie. Żelazne obręcze zaopatrzone były od środka w lekko wygięte do góry stalowe kolce, podobnie jak kolczatki dla posokowców. Kiedy delikwent, ukłuty, wzdrygał się z bólu, przyplącał to nieuchronnie obniżeniem się podstępnego siedziska, co pominąwszy postępujące nabijanie się na pał, powodowało dodatkowe głębsze cięcia i pęknięcia skóry na torturowanych ramionach i łydkach. Genialna maszyna, której Zew powinien był się wstydić. Zapewne nie mógł odmówić wykonania, tyle że on zapalił się do tej pracy i zaangażował w nią po uszy. Mogłem usiąść na próbę, było to bardzo nieprzyjemne uczucie, mimo że własnoręcznie położyłem deskę nad zdradziecką dziurą w siedzisku. Przy najmniejszym ruchu wbijały się w ciało haczyki wewnątrz obręczy. Krwawiłem potem, jakby mnie pokłuto tysiącem igieł, a przecież klamry nie zaciskały się nawet „na próbę”. Rozeźlony zliziałem sobie krew spod pach. —Zewie, jak możesz pogodzić taką pracę ze swoim sumieniem?

Spojrzał na mnie zdziwionym wzrokiem.

— Ktoś musi to zrobić. Wstyd by mi było, gdybym wykonał ją nie tak jak trzeba.

— To moralność katów, narzędzi szatana. Chrześcijaństwo przewiduje w tym celu chwalebny drogę męczeństwa.

— Nie jestem chrześcijaninem, Roszu, od dawna też nie jest już ze mnie katarski *perfectus** — odpalił ze złością. — Jestem Żydem i może jeszcze co najwyżej

asymilowanym izmailitą! Ty zaś możesz przyznać się do morderstwa, wstąpić na „tron wspomnienia” i pokutując, dać świadectwo swojej czystej wiary! -- Przecież ja nie jestem mordercą! — zaprotestowałem wściekły. — Nie ma mordercy! I ujrzałem siebie znowu w sypialni imama, który leżał na mnie z roztrzaskaną czaszką. Potem nagle stanęła przede mną Pola, z *balta wa-handżar* Hasana w dłoni. Tuż przed moimi ukrytymi w cielej skórze oczyma dziabnęła kilkakrotnie czekaniem w czoło trupa. Następnie chwyciła imama za powalane krwią włosy, podniosła jego głowę i z nienawiścią wpatrywała się w zgasłe oczy. Po czym nie zawahawszy się nawet chwilę, wbiła mu ostry sztylet tuż pod brodą tak, że jego czubek na pewno wyszedł u góry przez gardło, co mogłem wywnioskować tylko z tego, że rękojeść broni przed moim nosem tkwiła aż po nasadę w szyi imama. Powoli, niemal z nabożeństwem, opuściła z powrotem głowę z wbitym w nią ostrzem. Krew imama kapła mi na głowę i kark, lecz Pola w ogóle nie zwracała na mnie uwagi. *Al-muchtara* wyszarpnęła ze ściany sztylet Jezy i wyszła. Tuż po jej wyjściu zjawili się w komnacie strażnicy i włożyli imama razem z „zabójczą bronią” do przyniesionej trumny, którą zapieczętowali i wynieśli. Gdy wkrótce potem uwolniono mnie z niewygodnej pozycji na koźle, tylko po to żebym mógł powrócić jako więzień do swego piwnicznego lochu, zobaczyłem trumnę wiszącą na linach pod gniazdem os, widoczną dla wszystkich i niedostępną dla każdego, kto chciałby jeszcze zbliżyć się do zwłok. Tym sposobem podejrzenie musiało paść na emira i na nim spoczywał obowiązek przeprowadzenia dowodu — chyba że miał mocne i niepodważalne alibi lub mógł udowodnić, kto był w posiadaniu broni w chwili popełnienia „morderstwa”. Jak go znałem, napewno coś wymyślił. Zew zamknął mnie z powrotem, gdyż zapowiedziano mu wizytę Churszaha, który pragnął przyjrzeć się dziełu.

Odkąd Churszah odnalazł się w swej nowej roli jako imam, otaczał się strażą przyboczną złożoną z młodych fedainów, których rekrutował z okolic Alamutu, silnych synów chłopskich i młodych pasterzy. Za grosz nie ufał Hasanowi Mazandariemu. Wiedział, że ma on w Róży swoich ludzi, którzy w razie wątpliwości posłuchają rozkazów emira. Koniec, jaki spotkał jego ojca, był dlań nauczką i chociaż imam Muhammad III sam pozbawił się życia, to jednak wpadł w pułapkę! Churszah, w asyście swoich ludzi, wstąpił do podziemnego królestwa budowniczego. Własnoręcznie przesunął na bok Zewa Ibrahima w krzesło na kółkach, żeby móc z nim porozmawiać bez świadków.

— Chcę urządzić próbę przed zbliżającym się świętem...

— Macie na myśli zaślubiny z matką przyszłego imama i skazanie winnego śmierci waszego czcigodnego pana ojca? — upewnił się Zew i wskazał dzieło, które dano mu do wykonania, czyli „tron wspomnienia”.

— Mam na myśli... — poprawił go Churszah — egzekucję sprawcy i spłodzenie mego potomka w trakcie publicznego aktu!

— A komu przypadnie w udziale ten zaszczyt? — spytał z zaciekawieniem Zew, ale Churszah położył z uśmiechem palec na zasznurowanych wargach.

— To będzie niespodzianka — odparł. — Do próby wystarczy mi Hasan na tronie i Pola na koźle dla oblubienicy. — Zauważywszy zdumioną minę „Zewa na kółkach”, dodał ze śmiechem: — *Hamalat at-tańba* nadaje się świetnie do moich życzeń.

Wybrana przeze mnie dama zostanie przypięta do niego tyłem. Łono, jakie będzie mi podawać, pozostanie anonimowe za sprawą rozłożonej na ciele skóry cięłej, w każdym razie do czasu uroczystego dokonania aktu spłodzenia. Dla podniecenia moich zmysłów morderca będzie w tym czasie nabijał się na pal. Zobaczymy, co potrwa dłużej

aż do chwalebного zakończenia... Każcie dostarczyć na górę do mojego pałacu oba sprzęty!

— *Maut wa-hajat dżadida!** — zachwycał się Zew, lecz zaraz nasunęły mu się wątpliwości. — *Al-muchtara* na pewno będzie gotowa tytułem próby spełnić wasze życzenie, dostojny imamie, ale nie wiem, jak chcecie nakłonić emira, żeby dobrowolnie usiadł na tronie.

Jeśli odmówi, będzie to jawny bunt, a wtedy go... Urwał, ponieważ daleko z góry, z kotła, dobiegł dźwięk wielkiego gongu; przez całą Różę przetoczyły się głucho trzy razy po trzy uderzenia. Sygnał ten nie musiał oznaczać ataku, zawiadamiał jednak o pojawieniu się wrogów. Churszah udał się na blanki, żeby osobiście wyrobić sobie pogląd o sytuacji. Rzeczywiście, w górską dolinę zapuścił się oddział zwiadowczy Mongołów. Niespełna pół centurii, jak ocenił, niezrozumiałe było jednak to, że bez lęku zbliżyli się do Róży i na swych szybkich konikach krążyli wokół fosy. Kito ze zdziwieniem przyglądał się twierdzy, która sterczała ponad wodą. Nigdy dotąd nie widział czegoś takiego. Ściany z grubych bali dębowych, wzmocnione żelaznymi płytami, chroniły zarówno cokół, jak i płatki Róży; blanki, ząbkowane niczym korona kwiatu, za którą wznosiły się palmy, drzewa owocowe oraz nieskończenie wysoki, zwężający się ku górze minaret. Na jego szczycie mieściła się platforma, która wydawała się unosić między przeciągającymi nisko chmurami. A ponad wszystkim połyskiwał obracający się powoli srebrny księżyc. Wieża przypominała Kitonowi szczupłą rękę kobiety, jakby wysuwającą się z kielicha, aby na otwartej dłoni podać skarb niewidzialnemu bóstwu.

Kito ze swoim małym oddziałem chciał właściwie tylko stwierdzić, czy Rosz i Jeza rzeczywiście schronili się ponownie w Róży. Wprawdzie potwierdził mu to już w

Iskandarze ojciec Umara, kiedy Kito przekazał mu bransoletę syna i opowiedział o jego męźnej śmierci z rąk Armeńczyków, ale zwyciężyła ciekawość zobaczenia z bliska słynnej Róży i dzięki temu dojechali aż tutaj. Nie zdawali sobie sprawy z niebezpieczeństwa, jakie im grozi. Już po pierwszych trzech uderzeniach gongu Hasan zebrał wokół siebie swoich ludzi i szybko stwierdził, że to nie pułapka, gdyż z okolicznych gór nie nadeszła wiadomość, żeby w pobliżu zaczął się większy oddział Mongołów. Czyżby więc faktycznie były to tylko te cztery tuziny żołnierzy, którzy trafili tu przypadkiem — zdziwił się emir. Gdyby przybywali jako posłowie, pokazaliby to za pomocą buńczuków, a przede wszystkim zachowywaliby się godnie. Ci zaś galopowali wokół Róży jak dzieci, śmiali się i zbytkowali! Irytowało to emira. O szpiegów też raczej nie mogło chodzić, gdyż tacy zachowują się — *Allah alam!** — o wiele dyskretniej.

Czego więc oni chcą? Hasan skłonny był wyładować na nich swoją złość po ostatnich wydarzeniach, chcąc bardziej nowemu imamowi niż Mongołom pokazać, kto ma decydujący głos w Róży.

Podzielił swoich ludzi i skierował do trzech bram wypadowych, kazał im dosiąść koni, a kusznicy i łucznicy mieli wypuścić strzały i za jednym razem wysadzić z siodła co najmniej połowę nieprzyjacielskich jeźdźców. Równocześnie opuszczono z hukiem na fosę dwa boczne mosty i po dębowych balach wyjechały dwa silne oddziały konnicy. Kito wykrzykiwał rozkazy potężnym głosem, który niekiedy przechodził w falset, wzywając do siebie pozostałych swoich jeźdźców. Na jego komendę nie rozjechali się na wszystkie strony, aby uniknąć grożącego im okrążenia, tylko natarli klinem na lewe skrzydło nieprzyjaciela.

Ci byli zupełnie zaskoczeni tym uderzeniem, zwłaszcza że Kito, wraz z garstką wiernych towarzyszy, zwrócił się jednocześnie w inną stronę. Był to wszakże fortel, Kito nie przyłączył się do tego ataku. Stwierdził tylko z satysfakcją, że jego ludziom udało się przebić. Nie zależało mu na tym, żeby okupić ofiarą swoją głupotę, nie mógł jednak

zostawić na łasce losu rannych, zasypanych z zaskoczenia gradem strzał. Tak czy owak byli otoczeni. Wszelki opór oznaczałby pewną śmierć. Jako jeńcy mieli bądź co bądź minimalną szansę przeżycia, jeśli prawdziwe były krążące pogłoski o okrucieństwie starego imama. Kito przypomniał sobie widziane w górach obcięte dłonie i stopy, z których pozostały zmurszałe kości i nadal wskazywały drogę do Alamutu. Wtedy opuszczono trzeci most zwodzony i spod widocznej dopiero teraz paradnej bramy zjechał na plac boju emir Hasan Mazandari, aby odebrać miecz od dowódcy Mongołów. Kitona i rannych zapędzono po moście do twierdzy i wtrącono do podziemnego więzienia.

Z tajnej kroniki Jezy

Na początku listopada martwy imam zaczął okropnie cuchnąć. Skrzynia wisiała w dalszym ciągu na linach pod pałacem, a wydobywający się z niej smród zapowietrzył całą Różę łącznie z wieżą i „rajem”. Pewnie dlatego Churszah nie mógł już dłużej czekać. Podobno chodziło na razie o próbę, jednakże Pola, moja strażniczka więzienna, ostrzegła mnie: —

Uważaj, on traktuje to poważnie!

Tak czy owak nie wiedziałam, co właściwie się dzieje, a także czy mam być spokojna czy się frasować, kiedy ujrzałam, że mojego Rosza podobnie jak mnie transportują w zakratowanej szafie na górę do gniazda os. Od śmierci imama widziałam go po raz pierwszy, a nie rozmawialiśmy ze sobą już od przybycia tutaj. —

Co jest grane,

mój rycerzu Trencavelu? — powitałam go pogodnie.

Niech nie myśli, że zdręczam się albo wręcz martwię o niego. Rosz patrzył przez kraty jak małpa, stroił miny. —Podwójna tragedia, moja droga Esklarmundo z góry Syjon —

zawołał — wesele i egzekucja w jednym akcie! Nie zdążył już nic dodać, gdyż nasze klatki poniesiono osobno do pałacu.

Sala audiencyjna była odświętnie przystrojona, w potężnych żyrandolach płonęły niezliczone lampy oliwne, zgromadziło się wielu dostojników. Widziałam czcigodnych *da'i ad-du'atów* z długimi siwymi brodami oraz *da'i al-kabirów*, a więc wysokich rangą przywódców zakonu iz-mailitów. Pewnie przybyli z daleka, towarzyszyli im brodaci rafikowie, jak nazywano wtajemniczonych już najlepszych uczniów. Zwykli fedaini, którzy nie przeszli jeszcze inicjacji, nie mieli przypuszczalnie wstępu. Wśród starców było też wielu uczonych w piśmie i cieszących się znaczną sławą lekarzy. Informacje te przekazywali sobie szeptem z głęboką czią strażnicy, gdy przynosili Rosza i mnie do sali i postawili nasze klatki z boku na emporze. O tyle więc mieliśmy przynajmniej znowu honorowe miejsce jako para królewska. Znajdowaliśmy się na tej samej wysokości co młody imam, Cielak Churszah, który miał po bokach Hasana Mazandariego, Zewa Ibrahima w krześle na kółkach oraz starego Herlina, a otaczał go pierścień straży przybocznej. Przyjrzałam się dokładnie bibliotekarzowi. Wcale nie wyglądał mi na szaleńca, jak wszyscy inni dostojnicy i kapłani odziany był odświętnie i wydawał się całkiem spokojny. Potem zaczęła grać muzyka i wybrane spośród hurys najlepsze tancerki kołysząc się utworzyły korowód. Była wśród nich Aziza, która nadal porusza się jak koza. Poli, odpowiedzialnej za tę rozrywkę, nigdzie nie widziałam.

Churszah powitał każdego z obecnych, wymieniając pełne nazwiska i wszystkie tytuły, ku mojemu zdumieniu nas nie opuścił. Para królewska w klatce, pomyślałam mimo woli i zaśmiałam się cicho. — Swoje wstąpienie na tron świętować będę dopiero wtedy — rzekł w końcu — kiedy mój dostojny ojciec zostanie pomszczony, a jego dusza wzniesie się do Allaha. Dlatego dziś odbędę sąd. — Odchrząknął, dając zebrany okazję do wyrażenia pomrukiem swojej aprobaty. — Czasy są niepewne. Jak wszyscy

wiecie, zagrożenie rośnie. Dlatego ulegając namowom moich doradców, niezwłocznie zadbam o podtrzymanie linii imamów. Dziś spłodzę syna! Wtedy zabrzmiały głośne oklaski, a mnie zrobiło się niedobrze. Dlaczego trzymają mnie w klatce? Chyba nie po to żeby Cielak mnie pokrył przed wszystkimi ludźmi, na oczach Rosza? Na razie jednak coś innego, nie ta troska, zaprzątnęło moje myśli, gdyż wniesiono dziwne żelazne krzesło, po którym od razu widać było, że kryje jakiś podstęp.

—
To jest *kaHmat at-tafkir*, „tron wspomnienia”. Poświęcam go pamięci mego dostojnego ojca.

I znów podniósł się aplauz, który Churszah uciszył uspokajającymi gestami. —
Wzięliśmy do niewoli dowódcę centurii wielkiego chana Mongołów. Z wymienionej okazji pragnę, aby był świadkiem tego, co się tutaj będzie działo. Proszę was o powitanie go brawami.

I wtedy — ze strachu omal nie zamarło mi serce — wprowadzono zakutego w łańcuchy Kitona, którego powitały dzikie oklaski. Musiał podejść do tronu, ale na razie nie posadzono go na nim. Od siedziska w dół tron zasłonięty był czarnym suknem.

Przypominał mi jakieś narzędzie tortur, do którego przywiązywano ludzi i zanurzano w wodzie, dopóki się nie utopili.

Kito jako prawdziwy Mongoł nie okazywał ani śladu strachu. Pomyślałam z drżeniem, że teraz się okaże, kto jest oblubienicą, i lękliwie rozglądałam się za Połą. Ale zamiast tego uroczyście wniesiono skrzynię ze zwłokami imama. Poprzedzała ją smuga smrodu. Z

dziwnym rozbawieniem stwierdziłam, że również niektórzy z najwyższych dostojników izmailickich ukradkiem zatykają nos. Trumnę postawiono pośrodku sali przed tronem władcy stojącym na podwyższeniu.

—

W tej skrzyni kazałem zapieczętować zwłoki razem ze znaną przy nich zabójczą bronią w takim stanie, jak je zastałem. Strażnicy mogą to potwierdzić — oświadczył Churszah. — Zależało mi na tym, żeby nie działać pod wpływem chwilowego wzburzenia, pozwoliłem, aby przed wymierzeniem zemsty upłynęło trochę czasu, którego potrzebujemy dla osiągnięcia jasności w głowie. Za to teraz piekielny smród odurzał nasze umysły, jednakże przybyli dostojnicy pokiwali ze zrozumieniem głowami.

—
Zerwijmy pieczęcie i na podstawie tego, co zobaczymy, wspólnie ustalmy, co się stało i na kogo jako sprawcę wskaże zabójcza broń. I tak się stało; zdjęto wieko. Owionęły nas trujące wyziewy zaawansowanego rozkładu, które powodowały odruch wymiotny, lecz Cielak był nieubłagany. Władczym gestem dał znak kilku starcom, zapewne lekarzom, aby zbliżyli się do skrzyni. Ci, zanim zajrzeli do środka, zasłonili usta i nosy zebranych w garść fałdami szat.

— Morderstwo — wydusił pierwszy.

— Morderstwo przez uderzenie i zakłucie — dodał drugi.

— Roztrzaskane czoło — skostatował trzeci — szyja przekłuta. Narzędzie użyte do obu tych prowadzących śmierć czynności tkwi jeszcze w ranie! Czubkami palców wyciągnął ze skrzyni broń. Był to *balta wa-handżar*, czekan Hasana. Emir zbladł jak ściana.

— A do kogo należy ta broń? — zapytał pierwszy z prowadzących badanie medyków, choćby po to żeby mieć powód do oddalenia się od skrzyni.

— Do Hasana Mazandariiego! — zawołał głośno, co pewnie nie było przewidziane, stary Herlin. — Znam ją! — dodał uparcie.

— Pojmijcie emira! — rozkazał Churszah strażnikom, a ci natychmiast przyskoczyli do

Hasana i zakuli go w łańcuchy. Wszystko było znakomicie przygotowane, lecz emir odpowiedział swemu oskarżycielowi: —

Równie dobrze mordercą możecie być wy,

Churszahu! — Następnie zwrócił się do starców. — Syn starego imama przebywał w moim towarzystwie w momencie zbrodni!

Salę wypełnił szmer stłumionych głosów dostojników izmailickich, ale Churszah natychmiast uciał tę szeptanicę.

—

Emir się myli, w rzeczonym czasie byłem w bibliotece. Magister Herlin może to poświadczyć. Z tego powodu nie mogłem niestety pośpieszyć na pomoc memu dostojnemu ojcu. Emira natomiast strażnicy widzieli przy drzwiach komnaty, w której popełniono zbrodnię. Kiedy weszli do środka, zastali imama we własnej krwi. Ta straszliwa broń tkwiła w jego szyi. Tym samym orężem roztrzaskano też czoło naszemu imamowi. Zrobił przerwę, aby nadać mocy swemu dramatycznemu oskarżeniu, po czym podjął zmienionym głosem. Teraz prezentował się jako zupełnie samotny władca, zrozpaczony i rozczarowany.

—

Czyż nie ma tu nikogo, kto może złożyć świadectwo odciążające emira?

Wszyscy milczeli, również ja, gdyż jakakolwiek zmiana w przeprowadzeniu dowodu ponownie uczyniłaby rolę Rosza przedmiotem śmiertelnej rozgrywki. Hasan pragnął śmierci imama. Bez najmniejszych skrupułów zrobiłby z Rosza mordercę, możliwe nawet, że ze mnie lub z nas dwojga. Dobrze mu tak, że musi za to odpokutować.

— Czy jesteśmy zmuszeni uznać, że Hasanowi Mazandariemu udowodniono popełnienie morderstwa? Czy zasługuje na śmierć?

— *Nam. Mahkum alajhi bi-al-maut.* Tak, zasługuje na śmierć — wymamrotali zebrani sędziowie. Zaprowadzono Hasana do *ka'imat at-tafkir* i posadzono na tronie. Jego ramiona i łydki wciśnięto w żelazne obręcze, które kazały mu siedzieć prosto, a nawet

wiszieć nad siedziskiem. —

A zatem możemy przejść do spłodzenia przyszłego

imama! — zawołał z ożywieniem do starców Cielak, odwracając ich uwagę od żelaznego krzesła, które zaabsorbowało ich w pierwszej chwili. Na klaśnięcie władcy przytoczono ten sam kozioł, do którego przypięty był poprzednio Rosz. Znow ludzkie ciało zasłaniała cieleca skóra. Która hurysa ukryła się pod nią? A może sama Pola, która uchwyciła się ostatniego sposobu, by sięgnąć po władzę w Róży?

Churszahowi narzucono na ramiona wspaniałą białą pelerynę z kapturem, który również zasłaniał jego cielecą głowę. W tym stroju podszedł do kozła, rozpiął również łaskawie ukryte przed naszym wzrokiem portki i pochylił się nad ciałem przeznaczonym do macierzyństwa. Odetchnęłam głęboko, ale gdy znowu rozległa się głośna muzyka wykonywana na fletach, wspieranych przez bębenki i dzwonki, strażnicy podeszli do „tronu wspominania”, jednym szarpnięciem ściągnęli z siedziska pod zadkiem emira czarne sukno i zarzucili mu materię na głowę tak, że jego twarz była zasłonięta. Pod siedziskiem ukazała się złota statuetka migocząca wpuszczonymi w nią kamieniami szlachetnymi. Przypominała mi wzwiedziony członek obscenicznego rozmiarów. Z drżeniem pomyślałam o genitaliach martwego imama i wiedziałam, że to rzeźba przedstawiająca jego penisa.

Ciało Hasana wyprężyło się. Wyczuwało się żelazną wolę, żeby nie poddać się losowi. Do grających coraz piskliwie) fletów dołączyły wysokim dyszkantem szałamaje, kotły wybijały rytm, w którym Churszah, Cielak, kopulował ze swoim wizerunkiem. W

jego ruchach trudno było doszukać się przyjemności czy wręcz namiętności. Tym

bardziej więc chciałam wiedzieć, kim jest ta „szczęśliwa”.

Hasan wisiał nad żelaznym krzesłem. Krew ściekała mu po ramionach, ale nie poruszał głową ani ciałem pod czarnym suknem. Przyciskał nogi do klamer, tak iż krew spływała mu także po łydkach. Żołędzi złotego penisa nie było już widać. Muzycy grający na instrumentach dętych przyspieszyli tempo, dźwięki stały się ostrzejsze i bardziej ochryple, szalამaje krzyczały, bębenki wystukiwały *staccato*, kotły szalały w coraz szybszym rytmie uderzeń. W końcu Hasan nie wytrzymał i wybuchnął.

—

Łaski! — ryknął i wyprostował się, a wówczas pał wdarł się głębiej w jego ciało. — *Bi-ismi Allah ar-Rahman!** — zaskamlał, próbując przebić się przez dźwięk piszczałek.

W czasie gdy emir krzyczał i błagał o litość, postać w białej pelerynie wykonywała coraz szybsze pchnięcia, pochylała się i prostowała, a w końcu padła na cielecą skórę, obejmując ją rękami. Wtedy instrumenty umilkły jak nożem uciął, jedynie tamburyn, podzwaniając, towarzyszył ostatnim konwulsyjnym ruchom. Potem zaś zrobiło się cicho i oczy wszystkich zwróciły się znowu na Hasana, który pojękiwał słabo. I nagle rozległ się z głębi kotła, jakby dobiegając z innego świata, wielki gong Róży, lecz z głuchymi uderzeniami mieszały się przeraźliwe tony żelaznego młota i tworzyły podniecającą sekwencję: bum! raz, dwa — raz, dwa, bum! Docierały do nas głosy, chaotyczne i wystraszone. Obdarzony bystrym uchem Her lin uchwycił je i zawołał w głąb sali audiencyjnej:

— Mongołowie! Mongołowie nadchodzą! Muszę przyznać, że słysząc tę zapowiedź, ucieszyłam się w głębi serca. Niczego nie wyglądałam teraz tęskniej niż przybycia Mongołów. Chciałam, żeby oczyścili tę stajnię, siedlisko potworności! Cielak wyprostował się. Nikt nie zwracał uwagi na kobietę pod zwierzęcą skórą. Churszah

podszedł do Hasana, zerwał mu z głowy czarny kaptur i przyjrzał się badawczo bezwładnemu ciału.

—
Twoje jęki dodawały mi skrzydeł — powiedział — a ciebie uratowały! Gdybyś okazał się bohaterem, szczęłbyś marnie! A jako stwierdzony tchórz nie jesteś już dla mnie groźny. Dał strażnikom znak, by w końcu uwolnili emira. Podjechał Zew i kazał jednemu z nich podsunąć miecz na płask pod zadek Hasana, dopóki go nie podniosą i zabiorą ze złotego tronu. — Potrzebujecie mnie jeszcze, dostojny imamie — rzekł Hasan zduszonym głosem — ale ja... — Iz tymi słowami padł zemdlon w ramiona strażników.

— To prawda — przyznał Churszah, lecz emir już tego nie słyszał. Spojrzenia wszystkich obecnych powędrowały wreszcie ku postaci kobiety na koźle. Podeszła Pola i na znak Churszaha podniosła skórę: Kasda! Oto leżała święta kapłanka: blada, z zamkniętymi oczami, spocone delikatne czoło przecinały drobne niebieskie żyłki.

— Kasda jako rodzicielka to słuszny wybór! — szepnęłam z ulgą do Rosza w sąsiedniej klatce. Nie mogłam go widzieć, zresztą mi nie odpowiedział. Dopiero po jakimś czasie znowu go usłyszałam.

— Nigdy bym nie pomyślał, że Hasan tak szybko będzie skamlał o życie! W głosie Rosza pobrzmiwała pogarda i wtedy zrozumiałam, że Cielakowi chodziło wyłącznie o upokorzenie emira, a nie o jego śmierć. Tymczasem okazało się, że alarm był fałszywy. Kito został z powrotem wtrącony do lochu. Rosz i ja natomiast mogliśmy opuścić swoje klatki.

— Para królewska przenosi się do nas do pałacu—oznajmił Churszah w momencie, gdy Hasan właśnie ponownie otworzył oczy—nie ma zaś już do niego wstępu, zgodnie

z ogłoszoną karą, emir Hasan Mazandari. Mianujemy go jednak ze skutkiem natychmiastowym i udzieleniem wszelkich pełnomocnictw *hami al-ward*, obrońcą Róży. Młody imam zasiadł na tronie swego ojca i pozwolił obecnym dostojnikom złożyć sobie hołd i powinszować z okazji spłodzenia dziedzica. Pola wyprowadziła z sali *hamalat at-taribę* ze swoją siostrą. Hasan ze spuszczoneymi oczyma wymknął się innymi drzwiami.

L. S.

* Vis l a x a n s (lac.) — dosł.: siłą rozciągająca, tu jednoznaczne z elastycznością.

* Hamalat a t - t a r i b a (arab.) — „kozył do chłosty”.

* Balta wa-handzar (arab.) — czekan.

* Katarski p e r f e c t u s — doskonały, idealny katar.

* Maut w a - h a j a t dżadida! (arab.) — Śmierć i nowe życie!

* Allah alam! (a r a b .) — Bóg wie najlepiej!

□

B i - i s m i Allah ar-Rahman! (arab.) — W imię Boga litościwego!

IX .CISZA PRZED BURZĄ

Mężczyzna otworzył oczy. Białe obłoki wędrowały na bladoniebieskim tle, prześlizgiwały się po okrągłym księżycu. Przed jasną tarczą snuła się delikatna smuga dymu. Dookoła panowała ciemna noc, bez gwiazd. Czy zmarły ogląda niebo tylko przez judasza? Bo on musi być przecież martwy. Czy Bóg go widzi? Czy też zapomniał o nim, nie zwrócił uwagi na jego śmierć? Mężczyzna leżał na plecach po ciemku zupełnie bez ruchu. Po chwili spróbował zwrócić głowę w stronę światła. Piekielny ból niczym ostre igły przeszył jego pierś, wdarł się w ręce, ramiona i plecy. Wtedy przypomniał sobie o strzałach, o dzieciach nad dziką górską rzeką, przypomniał sobie, jak runął na ziemię

między skałami. A zatem przeżył. Dowodziły tego także okrągłe twarze mongolskich kobiet, które pochyliły się nad nim z zaciekawieniem, po czym z głośnym paplaniem gdzieś pobiegły. Kiedy Crean następnym razem ocknął się z zamroczenia, przy jego posłaniu w jurcie stał generał Kitboga. —

Jak na kapłana macie wyjątkowo twarde

żywot, monseigneur

Gosset.

To rzekłszy, uniósł derkę i kręcąc głową, oglądał rany, których Crean nie mógł zobaczyć, ale czuł, jak pieką, każda z osobna.

— Kiedy mój syn Kito przywiózł was tutaj, myśleliśmy tylko o chrześcijańskim pochówku, na który sobie zasłużyliście. — Generał zaśmiał się nieporadnie. — Nikt nie wierzył, że pozbawicie nas tej uroczystości.

— Gdzie ja jestem? — wyszeptał Crean, gdyż wraz z wysiłkiem, jakiego wymagało mówienie, ząbkowane kolce wbijały się ponownie w jego mięśnie i kłuły niczym sztylety wynajętych morderców.

— Dwa miesiące zmagaliście się ze śmiercią, tutaj, przy straży przedniej naszej armii, która przekroczyła tymczasem Oksus,* zachodnią granicę naszego państwa. --- Kiedy? — zapytał cicho Crean. Był zbyt wyczerpany, żeby się przestraszyć. — Kiedy to nastąpiło?

— W styczniu 1256 roku, szanowny monseigneur Gosset — odpowiedział generał — została spełniona wola wielkiego chana. Władcy Zachodu odmówili złożenia mu hołdu. A to jest warunek pomocy zbrojnej. Inicjatywa była więc po jego stronie i musiał ją podjąć!

— Mongołowie wyruszyli przeciwko „reszcie świata”? — wyszeptał Crean z

niedowierzaniem. Jakże chętnie oddałby się nadziei, że Róża będzie oszczędzona.

— To nie tak — zniszczył jego iluzję Kitboga. — Okcydent leży daleko, a do świata muzułmanów i tak jest nam znacznie bliżej — wyjaśnił z niezmaconym spokojem.

— Wasz cel nazywa się Alamut? — W głosie Creana przebijała udręka. Generał z zadowoleniem skinął głową. Crean ponownie zamknął oczy. Był do cna wyczerpany. --

Zachód może poczekać. — Tymi słowami wielki chan Móngke zabiegał u najmłodszego brata Aryka Bóge o zrozumienie dla swojej decyzji. — Nieliczni chrześcijanie na naszym terytorium są szczerze oddani państwu mongolskiemu. Muzułmanie zaś żyją w naszym państwie, jako całe narody, w tak wielkiej liczbie, że lekkomyślnością byłoby, gdybyśmy nie zawładnęli Bagdadem, ich duchowym centrum.

— Niemożliwe, żebyś z tego powodu wysłał niezdecydowanego Hulagu, a mnie, twego ulubionego brata i wybranego na następcę, nie spuszczał ze smyczy.

— Podporządkowanie państw muzułmańskich i ich duchowych przywódców jest pilniejszym nakazem niż trudniejsze przedsięwzięcie, polegające na podbiciu Zachodu

— klarował mu Móngke. — To wymaga zresztą więcej subtelności i wyczucia, niż gotowi jesteśmy przyznać naszemu bratu il-chanowi. — Niezadowolenie Aryka Bóge było zbyt duże, aby dał się tak szybko udobruchać. Móngke dodał więc z uśmiechem:

— Najpóźniej w momencie, kiedy mnie już nie będzie i ty przejmiesz odpowiedzialność, będziesz mógł bez przeszkód zaprowadzić pokój w „reszcie świata”.

— Zapominasz, co szaman przepowiedział Czyngisydom, wtedy, zanim kurułtaj wybrał cię na chagana, bo obiecałeś...

— Świadom jestem znaczenia słów mądrego Arsłana. Ale koniec końców nie trzeba żadnych proroczych zdolności, żeby wiedzieć, iż w koronie świata nie może brakować żadnej pałki ani żadnego kamienia...

— Korona świata! — sztydził Aryk Bóge. — Widzę olbrzyma, władcę całego świata.

Leży złożony niemocą, bo nie docenił zachodniego Dawida, który wystrzelił z procy brakujący kamień i trafił go między oczy. Rana ropicje, sącząca się z niej trucizna ogarnia ciało olbrzyma, które gnije i w końcu się rozkłada!

— Coś takiego odnosi się pewnie do naszych wrogów — zganił go Móngke. —

Naród Mongołów tryska zdrowiem i żądzą czynu. Ty zaś Aryku Bóge, nie jesteś jeszcze dość dojrzwały, żeby go poprowadzić, choćby część jego wojsk, a już na pewno nie w zdradzieckie bagna Okcydentu, jego ciemne lasy, nie wspominając o wodach wszystkich jego mórz i rzek, które uchodzą do wielkiego oceanu... — Którego ty się obawiasz... Na czole Móngkego nabrzmiała żyłka, zapowiedź wybuchu gniewu. Aryk Bóge zrozumiał, że posunął się za daleko. —

Ja tego nie słyszałem — wydusił

wielki chan ochrypłym głosem. —

A teraz mnie zostaw i nie dawaj mi więcej

powodów do wątpienia w twoje posłuszeństwo, skoro już jesteś taki uparty.

W ten sposób spełzła na niczym ostatnia podjęta przez Aryka Bóge próba włączenia się w wyprawę wojenną przeciwko Zachodowi. Hulagu natomiast otrzymał wszelkie pełnomocnictwa i oddano pod jego rozkazy jedną piątą wszystkich zdolnych do walki mężczyzn z każdego chanatu. Nawet Złota Orda nie uniknęła tego poboru. Batu-chan odkomenderował trzech swoich siostrzeńców, którzy mieli posuwać się wzdłuż zachodnich brzegów Morza Kaspijskiego, żeby połączyć się z głównymi siłami przed pierwszym celem ataku.

Róża Alamutu, dumny symbol izmailickiego ruchu religijnego oraz główna kwatera jej zbrojnego w sztylet ramienia, zakonu asasynów, zawsze była dla Hulagu cierniem w

oku — a nie dopiero wtedy, gdy ostatni imam nasłał na wielkiego chana czternastu skrytobójców. Jeśli Hulagu zamierzał zająć Persję, to nie mógł sobie pozwolić, by za plecami została mu ta kryjówka tysiąca skorpionów. Poleciał więc je wykurzyć swemu generałowi Kitbodze, który odpowiadał za sprawny przebieg natarcia. Il-chan wcisnął mu w charakterze poganiacza swego szambelana Dżuwajniego, który jako prawowierny sunnita potrafił wzbudzić w sobie więcej nienawiści do szytów, zwolenników w jego mniemaniu błędnej nauki, aniżeli nestoriański chrześcijanin Kitboga.

To była godzina tryumfu dla Ata al-Mulka Dżuwajniego. Latami pracował nad osiągnięciem tego celu, a teraz jego sen się spełniał: wyruszy przeciwko Alamutowi na czele potężnej armii. Najpierw wyrwie Róży jadowite kolce wymierzone przeciwko prawdziwej wierze i podepcze je w prochu ziemi. Następnie zaś spali to przegniłe gniazdo herezji. Od tej pory zostanie po izmailitach tylko popiół, który rozniesie się po ziemi. Nikt mu w tym nie przeszkodzi, również ten dobroduszny Kitboga, ten dzielny wojak i generał, który wciąż podkreślał, że nie zna nienawiści, lecz wyłącznie przeciwnika i swój obowiązek. Przed wyruszeniem do obozu polowego Dżuwajni omówił sytuację z Bułgajem, najwyższym sędzią w państwie i zwierzchnikiem służb tajnych, do których należał także szambelan chana Hulagu, i to jako wysoka szarża. — Jest pewien problem, który nasunie się podczas natarcia na Alamut

— rzekł Bułgaj.—W twierdzy przebywa dołączywszy do sił głównych, potwierdzili tę pogłoskę para królewska. Ci, którzy ocaleli z ekspedycji Kitona, . Przekazali także generałowi przygnębiającą wiadomość, że jego syn też siedzi w Róży jako jeniec. Dżuwajni jednak nie myślał brać tych okoliczności za przeszkody.

— Ani jeden, ani drugi wzgląd nie może i nie powinien mnie powstrzymać od tego, by ogniem i mieczem...

— Albo wciąż jeszcze nie nauczyliście się w służbach tajnych tego, że głośne

pobrzękiwanie szablą nie należy do naszego rzemiosła — przerwał mu łysielec — albo uważacie się za zdolnego dowódcę. Nie jesteście jednak nim w odróżnieniu od generała Kitbogi. Szambelan poczuł się obrażony.

— Mam wyraźne polecenie od mojego pana, il-chana Hulagu — oświadczył z wyższością. — I je wykonam, wszystko jedno, czy...

— Nic nie jest wszystko jedno, a już na pewno nie dzisiaj, tak samo jak wczoraj. W swoim zapale, mój drogi, nie zauważyliście, że naszej straży przedniej wpadł w ręce jako jeniec wysoki rangą asasyn. Kito go znalazł i uratował, zanim sam został schwytany przez asasynów. Crean z Bourivanu, nasz monseigneur Gosset, był naszpikowany strzałami jak jeżozwierz; niektóre wręcz przebiły go na wylot, bo poświęcił się, żeby umożliwić ucieczkę parze królewskiej przed Armeńczykami. To skłoniło Kitona do zabrania go i opatrzenia jego ran.

— A jak myślicie, wielki Bułgaju, co mnie to obchodzi?

— Naprawdę sądzicie, drogi Dżuwajni, że generał rzuci w Różę choćby jednym kamieniem, dopóki Rosz i Jeza przebywają tam pod przymusem? Syna może by poświęcił, natomiast pary królewskiej nigdy!

— A więc musimy ich stamtąd wydostać, po dobroci albo przemocą? --- Podstępem, mój drogi, podstępem. Przez Creana!

— Ach tak — zreflektował się szambelan. — Przewyższacie rozumem nas wszystkich, dostojny Bułgaju. Zaraz po przybyciu do obozu generała Dżuwajni zadbał ze szczególną gorliwością o to, żeby najlepsi arabscy chirurdzy połatali znieawidzonego izmailitę i pomogli mu z wolna powrócić do zdrowia. Trudno powiedzieć, czy pragnął zachować Creana przy życiu, by zgotować mu lepszy czy gorszy los. Kiedy przenoszono obóz, Creana, który nadal bardzo był osłabiony z

powodu wewnętrznych obrażeń i źle gojących się ran, transportowano na noszach. I tak straż przednia liczącej dziesięć mingganów* armii, pod osobistym dowództwem wodza naczelnego generała Kitbogi, dotarła w góry i do Iskandaru. Szambelan, który ograniczał się na razie do działań na drugim planie jako polityczny komisarz, pamiętał drogę. Przy studni dowódca oddziału kazał się zatrzymać. Mieszkańcy ze strachu uciekli w góry, aż nazbyt dobrze mieli bowiem w pamięci małą mongolską eskortę posła Nasir ad-Dina Tusiego. Pozostał jedynie ojciec Umara. Rozpoznał Dżuwajniego, który pozdrowił go z podstępą uprzejmością, ponieważ Mongołowie nie znaleźli dotąd żadnych miejscowych przywódców. A było wiele rzeczy, których szambelan chętnie by się dowiedział o Alamucie, zanim armia nadciągnie pod twierdzę. Wiedział, że zameldowano już Róży o przybyciu Mongołów do Iskandaru.

— Przed czterema laty ugościliście mnie wybornym *dżubn tazi* — zaczął od pochlebstwa Dżuwajni, lecz pasterz zachmurzył czoło.

— Wtedy mój syn Umar cieszył się jeszcze swoim młodym życiem. Ale wy wypędziliście go razem z jego narzeczoną, córką waszego ludu, i oboje zginęli na wygnaniu.

— Skąd wiesz to wszystko? — zapytał Kitboga, który podszedł do nich.

— Młody dowódca, który był tu już wtedy, przyjechał do mnie niedawno i oddał mi bransoletę mojego Umara — odpowiedział pasterz. —

Mimo że zhańbił wtedy moją

córkę Azizę, nie zabiłem go... ---Ja jestem ojcem Kitona — rzekł stary generał. — Dałeś dowód wielkoduszności, lecz niewiele to pomogło mojemu synowi. Dostał się do niewoli w Alamucie!

— Róża zachowuje się jak mięsożerna roślina — zauważył nieprzystępnie ojciec

Umara. — Pożera każdego, kto zbliży się do niej za bardzo. Mnie zabrała oboje dzieci.

— No, to co z tym *dżubn tazii* — przypomniał bez żadnych skrępowań Dżuwajni, taką miał ochotę na świeży ser kozi, że ślinka mu ciekła do ust.

— Moja niewiasta umarła ze zgryzoty—odparł ojciec Umara i oddalił się ciężkim krokiem.

— Nie pozwólcie mu uciec! — poskarżył się Kitbodze szambelan. — On musi nam powiedzieć, skąd Róża czerpie swoją siłę.

— Na pewno nie z *dżubn tazil* — zadrwił generał. — Porozmawiam z tym człowiekiem, gdy tylko przetrawi wasze współczucie! A teraz pozwolicie, że pomówię w cztery oczy z Creanem, żeby oszczędzić mu wrażeń, iż jest przesłuchiwany czy wręcz szantażowany.

— Jak sobie życzycie — zgodził się szambelan — dopóki nie obiecacie mu uwolnienia. Generał podszedł do noszy postawionych obok studni, żeby Crean mógł przemyć swoje rany, z których wciąż sączyła się wydzielina. Wyszczupłał jeszcze bardziej, jego blada twarz wydawała się zapadnięta. Bóle nie ustępowały. --Wstrząsy podczas niesienia nie bardzo wam służą, monseigneur Gosset—zaczął Kitboga, wczuwając się w jego ból. — Co możemy zrobić, żeby sprawić wam ulgę?

— Bóle dadzą się znieść—odpowiedział cicho Crean.—Dręczy mnie niepokój o niepewny los tych, którzy wbrew woli przetrzymywani są w Róży. Stary generał własnoręcznie podtrzymał Creana, kiedy tego układano z powrotem na noszach.

==Słyszałem — szepnął, żeby mu dodać otuchy — że stary imam nie żyje, a nowy nie jest przeciwny przyjaźni z Mongołami...

Zwolennicy fałszywej nauki zawsze będą bandą skrytobójców! —

syknął

Dżuwajni, który ku irytacji Kitbogi nie odstępował go jednak na krok i właśnie się wtrącił.

— To prawda — potwierdził Crean, odpowiadając generałowi. —

Churszah

cierpiał z powodu zapiekłej wrogości swego ojca wobec wielkiego chana, na pewno będzie szukał drogi pokojowej... —W takim razie powinien się poddać — prychnął szambelan —natychmiast wydać nam parę królewską i waszego syna Kitona...—Nie żądajcie za dużo naraz — mruknął Crean słabym głosem.—Stary imam żywił do Mongołów bezdenną nienawiść...

— Szaleniec! — wtrącił Dżuwajni, pieniąc się ze złości.

— Raczej głupiec — zauważył oschle generał.

— Ale jego syn Churszah — ciągnął Crean—bardzo chętnie zawarłby pokój z wielkim chanem i złożył mu hołd. Także Rosz i Jeza zaangażują się w pokojowe rozwiązanie. Moim zadaniem będzie zorientować się, czy wpływ pary królewskiej wystarczy, żeby Róża podporządkowała się bez niepotrzebnego rozlewu krwi.

— Tyle że wasi podopieczni, Rosz i Jeza, to nie są chyba ci doradcy, których słucha ta banda morderców! — drwił szambelan. — Oboje są co najwyżej więźniami, zakładnikami, mającymi chronić Różę przed sprawiedliwą karą! --Jeśli miłujący pokój nie przeforsują swojej woli — przyznał z zatroskaniem Crean — Róża będzie walczyć do ostatniej kropli krwi.

— Możemy jej to zapewnić! — zawołał tryumfalnie Dżuwajni, jednakże generał, pochwycawszy jego ramię w żelazny uścisk, odciągnął go od noszy.

— Można by pomyśleć, Ata al-Mulku Dżuwajni, że jesteście generałem, a nie szambelanem! Podzielam troskę monseigneuru Gosseta...

— Przestańcie wreszcie stroić go w ten chrześcijański płaszcz! Chodzi o Creana z Bourivanu, członka niebezpiecznego Przeoratu Syjonu, wysokiego rangą przedstawiciela tego tajnego stowarzyszenia przy sekcje morderców zwanych

asasynami!

— Mimo to on i ja mamy ten sam problem — przywołał go do porządku Kitboga. —

Musimy wydostać z Róży zakładników, zanim rozpoczniemy oblężenie, żeby nie musieli przyplacić tego życiem!

— Jak wiecie, diabeł zabrał złego ducha asasynów. Stary imam nie żyje! — wyszeptał szambelan, rozglądając się niepewnie dokoła, jakby nie był o tym przekonany. Po chwili jednak dodał, zagrywając najważniejszy atut: — Co przeszkadza młodemu władcy poprosić o pokój?!

— Gotów jestem go przyjąć! — rzekł stary Kitboga. — Powitałbym to z radością!

— Wy jesteście generałem — zauważył uszczypliwie Dżuwajni. — Wy macie atakować, a za kwestie polityczne odpowiadam wyłącznie ja.

Pan nas wszystkich, dostojny wielki chan, jednoznacznie wyraził swoją wolę, że parę królewską mamy zabrać z sobą na Zachód, i to żywą. Nie widzę innej możliwości, jak wysłanie monseigneura Gosseta do twierdzy, żeby przedstawił życzenie wielkiego chana. Chciałbym się przekonać, czy przeciwstawicie się temu życzeniu.

— Żeby pan z Bourivanu już do nas nie wrócił — sztychł szambelan — tylko, ozdrowiawszy prędko, stanął na czele obrońców?

— Położył się — wtrącił z uśmiechem Crean. — Moje życie i tak zbliża się do swego ziemskiego kresu, obojętne, gdzie on mnie dopadnie, ale pragnę uratować Rosza i Jeżę i ocalić życie Kitona, który przedłużył moje.

— Wydaję rozkaz — zwrócił się generał do stojących w pobliżu Mongołów — przewiezienia monseigneura Gosseta do Alamutu. Weźcie tego pasterza, ojca Umara, żeby wskazał wam drogę do Róży przez góry. Wobec grożącego niebezpieczeństwa gorączkowe wysiłki mające na celu przygotowanie Róży do obrony przeplatały się,

niczym fale gorąca i uderzenia zimnego potu, z niemądrą beztroską i wyczekującą biernością. Młody imam z denerwującym spokojem pociągał fajkę wodną. Opium i konopie utrzymywały go w stanie błogich majaków sennych, w których Róża zawsze wznosiła się zwycięsko ponad wodą. Emir Hasan wyładowywał nadmiar agresji w niespodziewanych kontrolach gotowości obronnej swych podwładnych, chyba że rzucał się jak dziki zwierz na hurysy. Wszyscy wiedzieli, choć jeszcze nie widzieli wroga, że czyha on w górach z potężną armią, a to jest dopiero straż przednia sił mongolskich, które zbliżały się do Alamutu ze wszech stron. Codziennie napływały hiobowe wieści z innych twierdz asasynów, które — jeśli nie poddały się od razu — zostały zmiecione, zdławione i zduszone przez rozlewające się w dolinach niesamowite masy ludzi, zwierząt i oręża. Coraz mniej zwierciadeł błyskało ze szczytów odległych gór, a te, które wysyłały jeszcze sygnały, donosiły o klęskach i śmierci.

W kotle panowała przygniatająca duchota, która sprawiała, że każdy ruch ręką stawał się wysiłkiem wyciskającym pot z czoła. Kontrolowano i wypróbowywano ciężki ciężkich machin miotających; trzeba było składać na stos pociski, i to w tak wielkiej ilości, że niektórzy fedaini musieli odstąpić swoje cele sypialne, żeby nie zabrakło miejsca na ich składowanie. Stały tam teraz jedna obok drugiej gliniane amfory z lepką mazią nazywaną „greckim ogniem”, który sam się zapalał po uderzeniu w cel i rozprysnięciu się naczynia. Zew Ibrahim był dosłownie wszędzie, gdzie należało napiąć muskuły całej tej maszynierii. Dno kotła przypominało jedną wielką kuźnię. Odlewano kule, wykuwano grotty do beltów, szlifowano tysiące grotów do strzał i wycinano w nich ząbki. Na „płatkach” Róży, czyli ruchomych mostach zwodzonych, umocowano dodatkowe żelazne płyty uzbrojone w kolce, gdyż teraz przede wszystkim musiały wytrzymać napór. O dumnych wypadach konno wobec liczebnej przewagi jazdy mongolskiej nie było nawet co myśleć. Każde wolne pomieszczenie zamieniono w

magazyn prowiantu, nie należało się też bowiem spodziewać, że wróg wycofa się po pierwszym nieudanym ataku. Żeby zapewnić trwałość zapasów i dostaw, komendant twierdzy kazał je trzymać w wykutych w skale podziemnych sztolniach. Dla uniknięcia kłopotów zaopatrzeniowych generalnie zabronił przyjmowania uciekinierów. Hasan zastanawiał się nawet, czy nie kazać opróżnić „raju” i wysłać hurys do domu, co pozbawiłoby go możliwości zaspokajania swojej żądzy. Wówczas jednak Pola zwróciła uwagę na to, że dziewczęta mogą opatrywać rannych i podnosić morale zmęczonych wojowników. Poleciała stawiać w ogrodach stogi ze zbożem i zasadzić szybko rosnące owoce.

Jej siostra Kasda po pierwszych oznakach ciąży wycofała się zupełnie do obserwatorium i tam uczyła hurysy, jak opiekować się rannymi, dzieląc się z nimi wiedzą na temat leczenia i ziół tamujących krwawienie. Siostry nie rozmawiały ze sobą. Poza tym Hasan i jego budowniczy zdali się na bogate źródła wody głęboko pod ziemią i ufali w moc rażącą potwornej broni, jaką była *dam al-ard*, „krew ziemi”, która potrafiła zarówno unosić się na wodzie, jak palić. Tej broni Mongołowie nie mogli nic przeciwstawić. A jeśli jednak? Hasan nosił się z myślą, że nie najgorszym wyjściem byłoby poświęcić Różę i uratować tylko siebie i nowo narodzonego imama. A może powinien się zdecydować na natychmiastową ucieczkę, zabierając Kasdę — i pozostawiając Różę swojemu losowi? Nie był bohaterem. Ale akurat pragnął być uważany za takiego, kiedy jak feniks z popiołów stanie z nowym imamem przed ludem Izmaela. Porzucił więc myśl o ucieczce, zresztą brzemienna kobieta byłaby przy tym zbyt poważnym utrudnieniem. Po upokorzeniu, jakiego doznał od Churszaha, poczytano by mu to za akt tchórzostwa. Żaden pies, a już na pewno żaden izmailita nie podzieliłby się z nim później chlebem. Tylko jako bohaterski obrońca Róży walczący do ostatniej kropli krwi — własną naturalnie wykluczając! — mógł liczyć na zdobycie charyzmatycznego

przywództwa nad izmailitami i tytułu „wybawcy imama"! To zapewniłoby mu upragnione panowanie, jakkolwiek nominalnie byłaby to tylko regencja w imieniu małego imama, ale praktycznie władza spoczywałaby w jego rękach. Dla Hasana było jasne, że kąpiel w krwi Mongołów zmyłaby z niego hańbę, którą okrył go Cielak. Och, jakże nienawidzi tego Churszaha!

Kiedy zameldowano Hasanowi, że mały oddział wyruszył z Iskandaru i schodzi z gór, rozkazał mieć baczenie na wylot doliny, ale w żadnym razie nie podejmować wypadu.

Możliwe, że to pułapka. Tym sposobem nosze z Creanem dotarły bez przeszkód do miejsca, gdzie ponad fosą zjeżdżały na linach kosze z żywnością, i nikt w twierdzy nie wydawał się tym interesować. Dopiero gdy wycofała się mongolska eskorta i przy noszach zostało tylko paru pasterzy, Hasan pozwolił je wyciągnąć. Już z góry rozpoznał Creana i nieufnie odnosił się do jego pojawienia się w charakterze niedołęznego

inwalidy. Konwertyta posiadał zbyt twardą naturę i jego prawdziwe zamiary na pewno nie miały nic wspólnego z aktualną sytuacją Alamutu, lecz wynikały wyłącznie z

maniakalnego dążenia do sprawowania opieki nad parą królewską, czyli Roszem i Jeżą.

Hasan podszedł do dźwigu, gdzie docierały zabierane z dołu ciężary. Crean podniósł się z trudem ze swego posłania. Emir wpatrywał się w niego z niedowierzaniem, kiedy

ten stanął przed nim blady i słaby. — Róża wysłała was przed pięciu laty,

zaopatrzywszy hojnie w środki, żebyście zabiegali o pomoc Zachodu w utrzymaniu jej rozkwitu. Teraz wracacie jako żebrak, pozostawieni przez Mongołów obok odpadków, a kto wie, czy nie jako szpieg!

Wtedy Crean rozerwał na piersi koszulę, pozwalając zobaczyć Hasano-wi i

wszystkim, którzy stali obok, swoje straszliwe rany.

—

Dalibyście się tak torturować, Hasanie? — odrzekł spokojnie.— Tylko

dlatego żeby nie zdradzić Róży?

Emirowi nie w smak był taki przebieg rozmowy.

— Co macie do powiedzenia naszemu imamowi, dostojnemu Rukn ad-Dinowi Churszahowi? — warknął na Creana. — Gdzie armie waszych chrześcijańskich przyjaciół? Ja wiem tylko o jakichś mongolskich wojskach, które panoszą się w górach w okolicy Iskandaru. A dlaczego Dżuwajni darował wam życie?

— Żeby zdać z tego sprawę, chcę stanąć przed imamem — odparł stanowczo Crean. — Chyba że imama w ogóle nie ma i wy, Hasanie Mazandari, zagarnęliście wreszcie władzę w Róży, choć tylko po to by popchnąć ją do zguby?

— Powściągnijcie język, Creanie z Bourivanu, bo tak każę skatować wasze nędzne ciało, że skamłać będziecie tęsknić za torturami Mongołów! Cofnął się o krok, jakby zamierzał wydać stosowny rozkaz, lecz potem zmienił taktykę.

— Przyznajcie się, nic was nie obchodzi, czy wierni wyznawcy Izmaela przeżyją czy zdechną, wy zawsze byliście tylko posłańcem owej władzy, której wydaje się, że może rozporządzać koroną świata! Przybyliście zabrać Rosza i Jeżę z Róży, żeby hordy wielkiego chana mogły ją atakować zupełnie bez przeszkód! Ale oni rozbiją sobie tylko łby i poparzą łapy. Ich śmierdząca krew będzie płynąć dolinami, żeby wszystkim głosić: Róża żyje i jest wieczna!

— Skoro tacy jesteście tego pewni, Hasanie — odrzekł Crean z szyderstwem, które pojawiło się znowu w jego głosie — to czemu tak się uczepiliście pary królewskiej, czemu potrzebujecie pomocy niewiernych? Gdyby było tak, jak mi to obrazowo opisujecie, nie musielibyście się obawiać Mongołów ani trochę...

— A co oferuje generał Kitboga za wysłanie mu Rosza i Jezy oraz uwolnienie jego syna Kitona? — zmienił ton emir. — Czy gotów jest do natychmiastowego i całkowitego

odwrotu, czy gotów jest to podpisać... ---Nie stawiajcie warunków!—przerwał mu szorstko Crean. — Sytuacja Róży nie pozwala już na takie zachowanie, Mongołowie mają przewagę...

— W takim razie mogą sobie długo poczekać! — wpadł mu w słowo Hasan. — Wy, Creanie, pilnie potrzebujecie opieki z rąk waszych córek. Crean niechętnie usłyszał te słowa akurat z ust Hasana, ale pewnie on miał tutaj najwięcej do powiedzenia, choć dodał z uśmiechem: — A o losie Róży niech decyduje imam — jak decyduje o losie nas wszystkich. Crean musiał się położyć ponownie na noszach, gdzie zaraz zasnął z wyczerpania. Hasan udał się potajemnie na górę do Kasdy, która posiadała wiedzę na temat środków Merkuriusza, trucizn i odtrutek. Zlecił kapłance przyrządzenie środka nasennego, który miał być na tyle silny, żeby działał paraliżująco i utrzymywał pacjenta w stanie ciągłego lekkiego uśpienia, a to „z powodu straszliwych bólów, które sprawiają mu ciężkie obrażenia ciała”. Kasda nie zadawała żadnych pytań, ani o imię chorego, ani o bliższe okoliczności, podczas wojny prośba Hasana nie była jakimś niezwykłym żądaniem.

—
Afium — rzekła z uśmiechem — pozwala pogрузić wszystko w niepamięci.

Natychmiast przygotowała opium, emir wziął od razu próbkę i polecił jej, aby od tej pory posyłała codziennie dobrze odmierzoną porcję na dół do swej siostry Poli. Wiedział, że

siostry nie rozmawiają ze sobą. Następnie kazał podać roztwór opium Creanowi i zanieść chorego w stanie odurzenia do Poli, której położył na sercu pielęgnowanie ojca.

— Świeżo przygotowany medykament będzie wam codziennie przysyłać Kasda — rzekł Hasan, starając się wykazać gorliwość jako pomocnik. — Jej sztuce leczniczej możemy zaufać. Chcąc się upewnić, jak działa narkotyk, odczekał chwilę. Crean nawet nie rozpoznał córki. Nie powiedział rozsądnego słowa, tylko wciąż zasypiał — pomimo starań Poli. Hasan ukradkiem zatarł ręce.

Port Świętego Szymona, w uroczystość św. Korneliusza*

A. D. 1256

Moi zwierzchnicy zakonni przyjęli mnie raczej mało łaskawie. Nie, żeby słyszeli o awansie i upadku patriarchy Karakorum, nie wiedzieli nawet, że takowy istnieje i że mój konfrater Wawrzyniec z Orty piastuje ten wysoki urząd, którym za jego sprawą zawładnął Przeorat. Wystrzegałem się mówienia czegokolwiek o tym epizodzie. Nie, moich przełożonych irytowało to, że nie było mnie tak długo i nie mogę się wykazać konkretnymi wynikami, jak pozwolenie dla zakonu świętego Franciszka na rozszerzenie działalności misyjnej aż po daleką Mongolię. Nie dało się im też wytłumaczyć, że wielkiemu chanowi wcale nie zależy na krzewieniu religii, której najwyższym zwierzchnikiem nie jest on, tylko papież, i że chrześcijaństwo się tam wprawdzie toleruje, a nawet — dzięki nestoriańskim żonom chanów — faworyzuje, ale nikt nie ma tam najmniejszego zrozumienia dla roszczeń *Ecclesiae romanae* do wyłącznego reprezentowania wszystkich Kościołów.

Mój zleceniodawca, król Ludwik, wrócił już dawno do Francji, a moje pragnienie, aby złożyć mu relację osobiście, moi przełożeni potraktowali równie życzliwie jak Batu-chan moje życzenie, aby przybliżyć mu Zbawiciela. Nawiasem mówiąc, stary władca i twórca Złotej Ordy zmarł ostatnio, a jego syn i następca Sartak skłania się jawnie ku wyznaniu Mahometa. Nie pomógł zatem również bogato zdobiony złotymi winietami brewiarz, który Baru wyciągnął ode mnie, chociaż dostałem go w podarunku od królowej Małgorzaty.

Krążą także słuchy, iż z Karakorum wyruszyła ogromna armia mongolska, która ma podbić Persję, a następnie sąsiadujący z nią Zachód. Straż przednia pod dowództwem

generała Kitbogi przetoczyła się już podobno przez Samarkandę i jako kierunek natarcia obrała Alamut, gdzie mieści się główna kwatera izmailitów. Myślałem o Roszu i Jezie, moich małych królach, o których nic nie słyszałem od ponad roku, co utwierdza we mnie podejrzenie, że tkwią w twierdzy asasynów. Czy wiedzą, że znajdują się w wielkim niebezpieczeństwie? Bez wiedzy prowincjała mojego zakonu Gosset i ja, za pośrednictwem chętnego do pomocy penikrata, poprosiliśmy o audiencję u księcia w pałacu. Kapitan triery nie omieszkał odprowadzić nas z portu Świętego Szymona do miasta Antiochia. Miał dojście do młodego księcia Boemun-da. Po minięciu koszar gwardii poprowadzono nas platanową aleją do tylnej części pałacu. Bo przyjął nas w parku. Miał teraz prawie dwadzieścia lat, minęły całe wieki, czyli osiem lat, od czasu, gdy chciał się żenić z Jeżą. Jego małżonką została Sybilla z Armenii, córka króla Hetuma. Powitał mnie jak starego przyjaciela i zapytał o zdrowie swych młodych przyjaciół. Niestety, mogłem się z nim podzielić tylko złymi przeczuciami. Boemund był przerażony.

— W żadnym wypadku nie mogą tam zostać dłużej! — zawołał.—Mój teść wrócił właśnie do Sisu i powiadomił nas, że il-chan Hulagu dostał wolną rękę od swego brata, wielkiego chana Móngkego, na zrównanie z ziemią Alamutu i skrócenie o głowę każdego napotkanego w Róży asasyna. Kamień ma nie zostać na kamieniu i żaden ptak na niebie nie będzie mógł już śpiewać o tym, gdzie kiedyś kwitła Róża!

— A czy nie może się zdarzyć — uczepiłem się ostatniej nadziei — że Złota Orda, teraz za rządów Sartaka zwróciwszy się ku mahometani-zmowi, pośpieszy na pomoc braciom w wierze lub przynajmniej powstrzyma Mongołów od zniszczenia Róży, jej jedyne w swoim rodzaju kwiatu i jej skarbów? Bogata biblioteka... — Jak długo przebywaliście wśród Mongołów, bracie Wil iamie?

— przerwał mi młody książę, uśmiechając się z wyższością. — Winniście wiedzieć, że duch książek, wiedza i mądrość są Mongołom równie obce jak dobre maniery przy stole. Respekt wzbudzają w nich tylko ich własne duchy, ady i onkony — przypomniał mi — a co się tyczy władcy chanatu kipczackiego, Sartak jest przede wszystkim Mongołem, a dopiero potem muzułmaninem!

— A zatem Róża skazana jest na zgubę? — wywnioskowałem zupełnie zgaszony.

— Winę za to asasyni mogę przypisywać samym sobie — pouczył mnie chłodno Bo.

— Zamordowali Czagataja, podobnie zresztą jak hrabiego Trypolisu Rajmunda, jednego z moich przodków! Nie można im pomóc! Ostatni imam wysłał oficjalnie czternastu swoich siepaczy, żeby zabili Móngkego. A jego syn Rukn ad-Din Churszah jest, jak się wydaje, za słaby lub zbyt niezdecydowany, żeby w ostatniej chwili odwrócić wiszącą nad nim fatum przez bezwarunkowe podporządkowanie się Mongołom.—A pomoc z obozu muzułmańskiego? Boemund zmierzył mnie drwiącym spojrzeniem.

— Pomoc dla znenawidzonej sekty skrytobójców, fanatycznych wyznawców fałszywej nauki? Od Bagdadu po Kair wszyscy się ucieszą, kiedy ta plaga zostanie wytępiona, kiedy to gniazdo skorpionów zginie w płomieniach! Radość zapanuje wśród prawowiernych wyznawców Proroka!

— Ale kto przeciwstawi się dalszej ekspansji Mongołów? Alamut to tylko pierwszy kamień, który usuną z drogi jako uciążliwą przeszkodę, potem będzie Bagdad...

— Ja z pewnością nie będę na tyle głupi, aby stawiać im opór, tylko pójdę tą samą drogą co Armenia. Antiochia leży zbyt daleko na północy, ażeby mogła liczyć na pomoc z Królestwa. Damaszek i Aleppo muszą same jakoś dać sobie radę, tylko Mamelucy z Kairu będą stawiać opór.

— Jakże to, mój książę, widzicie przyszłość w aż tak ponurych barwach? —

odparłem, pragnąc podnieść go na duchu, chociaż ja też nie mogłem mu zaferować żadnego pocieszenia.

Z Zachodu nie przybędzie z odsieczą ani jedna armia—ciągnął Bo.—Największe potęgi są skłócone jak nigdy dotąd. W Akce szaleje bratobójcza wojna między obydwoma zakonami rycerskimi i toczą ze sobą wojnę trzy włoskie republiki morskie. Antiochia podporządkuje się Mongołom, ze strony Mameluków my, chrześcijanie, na dłuższą metę i tak nie możemy się spodziewać łaski. Będę się modlił o zwycięstwo wielkiego chana i poproszę o jego pokój, *pax mongolica*. To moja jedyna nadzieja!

Rozmowa ta bardzo mnie przybiła. Wróciłem z towarzyszami na naszą kwaterę, o którą wystarał się dla nas zapobiegliwy penikrat, gdyż moi zwierzchnicy zakonni za nic w świecie — nawet za diabła! — nie tolerowaliby tego, żebym żył z panią Ksenią pod jednym dachem, co ja mówię, pod jedną kołdrą. Przybyła ona wraz z małą Amal za mną do Antiochii, zapewne w nadziei że mógłbym tam, gdzie posiada ona mały domek, zamieszkać z nimi i wieść spokojny żywot. Nie, żeby mi na tym zależało, ale do klasztoru też nie chciałem wracać, zwłaszcza że oczekuje się ode mnie, iż teraz własnoręcznie dokończę pisać raport dla króla Ludwika, który jednak nie ja mam zawieźć do Francji, tylko *pater* Gosset.

W pierwszych dniach września przybył do Antiochii, wpierw ku memu przerażeniu, potem na moje szczęście, brat Bartłomiej, odmieniec jaskiniowy. Nasz przezorny kapitan przechwycił go w porcie Świętego Szymona akurat w momencie, gdy zamierzał się zaokrętować na trierę powracającą do Konstantynopola. Penikrat przyprowadził go na naszą kwaterę, zanim klika minorytów zauważyła w ogóle jego obecność. Bartłomiej, tak jak należało się tego spodziewać, wstąpił ponownie na służbę u papieża Aleksandra. Powiedział mi, iż Kościołowi bardzo zależy na tym, żeby raport dla króla

Ludwika tchnął nadzieją na ułożenie dobrych stosunków między Mongołami a Kościołem. I Bartłomiej istotnie żywił chwalebne przekonanie, że może mi podyktować przerobioną wersję! Pomijając fakt, że uważałem za nader zabawne, iż ktoś, kto w ogóle nie uczestniczył w podróży do wielkiego chana, a z Mongołów widział tylko znoszony pilśniowy kapelusz, który po powrocie do Konstantynopola podarowałem mu „na pamiątkę”, wysze z palca „poprawione” *itinerarium*, przeważała przede wszystkim moja niechęć do ciężkiej pracy w charakterze skryby.

— To cudowny pomysł — powiedziałem — który mogła ci podsunąć jedynie

Najświętsza Dziewica. Jutro rano udamy się razem do domu zakonnego i rozpoczniemy to dzieło, które i papież, i król powinni przyjąć z zadowoleniem. Tej samej nocy Ksenia i ja spakowaliśmy swoje tobołki; nie dała się odprawić, także mała Amal musiała odejść z nami. Uściskałem Gosseta, który mi zazdrościł, gdyż jemu Antiochia nie podobała się wcale w porównaniu ze Złotym Rogiem, a następnie z pomocą penikrata opuściliśmy chyłkiem miasto, udając się do portu Świętego Szymona.

L. S.

Ledwie lato dobiegło końca i pasterze spędzili z powrotem swoje stada w doliny, do Alamutu dotarły pogłoski, iż Mongołowie zamierzają urządzić *tadid asz-szab** wśród izmailitów z bliższej i dalszej okolicy. Kilka dni później oszańcowanym w Róży asasynom ukazał się niezwykle widok. Pod osłoną specjalnie zbudowanych w tym celu płotów wysokości mężczyzny przepędzono długim szeregiem najpierw setki, a wkrótce potem tysiące zwołanych w górach asasynów przez ogrodzony w ten sposób teren, gdzie miało się odbywać liczenie ludności. Nie mogli oni widzieć tego, co widzieli z góry obrońcy. Kiedy ludzie docierali do końca ogromnego labiryntu mającego kształt meandra, bez żadnych ceregieli obcinano im głowy. I owe głowy później liczono. Hasan, pobladły z wściekłości, przyglądał się temu widowisku jak urzeczony, zanim posłał wiadomość imamowi. Ten jednak powiedział tylko to, co powtarzał już od wielu dni: —

Powinniśmy się układać z Mongołami. Emir nie zataił przed Churszahem przybycia Creana, ale oznajmił mu, że gdyby chciał z nim porozmawiać, to sprawa jest beznadziejna. Konającemu nie można było nawet przekazać radosnej wieści, że nowym imamem jest on, Churszah. Poza tym Crean nie rozpoznał nawet własnej córki. — Informujcie nas na bieżąco — mruknął imam. — Chcę, żeby w naszym imieniu prowadził pertraktacje.

Od dnia wstąpienia na tron Churszah zamknął się w pałacu i tam snuł podobno niekończące się deliberacje, chyba że grał z Roszem w szachy albo kazał Jezie czytać na głos księgi greckich filozofów. Na przykład „Bibliotekę” Focjusza,* pisma Algazela* „Ożywienie nauk religijnych”, a przede wszystkim dzieła arystotelika Awerroesa,* który zaprzeczał nieśmiertelności dusz indywidualnych, wierzył natomiast w jeden powszechny rozum ludzkości. Hasan — nie zważając na ofiary wśród tak czy owak

skazanych na śmierć — rozkazał strzelać z katapult, by podpalić makabryczne urządzenie do liczenia. Wtedy Mongołowie wycofali się, zabierając swoich jeńców. Do Róży przybył natomiast mądry Nasir ad-Din Tusi w charakterze emisariusza. Kitboga kazał go ściągnąć z Maraghi, jako że stał już kiedyś na czele poselstwa asasynów do wielkiego chana.

Na polecenie imama Hasan przyjął go, zgrzytając zębami, ale z wyszukaną uprzejmością, jaka przysługiwała uczonemu tej rangi. Nasir ad-Din Tusi obstawał jednak przy tym, żeby zaprowadzić go przed oblicze imama. Stanąwszy przed nim, nie wdawał się w długie wstępy, jego szacunek dla Churszaha miał granice. — Jeśli chcecie uchronić przed wytępieniem powierzony wam naród, to wyślijcie natychmiast parę królewską do obozu polowego Mongołów do generała Kitbogi, nie do szambelana Dżuwajniego, który powziął względem nich i względem was złe zamiary. Rosz i Jeza mają na Mongołów duży wpływ i są w stanie ich udobruchać.

Próżno wam szukać lepszych orędowników! — Pragnąc przełamać przygnębienie imama oraz wyczuwalną wrogość emira, dodał: — Skoro już Crean z Bourivanu nie dotrzymał danego Mongołom słowa i do dziś nie wrócił z oczekiwaną propozycją pokoju. Churszah spojrział surowo na Hasana, który wzruszył ramionami. —

Mongołowie tak go urządzili — odrzekł imam — że do tej pory walczy o życie. Do dziś nie padło z jego ust nawet jedno słowo na temat propozycji pokoju. Ale teraz zadbam o niego osobiście. Hasan obojętnie gapił się przed siebie.

Następnie Churszah kazał wezwać Rosza i Jezę i zapytał, czy para królewska dla ratowania Róży i jej mieszkańców byłaby gotowa udać się z mądrym Nasir ad-Dinem Tusim do Mongołów i ustalić razem z nimi, jak mają wyglądać warunki przekazania twierdzy i poddania się i czy gwarantuje się asasynom nienaruszalność cielesną. Rosz chciał już wyrazić głośno spontaniczną zgodę, lecz Jeza uszczypnęła go w ramię i odpowiedziała z pełną powagą:

— Para królewska uda się na naradę! Pociągnęła Rosza w kąt sali.

— Ja też muszę narzucić sobie spokój, mój drogi Trencavelu — szepnęła podnieconym głosem — żeby nie pokazywać radości i ulgi, ponieważ będziemy mogli wreszcie opuścić Alamut!

— Nie ze strachu przed zagrożeniem wojennym, lecz z obrzydzenia, jakim napełnia mnie wszystko, co musieliśmy tutaj przeżyć od naszego powrotu.

— Tak właśnie jest — rzekła Jeza. — A teraz możesz oznajmić, że jesteśmy gotowi.

Churszah nie zostawił im czasu na pożegnanie z przyjaciółmi, „Zewem na kółkach” i sędziwym magistrem Herlinem z biblioteki. Nie mogli nawet powiedzieć „bywaj” Poli ani Kasdzie. Gwardia przyboczna imama odprowadziła ich do samej bramy, żeby emir nie mógł im postawić na drodze żadnych przeszkód. Hasan już tam na nich czekał.

—

Życzymy sobie — ozwał się Rosz stanowczo — wziąć ze sobą naszego przyjaciela Kitona, którego w dalszym ciągu trzymacie w więzieniu. Każcie go zaraz wypuścić! Emir skłonił się unieźlenie. —
Stanie się to natychmiast. Wyślę go za wami, gdy tylko Mongołowie wstrzymają *tadid asz-szab*.
Ponieważ gwardia naciskała, żeby nie trzymać bramy tak długo otwartej przy spuszczonej moście, Rosz i Jeza podążyli za idącym przodem Nasir ad-Dinem Tusim. Mały oddział Mongołów eskortował generała Kitbogę, który wyjechał na spotkanie dzieciom i posłowi aż do miejsca tuż poza zasięgiem katapulty. Generał ucieszył się ze zwycięstwa rozsądku, jakkolwiek dotknęła go boleśnie nieobecność Kitona.

—
Witamy! — zawołał właśnie, gdy pojedynczy pocisk opuścił Różę, uderzył w ziemię przed generałem i potoczył się pod kopyta jego konia. Osłupiały z przerażenia rozpoznał odciętą, zakrwawioną głowę swojego syna.

-
- * Oksus — obecnie Amu-daria.
 - * Minggan (mong.)—oddział tysiąca żołnierzy.
 - * Uroczystość św. Korneliusza — 16 września.
 - * Tadid a s z- s za b (arab.) — spis ludności.
 - * F o c j u s z — ur. ok. 810, teolog, jeden z najważniejszych przedstawicieli bizantyjskiego humanizmu.
 - * A l g a z e l (arab. Al-Ghazali) — 1059—1111, muzułmański teolog, filozof i mistyk, jeden z najwybitniejszych myślicieli islamu.
 - * Awerroes (arab. Ibn Ruszd) — n26—n98, arabski filozof, teolog, prawnik, lekarz;

najwybitniejszy komentator pism Arystotelesa w średniowieczu.

X. RÓŻA W OGNIU

Przez całe gorące lato aż po początek jesieni na płaskowyżu, gdzie wznosił się Alamut, było bezludnie. Tylko sępy zleciały się zaraz po wycofaniu się Mongołów i pozostawiły na kamiennym pustkowiu blade szkielety. Głowy zabitych Mongołowie zatknęli na żerdziach, tak iż Róża obstawiona była dookoła szczytami czaszek. Hasan wysyłał wciąż nowe oddziały, gdyż nikt nie chciał tam długo przebywać, żeby strącały z żerdzi owe czerepy, ale te co rano tkwiły znowu wysoko. A przecież nikogo nie widziano. Mongołowie jakby rozpułnili się w powietrzu. Z okolicznych twierdz górskich przestały też jednak nadchodzić meldunki, zwierciadła umilkły, a oddziały zwiadowcze wysłane w góry nie wróciły.

Młody imam przebywał dzień i noc w bibliotece, w *kubbat al-musawa*, „komorze harmonii”, która mieściła się tuż nad jego pałacem i po łukowate żebra była wypełniona dziełami poznania; Churszah odkrył je dopiero w tych dniach tępego oczekiwania, a w ich mądrości szukał teraz pocieszenia. Pochłoniął *ta'ijję*, czyli poemat o miłości Umara Ibn al-Farida,* oraz „Rozmowy ptaków” Fariduddina Attara,* rzecz o pielgrzymkach duszy. Śledził wywody wielkich perskich mistyków i zagłębił się w „Księżce królewskiej” Firdausiego.* Stary Herlin układał mu na stole przy otworze okiennym całe stosy foliałów, w tym także poświęcone alchemii pismo słynnego izmaility Dżabira Ibn Hajjana, „Księgę siedemdziesięciu”, jak również — po krótkim wahaniu — interpretację mistycznych symboli w naukach Buddy podaną przez mnicha Chi K'ai.* Churszah śnił piękne sny, które rodził w jego mózgu zimny dym konopi. Wznosił oczy do obłoków i żeglował wraz z Różą między nimi jakby na jakimś statku. Potem jednak krąg widzenia się zawęził, jego wzrok padł z góry na Hasana, który stał pod nim na blankach i wypatrywał czegoś w oddali; oczami emira widział wtedy skaliste pustkowie z bielejącymi szkieletami, a w głębi góry, z których pewnego dnia wyroją się Mongołowie.

Brzemienność kapłanki przeciągnęła się już poza przewidziany termin, w każdej chwili należało się spodziewać porodu. Kasda leżała ze wzdętym brzuchem na swym posłaniu pod otwartym baldachimem obserwatorium i czekała, kiedy zaczną się bóle. W swoim uporze odrzuciła pomoc w porodzie jakiejś znajęcej się na rzeczy niewiasty, swojej siostry tak czy owak, tylko sędziwy Herlin miał jej pomagać. W nocy zwlokła się z posłania, zbliżyła do swoich instrumentów i popatrzyła w górę na gwiazdy. Ich układ był niepomysłny. Jaskrawym światłem migotał Unuk Elhaia,* pozdrawiał konfidencjonalnie Rasa Alhague* oraz Procyona;* Phoenon* znajdował się w kwinkunisie* z Marsem; Wojownik pulsował krwistoczerwonym blaskiem, mrugając do okrutnej Hekate, która otuliła się płaszczem ciemności, jakby choć sama bezlitosna, nie chciała patrzeć na nadciągające już nieszczęście.

Idąc za radą Herlina, który dbał o dostarczanie jej dzień w dzień lekarstwa od Kasdy dla chorego Creana, Pola odstawiła w końcu medykament. I patrzcie, Crean się nagle zbudził — i odtąd tak szybko wracał do zdrowia, że już niedługo potem Pola mogła się z nim naradzić, jakie kroki należałoby poczynić dla uratowania nie narodzonego jeszcze dziecka. Ku zdumieniu Creana w podtrzymanie rodu imama zaangażowała się akurat ta z jego córek, której w żadnym wypadku nie posądzałby o takie zainteresowanie spirytualnym przesłaniem Izmaela. Pola dowodziła, że potrafi dostrzec nieliczne możliwości, otwierające się jeszcze przed tym przedsięwzięciem.

— Ucieczka z Róży i uratowanie dziedzica mają widoki na powodzenie tylko wtedy — oświadczyła ojcu — gdy Mongołowie rzeczywiście przystąpią do ataku na Alamut. Wtedy ich uwaga będzie skupiona na złamaniu naszego oporu i osłabnie ich czujność, zresztą dotychczas kontrolowali tylko zaplecze. W samym środku zamieszania bitewnego musicie zaryzykować i spróbować ucieczki z Szamsem...

Crean z Bourivanu uśmiechnął się z przymusem. Dla was, córko, jest zatem rzeczą

postanowioną, że akurat ja mam się podjąć tego zadania. A skąd macie pewność, że to będzie chłopiec, skoro nazywacie Szams owo nienarodzone dziecię? Jestem tego pewna tak samo, jak wiem, że nie uchylicie się przed tym wezwaniem. Komu innemu miałabym powierzyć tę ostatnią przysługę wobec Róży, jeśli nie wam... — Pola popatrzyła na przedwcześnie posiwiąłego ojca w nagłym przypiływie miłości do niego, po czym dodała ostrożnie: — To dopełnienie waszego żywota. Crean zmęczonym gestem skinął głową. — Nie powiem, żebyście całkiem nie mieli racji — mruknął. Jego sylwetka wyprostowała się. — Przekażcie siostrze, że podejmę się tego i doprowadzę do szczęśliwego końca... jeśli Bóg tak zechce.

Przez wymieciony wiatrem płaskowyż, ponad którym wznosiły się jedynie okruchy skalne i niezliczone szkielety, franciszkanin w brązowym habicie ciągnął za sobą upartego muła, na którym siedziała zawoalowana kobieta trzymająca na rękach dziecko.

Ksenia przyjęła małą Amal jak rodzoną córkę i podążała za mężczyzną, którego podziwiała, choć instynktownie czuła, że ów William z Roebruku zapewni jej wszystko, tylko nie bezpieczeństwo. Kiedy od Alamutu dzielił ich jeszcze dzień drogi, zatrzymali ich Mongołowie, którzy odnosili się do Williama z godnym uwagi respektem. Niektórzy od razu uklękli, jakby chcieli prosić minorytę o błogosławieństwo, inni natomiast traktowali go podejrzliwie. Przewieziono ich do obozu wojskowego, gdzie zaprowadzono Williama bez kobiety i dziecka do namiotu generała Kitbogi. Tamże obecni byli także Rosz i Jeza, i to oni po nad wyraz wylewnym powitaniu „swojego” Williama zaproponowali, żeby go wysłać do Róży.

— To ostatnia szansa — oświadczył otwarcie Rosz. — Jeśli i ty bezskutecznie...

— Jednakże koniecznie musisz — wtrąciła się Jeza — dotrzeć przed oblicze samego

Churszaha, to nowy imam. Jeśli pozwolisz się zatrzymać Hasanowi, komendantowi twierdzy, wtenczas twoja misja okaże się daremna.

— Williamie — zawołał Rosz — uczynь wszystko, by przywołać Różę do rozsądku, niech wreszcie zrozumie swoje beznadziejne położenie!

— Daję mu godzinę! — oznajmił generał, który nie miał raczej powodu, by spodziewać się po franciszkaninie cudu. — Czas zaczyna się liczyć od wejścia waszego Williama do twierdzy! Nic więcej nie mogę zrobić! Tym sposobem William z panią Ksenią i małą Amal dostał się pod samą Różę. Albowiem również Dżuwajni pochwałał pomysł, żeby wysłać franciszkanina — na jego zgubę. Szambelan liczył na to, że „opiekun dzieci” nie będzie mu się plątał pod nogami w dalszej części kampanii. Na wzmocnieniu pozycji dzieci królewskich wcale mu nie zależało. Dotarwszy pod Różę, William ujrzał rozpięty nad fosą, wąski niczym drabina jeden z jej delikatnych płatków, które pozwalały dojść do małej furtki tylko jednej osobie.

—
Zaczekajcie tutaj — powiedział do kobiety — muszę przekazać wiadomość od Rosza i Jezy, moich małych królów.

I już kroczył niepewnie po chybotałej kładce, i zapukał do furtki. Od wewnątrz odsunięto rygiel, czyjeś ręce chwyciły Williama i wciągnęły go do środka, zanim zdążył choćby otworzyć usta. Franciszkanin rozglądał się zdumiony po wnętrzu kotła: widział jego sklepione przejścia i wygięte schody, przecinające przestrzeń we wszystkich kierunkach, grube liny, zwisające lub pnące się od jednej podpory do drugiej, oraz łańcuchy, które podzwaniając wędrowały w górę i w dół między plastrami miodu przy ścianach a obracającym się pośrodku systemem drążków. W dole żarzyły się ognie, w górze zaś wzrok gubił się w plątaniu belek poprzecznych, szyn i jakby unoszących się w powietrzu żeber konstrukcji. A wszędzie mrowili się ludzie. To piekło, pomyślał

William, lub przynajmniej czyściec. A w następnej chwili zresztą dostrzegł człowieka, który wyglądał jak szatan i właśnie rozkazał ostrym tonem: —

Wrzucie go do lochu i

zmuście do mówienia! — Z galerii wiodącej ponad bramami Hasan dorzucił jeszcze: —

Albo to szpieg, bo jak inaczej Mongołowie pozwoliliby mu przejść, albo głupiec!

I w tym momencie William ujrzał zjeżdżający z góry kosz. Wysiadł z niego Crean

wsparty na pięknej damie, jakby przysłany przez niebiosa. Równocześnie zjawił się też

w kotle Churszah, otoczony przez swoich gwardzistów. Crean dał znak strażnikom,

żeby wypuścili Williama. -- William z Roebruku to człowiek przynoszący szczęście —

wyjaśnił emirowi. — Kiedy on się pojawia, możecie być pewni, że wszystko pójdzie źle!

— Chętnie wezmę ze sobą tę okrągłą „rękę Fatimy"!* — zawołał Churszah. — To

naprawdę cenna *chamsa*. Po czym zaprosił Williama, by usiadł w jego koszu, który razem ze zdumionym franciszkaninem natychmiast ruszył w górę, do nieba. — Mielicie

pecha! — rzekł Crean do emira, pożegnał się z Połą i ciężkim krokiem, ale nie

niepokojony przez nikogo udał się do podziem

nego królestwa Zewa Ibrahima. Ksenia z zawiniętą w chustę małą Amal nadal czekała

w niemym proteście przed Różą, która wrogo wyciągała w jej stronę swoje kolce niczym

szpony. Wtem między skałami u stóp gór pojawiły się błyski oręża. Doliny zapelniły się

tysiącami i dziesiątkami tysięcy żołnierzy, którzy rozlewali się po płaskowyżu niczym

bezkształtna maź: konie, krępe sylwetki ludzi odzianych w skórę i żelazo, najeżonych

włóczniami, krzywymi szablami, strzałami i łukami. Nie były to jednak nieuporządkowane

masy. Formował się manipuł za manipułem i zajmował przydzielone mu miejsce.

Ciężkie maszyny oblężnicze, ogromne *mangonele*, * ustąpiły pierwszeństwa zgrabnym kuszom naciąganym za pomocą kołowrotu i lżejszym trebuszetom. Balisty i proce

miotające kamienie od razu zresztą wkroczyły do akcji, żeby podrażnić Różę i

zmniejszyć jej zapasy pocisków.

Mongołowie nie uwzględnili jednak w swych rachubach złośliwej powściągliwości Hasana i niezmordowanego daru wynalazczego Zewa Ibrahima. Róża wychwyciła nieprzyjacielskie pociski w sieci, a sama nie wystrzeliła ani jednego. Dlatego generał Kitboga natychmiast zaniechał tej taktyki, wymyślonej zresztą przez Dżuwajniego. — Ukąszeniami komarów chcecie się dobrać do skóry skorpionowi? — zbeształ szambelana przed zgromadzonymi dowódcami. Dżuwajni został odesłany z powrotem do Iskandaru, gdzie założył swą główną kwaterę il-chan Hulagu w towarzystwie żony Dokuz-chatun. —

Martwcie się o swoje sprawy! —warknął jeszcze na pożegnanie do obrażonego szambelana, który dosiadał już konia. — Do tej pory służby tajne nie dostarczyły mi ani jednego asasyna, który by nam zdradził, jak przebiegają wykute w skale podziemne kanały, zaopatrujące Różę w wodę

i siłę. Rosz i Jeza dołączyli do dawnej centurii Kitona, w której służył Rosz, i udali się z nią na miejsce działań bojowych. Nie żywili już zbyt nadziei, że zdołają wyjednać pobłażliwość dla Róży i łaskę dla jej obrońców. Z uwagi na okrutną śmierć Kitona nie należało się tego spodziewać po Mongołach — nie wspominając o jego ojcu — a tym bardziej nie można było tego wymagać. Rosz i Jeza zaniechali więc upominania się i trwając w tępych uporze, pozostali na stanowisku dowodzenia armii oblężniczej, która czekała już tylko na niepowodzenie misji Williama.

Pierścień wokół Róży się zamknął. Termin upłynął. Jak okiem sięgnąć stały ciasno jeden przy drugim zwarte oddziały żołnierzy, czekające na sygnał do ataku. Zjawiała się eskorta, która na rozkaz generała miała odprowadzić parę królewską do Iskandaru.

Razem z Roszem i Jezą, którzy opuszczali to miejsce w niemym zwątpieniu, odesłano też w góry Ksenię z małą Amal i szambelana. Kiedy jechali tam drogą, którą

Mongołowie rozbudowali w całkiem wygodny kamienny trakt, Rosz i Jeza dowiedzieli się od niepocieszanej kobiety, że jej William wślizgnął się jeszcze do środka, ale do tej pory z twierdzy nie wyszedł. Oboje najchętniej zawróciłiby natychmiast, żeby wstawić się u Kitbogi za przyjacielem, lecz Dżuwajni z całą pewnością nie pozwoliłby im na to. Jeza objawiła zainteresowania macierzyńskie małą Amal. Ksenia opowiedziała jej, że dziewczynka jest owocem nieszczęśliwej miłości Umara i Ordy. Także Rosz uznał historię za wzruszającą i postanowili, że zaraz po przybyciu do górskiej wioski pokażą ją dziadkowi. Na miejscu wspięli się więc pod górę do zagrody ojca Umara, który zresztą zaraz ich rozpoznał i życzliwie ugościł miodem i świeżym serem. Ledwo zdołali odwieść go od zamiaru zabicia dla nich kózki. —

Tak więc mój Umar nie podarował mi wprawdzie wnuka, ale kto wie, czy to nie lepiej w czasach, kiedy młodzi mężczyźni giną wyłącznie gwałtowną śmiercią od miecza! — Podniósł dziewczynkę, podrzucił ją silnymi rękoma w górę i złapał. Mała wydała radosny okrzyk, a uszczęśliwiony pasterz zawołał: — Amal! Ty moja nadziejo na pokój! Wcisnął dziecko z powrotem w ramiona zatrwożonej Kseni, po czym jeszcze raz je popieścił, długo i z widocznym wzruszeniem. Podziękował parze królewskiej ze łzami w oczach, uparł się, że na czas pobytu mają uważać jego dom za własny, a następnie zszedł do wioski, żeby „zajrzeć, co się dzieje przy studni!” — jak zawołał na pożegnanie. Tymczasem w Iskandarze zakwaterowali się Mongołowie. Szambelan był w złym humorze. Natychmiast po swym małym chwalebnym powrocie wyładował gniew na pozostałej na miejscu ludności wioski. Pierwszą osobą, do której się przyczepił, był akurat ojciec Umara. Dżuwajni nadal miał w łakomej pamięci świeży ser, który jadł wtedy w jego domu. Omal nie zapytał: „Gdzie jest schowany *dżubn taził*!” Zaczął lżyć pasterza, a przy tym zapewniać go, że każda informacja o urządzeniach wodociągowych Róży może mu uratować życie. — Ktoś musiał przecież przebić tunel przez skały i utrzymuje go w dobrym stanie?

Ale ojciec Umara tylko wyśmiał szambelana i wzruszył ramionami, podkreślając, że nie wie lub nie chce wiedzieć. Wściekły Dżuwajni rozkazał odrąbać uśmiechającą się głowę starca od reszty ciała. Wtedy jednak w dłoni pasterza pojawił się nagle sztylet. Błady jak ściana Dżuwajni odskoczył w tył; potknął się przy tym, padł na kolana i obronnym gestem uniósł ręce. Zanim jego siepacze zdolali pochwycić ojca Umara, ten szybkim ruchem poderżnął sobie gardło, a jego krew trysnęła na szambelana.

Róża jest nie tylko niezwyciężona — oznajmił patrzącemu nań z niedowierzaniem Williamowi młody imam — ale i w ogóle nie do zdobycia! Tak w każdym razie zrelacjonował potem rozmowę w pałacu franciszkanin, odszukawszy w piwnicy swego starego przyjaciela Creana i Zewa Ibrahima. Rozegrali przy tym szybką partię szachów, którą Churszah, jakby pragnąc podkreślić wysuniętą tezę, rozstrzygnął chwalebnie na swoją korzyść. William słabo grał w szachy. —Jego wysokość Rukn ad-Din Churszah życzy sobie, żeby Mongołowie najpierw poznali i uznali tę tryumfalną wyższość. Dopiero potem imam będzie gotów pertraktować z posłami wielkiego chana. W każdym razie William był pod dużym wrażeniem tej rozmowy, jak i w ogóle samej Róży. Dziwił się, a nawet irytowało go trochę, że ani Crean, ani Zew ani słowem nie odnieśli się do jego relacji.

Grubo po północy Crean oraz budowniczy w swoim krześle na kółkach udali się na dół, w głąb wnętrza Róży, gdzie woda pod ogromnym ciśnieniem buchała strumieniem z regulowanych śluz, a łopatkami za pośrednictwem przekładni ślimakowych obracały masywnymi zębatkami systemu hydraulicznego. Spieniona szumiąca woda wpadała do zbiornika, by potem zniknąć z bulgotem w kanałach.

— Mongołowie teraz się nie śpieszą. Z generalnym natarciem liczę się we

wczesnych godzinach porannych — mruknął Zew Ibrahim. — Wtedy atakujący będą świeży i wyspani, natomiast obrońcy zmęczeni długim czuwaniem i brakiem snu w nocy...

— Ważne tylko, żeby Kasda wreszcie urodziła swego syna, zanim to nastąpi — przerwał mu Crean — a imam musi uciekać natychmiast po przecięciu pępowiny...

— Bóle porodowe u kapłanki już się zaczęły, tak przekazał nam magister Herlin — uspokoił go Zew. — Pierwszy krzyk dostojnego dziecięcia zleje się pewnie z łoskotem pierwszych nieprzyjacielskich kul odbijających się od płatków Róży!

— Miejmy nadzieję, że nie będzie zarazem ostatni! — odezwał się William, uderzając, jak to miał w zwyczaju, we frywolny ton. Franciszkanin postanowił im towarzyszyć. Wszystko, co dotychczas zobaczył i usłyszał o Alamucie, ogromnie pobudzało jego ciekawość, która kazała mu zapomnieć o wszelkim niebezpieczeństwie. Zew posłał zarozumiałemu mnichowi karcące spojrzenie. —

Przygotowałem dla

małego imama pojazd ratunkowy. Wskazał z dumą beczułkę, niewiele większą od bochenka chleba, z otwieranym wiekiem. Wewnątrz była ona wyłożona miękką wyściółką.

— A jak niemowlę ze swoim doświadczeniem życiowym otworzy ją po przybyciu na miejsce? — zadrwił William, jednakże tym razem Crean przyznał mu rację.

— Nie możemy ślepo ufać w to, że jakieś życzliwe kobiety wyłowią z wody drewniany pojemnik, jak swego czasu córka faraona wraz ze służącymi wyловиła Mojżesza. —

Przyjrzał się badawczo dwóm większym łupinom, które przytrzymała w wartkim nurcie jakaś niewidzialna ręka. — Ja będę towarzyszył dziecku — oznajmił. — Pozwólcie mi wypróbować pojazd, bo gdy przyjdzie co do czego, wszystko musi się odbyć bardzo

szybko. Crean opuścił się do pierwszej łódki, w której na długość nie miał prawa się zmieścić żaden mężczyzna. Leżąc w środku, skulił się, a wtedy przy jego piersi pozostało jeszcze dość miejsca na małe dziecko. Crean chciał dokładnie wiedzieć, gdzie i w jaki sposób wydostanie się z powrotem na powierzchnię ziemi.

—

Wysoko w górach—wyjaśnił mu Zew z uśmiechem — znajduje się kawerna wypełniona wspaniałą wodą. Podziemny kanał prowadzi pod Różą do sztucznego górskiego jeziora. Kiedy obniżę w nim lustro wody, w kanale powstanie ssanie, które spowoduje wyniesienie tego tutaj pojazdu na wyżej położone jezioro.—Zew stwierdził, że rozumie go tylko William, więc zwrócił się do nieznanego mu wcześniej mnicha.

Rosz często mu opowiadał o swym wielkim przyjacielu Williamie. —W dnie zbiornika jest wylot — wskazał dumnie bulgoczącą głębię — i dlatego te łódki-beczki zaopatrzyłem w grubszy kil; dzięki temu ślizgają się wzdłuż tej pustej rynny i są ciągnięte pod wodą aż do wejścia do kanału.

— Wspaniale! — pochwalił William, ale Crean ze swego pojazdu zawołał:

— A czy William nie mógłby wziąć drugiej łodzi i mi towarzyszyć? Może mi się przyda!

— Dlaczego nie! — zgodził się budowniczy. — Trzymałem ją w rezerwie—przyznał— a dla siebie jej nie potrzebuję. Zostanę w Róży aż do... —Połknął resztę zdania widząc, że Crean zamknął już pokrywę nad głową i nie może słyszeć jego fatalistycznej oceny końca Róży. — Muszę tylko założyć uszczelki na wasze pojazdy — wyjaśnił pogodnym tonem Williamowi. — Pomożecie kalece?

Wziął nasączony smołą sznurek, rozkazał Williamowi, żeby go wsadził do kołyszącej się łupiny, i ją otaczać brzeg pokrywy kleistym sznurkiem. Obserwując Zewa, William poczuł mdlenie w żołądku. Nieufnie przyglądał się, ledwie utrzymując równowagę na

skraju zbiornika, którądy biegnie śliska drewniana rynna, i nacisnął przy tym jakąś niepozorną dźwignię. Zbiornik zaczął wypełniać coraz głośniejszy szum wody. Pojazd Creana zjechał po rynnie, zanurzył się i zniknął w topieli. Zew zamachał tylko gwałtownie rękami. — Jahwe, dziecko! — krzyknął. — Dziecko! Zdążył jeszcze zamknąć pokrywę nad głową, gdy również jego porwał potężny prąd, jego beczka popędziła ku czarnej dziurze i natychmiast została wciągnięta w głąb przez bulgoczące odmęty.

William daremnie próbował usunąć skutki swojej nieuwagi, napór wody wyrwał mu z ręki dźwignię, której dotknął przecież bardzo lekko. Mimo jego wysiłków nie dało się jej przesunąć na poprzednie miejsce. William szukał rozpaczliwie jakiejś możliwości powstrzymania szalejącej wody. Dostrzegł ciężkie koło, wielkie jak koło od wozu, ale zaopatrzone w poręczne szprychy. Albo Róża utonie — a on razem z nią — albo... Nie mógł nikogo zapytać, budowniczego porwała woda. Obrócił więc koło, nacisnął całym ciężarem na szprychy i powoli, bardzo powoli poczuł, jak napór ustępuje, woda się uspokaja i opada. Spokojnie pieniąc się, powróciła do stanu podnieconego oczekiwania, w którym znajdowała się w momencie, kiedy pechowy Flamandczyk dotknął mechanizmu Róży którąś ze swych niezdatnych kończyn. Gdyby ten przynajmniej połamał mu wszystkie kości! Tak pomyślał Hasan, który obserwował całe zdarzenie. Zgrzytając zębami, emir musiał być świadkiem zniknięcia budowniczego twierdzy, akurat w tej krytycznej chwili.

Ale teraz on, Hasan, przynajmniej poznał tajemnice, której Zew Ibrahim nigdy nie chciał mu zdradzić, a poza tym wiedział już, dzięki Williamowi, jak obsługiwać mechanizm. Był bowiem jeszcze trzeci pojazd, który w odróżnieniu od pozostałych wisiał na łańcuchu jako kula. Emir natychmiast wypatrzył tę pewnie ostatnią możliwość ucieczki. W jednym punkcie był bowiem zgodny ze znieawidzonym przezeń renegatem

Creanem: linię imamów należało podtrzymać w widzialnej postaci. W imieniu Szamsa, jako jego regent, będzie mógł rządzić izmailitami jeszcze przez wiele lat, gdyż jeśli nawet Alamut padnie, to sekta nie zniknie. Emir opuścił swoją kryjówkę. William usłyszał szczęk żelaznego zamka. Kiedy dotarł do drzwi na końcu schodów, gdzie znajdowało się wyjście na górę, okazało się, że są zamknięte. Wkrótce potem pogasły, jedna po drugiej, kopcające pochodnie wetknięte w pierścienie na skalnej ścianie i William siedział odtąd po ciemku. Pośród zupełnych ciemności, księżyc akurat był w nowiu, Crean i Zew po piekielnej jeździe przez wnętrze ziemi, kiedy mieli tylko w uszach ciągły świst, wystrzelili niczym korek na gładką jak lustro powierzchnię górskiego jeziora. Byli prawie nieprzytomni. Upłynęło zaledwie kilka minut, a nie za bardzo mieli już czym oddychać. Otworzyli od środka zaryglowane pokrywy i mocno dysząc, zaczęli wciągać w płuca zimne górskie powietrze. Zew częściowo leżał w wodzie, gdyż musiał zamykać górną część pojazdu w takim pośpiechu, że uszczelka się przesunęła. Otwarte połówki beczek płynęły tuż obok siebie.

— Moje krzesło na kółkach! — przypomniał sobie kaleka. — Jak będę się teraz poruszał? — jęczał. — Najchętniej bym zatłukł i powiesił, poćwiartował i spalił tego mnicha! Nazwaliście go „przynoszącym szczęście”? — Zaśmiał się gorzko. — Co Róża zrobi teraz beze mnie?

— Zapytajcie lepiej — odparł Crean — kto uratuje teraz przyszłego imama!

— Przeklinam tego Williama z Roebruku, Bóg Starego Testamentu jest mi świadkiem. Niech będzie przeklęty, a z nim jego ród łącznie z trzecim kolejnym członkiem!

William ma tylko jeden członek i na jednym poprzestanie!

To niech mu odpadnie! Zgnije i się zaśmierdzi. Wiosłując rękami, dopłynęli do brzegu i wyciągnęli swoje łodzie na skaliste podłoże. —

Kiedy nastanie dzień — rzekł Crean

— będę was niósł.

Mongołowie nie czekali do świtu. Jeszcze w nocy, z uwagi na działanie odstraszaające, wokół Róży rozżarzyły się małe iskry, a potem jednocześnie tysiąc łuczników, których przysłał Kubiłaj, wystrzeliło pociski zapalające. Zrazu sprawiały wrażenie robaczek świętojańskich. Dopiero gdy dzięki swym tępym, lecz lepkiemu grotom przywarły do stalowych płatków Róży, zapaliły się dzikim płomieniem i skąpały twierdzę w jasnym jak za dnia, upiornym świetle. Następnie pociski z setek trebuszetów

zabębniły o płyty, grudki żelaza wielkości pięści i o ostrych kantach posypały się niczym grad na obrońców za blankami i pokiereszowały drzewa w „raju”. Oprócz tego spadały z głuchym łoskotem kule wielkości głowy, wysyłane przez ciężkie mangonele. Tarcze

zgrzytały i trzeszczały, lecz żadna się nie rozprysła, Róża wibrowała i huczała od uderzeń, lecz tryumfalnie oparła się atakowi. Także płonące pochodnie nie były w stanie uszkodzić jej skóry i pogasły.

To był sygnał do drugiej fali ataku. W nagłych ciemnościach, które na powrót zapadły, a do których oczy obrońców musiały się najpierw przyzwyczać, dziesiątki mingganów mongolskiej piechoty ruszyły ze wszystkich stron i dotarły do fosy. Żołnierze ci przytaszczyli przykryte dachem tratwy, metalowe drabiny szturmowe, bosaki umocowane na długich łańcuchach i jakby gardząc śmiercią, rzucili się odważnie w wodę. Obrońcy patrzyli na nich z góry zza szczelin strzelniczych w podstępny oczekiwaniu, ciesząc się już, że zaraz zapłonie *dam al-ard*, ale nic takiego nie nastąpiło.

Mongołowie pokonali fosę pod gradem strzał, bełtów i strugami lanej z góry wrzącej oliwy, podpłynęli tratwami pod wypukły brzuch Róży, przystawili drabiny wyłącznie po to, żeby wcisnąć bosaki za jej płatki i z bezpiecznej odległości zerwać tarcze za pomocą żelaznych łańcuchów. Obrońcy z przerażeniem przyglądali się tym zabiegom, zrzucali na Mongołów „ogień grecki” wraz z amforami, lecz ci natychmiast odciągali na tyły

każdą zapaloną tratwę i zastępowali ją nową. Należało podpalić samą fosę! Hasan wysłał do piwnicy wszystkich, którzy kiedykolwiek pracowali z budowniczym, by poszukali rury doprowadzającej zgubną czarną krew ziemi, albowiem Zew przesyłał ją do fosy właśnie wtedy.

Z obserwatorium przyjechał pomazany krwią stary Herlin i nie czekając, aż jego kosz dotrze na sam dół, począł wykrzykiwać:

— Imam się urodził! Imam się urodził! Hasan podbiegł do niego.

— Zginie razem z nami, jeśli fosa zaraz nie zapłonie! A Zew uciekł! Nie wiemy, jak *dam al-ard...*

— Ale ja wiem — oświadczył z dumą sędziwy bibliotekarz, jednak natychmiast zamilkł. — Muszę sobie tylko przypomnieć...

Emir zawlókł go własnoręcznie do piwnicy i razem znaleźli koło otwierające śluzę.

Hasan popędził z powrotem na blanki. Na chwilę kazał wstrzymać zrzucanie „ogni greckich”.

Mongołowie wybuchnęli radosną wrzawą i nie widzieli, jak wodę w fosie pod ich tratwami pokrywa czarna powłoka. A potem znów zaczęły spadać z hukiem i

rozpryskiwać się płonące garnki. Fosa błyskawicznie stanęła w żółtoczerwonych wysokich płomieniach, a w górę wzbił się gęsty czarny dym. Ci z napastników, którzy

stali na drabinach lub nie schronili się w porę na brzegu, padli ofiarą pożaru. Był on tak gwałtowny i wytwarzał taki żar, że stopiły się nawet zakotwiczone już łańcuchy.

Kitboga rozkazał przerwać atak. Zaciemnione przez kłęby dymu, wyłoniło się na wschodzie słońce, czerwone jak ogień.

Hasan pozwolił, by wypaliła się ropa na wodzie, a następnie kazał zamknąć z

powrotem śluzę. W Róży zrobiło się gorąco, ale i na to Herlin znalazł radę — i zaraz

orzeźwiająca zimna woda zaczęła płynąć pustymi żebrami, sączyła się z blanków,

chłodziła skórę Róży i zwilżała również skórę obrońców w kotle. Podczas długiego, zmudnego marszu przez góry Crean zastanawiał się, jak też Mongołowie przyjmą Zewa. Niósł budowniczego na plecach, taki ciężar normalnie nie sprawiał mu kłopotu, lecz Crean nie doszedł jeszcze do siebie, osłabiony po odniesionych ranach, a Zew z pewnością nie był lekkim brzemieniem. Kaleka wiercił się na jego plecach, wbijał mu kolano w krzyże i się szarpał; Crean musiał się opanować, żeby go nie zrzucić jak uciążliwy worek.

— Zewie — napomniął go — przedstawię was Mongołom jako biednego, bezradnego kalekę, którego zabrałem po drodze... — Nie dokończył.

— Nieszkodliwy? Ja, Zew Ibrahim, geniusz! — pieklił się tłumoczek na jego grzbiecie, wymachując groźnie rękoma. — Ja kaleka? Mam w swoim mózgu większą potencję niż sto razy po tysiąc Mongołów w portkach, wliczając w to od razu ich ogiery. Miarkujcie się, Creanie! — Zacisnął pięść.

— Z litości was zabrałem, bo w Iskandarze macie krewniaków, którzy będą mogli się wami zaopiekować. Wtedy żaden Mongoł nie będzie podejrzewał, że jesteście z Róży...

— Z Róży?! Ja jestem Różą! Kto wymyślił to techniczne urządzenie, kto ujarzmił strumienie energii, komu Róża zawdzięcza jedyne w swoim rodzaju zdolności?

— Już dobrze — rzekł Crean — opowiedzcie to wszystkemu napotkanemu Mongołowi. Na pewno będzie stosownie podziwiał wasz jedyne w swoim rodzaju mózg, kiedy otworzy wam żywcem czaszkę. Crean załadował ponownie ze złością kadłub na plecy, a następnie przytrzymał obie ręce Zewa, żeby ten nie ciągnął go za uszy lub włosy, po czym ruszył w dalszą drogę. Zew złagodniał, zrobiła na nim wrażenie groźba otwarcia czaszki.

— Stworzone przeze mnie dzieło jest niepowtarzalnej wielkości i urody, a przy tym

mechanizmy są tylko dodatkiem do *opus magnum*, to produkty odpadu cudownej maszynierii, jaką jest jedyne w swoim rodzaju na świecie planetarium, które z niezrównaną dokładnością naśladowuje bieg gwiazd wokół Słońca i okrążanie Ziemi przez Księżyc.

— Co porusza wszystkie te cuda, co sprawia, że srebrny księżyc obraca się i pokazuje? — Crean zawsze chciał to wiedzieć; nigdy nie udało mu się zgłębić tajemnicy słynnego symbolu Róży z Alamutu.

— Trzeba zanurzyć się w studni w Iskandarze, a wtedy dociera się do groty, z której prowadzą wygodne sztolnie do wszystkich kanałów wodnych. Strażnik w Iskandarze strzeże tego wejścia.

A jeśli wezmą go na tortury? — zapytał Crean.—To wtedy wyda to, co wie, czyli niewiele. Każdy tunel ma innego strażnika, tylko ja znam wszystkie. Ale to nic w porównaniu ze srebrnym księżycem, który nadal będzie się obracał z dokładnością co do minuty,

kiedy nas od dawna nie będzie na świecie! Nawet za tysiąc lat!

To była cała duma Zewa, na tym polu mógł się mierzyć ze swym starym przyjacielem Herlinem, który uczynił z biblioteki w Alamucie największą skarbnicę wiedzy tajemnej.

Były tam dzieła apokryficzne, których jedyny egzemplarz znajdował się w jego wieży, w ogniotrwałej *magharat al-zoahi*. A mimo to Zew wolałby, żeby jego stary przyjaciel zniósł je do piwnicy. Wielokrotnie go napominał, żeby to uczynił. I jakby sędziwy

strażnik słowa pisanego odebrał ostatnie myśli przyjaciela, Herlin mniej więcej o tej porze zaczął taszczyć na dół najcenniejsze skarby, grube foliały i pożółkłe zwoje papirusu. Około południa konny patrol Mongołów zatrzymał chudego mężczyznę, który pomimo ciężkich, ledwo zagojonych ran niósł na barana kalekę bez nóg. Patrol odstawił ich do Iskandaru, gdzie stanęli przed obliczem Dżuwajniego.

Szambelan zawział się okrutnie i powrócił do swojego pomysłu z *tadid asz-szab*. Nie zadawał już sobie trudu i nie ukrywał przed ofiarami, co je czeka, aż do śmiertelnego

ciosu miecza. Jeńcy musieli uklęknąć w długim szeregu i czekać, dopóki każdemu z nich nie zadano tego samego, jednego tylko pytania:

—

Czy możesz nam pokazać podziemny kanał, który zaopatruje Różę w wodę?

Żaden nie znał odpowiedzi, wszyscy stracili głowę. Dżuwajni od razu rozpoznał Creana i zauważył drwiąco:

—

Wysłałem was do Róży, żebyście sprowadzili parę królewską, a wy

przychodzicie z *suluk muszawwahem*, żalonym karłem kaleką! Jakiej oczekujecie za to zapłaty?

Wtedy Zew Ibrahim, ledwie Crean postawił go na ziemi, wyprostował się na pełną wysokość.

—

Bóg odmówił mi waszej urody, pocziwy człowieku, ale obdarzył mnie innymi darami. Jestem Zew Ibrahim, naczelny budowniczy

Róży. To o moje genialne konstrukcje rozbijacie sobie głowy i parzycie palce! Nigdy nie opanujecie czarów Róży, nigdy nie pojmiecie tajemnic krwi i soku ziemi, których współgranie nadaje Róży ognistą siłę!

Szambelan nie dowierzał własnym uszom. Od początku wyprawy przeciwko asasynom szukał choćby nikłej wskazówki wszelkimi metodami, jakie miał do

dyspozycji, groźbami i obietnicami, podłością i okrucieństwem — a teraz leży tu przed

nim ten karzeł, posiadający wszelką wiedzę na temat *ars motionis** Róży — i w dodatku się tym przechwala! Dżuwajni nie mógł wprost pojąć swojego szczęścia.

— Para królewska oczekuje was drogi Creanie — ozwał się głosem słodkim jak miód

— idźcie do nich od razu, a ja tymczasem usiądę przy herbacie z naszym mądrym gościem. Crean posłuchał jego wezwania. Późnym popołudniem na płaskowyżu, na którym wznosił się Alamut, Mongołowie znów byli gotowi do atakowania twierdzy. Słońce stało już nisko, toteż ich tarany, żelazne drabiny, katapulty i tym razem pokryte piaskiem tratwy rzucały długie cienie.

Hasan natychmiast kazał wpuścić do fosy ropę w wystarczającej ilości i czekał.

Mongołowie zatrzymali się jednak w pół drogi. Ich największa proca wystrzeliła celnie pocisk, który przeleciał ponad blankami do „raju” i z głuchym odgłosem uderzył w ziemię. Rozległy się okrzyki przerażonych hurys, a w chwilę później podbiegł do Hasana jeden z obrońców i powiedział, że był to związany sznurkiem, straszliwie okaleczony tułów Zewa Ibrahima. Jego głowa mieściła się w rozprutym brzuchu, a w ustach wiadomość dla Churszaha — wezwanie do bezwarunkowej kapitulacji.

W tym momencie Hasan dostrzegł młodego imama, który w asyście swoich gwardzistów kazał otworzyć jedną z małych bram ewakuacyjnych i z białą flagą w ręku ruszył po wąskiej kładce w stronę Mongołów. Emir polecił zamknąć za nim furtkę i czekał. Nie na to, że Churszah da znak białą flagą i wezwie go do poddania się pod ochroną listu żelaznego, on czekał, kiedy Mongołowie zechcą wreszcie kontynuować swój atak. Crean odwiedził Rosza i Jeżę, którzy mieszkali w domu ojca Umara. Oboje byli przygnębieni. Właściciel zagrody na górskim stoku, w której spędzili wiele szczęśliwych chwil, ostami strażnik studni w Iskandarze, został ścięty — jego ciało znaleziono bez głowy. Poza tym słyszeli, że ich starego przyjaciela „Zewa na kółkach”, zapakowanego jak kula, przetransportowano w dolinę, też prawdopodobnie nie żywcem, i że Dżuwajni ani myśli potraktować Różę łagodnie.

Crean natchnął ich nikłą nadzieją, że William może się uratować, jeśli nie przeszkodzi mu własna niezdarność, i opowiedział im o tajemnicy jeziora. Rosz i Jeza

znali je i natychmiast zapalili się do pomysłu, by pośpieszyć minorycie z pomocą.

Oznajmili Dokuz-chatun, która odpowiadała za parę królewską, że zamierzają wybrać się na wycieczkę w góry, aby otrząsnąć się trochę z przygnębienia. Dobroduszna żona il-chana napomniała ich, żeby wrócili przed zapadnięciem ciemności, nie miała też nic przeciwko propozycji zabrania na tę wycieczkę Kseni. Rosz i Jeza natychmiast wyruszyli w drogę. Słońce zachodziło. Churszah nie wskórał u generała Kitbogi nic ponad to, że ten obiecał oszczędzić Różę, jeśli obrońcy niezwłocznie się poddadzą na dobre i na złe. Generał oświadczył też jednoznacznie, że emir Hasan Mazandari, jako odpowiedzialny za zamordowanie jego syna, nie może liczyć na żadną łaskę.

Imam pomachał białą flagą, lecz Róża nie okazała żadnej reakcji. Wtedy generał kazał przystąpić do ataku. Hasan patrzył z blanków z dziką satysfakcją na fosę napełnioną *dam al-ard*. Wszystkie balisty i naciągane kołowrotom kusze były gotowe do strzału, katapulty i trebuszety w ogrodzie „raju” oraz za wieńcem pałek w koronie

Róży—załadowane. Nagle woda w fosie opadła, a równocześnie z nieznanymi rur zaczęło wpływać jeszcze więcej ropy. Łucznicy z Kataju wystrzelili w czarną maź strzały zapalające — wysokim płomieniem buchnęła ściana ognia, która spowiła twierdzę ze wszystkich stron.

W pierwszej chwili obrońcy Róży nie wpadli w panikę, lecz potem panujący żar począł odbierać im oddech. Fontanny, które zaopatrywane w wodę przez żebra kwiatu, dawały orzeźwiający chłód tryskający zazwyczaj z blanków, wyschły. Na obrońców buchała tylko z sykiem gorąca para, trujący dym rozprzestrzeniał się bez przeszkód, a huczące płomienie wspinały się coraz wyżej. Ogień przeskakiwał przez otwory strzelnicze, obejmując katapulty i ich załogi. Napięte cięciwy balist pękały; pierwsze plastry miodu oderwały się od ściany kotła i runęły w głąb, zabierając ze sobą gliniane garnki z *nar junani*, czyli „greckim ogniem”. Ten zaś wytrysnął z rozbitych amfor niczym duch z

butelki i wkrótce języki ognia lizały już twierdzą także od środka; smolista masa kapiała na drabiny i kładki, przelewała się przez balustrady i ściekała po schodach.

Zwarte szeregi Mongołów zatrzymały się w pełnej respektu odległości od potężnego słupa ognia wystrzelającego w wieczorne niebo — czarna Róża płonęła niczym niebezpieczna czarownica na stosie. Przetykany iskrami dym wznosił się na wysokość kilkuset metrów, a mimo to wciąż była widoczna smukła sylwetka wieży, wystająca ponad to piekło płomieni. Również srebrny księżyc obracał się w dalszym ciągu, jakby nie obowiązywały go prawa materii. Odkąd okaleczone ciało genialnego budowniczego zapowiedziało początek samozniszczenia, nie padł już ani jeden strzał. Róża smażyła się we własnym sosie. Uwięziony w głębi piwnicy William, otoczony zimną płynącą wodą, nie mógł wiedzieć, co dzieje się na górze, w kotle. Zauważył tylko, że od pewnego czasu porusza się kula na łańcuchu wisząca nad wodą. Przez moment nosił się z myślą, żeby wypróbować ją jako pojazd, który posłuży mu do ucieczki, lecz potem nagle kula zniknęła w otworze w skalnym sklepieniu. Właśnie z łoskotem wróciła, co uznał za wezwanie, żeby ją otworzyć. Od zewnątrz była tak rozgrzana, że kiedy uchylał pokrywę, poparzył sobie palce, w środku zaś leżało nietknięte maleńkie dziecko. To musiał być Szams, przyszły imam, który dopiero co się urodził. Był tak delikatny i kruchy, że Williama ogarnęło wzruszenie. Ratowanie dzieci przeznaczonych do wielkich rzeczy było mu pewnie zapisane w gwiazdach. Przełożył więc niemowlę do małej beczki, którą przygotował jeszcze Zew, ucałował je w czoło, aunknął pokrywę i pochylił się nad huczącą wodą. Akurat włożył pojazd ratunkowy w drewnianą rynnę i popchnął go lekko, gdy dostał kopniaka w zadek i wpadł do zbiornika. Bijąc gwałtownie rękoma ze strachu, że się utopi, ujrzał, że Hasan przyciągnął kulę i właśnie zamierza do niej wsiąść. Tymczasem William miał znowu grunt pod nogami, gdyż woda sięgała mu tylko do ramion. To dodało mu odwagi do zaatakowania emira. Mocno wiosłując rękami,

brnął pod prąd i w końcu pociągnął Hasana za nogę, którą ten zamierzał właśnie wciągnąć do środka. Emir zaczął wściekle kopać i zdzielił go pięścią w twarz.

Williamowi zrobiło się czerwono przed oczami — uświadomił sobie, że oto znika ostatnia możliwość ucieczki. Ominąwszy zdumionego Hasana, który odwiązał już łańcuch, rzucił się na niepozorną dźwignię, za pomocą której już raz wywołał powódź.

Przez zbiornik przetoczył się dziki szum, William uchwycił się kurczowo dźwigni, żeby prąd go nie porwał. Woda zabrała beczułkę z Szamsem, ciągnąc ją wzdłuż rynny, i wessała w głąb. Nagły napór wody zaskoczył Hasana; jego półkula zachwiała się, próbując zamknąć pokrywę, stracił równowagę i wpadł w odmęty. Na próżno wyciągał rękę, żeby dosięgnąć Williama, czy to po to, żeby go pociągnąć za sobą, czy żeby się go przytrzymać. Złoto, jakie emir miał na sobie, wciągnęło go w głąb, pod wodę, w kierunku otworu odpływowego. Wir pochwycił go i połknął z obrzydliwym chlipnięciem.

William w dalszym ciągu trzymał się drewnianej dźwigni, nie większej niż trzonek młotka. Łatwo potrafił sobie wyliczyć, kiedy ciężar jego masywnego ciała weźmie górę nad ścięgnami palców i mięśniami wyciągniętego ramienia. Modlił się, gdyż widział już siebie, jak idzie w ślady emira, jeśli ta ziejąca czarna dziura w dole w ogóle go pomieści. Prawdopodobnie będzie mu dane utknąć w niej i utonąć. Wtem jednak woda pod nim przestała się burzyć i kipieć jak zupa w garnku zdjętym z ognia. Kotłująca się woda uspokoiła się, opadła i zbiornik się opróżnił. William z wdzięcznością oderwał od dźwigni zgrabiałe palce. Wymacał stopami twardy grunt. Albo więc Bóg okazał łaskę, ponieważ chodziło o niego, Williama z Roebruku, i przekręcił wielkie koło śluzy — albo wyczerpał się zapas wody. Franciszkanin próbował wygramolić się na brzeg zbiornika, ale sił mu już nie starczyło, bo było zbyt wysoko. Nie mógł się opanować i kichnął.

Pewnie umrze na przeziębienie. W kotle Róży pożar dopełniał swego dzieła. Wszystko,

co było przylepione do wnętrza kwiatu, kunsztownie niczym delikatna pajęczyna, gęsto zbite kokony jedwabników albo regularne plastry pszczół, stało w buchających wysoko płomieniach, jeśli już wcześniej nie spaliło się i nie zwęgliło. Jakby cudem wisiało jeszcze pośrodku gniazdo os, czyli drewniany pałac. Niewielu ludzi mogło się jednak zastanawiać, dlaczego pałac się trzyma. Większość asasynów, którzy stali na blankach jako łucznicy lub obsługiwali ciężkie katapulty, a żar pozbawił ich oddechu, runęła w głąb kotła jako płonące pochodnie. Kto zaś miał służbę tam, na dole, tego przywalily spadające szczątki. A ci, którym został oszczędzony ten los, widząc czyhających już na swoje ofiary zwycięzców, sami decydowali się na opuszczenie tego ograniczonego świata przez skok do raju.

Pola ze swoimi dziewczętami aż do wycieńczenia opatrywała rannych i poila umierających z pragnienia. Potem wody zabrakło i zbliżył się koniec. Ostatni dzban soku wyciśniętego z owoców wymieszała osobiście. Każda hurysa mogła wypić łyk. Sok miał gorzki smak, za to agonia trwała krótką chwilę. Dziewczęta padały na ziemię w konwulsyjnych drgawkach, drzewa w „raju” błyskawicznie uschły, a ich gałęzie poczerniały. Ciało dziewcząt drgnęły po raz ostatni, a następnie zeszywniały i znieruchomiały. Pola wypila z dna gęstą resztkę trucizny zmieszanej z sokiem.

Popatrzyła w górę ku obserwatorium, gdzie sylwetka jej siostry w migotliwym świetle płomieni rysowała się wyraźnie na tle nasyczonego dymem nocnego nieba. Próbowwała jeszcze, w geście pozdrowienia, unieść rękę, po czym jakby rażona piorunem, padła na ziemię, obok ciał swoich dziewcząt. Mongołowie zaczęli do wczesnych godzin rannych, gdyż Róża nadal wydawała się rozpalona niczym piec. Wybuchały coraz to nowe pożary, języki płomieni rzucały cienie, a wznoszące się dymy spowijały wieżę. Wciąż jeszcze było ciemno, gdy zniecierpliwiony Kitboga wysłał oddział żołnierzy z

bosakami i łańcuchami, żeby zerwali jedną z tarcz zasłaniających mosty zwodzone, za którymi znajdowały się bramy. Fosę wypełniały zwęglone belki, maszyny oblężnicze i drabiny szturmowe.

Żołnierze zaczepili haki, nie natrafiając na opór przeciwnika, a gdy potem dwa razy po stu Mongołów pociągnęło za oba łańcuchy, ogromna tarcza rozsypała się i została z niej tylko kupka popiołu w wypalonej ramie. Generał przeszedł po gruzach i zbliżył się do bramy, która rozwarła się już po pierwszym uderzeniu tarana. Kitboga ruszył na poszukiwanie Hasana. Wyciągnąwszy miecz, zszedł po schodach do piwnicy.

Dżuwajni odważnie podążył za nim. Jego celem była jednak biblioteka. Wziął ze sobą kilku pomocników i wystarczającą ilość worków. A teraz stał w wypalonej katedrze i nie wiedział, jak dostać się do tych skarbów. Głosem przechodzącym nagle w falset kazał przywołać Creana z Bouriva-nu. Rosz i Jeza dotarli do górskiego jeziora jeszcze wieczorem. Towarzyszyła im Ksenia, która bez skargi szła za nimi wszędzie, jeśli tylko mogła zatrzymać małą Amal i odzyskać swojego Williama. Ale o powrocie w ciemności nie było nawet co myśleć. Zatrzymali się więc na noc nad brzegiem jeziora, pomiędzy skałami, starając się nie spać, żeby w razie potrzeby natychmiast wyciągnąć Williama z wody. W końcu jednak zmogło ich zmęczenie i ciasno przytuleni do siebie zasnęli.

Zbudziło ich o świcie wołanie Kseni. — Tam w wodzie pływa jakaś beczka!

Beczka była o wiele za mała, by pomieścić Williama, mimo to Rosz wskoczył do zimnej wody i wyciągnął pojemnik na brzeg. Otworzywszy go, znaleźli w środku niemowlę, śpiącego chłopczyka. W Kseni obudziły się uczucia macierzyńskie i zanim Jeza, która pierwsza wzięła chłopczyka na ręce, zdążyła takowe rozwinąć, Rosz rezolutnie zabrał jej wrzeszczące już niemowlę i przycisnął dobrej kobiecie do piersi. Oczekali jeszcze chwilę, czy nie wynurzy się także William. W końcu Ksenia słusznie

się domyśliła:

— To on przysłał to dziecko. Zawiedzeni ruszyli w drogę powrotną.

W wypalonej Róży Kitboga wybawił Williama z nieprzyjemnej sytuacji.

Franciszkaninowi ciekło z nosa i cały trząś się z zimna. William opowiedział generałowi o zasłużonym końcu, j aki spotkał Hasana—o uratowaniu małego Szamsa nie

wspomniał nawet słowem. Kitboga rzucił jakieś niechrześcijańskie przekleństwo i wyszli z powrotem na górę. Tam Crean tymczasem pokazał Dżuwajniemu drogę do biblioteki,

gdzie między foliałami i zwojami papirusu tliło się jeszcze parę drobnych pożarów. Stary Herlin miotał się między nimi jak błędny ognek i próbował je stłumić za pomocą pliku

pergaminów. Intruzi nie przejmowali się ani trochę sędziwym bibliotekarzem. Dżuwajni

kazał się obwiązać liną, gdyż nie dowierzał zwęglonej podłodze, i zaczął grzebać w

zgrupowanych dziełach. To, co wydawało mu się cenne i zgodne z sunną, wędrowało

do worków, a co uznał za pisma heretyckie, rzucał na wielki stos. Łaskę w jego oczach

znalazły kronika Kasjodora,* która była starsza od Koranu, oraz pierwotna wersja

„Almagestu”* Ptolemeusza tudzież dzieła syryjskiego historyka Eliasza bar Szinai,*

geografa Al-Idrisiego* i fizyka Alhazena.* Na pastwę zniszczenia zostały bezpowrotnie

wydane takie dzieła, jak „Al--Hamasa”* Abu Tammama,* oryginał „Brahmy Siddhanty”

wielkiego Brahmagupty* czy „Księga dróg” Ibn Churdazbiha,* prostego naczelnika stacji pocztowej, którą nadgorliwy inkwizytor uznał w pośpiechu za dzieło ezoteryczne i

zaklasyfikował jako kacerskie. Crean przyglądał się jego poczynaniom, kręcąc głową, a

w końcu się odwrócił.

— Dokąd się wybieracie? — spytał podejrzliwie szambelan.

— Do księżycy! — odpowiedział Crean z uśmiechem i zaczął się wspinać. Przez cały

okres przynależności do zakonu asasynów nigdy nie przekroczył progu wieży, ale teraz

z lunatyczną pewnością odnalazł sekretne schody. Kiedy wszedł do *magharat at-*

tanabbuat al-maszuk bi-ha, zorientował się, że Herlin w porę ukrył tajemne księgi w bezpiecznym

miejscu. Wspiął się dalej. Kręcone schody zwęzły się. Dotarł do

magharat al-wahi al-achir. „Grota ostatnich objawień” była pusta. Natychmiast po urodzeniu syna Kasda wstała z połogu, po raz ostatni wezwała kulę i powierzyła jej

swojego Szamsa. Następnie pośpieszyła do instrumentów i poprosiła gwiazdy nocnego

nieba o pomoc. Kiedy wzeszedł mrugając Phosphoros,* wiedziała, że jej dziecko, nowy

imam, zostało uratowane. Podeszła na skraj platformy i ujrzała, jak siostra kiwa do niej z „raju”. Kapłanka poszybowała w stronę Poli niczym pióro. Nikt tego nie widział. Obie siostry połączyła śmierć.

Dżuwajni poczuł, że jakieś ciało uderzyło o ziemię, Różę przeszyło drzenie, ale on

nie zwracał na to uwagi. Ku przerażeniu bibliotekarza szambelan kazał rozpalić ognisko

pośrodku pomieszczenia i śmiejąc się szyderczo, wrzucał do ognia wszystkie książki,

które nie były zgodne z reprezentowaną przezeń doktryną prawowiernego

mahometanizmu. Pastwą płomieni padła cała zgromadzona dotąd wiedza medyczna,

rękopis „Canonu” Awicenny,* „Historia” Ibn al-Kiftiego,* „Antidotarium” Nicolasa Prevosta,* dar króla francuskiego dla syryjskich asasynów, „Atlas” uczonego Ibn

Bajtara,* jedyny egzemplarz arabskiego tłumaczenia Galena przez Hunajna Ibn Ishaka*

oraz „Al-Hawi” hipokratejczyka Rhasesa.* Ogień się rozszerzał. Wysuszona żarem,

któremu nie uległa, cenna biblioteka paliła się błyskawicznie wysokim płomieniem. Do

pomieszczenia podbiegł Kitboga, wyciągnął Dżuwajniego na linie niczym zbiegłego wołu i

nie bawiąc się w konwenanse, przepędził go z Róży. Pomocnicy Dżuwajniego

obserwowali ze złością, że stary bibliotekarz próbuje wyrwać z objęć ognia drogocenne

foliały.

— Nie Dioskuridesa!* — krzyczał oburzony, wyszarpując z płomieni najstarszy

zachowany zwój zawierający traktat o lekarstwach. — Zbrodniarze! Głupcy! Cóż wy

wiecie o *Divina praedictio*}* Wtedy popchnęli również bibliotekarza na stos płonących książek.

Kitboga stał jeszcze na dole przy jednej z otwartych bram i patrzył w górę na pałac

imama, gdyż spadł właśnie żyrandol i rozbił się z głośnym brzękiem. A w chwilę potem generał ujrzał, jak cała potężna drewniana konstrukcja, przylepiona do sufitu niczym gniazdo os, odrywa się i spada niemal bez żadnego dźwięku. Dopiero kiedy uderzyła o ziemię, wytwarzając podmuch powietrza, który wyrzucił generała na zewnątrz, ten usłyszał huk, trzask i odgłos rozłupywanych belek. Szczątki fruwały w powietrzu, Kitboga i Dżuwajni skulili odruchowo głowy, zanim spowiła ich chmura pyłu. A potem podłoga biblioteki opadła niczym kłapa od piwnicy, porywając ze sobą wszystkich, którzy się tam jeszcze znajdowali. Zawaliło się sklepienie; także żebra nośne, pozbawione przeciwcieżaru, nie mogły już utrzymać cokołu wieży. Crean otworzył drzwi wiodące na platformę obserwatorium. Widział nad sobą srebrny księżyc, którego wklęsłe zwierciadło chwytało światło pierwszego promienia słonecznego nowego dnia. Lustro zadrżało, toteż Crean sądził, że to ziemia się chwieje. Zwróciwszy pogodnie wzrok ku dumie Róży, poczuł, jak cała wieża wraz z nim, niczym kamień lub meteoryt nadlatujący od strony gwiazd, zbliża się pędem do ziemi. Zrazu powoli, wtedy tylko jego nogi zrobiły się ciężkie jak ołów, potem coraz szybciej. Góry zaczęły rosnać. Crean wstrzymał oddech. Ziemia się rozstąpiła, skalisty stożek Montsegur wyciągnął się w stronę gwiazd, klejnot twierdzy Graala błyszczał niczym korona, białe zawiniątka zjeżdżały po linach w ciemności, szumiała woda w wąwozie potoku, jej szum przybierał na sile. Dzieci! Wynurzyły się z mgły spowijającej wybrzeże. Po piasku pustyni toczyły się zbite w kłęby ciernie, leciuteńkie, pędzone jedynie przez wiatr w nieskończoną dal. Crean galopował z Roszem i Jeżą przez mroczne lasy, płynął po wzburzonym morzu, pomykał z nimi przez ciemne jaskinie, które otwierały się podczas szalonej jazdy, aż dotarli do podziemnego jeziora — zwierciadła niezrównanej czystości. Wielki Plan okazał się czymś nieważnym! Rosz i Jeza musieli się wyzwolić z więzów ludzi, którzy

narzucili im to „przeznaczenie”, wyzwolić od niekończącego się łańcucha tryumfów i prześladowań, zwycięskich prób i ucieczek. Korona świata to korona cierniowa!

Spełnieniem pary królewskiej jest miłość, odnalezienie jej przyniesie im wybawienie! On był dla dzieci złym przewodnikiem, tak chętnie zawołałby do nich: Skaczcicie! Przejdźcie przez oczyszczający i trawiący ogień!

Zwierciadło pękło, ukazali się Rosh i Jeza. Crean podniósł ręce, żeby ich uściskać. I wtedy wieża uderzyła w ziemię, a pod wpływem tego uderzenia Róża się rozpadła. Płatki kwiatu oderwały się i rozsypały w proch i popiół, potem pękł również kielich. Szczątki rozleciały się na wszystkie strony. Generał wraz z Dżuwajnim, którego trzymał na sznurze, schronił się pod wysuniętym taranem. Spadająca wieża wbiła się niczym klin w serce Róży i wdarła głęboko w jej trzewia. W górę trysnęła potężna fontanna wody zmieszanej z „krwią ziemi”, porywając ze sobą wszystko, co jeszcze stało. Róża sama wykorzeniła się doszczętnie. Zdobywcom nie pozostało nic innego, jak patrzeć z dreszczem zgrozy na dzieło zniszczenia: oto Róża została zrównana z ziemią, z której kiedyś wyrosła.

Dzień był pochmurny. Szare chmury wisiały nisko, jakby słońce zasłoniło głowę. Ilchan Hulagu, jego małżonka chrześcijanka Dokuz--chatun i cały dwór udali się z Iskandaru do Alamutu, ledwie szambelan tryumfalnym tonem zameldował swemu panu o zaczynającej się agonii Róży. Związany imam domagał się, by zaprowadzić go przed oblicze zwycięskiego wodza, lecz Hulagu nie zgodził się na to spotkanie, z którego nie mógł odnieść żadnego pożytku.

— Bez rozumu siedzieliście na swoim tronie i bez większego sensu go opuściliście

— polecił przekazać Churszahowi przez Dżuwajniego.

— Władca, który nie ma władzy nad swymi poddanymi, jest bezużyteczny dla

wszystkich i z całą pewnością także dla nas, Mongołów. Nie zwalnia to was jednak od

odpowiedzialności za wszystko, co się stało — dodał urągliwie szambelan. Z tyłu dobiegały przeraźliwe krzyki grupy niewiast, które wygrażały imamowi zaciśniętymi pięściami. — Szlachetnie urodzone kobiety z rodu Czagataja, którego kazał zamordować wasz ojciec, już na was czekają. W momencie gdy Rosz i Jeza w towarzystwie Kseni z dwojgiem małych dzieci wracali akurat z wycieczki w góry, kilku strażników zawlokło Churszaha na postronku do grupy kobiet, które zachowywały się tak dziko, że inni mężczyźni musieli je odpędzić kijami. Jeza rozkazała strażnikom położyć kres temu widowisku i zsiadła z konia. — Para królewska życzy sobie pożegnać się z imamem! — zawołała donośnym głosem i mężczyźni nie odważyli się jej zatrzymać. Wraz z towarzyszącymi jej osobami podeszła do Churszaha, objęła go i wymieniła z nim pocałunki. — Pocałuj każdego z nas! — szepnęła widząc, że podejrzliwy Dżuwajni zbliża się do nich.

Rosz sprytnie dał pierwszeństwo Kseni z małą Amal na plecach i Szamsem przy piersi. Churszah pocałował i dotknął z pieśczoł wszystkich troje. Jego wzrok długo spoczywał na niemowlęciu, które otwarło powieki i patrzyło mu poważnie w oczy. Kiedy potem ścisnął Rosza, łzy stanęły mu w oczach. Zrozumiał, że w obliczu śmierci dane mu było popieścić przez chwilę swego syna.

— Bądźcie szczęśliwi, księżniczko! — zawołał jeszcze do Jezy, zanim strażnicy w odpowiedzi na niecierpliwy gest szambelana pociągnęli go na spotkanie z jego losem. Rosz i Jeza odwrócili się. Dżuwajni wskazał Ksenię.

— Skąd ona ma nagle dwoje dzieci? — zapytał.

— Zawsze miała dwoje — ofuknęła go Jeza. — Tylko wy, panie szambelanie, byliście zbyt ślepi, żeby to zauważyć! — I żeby zamienić jego nieufność w gniew,

dodała zuchwale: — Albo całkiem po prostu zbyt głupi, żeby policzyć do dwóch!

Grzmiący śmiech generała dowiódł jej, że wygrała. Razem z Kitbogą zjawił się William.

Franciszkanin przywitał się ze swoją kobietą i obojgiem dzieci, choć szambelan,

zgrzytając zębami, nie mógł się doliczyć, jak mnich w krótkim czasie dorobił się od razu dwóch latorośli. Uwagę szambelana odwróciły jednak najpierw przeraźliwe wrzaski

okrutnego zadośćuczynienia ze strony gromady kobiet, a potem słowa, z jakimi Rosz zwrócił się do generała.

—

Możecie nam grozić, iż rozszarpiecie nas na kawałki albo wydacie na pastwę

płomieni, ale z towarzystwa pary królewskiej podczas swej wyprawy na Zachód

Mongołowie muszą zrezygnować. Po tym, co się stało, a przede wszystkim, jak to się

stało, nasze drogi tu się rozchodzą. Żałuję waszego syna, żałuję wielu, zbyt wielu.

Złożył ukłon generałowi, lecz Jeza podeszła do niego i uściskała go, i ucałowała tak

samo jak Churszaha. —Pozdrówcie il-chana i Dokuz-chatun. Władca, który nie ma

litości dla swych wrogów i nie zna respektu dla jedynych w swoim rodzaju skarbów

nauki i wiedzy, jakie były zgromadzone tylko w Róży, nigdy nie

zdobędzie korony świata. Dla pary królewskiej jest bezużyteczny.

— Wsiadła na konia. — Wy, Kitbogo, zawsze byliście nam przyjacielem --- dodała — i

jako takiego para królewska pragnie was zachować w sercu. Stary generał był do głębi przerażony.

— Nie możecie tak po prostu odejść od nas! — zawołał bezdźwięcznym głosem.

— Możemy — odparł Rosz, patrząc mu twardo w oczy — możemy odejść! Kitboga

pochylił ze smutkiem siwą głowę, co miało być znakiem ostrzegawczym dla

Dzuwajniego, żeby się przypadkiem nie mieszał. —

Postaram się — westchnął —

żeby nikt was nie powstrzymał. Wiedźcie jednak, że nie opuścicie serc wszystkich

Mongołów, dopóki śmierć nas nie dosięgnie!

Roger Trencavel z Haut Segur i jego towarzysza Jezabel Esklar-munda z Mont y

Sion nie obejrżeli się na zniszczone miejsce. Było już ono za nimi jak ich młodość, jak

„Rosz” i „Jeza”. Nie byli już niedojrzałymi istotami i nikt nie miał ich odtąd za takowe uważać. Szli na spotkanie niepewnej przyszłości, ale to będzie ich los, ich życie, które się spełni, już nie plany innych. Uśmiechnęli się do siebie, na pożegnanie pomachali

jeszcze Williamowi i Kseni, Amal i Szamsowi. Z grubym rudym franciszkaninem na

pewno się jeszcze zobaczą. Spryciarz nie okazywał zresztą żadnych oznak smutku,

tylko wyszczerzył zęby w uśmiechu — ojciec dwojga dzieci.

Cała armia mongolska, olbrzymi kobierzec z koni, wojowników i stali zakrywający

płaskowyż wokół Alamutu, podzielona na zwarte oddziały w postaci przeszło stu

manipułów, armia, jakiej świat dotąd nie widział, która wyruszyła, by zdobyć jego

koronę, patrzyła w milczeniu za dwiema smukłymi młodzieńczymi sylwetkami, które

odjeżdżały z podniesioną głową, dopóki nie pochłonęły ich pobliskie góry. A potem

dokładnie w tym miejscu przez chmury przebiło się słońce.

* Umar Ibn al-Farid — 1181—1235, arabski poeta i mistyk.

* Fariduddin Attar—1119—1229!, perski poeta i mistyk.

* Firdausi — zm. 1020.

* Dżabir Ibn Hajjan — żył ok. 900 r. (daty urodzin i śmierci nieznane), alchemik.

* Chi Kai — 531-597, mnich z kraju Katajów.

* Unuk E l h a i a — najjaśniejsza gwiazda stała w konstelacji Węża w gwiazdozbiornie Skorpiona, zapowiada nieszczęśliwe wypadki i zranienia.

* Ras Alhague — najjaśniejsza gwiazda stała w konstelacji Wężownika w gwiaz-

dozbiornie Strzelca, sugeruje skłonność do perwersji.

* Procyon — najjaśniejsza gwiazda stała w konstelacji Małego Psa w gwiazdozbiornie

Raka, wskazuje na porywczy charakter aż do gwałtowności.

* Phoenon — dawna nazwa Saturna.

* Kwinkunks (*guincurue*) — aspekt astrologiczny, 5,12 stopnia kątownego, uważany za bardzo niepomyślne położenie.

* Ręka Fatimy (arab. *chamsa*) — przynoszący szczęście amulet w kształcie ręki, która strzeże od zła.

* Mangonel — niska przesuwalna machina miotająca kamienne kule; wygięte ramię rzucające było poruszane na skutek rozprężania skręconych lin.

* Ars motionis (łac.) — dosł.: sztuka poruszania, napęd.

* K a s j o d o r — ur. ok. 490, rzymski uczoney.

* „Almagest” — arabski przekład dzieła „Wielki system astronomiczny”. Za jego sprawą Klaudiusz Ptolemeusz, grecki astronom, matematyk i geograf (zm. 178), uchodzi za założyciela szkoły geocentrycznej.

* Elias bar S zin a j a — zm. ok. 1049, syryjski historyk.

* Al-Id risi — ur. zapewne 1100, zm. 1166, arabski geograf. Podczas swoich podróży

dotarł do Angli ; dla króla Sycyli Rogera II wykonał srebrny model Ziemi, opierając się na obowiązujących wtedy poglądach Ptolemeusza.

* Alhazen, AbuAHMuhammadIbn al-Has a n — ur. ok. 965, zm. 1038, fizyk. Badał

załamanie i odbicie światła w różnych lustrach, zarzucił grecką teorię mówiącą, że promienie wychodzą z oka, a nie z przedmiotu.

* „Al-Hamasa” — antologia dawnej poezji arabskiej.

* Abu Tammam — zm. ok. 844, arabski poeta.

* Brahmagupta — ur. 598, indyjski astronom i matematyk. W 628 r. ukazało się jego

dzieło, które wprowadziło znaczne nowości w matematyce (reguła trzech, liczby pierwsze i trygonometria).

- * Ibn Churdazbih — ok. 820-912. Jego „Księga dróg” zawiera pierwszą mapę dróg w Azji Przedniej.
- * Phosphoros — grecka nazwa Wenus jako gwiazdy porannej.
- * Awicenna (arab. Ibn Sina) — 980—1037, lekarz i słynny arystotelik. Napisał „Canon medicinae”, opublikowany w Europie po łacinie w 1685 r.
- * Ibn al Kifti — 1172—1248, arabski uczony. Napisał „Historię mędrców” (414 biografii najwybitniejszych ówczesnych naukowców).
- * Nicolas Prevost — daty urodzin i śmierci nieznane. Pochodził z Tours, w 1098 r. jako profesor w Salerno napisał „Antidotarium”, zawierające 2650 recept lekarskich, które ukazało się drukiem w Europie w 1549 r. i zaginęło, nie odnalezione do dzisiaj.
- * Ibn B a j t a r — ok. 1200—1248, arabski uczony. Jego „Atlas roślin leczniczych” (książka „prostych lekarstw”) stanowił kompendium farmakologii arabskiej.
- * Hunajn Ibn I s h a k — zm. 873, arabski lekarz. Przełożył na arabski dzieła rzymskiego lekarza Galena.
- ;
- * Rhasas (arab. Ar-Razi) — ok. 850—923, arabski lekarz, przedstawiciel szkoły Hipokratesa i Galena. Jego księga medycyny stanowiła najbardziej znaną podstawę diagnozowania.
- * Dioskurides — ok. 50 r. napisał traktat poświęcony farmakologii, ilustrowany wizerunkami słynnych lekarzy.
- * Divina p r a e d i c t i o (łac.) — boska przepowiednia.
- * Finis... (tac.) — koniec „Korony świata”.

ANEKS

SYTUACJA POLITYCZNA W ŚWIECIE W POŁOWIE XIII WIEKU

CHRZEŚCIJAŃSKI ZACHÓD

Niemcy

Cesarstwo Niemieckie (także *Imperium Romanum*, Święte Cesarstwo Rzymskie) obejmuje Niemcy oraz królestwa Arelatu (Górna Burgundia), Czech, Polski, Węgier, Italii, a także Królestwo Obojga Sycylii, terytoria należące do zakonu krzyżackiego nad Bałtykiem oraz Prowansję.

Królestwo Italii składa się ze skupionych w większości w Lidze Lombardzkiej wolnych miast z Niziny Padańskiej, republik morskich Wenecji, Genui i Pizy oraz z wielkich księstw Montserratu, Toskanii i Spoleto; Królestwo Obojga Sycylii zaś składa się z następujących księstw: Apulia (Foggia), Kampania (Neapol), Basilicata (Tarent), Kalabria (Reggio) i Sycylia (Palermo).

Między tymi dwiema częściami Cesarstwa Niemieckiego na Półwyspie Apenińskim leży *Patrimonium Sancti Petri*, czyli Państwo Kościelne (Lacjum i marenie).

W latach 1243—1254 na stolicy Piotrowej zasiada papież Innocenty IV, a po nim Aleksander IV, który kontynuuje wrogą Staufom politykę poprzednika. Konflikt między papieżem a niemieckim cesarzem trwa od sporu o inwestyturę w połowie XI wieku (Canossa). Zaostrza się jednak, kiedy Henryk VI z dynastii Staufów żeni się z ostatnią księżniczką normandzką i do Cesarstwa Niemieckiego przyłącza Królestwo Obojga Sycylii (*unio regis ad imperium*), uważane przez papieży za lenno, którym mogą rozporządzać.

Od śmierci Fryderyka II (1250) Cesarstwo Niemieckie nie ma cesarza. Syn Fryderyka, Konrad IV, obejmuje wprawdzie sukcesję, ale musi stawiać czoło różnym antykrólom w Niemczech, których poduszczą papieża. Południową część imperium pozostawia więc zasadniczo swemu bratu z nieprawego łoża Manfredowi, którego jednak krótko przed śmiercią Fryderyk uznał za legalnego potomka. Manfred rządzi jako

regent, lecz musi walczyć z antykrólami, którym Rzym sprzedaje sycylijską Koronę. Zwycięsko z tej walki wyjdzie jego największy przeciwnik, Karol Andegaweński, najmłodszy brat francuskiego króla. Po śmierci Konrada IV (1254) Manfred ignoruje prawa do tronu Konrada V (Kon-radyna) i sam koronuje się na króla Obojga Sycylii. Od tego czasu panuje w Niemczech interregnum aż do koronacji Rudolfa Habsburga.

Francja

Obejmując rządy, francuski król Ludwik IX z dynastii Kapetyngów zastaje państwo dość skromne pod względem terytorialnym, składające się przede wszystkim z Paryża wraz z Ile de France, Flandrii, Szampanii oraz księstwa Burgundii (Dolnej). W ciągu swego panowania zdobywa mniej więcej wszystkie tereny, które obejmują obszar dzisiejszej Francji, a dokonuje tego przez podboje na południu (Okcytania, Langwedocja), wojnę o zachodnią część z Anglikami oraz ujarzmienie Normanów na północy. Posiadłości te konsoliduje przez małżeństwa swego brata Alfonsa z Poitiers z dziedziczką Tuluzy oraz Karola Andegaweńskiego z dziedziczką Prowansji.

Anglia

Królem Anglii jest Henryk III z dynastii Plantagenetów, który próbuje kupić Sycylię dla swego małoletniego syna Edmunda. Jego brat Ryszard z Kornwalii występuje jako niemiecki antykról (1256— 1272).

Hiszpania

Koronę Kastylii nosi Alfons X, zwany Mądrym, który na dodatek w 1257 roku otrzymuje koronę królów niemieckich. W Aragonii panuje Jakub I Zdobywca, któremu Francja odebrała położoną po drugiej stronie Pirenejów posiadłość Carcassonne.

Aragończycy zgłaszają wprawdzie roszczenia dziedziczne do Sycylii, lecz może się zdarzyć, że obu uprzedzi Karol Andegaweński. Poza tym Alfons i Jakub są zajęci

konsolidacją terenów zdobytych na południu Hiszpanii w trakcie „rekonkwisty”. Podczas swego panowania wyparli z Półwyspu Pirenejskiego potężny niegdyś kalifat Kordoby, z którego pozostał jedynie skrawek rządzony przez Saracenów (emirat Grenady).

Bizancjum

Dogorywa utworzone w 1204 roku przez uczestników nieudanej wyprawy krzyżowej Cesarstwo Łacińskie ze stolicą w Konstantynopolu, ze wszystkich stron napierają na nie cztery państwa sukcesyjne: cesarstwo trapezunckie (Watazes), Cesarstwo Nicejskie, księstwo Achai i despotat Epiru (Michał Paleologos). Ten ostatni okaże się najskuteczniejszy, odzyska bowiem Konstantynopol.

Poza tym do Zachodu należy zaliczyć księstwa ruskie, królestwo Gruzji, carstwo Bułgarów i królestwo Armenii. Chodzi tutaj o Małą Armenię, położoną na południowo-wschodnim wybrzeżu Azji Mniejszej, wciśniętą pomiędzy seldżucki sułtanat Ikonium oraz sułtanat Damaszku, mającą niepewne połączenie z wysuniętym najdalej na północ krzyżowców, Męstwem Antiochii. Królem Armenii jest Hetum I

Ziemia Święta

Terra Sancta, nazywana przez Francuzów „Outremer”, Królestwo Jerozolimskie, właściwie składa się już tylko z miast portowych Jaffy, Tyru, Bejrutu i kilku zamków, które należą do dwóch zaciekle zwalczających się zakonów rycerskich, templariuszy i joannitów. Sama Jerozolima nie należy już do niego od 1188 roku, od tego czasu stolicą jest Akka. Po śmierci Fryderyka II Zakon Szpitala Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego (Krzyżacy) przeniósł działalność głównie do Prus i basenu Morza Bałtyckiego. Nominalnym królem Jerozolimy, dzięki małżeństwu Fryderyka II z dziedziczką Królestwa, Jolandą z Brienne, jest Konrad IV, który jednak do końca życia nie objął rządów.

De facto i za przyzwoleniem Staufów rządzi w Ziemi Świętej, aż do wyjazdu w roku 1254, król francuski Ludwik, a po nim władca Cypru, Henryk II.

W północnych państwach krzyżowców, Antiochii i Trypolsie, rządzi Boemund VI.

Między Trypolisem a Antiochią rozciąga się terytorium syryjskich asasynów z Masnatu.

Oprócz zakonów rycerskich swoją politykę w Outremer prowadzą zwaśnione włoskie republiki morskie.

ŚWIAT ISLAMU

Kalifat bagdadzki

Jest nieoficjalnie tolerowany jako najwyższa instancja duchowa i arbiter, ale nie odgrywa istotnej roli. Kalif Al-Mustasim pochodzi z panującej nieprzerwanie od 37 pokoleń dynastii Abbasydów.

Egipt

W wyniku przewrotu doszli tutaj do władzy oficerowie zaciężnych Mameluków, którzy zabili ostatniego władcę z dynastii Ajjubidów i obwołali sułtanem jednego ze swych generałów, Ajbaka.

Maghreb

Na zachodzie, w Maghrebie, czyli w Algierii i w Tunezji, panuje rod Hafsydów, Maroko zaś pozostaje w obrębie sułtanatu Marynidów z Fezu, do którego należy także emirat Grenady w południowej Hiszpanii.

Syria

Na wschodzie, w Syrii, utrzymali się Ajjubidzi. Sułtanem Damaszku jest An-Nasir.

Alamut

Główna strefa wpływów izmailickich asasynów z Alamutu znajduje się na południowy zachód od Morza Kaspijskiego. Imamem i wielkim mistrzem jest Muhammad III.

PAŃSTWO MONGOŁÓW

Sercem jest chanat centralny ze stolicą w Karakorum. Królestwo ciągnie się na północy aż po Syberię, a na północnym zachodzie obejmuje księstwa ruskie. Na zachodzie chanat Czagataja sięga Morza Kaspijskiego. Na południowym zachodzie wielki chan włada terenami aż po Persję, a na południu po Indie i po północne Chiny. Wielkim chanem jest Móngke, wnuk Czyngis-chana (zob. drzewo genealogiczne Czyngisydów, s. 539).

Północno-wschodni chanat kipczacki, imperium Złotej Ordy, pozostawia zasadniczo swemu kuzynowi Batu, a pozostałe strefy wpływów dzieli pomiędzy własnych braci.

Kubiłaj otrzymuje tereny dzisiejszych Chin, później każe się uczynić ich cesarzem. Hulagu dostaje Afganistan i Persję, gdzie tworzy własny il-chanat. Najmłodszy brat Aryk Bóge, którego Móngke przeznaczył na swego następcę, pozostaje zarządcą chanatu centralnego.

SŁOWNICZEK HISTORYCZNY

Abbasydzi—sunnicka dynastia kalifów (750—1258). Zostali następcami Umajjadów w 132 r. ery muzułmańskiej; kres ich panowaniu położyli Mongołowie.

Abu al-Hafs — pochodzący z Maghrebu handlarz niewolników.

Ajjubidzi — dynastia założona przez sułtana Saladyna (nazwana tak od jego ojca Ajjuba). Panowali w Syrii (Damaszek) i Egipcie (Kair), gdzie w 1249 r. po przewrocie pałacowym Mameluków utracili władzę, natomiast samodzielna odtąd gałąź syryjska utrzymała się do 1260 r.

Alamut — wzniesiona w górach Chorasanu na południowy zachód od Morza

Kaspijskiego, najważniejsza z około trzydziestu twierdz asasynów, główna kwatery i siedziba imama; kontrolowała przebiegający tamtędy Jedwabny Szlak. Obecnie trudno dostępne ruiny.

Aleksander Newski — 1220—1263, książę ruski, władca Nowogrodu, wielki książę Kijowa; uznał zwierzchność Mongołów, którzy w 1240 r. zajęli Kijów. W 1242 r. zwyciężył wojska zakonu inflanckiego w bitwie na pokrytym lodem jeziorze Pejpus, powstrzymując w ten sposób szerzenie religii katolickiej na Rusi.

Al-Ka jrawan — Meczety w Al-Kajrawanie były jedną z wielkich świętości islamu maghrebińskiego aż do sekularyzacji przez francuskie władze kolonialne; chrześcijanie nie mieli do niego wstępu. Miejsce przechowywania trzech włosów z brody proroka Mahometa.

Al-Mustasim — ostatni (37.) kalif Bagdadu (1242—1258) z dynastii Abbasydów.

Andrzej z Longjumeau — zm. 1270, dominikanin, podróżował do Mongołów jako legat papieski.

An-Nasir (Salih ad-Din an-Nasir II) — Ajjubida, od 1237 r. władca Aleppo. Po zamordowaniu ostatniego sułtana Kairu z dynastii Ajjubidów przez Mameluków (1249) zdobył Damaszek i w 1250 r. obwołał się tam sułtanem Syrii; rządził aż do zajęcia miasta przez Mongołów w 1260 r.

Aragonla—królestwo w północno-wschodniej Hiszpanii ze stolicą w Jaca w Pirenejach, potem w Saragossie. W XII w. przyłączyło się do niej hrabstwo Katalonii z Barceloną.

Armenia — nie istniejąca już dziś Mała Armenia ze stolicą w Sisie położona była w południowo-wschodniej części obecnej Turcji, graniczyła z Syrią i z księstwem Antiochii.

Wielka Armenia, która w okrojonej postaci istnieje do dzisiaj, leżała na południe od Kaukazu pomiędzy Persją a Gruzją, lecz w XIII w. została zajęta najpierw przez ludy tureckie, a potem przez Mongołów.

Arslan — szaman i pustelnik w Ałtaju. Władcy z dynastii Czyngisydów zasięgali też jego rady w sprawach państwowych.

Aryk Boge — zm. 1266, najmłodszy brat Móngkego, który ustanowił go zarządcą chanatu centralnego i wyznaczył na swego następcę. Asasyni — izmailicka tajna sekta z główną siedzibą na górze Alamut (Persja); po 1196 r. miała także punkty oparcia w Syrii. Termin „asasyn” nawiązuje do zażywania narkotyków przez członków sekty i pochodzi być może od arab. *haszishi*; inna teoria mówi, że należy go wywodzić od starosyryjskiego wyrazu *asai*, który oznacza pośrednika, lekarza, nosiciela wiedzy tajemnej.

Ata al-Mulk Dżuwajni — sunnita, pierwszy szambelan dworu Hu-lagu.

Bajbars (Al-Malik az-Zahir Rukn ad-Din as-Salihi al-Bundukdari) zwany łucznikiem, emir — ur. 1211. Dowódca gwardii pałacowej pokonał króla Ludwika IX pod Mansurą, własnoręcznie zamordował ostatniego sułtana z dynastii Ajjubidów, Turanszaha, kazał jednak obwołać sułtanem generała Mameluków, Izz ad-Dina Ajbaka. Sam pozostał szarą eminencją sułtanatu kairskiego, a rządził jako sułtan Egiptu Bajbars I dopiero w latach 1260—1277.

Bartłomiej z Cremony — pracował dla tajnych służb Kurii; w latach 1253—1255 oficjalny towarzysz Williama z Roebroku podczas misji do wielkiego chana Mongołów, ale podobno zastępował go jego konfrater Wawrzyniec z Orty.

Batu—ur. 1207, Czyngisyda, wnuk Czyngis-chana, drugi pod względem wieku syn Dżociego, władca chanatu kipczackiego (1229—1255) i założyciel samodzielnego państwa Złotej Ordy.

Benedykt z Polski — franciszkanin z Wrocławia, tłumacz i towarzysz podróży Jana z Pian del Carpine podczas poselstwa do wielkiego chana Mongołów; w drodze powrotnej do Konstantynopola został „zastąpiony” przez Williama z Roebroku i zamordowany przez asasynów.

Berthold z Hohenburga — seneszał południowej Italii za rządów Konrada IV, wódz

wysłanej do Italii armii niemieckiej.

Boemund VI — książę Antiochii, ur. 1237, w wieku 14 lat objął tron po ojcu i ożenił się z córką króla armeńskiego Hetuma I, Sybillą. **Brancaleone degli Andalo** — gibelin,

hrabia Casalecchio, przywódca ruchu ludowego, który wypędził z Rzymu papieża i szlachtę; senator, założyciel republiki (1252—1258).

Bulgaj (właśc: Szigi Chutuchu) — najwyższy sędzia, zwierzchnik tajnych służb wielkiego chana.

Cenni di Pepo (zw. Cimabue) — ur. 1240, florencki malarz tworzący w stylu późnobyzantyjskim. Z rekomendacji Tomasza z Celano otrzymał od papieża zlecenie namalowania fresków w kościele Świętego Franciszka w Asyżu („Madonna ze św. Franciszkiem”). Uchodzi za artystę, który zainicjował przejście do renesansu.

Chajman — szpieg w służbie dawatdara (starszego sekretarza dworu) Bagdadu.

Chan — władca mongolskiego terytorium plemiennego (chanatu). Jego żona nosi tytuł „chatun”.

Chanat kipczacki — na Zachodzie nazywany Złotą Ordą, leżał na północ od Morza Kaspijskiego między Donem a Wołgą.

Churszah (Rukn ad-Din Chwurszah) — 1235—1256, syn Muhammada III (1212—1255). Ostatni imam Alamutu (1255—1256). **Crean z Bourivanu** — ur. 1201, syn Jana Turnbulla. Wychował się w południowej Francji; po śmierci żony przeszedł na mahometanizm i został przyjęty do zakonu asasynów.

Czyngis-chan — 1167—1227, zjednoczył plemiona mongolskie ok. 1195 r., władca absolutny od 1206. Jego żoną była Bórte, którą porwano mu wkrótce po ślubie.

Dawatdar Ajbak — starszy sekretarz dworu kalifa bagdadzkiego oraz kanclerz, odpowiadający głównie za politykę wewnętrzną. **Dokuz-chatun** — zm. 1265, żona il-

chana Hulagu, nestorianka.

Don Jaime —Jakub I Zdobywca, król Aragonii (1213—1276), ur. 1208. Podczas rekonkwisty (walka chrześcijańskiej ludności przeciwko arabskiemu panowaniu) zdobył Baleary oraz emiraty Walencji i Murecji.

Dwoje dzieci — Rosz, właściwie Roger Rajmund Bertrand, ur. ok. 1240—1241, rodzice nieznani; później przybrał dodatkowo nazwisko „Trencavel z Haut Segur”, co pozwala

wnosić, że chodzi o wymarłą linię Parsifala. Syn Parsifala (wicehrabia Carcassonne),

Roger Ramon III, zginął w 1241 r. podczas próby odbicia Carcassonne. Jeza, Izabela

Konstancja Rajmunda, ur. ok. 1239—1240, rodzice nieznani, przybrała nazwisko

„Izabela Esklarmunda z Mont y Sion”. Jej matką nie była przypuszczalnie słynna

Esklarmunda z legendy o Parsifalu, tylko nosząca to samo imię córka kasztelana

Montsegur, a ojcem być może nieślubny syn Fryderyka, Enzo, ur. 1216, który zmarł

dopiero w 1272 r. w niewoli u Bolończyków. Rosz i Jeza nazywani są „dziećmi Graala”.

Dźoczi — 1180—1227, najstarszy syn Czyngis-chana; przypuszczalnie syn żony

Czyngis-chana, Bórte, z nieprawego łoża.

Elias z Cortony — 1185—1253, z rodu baronów Coppi, stąd też nazywany „II

Bombarone” („Dobry Baron”); członek zakonu mnichów zebrzących, zwanych również minorytami, założonego przez Franciszka z Asyżu; w 1223 r. generał zakonu (*minister*

generalis), w 1232 wybrany ponownie. Po ekskomunice wycofał się do Cortony; w latach 1242—1243 udał się do Konstantynopoli jako poseł króla Fryderyka powrócił w 1244 r. Z telikwą Świętego Krzyża.

Elżbieta Węgierska — córka króla Węgier Andrzeja II, żona margrabiego Turynгии

Ludwika IV.

Gawin Montbard z Bethune — ur. 1191. Jako młody rycerz został wykorzystany przez

dowództwo krucjaty przeciwko Graalowi, aby zaofiarował Trencavelowi (Parsifalowi) list

żelazny; złożonej przez niego obietnicy nie dotrzymano jednak.

Gilles Le Brun — konetabl króla Francji w okresie, gdy Ludwik IX po wypuszczeniu z niewoli rezydował w Akce.

Gosset — wysłany przez króla Ludwika kapłan, który miał towarzyszyć w misji do wielkiego chana minorytom Williamowi z Roebroku i Bartłomiejowi z Cremony, prawdopodobnie jednak zastąpił go Crean z Bouri-vanu.

Graal — wielka tajemnica sekty katarów, wyjawiana tylko wtajemniczonym. Do dziś nie jest jasne, czy chodziło o jakiś przedmiot (kielich z zebranymi kroplami krwi Chrystusa, skarb) czy o wiedzę tajemną (np. w jaki sposób dynastia wywodząca się od króla Dawida

przeszła za pośrednictwem Jezusa z Nazaretu do południowej Francji, Okcytanii).

Grandę Maitresse — **Maria z Saint-Clair**, wielka mistrzyni Przeoratu.

Gujuk — wnuk Czyngis-chana, syn Ugedeja, wielki chan (1246—1248); jego żoną była Oguł Kajmysz.

Hafsydzi — dynastia panująca w Tunezji i wschodniej Algierii (1228—1574).

Hamo L'Estrange — ur. 1229, syn hrabiny Otranto, Laurencji z Bel-grave, zwanej Przeoryszą.

Hasan Mazandari — emir, gubernator (komendant) Alamutu i faworyt panującego

imama Muhammada III; uważany za jego zabójcę. **Henryk, hrabia Malty** — Enrico

Pescatore, admirał Fryderyka II, mąż Laurencji z Belgrave, która odziedziczyła po nim

tytuł i zamek Otranto. Uchodził za ojca Hamona L Estrange, ale ze spowiedzi hrabiny

wysłuchanej przez Williama z Roebroku wiadomo, że tuż przed ślubem dała się

zapłodnić młodemu mongolskiemu księciu w więzieniu w Konstantynopolu, zanim ten

został stracony jako szpieg.

Herlin — przypuszczalnie pochodzący z Francji, magister, bibliotekarz, naczelny pisarz dworski imama z Alamutu.

Hulagu — 1218—1265, wysłany przez Móngkego do Persji, w 1260 r. przybrał tytuł il-chana.

Innocenty IV — papież (24 VI 1243—7 XII 1254), następca Celestyna IV, który jesienią 1241 r.

rządził jedynie 26 dni, nim został usunięty. Innocenty IV zwalczał cesarza

Fryderyka II Staufa, po jego śmierci (1250) Konrada IV, syna i następcę Fryderyka, a w południowej Italii bastarda Manfreda. Dla Królestwa Obojga Sycylii, uważanego za papieskie lenno, starał się znaleźć władców, którzy byliby gotowi przepędzić stamtąd Staufów. Za opłatą nadawał prawa do niego na przemian angielskiemu domowi królewskiemu i Karolowi Andegaweńskiemu, najmłodszemu bratu francuskiego króla Ludwika, który w 1266 r. pokonał i zabił Manfreda w bitwie pod Benewentem, a w 1268 r. kazał ściąć w Neapolu syna Konrada, Konradyna.

Iwo Bretończyk — ur. 1224, były ksiądz i zabójca w służbie króla Ludwika.

Iztnailici — ekstremistyczne ugrupowanie szyickie. W początkowym okresie islamu, po śmierci Proroka, nastąpił rozłam między zwolennikami szyizmu (szyici), którzy chcieli

wyznaczać na jego następców jedynie jego potomków, a zwolennikami sunny (sunnici), którzy propagowali kalifat wybieralny. Panujący w Bagdadzie Abbasydzi byli sunnitami i dlatego asasyni ich zwalczali, mordując członków dynastii. Jam — oprócz urzędników w każdej siedzibie chana na terytorium całego państwa mongolskiego rozmieszczone były stacje, na których czele stali jamowie („jam" to właściwie nazwa takiej stacji).

Odpowiadali za sprawne funkcjonowanie służb kurierskich i przekazywanie

podróżujących posłów, a więc byli *de facto* kimś pośrednim między naczelnikami stacji pocztowych a gubernatorami prowincji.

Jan hrabia Joinville —1224/25—1317/19, seneszał Szampanii, od 1244 r. czasami w służbie Ludwika IX, któremu towarzyszył również podczas wyprawy krzyżowej do Egiptu.

Jan z Pian del Carpine (Giovanni del Piano de Carpinis) — 1182—1252, franciszkanin, pierwszy kustosz Saksonii, autor „Liber Tartarorum". W latach 1245—1247 jako legat papieski odbył podróż do wielkiego chana Mongołów, po powrocie napisał „Ystoria

Mongalorum" i został arcybiskupem Antivari (obecnie Bar).

Jan z Procidy — ur. 1210, lekarz z katedrą w rodzinnym Salerno, w ostatnich latach życia cesarza Fryderyka jego lekarz przyboczny. Pozostał w służbie Staufów, Manfred

mianował go kanclerzem Rzeszy. **Jasa** — nazwa zbioru praw wydanych przez wielkiego chana. **Kabała** — żydowska mistyka (nauka o wędrówce dusz), która rozwinęła się między IX a XIII w.

Karakorum (Qara-Qorum) — ok. 1220 r. podniesione przez Czyngis--chana do rangi centralnego ośrodka państwa mongolskiego. **Karol Andegaweński** — najmłodszy brat króla francuskiego Ludwika IX; od 1246 r. hrabia Andegawenii.

Kasda — ur. 1222 w Blanchefort, córka Creana z Bourivanu. Ratajowie — północnochińskie bądź południowomongolskie plemię w dzisiejszych Chinach.

Kitboga — generał, wódz wojsk Hulagu, w 1260 r. stracony przez Bajbarsa.

Kito — syn generała Kitbogi z małżeństwa z Iriną-chatun.

Klarion — hrabina Salentyny, ur. 1226; nieślubna córka Fryderyka II Staufa, który podczas nocy poślubnej (Brindisi 1225) zapłodnił druhnę swej żony Jolandy.

Kokoktaj-chatun — nestorianka, karaimska księżniczka, pierwsza żona Móngkego

Konrad V — ur. 1153, syn Konrada IV i Elżbiety Bawarskiej, *zwany* Konradynem; w 1268 r. ścięty w Neapolu.

Król Franków — **król Ludwik IX**, zwany Świętym (1214—1270); od 1226 r. do śmierci

król Francji, ożeniony z Małgorzatą Prowansalską. Za tego Kapetynga Francja

zajmowała mniej więcej dzisiejsze terytorium. W 1248 r. podjął wielką krucjatę

przeciwko Egiptowi (Damietta), poniósł druzgocącą klęskę, dostał się do niewoli, a

potem rezydował do 1254 r. w Akce. Zmarł podczas drugiej swej krucjaty tuż po

przybyciu do Tunisu. Król Konrad — 25 IV 1228—20 V 1254, syn i następca Fryderyka

II. W 1246 r. poślubił Elżbietę Bawarską; z tego związku narodził się Konrad IV, zwany

Konradynem, ostatni ze Staufów.

Król Manfred — ur. 1232, nieślubny syn Fryderyka II. Od 1250 r. namiestnik Konrada na Sycylii, po jego śmierci ogłosił się królem, nie zważając na sukcesję.

Królestwo Chorezmijczyków (Chorezm) — królestwo koczowników, którego

naczelnik używał tytułu szacha. Położone na południowy wschód od Morza

Kaspijskiego, rozciągało się przez pewien czas poza Persję aż do Indii. W okresie

990—1231 panowały cztery dynastie, potem Chorezmijczycy stanowili nie podlegające

niczyżej władzy hordy, często armie zaciężne, które zapędzały się nawet do Turcji i

Egiptu. Stali się sławni dzięki ostatecznemu zajęciu i zniszczeniu Jerozolimy. Królestwo Jerozolimskie — powstało w wyniku pierwszej krucjaty w 1099 r. Obejmowało pas

wybrzeża do Gazy na południu i Bejrutu na północy ze stolicą w Jerozolimie;

stowarzyszone z hrabstwem Trypolisu i księstwem Antiochii, które rozciągało się na

północy aż po granicę królestwa Małej Armenii. Gdy Saladyn w 1188 r. odbił Jerozolimę,

stolicą została Akka. W XIII w. do Królestwa Jerozolimskiego należał już tylko ten

umocniony port oraz port w Tyrze.

Królestwo Pokoju — przez całe średniowiecze, a przede wszystkim w okresie wypraw

krzyżowych, przewija się tęsknota, żeby kiedyś pojawił się książę pokoju; w większości

legend nazywa się go „arcykapłanem Janem”. Przez pewien okres oczekiwali go

asasyni, potem przez krótki czas wiązano nadzieje z nowym władcą Mongołów Czyn-

gis-chanem. Także Fryderyk II określał się chętnie mianem księcia pokoju.

Ksąbert z Barberi — 1185—1275, katar spokrewniony z Trencavelami i hrabiami

Foix, ekskomunikowany przez papieża. Po zakończeniu nie mającego szans

powodzenia oporu przeciwko okupacji jego ojczyzny przez Francję oddał swe służby

królowi Jakubowi I Aragońskiemu jako wódz i korsarz.

Kubilaj — 1215—1294, najstarszy z braci Móngkego, wysłany przez niego do Chin. Po śmierci Móngkego ogłosił się wielkim chanem, a od 1280 r. cesarzem Chin. Za jego

panowania imperium mongolskie zajmowało największe terytorium.

Kurułtaj — mongolski zjazd książąt, wszystkich naczelników plemion (chanatów).

Liwan (iwan) — kopulasta budowla o sklepieniu w kształcie elipsy, typowa dla

Mezopotami w czasach Sasanidów (VI w.). Sławę zyskał liwan w Ktezyfonie.

Maghreb — Zachód, określenie muzułmańskiej Afryki Północnej.

Mąka al-Malawi — pierwszy szambelan dworu kalifa Bagdadu.

Maluf — bogaty kupiec z Samarkandy.

Mikołaj z La Porty — ur. 1205 w Konstantynopolu, syn Gwidona II, biskupa Asyżu. Po śmierci ojca został biskupem Spoleto, w 1235 r. oddelegowany do Cesarstwa

Łacińskiego.

Mistrz Guillaume Buchier — kowal artystyczny z Paryża.

Móngxke — 1208—1259, wnuk Czyngis-chana; w 1251 r. podczas mongolskiego zjazdu książąt (kurułtaju) wybrany na wielkiego chana (chagana) jako następca swego kuzyna Gujuka.

Mu'ajjad ad-Din — wielki wezyr kalifa Al-Mustasima, szyita.

Mustafa Ibn Daumar — kupiec z Bejrutu, nazwisko przybierane przez Creana z

Bourivanu podczas dyplomatycznych misji w charakterze posła asasynów na Zachodzie.

Nasir ad-Din at-Tusi — 1201—12745 wszechstronny uczyony arabski. Mieszkał głównie

w Bagdadzie, nakłonił mongolskiego il-chana Hulagu do zbudowania obserwatorium

astronomicznego w Maradze; dzięki jego obserwacjom powstały tablice planet oraz

katalog gwiazd stałych. Nestorianie — zwolennicy zm. w 451 r. patriarchy Nestoriusza z

Konstantynopola, który w 431 r. został wypędzony z Cesarstwa Rzymskiego jako heretyk

i założył w Persji własny Kościół (dualizm, odrzucenie kultu maryjnego). Nestorianie

przewodzili działalność misyjną w Indiach, Chinach, Afryce, a także w Mongolii, choć nie udało im się zastąpić szamanizmu.

„**Nuestra Señora de Quéribus**” (hiszp.)— „Matka Boska z Queribusu”, statek.

Queribus był ostatnią twierdzą katarów w południowo--zachodniej Francji w pobliżu

Perpignanu. Dostał się w ręce Francuzów dopiero w 1255 r. dzięki podstępowi Oliwera z Termes. Panem na Oueribusie był Ksakbert z Barbery, wódz w służbie króla Jakuba I

Aragońskiego.

Ogień grecki — środek bojowy wynaleziony przez Kalinikosa z Bizancjum w 671 r., miotany w zamkniętych naczyniach z katapult, zapalał się w zetknięciu z wodą;

mieszanina siarki, soli kamiennej, żywicy, ropy naftowej i wapna palonego. Zastosowany

z powodzeniem przez Bizantyjczyków w 672 r. podczas obrony Konstantynopola przed

Arabami.

Ogół Kajmysz — wdowa po Gujuku, regentka (1248—1251).

Okcytania — „kraj Zachodu”, „kraj Wieczoru”; obszar w południowo-zachodniej części obecnej Francji, który był od Francji niezależny (hrabstwo Tuluzy). Wizygoci

uczynili z Tuluzy swoją stolicę.

Oliwer z Termes — ur. 1198, popierał ostatniego Trencavela, zanim przeszedł na stronę Francji.

Pola — ur. 1223, córka Creana z jego małżeństwa z Eleną Champ-Litte d'Arcady,

urodziła się jak Kasda w Blanchefort. Po gwałtownej śmierci matki, ścigana przez

Inkwizycję, znalazła dzięki ojcu schronienie w Alamucie.

Przeorat Syjonu — tajna organizacja o niejasnym rodowodzie, która podobno

postawiła sobie za cel zachowanie linii dynastycznej domu Dawida („krew królów”), a objawiła się po raz pierwszy po zdobyciu Jerozolimy w 1099 r. Zakon templariuszy był

ponoć jej świeckim ramieniem; przeciwstawiała się ostro papieżowi. W omawianym

okresie na jej czele stała wielka mistrzyni Maria z Saint-Clair, zwana „Grandę

Maitresse”.

Rainaldo z Jenny — kardynał, arcybiskup Ostii, siostrzeniec Grzegorza IX, hrabia Segni. 27 XII

1264 r. został wybrany na następcę Innocentego IV i przybrał imię

Aleksander IV; zm. 25 V 1261 r. „Raj” — nazwa ogrodów należących do haremu

wielkiego mistrza asasynów. Według legendy odurzonym haszyszem nowicjuszm, a także wtajemniczonym członkom zakonu przed niebezpieczną misją pozwalano popatrzeć na hurysy lub spędzić z nimi trochę czasu, żeby później trawieni przemożną tęsknotą za rajem nie bali się śmierci.

Rajner z Capoccio — ur. 1181, członek zakonu cystersów.

Sartak — syn Batu i następca (tylko przez rok); w latach 1256—1257 chan Złotej Ordy.

Sempad — brat króla Małej Armenii Hetuma I, konetabl (wódz) królestwa.

Sorkaktani — wdowa po synu Czyngis-chana Tołuju, matka Móngkego, Kubiłaja, Hulagu i Aryka Bóge.

Starzec z Gór — przydomek pierwszego wielkiego mistrza asasynów, szajcha Raszid ad-Dina Sinana, który nosili także następni wielcy mistrzowie sekty; uczynił z tajnego

zakonu stowarzyszenie płatnych

morderców.

Sunna (arab.) — tradycja, zwyczaj, przesłanie; wypowiedzi Proroka, które stanowią dla sunnitów wytyczną postępowania. Szafi'ici, hanafici, hanbalici, malikici — szkoły prawne w obrębie islamu sunnickiego.

Szaman — kapłan-czarownik, który utrzymuje kontakt z duchami przyrody, przepowiada przyszłość i uzdrawia. Praktyki szamańskie były rozpowszechnione od Syberii przez całą

Eurazję aż po Indian Ameryki Północnej; w czasach Czyngis-chana bardzo szanowano

kapłanów, czarowników i wszystkie osoby, które kontaktowały się z zaświatami.

Szams — syn imama Churszaha, urodzony w 1256 r., tuż przed upadkiem Alamutu.

Szary Kardynał — tajemnicza funkcja w obrębie Kurii w średniowieczu, główny

nadzorca Inkwizycji i szef tajnych służb, rezydujący na zamku Świętego Anioła. Kiedy

Kuria została wypędzona z Rzymu, zastępczą kwaterą był kasztel w Ostii u ujścia Tybru.

Szirat Bundukdari—ur. 1231, młodsza siostra emira Bajbarsa. W 1248 trafiła do haremu An-Nasira; odzyskawszy wolność w 1250 r., poślubiła Hamona L'Estrange, hrabiego Otranto.

Sziremun — Czyngisyda, prawnuk Czyngis-chana, wnuk wielkiego chana Ugedeja, uważany za jego następcę. Został jednak pominięty i wybrano Gujuka, syna Ugedeja z drugiego małżeństwa (z regentką Tóregene).

Szyici, szyizm (od arab. *szī'at Ali*) — „partia”; jej zwolennicy uznają jako imamów bądź kalifów jedynie potomków Alego i Fatimy (córkę Proroka) i odwołujący się do nich przekaz słów Proroka.

Tatarzy—nazwa jednego z plemion mongolskich; w Europie pierwotnie określenie wszystkich Mongołów. Nazwa „Mongol” stała się znana dopiero ok. 1240—1241 r. za sprawą posłów franciszkanów.

Templariusze — powstały w 1118 r. zakon rycerski, oficjalnie ukonstytuował się w roku 1128. Jego nazwa: Zakon Rycerzy Świątyni, wywodzi się od dawnej świątyni Salomona w Jerozolimie, w pobliżu której mieściła się pierwsza siedziba templariuszy.

Timdal — mongolski tłumacz, przez Williama z Roebroku nazywany również „*homo Dei*”.

Tołuj — 1190—1232, najmłodszy syn Czyngis-chana, regent (1227— —1229).

Tomasz z Celano — 1190—1255, minoryta. Na polecenie Grzegorza IX miał napisać oficjalną biografię św. Franciszka.

Ugedej — 1186—1241, trzeci pod względem wieku syn i następca Czyngis-chana, wielki chan od 1229 r. Jego wybór doszedł do skutku dlatego, że podawano w wątpliwość, czy najstarszy syn Dżoczi jest dzieckiem ślubnym, a drugi pod względem wieku syn Czagataj został zamordowany przez asasynów.

Umar — asasyn, młody fedain z wioski Iskandar w górach Chorasanu. Villard de

Honnecourt — francuski architekt z XIII w., sławny ze swojego notatnika cechowego

{*Carnet de Croquis*) zawierającego informacje o nowych technikach budowy gotyckich katedr. Zasłynął również jako wynalazca narzędzi i urządzeń technicznych (szkice

prawdopodobnie nigdy nie zbudowanego tartaku wodnego oraz *perpetuum mobile*).

Według jego projektów powstała pierwsza śluza komorowa w Holandii.

Wawrzyniec z Orty — ur. 1222, franciszkanin; w 1245 r. wysłany przez papieża do

Antiochii w celu załagodzenia sporu między Kościołami (greckokatolickim i

rzymskokatolickim).

Węgrzy, Bułgarzy—Wielkie Węgry i Wielka Bułgaria, których rdzenne ziemie

znajdowały się znacznie dalej na północny wschód niż obecne terytoria, mianowicie nad

Wołgą. Królestwo Węgierskie, znacznie większe od obecnego państwa, sięgało na

południowym zachodzie aż po chorwackie wybrzeża Adriatyku, a na północy

sąsiadowało z Królestwem Polskim. Król węgierski był lennikiem cesarza niemieckiego.

Wielki da'i — najwyższy zwierzchnik izmailitów. Tytuł ten był używany przez członków zakonu asasynów i wskazywał na najwyższy stopień wtajemniczenia, tytuł imama zaś

legitymował duchowego zwierzchnika i potwierdzał pokrewieństwo z prawowitym

następcą proroka Mahometa (Alim). Imam Ala ad-Din Muhammad III panował od 1221

do li\$5 *•

w Alamucle(napołuilim.>wv /."dióii od Morza Kaspijskiego).

Wielki Plan — opracowany prawdopodobnie przez Jana Turnbulla program przyszłych

losów dzieci, Rosza i Jezy, przyjęty później przez Przeorat.

Wilhelm z Gisors — ur. 1219, templariusz, następca urzędującej wielkiej mistrzyni Przeoratu.

William z Roebruku —1222—1293, ur. jako Willem w wiosce Roebruk (także Rubruc

lub Roebroek) we Flandrii, studiował jako minoryta Guilelmus w Paryżu, gdzie został

nauczycielem domowym francuskiego króla Ludwika IX (uczył go języka arabskiego). W

1243 r. wysłany przez króla pod oblegany Montsegur, tam dzięki zbiegowi okoliczności został włączony do akcji ratowania „dzieci Graala”, z którymi odtąd związał go los. W 1253 r. król mianuje go posłańcem i wysyła jako misjonarza do wielkiego chana Mongołów, a pisana przezeń oficjalna kronika tej podróży ma charakter *itinewrium*.

Wit z Viterbo —ur. 1208 jako naturalny syn Szarego Kardynała Rajnera z Capoccio, służył Kurii, wyznaczony przez nią na oprawcę „dzieci Graala”. W 1247 r. przeżył zamach asasynów na swoje życie, później sparaliżowany; generał zakonu cystersów, w 1251 r. popełnił samobójstwo w Masnacie, syryjskiej twierdzy asasynów.

Zegar — już na początku XIII w. w meczecie w Damaszku znajdował się napędzany wodą zegar z mechanizmem bijącym. W 1227 r. Alfons X kazał arabskim werkmistrzom sporządzić zegar rtęciowy. Zegary z napędem ciężarkowym są w użyciu (według Alhazena) już od końca I tysiąclecia.

Zew Ibrahim — żydowski fizyk i budowniczy w służbie asasynów z Alamutu.

Żelazne Wrota — legendarne przejście między Kaukazem a zachodnim wybrzeżem Morza Kaspijskiego na wysokości dzisiejszego miasta Der-bentu. Miało chronić Persję i Bagdad przed najazdami koczowniczych ludów z północy.

PODZIĘKOWANIA

Pragnę, by wyrazy wdzięczności przyjęły następujące osoby:

Michael Gorden za życzliwą opiekę nad autorem i zainteresowanie go tym tematem, do czego przyczynił się pomocnie swą bogatą wiedzą fachową w zakresie życia i kultury Mongołów.

Regina Maria Hartig za wnikliwą redakcję tekstu, która trzymała piszącego w ryzach, nie pozbawiając narratora przyjemności mieszania prawdy historycznej z fikcją.

Achim Kiel za genialne przetwarzanie niezwykłych życzeń autora w kwestii okładki i

oprawy graficznej książki — CORPORATE ART w najlepszym sensie tego wyrażenia!

Profesor Dario della Porta za rady w dziedzinie liturgii chrześcijańskiej oraz Daniel

Speck za wkład pracy na niwie arabistyki.

Moje współpracownice Sylvia Schnetzer i Ankę Dowideit za cierpliwość, czułą troskę

i poświęcenie, z jakim przносиły moje rękopisy na wszelkich etapach powstawania

niniejszej książki do pamięci komputera i dostarczały mi wydruki.

Szczególne podziękowania należą się również moim wydawcom i wszystkim

współpracownikom domu wydawniczego Gustava Lubbeego.

Cenną pomocą służyli mi także Ankę Lutkenhorst oraz moi hiszpańscy przyjaciele

Nicole i Mario Muchnjkawie.

Zdaję sobie sprawę, jak wiele zawdzięczam wszystkim wymienionym.

SPIS TREŚCI

DRAMATIS PERSONAE

PROLOG

LIBER I

I Zmęczony kalif

II Cztorej książęta

III Woń kwiatów i zapach zgnilizny

IV Kurultaj

V Mappa terrae Mongalorum

VI Przy studni w Iskandarze

VII Próg Bułgaja

VIII Srebrny księżyc nad Alamutem

IX Czcigodny misjonarz

X Błyskawice

XI Wieża na Procidzie.....

LIBER II

I Kupiec z Samarkandy

II Żebracy w pałacu

III Płaszcz szamana

IV Skarbiec biskupa

V Baśń z obozu letniego

VI Handlarz niewolników i piraci

VII Schadzka

VIII Via triumphalis

IX Z dziennika pokładowego penikrata

X Patriarcha Karakorum

LIBER III

I Amulet

II O Duchu Świętym i innych duchach

III Jeden Bóg

IV Noc spiskowców

V Ucieczki

VI Ścigający i ścigani

VII Dzikie wody

VIII Kwiat gnije

IX Cisza przed burzą

X Róża w ogniu

ANEKS

Sytuacja polityczna w świecie w połowie XIII wieku

Drzewo genealogiczne Czyngisydów

Słowniczek historyczny

Podziękowania